

Bestsellerowa powieść o powstaniu i upadku III Rzeszy.
Kultowa trylogia teraz w jednym tomie!

HANS HELLMUT KIRST



08/15

Prószyński i S-ka

HANS HELLMUT KIRST

08/15

Przełożył
Jacek Frühling

Prószyński i S-ka

Tytuł znanej trylogii H.H. Kirsta może być niezrozumiały dla czytelnika polskiego. Cyfry 08/15 określają wzór ciężkiego karabinu maszynowego systemu Maxim, który w armii niemieckiej dwukrotnie unowocześniano – w roku 1908 i 1915. Mimo wprowadzonych zmian konstrukcja pozostała w zasadzie taka sama i w związku z tym określenie „Null-acht-fünfzehn” (zero-osiem-piętnaście) nabrało idiomatycznego znaczenia w potocznym języku niemieckim. Odpowiada ono mniej więcej polskiemu „znowu to samo” albo „według starego schematu”. Nadając taki tytuł swej książce, Kirst pragnął niewątpliwie podkreślić, że militarizm i szowinizm hitlerowski III Rzeszy nie były nowymi zjawiskami i stanowiły kontynuację niechlubnych tradycji czasów wilhelmowskich

TOM I

AWANTURNICZA REWOLTA

BOMBARDIERA ASCHA

Tak zwane nieszczęście kanoniera Vierbeina, z którego narodziła się awanturnicza rewolta bombardiera Ascha, rozpoczęło się w słoneczne sobotnie popołudnie w pierwszych dniach sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku, W ciągu tygodnia wszystko zostało zlikwidowane.

Funkcyjni wystąp! W tył na lewo zachodź! – zawołał szef baterii, starszy ogniomistrz Schulz, zwany ogólnie krótko szefem. Głos jego huczał nad placem zbiórki i odbijał się od koszarowych murów. Był to głos potężny, syty, zadowolony z siebie; naoliwiły go i zahartowały wyziewy piwa i dym cygar.

Funkcyjni podreptali z zadowoleniem na lewo, ci bez funkcji łączyli mechanicznie w prawo. Kanonier Vierbein dostał się na chwilę między ciżbę, próbował ostrożnie zrobić użytek z łokci, potem zrezygnował, stał spokojnie jak słupek.

– Jak pomniki! – zawołał z zadowoleniem szef. – Jak posągi bożków. Żeby mi się żaden kutas nie ruszył! – Mrużąc oczy spojrzał na chwilę w kierunku okien swego służbowego mieszkania. Były szeroko otwarte, zauważył za firankami swoją żonę Lorę i był przekonany, że go podziwia.

Podoficerowie, którzy się zebrali za swoim szefem, starali się nie uśmiechać. Udawało im się to, mieli bowiem wiele okazji, by się w tym wyćwiczyć.

Kanonier Vierbein patrzył przed siebie. Za cel spojrzenia wziął framugę okna w budynku koszarowym. Utkwił wzrok w drewnianej ramie okiennej. Ukazała się głowa Lory Schulz, ale kanonier zmuszał się do tego, żeby widzieć tylko drzewo. Szef przesunął się obok niego, miało się wrażenie, że płynie po ruchomej taśmie. Dostał się na chwilę w pole widzenia kanoniera, podobnie jak jakieś ciało dostaje się w obręb światła reflektorów samochodu; po chwili krzyżował już pole widzenia innych.

Rozkraczywszy nogi szef stanął przed frontem podległych mu szeregowców. Był to chłop jak szafa spoczywająca na słupach. Okrągła, zdrowa, lśniąca twarz wydłużyła się, rozdziawił wielkie usta.

– No, zabieramy się do roboty! – zawołał potężnym głosem.

Na każde sobotnie popołudnie plan zajęć służbowych przewidywał „czyszczenie rejonu”. Przeznaczano na to trzy godziny, ale Schulz, kiedy miał ochotę, bez trudu potrafił zrobić z tych trzech godzin pięć. Przeważnie miał ochotę.

Każdego sobotniego popołudnia stawał się panem koszar. Kapitan Derna, dowódca, wspaniałomyślnie oddany do dyspozycji wielkoniemieckiego Wehrmachtu z okazji anszlusu{1} Austrii, poświęcał się swojej przyszłej rodzinie; podporucznik Wedelmann, oficer wyszkolenia baterii, swojej kolejnej narzeczonej. Nawet Luschke, major i dowódca dywizjonu, zwany Bulwą, zwykł był święcić koniec tygodnia. Schulz, korzystając z tego, że mu nikt nie przeszkadza, urządzał „uroczystości końcowe”, starając się uporczywie i nie bez powodzenia udowodnić baterii, „kto tu właściwie rządzi”.

– Spocznij! – krzyknął Schulz. Odziani w drelichy żołnierze wysunęli automatycznie lewą nogę. Szef czatował, czy któryś nie odważy się na głośną rozmowę. Komenda „spocznij” nie była bowiem równoznaczna z pozwoleniem na rozmowy, którego zwykł był udzielać oddzielnie. Nikt jednak nie puścił pary z ust.

– Wolno rozmawiać! – oznajmił łaskawie.

Żołnierze woleli milczeć. Niektórzy uśmiechali się, inni patrzyli pokornie na starszego ogniomistrza. Tylko bombardier Asch, który stał wśród funkcyjnych, gwałtownie odsunął na bok bombardiera Wagnera i powiedział: – Nie rozpieraj się tak, ty fujaro!

– Nie ryczcie, Asch! – zawołał Schulz. – Jeżeli kto tu ma prawo ryczeć, to tylko ja!

– Tak jest, panie szefie – wybębnił Asch.

W przypiływie wspaniałomyślności szef postanowił nie uznać tego za prowokację. Przywołał do siebie podoficerów i przekazał im funkcyjnych szeregowców, którzy błyskawicznie się ulotnili, by w magazynach i szopach zabijać czas. Bombardier Asch nie śpiesząc się zajął swoje stałe miejsce w magazynie mundurowym, gdzie zwykł był z magazynierem, ogniomistrzem Werktreuem grywać w „oko”; starał się przy tym niezbyt wiele wygrywać.

Poważna reszta, nazywana „bez funkcji”, czyściła rejon od strychów do piwnic, od kancelarii do umywalni. Kanonier Vierbein znajdował się pośród grupy, która miała sprzątać dolną latrynę. Uważał, że jest to w zupełnym porządku, niczego innego nie oczekiwał. Czyszczenie latryn należało do jego specjalności. Od czasu pobytu w baterii regularnie przydzielano mu to zajęcie.

Vierbein stał pokorny, niemal obojętny, w automatycznej gotowości do przybrania postawy zasadniczej, kiedy rozlegnie się komenda „baczość”, a później słowo „rozejść się”. Po tym słowie ci „bez przydziału” pędzili do swych izb, chwytali za miotły, wiadra i szmaty i biegli do obiektu, który należało wyszorować. Tu zwykł był czekać na nich któryś z młodszych podoficerów lub też jeden z bombardierów, uważany za godnego zaufania.

Przygotowując się do tego normalnego biegu spraw, Vierbein poczuł, że spoczywa na nim wzrok szefa. I wietrząc pewną przychylność przeląkł się, wiedział bowiem z doświadczenia, że się to nigdy dobrze nie kończy, kiedy przełożeni zbyt intensywnie zajmują się swymi podwładnymi. Jak w starym, wyblakłym filmie przesunęły się przed nim wszystkie możliwe z tego wyniknąć ewentualności: przedłużenie czyszczenia rejonu do późnych godzin wieczornych; niesprawiedliwy gniew przełożonych; cofnięcie dzisiejszej niedzielnej przepustki; podkreślenie jego nazwiska w notesie szefa, co było równoznaczne z zakazem opuszczania koszar. Wszystko to oznaczałoby, że nie zobaczy Ingrid.

– Vierbein, na lewe skrzydło, biegiem! – zawołał szef. I Vierbein pobiegł na lewe skrzydło, stanął samotny i opuszczony.

Jednym słowem komendy szef wymiół plac zbiórki. Gwoździe butów załomotały na bruku. Po chwili setki butów napełniły hałasem korytarze i schody koszarowego budynku. Vierbein stał samotny na wybetonowanym placu.

Schulz odwrócił się z wolna i kołysząc się obiecująco ruszył w jego stronę.

– Vierbein – powiedział naoliwiając swój donośny głos życzliwością – chcecie wyświadczyć mi przysługę?

Vierbein poczuł, że zbladł.

– Tak jest, panie szefie! – zawołał rześko.

– Nie musicie, jeżeli nie chcecie. Nie jest to rozkaz, Vierbein. Nie mogę tego rozkazać. Jeżeli nie macie ochoty, proszę mi to spokojnie powiedzieć. Wtedy zajmiecie się czyszczeniem latryn. Chcecie?

– Tak jest, panie szefie!

– Co? Czyścić latryny?

– Co pan szef rozkaże!

– No pięknie! – powiedział Schulz z zadowoleniem. – Nie oczekiwałem niczego innego. Zameldujcie się u mojej żony do trzepania dywanów.

Starszy ogniomistrz Schulz wędrował przez korytarze koszar baterii; gdzie tylko się zjawił, zapał do pracy wyraźnie rósł. Sprawiało mu to pewną satysfakcję, jakkolwiek w głębi swej koszarowej duszy uważał tego rodzaju reakcję za zrozumiałą samo przez się. Byłoby niezwykle, gdyby tak się nie działo.

Dla wynajdywania brudu w każdej postaci miał coś w rodzaju szóstego zmysłu. Widział z odległości dziesięciu metrów, czy szpary w kamiennej posadzce są czyste. Jeżeli nie, to zwykł był pakować w nie palec wskazujący, i zebraną kupkę brudu podsuwał opieszalemu żołnierzowi pod nos, opieszalego żołnierza wpisywał ponadto do swego notesu zwanego „skrzynką śmieci”.

Siejąc niepokój kroczył więc z błogim zadowoleniem przez rejon swej baterii. Tym razem nie odczuwał jednak głębokiej radości, choć w ciągu krótkiego czasu udało mu się stwierdzić cały tuzin „grubych zaniedbań”. Miało to na dzień dzisiejszy wystarczyć. Nie będąc głupcem doszedł w ciągu siedmiu lat służby do przeświadczenia, że nadmiar kar, a co za tym idzie – zbyt wielka ilość ukaranych, tylko stępia ostrze. Umiarkowane dozowanie to tajemnica powodzenia.

Zatrzymał się w pobliżu czarnej tablicy, podziwiał przez chwilę swój zamaszysty podpis, zdobiący wywieszony rozkaz dla baterii. Na rozkazie obok podpisu kapitana Dery, dowódcy baterii, widniała adnotacja: *za zgodność* podpisana bardzo wyraźnie, energicznie i z zawijasami – *Szef baterii Schulz, starszy ogniomistrz*. Oderwał wzrok od tablicy, wyciągnął notes, otworzył go i jeszcze raz dla pewności obliczył ilość zapisanych, czyli tych spośród żołnierzy, którzy mu podpadli. Było ich jedenastu; zapisał więc o jednego mniej, niż przewidywał. Dokładnie, zgodnie ze swym usposobieniem i wymaganiami związanymi z jego stanowiskiem służbowym, policzył raz jeszcze. Ale, co było zresztą oczywiste, nie przeliczył się.

Niezadowolony, zamknął notes i zaczął się zastanawiać, zbytnio się zresztą nie nadwerężając, jakie by to miejsce mogło wchodzić w rachubę, w którym dałoby się wytropić brakującego dwunastego. Postanowił pójść do latryny i w ten sposób połączyć przyjemne z pożytecznym.

Czuł się otoczony respektem, a jednak nie był szczęśliwy. Na służbie był jak niezłomny dąb, ale w życiu prywatnym – w życiu prywatnym miał kłopoty. Myliłby się, kto by sądził, że troską jego było nienormalnie wysokie konto u dzierżawcy kantyny. Ten powinien uważać za szczęście, że szef trzeciej baterii w ogóle u niego popija i w ten sposób swą obecnością uświetnia opinię kantyny i jej dzierżawcy, co się niewątpliwie odbija na obrotach.

Shczęście jego mąciło w poważnym stopniu zachowanie żony. Przecież wydzwignął z nizin Lorę, która dawniej sprzedawała kwiaty, i to przy wejściu na cmentarz. Stało się to przed dwoma niespełna laty, kiedy był jeszcze ogniomistrzem. Z początku wszystko było w najlepszym porządku: żyli jak dwa gołąbki! Odkąd jednak został tutaj szefem baterii i otrzymał w bloku baterii służbowe mieszkanie, atmosfera w domu uległa katastrofalnej zmianie. Właściwie dlaczego?

– Podciągnijcie wasze krzywe nogi, kiedy przechodzę! – zawołał do żołnierza, który na klęczkach wycierał korytarz do sucha.

Trudno po prostu tę historię z Lorą zrozumieć. W ostatnich czasach była zimna jak lód, którym się w kantynie chłodzi piwo.

Pamiętał dokładnie, że dawniej bywało inaczej. Ale w ostatnich czasach zmieniło się to gwałtownie. Ze smutkiem musiał zapytać samego siebie, czemu przypisać, że mimo powszechnego poważania, jakim się cieszy, najmniej respektu znajduje u własnej żony.

Schulz otworzył gwałtownym ruchem drzwi latryny i rozejrzał się badawczo dookoła. Kanonier Hermann szorował muszlę klozetową. Starszy ogniomistrz pomyślał sobie natychmiast, że to ten właśnie będzie jego ofiarą. Prawie od trzech tygodni Hermann nie był ani razu zapisany, więc i tak już mu się to należało.

– No cóż, ty świński pomocie! – zawołał szczególnie rześkim głosem. I pomyślał: „Zaraz złapiemy ptaszka!” Wyciągnął palec wskazujący prawej ręki, przesunął nim po jasnozielonych kafelkach sedesów. Uśmiechnął się. Dowód był przekonujący, Hermann wiedział, że wybiła jego godzina.

– Prosiłście o przepustkę na niedzielę?

– Tak jest, panie szefie!

– A nie macie jeszcze tej przepustki, co?

– Nie, panie szefie.

– Właśnie! – powiedział szef, otworzył swój notes, zapisał jeszcze jedno nazwisko i oddalił się.

Dawniej wszystko to sprawiało mu radość, teraz spełniał jedynie swój obowiązek, swoje pensum. Równocześnie myślał o żonie, głównie o tym, że ona go nie rozumie.

Nie była nawet zdolna do tego, by go obdarzyć dzieckiem, dziarskim chłopcem. Podejrzał ponadto, że ona go – tak, jego – zdradza.

Nie koniec na tym! Istniały dane, by przypuszczać, że to, co jej na podstawie doświadczenia i znajomości rzeczy przypisywał, uprawiała nawet z osobnikami należącymi do jego baterii. I to nie tylko z podoficerami, co bądź co bądź nie byłoby jeszcze ze względu na ich stopień służbowy takim skandalem, ale, być może, nawet z jego podwładnymi. A taka historia, myślał sobie Schulz trzęsąc się z oburzenia, może zwalić z nóg nawet najmocniejszego człowieka.

Dotychczas nie potrafił jej niczego dowieść, ale sądził, że może być pewien swego. Jakże inaczej wytłumaczyć jej drażniącą obojętność przy spełnianiu najbardziej prymitywnych powinności małżeńskich? To więcej niż podejrzanę! Czymś takim można częstować byle dorożkarza, ale nie jego, zasłużonego szefa baterii niemieckiego Wehrmachtu.

Przed dwoma tygodniami, kiedy wcześniej niż zwykle wrócił z partii kręgli, przyłapał swoją ślubną małżonkę – która przecież „winna być uległą mężowi swemu” – z ogniomistrzem Werktreuem, swoim kolegą i tak zwanym przyjacielem. O godzinie jedenastej siedzieli przytuleni do siebie na kanapie. Werktreu jąkał coś o przedwczesnym przejęciu remanentów. Gdyby Schulz nie potrzebował z magazynu mundurowego Werktreua trzech nowych kompletów bielizny, byłby go wedle wszystkich reguł sztuki „zrobił na szaro” – tak zwykł był to nazywać – jak ostatnie gówno, jak najmłodszego rekruta.

A w ubiegłym tygodniu musiał być świadkiem, jak pewien bombardier, którego przydzielił swojej żonie do mycia okien, przedsięwziął próbę, wyraźnie przez nią tolerowaną, wpakowania swej łapy pod jej bluzkę. Wymierzył jej parę siarczystych policzków, kopnął tamtego w zadek, pozbawił go przepustek i postarał się o to, by go przeniesiono do Schafsnase, które było najnudniejszym obozem ćwiczeń artylerii: nędzne koszary i baraki, jeszcze nędzniejsza wieś, zaledwie kilka kobiet i około siedmiuset żołnierzy.

Takie to trapią go między innymi problemy. I coś takiego musiało zdarzyć się właśnie jemu, który dawniej, w dniach chwały i blasku, potrafił w krótkich odstępach czasu uszczęśliwić cztery narzeczone, co nawet zostało potwierdzone na piśmie. Kiedy się później ożenił, były płacze i szloch, a nawet wisiało w powietrzu samobójstwo. Lora powinna być szczęśliwa, że go dostała. Przecież jest kimś! Co, u diabła, ta kobieta właściwie sobie myśli? Poślubiła ambitnego i poważanego żołnierza, którego poczynaniom nawet major Luschke o twarzy jak bulwa nic nie może zarzucić; a więc właściwie dlaczego nie jest szczęśliwa i zadowolona? Brak jej zrozumienia dla spraw wyższych!

Ogniomistrz Platzek, zwany Platzek-dręczyciel, uznawany za najlepszego instruktora w pułku, ubrany do wyjścia, przemierza elastycznym krokiem korytarz. W białych rękawiczkach i nowym kołnierzyku kłania się przyjaźnie.

– No? – pyta Schulz – dokąd to dzisiaj?

Platzek uśmiecha się zawadiacko. – Przyjdiesz wieczorem do „Bismarckshöhe”? Będzie znowu wielka awantura. Całe dwa tygodnie nie było cię w naszym lokalu.

– Mam ochotę – powiedział szef.

– Kto nie ma ochoty, ten nie jest morowym chłopem – konstatuje z właściwym sobie humorem Platzek, salutuje i oddala się szybkim krokiem.

Schulz spogląda za nim. „Takie jest życie – myśli nie bez odrobiny goryczy. – Ten nie jest żonaty, może robić, co mu się podoba. Ale ja, choć jestem żonaty, robię także, co mi się podoba, bo chłop ze mnie stuprocentowy”.

W tej chwili, stwierdził to nie bez zadowolenia, żadne specjalne niebezpieczeństwo nie zagraża jego osobistemu honorowi. Uświadamiać sobie zło, to znaczy usuwać je. U Lory jest teraz kanonier Vierbein, a Vierbein to fujara... mleczak, portki mu się ze strachu trzęsą. Prędzej dałby sobie poobrywać swoje ośle uszy, niżby zaryzykował spojrzeć na Lorę.

A więc, rozważał Schulz w dalszym ciągu, on wypełnił swoje obowiązki służbowe, może zatem w magazynie mundurowym zagrać z ogniomistrzem Werktreuem parę rund w „oczko”; a jeżeli będzie wygrywał, doda jeszcze kilka rundek.

Bombardierem Herbertem Aschem nic już nie mogło wstrząsnąć; przynajmniej on tak uważał. Robił tylko to, czego się pod żadnym pozorem nie dało uniknąć. Nie lubił się pocić, dość dokładnie wykombinował sobie, co się powinno dziać, by mógł mieć względny spokój.

Dewiza koszarowa bombardiera Ascha brzmiała: „Unikaj wszelkiego ryzyka”. Mówiąc popularnie: nie pchaj palca między drzwi, nie chodź ani do cielęcica, ani do księcia. Trzeba jednak stwierdzić, że książęta przychodzili czasami do bombardiera Ascha.

Asch miał bowiem nie byle jakiego ojca; ojciec ten był właścicielem restauracji-kawiarni, do której uczęszczał korpus podoficerski pierwszego dywizjonu pułku artylerii. Ojciec Asch uchodził za wielkodusznego, syn jego bombardier Herbert prześcigał go w tym jeszcze. Kiedy wieczorami, co było milcząco tolerowane, zdejmował w przepelnionej restauracji ojca szary polowy mundur i ubrany w białą bluzę kelnerską toczył piwo z beczki, można było być pewnym, że przypilnuje, aby kufle dla panów podoficerów jego baterii były napełnione prima, co wywoływało przychylny dla niego nastrój. Poza tym fundował bez zmrużenia oka nadliczbowe wódki, udzielał chętnie kredytu i nawet pożyczął pieniądze z wielką dyskrecją, przestrzegając surowo wymaganej od podwładnych gotowości do służby i dyscypliny w każdej chwili i w każdej sytuacji.

Do jego specjalnie faworyzowanych klientów należał ogniomistrz Werktreu, pan na magazynie mundurowym. Za stale okazywaną mu wielkoduszność rewanżował się w ten sposób, że regularnie żądał przydzielania Ascha do pracy w magazynie mundurowym. Obaj zwykli byli zamykać się, żeby tygodniami w czasie oficjalnych

godzin służby lekko pracować albo ciężko spać. W sobotę na naleganie Werktreua grywali przeważnie w „oczko”.

Przy tej okazji bombardier Asch szachrował w bezwstydnym sposobie. Podawał fałszywe liczby, sumował prędko, ale za to błędnie, kładł na spód wysokie karty i gdyby tylko chciał, doprowadziłby Werktreua do ruiny. Ale nie chciał tego. Zdarzało się nawet nierzadko, że szachrował na korzyść ogniomistrza, chcąc sztucznie utrzymać jego dobry nastrój. Zanim przystąpili do gry, bombardier Asch zwykł był zastanawiać się, jak wysoka ma być wygrana, którą chciał obdarzyć ogniomistrza. Suma ta, zależnie od ilości spokojnych godzin, których Werktreu dostarczył mu w minionym tygodniu, wahała się między dwiema a pięcioma markami.

Ogniomistrzowi Werktreu nie wpadłoby nigdy w życie do głowy, że ktoś, i to w dodatku jego podwładny, mógłby próbować oszukiwać go przy grze w karty. Po pierwsze, uważał siebie za niedoścignionego we wszystkich fintach, które ulubiona gra nastreczała, czego dowodem był fakt, że prawie zawsze wygrywał. Po drugie, był głęboko przekonany, że jest dzieckiem szczęścia; jego kariera wojskowa, która bez uciekania się do okrężnych dróg wysunęła go na króla magazynu mundurowego, była pasmem wyjątkowych sukcesów. Po trzecie, szachrował sam. Również bezwstydnie i nawet niezbyt zręcznie.

Bombardier Asch znosił to z łagodnym uśmiechem. Podał ogniomistrzowi czwartą kartę, wiedząc dokładnie, jaka to karta. Wedle jego obliczeń Werktreu musiał mieć teraz więcej niż dwadzieścia jeden, dokładnie – dwadzieścia pięć, więc partię przegrał.

Mrużąc oczki ogniomistrz pociągnął hałaśliwie nosem i splunął wielkim łukiem do stojącej w odległości trzech metrów skrzyni z piaskiem, umieszczonej tu na wypadek pożaru. Zastanawiał się głęboko, czy ma po prostu uznać się za pobitego, czy też jedną kartę jakoś ukryć.

Bombardier zapalił papierosa i przyglądał się z zainteresowaniem jednemu z napisów, który głosił: „palenie wzbronione”. Pozostawił ogniomistrzowi chwilę czasu. Kiedy zauważył, że ten zamierza ukryć jedną kartę, zapytał przyjaznym tonem: – Czy pan ogniomistrz potrzebuje więcej niż cztery karty?

Werktreu nie miał teraz wątpliwości, że bombardier policzył rozdane karty; wściekało go to, ale nie mógł sobie pozwolić na okazanie swej wściekłości. Głowił się usilnie nad innymi możliwościami szachrajstw, ale w danej chwili nie mógł nic wymyślić. Nie chciał jednak jeszcze przyznać otwarcie, że partię przegrał.

Nagle w drzwi obite blachą ktoś zaczął gwałtownie pukać.

Werktreu skorzystał z tej sposobności i rzucił wszystkie karty na jeden stos.

– Kto tam? – zawołał. – Nie mam teraz czasu, jestem w trakcie roboty.

– Otwórz!

Bombardier poznał od razu głos szefa, ale nawet mu na myśl nie przyszło zwrócić na to uwagę ogniomistrzowi.

– Kto z nas rozdaje? – zapytał rzeczowo.

– Człowieku, otwórzże! – ryczał szef.

Poznając po ryku głos Schulza ogniomistrz spiesznie położył kres tym wrzaskom.
– Wejź! – powiedział koleżeńskim tonem i otworzył drzwi. – Właśnie sortujemy skarpetki.

Szef Schulz skinął z uznaniem głową. Spojrzał z wysoka na bombardiera Ascha, który karty i wszystkie pieniądze wpakował do kieszeni i robił wrażenie, że naprawdę sortuje skarpetki. – No? – zapytał – i któż przy tym wygrywa?

– Oczywiście ja! – bez wahania, z dumą odpowiedział Werktreu.

– Partyjkę – oświadczył Schulz protekcyjnie – mógłbym z wami zagrać. – Po tych słowach usiadł na stosie płaszczy tuż obok bombardiera Ascha, zacierając energicznie ręce.

Ogniomistrz zamknął znowu drzwi, bombardier wyciągnął z kieszeni karty, szef rozpoczął grę.

– Jeżeli mnie obłupicie, Asch – powiedział dobrotliwie – przyjaźń nasza będzie należała do odległej przeszłości.

– Tak jest, panie szefie – odparł bombardier. Nie był tą wizytą bynajmniej uradowany, wiedział dobrze, że ta podejrzana, hałaśliwa życzliwość szefa będzie go kosztowała dwie marki, najmniej dwie.

Szef wygrał pierwszą partię, potem drugą. Po piątej miał już wygrane cztery marki. Jego przygniatająca życzliwość wzmagala się coraz bardziej. W szóstej partii Asch wymienił dwie karty i Schulz przegrał trzy marki. W mgnieniu oka stał się znowu normalnym przełożonym.

– Mój drogi Asch – zapytał z łagodną groźbą w głosie – czy macie już swoją niedzielną przepustkę?

– Nie, panie szefie! – oświadczył Asch zwięźle i szybko dał wygrać Schulzowi dwie marki.

– Co porabia twoja żona? – zapytał szefa ogniomistrz Werktreu. Wpadł w złość, bo karta zupełnie mu nie szła. Schulz wygrywał partię za partią. Werktreu był całkowicie zdecydowany wziąć w tej szczęśliwej passie udział i dostatecznie niedoświadczony, by wierzyć, że osiągnie to przez skierowanie rozmowy na żonę starszego ogniomistrza.

Szef nie wypuszczał kart z rąk. Ale aluzja Werktreua dotarła do niego. „Drogi mój przyjacielu – myślał gniewnie, a równocześnie z poczuciem bezgranicznej wyższości – przecież moja żona gównem cię obchodzi. Wiem o tym, że się do niej palisz, ale nie dostaniesz się w mój teren ostrzału, po prostu poddam moją uroczą żonę izolacji. Choćbym nawet szelmę musiał zamknąć! Nie mogę pozwolić na to, by mi ktoś przyprowadził rogi; zwłaszcza ktoś z mojej baterii i w dodatku jeszcze mój podwładny.”

Zaklął głośno, bo właśnie przegrał dwie marki. Choć postanowił zrobić małą pauzę dla złapania oddechu, ciągle jeszcze nie wypuszczał kart z ręki. – Powiedzcie no,

Asch, ten Vierbein, to niemowlę, należy do waszego działu, prawda?

– Tak jest, panie szefie! – Bombardier Asch spojrział na Schulza z zaciekawieniem. Niezupełnie się orientował, jakie związki przyczynowe wywołało to pytanie. Był ciekaw, dlaczego ten Schulz przeszedł od kart do kanoniera Vierbeina.

– Maminsynek, co? Żałosny mleczak, co? A może już przeczuwa, co to takiego miłość? – I z całym przekonaniem, opierając się na swych licznych doświadczeniach, szef dodał: – Załóżmy się, że ten smarkacz nie wie jeszcze, że istnieją dwie płci. Mam wrażenie, że wierzy jeszcze w bociana.

Ogniomistrz Werktreu rżał radośnie i wytrwale, jak by przed chwilą usłyszał świetny dowcip. Również bombardier wolał się śmiać. Szef bardzo się sobie w roli kawalarza podobał.

– Przypuśćmy – powiedział lubieżnie – że położyłem obok niego półnągą dziewczynę. Co też on z nią pocznie? Okryje ją!

– Nie wiem – powiedział ostrożnie bombardier – wydaje mi się, że jest zupełnie normalny. – Postanowił wziąć nieco w obronę kanoniera Vierbeina. Było mu go żal. To w, gruncie rzeczy biedny prosiak, przekonany, że pewnego dnia go zarzną. Bombardier Asch znał swoich przełożonych; wiedział, na co reagują, zdawał sobie sprawę, że imponuje im to, co nazywają męskością.

Powiedział więc ostrożnie: – Ten Vierbein nie jest z pewnością niezapisaną kartą. Cicha woda, ale głęboka. Ma niejedno za sobą. Robi to delikatnie, kobietom się to podoba.

Szef odłożył swoje karty wolnym ruchem. Z początku był tylko zdumiony, ale potem z tego, co przed chwilą usłyszał, zaczął wysnuwać wnioski, które mu mocno zepsuły humor. – Kłamstwo, Asch – powiedział niepewnie i nie tak głośno jak zwykle. – Wyssałeś to sobie ze swojego brudnego palucha, ty świni!

Bombardier jak by nie dosłyszał „brudnego palucha” ani „świni”. Nie można go było obrazić, ponieważ postanowił sobie święcie, że się obrazić nie pozwoli. Odczuwał tylko potrzebę wyciągnięcia z błota tego biednego prosiaka, tego Vierbeina. Nie namyślając się długo, kłaniał dalej jak z nut i przywołał z pamięci różne pikantne anegdotki; wreszcie opowiedział następującą ordynarną historyjkę koszarową: – To, na co kanonier Wagner, nasz czysty rasowo germańsko-aryjski bohater, potrzebował pełnych trzech tygodni, Vierbein załatwił w ciągu trzech godzin: zdobył damę szturmem. Naprawdę. Przyglądaliśmy się przez dziurkę od klucza, bo chodziło o zakład. – Ogniomistrz Werktreu kiwał z uznaniem głową. Ale szef Schulz zdradzał znamieny niepokój. Bombardiera zdziwiło piorunujące działanie tej historyjki, którą wymyślił od a do zet, ale nie zdążył rozsmakować się w tym zdziwieniu.

Szef podniósł się ze zdecydowaną miną i powiedział: – Muszę zajrzeć w pilnej sprawie do mego mieszkania.

Kanonier Vierbein nie był ani matołkiem, ani „biednym prosiakiem”; był to normalny człowiek z przeciętnymi właściwościami. Miał nawet trochę tego, co się nazywa

chłopskim rozumem, również pod względem sił fizycznych dorastał do służby wojskowej. Kłopoty miał za to ze swoim usposobieniem.

Ojciec jego, człowiek prymitywny i dobroduszny, solidny urzędnik policyjny, przewidywał to. Syn jego Johannes Vierbein był inny niż wszyscy. Wprawdzie tylko troszeczkę, ale jednak niewątpliwie: czytał bowiem książki! Ojciec Vierbein nie pamiętał, żeby w rodzinie własnej albo swojej żony widział kiedykolwiek książkę, z wyjątkiem Biblii, śpiewnika lub kalendarza floty.

Poza tym syn jego Johannes był chłopcem wielce obiecującym: zawsze pilny, na ogół zdyscyplinowany. Pomagał matce przy praniu, nauczycielowi niemieckiego, którego kochał, zanosił do domu teczkę z zeszytami. Zawsze zachowywał się po rycersku wobec kobiet, bez względu na ich wiek. Bił się ze swymi kolegami szkolnymi, był słaby w rachunkach, przeciętny w nauce religii. Śpiewanie uważał za mękę, sport sprawiał mu niesłychaną przyjemność, w nauce języka niemieckiego był zawsze najlepszy w klasie. Otoczenie jego niepokoiło tylko jedno: Johannes Vierbein pozwalał sobie na luksus samodzielnego myślenia.

W wojsku zrozumiał w ciągu dwudziestu czterech godzin, że to, czego się dotychczas uczył, było „gównem”. Teraz, mówiono mu, stanie się wreszcie „człowiekiem”. Miał dosyć rozumu, by z tej prymitywnej teorii wychowawczej dla dorosłych istot ludzkich ostrożnie pokpiwać, pozwalało mu na to jego mocne i zdrowe ciało. Ale wkrótce świadomie, na zdrowy rozum poddał się mechanicznie funkcjonującemu systemowi koszarowego ducha.

Zorientował się szybko, że podporządkowywanie się przynosi korzyści, przeważnie tylko fizyczne. Zrozumiał również, że przy skupieniu wielkiej masy ludzi na małym odcinku konieczny jest porządek. Cierpiał jednak z powodu przymusu, który przeważnie wydawał mu się pozbawiony sensu, wymagał ściśle określonego sposobu salutowania, jednolitego ubioru, wspólnego maszerowania, wspólnie śpiewanej pieśni i dziwaczego języka. Ten człowiek, który całe strony Schillera cytował z pamięci, był naprawdę płomiennym idealistą, chciał jednak promieniować tym idealizmem z własnej woli, a nie pozwalać na to, by ten idealizm w głupi sposób z niego wyciskano.

Tak więc Johannes Vierbein stał się zawsze chętnym, ale nigdy szczęśliwym żołnierzem. Był posłuszny, robił wszystko, czego od niego wymagano, ani więcej, ani mniej. Starał się nie podpaść. Miał wielu kolegów; ale nie posiadał żadnego przyjaciela. Jednego tylko chciałby mieć za przyjaciela: bombardiera Ascha. Bombardier Asch miał bowiem siostrę, która się bardzo Vierbeinowi podobała. Na imię jej było Ingrid.

Trzepał dywan pani Schulz, której mąż był szefem jego baterii. Robił to z mechaniczną dokładnością. I tutaj spełniał rozkaz. Jego drelichowa bluza była za duża i wisiała na nim. Natomiast nieco za wąskie spodnie ściśle przylegały do ciała. Pocił się, jego młoda, lekko zarumieniona, poważna twarz błyszczała.

Lora Schulz leżała w oknie swego służbowego mieszkania i przyglądała mu się. Miała na sobie lekką suknię i nic pod nią, ponieważ było jej gorąco. Przypisywać to by można skwarnemu latu, temu, że miała dużo pracy, albo też jej rozpalonej krwi i kto wie czemu jeszcze. A może była oszczędna i nie chciała niszczyć bielizny.

– Już dobrze! – zawołała do kanoniera Vierbeina. – Proszę wnieść dywan do mieszkania.

– Tak jest – powiedział Vierbein. – Rozkaz to rozkaz. – Ściągnął dywan z trzepaka i zwinął go. Zachowywał się cicho, pracował wytrwale, myśląc tylko o tym, żeby nie podpaść. Tu na murawie przed blokiem baterii przyglądało mu się z pół setki okien, a w każdym z nich – nie musiał wprawdzie, ale mógł stać przełożony. Jakiś przełożony. Może nawet major z twarzą jak bulwa, sławny z tego, że lubił niespodzianki.

Johannes Vierbein zarzucił dywan na plecy i spokojnym, ani za wolnym, ani za szybkim, krokiem ruszył w stronę wejścia do budynku baterii. Wszedłszy miał zamiar odsapnąć nieco na dolnych schodkach. Ale Lora Schulz stała w otwartych drzwiach swego mieszkania i czekała na niego.

Minął niedługi korytarz, wszedł do pokoju i ostrożnie opuścił dywan na podłogę.

– Niech mi pan pomoże – powiedziała Lora Schulz – rozłożyć go.

Uklękła tuż obok niego, mógł zajrzeć głęboko w wykrój jej sukni.

Nie uszło uwagi Lory Schulz, gdzie przed chwilą skierował swój wzrok. A ponieważ dokładnie wiedziała, że ma co pokazać, nie miała nic przeciwko temu. To, że mężczyźni gapili się na nią, nie było dla niej niczym nowym. Ale sprawiało przyjemność, dziwną, tajemną, podniecającą przyjemność. Niejednokrotnie sama to świadomie prowokowała. Kiedy bateria była zgromadzona na podwórzu podczas zbiórki, Lora starannie ubrana opuszczała dom i kołyszac się z lekka, przechodziła obok zebranych żołnierzy. Ale ostatnio zabronił jej tego mąż, szef baterii; dawniej był z niej dumny, teraz usiłował ją ukrywać.

Lora była w istocie inna, niż się wydawała. W gruncie rzeczy pozostała nadal małą dziewczynką o wielkiej tęsknocie. Miała siedmioro rodzeństwa, z dwojgiem z nich spała przez lat dziesięć w jednym łóżku. Potem została sprzedawczynią w sklepie z kwiatami, mieszczącym się tuż obok wejścia na cmentarz. Lubiała filmy i przemówienia führera. I zawsze tęskniła: za podróżą do Włoch, za kimś, kto by miał samochód, za własnym mieszkaniem.

Czytywała nawet dział kobiecy w gazecie, wypożyczała sobie żurnale mód.

Schulz, który w owym czasie był jeszcze ogniomistrzem, złamał jej serduszko już pierwszego wieczoru. Był po prostu nieodparty: tak ją przyciskał w tańcu, że przestała myśleć o Włoszech i samochodzie. Nie był oczywiście w jej życiu pierwszym mężczyzną, ale do tego stopnia nie była jeszcze zakochana w żadnym. Schulz umiał to ocenić. Kochał ją bardzo, a zwłaszcza kochał rozkosz, którą mu dawała. Ożenił się z nią i został starszym ogniomistrzem. Lora doczekała się własnego mieszkania.

Nie było mu jednak dane ani zabić jej tęsknoty, ani zaspokoić ją. Ale jego własne

zaspokojenie wystarczało mu. Wkrótce był przekonany, że zna ją na pamięć jak działo; a ponieważ był człowiekiem z ambicją, nie chciał, jak to określał, pozostawać wiecznie przy obsłudze jednego działła. Miał naturę witalną, był przyzwyczajony do musztrowania ludzi i pozbywania się ich po skończonej edukacji... Mimo woli szukał więc „nowego terenu ćwiczeń”. Ostatecznie, jak to często i chętnie podkreślał, był stuprocentowym mężczyzną.

Tajemne tęsknoty Lory rozkwitły na nowo. Włochy i samochód utożsamiała z miłością i jej – spełnieniem. Miłości tej szukała w powieściach i nie znajdowała. Próbowwała później ostrożnie zdradzać swego męża z kilkoma podoficerami jego baterii, ale stwierdziła, że wszyscy są niecierpliwi, chciwi zmysłowych rozkoszy i pozbawieni wielkich uczuć. W swych mundurach podobni byli do siebie jak pociski tego samego kalibru.

Kiedy jednak patrzyła na młodych ludzi w rodzaju kanoniera Vierbeina, ogarniała ją nie pozbawiona sentymentalizmu rzewność. I ja, myślała sobie, byłam równie młoda jak on; dwa, trzy lata temu byłam równie młoda, a teraz jestem kobietą zamężną, prawie zużytą, pozbawioną świeżości. Ciało moje nie ma już prężności, wargi nie są już takie miękkie i soczyste, skóra zaczyna się marszczyć. Już teraz!

– Jak się pan nazywa? – zapytała cichym głosem i zbliżyła się do młodego człowieka w drelichowym mundurze.

– Vierbein – powiedział ostrożnie. – Kanonier Vierbein. – Lora przysunęła się jeszcze trochę. Klęczeli teraz bardzo blisko siebie na dywanie. Mógł widzieć dokładnie kontury jej postaci. Stwierdziła, że jego drelichowy mundur pachnie mydłem.

– Jest pan inny – powiedziała z dziecinnym niemal zdziwieniem. – Ma pan inne włosy, o wiele miększe. I ręce węższe, delikatniejsze. Niech mi pan pokaże swoje ręce.

Johannes zawahał się. Patrzył uważnie w jej oczy, które błyszczały łagodnie, były małe i smutne. Potem podał jej swoją rękę i powiedział ostrożnie: – Odrywa mnie pani od pracy.

Lora uśmiechnęła się nieśmiało. – Czy to tak źle? – zapytała.

– Właściwie nie – odpowiedział. I dodał niemal machinalnie: – Jeżeli chce to pani wziąć na swoją odpowiedzialność...

Namyślała się, co na to odpowiedzieć. Nie mogła znaleźć właściwych słów. Chciała powiedzieć: „Odpowiedzialność? Za co? Po co odpowiedzialność? Za co pan ma odpowiadać i przed kim?” Ale nie powiedziała ani słowa. Obserwowała jego młodziutką twarz, jasne, dobre oczy, czoło bez zmarszczek, podbródek nie zdradzający brutalności.

Puściła jego rękę, usiadła na dywanie, wyciągnęła nogi, wyprężyła piersi. – Ma pan narzeczoną? – zapytała.

Vierbein zmieszał się. Zaczerwienił się nieco, pomyślał o siostrze bombardiera Ascha, Ingrid. I od razu uświadomił sobie, że w tej sytuacji nie wolno mu o niej my-

śleć. Powiedział zdecydowanie: – Nie.

Wydawało się, że Lorze Schulz podoba się ta odpowiedź. Otworzyła lekko usta, między dużymi, bardzo zdrowymi zębami ukazał się zaciekawiony różowy język. Chciała się roześmiać, ale zaniechała tego. Drzwi bowiem otworzyły się i na progu stanął starszy ogniomistrz Schulz.

– Vierbein – powiedział szef zastraszająco cichym głosem – zniknijcie stąd w tej chwili i zameldujcie się u kaprała Lindenberg'a do czyszczenia latryny w dolnym korytarzu.

– Tak jest, panie szefie – powiedział Vierbein i podniósł się posłusznie.

– Wynosić się! – zawołał Schulz ostro. – Jeszcze ze sobą pogadamy.

Kapral Lindenberg, dowódca drugiego działonu, do którego należeli również bombardier Asch i kanonier Vierbein, był człowiekiem energicznym, o dużej ambicji, a więc człowiekiem z przyszłością. Ambicja ta nie miała zwykłego cywilnego charakteru. Miała charakter nieomal historyczny: Lindenberg był twardo zdecydowany na produkowanie obrońców ojczyzny. Mówił o tym otwarcie, nawet przychylni mu przełożeni kwitowali te jego słowa ostrożnym kiwnięciem głowy.

Lindenberg miał lat dwadzieścia cztery, zdobyły go czarne, jedwabiste, falujące włosy; średniego wzrostu, nie zanadto barczysty, ale sprężysty i pełen energii, żył tak, jak tego wymagał od innych: był pierwszy przy apelu, ostatni przy zakończeniu służby; ubierał się nienagannie, umiał na pamięć wszystkie przepisy, demonstracyjnie, na oczach wszystkich, sam czyścił na korytarzu swoje buty, których blask był w swoim rodzaju jedyny.

Lindenberg był nie tylko żelaznym przełożonym, ale wzorowym kolegą. Uważał, że w stosunkach z ludźmi należy być jak najbardziej poprawnym. Służba była dlań eliksirem życia. Nie było sprawy, do której nie zgłaszałby się na ochotnika. Oczekiwał, żądał, wymagał, by żołnierze szli za jego przykładem. Był nawet gotów dać się prześcignąć i znosić to z godnością, tylko że oczywiście nigdy do tego nie dochodziło. Bo skakał na metr pięćdziesiąt, potrafił z pełnym obciążeniem maszerować trzydzieści pięć kilometrów, przy czym głos jego nic nie tracił na sile, był mistrzem dywizji w pływaniu i drugim z kolei najlepszym strzelcem w pułku. Podczas wieczornych pijatyk zwykł był stojąc na krześle, śpiewać pieśń „Wołga, Wołga!” manierą głośnego śpiewaka Ryszarda Taubera, tenorem, który w każdym przeciętnym teatrze miejskim uważano by za wspaniały.

Było rzeczą całkowicie pewną, że Lindenberg zostanie kiedyś oficerem. Miał po temu wysokie kwalifikacje. Jego niezmordowana gorliwość służbowa była bezwstydnie wykorzystywana, przeważnie pod pozorem koleżeńskości. Ponieważ nie odczuwał jakiegoś określonego pociągu ani do płci żeńskiej, ani do alkoholu, a filmy oglądał tylko wtedy, kiedy go zapewniono, że chodzi w nich o bohaterskie przetrwanie z heroicznym, szczęśliwym zakończeniem – był w każdej chwili gotów w wyjątkowych wypadkach zastępować kolegów podoficerów nawet w niedzielę i w końcu

tygodnia.

Lepszego, bardziej doskonałego podoficera dyżurnego nie mógł wymyślić najbardziej wyrafinowany regulamin. Rozkazy były dla niego naprawdę czymś świętym. Wypełniał je wedle najlepszej wiedzy i sumienia; jego wiedza wojskowa była duża, a to, co nazywał żołnierskim sumieniem, mocno rozwinięte. Był zawsze chorobliwie dokładny, zawsze zdecydowany na przekształcenie wątpliwych istot w przyzwoitych żołnierzy, jakich chciał widzieć naród, führer i Rzesza. Nigdy też nie zapominał o tym, co uważał za honor.

Kiedy stosownie do rozkazu kanonier Vierbein zameldował się u niego do czyszczenia latryny w dolnym korytarzu, Lindenberg, zachowując nienaganną postawę, zmierzył go przede wszystkim wzrokiem od stóp do głów. Niewiele miał mu do zarzucenia; przez chwilę chciał wytknąć, że włosy nie są przyczesane z dostateczną starannością, ale dał temu spokój, ponieważ wybitne poczucie sprawiedliwości kazało mu wziąć pod uwagę, że kanonier Vierbein dopiero co skończył jakąś pracę.

– Co kanonier robił dotychczas?

– Trzepałem dywany, panie kapralu. Dla pana szefa. Kapral nie zdradził się nawet zmrużeniem oka, że to potępia; nie chciał rozważać, jaki w tej czynności kryje się głębszy sens. Jak zwykle lojalny, daleki był od tego, by to potępienie okazać, a co dopiero wypowiedzieć. „Przełożeni – powiedział sobie – nie podlegają mojej krytyce. Byłoby to podkopywaniem dyscypliny, gdybym wobec podwładnego wypowiedział nawet najbardziej uzasadnione słowa krytyki. Ścisłej mówiąc, byłoby to pośrednie wezwanie do buntu, o którym dobry żołnierz nie waży się myśleć nawet we śnie.”

Poszedł do latryny, rozejrzał się dookoła. Licznie odwiedzany ustęp lśnił czystością. Podczas czyszczenia rejonu wstęp do niego był wzbroniony; nie odnosiło się to oczywiście do podoficerów. W myśl rozkazu baterijnego 104/38 szeregowcy mogli go używać tylko w razie wyjątkowo pilnej potrzeby. Lekkomysłni bowiem, niezdiscyplinowani, mimo szczegółowego śledztwa nie wykryci żołnierze baterii zrobili pewnego sobotniego popołudnia, prawdopodobnie na znak protestu, dużą kupę przed magazynem mundurowym, w którym znajdował się w owym czasie szef z okazji sprawdzania stanu osobowego.

W każdym razie kapral Lindenberg stwierdził z zadowoleniem, że latryna jest czysta. Fachowymi chwytami sprawdził okna, sedesy, kanalizację i kran rezerwuaru z wodą. Nie błyszczał dostatecznie, więc Lindenberg kazał doprowadzić go do „wysokiego połysku.”

Potem wrócił do pokoju przeznaczanego dla podoficera dyżurnego. Czekał tam na niego bombardier Asch i zaszalutował mu tak przepisowo, że Lindenberg naprzód skinął z zadowoleniem głową, a później dopiero sprężysto odpowiedział na ukłon.

Asch wiedział doskonale, jak się należy z kapralem Lindenbergiem obchodzić. Zawołał głośno: – Proszę o pozwolenie pomówienia z panem kapralem.

– Proszę – odpowiedział Lindenberg grzecznie. Bombardier Asch obserwował wzorowo wyćwiczone reakcje swego bezpośredniego przełożonego, nie okazując ani odrobiny zdziwienia. Całkowicie odzwyczaił się od dziwienia się czemukolwiek. Postanowił sobie święcie: „Nie zdarzy się, nie może się zdarzyć nic, co by mnie mogło wyprowadzić z równowagi”. Słowa jego brzmiały mocno, jurnie, wyrażając jednocześnie gotowość do posłuchu.

– Czy mogę prosić o pozwolenie zapytania pana kaprała o moją niedzielną przepustkę? – wybębnił.

– Skończyliście swoją robotę, bombardierze Asch?

– Tak jest, panie kapralu! Pan ogniomistrz Werktreu zwolnił mnie.

Kapral przyjął to do wiadomości. – A wasze rzeczy, bombardierze Asch? Porządek w szafie? Karabin? Pas?

– Proszę pozwolić zameldować, panie kapralu: wszystko w porządku! – Bombardier Asch okłamywał bez skrpułów swego przełożonego. Wiedział doskonale, że nic nie było w porządku, w każdym razie nie było w takim porządku, aby w nieprzekupnych oczach Lindenerga mogło znaleźć uznanie. Wiedział jednak również, że kapral nie może stąd na razie odejść i ze względu na brak czasu nie może z właściwą mu dokładnością rewidować szafy każdego, kto prosi o przepustkę.

Lindenberg, wyprostowany jak świeca, sprawiał wrażenie, że się nad czymś zastanawia. Zaniepokoiło to nieco bombardiera Ascha. Postanowił więc odpowiednio nacisnąć.

– Proszę mi pozwolić zwrócić panu kapralowi uwagę – powiedział z udanym entuzjazmem – że doborowa drużyna naszego pułku walczy dziś z klubem sportowym „Hanza”.

Wcale tak nie było. Zawody piłki ręcznej miały się odbyć dopiero za dwa tygodnie. Ale Asch liczył na to, że Lindenberg, który tą gałęzią sportu mało się interesował, nie będzie tego dokładnie wiedział. A gdyby było inaczej, można przecież zawsze powiedzieć, że zaszła pomyłka.

Ale Lindenberg tego nie wiedział. Wykonał krótki, sprężysty ruch głową i rzekł:

– Świetnie, bombardierze Asch. Udział w wydarzeniach sportowych wzbudza we mnie szacunek. Sport to zdrowy fundament dla służby z bronią w rękę. Ponadto ogólny entuzjazm wzmacnia chęć do walki. Mam nadzieję, że i w tej dziedzinie będziemy górować nad cywilami.

– Na pewno, panie kapralu!

Lindenberg usiadł i otworzył zeszyt, w którym leżały niedzielne przepustki. Wyjął je i zaczął przeglądać. Zadzwoił telefon. Nie zmieniając wzorowej jak zawsze postawy ujął służbistym ruchem słuchawkę i zameldował: – Trzecia bateria. Podoficer dyżurny Lindenberg.

Bombardier Asch przyglądał się protekcjonalnie sprężystemu podoficerowi. Zgiął lekko kolana i stanął w wygodnej pozycji, ale wyglądało to tak, jak by w dalszym

ciągu stał wyprężony. Potrafił tak stać bez zmęczenia godzinami. Był to jeden z jego tricków, które sobie wymyślił.

– Tak jest, panie szefie – powiedział Lindenberg do słuchawki. – Pan szef znajduje się w kantynie? Tak jest! Zaraz przychodzę, panie szefie, z książką przepustek. – Odłożył słuchawkę i ze zdwojoną szybkością zaczął przerzucać stos przepustek.

– Proszę pana kaprala – rzekł bombardier Asch, jak gdyby za czyimś podszeptem – również o przepustkę kanoniera Vierbeina. – Widząc, że Lindenberg się waha, dodał: – Niech mi wolno będzie zameldować panu kapralowi, że to kanonier Vierbein zwrócił moją uwagę na zawody piłki ręcznej.

– Tak? – zapytał Lindenberg nie ukrywając swego zdziwienia. – Kanonier Vierbein zwrócił na to waszą uwagę? Nigdy bym nie posądzał kanoniera Vierbeina o tego rodzaju zainteresowania. A więc dobrze, dam wam jego przepustkę.

– Dziękuję, panie kapralu! – zawołał spontanicznie bombardier. Ledwie to powiedział, zorientował się, że kierowany impulsem, a więc nie zastanowiwszy się, popełnił zapewne niebezpieczny błąd.

Jak było do przewidzenia, Lindenberg spojrzał na niego piekielnie poważnie i z naganą: – Bombardierze Asch! – powiedział swoim oficjalnym, mocnym, choć zawsze pełnym rezerwy głosem. – Nie ma powodu do dziękowania. Spełniam tylko mój obowiązek. Jest to samo przez się zrozumiałe. – Potem, wbrew oczekiwaniu, wręczył bombardierowi Aschowi obie przepustki. zainkasował za nie dwadzieścia fenigów i na pożegnanie oświadczył chłodno: – Możecie podejść. Oczekuję, że dziś na zawodach dacie cywilom jako żołnierz dobry przykład.

Dzierżawca kantyny Bandurski miał za sobą dwunastoletnią służbę podoficera zawodowego. Służył jeszcze w Reichswehrze, znał dokładnie podoficerów. Nie lubił ich więc zbytnio, choć sam nosił kiedyś oznaki podoficerskie. Teraz w każdym razie był człowiekiem interesu; zaraz w pierwszych tygodniach zorientował się, że najlepsze interesy robi się z szeregowcami.

Na początku był tak krótkowzroczny, że dawał podoficerom wyraźnie do poznania, jak mało go interesują. Grali w karty, sypali szumnymi frazesami, chlali piwo i zaciągali długi. Natomiast żołnierze robili zakupy, tracili na nie cały swój żołd. Stosunek czystych zysków, osiągniętych dzięki podoficerom i szeregowcom, przedstawiał się jak jeden do pięciu.

Ale Bandurski zauważył bardzo prędko, że gdyby podoficerowie planowo i skrycie sabotowali jego lokal, mogłoby się to stać niebezpieczne dla jego bilansu. Wynalazcą tego rodzaju podstępnych metod walki był starszy ogniomistrz Schulz. Bandurski wywachał to szybko, a Schulz, będąc kiedyś w zamroczeniu alkoholowym, nawet temu nie zaprzeczył. Postępował wedle następującej, w najwyższym stopniu prymitywnej, lecz działającej niebezpiecznie zasady: wymagał z całą surowością jednolitości, również w zaopatrzeniu osobistym, umiał dać do zrozumienia, że dzierżawca kantyny Bandurski nie jest w stanie zagwarantować tej bezwarunkowo po-

trzebnej jednolitości. Kazał więc robić zakupy w miasteczku, z czego miejscowi kupcy byli bardzo radzi. Inne baterie współzawodniczyły z metodą Schulza i Bandurski znalazł się na skraju bankructwa.

Musiał za zdobyte doświadczenia zapłacić. Wydał dla całego korpusu podoficerskiego „wieczór pojednania” z piwkiem i golonką, który go omal nie doprowadził do ruiny. Ale od tego wieczoru interes rozkwitł. Odtąd podoficerowie stali się jego faworyzowanymi gośćmi. Urządził dla nich specjalną salę, dbał o jak najbardziej atrakcyjną obsługę kobiecą. Starszy ogniomistrz Schulz należał teraz do jego najlepszych gości pod względem konsumpcji; gorzej wyglądała sprawa z płaceniem.

Dzierżawca kantyny Bandurski nigdy nie mógł zapomnieć Schulzowi krzywdy, jaką mu ten wówczas wyrządził, ale faworyzował go i nie wahał się nigdy, gdy trzeba było zależnie od nastroju dostarczyć mu za darmo piwa w dostatecznej ilości lub też duchowego poparcia.

Również Elżbieta, kelnerka kantyny dla podoficerów, miała odpowiednie instrukcje; wypełniała je posłusznie, choć bez zbytniego entuzjazmu.

– Czego się pan napije, panie szefie? – pytała. – Pan Bandurski będzie rad uważać pana za swojego gościa.

Schulz spoglądał na nią przychylnie. Ta Elżbieta była wyższa od jego Lory i szczuplejsza; brak zbyt wyrazistych konturów miał również swój urok. Duże piersi nie były w modzie, chyba tylko na kartkach pocztowych, przedstawiających ekspozycje wielkiej wystawy sztuki niemieckiej. Pokażna część członkiń Związku Dziewcząt Niemieckich{2} miała piersi płaskie jak deski i szczyciła się tym, że może uchodzić za chłopców. A może się mylił? To wszystko przecież jest tylko bzdurą! Po co mu tutaj ideał piękności? Chodzi o korzystną okazję, ot co! A prawdziwy mężczyzna to nie pustelnik, zwłaszcza jeżeli jest żołnierzem. Walczyć i zdobywać, przede wszystkim to drugie...

Co się tyczy jego żony, tej bestii Lory, nikt nie wie, co ją opętało – myśli Schulz z niezadowoleniem. To stworzenie nie zna godności stanu wojskowego, nie wie, co to duch armii, tarza się po dywanie z parszywym kanonierem. Z kanonierem! „Jeśli się to rozniesie – myśli sobie Schulz ze złością – jestem moralnie skończony. Czy to śmierdzące łajno będzie miało w sobie tyle poczucia honoru, żeby zamknąć gębę? Możliwe. Prawdopodobnie. Pozna on jeszcze – postanowił Schulz – czego od niego oczekuję!”

– A więc czego się pan napije, panie szefie? – zapytała Elżbieta uśmiechając się i obrzucając go spojrzem zielonkawych oczu.

„Kobietka niczego sobie – myśli Schulz. – Czy ma temperament? Na pewno. Ma zupełnie jasną płęć, a ten typ kobiet zdolny jest podobno do prawdziwych turniejów. – Wyczytał to w pewnej powieści, którą podczas ostatniej rewizji dowódca skonfiskował jakiemuś szeregowcowi. – Świnia! Przechowywać coś takiego w szafie! Właściwie należałoby go zamknąć.”

– Proszę mi przynieść – powiedział – jedną czystą, ale po duńsku, podwójną. A potem wielki kufel mocnego piwa.

Elżbieta przyniosła. Rozkoszował się jej szerokimi pełnymi ramionami, mocnymi biodrami i ładnymi nogami. „Lora – myślał sobie – moja żona Lora jest niższa, bardziej krępa, bardziej uchwytna. Dziś po południu, będąc tak lekko ubrana, pozwoliła sobie na to, by z tym kanonierem Vierbeinem na dywanie, na moim własnym dywanie...”

Podniósł się spiesźnie. – Muszę zatelefonować – powiedział – zaraz wrócę. – Kazał się połączyć z podoficerem dyżurnym swojej baterii.

Tymczasem Elżbieta Freitag napełniła puste kufle. Miała własny sąd o mężczyznach, nie był ani dobry, ani zły. Orientowała się dokładnie w różnicach, które są wszędzie, a więc nawet tam, gdzie nie bez powodzenia próbowano umundurować ludzi fizycznie i duchowo.

Wiedziała o tym, ponieważ знаła bombardiera Ascha. Herbert Asch wpadł jej w oko, a raczej, ściślej mówiąc, postarał się o to, żeby jej wpaść w oko. Był inny niż wielu, zupełnie inny, nie reprezentował przeciętności jakiegoś numeru, nawet pod czapką polową nie obnosił standardowej twarzy. Posiadał zdrowy rozum i kierował się nim. Często obserwowała go z cichą radością. Uderzyło ją, że prawie nigdy nie mówił tego, co miał naprawdę na myśli, a jednak prawie zawsze osiągał właśnie to, co chciał osiągnąć.

Szef skończył rozmowę telefoniczną, usiadł znowu przy swoim stole i patrzył z zadowoleniem zarówno na napełniony kufel, jak i na Elżbietę.

– Co pani właściwie robi dziś wieczorem? – zapytał.

– A dlaczego? Chciałby pan wyjść ze mną?

– Czemu nie? – Schulz nie widział w tym nic złego. – Więc jakże?

– A pańska żona? – dowiadywała się Elżbieta.

Schulz machnął – ręką. – Gwałtownie potrzebuje spokoju. Zamykam ją w domu.

Elżbieta ściągnęła wargi, zdawało się, że ma ochotę się roześmiać. Ale się nie roześmiała. Powiedziała tylko: – Na dziś wieczór już się umówiłam. W lokalu „Bismarckshöhe”.

Szef chciał jej powiedzieć, że przecież mogliby się tam spotkać. Był to lokal, do którego uczęszczał pierwszy dywizjon pułku artylerii. Wprawdzie przeważali bombardierzy, ale w godzinach rannych bywało wielu podoficerów, a nawet przychodzili ubrani po cywilnemu oficerowie. Lokal mieścił się bowiem tuż obok koszar i ci, którzy w drodze powrotnej nie byli jeszcze całkowicie zalani, chętnie tam wstępowali.

Schulz chciał więc powiedzieć: „Może spotkamy się w »Bismarckshöhe«”. Ale nie doszło do tego. Wyrósł przed nim wyprostowany jak struna kapral Lindenberg, trzasnął obcasami i powiedział: – Kapral Lindenberg melduje się na rozkaz.

Szef znał dobrze Lindenbergę i nie lubił go. Uważał, że śmierdzi po prostu poprawnością, ale, acz niechętnie, czuł dla niego respekt. Wiedział, że z tym lodowcem

w mundurze wszelka rozmowa, mająca do pewnego stopnia charakter prywatny, pozbawiona byłaby jakiegokolwiek sensu. Przeszedł więc od razu do sedna sprawy.

– Czy wydaliście już przepustki?

– Tak jest, panie szefie. Siedemnaście sztuk.

– Czy temu świntuchowi Vierbeinowi także?

Lindenberg nie okazał ani cienia osobistego zainteresowania. – Kanonier Vierbein – powiedział, i w zamianie słowa „świntuch” na słowo „kanonier” nie zabrzmiał nawet cień wyrzutu; nie zabrzmiał, ale Lindenberg dał ten wyrzut odczuć, co nie uszło uwagi nawet znanego z gruboskórności Schulza. – Kanonier Vierbein otrzymał swą przepustkę za pośrednictwem bombardiera Ascha.

Szef z trudem opanował ryk. Wiedział, że byłoby to wobec kaprała Lindenbergą zupełnie pozbawione sensu. Z tym trzeba postępować inaczej, zupełnie inaczej. – Myślałem – powiedział udając zdziwienie – że kanonier Vierbein robi porządki w dolnej ubikacji.

– Skończył tę robotę – zakomunikował Lindenberg ze spokojem. – Ponieważ nie było innych rozkazów i instrukcji, nie widziałem powodu, żeby nie wydać kanonierowi Vierbeinowi przepustki, tym bardziej że kanonier Vierbein pragnie być obecny na zawodach piłki ręcznej między doborową drużyną pułku i klubu sportowego „Hanza”.

– Ależ te zawody odbędą się dopiero za dwa tygodnie! – zawołał szef tryumfalnie. Był dokładnie zorientowany, gdyż właśnie dziś przed południem wyczytał to w rozkazie pułkowym. – Daliście się nabić w butelkę, kapralu Lindenberg, ten łobuz zbujał was. Właśnie was! Jak najgłupszego rekruta!

Kapral stał jak odlany ze spiżu, nieruchomo. Purpurowa twarz miała niemal kolor dojrzałego pomidora. – Co pan rozkaże, panie szefie? – zapytał zdławionym głosem.

Schulz czuł swoją niebotyczną przewagę. Oficjalna kompromitacja wzorowego służbisty Lindenbergą, którego podoficerowie nazywali „wiecznym żołnierzem”, napędzała go błogością. Walnął pięścią w stół, wydawało się, o ile można się było u niego w tym zorientować, że jest szczęśliwy.

– Kiedy – zapytał – wydaliście przepustki?

– Przed chwilą, panie starszy ogniomistrzu... Jakieś pięć minut temu.

– Czy te świntuchy były już w wyjściowych mundurach?

– Nie, panie szefie. W drelichowych. Kanonier Vierbein zaledwie trzy minuty temu otrzymał pozwolenie na opuszczenie latryny.

– Pięknie, Lindenberg! – Schulz, którego rozpieął duch przedsiębiorczości, podniósł się zza stołu. – Narobiliście tu wprawdzie ładnych gówien, ale ja to oczyszczę. Pozostawcie wszystko mnie. Inaczej narobicie jeszcze więcej głupstw. Przeprowadzę po prostu przegląd.

Starszy ogniomistrz Schulz udał się niezwłocznie na swoje „miejsce przeglądów”. Obok jedyne wejścia i wyjścia z budynku baterii stała ławka. Każdy, kto chciał

budynek opuścić, musiał przejść obok niej. Żadna inna droga nie prowadziła bezpośrednio do bramy koszarowej.

Schulz rozparł się na ławce, położył obok siebie notes i zaczął czatować na kanoniera Vierbeina. Wypełniał sobie czas kontrolowaniem żołnierzy gotowych do wyjścia. Czynił to wedle wszelkich reguł swej sztuki, badając czystość paznokci, skarpetek, koszul, uszu i blask butów.

Czynność tę wykonywał z wyraźną satysfakcją. Pewną przyjemność sprawiało mu udawanie, że nie widzi stojących za oknami licznych żołnierzy, którzy przypatrują się jego czynnościom, ożywionym i urozmaiconym różnymi kapitalnymi pomysłami.

Ale bombardier Asch i kanonier Vierbein nie zjawiali się. Schulz zaczął się powoli niecierpliwic, wreszcie ogarnęło go wyraźne zdenerwowanie. Potem kazał wszcząć za bombardierem Aschem i kanonierem Vierbeinem poszukiwania. Ale nie można ich było w rejonie baterii odnaleźć.

Wreszcie zameldowano mu, że obydwaj opuścili koszary. Dygocąc z oburzenia starszy ogniomistrz Schulz w najwyższym stopniu zdumiony zapytywał siebie, jaką drogą umknęli, bo przecież drogą normalną, prowadzącą obok niego, posłużyć się nie mogli.

W biały dzień odważyli się na coś, co w innych okolicznościach zwykło się ryzykować tylko w nocy: przeleźli przez płot. Idąc za radą Ascha, który był zawsze na wszystko przygotowany i nauczył się chodzić drogami najmniejszego oporu, wydostali się przez okno piwnicy w tylnej ścianie domu do niewielkiego ogrodu, stamtąd zaś wleźli na mur.

Kiedy znaleźli się na górze i spojrzeli na ulicę, zauważyli ku swemu przerażeniu kaprała z innej baterii, który kroczył spokojnie w kierunku miasta. Zobaczył ich od razu. Ale nie chciał ich widzieć! Odwrócił się więc do nich szerokimi plecami i udawał, że podziwia nędzny krajobraz otaczający koszary artylerii. Jakiś stojący w pobliżu bombardier gorliwie przyskoczył do nich i pomógł im zejść z muru.

Podziękowali i zaprosili go na piwo. Nie odmówił. Zasalutowali w sposób szczególnie sprężysty mijającemu ich kapralowi, który nie chciał widzieć, jak w biały dzień przełazą przez koszarowy mur. Uśmiechnął się całą gębą; uśmiech ten podzielał na ich błogo.

Szli w kierunku domu Ascha; bowiem na specjalną, ostrożnie wyrażoną prośbę Vierbeina zaproszono go do Aschów na kawę. Od chwili, kiedy dzięki interwencji Herberta Ascha nastąpiło to wymarzone zaproszenie, Vierbein uznał, że Herbert jest jego przyjacielem. Natomiast Asch nie uważał tego wcale za przyjacielską przysługę, gdyż nie cenił zbyt swego rodziny, a siostra jego Ingrid, z powodu której Vierbein przychodził, idealnie do tej rodziny pasowała.

– Nigdy nie zrozumie – powiedział bombardier Asch potrząsając głową – co też ty w mojej siostrze znajdujesz. Jest to przeciętna mała hitlerówka. Czegoś takiego

nie powinno się ani kochać, ani szanować, z czymś takim można co najwyżej uprawiać hodowlę rasy.

– Przesadasz – odrzekł energicznie Vierbein, choć wiedział doskonale, że Asch ma trochę racji. – Co mnie obchodzą polityczne poglądy twojej siostry! Zresztą uważam, że są w porządku. W okresie, w którym teraz żyjemy...

– Heil Hitler! – zawołał bombardier Asch i zasalutował specjalnie sprężyście przydrożnemu drzewu.

Ubawiło to Vierbeina. Wywnioskował, że jego przyjaciel bombardier jest w świetnym nastroju. Obiecywał więc sobie miłe chwile przy popołudniowej kawie z Ingrid, przyjacielem Aschem oraz siedzącym naprzeciw niego ojcem, a więc w ścisłym gronie rodzinnym. Żeby się tak wyrazić, była to wizyta najściślej oficjalna!

– Siostra twoja – rzekł Vierbein, szczerze usiłując wyrazić się o Ingrid jak najlepiej – ma te same uczciwe poglądy co twój ojciec. Uważam to za bajeczne!

– A ja za idiotyczne – powiedział Asch uprzejmie. – Niechaj Bóg strzeże nas przed poglądami naszych ojców! Kocham mego starego, rozumiesz, ale mózg mój jeszcze nie wysechł. Kiedy się bowiem bacznie mego tatę obserwuje, okazuje się niezwłocznie, że jest tylko kupcem – i nic ponadto, a tak zwane polityczne poglądy to tylko jedna z jego handlowych metod.

Vierbein uznał za wskazane ostrożnie i bardzo po przyjacielsku zganić kolegę Ascha. – Nie powinienes mówić tak o swoim ojcu!

Asch machnął ręką. – Nie masz zrozumienia epoki – powiedział bez cienia żalu. – To, co przed chwilą powiedziałem o moim ojcu, było pośrednio pochwałą. Sądzę, że stary zorientował się dokładnie, o co właściwie gra idzie: poglądy jako wielki interes. Dlaczegoż nie miałby na tym zarobić!

– Twoja siostra z pewnością tak nie myśli.

– Na pewno nie! Jest o wiele bardziej niebezpieczna. Wierzy jeszcze w każde głupstwo, którym ją częstują. Wędruje po wąskiej kładce pseudoidealistów i całkowitych idiotów. Wskutek własnej krótkowzroczności wydaje się sobie bohaterką.

Kanonier Vierbein zasalutował sprężyście idącemu im naprzeciw sierżantowi. Bombardier Asch, pochłonięty swymi wywodami, nie zauważył go. Zasalutował automatycznie, bardzo niedbale i z wielkim opóźnieniem; kiedy podniósł rękę, miało się wrażenie, że się nią przed czymś opęda.

Sierżant piechoty, który znajdował się w towarzystwie tak zwanej narzeczonej, nie od razu ogarnął sytuację. Dopiero po jakichś sześciu czy ośmiu sekundach, uświadomił sobie, że albo mu nie zasalutowano, albo też oddano honory w sposób w najwyższym stopniu niewystarczający i nieprzepisowy. Mówił o sobie, że jest „dobrym chłopem”, co jego rekruci mogli w każdej chwili potwierdzić. Ale braku respektu, w dodatku okazanego publicznie, nie mógł puścić płazem. Co by w przeciwnym razie powiedzieli przełożeni, cywile i jego narzeczona, która przecież nie bez racji uważała go za człowieka wybitnego! Sam zawsze salutował wzorowo, musiał więc i miał

prawo żądać, żeby i jemu zawsze i wszędzie oddawano należne honory w sposób wzorowy.

Stanąwszy pośrodku ruchliwej ulicy Goethego, zawołał:

– Hej!

Niektórzy przechodnie przystanęli. Nasi dwaj żołnierze szli dalej. Co prawda Vierbein próbował skłonić Ascha do zatrzymania się, ale bombardier Asch nie wiedział po temu powodu. Oświadczył poza tym, że się nie nazywa „Hej” i nie uważa, by koszarowy ryk w kierunku jego pleców miał się odnosić do niego. Wiedział z doświadczenia, że tylko bardzo nieliczni podoficerowie odczuwali potrzebę przenoszenia swych metod z placu ćwiczeń na ulicę. Zazwyczaj podobne reakcje następowały spontanicznie. Ci nieliczni podoficerowie podniecali się automatycznie i chodziło jedynie o danie im okazji, by się to podniecenie uspokoiło. Tylko wyjątkowo uparci nie dawali za wygraną.

Sierżant piechoty należał do tych wyjątkowo upartych. Zostawił swoją narzeczoną i długim krokiem pośpieszył za dwoma żołnierzami. Dogoniwszy ich zagroził im drogę.

Kanonier Vierbein bardzo się przestraszył. Bombardiera Ascha natomiast nic już zaskoczyć nie mogło. I ta sytuacja nie była dla niego nowa. Wiedział doskonale, jaką trzeba zastosować metodę, by się z tego wykaraskać.

Sierżant wskazując na bombardiera zapytał surowo:

– Dlaczegoście nie salutowali?

Bombardier Asch odegrał po mistrzowsku ulubioną rolę. Stał wyprostowany jak na koszarowym dziedzińcu, głos jego brzmiał pokornie, a zarazem dziarsko, oczy patrzyły na – przełożonego dumnie, wiernie i z oddaniem. – Pan sierżant pozwoli sobie zameldować – wyskandował – że salutowałem panu sierżantowi. – Zgiął prawe ramię, przytknął płasko złożoną rękę do czapki i zademonstrował taki pełen szacunku ukłon, że nawet najsurowszy instruktor w rodzaju Lindenberga zdobyłby się na uśmiech uznania.

Sierżant był więcej niż zdziwiony, był porażony i stracił pewność siebie. Bogate doświadczenie mówiło mu, że bezspornie ma tu do czynienia z żołnierzem arcydoskonałym, żeby się tak wyrazić – z egzemplarzem wzorowym. Wiedział jednak dokładnie, a raczej widział na własne oczy, że jeden z tych dwóch zasalutował nieprzepisowo. I mógłby przysiąc, że był nim na pewno bombardier.

Asch czuł, jak wspaniale zaczyna działać jego metoda. Nie oczekiwał też niczego innego, gdyż bez większego wysiłku zwykł był bić ten państwowy zakład wychowania przymusowego jego własną bronią. Tak, głupotę sierżanta wziął w rachubę, ale nie uwzględnił jego nikczemności, którą tamten nazywał poczuciem odpowiedzialności.

Sierżant bowiem powiedział sobie tak: a więc nie był to bombardier. Na pewno, gdyż ten bombardier to wzorowy żołnierz. Ale nie ulega wątpliwości, że był to jeden

z nich; jeżeli więc nie bombardier, to w takim razie kanonier. Zwrócił się więc do Vierbeina i powiedział ostro, nie bez zniecierpliwienia: – Dlaczego nie salutowaliście przepisowo? Co sobie właściwie myślicie, pokrako? Nazwisko?

– Kanonier Vierbein – powiedział tamten posłusznie, całkowicie zaskoczony. Nie mógł prawie zebrać myśli. I jak to zwykle z nim bywało, nie mógł nawet przez ułamek sekundy nie bawić się tym, iż jakiś śmieszny rozkaz zmusza go do powiedzenia, że się nazywa „kanonier”. Jak człowiek normalny może nazywać się kanonierem! Ale teraz o tym nie myślał. Czuł się jak ktoś, kogo właśnie przejechano.

Oczywiście nie to było zamiarem bombardiera Ascha i nawet przewidzieć tego nie mógł. Nie dlatego, żeby mu było specjalnie żal Vierbeina, i nie dlatego, żeby pogardzał nadmiernie sierżantem, ale nagle miał już tej sprawy dość. Powiedział więc znacznie mniej sprężyście niż przedtem: – Kanonier salutował przede mną, mogę to zaświadczyć. Ja uczyniłem to trochę później.

Otoczający ich przechodnie zaczęli się niepokoić. Niektórzy skupili się wokół sierżanta, tych była większość; wyglądali przeważnie tak, jak gdyby mieli już zaszczytną służbę poza sobą albo też byli do niej przeznaczeni. Inni, stanowiący mniejszość, zaczęli głośno protestować. Jakaś kobieta zawołała gniewnie: – Cóż to za szykany! Niech pan puści tych chłopaków, niech sobie idą!

Również narzeczona sierżanta zbliżyła się po pewnym wahaniu i powiedziała: – Chodźże już wreszcie!

Sierżant czuł wyraźnie, że byłoby dobrze skończyć z tym jak najprędzej. Nie miał najmniejszej chęci wtajemniczać parszywych cywilów w sprawy służbowe. Wiedział jednak, że nie wolno mu ustąpić bez osiągnięcia jakiegoś widocznego, niewątpliwego sukcesu. Zapytał więc: – Wasze nazwisko?

Bombardier Asch zorientował się błyskawicznie, że sierżantowi zależy teraz na pośpiechu. Odpowiedział więc bez namysłu:

– Bombardier Kasprowitz, pierwsza bateria pułku artylerii.

Sierżant kiwnął gniewnie głową i zapisał to sobie. Nie widział powodu do zażądania książeczki żołdu; zresztą nie miał już na to czasu. – Pogadamy jeszcze ze sobą! – powiedział i oddalił się.

– Też ci się zachciewa! – zawołał półgłosem Asch i uśmiechnął się w stronę odchodzącego.

Asch-senior był restauratorem i jako taki odznaczał się zawodową cierpliwością. Napęłniał kieliszki wódką, było mu obojętne, z jakich powodów je opróżniano. Patrzył obojętnie na kochających i cierpiących, na politykujących i pouczających, na ludzi pijących z przyzwyczajenia oraz na takich, którzy picie uważali za coś w rodzaju towarzyskiego obowiązku.

Asch-senior był w zasadzie po stronie Wehrmachtu, gdyż przez to podnosiły się automatycznie jego obroty; nie miał nic przeciwko partii – nie przeszkadzała mu w interesach. Był nawet wyraźnym jej zwolennikiem, gdyż tylko dzięki inicjatywie

kreisleitera dziura ta stała się miastem garnizonowym. Najpierw zbudowano koszary; architekci przychodzili do jego lokalu, a robotnikom dostarczał napitków na budowę. Potem ściągnęły tutaj batalion piechoty i dywizjon artylerii. Otwarcie kantyn bardzo go strapiło; ale udało mu się przyciągnąć do swego lokalu część korpusu podoficerskiego, więc i z tym się pogodził.

Tolerował wszystko, co nie wykraczało przeciw obowiązującym przepisom. Było mu całkowicie obojętne, czy w lokalu jego śpiewają „Jutrzenkę” czy „Horst-Wessel-Lied” {3} lub też pieśń „Nie wiem, co to oznacza, że jest tak smutno mi”. Wiedział nawet, że tekst pieśni ostatniej pochodzi spod pióra Henryka Heinego, ale oficjalnie się do tego nie przyznawał. Wszystko mu było obojętne; najważniejsze, żeby interes szedł.

Ale Asch-senior starał się z uporem i powodzeniem niedwuznacznie oddzielać sprawy handlowe od swego życia prywatnego. Na górze, w jego mieszkaniu, panowała miła, wybitnie mieszczańska atmosfera. Choć było tu niezwykle czysto, solidne meble wyglądały zawsze jakby lekko zakurzone. W pokoju wisiał portret olejny przedstawiający zmarłą przed laty panią Asch; Asch przyglądał mu się od czasu do czasu z melancholią i smutkiem, Przeważnie jednak do portretu swej żony siadał odwrócony tyłem.

– Dlaczego – zapytał swego syna Herberta – nie zostałeś w mundurze?

Siedzieli przy kawie. Usługiwała siostra Ascha-seniora. Prowadziła bratu gospodarstwo, sprawnie i z zacieklą gorliwością, gdyż restaurator Asch regularnie co miesiąc, przeważnie koło piątego, groził jej wyrzuceniem; wprawdzie nigdy nie brał tego na serio, ale za każdym razem groźba okazywała się skuteczna. Naprzeciw Ascha siedziała Ingrid; po prawej stronie zajął miejsce kanonier Vierbein, po lewej Herbert. Syn zdjął żołnierską bluzę i z zadowoloną miną zakasał rękawy koszuli. Czuł się widać doskonale.

– Drogi ojciec – zapytał jowialnie – czy nosiłeś kiedy w życiu mundur?

– Oczywiście – brzmiała odpowiedź. – Ostatecznie jestem Niemcem. Posłuchaj: przed rokiem tysiąc dziewięćset czteremnaście należałem do Związku Młodzieży Cesarza Wilhelma. Potem zostałem żołnierzem; moje świadectwo z odbytej służby wisi, jak wiesz, nad szynkwasem.

Herbert Asch potwierdził: – Wiem, powiesiłeś je tam w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim.

Asch-senior udał, że nie dosłyszał tej aluzji. – W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym – powiedział – zostałem członkiem związku „Kyffhäuser” {4}, a restauracja moja stała się lokalem związkowym. Potem dałem się zwerbować do „Stahlhelmu” {5}, Związku Niemieckich Żołnierzy Frontowych.

– Zdaje się, że byłeś podczas wojny ordynansem w kasynie? Oszczerstwo to bardzo ojca Ascha oburzyło. – Oczywiście, byłem r ó w n i e ż ordynansem w kasynie, ale dopiero potem, kiedy zostałem ranny. Dwukrotnie! Przedtem siedziałem w oko-

pach na froncie zachodnim. Verdun i tak dalej!

– Jesteś bohaterem, ojciec – powiedział Herbert Asch. Brzmiało to prawie tak, jak gdyby naprawdę tak uważał. Ojciec – bohater!

Asch-senior nie wiedział właściwie, co na to odpowiedzieć. Wolał uznać, że przed chwilą był przedmiotem hołdu. Mówił więc dalej o swojej mundurowej karierze:

– Byłem naprzód w „Stahlhelmie”, potem miałem wstąpić do SA.

Herbert Asch skinął głową. – Wiem. Ale to było chyba niepotrzebne, gdyż członkowie SA i tak już odwiedzali twój lokal.

– Jasne! – powiedział Asch nie bez dumy i mrużąc oczy spojrzał porozumiewawczo na syna. – Nie jestem ostatecznie idiotą.

– A ja jestem twoim synem – powiedział Herbert.

– Powinniście się wstydzić! – zapłonęła gniewem Ingrid Asch. Słuchała z rosnącym oburzeniem i zupełnie zapomniała zająć się swoim gościem, a raczej gościem brata. Vierbein patrzył na nią z zachwytem i uważał, że jest porywająco piękna. – Powinniście się wstydzić! – zawołała raz jeszcze. – Zapominacie, w jakich żyjemy czasach.

– Wcale nie! – powiedział Herbert bez cienia agresywności.

– Gdyby nie Führer – mówiła Ingrid z przekonaniem – Zagłębie Saary nie byłoby oswobodzone, nie zostałaby wyzwolona Austria. Pozostalibyśmy małym narodem.

– Tak, tak – potakiwał stary Asch. – Nie jest to pozbawione słuszności. Widzę to po obrotach. Od roku tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego czyste zyski rosną z roku na rok. W porównaniu z tym, co było, zarabiam dziś poczwórnice.

Ingrid entuzjasmowała się coraz bardziej. – A młodzież! Traktuje nas poważnie, jesteście ważną częścią państwa. Dzięki organizacji „Kraft durch Freude” {6} robotnicy jeżdżą do Norwegii i do Włoch.

– Nie jest to konieczne – wtrącił stary Asch – mogliby i tutaj przepijać swoje zarobki.

– Bez Führera – mówiła dalej Ingrid z tym samym zapałem – nie mielibyśmy również Wehrmachtu. – Prawda, panie Vierbein?

– Tak – odpowiedział. – Prawda. Ma pani rację. – Był pełen entuzjazmu, ale entuzjazm ten odnosił się wyłącznie do Ingrid jako kobiety; cokolwiek by powiedziała, nie zawahałby się nigdy z przyznaniem jej racji. Nie słuchał prawie tego, co mówiła, nie wiedział dokładnie, o co jej chodzi, ciągle tylko na nią patrzył.

– Głupia gęś! – powiedział Herbert Asch i rzucił na stół serwetkę.

Ojciec Asch wstrzymał się od dalszej dyskusji. – Muszę iść do lokalu – oświadczył. – Dziś będzie ogromny ruch. Po południu spotykają się u mnie kobiety, wieczorem przyjdą podoficerowie. Sobota to dla mnie najbardziej męczący dzień w tygodniu. – Pożegnał się z Vierbeinem. – Jeżeli się panu u nas podoba, proszę nadal przychodzić. – Powiedziawszy to spojrzał z zatroskaną miną na swoje dzieci, które miały tak przerażająco mało zrozumienia dla jego zdrowego kupieckiego ducha. Po-

tem wyszedł.

Johannes Vierbein pozostał z rodzeństwem Asch; wydawał się sobie bezradny, niemal zbyteczny. Atmosfera nie należała do przyjemnych; w pokoju było gorąco i duszno. Ingrid siedziała nieruchomo na swym krześle; była boleśnie dotknięta i wyraźnie to okazywała. Herbert Asch nic sobie z tego nie robił; skonfiskował jedno z renomowanych cygar ojca i długo je zapalał.

– Proszę się zbliżyć – powiedziała Ingrid do Vierbeina – pokażę panu parę zdjęć. Chce pan obejrzyć?

– Bardzo chętnie! – odpowiedział Johannes Vierbein z gotowością. – Bardzo chętnie!

– Uważaj! – przestrzegął go Asch. – Pokaże ci zdjęcia z obozu Związku Dziewcząt Niemieckich. Te hieny biorą udział we wzmacnianiu naszej obronności z tym samym entuzjazmem, z jakim wyrostki bawią się w zbójców i żandarmów.

Ingrid nie zaszczyciła swego nieudanego brata ani jednym spojrzeniem. Zaciągnęła Vierbeina na stojącą w rogu pokoju kanapę i sięgnęła po leżący tam album. Otworzyła go. Zdjęcia przedstawiały dziewczęta podczas gimnastyki, podczas wędrówek, przy obieraniu kartofli, przy ognisku, podczas śpiewów chóralnych i tańców ludowych.

– Obóz nasz – powiedziała Ingrid – żył pod hasłem: „W zdrowym ciele zdrowy duch”.

Johannes Vierbein przyglądał się temu wcieleniu kobiecości z wzrastającym podziwem. Dużo dziewcząt miało wygląd miły, nawet bardzo miły, ale Ingrid była najpiękniejsza ze wszystkich. Piękność tę ukazywało zwłaszcza zdjęcie, na którym wiadać było wyraźnie, jak w kostiumie kąpielowym wychodzi z wody. Postanowił uprosić ją w korzystnej chwili o to zdjęcie, ale od razu pomyśl ten odrzucił, przekonany, że mu tego zdjęcia nigdy nie ofiaruje. Potem pomyślał: „po prostu wezmę je sobie, jak się odwróci, włożę do kieszeni, tak strasznie chciałbym je mieć”.

– Jak się panu podoba? – zapytała Ingrid z zaciekawieniem. – Jak się panu podoba mój album?

Vierbein zdawał sobie sprawę, że Ingrid pragnie jego aprobaty, i był zdecydowany odpowiedzieć entuzjastycznie. Mimo to zapytał bardzo ostrożnie: – Panno Ingrid, czy sprawiało to pani wielką przyjemność? Czy była pani wtedy szczęśliwa?

– Szczęśliwa? – zapytała ze zdziwieniem, nie widząc, że brat jej aż pochylił się naprzód w oczekiwaniu na jej odpowiedź. – Przecież o to wcale nie chodzi – powiedziała po chwili. – Chodzi o wspólnotę, o wspólne przeżycia!

– Rozumiem – przytaknął Johannes z zapalem. – Rozumiem bardzo dobrze. Wspólne przeżycia! I ja uważam to za cudowne!

Herbert Asch wybuchnął śmiechem. – Stary przyjacielu, wiem dokładnie, co przez „wspólne przeżycia” rozumiesz! Nie rumień się. Jeżeli o ten punkt chodzi, to mamy takie same poglądy. To, co dwoje ludzi wspólnie przeżywa, może być bardzo piękne.

Przyjaciele, rodzina mogą mieć również wspólne przeżycia. Ale moja urocza siostrzyczka ma co innego na myśli. Jej chodzi o umundurowanie kobiet.

– Nie mów tak o tym! – zawołała z furią Ingrid. – Nie masz prawa tak o tym mówić!

– A któż mi zabroni? – zapytał Herbert szorstko. – Chcę mieć dziewczynę, która mi się podoba, zupełnie specjalną dziewczynę, a nie taką seryjną! Wielkie nieba, kobiety w mundurach! Ten sam krok, te same fryzury, te same przemęczone twarze, te same spódnice, te same bluzki i we wszystkich głowach te same myśli! Niechaj Bóg uchroni mnie przed tym jednolitym wielkoniemieckim towarem.

Piękne oczy Ingrid były szeroko otwarte i wilgotne. Po zarumienionych policzkach stoczyło się kilka łez. Nie powiedziała ani słowa, tylko cicho płakała.

Herbert obserwował siostrę niewzruszony. Kochał ją bardzo, ale nie widział najmniejszego powodu, by jej to okazywać. „Już ja ją poruszę – myślał gniewnie – już ja z niej ten romantyzm obozowego ogniska przepędzę. Powinna znaleźć mężczyznę, ani jakiegoś siłacza, ani jakiegoś ułomka, prawdziwego mężczyznę, który by ją wziął w ramiona, przycisnął do siebie, żeby wreszcie poczuła: jest na świecie tylko dwoje ludzi – on i ja! Mężczyzna ten musiałby mieć siłę, by utrzymać ją przy sobie na całe życie!”

– Proszę, niech pani nie płacze! – powiedział Johannes delikatnie i bezradnie. Był strasznie zakłopotany, nie wiedział, co ma zrobić, co mu wolno zrobić, co zrobić powinien.

Herbert Asch potrząsnął wolno głową. „Nie – pomyślał ze smutkiem – ten Johannes Vierbein nie jest chyba mężczyzną, którego mam na myśli. Przecież to nie mężczyzna, to chłopiec, z którego gwałtem chcą zrobić dorosłego. Jest zbyt miękki, niewiele brakuje, żeby zaczął beczeć razem z nią. Jest jak wosk i zanim się obejrzy, tamci ulepią z niego żołnierzyka-zabawkę.”

– Proszę, niech pani nie płacze – powiedział Johannes półgłosem. A potem dodał ledwie dosłyszalnie: – Wyjątkowa z pani dziewczyna! Naprawdę! Zupełnie wyjątkowa dziewczyna!

Podporucznik Wedelmann, instruktor trzeciej baterii, miał zostać niebawem porucznikiem. Był oficerem zawodowym, pochodził z południowych Niemiec, służył w wojsku od lat sześciu.

Pragnął zostać prawnikiem, lecz został oficerem zawodowym, gdyż ojciec prosił go, by wziął pod uwagę względy finansowe i to, że studia wojskowe są krótsze i tańsze. Poza tym ojciec Wedelmann wyobrażał sobie, że zobaczy kiedyś w rodzinnym mieście syna na cokole jako odlanego z brązu generała.

Podporucznik od samego początku nie oczekiwał zbyt wiele od zachwalanego żołnierskiego życia, trudno mu więc było się rozczarować. Rejestrowano z zadowoleniem jego zalety fizyczne, jego bystry umysł nie stanowił zbyt wielkiej przeszkody. Pierwszego dnia był jeszcze pełen bezgranicznego entuzjazmu. W pierwszym tygo-

dniu spadł z nieba sławy, blasku i nieśmiertelności, gdzie, jak wiadomo, przebywają najwybitniejsi bohaterowie dumnych narodów, a o którym na całym świecie przedwcześnie marzą niedojrzali. Po sześciu latach odznaczał się cichym, niemal wytwornym cynizmem, dzięki któremu otoczenie uważało go za dowcipnego.

Wedelmann odkrył dość wcześnie system pionowy. Wyglądało to tak: na siedmiu żołnierzach – jeden podoficer, na siedmiu podoficerach – jeden oficer, na siedmiu oficerach – jeden dowódca, na siedmiu dowódcach – jeden generał. Liczby te nie były wszędzie jednakowe, zmieniały się stale, ale tak mniej więcej wyglądało to w zasadzie. Piramida dyscypliny. Rola przełożonego polegała na dbaniu o to, żeby siedmiu innych było stałe „pod ciśnieniem”. Wtedy maszyna była w ruchu, wtedy nie tak łatwo można było obalić ten mocny splot z matematyki i ludzkich istot.

Wedelmann odkrył również zawczasu, że żołnierze stanowią jakby koło zamachowe, wprawiane w ruch przez podoficerów. Generał mógł spokojnie pozwolić sobie na to, by być łaskawym dla wszystkich, może z wyjątkiem swoich bezpośrednich podwładnych. Oficerowie powinni trzymać podoficerów krótko; pozyskanie sobie sympatii szeregowców to sprawa godna zachodu, praktycznie wypróbowana i łatwa do osiągnięcia. Metody takie odbijały się przeważnie na podoficerach, ale były niezwykle skuteczne. W każdym razie najgłupszymi byli podoficerowie. Zawsze musieli być do dyspozycji i wypełniali też przeważnie swe zadania z godną pochwałą gorliwością. Dlatego przełożeni nazywali ich kręgosłupem armii, podwładni zaś – przedłużeniem jej kręgosłupa.

Uświadomiwszy sobie, że służba jego polega niemal wyłącznie na oliwieniu maszyny, by pozostawała w ruchu, podporucznik doszedł do następującego wniosku: Nie robić nic, co ruch koła zamachowego hamuje, przyczyniać się przy okazji do przyspieszenia tego ruchu, to znaczy być przełożonym.

Po niedługim czasie stało się dla niego jasne, że tego rodzaju traktowanie służby daje człowiekowi, który nie upadł na głowę, różne możliwości wytchnienia. Był gotów to wykorzystać, ale małe miasteczko garnizonowe nie było odpowiednim terenem do miłego spędzania wolnego czasu. W kasynie oglądał zawsze te same twarze, większość ich należała do przełożonych. W mieście było około dwudziestu rodzin, u których ze względu na swój stopień oficerski mógł bywać. Był tam mile widziany jako pan podporucznik, jako szyld reklamowy czy lepszy gigolo dla starszych roczników albo kandydat do małżeństwa z którąś z wytwornych gęsi o lśniących oczach.

Podporucznikowi to niezbyt odpowiadało; twierdzenie, że chciało mu się od tego rzygać, byłoby jednak lekką przesadą. Pozostawały jeszcze pewne możliwości: mógł pod koniec tygodnia pojechać do miasta będącego stolicą okręgu, ale jedna taka podróż kosztowała prawie tyle, ile wynosiły jego miesięczne pobory. Mógł z kolegami, którzy się również nudzili, zagrać w kasynie w skata lub bilard i później się upić, ale to było nudne. Mógł w każdej chwili zwalczać nudę za pomocą służbowych eskapad, kontrolowania wart, rewizji szaf, improwizowanych przeglądów, ale sam był kiedyś

szeregowcem i w ciągu tych sześciu lat nie zapomniał jeszcze, jak mu wtedy było na duszy. Uważał to za rzecz najzupełniej zrozumiałą, nie wiedząc o tym, że tego rodzaju trwała pamięć musi być traktowana w wojsku jako coś wręcz fenomenalnego.

Również i tego sobotniego popołudnia zrobił to, co zwykł był czynić stale: na-przód się wyspał, potem włożył swe dalekie od elegancji cywilne ubranie i zaczął się włóczyć. Szukał dziewczyny, ale żadnej nie znalazł. Było tak już od trzech lat. A przy tym dobrze przecież wyglądał, prawie jak pierwszy sprzedawca w renomowanym sklepie, uprawiający namiętnie sport. Ale coś tam nie było u niego w porządku i większość dziewcząt czuła to od razu. Węszyły mundur! Te, które nie lubiły mundurów, nie lubiły także i jego; inne, które miały szacunek dla munduru, chciałyby go w nim zobaczyć, a na to oczywiście pozwolić sobie nie mógł.

Napił się więc w cukierni Liedtkego kawy i poszedł do kina, gdzie wyświetlano rzekomo podnoszący na duchu film „Naprzód! Za Wielkie Niemcy!” Występujący w filmie oficer budził lekkie niezadowolenie; tacy oficerowie jak ten nadawali się właściwie tylko do uroczystości na terenie kasyna. Pachniał pudrem i perfumami, a nie potem i skórą. A dziewczyna była najwyżej manekinem na wystawie; nie można było uwierzyć, żeby w jej obecności mógł ściągnąć buty i przyglądać się przepocornym skarpetkom. Kiedy jednak film się skończył i zrobiło się jasno, zauważył, jak bardzo widzowie są ze swych oficerów zadowoleni. Zrobiło mu to przyjemność, byłby nawet rad, gdyby w tej chwili miał na sobie mundur.

Wolnym krokiem powlókł się do winiarni Zehnera, zamówił obfitą kolację i butelkę bodenheimera. Nie spiesząc się przerzucił kilka gazet, z których każda przynosiła w tym samym brzmieniu te same wiadomości, przyglądał się ze znudzoną miną malowidłom ściennym, zagłębił się w tekście wypisanego dwuwiersza: „Niemieckie jedzenie przy niemieckim winie u nas dostaniesz jedynie!” „Dlaczego nie” – pomyślał i ziewnął potężnie. Potem kazał przynieść sobie rachunek, podpisał go i oświadczył, jakby mimochodem, że zapłaci pierwszego. Kelner, który go znał, uważał, że jest to w najzupełniejszym porządku. Zdziwiłby się tylko wtedy, gdyby podporucznik zapłacił.

Podporucznik Wedelmann nie był bez gotówki. Nie miał tylko ochoty zbyt wcześnie pozbyć się jej, gdyż do końca tygodnia było jeszcze daleko i ciągle jeszcze nie wiedział, jak go spędzi. Poza tym postanowił pójść teraz do baru „Excelsior”. Tam nie dawano mu nic na kredyt, choć Inga, która w tej wytwornej budzie stała za ladą, pozostawała z nim jeszcze do niedawna w bardzo zażyłych stosunkach. Teraz Inga gniewała się na niego i żądała zapłaty w gotówce.

„Excelsior” był jedynym lokalem w miasteczku o charakterze zbliżonym do baru. Inga i Eryka usługiwały, Paul, który był właścicielem, inkasował. Paula podejrzewano o homoseksualizm, ale to bynajmniej nie zmniejszało jego obrotów. Mężczyźni bywający w jego lokalu przychodzili przeważnie dla Ingi albo Eryki. Byli zadowoleni, że przy swoich staraniach, prawie zawsze uwieńczonych powodzeniem, nie mu-

sieli liczyć się z jego zazdrością.

Paul darzył podporucznika Wedelmanna wyjątkową sympatią, miał do niego, delikatnie mówiąc, słabość. Uradowany zbliżył się więc do swego miłego gościa, zachowując się przy tym po koleżeńsku. I on kiedyś służył, był przydatnym żołnierzem, opowiadał często i chętnie, jak mu dobrze było w wojsku.

Wedelmann udał, że nie widzi lepszego wazeliniarza, i usiadł na wysokim stołku barowym naprzeciw Ingi.

– No, mój mały – powiedziała – znowu się u mnie pokazałeś?

– Nikolaszkę – zadysponował – przyrządź mi kieliszek nikolaszki.

– Na mój koszt – zawołał Paul. – Cieszę się, panie podporuczniku, jeśli pan się tu dobrze czuje.

Wedelmann spojrzał chłodno na Paula, ale ten uśmiechał się bardzo serdecznie. Na twarzy Ingi pojawił się pogardliwy uśmiech. Podporucznika przeszło lekkie mrowie, czuł do tego typka wyraźne obrzydzenie.

Przechylił się przez ladę i zapytał Ingę tak głośno, że Paul musiał usłyszeć: – Jakże dziś w nocy będzie z nami?

Nie uszło uwagi Wedelmanna, że nawet Inga przyjęła z wyraźnym zdumieniem to sprośne, niedwuznaczne pytanie. Sam był zdziwiony tym jednoznacznym sposobem prowadzenia konwersacji, od którego zwykle był jak najdalszy. Ale poczuł się sprowokowany przez tego obleśnego łobuza. I widok Paula, który się ze skonfundowaną miną ulotnił, sprawił mu satysfakcję.

Inga spojrzała na podporucznika nieprzyjaźnie. – Co ci się stało? – zapytała. – Szał koszarowy? Dlaczego nie postarasz się o dziewczynę, którą miałbyś na każde zawołanie, kiedy już z nadmiaru sił nie możesz utrzymać się na nogach? Jestem dziś wieczorem zajęta. A poza tym nie mam ochoty, żebyś mnie traktował jak uliczną dziewczynę. Ostatecznie nie jesteś w tej dziurze jedynym mężczyzną i nie ty jeden nosisz mundur.

Wedelmann wypił kieliszek nikolaszki i zamówił jeszcze jeden. – Czego ty właściwie chcesz? – zapytał. – Chcesz być poślubiona?

– Ale przecież nie przez podporucznika. Musiałby to być co najmniej major!

Wedelmann zrobił niechętny ruch ręką. – Dobrze już – powiedział – dobrze. – Głowa zaczęła mu ciążyć, czuł gwałtowną potrzebę świeżego powietrza. Zapłacił i wyszedł.

Szedł przez chłodną noc i nie wiedział, dokąd idzie. Był zmęczony, obojętny, miał wrażenie, że go ktoś przepuścił przez wyżymaczkę. Nie posiadał przyjaciół, miał tylko kolegów, a ci znów składali się z przełożonych i podwładnych. Nie miał dziewczyny, gdyż te, które znał, były albo nudne i chciały wyjść za mąż, albo odznaczały się temperamentem i były zbyt kosztowne. Ale miłość? Kto by tam kochał podporucznika! Albo kochają jego mundur, a tego on nie chce, albo nie kochają munduru, a wtedy nie mogą kochać i jego.

Wlókł się wolno w kierunku koszar artylerii. Zatrzymał się w jakiejś knajpie, wlał w siebie kufel piwa i kieliszek żytniówki. Rozglądał się, jakby szukając pomocy, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Rzucił pieniądze na stół i poszedł dalej. Zastanawiał się, czy nie kupić butelki wódki, wytrąbić ją w domu, a potem zwalić się jak kłoda na łóżko. Myślał o tym, by jeszcze rzucić okiem na kasyno. Wszystko to jednak nie zadowalało go, gdyż nie chciał być sam. Nie chciał być również z przełożonymi, którzy zwykli decydować automatycznie, co i kiedy wolno mu wypić.

Lokal „Bismarckshöhe”, obok którego przechodził, był rzęsiście oświetlony. Wśród nocnej ciszy słychać było muzykę taneczną, hałaśliwe głosy świadczyły o tym, że goście czują się wspaniale. Rozległ się głośny śmiech jakiejś dziewczyny. Potężny głos zawołał: „Na zdrowie!” Potem muzyka ucichła. Rozległy się gwałtowne, natarczywe oklaski. Muzyka zaczęła grać dalej, powtarzając raz jeszcze piosenkę o jaskółce, która leci na wyspę Helgoland, by ukochanej oddać pozdrowienie.

Podporucznik podszedł zdecydowanym krokiem do lokalu i z zaciekawieniem przekroczył jego próg. Choć był w cywilnym ubraniu, gospodarz, siedzący niedaleko wejścia, poznał go od razu. Przywitał się z nim uprzejmie, ale dał mu zręcznie do zrozumienia, że nie uważa, by obecność oficerów przyczyniała się do podniesienia nastroju. Poprosił podporucznika, aby zajął miejsce przy wspólnym stole, przy którym kilka wyższych szarż, wśród nich starszy ogniomistrz Schulz, piło na jego rachunek.

Wedelmann grzecznie odmówił. Minął przedpokój i wszedł na salę. Na widok par kołyszących się rytmicznie w tańcu poczuł zadowolenie. Rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca. Zobaczył przy tej okazji bombardiera Ascha, który siedział sam przy stole i przyglądał się tańczącym.

Podszedł do niego. – Jest tu jeszcze wolne miejsce, Asch? – zapytał usiłując postawić to pytanie możliwie uprzejmie, co mu się prawie bez trudu udało.

Asch spojrział na niego, rzucił przelotnie okiem na cywilne ubranie swego przełożonego, jak gdyby się zastanawiał, jak się ma zachować. Potem doszedł do wniosku, że najlepiej będzie nie podnosić się z miejsca i traktować stojącego przed nim pana w cywilu jako cywila.

– Jest dosyć miejsca – powiedział bombardier Asch i przełknął potężny łyk piwa.

Restauracja „Bismarckshöhe”, z ogródkiem i salą do tańca, była ulubionym lokalem pierwszego dywizjonu pułku artylerii. Miał on liczne zalety, między innymi natury sytuacyjnej: mieścił się na peryferiach miasteczka, na końcu głównej szosy, w odległości jakichś czterystu metrów od bramy artyleryjskich koszar. Kto był w mieście i chciał wrócić do koszar, ten musiał przechodzić obok „Bismarckshöhe”.

Większość gości składała się z bombardierów, ale kanonierzy byli tu także mile widziani, nie czyniono również wstrętów kapralom. Obie grupy zostawiano w spokoju jedynie wtedy, gdy nie przeszkadzały w zabawie zasłużonym bombardierom. Z chwilą złamania tego zwyczajowego prawa wylewano bez pardonu ich reprezentan-

tów. Jeżeli sprawa dotyczyła kanonierów, załatwiali to bombardierzy. Kiedy chodziło o podoficerów, gospodarz lokalu otrzymywał polecenie pozbycia się ich; nie ociągał się nigdy z wykonaniem tego polecenia. Przekazywał je specjaliście od wylewania gości, Emilowi. Emil umiał uporać się z każdym, był bowiem z zawodu atletą i każdorazowy trening sprawiał mu satysfakcję.

Ale incydenty tego rodzaju były stosunkowo rzadkie; w ciągu jednego wieczoru zdarzały się nie częściej niż dwa, trzy razy. Tylko w soboty, przy wzmożonym ruchu, pogotowie alarmowe ulegało wzmocnieniu ze względu na odbywające się tańce. Ze wszystkich stron napływały dziewczęta, a za nimi ścigali mężczyźni, długa noc kusila, a świadomość, że następnego dnia nie będzie służby, wzmagała ducha przedsiębiorczości. W te sobotnie wieczory bombardierzy mieli pełne ręce roboty. Musieli strzec swych pozycji, musieli mieć na oku nie tylko wyższe i niższe stopnie, ale też zachowanie dosyć zresztą niemrawych cywilów, a przede wszystkim zachowanie gości przynależnych do innych jednostek, w danym wypadku piechoty.

Bombardierzy uważali lokal, którego byli stałymi gośćmi, za coś świętego. Nie działali w sposób zorganizowany, raczej instynktownie. Prawie się nie znali, na ogół niezbyt sympatyzowali ze sobą, ale jeśli chodziło o zabezpieczenie lokalu dla siebie, trzymali się razem. Uważali to za rzecz najzupełniej zrozumiałą. Oficerowie mieli swoje kasyno, podoficerowie bywali w kawiarni Ascha, do nich należało „Bismarckshöhe”! Gospodarz winien był to respektować; spełniał też bez wahania najdziwaczniejsze polecenia swych bywalców.

Owej soboty wisiała w powietrzu dzika awantura, gdyż piechota w zbyt wielkiej liczbie przesaczyła się na teren działania artylerii. Bombardier Kowalski, najgłośniejszy w całej okolicy zabijaka, przemierzał z niepokojem poszczególne sale; chwilową narzeczoną pozostawił przy stole pod strażą i zbierał siły bojowe.

– Jazda, Asch! – powiedział. – Przygotuj się. Trzeba kilku wystawić na świeże powietrze.

Asch skinął głową. Siedział przy bocznym stoliku z Elżbietą i Vierbeinem. Elżbieta, ta sama Elżbieta, która zazwyczaj usługiwała w kantynie podoficerskiej, miała dziś wolny wieczór. Vierbein towarzyszył tylko swemu przyjacielowi, bombardierowi Aschowi. Ilekroć Asch odchodził, by zatańczyć z Elżbietą, Vierbein pilnował kufli; był z tego zadowolony. Dziewczyny, które tu przyszły, żeby spędzić miły wieczór, nie interesowały go. Nie widział ich prawie, myślami był przy Ingrid. Kiedy Elżbieta i Herbert tańczyli i znajdowali się daleko od niego, kiedy go nikt z siedzących przy sąsiednich stolikach nie obserwował, wyciągnął ową fotografię, którą zabrał Ingrid, a raczej od niej pożyczył: wysmukła dziewczyna w kostiumie kąpielowym wychodzi z wody; przeciąga się, położyła rękę na karku.

Kiedy zawadiacki bombardier Kowalski oddalił się, Johannes Vierbein zapytał z zainteresowaniem: – Czego on od ciebie chciał?

Elżbieta, trochę zgrzana od tańca, spojrzała na Ascha wielkimi, lśniącoymi oczami

i powiedziała uśmiechając się: – Mogę sobie wyobrazić, o co mu chodzi. Mają pragnienie i chcą je wspólnie ugasić.

– Przypuśćmy! – odpowiedział Herbert Asch z uśmiechem. – A podczas mojej nieobecności mój przyjaciel Vierbein zatańczy z panią.

– Czy nie mógłbym ci towarzyszyć? – Vierbein zauważył zapewne, że coś się święci, i jako dobry kolega chciał zaofiarować Aschowi swe usługi.

– Nigdy! – powiedział tamten stanowczym tonem, – Zostaniesz tutaj. – I dodał: – Nie możemy panny Elżbiety zostawić samej.

Vierbein zaprosił ją posłusznie do tańca. Asch, który pozostał sam, przyglądał się przez chwilę tańczącej parze. Uważał, że Elżbieta jest wspaniałą dziewczyną, wspanialszą od wszystkich, które dotychczas spotykał. Potem, podniesiony na duchu jej widokiem, postanowił wstać, by udzielić bombardierowi Kowalskiemu żądanej pomocy.

W tym momencie zjawił się podporucznik Wedelmann w cywilu i zapytał, czy jest jeszcze wolne miejsce. Utrzymał po chwili wahania odpowiedź twierdzącą usiadł przy stoliku.

Podporucznik manipulował palcami przy nieco zbyt ciasnym kołnierzyku swej niebieskiej koszuli. – Co to ja jeszcze chciałem powiedzieć, Asch? Aha, jestem tu w charakterze prywatnym, całkowicie prywatnym. To chciałem wam powiedzieć. Nie róbcie więc sensacji.

– Nie miałem też tego zamiaru, panie podporuczniku – odpowiedział Asch z całym spokojem.

– W porządku – rzekł Wedelmann. Sytuacja wydawała mu się nieco kłopotliwa. Podporucznik w cywilu spoufala się z bombardierem. Ale można również powiedzieć: podporucznik w cywilu demonstruje ducha wspólnoty i koleżeńskości wobec szeregowców i próbuje znaleźć u nich zrozumienie. Bzdura! Rzecz wygląda naprawdę tak: czuł się samotny, chciał być między ludźmi. Trzeba teraz tylko zapomnieć, że się znajduje wśród podwładnych.

– Panie podporuczniku – powiedział bombardier Asch skinąwszy głową bombardierowi Kowalskiemu, który czekał przy wejściu na salę – radziłbym panu zachowywać się w cywilu odpowiednio.

– Jak mam to rozumieć, Asch? – Podporucznik uczciwie starał się okazać tak w tym wypadku konieczne zrozumienie. Nie było to łatwe. Ta szatańska sytuacja była temu winna! Mimo cywilnego ubrania był podporucznikiem; chciał być cywilem, a jednak nie mógł do końca zapomnieć o swoim stopniu oficerskim. Starał się nie zwracać uwagi na to, że bombardier rozmawia z nim całkowicie niezgodnie z regulaminem. Nie potrafił jednak udawać, że słów jego nie słyszy.

– Chcę przez to powiedzieć, co następuje, panie podporuczniku: Kiedy się ma na sobie cywilne ubranie, nie jest dobrze mieszać się do czegokolwiek. Lepiej być zadowolonym, że się nie ma na sobie munduru, trzymać się od wszystkiego z daleka i

udawać, że człowieka wszystko to nic a nic nie obchodzi.

– Tego nie rozumiem.

– Jeszcze pan podporucznik nie rozumie. Ale zapewne nie potrwa to długo. Rada moja nie jest na pewno zła: pić piwo, tańczyć, zachowywać się jak cywil. Można sobie dzięki temu niejednego oszczędzić.

Wedelmann naprawdę nie rozumiał bombardiera; miał jednak nieodparte wrażenie, że Asch jest mu przychylny. Wedelmannu to cieszyło, bo sam również czuł do bombardiera sympatię. Miły chłop, myślał sobie, nie taki jak inni; to nie automat, nie numer, nie manekin, to prawdziwa indywidualność. Zapewne dobry materiał na oficera! Czy można wiedzieć dokładnie? „W każdym razie – postanowił sobie – będę go miał na oku. Czasy sprzyjają tolerowaniu, nawet wysuwaniu na stanowiska oficerów ludzi bez matury, rekrutujących się spośród podoficerów i szeregowców.”

Bombardier Asch oddalił się. Podporucznik niedługo siedział sam. Gdy taniec się skończył, Vierbein wrócił z Elżbietą do stolika. Zobaczywszy swego podporucznika, kanonier zmieszał się.

Ale Elżbieta nie uważała, by należało komplikować to, co można było załatwić w kilku słowach: – To nasz stolik – powiedziała. – Siedzimy tu z panem Aschem.

Podporucznik podniósł się; zachowywał się prawie tak jak w kasynie, ukłonił się Elżbiecie i powiedział: – Wiem o tym. Ale bombardier Asch pozwolił mi na moją prośbę zająć to krzesło. Myślę, że pani nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Nie – powiedziała Elżbieta bardzo wyniośle. Wedelmann chciał wszcząć rozmowę. Zanim jednak zdążył się odezwać, w przedniej sali, w której odbywał się wyszynk, powstał potężny tumult: zaczęła się bijatyka! Muzyka zagrała ze zdwojoną siłą, pozostali bombardierzy opuścili spiesznie salę.

Podporucznik chciał się zerwać. Ale przypomniał sobie, co mu powiedział przedtem bombardier Asch. Zastanawiał się przez chwilę, co począć. Potem wstał ze zdecydowaną miną. Nie udał się na pole walki, lecz skłonił się przed Elżbietą i zapytał, czy wolno mu prosić ją o następny taniec. Elżbieta odpowiedziała, że wolno, co też po chwili uczynił.

Tymczasem bombardier Kowalski wraz ze swymi siłami bojowymi osiągnął już niemal zwycięstwo. Siły pomocnicze, składające się z gospodarza, wyrzucających i szatniarki, czyniły wszystko, co było w ich mocy, by walka została możliwie jak najprędzej zakończona.

Jak zawsze zaczęło się zupełnie niewinnie. Kowalski i jego ludzie zebrali się grupkami, otoczyli nic nie przeczuwających piechociarzy, dla dodania sobie animuszu kropnęli jeszcze po kieliszku wódki. Ci, którzy nosili pasy, podciągnęli przezornie spodnie. Inni poodpinali haftki kołnierzy.

Potem bombardier Kowalski rozpoczął dyplomatyczne przygotowania do swojej wojny błyskawicznej. Zaczepił pierwszego z brzegu piechociarza, stanął przed nim i zawołał:

– Nie dam się przez ciebie obrażać, ty onuco!

Po tym wstępie wtajemniczeni wiedzieli już, że burza grozi wyładowaniem. Natychmiast przedsięwzięte zostały konieczne kroki zapobiegawcze: obecni w lokalu podoficerowie zależnie od temperamentu czy potrzeby pośpiesznie skierowali swe kroki na salę tańca lub do toalety. Niepisane prawo lokalu, będącego domeną bombardierów, zakazywało im wszelkiego udziału w bójkach. Poza tym względ na dyscyplinę skłaniał do tego, by nie być świadkiem zajścia. Gospodarz opróżnił szybko ladę, przenosząc najcenniejsze butelki w bezpieczne miejsce. Specjalista od wyrzucania otworzył szeroko skrzydła drzwi i zabezpieczył je haczykami, żeby się nie zamknęły. Szatniarka zebrała na jeden stos wszystko, co należało do piechociarzy.

Tylko zwymyślany przez Kowalskiego piechociarz i jego koledzy nie zorientowali się, co się tu ma rozegrać. – Któż cię obraża? – zapytał piechociarz i chciał wyminąć Kowalskiego.

– Ty mnie obrażasz! – wrzasnął Kowalski w bojowym nastroju. – Pysk twój mnie obraża!

Piechociarz potrząsnął głową i raz jeszcze podjął próbę przejścia obok Kowalskiego. – Co się tu dzieje? – zapytał groźnie. – Szukacie awantury, zbieracie końskich gówien?

– Wypraszam sobie, zabraniam! – ryknął Kowalski w świętym gniewie. – Jesteśmy zmotoryzowani!

Wmieszali się inni piechociarze, artylerzyści wbili się w nich klinem. Utworzyło się niebezpieczne kłębowisko.

Jeden z piechociarzy połapał się nagle, o co chodzi. – Chcecie nas wylać! – powiedział. Miał jeszcze tyle przytomności umysłu, by udawać, że go to bardzo dziwi.

Kowalski promieniał. – Trafiłeś w sedno! – powiedział i ruszył w jego stronę. – I dlatego wylecisz pierwszy!

Ktoś próbował sprawę załagodzić. – Koledzy! – zawołał – bądźcież rozsądni! Po co to? Przecież równie dobrze możemy tu pić piwo, jak i wy!

Kowalski ustawił się do ataku. – Co możecie, a czego nie możecie – zawołał – o tym tutaj decydujemy tylko my! Ale jeżeli chcecie wyjaśnienia, możecie je mieć: Dokładnie trzy tygodnie temu jeden z naszych bombardierów został w waszym lokalu na Hirschgraben pobity do krwi i wyrzucony.

– Zachowywał się też odpowiednio!

– A my wcale do tego nie dopuścimy, żebyście się „odpowiednio” zachowywali! – Po tych słowach mocny jak niedźwiedź Kowalski uniósł w górę pierwszego z brzegu piechociarza i rzucił go w kierunku drzwi. Tam przejął go Emil, specjalista od wyrzucania, i wyekspediował jak przesyłkę pocztową.

Był to sygnał. Na sali natychmiast rozgorzała walka. Drzewo trzaskało, mężczyźni sapali, dziewczęta piszczały, rozlegały się głosy komendy, nogi dudniły na parkiecie, od czasu do czasu padał ktoś głucho. Na sali tańca muzyka produkowała zgiełk i

hałas.

Dokładnie w ciągu dziesięciu minut wszystko zostało załatwione. Lokal artylerii oczyszczono od piechociarzy. Bombardierzy święcili swoje zwycięstwo nie bez męskiej godności; to, że stanowili niewątpliwą większość, uszło po prostu ich uwagi albo też zostało bardzo prędko zapomniane. Podoficerowie, którzy się znowu zjawili, nie szczędzili słów uznania.

Tylko starszy ogniomistrz Schulz spoglądał gniewnie i nie brał udziału w zwycięstwie swej broni. Bardzo się zirytował i zależało mu na tym, by to wyraźnie okazać. Kiedy przed wybuchem bijatki opuścił stolik gospodarza, ogarnęła go chęć puszczenia się w tany. Wiedział już z kim. Zanim jednak zdążył poprosić Elżbietę, była już na parkiecie z kanonierem Vierbeinem, właśnie z tym kanonierem Vierbeinem!

Przypomniał sobie, że kapral Lindenberg złożył mu meldunek, w myśl którego bombardier Asch miał twierdzić, jakoby kanonier Vierbein oświadczył, że dziś odbędą się zawody piłki ręcznej. Zawody te miały się odbyć dopiero za dwa tygodnie. W ten sposób wprowadzenie w błąd przełożonego przez podwładnego było całkowicie udowodnione. Od razu odesłał więc tego Vierbeina do koszar. Z miejsca. Prosto z parkietu!

Przykre było tylko to, że mimo wszystko Elżbieta nie chciała z nim tańczyć. A jeszcze większą przykrość sprawiał mu fakt, że przy ich stole siedział w cywilu podporucznik Wedelmann i bardzo chłodno lustrował go wzrokiem.

Co, u licha, czyż nikt z tych ludzi nie ma zrozumienia dla dyscypliny!

Elżbieta Freitag była rozsądną dziewczyną, wyposażoną w potężną porcję zdrowej nieufności. Miała lat dwadzieścia dwa, nauczyła się tego, że mężczyźni o wiele bardziej różnią się między sobą, niż na ogół sądzą kobiety. Nawet wtedy, kiedy wszyscy noszą ten sam mundur. Elżbieta zwracała uwagę na twarz i na ręce, na sposób chodzenia i charakter pisma. Z tych i wielu innych szczegółów składały się jej portrety mężczyzn. Ale do galerii dostawały się tylko nieliczne, starannie dobrane egzemplarze.

Ojciec Elżbiety był majstrem w warsztatach kolejowych. Mały człowieczek o mądrych, lisich oczach, specjalista z długoletnim doświadczeniem, socjalista z przekonania, rzemieślnik z zamiłowania. Matka, wielka, rubaszna, pełna dobroci i oddania dla swego męża, była akuszerką. Oboje z wielką wytrwałością, odmawiając sobie niejednego, osiągnęli wreszcie to, że mogli kupić mały domek. Wiele lokomotyw w państwowych warsztatach kolejowych zawdzięczało swój długi żywot ojcu Freitagowi, a pani Freitag pomogła przyjść na świat prawie całej młodej generacji rozkwitającego prowincjonalnego miasteczka.

Starsza siostra Elżbiety wyszła przed dwoma laty za męża; poślubiła solidnego stolarza, specjalistę od mebli; był nie tylko mistrzem w swoim fachu, ale i wzorowym mężem. Młodszy brat kończył drugi rok służby wojskowej w jednostce pancernej w Królewcu. Dzięki temu Elżbieta miała swój oddzielny pokój, który ojciec i matka

oddali jej bez mebli. Mogła go sobie urządzić, jak chciała.

– Musisz – oświadczył stary Freitag – zawczasu nauczyć się układać życie na swoją modłę. Nikt nie pozostaje wiecznie dzieckiem. – Rodzice zostawiali jej jak najdalej idącą swobodę. – Wiem, że jej nigdy nie nadużyjesz – powiedział ojciec. Oboje starali się niezmordowanie o to, by córka wyrosła na zdrowego, opanowanego człowieka. – Życie, Elżbieto – mawiali – to nie dziecinna zabawka; potrafi być brutalne, dobrze jest o tym wiedzieć. Potrafi być oczywiście i piękne, ale o tym nie trzeba uprzedzać.

Nie mieli nic przeciwko temu, kiedy Elżbieta oświadczyła pewnego dnia, że zamierza pracować w kantynie pierwszego pułku artylerii. Płaca dobra, robota nie nadmiernie ciężka, czas pracy dokładnie określony, poza tym miejsce pracy niezbyt odległe od domu Freitagów. – Dlaczego nie – powiedział stary kolejarz. – Z mężczyznami dasz sobie radę!

Dawała sobie radę, nie wchodząc z nimi w bliższą komitywę. Dzierżawca kantyny, Bandurski, był z tego bardzo zadowolony. Jego praktyka wykazała, że w tym fachu istnieją zawsze tylko dwie możliwości: albo iść do łóżka z każdym, albo z żadnym. Nie należy tylko nigdy wyróżniać jednego lub dwóch i przez to wywoływać rozdrażnienie całej reszty.

Elżbieta wypełniała swe obowiązki z taką samą dokładnością i bezosobową solidnością, jak inne kobiety piorą lub pracują przy ruchomej taśmie. Miała szeroko otwarte oczy, ale trzymała się zawsze z daleka. A kiedy się bliżej przyglądała, zawsze widziała ludzi, nigdy mundury. Zupełnie tak samo odnosiła się do bombardiera Herberta Ascha. Przypominał jej po części ojca, po części matkę. Miał ukrytą inteligencję ojca i zdrową rubasznosc matki.

Zakochała się w nim; po prostu, wyraźnie, bez żadnych komplikacji. Kiedy zapytał, czy miałaby ochotę wyjść z nim wieczorem, odpowiedziała bez ceregieli: owszem. Poszli na spacer, zjedli razem kolację, potem przez godzinę pływali łódką po stawie: mówili o pogodzie, o swoim dzieciństwie, o miłości w ogóle.

Potem spotkali się z Vierbeinem. Wracał z kina, w którym oglądał film pod tytułem „Kaganiec”. Poszli razem do „Bismarckshöhe”. Tańczyli, pili piwo, mówili głupstwa, by się nie zdradzić, jak poważnie o sobie myślą. Byli w cudownym nastroju.

Elżbieta uważała to za zrozumiałe samo przez się. Kiedy Herbert Asch znajdował się w pobliżu, było jej obojętne, gdzie jest. Liczne mundury nie przeszkadzały jej – ledwie je dostrzegała. Widziała młode, roześmiane twarze, słyszała jasne głosy, usiłujące brzmieć po męsku. Otaczała ją wesołość, ale wesołość ta była daleka od szczęśliwego, cichego, pełnego zadowolenia spokoju ojca Freitagów. Otaczające ją życie pulsowało szybko i konwulsyjnie, było gorące, groziło każdej chwili przelaniem się przez brzegi.

Asch traktował ją z szorstką czułością; był niezdarny i gwałtowny. Elżbiety to nie

raziło. Nie ukrywała, jak bardzo do niego lgnie. Leżała mocno w jego ramionach, patrzyła na niego bez nieśmiałości.

Kiedy Asch usłuchał wezwania Kowalskiego i wyszedł z sali, tańczyła z Vierbeinem. Wiedziała od Herberta, że Vierbein, był na zabój i nie bardzo szczęśliwie zakochany w Ingrid, siostrze bombardiera, o której słyszała rzeczy mało pochlebne. Uważała, że ze względu na Herberta powinna być dla Vierbeina miła.

Podporucznik w cywilu, który później usiadł przy ich stoliku, nie przeszkadzał jej. Znała go przelotnie z koszar i uważała, że nie jest niesympatyczny. Kiedy w dodatku Wedelmann nie zdradzał zamiaru zepsucia miłego wieczoru przez służbowe rozmówki, zaczęła traktować go bez cienia niechęci.

Inaczej, zupełnie inaczej wyglądała sprawa ze starszym ogniomistrzem Schulzem. Dotychczas nie miała w stosunku do niego zbyt wiele zastrzeżeń, był jej serdecznie obojętny. Kiedy podczas tańca zatrzymał ją i Vierbeina i z niczym się nie licząc wypowiedział swój rozkaz – poczuła do niego niechęć. A to, że odsyłając Vierbeina użył brutalnego tonu i w dodatku ośmielił się bezpośrednio po tym, co zaszło, poprosić ją do tańca, doprowadziło ją do wściekłości. Spiorunowała go wzrokiem i została na środku sali.

Podeszła do stolika, przy którym siedzieli Wedelmann i Asch. Herbert zapytał: – Gdzie pani zostawiła Vierbeina, Elżbieto?

Odpowiedziała oburzona: – Został odesłany do koszar. Z miejsca. Przez starszego ogniomistrza Schulza. Co to za metody!

Podporucznik starał się ją uspokoić. – Przecież to nic strasznego – powiedział. – Takie rzeczy zdarzają się codziennie!

– Niestety! – wtrącił Asch.

– Ach, nie należy brać tego tak tragicznie! – Podporucznik machnął lekceważąco ręką.

Bombardier nie podzielał tego zdania. Oświadczył:

– Bierzemy to za lekko.

– To sprawa dyscypliny – powiedział podporucznik.

– Przyzwoitości!

Wedelmann spojrzał niechętnie. Uważał, że to sformułowanie idzie nieco za daleko. Uświadomił sobie swój stopień oficerski; nie poszło to łatwo, widać było wyraźnie, jakie mu to jest niemiłe. – Czy chcecie może przez to powiedzieć – zapytał – że starszy ogniomistrz zachował się nieprzyzwoicie?

– Nie, panie podporuczniku – odpowiedział Asch bez namysłu, zwykłym koszarowym tonem. Wolał nie prowadzić z podporucznikiem w cywilu rozmów na tematy służbowe. Zawsze bowiem okazywało się zdumiewająco szybko, jak bezsensowne są takie próby. Ci ludzie nie mogą zapomnieć o tym, kogo mają reprezentować, trzeba się do nich odnosić z pobłażliwością!

Bombardier Asch wstał, skłonił się lekko Elżbiecie i poprosił, by z nim zatańczy-

ła. Zgodziła się od razu. Zostawili podporucznika samego.

Wedelmann siedział zły. Gniewał się na siebie samego. Im bardziej to sobie uświadamiał, tym gniew jego stawał się gwałtowniejszy. Czuł, że nie miał racji. Myśli jego były słuszne, ale niemal prowokacyjnego tonu, jakim rozmawiał z Aschem, należało uniknąć. Ostatecznie był poza służbą, w dodatku po cywilnemu, i siedział tu przy stole z ludźmi, którzy go uprzejmie przyjęli. Wszystko to zobowiązywało do pewnej wielkoduszności.

Uważał, że tym razem starszy ogniomistrz Schulz istotnie dopuścił się wyjątkowej samowoli; jako przełożony musi go kryć, choćby dlatego, by nie narażać na szwank dyscypliny, ale potępia go zdecydowanie. Powody mogą być takie czy inne – tego się jednak nie robi! Można takie sprawy załatwiać w koszarach, parkiet taneczny naprawdę nie jest do tego odpowiednim miejscem!

Oczywiście i bombardier Asch ma ze swego punktu widzenia pewną rację. Ale trochę więcej bezwarunkowego posłuszeństwa z pewnością by mu nie zaszkodziło. Szef baterii jest ostatecznie jego przełożonym i w żadnym wypadku nie podlega krytyce, mniejsza o to, czy uzasadnionej, czy nie. To już raczej, mówił sobie Wedelmann, moja sprawa.

Podporucznik podniósł się i precyzyjnie przysiadł przez kłębowisko tańczących przeszedł do dużej sali, w której mieścił się bufet. Zobaczył tam, przy stoliku gospodarza, rozpartego i wyraźnie źle usposobionego starszego ogniomistrza Schulza. Skinął na niego.

Schulz zerwał się na równe nogi i patrzył na Wedelmanna pytająco.

– Mam wrażenie – powiedział podporucznik – że wypiliście nieco za dużo. Już czas, żebyście poszli do domu.

– Tak jest! – powiedział skonsternowany starszy ogniomistrz i w oczach jego pojawiły się złe błyski. – Tak jest, panie podporuczniku!

Wedelmann odwrócił się i poszedł z powrotem na salę tańca. Wcale nie czuł się dobrze, w żadnym razie nie wydawał się sobie bohaterem. Nie odczuwał najmniejszej ulgi. Niedwuznacznie osadził szefa baterii; stare doświadczenie mówiło mu, że jest to od czasu do czasu potrzebne. Ale tym razem krok ten zadowalał go jeszcze o wiele mniej niż kiedykolwiek. Zapewne, pobił szefa jego własnymi metodami, ale właśnie to było mu niemiłe. Zapytywał sam siebie, czy nie może to stać się ewentualnie nawet niebezpieczne.

Z lekko opuszczoną głową wrócił do stolika, do Elżbiety i Herberta Ascha. Długimi haustami wypił swoje piwo. „Miła z nich para – pomyślał. – Można by im pozazdrościć. U mnie wszystko jest tak strasznie skomplikowane, a ci umieją ułożyć sobie tak naturalnie przyjemne życie. Wszystko jest u nich jasne i proste, kto wie, czy mnie rozumieją.” Po chwili podjął próbę wytłumaczenia swego postępowania.

– Widzicie, mój drogi Asch – zaczął – Wehrmacht może funkcjonować tylko wtedy, kiedy rozkazy – obojętne jakiego rodzaju – są respektowane, i to bez zastrzeżeń.

– Nawet rozkazy pozbawione sensu?

– Oczywiście – powiedział podporucznik. Ale nie był całkowicie przekonany o słuszności swoich słów. Chcąc ukryć niepewność ciągnął żarliwie dalej: – Nie ma rozkazów pozbawionych sensu, na pewno nie ma takich. Ale są rozkazy, które wydają się nonsensowne! Ten, który je otrzymuje, osądzić jednak tego nie może. Widzi pan, jest taka niewzruszona zasada, że przełożeni wydają rozkazy i wcale nie muszą ich tłumaczyć. Bo inaczej, mój drogi Asch, do czego byśmy doszli? Bezwzględne posłuszeństwo będzie zawsze pierwszym postulatem. Każdy rozkaz musi być wykonany!

– A jeśli rozkaz jest niewątpliwą szykaną?

– To jednak musi być wykonany! – Wedelmann był całkowicie w swoim żywiole. Zdawało mu się, że ma wykład i musi słuchaczy przekonać, by się samemu nie ośmieszyć. – Rozkaz jest rozkazem! A jeżeli naprawdę była to szykana, co ostatecznie jest możliwe, to żołnierz zawsze ma prawo później – powtarzam, mój drogi Asch, później – złożyć zażalenie.

– Czy był pan kiedy świadkiem takiego zażalenia, panie podporuczniku? Czy choć raz jakieś zażalenie zostało uwzględnione?

– Nie – przyznał Wedelmann. I zaraz dodał: – Z pewnością nie. Nikt nie składa zażaleń! A to dowodzi, że przeważnie nie ma do zażaleń powodów.

Asch potrząsnął głową. – Widzę to nieco inaczej, panie podporuczniku. Ale w tej chwili nie mam ochoty powiększać nieporozumień.

Elżbieta uważała za wskazane przerwać te rozmowę. – Właściwie po co tu jesteśmy? – zapytała z wyrzutem. – Uważam, że lokal, w którym się tańczy, nie jest odpowiednim miejscem na koszarowe pogawędki. Czyżby dla was wszystkich istniał tylko ten jeden temat?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział uprzejmie podporucznik.

– Chwała Bogu, nie! – oświadczył Asch. – Może zatańczymy?

– Chętnie.

– Nie chcę państwu dłużej przeszkadzać. Muszę wracać do koszar. – Wedelmann podniósł się. – Ma pani zupełną rację – powiedział do Elżbiety. W głosie jego brzmiała rezygnacja i smutek, – Mam wrażenie, że pani instynktownie odgadła to, o czym chcielibyśmy zapomnieć. I o czym czasami zapomnieć musimy. Przyjemnej zabawy!

Koszary nie spały nigdy. W nocy były olbrzymią, niespokojną bestią, która w każdej chwili mogła otworzyć, oczy i skoczyć do gardła. Koszary artyleryjskie ciągnęły się na długiej przestrzeni, składały się z sześciu murowanych bloków. Tkwiły w nich okna, których część była oświetlona. Światło wskazywało nie tylko izby, gdzie żołnierze po capstrzyku rozbierali się, jeszcze coś zjadali w pośpiechu, dzielili się swymi przeżyciami, wlewali w siebie resztki alkoholu. Światło paliło się również na długich korytarzach, w pokojach podoficerów dyżurnych oraz na wartowni. Latarnia

oświetlała bramą koszarową, przy której wartownik kontrolował przepustki.

Kanonier Vierbein szedł wolnym krokiem w stronę koszar. Zapytywał sam siebie, czy ma być wściekły na tego łotra Schulza, który prosto z sali tańca odesłał go do koszar. Potem nastąpiło pytanie, czy dlatego, że szef tak postąpił, powinien się czegoś obawiać. Nie potrafił jednak odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Myślał sobie: dziś jest sobota, jutro niedziela, służba zaczyna się dopiero pojutrze. Kto wie, co będzie w poniedziałek! Dziwił się tego rodzaju myślom. Mogły pochodzić od bombardiera Ascha!

Salutował każdemu, kogo spotykał, każdemu, kogo mijał, każdemu, kto stał na miejscu. Nie chciał narażać się po raz drugi na to, by z powodu lekceważenia przełożonego otrzymać naganę lub zostać wciągniętym na listę. Złożył ściśle przepisowy ukłon stojącemu pod drzewem kapralowi, którego dystynkcje ledwie były w mroku widoczne. Kapral me odpowiedział na ukłon; zapewne nie zauważył go wcale, a gdyby nawet zauważył, nie mógłby tego uczynić. Przyciskał bowiem do siebie dziewczynę i jego ręce były zajęte obmacywaniem jej.

Vierbein udał, że tego nie widzi. Nie chciał o tym myśleć, napęniało go to odrazą. Zmusił się do myślenia o Ingrid, o Ingrid Asch, o owym zdjęciu, które nosił w kieszeni. Jakie czyste było wszystko, co jej dotyczyło, jakie jasne, jak woda i słońce, jak jezioro, w którym się Ingrid kąpała, jak otaczające lasy, które ją widziały. Nad tym wszystkim unosiło się niebo na podobieństwo chusty; pragnął w myślach, by ta chusta okrywała tylko ich dwoje.

– No, żywo, ofermo! – zawołał wartownik przy bramie. – Łazicie jak muchy, bez przerwy zawracacie człowiekowi głowę.

– Oto moja przepustka niedzielna.

– Przecież widzę, że niedzielna – burknął z niechęcią wartownik. – Czego chcesz jeszcze? No, jazda, wynoś się!

– Chcę – powiedział Vierbein z zakłopotaniem – żeby mi dowódca warty wpisał godzinę mego przyjścia.

– Po co?

– Otrzymałem rozkaz bezzwłocznego udania się do koszar.

Wartownik bombardier spojrzał na niego ze współczuciem.

– Człowieku! – powiedział. – To nieładnie! Chodź ze mną.

Dowódca warty spał na siedząco. Bombardier obudził go i kanonier Vierbein wyraził po raz drugi życzenie, by na przepustce uwidoczniona została dokładna pora jego powrotu. Podoficer skinął głową, spojrzał na zegar, wpisał godzinę, umieścił na przepustce swój podpis i stopień służbowy; potem znowu położył głowę na stole i prawie natychmiast zasnął w pozycji siedzącej.

Johannes Vierbein udał się do bloku trzeciej baterii. Szedł jeszcze wolniej niż przedtem. Cóż to za życie, myślał. Przełożony rozkazuje i musisz słuchać bez względu na to, jak brzmi jego rozkaz. Jeżeli go nie wykonasz, jest to odmowa wykonania

rozkazu. A odmowa taka grozi sądem wojskowym. No tak, wypełnił rozkaz, uniknął sądu, przynajmniej na razie, ale kto wie, co jeszcze nastąpi? Teraz jest w koszarach!

Zresztą, mówił sobie, to dobrze, że opuściłem ten lokal. Nie powinienem był tam wchodzić ze względu na Ingrid. Po pożegnaniu się z Ingrid należało natychmiast pójść do domu – do koszar. Ingrid śpi teraz. Nie powinien był o tej porze włóczyć się po lokalach rozrywkowych. Jakże to zwykł był zawsze mawiać ojciec? Nie wiadomo, co komu wyjdzie na dobre! I miał rację. Dobrze, że szef po prostu przepędził go z tej tancbudy.

Co za noc! Niebo jest wysoko, lśni szafirem jak wielka chusta z ciężkiego jedwabiu. Powietrze delikatne jak oddech ukochanej dziewczyny. Zaskrzypiała koszarowa brama. Z oddali odezwały się jakieś pijackie głosy. Ktoś gdzieś spuścił wodę.

– Czy to pan, panie Vierbein? – Niepewny głos, który go zawołał, płynął z otwartego okna mieszkania szefa.

Johannes, stojący u wejścia do bloku baterii, spojrzął w górę. Mógł rozpoznać kontury wychylającej się z okna kobiety. Była to Lora Schulz, żona szefa.

– Dobry wieczór – powiedział Johannes Vierbein. Nie wiedział, czy ma iść dalej. Głos kobiety brzmiał serdecznie, ale zarazem ostrożnie, niepewnie, jak gdyby czuła się niedobrze. – Bardzo piękna noc.

– Niechże pan podejdzie trochę bliżej – powiedziała Lora – jeżeli ma pan jeszcze czas, trochę czasu dla mnie.

Vierbein, wpleciony w myśli o nocy i dziewczynie, o skórze i oddechu tej dziewczyny, o skórze dziewczęcej w ogóle, usłuchał tego wezwania. Zeszedł z wycementowanej alejki prowadzącej od jezdni do bloku baterii. Wszedł na trawnik, który pasem otaczał cały budynek. Spojrzął w górę, w stronę szeroko otwartego okna na parterze, z którego wychyliła się ku niemu Lora.

Lora dygotała z tęsknoty za tkliwością. Nocy tej tkliwością był już dla niej głos, który się jej podobał, człowiek, który ku niej spoglądał, ciało, którego zapach mogła poczuć przy głębokim wdechu. Odetchnęła bardzo głęboko.

– Tańczył pan ze swoją dziewczyną? – zapytała.

– Ależ nie! – powiedział Johannes.

– Wierzę panu! – Była szczęśliwa, że znalazła kogoś, kto z nią rozmawia. – Inaczej nie wróciłby pan tak wcześnie. A może nie ma pan w ogóle dziewczyny?

Lora Schulz nie czuła się obrażona, kiedy jej Vierbein na to nie odpowiedział. Uważała nawet, że żadna odpowiedź to dobra odpowiedź. Roześmiała się cicho i ze zdziwieniem słuchała swego śmiechu. „Mogę się jeszcze śmiać – powiedziała sobie – choć nie mam do tego żadnego powodu. Tak, nie mam do wesołości najmniejszego powodu.”

Jej mąż Schulz zamknął ją, po prostu zamknął. Próbowwała pić, ale jakoś to nie wyszło. Potem słuchała radia. Program był jednak nudny, jednostajny, zresztą wszystkie stacje nadawały to samo. Zabrała się do pisania listu do domu, który miała napi-

sać jeszcze przed kilkoma tygodniami, ale nie wyszła poza słowa: *Moi drodzy, jak zawsze powodzi mi się dobrze...* Zmiała rozpoczęty list, zużyła go na podpałkę do kuchennego pieca. Potem długo leżała w otwartym oknie; światło w pokoju było zgaszone i oczy jej szybko oswoiły się z ciemnością.

Czekała. Nie umiała powiedzieć na co. Wracali żołnierze, których nie znała. Niektórzy byli pijani, inni, a była ich większość, tylko zmęczeni. Około północy zobaczyła kaprała Lindenberga, który mijał sprężystym krokiem koszarowe zabudowania niosąc na wartownię książkę przepustek. Po krótkim czasie wrócił tym samym sprężystym krokiem. Potem zjawił się kanonier Vierbein, którego poznała od razu.

– Niech mi pan poda rękę – zażądała. Zabrzmiało to tak, jak gdyby groziło jej zapadnięcie się w morze smutku i szukała jakiegoś oparcia. Poza tym miała swoją sentymentalną godzinę: żalosne tony skrzypiec wycisnęłyby jej łzy z oczu, gorąca dłoń położona na ramieniu wywołałaby rozkoszne dreszcze. Kiedy patrzyła długo na księżyc, oczy jej stawały się wilgotne. – Niech mi pan poda swoją rękę!

Johannes nie namyślając się podniósł w górę rękę i poczuł, że została pochwycona.

Lora Schulz wychyliła się daleko do przodu. Chwyciła tę dłoń obiema rękami; miało się wrażenie, że się uczepiła koła ratunkowego. Ostrożnie dotykała palców mężczyzny, tego chłopca stojącego pod jej oknem. Potem powiedziała: – Jaki pan młody! – Mówiła bardzo nieśmiało, z wielkim zmieszaniem; w głosie jej można było wyczuć głęboką bezsilność i wielką żalność.

Vierbein wyczuł instynktownie tęskne zagubienie się istoty trzymającej jego rękę. Odgadywał, że istota ta buduje zamki na lodzie z tęsknoty, niezrozumienia, samotności i miłości własnej, i nie miał dość silnej woli, by brutalnie rozedrzeć to sentymentalne przedziwo. Nagle poczuł do niej tkliwą sympatię, jak gdyby była jego siostrą. Zawsze pragnął mieć siostrę niewiele różniącą się od niego wiekiem, siostrę, która by mu się podobała, której zazdrościłoby mu otoczenie, z której mógłby być dumny. Siostrę, z którą mógłby wychodzić, pokazywać się, dzięki której byłby szczęśliwy. Ale był zawsze sam. Zawsze.

Oboje, wpleceni w jedwabistą noc i mglistość swoich tęsknot, nie zauważyli zbliżającej się wysokiej, barczystej postaci. Postać ta zaczęła ryczeć.

– Co się tu dzieje?! – zawołał starszy ogniomistrz Schulz. – To jakieś zupełnie nowe metody!

Potężny głos odbił się echem od koszarowych zabudowań, miało się wrażenie, że dosięgnie gwiazd. Głos ten, który zdawał się bez trudu wypełniać cały świat, był ciężki od piwa i gniewu.

– Ty łobuzie! – zawołał do Vierbeina starszy ogniomistrz. – Wynosić się do wszystkich diabłów! Pomówimy jeszcze ze sobą! – Vierbein zasalutował i ruszył szybkim krokiem w kierunku budynku baterii. Znikł w wejściu. W nagle zapadłej groźnej ciszy nocy można było usłyszeć, jak pędzi na górę po schodach. Starszy

ogniomistrz Schulz wsłuchiwał się w te oddalające się kroki. Twarz jego była nie do poznania. Wysunął lekko głowę, potężne ramiona zwisały. Usłyszawszy kroki wyprostował się.

Wyrósł przed nim podporucznik Wedelmann. – Starszy ogniomistrzu, nie ryczcie tak straszliwie – powiedział dobrodusznie – i to pośród nocy!

– Tak jest, panie podporuczniku! – zawołał Schulz stając z wyraźną niechęcią w postawie zasadniczej. Z trudem panował nad sobą. Pienił się ze złości. Zdawało mu się, że pęknie za chwilę. Ten, ten... Ale wolał te niespodziewanie buntownicze myśli przewyciężyć i nie zdawać sobie zbyt wyraźnie sprawy z tego, co zawsze drzemało w jego podświadomości: ci zafajdani oficerowie! Gównu wiedzą o wojsku, ale zawsze się pchają, gdzie nie trzeba. Zwłaszcza ten!

Szef z wielkim trudem oderwał się od tych kipiących w nim myśli. Nie po raz pierwszy go nachodziły. Opadały go stale, wciąż na nowo, ale wystrzegał się tego, by je kiedykolwiek ujawnić. Był jednak o słuszności tych myśli przeświadczony. Praktyka potwierdzała mu to codziennie: on i inni podoficerowie wykonywali wszystkie prace. Oficerowie kontrolowali jedynie i prawie zawsze musieli stwierdzić, że kontrola była w ogóle niepotrzebna. Wszystko było w porządku właśnie dlatego, że on i jego podoficerowie o ten porządek dbali. „Dlaczego więc – pytał siebie ciągle – ci zafajdani oficerowie, te nieroby, te nicponie, stale we wszystko pchają swoje nosy? Robią to tylko, aby pokazać, że istnieją.”

Tego podporucznika Wedelmanna starszy ogniomistrz nigdy wysoko nie cenił, diabli wiedzą dlaczego. Dziś dopiero przyczyny stały się dla niego jasne: ten Wedelmann przymila się do szeregowców na koszt podoficerów! Siada w cywilu z podwładnymi, gawędzi z ich dziewczętami, mierzy z niedwuznaczną pogardą szarże służbowe. Nie koniec na tym. Ten ptaszek potrafi nawet obrażać zasłużonych podoficerów! I to w lokalu dla szeregowców! To wyraźne naruszenie solidnego porządku, brak respektu dla stopni służbowych. Jaka hołota dosługuje się dziś oficerskiego stopnia! Starszy ogniomistrz Schulz patrzył pogardliwie w kierunku drzwi, za którymi znikł podporucznik. „Jeżeli zostanę kiedyś oficerem – postanowił – nic podobnego się nie zdarzy!”

To jego błogie poczucie wyższości nie trwało jednak długo. Spojrzał w stronę oświetlonych już teraz okien swego mieszkania. Ogarnęło go głębokie osobiste rozgoryczenie. Krzyż pański z tą Lorą! Nie zasłużyła na takiego męża. Wziął ją, można powiedzieć, z rynsztoka, zrobił z niej swoją żonę, dał jej mieszkanie. Była teraz żoną starszego ogniomistrza-szefa! Szefa! Żoną człowieka, któremu podlegało bezpośrednio i którego ślepo słuchało dwudziestu dwóch podoficerów i stu trzydziestu szeregowców. Żoną człowieka, któremu setki tysięcy – nie wiadomo, ilu ich tam było wszystkich razem – podoficerów i szeregowców w całych Niemczech musiały oddawać honory wojskowe!

Ale Lora nie liczyła się z tym wszystkim. Tłumaczył jej to wielokrotnie i szczegó-

łowo, lecz nigdy nie wyciągała z jego słów odpowiednich wniosków albo po prostu o nich zapominała. Była pozbawiona godności. Miał obowiązek tak to określić. Było to godne pożałowania, ale nieuniknione.

Wyciągnął z kieszeni spodni pęk kluczy. Wybrał klucz od swego mieszkania. Manipulował długo przy zatrasku, potem majstrował przy głównym zamku. Zabrało to sporo czasu i pozwoliło na dalsze rozmyślenia.

Całe zło tkwi w tym, mówił sobie, że żona jego Lora nie ma właściwego zrozumienia dla jego stanowiska służbowego. Powinna być dumna, dumna z niego! Z dumy wynika odpowiednia postawa życiowa, a taka postawa – to wielkość. Ale Lora była małostkowa i mściwa, a w dodatku pozbawiona godności. Całkowicie pozbawiona godności!

To, że próbowała zdradzić go z ogniomistrzem Werktreuem, można było ostatecznie ze stanowiska godności stopnia wojskowego jakoś usprawiedliwić. Bądź co bądź chodziło niemal o tę samą kategorię stopnia wojskowego. Przypominało to nieco ową pikantną historyjkę z żoną dowódcy, która podobno podczas zabawy letniej, urządzanej przez drugą baterię, przyłapana została w krzakach z pewnym porucznikiem, można powiedzieć, *in flagranti*. Śmiano się z tego, ale ze zmrużeniem oka.

To jednak, na co sobie teraz pozwoliła Lora, było niewybaczalne. Niewybaczalne! Zadaje się z najniższym stopniem służbowym Wehrmachtu, z kanonierem! W dodatku z kanonierem z jego baterii, z pokraką o krzywych nogach, wąskich piersiach, pozbawioną ducha żołnierskiego.

Kipiał z oburzenia.

Postanowił zdrowo złoić żonie tyłek. To z pewnością pomoże. Przynajmniej na parę dni.

Każdy ranek wstający nad koszarami budził w nich ożywienie i ruch. Tylko w ranki niedzielne gwar był nieco bardziej stłumiony niż codziennie i zaczynał się o dwie godziny później.

Lindenberg, podoficer dyżurny trzeciej baterii, podniósł się pierwszy. Budzik wykrzeszczał pięć przed siódmą. Oficjalnie, w myśl regulaminu, pobudka miała nastąpić o ósmej. Lindenberg znał obyczaje reszty podoficerów, nie przyczyniające się do podniesienia dyscypliny, i potępiał je. W niedzielę zwykli byli koło ósmej robić trochę hałasu, co miało uchodzić za pobudkę, po czym znowu kładli się spać. Ich niedzielna dewiza brzmiała: „Nie niepokoić, żeby samemu mieć spokój”. Około dziesiątej zarządzali powierzchowne czyszczenie rejonu – to wszystko.

Kapral Lindenberg postępował inaczej. Było powszechnie wiadomo, że trzyma się ściśle regulaminu. Nie miał też zwyczaju rozpoczynać pobudki punktualnie co do minuty, zgodnie z regulaminem, lecz czynił to o dwadzieścia minut wcześniej, by wszystko było na czas gotowe. I to było powszechnie wiadome. Żołnierze traktowali kaprała Lindenerga tak, jak się traktuje zjawiska przyrody, jak deszcz albo wichurę. Napęniało to Lindenerga cichą, nie ujawnianą przez niego dumą.

Gdziekolwiek się znajdował, był zawsze na służbie. Nieprzychylnie doń usposobieni twierdzili, że we śnie trzyma ręce przy udach i nawet w toalecie zajmuje nienaganą postawą. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że wystarczy mu kilka sekund, żeby być „na posterunku”. Budzik nie przestał jeszcze skrzeczeć, a Lindenberg już stał pośrodku pokoju i robił swoje pierwsze przysiady. Przy tym zajęciu przypominał sobie, że postanowił zapamiętać nazwisko kanoniera Vierbeina. Przecież to ten Vierbein skłonił Ascha do podania fałszywych informacji, co pozwoliło szefowi udzielić nagany tak wzorowemu podoficerowi, jakim był on – Lindenberg. Coś podobnego nie zdarzało się prawie nigdy.

Lindenberg włożył spodenki sportowe, koszulkę i pantofle gimnastyczne i wybiegł przez opustoszały korytarz na dwór. Solidnym biegiem podążył w kierunku placu ćwiczeń. Tu zrobił we wzmożonym tempie trzy okrążenia, co w sumie równało się sześciu kilometrom. Podczas biegu ściągnął koszulkę i stwierdził z przyjemnością, że ciało jego błyszczy od potu. Był rad, że jest w dobrej formie.

Potem poszedł pod natrysk. Znalazłszy się pod strumieniem zimnej wody miał wrażenie, że skóra jego paruje. Ogolił się później w wielkim skupieniu, umył zęby, pokropił włosy skrupulatnie odliczonymi siedmioma kroplami oliwy, co nadało jego fryzurze łagodnego blasku. Z kolei sięgnął po buty, które wyczyścił poprzedniego wieczora; punktualnie dwadzieścia minut przed ósmą był gotów.

Przed rozpoczęciem służby rzucił jeszcze okiem w wielkie lustro umieszczone obok drzwi wejściowych. Wygładził fałdę pod pasem. Potem przesunął czapkę o milimetr na prawo. Obraz, który ujrzał w lustrze, był bardziej doskonały niż wszystkie zdjęcia figurujące w podręczniku Reiberta, przeznaczonym do codziennego użytku służbowego.

Obudził naprzód izbę swego działonu, w której znajdował się także kanonier Vierbein. Otworzył szeroko drzwi, zagwizdał krótko i gwałtownie swym gwizdkiem i zawołał ostro: – Wstawać! – Żołnierze podnieśli się, pierwszy zerwał się kanonier Vierbein. Lindenberg zwrócił na to baczną uwagę i nie bez zadowolenia zanotował w pamięci. Stał w drzwiach i zaróżowiony, wyprężony obserwował zmęczone postacie, przeciągające się wśród powstrzymywanych przekleństw na łózkach. Po chwili zawołał: – Wietrzyć! – i zatrasnął za sobą drzwi.

Proceder ten powtórzony został ze zdumiewającą precyzją osiemnaście, tak, osiemnaście razy. Punktualnie o ósmej cała załoga trzeciej baterii była gruntownie obudzona.

O godzinie ósmej dziesięć, spędziwszy jakieś dziewięć minut w toalecie, rozpoczął swoją drugą rundę.

Znowu kontrolował izbę za izbą, aby się przekonać, że wszyscy wstali, że każdy z obudzonych stara się zasać swe łóżko, poddać swe ciało dokładnemu wyszorowaniu, przewyciężyć bezwład minionej nocy.

Z każdej izby zażądał po jednym żołnierzu do czyszczenia rejonu; z własnego

działonu odkomenderował do tego zajęcia aż dwóch, i to nie pierwszych lepszych, lecz wymienionych przez niego po nazwisku: bombardiera Ascha i kanoniera Vierbeina. Niechętnie, ale w nienagannej postawie i bez słowa wyrzutu przyjął do wiadomości, że Asch ma przepustkę na niedzielę i nie wrócił do koszar, ponieważ ma w mieście rodzinę. – W takim razie zrobicie to sami, Vierbein – zdecydował.

Lindenberg lubił niedziele, pełnienie służby w te dni od samego rana sprawiało mu przyjemność. Nikt mu nie przeszkadzał, cały budynek baterii należał wyłącznie do niego. Miał swobodne pole działania, mógł rozsmakowywać się we wszystkich możliwościach, na jakie mu przepisy pozwalały.

Rozkraczywszy nogi stanął pośrodku korytarza, zagwizdał i zawołał: – Dyżurni po kawę, zbiórka! Do czyszczenia rejonu, zbiórka! – Kanonier Vierbein miał zupełnie sam oczyścić dolną latrynę.

Lindenberg pracował dokładnie według planu, który sobie poprzedniego wieczora ułożył. Wyglądało to tak: dolny korytarz – jeden żołnierz do czyszczenia latryny, po jednym na pokój podoficera służbowego, umywalnię, natryski, dwóch do czyszczenia korytarza łącznie z myciem okien. Mniej więcej to samo na korytarzu środkowym i górnym. Ponadto porządki obejmowały schody, piwnice, strychy, podłogi, rejon zewnętrzny.

Kiedy służbę pełnił w niedzielę lub święto podoficer Lindenberg, pracowano zwykle mniej więcej do dziesiątej. Vierbein jednak nie był jeszcze gotów tuż przed jedenastą. Choć się bardzo starał, kapral nie wysilając się zbytnio znajdował wciąż miejsca, które nie odpowiadały stuprocentowo jego wymogom czystości.

Tymczasem okazało się, że jeden z żołnierzy zachorował. Trudno było przypuszczać, że symuluje, choć sprawa była podejrzana, gdyż chodziło o kanoniera, który tego dnia wieczorem miał pełnić służbę wartowniczą. Przed odesłaniem na izbę chorych, gdzie mu dano aspirynę, Lindenberg wziął go porządnie w obroty. Dopiero w późnych godzinach popołudniowych, po stwierdzeniu zapalenia wyrostka robaczkowego, przetransportowano go do szpitala.

Powstała konieczność uzupełnienia warty. Około dziesiątej kapral Lindenberg zadzwonił więc do starszego ogniomistrza Schulza. Ten, zmęczony różnymi wyczynami ubiegłej nocy – naprzód solidnie zbił żonę, potem ogarnęła go chęć pokazania jej, że nie zamierza zrezygnować z małżeńskich rozkoszy – otworzył drzwi ziewając na całe gardło.

– Proszę pozwolić zameldować sobie, panie szefie – wybębnił kapral Lindenberg zachowując nienaganą poprawność, jak zawsze w każdej sytuacji życiowej – że jeden wartownik odpadł. Potrzebujemy uzupełnienia.

Starszy ogniomistrz spojrzał na niego mętnym wzrokiem. Raz jeszcze ziewnął bez żenady, obserwując przy tym swego podoficera; Lindenberg stał nieruchomo z kamiennym wyrazem twarzy. – Weźcie więc kanoniera Vierbeina – powiedział Schulz.

– Tak jest, panie szefie! – zawołał kapral. – Kanonier Vierbein! – Nie dał poznać

choćby zmruczeniem oka, jak bardzo nie zgadzał się z tą decyzją swego szefa.

Kanonier Vierbein przyjął rozkaz objęcia w niedzielę wieczorem służby wartowniczej z pewną ulgą. Był przygotowany na to, że spotka go kara; nie wiedział wprawdzie dokładnie za co, ale przeczuwał, że tak będzie. Pełnić wartę, powiedział sobie, to wcale nie najgorsze. Dwie godziny stać, dwie godziny siedzieć, dwie godziny spać, i to w ciągu całej doby. Regulamin służby wartowniczej był przejrzysty, jakieś wyjątkowe szykany niemal niemożliwe. Żaden chyba rodzaj służby nie był uregulowany tak korzystnie.

Szkoda tylko, że nie będzie mógł zobaczyć się z Ingrid. Umówił się z nią na godzinę siedemnastą. Ale o godzinie siedemnastej trzydzieści wartownicy mieli stawić się na zbiórkę przed koszarami baterii. Punktualnie o godzinie osiemnastej następową zmianą warty. Postanowił, że następnego dnia poprosi Ascha o wytłumaczenie go przed siostrą. Służba jest służbą i nikt nic na to poradzić nie może. Był przekonany, że Ingrid to zrozumie.

Po południu spał trzy godziny na zapas. Około godziny szesnastej zaczął się przygotowywać do służby: wyszczotkował starannie mundur wartowniczy, wyczyścił pas, ładownicę, buty i karabin. Od godziny siedemnastej był gotowy do wymarszu.

Dowódcą warty był kapral Schwitzke, nazywany powszechnie Mamutem, ponieważ w pojmowaniu spraw służbowych robił wrażenie wyraźnie przedpotopowe: Schwitzke był uosobieniem spokoju. Nikt nie wiedział, dlaczego został kapralem, wszyscy byli przeświadczeni, że nigdy nie zostanie ogniomistrzem. Ulubione jego powiedzenie brzmiało: „Człowiek stary to nie pociąg pospieszny”.

Wszystko to nie wykluczało faktu, że mówiąc słowo „spokój” Schwitzke miał na myśli tylko siebie. Planowe, w razie potrzeby nieprzerwane zatrudnianie innych stanowiło dlań gwarancję własnego spokoju. Schwitzke nigdy nie krzyczał, wydawał tylko rozkazy. Spokojnie, gruntownie, z myślą o tym, by spełnić wymogi służby z możliwie jak najmniejszym wysiłkiem nerwów. Siedział na miejscu i zabezpieczał się. Robił tylko to, co było bezwzględnie konieczne. Ale zawsze umiał wywoływać wrażenie, że jest ogromnie zajęty. Kiedy czytał powieści kryminalne – żółtą serię po trzydzieści fenigów za zeszyt – chował ją do dziennika warty i podczas czytania trzymał w ręku pióro.

Schwitzke odznaczał się poza tym przedziwną znajomością ludzi. Wśród powierzonych sobie podwładnych umiał wyczuć z nieomylną pewnością tego, który stawiać mu będzie najmniejszy opór, i zalewał mu sadła za skórę. Rzecz zrozumiała, że wybrańcem tym był wśród jego wartowników Vierbein.

Kanonier Johannes Vierbein spełniał bez szemrania i gniewu wszystkie polecenia, które na niego spadały. Przynosił z kantyny wodę z sokiem dla kaprała, zamiatał wartownię, raz po raz podawał Schwitzkemu ogień do papierosa. Było to cudowne: nie włóczono go po ziemi, nie musiał padać w błoto, słuchać wymyślań. Służba wartownicza była niemal wypoczynkiem, w każdym razie pod komendą Schwitzkego.

Najpiękniejsze były godziny służby na posterunku. Spokojnie odbywał swoje rundy: wzdłuż płotu, obok działowni, przez plac ćwiczeń. Sprawdzał zamki przy skrzyniach z amunicją oraz plomby przy hydrantach. Nie potrzebował obawiać się kontroli, gdyż oficerowie dyżurni od kilku tygodni zwykli byli uprzedzać swoje zjawianie się. Było to niewątpliwą zasługą bombardiera Kowalskiego, który kiedyś wystrzelił, zanim kontrolujący oficer zdążył wyjąkać hasło.

Kiedy Vierbein z nabitym i zabezpieczonym karabinem na ramieniu był sam ze swoimi myślami, czuł się jak prawdziwy żołnierz. Czuwał, a inni mogli spać spokojnie. Koledzy leżeli w łózkach, działa stały w działowniach, amunicja piętrzyła się w skrzyniach, a on strzegł tego wszystkiego. I gdyby się zjawił jakiś szpieg czy sabotażysta, strzelałby ostrymi nabojami, by ustrzec to, co oddane zostało pod jego pieczę. W karabinie tkwiło pięć naboji, w ładownicy mieściło się dalszych piętnaście. Spełniłyby swój obowiązek – ojczyzna mogła być spokojna.

Kroczył przez jasną noc miarowo i pewnie. Buty skrzypiały na żwirze, lufa wojowniczo uderzała o stalowy hełm. Rozmyślał w dalszym ciągu. Dlaczego, pytał sam siebie, choć się uczciwie trzyma, jest celem podoficerskich ataków. Przecież naprawdę zadaje sobie wiele trudu, robi wszystko, czego od niego wymagają, i nawet więcej jeszcze. Jest w każdej chwili w pogotowiu, melduje się stale na ochotnika, nigdy nie sarka, zawsze okazuje w służbie zapał i gorliwość. Ale nikt tego nie docenia. Przeciwnie, wloką się za nim sprawy niemiłe. Zawsze tylko on musi podpaść. Inni mogą się godzinami wykręcać od służby i nikt się o to nie troszczy; jeżeli o niego chodzi, kiedy tylko próbuje na chwilę odsapnąć, każdy z przełożonych spostrzega to z odległości stu metrów.

Ponieważ nie można było tego zmienić, uważał za wskazane nie rozmyślać nad tym dłużej. Podszedł do tylnej bramy, sprawdził, czy jest zamknięta. Powędrował wzdłuż ogrodzenia; świeżo założony drut kolczasty lśnił w świetle księżyca. Zaczął myśleć o rodzicach, zwłaszcza o ojcu, który byłby z pewnością dumny, gdyby go mógł w tej chwili zobaczyć. Potem wyobraził sobie Ingrid. Co też ona teraz robi? Może leży w łóżku. Zaczął to sobie wyobrażać bardziej dokładnie, po chwili jednak uznał, że lepiej będzie unikać tego tematu.

W kilka godzin później miał służbę przy głównej bramie. Odmierzał dwanaście kroków dzielących wartownię od bramy, ilekroć ktoś chciał wejść, odbierał przepustki, oddawał podoficerom przepisowe honory. Od czasu do czasu zatrzymywał się na dłuższą chwilę przy otwartej bramie, pod latarnią, robił dwa, trzy kroki w kierunku ulicy. Patrzył w stronę „Bismarckshöhe”, skąd wracali ostatni posiadacze przepustek.

Powoli, bardzo powoli zaczynało świtać. Daleko na horyzoncie pojawiło się ołowiane, matowe światło. Nad ziemią unosiła się poranna mgła.

Ogniomistrz Platzek, Platzek-dręczyciel, toczył się w kierunku bramy. Był pijany, a więc we wspaniałym nastroju. – Hej, ty tam, świntuchu zatracony, otworzyć szero-

ko bramę! – zawołał bełkocąc. – Jeżeli się nie przedostanę, wina spadnie na was. Zrozumiano?

– Tak jest, panie ogniomistrzu! – wybęnił machinalnie kanonier Vierbein.

Trzymając się mocno bramy Platzek wyjąkał: – Jeden z nas jest pijany. Jasne? Kto?

Vierbein zasalutował po raz drugi, unikając odpowiedzi.

– Jeden z nas dwóch – ciągnął z uporem Platzek – jest pijany. Powiedzcie mi, człowieku, robaku, parówko zatracona, czy ja jestem pijany?

Vierbein zdawał sobie jasno sprawę, że nie wolno mu powiedzieć: „Tak, pan ogniomistrz spił się jak świnia”. Wiedział, na co Platzek czeka. Oświadczył więc: – Nie, panie ogniomistrzu!

Platzek spojrział na kanoniera przymrużonymi oczkami i sapiąc oparł się o słup. – Dobrze! – wykrztusił z trudem. – Nie jestem pijany. Ale jeden z nas dwóch jest pijany. A więc to wy! Jasne?

– Tak, panie ogniomistrzu!

– Wstyd! – powiedział Platzek. – Stoi łajdak na posterunku i jest pijany! – Potoczył się dalej, po chwili przystanął, obejrzał się. – Zamelduję o tym – obwieścił z trudem. Potem, zataczając śmiałe łuki, pozeğłował do koszar.

Vierbein nie miał wcale ochoty się śmiać. Popatrzył za nim i wzruszył ramionami. Chodziło tu wyraźnie o koszarowy kawał – nie znał się na tym. Już miał zamknąć bramę i wrócić do wartowni, kiedy usłyszał znany mu głos. Wołano: „Vierbein!” Wołający dodał półgłosem: „Powietrze czyste?”

Kanonier Vierbein zorientował się od razu, że to głos Ascha. Podszedł do bramy, mrużąc oczy spojrział w kierunku ciemnej ulicy, skąd głos zdawał się dochodzić. – Co się stało? – zapytał. – Gdzie jesteś?

– Nie ma w pobliżu nikogo? – zapytał Asch.

– Nie – odrzekł Vierbein, nie wiedząc, co sądzić o sytuacji.

– To dobrze! – zawołał Asch. – Otwórz bramę. Idę!

Z ciemności wyłoniła się postać bombardiera Ascha, zmierzająca w jego kierunku. Vierbein zauważył z przerażeniem, że Asch ma na sobie tylko koszulę. Nie było żadnej wątpliwości: bombardier Asch przeszedł w koszuli przez koszarową bramę, obok znieruchomiałego Vierbeina. I to tak, jak gdyby to było zrozumiałe samo przez się.

Vierbein miał wrażenie, że świat się wali. Przeczynał najstraszniejsze komplikacje. Wyjąkał: – Tego nie możesz przecież robić. Muszę to zameldować. Dostanę się przez ciebie pod sąd wojskowy.

– Człowieku, nie pleć! – zawołał Asch i rażno maszerował dalej. – Zamknij oczy, a resztę mnie pozostaw. Jutro ci opowiem, co się stało.

Kanonier Vierbein zamknął bramę drżącymi rękami. „Żeby się tylko dobrze skończyło!” – pomyślał i o niczym innym nie potrafił już myśleć. Z lękiem patrzył w

ciemność, która pochłonęła w swych czeluściach Ascha odzianego tylko w koszulę. Z początku było cicho, zatrzważająco cicho, potem w koszarowej nocnej ciszy podniósł się triumfalny wrzask.

– A to co takiego! – wrzeszczał Platzek z entuzjazmem pijaka. Zrobiło mu się niedobrze, stał oparty o mur, wyrzygał się przed chwilą i właśnie był zajęty doprowadzaniem się do jakiegoś porządku, kiedy nagle ujrzał postać Ascha w koszuli. – To nie do uwierzenia! Ten łajdak ma na sobie tylko koszulę. Skąd przychodzicie, Asch? Jakaście się, małego zielona, tutaj dostali?

Na dźwięk tych słów Vierbeinowi zrobiło się najpierw zimno, później gorąco. W zwilgotniałej od potu ręce trzymał kurczowo klucz od bramy. Widział już siebie przed sądem wojskowym, słyszał wyrok, ujrzał się w więzieniu. To bowiem, co tu zaszło, musi być uznane za wykroczenie w czasie pełnienia służby wartowniczej.

Nagle usłyszał w ciemności pełny, spokojny głos bombardiera Ascha, ten głos, który zawsze brzmiał tak, jak gdyby mówiący bawił się skrycie. Asch powiedział: – Niech mi wolno będzie zameldować panu ogniomistrzowi, że jestem lunatykiem.

Vierbein miał wrażenie, że Platzek nie posiada się ze zdumienia. Minęła dobra chwila, zanim rozległ się jego głos, zachrypnięty od piwa. – Można pęknać ze śmiechu! – zawołał. – Musicie mi to opowiedzieć, Asch.

– Chętnie, panie ogniomistrzu! – odparł bombardier. Potem oddalili się zgodnie. Zapanowała cisza, raz tylko przerwana rykiem śmiechu Platzka.

Kanonier Vierbein stał jak wryty. „Żeby to się tylko dobrze skończyło – myślał – żeby się tylko na tym skończyło!”

Miłość żołnierzy była inna niż miłość fabrykantów, nie była również podobna do miłości urzędników pocztowych i hotelowych kelnerów. Miała swoje cechy szczególne. No tak, w owym jednym, określonym punkcie miłość bywała taka sama zawsze i wszędzie. Ale w formach, w przygotowaniach – klasy, grupy, stopnie służbowe różniły się między sobą.

Herbert Asch znał miłość żołnierską w pewnym stopniu z własnego doświadczenia, ale również i z przyglądania się, i ze słyszenia. Wiedział, że miłość ta była gorączkowa, szybka, przelotna.

Nie była też nazbyt ostrożna w doborze obiektów. Przepustki skracają noc. Przypadek kierował doborem. Różne dorywcze przygody bywały później tematem ulubionych ordynarnych rozmów koszarowych; cechowała je przesada, rozprawiano o każdym szczególe, często podawano pełne adresy.

Asch orientował się w miejscowych finezjach, odmiennościach, prymitywizmie, wynaturzeniach. Wiedział, co to miłość pod murem cmentarnym, w szopie kręgielni „Bismarckshöhe”, miłość w altanach i pod koszarowym płotem. Znał powtarzane często w izbach żołnierskich powiedzonko: „Wynoście się, chciałbym się z moją narzeczoną dziesięć minut zabawić”. Wiedział, co oznaczało, kiedy podoficer mrużąc oczy obwieszczał: „Nie życzę sobie, by mi dziś po południu przeszkadzano”. Kiedy

podporucznik Wedelmann puszczał w ruch płyty z francuskimi piosenkami i w pokoju paliło się tylko małe światełko, można było zgadnąć, co się u niego dzieje.

Decydował zawsze ściśle określony termin, nie tolerujący miłosnych czułości, skracający wszelkie przygotowania. Raz był to capstrzyk, raz godzina, w której kończyła się przepustka, innym razem pobudka. Pośpiech określał działanie.

Dołączyło się do tego dławiące uczucie, że trzeba być stale w pogotowiu. Mógł się nagle pojawić jeden z wielu tysięcy przełożonych; syreny alarmowe wyrwały z objęć miłosnych; zawsze istniała możliwość, że w ciągu kilku godzin człowiek zostanie przeniesiony; przeniesiona również mogła być w błyskawicznym tempie cała jednostka. Wreszcie istniała możliwość, że znowu trzeba będzie oswobodzić jakiś nowy kraj. Należało również liczyć się z tym, że jednak bomba, z którą się igra od lat – wojna – wybuchnie. A wojna oznaczała nie tylko koniec miłości, ale może również koniec życia.

Stąd żądza miłości, żądza życia.

Niektórzy nigdy tak nie myśleli. Na przykład Vierbein, zapewne i Lindenberg, o ile w ogóle myślał o kobietach. Byli też tacy, którzy nie zawsze tak myśleli; na przykład Herbert Asch podczas tego wspaniałego niedzielnego wieczoru, który spędził z Elżbietą.

Bombardier Herbert Asch był zdecydowany zachowywać się wobec Elżbiety przyzwoicie. Kochał ją bardziej niż siebie, pragnął, by miłość ta trwała, chciał ją przechować na piękniejsze, lepsze, swobodniejsze dni, na czas, w którym zatrwajająca wielkość jego uczuć dla Elżbiety mogłaby znaleźć ujście.

Trzymał ją za rękę, leżał obok niej na trawie, patrzył w niebo i marzył: Oboje z Elżbietą obejmują kawiarnię Ascha; ojciec, zadowolony, że się pozbył troski, zjawia się tylko od czasu do czasu, przechodzi przez sale, składając ukłony dostojnikom partii, która właśnie sprawuje rządy; gdzieś bawi się wesoło dwoje dzieci, a kiedy Herbert jest w wyjątkowo dobrym nastroju, opowiada o swojej dwuletniej służbie wojskowej, o tym, jak komiczne zdarzały się wówczas wypadki.

– O czym myślisz? – zapytała Elżbieta patrząc na niego. – Z czego się cieszysz?

– Z dzieci – odpowiedział. – Z tego, że nie będą musiały nosić mundurów.

Elżbieta spojrzała na niego z powątpiewaniem. – Naprawdę tak myślisz?

Herbert Asch włożył do ust źdźbło trawy. – To pewne. Albo będziemy mieli cały świat w kieszeni i wtedy Wehrmacht będzie nam niepotrzebny, albo cały świat wpakuje nas do kieszeni i wtedy dopiero Wehrmacht stanie się niepotrzebny.

Elżbieta wyciągnęła się na trawie i potrząsnęła głową. – Nie wiem – powiedziała po namyśle. – Dokładnie to samo, co powiedziałaś, mówił podobno kiedyś ojciec w roku tysiąc dziewięćset trzynastym, gdy był jeszcze bardzo młody.

– Ach, wtedy! – Herbert położył się na brzuchu. – Wtedy nie doszło jeszcze do wielkiej katastrofy. Dziś dzięki doświadczeniu staliśmy się mądrzejsi. Prowadzimy nasze wojny na zimno.

Elżbieta uśmiechnęła się. – Masz rację – powiedziała. – Jesteś zimnym wojakiem. Herbert Asch wpił się w jej wargi. – Słuchaj no, ty – powiedział – ja ci pokażę, które z nas jest zimne. – I znowu namiętnie ją pocałował.

Elżbieta przestała się śmiać. Jej ręce objęły jego ramiona, poczuła ciepło jego ciała. Stała się bezwolna, leżała cicho, ulegle.

– Elżbieto! – powiedział i ręka jego dotknęła jej biodra.

Wyrwała mu się z objęć, odtrąciła go, podniosła się na równe nogi. Choć było ciemno, zauważył, że twarz jej płonie.

– Wybacz – powiedział Herbert podnosząc się również. Znowu się uśmiechnęła. – Chodź – powiedziała. – Muszę wracać do domu. – Ujęła go pod ramię. – Na głupstwa nie możemy sobie pozwolić.

– Tak, Elżbieto.

– Później – powiedziała tkliwie. – Później będziemy mieli na to dosyć czasu.

– Tak, Elżbieto.

Po drodze wysunął ostrożnie swe ramię spod jej ramienia i objął ją w pół. Nie tylko nie zaprotestowała, ale przytuliła się do niego. Niewygodnie było tak iść, wyglądało to strasznie głupio, ale im się podobało. Kochali się przecież.

Asch szukał bocznych dróg, by uniknąć spotkania z przełożonymi. Ręka jego, nie natrafiając na opór, dotarła aż do nasady jej jędrnych, małych piersi; równocześnie rozglądał się bacznie dokoła, by się na kogoś nie natknąć.

Szli tak długo wśród nocy, złączeni w uścisku. Mówili niewiele, ale nawet nie otwierając ust bardzo dużo sobie powiedzieli. Myśleli oboje o tym samym: oto była sobota, tańczyli ze sobą, całowali się, mówili sobie po imieniu i wszystko było zrozumiałe samo przez się. Oto była niedziela, którą spędzili razem, jak gdyby byli od lat przyjaciółmi, cała niedziela, która minęła tak straszliwie szybko, przedziwna niedziela, wypełniona nie kończącymi się rozmowami, włóczęgą bez celu, namiętnymi pocałunkami, które ich napełniały lękiem, choć wszystko to było przecież zrozumiałe samo przez się.

– Musisz teraz iść – powiedziała.

– Tak, Elżbieto.

Przytuleni do siebie stali pod lipą, w odległości jakichś czterdziestu metrów od domu Freitagów.

– Nie mogę teraz odejść – powiedział; zabrzmiało to prawie beznadziejnie.

Ręce ich zagubiły się. Dotykała jego szorstkiego munduru; ciało jej płonęło, ale ręce leżały nieruchomo.

– Elżbieto! – szepnęła i wargi jego spłynęły na jej szyję. – Elżbieto!

– Chodź! – powiedziała. Chwyciła go za rękę, pociągnęła w stronę domu Freitagów. Szli w ciemności jak pijani.

Elżbieta szła pierwsza. Otworzyła drzwi i wprowadziła go do przedpokoju. Drzwi cicho zatrzasnęły się za nimi. Jej pokój przyjął ich do siebie.

– Elżbieto! – powiedział. – Kocham cię!

– Zdejm mundur – odrzekła szeptem.

Zapadli się w siebie, a księżyc spoglądał na nich. Zdawał się uśmiechać jak zadowolony alfons. Oświecał meble pokoju, miało się wrażenie, że lubieżnie wstrzymuje oddech.

Leżeli obok siebie wyczerpani i błogo się uśmiechali. Delikatnie dotykali się nawzajem końcami palców. Byli pełni szczęścia, zadowoleni z siebie i ze świata. Również żołnierska miłość zna tę chwilę, w której się wydaje, że ziemia przestała się obracać. Ale ziemia żołnierza obraca się prędzej niż ziemia człowieka normalnego.

Spała. Czuwał, myślał o niej i o sobie, o drodze, którą trzeba będzie przemierzyć, żeby na czas dojść do koszar.

Poza tym poczuł gwałtowną konieczność wyjścia za małą potrzebą.

Herbert Asch podniósł się ostrożnie, nałożył na siebie koszulę i powiedział szeptem do leżącej w półśnie Elżbiety:

– Zaraz wrócę, kochana.

– Dobrze – powiedziała machinalnie. Pod wpływem ogromnego zmęczenia nie mogła zebrać myśli.

Ostrożnie, bosy, w koszuli przemknął się Asch do przedpokoju, głowiąc się nad tym, co począć. Nie uważał za wskazane otworzyć pierwszych lepszych drzwi i wpaść w ręce nie wiadomo kogo; uznał, że będzie najlepiej wyjść po prostu na dwór.

Bardzo ostrożnie uchylił drzwi i wyszedł. Drzwi znowu zatrzasnęły się łagodnie.

Zauważył to dopiero wtedy, kiedy chciał wejść z powrotem. Stwierdził ze zdumieniem, że drzwi zamykają się na automatyczny zatrzask i nie można ich bez klucza otworzyć; było to dzieło majstra Freitagą, który nie na próżno uchodził za wybitnego mechanika.

Dopiero po upływie długich sekund Asch uświadomił sobie, co to dla niego oznacza.

Gruntownie, po wojskowemu zastanawiał się nad wytworzoną sytuacją: Nie może dostać się do domu bez pukania lub dzwonienia. Elżbieta z pewnością śpi, może upłynąć sporo czasu, nim zauważy, że go nie ma, i zacznie go szukać. Nie wolno mu robić żadnego hałasu. Nic nie powinno zajść, co by Elżbietę – jego Elżbietę – mogło skompromitować.

A więc – do koszar! Tak jak stoi. Nie ma innego wyjścia. Musi to zrobić ze względu na Elżbietę. Kto wie, może będzie miał szczęście i jakoś bez przeszkód dotrze do baterii. A jeżeli los będzie mu wyjątkowo przychylny, natrafi na Vierbeina, który pełni służbę wartownika.

Decyzja, by natychmiast ruszyć w koszuli do koszar, została umocniona szeregiem okoliczności. Zaczęło się robić zimno, poza tym ranek zdawał się już bliski, gdyż na horyzoncie pojawiły się srebrzyste smugi, wreszcie w mieszkaniu Freitagów rozległy się głosy. Ruszył więc pędem przed siebie.

Głos, który usłyszał, był głosem majstra Freitag. Zatrzaśnięcie drzwi obudziło go ze snu; miał wrażenie, że tej nocy, przed jakąś dobrą godziną, ktoś już te drzwi zatrzasnął.

Zapukał do pokoju Elżbiety. – Jesteś w domu? – zapytał.

– Jestem – odpowiedziała przerażona Elżbieta.

– Dopieroś przyszła?

– Nie, wcześniej. Przecież już śpię.

– Spij spokojnie dalej, moje dziecko – powiedział Freitag ojcowskim tonem. A do siebie szepnął ze zdziwieniem: „Miałem przecież wrażenie, jak gdyby...” Po chwili poszedł na górę do swego pokoju i położył się. Ale dość długo nie mógł zasnąć, ciągle bowiem miał nieodparte uczucie, że stało się coś, co mu da wiele do myślenia.

Tymczasem Elżbieta siedziała z bijącym sercem na łóżku. Nie wiedziała, co zaszło. Nie umiała wyobrazić sobie, co się stanie dalej. Czuła się zmęczona, rozbita i zrozpaczona. Zobaczyła bowiem porzucane na podłodze części ubrania i oporządzenia bombardiera Ascha: kalesony, skarpetki, spodnie, kurtkę, buty, czapkę i pas. Brakowało tylko koszuli. A ojciec słyszał zatrzaśnięcie drzwi.

Wreszcie Elżbieta podniosła się. Liczyła się z tym, że Herbert nie ubrany czeka gdzieś w pobliżu, oraz z tym, że ojciec wróci.

Nie może dopuścić do tego, żeby znalazł w jej pokoju rzeczy Herberta. Zapakowała je i bardzo ostrożnie choć pośpiesznie złożyła u wejścia do domu.

Tu, przy wejściu, znalazł je wczesnym rankiem przed udaniem się do pracy ojciec Freitag. Stał zdumiony, nie wierząc własnym oczom patrzył na dziwny pakunek. Po długim namyśle odniósł wszystkie rzeczy z powrotem do domu i położył je na stole w kuchni, gdzie właśnie żona i córka jadły śniadanie.

Nie patrząc na nikogo powiedział: – Dziwne to, ale zdarzyć się może. Myślę, że dobrze będzie nie podnosić wielkiego hałasu. Po prostu zwrócimy te rzeczy.

Śpiew raduje serce człowieka, wzmacnia płuca, wzmacnia pragnienie. W wojsku śpiew popierany jest poza tym jeszcze w tym celu, by żołnierzom maszerowało się raźniej i by podczas marszu nie prowadzili rozmów o charakterze prywatnym.

„Dziękujcie więc wszyscy Bogu...” – śpiewało na górnym korytarzu dwadzieścia potężnych głosów. Był poniedziałek, kilka minut po piątej; należało w koleżeńskim gronie uczcić dzień urodzin ogniomistrza Platzka. Ogniomistrz Werktreu stał na stołku i dyrygował. Korpus podoficerski z Schulzem jako figurą centralną otaczał kołem chętnego do śpiewu podoficera mundurowego.

Ubrali się pośpiesznie, niektórzy powsuwali tylko rozchełstane koszule nocne do treningowych spodni; fryzury mieli zmierzwione, wielkie przeważnie nożyska tkwiły w pantoflach filcowych albo gimnastycznych. Jedynie kapral Lindenberg miał na sobie całkowicie przepisowy strój sportowy. Wszyscy, śpiewając głośno i nie bez pewnego nabożeństwa, patrzyli w stronę drzwi, za którymi znajdował się solenizant Platzek.

Drzwi otworzyły się powoli i ogniomistrz Platzek, który po przepitej nocy z trudem mógł patrzeć przed siebie, powitał ich radosnym, zdecydowanie męskim zmrużeniem oczu. Drzwi zostały uchylone szerzej i w wąskim pokoju dojrzeć można było dwie skrzynie z piwem oraz cztery butelki wódki.

„Dziękujcie więc wszyscy Bogu...” – śpiewali podoficerowie.

Kiedy z uroczyście pogodnymi minami odśpiewali chorał do końca, Schulz podszedł do ogniomistrza Platzka i powiedział: – Drogi kolego Platzek, składamy ci urodzinowe życzenia, a teraz powiedz, jaka jest twoja ulubiona pieśń. – „W luneburskim borze!” – odpowiedział Platzek nie namyślając się długo. Wiedział, że pytanie to zostanie postawione i zawnoczu przygotował sobie odpowiedź. Sam śpiewał niechętnie i zawsze fałszywie, wiedział jednak, że „W luneburskim borze” jest ulubioną pieśnią szefa.

– ...trzy, cztery! ryknął Schulz i zaintonował, pozostali włączyli się natychmiast. Podczas odśpiewywania kolejnych zwrotek tej dziarskiej pieśni podoficerowie, niezależnie od stopnia służbowego, ściskali rękę solenizantowi i na razie brali po butelce piwa.

Wypełnili bez reszty niewielki pokój. Szef, solenizant Platzek i główny śpiewak Werktreu siedzieli na łóżku polowym, inni ogniomistrze usadowili się na biurku i dwóch krzesłach; kaprale przezornie przynieśli ze sobą stołki. Wypalili po kilka papierosów, przeplukali usta gorzałką. Wkrótce pokój napełnił się zapachem piwa, wódki, dymu i potu.

Schulz, jak zwykle, uważał sit; za najważniejszą figurę. Chóralny śpiew z okazji urodzin był jego osobistym pomysłem. Pierwszy pisarz prowadził w tym celu specjalną listę. Trzy dni przedtem przypominano o tym uroczystym dniu tym, co składać mieli życzenia, i solenizantowi, by mógł poczynić potrzebne przygotowania. Uroczystości rozpoczynały sit; przed oficjalną pobudką zawsze tym samym chorałem. Potem szef, korzystając z pomyślnej okazji i z tego, że potężne porcje alkoholu wlewane do brzucha na czczo pogłębiały poczucie wspólnoty, przystępował do robienia swojej domowej polityki.

– W działocznach – zdradził słuchaczom – jesteśmy najlepszą baterią pułku. To również twoja zasługa, Platzek. Na zdrowie, żyj sto lat! Tak, w działocznach nikt nas nie prześcignie. Nawet Bulwa – major Luschke powiedział to niedawno do dowódcy i to w mojej obecności. A jeżeli to mówi nawet major Luschke, możemy być dumni. Ale dyscyplina ogólna jest zafajdana. Mamy w naszej baterii Kilku gagatków pod najzdechlejszym psem. Tak, pod najzdechlejszym. Na przykład Vierbeina.

Część podoficerów potwierdziła to z zapalem. Inni, zebrani dookoła Werktreua, zdradzali ochotę do śpiewu, prawdopodobnie dlatego, żeby móc me rozmawiać. Ale Schulz był zdecydowany skupić dookoła siebie cały korpus podoficerski.

– Ten Vierbein – powiedział – to gagatek. Czy nie macie go w waszym działonie, Lindenberg?

Lindenberg, jak zawsze wyprostowany i służbisty, odpowiedział: – Tak jest, panie szefie!

– I cóż pan o nim powie?

– Tak jest – powiedział – kanonier Vierbein to gagatek, cały mój pododdział składa się tylko z gagatków.

Zanim starszy ogniomistrz Schulz zdołał osłabić ostatnie zdanie, które go zbiło z tropu, wmieszał się ogniomistrz Platzek.

– Zgadza się – powiedział – Lindenberg ma samych gagatków. To komiczny działon. Dziś rano spotkałem jednego z nich w koszuli, lunatyk!

Większość usiłowała uznać to za coś wesołego i wybuchnęła śmiechem. Niektórzy pili w milczeniu. Ktoś zawołał: – Nie do wiary!

Kapral Lindenberg siedział sztywno na przyniesionym przez siebie stołku. – Panie ogniomistrzu, niech mi wolno będzie zapytać, o którego to żołnierza mego działonu chodzi?

– O tę małą zatraconą, bombardiera Ascha.

– Pan ogniomistrz się nie myli? – zapytał Lindenberg z niedowierzaniem. Nie mógł tego pojąć. Znał Ascha. Był zdrow, odporny i całkowicie normalny. To nie do wiary, żeby właśnie Asch...

– Za pozwoleniem – zawołał Platzek niezadowolony, obrzucając Lindenberga lekko zamglonym spojrzeniem. – Co to ma znaczyć? Czy chcielibyście twierdzić, że byłem zalany?

– Oczywiście Lindenberg nie chce tego twierdzić – powiedział Werktreu pojednawczym tonem. – Sam się zdziwiłem, kiedyś wymienił nazwisko Ascha. Musisz to zrozumieć, przecież ten Asch nigdy nie był lunatykiem.

– Jest nim! – twardo obstawał przy swoim Platzek.

Szef starał się zapobiec sprzeczce, ponadto nie chciał odstąpić od swego głównego tematu. – Dajmy temu spokój – powiedział. – Mówmy o tym łobuzie, o tym Vierbeinie. Na podstawie fałszywych danych wyłudził w sobotę przepustkę. Ten łachudra chciał iść na zawody, a tymczasem żadnych zawodów nie było. Lindenberg, zgadza się?

– Tak jest, panie szefie.

– A potem – zawołał Schulz oskarżycielskim tonem – ten sukinkot opuścił w sobotę po południu koszary w jakiś niezwykły sposób.

– Przez płot!

– Bzdura! W biały dzień?

– Jakże więc inaczej?

– Zawsze – powiedział szef jak najbardziej autorytatywnie – uważałem, że ten Vierbein jest niebezpieczny dla stanu dyscypliny. Powinniśmy mu zadać dobrego bobu.

– Dotychczas – ośmielił się zauważyć Lindenberg – zachowywał się bez zarzutu.

Nie był dobrym żołnierzem, ale nie należał również do złych. Zadawał sobie dużo trudu i był zawsze chętny do wykonywania rozkazów.

– Cóż to ma znaczyć? – zapytał szef udając niesłychane zdziwienie. – Czyżbyście mieli wątpliwości co do mojej opinii, Lindenberg?

– Nie, panie szefie.

– No, mam nadzieję! – powiedział Schulz i spojrzał z zadowoleniem na potakujących mu podwładnych. – Żebyście mieli czas na zastanowienie się, dlaczego w sobotę po południu pozwoliliście temu parszywemu kanonierowi, by narobił wam na głowę, mój drogi Lindenberg, poprowadzicie dziś poranne ćwiczenia sportowe.

– Tak jest, panie szefie – wybębnił Lindenberg.

– A potem obejmiecie dozór nad sprzątnięciem rejonu!

– Tak jest, panie szefie.

Schulz uważał, że było to potrzebne; każdemu z podwładnych należy od czasu do czasu dawać po nosie, żeby się nie rozzuchwalali. Dyscyplina musi być zachowana nawet przy chlaniu, a właściwie tym bardziej przy chlaniu. Opróżniać butelki z piwem i pod płaszczykiem koleżeństwa pozwalać sobie na niesforne uwagi, nie, mój drogi, Schulz do tego nie dopuści!

Przyjrzawszy się uważnie reakcji swoich podoficerów szef stwierdził, że znowu trafił w sedno, gdziekolwiek spojrzał, spotykał się z aprobatą. To skutki taktyki. Zatakował też odpowiedni obiekt: Lindenberg nie był zbyt lubiany jako ważniak, więc upora się z nim śpiewająco. Nieznośny typ! Gdyby to od niego zależało, podoficerowie – kto wie, czy nie z samym Schulzem na czele – musieliby wyprężyć się jeszcze bardziej niż rekruci. Niedoczekanie!

– Musimy dobrze przykręcić śrubę – powiedział. – Nie jesteśmy przecież w przedszkolu! Takim lalusiom jak Vierbein trzeba czasem zalać sadła za skórę. Niech wie, że nie wolno podoficera nabijać w butelkę.

– Zostaw to już mnie powiedział wielce obiecująco Platzek. – Już ja mu dobrze dam w dupę.

– No, a teraz zaśpiewajmy jeszcze raz! – zawołał rozpromieniony szef. – „W luneburskim borze”... trzy, cztery!

Duszą całego przedsięwzięcia była dyscyplina, sercem – program szkolenia. Dyscyplina była siłą napędową, program szkolenia można było określić jako mechanizm. Wódz naczelny pragnął niepokonanego Wehrmachtu. Generałowie przywiązywali wagę do tego, żeby armie funkcjonowały, dowódcy wytyczali cele wyszkolenia, podoficerowie osiąkali je.

Czymś zrozumiałym samo przez się, nazywanym przy okazji kręgosłupem, była dyscyplina; rolę czynnika decydującego odgrywał program szkolenia. Dowódca dywizjonu polecał naszkicowanie go w grubych zarysach adiutantowi; dowódca baterii zlecał szefowi baterii opracowanie go. A Schulz wykonywał to po mistrzowsku.

Najcięższe ćwiczenia tygodnia, trwające pełne dwie godziny, wyznaczał zgodnie z

tradycją na poniedziałek rano; musiał brać w nich udział cały stan osobowy baterii, łącznie z personelem kancelaryjnym i odkomenderowanymi do zajęć specjalnych. Oficjalnie w myśl regulaminu służbowego kierownictwo ogólne spoczywało w ręku dowódcy baterii, kapitana Dery; zlecał on jednak regularnie zastępstwo podporucznikowi Wedelmannowi i dopiero pod sam koniec zwykł był pojawiać się na dziedzińcu koszarowym.

Na ogół biorąc były to dla baterii najnieprzyjemniejsze godziny w tygodniu. Jedyne szef uważał je za najspokojniejsze. Zwykł był robić przegląd baterii na zbiórce, przy czym zapisywał do swego notesu najmniej trzy nazwiska, najwyżej siedem. Potem składał meldunek podporucznikowi Wedelmannowi; ten obejmował baterię, przekazywał komendę najstarszemu ogniomistrzowi, po czym kazał ludziom odmaszerować ze śpiewem w kierunku placu ćwiczeń.

Szef odprowadził baterię uważnym wzrokiem, potem poszedł na śniadanie. Nie był w zbyt różowym humorze. To prawda, że chywy i zwroty poszły bez zarzutu, a jego meldunek jak zawsze był głośny; było rzeczą znaną i uznaną, że w całym pułku Schulz rozporządza najlepszym głosem do komenderowania. Nastrój zepsuła mu okoliczność, że kanonier Vierbein świecił nieobecnością. Zadał porządnego bobu podoficerom, a kanonierowi Vierbeinowi nic się nie dostało, bo najspokojniej obijał się na warcie do godziny szóstej po południu. A służba wartownicza, przynajmniej za dnia, dawała możliwość wykręcenia się od uciążliwych ćwiczeń.

Idąc w stronę swego mieszkania Schulz zastanawiał się przez chwilę, czy zaplanowana dokładność, z jaką się przyglądał kanonierowi Vierbeinowi, nie wypływa czasem z pobudek osobistych. Zaprzeczył temu zdecydowanie i z czystym sumieniem. Przecież wedle swego mniemania i wedle opinii przełożonych był doskonałym żołnierzem. Przesłużył osiem lat nie będąc ani razu karany, mógł twierdzić o sobie, że jest wzorem. Piął się w górę stopień po stopniu; nigdy się nie zdarzało, żeby to, co robił, pozostawało w sprzeczności z przepisami służbowymi albo nie dało się przynajmniej do tych przepisów sprowadzić. Ten Vierbein nie był po prostu w jego oczach żołnierzem. Oto przyczyna, dla której go nie znosił.

Rozparł się przy kuchennym stole i rzucił rozkaz: – Kawy!

Lora postawiła przed nim dzbanek z kawą. Nie tuiła swego gniewu oraz tego, że nie ma chęci do rozmowy.

Schulz niewiele sobie z tego robił. Otaczające go milczenie wcale go nie martwiło; czuł się dobrze, snuł dalej swe myśli, które nigdy, nawet w sytuacjach najbardziej intymnych, nie mogły oderwać się od służbowych spraw i problemów. – Nalać! – zarządził.

Lora nalała mu pełną filiżankę, usiadła obok przy stole i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Tylko nie zaczynaj teraz gadać! – powiedział Schulz ostrzegawczym tonem. – Nie masz pojęcia o sprawach służbowych. Nawet kawy nie umiesz zaparzyć. To nie

kawą, to pomyje. Mydliny! – Odsunął filiżankę tak gwałtownie, że się przewróciła. – Obrus – powiedział – jest potwornie brudny.

Po tych słowach wstał i wyszedł. Pogwizdywał melodię podobną nieco do piosenki „Trzy lilie”. Spojrzał w wielkie lustro stojące na dolnym korytarzu, sprawdził, czy mundur dobrze leży, uśmiechnął się do siebie. Był zadowolony. Postanowił zapalić cygaro i rozmyślał: „No tak, dałem jej znowu szkołę, oczywiście słusznie, gdyż dama, która chce być moją żoną, żoną szefa, nie może być flejtuchem. Dawniej taka nie była, wprost przeciwnie, dopiero w ostatnich miesiącach i tygodniach tak się alarmująco opuściła. Widocznie powodzi się jej za dobrze. Ale stosując wypróbowane metody zaradzi się temu. Trzeba tylko od czasu do czasu zalewać jej dobrze sadła za skórę, a poczuje, skąd wiatr wieje”.

Znalazłszy się w swym pokoju służbowym usiadł za biurkiem. Zapalił jedno z cygar dowódcy, rozparł się i rozmyślał. Z daleka dochodziły głosy komendy, na jezdni większe grupy żołnierzy ćwiczyły się w marszu, ale poza tym otaczała go niebiańska cisza. Automatycznie sięgnął po zeszyt, w którym leżały niedzielne przepustki, wyciągnął ołówek atramentowy i podpisał zeszyt bez sprawdzania załączników. Wszystko było przecież zawsze w porządku, a gdyby nawet nie, zameldowano by mu o tym.

Zadzwoił telefon. Schulz nie podnosił przez chwilę słuchawki. Potem położył cygaro na popielniczce i powiedział: – Trzecia bateria, szef baterii starszy ogniomistrz Schulz. – Choć ziewał przy tym, głos jego brzmiał bardzo rześko.

Nagle wyprostował się w swym fotelu jak świeca, przybierając pozycję na baczność. Rozmawiał z Bulwą, z dowódcą dywizjonu majorem Luschke. Luschke był zawsze jak bomba, która mogła wybuchnąć.

– Tak jest, panie majorze! – zawołał starszy ogniomistrz Schulz.

W uszach jego syczał denerwujący, łagodny głos majora; Schulz miał wrażenie, że dotyka uchem tłącego się lontu. – Nie, panie majorze! – zawołał.

Potem rozmowę przerwały trzaski. Bulwa odwiesił nagle słuchawkę. Schulz zaczął się zastanawiać, jaki też sens mogła mieć ta telefoniczna rozmowa. Major Luschke pytał o zupełnie drugorzędne sprawy: czy żołnierze odkomenderowani do służby wartowniczej mają w pustej ładownicy ochraniacze do łuf; czy wszystkie zegary koszarowe wskazują tę samą godzinę.

Jaki właściwie cel miał Bulwa stawiając te pytania? Może major stroił sobie tylko żarty? A może kryła się za nimi chytrze zastawiona pułapka, której skutki nie dadzą się przewidzieć. Możliwe było jedno i drugie. U Luschkego możliwe było wszystko. Bulwa był zawsze pełen niespodzianek.

Po dłuższym namyśle Schulz doszedł do jedynie możliwego wniosku: Luschke, major i dowódca dywizjonu, chciał go skontrolować, chciał wiedzieć, czy Schulz jest na posterunku. On, na posterunku? Zawsze!

To rozumowanie napełniło Schulza zadowoleniem; dobry poranny nastrój wrócił.

Sięgnął po cygaro, rozkoszował się nim. Znowu odezwał się telefon.

Tym razem Schulz podniósł natychmiast słuchawkę, bo mógł raz jeszcze dzwonić major. Ale już po pierwszych słowach przybrał lekko znudzony, wyniosły wyraz twarzy, z którym do pewnego stopnia od ręki załatwiał sprawy służbowe wymagające tylko rutyny.

– Nie – powiedział – bombardier Kasprowitz nie jest tu znany. Nigdy takiego nie było. – Rozmawiał z szefem kompanii piechoty i już dlatego mówił wprawdzie tonem koleżeńskim, ale niezbyt przyjaznym. – Tak jest – powiedział w pewnej chwili z nagłym zainteresowaniem – mamy u siebie kanoniera Vierbeina. Zbroił coś, nawarzył jakiegoś piwa?

Był niemal rozczarowany dowiedziawszy się, że chodzi o nieprzepisowe salutowanie w miejscu publicznym i że wbrew jego nadziejom i przypuszczeniom nie kanonier Vierbein był winien, lecz jego towarzysz bombardier, który się podał za Kasprowitza.

– A może był to jednak Vierbein? Po nim można się tego spodziewać. – Słuchał z zacięciem propozycji swego telefonicznego rozmówcy z piechoty. Potem powiedział: – To oczywiście zawsze jest wskazane. Zrobimy konfrontację. Zameldujcie o tym w swym batalionie, przyślijcie mi tego sierżanta. Vierbein jest teraz na służbie, damy mu tam bobu.

Schulz zatarł ręce i powiedział nie bez oburzenia: – Zawsze, gdzie się tylko splunie, ten Vierbein. Najwyższy czas nałożyć tej opornej małpie wędzidło.

Wyciągnął rękę po cygaro, które tymczasem zgasło. Długo je zapalał. Wreszcie mógł się zaciągnąć, otoczyły go gęste kłęby dymu. Uważał palenie cygar za czynność w dobrym stylu. Właściwie w tym całym interesie palą cygara tylko dowódca i on. Tak też być powinno!

Otworzył szafę i przygotował sobie kilka akt personalnych. Trzeba dziś jeszcze przygotować dwa wnioski awansowe do dywizjonu. Nadeszła pora awansowania bombardiera Kowalskiego i bombardiera Ascha na kaprali. Omówił to dokładnie z dowódcą; rozumowanie jego wyglądało mniej więcej tak: obydwaj, Kowalski i Asch, nie byli, broń Boże, niezapisanymi kartami; jeden to zabijaka, drugi to bezczelna małpa. Ale obydwaj wyrastali ponad żołnierską masę, byli prowodyrami, mieli w sobie zadatki na dowódców. Będą dobrym narybkiem dla korpusu podoficerskiego, zwłaszcza jeżeli się weźmie pod uwagę, że się po otrzymaniu dystynkcji podoficerskich zaaklimatyzują.

Szef wypełnił wnioski o awans oraz arkusze personalne, po czym zabrał się do motywacji. W myśl starego zwyczaju musiała ona zawierać mało cech negatywnych, za to dużo szczegółowych danych, bo przecież chodziło tu o wyższy stopień służbowy. Wniosek o awansowanie bombardiera Herberta Ascha Schulz umotywowował następująco:

1. Cechy charakteru: solidny, zdrowe zasady, zdolności dowódcze, choć jeszcze niecałkowicie ukształtowane. Zdyscyplinowany wobec przełożonych, rokuje nadzieje na dalszy rozwój.

2. Cechy fizyczne: wytrzymały na ciężkie trudy, ma dobre zadatki na sportowca. Dobry pływak.
3. Wiadomości wojskowe: karabin 98 b i k; pistolet 08; Ikm 08/15; ckm 08; działo 8,8 cm (zmotoryzowane).
4. Cechy szczególne: lojalny podwładny, zapowiada się na dobrego przełożonego.
5. Nadaje się na podoficera.

Schulz uznał swą poranną pracę za zadowalającą. Zapalił nowe cygaro, włożył akta pod pachę i otworzywszy drzwi obite wołokiem zaniósł papiery do pokoju dowódcy; położył je na stole kapitana Derna. Potem posiedział jeszcze chwilę przy swym biurku spoglądając na ulatniający się przez okno dym cygara.

Tuż przed dziesiątą usłyszał powracającą z ćwiczeń baterię; dowodził osobiście podporucznik Wedelmann, co świadczyło o tym, że dowódca baterii jest obecny. Prawdopodobnie udał się wprost na plac ćwiczeń, przyglądając się zajęciom w ciągu ostatnich piętnastu minut. Buty wybijające takt marsza defiladowego dudniły po betonowej jezdni. Szef podszedł do okna i patrzył z prawdziwą rozkoszą na szare polowe mundury, na spoconych żołnierzy, którzy sprężyście maszerowali. „Szkoda – myślał ze szczerym ubolewaniem – że nie ma tu tej paskudnej wszy, Vierbeina; dwie godziny pod ogniomistrzem Platzkiem dobrze by mu zrobiły. Ale co się odwlecze, to nie uciecze.” Rozległy się słowa końcowej komendy. „Głos tego podporucznika Wedelmanna – pomyślał starszy ogniomistrz – jest za wysoki i prawie się załamuje.” Po czym padła komenda: „Rozejść się!” Dwieście sześćdziesiąt par nóg zadudniło na schodach i korytarzach bloku. Szef powrócił do swego biurka i słuchał tego dudnienia z marzycielską miną. Na jego gładkiej, tłustej, a jednak kanciastej twarzy pojawił się błogi uśmiech. Rozpostarł na biurku urzędowe akta i jakąś listę, stwarzając pozory, że usilnie pracuje.

Dowódca baterii, kapitan Derna, przestąpił próg kancelarii. Szef zameldował jak zwykle wzorowo: – Nic ważnego nie zaszło! – Kapitan podziękował i po chwili znikł w swym służbowym pokoju, mocno zamykając za sobą wyściełane drzwi. Schulz wiedział z doświadczenia, że dowódca potrzebuje teraz piętnastu minut spokoju, aby ściągnąć buty i zmienić bryczesy na długie spodnie. Z kolei zjawił się w kancelarii podporucznik Wedelmann. Szef zasalutował: czekał jeszcze parę sekund na ewentualne rozkazy, których nigdy nie było.

Wedelmann pchnął ruchome drzwiczki w barierze dzielącej kancelarię na dwie części i zbliżył się do starszego ogniomistrza, który udawał, że pracuje w skupieniu.

– Co to ja jeszcze chciałem powiedzieć? – zaczął Wedelmann niepewnie. – W nocy z soboty na niedzielę odesłał pan do koszar prosto z parkietu pewnego kanoniera.

– Tak jest, panie podporuczniku – odpowiedział starszy ogniomistrz nie podnosząc się z miejsca. Czuł się bezpiecznie i pewnie. Słowa podporucznika: „Co to ja jeszcze chciałem powiedzieć?” mówiły wyraźnie, że żadnych nadmiernych trudności nie ma powodu oczekiwać. – Kanonier Vierbein – ciągnął dalej – wyłudził swoją niedzielną przepustkę przez powołanie się na fałszywe dane.

– Tak? – zapytał sceptycznie podporucznik.

– Podoficer Lindenberg może to zaświadczyć. – Wedelmann wiedział z doświadczenia, że Lindenberg może być uważany za świadka nie budzącego wątpliwości. Wolałby dać się posiekać, niż nawet o podwładnych złożyć fałszywe zeznanie.

– Mimo to – powiedział podporucznik z ostrożną naganą – nie było to słuszne. Tego się, szefie, nie robi. Służba jest służbą, to prawda, ale i wolny czas jest wolnym czasem.

Było to stosunkowo wytworne, ale równocześnie mocne opieprzenie. Szef przeklął je nie bez trudu. „Wszystko z powodu tego Vierbeina – pomyślał. – Zawsze ten Vierbein!” A potem dodał w myślach: „Dobrze, że nikogo nie ma w pobliżu i nikt nie słyszy, jak się tu z szefa robi wała”.

– Tak jest, panie podporuczniku – powiedział wyraźnie dotknięty. – Proszę jednak pozwolić mi wyjaśnić...

– Żadne wyjaśnienie nie jest już potrzebne – odparł podporucznik i odszedł.

Starszy ogniomistrz spojrzął za nim przymrużonymi oczami; ponieważ podporucznik nie obejrzał się, pozwolił sobie na pozostanie w pozycji siedzącej. Czuł się dotknięty. „Panie podporuczniku – chciał powiedzieć – ten Vierbein, ten kanonier Vierbein wyłudził przepustkę na podstawie fałszywych danych, opuścił koszary prawdopodobnie niedozwoloną drogą i jest wmieszany w jakąś aferę w związku z nieprzepisowym, niedbałym, salutowaniem. To, panie podporuczniku, jeszcze nie wszystko, ale o tych innych sprawach, panie podporuczniku, lepiej nie mówmy.”

Ale ten podporucznik Wedelmann nie chce go słuchać. Przerywa mu w środku zdania jak sztubakowi. I wszystko z powodu tego Vierbeina!

Utrzymywano, że bombardier Kowalski to dureń. Ale on się zachowywał tylko jak dureń; w rzeczywistości miał rozum lisa. Wypinał tyłek na wszystko, co miało związek z jego służbą w Wehrmachcie. Robił wszystko, co mu kazano, ani o odrobinę więcej. Uchodził za lakonicznego i solidnego. Był przydzielony do zbrojmistrza Wunderlicha; ponieważ Wunderlich nie chciał mieć przy sobie nikogo, kto by w jego pokazowo urządzonej egzystencji wprowadzał niepokój, doskonale mu się z nim pracowało.

Kowalski był synem chłopa mającego gospodarstwo na Pomorzu, na terenie, którego Wehrmacht koniecznie potrzebował do ćwiczeń w strzelaniu. Stary otrzymał odszkodowanie, władze wojskowe nie skąpiły pieniędzy. Przeniósł się do miasta, pracował w wielkim zakładzie ogrodniczym hodującym wysokogatunkowe warzywa i nie najgorzej zarabiał. Młody Kowalski poszedł do Wehrmachtu wprawdzie niezupełnie dobrowolnie, ale miał zamiar na razie pozostać w wojsku. Nigdy dotychczas w życiu nie pracował tak mało, nigdy tyle przy tym nie zarabiał.

Kowalski zawiadywał więc bronią i sprzętem. W chwilach wolnych popijał, spał z niejedną dziewczyną, inwestował nadmiar swej olbrzymiej siły fizycznej w dzikie bijatyki, które uczyniły go głośnym, a nawet sławnym w całym miasteczku. Bombardiera Ascha, z którym sypiał w tej samej izbie, uważał za swego przyjaciela.

Choć Asch nie dorastał mu w bijatykach do pięty, był jednak bardziej cwany i obrotniejszy od niego. Nigdy nie dawał tego Kowalskiemu odczuć i to było kamieniem węgielnym ich zażyłości.

Kowalski nie wiedział, co to życie wewnętrzne. Gdyby go o to zapytano, odpowiedziałby zapewne: „Mam to gdzieś!” Ale tego ranka czuł wyraźnie, że coś z jego przyjacielem, bombardierem Aschem, nie jest w porządku. O nic nie pytał, obserwował tylko. Uderzyło go, że Asch nie jest tak rozmowny jak zazwyczaj. Nie padały nawet podczas ćwiczeń uwagi na temat bezpośrednich przełożonych, które Asch zwykł był czynić półgłosem. Asch koncentrował się na sprawach związanych ze służbą; to skoncentrowanie uwagi na sprawach, które można było przecież wykonać nawet we śnie, wzbudzało w Kowalskim podejrzenie.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał Kowalski. – Nic – odpowiedział Asch.

– Nie zwracaj głowy, przecież widzę.

W myśl rozkładu zajęć po ćwiczeniach z musztry następowały od dziesiątej piętnaście do dwunastej działoczniny. W ciągu tego czasu bombardier Asch pełnił dyżur w działowni. Robił to z właściwą sobie dokładnością. Usiadł w kącie na koszach do amunicji, położył obok siebie nabój ćwiczebny oraz naoliwioną szmatę i gapił się przed siebie. Myślał o Elżbiecie i o tym, co z nią przeżył. Kowalski, który właśnie miał zamiar przynieść mu z magazynu broni bańkę z oliwą, nie umiałby sobie nigdy wyobrazić, żeby jakaś tam Elżbieta mogła wprawić dorosłego mężczyznę w zadumę.

– Czy mam kogoś za ciebie złoić? Ulżyłoby ci to? – zapytał Kowalski przyjacielskim tonem.

– Zbij mnie! – odrzekł bombardier Asch. – Zachowałem się jak świnia.

– No i? Stało się coś nadzwyczajnego?

Herbert Asch nie odpowiedział. Zerwał wieko jednego z koszów do amunicji, którego skórzane zawiasy były już uszkodzone. Pusty, okazały kosz, ważący jednak tylko cztery funty, wpakował sobie na plecy i gotował się do opuszczenia terenu zajęć.

– Idiota! – zawołał przyjaźnie Kowalski. – Przecież tak nie można. – Znał dokładnie tę sztuczkę: wystarczyło obarczyć się jakimś, oczywiście możliwie lekkim, przedmiotem, by wyglądało to na transport albo reperację. Mając taki przedmiot na grzbiecie można było bez narażania się na głupie pytania przełożonych przemierzać we wszystkich kierunkach cały teren koszar.

Kowalskiego irytowało, że Asch postępuje wyjątkowo niezgrabnie. Był to dla niego nowy dowód, że przyjaciel nie jest w dobrej formie. Należało mianowicie wobec każdego przełożonego być zawsze przygotowanym na wszystko, a więc i na to, że któryś z nich poczuje chęć sprawdzenia ładunku. Kowalski zdjął tedy kosz z pleców Ascha, zwilżył podejrzenie świeże miejsca pozostałe po zerwaniu wieka, przeciągnął po nich swym naoliwionym kciukiem. – Tak – powiedział – teraz ci każdy uwierzy, że potrzebna jest przewidziana przepisami reperacja.

– No pięknie – powiedział Asch – miejmy nadzieję, że cię to uspokoi.

– I jak jeszcze! – odparł Kowalski. – Tymczasem utnę sobie na koszach do amunicji małą drzemkę.

Herbert Asch przemierzył z koszem na plecach część terenu koszar; minąwszy działownię, garaże i halę gimnastyczną, dotarł do kantyny. Tu wszedł pewnym krokiem do izby, w której mieścił się szynkwias i sklep dla kanonierów, zdjął kosz i zażądał piwa.

Dzierżawca kantyny Bandurski pomyślał sobie, jako były podoficer, że trzeba nie lada tupetu, żeby przed południem, w biały dzień, wlewać w siebie piwsko w godzinach ćwiczeń. Za jego czasów, w Reichswehrze, byłoby to, w każdym razie dla bombardiera, niemożliwe. Co najwyżej mógłby sobie na to pozwolić ktoś od ogniomistrza wzwyż. Ale dla dzierżawcy kantyny zarobek był zarobkiem. Nie mrugnawszy więc okiem Bandurski postawił przed Aschem duże piwo.

– Nie ma panny Elżbiety? – zapytał Asch.

– Nie – odpowiedział Bandurski. – Nie przyszła dzisiaj.

– Może jest chora?

Bandurski roześmiał się. – Kto wie – powiedział znacząco – co to za choroba.

Bombardier Asch zapłacił bez słowa i odszedł. Opuścił kantynę z pustym koszem na plecach, miał zamiar wrócić do działowni. Nagle zobaczył w towarzystwie starszego ogniomistrza Schulza owego sierżanta piechoty, któremu w sobotę niedostatecznie sprężyście zaszalutował, a potem podał mu fałszywe nazwisko. Znikł jak najszybciej z ich pola widzenia.

Zatrzymał się na rogu jakiejś szopy, zaczął szukać miejsca, gdzie by się mógł ukryć, i zauważył, że piechociarz, który pryncypalne ulice miasta traktował jak plac ćwiczeń, udał się z Schulzem na wartownię. Na wartownię, w której znajdował się kanonier Vierbein. Mocno to Ascha zaniepokoiło.

Mimo upału przebył pędem przestrzeń dzielącą go od działowni. Spotkało się to z wyrażającym uznanie uśmiechem ogniomistrza Platzka, który trzymał pod pełną parą swoje cztery obsługi dział.

Dotarłszy do szopy, Asch rzucił swój kosz szerokim łukiem do kąta i zawołał do kaprała Kowalskiego:

– Jazda, człowieku! Biegnij na wartownię. Uważaj, żeby kanonier Vierbein nie zrobił jakiegoś głupstwa. Spiesz się, leniuchu. Nie mogę się tam pokazać.

– Dobrze, już dobrze – powiedział bombardier Kowalski. Powstrzymał ziewnięcie, chwycił swoją bańkę z oliwą i ruszył biegiem. Dotarł do wartowni lekko spocony. Wprawnym okiem zorientował się od razu, że nic jeszcze nie zaszło istotnego; wśród stojących kanoniera Vierbeina nie było. – Bombardier Kowalski melduje swoje przybycie! – zawołał i razem ze swoją bańką stanął u wejścia w postawie zasadniczej. Aby zapobiec różnym krzyżowym pytaniom, dodał: – Mam naoliwić zawiasy drzwi i okien.

– Nie gadajcie tyle, Kowalski, róbcie swoje – powiedział szef. Potem wraz z sier-

żantem piechoty czekał dalej na Vierbeina, któremu podoficer Schwitzke kazał skończyć po papierosy.

Tymczasem Kowalski zdjął z wielkimi ostrożnościami okna z zawiasów, zaczął szmatą ścierać starą oliwę, wlewał w wyczyszczone miejsca nową i ścierał ją również.

Zjawił się kanonier Vierbein i zasalutował.

– To ten! – zawołał sierżant piechoty.

– Doskonale – powiedział z zadowoleniem szef. – Tylko spokojnie.

Kanonier Vierbein, który się zatrzymał przy drzwiach, rozglądał się bezradnie dookoła. Wszyscy patrzyli na niego starając się zachować całkowicie obojętny wyraz twarzy. Tylko Kowalski, stojący z tyłu za innymi, zrobił przyjazny ruch ręką, który miał go podnieść na duchu.

– A więc – szef wyprężył się; miał wrażenie, że jest sędzią, który winien wydobyć na wierzch prawdę. – A więc, Vierbein, w sobotę po południu szliście z pewnym bombardierem przez ulicę Goethego. Czy tak?

– Tak jest, panie szefie.

– Kim był ten bombardier?

Vierbein zwlekał z odpowiedzią. – Przecież zasalutowałem panu sierżantowi przepisowo – powiedział.

Sierżant potwierdził. – Tak jest, zrobił to! Ale nie zrobił tego tamten drugi, który mi podał fałszywe nazwisko. Powiedział, że się nazywa Kasprowitz, a w całej artylerii nie ma takiego, który by nosił to nazwisko.

W tym momencie Kowalski całkowicie zorientował się w sytuacji. Stało się dlań jasne, co się wydarzyło: bombardier Asch znów zasalutował po świńsku, a potem po prostu podał fałszywe nazwisko. Mocny kawał, ale dobry!

– No więc? – nalegał starszy ogniomistrz. – Kim był ten bombardier?

Kanonier Vierbein poczuł, że mu pot wystąpił na czoło. Mój Boże, co robić! Bezradny jego wzrok padł na bombardiera Kowalskiego, który wzruszał gwałtownie ramionami, co bezspornie oznaczało „nie wiem”.

– Nie wiem, panie szefie – powiedział machinalnie i od razu uświadomił sobie, że okłamał przełożonego. Uchronił przyjaciela od nieprzyjemności, to prawda, ale okłamał swego przełożonego.

– Tak! – powiedział szef z groźbą w głosie. – A więc szanowny pan nie przypomniał sobie tego?

Vierbein, mokry od potu, miał wrażenie, że jest w łaźni. Próbował ratować swą pozycję. Powiedział prędko: – Nie znałem tego bombardiera, nie należał do naszej baterii. Spotkałem go przypadkowo, uszliśmy razem kawałek drogi.

Bombardier Kowalski potakiwał skinieniem głowy. Podniósł ramiona, rozłożył na zewnątrz dłonie, jak gdyby chciał powiedzieć: „No widzisz!”

Szef węszył jakieś szelmstwo. – Jeżeli to świadoma odmowa zeznań, Vierbein,

grozi wam sąd wojskowy. Ostrzegam! Przeskrobaliście już niejedno. Cierpliwość moja powoli się wyczerpuje, jeżeli złapię was na czymś, zostaniecie bez pardonu zamknięci.

– Poznalibyście tego bombardiera? – zapytał sierżant. – Na przykład przy konfrontacji? Albo gdybyście go przy najbliższej okazji spotkali na terenie koszar?

– Nie wiem – wyjąkał Vierbein. – Myślę, że chyba tak.

– Ale ja – oświadczył szef zdecydowanie – wiem, co o was myśleć.

– Czy mam również naoliwić drzwi? – zapytał głośno bombardier Kowalski.

– Nie zwracajcie gitary – zawołał Schulz rozwścieczony. – Takie typy jak wy są tu niepotrzebne. Popsuliście mi cały koncept!

Majster Freitag, ojciec Elżbiety, był socjalistą z przekonania, ale pozbawionym romantyzmu. Przez całe życie pracował ciężko i rzetelnie. Wykonywał solidnie swój zawód, kochał swoją rodzinę z cichym oddaniem. Nic, co ludzkie, nie było mu obce. Wojnę światową 1914-1918 przeżył szczęśliwie jako szeregowiec. Przeżył również rewolucję, inflację i reakcję. I był przekonany, że przeżyje także hitlerowców.

Praca była dlań elementarną potrzebą. Pracował od najmłodszych lat. Był zawsze pierwszy w warsztacie, ostatni szedł na obiad. Wieczorami i w dni świąteczne krzątał się dookoła domu, który nabył z oszczędności. Przeprowadzał naprawy, zajmował się ogrodem, malował na nowo okna i drzwi, urządził na stryżku pokój gościnny.

Żona zestarzała się w jego oczach, dzieci dorosły. Na głupstwa, które popełniał w życiu, zwykł był reagować zmrużeniem oczu, głupstw popełnianych przez innych starał się nie dostrzegać, o ile to tylko było możliwe. Miał za sobą grzechy młodości, o których nie zapominał nawet po przekroczeniu pięćdziesiątki; kiedy napotykał sytuacje podobne do tych, które mu kiedyś nie zostały oszczędzone, próbował z wielkim zrozumieniem naprawić je. Był zwolennikiem przyzwoitości, ale miał dosyć pobłażania, by wszystkiego, co nie było zgodne z tak zwanymi „pojęciami moralnymi”, nie określać od razu jako nieprzyzwoite.

Nigdy nie działał pochopnie, wiedział, że produkowanie najlepszych wyrobów wymaga odpowiedniego czasu. Przed zabraniem się do pracy zwykł był długo, gruntownie rozmyślać. Kiedy jednak skończył rozmyślenia, pracował szybko, sprawnie i celowo.

Owego poniedziałkowego popołudnia majster Freitag opuścił miejsce swej pracy o dwie godziny wcześniej niż zazwyczaj. Inspektor był rad, że może oddać przysługę swemu najlepszemu pracownikowi, i chętnie udzielił mu zezwolenia.

Freitag umył się gruntownie jak przed jakąś uroczystością, potem stanąwszy przed szafą przebrał się. Wyciągnął stojący w szafie kuferek, postawił go na stole, otworzył. Pograżony w rozmyśleniach, oglądał leżące w nim części ubrania niejakiego Herberta Ascha, bombardiera trzeciej baterii pułku artylerii. Wszystkie te dane łącznie z innymi, jak data i miejsce urodzenia, wzrost, kolor włosów i oczu oraz znaki szczególne, można było odczytać spokojnie z niebieskiej legitymacji wojskowej le-

żącej w lewej górnej kieszeni bluzy. Poza tym nazwisko i stopień służbowy oraz nazwa jednostki wszyte były prawie do każdej części garderoby. Prócz rzeczy znajdowała się tu nawet fotografia bombardiera Herberta Ascha. Prezentowała osobnika w mundurze, o potężnie głupim wyrazie twarzy, który, zdawałoby się, nie potrafi zliczyć do trzech, wyglądał więc tak, jak zwykli wyglądają rekruci.

Freitag zamknął kuferek. Nie miał zbyt bujnej wyobraźni, wystarczyło jej jednak na to, by sobie przedstawić, że nocny niepokój w jego domu pozostaje w ścisłym związku ze znalezionymi częściami umundurowania. Nie domagał się od Elżbiety wyjaśnień, nie chciał tego, poza tym nie były mu potrzebne. Gdyby, przysłała do niego sama, wysłuchałby jej chętnie i z życzliwością. Wydawało mu się jednak, że rozumie milczenie córki i szanował powody tego milczenia. No cóż, bywają w życiu różne sprawy, na przykład pewien rodzaj nocy, do których rodzicom mieszać się nie wolno. Świadomość tego skłaniała go do udawania, że nic nie wie.

Majster Freitag opuścił z kuferekiem w rękę teren warsztatów kolejowych, wsiadł na rower i pojechał do koszar artylerii. Z tego, że człowiekiem, który miał dosyć siły, by zachwiać równowagą jego Elżbiety, jest żołnierz – niewiele sobie robił. Czuł wstręt do mundurów, nie umiał sobie wyobrazić, w jaki sposób człowiek normalny, pracowity, może tracić czas na czynności, których celem ostatecznym było zniszczenie, zagłada, zabijanie. Ale w czasach, w których decyzja dobrowolna nie istniała, mogło się pod mundurem ukrywać wszystko: indywidualiści i sadyści, obojętni i uciskani, entuzjaści i przeciwnicy, rozsądni, idioci i przejściowo ogłupieni. Asch mógł należeć do jednej z tych grup; nie było pozbawione znaczenia do jakiej.

Majster podjechał pod bramę koszarową, wartownik skierował go do wartowni. Freitag postawił rower pod murem, zdjął z niego kuferek i udał się do dowódcy warty.

Dla kaprała Schwitzke, Mamuta, zjawienie się małego, uprzejmego człowieka było jedynie zakłóceniem poobiedniej drzemki. Mniej więcej za trzy godziny zostanie zluzowany i gruntownie powetuje sobie stracony sobotni wieczór. Jego Tusnelda – nazywał każdą dziewczynę Tusneldą – przyrzekła przyjść do parku miejskiego.

– Dokąd? – zapytał mrukliwie.

– Do trzeciej baterii – odpowiedział majster, który swego czasu poznał na własnej skórze właściwości koszarowego żywota. Przygotował się do odpowiedzi na dalsze pytania.

– Nazwisko? – zapytał Mamut.

– Freitag.

Schwitzke wypełnił przepustkę i podał mu ją. – Pójdzie z panem wartownik – powiedział. Przestał się zajmować Freitagiem, zaczął znów myśleć o Tusneldzie, o wieczorze w parku, o ukrytej, lecz bardzo wygodnej ławce pod krzakami bzu, na której już nieraz, także w zimie, uprawiał miłość ze swoją Tusneldą; oczywiście nie zawsze była to ta sama Tusnelda.

Freitag szedł za wartownikiem, który doprowadził go do bloku trzeciej baterii i przekazał kancelarii. Starszy ogniomistrz Schulz przerwał swoją żmudną jak zwykle działalność i zajął się nim łaskawie: zjawienie się w kancelarii cywilów zapowiadało zawsze rozrywkę.

– Proszę pokazać przepustkę. W porządku. Jest pan na właściwym miejscu. Trzecia bateria – to ja. – Schulz obrzucił Freitagą wyzywającym spojrzeniem.

Na twarzy Freitagą pojawił się cień uśmiechu. – Nie mam żadnej sprawy do pana osobiście, chciałbym pomówić z bombardierem nazwiskiem Asch, Herbert Asch.

– Czego pan od niego chce?

– Chcę z nim pomówić.

Szef zbliżył się nieco, na jego twarzy pojawiło się zainteresowanie. Spojrzał na człowieka za barierą, na jego kuferek, który tamten postawił na podłodze. Kuferek, podpowiedział mu jakiś instynkt, w którym jest dosyć miejsca na ukrycie całego umundurowania. Potem, pod wpływem pomysłu, na który wpadł nagle, zaczął się przyglądać przepustce.

– Pan się nazywa Freitag? Jest pan może krewnym panny Elżbiety Freitag, która obsługuje kantinę podoficerską?

– To moja córka.

Szef stał się o całe niebo uprzejmiejszy. Starał się nawet, co prawda na próżno, o wytworzenie serdecznej, intymnej atmosfery. – Cieszę się bardzo z poznania pana – powiedział i wyciągnął ogromną łapę, którą majster ujął nie bez wahania.

– Mogę więc mówić z bombardierem Aschem?

– Oczywiście – powiedział szef tonem koronowanego władcy, który spełnia życzenie ukochanego poddanego. – Jeden z kanonierów zaprowadzi pana. Jak powiedziałem, miło mi było poznać pana – Znowu wyciągnął ogromną łapę, majster znowu ją ujął, również nie bez wahania. Potem opuścił kancelarię. Trzeci pisarz, który go miał zaprowadzić, ruszył przodem.

Schulz rozsiadł się przy swym biurku przeładowanym aktami. Zapalił jedno z cygar dowódcy, odsunął na bok karteczkę, na której wielkimi literami wypisane było nazwisko „Vierbein”. Rozmyślał. A więc to jest stary Freitag, ojciec tej szykownej Elżbiety, ma ze sobą kuferek, chce się dostać do bombardiera Ascha, do tego samego bombardiera Ascha, który dziś około trzeciej rano przyłapany został w obrębie koszar w samej koszuli. Jeżeli...

Odrzucił od siebie to rozumowanie. Ale fantazja, ze specjalną predylekcją nastawiona w określonym kierunku, nie dawała mu spokoju. Miałoby to swoją pikanterię, gdyby... Otrząsnął się nie wiadomo, czy z rozkoszy, czy z obrzydzenia, zaciągnął się gwałtownie cygarem. Tak, ta Elżbieta zajmowała na jego liście pierwsze miejsce. To wspaniała dziewczyna, warto dla niej niejedno zaryzykować, na niejedno się narazić. Co się tyczy bombardiera Ascha, to był on na razie pewnego rodzaju tabu; Schulz sam wystąpił z wnioskiem o mianowanie go podoficerem, dowódca nie poskąpił

swego błogosławieństwa w formie podpisu. Tam do licha, przecież nie jest się ma-
łostkowym. A poza tym człowiek ma inne kłopoty: na przykład ten Vierbein.

Myśli Schulza wzmocnione rozkosznym aromatem brazylijskiego cygara zaczęły
wirować: Elżbieta – Asch w koszuli o trzeciej nad ranem – ojciec Freitag z kufer-
kiem – Vierbein pełniący teraz wartę!

Podniósł słuchawkę, kazał się połączyć z wartownią.

– Schwitzke – zapytał opryskliwie – kto pełnił między drugą a czwartą służbę
przy bramie?

Kiedy po chwili usłyszał: „Vierbein”, jego twarz przypominająca kartofel rozpro-
mieniła się. – Doskonale! – powiedział i odwiesił słuchawkę.

Przysunął kartkę, na której widniało napisane wielkimi literami nazwisko Vierbe-
in. Dopisał do tego jak zwykle bardzo wyraźnie: *Warta przy bramie od drugiej do*
czwartej. Podkreślił te słowa i radośnie ćmił dalej swoje cygaro.

Tymczasem majster Freitag nie bez napięcia czekał w czytelnicy na bombardiera
Ascha. Siedział na krześle, obok postawił kuferek. Patrzył zmrużonymi oczami w
kierunku drzwi.

Wszedł bombardier Asch. Miał na sobie drelichowe ubranie, w rękę trzymał czap-
kę polową. Zawiadomiono go, że ktoś do niego przyszedł. Nie wiedział, kto to być
może.

Asch spoglądał badawczo na przybysza, przybysz na niego. Wydawało się, że ta
pierwsza lustracja zadowoliła nieco ich obu. Zwłaszcza Asch uspokoił się znacznie.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry – odparł majster. – Przynoszę panu pańskie ubranie. Znalazłem je
na ulicy. – Nie spuszczał z Ascha oka.

Herbert Asch był wyraźnie zmieszany. – Tak – powiedział – to pięknie. – Majster
zrobił ruch ręką, Asch chwycił kuferek, otworzył go, sprawdził zawartość. – Tak –
powiedział – jest wszystko. – Zakłopotanie jego wzrosło.

– Dziękuję panu, panie...

– Nazywam się Freitag – dopomógł mu tamten, przyglądając mu się surowo.

Asch upuścił na stół buty, które wyciągnął z kuferka. Usiadł. – Nie wiem – zaczął
– jak dalece, pan... – Przerwał, potem oświadczył: – Mam wrażenie, panie Freitag,
że ciąży na mnie obowiązek wyjaśnienia panu czegoś...

Tamten uśmiechnął się. – Nie trzeba – powiedział. – I ja byłem młody, a nawet
byłem kiedyś żołnierzem. Mogę sobie wyobrazić, co zaszło. Noc była piękna, dziew-
czyna wydała się panu ładna, trafiła się okazja, skorzystał pan z niej albo raczej po-
niosło pana. Mój ty Boże, tak to już bywa! Kogóż tu obwinić? Księżyc? Pańską
krew? Korzystną okazję? Znalazłem później gdzieś na ulicy pańską odzież. Niech
pan „będzie zadowolony, że to byłem ja. Że nie był to na przykład ojciec tej dziew-
czyny.

Asch zrobił krok w tył. Nie uległo dla niego wątpliwości, że człowiek siedzący

sobie spokojnie naprzeciw niego nie należy do durniów. Był ojcem Elżbiety, podobał mu się. Asch poczuł od razu, że stary człowiek wie i domyśla się o wiele więcej, niż mówi. Chciał mu zbudować złoty most, nie chciał wyciągać konsekwencji z popełnionego kroku, być może omyłki. On, ojciec Elżbiety, dawał mu okazję do wytłumaczenia się.

– Muszę panu – powiedział Asch pewnym głosem – opowiedzieć pewne szczegóły. Powinno panu być wiadome...

– Ależ nie trzeba! – odrzekł majster i podniósł się. – Mam teraz bardzo niewiele czasu. Jeżeli jednak ma pan ochotę, proszę mnie odwiedzić jutro wieczorem. Może zje pan z nami kolację.

– Chętnie – powiedział Herbert Asch zmieszany.

– Będzie pan mógł przy tej okazji poznać moją rodzinę.

– Przyjdę na pewno.

– Będę bardzo rad – dodał majster Freitag po prostu i pożegnał się.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie. Zajrzał przez nie szef. Nie zwracając uwagi na bombardiera spojrzął na stół, na którym stał kuferek z odzieżą.

– Nie będę przeszkadzał – rzucił łaskawie i zatrzęsął drzwiami.

– A więc – powiedział majster Freitag – do jutra! Oczywiście, o ile będzie pan miał ochotę.

Służba wartownicza była skończona. Żołnierze wykonali sprężyste zwrot w tył i ująwszy za szyjkę broń udali się w kierunku bloku baterii. Kanonier Vierbein ujrzał w szeroko otwartym oknie drugiego piętra kaprała Lindenberga; stał jak wykuty z kamienia.

Vierbein przyśpieszył kroku. Był pewien, że Lindenberg czeka na jego powrót. Przygniatało go to. Bo to widoczne zainteresowanie podoficera, „wiecznego żołnierza”, mogło oznaczać tylko łańcuch komplikacji; dziś były mu one najmniej potrzebne, gdyż umówił się na spotkanie z Ingrid. Śpiesząc po schodach na górę spojrzął na wiszący na drzwiach zegar; do spotkania z Ingrid miał jeszcze prawie dwie godziny, czym jednak były dwie godziny dla kaprała Lindenberga. Kiedy tylko chciał, a wszystkie oznaki przemawiały za tym, że chce, potrafił bez trudu i nie bez uzasadnienia przedłużyć kontrole aż do capstrzyku. Vierbein zasepił się – był przygotowany na wszystko.

Przed drzwiami czekał na niego bombardier Asch. – Dobrześ to zrobił! – zawołał – dobrześ to zrobił z tym wałem od piechoty.

– Zdaje się, że Lindenberg czeka na mnie – powiedział Vierbein podchodząc do Ascha.

– Zorientowaliśmy się już, o co chodzi – powiedział bombardier. – To się rozniosło. Reakcja łańcuskowa! Szef wysyła na arenę swoje najlepsze rumaki. Najbezpieczniej będzie, jeżeli się natychmiast ulotniesz.

– Lindenberg może tu wypłynąć lada chwila.

– Nie robi tego – zapewnił Asch, mający wielkie doświadczenie. – Wie, co się należy. Nie robi nic, czego się nie da poprzeć przepisami i instrukcjami służbowymi. Byłeś na warcie, teraz daje ci okazję uporządkowania swoich łachów, łącznie z bronią. Dopiero później zjawi się i udowodni ci w mgnieniu oka, żeś tego wszystkiego wcale nie doprowadził do porządku.

– Wiem – powiedział Vierbein zrezygnowanym tonem. Wtedy się zacznie przedstawienie.

Asch roześmiał się beztrąsko. – Wcale do tego nie dopuścimy. Przed chwilą ty mi pomogłeś, teraz na mnie kolej. Przejmuję wszystkie twoje łachy i gwarantuję za czystość. A ty pójdziesz natychmiast do toalety, przebierzesz się tam i znikniesz jak najprędzej.

– Lindenberg będzie szaleć – powiedział Vierbein z wahaniem.

– Ten szaleć nie będzie, jest na to zbyt opanowany. Będzie się tylko potężnie złościł, ale tego nie okaże. A do jutra rana wyzłości się.

– Myślisz?

– Jestem o tym przekonany. Więc jazda! Do wychodka. Przyniosę ci ubiór wyjściowy.

Bombardier Asch popchnął Vierbeina, który pośpieszył do ustępu mieszczącego się na przeciwległym końcu korytarza. Zamknął się tam i zaczął się szybko przebierać. Hełm stalowy brzęczał, karabin wysuwał mu się z ręki i spadł wreszcie na kamienną posadzkę; zbadał w półmroku, czy nie jest uszkodzony, i stwierdził z ulgą, że mu się nic nie stało. Oparł się o drewnianą ścianę, zlany potem. Po chwili bombardier Asch zaczął bębnić w drzwi. – Masz swoje rzeczy – powiedział. – Ubiór wyj-

ściowy, czapka z daszkiem, półbuty, nowy pas; jeszcze coś?

– Dziękuję ci – rzekł Vierbein serdecznie.

– Nie ma za co.

Vierbein ubierał się pospiesznie: – Gdybyś mi nie pomógł, nigdy nie wyostałbym się dziś z koszar.

– Jeszcze tutaj! Jeżeli będziesz dalej tyle gadać, stracisz cenny czas.

– Umówiłem się na dziś wieczór z twoją siostrą – powiedział Vierbein przez drewniane drzwi ustępu. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Asch odparł po długiej chwili milczenia: – Gdybym to wiedział...

– Nie zrobiłbyś tego?

– Nie – powiedział Asch nieuprzejmie – wolałbym, żebyś wpadł w ręce Lindenberg. Jest o wiele mniej groźny od mojej siostry.

– Tego nie rozumiem.

– Bo idiota z ciebie! – mruknął Asch rozpogodzony. – Ale oprzytomniejesz kiedyś i zrozumiesz. Miejmy nadzieję, że nie będzie za późno.

Vierbein, ubrany do wyjścia, opuścił ustęp. Był nieco zbity z tropu, poza tym spieszyło mu się. Oddał przyjacielowi i koledze swoje łachy wartownicze.

Asch obrzucił go spojrzeniem; na pierwszy rzut oka nie zauważył nic, co by budziło wątpliwości. – Masz wszystko? – zapytał. – Legitymację? Pieniądze? Chustkę do nosa?

Vierbein potwierdził skinieniem głowy...

– No to rozpoznajmy sytuację. – Asch wyszedł na prawie pusty korytarz, dotarł do drzwi, wyjrzał na klatkę schodową.

Cofnął nagle głowę i zawołał półgłosem do Vierbeina wyglądającego przez drzwi ustępu: – Lindenberg idzie.

Potem sprężystym ruchem otworzył szeroko drzwi i przepisowo, nienagannie zasalutował.

Kapral Lindenberg, wyprostowany jak świeca, odpowiedział na ukłon bombardiera z wzorową poprawnością. Potem na kamiennej posadzce rozległ się stuk jego ciężkich, podkutych butów. Nie zdradzając niczym; że mu spieszo, zmierzał wyraźnie w stronę drzwi, za którymi spodziewał się znaleźć kanoniera Vierbeina.

Ledwie kapral Lindenberg opuścił korytarz i wszedł do izby żołnierskiej, skąd rozległo się donośne: „Baczność!”, Asch wyciągnął Vierbeina z ustępu i zawołał: – Jazda, człowieku! W nogi! Sytuacja jest korzystna!

Nie namyślając się długo Vierbein ruszył z kopyta. Bez oglądania się zbiegł ze schodów, pędząc na swoje spotkanie z Ingrid.

Bombardier Asch dał dobrze naoliwionym drzwiom potężnego kopniaka. Zadygotały, zaczęły się szybko wahać. Asch z wolna i z całym spokojem przeszedł przez nie w stronę swej izby.

Kapral Lindenberg stał pośrodku izby nieruchomo, szeroko rozstawiwszy nogi. Po

raz pierwszy można było wyczytać na jego twarzy ślady poruszenia; był zdziwiony. Wszystkich obecnych w izbie pytał o Vierbeina i każdy odpowiadał, że nic o Vierbeinie nie wie. Zdaniem Lindenerga było to bezczelnym kłamstwem, bo przecież sam osobiście widział przed kwadrans, jak Vierbein w ubiorze wartowniczym wszedł do budynku. Musi więc być tutaj, musi! Nie mógł chyba zniknąć z powierzchni ziemi!

Lindenberg czuł więc, że go okłamują; z początku nawet go to nie oburzyło, lecz tylko bezgranicznie dziwiło. Nie mógł po prostu pojąć, żeby ktoś kiedykolwiek odważył się go okłamywać.

– A wy – zapytał wchodzącego bombardiera Ascha – czy także nic o tym nie wiecie?

– Nie, panie kapralu – odpowiedział bombardier Asch bez namysłu.

– O czym nie wiecie?

– O niczym, panie kapralu!

– Do diabła! – ryknął Lindenberg. Był sam w najwyższym stopniu zdumiony słysząc swój ryk i zauważył, że żołnierzy jego działonu, którzy ustawili się przed nim nieruchomym szeregiem, ogarnęło przerażenie. To mu przywróciło równowagę. – I wy, Asch, macie odwagę twierdzić, że kanonier Vierbein po skończeniu swej służby wartowniczej nie wchodził do tej izby? Macie odwagę to twierdzić?

– Tak jest, panie kapralu – powiedział Asch, całkowicie zresztą zgodnie z prawdą.

Zatrzasnąwszy z hukiem drzwi Lindenberg znikł. Na korytarzu przystanął z trudem łapiąc oddech; nie mógł zrozumieć, co tu zaszło. W poszukiwaniu Vierbeina runął na teren jak oszalały byk.

– Ale go przycisnęło! – beztróska powiedział Asch do kolegów. – Stał się przecież prawie ludzki.

Spotkali się przed sklepem zegarmistrzowskim na placu Defiladowym, Johannes Vierbein miał okazję przekonać się o niezwykłej punktualności Ingrid Asch. Przywitali się i poszli wolnym krokiem w kierunku promenady nad stawem zamkowym.

Kanonier Vierbein, który przyszedł, by porozmawiać z dziewczyną, spotykał wielu przełożonych. Salutował wytrwale i ściśle przepisowo. Miał wrażenie, że całe miasto składa się z przełożonych i że cel ich życia tkwi w czekaniu na ukłon.

– Kiedy zostanie pan oficerem – powiedziała idąca obok niego Ingrid – wszystko to stanie się łatwiejsze.

– Wcale nie chcę zostać oficerem – bronił się Vierbein.

– Nie? – zapytała Ingrid ze zdziwieniem. – Wydaje mi się, że pan ma maturę, prawda?

– Oczywiście, ale nie po to, żeby zostać oficerem. Chcę być inżynierem.

– No tak, to także bardzo piękne. – Zdawało się, że Ingrid jest nieco niezadowolona; Vierbein nie wiedział właściwie dlaczego. Postanowił jakoś ją przejednać i pozwolił sobie na pytanie, czy nie wypiłaby z nim kawy.

– Ależ chętnie – odpowiedziała Ingrid. – Chodźmy do cukierni Liedtkego. Mają tam doskonałe torty.

Johannes skinął głową i uczciwie usiłował okazać radość; nie było to łatwe, gdyż cukiernia Liedtkego należała do drogich, a z pieniędzmi było u niego krucho. W dodatku opowiadano w mieście, że zwykli tam przychodzić oficerowie garnizonu, i to oficjalnie ze swoimi paniami.

Publiczność była nieliczna, ale robiła wrażenie wyborowej. Był rad, że Ingrid czuje się tu dobrze. Oświadczył, że nie lubi tortów, zachował spokój i równowagę, kiedy Ingrid od razu z wielkim apetytem spałaszowała dwa kawałki. Spojrzenia kilku przełożonych w stopniu oficerskim spoczęły na nim przez chwilę, wyrażając po przyjrzeniu się łaskawą zgodę na jego obecność w lokalu.

– Więc chce pan zostać inżynierem – powiedziała Ingrid. – A kiedy zrobi pan doktorat?

– Zapewne w ogóle go nie zrobię – odparł Vierbein. – Chciałbym zostać inżynierem budowlanym, a więc inżynierem i architektem równocześnie. – Nie mógł stwierdzić, jak na to Ingrid zareaguje, gdyż jakiś oficer finansowy zaczął w poszukiwaniu kogoś przepychać się między stolikami. Vierbein, nie podnosząc się z miejsca, znieruchomiał i skierował nań wzrok; ten sposób oddania ukłonu został zaakceptowany – oficer finansowy kiwnął przyjaźnie głową.

– Gdyby pan został przynajmniej oficerem rezerwy – wróciła Ingrid do rozpoczętego tematu.

Po daremnych poszukiwaniach oficer finansowy znowu minął stolik, przy którym siedzieli Johannes i Ingrid; kanonier poczuł się zmuszony znowu złożyć ukłon. Przeklinał tę swoją gorliwość; Aschowi by się coś takiego nie przydarzyło, wielu innym również nie; zachowywali się zawsze tak, jak gdyby byli czymś mocno zajęci. W rezultacie w restauracjach i kawiarniach prawie nie salutowali i bardzo rzadko spotykali przełożonego, który by im to na miejscu śmiał wytknąć.

– Pospacerujemy jeszcze trochę? – zapytał Vierbein. – Może pójdziemy gdzieś, gdzie jest ciemno.

– Gdzie jest ciemno?

– Gdzieś, gdzie nie musiałbym ustawicznie salutować.

– Mnie to nie przeszkadza – powiedziała Ingrid. – To chyba tak być musi. Jeżeli pan jednak chce koniecznie, weźmy łódkę i popływajmy po stawie.

– Ależ chętnie! – zawołał Vierbein. Wyliczył sobie, że jazda łódką zamiast spaceru zwiększy jego wydatki co najmniej o dwie marki. Ale dla Ingrid żaden koszt nie był za wielki, a poza tym to, co miał w kieszeni, wystarczy.

Poszli w kierunku parku zamkowego. Wiszące nad promenadą lampy lśniły blado. Zapadająca noc otoczyła ich ciepłem; Vierbein był zapatrzony w Ingrid, zapomniał zasalutować. Ale przełożony, którego przeoczył, był na szczęście pochłonięty podobnym zajęciem.

Wypożyczający łódki obrzucił kanoniera i jego towarzyszkę baczным spojrzeniem. – Może pan dostać łódkę – powiedział po chwili. – Dwie marki za godzinę i dziesięć marek jako zastaw. – Widząc wahanie Vierbeina dodał z uśmiechem: – Jeżeli przypadkiem nie ma pan przy sobie dziesięciu marek, wystarczy mi pańska legitymacja wojskowa.

Vierbein ociągał się jeszcze. Wreszcie Ingrid powiedziała z pewnym zniecierpliwieniem: – Przecież nie musimy koniecznie jechać łódką.

Ale kanonier wyciągnął z kieszeni swoją legitymację wojskową i wręczył ją wypożyczającemu łodzi; zrobił to niechętnie, gdyż wypuszczanie z ręki legitymacji wojskowej było zabronione. chyba że żądali jej przełożeni lub upoważnione do tego patrole czy organy kontrolne.

– A o dwie marki poproszę z góry – powiedział wypożyczający łódź.

Vierbein wręczył mu je spiesznie. Potem dostał łódkę, na której widniała nazwa „Promień słońca”. Ingrid usiadła przy sterze.

Wypożyczający łódki przyniósł dwa wiosła i wręczył je uroczystym gestem. – Proszę się nie gniewać – powiedział. – Tego z legitymacją wojskową uniknąć się nie da. Ma się tyle różnych nieprzyjemności. Ciągłe mi ktoś ucieka; żołnierze, zwłaszcza przed wypłatą żołdu, starają się nabić mnie w butelkę. A przed dwoma laty jeden zastrzelił się w łódce; nie tylko ją zanieczyścił, ale i uszkodził. Nie miał legitymacji wojskowej, nie wiedziałem, co robić ze zwłokami.

– Dobrze już, dobrze! – powiedział Vierbein i odepchnął łódź. Pchał ją naprzód krótkimi, mocnymi uderzeniami wiosła. Chciał znaleźć się jak najdalej od brzegu, jak najdalej od obcych ludzi, chciał być z Ingrid sam na sam. Po kilku minutach przestał wiosłować. Łódź płynęła po cichej wodzie. Ingrid przechyliła się nieco na bok i przyglądała się lśniącej, ciemnej tafli stawu. Włożyła drobną rękę do wody. Zaśmiała się radośnie.

Johannes był uszczęśliwiony. Spoglądał na nią tkliwie, miał wrażenie, że teraz dopiero, tego wieczora, widzi ją po raz pierwszy. Miała na sobie białą letnią suknię bez rękawów, w wielkie czerwone kwiaty; suknia, obcisła w biodrach, była mocno wydekoltowana. Kiedy się pochylał naprzód, wciągał w siebie ciepło płynące z jej ciała, zapach perfum oraz nieco zgniłą woń stawu. Był oszołomiony.

– Ładnie tutaj – powiedział. Patrzył na świetlne wstęgi rzucane przez lampy z dalekiego brzegu na tafle wody. Czuł, że nie jest sam, że jest bezpieczny. Pragnął, żeby tak pozostało na zawsze, a nie trwało tylko godzinę.

– Niech mi pan pozwoli trochę powiosłować.

Jak przystało na prawdziwego kawalera, próbował protestować. – Ależ robię to chętnie – powiedziała.

Zamienili się ostrożnie miejscami. Ujął delikatnie jej ramię, żeby ją podtrzymać. Ręka wysunęła mu się, dotknął przelotnie jej pachy. Odczuł rozkosz. Był szczęśliwy, że jest ciemno; przy świetle zauważyłaby, że się zarumienił. Zrobiło mu się bardzo

gorąco, poprosił, żeby mu pozwoliła rozpiąć mundur. Nie miała nic przeciwko temu. Podczas wiosłowania Ingrid, szeroko rozparta, mocno opierała nogi w lekkich przewiewnych sandałach o żebrowanie łodzi. Nachylała górną część ciała, wyciągała ramiona daleko w przód, zagarniając wodę wiosłami. Vierbein miał przez chwilę wrażenie, że wyciągnęła się obok niego. Pomyślał o zdjęciu, które jej zabrał, ukazującym, jak w mokrym kostiumie kąpielowym wychodzi z wody. Ale Ingrid już się pochylała, by wiosłować dalej.

Łódź płynęła teraz szybko i z sykiem pruła wodę. Ingrid otworzyła nieco usta i mocno oddychała. – Ach! – zawołała – jak to dobrze robi. – Podziwiał ją bezgranicznie.

Nagle przestała wiosłować, podciągnęła nogi, patrzyła na niego błyszczącymi oczami. Przyłapał się na gwałtownej chęci objęcia jej i znowu się zarumienił.

– Dlaczego właściwie nie? – zapytała zamyślona.

– Słucham?

– Dlaczego właściwie nie miałby pan zostać oficerem? Cofnął się nieco. Był zaskoczony. I ostrzej, niż miał zamiar, powiedział: – Ten zawód mi nie odpowiada.

– Chyba nic pan przeciw temu zawodowi nie ma? – zapytała niecierpliwie.

– A pani tak wysoko go ceni? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Podobają się pani mundury, ton używany w tych kołach, oficerski tryb życia?

– Mógłby pan spróbować zostać przynajmniej oficerem rezerwy.

– Właściwie po co? Chcę zostać inżynierem budowlanym. Przecież to także cel życia, prawda?

– Nie chcę pana urazić – powiedziała Ingrid serdeczniej. – Ale zawsze byłam przekonana, że myśli pan zupełnie inaczej niż mój brat.

– Wydaje mi się, że myśli pani brata są zupełnie słuszne.

– Wcale nie. To człowiek pozbawiony patriotyzmu.

– Ma dużo zdrowego rozsądku, panno Ingrid. A poza tym nie wszyscy mogą być patriotami.

– Mogą, mogą! – powiedziała z zapałem; była szczerze poruszona, nie chciała mu bynajmniej sprawić przykrości. – Kto nie jest patriotą, ten nie może być wartościowym człowiekiem. W takiej epoce jak nasza, gdzie chodzi przede wszystkim o to, by się utrzymać na powierzchni, jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe, jak człowiek normalny, zdrowo myślący i wrażliwy może choćby częściowo wyznawać poglądy mego brata.

– Brat pani nie byłby z pewnością zachwycony, gdyby mógł usłyszeć, co pani o nim sądzi.

– Wie dobrze, co sądzę o nim i o wszystkich, którzy tak myślą jak on. Ale pan, Johannes, nie jest przecież taki. Wiem o tym, czuję to. Prawda, mam rację?

– Muszę teraz iść do domu – powiedział. I zaraz poprawił się: – Muszę teraz wracać do koszar. Nie mam nocnej przepustki.

- Gniewa się pan na mnie? – zapytała naiwnie.
- Jakże mógłbym gniewać się na panią?
- Jest pan smutny?
- Jestem prawie zawsze smutny.
- Rozczarowałam pana?
- Ależ nie.
- Musi pan jednak przyznać, że mam rację.

– Oczywiście że ma pani rację – odrzekł zmęczonym głosem. Była w tej próbie przekonania go wzruszająca. Mocno wierzyła w swoje słowa. Całym swym żarliwym, młodzieńczym idealizmem wierzyła w owe wyższe sprawy, o których tylekroć czytała i słyszała, a które sprowadzały się w świadomości do jednego: mężczyzna jest obrońcą kobiety i dziecka, obrońcą ich czci, gwarantem ich dobrobytu. Tylko mężczyzna uzbrojony jest prawdziwym mężczyzną. Chciała albo takiego, albo żadnego. Tego, że dając ludziom broń robiło się z nich niewolników, nawet nie przeczuwała.

Dopłynęli do brzegu. Vierbein oddał łódź, odebrał swą legitymację, zaczął się przygotowywać do rozstania. – Niestety nie rozporządzam swoim czasem – powiedział z goryczą – ponieważ jestem żołnierzem. Nie mogę nikomu rozkazywać, mogę tylko słuchać.

– Rozumiem pana – zapewniała Ingrid.

– Wszystko to nie ulegnie zmianie, dopóki będę żołnierzem. Potem nie zostanę zapewne oficerem i będę mógł dysponować swoim czasem. Do widzenia.

– Miałam jak najlepsze zamiary – powiedziała Ingrid nieco bezradnie.

– Wierzę pani, ale może to właśnie napełnia mnie takim smutkiem.

Oderwał się od niej i ruszył biegiem. Był niezwykle rozczarowany. Czuł się oszukany, odtrącony, opuszczony. Pędził w stronę koszar, jak gdyby go ktoś gonił.

Koszary czekały już na niego.

Każdy rozkaz był dla kaprała Lindenberga świętym: biblia jego składała się z przepisów służbowych i zarządzeń. Nie znał żadnych kompromisów, uznawał jedynie bezwarunkowe posłuszeństwo. W każdej chwili gotów był uczynić to wszystko, czego mógł żądać od innych.

Lindenberg otrzymał od szefa całkowicie jednoznaczny rozkaz: zbadać szczegółowo czystość używanego przez Vierbeina podczas pełnienia służby wartowniczej umundurowania i uzbrojenia. Oznaczało to w języku Schulza: Zalejcie mu dobrze sadła za skórę!

Rozkaz był wyraźny, nie budził wątpliwości. Ponieważ nie udało się Lindenbergowi, ku jego własnemu zdumieniu, wykonać tego rozkazu natychmiast, to znaczy bezpośrednio po zmianie warty, miało się do czynienia z rozkazem nie wykonanym, a raczej z rozkazem jeszcze nie wykonanym. Zachodziła więc teraz potrzeba – albo go odwołać, co mógł zrobić tylko ten, który go wydał, albo też czekać, aż pojawi się

możliwość wykonania go, oczywiście z opóźnieniem.

Lindenberg chodził więc z tym rozkazem, jak gdyby był w ciąży. Naprzód przeszukał od strychu do piwnic cały blok trzeciej baterii; oczywiście bez rezultatu. Jego ryk: „Vierbein, Vierbein” podobny był do ryku krowy domagającej się pokarmu. Vierbein nie zameldował się. Wielokrotnie Lindenberg ukazywał się w izbie swoich podwładnych, dając wyraz gorącemu pragnieniu ujrzenia Vierbeina, ale żołnierze odpowiadali mu wciąż negatywnie i zaczął przeczuwać, że nie jest tu zbyt mile widziany.

Był na tyle przyzwoity, że miał dla tego zrozumienie. Czas wolny, to czas wolny. Dobry żołnierz nie tylko nań zasługuje, ale powinien go również otrzymać. Nawet specjalny rozkaz naczelnego dowództwa wskazywał w mglistych wyrazach na to „prawo”.

Nie, ten rozkaz był rozkazem dotyczącym tylko jego; otrzymał go i sam musi go spełnić. Bo ostatecznie do zadań jego należało dawanie przykładu. Był przekonany, że żadna katastrofa żywiołowa nie potrafiłaby go odwieść od wykonania obowiązków. Miał zamiar dziś wieczorem potrenować w pływalni wojskowej, żeby się przygotować do zawodów o odznakę ratownika; jeżeli nie uda mu się wytropić w niedługim czasie kanoniera Vierbeina, będą z tego ważnego treningu nici.

Długo zmagał się ze sobą, zanim się zdobył na decyzję zwrócenia się do szefa. Nie było oczywiście mowy o zameldowaniu szefowi, że rozkazu n i e wykonał. Było to niemożliwe, ewentualność taka nie istniała. Pozostawała tylko próba dania szefowi do zrozumienia, że wykonanie rozkazu odwleka się; nie wykluczało to możliwości, że szef zrezygnuje z wykonania rozkazu.

Lindenberg uzupełnił swój ubiór służbowy czapką, pasem i rękawiczkami; był teraz w ubiorze, który przepisy określały jako „mały ubiór służbowy”. Udał się na parter, gdzie mieściło się mieszkanie Schulza. Zadzwoił w rytmie ustalonym dla podoficerów. Zadzwoiwszy zastygł w oczekiwaniu.

Schulz otworzył po paru minutach. Barczystą postać osłaniał purpurowy płaszcz kąpielowy. Na widok Lindenerga na twarzy jego pojawił się uprzejmy grymas. – I cóż? – zapytał tubalnym głosem. – Zalał mu pan dobrze sadła za skórę?

W krótko sformułowanych zdaniach Lindenberg zdał sprawę ze swego niepowodzenia. Mówiąc widział, jak starszy ogniomistrz Schulz otworzył szeroko usta, a potem je zamknął. Miał wrażenie, że powoli twarz Schulza nabiera koloru jaskrawej czerwieni jego kąpielowego płaszcza.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Schulz po chwili groźnego milczenia. – Po zejściu z warty ten łajdak nie wszedł wcale do izby? Po prostu ulotnił się?

– Tak jest, panie szefie.

– To jakiś obłąd.

– Tak jest, panie szefie.

– A wy jesteście idiotą!

Kapral uznał, że na tę wypowiedź swego szefa nie należy odpowiedzieć sakramentalnym „tak jest”. Oczywiście nawet mu się nie śniło czuć się obrażonym albo też myśleć o proteście. „Idiota” było powiedzeniem żargonowym, należało do tak zwanych „kwiatków” koszarowych; jak można było wyczytać w przepisach, posługiwanie się tym słowem nie było karalne.

Szef kipiąc z wściekłości zatrzasnął drzwi. Lindenberg zarejestrował to sobie nie mrugnawszy powieką. Choć uważał sposób postępowania starszego ogniomistrza za całkowicie zrozumiałą, nie pochwalał takiego braku opanowania. Miało się tu do czynienia z porywczością, która – jak wiadomo – w pewnych wypadkach przechodzi w awanturnictwo.

W każdym razie Lindenberg zmuszony był uznać, że rozmowa, która się przed chwilą odbyła, nie zmieniła wydanego poprzednio rozkazu. Nadal więc ciążyło na nim zadanie jak najszybszego skontrolowania stanu broni i umundurowania, które miał Vierbein podczas pełnienia służby wartowniczej.

Po raz piąty już udał się do izby swego oddziału. Oczywiście Vierbeina ciągle jeszcze nie było. Lindenberg zatopiony w rozmyślaniach stał przed szafą swego kanoniera, na której wisiała wielka kłódka. Ubolewał, że uprawnienia jego nie idą tak daleko, by kłódkę tę otworzyć. Pomyślał sobie, że nawet najlepsze przepisy mają swoje luki.

Nie pozostawało mu więc nic innego, jak zrezygnować z godziny wieczornego treningu i czekać. On, kapral, musi czekać na kanoniera! No i czekał! Godzinę, dwie, trzy, cztery. Siedział w swym pokoju, na stole leżał arkusz z jakąś instrukcją. Nie mógł zdobyć się na tyle skupienia, by się nauczyć na pamięć tabeli celownika przy strzelaniu naziemnym.

Podszedł do okna, rzucił okiem na plac zbiórki. Potem znowu usiadł przy stole. Po chwili wyszedł na korytarz, podciągnął się kilka razy na drążku umieszczonym w pobliżu umywalni. Potem wyczyścił buty, pas i zęby. Następnie koło trzepaka, znajdującego się obok wejścia do bloku, oczyścił swój galowy mundur, choć lśnił od czystości.

Miał wrażenie, że się znajduje w stanie pewnego zdenerwowania. Było to dla niego czymś nowym i niepokojącym. Nie bez żalu stwierdził, że nerwami jego czarpie kanonier Vierbein. Powiedział sobie, że to jest niedopuszczalne. Że powinien stać ponad sprawą, zachowywać się zawsze poprawnie, bezstronnie, świecić przykładem. Nie było to łatwe.

Na krótko przed capstrzykiem udał się raz jeszcze do izby swego działu, było to po raz dziewiąty. Trzej żołnierze grali w skata, dwaj posilali się po raz trzeci, jeden był w umywalni, reszta leżała już w łózkach. Vierbeina ciągle jeszcze nie było. Kapral Lindenberg spojrzął na swój ręczny zegarek i z ponurą miną pokiwał głową. – Jeszcze dwadzieścia minut – powiedział.

Nie wrócił już do swego pokoju. Pozostał na korytarzu. Chodząc po nim czuł, że

narasta w nim dławiący gardło gniew. A to, ganił sam siebie, być nie powinno. Zmusił się do głębokiego oddychania. Minęło dalsze długie dziesięć minut.

Wreszcie zjawił się zadyszany Vierbein. Twarz jego błyszczała od potu, musiał widocznie biec bardzo szybko. Popędził w stronę swej izby i omal nie wpadł na kaprala Lindenberga.

– Vierbein – powiedział Lindenberg poprawnym, ściśle służbowym tonem, z trudem opanowując się całkowicie. – Byliście dziś na warcie?

– Tak jest, panie kapralu.

– Czy wiadomo wam, że istnieje rozkaz, rozkaz na piśmie, w myśl którego każdy wracający z warty ma obowiązek doprowadzić swoje umundurowanie i broń do nie-naganego stanu, to jest takiego, w jakim mógłby stanąć do apelu?

– Tak jest, panie kapralu.

– Pokażcie mi więc – rozkazał kapral Lindenberg usiłując zachować spokój – pas, ładownicę, żabkę do bagnetu. – Powiedział to krótko, wężłowato, nie wygłaszał przemówienia, nie oskarżał, nie wyrażał żadnych przypuszczeń. Chciał, by przemawiały jedynie fakty. Był przekonany, że wymowa ich będzie bardzo wyraźna.

Vierbein, który ciągle jeszcze nie mógł złapać tchu, pospieszył do swojej szafy. Wyciągnął z kieszeni spodni klucz, który mu przed chwilą wręczył potajemnie bombardier Asch. Obrócił klucz w zamku i gwałtownym ruchem otworzył drzwi szafy. Lindenberg zajrzał niecierpliwie do środka. Na pierwszy rzut oka porządek wydawał się nie najgorszy. Wiszące na haku ładownice lśniły. Pas spoczywał na półkolistej podkładce. Błyszczał również. Bagnet wraz z żabką leżał na starannie rozpostartej szmatce. Wszystko lśniło. Lindenberg potrzebował paru sekund, by się opamiętać. Kanonier Vierbein doznał uczucia ulgi. Jego koledzy dobrze się spisali! Bombardier Asch uśmiechnął się ze swego łóżka.

– Buty! – powiedział Lindenberg krótko.

Vierbein podsunął mu je pod nos. O dziwo, błyszczały. Lindenberg podniósł je w górę, zlustrował podeszwy. Były starannie umyte. Sprawdził, czy nie ma brudu między gwoździemi o wystających łebkach. Szukał daremnie. Czuł, że go to straszliwie drażni. – Karabin! – powiedział, z trudem panując nad sobą.

Vierbein pośpieszył do stojaka, zdjął z niego swój karabin. Trzymał go, zgodnie z przepisami, w lewej ręce, z zamkiem skierowanym w stronę kontrolującego. Lindenberg obejrzał dokładnie wszystko, od wylotu lufy do kolby. Na pierwszy rzut oka nie miał nic do wytknięcia.

– Zdjąć ochraniacz, wyjąć zamek, odjąć dno magazynka! – rozkazał.

Postanowił zająć się badaniem bardziej szczegółowym. Był zdecydowany jednak coś znaleźć: wiedział z doświadczenia, że nie ma takiej broni, w której przy dobrych chęciach nie znalazłoby się coś zasługującego na nagane.

Nagle Asch odezwał się ze swego łóżka uprzejmym tonem: – Proszę pozwolić zameldować sobie, panie kapralu, że jest już po capstrzyku.

Lindenberg nie od razu zorientował się, co ta uwaga ma na celu. Skonsternowany, zapytał: – Co takiego?

– Jest po capstrzyku – powtórzył bombardier Asch grzecznie, unosząc nieco koc.

A leżący w najdalszym kącie bombardier Kowalski udając, że już zasypia i nie wie dobrze, co się dookoła niego w izbie dzieje, zawołał: „Spokój w burdelu!” – po czym ziewnął na całe gardło.

Lindenberg nareszcie zrozumiał. Wiedział, że obowiązuje zakaz zajmowania żołnierzy czymkolwiek w czasie od capstrzyku do pobudki; wiedział również, że żołnierze są o tym dokładnie poinformowani. Ale nigdy by nie przypuścił, że znajdzie się ktoś, kto mu na te choćby pośrednio zwróci uwagę. Zachwiało to w znacznym stopniu jego równowagę. Poczł, że rośnie w nim wściekłość; zdławienie jej kosztowało go wiele trudu.

– Pogadamy sobie jutro – powiedział i znikł za drzwiami.

– Dobranoc, panie kapralu! – zawołał za nim Herbert Asch uprzejmie.

Ojciec Freitag należał do ludzi, którzy wstają wcześnie. Służba jego w warsztatach kolejowych rozpoczynała się o godzinie ósmej. Freitag wstawał o piątej i od razu coś tam sobie dłubał, żeby, jak mówił, nabrać apetytu do śniadania.

W samych spodniach i koszuli zszedł do swego ogrodu. Był namiętym zwolennikiem ранnego podlewania. Wyciągał gumowego węza, otwierał kran. Zatopiony w myślach wprawnie manewrował węzem, skrapiając cały ogród.

O tej porannej godzinie miał wrażenie, że jest sam na świecie. Nie było żadnego sąsiada, który by stawiał głupie pytania, nikt z rodziny nie odrywał go do innych zajęć, był sam ze swoimi kwiatami, drzewami owocowymi i warzywami. W oddali stały koszary, budzące się z hałasem z nocnego snu.

Mieszkał w tej okolicy jeszcze przed powstaniem tu koszar artylerii. Ten odległy od miasta kawałek gruntu nabył przed dziesięcioma laty. Ale miasto toczyło się za nim, zdawało się, że koszary podobne do wulkanu, który nagle staje się czynny, wyrosły spod ziemi w ciągu jednej nocy. Przyjął to jak kataklizm.

W koszarach odezwały się gwizdki podoficerów dyżurnych. Małe grupki żołnierzy z konwiami do kawy zbierały się przed blokami. Kilka pododdziałów odbywało na placu gimnastykę poranną; wykonywano ćwiczenia wolne i biegi okrężne. Do Freitaga podlewającego ogród docierały strzępy rozkazów.

Skończywszy podlewanie Freitag udał się do swej szopy z narzędziami, w której urządził sobie podręczny warsztat. Strugał z drzewa nowe zęby do swoich grabi.

Mocne ręce pracowały sprawnie. Śpiewał przy tym stłumionym, szorstkim głosem.

Około szóstej obudził żonę, po czym udał się do pralni, w której dla swej osobistej przyjemności zainstalował olbrzymi natrysk. Ogolił się starannie, potem wsadził twarz i głowę pod obfite strumienie wody. Dokonawszy tej ceremonii powędrował do kuchni i zaczął się przekomarzać z żoną, dobroduszną kobietą o niemałej tuszy.

Tłumiąc śmiech udawała zagniewaną, co go zawsze wprawiało w dobry humor. Pomógł jej przy śniadaniu, napełnił termos, który zwykł był zabierać do pracy, rzucił okiem na zeszyt, gdzie żona zapisywała wydatki.

O siódmej obudził swą córkę Elżbietę. Potem ojciec Freitag nakrył przy pomocy żony do śniadania. O siódmej piętnaście cała trójka zasiadła do stołu. Elżbieta naląła rodzicom i sobie kawy.

Ojciec Freitag przyglądał się córce przyjaźnie. – Nie uważasz, matko – powiedział żartobliwie – że nasza Elżbieta stała się prawdziwa kobieta? Jest dojrzała jak jabłko, które się zrywa z drzewa.

Nie masz innego tematu do rozmowy? – zapytała żona.

– Daj spokój, matko – powiedziała Elżbieta. – Wiem sama, że wiecznie nie mogę być dzieckiem.

Ojciec Freitag wziął kromkę chleba. – Nie być już dzieckiem powiedział – bywa czasem równoznaczne z tym, że się będzie miało dziecko.

Elżbieta spojrzała na ojca ze zdumieniem. Pani Freitag była szczerze oburzona. – Naprawdę nie masz innego tematu, ojcze?

Stary Freitag roześmiał się beztrąsko. – No pięknie. Przejdźmy więc do innego tematu. Co będziemy dziś mieli na kolację?

Dziś mamy wtorek – powiedziała żona z uczuciem ulgi, że mąż skończył z wulgarnymi żartami. Chcąc mu dać do poznania, że żartów tych nie pochwała, dodała dosyć oschle: – Każdego wtorku mamy groch ze słoniną, przecież wiesz o tym. Od dziesięciu lat, na twoje specjalne życzenie.

– Na moje specjalne życzenie? Skądże znowu! Na twoje życzenie!

– Na moje? Nie przepadam za grochem ze słoniną.

– Ja również.

– A ja zawsze myślałam, że gotując ten groch robię ci przyjemność.

– A mnie się zdawało, że sprawiam ci przyjemność jedząc ton groch.

Oboje spojrzeli na siebie ze zdumieniem i po chwili wybuchnęli głośnym śmiechem. Zaśmiała się także jasnym, błogim śmiechem Elżbieta. Bardzo kochała rodziców i marzyła, by kiedyś prowadzić takie życie jak oni.

– Jesteśmy wspaniałymi wariatami – powiedział ojciec Freitag. – Ale jestem za tym, żeby tak zostało. Będziemy dalej jedli co wtorek groch ze słoniną i nazwiemy go zupą wariatów. Odnosi się to oczywiście i do dzisiejszego wieczoru. Musisz tylko ugotować więcej tej grochówki niż zazwyczaj. Oczekuję gościa, zupełnie wyjątkowego gościa.

Chcesz go poczęstować naszą zupą wariatów?

– Tak, właśnie jego! Niech nas pozna takimi, jakimi jesteśmy. Tylko żadnych wystawnych przyjęć, żadnej gali!

– Któż to taki? – zapytała zaciekawiona pani Freitag. – Ktoś z twego interesu?

– Nie – powiedział Freitag i spojrzał przyjaźnie na córkę. – Ktoś z interesu Elżbie-

ty.

Elżbieta odstawiła filiżankę, po którą przed chwilą sięgnęła. Zdumiona zapytała: – Któż to taki, ojczy?

– Bardzo interesujący młody człowiek. Poznałem go wczoraj. Mam wrażenie, matko, że ci się spodoba. O tym, że się spodoba Elżbiecie, jestem najmocniej przekonany. To bombardier, artylerzysta. Nazywa się Asch, Herbert Asch.

Elżbieta wyprostowała się i oparła o poręcz krzesła. Spojrzała na ojca szeroko otwartymi oczami. Nawet nie była specjalnie zaskoczona, gdyż zawsze liczyła się ze śmiałymi skokami myślowymi swego ojca. – Czyś prosił, żeby przyszedł? – zapytała. – A może pośrednio zmusiłeś go do tego?

Matka Freitag nie miała pojęcia, o co tu chodzi. Była w najwyższym stopniu zaciekawiona. – Ty go znasz, Elżbieto?

– Dlaczego nie miałyby go znać? – Ojciec Freitag zachowywał się tak, jak gdyby to wszystko było czymś samo przez się zrozumiałym. – Służy w tych samych koszarach, w których Elżbieta pracuje. Jest tam zaledwie ośmiuset żołnierzy. Dlaczegoż więc nie miałyby go znać?

– Ojczy – powiedziała Elżbieta zdecydowanie i bardzo poważnie – przyznaję, że popełniłam błąd nic ci o tym nie mówiąc.

Stary Freitag potrząsnął energicznie głową. – Nie musisz mi wszystkiego mówić – oświadczył.

Pani Freitag coraz bardziej zdumiona zapytała: – Co się tu właściwie dzieje?

– Nic nienaturalnego, matko. – Freitag wziął świeżą kromkę chleba. – To ten młody człowiek, którego ubranie znalazłem wczoraj na ulicy.

– I ty takiego człowieka znasz, Elżbieto? zapytała pani Freitag.

Elżbieta skinęła głową. – Znam, matko.

– A ja nie mam nic przeciwko temu – powiedział Freitag.

– Ale ja nie chcę go wcale widzieć – oświadczyła Elżbieta półgłosem, a jednak wyraźnie.

– Bardzo słusznie! – zawołała pani Freitag, usiłując wypowiedzieć te słowa mocno i zdecydowanie, co jej się nie udawało, bo była z gruntu poczciwą kobietą.

Ojciec Freitag pokroił swój chleb z marmoladą na cztery kawałki i jeden z nich włożył do ust. Żuł z zadowoleniem. Potem zjadł drugi kawałek. Wyraźnie mu to smakowało.

– Co właściwie – zapytał córki – masz mu do zarzucenia?

– Bardzo wiele!

– Czy zawsze tak było?

– Dlaczego pytasz, ojczy? Przecież wiesz dokładnie, jak było. Pani Freitag ciągle jeszcze nie rozumiała, co się tu dzieje. Nie odznaczała się bujną fantazją, a tego, co się określa jako „fantazję niezdrową”, była w ogóle pozbawiona. Elżbieta była dla niej dzieckiem, jej dzieckiem, i tak zostanie na zawsze:

– Ojczy, czy nie chcesz mi powiedzieć, co to wszystko ma znaczyć?

– Ależ chętnie – odrzekł. – Poznałem bombardiera Ascha, którego również zna Elżbieta. Odwiedzi nas. Nie zmuszałem go, nie napraszałem się. Jeszcze nie mogę powiedzieć, że mi się podoba, ale uważam go za człowieka godnego uwagi.

– A ja nie chcę mieć z nim nic więcej do czynienia! – zawołała Elżbieta. Czują się, że mówi serio.

Uważała, że Asch ją oszukał. Zostawił ją w łóżku i poszedł sobie. Wczoraj, w poniedziałek, nawet nie spróbował pomówić z nią. Po prostu o niej zapomniał. Wpakał ją w okropną sytuację, a potem zwyczajnie o niej zapomniał. Musiał zjawić się jej ojciec i skłonić go siłą do przyjścia. Tego nie chciała, to ją zawstydzalo. Tego nie oczekiwała i dlatego to się stać nie może.

– Jestem przekonany – oświadczył po namyśle ojciec Freitag – że go wcale dobrze nie znasz.

– Znam go zupełnie dobrze!

– Obawiam się, że znasz tylko pewne jego cechy, i to te, pod względem których większość mężczyzn najmniej się między sobą różni. Zapewne myślisz, że Asch to lekkomyślny pies, który chwytą wszystko, co się da chwycić. Tymczasem wcale taki nie jest. Jeżeli zechcesz odprowadzić mnie jeszcze kawałek, bo czas już najwyższy, żebym poszedł do pracy, opowiem ci dlaczego przypuszczam, że ten Asch ma wszystkie właściwości człowieka honoru.

Matka Freitag podniosła się z zagniewaną miną. – Idźcie już, idźcie – powiedziała. – Mam dosyć tych waszych tajemnic.

Stary Freitag pogłaskał ją czule po szerokich plecach. Mruczała jak kocica, ale spoglądała gniewnym wzrokiem. Freitag włożył do teki drugie śniadanie i termos; patrzył chytrze na córkę, która chcąc zachować powagę, spojrzenia tego unikała.

– A więc dziś wieczorem – powiedział stary Freitag – zjawi się tu mundur wojskowy, a w nim człowiek, który uważa się za mądrego i spryciarza, a w gruncie rzeczy ma umysł dziecka. Bo musisz sobie, matko, wyobrazić, co następuje: Człowiek ten zrobił coś, co się określa jako głupstwo lub lekkomyślność, i w dwanaście godzin później, a więc bynajmniej nie schwytany na gorącym uczynku lub zmuszony, gotów był ponieść wszystkie konsekwencje, które przewiduje nasz drobnomieszczański kodeks honorowy. Cóż to oznacza? Albo nie zrobił wcale głupstwa, albo posiada coś, co można chyba nazwać sumieniem i charakterem.

– Dobrze już, dobrze – broniła się pani Freitag. – Idź już wreszcie, bo się spóźnisz. A więc ten Asch dostanie dziś wieczorem swoją grochówkę.

– Uważam, ojczy – powiedziała chłodno Elżbieta – że zupełnie niepotrzebnie piejesz na jego cześć hymny pochwalne. Znam go lepiej.

Drogi dziecko – powiedział stary Freitag – wcale nie pieje hymnów pochwalnych. Człowiek ten może zachowywać się jak gbur, jak siekiera w lesie albo nieokrzesany wojak, ale ma umysł dziecka i ukryty, bardzo niebezpieczny idealizm młodego

chłopca. Nie znalazłem w nim śladu realisty. Mam wrażenie, że należy do ludzi, którzy, popchnięci w odpowiednim kierunku, potrafią walczyć z wiatrakami. Czytałem kiedyś książkę o pewnym człowieku w Hiszpanii...

– A idźże już sobie wreszcie! – powiedziała żona. – Przez całe życie nie naplotłeś tyle głupstw co dzisiejszego ranka. Czy nie – ostrzegałam cię zawsze? Oto skutki czytania książek! – Wypchnęła męża za drzwi. Patrzyła za nim, jak szedł przez ulice z Elżbietą, pochłonięty ożywioną rozmową. Matka Freitag potrasnęła głową. – Wariat, ale pocziwy człowiek – powiedziała.

Starszy ogniomistrz Schulz był głęboko przeświadczony, że kapral Lindenberg to zwykły niewypał. Miał po prostu bzika: nie był wcale wzorowym żołnierzem, o nie! Było to coś w rodzaju Wojskowego monstrum. Krótko mówiąc, Schulz uważał, że Lindenberg pozbawiony jest zrozumienia dla praktyki dnia codziennego, że nie opamiętał pełnego abecadła instruktora wysokiej klasy: me umiał zadrećcać.

Poniedziałkowa kompromitacja wiecznego żołnierza, który dał się wystrychnąć na dudka najparszywшему kanonierowi garnizonu, a może nawet! całej armii, mogła jeszcze ujść, można było zarejestrować ją jako rodzaj nieszczęśliwego wypadku i prędko o niej zapomnieć. Fakt jednak, że kapral Lindenberg nie wyciągnął z tego żadnych wniosków, lecz cały wtorkowy ranek dosłownie przefujarzył, gdyż poprzestał jedynie na bacznej obserwacji i nie przyśpieszył sprawy – był nie do wybaczenia.

Zdaniem starszego ogniomistrza Schulza błąd kardynalny kaprala Lindenberga polegał na tym, że nie udało mu się rozwinąć fantazji. Tkwił zbyt mocno w przepiścach. Chciał być poprawny, nienaganny, a w istocie był bałwanem. Nie posiadał sztuki interpretacji, a co dopiero improwizacji. Nie umiał wyobrazić sobie, co w imię utrzymania karności było możliwe. Szef musiał uświadomić sobie z ciężkim sercem, że niestety Lindenberg nie jest człowiekiem, który by potrafił wziąć ludzi do galopu. Napęłniało go to żywą troską. Wezwał do siebie kaprala Lindenberga, by raz jeszcze skierować do niego ostateczny apel. – Wczoraj wieczorem – powiedział – pozwoliliście najparszywшему ze swoich rekrutów zrobić z siebie wała.

– Panie szefie! Niech mi będzie wolno zwrócić panu uwagę na to, że postępowanie moje było całkowicie poprawne. Umundurowanie i broń kanoniera Vierbeina były w porządku. Nie miałem powodu ani do nagany, ani do złożenia na niego meldunku.

– Daliście się nabić w butelkę, Lindenberg – powiedział szef. – Sami wiecie o tym doskonale. Ten łobuz Vierbein znowu włóczył się zapewne z jakąś babą, a tymczasem inni wyczyścili jego rzeczy.

– To, panie szefie, można by nawet nazwać koleżeństwem.

– Jesteście kwadratowym osłem – powiedział szef z głębokim przekonaniem. – Jeszcze nie wywąchaliście, o co tu chodzi. Te łotry zachowały się po „koleżeńsku”, żeby zrobić wała ze swego kaprala. Tylko ktoś, kto nie ma oleju w głowie, może to nazwać koleżeńską; ja nazywam to zbiorowym przygotowaniem do buntu.

Lindenberg milczał. Jak się to często zdarzało, nie podzielał zdania swego szefa, ale był w dostatecznej mierze żołnierzem, by nie protestować. Tym razem usiłował tylko przedstawić swój nieco odmienny punkt widzenia.

– Dotychczas nie zdarzyło się nie, co byłoby zbliżone do bezpośredniej odmowy wykonania rozkazu.

– Bo nie znacie kruczków tej bandy! – zawołał starszy ogniomistrz, szczerze tą ślepotą oburzony. – A jak sądzicie, dlaczego dziś rano bombardier Kowalski i bombardier Asch zameldowali się jako chorzy?

– Jeden ma biegunkę, drugi cierpi na zaburzenia równowagi, panie szefie.

– Trzeba być durniem, żeby nie widzieć, że chcieli się wykręcić od musztry pieszej. Obaj znają zasady gry lepiej od was. Wiedzą doskonale, co w trawie piszczy. Są materiałem na podoficerów. A z was zrobił się mól kancelaryjny, specjalista od przepisów!

Lindenberg rozgoryczony milczał. Nie, na to nie zasłużył. Był, jednym z najlepszych podoficerów w pułku, a w każdym razie z pewnością jednym z najbardziej wzorowych. Wiedział o tym. Był nieprzekupny i z całą surowością spełniał swoje obowiązki, Teraz czuł się do głębi urażony.

Starszy ogniomistrz odprawił go ruchem ręki. Ta rozmowa ucieszyła go. Wiele się po niej spodziewał, był przekonany, że Lindenberg zabierze się energiczniej do działania i nie poprzestanie na drylu. W ciągu tych dwóch godzin musztry pieszej działon Lindenerga należy doprowadzić do tego, żeby się rodzona babka żołnierzom przypomniała! Cały działon! To była zasada! Wszyscy muszą poczuć, że tyłki im puchną z powodu Vierbeina, tylko z powodu tego Vierbeina. Jedynie w ten sposób będzie można uzyskać ich pomoc w wykończeniu go, przynajmniej moralnym, żeby znowu mieli spokój.

A więc Lindenberg został zachęcony do działania. Ciągle jeszcze istniała jednak możliwość, że nie wystarczy to do wyciśnięcia z działonu i z Vierbeina ostatnich soków. Całe szczęście, że ogólny nadzór nad musztrą pieszą spoczywa w wypróbowanych rękach ogniomistrza Platzka. Platzka nazywano nie na próżno „Platzek-dręczyciel”; nie było rzeczą przypadku, że łączyła go z Schulzem zażyła przyjaźń. Platzek już się postara, mówił sobie Schulz, żeby tym łajdakom nogi powłaziły w tyłek. Oczywiście, zwłaszcza Vierbeinowi.

Szef czuł do tego Vierbeina wstręt. W pojęciu Schulza nie miał on w sobie nic z żołnierza, był uosobieniem braku dyscypliny, obrazem niedołęstwa, jednym słowem – ofermą, cywil. A więc czuł do niego wstręt nie tylko dlatego, że Vierbein wyciągał swoje brudne łapy po jego żonę, choć był to z pewnością wyraźny dowód braku respektu.

Te głębokie rozmyślenia przypomniały mu na chwilę żonę oraz powzięte postanowienie pokazywania jej przy każdej nadarzającej się okazji, kto właściwie jest panem domu. Udał się do swego prywatnego mieszkania i zażądał filizanki kawy. Lora

zakrzętnęła się, by jak najprędzej spełnić jego życzenie.

– Chcesz się mnie zaraz znowu pozbyć, co? – zapytał Schulz. Nie odpowiedziała wiedząc, że gdyby się nie pośpieszyła, zganiłby jej powolność. Żeby jednak mu dogodzić, zwolniła tempo.

– Prędzej nie możesz? – zapytał po chwili. – Ostatecznie mam jeszcze coś innego do roboty.

Wypił spiesznie kawę i na odchodnym postanowił znaleźć i znalazł na górnej półce kuchennej trochę kurzu, co go bardzo zadowoliło. – Oto skutki, kiedy się zawsze myśli o czymś innym!

Wszedł do bloku baterii i z tylnego okna na drugim piętrze spoglądał na plac ćwiczeń. Kiwał głową nie bez zadowolenia. Działon Lindenerga wykonywał na uboczu skomplikowane i bardzo wyczerpujące ćwiczenia z bronią. Chcąc dać przykład Lindenberg dziarsko ćwiczył razem ze swoim działonem. Działon składał się z dziesięciu ludzi.

To na nowo przypomniało Schulzowi, że Kowalski i Asch zameldowali się jako chorzy. Uśmiechnął się, gdyż znał ten kawał. Ci dwaj chcieli się tylko wymigać od musztry pieszej, ale nie wzięli pod uwagę jego osoby. Pośpieszył do kancelarii i kazał się połączyć z izbą chorych.

Tymczasem Lindenberg kontynuował z działonem swoje legendarne ćwiczenia z bronią. Żeby nie zasłużyć na nazwę dręczyciela, nie tylko stosował osobisty pokaz, ale ćwiczył razem ze swoimi żołnierzami. Postawa jego wykluczała jakąkolwiek krytykę. Walnie pomagała mu przy tym jego znakomita konstytucja fizyczna.

Specjalnością jego były przysiady na osiem taktów z wyciągniętymi rękami, w których trzymało się karabin 98 k. Było to wspaniałe ćwiczenie, wywołujące drżenie ramion i omdlewanie nóg. Instruował i poprawiał donośnym głosem, w którym się prawie nie czuło wysiłku. Zauważył, że kanonier Vierbein potężnie się poci i krew mu uderza do głowy. Stwierdził to nie z triumfem, lecz raczej z pewną troską. Był niezadowolony, że powierzeni jego pieczy żołnierze są tak mało odporni. Ale był zdecydowany zamienić ich w stal.

Ogniomistrz Platzek, Platzek-dręczyciel, zbliżył się z zainteresowaniem do działonu. Przyglądał się czas jakiś z wyraźną dezaprobatą, potem powiedział: – Ćwiczą jak sparaliżowani, Lindenberg.

Nie wypowiedział się, kogo przez to swoje ulubione określenie ma na myśli. Na te słowa Lindenberg wzmógł tempo ćwiczeń, postarał się również wzmocnić głos przy rozkazach, co mu się udało. Żołnierze ćwiczyli z całą gorliwością i dokładnością, wiedząc z doświadczenia, że nie dobrze jest drażnić Platzka. Oblewali się potem, sapali.

Zdawali sobie jednak sprawę, że wszelki ich wysiłek jest daremny. Czuli niemal fizycznie, że Platzek jest zdecydowany zalać im straszliwego sadła za skórę. Platzek powiedział nagle: – Ten Vierbein jest krzywy, zupełnie krzywy. Mięczak, niedołęga!

Kto wie, gdzieście się wczoraj wieczorem obijali. Wszyscy za tego Vierbeina pod płot, biegiem marsz!

Rozpoczęła się jedna ze słynnych „zabaw” Platzka. Kazał kapralowi Lindenbergowi pozostać, a sam zaczął ganiać jego grupę po placu ćwiczeń. Żołnierze rzucali się z pokorą w błoto, starając się możliwie jak najbardziej oszczędzać swoje siły. Jeden tylko Vierbein usiłował z jakąś zaciekleścią wykonywać każdy rozkaz dokładnie i w jak najszybszym tempie. Ganiał po placu ćwiczeń jak rakietą, wgrzebywał się w błoto jak granat. Na próżno, zupełnie na próżno! Platzek ryczał raz po raz: – Wszystko za tego Vierbeina!

Po piętnastu minutach niektórzy zataczali się i poruszali jak mary senne. Przed oczyma Vierbeina latały jaskrawe, kolorowe płaty. Platzek powoli zaczął chrypnąć. Lindenberg, nastawiony negatywnie, stał wyprostowany z tyłu; uważał, że przepisy nie są tu przestrzegane, i potępiał to w głębi duszy.

Ochrypli Platzek bojąc się o swój głos zaczął komenderować gwizdkiem. Gwizdek zastępował rozkaz. Porządek gwizdków był następujący: Gwizd: padnij! Gwizd: powstań, biegiem marsz! Gwizd: klęknij! Gwizd: powstań, biegiem marsz! Gwizd: przysiad! Gwizd: powstań, biegiem marsz! Dwa gwizdki: w tył zwrot! Trzy gwizdki: baczność! Długi gwizd, rozlegający się bardzo rzadko, oznaczał: spocznij! Po dziesięciu minutach takiej zabawy Vierbein zwałił się na ziemię i zaniecono go do jakiegoś kąta.

– Mięczak, oferma! – powiedział Platzek z pogardą. Ale widać było po nim, że jest z siebie niezwykle zadowolony.

Kapitan Derna, dowódca trzeciej baterii, był, jeżeli można się tak wyrazić, żywym wkładem bratniego narodu austriackiego do wielkoniemieckiej wspólnoty wojskowej. Służył kiedyś chlubnie w c. k. armii, potem trudnił się przygodnie kupiectwem, a wreszcie pracował jako geometra i agent ubezpieczeniowy. Po pomyślnie dokonanym przyłączeniu Austrii do Rzeszy wziął go w swe otwarte ramiona wielkoniemiecki Wehrmacht. Został znowu oficerem i znalazł się wśród Prusaków.

Joseph Derna odznaczał się wiedeńskim wdziękiem, miał łagodny głos o pięknym brzmieniu oraz pięknie zaokrąglone ruchy. Na oficerów, którzy byli Prusakami z krwi i kości, działał, delikatnie mówiąc, jak środek na wymioty, ale tolerowali go i nawet w kasynie nie uważali, że jest wyraźnie niemiły. Dopuszczali go do swego koleżeńkiego grona, cieszyło ich, że zabiegał gorliwie o to, by im dorównać.

Kapitan Derna poruszał się po pruskich koszarach jak po zaminowanym polu; był w każdej chwili przygotowany na to, że wyleci w powietrze. Starał się gorliwie nie robić dokoła siebie hałasu. Zawsze i we wszystkim stosował się do innych oficerów pułku, był szczęśliwy, kiedy jego osobie i jego zarządzeniom nic nie mieli do zarzucenia.

Wszystko było dla niego nowością. W ostatnich miesiącach pierwszej wojny światowej dowodził względnie nietkniętą austriacką baterią haubic. Potem walczył o

rentę emerytalną i cywilne posady. Nie znał reguł gry koszarowego dziedzica, a już zupełnie nie orientował się w finezjach pruskiego chowu. W sprawach wyszkolenia był zdany na łaskę i niełaskę podporucznika Wedelmanna i oficerów-instruktorów, w służbie wewnętrznej na starszego ogniomistrza Schulza. Wedelmann znosił go jakoś, natomiast Schulz próbował traktować go jak gęś, którą się tuczy na święta.

Szef zorientował się od razu, z jakiego wojskowego ducha zrodził się ten powołany do służby czynnej kapitan z Austrii. Tolerował próby wiedeńczyka dostosowania się do Prusaków, między których się dostał. Schulz wiedział dokładnie, czego żądano i oczekiwano, i zawczasu informował o tym kapitana. Wojnę papierową prowadził sam. Robił plany zajęć, przygotowywał opinie, przyjmował prośby o przepustki. Derna podpisywał wszystko, co mu jego szef baterii przedkładał.

Schulz miał dosyć rozumu, by nie dać Dernie odczuć, jak bardzo nad nim góruje; kapitan ze swej strony robił wszystko, by pokazać szefowi baterii, jak bardzo mu ufa. Żyli jak w miodowych miesiącach. Prześcigali się w uprzejmościach, uważali, że mają wszelkie podstawy po temu, by od czasu do czasu zapewniać się wzajemnie, jak wielki dla siebie odczuwają szacunek.

– Czołem, panie kapitanie! – ryknął Schulz sprężyście i wesoło. Otworzył drzwi do pokoju dowódcy i oddał honory wojskowe w sposób, który zdaniem Dery wykazywał prawdziwie pruskiego ducha. Chwycił wyciągniętą doń rękę, na rozpromienionej twarzy malowało się zaufanie.

Potem Derna przez jakie dziesięć minut pozostał sam w swoim pokoju służbowym. Usiadł na krześle przy biurku, na którym zobaczył raport dzienny szefa. Podpisał go przed przeczytaniem, wiedząc, że może się całkowicie zdać na Schulza. Starł się wbić sobie w pamięć cyfry: stan etatowy, stan faktyczny, liczby odkomenderowanych, urlopowanych, chorych. Może się zdarzyć, że dowódca dywizjonu, major Luschke, zapyta o te szczegóły pod jakimś pretekstem. A u Prusaków, uświadomił go Schulz, trzeba tego rodzaju liczby umieć na pamięć.

Przyjazne terkotanie telefonu przerwało jego uczciwe wysiłki w kierunku zbliżenia się do pruskiego pojmowania zagadnień służby; zameldował się głosem bardzo uprzejmym.

W słuchawce odezwał się nosowy, syczący, alt bardzo stanowczy głos jego dowódcy. Major Luschke, którego wszyscy w koszarach – z wyjątkiem oczywiście Dery – nazywali Bulwa, chciał przede wszystkim dowiedzieć się od dowódcy baterii, czy nie ma on właściwie wrażenia, że się znajduje w kawiarni.

– Nie, panie majorze – powiedział zdumiony Derna uprzejmie.

Luschke oświadczył, że powstaje w nim to godne pożałowania wrażenie, gdyż zawsze, ilekroć Derna melduje się przez telefon, brzmi to tak, jak gdyby właśnie zamawiał u kelnera cygaro marki „Virginia”. Że nie jest to, mówił Luschke, ton odpowiedni w koszarach, powinno już chyba było dotrzeć do Dery.

– Tak jest, panie majorze – powiedział Derna uniżenie. Bulwa chciał z kolei wie-

dzieć, czy Derna jest tego świadom, że zgłoszenia do izby chorych zdarzają się w jego baterii przeważnie w poniedziałki, a w każdym razie wtedy, kiedy na godziny ranne wyznaczona jest musztra piesza. Czy uderzyło to kiedy Derne?

– Nie, panie majorze – powiedział Derna zdruzgotany. Ale ja natychmiast...

Major przerwał dowódcy baterii i łagodnym głosem zalecił mu, by się troszczył o wszelkie drobiazgi, ale łaskawie p r z e d zwróceniem mu uwagi przez dowódcę. Może w Wiedniu panują pod tym względem inne obyczaje, ale tu przecież są Prusy. Cóż mają znaczyć słowa: „Ale ja natychmiast...?” Czyżby Derna powątpiewał w prawdziwość danych jego, majora?

– Nie, panie majorze.

– A więc, kapitanie Derna, uważa pan, że fakty te są bezsporne?

– Tak jest, panie majorze.

Jak zwykle przy zetknięciu się z majorem Derna miał przygnębiające uczucie, że ocieka krwawym potem. Major był po prostu nieobliczalny, przypominał chmurę gradową na firmamencie koszar, o której nikt nie wiedział, czy i kiedy się rozładuje. W każdym razie Derna nie posiadał się z radości, kiedy major szorstko zakończył rozmowę.

Wyciągnął śnieżnobiałą chustkę do nosa, otarł nią czoło i chcąc zebrać myśli trwał przez kilka minut w nieruchomej postawie. Że też musiał wpaść w ręce tego Luschke! Odegnął jednak tego rodzaju myśli i starał się znowu skupić na papierach, które mu przedłożył poczcziwy starszy ogniomistrz Schulz.

Wśród tych papierów i załączników znalazł na samym końcu karteczkę następującej treści: „Kanonier Vierbein – kara dyscyplinarna – większa ilość wykroczeń”. Była to dla niego rzecz nowa, nigdy dotychczas nie spotkał się z czymś podobnym. Starał się wyobrazić sobie, co też Schulz mógł przez to rozumieć. Nie doszedł do żadnego rezultatu, uważał tylko, że słowa: „kara dyscyplinarna” irytują go. Jeszcze niedawno dowódca dywizjonu, major Luschke, powiedział: „Kara dyscyplinarna to ostateczny środek, kiedy zawiodą wszystkie inne metody; ten, kto ją u mnie stosuje, musi liczyć się z podejrzeniem, że w niedostatecznym stopniu opanował owe metody”.

Derna zadzwonił po szefa baterii. Był niemal zdecydowany coś niecoś zrobić, żeby tylko nie ściągnąć niepotrzebnie na siebie i na swą działalność uwagi majora Luschke.

Starszy ogniomistrz stał przed nim jak dąb, usiłując wiernie i z oddaniem patrzeć mu w oczy.

– No i cóż to jest z tym Vierbeinem, mój drogi Schulz?

– Musi być ukarany, panie kapitanie – powiedział Schulz rozbrajającym tonem, jak by to było coś zrozumiałego samo przez się.

– Mój drogi Schulz – oświadczył Derna po ojcowsku – nie jestem zdecydowanym zwolennikiem kar dyscyplinarnych. To ostateczny środek, kiedy zawiodą wszystkie

inne metody. A przecież, drogi Schulz, nie chcemy chyba narazić się na podejrzenie, że metody te opanowaliśmy w stopniu niedostatecznym.

Schulz, nie zdradzając się z tym bodaj w najmniejszym stopniu, pławił się w swym ogromnym poczuciu wyższości. Wiedział doskonale, że ktoś tu bezmyślnie paple ulubione zwroty dowódcy dywizjonu.

Myślał sobie: „Mój drogi łabędziu, jesteś papugą”.

– Ukaranie jest nieodzowne, panie kapitanie – powiedział. – Proponuję trzy dni aresztu ścisłego. Pozwoliłem sobie naszkicować uzasadnienie. – Po tych słowach wyjął z grubego notesu kartkę i położył ją na stole kapitana.

– Bardzo pięknie – powiedział Derna nieco zbity z tropu. – Rzeczywiście, bardzo pięknie, mój drogi Schulz. – Nie czuł się zbyt pewny siebie w tej chwili.

Wszystko protestowało w nim przeciw pierwszemu w jego praktyce ukaraniu. Dołączyła się do tego i ta okoliczność, że major Luschke należał do zaprzysiężonych wrogów kar dyscyplinarnych. Nie chciał patrzeć na kartkę położoną przez starszego ogniomistrza, nie chciał jej dotykać. – Cóż ten ananas spłatał? – zapytał.

– Niejedno – odpowiedział Schulz, dając ostrożnie do zrozumienia, że jest z ociągania się kapitana niezadowolony. – Kanonier Vierbein zdobył przepustkę niedzielną na podstawie fałszywych danych. Opuścił koszary zabronioną drogą. Pełnił niedbale służbę wartowniczą. Po skończeniu służby wartowniczej opuścił koszary, nie doprowadzając uzbrojenia i umundurowania do przepisowego stanu. Ten Vierbein to w ogóle niemożliwy żołnierz. Najwyższy czas, żeby go pan kapitan ukarał.

Derna odchylił się nieco w tył. – Tak – powiedział, brzemienno myślami i zaczął palcami bębnić na stole marsza Radetzkiego. – Tak, tak! – dodał. Otworzył stojące przed nim drewniane pudełko, wyciągnął skręconego przez siebie papierosa. Schulz podał mu ogień.

– Tak – powtórzył kapitan raz jeszcze i wypuścił kłąb dymu. Czuł zupełnie wyraźnie, że Schulz chce mieć swoją ofiarę. Jest twardy, zdecydowany, trudno będzie mu to wyperswadować. Ale chyba jeszcze trudniej byłoby przekonać majora Luschke, nazywanego czasami „starym Frycem”, o konieczności zastosowania kary dyscyplinarnej.

Kapitan Derna miał wrażenie, że spadł na niego jakiś ogromny ciężar wążący cetnary. Ucierpiał nawet wskutek tego jego wdzięk: Derna był bliski tego, by, stać się nieuprzejmym. Ale pomyślał, że kłótnia z wszystkowiedzącym, niezastąpionym Schulzem z powodu jakiejś bagatelki byłaby szaleństwem, niemal samobójstwem.

– Sprowadźcie mi tego ptaszka – powiedział.

Schulz pomyślał: „No więc! Dlaczego nie od razu w ten sposób?”

Złożył jeden ze swoich wzorowych ukłonów i znikł. W podniosłym nastroju wydał rozkaz wezwania kanoniera Vierbeina. Pokaże mu, gdzie raki zimują!

Tymczasem kapitan Derna przerzucał kartki przepisów dyscyplinarnych. Uważał, że są skomplikowane, nieprzejrzyste, pełne luk. Zatelefonował do adiutanta dywizjo-

nu i po wstępnej pogawędce na tematy „kasynowe” dowiedział się, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy w zasięgu służbowym majora Luschke nie zarządzono ani jednej kary dyscyplinarnej. – Stary – powiedział adiutant – jest zwolennikiem dyscypliny, ale przeciwnikiem kar dyscyplinarnych.

Derna uważał to nastawienie nie tylko za godne uwagi, ale również w jego sytuacji za bardzo wygodne: Chętnie wyświadczyłby swemu Schulzowi tę drobną przysługę, oczywiście o ile żądanie jego było uzasadnione. Ale przecież nie może zlekceważyć zasadniczych poglądów swego dowódcy. Wobec zarządzeń majora Luschke byłoby to po prostu samobójstwem. Musi zręcznie lawirować. Musi pruskiej niezłomności przeciwstawić austriacką uprzejmość i starać się jedno i drugie stopić w harmonijną całość.

Spojrzał na wchodzącego kanoniera Vierbeina, za którym stał rozłożysty Schulz, z całym chłodem, na jaki było go stać; nie było to wiele, ale dało pewien skutek. Na razie milczał, gdyż nauczył się tego, że milczenie jest czymś znaczącym, groźnym i przygniatającym. Oczy jego błędziły badawczo po bladej twarzy kanoniera, która pod potężnym stalowym hełmem wyglądała nagle i chorowicie.

– Niezdrowy kolor skóry – stwierdził kapitan.

– To z jego trybu życia – odezwał się stojący z tyłu szef.

– Powinniście się wstydzić – powiedział Derna, mając na myśli kanoniera. – Macie zaszczyt być żołnierzem i nosicie mundur, a zachowujecie się jak, jak...

– Jak cętkowana świnia – rzucił Schulz ochoczo.

Derna skinął głową. Uważał wprawdzie, że określenie Schulza poszło nieco za daleko, ale wolał mu tego nie wytykać, zwłaszcza w obecności podwładnego. Przyglądał się dokładnie blademu kanonierowi; nie wyglądał na buntownika, raczej na kiepskiego żołnierza. W obecności tego półtora nieszczęścia, na które patrzył, Derna czuł się wielki i mocny. Odczuwał znów dumę z tego, że jest oficerem Wehrmachtu, Austriakiem na pruskiej ziemi, po tylu latach pełnych wyrzeczeń, niemal pozbawionych godności. Czuł swą bezgraniczną przewagę i to usposabiało go dobrodusznie.

– Jaki jest zawód waszego ojca?

Stojący z tyłu szef poczuł się niemile dotknięty. „Co to ma znaczyć? – pytał sam siebie. – Czy to ma być towarzyska rozmówka, czy wymierzenie kary dyscyplinarnej? Zajmuje się sprawami rodzinnymi, kiedy przecież chodzi tylko o jakieś mocne słowo.”

– Urzędnik policji, panie kapitanie – powiedział Vierbein.

Derna spojrzał ze zdumieniem, jak gdyby zobaczył przed sobą dziwoląga. Potrząsając głową powiedział: – To prawie nie do wiary. Ojciec wasz jest więc czcigodnym, solidnym urzędnikiem, obrońcą porządku, żeby się tak wyrazić – wzorem. A wy? Jesteście kiepskim żołnierzem, nawet bardzo kiepskim, jak mi o tym zameldował szef. Ojciec wasz byłby bardzo zmartwiony, gdyby was mógł tu zobaczyć. Nie wstyd wam?

– Vierbein, czy jesteście głusi? – zawołał zirytowany starszy ogniomistrz. – Pan kapitan pyta, czy wam nie wstyd?

– Tak jest, panie kapitanie.

Derna próbował zdobyć się na nieubłaganą surowość. – Gdyby ojciec wasz wiedział – mówił dalej – jaki z was kiepski żołnierz, i jemu byłoby wstyd. Proszę mi przypomnieć, szefie, że biorę pod uwagę napisanie obszernego listu do pana Vierbeina.

– Tak jest – powiedział z niechęcią Schulz. I on miał uczucie, że powinien się wstydić, ale za kapitana Derna. Ma wymierzyć słoń karę dyscyplinarną, a zamiast tego plecie o wymianie listów. To nie dowódca, lecz duszpasterz! Cóż może z Austrii przyjść dobrego!

– Szef – powiedział Derna, obrzucając Schulza przychylnym spojrzeniem – musiał mi zameldować o waszych wykroczeniach, Vierbein. Uczynił to niechętnie, ale musiał spełnić swój obowiązek.

Stojący w głębi Schulz stracił całkowicie panowanie nad sobą. Nawet potrzęsnał głową, był głęboko przekonany, że go świetny na ogół słuch zawodzi. Bo przecież to nie mogło być prawdą! Nie miało prawa nią być! Przecież znajdowali się w koszarach, a nie w jakiejś freblówce.

– Myślałem o surowej karze dyscyplinarnej – powiedział Derna. – Mieliście otrzymać karę aresztu ścisłego, ale jeszcze tym razem dałem łasce pierwszeństwo przed prawem, między innymi dlatego, że takie jest życzenie waszego szefa.

– Panie kapitanie! – odezwał się skromnie głos protestu Schulza.

– Oczywiście – dodał spieszenie Derna – tak zupełnie nie wykręcicie się sianem. Wyznaczam wam najniższą karę: na czternaście dni wstrzymanie urlopów. Proszę to zanotować, szefie.

– Czternastodniowy zakaz opuszczania koszar – powiedział tamten, poprawiając ze skupieniem swego kapitana.

– A jeżeli jeszcze raz coś się wydarzy – usiłował ryknąć Derna, przy czym zapał wysokim dyszkantem – zamknę was niemiłosiernie. Macie na to moje słowo.

Starszy ogniomistrz zamruczał niechętnie. – Dom wariatów! – Dobrze jeszcze, że stary dał słowo. Jeżeli zdarzy się jeszcze cokolwiek, powiedział, zamknie Vierbeina. No, to się da zrobić. Nie będzie musiał z dotrzymaniem tego słowa czekać zbyt długo.

Vierbein odmaszerował chwiejnym krokiem. Miał wrażenie, że mu przed chwilą wypompowano żołądek. Dowłókłszy się do toalety zaczął wymiotować.

Kapitan Derna uśmiechnął się do starszego ogniomistrza. – Będzie to dla niego nauczką – powiedział rześko.

Szef nie zaszczycił tej uwagi żadnym komentarzem.

Obydwaj byli niezadowoleni i spoglądali na siebie z ukrytym wyrzutem. Kapitan obawiał się, że straci w Schulzu gotowego do usług podwładnego, szef bał się utraty

decydującego wpływu na swego przełożonego. Obaj byli w złych humorach. A wszystko to z winy tego kanoniera nazwiskiem Vierbein.

Ingrid Asch spała w nocy dobrze, nie była ani podniecona, ani specjalnie smutna; była tylko zdziwiona. Dotychczas rozpieszczano ją. Wiedziała, że się dobrze prezentuje, i spokojnie przyjmowała wszelkie rodzaje hołdów, czci i sympatii. Ale tego, żeby ją ktoś po prostu zostawił i uciekł, nie rozumiała. Coś podobnego nie zdarzyło się jej jeszcze nigdy.

Łączyła to z wpływem wywieranym przez jej brata. Miłość jego polegała wyraźnie na tym, by jej narzucać swą opiekę i zabierać całą radość z rzeczy pięknych i wielkich. Prawdopodobnie potrafił przenieść swoje zastrzeżenia dotyczące jej osoby na swego dziwnego przyjaciela Vierbeina. Było to godne pożałowania, gdyż ten Vierbein podobał się jej. Szkoda, że płynie razem z prądem jej brata, pozbawionego wszelkich ideałów.

Ingrid zrobiła rachunki z dnia ubiegłego. Kawiarnia kwitła, wykazywała pokaźny obrót. W ostatnich czasach zdobycie dodatków potrzebnych do pieczenia najlepszych gatunków ciasta natrafiało na trudności. Ingrid nie rozumiała dlaczego. Okręgowy mistrz piekarski dowiadywał się o przyczyny w Państwowym Urzędzie Wyżywienia. Odpowiedziano mu, że pozostaje to w związku z przyłączeniem do Rzeszy nowych terytoriów, poza tym wzrastają stale zapasy żywnościowe Wehrmachtu, który powinien być w pogotowiu, gdyby zaszło coś poważnego.

Odsunęła rachunki na bok i zamyśliła się. Określenie „coś poważnego” wywierało na nią wpływ magiczny. Wyobrażała sobie swego brata i jego przyjaciela na wojnie. Była święcie przekonana, że obaj zdaliby egzamin, że zdobyliby pochwały, awanse i odznaczenia. Wyobrażała sobie, że byłby to czas pełen harmonii, że korespondowałyby ze sobą, że dni urlopów miałyby w sobie coś czarującego, pięknego i pociągającego. O tym wszystkim czytała i wierzyła w to.

Nieco podniecona tymi myślami zakończyła swą pracę biurową wcześniej niż zwykle. Zeszła na dół do restauracji, odszukała ojca. – Czy mogę na dziś już skończyć pracę? – zapytała.

Stary skinął głową. – Oczywiście – powiedział. – Dokądże się wybierasz? Po zakupy? Do kina? Do twojej wielkomijskiej freblówki?

– Proszę cię, ojczu, nie mów tak o Związku Dziewcząt Niemieckich.

– Przepraszam – powiedział stary Asch pogodnie. – Ciągle zapominam, że dziś Związek Dziewcząt Niemieckich, a jutro Narodowosocjalistyczna Organizacja Kobiet. [{7}](#) A wobec Narodowo-socjalistycznej Organizacji Kobiet czuję respekt, bo przecież damy należące do partii to moje stałe klientki.

– Chcę pójść do koszar, ojczu.

– W czymże chcesz się tam wyćwiczyć? A może masz zamiar odwiedzić twego kochanego braciszka?

Ingrid wolała nie odpowiedzieć na żadne z tych pytań. – Przecież ty także byłeś

żołnierzem, prawda?

Asch, który stał przy bufecie obok windy wożącej z kuchni potrawy, obejrzał się dokoła. Dochodziła godzina piąta, jak zwykle o tej porze nie było w kawiarni tłoku. Kelnerki gdzieś się ulotniły, mógł więc mówić spokojnie. – W ostatnich czasach – powiedział – mocno się interesujesz wojskiem.

– Interesuję się ludźmi, którzy przypadkowo noszą mundur. Wszyscy mężczyźni muszą to robić, chyba że są ułomni lub małowartościowi.

Asch spojrzał na córkę bez zdziwienia. Zbyt dobrze znał jej poglądy na tak zwane „wielkie sprawy”, by się jeszcze czemuś dziwić.

Pochłonięty interesami po przedwczesnej śmierci żony, miał dla córki o wiele mniej czasu aniżeli organizacje partyjne, i stąd to wszystko wynikło. – Wczoraj wieczorem – powiedział – jeździłaś łódką z pewnym żołnierzem. Jeden z moich pracowników opowiadał mi o tym.

– Był to pan Vierbein, przyjaciel Herberta. Czy masz coś przeciwko temu, ojcze?

– Ależ nie – odparł Asch beztrosko. – Z nim możesz jeździć łódką. W moich oczach on nie jest żołnierzem.

– Dlaczego go obrażasz, ojcze? – zapytała Ingrid szczerze zasmucona.

Asch był zdziwiony. – Przecież ja go wcale nie obrażam, przeciwnie, wypowiedziałem pod jego adresem komplement. Prowadzenie wojny przy pomocy osobników w rodzaju Vierbeina jest oczywiście możliwe, ale dla uregulowanego bytowania koszarowego jest on za mało prymitywny.

– Nie rozumiem cię, ojcze – powiedziała Ingrid.

– Niestety – odrzekł Asch wzruszając ramionami i zabrał się znowu do pracy. – Może jednak powinnaś się nad tym zastanowić, zanim, kto wie, dla kogo, będzie za późno.

Ingrid Asch rozstała się z ojcem niezadowolona. Był niewątpliwie dobrym kupcem oraz; w miarę możliwości dobrym ojcem. Nie można było jednak powiedzieć, żeby był także dobrym Niemcem. Nie brała mu tego za złe, ale trochę ją to zasmucało. Zamęt w jej myślach wprowadzała tylko okoliczność, że na temat rzeczy najprostszej i najjaśniejszej w świecie, jaką było wojsko, spotykała się z poglądami całkowicie odmiennymi i sprzecznymi. Wszystko to było skomplikowane, niebezpiecznie zawikłane. I właśnie człowiek, w którym pragnęła widzieć swój ideał, ów Vierbein, wydawał się o wiele bardziej skomplikowany niż wszyscy inni.

Poszła do swego pokoju i przebrała się. Przyjrzała się sobie w lustrze. Miała wiotką, ale już wyraźnie zarysowaną figurę; może uda były nieco za szczupłe, biodra za mało szerokie. Na lekcjach higieny w Związku Dziewcząt Niemieckich dano jej taktownie do zrozumienia, że może mieć trudności i komplikacje przy rodzeniu dzieci. Nie widziała jednak powodu, by to brać zbyt tragicznie. Za to jej pełne i jędrne piersi mogły być przedmiotem dumy; niejedno męskie oko spoczywało na nich z błogością. Długo i wytrwale czesała swe włosy o matowym połysku, aż jedwabistą falą

spłynęły jej na ramiona. Wybrała skromną, szarozieloną jedwabną suknię, wiedząc, że uwydatnia jej kształty. Potem wyszła z domu.

Minęła rynek, plac Parad, ulicę Wolności, skierowała się na przedmieście. Nie spieszyła się, ponieważ sama dobrze nie wiedziała, co chce zrobić. Chętnie zobaczyłaby Vierbeina, pomówiłaby z nim, dałaby mu do zrozumienia, że jest gotowa przebaczyć mu jego wczorajszą ucieczkę. Pragnęła tego, ale jeszcze nie wiedziała, jak to urzeczywistnić.

Minęła lokal „Bismarckshöhe”, o którym wiedziała, że nie cieszy się dobrą opinią. Wyszła na szosę prowadzącą wprost do koszar. Tutaj miasto kończyło się. Rozciągały się pola, ogrody, ogródki, a wśród nich widniały domki robotnicze. Na prawo, zasłaniając horyzont, rozłożyły się wielką szarą masą koszary artylerii; sześć bloków stało prostopadle do szosy, dwa równoległe do niej. Za nimi mieściły się hale i plac ćwiczeń.

Ingrid znowu zwolniła kroku. Szła wolno, ociągając się. Z trzypiętrowych bloków dochodził zgiełk, pieśni, ostre głosy komend. W oknach pojawiły się opalone twarze z wlepionymi w nią oczami. Zobaczyła nawet skierowaną na siebie lornetkę. Dwóch żołnierzy uśmiechało się i dawało jej znaki. Nagle przyspieszyła kroku.

Nie chcąc, by się jej przyglądano, poszła w kierunku otwartej bramy. Ale stojący przy niej wartownik również wlepił w nią wzrok; przypuszczała, że skłaniają go do tego względy służbowe.

Uprzejmy wartownik skierował ją na wartownię. Siedzący tam podoficer obrzucił ją również badawczym spojrzeniem. Było widoczne, że sobie myśli: „Diabło szykowna wizyta!” Zapytał z życzliwością: – Do kogóż to, panienko?

– Do bombardiera Ascha. Trzecia bateria.

Podoficer spojrział na zegar wiszący na wartowni. – Dopiero dochodzi szósta – powiedział. – Trzecia bateria ma dziś zajęcia do osiemnastej trzydzieści.

– To już długo nie potrwa – powiedziała Ingrid. – Jestem siostrą bombardiera Ascha.

– Ach tak! – odparł podoficer, wyraźnie rozczarowany. – Pilna sprawa rodzinna, co?

Potwierdziła to bez wahania i otrzymała przepustkę. Jeden z wartowników odprowadził ją do podoficera dyżurnego trzeciej baterii, który poprosił ją o oczekiwanie w czytelniku.

W czytelniku siedział znudzony podporucznik Wedelmann przerzucając czasopisma. Zgodnie z planem zajęć miał nadzór nad czyszczeniem broni, nie pozostawało mu więc nic innego, jak pętać się po koszarach. Jak zwykle zdawał się na swoich podoficerów i zabijał czas oglądaniem w pustej czytelniku mniej lub więcej budujących zdjęć lekko ubranych dziewcząt lub ciężko opancerzonych czołgów.

Na widok Ingrid wstał i ukłonił się w milczeniu. Miał wrażenie, że jedno z najbardziej godnych uwagi zdjęć z tych, które przed chwilą oglądał, ożyło. Na pierwszy

rzut oka zauważył, że ma przed sobą niezwykłą dziewczynę. Dzięki temu na jego szary dzień padł nieoczekiwanie radosny promień światła. Umiał to ocenić i uśmiechnął się mile.

Ingrid trochę to pochlebiło. Odpowiedziała na ukłon podporucznika lekkim skiniem głowy. Potem próbowała nie patrzeć na niego. A podporucznik, kierowany poczuciem taktu, nie ważył się na żadne niezgrabne próby zbliżenia.

Musiała czekać, aż odszukają bombardiera Ascha. Przerzuciła kilka czasopism wojskowych, których stan zewnętrzny nie wskazywał na to, że są gorliwie czytane. Podporucznik przyniósł jej czasopisma bardziej interesujące, podziękowała z rezerwą. Wreszcie, po upływie kwadransa, zjawił się bombardier Asch.

Wpadłszy do czytelnicy Asch zdumiał się, ponadto wydawało się, że jest rozczarowany.

– To ty! – powiedział.

– Oczekiwałeś więc kogoś innego?

– Jak byś zgadła – odpowiedział. Dopiero teraz zauważył podporucznika Wedelmanna i przybrał postawę zasadniczą z gatunku nienajwspanialszych. Wedelmann odpowiedział natychmiast, ale nie bez pewnej dezaprobaty. Asch zorientował się od razu, dlaczego podporucznik nie pochwała jego zachowania się; przypuszczał niezawodnie, że bombardier Asch, którego w sobotę wieczorem widział w „Bismarckshöhe” z Elżbietą, zakłada sobie harem. Ze względu na Elżbietę Herbert Asch nie chciał, by tak o nim myślano.

– Sprowadza cię do mnie siostrzana tęsknota? – zapytał. – A może ojciec cię przysłał?

Podporucznik Wedelmann podniósł się z czarującym, przyjaznym uśmiechem. – Nie chcę przeszkadzać w rodzinnym spotkaniu – powiedział z galanterią. Po tych słowach skłonił się Ingrid, kiwnął Aschowi ręką i wyszedł na korytarz.

– Czego właściwie chcesz? – zapytał Asch nieuprzejmie. – Wprowadzasz tu zamęt. Właśnie byłem pochłonięty ciężką pracą w magazynie mundurowym i czułem się tam aż do godziny siódmej bezpieczny jak na łonie Abrahama. Wylczyłem sobie, że na siódmą cały ten rejwach tutaj będzie skończony. I cóż się dzieje? Zjawiasz się, wprawiasz w ruch ogniomistrza Werktreua. No i ten robi to, co miał zrobić dopiero o siódmej: wywała mnie z magazynu mundurowego. Teraz będę zmuszony brać udział w tym całym wieczornym przedstawieniu galowym, przed którym zabezpieczyłem się wedle wszelkich reguł sztuki dekowania się. Co ty sobie właściwie myślisz? Czego tu chcesz?

– Nie rozumiem cię – powiedziała Ingrid.

– To dla mnie żadna nowina.

– Właściwie chciałam rozmówić się z twoim przyjacielem Vierbeinem.

– Czy być może? – Asch nie mógł pojąć, jak można być aż tak naiwną. – Chciałaś rozmówić się z Vierbeinem! I wyobrażasz sobie, że on czeka na ciebie? Po wszyst-

kim, coś mu zapewne znowu wczoraj urządziła, padnie na kolana ze szczęścia, że może cię zobaczyć, co? Powiedz no, co ty sobie właściwie myślisz? Uważasz tego Vierbeina za wypchaną lalkę, z którą możesz do woli grać w piłkę nożną? Zanadto mi go szkoda dla twoich idealistycznych, cieplarnianych pomysłów. Jeżeli nie umiesz się z nim odpowiednio obchodzić, nie wyciągaj po niego swoich wymanikirowanych palców.

– Nie rozumiesz mnie, Herbercie – powiedziała zaskoczona. – Nie jestem taka, jak myślisz. Nie chcę być taka. Czy mogę z nim mówić?

Asch, pełen wątpliwości, przyglądał się swojej siostrze. A więc chce mówić z Vierbeinem. A zmęczony, wyczerpany, błądy Vierbein, któremu wedle wszystkich reguł sztuki dręczenia ludzi łamano przez cały dzień kości, czyści teraz broń w swym opadającym z niego, brudnym drelichu. I tego rozbitego nieszczęśnika miałby pokazać promiennej, pięknej Ingrid?

– Nie! – powiedział twardo i zdecydowanie.

– To nie! – odrzekła Ingrid z uczuciem niesprawiedliwie odepchniętej.

Wstała i opuściła pokój. Na korytarzu natknęła się na podporucznika Wedelmana, który tam czekał. Uśmiechnął się szarmancko.

– Pozwoli pani, że jej wskażę drogę? – zapytał.

– Proszę – odpowiedziała Ingrid. Wyglądało na to, że właśnie powzięła jakąś śmiałą decyzję.

Błogosławieństwo wieczorne przyszło dla działonu Lindenbergga dość wcześnie i było więcej niż obfite. Starszy ogniomistrz Schulz wymyślił sobie imprezę swoistego rodzaju i był dumny ze swej wynalazczości i improwizatorskiego talentu.

Właściwego bodźca dodała mu pośrednio żona jego, Lora, kiedy pomagając przy ściąganiu butów wezwała go, by sobie wreszcie raz znowu umył nogi. To „wreszcie raz znowu” było oczywiście przesadą, ale słowo „umyc” wywołało w nim znamienne asocjacje, i to w następującej kolejności: myć, kąpać się, pływać.

Schulz poddał więc kapitanowi Derna projekt, by mocno dotychczas zaniedbywane szkolenie pływackie intensywnie rozwinąć, z myślą o utworzeniu baterii pływaków.

– Również i major Luschke – oświadczył Schulz – wielokrotnie wypowiadał tego rodzaju życzenie.

Kapitan Derna, ucieszony gorliwością służbową starszego ogniomistrza, starając się po incydencie przedobiednim zapewnić sobie jego zaufanie, powiedział:

– Doskonała myśl, mój drogi Schulz. Uważam, że i pora roku jest wyjątkowo korzystna. Rozpoczynajcie więc. – Po czym dodał ostrożnie: – Tylko nie spieszcie się zanadto.

Schulz odpowiedział potulnie: – Zacznę od mniejszych grup.

Pierwszą z tych „mniejszych grup” był oczywiście działon Lindenbergga, który zniósł jakoś względnie możliwie ów piekielny dzień. Wszyscy byli pomęczeni; Vier-

bein, który ucierpiał wyjątkowo, był u kresu sił. Pochyleni nad swoimi karabinami czyścili je w żółwym tempie. Kapral Lindenberg, który tego nie pochwalał, ale rozumiał, że jego żołnierze są do cna wyczerpani, stał przy oknie i udawał, że wygląda przez nie z zainteresowaniem.

Był człowiekiem dyscypliny, ale nie należał do dręczycieli. Jak się tego po nim spodziewano, przeprowadził ostro ćwiczenia, ale nie łamał psychicznie swoich żołnierzy. Wycisnął ich jak cytryny, ale nie babrał ich w błocie. Przy musztrze pieszej, działocznach, przy ćwiczeniach sportowych i biegach na przełaj wyciągał z nich wszystko, co się dało, ale był to sensowny wysiłek fizyczny w celu zahartowania ciała i nie miało to nic wspólnego z systematycznym „wykańczaniem”.

Teraz, kiedy żołnierze późnym popołudniem zajęci byli czyszczeniem broni, Lindenberg był przeświadczony, że spełnił swój obowiązek i zmusił do spełnienia obowiązku przydzielonych mu żołnierzy. Napełniało go to uczuciem dumy: praca dokonana w ciągu dnia była wzorowa. Potępiał brutalną ingerencję ogniomistrza Platzka, którą można było uważać za przejaw braku zaufania do niego.

Starszy ogniomistrz Schulz wszedł do izby działonu Lindenberga na krótko przed ukończeniem czyszczenia broni. Promieniał błogością, co wywołało ogólne zaniepokojenie.

– Kto – zapytał wesoło – jeszcze nie brał udziału w pływaniu?

Z jedenastu obecnych żołnierzy zameldowało się siedmiu, wśród nich Vierbein. Bombardier Asch, który wrócił przed chwilą ze spotkania z siostrą, wcisnął się z niezadowoloną miną do kąta. Przeczuwając, co się tu święci, przeklinał w duchu siostrę, która pozbawiła go możliwości względnie bezpiecznego przebywania w magazynie mundurowym.

– Tylko siedmiu ludzi? – zapytał Schulz w niezmaczenie dobrym nastroju. Wiedział, że pływanie było w baterii mocno zaniedbane i że to właśnie były sidła, w które będzie mógł schwytać każdego, kogo zechce.

– A inni? Na przykład wy, Asch?

– Ja – odpowiedział Asch – napływałem się w zeszłym roku do syta.

Szef uśmiechnął się przyjaźnie. – To się oczywiście nie liczy – powiedział. – Kto mi zagwarantuje, że w ogóle pływacie? Egzamin z pływania musi być co roku składany na nowo. Dobry żołnierz powinien umieć pływać. Prawda, kapralu Lindenberg? Przecież jesteście także pływakiem?

– Jestem pływakiem-ratownikiem – odparł Lindenberg sztywno.

– No więc! Mogę tego tylko powinszować działonowi. Chyba nie ma wśród waszych ludzi ani jednego, który by w ogóle nie umiał pływać.

– Nie, panie szefie – zapewnił Lindenberg. Wykorzystał intensywnie nieliczne lekcje pływania. W jego zespole nie było takich, co by pływali jak siekiera.

– Cudownie, wspaniale! – zawołał Schulz. – W takim razie nie odkładajmy sprawy! Wasz działon popływa jeszcze dzisiaj.

– Jeszcze dzisiaj? – zapytał kapral szczerze zdumiony.

– Czy macie zły słuch? – odpowiedział niełaskawie Schulz. – Jest teraz kilka minut po szóstej, o pół do dziewiątej robi się ciemno. Można sobie do tego czasu popływać do woli.

Lindenberg nie zgadzał się z tym zarządzeniem; różnica między poglądem na tę sprawę szefa i jego własnym była tym razem tak wielka, że odważył się wystąpić z pewnym zastrzeżeniem, pozwalając sobie na uwagę następującą: – Uważam, panie szefie, że byłby pożądanym pewien trening.

Żołnierze działonu, z wyjątkiem Vierbeina, który patrzył z rezygnacją przed siebie, śledzili z napięciem tę wymianę zdań; była czymś niezwykłym. Bombardier Asch wysunął się nawet nieco naprzód, by mieć pełniejszy obraz.

– Chcecie więc treningu? – powiedział szef pozostając w dalszym ciągu w doskonałym nastroju. – Możecie go mieć. Propozycja wasza jest nawet znakomita. A więc naprzód zarządzicie półgodzinny suchy trening, powiedzmy, od osiemnastej trzydzieści do dziewiętnastej. Potem krótki bieg na przełaj do wojskowego kąpieliska, gdzie o godzinie dziewiętnastej piętnaście rozpoczniecie pływanie. Nadzór będzie miał ogniomistrz Platzek. Ja również będę obecny. Zrozumiano?

– Tak jest, panie szefie – wydusił z siebie Lindenberg.

Schulz oddalił się w radosnym nastroju, zmierzwszy na odchodnym Vierbeina surowym i znaczącym spojrzeniem. Udał się natychmiast do Platzka-dręczyciela, by z nim omówić szczegóły.

Żołnierzy działonu Lindenberg opadły ponure myśli. Niektórzy czekali nie bez ciekawości na wypowiedź swego działonowego Ale Lindenberg milczał. Rozkaz był dla niego rozkazem. Krytyka nie należała do niego, komentarzy na temat przełożonych w obecności podwładnych nie uznawał.

– Przerwać czyszczenie broni! – rozkazał. – Przygotować się do suchego pływania! Zabrać kąpielówki.

Żołnierze wypełniali te rozkazy niechętnie. Wyczerpany Vierbein zamknął na chwilę oczy i oddychał głęboko. Poruszał się jak automat. Asch mruknął półgłosem: – Zafajdany interes!

– Powiedzieliście coś, bombardierze Asch? – zapytał ostro Lindenberg.

– Tak jest, panie kapralu. Powiedziałem: „Miejmy nadzieje że woda nie będzie zbyt zimna”.

Lindenberg przyjął to oświadczenie do wiadomości. Przyglądał się z zatroskaną miną Vierbeinowi. Ten żołnierz nie podobał mu się – nie był dostatecznie odporny. – Żebyście mi tylko nie zmiękli, Vierbein! Jeżeli się weźmiecie w karby, wytrzymacie także i to.

Kanonier nie czuł kości ze zmęczenia. Widział jak przez mgłę, poruszał się jak po mydle. Ruchy miał mechaniczne, bezsilne. Przebrał się, przygotował stołek i podgłówek i ledwie żywy oparł się o szafę.

Zobaczywszy to bombardier Asch podszedł do Vierbeina, ujął go pod ramię i powiedział:

– Zaciśnij zęby i trzymaj się mnie.

Vierbein skinął automatycznie głową. Nie był prawie w stanie jasno myśleć. Dzień ten był dla niego zbyt wyczerpujący. Platzek-dręczyciel skoncentrował się niemal wyłącznie na nim. Karne kazanie kapitana Dery napędziło mu strachu. Należało się teraz obawiać nie tylko nagany, ale i zamknięcia w areszcie. W porze południowej musiał na rozkaz szefa pracować w kuchni. Potem w czasie ćwiczeń sportowych musiał wykonywać nieskończenie długie wspinaczki, skoki przez konia, wspinanie się po linach, pokonywać tor przeszkód, ćwiczyć walkę wręcz i biegi. Ślańiał się z wyczerpania. Chwilami myślał o Ingrid i o tym, że ona go nie rozumie.

Kapral Lindenberg puścił w ruch swój gwizdek. Żołnierze chwyciwszy stołki i podgłówki ruszyli przez drzwi na korytarz, pobiegli na plac i ustawili się w zbiórcie. Kanonier Vierbein dał się ponieść ciżbie. Na schodach potknął się i gdyby nie pomoc Ascha, byłby upadł.

Ogniomistrz Platzek czekał już na „suchych” pływaków. Ze smakowitym uśmiechem na ustach zarządził szyk luźny jak do gimnastyki i rzuciwszy dumnym okiem na okna, w których stali zaciekawieni żołnierze, zaczął trening.

Żołnierze położyli podgłówki na ustawione przed sobą stołki i rzucili się na nie na dźwięk gwizdka. Na monotonną komendę „raz i dwa” wykonywali przepisowe ruchy pływackie. Trwało to dobrych parę minut. Utrzymanie ciała w równowadze nie należało do rzeczy łatwych. Jeszcze trudniej było poruszać przy tym sprawnie ramionami i nogami. Najbardziej bolały mięśnie brzucha.

– Ten Vierbein – ryczał rozpromieniony Platzek – porusza się jak pijany rak. Przez tego Vierbeina trzeba będzie to ćwiczyć jeszcze godzinami.

Johannes Vierbein poruszał się ostatnim wysiłkiem. Starał się robić to sprawnie, ale jego ramiona i nogi zwisały prawie bezwładnie ze stołka. Vierbein widział pod sobą szarą masę cementu pokrywającą plac. Była szorstka, splukana, starta. Miał wrażenie, że jak fala przybliżyła się do niego i oddala.

– Głowa do góry, Vierbein! – zawołał Platzek. – Chyba nie macie zamiaru uciąć tu sobie drzemki.

Vierbein zmusił się do podniesienia głowy. Mięśnie karku próbowały skrócić ją w tył. Vierbein wysunął podbródek. Cementowa nawierzchnia znikła mu z pola widzenia. Widział mizerną murawę, niski mur, wysokie ogrodzenie z żelaznych prętów, a za nim ulicę prowadzącą do miasta. Zobaczył idących po niej żołnierzy oraz podporucznika Wedelmanna z jakąś dziewczyną... Otworzył szeroko oczy, poczuł kłujący ból, potem odniósł wrażenie, że zasłony mgły przed jego oczami rozerwały się nagle.

Zobaczył, że idąca obok podporucznika Wedelmanna dziewczyna, to Ingrid Asch. Znieruchomiał na chwilę, po czym jego ramiona i nogi zwisały bezwładnie.

– Nie było rozkazu, żeby nurkować – ryknął Platzek. – Niech pan dobrodziej będzie łaskaw pozbierać swoje kości.

Vierbein wytrzymał i tę krytyczną próbę. Członki jego poruszały się jak części kiepsko naoliwionej maszyny idącej na półobrotach. Asch, który po lewej zewnętrznej stronie markował mgliście pływackie ruchy, był gotów przyjść mu z pomocą, ale wydawało się, że jest to niepotrzebne.

Punktualnie o godzinie dziewiętnastej Lindenberg stanął na czele swego działonu i poprowadził go zwolnionym biegiem do wojskowego kąpieliska. Ogniomistrz Platzek pogwizdując jechał za nimi na służbowym rowerze.

Starszy ogniomistrz Schulz już tam czekał. Wobec tego że Lindenberg zwlekał ze startem, zaczął się niecierpliwić. Lindenberg nie spuszczać oka z rozbitego, wyčerpanego, machinalnie wlokącego się Vierbeina, uważał za wskazane, by jego działon naprzód nieco się ochłodził pod natryskami; potem dopiero był gotów zacząć pływanie.

Szef spojrział na zegarek. – A więc możemy zaczynać – powiedział. – Dwadzieścia minut wzorowego pływania. Rozpocząć skokiem głową w dół z wysokości jednego metra, zakończyć skokiem dowolnym z trampoliny na wysokości trzech metrów. Zaczynamy na komendę: „hop”!

Żołnierze zaczęli skakać głową w dół. Potem, jeden za drugim, musieli pływać po dużym kole. Schulz stał razem z Lindenbergiem na drugim pomoście; obaj z różnych zupełnie powodów obserwowali bacznie jednego tylko człowieka: kanoniera Vierbeina.

Żołnierze pływali już dziesięć minut. Schulz spojrział na zegarek i zawołał wesoło: – Pięć minut minęło!

Prawie wszyscy z trudem przebijali się przez wodę; mieli za sobą męczący dzień, co nie pozostało bez skutków. Jeden próbował zrezygnować, ale Schulz wybuchając głośnym śmiechem zawołał: – Będziecie pływać dopóty, dopóki nie zaczniecie się topić. Wtedy już was wyciągniemy.

Bombardier Asch przepłynął dwie rundy powoli i w możliwym stylu. Był dobrym pływakiem, ale nie uważał, że należy się bez potrzeby nadwierać. Poza tym postanowił uważać na Vierbeina. Obserwował bacznie szefa i Lindenberga; korzystając z pomyślnej chwili opuścił krąg pływaków, podpłynął pod pomost, na którym stali obaj przełożeni, zawisł na belce i wypoczywał.

Johannes Vierbein ledwie się już poruszał. Żle widział, w uszach szumiał mu tajfun, przed oczyma migotała wodnista, czerwona mgła. Jakiś ogromny, ciężar spychał go łagodnie w dół. Miał wrażenie, że się cały rozpływa. Poszedł na dno jak kawał ołowiu.

Lindenberg, który to wszystko przewidział, wskoczył na poręcz pomostu. Schulz chciał go powstrzymać. – Przecież ten łajdak tylko udaje. Za chwilę znowu wypłynie.

Ale kapral nie słuchał tego, nie chciał tego słuchać. Skoczył do wody i płynął szybko w stronę Vierbeina. Również i Asch oderwał się od swej belki. Obaj wywlekli Vierbeina na brzeg.

– No tak – powiedział Schulz gniewnie. – Żadnej siły, żadnej energii. Mięczak, maruder! Ale wyciągać łapy po cudze kobiety potrafi! I to z niego wypędzimy!

Kolację podano u Freitagów punktualnie. Ale zaproszony na wieczór gość, bombardier Asch, nie zjawiał się. Stary Freitag raz po raz spoglądał na zegar znad gazety, którą na próżno starał się czytać. Potem udawał, że czyta dalej.

– Widzisz – powiedziała Elżbieta zaczepnym tonem – jaki z niego człowiek. Nie dotrzymuje obietnic.

– Niekoniecznie musi to być jego wina – powiedział majster Freitag. – Żołnierz nie jest nawet panem swego wolnego czasu; to się już tak ustaliło.

Pani Freitag niecierpliwiła się przy kuchni. – Kolacja gotowa – powiedziała. – Jeżeli będziemy jeszcze długo czekać, straci smak.

– Zaczynajmy więc – powiedział Freitag.

– A jeżeli nie może przyjść wcześniej? – zapytała lekko zdenerwowana Elżbieta.

Freitag uśmiechnął się do niej; uważał jej z trudem ukrywany niepokój za zupełnie naturalny. Najpierw atakowała Ascha, teraz go broni; skoki te były całkowicie zrozumiałe. Freitag dobrze sobie jeszcze przypominał, że objawy takie zwykle towarzyszą miłości. Był rad, że to odczuwa. Obojętność byłaby dla niego czymś okropnym.

– Może poczekamy jeszcze jakiś kwadrans – nieśmiało zaproponowała Elżbieta.

– Zaczynajmy – powiedział majster. – Mam nadzieję, że nasz gość nie oczekuje tego, byśmy nasze życie prywatne dostosowywali do obyczajów koszarowych. A może nie byłabyś w stanie jeść bez niego, Elżbieto?

– Nie powinniśmy czekać ani chwili dłużej – oświadczyła. Matka przyniosła jedzenie. Szedł od niego mocny smakowity zapach. Ojciec Freitag napełnił uroczyście talerze. – Pracujemy ciężko – powiedział – ale chcemy za to odżywiać się przyzwyczajenie. Chcemy spać spokojnie i nie martwić się zbyt o przeszłość.

Zaczęli jeść. Bez słowa przełkali gęstą, smaczną grochówkę. Mieli dobre apetyty. Tylko Elżbieta jadła niewiele, spoglądając na wolne krzesło obok siebie.

Zanim jeszcze Freitag zdążył po raz drugi napełnić talerze, zjawił się bombardier Herbert Asch. Był trochę zadyszany. Freitag ułatwił mu sytuację. Wskazał na puste miejsce przy stole i traktował go tak, jak gdyby Asch siedział tu już od dawna i bywał tu częstym gościem.

Pani Freitag uważała, że nie jest niesympatyczny; był może trochę za głośny, za bez troski, ale dość przyjemny. Elżbieta starała się nie patrzeć na niego. Ojciec Freitag zapytał ze spokojem: – Czy zajęcia przeciągnęły się dziś?

– Musiałem jeszcze popływać – odpowiedział Asch.

Freitag kiwnął ze zrozumieniem głową. – Spieszno panu pewnie było, co? – zapy-

tał.

– Właśnie – potwierdził Asch. Jedzenie bardzo mu smakowało i dał temu wyraz. Uzasadnił nawet, dlaczego mu tak smakuje. Matka Freitag stwierdziła, że się zna na kuchni, co jej zdaniem było rzeczą godną uwagi.

Elżbieta zachowywała się powściągliwie. Nie mówiła do Herberta, on również uważał za wskazane nie zwracać się do niej bezpośrednio. Oboje dobrze nie wiedzieli, czy w obecności rodziców mają sobie mówić per „ty”; wiedząc, że w tej sytuacji nie mogą sobie powiedzieć tego, co by chcieli, woleli milczeć.

Kiedy Asch z wielkim apetytem i ku radości matki Freitag opróżnił trzeci talerz, majster zaproponował, by poszedł z nim do ogrodu na cygaro. Tak też zrobili. Zaczęli spacerować wśród grządek, kobiety tymczasem zmywały w kuchni naczynia.

– Czy właściwie dawniej było tak samo? – zapytał Asch. – Przypuszczam, że pan służył w wojsku.

– Przed pierwszą wojną światową – odparł stary Freitag. – Cóż to takiego miało być tak samo jak dziś? Codzienne szykany w celu tak zwanego wzmocnienia isticie żołnierskiej dyscypliny? Drogi przyjacielu, czasami zdaje mi się, że życie jak w sanatorium.

– Było jeszcze gorzej?

– Bardziej konsekwentnie, powiedziałbym może: bardziej zrozumiale. Było w tym coś z brutalnej gry. Wielu ludzi fizycznie nie wyżytych, nie dotkniętych przez kulturę robiło to nawet chętnie. Tylko stosunkowo małej garstce cała ta sprawa stała kością w gardle. Dziś wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane. To, co było wtedy, co można było uważać za rodzaj brutalnej, czysto męskiej przyjemności, stało się dziś duchowym gwałtem. Ludzie stali się wrażliwsi, dlatego dręczyciele mają trudniejsze zadania. Muszą postępować coraz brutalniej, no i przeciwieństwa ostro się ze sobą ścierają.

– I mimo to nikt tego nie widział, jak bezmyślne jest to całe dręczenie.

– To nie takie proste – powiedział Freitag. – Niejedno da się przytoczyć na dowód, że wtedy dryl był w pewnych okolicznościach sensowny, a przynajmniej celowy. Sam przeżyłem taki przykład w roku tysiąc dziewięćset czternastym. Przy kontrataku oddział, w którym i ja się znajdowałem, ogarnięty został paniką. Żołnierze na pierwszej linii rzucili broń w błoto i chcieli uciekać. I cóż się stało? Podniósł się jeden z zupaków i rycząc na uciekających rozpoczął z nimi na polu walki musztrę. Żołnierze uspokoiли się, to znaczy po prostu zaczęli wrogowi stawiać opór.

– No i co? – zapytał Asch. – Czego to dowodzi? Za starego Fryca wojsko maszerowało na polu walki jak na placu ćwiczeń. Ale czas nie stoi w miejscu.

– Mali przełożeni z czasów wojny światowej są wielkimi przełożonymi dnia dzisiejszego. Ówczesny zupak w randze podporucznika jest dziś zapewne pułkownikiem. Wszyscy ci ludzie chcą z doświadczeniami ostatniej wojny pójść na następną. Nie wybiegają myślą naprzód, lecz oglądają się wstecz. Nie dostosowują się, stosują

jedynie, o ile to jest możliwe, stare metody. Ściślej biorąc, wszystkie te gagatki dawno zbankrutowały, ale zawsze znajdują głupich, którzy im znowu udzielają nieograniczonego kredytu.

– A my – wtrącił Asch z goryczą – musimy za to wszystko płacić.

– Za pomocą drylu – powiedział stary Freitag – można w najwygodniejszy sposób osiągnąć bardzo wiele. Zawsze zresztą tak było. Dryl to raj dla ludzi upośledzonych. Natury bardziej wartościowe i skomplikowane można za pomocą drylu sprowadzić do wspólnego mianownika – oto cała tajemnica.

– Sądzi pan, że nie ma na to rady?

Freitag uważał ten temat za interesujący. – Może znalazłaby się wtedy, gdyby kiedyś udało się jakiemuś rewolucjoniście zostać generałem. Ale nie umiem sobie wyobrazić, jak by się to mogło udać. Wtedy, przed wojną światową, zdarzył się u nas wypadek następujący: Jakiś szeregowiec zaproponował pewnemu feldfeblowi, żeby go pocałował w tyłek. Sprawa znalazła się przed sądem wojskowym. Szeregowiec jednak oświadczył, że nigdy podobnych słów nie wypowiedział, i sąd uwierzył mu na słowo. Świadców nie było, szeregowiec uchodził za dobrego żołnierza, nikt nie mógł sobie nawet wyobrazić, żeby człowiekowi przy zdrowych zmysłach mogło w ogóle wpaść coś takiego do głowy, by pomyśleć o podobnych bezceństwach, a cóż dopiero wypowiadać je.

– Domyślam się, że ten szeregowiec nazywał się Freitag. Freitag uśmiechnął się i powiedział: – Wracajmy do domu, robi się chłodno. Poza tym czekają na nas kobiety.

Weszli do domu, usiedli w pokoju przy wielkim stole. – Napijemy się wina porzeczkowego – powiedział stary Freitag. – Nie jest nadzwyczajne, ale robiliśmy je sami z porzeczek z naszego ogrodu.

Skosztowali, Herbert uznał, że jest zupełnie niezłe, tylko nieco za długo, o jakieś dwa tygodnie za długo, stało w balonie.

– Pozbawia mnie pan resztek autorytetu – powiedział Freitag mrużąc oczy. – Staje pan po stronie mojej żony, która wbrew mojemu zdaniu chciała istotnie porozlewać wino do flaszek o dwa tygodnie wcześniej.

– Pani Freitag miała zupełną rację – zapewnił Asch. Matka Freitag promieniała. Ten Herbert Asch nie tylko nie był niesympatyczny, przeciwnie, uważała, że jest bardzo miły. Młodzieniec o dobrych manierach, nie zanadto zuchwały, ale też i bez służalstwa; zachowuje się jak u siebie w domu. Cieszyło ją to. A więc nie każdy, kto ma na sobie mundur, musi być bezczelny, głośny i zarozumiały.

Opróżnili w dobrym nastroju butelkę wina porzeczkowego, otworzyli jeszcze drugą. Młodzi w dalszym ciągu unikali bezpośredniej rozmowy. Około pół do jedenastej Asch zaczął się żegnać. – Muszę wracać do koszar – powiedział.

– Z przyjemnością odprowadziłbym pana – oświadczył stary Freitag, ale muszę jutro rano wstać wcześniej. Sądzę, że Elżbieta chętnie pana odprowadzi.

Elżbieta udawała, że się ociąga. – Jeżeli nalegasz, ojcze!...

Ojciec Freitag uśmiechnął się. – Nie zmuszam cię.

Matka Freitag roześmiała się. Asch czuł się zakłopotany. Uspokajało go tylko to, że zakłopotanie Elżbiety było jeszcze większe. Pożegnał się, utrzymawszy pozwolenie, że może przychodzić, kiedy tylko zechce; przyrzekł skwapliwie korzystać z niego.

Szedł wolno w kierunku koszar, które w nocy wyglądały jak potężny statek na szerokim oceanie. Obok niego szła Elżbieta, starając się zbytnio nie zbliżać.

Asch zatrzymał się. – Elżbieto – zapytał – czym cię obraziłem?

– Nie obraziłeś mnie – powiedziała. – Nie zatroszczyłeś się tylko o mnie, więc się do tego zastosowałam.

– Nie miałem na to czasu. Po prostu nie miałem czasu.

– Stale znajdowałam się o kilkaset metrów od ciebie... Gdybyś był chciał, mogłeś z pewnością przyjść.

– Wczoraj, w poniedziałek – powiedział Herbert Asch – byłaś nieosiągalna. Kilkakrotnie próbowałem rozmówić się z tobą. Dowiedziałem się dopiero wieczorem, że w ogóle nie przyszłaś do pracy.

– Byłam w domu, to nie tak daleko. Z koszar idzie się do nas dziesięć minut.

– Nie mogłem przecież przyjść do ciebie do domu! – bronił się Asch. – Po tym wszystkim, co zaszło, nie mogłem.

– Cóż takiego zaszło? – chłodno zapytała Elżbieta. I prędko dodała: – Ale dziś byłam w koszarach przez cały dzień i nawet nie próbowałam zobaczyć się ze mną.

– Dziś byłem przez cały dzień zajęty. Musiałem pozwolić, aby mnie dręczono, albo też musiałem się jakoś od tej udręki wykręcać. Nie mogłem nawet spokojnie odetchnąć. Daję ci słowo.

Elżbieta pochyliła się nieco naprzód. – Czy to z mojego powodu – zapytała z troską w głosie – miałeś nieprzyjemności, ponieważ w nocy z niedzieli na poniedziałek... Ponieważ musiałeś zostawić swoje ubranie?

– To było tylko komiczne – odpowiedział Asch i uśmiechnął się odruchowo. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że i ona śmieje się cichutko. Po chwili oboje wybuchnęli śmiechem.

Wziął ją pod ramię, nie opierała się. Przez cienki materiał bluzki czuł jej ciepłe, jędrne ciało.

– To był mocny kawał, co?

Skinęła poufale głową. Zbyt wiele ich łączyło, długo nie mogła gniewać się na niego. Nie był zanadto tkliwy, w każdym razie o wiele mniej, niż o tym zawsze marzyła, ale kochała go jednak.

– Jak sądzisz – zapytał – czy ojciec twój coś zauważył? To znaczy, czy wie, co zaszło?

Natychmiast się odsunęła. – Trapi cię to? – powiedziała pełna nieufności. – To

wszystko, co cię interesuje? Mogę cię uspokoić. Możesz spokojnie żyć dalej tak, jak by nic się nie stało. Ojciec mój nie wie o niczym, a ja zapomniałam o wszystkim.

– To jakieś nieporozumienie – powiedział szybko Asch i spojrział na zegarek. Była najwyższa pora wracać do koszar.

– Możesz iść spokojnie – powiedziała Elżbieta nieuprzejmie. – Nie było nawet nieporozumienia. Nic się nie stało. Jeżeli cię to uspokaja, nigdy cię nie widziałam. I gdyby mnie nawet zapytano, czy znam człowieka, który u mnie spał, odpowiem, że nie. Możesz być tego pewien.

– Ależ, Elżbieto, ja... Wytlumaczę ci to jutro... Teraz muszę pędzić.

– Idź, idź do swoich koszar, należysz do nich!

Wielki Boże, ależ potrafisz być głupia! – zawołał oburzony. Zostawił ją na miejscu i popędził naprzód.

Podnoszący się ze zmęczeniem w kościach dzień miał różane oblicze. Przyglądał się leżącym na jego drodze koszarom, podobnym do kamiennego zwierzęcia; w jego wnętrzu rozpoczął się rumor, ale zwierzę pozostawało nieruchome.

Kanonier Vierbein leżał na łóżku, jak gdyby bez życia. Gwizdek podoficera dyżurnego poderwał go. Na pół siedząc rozglądał się po izbie. Ciało miał jak z ołowiu, wydawało mu się, że głowę jego opasał ktoś żelazną obręczą. Miał wrażenie, że powietrze dokoła kłębi się od gęstych, dusznych wyziewów.

Żołnierze gramolili się powoli z łóżek. Uważali to za niezwykle postępowe, bo kiedy kilka miesięcy temu byli jeszcze rekrutami, wyskakiwali spod koców jak sprężynowe lalki z pudełka. Teraz byli już starymi „żołnierzami” i zostawiali sobie trochę czasu, zwłaszcza że służbę miał dziś kapral Schwitzke, Mamut. Jeżeli nie było specjalnego powodu lub wyraźnego rozkazu, Schwitzke nikomu nie urywał głowy.

Budujące ranne rozmówki szły jak po grudzie, ziewano. Dwóch sprzeczało się, jak szeroko wolno otwierać drzwi szafy, żeby nie przeszkadzały. Ktoś otworzył na oścież wszystkie okna. Ci, którzy spali w kątach, powitali to z entuzjazmem, śpiący pod oknami – z niezadowoleniem. Bombardier Kowalski i bombardier Asch spali jeszcze kwadrans; nie było to zbyt, niebezpieczne, gdyż łóżka ich, pozostawiane szafami, nie od razu rzucały się w oczy.

– Wczoraj... – opowiadał Wagner, znany ze swej jurności – pokazałem jej, co. potrafię. Była wniebowzięta. Potrafię każdej dogodzić. Gadają już o tym dookoła.

Niektórzy domagali się szczegółów. Z lewego kąta ktoś rzucił w kierunku Wagnera butem. – Spokój! – ryknął ze swojej kryjówki Kowalski – albo zmasakruję wasze gołe tyłki.

Vierbein, śmiertelnie zmęczony, ciągle jeszcze siedział na swym łóżku. Nie miał siły poruszyć się. Poranny gwar, kłębiący się w izbie jak gęsty dym z fajki, przyprawił go o gwałtowny ból głowy.

Kapral Schwitzke otworzył gwałtownie drzwi, by zgodnie z przepisami skontrolować, czy rozkaz „Wstać!” został wykonany. Chciał już zatrasnąć drzwi, ale ujrzał

szy Vierbeina siedzącego na łóżku na podobieństwo jakiegoś glinianego bożka zawołał triumfalnie: – Zawsze ten Vierbein!

Kapral Schwitzke, Mamut, był półgłówkiem, którego dobry Bóg wpakował do Wehrmachtu, by mógł tam pędzić spokojny żywot. Ale Schwitzke wiedział, co w trawie piszczy; szóstym zmysłem wyczuwał, co jego bezpośrednim przełożonym leży na sercu. Choć nigdy nie robił zbyt wiele, wszystko, co robił, miało sens i było w najwyższym stopniu celowe. Nikt tak jak on nie potrafił przy minimum wysiłku osiągnąć maksimum zadowolenia swych przełożonych. Wiedział doskonale, że ten Vierbein to punkt zapalny, chwilowa pięta Achilleusa – jeżeli można użyć tego wyrażenia – starszego ogniomistrza.

Kanonier Vierbein wyskoczył z łóżka w nocnej koszuli i starał się stać w postawie zasadniczej. Ale znowu zachwiał się i musiał się oprzeć. Wyglądał na przemęczonego. Patrzył na izbę pełną wyziewów wzrokiem pozbawionym wyrazu.

– Ten mazgaj nie widzi na oczy! – zawołał Schwitzke jowialnie. – Marzyło się pewno w nocy znowu o miłości, co? – Rozejrzał się dokoła pewny, że się rozlegną chichoty pełne aprobaty, ale nikt się nie ruszył. – Już ja z was to wypędzę, ciamajdo! Zameldujecie się później u mnie do sprzątania rejonu.

– Rozkaz, panie kapralu – powiedział Vierbein posłusznie. Schwitzke raz jeszcze zmierzył go gniewnym, pogardliwym wzrokiem i zawołał: – Oferma! – po czym zadowolony opuścił izbę. Postanowił zaprząć Vierbeina do roboty, przy której Vierbein musiałby znaleźć się pod okiem starszego ogniomistrza albo przynajmniej ogniomistrza Platzka, co im z pewnością sprawi przyjemność.

Kanonier Vierbein włożył spodnie, rzucił na łóżko nocną koszulę i pośpieszył do umywalni. Docisnąwszy się do zbiornika otworzył kran z zimną wodą i wpakował głowę do miski. Bardzo go to odświeżyło, ale uczucie ołowianej ciężkości nie ustępowało.

Tymczasem podnieśli się również Kowalski i Asch. Rześkie okrzyki Schwitzkego rozbudziły ich ostatecznie. Mrugnęli do siebie i zaczęli się ubierać.

– Właściwie – powiedział Asch – Vierbein ma dziś dyżur w izbie.

Kowalski skinął głową. – Rozumiem – powiedział. – Przydzielę kogoś innego. Oczywiście. – Rozejrzał się dokoła. Jurny Wagner starał się właśnie nielicznym słuchaczom nakreślić perspektywy nadchodzącego wieczoru. – Pokażę jej jeszcze raz, do czego jest zdolny morowy chłop. Musi zauważyć, że trafiła pod właściwy adres.

– Śmiem wątpić, czy właściwy – zawołał Kowalski. – Masz dziś dyżur w izbie.

Jurny Wagner był oburzony. – Ja? Skądże znowu! Dyżur wypada dziś na Vierbeina, na tę kulawą kaczkę, nie na mnie.

– Jeżeli natychmiast nie zamkniesz swojej szerokiej jadaczki – oświadczył Kowalski – połamię ci wszystkie gnaty. Nie będziesz wtedy nawet kulawą kaczką, ale po prostu śmierdzielem, inwalidą.

Jurny Wagner wiedział z doświadczenia, że z Kowalskim nie ma żartów. Pysko-

wał, kłął, ale usłuchał. Kowalski śmiejąc się na całe gardło powiedział: – Jeżeli taki zuch z ciebie i radzisz sobie z tyloma dziewczynami, to chyba potrafisz uporać się z jedną parszywą izbą.

Vierbein nie miał nawet czasu ubrać się spokojnie do czyszczenia rejonu. Kiedy rozległ się gwizdek, chwycił za miotłę, wiadro i łopatę i poleciał na plac zbiórki. Biegając usiłował pozapinać guziki drelichowej kurtki.

Schwitzke zachowywał się tak, jak gdyby Vierbein przyszedł za późno. Ale był za leniwy, by go gruntownie zwymyślać. Zawołał tylko: – Latryna, dolny korytarz! – Było to miejsce położone obok jego pokoju służbowego, mógł go więc bez trudu pilnować. Poza tym należało przypuszczać, że starszy ogniomistrz, który lubił o wczesnej porze pokazywać się w baterii, uda się do latryny. Miał wprawdzie ustęp w swoim mieszkaniu prywatnym, ale był znany z tego, że przy każdej nadarzającej się sposobności lubił demonstrować swą służbową obecność, dążąc w tym wypadku do połączenia przyjemnego z pożytecznym.

Częściowo z wygodnictwa, częściowo przez wrodzoną dobroduszość Schwitzke zapomniał na razie o Vierbeinie. Gdyby szef pokazał się na horyzoncie, zaprezentowałby mu widowisko nie lada. Skoro go jeszcze nie było, nie miał nic przeciwko temu, by ten biedny patałach Vierbein przez chwilę wytchnął.

Mimo to Vierbein, przygotowany na wszystko, pracował wzorowo. Jęcząc i sapiąc szorował na czworakach kamienną posadzkę, popychał wiadro, machał ścierką, zlewał posadzkę strumieniami wody. Kiedy skończył i Schwitzke wbrew oczekiwaniu ciągle jeszcze nie nadchodził, pobiegł na górę do swej izby.

Żołnierze żuli chleb popijając go ciepłą kawą zbożową. Jurny Wagner usiłował w tym przeszkodzić, chcąc przystąpić do robienia w izbie porządków, ale Kowalski zagroził mu, że o jego zakuty łeb rozbije imbryk z kawą.

– Najlepiej będzie – powiedział Asch do Kowalskiego – jeżeli Vierbein zamelduje się jako chory.

– Niezły pomysł – odrzekł Kowalski – inaczej wyrwą mu dziś nogi z tyłka. Ale na co ma zachorować?

– Już coś się znajdzie – zamyślił się Asch. – Ostatecznie wczoraj dwa razy zwałił się z nóg.

– Hm! – Kowalski zaczął grzebać w swych doświadczeniach. – Ten rodzaj choroby można by określić jako zawroty głowy albo objawy wyczerpania. Ale i jedno i drugie brzmi niedobrze.

– Powiedzmy więc: serce – zaproponował Asch. – To się nawet częściowo zgadza. Poza tym nie tak łatwo to udowodnić i potrzebne są skomplikowane badania. A tymczasem tutaj burza jakoś przycichnie.

– Zrobione – powiedział Kowalski. – Potem zwrócił się do Vierbeina, który właśnie zabierał się do śniadania.

– Słuchaj no, mały, zameldujesz się jako chory. Tak postanowiliśmy.

– Ale ja przecież nie jestem chory.

– Już sam twój opór dowodzi, że jesteś. – Kowalski należał do ludzi nie znoszących sprzeciwu, kiedy są przekonani, że mają rację. – Odmaszerujesz stąd natychmiast i zameldujesz się jako chory. Bóle serca. A może masz ochotę do dalszej zabawy? Jak myślisz, co się jeszcze dziś stać może? Dziś mamy w Wilhelmsruhe strzelanie z kabe. Tam, mój chłopcze, niektórzy mieliby dla ciebie bardzo wiele czasu. A w marszu tam i z powrotem odgrywałbyś rolę jucznego osła. Bo idę z tobą o zakład, że my, to jest działon Lindenberga, będziemy musieli dźwigać cały kram i jeżeli pójdziesz z nami – ty będziesz musiał nieść najwięcej. To pewne jak amen w pacierzu. Zmykaj więc zaraz.

Kanonier Vierbein zostawił śniadanie nietknięte, zbiegł na dół i zameldował się u podoficera dyżurnego jako chory. Schwitzke obudzony z drzemki spojrział na niego. Potem zaczął mówić mu „ty”, co było niezawodną oznaką, że jest wściekły. – Co ty sobie właściwie, łobuzie, myślisz? – powiedział. – Nie wiesz, że trzeba meldować się chorym z samego rana, kiedy podoficer służbowy po raz drugi obchodzi izby?

– Tak jest, panie plutonowy, ale...

– A więc wiesz o tym, ty świntuchu zatracony! Popatrz, popatrz, więc wiesz dokładnie. I coś ty sobie przychodząc tutaj myślał, ty bydlaku? Chciałeś zrobić ze mnie wała, co? Ale do tego musisz sobie znaleźć innego durnia.

Vierbein próbował otworzyć usta, ale Schwitzke nie pozwolił na to. Otworzył książkę raportów. – Popatrz no tutaj, ty małpo zielona. Co tu jest napisane? Napisane jest: „chorych nie ma”. Nie zameldowałeś się na czas, a więc nie jesteś chory. Musisz poczekać do jutra, ty wieprzu cętkowany.

Kanonier chciał odejść, ale Schwitzke, szczerze oburzony, że ktoś miał odwagę zakłócić brutalnie jego poranny spokój i w dodatku był na tyle bezczelny, że chciał, aby podoficer dyżurny zmienił swój poranny meldunek – stał się aktywny. – Wyczyszciliście – powiedział – dolną latrynę? Chciałbym to sobie obejrzeć.

Powędrował z Vierbeinem do latryny, obejrzał ją gruntownie i uznał, że rezultat nie jest ani zadowolający, ani budujący. Dał rozkaz, żeby ją ponownie gruntownie wyczyszczono i był nawet zdecydowany asystować przy tym. Nastrój poprawił mu się, wpadł bowiem na doskonały pomysł: opowie Schulzowi historyjkę o pewnym kanonie, który chciał się zameldować jako chory prawdopodobnie po to, aby się zadekować. Ale nie doszło do tego i musiał na czworakach pucować wychodek. Szef będzie z pewnością rżał ze śmiechu.

Pomysł ten tak rozbawił Schwitzkego, że zwolnił Vierbeina o kilka minut wcześniej, niż zamierzał. Rozsadzała go chęć opowiedzenia tej historyjki o chorym i latrynie. Vierbein oddalił się z szybkością strzały.

Po drodze spojrział na zegarek i stwierdził, że nie zdąży już zjeść śniadania. Nie odczuwał zresztą głodu. Poszedł do Kowalskiego i Ascha i poinformował ich o tym, co zaszło. Spojrzeli po sobie – to, co się stało, było aż nadto wymowne. Potem Vier-

bein zaczął przygotowywać się do ćwiczeń w strzelaniu.

Po chwili podszedł do Ascha. – Wczoraj wieczorem chciałem z tobą pomówić.

– Nie mogłem, musiałem jeszcze gdzieś pójść i wyłodzić się. – Udał, że ma ważne zajęcie, zagłębił się w czeluściach szafy. Nie mógł patrzeć na bladą, zmęczoną, strapioną twarz przyjaciela; nie wiadomo dlaczego miał w stosunku do niego jakieś poczucie winy.

– Wczoraj wieczorem – powiedział Vierbein głuchym głosem, przepojonym bólem – widziałem twoją siostrę.

Asch przerwał swe zajęcie, ale nie podniósł głowy. – Tak? – powiedział – widziałeś ją?

– Tak, z podporucznikiem Wedelmannem.

Asch wyprostował się z wolna. „Ty biedna, żałosna, zalękniona ofiario – myślał. – Niczego ci nie oszczędzono. A więc i to widziałeś!” I powiedział: – Nic sobie z tego nie rób, Johannes, kobiety są już takie. A Ingrid z pewnością nie stanowi wyjątku.

– Dobrze już, dobrze – odparł Vierbein słabym głosem. Asch uważał jednak, że nie jest to wcale dobrze. Nie chciał Vierbeina oszczędzać, chciał go uczynić twardym, nie chciał patrzeć, jak tamten dławi się swymi uczuciami, chciał go wyrwać z bagna płytkiego sentymentalizmu. Więc powiedział najbrutalniej, jak umiał: – Nie jest warta nawet jednej twojej łzy: to zimna, zarozumiała, egoistyczna bestia. Wielkoniemiecka roślina cieplarniana. Im wyższy stopień służbowy, tym większa jej miłość. Zostań generałem, a skamienieje z szacunku przed tobą.

Vierbein nie umiał znaleźć odpowiedzi, choć się o to uczciwie starał. Asch zostawił go samego. W tej chwili łącznik przyniósł pocztę. A równocześnie rozległ się na korytarzu gwizdek kaprała Schwitzkego, po którym zawołał wesoło:

– Przygotować się do zbiórki!

Vierbein założył pas z ładownicami, przesuwając zapięcie o jedną dziurkę. Ktoś wręczył mu list. Pisała matka. Zamknął szafę, rozdarł kopertę. Rzucił okiem na pierwsze słowa, które brzmiały następująco: *Drogi Mój, Poczciwy Chłopcze. Chciałam Ci tego oszczędzić, ale nie mogę już dłużej. Postanowiłam rozejść się z Twoim ojcem...*

Kapral Schwitzke wrzasnął: – Zbiórka!

Vierbein złożył list i wsunął go do kieszeni bluzy. Był bardzo blady, ręce mu drżały. Po chwili dał się unieść ciżbie.

Słońce padało na stanowiska na strzelnicy i wżerało się w nie. Powietrze było gęste jak roztopione szkło. Od ziemi szło zmęczenie.

Zajęcia na strzelnicy odbywały się zgodnie z planem. Baterie podzielono na trzy wielkie grupy, każdą z nich umieszczono na innej linii ognia. Wszyscy, którzy już odstrzelali, biwakowali na łące za magazynem sprzętu. Taki dzień jak dzisiejszy był właściwie dniem odpoczynku. Ale nie dla tych, którzy na odpoczynek nie zasłużyli. Ci musieli pełnić służbę przy tarczach, nosić amunicję, robić porządki na strzelnicy,

czyścić broń podoficerów, wykonywać ćwiczenia z bronią, jeśli strzelanie im się nie powiodło.

Poza tym żołnierze mieli pełną swobodę. Było rzeczą najważniejszą, by strzelanie odbywało się bez przerw, nie miało większego znaczenia, kto strzelał wcześniej, a kto później, jeżeli się go wcześniej nie potrzebowało. Nie odnosiło się to do Vierbeina. Potrzebny był przed strzelaniem i po strzelaniu, a szef dbał już o to, aby jego najbliższy przyjaciel ani przez chwilę się nie nudził.

Starszy ogniomistrz Schulz był na strzelnicy w swoim żywiole. Na placu ćwiczeń widywało go się rzadko, na pływalni częściej, na strzelnicy zawsze. Ponieważ dziś miały się odbyć zawody strzeleckie o mistrzostwo baterii, a zdobycie pierwszego miejsca stanowiło dla niego kwestię honoru, był niezwykle ożywiony. Kręcił się po całej strzelnicy, pewny zwycięstwa; pochłaniało go to do tego stopnia, że przez całe kwadransy zapominał całkowicie o Vierbeinie i pozwalał mu pozostawać bez żadnego zajęcia.

Bombardier Kowalski i bombardier Asch zapewnili sobie chwilowo, przed udaniem się na gruntowną drzemkę w krzakach, wygodne funkcje: jeden z nich prowadził wykaz strzelających, drugi wydawał amunicję. Nadzór nad stanowiskami i nad strzelającymi sprawował ogniomistrz Platzek. W myśl podstawowego przykazania, które dla każdego żołnierza na strzelnicy brzmi: spokój, spokój i jeszcze raz spokój, nikt się nie śpieszył.

Platzek-dreńczyciel, który w ciągu dziesięcioletniej służby poznał wszystkie jej tajniki, kazał kanonierowi Vierbeinowi przynieść wiadro wody. Miało ono służyć do odświeżania i ochładzania podnieconych umysłów. Kto się zachwiał, zawahał albo chociażby mrugnął powieką, ten musiał zanurzyć w wiadrze całą głowę, co za każdym razem bardzo Platzka bawiło.

Raz po raz zjawiało się przed bombardierem Aschem po pięciu żołnierzy. Pokazywali mu puste ładownice, dostawali po sześć sztuk dokładnie obliczonych i zapisanych w wykazie naboju. Potem kolejno podchodzili do Kowalskiego i podawali nazwiska, aby można było później odnotować zużycie amunicji i wynik strzelania. Po zapisaniu nazwiska strzelający meldował się u ogniomistrza Platzka i mógł zaczynać strzelanie. Platzek zaś robił co mógł, aby osiągnąć zadowalające wyniki.

Wszystko funkcjonowało jak dobrze naoliwiona maszyna. Potrójna kontrola usypiała automatycznie uwagę wszystkich trzech kontrolujących. Jeden zdawał się na drugiego, bo przecież nie chodziło o zwykłe strzelanie, lecz o zawody strzeleckie. Przy strzelaniu zwykłym, gdy każdy przełożony pilnował swoich podwładnych, gdy chodziło o przeciętny wynik działonu, obsługi, drużyny, o wyniki indywidualne, a wraz z nimi o ocenę wyszkolenia również tego, który je prowadził – przy tego rodzaju strzelaniu gra szła na całego. Tymczasem na zawodach strzeleckich tylko jeden mógł być zwycięzcą i zainteresowanie budzić mogła najwyżej grupa przodująca; pozostali nie liczyli się. Doszło do tego, że podoficerowie, doświadczeni strzelcy, któ-

rzy chętnie walczyli między sobą o pierwsze miejsce, nie przywiązywali wielkiej wagi do precyzyjnego strzelania swych podwładnych, nie chcąc przyczynić się do wprowadzenia niemiłej konkurencji. Po oddaniu sześciu strzałów strzelający odchodził, zluzowany przez następnego. Wynik nie był taki ważny, byleby tylko, nie należało do zbyt dobrych. Nawet z „pudeł”, gdy strzał szedł Panu Bogu w okno, śmiano się tylko z ulgą.

Ogniomistrz Platzek ziewał na całe gardło. Mrużył oczy przed słońcem, które niechętnie prażyło, i nie interesował się tym, co się dzieje za jego plecami; czynni tam byli doświadczeni żołnierze, o których można było być spokojnym – dadzą sobie radę. Od czasu do czasu pozwalał sobie wobec któregoś ze strzelających na jowialny żart, a gdy udawało mu się dzięki temu odwrócić uwagę strzelającego od zbyt starannego celowania – uśmiechał się protekcjonalnie.

W następnej grupie, która zameldowała się do strzelania, znajdował się również kanonier Vierbein. Asch spojrział na niego badawczo, ale Vierbein unikał jego wzroku. Bombardier stwierdził, że kanonier wygląda żałośnie, ale nie dał tego po sobie poznać. Wręczył mu tak jak innym sześć naboju. Potem podszedł do Kowalskiego, by z nim trochę pogadać.

Strzały rozlegały się z wzorową regularnością. Wskaźniki wysuwały się i kryły z powrotem. Gdzieś z tyłu ryczał szef.

Asch odwrócił się po chwili, chciał powiedzieć Vierbeinowi kilka słów otuchy. Ale Vierbeina już nie było, oddalił się niepostrzeżenie.

Bombardier? Asch potrzebował kilku sekund na zorientowanie się, co to oznacza. Bombardier Kowalski, który zauważył konsternację przyjaciela, potrzebował na to kilka sekund więcej. Potem zrozumiał i on. – Może z tego wyniknąc ładne świństwo – powiedział półgłosem.

Asch skinął głową. Podszedł do Platka. – Czy mogę odejść na stronę, panie ogniomistrzu?

– Niech tam – mruknął Platzek obojętnym tonem. – Żeby to tylko długo nie trwało. Robotę waszą przejmie tymczasem bombardier Kowalski.

Bombardier Asch popędził ku wyjściu ze strzelnicy. – Ależ wam się spieszy! – zawołał Platzek w doskonałym humorze. Asch nie słyszał go. Szukał Vierbeina.

Przepychał się przez czekających na swą kolejkę żołnierzy.

Przy tej okazji omal nie wpadł na pełniącego nadzór ogólny, podporucznika Wedelmana. Wedelmann chciał mu powiedzieć parę słów do słuchu, ale zobaczywszy, że to Asch, uśmiechnął się przyjaźnie. Asch pobiegł dalej. Po chwili ujrzał Vierbeina stojącego między drzewami za schronem amunicyjnym.

– Vierbein! – zawołał Asch.

Vierbein drgnął i rzucił się w bok. Jego oczy na poblądłej twarzy lśniły gorączkowo. Próbował cofnąć się przed Aschem.

Asch zbliżył się do niego wolnym krokiem. Starał się opanować zbyt szybki od-

dech. Czuł, jak mu bije serce.

– Vierbein – powiedział – oddaj mi amunicję.

Kanonier nie odpowiedział. Stał nieco pochylony naprzód, odrętwiały. Z lewego ramienia zwisał mu karabin.

– Vierbein, dawaj tę amunicję!

– Nie! – odpowiedział tamten.

Asch zatrzymał się. Błada twarz przyjaciela była mokra od potu i łez. Wargi nie miały ani kropli krwi, usta były otwarte.

Asch był wstrząśnięty. Zalewały go fale współczucia. Miał dławiące uczucie, że będzie musiał wybuchnąć głośnym płaczem, ale zamiast tego powiedział: – Nie wstyd ci, ty mały, nędzny, wstrętny tchórze!

– Nie mogę już więcej – powiedział Vierbein – zostaw mnie w spokoju...

– Jeżeli zaraz nie oddasz mi amunicji, spiorę cię po pysku!

– Nie chcę już więcej! – zawołał umęczony Vierbein.

Asch skoczył na niego gwałtownym susem i powalił go. Karabin opadł głucho na ziemię. Asch przytrzymał wijącego się pod nim Vierbeina lewą ręką, prawą zaś podniósł w górę i uderzył go.

Vierbein krzyknął głośno. Asch grzmocił go pięściami. Vierbein krzyknął jeszcze raz.

Asch przycisnął kolanami pierś Vierbeina, otworzył ładownicę, znalazł sześć nabojów i wpakował je do swojej kieszeni.

– Ty świni! – zawołał. – Ty mała, żałosna świni! Kulę chciałeś sobie w łeb wpać, co? Ale to nie takie proste. U mnie nie!

Spojrzał w dół na szeroko rozwarte oczy leżącego. Zobaczył na sinobladej skórze krew i podniósł się.

Oddychał gwałtownie; kiedy się obejrzał, zauważył, że otacza go kilku żołnierzy. Jeden z nich zawołał: – On go zabije! – Asch uśmiechnął się pełen udręki.

Przybiegł starszy ogniomistrz Schulz, odsunął na bok żołnierzy. – Co się tu dzieje? – zawołał.

– Mała sprzeczka – powiedział Asch. Ukłękł, pochylił się nad Vierbeinem i zaczął nim potrząsać. Vierbein stanął z trudem na nogi, zataczał się jeszcze nieco, ale po chwili odzyskał równowagę.

– Zawsze ten Vierbein! – zawołał starszy ogniomistrz.

– Trochę mu wypolerowałem mordę – powiedział Asch. – Była to utarczka zupełnie osobista. Między człowiekiem a człowiekiem. Czy nie tak, Vierbein?

– Tak – odpowiedział tamten.

Schulz skinął z zadowoleniem głową. Z pewnością nie należał do ludzi, którzy tego rodzaju sprawy puszczają płazem. W normalnych warunkach złożyłby raport albo przynajmniej doszłoby do burzy z piorunami i druzgocącymi skutkami. Ale w tym specjalnym wypadku wszystko było w porządku i zupełnie po jego myśli. – No,

Asch – powiedział – tym razem natrafiliście na właściwego.

Schulz przyglądał się pobitemu, krwawiącemu Vierbeinowi z satysfakcją, którą niełatwo mu było ukryć. Lekko klepnął Ascha po ramieniu. Zrobił to z tak głębokim zadowoleniem, że wcale nie zauważył, jak bombardier Asch się cofnął. – Brawo Asch! – powiedział z uznaniem. – Dobra robota! – Potem odszedł.

Ten, którego tak pochwalono, patrzył długo w jego kierunku.

– A ty będziesz następny! – powiedział półgłosem.

Tak się rozpoczęła awanturnicza rewolta bombardiera Ascha.

Zawody strzeleckie trzeciej baterii dobiegały końca. Zdawało się, że zwycięstwo jest pewne. Niespodzianki były niemal wykluczone. Schulz, krygując się, przyjmował już pierwsze gratulacje.

W południe nadjechała kuchnia polowa. Wydawano pęczak z wieprzowiną. Kano-nier Vierbein usługiwał, zmywał statki, szorował kotły. Robił to z względnym spokojem; twarz jego nie miała teraz wyrazu tak bardzo cierpiącego, była w niej raczej zaduma. Miało się wrażenie, że bijatyka z Aschem przywróciła mu rozsądek, który przez pewien czas nie funkcjonował należycie.

– Ładnie cię oporządziłem – powiedział Asch, czule mu się przyglądając.

– Walileś we mnie jak w worek z piaskiem.

– Robilem, co mogłem.

Vierbein miał twarz tak zbitą i spuchniętą, że mówienie sprawiało mu ból. Uśmiechnął się, a uśmiech na jego twarzy wyglądał jak grymas. Nie był w stanie odwzajemnić się Aschowi przyjaznym tonem, ale nie miał też do niego żadnych pretensji.

– Całkowicie straciłeś kontrolę nad sobą. Walileś we mnie bez przerwy, nawet wtedy, kiedy już się wcale nie broniłem. Byłeś jak gdyby w zamroczeniu.

– Tak – odpowiedział Asch z lekką drwiną – nie każdy potrafi być tak opanowany jak ty.

– Wybacz mi, Asch – odparł Vierbein twardo.

– Dobrze, dobrze! Nie mówmy już o tym.

Herbert Asch chciał odejść, ale Johannes Vierbein poszedł za nim. Ujawszy ostrożnie ramię przyjaciela powiedział:

– A więc sądzisz, że... że... chciałem popełnić samobójstwo?

– Nic nie sądzę – bronił się Asch. – Nie wierzę nawet w to, co widziałem. W tym wypadku zresztą nie widziałem nic. Jeżeli chcesz, chodziło tu z mojej strony jedynie o kroki zapobiegawcze. A jeżeli ci to bardziej odpowiada, niech będzie, że się chciałem wyszaleć. Zawsze wybiera się do tego przyjaciół, inaczej po cóż by się ich miało.

– Herbercie – powiedział Vierbein szeptem, nie odczuwając przy tych słowach wstydu – było dokładnie tak, jak przypuszczałeś. Chciałem to zrobić. Byłem u kresu sił.

– Zapomnij o tym.

– Nigdy nie zapomnę, Herbercie. Sądzę jednak, że również nigdy nie będę próbował tego powtórzyć.

– Słusznie, Johannes. Nie warto. Dla kogo? Kto miałby na to zasłużyć? Jeżeli znajdziesz kogoś takiego, kto będzie udawał, że ma dla tego zrozumienie, należałoby mu palnąć w łeb.

– Miałem wrażenie – zwierzał się Vierbein – że brutalnie, świadomie jestem spychany w przepaść. Straciłem wolę. Zbyt wiele zważyło się na mnie naraz.

– Dałeś się popędzać jak piórko. Komu? Błaznom z manią wielkości, zawodowym dręczycielom.

Johannes Vierbein chciał powiedzieć, że to nie było wszystko, że dołączyły się do tego inne sprawy, że czuł się całkowicie opuszczony, odepchnięty, izolowany. Że był ogłuszony, bezwolny, zmiażdżony, że odczuwał tylko pragnienie spokoju, wyłączenia się. Rozglądając się dokoła, powiedział: – Robiłem, co mogłem, próbowałem wszystkiego, co było w mojej mocy, zadawałem sobie wiele szczerego trudu, ale z tym światem pełnym żołnierzy uporać się nie potrafię.

Asch roześmiał się. – Świat ten – powiedział – nie jest całym światem, choć wielu usiłuje twierdzić, że jest jedynie prawdziwym. Ale tak czy owak musisz się z nim uporać, bo inaczej on się z tobą upora, i to gruntownie.

– Łatwo to powiedzieć – rzekł Johannes Vierbein z goryczą.

– Może znajdzie się ktoś – powiedział Asch z dobrze udaną obojętnością – kto ci pokaże, że nie masz racji i jak bardzo jej nie masz. Najwyższy chyba czas na przeprowadzenie dowodu, że dziedziniec koszarowy to nie żadna boska instytucja.

Bombardier opuścił przyjaciela i wrócił na strzelnicę. Tylko niewielu żołnierzy miało jeszcze strzelać. Zjawiały się ostatnie, niewielkie grupki. Pojawił się również kapitan Derna, nie zdradzając chęci uczestniczenia w zawodach, ponieważ nie należał do specjalnie dobrych strzelców.

Kapitan Derna, eskortowany i ochraniający przez starszego ogniomistrza Schulza, udawał wielkie zainteresowanie, kazał sobie pokazać zapisy w wykazie strzelających, obejrzał je nie bez satysfakcji, że starszy ogniomistrz, jego kochany Schulz, niewątpliwie przoduje. – Gratuluję – powiedział wesoło, tak by go wyraźnie słyszało bliższe i dalsze otoczenie. – Znowu widać jak na dłoni, w kim tkwią prawdziwie żołnierskie przymioty.

Schulz krygował się w dalszym ciągu. – Strzelanie jeszcze nie jest skończone, panie kapitanie.

W istocie rzeczy jednak już się żadnej poważnej konkurencji nie obawiał. Strzelcy baterii mający markę najlepszych spróbowali już swego szczęścia i oczywiście jego wyników nie osiągnęli. Sześcioma strzałami do zwykłej tarczy o dwunastu kręgach osiągnął sześćdziesiąt cztery punkty na siedemdziesiąt dwa możliwe. Był to wyczyn wzbudzający respekt. Tuż za nim znalazł się kapral Lindenberg z sześćdziesięcioma

dwoma punktami; ogniomistrz Platzek miał o jeden punkt mniej. Takiego wyniku należało się spodziewać.

Wśród niewielu, którzy jeszcze mieli strzelać, znajdował się również bombardier Asch. Był w doskonałej formie, również dlatego, że nikt się nim nie zajmował i mógł swobodnie strzelać. Był zdecydowany zrobić wszystko, co będzie w jego mocy.

Zanim Asch zdążył przyjąć odpowiednią postawę, Kowalski odczuł gwałtowną potrzebę pomówienia z nim w cztery oczy. – Czy zabrałeś kanonierowi Vierbeinowi amunicję? – zapytał.

Asch udał głupiego. – Jaką amunicję?

Kowalski cicho gwizdnął przez zęby. – Rozumiem – powiedział. – Jeżeli później będzie tych sześciu strzałów brakowało, niektórzy będą się z wściekłości gryzli we własny tyłek.

– A niech tam! – powiedział Asch jowialnie. – Najważniejsze, że do nas dwóch przyczepić tego nie można.

– Tak, nie można – powiedział Kowalski śmiejąc się. – Wkrótce po ucieczce Vierbeina oddałem całą pozostałą amunicję drugiemu. No i ten stuprocentowy idiota przejął ją na wiarę. Co oznacza, że był leniwy albo za głupi, żeby dokładnie policzyć. Było to około godziny jedenastej. O pierwszej zmienił go trzeci, o trzeciej czwarty. Dotychczas żaden nic nie zauważył.

– Ale otworzą oczy, co?

Kowalski ciesząc się już z góry, skinął głową. – Kiedy to zauważą, zesrają się ze strachu – zapewniał.

Bombardier Asch przystąpił tedy do ostrego strzelania z uczuciem beztroski. Ogniomistrz Platzek, który ciągle jeszcze pełnił służbę na strzelnicy i przy strzelających, prawie się nim nie interesował. Asch nie był niemowlęciem, któremu trzeba ciągle patrzeć na łapy.

Pierwsze dwa strzały miały być oddane w pozycji „leżąc” na pryczy, dwa następne w pozycji „klęcząc”, dwa ostatnie w pozycji „stojąc”. Asch rozłożył się wygodnie, westchnął głęboko i po krótkim celowaniu nacisnął spust. Wyskoczyła dwunastka.

– Czysty przypadek – powiedział nic nie przeczuwający Platzek.

Asch skoncentrowawszy uwagę oddał drugi strzał. Wyskoczyła dziesiątka.

– Wcale nieźle – oświadczył Platzek i zaczęły się w nim budzić pewne wątpliwości.

Asch opuścił pryczę i ukląkł. Jego lewy łokieć był oparty mocno i pewnie, oddychał spokojnie. Ściągnął spust, krótki, suchy strzał uderzył w tarczę.

– Znowu dwanaście – powiedział zdumiony Platzek.

Tymczasem zebrali się zaciekawieni widzowie. Kilku podoficerów zaczęło żywo debatować. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że dotychczasowemu rekordowi zagraża niebezpieczeństwo, i to dosłownie w ostatniej minucie zawodów. Starszy

ogniomistrz Schulz zbliżył się solidnie przyśpieszonym krokiem.

Tymczasem bombardier Asch oddał swój czwarty strzał. Wyskoczyła również dwunastka. Asch uśmiechnął się chytrze i otarł pot z czoła.

– To nie do wiary! – zawołał Platzek z nie ukrywaną niechęcią. Jeszcze dwa takie celne strzały i pierwsza nagroda, będąca nienaruszonym rezerwatem podoficerów, dostanie się szeregowcowi. Co gorsza, gdyby się temu Aschowi udało zdobyć pierwszą nagrodę, Platzek, będący dotychczas na trzecim miejscu, zostanie bez gadania skreślony z listy zwycięzców.

Zatroskany tym Platzek zwrócił się do starszego ogniomistrza ze słowami: – Wydaje mi się, że ten ma dziś swój dobry dzień.

Starszy ogniomistrz pochylił się nad wykazem. Lekki rumieniec próbował przebić się przez brunatną opalenizną jego twarzy. Zażartował: – I ślepej kurze trafia się ziarno.

Platzek usiłował się roześmiać. Grupka podoficerów, zaniepokojona, podeszła bliżej. Kilku żołnierzy, którzy mieli z tego powodu złośliwą satysfakcję, prowadziło między sobą ożywioną rozmowę. – Spokój w burdelu! – zawołał Schulz zdenerwowany. – Przestańcie wreszcie terkotać.

Wszystkie rozmowy umilkły. Asch stał w rozkroku i gotował się do oddania dwóch ostatnich strzałów. Niemal fizycznie czuł za sobą przyczajone, pełne oczekiwania milczenie. Zamknął oczy, oddychał głęboko. Wyteżył wszystkie siły, aby się skupić.

Po chwili pochylił się naprzód, mocno oparł o prawe ramię kolbę karabinu. Wylot lufy poruszał się powoli, wreszcie znieruchomiał. Bombardier wziął głęboki oddech, potem strzelił. Na schronie tarczowym ukazała się skośna belka.

– Jedenaście! – zawołał Platzek, zdumiony do najwyższego stopnia. Był wyraźnie podniecony. Pośpieszył do wiadra, zaczerpnął wody połowym kubkiem, wypił. Teraz jeszcze tylko ósemka i Aschowi przypadnie; pierwsza nagroda. A parszywa piątka wystarczy, aby jego, Platzka, wyeliminować.

– A to ci dopiero – powiedział starszy ogniomistrz tracąc opanowanie. Najniższe szarże uśmiechały się bez żenady, ktoś z nich zawołał: – Tylko tak dalej, Asch! – Schulz drgnął gwałtownie. Kapral Lindenberg stał nieruchomo, jak posąg z kamienia. Było mu obojętne, czy zdobędzie drugie miejsce czy trzecie, najważniejsze, że się znajdował pośród pierwszych. Poza tym pochlebiało mu nieco, że żołnierz z jego działonu, którego sam szkolił, był bliski tego, by zostać najlepszym strzelcem baterii. Gnębiło go tylko wzburzenie szefa, prawie zawsze cierpiał niemal fizycznie, kiedy musiał asystować przy zachowaniu sprzecznym z postawą wojskową i nie mógł interweniować.

Bombardier Kowalski podsunął się do Ascha pod pozorem załatwienia czynności służbowej. Schylił się i zaczął zbierać łuski. Przy tej okazji szepnął: – Uwaga, Asch! Jeżeli go skompromitujesz, stanie się twoim śmiertelnym wrogiem. Pamiętaj o amu-

nicji!

Asch odpowiedział lekkim Skinieniem głowy. Rozejrzał się, zobaczył napięte twarze podoficerów, pobladłą nieco twarz rumianego zazwyczaj Schulza, pełne zadowolenia uśmiechy kanonierów i zatroskane oblicze Kowalskiego, Pomyślał o amunicji, którą zabrał Vierbeinowi i która leżała w jego kieszeni. Nie, teraz, w tej chwili, nie może pozwolić sobie na wywołanie gniewu szefa. Teraz nie. Później.

Przyłożył karabin do ramienia, celował krótko i ściągnął spust. Nad tarczą zakłębił się pył. Ukazała się biało-czerwona chorągiewka.

– Pudło! – zawołał Platzek z ulgą.

Szef promieniał z radości. Szybko wżył się w nową sytuację. Teraz miał już pewność, że jest zwycięzcą. Uśmiechnął się protekcjonalnie i poklepał Ascha po ramieniu.

– Wcale nieźle, mój drogi – powiedział – wcale nieźle. Oczywiście brak wam jeszcze niejednego, byście mogli współzawodniczyć ze starymi żołnierzami. Ale czego nie ma, to być może. Warunki po temu są. Zawsze mówiłem, Asch: jest z was materiał na podoficera. Tylko tak dalej!

Schulz raz jeszcze poklepał milczącego Ascha po ramieniu. Potem zawołał: – Koniec strzelania. Obliczenie amunicji do mnie! Wymarsz za pół godziny.

Asch podszedł do Kowalskiego, wściekły rzucił karabin na trawę. Usiadł i powiedział do kolegi: – Nie zasłużył na to ten łajdak.

– Ale to się opłaci – odrzekł wielce doświadczony Kowalski.

Wyznaczeni żołnierze, wśród nich oczywiście Vierbein, uprzątnęli stanowiska, odtransportowali podziurawione tarcze, pozbierali papierki, uporządkowali teren stanowisk. Nadzorujący ogniomistrze zaczęli obliczać amunicję. Czekano na odmarsz do koszar.

Dzień był spokojny. Postrzelali sobie, oddając po sześć strzałów na chybił trafił, poza tym gawędzili, leniuchowali, grali w karty, wykręcali się od jakichś specjalnych zleceń. Jak u Pana Boga za piecem! Teraz nastąpi odmarsz, potem godzina czyszczenia broni, a potem: bawmy się! Z trudnościami czy nieprzyjemnościami liczyć się nie należało, szef znajdował się bowiem w zwycięskim nastroju, a poza tym dla uczczenia najlepszego strzelca wyznaczony był na dziś dla podoficerów „wieczór przy piwie”.

Ale odmarsz przeciągał się. Stanowiska 1 i 3 zameldowały, że wszystko w porządku i przedłożyły rozliczenie z amunicji. Stanowisko 2 nie skończyło jeszcze obliczeń. Ogniomistrz Platzek liczył i liczył, i nie mógł dojść do zadowalającego rezultatu. Brakowało mu sześciu naboju.

Kiedy zameldowano o tym starszemu ogniomistrzowi, zaczął kląć. Wreszcie zabrał się sam do liczenia. Ale i on nie mógł zmienić rezultatu: sześciu naboju brakowało. Była to, oświadczył szef bez ogródek, rzecz niesłychana. Amunicji nie mogło po prostu brakować. Była ściśle wyliczona, każdy poszczególny strzał musiał

być dokładnie zarejestrowany. Szef przewidywał olbrzymie komplikacje. – Cóż to znowu za świństwo, Platzek!

Platzek skręcał się. To, co się przytrafiło właśnie jemu, było więcej niż niemiłe, było niebezpieczne, mogło mieć nieobliczalne skutki. Widział się już przed sądem wojskowym, przymknięty, zdegradowany. Szef przyglądał mu się chłodno.

Platzek zarządził prowizoryczne śledztwo. Kazał stanąć w szeregu wszystkim, którzy na jego stanowisku pełnili służbę pomocniczą; byli wśród nich Kowalski i Asch. Platzek zaczął stawiać kłopotliwe pytania. Nie ukrywał podejrzeń.

– Przecież to kretynstwo! – zawołał zirytowany szef. – Idiotyzm. – Skinął poufale głową w stronę Kowalskiego i Ascha. – Nie pozwolę, abyście podejrzewali moich najlepszych żołnierzy. Odmaszerujemy teraz, a wy, Platzek, weźmiecie wykaz strzelających i w koszarach raz jeszcze sprawdzicie całe obliczenie. Ponadto porównacie dane wykazu z liczbą dziur w tarczach.

– Tak jest, panie szefie – powiedział Platzek zdruzgotany.

Szef skinął gniewnie głową. – I żeby mi do jutra cała rzecz była w porządku. Ważna sprawa, jak to zrobicie. Ale porządek musi być. W przeciwnym razie ja wam pokazę.

Podporucznik Wedelmann był niezadowolony z siebie i ze świata; to nurtujące go niezadowolenie przybrało charakter trwały. Nie cieszyło go to, co robił, względnie – co robić musiał. Brak mu było jakiegoś ognia, jakiejś podniety, jakiejś małej wojny światowej albo kobiecej istoty odpowiedniego formatu.

Pełnił swą służbę zgodnie z przepisami, ale z wyjątkowym znudzeniem. W ostatnich czasach często się zdarzało, że laził po koszarach niezadowolony i bezgranicznie znudzony i obojętnie, niechętnie niemal wypełniał swe obowiązki służbowe. Na strzelnicy spędził tylko dwie godziny; żarliwy zapal podoficerów, ich nadęte poczucie wyższości oraz jego antytalent strzelecki powstrzymywały go od wszelkiej interwencji. Wszystko to wprawiało go w zdecydowanie zły humor.

Po zakończeniu zajęć służbowych poszedł do kasyna oficerskiego i usiadł w jakimś kącie w czytelni. Przerzucił czasopisma, obserwował wzór obrusa, zaczął liczyć frędzle wiszącego na ścianie kilimu.

Potem uciekł do drugiego pokoju przed majorem Luschke, który, jak się wydawało, poszukiwał dobrego i wytrwałego partnera do gry w szachy. Wymknięcie się Luschkemu wcale nie było łatwe, ale granie z nim w szachy, zwłaszcza dzisiaj, byłoby męką. Luschke bowiem zwykł był grać metodycznie, a więc denerwująco powoli; poza tym dawał przy każdej okazji do zrozumienia, że jako starszy stopniem służbowym i rangą, a więc ktoś wyższy, winien zgodnie z logiką wygrywać. Kiedy później wygrywał naprawdę, bo istotnie był lepszym graczem, nie szczędził przeciwnikowi druzgocącej ironii.

Najbardziej martwiło Wedelmanna to, że mając kolegów nie miał przyjaciela. W dywizjonie było trzech podporuczników z jego rocznika; każdy z nich miał swoisty

sposób spędzania wolnego czasu. Jeden zabawiał się z tanimi dziewczętami, drugiemu sprawiało rozkosz ciągle pełnienie służby, trzeci był prawie zaręczony, i to nie na żarty. Wskutek tego Wedelmann siedział często samotny i był skazany praktycznie na to, że tylko od czasu do czasu zaszczyli go łaskawie rozmową któryś z przełożonych.

Rozparł się w fotelu i wyciągnął nogi. Brak mu dziewczyny, ot co! Nie pierwszej lepszej, z którą można by pić kawę, grać w tenisa, chodzić na spacer, ale prawdziwej dziewczyny, która by z prawdziwą radością pozwoliła ująć się pod ramię i była rozkochana w miłości. Nie taniego, powolnego kobieciątka, ale prawdziwej kobiety o dobrych rękach i wielkim sercu. Ale znalezienie takiej dziewczyny nie było wcale łatwe; zdarzało się to przeważnie w powieściach i ilustrowanych czasopismach.

Jego niechęć do tego rodzaju powieści płynęła między innymi stąd, że nieprzyjemne zdjęcia wywoływały w nim podniecenie. Mimo starań nie znajdował w tej zapadłej dziurze żadnej odtrutki. Wszystkie spotykane kobiety były dla niego zbyt młode, zbyt zepsute albo też za stare i za zimne. Poza tym część ich była zbyt mocno związana małżeństwem. Nie wiedział jeszcze, do jakiej kategorii należy zaliczyć Ingrid Asch.

Zdawało mu się, że ta Ingrid Asch jest godna uwagi: twarzyczka jak malowanie, figurka zgrabna, główka rozsądna. Można się z nią pokazać nawet w pełnej gali. Myślał o niej z wewnętrznym napięciem.

– Zagra pan partię szachów? – zapytał major Luschke, który zbliżył się niepostrzeżenie. Na twarzy, przypominającej bulwę, pojawił się zadowolony uśmiešek, który nawet starych kapitanów zwykł był wyprowadzać z równowagi.

Podporucznik Wedelmann zerwał się z miejsca. Jak zawsze w obecności majora Luschke był nieco zakłopotany. Nigdy nie zdawał sobie sprawy dokładnie, czy tego nieprzeniknionego człowieka lubi, czy też się go tylko boi.

– Niechże pan siada, panie podporuczniku – powiedział major łagodnym głosem, którym zdawał się przecinać powietrze jak brzytwą. – Nie mam zamiaru poddawać tu pana ćwiczeniom. Chciałbym tylko wiedzieć, czy zagra pan partię szachów.

– Oczywiście, panie majorze – pośpieszył Wedelmann z zapewnieniem. I z całym oddaniem spojrzął na twarz Bulwy.

– Nie, mój drogi – powiedział sucho major. – Nie jest pan, zdaje się, w odpowiednim nastroju. Zapewne potrzeba panu świeżego powietrza. – Odszedł krótkim, sztywnym krokiem, przytkając palcami prawej ręki.

Podporucznik spoglądał pełen szacunku za swoim dowódcą. Cóż to za człowiek! Słyszy, jak trawa rośnie.

Wedelmann udał się do kabiny telefonicznej, wyszukał w spisie numer Ascha, podniósł słuchawkę. Zgłosiła się jedna z pracownic. Poprosił o rozmowę z panną Ingrid Asch. Głos Ingrid brzmiał ciepło i przyjemnie; Wedelmann był gotów wmówić w siebie, że w jego dźwięku jest coś zmysłowego. To dodało mu skrzydeł.

– Chciałem tylko zapytać, czy ma pani dziś wieczorem czas i ochotę wyjść ze mną. Proponuję kawiarnię Liedtkego, ale oczywiście zastosuję się do każdego pani życzenia. Jeżeli to pani nie przeszkadza, zjawię się w mundurze.

Ingrid wahała się nieco – tłumaczył to sobie jako kokieteryę. Potem zgodziła się. Nie ma nic przeciwko temu, żeby przyszedł w mundurze, zgadza się również na kawiarnię Liedtkego, bo mają tam znakomite ciastka. Prosi tylko o zawiadomienie jej brata, bombardiera Ascha, że będzie w kawiarni Liedtkego, gdyż być może, że brat zechce się z nią widzieć. Czy pan porucznik robi to dla niej?

– Ależ oczywiście. Zaraz to załatwię. Cieszę się, że panią zobaczę. Za pół godziny?

– Nie, za godzinę w kawiarni Liedtkego.

Wedelmann położył słuchawkę na widełki, zadowolony skinął głową swemu odbiciu w szybie, opuścił kabinę i udał się na swą kwaterę. Podoficerowi dyżurnemu kazał zawiadomić Ascha, że jego siostra jest w kawiarni Liedtkego.

Nucąc „O sole mio” wziął natrysk. Potem, choć się rano golił i nie miał zbyt mocnego zarostu, ogolił się po raz drugi. Natarł twarz wodą kolońską, przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze i uznał, że wygląda młodo i wcale nie najgorzej.

Spotkał się z Ingrid w kawiarni Liedtkego na górcie; stały tam fotele klubowe, na których chętnie siadywały małżonki oficerów. Poznał żonę kapitana ze sztabu dywizjonu i złożył jej uprzejmy ukłon. Pani kapitanowa skinęła wyniośle głową, obrzucając Ingrid Asch krytycznym spojrzeniem.

Ingrid miała na sobie barwną suknię w poprzeczne pasy, bez rękawów i z głębokim wycięciem. Wedelmann uważał, że wszystko w niej jest godne obejrzenia. Nachylił się pełen zainteresowania.

– Żeby nie było nieporozumień – powiedziała Ingrid z rezerwą. – Przyszłam tylko dlatego, aby z panem trochę pogawędzić.

– Oczywiście, to się rozumie samo przez się.

– Mam niepłonną nadzieję, że nie przypuszcza pan, by moje zjawienie się tutaj było równoznaczne z jakimiś zobowiązaniami z mojej strony.

– Skądże znowu – zapewnił Wedelmann. Był trochę rozczarowany. Myślał sobie: „Nie można powiedzieć, żeby była bardzo uprzejma, ale może to z jej strony podstęp”.

– Jestem mianowicie, jak gdyby zaręczona – dodała Ingrid spontanicznie; ledwie te słowa wypowiedziała, sama się zdziwiła.

– Aha! – powiedział Wedelmann. I dodał: – Przecież to zupełnie zrozumiałe, mężczyźni musieliby być ślepi, gdyby nie robili pani tego rodzaju propozycji. – W duchu myślał sobie: „Wydaje się, że ta miła dziewczyna nie jest taka łatwa do zdobycia. Należy prawdopodobnie do tego rzadkiego, staromodnego gatunku kobiet, które gotowe są poznać smak miłości dopiero po ślubie”.

– Ale definitywnie jeszcze się pani chyba nie związała?

– Oczywiście, że nie! – odparła Ingrid. – W ostatnich czasach doszło nawet między nami do poważnych nieporozumień.

– To się zdarza – przytaknął Wedelmann. – I uważam, że jest to zupełnie w porządku. Przecież jest pani tak szalenie młoda. Ma pani jeszcze czas na stałe związanie się z kimś. Nie uważa pani?

Ingrid nie odpowiedziała. Robiła wrażenie nieobecnej. Patrzyła z napięciem w kierunku okien. Poszedł za jej wzrokiem. Pod oknem zajął właśnie miejsce żołnierz. Wedelmann znał go. Był to żołnierz z jego baterii nazwiskiem Vierbein. Kanonier Johannes Vierbein.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała Ingrid. – Zdaje się, że brat mój przekazał mi jakąś wiadomość. – Wstała i nie oglądając się na Wedelmanna podeszła do spoglądającego w jej stronę Vierbeina.

Wedelmann poczuł się nieco nieswojo, ponieważ zainteresowanie pani kapitanowej, siedzącej o dwa stoły dalej, wyraźnie skupiło się na jego osobie. Wydawało mu się, że jej spojrzenia wyrażają zdumienie, ciekawość i potępienie. Jednym haustem wypił kawę i zamówił u kelnera duży kieliszek koniaku.

Przyglądał się Ingrid Asch i kanonierowi Vierbeinowi z nie ukrywaną nieufnością, prawie z niezadowoleniem. Siedzieli blisko siebie i rozmawiali z ożywieniem; mówiła właściwie Ingrid. Vierbein słuchał z nieruchomą twarzą, odzywał się tylko od czasu do czasu, jak by broniąc się. Podporucznik stwierdził, że tych dwoje właściwie nie wygląda na zakochaną parę.

Zwilżył wargi koniakiem. Koniak był paskudny w smaku, pozbawiony aromatu i ognia. Mimo to wypił całą zawartość i zamówił „jeszcze raz to samo”.

Ten Vierbein, znajdował teraz Wedelmann, wygląda przecież po prostu żałośnie! Na jego lewym policzku widniał plaster, mundur miał za szeroki, pomarszczony na piersiach. Nie, ten człowiek nie mógł stanowić dla niego konkurencji. Po chwili zobaczył, jak Ingrid ujęła czule ramię tego człowieka, o którym sądził, że nie może być jego konkurentem. Potem położyła swą dłoń na jego ręce.

Tego, zdaniem podporucznika Wedelmanna, było już za wiele. Zawołał: „Płacić”! Ale Ingrid Asch nie słyszała tego okrzyku; rozmawiała w dalszym ciągu z kanonierem, który coraz bardziej się do niej przysuwał.

Wedelmann zmusił się do uśmiechu. Przyszło mu to z trudem. Opadły go filozoficzne refleksje; znowu myślał o tym, że nie rozumie świata. Nie, kiedy się porównywał z Vierbeinem i stawiał między sobą a nim tę dziewczynę, nie mógł tego świata pojąć. Prawdopodobnie był tu tylko rodzajem przynęty; wyglądało istotnie na to, że tym razem rola jego polegała jedynie na tym, by kanonierowi Vierbeinowi, właśnie temu Vierbeinowi, umożliwić poprzez bombardiera Ascha spotkanie. Bo czyż na prośbę Ingrid nie poinformował Ascha, dokąd ta dama ma zamiar przyjść. Diabło niemiłą sytuacja! Stał się do pewnego stopnia komiczną figurą.

Zapłacił i wyszedł. Przeszedł tuż obok Ingrid Asch i Johanna Vierbeina, ale żąd-

ne z nich nie zauważyło go. Zasepił się jeszcze bardziej.

Wyszedłszy na ulicę zaczął się rozglądać. Ściemniało się. Pojedynczy spacerowicze snuli się po mieście. Ruch samochodowy prawie zamarł. Lampy i wystawy rzucały na asfaltową jezdnię swe senne światło. Pociągnął go oświetlony czerwonym neonem „Excelsior”.

Właściciel lokalu Paweł, zwany przez przyjaciół „ciepłym Pawełkiem”, ucieszył się wyraźnie na widok gościa i miał ochotę wziąć go w swoje objęcia. Wedelmann odsunął go od siebie. Usiadł przy barze obok Eryki i w krótkim czasie wypił cztery kieliszki dzinu. Eryka dała do zrozumienia, że może byłaby gotowa po ukończeniu służby „zabawić się” z nim; pokręcił przecząco głową, wydawało się jednak, że nie byłby od tego, ale cena, której zażądała, i bezwstydna rzeczowość, z jaką to zrobiła, otrzeźwiły go.

Pełen obrzydzenia opuścił „Excelsior”. Przez chwilę stał samotnie na pustej ulicy, potem postanowił zalać się gruntownie w „Bismarckshöhe”, lokalu odwiedzanym przez bombardierów. Kiedy jednak wszedł do środka i zaczął przyglądać się tłumowi tańczących – „co środę tańce, wybór dam” – gospodarz zwrócił mu w sposób taktowny uwagę, że jest w mundurze. – No pięknie – powiedział podporucznik zirytowany – w takim razie spiję się w domu. Niech mi pan zapakuje butelkę wina.

Wedelmann odebrał ładnie zawiniętą butelkę w biurze właściciela „Bismarckshöhe”. Kazał ją zapisać na swoje konto i z pewnym ociąganiem ruszył w ciemność.

Miał wrażenie, że noc jest pełna pożądań, było ciepło, duszno. Noc otaczała go jak gęsta mgła. Minął czule przytuloną do siebie parę.

– Tam do licha – mruknął. – Czas już, by się coś ze mną stało. Jeżeli się wkrótce nie ożenię, wyląduję w burdelu.

Wartownik otworzył szeroko bramę. Wedelmann minął go odpowiadając machinalnie na ukłon. „Spiję się – myślał sobie – to mi dobrze zrobi, zapomnę wtedy o tym, że wystarczy kanonier kalibru Vierbeina, żeby mnie wyeliminować.”

Powłócząc nieco nogami szedł przez jezdnię do bloku trzeciej baterii. Miał kwatere na pierwszym piętrze, nad mieszkaniem szefa baterii. Korkociąg leży zapewne na nocnym stoliku.

– Dobry wieczór, panie podporuczniku – odezwał się nieco zachrypnięty głos kobiety.

Wedelmann zdumiony spojrział w górę. Był to głos Lory Schulz, żony starszego ogniomistrza. Leżała w oknie i wyglądała w noc.

– Dobry wieczór, pani Schulz. Tak późno i jeszcze na nogach?

– Nie mogę spać. Mąż mój bawi się w gronie podoficerów. Potrwa to z pewnością do białego rana.

– I ja spać nie mogę. Chcę się upić.

– Dobra myśl – powiedziała Lora Schulz i zaśmiała się półgłosem. – I ja miałabym na to ochotę.

- Może więc upijemy się razem?
- Dlaczego nie? Niech pan wejdzie – powiedziała Lora.

Wielki tumult rozpoczął się dobrze po północy. Do tej pory wszystko szło normalnym trybem. Święto zwycięstwa, odbywające się w lokalu czytelnicy, przebiegało zgodnie z tradycją podoficerskiego korpusu.

Kowalski i Asch zostali zaszczytzeni funkcją ordynansów. Schulz uznał, że godni są przebywania wśród podoficerów w czasie uroczystości zwycięstwa. Motywacja jego brzmiała następująco: – Jest rzeczą jasną, że chodzi tu o wyjątkowe wyróżnienie. Kiedyś, miejmy nadzieję, że już niedługo, i wy zostaniecie podoficerami. Nie chcę przez to powiedzieć, że awans wasz jest już przesądzony, ale jest bardzo możliwe, że już was do niego podałem.

Mrugnawszy oczami oddalił się. Asch i Kowalski spojrzeli na siebie. Bombardier powiedział: – Mógłbym go godzinami walić po mordzie.

- Po co ta strata czasu? – zauważył Kowalski spokojnie.
- Czy w ogóle chcesz zostać podoficerem? – zapytał Asch.
- Dlaczego nie? – odrzekł Kowalski. – Śpi się dłużej, więcej się zarabia, nosi się lepsze łachy, nie trzeba się tak mocno natężyć.
- Rzygać mi się chce na ten cały interes.
- I ja nie kocham tej instytucji – powiedział Kowalski. – Ale z góry liczę się z tym, że jej nie potrafię zmienić.
- Gdyby każdy tak myślał, niedaleko byśmy zaszli.
- A jeżeli nawet tysiące będą myślały tak jak ty, także daleko nie zajdziecie. „Schodź z pola ostrzału i dobrze się odżywiaj” – oto hasło wszystkich żołnierzy, którzy swego rozumu nie złożyli w magazynie mundurowym.
- Słuchaj no, Kowalski – powiedział Asch. – A co by było, gdybym się zdecydował pokazać tej instytucji, co o niej myślę? Co wtedy?
- Wtedy zamówię dla ciebie wieniec.
- Możesz zrezygnować z zamawiania. Jeszcze się okaże, kto go dostanie.

Pracowali w czytelnicy, ściśle w myśl wskazówek starszego ogniomistrza. Ustawili stoły w podkowę. Wzięli z magazynu prześcieradła i ponakrywali nimi stoły. Postawili dwadzieścia trzy krzesła, w tym siedem foteli z oparciem dla ogniomistrzów i jeden dla starszego ogniomistrza. Jeden z kanonierów, z zawodu ogrodnik, udekorował pokój kwiatami, które na koszt baterii hodowano na klombach.

Potem przetoczyli z kantyny czterdziestoosmiolitrową beczkę, ustawili ją i otworzyli. Wypili za swe własne zdrowie. Z kolei poustawiali kieliszki i butelki z wódką. Włożyli białe bluzy, pożyczone im przez podoficera gospodarczego z zapasów kasyna.

- Czy musimy wszystko robić sami? – zapytał Kowalski. – Schulz mógłby przydzielić nam przynajmniej po jednej sile pomocniczej.
- Jeden był przydzielony – powiedział Asch. – Niejaki Vierbein. Dałem mu urlop,

bo nie chcę, aby moim szwagrem, a tym bardziej kochankiem mojej siostry był oficer. Miejmy nadzieję, że tym razem ten Vierbein nie zachowa się znowu jak szmata.

– Jeżeli nie pomogą mu cięgi, które dziś w południe dostał od ciebie, sprawa jest beznadziejna.

Tuż przed ósmą zjawili się podoficerowie. Starszy ogniomistrz Waber, podoficer samochodowy baterii, najstarszy stanowiskiem służbowym i rangą po szefie baterii, wskazał każdemu z nich miejsce.

Punktualnie o ósmej zjawił się szef. Zachowywał się po koleżeńsku, podziękował za złożony mu meldunek, usiadł, dał pozostałym znak, by zajęli miejsca, i powiedział: – No więc, zaczynamy!

Kowalski i Asch napełnili ciężkie kufle piwem.

– Za wszystko, co kochamy! – zawołał starszy ogniomistrz Schulz. – Wiwat!

Podoficerowie tręcili się i wypili. Nawet Lindenberg, który na ogół nie pił, wychylił duszkiem swój kufel nie mrugnawszy powieką. – Ach – zawołał szef mlaskając językiem – jak to dobrze robi, serce człowiekowi rośnie!

Kowalski i Asch zaczęli natychmiast napełniać opróżnione aż do dna kufle. Przymusową przerwę w picciu wypełniło odśpiewanie pieśni. Potężne, dobrze wyszkolone głosy śpiewały tradycyjną pieśń korpusu podoficerskiego trzeciej baterii: „Jak dumny orzeł”.

Obu wybranym ordynansom udało się już przy drugiej zwrotce napełnić kufle piwem. Przy czwartej przed każdym z podoficerów stał obok piwa kieliszek wódki. Szef skinął z zadowoleniem głową: te ananasy starają się uczciwie nie sprawić mu zawodu. Przydatny materiał. Po piątym piwie tempo zwykle słabnie, wtedy będzie im lżej.

Podoficerowie wypili, zaśpiewali, tym razem „Rankiem, kiedy pieją koguty”, i znowu wypili. Pokój napełnił się kłębamii dymu i wrzaskiem; zdawało się, że ściany popękają od hałasu. Asch spoglądał na wielkie gęby, które się równomiernie raz po raz otwierały i zamykały. Była to dobrze naoliwiona maszyna wesołości, którą puszczono w ruch.

Szef przykładał wagę do tego, by nadawać ton; nawet teraz jeszcze słyszało się bez trudu jego swoisty głos, jakby stworzony do komenderowania. Śpiewając obserwował powierzony mu korpus podoficerski małymi, szybko wędrującymi oczkami.

Starszy ogniomistrz Waber, zdecydowany zwolennik sztuk pięknych, specjalista od wywoływania nastroju i zawołany śpiewak, wykrzykiwał przed rozpoczęciem każdej zwrotki: „trzy, cztery!” i czuł się przy tym wspaniale. Ogniomistrze stanowili materiał, na który można było liczyć, i to w każdej sytuacji, a więc i w tej; tylko Platczek nie mógł dziś tak od razu odzyskać swej najlepszej formy, gdyż trapiła go myśl o zagubionych sześciu nabojach. Podoficerowie śpiewali, jak gdyby im za to płacono. A Lindenberg był wzorowy jak zawsze; i tę część służby odrabiał z takim samym oddaniem, jakim tak wybitnie odznaczał się na placu ćwiczeń.

Po trzeciej pieśni, piątym piwie i czwartej wódce Schulz pozwolił starszemu ogniomistrzowi Waberowi wygłosić mowę na cześć najlepszego strzelca w baterii.

Waber spełnił to zadanie z właściwym mu humorem, ale nie zapomniał o wpleceniu zwrotów poważnych w rodzaju: „Sztuka rodzi się z umiejętności”, „Jak Tell, tak i Schulz”. Wreszcie doszedł do szczytowego punktu swoich wywodów. Używszy raz jeszcze słowa „duma” zaczął mówić o zasrańcach, dla których nie ma w tych szeregach miejsca, o führerze, któremu wszystko mają do zawdzięczenia. Przy końcu wznosił toast za zdrowie Schulza.

Schulz podziękował, wyraźnie wzruszony. Zaczął swą odpowiedź głosem stłumionym ze względu na to wzruszenie. Mówił o swoich „drogich podoficerach”, o „pielęgnowanym starannie koleżeństwie”, dla którego nie ma dosyć słów pochwały. Nagle wydało mu się, że powiedział już za wiele dobrego, uczuł potrzebę pewnego przytłumienia swej pochwały, by nie powstał nastrój zanadto intymny, który, jak uczy doświadczenie, prowadzi do prób zbytniego spoufalenia.

– Ale radość z powodu mego zwycięstwa i dumą z moich przyjaciół nie są nie zamącone, gdyż istnieją tacy, którzy psują mi dobre wrażenie, jakie robi nasz korpus podoficerski, co już jest wyraźnym świństwem. Nie gapcie się tak głupkowato, Asch, lepiej nalewajcie. Na czymże to ja stanąłem?

– Na świństwie! – zawołał starszy ogniomistrz Waber, który uważał, że sumienie ma czyste.

– Tak, takie jest niestety moje zdanie. – Schulz zmierzył wzrokiem pogromcę kobiet, ogniomistrza Werktreua, który w swym magazynie mundurowym zwykł był za dnia wypoczywać po nocnych trudach. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby ktoś kolejno uszczęśliwiał kobiety, może to być nawet pewnego rodzaju sportem. Niechże jednak łaskawie nie wyciąga palców po żony podoficerów swojej baterii; nie ma to absolutnie nic wspólnego z koleżeństwem.

Z kolei wzrok Schulza spoczął na ogniomistrzu Platzku, który i tak był już zaniepokojony. – Nie mogę jednak zrozumieć, że podoficer może dopuścić do zawierzenia się sześciu naboju; nie zdarzyło mi się to podczas całej mojej służby. Coś podobnego po prostu nie może się zdarzyć. Albo amunicja będzie na swoim miejscu, albo też zostanie ustalone, gdzie się znajduje. Wszystko inne nie miałoby nic wspólnego z godnością korpusu podoficerskiego. Czy nie mówiłem wam, Asch, żebyście się tak głupio nie gapili! Jeszcze nie jesteście podoficerem.

Schulz pokrzepił się łykiem piwa, ale nie wezwał obecnych, by zrobili to samo, ponieważ nie skończył jeszcze swego przemówienia, o którego działaniu był przekonany.

– W ogóle stwierdzam, że korpusowi podoficerskiemu brak ducha w każdej sytuacji życiowej. Gdzie jest poczucie solidarności? Gdyby mi dawniej mój szef powiedział, że kanonier Vierbein nie pasuje do mego pola widzenia, korpus podoficerski starłby go z powierzchni ziemi. A gdyby powiedział, że kanonier Vierbein za głośno

oddycha, po minucie nie oddychałby w ogóle. Oto czym jest dyscyplina, moi koledzy. Niech żyje führer! Wiwat! Niech żyje piwo! Niech żyje wódka! Zaśpiewajmy „Jak dumny orzeł”!

Starszy ogniomistrz Waber poddał ton i zawołał: – ...Trzy, cztery! – Zaśpiewali.

Bombardier Asch powiedział: – Napluję mu do następnego piwa.

– To bezcelowe – oświadczył Kowalski. – Nawet gdybyś im nasiusiał, nie zauważą tej subtelności po piątym kuflu.

Na tym skończyła się właściwie część oficjalna. Wszyscy mówili teraz równocześnie. Ordynansi otrzymali polecenie natychmiast napełniać opróżnione kufle i kieliszki. Starszy ogniomistrz kontrolował z początku wykonanie tego polecenia, kiedy się jednak przekonał, że wszystko jest w porządku, zajął się „przepijaniem”, które było na tego rodzaju wieczorkach przy piwie ulubioną rozrywką.

Wedle tradycyjnych zwyczajów inspiratorem przepijania do sąsiada przy stole mógł być tylko przełożony; było jednak dopuszczalne wzajemne przepijanie do siebie równych stopniem. Natomiast było nie do pomyślenia, by na przepijanie mógł się ośmielić podwładny.

Zabawę rozpoczął Schulz. – Platzek – powiedział – piję za twoje zdrowie i za to, żebyś sprawę z sześcioma nabojami załatwił bez zarzutu. Prosit!

Schulz dotknął tylko swego kufła, natomiast Platzek, jako ten, do którego przepi- to, musiał wychylić swój do dna. Uczynił to pełen gniewu, ale z poczuciem dyscypliny. Natychmiast odwzajemnił się za to we właściwy sposób. Przepił do Lindenberg, i to dwukrotnie, wyrażając życzenie, by kaprał pokazał, czego się nauczył jako instruktor, zwłaszcza na tym żywym trupie Vierbeinie.

– Od tej chwili – powiedział Asch do Kowalskiego – Platzek nie dostanie już czystego piwa, lecz tylko zakrapiane wódką.

– Ze starszym ogniomistrzem robię to już przez cały wieczór – odparł Kowalski.

Przez ta dodawanie wódki do piwa ogólny nastrój doszedł w bardzo krótkim czasie, a więc mniej więcej w ciągu trzech godzin, do punktu wrzenia. Wkrótce potem Lindenberg dostał w toalecie wymiotów. Doświadczony Kowalski wpakował mu w usta łyżkami sproszkowany węgiel i oliwę z sałatki. I węgiel, i oliwa uchodziły za niezawodne środki przeciw przedwczesnemu schlaniu się. Poza tym kufel Lindenberg, a był odtąd napełniany wodą, odrobiną piwa i masą piany. Lindenberg wzruszony tą troskliwością poprzysiągł sobie w duchu wywdzięczyć się kiedyś.

Na krótko przed północą przystąpiono pod wypróbowanym kierownictwem starszego ogniomistrza Wabera do ulubionej zabawy „trullala”. Zabawa ta miała około tuzina odmian. Początek był niewinny. Waber wlażł na krzesło śpiewając: „Włażcie na to, włażcie, trullala, włażcie na to, trullala!” Wszyscy powłazili na krzesła i z żarliwością odśpiewali powyższe słowa. Przy następnych zwrotkach poschodzili z krzesła, wleźli na stół, zdjęli obuwie, bluzy, spuścili spodnie pozostając w koszulach. Waber zaśpiewał z prawdziwą rozkoszą: „A teraz podnieście wysoko to coś, to coś,

trudiralla, podnieście wysoko to coś, trullala!”

Była to zaprawdę wspaniała zabawa. Słaniający się na nogach podoficerowie wydawali entuzjastyczne okrzyki, podnosili koszule, zupełnie pijany Platzek uparcie usiłując zdobyć się na wesołość próbował wskoczyć nagim tyłkiem na twarz szefa, co wywołało huragany śmiechu.

– Wyglądasz – powiedział Kowalski do Ascha – jak byś miał zamiar kogoś zamordować. To nieostrożnie! Jeżeli nie chcesz uśmiechać się entuzjastycznie, to przybierz przynajmniej obojętny wyraz twarzy.

– Zawsze będę ich teraz widział przed sobą tylko w koszulach – odpowiedział Asch.

– To nic nowego – zapewnił Kowalski. – Ja widzę ich tak od dawna.

Tuż przed pierwszą zameldowano przy entuzjastycznych okrzykach pierwszą „śmiertelną ofiarę” piwa. Leżała na korytarzu w pobliżu toalety. Ku ogólnemu zdumieniu był to ogniomistrz Platzek, na którego mieszanina piwa z wódką podziałała druzgocąco. Leżał jak wyrzucona szmata.

Szef zarządził z miejsca „oficjalny pogrzeb”. Czterech najmłodszych podoficerów popędziło z jodłowaniem na drugie piętro, na którym mieścił się pokój Platzka. Po upływie krótkiego czasu wrócili niosąc jego łóżko i położyli na nim spitego jak bela Platzka.

Podoficerowie ustawili się w dwuszereg, „trumna” została podniesiona, wszyscy ruszyli przy akompaniamencie plugawych piosenek do hali z natryskami. Waber kierował całą ceremonią. Po ustawieniu „trumny” pod natryskiem odkręcono całkowicie kran.

Platzek spał jeszcze czas jakiś, po czym się ocknął; podniósł się mechanicznie jak lalka na sprężynach i dzikim, zdumionym wzrokiem zaczął rozglądać się dokoła. Po chwili wylazł z łóżka i upadł na kamienną posadzkę. Zaklął siarczyście. Podoficerowie zawyli entuzjastycznie, jeden z nich omal nie dostał konwulsji ze śmiechu.

Potem chlano dalej. Czterdziestoośmiolitrowa beczka została opróżniona, skurczył się zapas butelek. Lindenberga ulotnił się niepostrzeżenie. Uroczysty wieczór rozpływał się w gwarze, kłębach dymu i oparach piwa. O godzinie drugiej pozostały już tylko niedobitki. Kowalski i Asch zaczęli sprzątać ze stołu i przynajmniej do pewnego stopnia doprowadzać wszystko do porządku.

Szef i pogromca kobiet ogniomistrz Werktreu należeli do ostatnich. Objąwszy się mocno, gadali zawzięcie, choć język im się plątał. Oczywiście o kobietach.

– Żona twoja, Lora – bełkotał z trudem Werktreu – jest kobietą przyzwoitą, to trzeba jej przyznać; jest przyzwoicie zbudowaną kobietą.

– Nie mogę zaprzeczyć – powiedział Schulz. – Wiem, co posiadam w jej osobie.

– Ja także – oświadczył Werktreu.

Szef spojrział na niego spode łba. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przecież jestem twoim przyjacielem. A może nie wierzysz, że jestem twoim

przyjacielem?

– Jesteś nim.

– I wszystko co moje, to twoje. I odwrotnie.

– Tak, jesteś moim przyjacielem. Ale teraz idę spać. Wierna moja małżonka z pewnością czeka na mnie.

– Ja także – powiedział Werktreu. – Ja także idę spać.

Schulz podniósł się ociężale. Przyglądał się z satysfakcją pobożowisku opuszczonemu przez zalanych na wesoło kolegów. Patrzył na poplamione obrusy, poprzewracane krzesła, do połowy opróżnione kufle, rozsypany popiół i porozbijane butelki. Był przeświadczony, że wieczór skończył się pełnym sukcesem; to nastrajało go pogodnie.

– Sprzątajcie, chłopcy – powiedział bełkocząc. – A potem wyśpijcie się porządnie. Dobrzeście to zrobili. Będziecie kiedyś dobrymi podoficerami. A to wielka sztuka – w mojej szkole!

– Mam w dupie taki podoficerski korpus – powiedział Asch. Schulz roześmiał się brutalnie, ale szczerze. Ze względu na stan, w jakim się znajdował, uważał to za soczysty męski kawał. – Mały kawalarzu – powiedział ociężale, kiwnął ręką i ramię w ramię z ogniomistrzem Werktreuem, zataczając się, poszedł w kierunku podoficerskiego kasyna.

– Tam do licha – powiedział Kowalski i głęboko odetchnął. – Jeszcze raz miałeś szczęście.

– Przy najbliższej sposobności – rzekł Asch – zakłuję tego wieprza.

Lora Schulz od razu pożałowała, że odważyła się zaprosić podporucznika Wedelmana. Po prostu zdjął ją strach: między innymi przed własną żądzą. Ale tym razem tego, co zrobiła, nie dało się tak łatwo cofnąć.

Podporucznik Wedelmann przestąpił próg mieszkania starszego ogniomistrza Schulza z wahaniem. Lora zaprowadziła go do jadalni, Wedelmann usiadł na jednym z czterech krzeseł. Rozglądał się z pewnym zakłopotaniem.

– Jest już właściwie bardzo późno, nie sądzi pani?

– Czy chce pan zaraz odejść?

– Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu – powiedział Wedelmann – zostanę chętnie jakiś kwadrans. – Postawił na stole przyniesioną butelkę koniaku. – Ma pani korkociąg i kieliszki?

– Zaraz – powiedziała Lora Schulz; była właściwie rada, że znalazła okazję do odalenia się na chwilę. Spojrzała krytycznym wzrokiem w lustro wiszące w kuchni. Włosy miała nieco w nieładzie, ale wyglądało to niemal malowniczo i prowokująco. Skóra jej błyszcząca, zaradziła temu przy pomocy zimnej wody. Suknię wprowadziła miała zmiętą, ale lubiła ją, gdyż doskonale uwidoczniała jej figurę. Zgasi w jadalni górne światło, wtedy stan sukni nie będzie zbyt widać w oczy.

Tymczasem Wedelmann przyglądał się urządzeniu. Był to pokój standardowy,

utrzymany w ciemnych kolorach, nieco ciężki – imitacja dębu. Na ścianie wisiał oleodruk w bogatych ramach z gipsu przedstawiający „Wyspę umarłych” Boecklina. Na kredensie i na małych stolikach pełno było nagród sportowych i strzeleckich, swawolnych figurek oraz przedmiotów z grubego szkła. Na otomanie leżała kolekcja wyszywanych lub malowanych poduszek: widniały na nich rogi obfitości, czterolistna koniczyna, róże oraz młyn nad strumieniem.

Lora Schulz wróciła do pokoju. Wedelmann stwierdził, że pachnie mocno fiołkami.

– Trochę tu za jasno, nie uważa pan?

– Jeżeli jest pani tego zdania...

Wyłączyła górne światło. Przyćmiony blask lampy stojącej oświetlał ich dyskretnie. Zegar tykał nieznośnie głośno.

Wedelmann otworzył butelkę koniaku. – Ma pani miłe mieszkanie – powiedział.

– Urządzenie kupiliśmy na licytacji. Mieliśmy oboje trochę oszczędności, tyle, że wystarczyło na zadatek. Jeszcze teraz spłacamy po pięćdziesiąt marek miesięcznie. Potrwa to jeszcze rok, do sierpnia 1939. A pieniędzy mamy niewiele. Przecież pan wie: starszy ogniomistrz nie dostaje nawet tyle co podporucznik, a w dodatku podporucznik – to człowiek nieżonaty.

– Bywają i żonaci podporucznicy – powiedział Wedelmann.

– Ale rzadko. Pan przecież także nie jest żonaty. Właściwie dlaczego?

Wedelmann napełnił ostrożnie stojące przed nim kieliszki. – Wie pani, to nie zależy ode mnie. Nie znajduję właściwej kobiety. Ot co. – Trącił się z nią, wypili. – A jeżeli już spodoba mi się jakaś kobieta, to jest przeważnie mężatką. Jak pani, pani Schulz.

– Przecież nie jestem żoną dla podporucznika – broniła się Lora Schulz; słowa Wedelmanna pochlebily jej, ale zarazem wprawiły ją w zakłopotanie.

– Niechże pani tego nie mówi! – Nalał jej jeszcze jeden kieliszek.

Lora Schulz wypila niemal jednym haustem swoje wino. Przeciągnęła się błogo na trzeszczącej kanapie, na której usiadła otoczona barwnymi poduszkami. Wysunęła pełne piersi i oddała się marzeniom. Zawsze to chętnie czyniła. Fantazja jej nie była zbyt bujna, lecz bardzo intensywna. Miała wielki apetyt na życie, wiedziała dokładnie, czym jest głód. Była ambitna, ale brakowało jej energii, aby wcielić tę ambicję w życie. Była również namiętna, ale w swym twardym życiu nauczyła się gospodarować nawet uczuciami.

– W dzieciństwie – powiedziała przyglądając się butelce z koniakiem – mieszkałam z rodzicami i rodzeństwem w dwóch pokojach, w oficynie na trzecim piętrze. Długie lata dzieliłam łóżko z dwiema młodszymi siostrami. Ojciec był porządny, ale głupi, nie zarabiał nawet tyle, żeby raz na miesiąc móc się upić. Kiedy wpadał w gniew – bił nas, a zdawało mu się, że cały świat istnieje tylko po to, żeby go złościć.

– Mój ojciec – zaczął Wedelmann – był urzędnikiem pocztowym. Szczerze mó-

więc, był listonoszem. Jestem jego jedynym synem; na więcej dzieci, mawiał, nie można sobie pozwolić. Kilka razy w tygodniu jadalśmy śledzie i kartofle w mundurkach, rano dostawaliśmy chleb z marmoladą. Nie bił mnie nigdy. Był niski, wychudzony, mówił zawsze chętnie i dużo. Często aż do późnej nocy.

Pili i przyglądali się sobie. Uważali sytuację za niezwykłą. W pokoju było gorąco, alkohol rozleniwiał. Pokusa czająca się w nocnym mroku została odepchnięta. Mieli wrażenie, że muszą sobie to i owo wyjaśnić, by lepiej zrozumieć, dlaczego właściwie siedzą tu ze sobą.

– Musiałam – powiedziała Lora – pracować od czternastego roku życia. Pracowałam dwa lata w zakładzie ogrodniczym. Płacili mi po pięćdziesiąt fenigów za godzinę. Potem przy bramie cementarnej sprzedawałam kwiaty z tego samego zakładu. Mogłam tam nawet sypiać w tylnym pokoju. Miałam łóżko dla siebie samej, a kiedy patrzyłam przez okno, widziałam groby. Nie było to wcale straszne, czułam się tylko bardzo samotna. Co sobotę szłam tańczyć. Przy tej okazji poznałam Schulza, który jeszcze był ogniomistrzem. Wyszłam za niego, bo to poprawiało moją sytuację.

– A ja – opowiadał Wedelmann – mieszkałem z rodzicami. Znałem tylko dwa miejsca: nasz pokój jadalny, który był równocześnie moją sypialnią, i klasę. Mając lat osiemnaście zdałem maturę, potem poszedłem do wojska, ponieważ ojciec nie miał pieniędzy na moje studia. To wszystko.

– No i teraz siedzimy razem.

– Wypijmy za to.

Nie odstawił pustego kieliszka, trzymał go w ręku i bawił się nim. – Oboje – powiedział – nie jesteście chyba zbyt szczęśliwi, co?

– O czym pan mówi? – Lora Schulz sięgnęła po butelkę i na nowo napełniła kieliszki. Zrobiła to gorączkowo, rozlała koniak na obrus. – Nie myślmy o tym. Próbujemy zapomnieć.

– Czy potrafi pani zapomnieć, że jestem podporucznikiem, i to w dodatku podporucznikiem w baterii, w której mąż pani jest szefem?

– A ja jestem żoną tego szefa.

– Zgadza się, ja zaś jestem jego przełożonym.

– Oczywiście to nie wypada, żeby żona podwładnego siedziała o północy z przełożonym swego męża, i w dodatku w mieszkaniu tego podwładnego. O tym mam zapomnieć, prawda?

– I nie może pani?

– Czy nie czuje pan, że chcę tego?

Spojrzała na niego z lękiem, a równocześnie pożądliwie. – Niech się pan zbliży, proszę usiąść przy mnie. A może boi się pan?

Potrząsnął przecząco głową. Podniósł się, obszedł stół, który ich rozdzielał, usiadł obok niej.

– Niech pan usiądzie bliżej – powiedziała głosem zachrypniętym. – Jeszcze bliżej.

Nie gryzę.

Zbliżył się. Otoczył ją ramieniem, dotknął jej jędrnego ciała. Czuł, że Lora drży. Przytuliła się do niego bezbronnym gestem. Przymknęła oczy i odrzuciła w tył głowę. Pocałował ją. Wargi jej były nieprzystępne, poddawały się opornie. Leżała w jego ramionach jak martwa. Szeroko otwartymi oczyma spoglądał na ścianę pokrytą zieloną tapetą, na wiszącą na niej fotografię: ukazywała starszego ogniomistrza Schulza z dumną i władczą miną siedzącego na motocyklu.

Ramiona, w których trzymał Lorę, zdrętwiały. Podniósł się z wolna i lekko odsunął ją od siebie. – Napijemy się – powiedział.

Napełniła posłusznie kieliszki. Nie podnosząc głowy powiedziała: – Nie zawsze jestem taka. – I dodała ledwie dosłyszalnie: – Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie zrobiłam. – Potem uśmiechnęła się nieśmiało i powiedziała: – Niestety!

– Właściwie dlaczego nie? – zapytał. – Przecież mężczyzn jest w koszarach dosyć.

– Nie dla mnie – odparła. – Prawdopodobnie nie nadaję się do tego. Jestem inna, niż się wydaję. – Wychyliła kieliszek szerokim gestem i dodała: – Po prostu boję się.

– Miała pani niedobre doświadczenia?

– Właściwie żadnych – odparła. Głos jej był teraz nieco senny, wesołość ulotniła się. Oczy miała prawie zamknięte. Zdawało się, że o czymś marzy. Uśmiechała się przy tym.

– Boję się samej siebie – powiedziała – i mężczyzn. Nie wiele przeżyłam, to jednak, czego doświadczyłam, odebrało mi odwagę. Pierwszym moim mężczyzną był inspektor cmentarza. Musiałam dla niego dużo pracować, bo był dobrym klientem. Nie dawał mi spokoju; wreszcie doszło do tego w mojej izdebce w oficynie, na stole wieńców. Zanim sobie uświadomiłam, co się stało, było już po wszystkim. Czułam się zbrukana. Oto jedyne wspomnienie, które mi pozostało. Następnym był pewien sprzedawca; stało się to niemal w drzwiach, było mu jeszcze bardziej spieszo niż inspektorowi. Trzeci był mój mąż.

– A jak z nim do tego doszło?

– Miałam wrażenie, że mnie kupił. Zdawało mi się, że jestem częścią jego ekwipunku, czy pan to rozumie? Czymś, co powinno być zawsze pod ręką, ilekroć się tego potrzebuje. Ale pan to zapewne rozumie. Przecież jest pan żołnierzem i mężczyzną, tak jak mój mąż.

Wedelmann usiłował to wytłumaczyć. – Widzi pani – powiedział – mamy niecodzienny zawód i stąd to wszystko płynie. Nie znamy tego, co inni nazywają życiem prywatnym. Służba zawsze zajmuje pierwsze miejsce, zawsze. Tak to już zostało urządzone i nie da się tego zmienić. Nie ma takiej sytuacji, w której moglibyśmy o tym całkowicie zapomnieć.

– Chyba tak jest – powiedziała Lora zmęczonym głosem. – Tak jest i teraz, w tej chwili. A może nie?

Wedelmann opróżnił gwałtownym ruchem kieliszek. Zdjął mundur, rzucił go na krzesło. – Pani chyba pozwoli – powiedział.

– Ależ tak – odrzekła – bardzo proszę. Mąż mój robi to zawsze. Uważam, że bez munduru jakoś człowiekowi wygodniej.

– Czuję się swobodniejszy – powiedział Wedelmann. Ale miał wrażenie, że w tym pokoju można się z gorąca udusić. Sięgnął po butelkę, była pusta. – Nie ma już nic – powiedział.

– Na dole w kredensie – odezwała się Lora – stoi parę butelek. Nie ma tam nic nadzwyczajnego, proszę wybrać jedną z nich. Jest mi za gorąco. Przebiorę się trochę, dobrze?

– Ależ oczywiście – powiedział Wedelmann niespokojnie. – Proszę, niech pani to zrobi.

Poszła do sypialni. Szybkimi ruchami ściągnęła przez głowę suknię, potem zdjęła pończochy i pasek. Przyglądała się sobie w lustrze szafy. Uznała, że wygląd ma zmęczony, przygaszony. „Nie jestem do tego stworzona – pomyślała. – Zawsze tego chcę i nie potrafię. Zawsze brak mi odwagi. Ze wszystkimi tak było.”

Włożyła szlafrok, który nosiła rzadko; był ciemnoniebieski i lśnił matowo. Kiedy go mocno związała w pasie, wyprostowała ramiona i opuściła ręce, wyglądał wytwornie. Ale nie był z nadzwyczajnego materiału, miał się łatwo. Chyba spodoba się Wedelmannowi. Pragnęła tego, bo chciała, by ją uważał jeżeli nie za piękną, to za pociągającą i godną pożądania, choćby tylko tego jednego wieczora. Ciągnęło ją coś do niego, wyczuwała bowiem, że i on jest samotny i zawiedziony.

Wróciła do jadalni. Próbowała popatrzeć mu w oczy, zdawało jej się, że jest w nich pożądanie, może nawet sympatia. Usiadła obok niego, dotknęła jego rękę.

– Dobrze tak? – zapytała.

– Bardzo.

– A co mamy do picia?

– Wino. Zresztą wszystko jedno przecież, co pijemy. Rozwiązał jej szlafrok. Jego lewa ręka zaczęła nieśmiało i czule błędzić po jej piersiach. Położyła się. Całowali się długo. Z zamkniętymi oczyma.

Nagle zerwała się gwałtownie i odtrąciła go. – Nie, nie! – zawołała. Zdawało się, że nasłuchuje.

– Co ci jest? – zapytał.

– Nie – powiedziała gwałtownie, potrząsając głową. – Nie! Nie wolno nam tego zrobić. Nie mogę!

– Dlaczegoż to? – zapytał uspokajająco.

– Nie mogę tego zrobić – powtórzyła. – Wzięła kieliszek, wypła. Zaraz potem nalała sobie drugi i także wypła. – Masz – powiedziała po chwili – takie same ręce jak on. Wszyscy mężczyźni mają takie ręce.

– Ależ proszę cię – powiedział – nie mów tak. – Był zakłopotany. – Przecież cię

kocham – dodał czule.

– Kochasz mnie?

– Tak.

Zamknęła oczy. Przez krótką chwilę była szczęśliwa. – W takim razie wszystko jest mi obojętne.

– Co ci jest obojętne?

– Wszystko. Wszystko, co nastąpi później. Co może nastąpić. Wszystko, co z tego wyniknie. Wszystko.

– Cóż miałoby nastąpić? – Podniósł głowę. Zdawało się, że nasłuchuje. Znowu wzrok jego padł na zielonkawe tapety i na fotografię przedstawiającą pewnego siebie motocyklistę. Rozejrzał się po pokoju. Uświadomił sobie, że mieszka tu człowiek, który jest jego podwładnym. Człowiek, którego nie szanował, którym jednak nie miał powodu pogardzać, człowiek należący do zamkniętego kręgu, z którego nie zdoła się wyrwać. Człowiek, z którym łączył go mundur.

– Może masz rację – mruknął Wedelmann. Oddychał głęboko, twarz miał zamysłoną. – Może naprawdę będzie dla nas obojga lepiej, jeżeli tego nie zrobimy.

Patrzyli przed siebie. Przyćmione światło lampy wydało im się nagle jasne i bezceremonialne. Lora Schulz naciągnęła szlafrok na ramiona, zdawało się, że marznie.

Wedelmann wypił jeszcze jeden kieliszek. – Tak jest zawsze – powiedział. – Nie jestem człowiekiem jak inni. Jestem stopniem służbowym. Nazywam się Wedelmann, ale mówią do mnie „podporuczniku”. Kobiety, które spotykam, mogą mnie kochać tylko wtedy, jeżeli pozwala na to mój stopień służbowy. – Wypił znowu.

– Kocham cię naprawdę – powiedziała Lora Schulz nieśmiało.

– Tak – odrzekł – ale nie wolno ci kochać mnie, ponieważ należysz do człowieka, którego jestem przełożonym. Byłoby łatwiej, gdybym był inspektorem cementarnym, niestety, jestem podporucznikiem. Gdzie spojrzę – wszędzie widzę mundury, całe Niemcy pełne są mundurów. Do każdego munduru należy jakaś dziewczyna i do każdej dziewczyny należy jakiś mundur. Jedni – to moi podwładni, inni – to przełożeni. Cóż mam wobec tego robić? Nic. Pozostaje mi upijać się. Traktuję swój zawód poważnie, bo nie mam innego. Ale to diablo trudne. Tak, diablo trudne...

Wychylił jeszcze dwa kieliszki, ale alkohol już nie działał. Nie wiedział, że Lora Schulz cichutko płacze. Owładnął nim olbrzymi smutek. Kiedy mu delikatnie położyła rękę na ramieniu – odsunął ją.

Milczeli i w ponurym nastroju patrzyli na światło lampy. Zegar tykał twardo, zdawało się, że sieka czas. Wino pachniało kwaśno.

W ciszy rozległo się nagle wyraźne zatrzaśnięcie zamka przy drzwiach. Zbliżyły się nierówne kroki. Na progu stanął słaniając się, szukając oparcia, starszy ogniomistrz Schulz z wykrzywioną ze zdumienia twarzą.

Podporucznik podniósł się, potknął i upadł na stół. Po chwili wyprostował się i powiedział: – Dobry wieczór.

Schulz milczał. Lora siedziała nieruchomo. Podporucznik odezwał się: – Dotrzy-
mywałem towarzystwa pańskiej żonie, panie starszy ogniomistrzu.

Schulz milczał jeszcze ciągle. Jego pijany mózg nie mógł widocznie pojąć tego,
co widziały oczy. Podporucznik włożył mundur i zapiął go. – Mam nadzieję – po-
wiedział – że pan nie osądza tej sytuacji fałszywie.

Wedelmann czekał na odpowiedź parę sekund – ale czekał na próżno. Starł się
zachować godną postawę. – Czy wolno mi panią pożegnać? – powiedział do Lory,
uściskał jej rękę i skłonił się. Potem, mijając znieruchomiącego starszego ogniomi-
strza, wyszedł. Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Schulz potoczył się w stronę żony i uderzył ją w twarz.

Pierwszą ofiarą awanturniczej rewolty bombardiera Ascha był szef kuchni. Walka
nie należała do zbyt trudnych, zwycięstwo nie było zbyt wielkie. Ściśle mówiąc,
chodziło raczej o rodzaj próby generalnej.

Dzień zaczął się od małego intermezza. Po pobudce bombardier Kowalski i bom-
bardier Asch wzbraniali się wstać. Dopiero na drugie wezwanie, wypowiedziane
groźnym tonem przez podoficera dyżurnego, by nareszcie „przewietrzyli swoje tył-
ki”, odpowiedzieli obaj nie bez zuchwalstwa, że szef pozwolił im wyraźnie jako or-
dynansom, którzy pełnili w nocy służbę, na ten dodatkowy sen, a może nawet dał im
taki rozkaz.

Oświadczenie to oczywiście nie odpowiadało stanowi faktycznemu. Ale podoficer
dyżurny nie mógł stwarzać pozorów, że lekceważy rozkazy swego bezpośredniego
przełożonego. Odszedł złorzecząc i pozostawił obu ordynansów w łóżku. Spali więc
spokojnie do białego dnia; przez zapomnienie obudzono ich dopiero w samo połu-
dnie.

Podoficer dyżurny, wściekły, że o nich zapomniał, zarządził, by za to obaj pełnili
służbę w kuchni.

– Ależ chętnie – powiedział bombardier Asch uprzedzająco grzecznie.

Udali się więc do kuchni II, dokąd przybyli z wielkim opóźnieniem. Szef kuchni
kapral Rumpler miał na ogół najspokojniejszą pracę w całym dywizjonie. W godzi-
nach obiadowych jednak usiłował, przeważnie na próżno, zamienić kuchnię w plac
ćwiczeń. Powitał Kowalskiego i Ascha z wyraźną niechęcią. Rozkraczywszy nogi
wyciągnął zegarek i powiedział: – Jest już dwadzieścia minut po dwunastej.

Asch również wyciągnął zegarek i spojrzawszy nań odrzekł z poważną miną: –
Zgadza się.

Kapral drgnął lekko. Jego lepki głos nabrał ostrości. – Chciałem przez to powie-
dzieć, żeście się spóźnili! – zawołał.

– Zgadza się również! – oświadczył Asch. – Nie mogliśmy przyjść wcześniej, bo
musieliśmy się wyspać!

Bombardier Kowalski, któremu się zdawało, że Asch poszedł nieco za daleko,
uznał za stosowne wyjaśnić: – Byliśmy przydzieleni jako ordynansi na wczorajszą

uroczystość naszego korpusu podoficerskiego. Trwało to do wczesnego rana. Otrzymaliśmy pozwolenie na odespanie tej nocy, panie kapralu.

Stosunkowo energiczny ton bombardiera Kowalskiego w pewnym stopniu uspokoił kaprala Rumplera. Przyczyna spóźnienia została uznana. Przecież był także podoficerem i miał dla takich rzeczy zrozumienie. Ale był bardzo uczulony na brak respektu. Jego utajona ambicja szła w tym kierunku, aby również w kuchni zdobyć sobie ten sam respekt, jakim cieszyli się jego koledzy na placu ćwiczeń przy musztrze.

– A więc – powiedział – zabierzmy się do roboty. Wy, Kowalski, obejmiecie nadzór nad siłami pomocniczymi w kuchni, a wy, Asch, w jadalni.

W oczach Rumplera było to równoznaczne z wyraźną degradacją Ascha, gdyż wiadano dobrze, że przy służbie w kuchni można było otrzymać dodatkowe porcje, natomiast w jadalni pozostawały tylko do uprzątnięcia resztki.

Ku zdumieniu Rumplera Asch wcale się nie zmartwił tym przydziałem do brudnej roboty w jadalni. Później dopiero podoficer uświadomił sobie, w jaką się przez to wpakował kabałę. Na razie Asch pracował ze swymi czterema pomocnikami jako tako, choć nie najlepiej. Miał roznosić zupę i przygotowywać talerze, potem zaś, kiedy jedna partia zjadła obiad, a druga tłoczyła się na korytarzu, winien był oczyścić stoły i zmyć naczynia. Wszystko to szło sprawnie.

Ale później, podczas pierwszej przerwy w pracy, Asch zaczął sporządzać jakąś tabelę, a następnie pożyczył sobie z kantyny niedawno sprawdzaną wagę. Teraz stało się coś, co szefowi kuchni najprzód odebrało mowę, a potem wywołało na jego twarzy rumieńce gniewu: Asch zaczął ważyć przeznaczone do wydania porcje mięsa. Wyniki wpisywał starannie do tabeli. Rumpler zbliżył się jak gotowa do skoku pantera.

– Co wy tu robicie?! – ryknął.

– Ważę – odrzekł niewinnie bombardier Asch.

– Kto wam kazał?

– Nikt. Mam prawo sprawdzić, czy wydawane porcje odpowiadają przepisowej wadze.

– Gównu to was obchodzi! Czy może chcecie twierdzić, że oszukujemy?

– Na razie twierdzić tego nie mogę – odpowiedział Asch przyjaźnie. – Moje obliczenia nie są jeszcze zupełne. W każdym razie jest pewne, że jakiś procent porcji wykazuje wagę niższą od przepisowej.

– Gównu to was obchodzi! – ryknął Rumpler po raz drugi.

– Już pan to raz powiedział.

Zdawało się, że Rumpler pęknie z wściekłości. Żołnierze, którzy ich otaczali, szczyrzyli zęby z radości. Cieszyli się z całego serca z tej przygody swego szefa kuchni. To, że porcje miały prawie zawsze mniejszą wagę od przepisowej, było ogólnie znane. Nikt jednak nie wpadł dotychczas na pomysł skontrolowania tego z zimną krwią.

Rumpler odetchnął głęboko. Asch umieścił w swej tabeli nową liczbę. Rumpler zamknął gębę, którą przed chwilą szeroko otworzył. Tabela niepokoiła go. Jeżeli ten bombardier naprawdę doprowadzi do tego, że swoje notatki skieruje wyżej, co istotnie było możliwe, mogą nastąpić nieprzyjemności.

Rumpler powiedział więc do Ascha protekcyjnie: – Nigdy nie słyszeliście o określeniu: naturalny ubytek?

– Owszem – odparł uprzejmie Asch. – Pojęcie to jest mi dobrze znane. W myśl zarządzeń ubytek nie może jednak nigdy przekraczać dziesięciu procent. Każda z wydawanych porcji mięsa powinna ważyć sto pięćdziesiąt gramów, jedne ważą mniej, inne więcej.

Rumpler odetchnął z ulgą. – No więc! Czegóż jeszcze chcecie?

– Dopiero wtedy – powiedział Asch – kiedy się uda ustalić liczby przeciętne, można będzie również stwierdzić wysokość ogólnego niedoboru. Zważyłem dotąd trzydzieści osiem porcji, po pięćdziesiątej dam spokój. Ale już pierwsze cyfry są pouczające. Dziesięć porcji powinno ważyć tysiąc pięćset gramów; ubytek wynosiłby więc sto pięćdziesiąt gramów. Tymczasem ważą zaledwie tysiąc dwieście gramów. Niedobór przekracza trzysta gramów, a więc nie dziesięć procent, co jest jeszcze dozwolone, lecz przeszło dwadzieścia, co można już nazwać prawie sprzeniewierzeniem.

– Zamelduję o tym! – zawołał Rumpler cały drżący i spieszenie się oddalił. Wpadł do swego służbowego pokoju i kazał się połączyć z kwatermistrzem. Zakomunikował mu, co zaszło.

Tamten milczał z początku długo. Potem zapytał ostrożnie: – Czy u was coś jest nie w porządku?

– Ależ skądże – wybębnił Rumpler – wszystko jest oczywiście w najlepszym porządku.

– Mam nadzieję – odpowiedział kwatermistrz z rezerwą. – A jeżeli tak jest, nie powinniście się z powodu jakiegoś tam bombardiera niepokoić.

– Oczywiście, oczywiście! Ale nie mogę tego tolerować, żeby moje porcje ważyły no.

– Jeżeli wszystko jest w porządku – padła chłodna odpowiedź – niech sobie spokojnie waży.

– Ale dyscyplina!

– To nie moja sprawa – odparł tamten i odwiesił słuchawkę. Rumpler nie był tą telefoniczną rozmową zbyt uradowany. „To nie moja sprawa!” Przecież sprawy kuchenne należą do kwatermistrza, ale ten boi się komplikacji. Właściwą instancją dla bombardiera Ascha był starszy ogniomistrz Schulz. Schulz należał jednak do zasadniczych przeciwników Rumplera, swego czasu bowiem starał się na próżno o obsadzenie tego ważnego stanowiska przez podoficera swojej baterii. Rumpler musi więc sam uporać się z tym Aschem. Chyba nie będzie to takie trudne. Przecież. ostatecz-

nie umie osiągnąć co trzeba na swoim terenie równie dobrze, jak instruktorzy na placu ćwiczeń.

Rumpler znał tę metodę, która zwykle uchodziła za nieomylną: obarczać pracą, poniżać, zetrzeć na proch. Dać do zrozumienia, że się nie pozwoli wodzić za nos. Przyzwoita postawa poprzez intensywną pracę. Poza tym najwyższy czas wytłumaczyć ostatecznie babom w kuchni, że nie będzie już specjalnych sznycli, domowej kiełbasy i innych smakołyków. Tabele w rodzaju tych, jaką sporządził Asch, były wielce niebezpieczne dla spokojnych stanowisk.

Rumpler opuścił pokój służbowy, udał się do kuchni i przez okienko do wydawania potraw obserwował salę jadalną. Bombardier Asch skończył pracę nad tabelą albo ją przynajmniej przerwał. Kazał wrzucić odpadki do wiader i przynieść gorącej wody do spłukiwania talerzy. Pracował więc, a kto pracuje, temu nie przychodzą do głowy głupie myśli. Trzeba postarać się tylko o dalszą pracę dla niego. W tym celu Rumpler zwolnił bombardiera Kowalskiego i siły pomocniczo zatrudnione w kuchni. – Możecie odejść – powiedział. – To, co tu jeszcze jest do zrobienia, załatwi bombardier Asch. – Potem znikł w spiżarni mieszczącej się w piwnicy, by zjeść kawał chleba z tłuszczem od szynki. Żując siedział na worku z cukrem i patrzył przymrużonymi oczyma na skrzynie konserw z brzoskwiń. Postanowił otworzyć jedną z puszek, żeby przekonać się o jakości owoców. Zanim jednak zdążył to uczynić, zapukano gwałtownie do drzwi. – Co się stało? – zapytał z niechęcią.

– Chodź na górę! – zawołał wysoki kobiecy głos. Była to sprzątaczką kuchenna Lizbet, rosła dziewczyna, która w regularnych odstępach czasu sprzątała jego pokój i kiedy przychodziła mu ochota, obsługiwała go osobiście.

Rumpler otworzył. – Nie wrzeszcz tak – powiedział z wyrzutem. – Przecież nikt ci nie urywa głowy.

– Chodź prędko na górę! – zawołała Lizbet. – Bombardier robi trudności.

Rumpler pobiegł na górę z szybkością strzały. W jadalni siedział ze swoimi pomocnikami bombardier Asch i z całym spokojem spożywał obiad. Dokoła stały wzburzone kobiety obsługujące kuchnię.

Podoficer Rumpler rozejrzał się badawczo. Na pierwszy rzut oka nie zauważył nic nadzwyczajnego. – Cóż ten ananas znowu takiego zbroił? – zapytał po chwili.

Asch uznał, że pytanie nie zostało skierowane do niego i jadł spokojnie dalej. Oburzona posługaczka zaraportowała: – Odmawia sprzątnięcia jadalni.

Rumpler ustawił się przed Aschem. – Odmawiacie? – zapytał.

– Oczywiście – odparł Asch ze spokojem. – Nic mi bowiem o tym nie wiadomo, by pomywaczki kuchenne miały wydawać rozkazy żołnierzom.

– Ja wam wydaję ten rozkaz! – zawołał kapral Rumpler. – Czy wolno mi zwrócić panu uwagę – powiedział Asch – że chodzi tu o rozkaz nie mający charakteru służbowego. W trakcie pracy zaznajomiłem się z wywieszonym tu regulaminem kuchennym. W myśl tego regulaminu siły pomocnicze mają jedynie obowiązek sprzątać

stoły, zmywać talerze, zbierać odpadki i zrzucić je do przeznaczonych na to skrzyń. Czyszczenie samej jadalni, a zwłaszcza podłogi, należy do kobiet, które pracują w kuchni.

– Dotychczas żołnierze zawsze nam pomagali! – zawołała jedna z bab, gruba jak beczka.

– Jeżeli żołnierze byli tacy głupi, to ich sprawa – powiedział Asch. – W każdym razie z nami robić tego nie możecie.

Zdawało się, że Rumpler, dotychczas nieograniczony władca kuchni, półbóg pomywaczek i sprzątaczek, świadomy swej godności podoficer, przepojony miłością do dyscypliny – pęknie z irytacji. – Małpo zatracona! – wrzasnął. – Świnio cętkowana! Na co sobie pozwalasz? Byku nie chrzczony! Co wy sobie właściwie myślicie? Czy nie wiecie, z kim mówicie?

– Owszem – odparł Asch spoglądając na niego z zaciekawieniem.

– W takim razie zechciejcie łaskawie wstać. Podnieście dupę, kiedy mówi do was podoficer. Otwórzcie swoje zasmolone uszy. Daję wam rozkaz natychmiast sprzątnąć jadalnię. Na-tych-miast! Jeżeli to nie nastąpi, złożę meldunek, że odmówiliście wykonania rozkazu.

Asch był zdecydowany nie ustąpić. Nie przyszło mu to łatwo. Czuł, że kolana mu miękną. Tak, Bóg świadkiem, że nie było to takie proste, ale zebrał wszystkie siły i zmusił się do obojętnego wyrazu twarzy.

– Ociągacie się z wypełnieniem mego rozkazu?

– Jeżeli pan nalega, spełnię ten rozkaz, choć nie jest uzasadniony żadnymi przepisami. Zwracam panu jednak uwagę, że wniosę później zażalenie.

– Zapłacicie mi za to! – ryknął Rumpler.

– Czy mam to traktować jako groźbę?

– Postawię was do raportu! – wrzasnął, aż głos mu się załamał. – Zażądam ukarania. – Po tych słowach szybko się ulotnił.

Asch usiadł znowu. – Będziemy jedli obiad – powiedział do żołnierzy. – Po jedzeniu – koniec.

– A jadalnia?! – wrzasnęła sprzątaczką podobna do beczki.

– To wasza sprawa, przecież płacą wam za to.

Rumpler pobiegł do starszego ogniomistrza Schulza. Schulz był pochłonięty obliczaniem amunicji z dnia poprzedniego. Coś się tu jeszcze ciągle nie zgadzało i szef szalał z wściekłości.

Wysłuchał sprawozdania Rumplera bez większego zainteresowania. Nie znosił tego kuchennego kacyka, uważał go za intruza, który to ważne stanowisko sprzątnął baterii sprzed nosa. Odłożywszy obliczenie, z którym się nie mógł uporać, uśmiechnął się niedowierzająco i niemile i polecił swemu gościowi: – Proszę opowiedzieć mi to jeszcze raz.

Rumpler powtórnie wyrzucił z siebie raport, od którego, jego zdaniem, włosy po-

winy były Schulzowi stanąć dęba. Ale Schulz nie pozwolił mu dokończyć i powiedział dosyć ostro: – Fantazujecie, Rumpler! Bombardier Asch należy do moich najlepszych i najbardziej pewnych żołnierzy.

– Ale ważył porcje mięsa i wzbraniał się czyścić podłogę.

– Zbadam to – powiedział starszy ogniomistrz. – Jeżeli nalegacie – zbadam to. Ale biada wam, jeśli się okaże, że chcecie szykanować żołnierzy mojej baterii. A jeżeli w dodatku waga waszych porcji nie będzie się zgadzała i żołnierze moi będą zmuszani, do zastępowania w pracy waszych sprzątaczek, złożę meldunek do dywizjonu i wyleciecie jak z procy. Zastanówcie się więc. Nalegacie, bym sprawę zbadał?

– Panie starszy ogniomistrzu, ten bombardier Asch...

– Tak czy nie?

Spocony Rumpler potrząsnął lekko głową. Potem znieruchomiał na podobieństwo figury woskowej. Doznał wrażenia, że się do takiego życia nie nadaje. Zdławionym głosem oświadczył: – Odwołuję mój meldunek.

Elżbieta Freitag przeżywała najdziwniejsze nastroje, poczynając od unoszącej ją fali wesołości, na tęsknej melancholii kończąc. Nigdy tego dotychczas nie doznawała i napełniało ją to pełnym podziwu zachwytem. Dziewczyna bardziej od niej sentymentalna powiedziałaaby: „Jestem zakochana”. Elżbieta mówiła tylko: „Zdaje mi się, że coś ze mną nie jest w porządku”.

Praca w kantynie, którą uważała dotychczas za monotonna, zaczęła jej się teraz wydawać niezwykle interesująca, a nawet nieco podniecająca. Wycierając szklanki miała nieodparte wrażenie, że każdej chwili mogą otworzyć się drzwi i stanie się coś zaskakującego, niezwykłego, niewątpliwie radosnego. Krótko mówiąc, że wejdzie Herbert Asch.

Herbert zjawił się przed końcem przerwy obiadowej. Elżbiecie zdawało się, że się zarumieniła, co oczywiście nie miało miejsca, i starała się zachowywać pozornie obojętnie.

– Cóż to za niezwykła wizyta! – powiedziała.

Podał jej rękę. – Muszę zaraz znowu iść – oświadczył. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że przyjdę do was dziś wieczorem.

– Co za zaszczyt dla nas! – odparła Elżbieta wcale nie zachwycona jego pośpiechem i brakiem czułości. – Czy mamy nad drzwiami pozawieszać girlandy?

– Dajże spokój – powiedział Asch pojednawczo. – Nie zgrywaj się na uciśnioną niewinność. Naprawdę nie mam czasu. Dzieje się u mnie to i owo.

– I mnie się tak wydaje – powiedziała Elżbieta ostrym tonem, – Masz pewnie moc roboty. Jestem wzruszona, że w tych warunkach znalazłeś chwilę czasu, żeby mi powiedzieć „dzień dobry”.

– Może wpadnę jeszcze. Jeżeli nie, zobaczymy się wieczorem u was. Proszę, powiedz ojcu, że chciałbym z nim pomówić.

– Masz dla mnie jeszcze jakieś zlecenie? Nie? A o czym chcesz pomówić z moim

ojcem? Chyba nie o mnie?

Bombardier Asch był już w drzwiach. Uśmiechnął się do niej, ale Elżbieta czuła wyraźnie, że nie ma w tym uśmiechu jego zwykłej, bez troskiej serdeczności. – Nie mam zamiaru mówić z twoim ojcem o tobie, Wydaje mi się, że nie jest to już potrzebne.

– Wykreśliłeś mnie, czy też może uważasz, żeś mnie już przehandlował?

– Spiesz mi się. Pomówimy o tym szczegółowo, gdy będą miał więcej czasu.

– Kiedyż to nastąpi?

– Miejmy nadzieję, że prędko, Elżbieto. Kiedy tutaj to wszystko się skończy.

– Co się ma skończyć?

– Muszę teraz iść. Do widzenia, Betty. – Bombardier Asch otworzył drzwi.

– Nie jestem koniem! – zawołała gniewnie Elżbieta. – Betty to imię konia. Zajrzysz tu jeszcze?

– Jeżeli będę mógł, chętnie, Betty. – Asch zamknął drzwi za sobą.

Usłyszała stuk jego podbitych gwoździami butów na kamiennych schodach. Potrząsnęła głową. Nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Zorientowała się od razu, że nie potrafi gniewać się na niego, i złościło ją to.

Elżbieta Freitag uporządkowała bony, które nagromadziły się w ciągu przerwy obiadowej. Obrót był większy niż zwykle. Szczególnie podoficerowie trzeciej baterii dużo zjedli i jeszcze więcej wypili; były to przeważnie napoje chłodzące. Sądząc z opowiadań mieli ubiegłej nocy wyczerpującą uroczystość.

Dzierżawca kantyny Bandurski wszedł do pustej w tej chwili sali. Miał jowialny wyraz twarzy, co było niepokojące, uśmiechnął się do swojej pracownicy i zapytał: – No, panno Freitag, jakież był obrót?

– Dotychczas trzydzieści osiem marek czterdzieści fenigów – powiedziała podając mu wykaz.

– To nieźle – rzekł Bandurski z zadowoleniem. – To nawet zupełnie dobrze. Jest pani moją najlepszą siłą, panno Freitag, mówię o tym zupełnie szczerze. Nie chciałbym pani utracić.

– Utraci mnie pan, jeżeli pan mnie zwolni – odpowiedziała. Zawsze starała się mówić ze swoim szefem rzeczowo, wychodziła na tym jak najlepiej.

– Droga panno Freitag – powiedział z ożywieniem i wyciągnął obie ręce, jak gdyby musiał bronić się przed jakimś podejrzeniem. – Gdybym to uczynił, byłaby to dla mnie czysta, strata. Mówię to zupełnie szczerze. Nie chcę pani zwalniać, wcale o tym nie myślę, ale nie powinna pani zmuszać mnie do tego.

– Jak mam to rozumieć, panie Bandurski?

Dzierżawca kantyny udał, że przegląda z zainteresowaniem przedłożone mu przez Elżbietę bony. Powiedział po chwili; – Co panią właściwie łączy z tym bombardierem z trzeciej baterii? Zdaje mi się, że się nazywa Asch. W ostatnich czasach dosyć często go u pani widywałem.

– To, panie Bandurski, nic pana nie obchodzi.
– Proszę mnie źle nie rozumieć – odparł. – Ani mi w głowie mieszać się do pani spraw prywatnych. Ale nie jestem zwolennikiem komplikacji.
– Wiem dobrze, co robię, panie Bandurski.
– Zapewne, zapewne. Ale to jest kantyna dla podoficerów. Do obowiązków pani należy obsługiwanie podoficerów. Interes przede wszystkim.
– Czy zaniedbuję moją pracę?
– Ależ nie, oczywiście, że nie. Jest pani wzorem. I chcę, żeby tak pozostało. Jeżeli jednak w dalszym ciągu będzie się pani interesowała tym Aschem, obawiam się trudności.
– Dlaczego, panie Bandurski?
– Widzi pani, droga, panno Freitag, jestem starym podoficerem zawodowym. Znam na pamięć życie koszar od wewnątrz i od zewnątrz. Nie dam się nikomu wyprowadzić w pole. Zarabiam tu zupełnie znośnie. Raz tylko źle mi się wiodło, pani wie, wtedy, kiedy starszy ogniomistrz Schulz próbował wszelkimi siłami wysadzić mnie z siodła i o mały włos nie zniszczył mego interesu. Nie chciałbym przeżyć tego po raz drugi.
– Cóż to ma wspólnego z bombardierem Aschem?
– Bardzo wiele, droga panno Freitag. Ten bombardier pozwolił sobie dziś na coś, czego nigdy jeszcze nie przeżyłem ani jako dzierżawca kantyny, ani jako podoficer zawodowy. Wypożyczył sobie na dole wagę i sprawdzał na niej poszczególne porcje mięsa. Potem wywołał awanturę z szefem kuchni. Był to niemal bunt: Daję słowo, że nigdy jeszcze czegoś podobnego nie przeżyłem.
Elżbieta spojrzała na Bandurskiego z niedowierzaniem, – Dlaczego to zrobił?
Dzierżawca kantyny wzruszył ramionami. – Na to odpowiedzieć nie potrafię. Zrobił i kwita. Sądzi pani, że pozostanie to bez; następstw? A gdyby nawet, to kto wie, co się znowu może zdarzyć. Że też spośród tysięcy żołnierzy musiała pani sobie wyszukać właśnie tego Ascha. To pech dla mnie, dla pani i kto wie dla kogo jeszcze.
– Naprawdę patrzy pan na to zbyt czarno, panie Bandurski.
Dzierżawca wstał. – Może ma pani rację. Więcej, niż ostrzec panią, zrobić nie mogę. Proszę, niech pani zechce łaskawie mieć wzgląd na przedsięwzięcie. I jeżeli już nie może się pani od tego Ascha oderwać, niech mu pani przynajmniej przemówi do sumienia. Naprawdę byłoby mi bardzo przykro utracić panią.
Dzierżawca kantyny Bandurski miał wygląd poważnie zatroskany. Skinął swej pracownicy głową, jak gdyby tym ruchem chciał ją natchnąć odwagą, potem odszedł.
– Elżbieta Freitag usiadła na najbliższym krześle. Patrzyła w zamyśleniu na wyszorowany do białości blat stołu. Była trochę przestraszona, trochę zdziwiona, trochę rozbawiona. Tego, co usłyszała przed chwilą, nie byłaby się po Herbercie spodziewała. Jak widać, ma właściwości, których w nim dotychczas nie dostrzegła. Zacieka-
wiło ją to.

Zrobiła zestawienie i sprawdziła zapasy w bufecie. Potem spojrzała na zegarek. Dochodziła trzecia. Codzienna jej służba w kantine podoficerskiej zaczynała się o dwunastej. Przez pierwsze dwie godziny panował zawsze ruch stosunkowo wielki. Potem następowała trzygodzinna przerwa; o tej porze zjawiali się na krótko jedynie podoficerowie funkcyjni. Dopiero około piątej znowu następowało ożywienie trwające do ósmej. O ósmej praca się kończyła, Elżbietę luzował zazwyczaj sam dzierżawca kantyny.

Splukując raz jeszcze szklanki, które i tak już lśniły czystością, Elżbieta myślała o Herbercie Aschu. Dużo o nim wiedziała, a jednak nie wszystko. Widywała go w chwilach, w których zachowywał się niewątpliwie uczciwie, ale mimo to pozostawał dla niej zagadką. Stwierdziła z uśmiechem, że to dobrze. Zawsze miałyby przy nim coś do zgadywania, nigdy by się z nim nie nudziła. Coś podobnego powiedziała nie tak dawno matka, kiedy Elżbieta ją prosiła, by opowiedziała trochę o ojcu.

Zaraz po trzeciej zjawił się w kantynie starszy ogniomistrz Schulz. Był w okropnym nastroju. Rzucił czapkę na parapet okna i opadł na krzesło. – Głowę mam jak kubeł do śmieci! – zawołał. – Co na to pomagają?

Elżbieta uznała, że chociażby ze względu na Herberta Ascha należałoby mrukliwego gościa potraktować z wyjątkową uprzejmością. – Stare baby – powiedziała – łykają w takich wypadkach aspirynę, pan, o ile pana znam, łyknie duże piwo.

– Trafiała pani w sedno – powiedział starszy ogniomistrz przypatrując się Elżbiecie życzliwie. Jeszcze wciąż mu się podobała. Wyglądała pociągająco, ale przyzwoicie, co było rzadkością. Z taką trzeba było się ożenić, a nie z taką parszywą kocicą.

Elżbieta przyniosła duże piwo, postawiła je, powiedziała: „na zdrowie”, i wbrew swoim zwyczajom pozostała przy stole gościa, w tej chwili jedyne w lokalu. Uśmiechała się uprzejmie.

Schulz wlał w siebie całą masę piwską. Przeliykał naprzód z całą powagą, jak gdyby spełniał jakiś obowiązek, potem z wyraźnym zadowoleniem. – Ach! – zawołał uszczęśliwiony. – Jak to syczy! – Odstawił kufel z błogą miną. – Nie usiadłaby pani przy mnie? Nie gryzę.

– Nie pozwoliłabym się gryźć – spróbowała odpowiedzieć pogodnie Elżbieta. – Ale chętnie na chwilę usiądę przy panu. Nie ma innych gości, więc mogę sobie na to pozwolić.

Schulz roześmiał się krótko, po męsku. – Jeżeli o mnie chodzi, może pani zawiesić na drzwiach szyldzik: „Zamknięte z powodu uroczystości rodzinnej”.

Elżbieta usiadła, oparła się łokciami o stół i zapytała poufale: – Miał pan przykrości?

Schulz skinął głową. – Przykrości mamy zawsze – odpowiedział. – To już leży częściowo w naturze rzeczy. Nie wszyscy podoficerowie są asami; większość z nich to tylko zwykłe blotki.

– Ale pan przecież zawsze radzi sobie z nimi.

Schulz przełknął bez trudu tę niewymyślną pochwałę. – Jeszcze by! – Zainteresowanie i zaufanie tej miłej osobki sprawiały mu przyjemność. Z tą można rozmawiać, ta kobieta rozumie go, Schulz wyczuł to od razu. – Proszę mi przynieść jeszcze jedno piwo.

Wypił, odstawił ostrożnie kufel, otarł rękawem wargi. – Tak, wszystko to nie jest takie proste – powiedział. – Czasami zawodzą nawet najlepsi ludzie. No i nagle brak sześciu naboju. Proszę sobie wyobrazić: sześciu naboju – i nie można dotrzeć,

gdzie się podziały.

– Zostały pewnie zgubione.

Naiwne te słowa wywołały u Schulza tylko uśmiech. Poczuł swoją ogromną przewagę. – Zgubione? Coś podobnego się nie zdarza! Nie może się zdarzyć! Niech pani będzie pewna, że się znajdą. Żeby nie wiem co się działo. Ja się sam tym zajmę!

– Tak źle chyba nie będzie.

– Miejmy nadzieję – powiedział Schulz wlewając w gardziel potężny haust piwa.

– Z panią można rozmawiać – dodał poufale. Położył łąpsko na ramieniu Elżbiety i stwierdził z zadowoleniem, że się temu nie opiera. Uznał to za dobry znak.

– Niech mi pani powie – zapragnął nagle wiedzieć – czy jestem dla pani sympatyczny, czy nie!

Zaskoczona Elżbieta cofnęła się nieco, ale usiłowała nie dać tego po sobie poznać.

– Dziwne pytanie – powiedziała. – Oczywiście, że jest mi pan sympatyczny, nawet bardzo.

– Chciałem to tylko wiedzieć – odparł Schulz, czule przyciskając swoje łąpsko do ramienia Elżbiety, która i teraz nie protestowała. – Czy może pani sobie wyobrazić, żeby mnie oszukiwano? Żeby oszukiwała mnie kobieta!

– Pańska żona?

– Mówię ogólnie. Tylko tak sobie, do pewnego stopnia teoretycznie. A więc – może pani to sobie wyobrazić?

– Ależ nie, na pewno nie! – zawołała szybko. – Kobiety są o wiele wierniejsze, niż się na ogół przypuszcza.

– Sądzi pani?

– Jestem o tym przekonana. Kobiety bawią się chętnie. Są rade, kiedy człowiek, którego kochają, wpada w zazdrość. Widzą w tym dowód prawdziwego uczucia.

– Aha! – powiedział zamyślony Schulz gładząc jej ramię. – A więc, zdaniem pani, takie rzeczy istnieją?

Spojrzał w stronę otwierających się drzwi. Stał w nich jakiś bombardier rozglądając się dokoła. – Chcecie czegoś ode mnie, Asch? – zapytał szef.

Elżbieta szybkim ruchem usunęła ramię spod łąpska Schulza. Wyglądała na niesłuchanie zmieszaną. Schulz uśmiechnął się.

– Szukam podporucznika Wedelmanna – powiedział Asch z całą przytomnością umysłu.

– Chyba nie tutaj! – zawołał Schulz. – Tego by jeszcze brakowało!

Ponieważ bombardier zamknął drzwi, i to od zewnątrz, Schulz zwrócił się ponownie do Elżbiety. – Niech się pani tylko nie niepokoi – uspokajał. – Ten Asch jest w porządku, to wspaniały chłopak.

– Wierzę panu chętnie – odrzekła Elżbieta z ożywieniem. – Jest pan dobrym znawcą ludzi, prawda?

– Owszem – odparł Schulz skromnie. – Tylko na kobietach nie bardzo się znam.

Są takie skomplikowane. A może i nie. Może są tylko za głupie.

– W miłości często jesteśmy niemądre – przytaknęła Elżbieta. To, że Herbert widział ją w tej pozie, nie niepokoiło jej. Miejmy nadzieję, że będzie odrobinę zazdrosny! Za to cieszyło ją szczerze, że Schulz nie tylko nie miał nic przeciw Aschowi, ale go nawet pochwalił.

Schulz nie mógł wyrwać się z kręgu swych rozmyślań. – Widzi pani – powiedział – przecież jestem kimś, reprezentuję coś, może zostanę kiedyś oficerem, powiedzmy, na wypadek wojny. Wiem więcej od niejednego kapitana, więcej od niego umiem. Mnie się nie oszukuje. Ja nie jestem człowiekiem, którego można oszukiwać.

– Na pewno nie.

– Pani nie oszukiwałaby mnie, prawda?

– Gdybym pana kochała, z pewnością nie.

Schulz pokiwał głową, po czym znowu spojrzął ku drzwiom. Stał w nich podporucznik Wedelmann. Starszy ogniomistrz wstał i zastygł w nieruchomej pozie. Podporucznik Wedelmann wahał się; miało się wrażenie, że nie wie, czy ma się zbliżyć.

– To kantyna dla podoficerów – oświadczył Schulz lodowato.

Wedelmann był wyraźnie zbity z tropu. – Chciałem pomówić z panną Freitag.

– Niektórzy ludzie – powiedział półgłosem Schulz do Elżbiety, nie starając się nawet zapanować nad wściekłością – pchają wszędzie swój nos.

Wedelmann zareagował milczeniem zarówno na niewłaściwe słowa, jak i na całkowicie nieżołnierskie zachowanie się swego podwładnego. Skłoniwszy się znacząco Elżbiecie opuścił lokal.

– Ależ panie Schulz – powiedziała Elżbieta przerażonym głosem – nie może pan przecież w ten sposób traktować podporucznika.

– Mogę – odrzekł Schulz. – Jeżeli zechcę, mogę sobie z nim pozwolić na coś jeszcze zupełnie innego. A chcę!

Ogniomistrza Platzka, Platzka-dręczyciela, oblewały siódme poty. Męczył się piekielnie z powodu brakujących sześciu nabojuów. Nie można ich było ani znaleźć, ani wykazać. Dręczył się i starał – wszystko na próżno.

Wykazy strzelających były dokumentami, nie dawały się usunąć z powierzchni ziemi. Można było z nich ustalić dokładnie ilość wydanej i zużytej amunicji oraz ilość amunicji nie zużytej, którą należało zwrócić do magazynu broni. Ale suma końcowa nie zgadzała się; brakowało sześciu nabojuów.

Platzek widział już oczyma wyobraźni, jak w wojskowym więzieniu szoruje ubikację. Jego znana głośna i rześka postawa ustąpiła miejsca ogromnej depresji. Chodził z ponurą miną, ujadał na każdego, kogo spotkał, zdradzał nawet objawy pewnego zdenerwowania.

Najbardziej irytował go fakt, że nikt nie okazywał chęci zdjęcia z niego choćby części trosk. Nie wahał się określić tego jako braku poczucia koleżeństwa. Owego

czwartku jego prymitywnie sklecony „światopogląd wojskowy” uległ potężnemu zachwianiu. Był wstrząśnięty tym, że jego, instruktora tak wypróbowanego, uważanego za wzór nie do doścignięcia, przy pierwszej kraksie zostawiono na lodzie. To, że setki, tysiące razy okazał się na wysokości zadania, po prostu się nie liczyło. Raz, jeden jedyny raz zrobił głupstwo, no i został wystawiony do wiatru.

– Słuchaj no, Schulz – powiedział do swego kolegi poufałym, można by powiedzieć, prywatnym tonem nie ulega wątpliwości, że sprawa z amunicją to wielkie świństwo. Przyznaję to. Ale czy nie można jakoś tego wykazu strzelających usunąć albo inaczej temu zaradzić? Może odłożymy to do następnego ostrego strzelania i potem jakoś te sześć naboju dopiszemy. Jak myślisz?

– Platzek – odpowiedział Schulz tonem niemniej poufałym i prywatnym – uważam, że tego, coś tu przed chwilą powiedział, w ogóle nie słyszałem. Czekam na wykaz, muszę go przedłożyć kapitanowi Dernie, ale nie będę już czekać zbyt długo. Rzecz musi być w porządku, inaczej będzie smród. W wypadku zniknięcia amunicji powinien być sporządzony meldunek. Chciałbym ci tego oszczędzić.

– Człowieku, z powodu tych parszywych sześciu naboju!

– Nie jestem człowiekiem, Platzek, jestem szefem baterii. A sześcioma parszywymi nabojami można położyć sześciu podoficerów, człowieku.

Platzek powędrował do zbrojmistrza Wunderlicha, wszechwładnego pana nad amunicją i sprzętem, którego stałym pomocnikiem był bombardier Kowalski. Platzek był wściekły i niespokojny. Nawet się nie zdziwił, że ci, których odwiedził, nie czuli się zbyt zaszczyceni, raczej nawet byli niezadowoleni, że się im przeszkadza.

Wunderlich i Kowalski biwakowali na strychu wśród karabinów, cekaemów i ćwiczebnych granatów ręcznych. Osprzęt artyleryjski, dobrze zakonserwowany, leżał na regałach. Pachniało mocno smarem i dymem tytoniowym. Palenie w magazynach było oczywiście wzbronione, ale w tym momencie Platzkowi nie przyszło nawet na myśl zauważyć tego wykroczenia.

– Słuchajcie, moi panowie – powiedział zadzierzyście, by ukryć swój smętny nastrój. – Zdarzyło mi się to świństwo z amunicją. Pewności o tym słyszeli.

– Diabło niemiała sprawa, panie ogniomistrzu – stwierdził Kowalski udając współczucie.

Wunderlich zrobił taką minę, jak gdyby nad czymś rozmyślał. Nie należał do specjalnych przyjaciół ogniomistrza Platzka, gdyż w okresie, kiedy nie był jeszcze podoficerem, Platzek „szlifował go” wedle wszelkich zasad swej sztuki. A Wunderlich nie zaliczał się do tych wielkodusznych natur, którym dane jest uważać „szlifowanie” za wyjątkowy dar i źródło radosnych wspomnień. Przeciwnie, należał do zwolenników spokojnego trybu życia, co było jednym z powodów, dla których walczył z taką zaciętością o stanowisko zbrojmistrza.

– Jak uważacie, Wunderlich, sprawa się chyba jakoś ułoży?

– Jaka sprawa? – zapytał Wunderlich udając głupiego, co mu przyszło bez trudu.

– Przecież to zupełnie proste. Potrzebuję sześciu naboju karabinowych. Macie z pewnością jakiś zapas na czarną godzinę.

– Posiadanie nielegalnego zapasu jest karalne – powiedział zadumany Wunderlich i zmrużywszy oczy spojrzął na Kowalskiego. Miał oczywiście taki zapas, ale nie dla człowieka pokroju Platzka.

– A wasi koledzy z innych baterii? Może ten, który zarządza składem dywizjonu? Przecież chyba ktoś zwędził kiedyś parę parszywych naboju?

Wunderlich znowu uśmiechnął się do swego serdecznego przyjaciela Kowalskiego. Ci mieli oczywiście również czarny zapas na składzie. Ale nie dla Platzka!

– Oni też nie będą się kwapili narazić na karę.

Platzek nie czuł się dobrze w roli jałmużnika; poniżało go to, urażało jego ambicję. – A więc, Wunderlich, nie chcecie mi pomóc? – zapytał wściekły.

Wunderlich zorientował się od razu, że ostatnie słowa Platzka zawierają bardzo poważną groźbę. Zastanowił się; jak na to zareagować. A może by tak postarać się dla Platzka o te sześć naboju. Nie było to dla niego takie trudne i mogło doprowadzić do tego, że ogniomistrz czułby się w stosunku do niego zobowiązany. Nigdy nie wiadomo, na co się to może kiedyś przydać.

Zanim jednak Wunderlich zdążył w ostrożny sposób wyrazić swą zgodę, co uwolniłoby Platzka od wszystkich udręczeń, wmieszał się bombardier Kowalski. – W gruncie rzeczy – powiedział – sprawa jest zupełnie nieskomplikowana, panie ogniomistrzu. Po prostu zrobi pan w wykazach poprawkę.

– Przecież to niemożliwe – odparł Wunderlich. – Wszystkie dane wpisuje się tam atramentowym ołówkiem.

– Mimo to poprawki są możliwe – upierał się Kowalski. – Musi je zrobić ten, kto wykaz prowadził, a ogniomistrz, który miał nadzór nad stanowiskiem, powinien potwierdzić je swoim podpisem.

– Interesująca możliwość – powiedział Platzek nastawiając uszu. Zdawało mu się, że ujrzał promień światła.

Rzeczoznawca Wunderlich potrząsnął głową. – Gdyby się ta rzecz wydała – rzekł – zostałoby to uznane za fałszerstwo dokumentów.

– A któż mówi, że się wyda?

– Jeżeli zrobi się to zrećnie – powiedział Kowalski dobrodusznie – nikt na to nie wpadnie. Przypuśćmy, że jeden z pierwszych strzelców oddał swoich sześć strzałów w niewłaściwej kolejności, a więc nie leżąc, klęcząc i stojąc, ale, powiedzmy, w odwrotnym porządku. To się przecież może zdarzyć. I cóż się w podobnym wypadku dzieje? Oddaje on jeszcze raz sześć strzałów. A pierwsze sześć skreśla się. No i w ten sposób odzyskuje się brakującą ilość naboju.

– To wcale niegłupie – powiedział Platzek.

– I w dodatku proste – oświadczył Kowalski. – Musi pan tylko wpłynąć na tego,

który od początku prowadził wykaz, żeby wniósł tę... hm... tę zmianę, O ile go znam, zrobi to. Bombardier Asch nie jest w takich sprawach małostkowy, zwłaszcza jeśli mu się to zrecznie wytłumaczy.

– Zrobię to – powiedział Platzek radośnie podniecony tą perspektywą. – Co o tym sądzicie, Wunderlich?

– Nie wiem o niczym – odparł tamten, jak gdyby broniąc się. – Nigdy nic o tym nie słyszałem.

– I ja również – zawtórował mu Kowalski.

– Wypraszam też to sobie! – zawołał Platzek. Niemal całkowicie odzyskał już właściwą mu pewność siebie. Poczawszy znowu grunt pod nogami, stał się energiczny. Opuścił magazyn broni i udał się na poszukiwanie Ascha. Znaleźć bombardiera nie było łatwo, ale Platzek nie zdradzał niecierpliwości. Szukał Ascha z wytrwałością grzesznika dążącego do zbawienia.

Tymczasem bombardiera Ascha można było znaleźć bez trudu. Jak zwykle, kiedy chciał odpocząć i przerwać zajęcia służbowe, przebywał u ogniomistrza Werktreua w magazynie mundurowym, mieszczącym się naprzeciwko magazynu broni.

Asch kazał przydzielić sobie do pomocy kanoniera Vierbeina i zaprzągnął go do sortowania długich kalesonów. Był zdecydowany udzielić Vierbeinowi lekcji pogładowej, jak należy postępować z przełożonymi. Choć się jednak bardzo wysiłał, nie udało mu się wyprowadzić ogniomistrza Werktreua z równowagi.

– Od tej pracy tu w magazynie mundurowym rzygać się chce Człowiekowi z nudów – powiedział Asch wyzywająco i zauważył z zadowoleniem, że Vierbein nastawił swoje długie uszy. – Nudna służba, nadająca się właściwie dla ludzi o bardzo przeciętnym umyśle.

– Dlatego też stale tu tkwicie, Asch – odpowiedział Werktreu z całym spokojem. Nawet mu na myśl nie przyszło poczuć się dotkniętym. Myślał o dziewczynie, z którą się umówił na dziś wieczór: kupa cielska, zawsze wesoła, głupia jak groch na tyce; idealny teren do ostrych ćwiczeń w miłości.

Bombardier Asch nie dawał za wygraną: – Właściwie nie jest pan wcale prawdziwym żołnierzem – powiedział do Werktreua siadając na stosie spodni. – Raczej ma pan w sobie coś z handlarza starzyzną, zbieracza łachów.

– Takie uwagi – odparł ogniomistrz z niezmaconą równowagą – możecie sobie darować.

Asch spojrział na Vierbeina, który patrzył na niego z bezgranicznym zdumieniem. Od czasu jak nosił mundur, nie słyszał w stosunku do przełożonego tak śmiałych sformułowań. Podniecało go to. Czekał z napięciem, jak daleko Asch zajdzie, i lękał się o niego.

Ale nie miał do lęku najmniejszego powodu. Werktreu tak się cieszył na różne rozkosze nadchodzącego wieczoru, że nawet mu do głowy nie przyszło się obrażać. Poza tym potrzebował pieniędzy na sfinansowanie przygotowań.

– No co, Asch, zagramy partyjkę?

– Chce pan znowu obłąpić podwładnego? – zapytał bombardier.

– Macie dziś swój dowcipny dzień, Asch.

– A może chce mnie pan znowu naciągnąć na pożyczkę?

– Może – odpowiedział Werktreu. – Ale naprzód zrobimy parę rundek w „oko”.

Jeżeli przegram, zawsze będziecie mogli sięgnąć do portmonetki. A jak by było z butelką wina po ulgowej cenie, gdybym dziś wieczorem przyszedł z moją lalką do waszej kawiarni?

– Zachciewa się panu także darmochoy?

– Zagrajmy naprzód. Tu są karty. Na razie trzymam bank. Asch potrząsnął głową jak narowisty koń. Z Werktreuem nie można sobie po prostu poradzić. Cokolwiek by się zrobiło, zachowuje równowagę i jak zawsze gotów grać. To nie żaden przełożony, ale ktoś w rodzaju kumpla.

Bombardier postanowił wymierzyć Werktreuowi jeszcze jedno, ostatnie uderzenie, zanim zaniecha swych wysiłków. Usiadł naprzeciw niego i stukając palcem w karty powiedział: – Tymi nie gram. Te są znaczone.

Nawet to niezwykle mocne i godzące w honor obwinienie nie potrafiło doprowadzić Werktreua do stanu wrzenia. Myślał o potrzebnym mu na wieczór kapitale obrotowym i w danej chwili gwizdał sobie na wszystko. – No pięknie – powiedział. – W takim razie postaram się o nowe karty. – Po tych słowach wstał i opuścił magazyn mundurowy.

Kanonier Vierbein, bardzo podniecony, zbliżył się do swego przyjaciela. – Nie powinienś tak postępować – powiedział z wyrzutem – przecież to przełożony.

Asch spojrział na niego badawczo. Po chwili powiedział: – Chciałbym mieć twoje zmartwienia!

– Musisz być ostrożny – rzekł Vierbein. I dodał: – Takich rzeczy się nie robi.

– Co się właściwie z tobą stało? – Bombardier pochylił się naprzód, jak gdyby gotując się do skoku. – Nie jesteś już chyba całkiem normalny. Z początku zachowujesz się jak szmata, a teraz prawisz mi kazania na temat moralności. Wygląda mi to na wypadek wprost beznadziejny. Vierbein był szczerze zatroskany o przyjaciela.

– Ustrzegłeś mnie od wielkiego głupstwa – powiedział Vierbein. – Jestem ci za to wdzięczny. Zorientowałem się teraz, że trzeba przetrzymać. Zrozumiałem cię zupełnie dobrze. Stałem się teraz całkowicie innym człowiekiem. Zobaczysz, że będę zawsze spełniał swój obowiązek, nawet gdyby mi to przyszło bardzo ciężko i nawet gdybym wierzył, że jestem niesprawiedliwie traktowany. Uświadomiłeś mi to! Teraz będę się do tego stosował. Więc nie mogę po prostu znieść, jak ty traktujesz przełożonego. Zrozumie mnie. To mi znowu usuwa grunt spod nóg. Czy możesz to zrozumieć?

– Jesteś dupa – powiedział Asch grubiańsko. – To jedyna rzecz, którą rozumiem.

Rozmowa ta, w którą bombardier Asch po prostu nie chciał uwierzyć i która go

niepomiarze dziwiła, została przerwana przez pojawienie się ogniomistrza Werktreua z nowymi kartami.

Herbert Asch był zdumiony, potem oburzony, wreszcie wściekły. Miał ochotę dać temu Vierbeinowi kopniaka w tyłek, zbić go po pysku. Cóż to za niewolnicza, koszarowa dusza! Karzeł w mundurze! „I dla takich szmaciarzy człowiek urządza rewolty! – Ale zaraz powiedział sobie: – Urządza się rewolty, aby przeszkodzić masowemu produkowaniu takich szmaciarzy. To także zadanie!”

– Znowu przegraliście, mój dowcipnisiu – rzekł uradowany Werktreu, który rozpoczął partyjkę. – Moja wygrana powiększyła się o dwie marki. Gramy więc dalej.

Ale intratna partyjka, obiecująca ogniomistrzowi Werktreuowi pocieszający przyrost kapitału zakładowego, została niemile przerwana. Zjawił się ogniomistrz Platzek i zawołał: – No, jesteście, Asch, potrzebuję was pilnie!

Werktreu opierał się zdecydowanie.

– To nie wchodzi w rachubę, jest mi tutaj potrzebny.

– Rozkaz szefa – powiedział Platzek bez żenady. – Chodźcie, Asch.

Bombardier poszedł chętnie. Nie mógł już patrzeć na głupią twarz Vierbeina. Poza tym był rad, że się wreszcie pozbył Werktreua, zwłaszcza że jego przegrana doszła do dziesięciu marek. W tej sytuacji Platzek był dla niego pożądanym kąskiem.

Ogniomistrz traktował bombardiera z wyszukaną uprzejmością, która była u niego czymś niezwykłym. Każdy inny spodziewałby się na tej podstawie czegoś okropnego, ale nie Asch; wietrzył pomyślną okazję.

Platzek zabrał bombardiera do swego pokoju, przeładowanego koszarowymi meblami. Wskazał mu krzesło, zapytał, czy Asch nie chciałby wódki, papierosa lub piwa. Nie? – No, mój drogi, jakże się wam w ogóle powodzi? Słyszałem, że zostaliście podani na podoficera. Winszuję wam. Jestem jak najbardziej za tym.

– Czego chcecie ode mnie? – zapytał Asch z całym spokojem. Platzek udał, że nie słyszy, iż bombardier nie zwrócił się do niego w trzeciej osobie ani też nie wymówił jego stopnia służbowego. Był gotów puścić mimo uszu jeszcze więcej, bo przecież wiedział, czego chce.

Wyciągnął spod poduszki wykaz strzelających i położył go na stole. – Prowadziliście to wczoraj, prawda?

– Tak jest – powiedział Asch. I wiedział od razu, co teraz nastąpi; nikt nie orientował się tak jak on w sprawie brakującej amunicji. – Pierwsze wpisy pochodzą ode mnie.

– Obliczenie nie zgadza się – powiedział Platzek poufale. – Brak sześciu naboju. Co wy na to?

– Trzeba po prostu te sześć sztuk wpisać dodatkowo. Platzek promieniał; był przekonany, że natrafił na właściwego człowieka. – Ależ macie łepetynę! – zawołał. Urodzony z was podoficer. Chcecie dokonać tego uzupełnienia? Bo musi to być pisane tym samym charakterem pisma. Potem położę swój podpis „Wilhelm”.

– Dlaczego nie – powiedział Asch na pozór obojętnie. – Niech no mi pan to da.

Pochylili się nad wykazem. Platzek był radośnie podniecony. Poszło lepiej, niż przypuszczał, o wiele lepiej, niż się mógł spodziewać. Ten Asch to cudowny chłopak.

Bombardier pracował dokładnie wedle wskazówek ogniomistrza. Odbywało się to ze spokojem i w skupieniu. Asch skreślił sześć cyfr i wpisał sześć nowych. Zrobił adnotację: *Poprawiono jako mylnie wpisane. Strzelający oddał strzały w odwrotnej kolejności i musiał strzały powtórzyć. Podpisano. ogniomistrz.*

Asch przekreślił również liczbę końcową, dodał do niej sześć i wpisał obok nową sumę. Odnotował:

Poprawiono ze względu na pomyłkę, w obliczeniu. Podpisano. ogniomistrz.

– Wspaniale, bez zarzutu! – powiedział Platzek zacierając ręce. – No, teraz jeszcze mój podpis. – Podpisał dwukrotnie, starannie, wyraźnie, z zawijasami. Potem uśmiechnął się z zadowoleniem. Miał wrażenie, że mu spadł kamień z serca. – No, to mielibyśmy za sobą – powiedział.

Asch przeciągnął się na krześle. Patrzył na czysty pokój pachnący mydlinami, pastą do butów i wilgotną pościelą. Powiedział ze spokojem: – A więc było to sfałszowanie dokumentu.

Platzek roześmiał się. – Mała poprawka. – sprostował i uśmiechnął się jak spiskowiec przepijający do towarzysza.

– Sfałszowanie dokumentu – upierał się Asch. – Sfałszowanie dokumentu w rozumieniu wojskowego kodeksu karnego.

– Nie róbcie dowcipów, Asch – powiedział Platzek lekko zaskoczony. – A gdyby nawet! Ostatecznie, mój stary przyjacielu, braliście w tym udział.

– Myli się pan – powiedział Asch przyglądając się badawczo swemu przełożonemu, który zaczynał się denerwować. Wpis mój nie ma jako taki znaczenia, tylko pański podpis jest istotny.

– Nie gadajcie głupstw, Asch!

– Sprawdźmy to – powiedział Asch nie tracąc spokoju. – W każdej chwili jestem do tego gotów.

Ogniomistrz Platzek, żelazny Platzek-dręczyciel – tyran koszarowy będący ogólnym postrachem – zdębiał. Miał przez chwilę uczucie, że zleciał mu na łeb kawał żelaza. Powoli zaczęło mu świtać w głowie, że wpadł z deszczu pod rynnę. Pierwszą jego reakcją był gniew. – Jak wy właściwie ze mną mówicie! – zawołał. – Używacie niewłaściwego tonu.

– To samo chciałem właśnie powiedzieć panu – oświadczył chłodno Asch. – Mam wrażenie, że nie orientuje się pan w sytuacji, w jakiej się pan znalazł.

– Świnio nie skrobana! – ryknął Platzek i zdawało się, że rzuci się na bombardiera. – Ty nikczemny... – Tu oniemiał. Usta miał szeroko otwarte, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

– Niech się pan spokojnie wygada – zaproponował Asch.

Platzek nie odznaczał się godnym uwagi rozumem, sam uważał się raczej za człowieka czynu; ale idiotą nie był. Rozporządzał nawet pewną dozą przebiegłości. Potrzebował nieco czasu, zanim całkowicie zrozumiał niebezpieczną sytuację, w jakiej się znalazł. Nie miał już żadnych złudzeń. Wpadł w pułapkę.

Tego czwartku cały świat mu się zawalił. Koledzy albo ci, których za kolegów uważał, wystawili go haniebnie do wiatru. Sam musi wypić piwo, którego nawarzył. A to podwładne mu, śmierdzące bydlę zlikwidowało go moralnie, wyłuskało go jak laskowy orzech, potraktowało go jak papier klozetowy. Tego już było za wiele. Tego żaden uczciwy człowiek nie zniesie. Ale taki był stan faktyczny.

Ogniomistrz Platzek wciągnął wysunięty podbródek i spuścił głowę. Opadł na polowe łóżko. Wyglądał jak półtora nieszczęścia.

– Teraz podoba mi się pan bardziej – powiedział Asch bezlitośnie.

Platzek dygotał z furii. Wszystko w nim krzyczało, by się rzucić na Ascha i zrobić z niego miazgę. Ale Asch nie był ułomkiem. Przed chwilą pokazało się, że nie był również tchórzem. Poza tym pobicie podwładnego zakwalifikowano by jako maltretowanie. A jeżeli ta historia z wykazem strzelających nabierze rozgłosu, czeka go sąd, degradacja, więzienie i piękne sny skończą się na zawsze. Platzek zgrzytnął zębami; wydawało się, że to zgrzytnęły zęby konia.

– A więc tak to wygląda – powiedział Asch bez najmniejszej nuty triumfu w głosie. – Człowiek robi wszystko, by nie stracić swego stanowiska. Nie chce podpaść, chce uchodzić za wzór, chce uzyskać przychyłność przełożonych. Aby to osiągnąć, gotów jest zrobić wszystko. Wszystko! Dręczyć ludzi, fałszować dokumenty, popychać ludzi do samobójstwa. To jedna strona medalu. Druga polega na wypełnianiu rozkazów.

– Czego wy ode mnie chcecie? – zapytał ponuro Platzek.

– Chcę przede wszystkim, by się pan zachowywał jak bodaj na pół cywilizowany człowiek, a nie jak oszalały czeladnik rzeźnicki. O tym, czego chcę od pana prócz tego, zakomunikuję panu we właściwym czasie.

Tego czwartku padł pierwszy strzał. Słońce już zaszło. Na niebie wisały deszczowe chmury, zdawało się, że to one połknęły dzień. Była godzina dwudziesta minut osiemnaście.

Przed chwilą starszy ogniomistrz Schulz rozsiadł się wygodnie przy swoim stole w kancelarii. Lubił od czasu do czasu pracować długo po zakończeniu zajęć. Dbał, by dochodziło to do wiadomości żołnierzy: pracował przy szeroko otwartych oknach i pełnym oświetleniu. Każdy, kto przechodził obok kancelarii, mógł i musiał zobaczyć go pochylonego nad stołem.

Schulz mógł oczywiście skończyć swe zajęcia o wiele wcześniej, ale nie chciał tego. Podczas zajęć służbowych kręcił się po koszarach, wstępował do kantyny lub do żony, by jej zademonstrować, jak bardzo nią pogardza. Ledwie zajęcia się skoń-

czyły, stawał się czynny albo przynajmniej udawał, że nim jest.

Odebrał od ogniomistrza Platzka wykaz strzelających. Przerzucając go natrafił na poprawkę. Spojrzał na Platzka stojącego przed nim w milczeniu z ponurą miną.

– Zupełnie nieźle – powiedział Schulz. – Robi przyzwoite wrażenie.

– A więc sprawa jest załatwiona? – zapytał Platzek mrukliwie.

– Tak się wydaje – odrzekł szef. – Wykaz zgadza się, a to dla mnie rzecz główna. Miejmy nadzieję, że te sześć nabojów zniknie raz na zawsze.

– Jak to rozumiesz? – zapytał Platzek bez większego zainteresowania, nic nie przeczuwając.

Schulz mówił przytłumionym głosem, nie można go było usłyszeć na dworze mimo na oścież otwartych okien, nawet gdyby ktoś zechciał podsłuchiwać, co było jednak mało prawdopodobne.

– Jak to rozumiem? Zupełnie prosto. Przypuśćmy, że te sześć nabojów albo tylko kilka z nich wypłynie na wierzch. Ktoś może sobie nimi strzelić w usta, zabić rywala, położyć trupem cywila, któremu jest winien pieniądze, wpakować kulę kobiecie, która go obdarzyła syfilisem, i diabli wiedzą co jeszcze. Wszystko to już bywało, więc i teraz może się zdarzyć. No i zaczyna się śledztwo. I co wtedy, kiedy się okaże, że nabój pochodzi ze strzelania, że go ukradziono na stanowisku dozorowanym przez niejakiego Platzka? Co wtedy?

– Nie wywołuj i ty wilka z lasu – powiedział Platzek ponuro.

– I ja? Któż go już wywoływał?

Platzek milczał. Patrzył tępo na szefa, który się rozparł na swym krześle. – W takim razie mogę chyba odejść? – zapytał.

– Nie mam nic przeciwko temu – odrzekł Schulz i spojrzał na ogniomistrza Platzka z satysfakcją. „Wykończyłem go – powiedział sobie – jest teraz zupełnie mały i paskudny; dobrze mu to robi. Zapewne, należy do przydatnych żołnierzy, można się na niego zdać w różnych dziedzinach, ale właśnie te sukcesy przyprawiły go o pewną manię wielkości. Doszło do tego, że w stosunku do swego szefa baterii zachowywał się z przesadną koleżeńskością, zapominając, że ostatecznie ma przed sobą bezpośredniego przełożonego. Tak, taka szpryca zupełnie dobrze mu robi.”

Schulz rozparty na swym krześle promieniał zadowoleniem. Przewaga jego stawała się coraz wyraźniejsza. Była okupiona pewnymi ofiarami, ale wszystkie wysiłki zdawały się opłacać. Teraz miał w ręku Wedelmanna, tego aroganta, który zawsze wszystko lepiej wiedział. Lora, jego żona, zachowuje się jak turkaweczka, a kanonier Vierbein skacze jak zajac. Szef kuchni został wykończony i już pakuje manatki; zluzuje go któryś z podoficerów trzeciej baterii, prawdopodobnie Schwitzke, a ten wie, co się komu należy.

Schulz bawił się telefonem. Potem wziął słuchawkę i kazał się połączyć z podoficerem dyżurnym. – Ordynans podporucznika Wedelmanna zostaje natychmiast odwołany – powiedział. – Funkcje jego obejmuje kanonier Wagner.

Nie odejmując od ucha słuchawki uśmiechnął się szeroko. – Czy ten Wagner się do tego nadaje czy nie – o tym ja decyduję. Kto z nas dwóch jest tutaj szefem? No więc! Popędzicie zaraz do podporucznika Wedelmanna i zameldujecie mu o tym z wyraźnym podkreśleniem, że to mój rozkaz. Zrozumiano?

Szef odłożył z rozmachem słuchawkę. Zatarł ręce, strzelił palcami. Były to jego małe przyjemności!

Otworzył prawą szufladę biurka, wyciągnął z niej rolkę toaletowego papieru, odewał trzy okazałe porcje. Złożywszy je starannie, wpakował to wszystko razem do lewego mankietu swego rękawa. Po czym włożył rolkę papieru z powrotem do szuflady i zamknął ją na klucz.

Podniósł się rześko, rzucił badawcze spojrzenie na zapadający za oknami mrok i opuścił kancelarię elastycznym krokiem. Ale nie od razu poszedł do toalety na dolnym korytarzu, w której dwa razy dziennie zwykł był znikać za drzwiami z napisem: „Tylko dla podoficerów”. Najpierw przeszedł na klatkę schodową i udał się do swego mieszkania. Nie wszedł do środka, zatrzymał się w pobliżu uchylonych drzwi, w wąskim korytarzu. – Na godzinę dwudziestą trzydzieści piwo – zawołał – poza tym cygaro i gazeta!

Lora, która na ten bezpośredni rozkaz nie ruszyła się z miejsca, nic nie odpowiedziała.

– Zrozumiano?! – krzyknął.

– Tak, zrozumiano – powiedziała Lora. Ton jej nie należał do uprzejmych.

Schulz skinął głową. Robił wrażenie zadowolonego. Jak można się było spodziewać, autorytet jego został zachowany. Okazywała mu respekt, choć nie była zbyt rozentuzjasmowana. Ale trudno było tego od razu oczekiwać, zwłaszcza od kobiety.

Zamknął za sobą drzwi mieszkania i poszedł w kierunku toalety przez jasno oświetlony, pusty korytarz. Rzucił okiem na zegarek: kwadrans po ósmej. Ma więc dosyć czasu, by się załatwić, przeczytać wiszącą stale w ustępie gazetę żołnierską i ewentualnie podsłuchać jakąś rozmowę.

Wszedł do toalety, zatrzymał się na razie w ubikacji ogólnej, otworzył wielkie okno o matowych szybach. Był zawsze zwolennikiem świeżego powietrza, w każdym razie przy temperaturze powyżej dwudziestu pięciu stopni. Patrzył w ciemność w stronę skrzyń ze śmieciami i placu, na którym zwykle suszono bieliznę, trzepano dywany, oraz w stronę placu ćwiczeń. Potem, stojąc dalej w oknie, zapalił papierosa, rzucił wypaloną zapałkę szerokim łukiem na dwór, postanawiając sobie, że zaraz jutro rano po uprzątnięciu rejonu sprawdzi, czy zapałka została znaleziona.

Zaczął automatycznie rozpinąć mundur, podszedł do jednych z trojga drzwi, na których widniał napis: „Tylko dla podoficerów. Klucz w kancelarii”. Ponieważ zastrzegł sobie przywilej wręczania tego klucza, o co go oczywiście nikt nie ośmielił się prosić, chyba że chodziło o oczyszczenie ustępu, było to więc coś w rodzaju jego ubikacji prywatnej.

Zastanawiał się właśnie, czy czytać gazetę żołnierską, czy też deliberować nad tym, w jaki sposób można by wzmocnić swą i tak już mocną pozycję. Nagle usłyszał ostry trzask, jak by ktoś z bata strzelił. Zabrzęczały szyby, kawałki szkła pokryły kamienną posadzkę. Z jednej ze ścian posypał się tynk.

Skoczył na równe nogi, otworzył drzwi, stanął jak wryty. Jedna z szyb była stłuczona, w suficie widniała podłużna rysa. Schulz podciągnął machinalnie spodnie.

Ktoś szarpnął drzwiami. Pojawił się w nich kapral Schwitzke, Mamut, i zajrzał z zaniepokojeniem do toalety. – Co się tu dzieje? – zapytał. Po chwili dopiero zorientował się, kto tu podciąga w górę spodnie. – Czy to pan szef strzelał?

– Strzelano do mnie – powiedział Schulz. Wyglądał na zbitego z tropu, co Schwitzkego niemało zdziwiło. Przez okno. Wyjrzyjcie, może jest tam ktoś.

Schwitzke wyjrzał, ale nic nie zobaczył. – Nie ma nikogo – powiedział.

– Tam musi ktoś być! – zawołał szef.

– Gdyby tam ktoś był i strzelił, trudno przypuszczać, że będzie wciąż jeszcze stał i czekał – zaopiniował Schwitzke.

Mamut Schwitzke był bardzo z siebie niezadowolony. Przeklinał się w duchu za to, że przyszło mu na myśl zobaczyć, co się właściwie stało. Kiedy padł ów strzał, czy coś w tym rodzaju, znajdował się właśnie w korytarzu wracając z umywalni. Trzeba było po prostu dać drapak i udać, że nic nie słyszał. Doświadczenie mówiło, że jest to zawsze najlepsza reakcja; w każdym razie oszczędzała nieprzyjemności. Ale nie, jakiś diabeł go opętał, musiał przybiec i wpaść w ręce szefa. A tymczasem najwyższy już czas iść na partię kręgli.

– Musimy zamknąć koszary – powiedział starszy ogniomistrz, unikając zbliżenia się do otwartego okna.

– Po co? – zapytał Schwitzke. – Na co to się ma zdać?

– To był zamach.

Mamut Schwitzke był mistrzem w bagatelizowaniu, kiedy chodziło o uniknięcie niepotrzebnego podniecenia i dodatkowej roboty. – Ależ panie szefie – powiedział – kto by tam strzelał do pana!

– Właściwie ma pan rację – odparł Schulz niepewnie.

– Przecież to może być coś zupełnie niewinnego, może ktoś czyścił broń.

– Idiota! – powiedział zawsze bystry i konsekwentnie myślący Schulz. – Czyścić broń na dworze, w ciemnościach? A amunicja?

– Mógł to być wartownik – powiedział, spieszenie Schwitzke. – Takie rzeczy zdarzają się. Wartownicy mają amunicję. Strzał mógł paść przypadkowo. W zeszłym roku zdarzyło się raz coś takiego.

– Skoczcie na wartownię – powiedział Schulz – sprawdźcie tam, czy przypuszczenia wasze są słuszne.

Schwitzke nie kwapił się z tym. „Skoczenie” na wartownię zabrałoby mu dziesięć minut cennego czasu. – Mógł to być równie dobrze strzał z pistoletu! – zawołał. –

Oficerowie mają prywatną amunicję. Strzelają codziennie po okolicy.

– Tak, po oficerach można się tego spodziewać – powiedział Schulz. – Zwłaszcza po podporuczniku Wedelmannie.

– Właśnie! – powiedział Schwitzke; miał w tym swoim „właśnie” wprawę i wymawiał to słowo z przekonaniem. – Tak musiało być. Bo jest przecież zupełnie wykluczone, żeby ktoś chciał strzelać do pana szefa.

– I ja tak sędzę – powiedział szef protekcjonalnie, ale bez przekonania. Myślał sobie: „To nie może być, to wykluczone, podobne rzeczy po prostu nie istnieją”.

– Mimo to – oświadczył – musimy iść na pewniaka. Zawołajcie do pomocy jakiegoś podoficera i zameldujcie się później u mnie na dole przy wejściu.

– Tak jest – powiedział Schwitzke nie starając się już ukryć swego niezadowolenia. Poszedł do; kaprała Lindenberg, który o każdej godzinie dnia i nocy gotów był pełnić służbę i z pewnością znajdował się w obrębie koszar.

Jak było do przewidzenia, Schwitzke zastał Lindenberg przy studiowaniu instrukcji. Lindenberg był pochłonięty zagadnieniem, jak najlepiej przechowywać maski gazowe.

– Masz natychmiast pójść ze mną – powiedział Schwitzke. – Szef cię potrzebuje.

Lindenberg skinął głową i podniósł się bez chwili wahania. Uważał stawianie zbyt wielu pytań za nie licujące z zawodem Żołnierza. Wciągnął buty, włożył mundur, chwycił pas i czapkę i wybiegł. Schwitzke podążył za nim.

Starszy ogniomistrz Schulz stał przy wejściu. Zapisywał wszystkich, którzy chcieli wyjść lub wejść. Zadawał bardzo kłopotliwe pytania. Nie miał teraz wątpliwości, jak opanować tę niezwykłą, niemal niebezpieczną sytuację. Rozumował następująco: Padł strzał, i to z zewnątrz. Należy przyjąć, że chodzi tu o strzał karabinowy. Mógł sobie doskonale wyobrazić, skąd się wzięły naboje. Właściwie chodzi tylko o ustalenie, czy strzał ten oddał ktoś z trzeciej baterii, a więc z jego baterii. Jeżeli tak, musiał użyć karabinu. Ustalenie tego nie było wcale takie trudne. Tylko szeregowcy mieli karabiny, które stały zawsze na korytarzu w swoich stojakach.

Zameldował się kapral Lindenberg. Schwitzke trzymał się skromnie na uboczu.

– A więc – powiedział szef – wy, Lindenberg, obejmiecie korytarz na pierwszym piętrze, wy, Schwitzke – korytarz dolny. Zbadacie każdy karabin, sprawdzicie, czy lufy są czyste. Zapiszecie każdy brakujący. Gdyby ktoś czyścił właśnie swój karabin, zameldować mi natychmiast. Zrozumiano? Niech Schwitzke albo lepiej wy, Lindenberg, poleci zbrojmistrzowi zgłosić się do mnie. Jazda!

Obaj podoficerowie oddalili się biegiem. Starszy ogniomistrz pozostał na swym punkcie kontrolnym. Ruch był niewielki. Szef stał pogrążony w rozmyślaniach. Uspokajał samego siebie powtarzając sobie w kółko, że wszystko to było zapewne zupełnie niewinne. Coś innego jest po prostu nie do pomyślenia! Jest absurdem. Gdyby bowiem...

Schwitzke zameldował wykonanie rozkazu: – Karabiny w dolnym korytarzu

sprawdzone. Lufy bez zarzutu. Jednego karabina brak.

Wkrótce potem zameldował również Lindenberga: – Karabiny na środkowym korytarzu sprawdzone. Dwóch karabinów brak.

W chwilą później zjawiał się bombardier Kowalski meldując: – Zbrojmistrz Wunderlich wyszedł. Ale przecież ja orientuję się w magazynie amunicyjnym.

Starszy ogniomistrz obliczał: żaden z żołnierzy baterii nie pełnił dziś służby wartowniczej. Urlopowicze oddali swoją broń do magazynu i stosownie do przepisów usunęli ze stojaków tabliczki ze swymi nazwiskami. Odkomenderowani zabrali broń i również pousuwali tabliczki. Ale trzech karabinów brak.

– Ile karabinów jest w naprawie? – zapytał Schulz bombardiera.

– Trzy – odpowiedział tamten bez namysłu.

Starszy ogniomistrz Schulz odetchnął. – A więc nie mógł to być żaden z naszych – powiedział z ulgą. I dodał: – Byłaby to ostateczność!

O godzinie dwudziestej minut dwadzieścia jeden tylko bombardier Asch opuścił koszary artyleryjskie. Włożył mundur wyjściowy, kanty jego spodni budziły podziw, buty lśniły. Wyglądał dzisiaj wyjątkowo przedsiębiorczo.

Nad miastem wisiały ciemnogrnatowe cienie. Księżyc błyszczał blado. Pojedyncze okna rzucały w zapadający mrok jaskrawe światło. Koszary leżały teraz podobne do ujarzmionego, zastygłego zwierzęcia. Wiał niespokojny wieczorny wiatr, zapowiadający burzę.

Asch minął bramę i poszedł w kierunku osiedla robotniczego, rozpoczynającego się o kilkaset metrów od wejścia do koszar. Nie oglądał się za siebie. Szukał domku majstra Freitag, który był inny niż wszystkie, nie większy i nie bardziej pomysłowo zbudowany, ale otoczony starannie pielęgnowanym ogrodem oraz młodymi drzewkami, które ciekawie wyciągały gałęzie ku górze. Solidny, wysoki płot dookoła domku przypominał mur. I teraz w ciemnościach dom Freitag był łatwy do znalezienia, gdyż wypełniał na horyzoncie większą przestrzeń niż inne. Otworzył mu ojciec Freitag, który z fajką w zębach stał oparty o ogrodową furtkę. Obaj mieli uczucie, że znają się już od długich lat.

– Niech pan wejdzie – powiedział Freitag. – Rodzina moja oczekuje pana.

– Właściwie chciałem powiedzieć prędko „dobry wieczór” i potem zabrać pana ze sobą.

– Dokądże to?

– Do mnie do domu, panie Freitag.

– Czy nie pomylił mnie pan aby z moją córką?

– Nic podobnego – powiedział Asch – znam doskonale różnice. Mam nadzieję, że kiedyś, później, pańska córka będzie przebywała dostatecznie często w moim domu. Ale dziś potrzebny mi jest pan, gdyż muszę wyjaśnić memu ojcu pewne sprawy.

– Hm – mruknął Freitag po namyśle. – Pański ojciec jest kawiarzem – czy nie tak się mówi? Jest więc handlowcem, ja zaś jestem robotnikiem fabrycznym. Trudno mi

wyobrazić sobie, żeby ojcu pańskiemu rozmowa ze mną sprawiała przyjemność.

– Jest w każdym razie na to przygotowany – powiedział Asch z całą uczciwością.

– Rozmawiałem z nim przez telefon. Jest ciekaw poznać pana i tego, co mu chcę powiedzieć.

– Dobrze więc. – Freitag skinął potakująco głową. – Czy nie oczekuje pan teraz ode mnie, panie Asch, żebym się czuł zaszczycony lub wzruszony? Jestem tylko zdziwiony. Zdziwiony pańskim tempem. Zaledwieśmy się poznali, a już zaczyna pan mną rozporządzać.

– Może powitamy rodzinę – rzekł Asch.

Weszli do mieszkania. Pani Freitag promieniała, Elżbieta utrzymywała dystans.

– Znowu przychodzisz bardzo późno – powiedziała. – Czy musisz przed capstrzykiem wrócić do koszar?

– Dziś mam przepustkę nocną. Do pierwszej.

– Jak wspaniałomyślnie! – sztychła Elżbieta.

– Nie mogę jednak zostać długo. Muszę pójść do mego ojca.

– Ach! – wykrzyknęła Elżbieta z rozczarowaniem.

– A ja mu towarzyszę – powiedział stary Freitag.

Elżbieta nie zadawała sobie trudu, by ukryć, że jej to poszło nie w smak. Pytała siebie, co też wpłynęło na Herberta, że jej tak wyraźnie unika. Istniało mnóstwo usprawiedliwiających go przyczyn, ale żadna z nich nie zadowalała jej.

– Chodź, matko – powiedział Freitag. – Muszę się przebrać.

– Możesz to przecież zrobić sam.

– Zapewne, matko, ale masz chyba jeszcze coś do roboty w kuchni.

Pani Freitag zrozumiała: była tu zbyt uczynna, niech młodzi zostaną sami. – Ach tak! – powiedziała. – No oczywiście.

Elżbietę zawstydził nieco ten niezgrabny manewr. – Jeżeli o mnie chodzi – powiedziała zdecydowanie – możesz, matko, zostać tu spokojnie. Mnie nie przeszkadzasz.

– Skoro pani ma w kuchni coś do roboty – powiedział Asch uprzejmie – nie chciałbym, by pani sobie ze względu na mnie przeszkadzała.

Rodzice opuścili pokój. Przez zamknięte drzwi słychać było ich śmiech. Nie ulegało wątpliwości, że się doskonale bawią.

Elżbieta patrzyła na Herberta wzrokiem pełnym niezadowolenia i wyrzutu. Herbert wstał i podszedł do niej. Nie kryła się z tym, że tej próby zbliżenia nie pochwała, – Nie dotykaj mnie! – powiedziała.

Asch otoczył ją ramieniem. Udała, że się opiera. Ale obrona nie była zbyt gwałtowna i nie przeszkodziła Aschowi w osiągnięciu tego, czego chciał. Pozwoliła się całować.

Po chwili powiedziała: – Co się z tobą właściwie dzieje? Czy w ogóle wiesz jeszcze, czego chcesz?

– Wiem doskonale. Ale odkładam sobie spełnienie moich życzeń na nieco później.

W odpowiedniej chwili wrócę do tego.

– Wszystko powinno być inaczej. Po tym, co zaszło między nami, powinno to wyglądać zupełnie inaczej.

Asch położył ostrożnie rękę na jej ramieniu. – Masz oczywiście rację – powiedział – i z pewnością pragnę tego samego, co ty. Nie mogę jednak uczynić teraz tego, co chcę. Nie jestem panem swojego czasu. Ściśle biorąc, nawet nie mogę być panem swojej woli.

– Tego nie rozumiem – powiedziała.

– I wcale rozumieć nie potrzebujesz. Nie chcę nawet powiedzieć, że to męska sprawa. Jest to tylko nienormalne, nienaturalne. Ściśle biorąc, jest to nieludzki gwałt przeciw naturze.

– Ciągle cię jeszcze nie rozumiem.

– Elżbieto! – tłumaczył powoli i z trudem. – Nie umiem być tkliwy, wiesz o tym. W każdym razie nie umiem o tym mówić. Nie potrafię powiedzieć ci, że cię Kocham, nawet wtedy, kiedy to jest prawdą i kiedy o tym ciągle myślę. Wszystkie wielkie słowa wydają mi się banalne. Nie mówię: „Aż do śmierci!” Nie mówię także: „Na całe życie!” Nie potrafię mówić o honorze jak o kiszce wątrobianej, ani wymawiać słowa „wierność” na tym samym oddechu co „chleb z marmoladą”.

– Herbercie, co to ma znaczyć?

– Widzisz, Elżbieto, chcę się z tobą ożenić.

– Herbercie!

– Nie zaraz i nie w tym tygodniu. Nieco później, kiedy wszystko się wyjaśni.

– Co się ma wyjaśnić, Herbercie?

– Zobaczysz. A ja zobaczę, jak to przyjmiesz. Tego jednak, co ci przed chwilą powiedziałem, nie chciałem przemilczeć. Powinnaś to była wiedzieć. To, co teraz nastąpi, w niczym nie zmieni moich uczuć dla ciebie. Jeżeli sprawa wyglądać będzie tak samo u ciebie, będę szczęśliwy. Jeżeli nie, dasz mi to odczuć i będę zadowolony.

– Herbercie, przerażasz mnie.

– Muszę teraz iść – powiedział Asch. – Ojciec mój czeka na mnie. – Uścisnął silnie jej ramię. Potem szybko odszedł.

Stary Freitag czekał już na niego. Nie mówiąc zbyt wiele poszli razem do miasta. Szli krok w krok.

Kawiarnia Ascha była rzęsiście oświetlona. Pełno w niej było gości. W jednej z wnek siedział ogniomistrz Werktreu z krępą dziewczyną i przyjaźnie kiwnął ręką w kierunku Ascha.

– Zdumiewa mnie, że jest pan tak lubiany przez wyższe szarże – powiedział Freitag, który wpadł w dobry humor.

– Kosztuje mnie to coś niecoś – odrzekł Asch. – Teraz zrozumiałem jednak, że tego rodzaju lokata kapitału nie opłaca się na dłuższy dystans.

Szybko przeszli przez długi lokal. Asch kłaniał się obsłudze. – Tam z tyłu – po-

wiedział do Freitagą – w kącie na prawo siedzi moja siostra.

– Bardzo miła dziewczyna – zauważył Freitag.

– Ale mózg ma jak choinka: barwne kule, jaskrawe światła, sentymentalne śpiewy chóralne.

– A ten żołnierz obok niej?

– Nazywa się Vierbein. To przynależy do choinki święty Mikołaj.

Ingrid spojrzała na brata. Vierbein miał zamiar podnieść się, by go przywitać. Ale Asch powiedział: – Siedź! Wydaje mi się, że macie jeszcze ze sobą trochę roboty, zanim sobie nawzajem zupełnie otumanicie mózgi.

Asch nie oczekiwał odpowiedzi. Wskazywał Freitagowi drogę. Otworzył tylne drzwi lokalu, weszli po schodach na górę i znaleźli się w obszernej sieni. Tu spotkali właściciela kawiarni, starego Ascha.

Stary Asch zamroził w dużym pokoju trzy butelki wina i postawił pudełko cygar. Obserwował badawczo swego gościa, jak gdyby miał zamiar go kupić. Miało się wrażenie, że nie może ustalić ceny; był uprzejmy w jakiś bliżej nie określony sposób. Zasiadli przy wielkim stole, zapalili cygara, skosztowali wina. Stary Asch i Freitag przyglądali się sobie ukradkiem, Herbert zostawił im na to wystarczająco dużo czasu.

– Nie jestem znawcą wina – powiedział wreszcie Freitag. – Nie wiem, czym mnie pan częstuje. Być może, że jest to zwykły sikacz, ale mnie smakuje.

Stary Asch pochylił się naprzód i zapytał: – Pan myśli na serio, że to zwykły sikacz? Uważa pan, że byłbym do tego zdolny?

– Dlaczego nie? Wyborowe wina daje się tylko wybranym gościom. Przecież nie wiem, czy jestem tu w ogóle pożądanym.

– To jest jedno z moich lepszych win. Najlepsze chowane są na dni specjalnie uroczyste, jak zaręczyny, chrzciny, pogrzeb führera. – Ostatnia uwaga wyrwała mu się, żałował, że ją uczynił. Ale nie starał się o naprawienie swego błędu, raczej czekał z napięciem, jak jego gość na to zareaguje.

– W takim razie można sobie tylko życzyć – powiedział Freitag ze spokojem – żeby pan miał jak najprędzej okazję sięgnąć po swoje najlepsze wino z okazji trzeciego z wyliczonych przez pana wydarzeń.

– Zapraszam pana na to już dziś – odezwał się stary Asch wesoło. – Mam jednak nadzieję, że nie będziemy na tę okazję czekali i że jeszcze przedtem, z okazji zaręczyn, będziemy mogli zaatakować moje rezerwy. Pańskie zdrowie, panie Freitag.

Pili z zadowoleniem, małymi łyчками, długo trzymając wino na języku. – Jest ciężkie, cierpkie, ma aromat dojrzałych, dobrze przechowanych jabłek – powiedział stary Freitag poważnie.

– Istotnie doskonałe – oświadczył Asch. – Dokładnie je pan określił. Powinien pan być zostać restauratorem.

– Wykluczone! – bronił się Freitag. – Byłbym z pewnością swoim najlepszym

klientem.

Tak sobie gadali. Herbert Asch nie przeszkadzał temu. Dobrze się rozumieli. Mieli ze sobą więcej wspólnego, niż się im z początku zdawało. Stary Asch wyznał, że sam przeprowadza w domu wszystkie reperacje dla Własnej przyjemności. Tylko z wielką lodówką nie umiał sobie dać rady; cieknie z niej woda i nie można osiągnąć temperatury dość niskiej. Freitag natychmiast wyraził gotowość naprawienia lodówki. Stary Asch zgodził się bez namysłu. Już mieli ściągnąć z siebie marynarki, wziąć narzędzia i zejść do kuchni. Herbert z trudem im to wyperswadował.

– Kiedy indziej – powiedział. – Ostatecznie nie po to tu jesteśmy.

– Jesteśmy tutaj – powiedział stary Asch – żebym poznał twego teścia. To się już stało. Podoba mi się. Teraz możemy spokojnie oddać się naszym przyjemnościom.

– Chwileczkę! – powiedział stary Freitag ze zdumieniem. – Kto tu ma być moim teściem. To, co usłyszałem, jest dla mnie zupełną nowością.

– Przepraszam – powiedział Herbert Asch z zakłopotaniem. – Ojciec mój tylko skomentował pewną moją aluzję.

Staremu Aschowi było to wyraźnie niemiłe.

– Dajmy temu spokój – powiedział starając się przejść do porządku nad kłopotliwą sytuacją. – Wszystko jedno, teść czy nie teść, i tak się rozumiemy. Ale, ale po cośmy tu się właściwie zebrali?

– Chciałem spróbować wytłumaczyć ci coś, mój ojciec.

– Mam nadzieję – powiedział stary Freitag zdecydowanym tonem – że nie pozostaje to w żadnym związku z moją rodziną.

Nie jestem skłonny dać się sprzedać, zwłaszcza za moimi plecami.

– Jesteś głupi smarkacz – mruknął stary Asch z irytacją. – Wprawiasz w zakłopotanie dwóch dorosłych mężczyzn. Niech się pan nie gniewa, panie Freitag.

– Załatwione – odpowiedział tamten.

– Czegóż więc chcesz od nas?

– I ty byłeś kiedyś żołnierzem, ojciec, prawda?

– Oczywiście.

– Podobało ci się w wojsku?

Stary Asch nie miał najmniejszego pojęcia, do czego jego syn zmierza. – Czy mi się podobało? Skąd ci to przyszło do głowy? Zmarnowałem dwa lata.

– A pan, panie Freitag?

– Przyłączam się do opinii mego przedmówcy – oświadczył Freitag bez większego zainteresowania.

– Piękne to były czasy, wspaniałe, co?

Obaj starzy spojrzeli na siebie, uśmiechnęli się z zakłopotaniem i podnieśli napełnione winem kieliszki. – Tak, to były czasy!... – powiedział stary Asch nie bez szyderstwa.

– Jeden z nas przyszedł do koszar prosto z obory – powiedział Freitag. – Wolno

mu było trzepać dywany pani kapitanowej, co go wprawiało w entuzjazm. Inny był woźnicą; został feldfeblem i miał teraz nie tylko cztery konie, ale i trzydziestu ludzi słuchających jego rozkazów. Inny znowu był za głupi, żeby odróżnić owies od jęczmienia, ale podczas parad maszerował wspaniale i pewien prawdziwy generał zapytał o jego nazwisko. Takim typom wojsko się podobało.

– A co dopiero wojna! – zawołał stary Asch. – Listonosz wyjechał na koszt państwa do Francji i żył tam jak u Pana Boga za piecem. Po powrocie umiał po francusku trzy słowa, które w stanie zamroczenia alkoholowego powtarzał ze trzydzieści razy w ciągu jednego wieczora. Sprzedawca w składzie węgla; nie mogący sobie przed wojną pozwolić na świąteczne ubranie, rozwalił trzy domy, dwa działka, cztery ciężarówki i kilka tuzinów ludzi. Nauczyciel-praktykant z Pomorza był ordynansem przy sztabie pułku; pułkownik po pijanemu mówił do niego „Emil”. I tym się to bardzo podobało.

– W gruncie rzeczy dziś jest zupełnie tak samo – powiedział Herbert Asch. – Człowiek wyskakuje z codzienności, z kręgu interesów, z monotonnego rytmu pracy. Nagle otrzymuje amunicję i może zabijać. Staje się panem licznych podwładnych i może ich dręczyć. Trzyma ich los w swym ręku i nie wzdraga się z tego korzystać.

– A może – powiedział Freitag z namysłem – istnieje w ludziach coś w rodzaju prastarej naturalnej skłonności do żołnierki. To jakiś odwieczny popęd, to nie tylko chęć mordowania i żądza władzy, ale również pęd do obrony swego życia i mienia, życia kobiet i dzieci, chorych i słabych, obrona przed dzikimi zwierzętami, rozbójnikami, szaleńcami – przed wrogiem...

– Może – powiedział stary Asch. – Są jednak ludzie, którzy na tym prymitywnym, uzasadnionym popędzie umieją robić świetny interes. Jeden chce tego, co posiada drugi. Więc oświadcza po prostu, że ten drugi jest dzikim zwierzęciem, rozbójnikiem, obłąkańcem i wrogiem. Zawsze dwie strony prowadzą wojnę, obie zazwyczaj przy błogosławieństwie kościoła. Obie chcą mieć rację, bronić honoru i pokoju, obie twierdzą, że się tylko bronią. Ale jedna z nich musi być chyba świnia? A może obie.

– Żołnierka – powiedział Freitag – staje się naprawdę zła dopiero przez złą sprawę, o którą się bije. Przypuśćmy, że ten Hitler rozpęta wojnę z całą premedytacją. Najlepsi żołnierze staną się wtedy automatycznie członkami bandy morderców. Ale moim zdaniem sama żołnierka to rzecz zupełnie inna.

– I dlatego – zawołał Herbert Asch z oburzeniem – człowiek musi dać się nurzać w błocie, musi przyjmować bez słowa protestu, jak jakiś boski wyrok, każdy rozkaz opętanego manią wielkości malarzyny, musi się dać moralnie wykańczać, musi wyłączyć swój mózg, aż mu on zupełnie wyjałowuje, musi iść na rozkaz do wychodka, stawać na baczność przed każdym pierwszym lepszym osłem, który się do niego odezwie, stawać do raportu, kiedy chce. wyjść! Musi zamienić się w robaka, jeżeli chce żyć!

– Kto twierdzi, że tak być musi zawsze i we wszystkich okolicznościach? – zapy-

tał Freitag gwałtownie.

– Myśmy się zawsze wedle wszelkich reguł sztuki żołnierskiej dekowali – wyznał stary Asch z uśmiechem. – Kto miał tylko głowę na karku albo przynajmniej tylko trochę czelności, ten mógł nabić w butelkę każdego podoficera. Wielu dziś jeszcze mówi o tym z rozczeniem. Te tak zwane piękne wspomnienia z czasów wojskowych to właściwie wspomnienia o udanych oszukańczych manewrach.

– Zagadnienie tkwi w strukturze – powiedział Freitag. – Tkwi w tym, że nie chce się mieć ludzi, tylko maszynę wojenną. Ale ludzie nie godzą się już na to, by ich traktowano jak numery. Wraz z ogólnym podnoszeniem się stopy życiowej rosną również potrzeby duchowe. Nie ma już prawie analfabetów. Każdy wykwalifikowany robotnik, każdy kierowca, każdy księgowy jest dziś o niebo inteligentniejszy od zawodowego podoficera.

– Ale metody Wehrmachtu – zawołał Herbert – są takie same jak przed wojną światową, a może jeszcze gorsze! Dręczenie, aby wymusić bezwzględne posłuszeństwo! Albo dryl dla zabicia samodzielnej reakcji. Ciągłe upokarzanie, by zdusić w zarodku każdy indywidualny odruch. Żołnierz ma żyć tak, jak mu każą żyć jego przełożeni. Decydujące są ich zachcianki i ich nastroje. Tylko i wyłącznie!

– Poradź coś na to – powiedział stary Asch zrezygnowanym tonem.

– Właśnie jestem w trakcie tego, ojcze – powiedział Herbert patrząc mu w oczy.

Stary nie zrozumiał. – Co to znaczy? – zapytał. – Chcesz zostać generałem i zreformować armię?

– Będę mówić to, co myślę, i postępować, jak będę uważał za stosowne. Dopóki tylko się da.

Stary Asch zawołał: – Tyś oszalał, chcesz się buntować?!

– Rozumiem go – powiedział Freitag. – On chce dać przykład.

– Kompletny wariat – powiedział stary Asch z przekonaniem. ~~ Przecież to nonsens. Zawsze się po tobie niejednego spodziewałem, ale z pewnością nie tego.

– Nie mogę po prostu inaczej – powiedział Herbert Asch. – Cała ta hołota doprowadza mnie do wymiotów.

– To się od niej odwróć!

– Najwyższy czas, żeby ktoś uderzył.

– Ale dlaczego ty właśnie masz to zrobić?

– Ktoś musi to zrobić, ktoś musi kiedyś zacząć. Może to naprawdę idiotyzm, ale nie mogę inaczej. Miałem, ojcze, przyjaciela. Miłego, inteligentnego, rozgarniętego chłopca, pełnego wdzięku i niezwykle przyzwoitego. Wykańczali go systematycznie. Złamali mu kręgosłup, jak się łamie na kolanie kawał drewna. Doprowadzili go do tego, że usiłował popełnić samobójstwo.

– No cóż – powiedział stary Asch. – Rób, jak uważasz.

– Chciałem, ojcze, żebyś o tym wiedział zawczasu – powiedział Herbert. – Z zupełnie określonych powodów chciałem również, by wiedział o tym pan Freitag.

– Rozumiem pana – rzekł majster.

– A jak myślisz, co się stanie potem?

– Tego jeszcze nie wiem – odparł Herbert Asch ze spokojem. – W każdym razie nie będę się zachowywał jak słoń w składzie porcelany. Będę się raczej starał bić w nich ich własnymi metodami. Mają zadziwiające słabości. Zacząłem już wypróbować je częściowo ze zdumiewającym powodzeniem. Ale nie jest wykluczone, że wyląduję w więzieniu wojskowym.

– Uśmiełbym się – powiedział stary Freitag z lekkim chrząknięciem – gdyby przy tej okazji awansowano pana na kaprała. Dla Pana Boga i dla Prus nie ma rzeczy niemożliwych.

Kapral Lindenberg stał przed najcięższą godziną swego żołnierskiego żywota, zachowując oczywiście właściwą sobie Wzorową postawę. Kroczył ku niej jak bohaterowie ekranu ku filmowej śmierci – nieustraszenie, żarliwie, ślepo. Ani na chwilę nie opuszczała go święta niemal powaga.

Tego piątku budzik zabrzączał parę minut po piątej. Lindenberg był w baterii jedynym podoficerem mającym własny budzik. I to nie byle jaki, ale specjalny: z gwarancją i skomplikowanymi dzwonkami. Opuszczając pokój Lindenberg zamykał go zwykle do swojej szafy, w przeciwnym razie bowiem dwaj pozostali podoficerowie dzielący z nim pokój niewątpliwie rozbiliby budzik, który nazywali „monstrum”.

A więc monstrum zaterkotało. Lindenberg otrzeźwiał z miejsca, podniósł się, wyprężył ramiona, odrzucił koc, wyskoczył na dywanik przed łóżkiem i zrobił kilka przysiadów w celu pobudzenia obiegu krwi.

Monstrum dzwoniło teraz bardzo głośno i przenikliwie. Było to drugie stadium. W trzecim trzy dzwonki rozpętywały piekielny hałas.

– Bałwan! – zawołał jeden z podoficerów wyrwany ze snu. – Zamknij to twoje hałaśliwe monstrum albo ci łeb rozwalę. – Zaczął szukać filcowych pantofli, by unieszkodliwić nimi straszliwe monstrum. Nie mógł ich jednak znaleźć.

Lindenberg zamknął budzik sprężystym ruchem. – Przepraszam – powiedział uprzejmie. W głębi duszy ubolewał nad tym, że kolegom brak zrozumienia dla jego służbowych ambicji. Był jednak dostatecznie opanowany, by się z tym nie zdradzić.

Raz na tydzień Lindenberg kontrolował swój działon bezpośrednio po pobudce, między innymi dlatego, żeby pokazać swym podwładnym, że w każdej chwili pełni służbę i że należy zawsze być przygotowanym na to, iż nagle wyrośnie jak spod ziemi. – Nawet w wychodku! – oświadczył z całą powagą swoim żołnierzom.

Lindenberg kochał te wczesne poranne minuty. Była w nich cisza przed burzą, cisza przed pierwszą detonacją, milczenie przed wielkim zrywem. Wdychał z lubością poranne powietrze.

Nowy dzień gramolił się powoli. Kładł się blady na ścianach koszar i czekał w milczeniu. Stojący przy otwartym oknie Lindenberg wciągał w płuca chłodne powietrze. Miał wrażenie, że słyszy oddech tysiąca żołnierzy. Wkrótce zaczną się poruszać, na betonie zadudni zbudzona, gotowa do boju artyleria, podobna do potężnego motoru, który został wprawiony w ruch.

Kapral skinął głową z zadowoleniem. Przez chwilę postawa Lindenberga była i pokorna, i pełna dumy. Zawsze w takich chwilach ogarniało go wzniosłe uczucie szczęścia, że jest żołnierzem. Dla tego żył, dla tego opłacało się żyć.

Pośpieszył tanecznym krokiem do umywalni, ogolił się starannie, stanął pod natryskiem. Potem włożył na siebie ubiór służbowy i przejrzał się badawczo w lustrze. Uznał, że wygląda bez zarzutu.

Na pięć minut przed pobudką stanął w środkowym korytarzu przed drzwiami, za którymi spał jego nic nie przeczuwający działon. Cieszył się na niespodziankę, którą sprawi swoim podwładnym.

Przydreptał podoficer dyżurny. Był nie ogolony, jak Lindenberg zdołał z dezaprobatą stwierdzić, i ziewał na całe gardło. – Popatrz, popatrz – zawołał, nie dziwiąc się bynajmniej obecności „żelaznego kaprała”. – „Ostatni żołnierz” jest znowu pierwszy! To dopiero się twoi żołnierze ucieszą!

– Mam nadzieję – powiedział Lindenberg z rezerwą.

Podoficer dyżurny zaczął działać. Pootwierał wszystkie drzwi, zagwizdał przeraźliwie i zawołał: – Pobudka! Wstawać!

Lindenberg raz jeszcze poprawił swój pas, co było niepotrzebne; potem sprawdził, jak leżą jego szare skórzane rękawiczki, i to było bezcelowe, gdyż od częstego prania straciły w ogóle wszelką formę. Przekroczył próg i stanął w drzwiach jak posąg. Stał bez słowa, obrzucając izbę badawczym spojrzeniem. Nieszczęsne figury gramoliły się z łóżek w rozwianych nocnych koszulach. Jeden z żołnierzy ziewał przy tym i wydawał z siebie dźwięki, jakie się słyszy w oborze.

Pierwszy zauważył kaprała Lindenberga kanonier Vierbein. Ryknął „baczność” i przyjął odpowiednią postawę. Niewyspani żołnierze zastygli w tym, co mieli na sobie, bez względu na to, czym w danej chwili byli zajęci. Wydawało się, że stojąc kontynuują przerwany sen.

Bombardier Kowalski wylazł chcąc nie chcąc z łóżka, wyjrzał ze swego kąta i oceniwszy położenie zameldował: – Nic ważnego nie zaszło!

Kapral Lindenberg stanął teraz stosownie do wymagań dyscypliny również na bacność i przyłożył rękę do daszka czapki. – Dziękuję – powiedział. – Spocznij! Nie przeszkadzajcie sobie! – Sam przyjął także postawę na „spocznij”.

Żołnierze znali nawyki Lindenberga. Takich inspekcji o wczesnych godzinach rannych przeżyli już całe tuziny. Wiedzieli, że Lindenberg chce stwierdzić, czy zachowują się tak, jak wedle jego zdania powinni się na początku dnia zachowywać

żołnierze: elastycznie i planowo, rześko i radośnie oczekiwać tego, co nadejdzie. Ha-sło ogólne brzmiało: „W każdej chwili gotów do działania”.

Kowalski grał swą rolę komendanta izby z mechaniczną pewnością siebie. – Kto się zgłasza jako chory? – zapytał. Jak zwykle nie było odpowiedzi. – Chorych nie ma – zawołał głośno. Lindenberg skinął głową.

Kowalski zawołał: – Wagner i Volkmann do sprzą-tania rejonu! – Wagner chciał protestować; wczoraj miał sprzą-tanie rejonu, przedwczoraj dyżur w izbie. A dziś znowu? To szykana! Ale w obecności Lindenberga nie mógł sobie pozwolić na sprzeciw.

Wściekły rzucił na łóżko nocną koszulę, wystawiając w kierunku Kowalskiego goły tyłek.

Kowalski wykonał gruntownie swoje zadanie; a przed udaniem się do toalety i umywalni zawołał jeszcze: – Dyżur w izbie: kanonier Vierbein!

– Rozkaz – odpowiedział Vierbein natychmiast – dyżur w izbie. – Na twarzy Lin-denberga pojawił się przychylny uśmiech. Przyglądał się Vierbeinowi nie bez zado-wolenia. Notował w pamięci wszystkie jego poruszenia, uważając, że są dokładne i energiczne. Cieszyło go to, potwierdzało jego teorię. Zawsze uważał Vierbeina za przydatnego żołnierza. Zapewne, był jeszcze za miękki, może nawet trochę zbyt wrażliwy. Ale nie można mu było odmówić dobrej woli. Vierbein robił teraz szybkie postępy, co stanowiło wyłącznie jego – Lindenberga zasługę.

– Kanonier Vierbein! – zawołał kapral.

Vierbein, który zdążył już włożyć drelichowe spodnie, przybiegł jak strzała. – Na rozkaz, panie kapralu!

– Proszę pokazać grzebień i szczotkę. – Vierbein uczynił to, Lindenberg obejrzał oba przedmioty.

– Przybory do golenia. – Vierbein pokazał i to.

– Szczoteczkę i szklankę do mycia zębów. – Lindenberg poddał również lustracji szczoteczkę i szklankę. Potem powiedział: – Dobrze, kanonierze Vierbein, tylko tak dalej! – Wypowiedziawszy tę potężną pochwałę stwierdził nie bez odrobiny męskie-go rozczulenia, że Vierbein czuje się nią uszczęśliwiony.

Lindenberg stał jeszcze ciągle przy drzwiach niemal nieruchomo, rejestrując w myśli to, co widział. To, że prawie wszystko, co zobaczył, było w porządku, napeł-niało go zadowoleniem. Znowu ogarnęło go uczucie szczęścia, że wolno mu być żoł-nierzem. Stać tutaj mając przed sobą podwładnych, wiedzieć, jak zgodnie z dobrze przemyślanymi przepisami rozpoczynają dzień, jak pod baczным okiem bezpo-sredniego przełożonego dokładnie i w milczeniu starają się przygotować do przewidzia-nych planem zajęć – to podnosiło na duchu. Tylko takie uczucia czyniły życie warto-ściowym, nadawały sens istnieniu.

Wszystko inne było nieważne, zasługiwało na litość albo nawet na pogardę. Tylko to dawało wielkie szczęście! Nie kobiety – wydzielały niemiłe zapachy, były łatwe

do zdobycia. Nie kościół – za dużo tam było rzewności i gadania. Nie książki – wprowadzały zamęt, wpływały na rozmiękczenie mózgu. Nie przyroda – nie znała hamulców, sprzyjała indywidualizmowi. Tylko służba żołnierska mogła prawdziwego mężczyznę zadowolić bez reszty.

– Gdzie jest właściwie bombardier Asch? – zapytał nagle Lindenberg. Nie widział jeszcze dziś Ascha. Przebiegł myślą wszystkich „żołnierzy, których tego ranka widział. Zaapelował do swej wspaniałej w tak drobnych szczegółach pamięci. Nie, nie widział jeszcze Ascha.

Żołnierze woleli opuścić izbę. Było to całkowicie normalne. Wziąwszy ręczniki, mydło, przybory do golenia, pastę do zębów, szczoteczki i szklanki do płukania ust – szklanki tylko dlatego, że obecny był Lindenberg – udali się do umywalni. Byłoby po prostu głupotą wystawiać się nadal na badawcze spojrzenia kaprała.

– Gdzie jest bombardier Asch? – zapytał Lindenberg powtórnie.

Nie otrzymał odpowiedzi. Nawet Kowalski, znajdujący się w pobliżu, wolał nic nie mówić. W izbie nie było prawie nikogo. Lindenberg ociągał się, by uwierzyć w to, co zaczął podejrzewać. Potem wszedł do izby, podszedł do miejsca, gdzie za dwiema szafami było łóżko bombardiera Ascha. Stał tam nieruchomo przez kilka sekund.

Bombardier Asch leżał w łóżku z rękami założonymi pod głowę i patrzył na Lindenbergą przymrużonymi oczyma. Miał wielce zadowoloną minę. Założył prawą nogę na lewe kolano i uśmiechał się.

Kapral Lindenberg nie potrafił ukryć zdumienia. Uznał, że to, co tu zobaczył na własne oczy, jest po prostu niesłychane. A więc prawie przez kwadrans bombardier Asch miał odwagę ignorować obecność swego kaprała. Było to rzeczywiście niesłychane! Lindenbergowi nigdy jeszcze nie zdarzyło się coś podobnego. Mówiąc szczerze, nigdy by mu nie wpadło do głowy, nawet we śnie, pomyśleć o tym, że coś podobnego w ogóle może mu się przytrafić.

Zmuszając się do spokoju zapytał: – Nie macie zamiaru wstać, Asch?

Asch oświadczył z największym spokojem: – Mam stopień bombardiera.

Kapral przełknął i to. Po kilku sekundach, kierowany niezwykle wyostrzonym rozumieniem przepisów, pojął, że istotnie popełnił błąd. W myśl rozkazu führera należało zwracać się do podwładnych po nazwisku i z uwzględnieniem stopnia służbowego. Choć zwrócenie na to uwagi było ze strony Ascha całkowicie pozbawione taktu, a może nawet wykraczało przeciw dyscyplinie, miał do tego pełne prawo.

Kapral naprawił więc swój błąd i powiedział: – Czy nie macie ochoty wstać, bombardierze Asch?

Asch odrzekł uprzejmie: – O ochocie nie może być w ogóle mowy, panie kapralu.

Bombardierowi Kowalskiemu, jedynemu świadkowi tej wymiany zdań, krew uderzyła do głowy. Trudno się było zorientować, czy z radości, czy z przerażenia. Stoczył ze sobą krótką walkę, czy udać się wraz z innymi do umywalni, czy też pozwo-

lić sobie na pozostanie na linii ognia. W końcu pozostał.

Również twarz Lindenberga zarumieniała się lekko. Kaprał wyprężył się i powiedział ostro: – Wstawajcie natychmiast, bombardierze Asch.

– To – powiedział bombardier i zaczął się uroczyście podnosić – jest coś zupełnie innego. To wyraźny rozkaz. Nie sprzeciwiam się nigdy jasnym i prawnie uzasadnionym rozkazom. Ale to pierwsze było jedynie pytaniem, a najwyżej wezwaniem. Niejasno sformułowane, panie kapralu.

Lindenberg przełknął i tę naganę; przesadne poczucie sprawiedliwości podyktoowało mu takie postępowanie. Uważał za wskazane całkowicie wyjaśnić sytuację. Podczas gdy Asch podniósł się, wylazł z łóżka i ściągał przez głowę nocną koszulę, Lindenberg powiedział: – W myśl istniejących przepisów każdy żołnierz winien bezpośrednio po pobudce wstać z łóżka. Nie zrobiliście tego, bombardierze Asch, a więc naruszyliście istniejące przepisy.

Asch stał zupełnie nagi. Nie zajmował żadnej postawy, co ze względu na jego nagość wydawało się zupełnie naturalne. – Panie kapralu – powiedział – istnieją pojęcia sporne. Takim pojęciem jest słowo „bezpośrednio”. Co to znaczy bezpośrednio? Sekunda? Trzy minuty? A może kwadrans? Tego nie zawiera żaden przepis. Można więc interpretować to dowolnie, co też uczyniłem.

– Bezpośrednio to dziesięć sekund, najwyżej minuta – zdecydował kaprał.

– Każdy to może powiedzieć – odparł Asch ze spokojem. Lindenberg zacisnął wargi. Ubolewał, że się w ogóle wdał z Aschem w rozmowę. Ale skoro już tak się stało, postanowił uzasadnić wojskowy, jedynie tutaj miarodajny sposób myślenia, przekonująco uzasadnić! – Nie jestem żaden „każdy” – rzekł ostro. – Jestem wasz przełożony; wedle mego przeświadczenia postąpiliście wbrew przepisom. To jest karalne.

– Panie kapralu – powiedział Asch. – Jak może być karalne coś, co pan wyraźnie aprobował.

– Co takiego?

Asch wytłumaczył to bliżej: – Leżałem w łóżku w obecności dowódcy działonu, bo przecież przez cały czas poczynając od pobudki był pan obecny, panie kapralu. Mimo to nie wyraził pan nagany ani nie udzielił mi pan rozkazu. Musiałem więc uznać, że pan, panie kapralu, wyraźnie moje zachowanie aprobuje.

Lindenberg drgnął, jak gdyby go ktoś potężnie zdzielił czymś po głowie. Otrząsnąwszy się wyprężył się znowu, nie bez wysiłku. – Więcej z wami rozmawiać nie będę, bombardierze Asch.

– To wielka szkoda, panie kapralu.

– Złożę na was meldunek.

– Przykro, że wszystko to wydarzyło się w pańskim działonie, panie kapralu – powiedział Asch. Wydawało się, że jest z tego powodu szczerze zasmucony.

Kaprał Lindenberg przestał rozumieć świat. Nie mógł po prostu uwierzyć w to, co

słyszał. Szukał wytłumaczenia, ale nie potrafił znaleźć żadnego, które by go przekonało. – Słuchajcie no, bombardierze Asch – powiedział – może źle się czujecie? Może jesteście chorzy, a może wam się coś stało?

– Jestem zupełnie normalny, zostałem tylko wyprowadzony z równowagi, i to przez pana, panie kapralu.

– Zastanówcie się nad tym, co mówicie! – zawołał Lindenberg wzburzony.

Bombardier Kowalski postarał się o to, by zostali sami. Żołnierze, którzy się tymczasem myli, stali obnażeni do pasa na korytarzu i dzielili się swoimi uwagami. Mieli jak najgorsze przeczucia.

– Nad tym, co tutaj mówię – oświadczył Asch – zastanowiłem się przedtem dokładnie. Pan, panie kapralu, przeszkodził mi, wyprowadził mnie z równowagi. To wszystko. Dlaczego nie pozwala nam pan wstawać w spokoju i w spokoju przygotowywać się do zajęć? Przecież nie jesteśmy automatami. Chcemy korzystać nie tylko we śnie z odrobiny choćby życia prywatnego. Tymczasem traktowani tu jesteśmy, jak byśmy odbywali pańszczyznę. A pan nie jest instruktorem, lecz dozorcą.

Lindenberg powiedział drżącym głosem: – Wszystko to zapamiętam sobie!

– Miejmy nadzieję. – Asch kiwnął głową z aprobatą. – A jeżeli słowo „dozorca” nie wystarcza panu, może pan zastąpić je słowami „poganiacz niewolników”.

– Poganiacz niewolników?! – zawołał Lindenberg z przerażeniem. Określenie to zraniło go głęboko, miał wrażenie, że krew z niego uchodzi. – To wystarczy! – zawołał ostatnim wysiłkiem. – Teraz już koniec!

– Jeżeli panu to wystarczy, to rzeczywiście teraz już koniec – powiedział Asch uprzejmie.

Lindenberg był blady jak świeżo uprane prześcieradło. Musiał zebrać wszystkie siły, by nie przejść do rękoczynów. Był dumny z siebie, że się potrafił opanować. Maltretowanie podwładnych było surowo wzbronione; a on odczuwał respekt do wszystkiego, co objęte było zakazem.

Kapral Lindenberg wykrztusił załamującym się głosem, któremu za wszelką cenę chciał nadać jak najostrzejszy ton:

– Drogo was to będzie kosztowało, bombardierze Asch!

Po czym odwrócił się gwałtownie, podszedł do bombardiera Kowalskiego i powiedział: – Jesteście świadkiem!

– A co właściwie mam zaświadczyć? – zapytał Kowalski udając jak zwykle głupiego.

Ale Lindenberg nie zwrócił na to uwagi. Odszedł wyprostowany jak świeca. Jedna myśl wypełniała go całkowicie: Ta straszliwa zniewaga, jakiej przed chwilą doznał, musi być pomszczona! Inaczej świat się zawali!

Elżbieta Freitag w samej tylko różowej bieliźnie zatrzymała się pośrodku pokoju. Myślała o czymś intensywnie. Odgarnęła dłonią włosy z czoła i powzięła wreszcie decyzję. Otworzyła szafę, wybrała zieloną jedwabną suknię, w której było jej bardzo

do twarzy.

Ubierając się spojrzała na zegarek. Była za dwadzieścia ósma. Najpóźniej za pięć minut ojciec Freitag siądzie na rower, by się stawić na czas do pracy. W zasadzie chętnie szedł do roboty piechotą, ale jeżeli było późno, jeżeli śniadanie jak dzisiaj przeciągnęło się nieco albo jeżeli spał trochę dłużej, zwykł był nadrabiać stracony czas jazdą na rowerze.

A więc jeszcze pięć minut. Wyciągnęła z torebki, co jej się zdarzało bardzo rzadko, pomadkę do ust i umalowała sobie lekko wargi. Było to właściwie zbyteczne, gdyż miała wargi czerwone i pełne. Potem uczesała się starannie raz jeszcze i spojrzała na zegarek. Minęło tymczasem dziesięć minut, a ojciec nie opuścił jeszcze domu.

Nie mogła dłużej czekać. Skinęła nieśmiało swojemu odbiciu w lustrze i podniosła się, żeby wyjść. Na korytarzu spotkała ojca.

– Dokąd idziesz? – zapytał.

– Do koszar – odpowiedziała.

– Pracujesz dzisiaj od rana?

– Nie – powiedziała Elżbieta. – Oficjalnie nie. Ale chcę zrobić pewne obliczenia i sprawdzić stan magazynu. Rano jest najspokojniej.

– A co chcesz załatwić przy tym?

– Nie wybieram się do Herberta Ascha, jak pewnie przypuszczasz.

– Pięknie – powiedział stary Freitag. Zdawało się, że odpowiedź jej uspokoiła go.

– Jeżeli tak mówisz, musi to być zgodne z prawdą. Wiem, że mnie nie okłamujesz.

– Dlaczego to podkreślasz, ojcze?

– Bo chciałbym, żeby wszystko pozostało między nami tak, jak było. Bo nie chciałbym, byś próbowała wpływać na Herberta Ascha we wszystkich sprawach, które mają związek z jego służbą. Byłoby to bezcelowe i na pewno przeszkadzałoby mu.

– Bardzo się o niego troszczysz – zauważyła Elżbieta. Stary Freitag kiwnął głową.

– Bo się troszczę o ciebie, to jedyny powód. Ale nie chcę cię zatrzymywać. Sprawdź więc obliczenia, zrób remanent i staraj się dziś schodzić Herbertowi z drogi.

– A więc mam się przyglądać! Mam czekać na coś, o czym nic nie wiem!

– Nic podobnego – powiedział zdecydowanie stary Freitag. – Nie powinnaś na nic czekać i niczemu się przyglądać. Masz pozostać na uboczu.

– Sądziś, że to takie proste?

– Elżbieto – powiedział stary Freitag tonem przestrogi. – Obiecałaś mi przedtem, że nie pójdziesz do Herberta Ascha.

– Dotrzymam tej obietnicy, ojcze.

Elżbieta opuściła dom Freitagów. Poszła niespokojnym krokiem w stronę koszar; im bardziej się do nich zbliżała, tym szła prędzej. Spoglądała często na zegarek. Dochodziła ósma, a więc najwyższy czas, bo za późno przyjść nie mogła.

Przed bramą wyciągnęła z kieszeni stałą przepustkę, ale wartownik znał ją i zawo-

łał: – Niech pani wejdzie. Takich jak pani nigdy tu nie mamy dosyć!

Elżbieta poszła bez wahania w kierunku bloku trzeciej baterii. Przekroczyła szeroko otwarte drzwi wejściowe. Stojący dokoła żołnierze spoglądali na nią z uznaniem i uśmiechali się do niej. Znalazła się szybko na pierwszym piętrze, stanęła przed drzwiami, na których widniał bilet wizytowy „Wedelmann, podporucznik”. Nacisnęła guzik dzwonka.

Drzwi wkrótce otworzyły się. Nowy ordynans Wedelmanna, kanonier Wagner, którego szef przydzielił podporucznikowi przez złośliwość, stał na progu. – No? – zapytał z niechęcią – czegoż pani chce?

– Czy mogę mówić z panem porucznikiem Wedelmannem?

– Czego pani od niego chce?

– Chcę z nim pomówić prywatnie.

– Prywatnie? – Wagner udał zdumienie. Potem powiedział: – Podporucznik jest zawsze na służbie.

– Pięknie! W takim razie chcę z nim mówić służbowo. Wagner oparł się o framugę drzwi. – Pani? Służbowo? A co pani ma z nim służbowego do omówienia?

Elżbieta była zrozpaczona. Ten człowiek wprawiał ją w okropne zakłopotanie. Przecież nie może stać tu dłużej na schodach. Powoli liczba otaczających ją żołnierzy rosła; wypowiadali głośno swe fachowe opinie. Poza tym mógł w każdej chwili wypłynąć Herbert Asch albo Vierbein czy Kowalski. A żaden z nich nie powinien jej tu widzieć. Musi zawrócić!

Zanim zdążyła to uczynić, usłyszała głos podporucznika Wedelmanna. – Wagner, co się tam stało? Czy zostaliście zaangażowani do mielenia językiem jak stara baba, czy też do czyszczenia butów?

– Ktoś tu jest do pana podporucznika – powiedział Wagner.

Wedelmann podszedł bliżej z wyraźną niechęcią. Na widok Elżbiety Freitag ogarnęło go zakłopotanie. Spojrzał na swoje bryczesy tkwiące w zielonych wełnianych skarpetkach. – Proszę wybaczyć mój strój – powiedział. – Czym mogę pani służyć, panno Freitag?

– Czy mogę z panem pomówić?

– Ze mną? W moim mieszkaniu? O tej porze?

– Proszę o to.

– Niech pani wejdzie – powiedział szybko. Poszedł przed nią, otworzył drzwi prowadzące do pokoju. – Proszę tu usiąść. Zaraz przyjdę, muszę się tylko ubrać.

Elżbieta rozglądała się badawczo dokoła. Umeblowanie nie było zbyt wytworne: biurko, półka na książki, trzy krzesła, niewielki stół, lampa stojąca. Na ścianach dyplomy, dwie akwarele, liczne fotografie. Zielony dywan w białe cętki i mały dywanik. Na oknach zielone, mocno wyblakłe, a może lekko przyprószone pyłem zasłonki. Na biurku otwarta książka „Wiara w Niemcy” Zöberleina, stos gazet, trzy niebieskie instrukcje, niedopałki papierosów, butelka wódki i szklanka.

Wedelmann wszedł do pokoju w kompletnym mundurze. Przyglądał się jej z zadowoleniem. – Co panią do mnie o tak wczesnej porze sprowadza?

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Nigdy pani nie przeszkadza – zapewnił Wedelmann. Był rad, że może na nią patrzeć. Była ładna, nawet w jaskrawym świetle rannego słońca; o wiele ładniejsza niż w lokalu Bismarckshöhe albo w kantynie podoficerskiej.

– Czy nie zabieram panu zbyt wiele czasu?

– Proszę dysponować mną i moim czasem – powiedział Wedelmann zupełnie szczerze. Mógł sobie na ten gest pozwolić. Działaczki rozpoczynały się o ósmej piętnaście. Było umówione, że rozpoczną się, gdyby go nawet na czas nie było. A przed dziewiątą nie należało oczekiwać kontroli.

– Chciałam prosić, żeby mi pan pomógł – powiedziała Elżbieta.

– Jak mogę to zrobić? – zapytał Wedelmann. Elżbieta podobała mu się; zawsze mu się podobała. Z pewnością nie była tak skomplikowana jak Ingrid Asch i o wiele przyjemniejsza i solidniejsza niż Lora Schulz, nie mówiąc już o pannach ze środowiska mieszczańskiego i o dziewczętach z domów publicznych. Ta Elżbieta Freitag jest zdrowa. Potrafi zachować się odpowiednio w każdej sytuacji.

– Chcę być z panem zupełnie szczerą – powiedziała Elżbieta. – Myślę, że mogę sobie na to pozwolić. – Po krótkim wahaniu dodała: – Pan przecież wie, że z Herbertem Aschem... że bombardier Asch i ja... Ubiegłej soboty siedział pan z nami przy tym samym stoliku. Prawda?

– Oczywiście – powiedział Wedelmann. – Przypominam sobie, oczywiście. – Niełatwo mu było ukryć swoje rozczarowanie. Miał wrażenie, że powinien być teraz bezgranicznie zasmucony. I powiedział sobie: „Tak to ze mną jest, tak bywa ze mną zawsze. Wszystkie przebiegają mi drogę i jedna po drugiej ucieka. Pod tym względem podporucznik to wielki biedak; jeżeli o mnie chodzi, to należę chyba do najbiedniejszych, bo mam w sobie za dużo poczucia przyzwoitości, które mi przeszkadza nawet przy najpomysłniejszych okazjach”.

– Zdawało mi się wtedy powiedziała Elżbieta z całą szczerością – że był pan o Herbercie Aschu dobrego zdania i, jeżeli to między podwładnymi i przełożonymi jest możliwe, czuł pan do niego coś w rodzaju sympatii.

– Ależ tak, tak, takie rzeczy się zdarzają. – Pochlebilo mu to trochę, poczuł się wzruszony.

– Również bombardier Asch myśli dobrze o panu, panie podporuczniku. Jest do pana bardzo przywiązany. Ceni pana i szanuje.

– To mnie cieszy – powiedział Wedelmann z ożywieniem i z ledwo ukrywaną dumą. To, że jego podwładni odnoszą się doń z respektem, było zrozumiałe samo przez się. Żeby go szanowali, było jego życzeniem, ale radością i zadowoleniem napełniało go to, że są nawet tacy, którzy go lubią i szanują.

– Droga panno Freitag – powiedział – i ja bardzo cenię bombardiera Ascha nawet

jako żołnierza, choć nie uważam go bynajmniej za wzór, co nie ma być żadną krytyką, lecz stwierdzeniem. Jest mi sympatyczny jako człowiek przede wszystkim ze względu na panią. Nie wiem, dlaczego pani przyszła, gdyby jednak ten bombardier Asch wzbraniał się ponieść wszystkie konsekwencje, które płyną z jego stosunku do pani, z jego zachowania się wobec pani, może pani z całą pewnością na mnie liczyć. Potrafię go zmusić do jego własnego szczęścia, choćby dlatego, że go tak bardzo cenię.

Podporucznik zamilkł. Zauważył, że Elżbieta patrzy na niego badawczo i nieco nieufnie. Czyżby plótł tutaj jakieś bzdury? Możliwe! Był żołnierzem, a nie duszpa-sterzem. W prywatnych dziedzinach życia raz po raz przytrafiały mu się wykoleje-
nia. Już się temu nie dziwił, ale zawsze było mu to niemiłe.

– Panie podporuczniku – powiedziała uprzejmie Elżbieta. – Nie chodzi ani o moje życie prywatne, ani o życie prywatne Herberta Ascha.

– Aha! – zawołał Wedelmann ucieszony i poczuł się od razu jakoś pewniej. – Cho-
dzi więc o sprawę czysto służbową.

– Mam wrażenie, że tak.

– Ma pani tylko takie wrażenie, panno Freitag? Nie jest pani pewna?

– Przypuszczam to.

– Cóż pani przypuszcza?

Elżbieta zaczęła opowiadać. Była zupełnie szczerą. Nie wiedziała zbyt wiele, ale nic nie przemilczała. Podzieliła się tym, czego mogła się jedynie domyślać.

Podporucznik Wedelmann słuchał uważnie. Niepokój jego ustąpił, młoda, pociąg-
ła twarz miała wygląd poważny i spokojny. Fizycznie niemal odczuwał ogarniającą
go pewność siebie. Poruszał się tu na terenie sobie znanym, nie musiał potykać się o
problemy psychiczne i seksualne.

– To, co pani tu twierdzi, względnie przypuszcza – powiedział po chwili milczenia
– brzmi absurdalnie. Mimo to uważam, że jest możliwe.

– Więc i pan sądzi, że on potrafi to uczynić?

– Że może to uczynić przy pewnych okolicznościach – to jest do pomyślenia.
Również motywy, które pani zna albo których się pani domyśla, zaczynają mi się
stawać jasne. Gdybym miał przyjaciela i gdyby na moich oczach, u mego boku po-
pychano go do samobójstwa, wtedy... Ale ja nie mam przyjaciela.

– Panie podporuczniku, to są tylko moje domysły – powiedziała Elżbieta – nie
wiem, czy to się zgadza z rzeczywistością choćby w przybliżeniu. Może się myłę,
może wszystko wygląda inaczej, o wiele niewinniej. Ale musiałam przyjść z tym do
pana, tylko do pana, bo nie mam do nikogo innego zaufania.

– Spróbuję nie zawieść go – odpowiedział Wedelmann z całą szczerością.

– Wspaniały z pana człowiek – rzekła Elżbieta. – Bardzo pana lubię.

Wedelmann zaczerwienił się. – Nie, nie – bronił się. – Tak znowu nie jest. Proszę
mnie nie uważać za dobroczyńcę ani za dżentelmena. Podchodzę do tego zupełnie na

zimno, wyłączam wszystkie moje osobiste uczucia. To zrozumiałe samo przez się.

– Zrozumiałe samo przez się – powiedziała Elżbieta uśmiechając się do niego z pełnym zaufaniem.

Wedelmann podniósł się, by uniknąć jej wzroku. – Jeżeli wezmę tę sprawę w swoje ręce, to ostatecznie uczynię to tylko z powodów czysto służbowych. Chodzi mi jedynie o dyscyplinę, o honor Wehrmachtu, żeby się tak wyrazić. Albo, mówiąc prościej, nie chcę, by w baterii, w której pełnię służbę, dochodziło do niebezpiecznych świństw. W rezultacie wszystko spadłoby na mnie.

– Jakież z pana miły człowiek, panie Wedelmann.

– Nie ma o czym mówić! – zawołał Wedelmann, miotany na nowo burzą uczuć, które starał się opanować. – Na moim terenie nie mogę pozwolić na żadne świństwa, choć niektórym podoficerom życzyłbym ich z całego serca. Ale bądźmy rzeczowi. Musimy się z tym liczyć, że Asch jest w tej chwili opętany amokiem. Dotychczas nic się jeszcze nie mogło wydarzyć. Jest teraz ósma trzydzieści, działoczniny właśnie się zaczęły. Od siódmej do ósmej instruktor sanitarny pouczał żołnierzy baterii, jak należy udzielać pierwszej pomocy w nieszczęśliwych wypadkach. Nie nastęcza to okazji do tarć. Żołnierze wykorzystują przeważnie tę godzinę na małą przedobiednią drzemkę. Wczesnym rankiem nigdy się tu nic nie dzieje. Ale teraz, podczas działoczynów, mogłoby się zdarzyć coś niebezpiecznego, gdyby Asch trwał mocno przy swym zamiarze.

– Co pan robi, drogi panie Wedelmann?

– Coś zupełnie prostego. Postaram się bombardiera Ascha izolować. Mogę go na przykład zamknąć na cały dzień w magazynie mundurowym. Niech sobie tam śpi albo gra w karty z ogniomistrzem Werktreuem. Ci dwaj robią to podobno dość często.

– Nie wiem, jak mam panu dziękować, panie Wedelmann.

– Już ja coś wymyślę – powiedział podporucznik energicznie – będzie mnie pani mogła zaprosić na zaręczyny.

– Już teraz pana najserdeczniej zapraszam.

– Zawsze chciałem być kiedyś ojcem chrzestnym – powiedział podporucznik. Zauważył z cichą radością, że Elżbieta zarumieniła się lekko. Był zachwycony, że mógł z kimś rozmawiać tak poufale; przecież zawsze za tym tęsknił.

– Ale przede wszystkim – powiedział z rozmachem – musimy przeszkodzić lawinie.

Elżbieta pochwyciła jego rękę i ścisnęła ją mocno. Potem powiedziała: – Miejmy nadzieję, że pańska pomoc nie przyjdzie za późno.

Wczesnym rankiem starszy ogniomistrz Schulz wygłosił przed swoją żoną Lorą coś w rodzaju wykładu na temat zachowania się. Unikał zwracania się wprost do niej, gdyż miałyby to wtedy charakter zbyt osobisty; poza tym Lora nie zasłużyła sobie na takie postępowanie. Powinna tylko wiedzieć, co mąż o niej myśli, i zdawać sobie

sprawę, czego od niej oczekuje.

– Żona szefa baterii – zaczął, rozparty przy kuchennym stole – ma więc obowiązki, od których nie wolno jej się uchylać. Uchybia to jej godności, kiedy zadaje się z podwładnymi swego męża, a narusza dyscyplinę, kiedy się wdaje z przełożonymi.

– A jakie stopnie służbowe są dopuszczalne? – zapytała Lora Schulz tonem mało uprzejmym.

Schulz odstawił filiżankę z dostojnym oburzeniem. Spojrzał z wyrzutem na opartą o kredens kuchenny żonę; której świadomie nie dał usiąść obok siebie przy stole. – Koniec końców – powiedział – widzę, że jesteś jeszcze dumna z tego, na coś sobie pozwoliła.

– A cóż mam robić? – odrzekła zła i zrozpaczona. – Mam paść na kolana, przelewać gorzkie łzy, załamywać ręce błagając cię o przebaczenie? Właściwie za co? Za to, żeś mnie zaniedbywał? Za to, że nie jesteś normalnym człowiekiem?

Schulz przypatrywał się swej żonie z wyrzutem. To, że płakała, usposobiło go pojednawczo, uważał jej płacz za dowód swej przewagi. Była moralnie wykończona i tak być powinno. Nastawiać działa, ujeżdżać konie, zginać ludziom karki – to sprawy, na których trzeba się znać. Nie każdy to potrafi.

– Kiedyś – powiedział – przebaczę ci. Kiedy będą miał pewność, żeś wreszcie coś zrozumiała.

Wypił z zadowoleniem kawę, spojrział raz jeszcze na zegarek, by sprawdzić, czy Lora nastawiła zegar kuchenny ściśle według czasu koszarowego. Była ósma die sięć. Podniósł się i opuścił mieszkanie. W dobrym nastroju udał się do swej kancelarii. Czekali tu już: pisarz baterii, podoficer dyżurny, kapral Lindenberg i kanonier Wagner. Na jego widok wszyscy stanęli na baczność i zaszalutowali. Pozwolił im stanąć na „spocznij”.

– A wy czego tu chcecie? – zapytał kanoniera Wagnera.

– Pan podporucznik Wedelmann – powiedział Wagner – życzy sobie, żeby mnie niezwłocznie od niego zabrano.

Szef promieniał. To poszło prędzej, niż sobie umyślił. Doskonale! Ten Wedelmann powinien znaleźć się w kropce.

– A dlaczegoż to? – zapytał uprzejmie.

– Pan podporucznik powiedział, że jestem idiota – zameldował Wagner bez żenady.

Schulz był wniebowzięty. Po chwili obwieścił: – Powiedzcie podporucznikowi Wedelmannowi, że mam w baterii samych takich idiotów jak wy. Zastąpienie was przez kogoś innego jest bezcelowe. Zostaniecie dalej u podporucznika Wedelmanna jako jego ordynans. No, znikajcie! Przekażcie mu tę radosną wiadomość.

Po opuszczeniu kancelarii przez kanoniera Wagnera szef odebrał od pisarza raport dzienny oraz pocztę służbową. Przerzucił rozkazy, które nadeszły, spojrział przelotnie na listy i powiedział: – Pięknie. Zawsze to samo śmiecie. Następnym!

Podoficer dyżurny uważał, że zwrócono się do niego, i zameldował: – Przepustki nocne w porządku. Dwóch chorych. Uszkodzenia w dolnej latrynie usunięte. Poza tym nic ważnego nie zaszło.

Szef wziął książkę raportów podoficera dyżurnego i porównał meldunek z treścią raportu. – Uszkodzenia w dolnej latrynie usunięte – powiedział w zamyśleniu.

– Zgodnie z rozkazem – odparł podoficer dyżurny. – Rzemieślnicy baterii wstawili nową szybę i naprawili uszkodzony sufit.

– Czy znaleziono kulę?

– Tak jest – powiedział podoficer dyżurny. Wyciągnął niezbyt czystą chustkę do nosa, wyjął z niej jakiś przedmiot z ołowiu i stali wielkości niedopałka papierosa. – Kula karabinowa – powiedział.

Szef ożywił się nagle i wyprostował na krześle: – Jesteście pewni, że to kula karabinowa? – zapytał.

– Absolutnie – powiedział podoficer dyżurny. – Typowa dla karabinu 98 k. Zbrojmistrz Wunderlich jest tego samego zdania.

Schulz sięgnął po ów mały kawałek ołowiu i stali. Zrobił to niechętnie, jak gdyby ze wstrętem. Położył zniekształconą kulę sną biurku i zapytał sam siebie: „Czyżby jednak? To byłoby niesłychane! Skutki nie dałyby się przewidzieć, w takim razie nie wolno mi było zatrzeć śladów. Ale wszystko to są przecież bzdury!”

– W porządku! – powiedział odrywając się siłą od ponurych myśli. – Ci dwaj, którzy się zgłosili jako chorzy, niech się tu później zjawią. Będziemy to konsekwentnie stosowali w dalszym ciągu. – Zwrócił się do pisarza: – Frost, przygotujcie rozkaz baterii w tej sprawie. Ci, którzy w przyszłości zgłoszą się jako chorzy, mają bezpośrednio po zbadaniu meldować mi się osobiście. Chyba, że który wykituje albo ma stwierdzoną chorobę zakaźną.

Frost odpowiedział: – Tak jest, panie szefie. – Nie powiedział tego tonem zbyt rzeźkim, przeciwnie, raczej miękki i ospały; jako żołnierz był zerem, ale jako siła kancelaryjna, zwłaszcza dla Schulza, osobnikiem nie do zastąpienia.

Szef zajął się teraz sprawdzaniem kolorowych i kopiowych ołówków, czy są zgodnie z rozkazem odpowiednio zatemperowane i czy leżą w należyтым porządku. Leżały w porządku. Podoficer dyżurny uznał, że może odejść, zasalutował i znikł. Przed Schulzem stał tylko jak posąg kapral Lindenberg.

– No, a wy? – zapytał szef niełaskawie. Widok tego super-żołnierza Lindenberga, tego żelaznego, nieprzekupnego kaprala działał nań zawsze prowokująco. – Czymże to chcecie mnie znowu zadziwić?

– Przyniosłem raport, panie starszy ogniomistrzu.

– Pokażcie ten świstek.

Lindenberg położył na biurku szefa śnieżnobiały papier, zapisany dużymi, pięknie wykaligrafowanymi literami.

Szef rzucił z początku na raport przelotne spojrzenie, potem zdumiał się, wypro-

stował i utkwiał wzrok w oczach Lindenberga, Lindenberg zniósł to spojrzenie bez drgnienia powiek. Po chwili Schulz zaczął czytać słowo za słowem, powoli i wyraźnie:

RAPORT

Przedstawiam bombardiera Herberta Ascha do ukarania, gdyż dzisiaj rano, piętnaście minut po pobudce, leżał prowokacyjnie w łóżku, a zapytany przeze mnie, wykazał brak dyscypliny, przy czym nie zwracał się do mnie w trzeciej osobie i użył w stosunku do mojej skromnej osoby takich określeń, jak „dozorca” i „poganiacz niewolników”, i to w obecności innych żołnierzy.

LINDENBERG,
KAPRAL.

Starszy ogniomistrz Schulz milczał długo. Potem powiedział: – Lewy margines, który zostawiliście na raporcie, jest za mały. Nie mogę w tej formie zarejestrować tego papierka.

Lindenberg nie zdradził ani słowem, że ta uwaga starszego ogniomistrza wstrząsnęła nim do głębi. Nie oczekiwał tego zarzutu natury formalnej i z pewnością nań nie zasłużył. To prawda, lewy margines powinien mieć szerokość pięciu centymetrów, ale Lindenberg mógł dać za to swoją głowę, że miał nie mniej niż cztery centymetry.

– A co rozumiecie – zapytał starszy ogniomistrz – przez słowa: „leżał prowokacyjnie w łóżku?”

– Obnażył dolną część ciała i patrzył na mnie wyzywająco. Schulz potrząsnął z niezadowoleniem głową. Rzucił raport na biurko, uderzył po nim dłonią. – Możecie na to przysiąc? – zapytał.

– Tak jest, panie starszy ogniomistrzu – powiedział podoficer prężąc się jak struna. – Mam na to świadka.

– Kogo?

– Bombardiera Kowalskiego, panie starszy ogniomistrzu.

– I kogo jeszcze?

– Tylko bombardiera Kowalskiego, panie starszy ogniomistrzu.

– W takim razie – powiedział Schulz – złożyliście fałszywy raport. Piszecie bowiem: „w obecności innych żołnierzy”. „Inni” to co najmniej kilku, a gdyby to, co rzekomo miało się stać, a co nie jest jeszcze dowiedzione, rozegrało się przed większą ilością żołnierzy, byłby to bunt. I nagle okazuje się, że obecny był tylko jeden. Lindenberg – co wy sobie właściwie myślicie?

Lindenberg poczuł się zaskoczony i przechytzony. Nie dorósł do metod swego szefa, a gdyby nawet dorósł, poczucie dyscypliny zapewne nie pozwoliłoby mu na okazanie tego.

Starając się opanować odpowiedział: – Ale to, panie starszy ogniomistrzu, nie zmienia w niczym wyrazów, którymi się bombardier Asch posłużył.

– Chcecie mnie pouczać? – zapytał Schulz ostro.

– Nie, panie starszy ogniomistrzu.

Starszy ogniomistrz znowu uderzył dłonią w raport. – Idiotyczna sprawa! – zawołał wściekły. – Jesteście przekonani, że się nie pomyliliście?

– Nie, panie starszy ogniomistrzu.

– A więc nie jesteście przekonani, żeście się nie pomylili?

– Nie pomyliłem się, panie starszy ogniomistrzu. Schulz wstał i podszedł do swego kaprała.

– Lindenberg – powiedział poufale. – Ten bombardier Asch jest bądź co bądź wcale przydatnym żołnierzem. Nigdy dotychczas nie zachowywał się w taki sposób. Możeście go podrażnili, a może przesłyszeliście się, może miał coś zupełnie innego na myśli.

– Nie, panie starszy ogniomistrzu.

– Posłuchajcie uważnie, Lindenberg. Nie przywiązuję wielkiej wagi do takiego raportu. Można to załatwić inaczej. Dajcie mu taką szkołę, aż mu się woda w tyłku zagotuje, aż go złożycie wpół jak scyzoryk. Chętnie wam w tym dopomogę. No, jakże? Ciągłe obstajecie przy swoim raporcie?

– Tak jest, panie starszy ogniomistrzu.

– A gdybyście chcieli mi wyświadczyć osobistą grzeczność?

– Bardzo ubolewam, panie starszy ogniomistrzu – powiedział Lindenberg niezłomnie – ale muszę nalegać na rozpatrzenie mego raportu.

– A więc dobrze! – ryknął Schulz. – Niech i tak będzie. Skoro inaczej nie chcecie, zbadamy bliżej tę sprawę. Ale niech was Bóg ma w swojej opiece, jeżeli wasz raport nie będzie we wszystkich punktach jak najbardziej ścisły. A teraz w tył zwrot i dajcie mi tutaj Kowalskiego i Ascha. Ale piorunem!

Lindenberg zasalutował wspaniale i ruszył z kopyta.

Schulz, wściekły, popędził do telefonu. Frost, który go spode łba obserwował, wiedział dokładnie, dlaczego szef chciał ukreścić łeb temu raportowi. Miał po temu zupełnie specjalne powody. Frost był przekonany, że Schulz każe się teraz połączyć z szefem kancelarii dywizjonu.

– Proszę o sztab dywizjonu – powiedział Schulz do słuchawki. – Szefa kancelarii, starszego ogniomistrza Köhlera. Tu Schulz, trzecia bateria. Słuchaj no, Köhler, posłałem ci przed kilkoma dniami wnioski awansowe na podoficerów. Tak, mam właśnie, te na myśli. Czy mogę je dostać z powrotem? U majora w tece? Wyciągnijże je po prostu. Muszę tam jeszcze coś poprawić. Niemożliwe? Major już je widział? I już podpisał? Wyjdzie z tego świństwo, Köhler. Wybrał sobie nieodpowiednią chwilę. Ale ja już jakoś tę sprawę wygładzę.

Wolnym ruchem Schulz odłożył słuchawkę, Ładna chryja! Opadł na szerokie, wygodne krzesło i głęboko zamyślony patrzył na biurko. Leżał na nim w dalszym ciągu ów denerwujący kawałek stali i ołowiu, który był kiedyś kulą i który ktoś wystrzelił z karabinu 98 k. Ale kto? Do kogo? Człowiek musi się tu ciągle irytować!

Znowu zjawił się Lindenberg i zameldował, że na korytarzu czekają bombardier Kowalski i bombardier Asch.

– Najpierw Kowalski – rozkazał starszy ogniomistrz.

Kiedy Kowalski wszedł z uprzedzająco grzecznym uśmiechem do kancelarii, Schulz zapytał go bez żadnych wstępów: – Czy w waszej obecności bombardier Asch nazwał kaprala Lindenberga „dozorcą i poganiaczem niewolników”?

– Nie, nic takiego nie słyszałem – odpowiedział bombardier Kowalski z niewinną miną.

– Przecież byliście przy tym – zawołał Lindenberg tracąc panowanie nad sobą.

– Przy czym miałem być? – zapytał Kowalski.

– Przypomnijcie sobie – dziś rano w izbie.

– Nie wtrącajcie się nie pytany, Lindenberg – zganił Schulz surowo swego kaprala. Przebieg rozmowy bardzo mu odpowiadał. Cieszył się, że Lindenberg stracił panowanie nad sobą i zbladł.

– Jakże to było, mój drogi Kowalski? – zapytał szef bombardiera. – A więc nic podobnego nie słyszeliście?

Bombardier uśmiechał się w dalszym ciągu jak niewiniątko. – W ogóle nic nie słyszałem, panie szefie, w każdym razie żadnych szczegółów. Pan kapral prowadził z bombardierem Aschem ożywioną rozmowę, to prawda. Ale o czym mówili, tego nie wiem. Przecież nie będę się mieszać do obcych rozmów.

– Ale musieliście słyszeć! – zawołał Lindenberg ostrym głosem.

– Dlaczego musiałem, panie kapralu?

Lindenbergowi załamał się głos, coś ścisnęło go za gardło. – Bezczelny kłamca! – zawołał.

– Panie kapralu Lindenberg! – ryknął starszy ogniomistrz – wypraszam sobie wszelkie zniewagi słowne w mojej obecności. Straciliście zupełnie panowanie nad sobą, człowieku! Czy jesteście chorzy?

– Panie starszy ogniomistrzu, ja... ja... muszę prosić... proszę o... to...

– Panie kapralu Lindenberg, ja sam prowadzę tu śledztwo. Wypraszam sobie jakiegokolwiek wtrącanie się. Gdzie wasze zdyscyplinowanie? Straciliście zupełnie równowagę. Udacie się natychmiast do swego pokoju i zaczekacie tam na moje dalsze rozkazy.

Lindenberg odmaszerował sztywnym krokiem. Starszy ogniomistrz popatrzył za nim z nieopisanym zadowoleniem. Uważał, że odniósł wielkie zwycięstwo. Rozpromieniony kiwnął głową.

– Mój drogi Kowalski – powiedział do bombardiera, który stał przed nim,, bacznie się wszystkiemu przysłuchując. – Zeznania wasze są dla mnie bardzo wartościowe. Jesteście oczywiście gotowi zaprzysiąc je w każdej chwili, prawda?

– Naturalnie, panie szefie.

– Dobrze, mój drogi. Możecie na razie odejść. Ale pozostańcie w pobliżu, może

będziecie mi jeszcze potrzebni. Niech teraz wejdzie bombardier Asch.

Kowalski ulotnił się, do kancelarii wszedł Asch. – Podejdźcie bliżej, Asch – powiedział starszy ogniomistrz spoglądając na bombardiera łaskawie. – Mam tam raport kaprała Lindenerga. Znacie jego treść? Pięknie... Lindenberg twierdzi, że nazwaliście go dozorcą, a nawet poganiaczem niewolników. Co wy na to?

– Zgadza się, panie szefie – powiedział Asch z chytrze podkreśloną uprzejmością. Schulz drgnął. – Co się zgadza?

– Nazwałem kaprała Lindenerga poganiaczem niewolników. Jest nim przecież.

– Czy źle słyszę? – zapytał Schulz bezgranicznie zdumiony. – Nie mówicie chyba tego serio?

– A właśnie, że mówię serio – powiedział Asch. – Bo to jest prawda.

– Ostrzegam was, Asch.

– Przed czymże to? Do mnie nikt strzelać nie będzie.

– Co takiego?

– Ale jeżeli ktoś znowu do pana strzeli, a mam wrażenie, że nie będzie pan musiał na to zbyt długo czekać, jest rzeczą zupełnie możliwą, że strzelec lepiej wyceluje. Przecież trafić w pana nie jest zbyt trudno. Jest pan doskonałą tarczą. Ale co się z panem dzieje? Niedobrze panu? Gdybym był na pana miejscu, często byłoby mi niedobrze. Rzygać by mi się chciało.

Starszy ogniomistrz Schulz podniósł się i wyciągnął ręce, jak gdyby chciał rzucić klątwę. – Jesteście aresztowani – powiedział. Brzmiało to niemal uroczyście.

Kapitan Derna, który w swej prywatnej siedzibie pił właśnie „małą kawę”, składającą się z pięciu pełnych filiżanek, spojrzął ze zdenerwowaniem na zegarek. – Nie ma jeszcze mego wozu?

Pani Behrends, wdowa Behrends w dostojnym wieku, ale dobrze zakonserwowana, u której Derna mieszkał, uspokajała go. – Wóz przyjeżdża zawsze punktualnie, jest dopiero za dziewiętnaście minut dziewiąta.

– Punktualny żołnierz zjawia się zawsze o pięć minut wcześniej – odpowiedział kapitan Derna. Zapamiętał sobie to północnoniemieckie powiedzonko, prawdopodobnie pruskiego pochodzenia. Podobało mu się. Stał przy oknie, patrzył na ulicę i niecierpliwił się. Wdowa Behrends, która z oddaniem opiekowała się prywatnym życiem szarmanckiego pana z marchii wschodniej, potępiał ten poranny niepokój; widziałaby go chętnie raczej o innej porze i w innej sytuacji.

Ale Derna każdego ranka widział przed sobą jeszcze jeden nowy dzień, który może przynieść trudności, nieprzyjemności, mylne posunięcia, błędne sądy. Przebywanie w Prusach nie było dlań rzeczą łatwą. Używając tutejszych określeń, musiał się mocno trzymać w cuglach, jeżeli nie chciał niepotrzebnie podpaść. Okrętem, który powierzono jego pieczy, trzeba było sterować wśród raf. Najpewniej było czekać na przychylną pogodę i płynąć z całą ostrożnością. A przede wszystkim unikać jak ognia majora Bulwy.

– Wóz zajechał – powiedziała pani Behrends. Podbiegła do kapitana Derna ze szczotką do ubrania, tropiąc każdy pyłek czy włoszek. Czyściła mundur z zamięłowaniem, poczynając od mocno wywatowanych ramion, na obcisłym siedzeniu kończąc.

Derna nie należał już do najmłodszych, ale warto było popatrzeć, jak elastycznie schodzi ze schodów, wsiada do swego samochodu i odpowiada na ukłon kierowcy. Chciał go zganić, ale zrezygnował z tego, bo przecież wóz nie spóźnił się właściwie. Poza tym byłoby rzeczą niemądrą, bliską niemal próbie samobójstwa, gdyby się posunął do zbyt gwałtownej nagany! Kierowca mógłby stracić pewność i zaufanie do siebie, mógłby go chwycić lęk, no i mogłoby dojść do ciężkiego wypadku.

– Do koszar – rzucił kapitan Derna. – Po drodze zajedziemy po doktora Sämiga.

– Rozkaz, panie kapitanie – powiedział kierowca. Uważał, że rozkaz ten jest najzupełniej niepotrzebny, gdyż Derna wydawał go tym samym tonem i w tym samym brzmieniu każdego ranka. Zapуścił silnik i ruszył. W oknie na górze ukazała się pani Behrends; firanka poruszała się gwałtownie, jak gdyby gospodyni pozdrawiała nią odjeżdżającego.

Derna siedział w samochodzie po prawej stronie, wyprostowany jak świeca. Wydawało się, że jest do wozu przyśrubowany. Przy ulicy SA czekał już przed swoim domem lekarz dywizjonowy. Jak każdego ranka kapitan Derna zawołał ciepło i serdecznie: – Dzień dobry, panie kolego!

– Dzień dobry, panie kapitanie – odpowiedział lekarz niemniej serdecznie. Potem wsiadł szybko do wozu i ulokował się po lewej stronie Derna. Wóz ruszył dalej.

Kapitan Derna, który tutaj, na „surowej” północy, czuł się nieco osamotniony, starał się zdobyć przyjaźń lekarza dywizjonowego, i wyglądało na to, że mu się to udało. Wiedeńczyk Derna, który musiał się tu aklimatyzować, co mu przychodziło diablo ciężko, nie był przez kolegów oficerów traktowany jako jednostka całkowicie pełnowartościowa. To samo odnosiło się do lekarza dywizjonowego, doktora Sämiga, który należał do niższej kategorii oficerów i był bezsprzecznie figurą drugorzędną. Stan godny pożałowania, ale zrozumiały. Tak tedy obydwaj szukali się nawzajem i znaleźli. Jeden podtrzymywał drugiego.

– Piękny dzień – powiedział Derna.

– Będzie mało chorych – zauważył Sämig.

Samochód opuścił śródmieście i wjechał na szosę prowadzącą do koszar. Kapitan i lekarz dywizjonowy czuli, jak dobrze się rozumieją, choć niewiele ze sobą mówią. Kierowca zwiększył tempo, by prędzej dotrzeć do celu. Chciał się pozbyć swego bagażu, by resztę dnia spędzić na myciu i czyszczeniu samochodu, co było równoznaczne z niezmaconą drzemką.

Wartownik otworzył szeroko bramę nie kontrolując wozu. Zawołał przez okno do wartowni: – Dowódca trzeciej i lekarz dywizjonowy. – Po czym zaczęła natychmiast funkcjonować telefoniczna służba ostrzegawcza.

Wóz zatrzymał się przed dowództwem dywizjonu, aby wysadzić doktora Sämiga.

Zanim jednak lekarz dywizjonowy zdążył pożegnać się z kapitanem Derna, otworzyło się nad nimi okno, w którym pojawiła się twarz majora Luschke.

– Dzień dobry, moi panowie! – zawołał major Luschke i cierpliwie czekał, co się teraz przed jego oczyma rozegra.

Kapitan Derna zorientowawszy się natychmiast, że nie może przecież powitać dowódcy z wozu, w pozycji siedzącej, wstał szybko i wysiadł. Potem dopiero podniósł głowę wysoko w górę i zasalutował. Doktor Sämig uczynił to samo.

Major Luschke, Bulwa, uśmiechnął się sarkastycznie. Ciągłe jeszcze czekał z niezmaconym spokojem. Nie robił absolutnie nic, patrzył tylko w dół.

Kapitan Derna był wyraźnie zakłopotany. Po prostu nie wiedział, co ma teraz zrobić. To samo odczuwał doktor Sämig. Co mają robić? Czy znowu zasalutować i oddalić się, wobec tego, że dowódca dywizjonu nie zdradza chęci do rozmowy z nimi? Czy też czekać, aż przełożony, który ich przecież zawołał, pozwoli im odejść.

Nieobliczalny Luschke wyraźnie rozkoszował się nerwowym niezdecydowaniem obu swoich oficerów. Nie mówił nic w dalszym ciągu i patrzył tylko z zainteresowaniem w dół. Wtedy kapitanowi Dernie przyszedł do głowy pomysł, który uznał po prostu za pruski. Zameldował: – W trzeciej baterii nic ważnego nie zaszło.

Luschke rozpromienił się. – Skąd pan to właściwie wie, panie kapitanie? – zapytał słodziutkim głosem. – Ma pan w domu telefon? Był może u pana dziś rano szef baterii, a może wstępował pan już wcześniej do koszar?

– Nie, panie majorze – wyjąkał Derna starając się zachować postawę.

– Ach! – zawołał z zadowoleniem dowódca dywizjonu. – Więc zapewne jest pan jasnowidzem.

Zaskoczony tym Derna milczał. Marzył o tym, by się zapaść pod ziemię. Ten major Luschke był jego wieczną udręką, przyczyną ciągłych upokorzeń, stawiał go wobec coraz to nowych niespodzianek.

– W każdym razie – powiedział major Luschke na górze przy oknie – tym razem coś przynajmniej wpadło panu do głowy. To wyraźny postęp. Ale wydaje się, że nasz pocziwy doktor stracił zupełnie głowę. Może pan podda się badaniu, doktorze.

Po tych słowach Bulwa uśmiechając się szyderczo opuścił okno, pozostawiając na dole swych obu zbitych z tropu paladynów. Kierowca, który się temu wszystkiemu przysłuchiwał, śmiał się pod nosem bez najmniejszej żenady.

Doktor Sämig żegnając się z kapitanem powiedział: – Najserdeczniej dziękuję.

– Ależ nie ma za co, panie kolego – odparł kapitan Derna i spróbował ukłonić się z nie mającą równej sobie elegancją starych austriackich kawalerów, co mu się jednak tym razem niezupełnie udało. Potem powiedział do swego kierowcy: – Do baterii.

Kierowca nie myślał nawet o tym, by powiedzieć „Rozkaz!”, nawet nie kiwnął głową, uważając to za zbyteczne. Uśmiechał się tylko dalej bez żenady i ruszył z miejsca, zaledwie tylko Derna wsiadł do wozu. Po chwili zahamował gwałtownie

przed wejściem do bloku trzeciej baterii.

– Dziękuję, mój drogi – powiedział kapitan Derna, który tymczasem wrócił do równowagi. Rzucił okiem na promiennie błękitne niebo, na zieloną murawę, na świeżo oczyszczoną jezdnię. Miał wrażenie, że wszystko znajduje się w najlepszym porządku.

Ciągle tym samym elastycznym krokiem wszedł po schodach na górę, minął szeroko otwarte wahadłowe drzwi, przeszedł przez pusty korytarz i zatrzymał się przed kancelarią. Stał tam podporucznik Wedelmann, który przyłożył rękę do czapki.

– Dzień dobry, drogi panie podporuczniku Wedelmann! – zawołał Derna tonem bardzo koleżeńskim. – Cieszę się, że pana widzę.

– Dzień dobry, panie kapitanie – odpowiedział sztywno Wedelmann. – Czy mogę z panem kapitanem pomówić?

– Ależ oczywiście, mój drogi. Niech pan wejdzie do mego służbowego pokoju. – Po chwili ogarnął go pewien lęk i zapytał: – Miejmy nadzieję, że to nic nieprzyjemnego?

– Niestety, panie kapitanie powiedział Wedelmann. – Bardzo mi przykro...

Derna, który zaczął już zapominać o incydencie z majorem Luschke, znowu poczuł się nieswojo. Mrużąc oczy patrzył z rozczarowaniem na promienie słońca przenikające przez okna korytarza. – Chodźmy – powiedział.

Weszli do kancelarii. Szef baterii czekał już tam na nich. Kilku żołnierzy wyprostowało się. – Baczności – krzyknął Schulz stuknąwszy obcasami. Wyběbnił płynnie swój poranny meldunek. Przy końcu powiedział: – Bombardier Asch aresztowany.

– Ach tak! – mruknął Derna tylko po to, by coś powiedzieć. Wyłowił z kieszeni spodni śnieżnobiałą chustkę do nosa, ale nie zrobił z niej użytku. Spojrzał dokoła. Wyprostowany szef wyglądał na boga zemsty, pisarz warował z pobożną miną, kapral Lindenberg stał już znowu jak pomnik ze spiżu, a w kącie tkwił bombardier Asch.

– Ach tak! – powiedział Derna po raz drugi.

– Przychodzę w tej samej sprawie – oświadczył podporucznik Wedelmann.

Kapitan zmiął nerwowo chustkę do nosa. Był nie tylko zmartwiony, ale przede wszystkim przerażony. Nie chciał jednak przyznać się do tego. Na razie wstrzymywał się od zajęcia jakiegokolwiek stanowiska. Było to podyktowane nie tylko jego doświadczeniem, ale również tym, że mu w pierwszej chwili nic nie przychodziło do głowy.

– Proszę iść za mną – powiedział po jakimś czasie. Wszedł pierwszy do swego służbowego pokoju, za nim Wedelmann i Schulz. Wszyscy milczeli.

Kapitan rzucił na biurko rękawiczki, zdjął czapkę i oddał ją w ręce szefa, odpiął pas, który również wręczył szefowi. Ten powiesił powierzone mu przedmioty na szaragach umieszczonych nad drugimi drzwiami, obitymi wojłokiem, które prowadziły wprost na korytarz.

Derna usiadł, wyciągnął papierosa, Schulz podał mu usłużnie ogień. Podporucznik Wedelmann stanął w oknie udając, że przez nie wygląda. W pokoju panowała przygniatająca cisza.

Kapitan Derna zorientował się, że nie może już dłużej milczeć i że musi przystąpić do zadawania pytań. – Czy dobrze przed chwilą słyszałem? – zapytał szefa baterii. Pan aresztował bombardiera Ascha?

Zanim Schulz zdążył odpowiedzieć, wmieszał się podporucznik Wedelmann. – Aresztowanie jest nonsensem – powiedział. – Na to, żeby kogoś aresztować, trzeba mieć przekonujące podstawy albo niedwuznaczny rozkaz. W tym wypadku nie ma ani jednego, ani drugiego. Określam to jako nadużycie władzy. Można to również nazwać nieuzasadnionym pozbawieniem wolności.

Schulz chciał zaprotestować, ale Derna nie pozwolił na to ruchem ręki. Otarł szybko pot, od którego lśniła jego uprzejma twarz kawiarnianego bywalca.

– Drogi panie podporuczniku Wedelmann – powiedział uprzedzająco grzecznie – wysoko sobie cenię pańskie nadzwyczajne wiadomości. Zanim się jednak nimi posłużę, proszę mi pozwolić działać metodycznie. Panie starszy ogniomistrzu, proszę o poinformowanie mnie, co skłoniło pana do dokonania tego aresztu.

– Nie jest to oczywiście, panie kapitanie, prawdziwy areszt, taki z kajdankami i celą więzienną. Bombardier Asch stoi w kancelarii bez straży, a więc nawet włos nie spadł mu z głowy.

– Niechaj mi wolno będzie zwrócić uwagę – wtrącił Wedelmann – że ze stanowiska czysto prawnego całkowicie wystarczy wypowiedzenie słowa „aresztowanie”. Od tej chwili aresztowany staje wobec całkowicie zmienionej, żeby tak powiedzieć, zaostrej sytuacji prawnej. Na przykład przy próbie ucieczki można użyć w stosunku do niego broni palnej bez ostrzeżenia. Nakładanie aresztowanemu kajdanków lub zamykanie go nie jest wcale konieczne.

– Nie powiedziałem – bronił się namiętnie Schulz – „jesteście aresztowani”. Powiedziałem jedynie: „każę was aresztować”.

– Nawet do tego – oświadczył Wedelmann – nie ma pan najmniejszego prawa! Zresztą bombardier Asch utrzymuje, że powiedział mu pan bez ogródek: „jesteście aresztowani”.

– Panie kapitanie – powiedział Schulz dygocąc z furii. – Komu się tu właściwie bardziej wierzy? Starszemu ogniomistrzowi czy bombardierowi?

– Wyższy stopień służbowy – odparł Wedelmann zaczepnie – nie musi być równoznaczny z wyższymi wartościami charakteru.

– Ależ moi panowie! – zawołał Derna łagodząco. Znowu otarł czoło, policzki i szyję. Potężnie się pocił. – Zostawmy te teorie na później. Mam nadzieję, że rozumiecie, iż pragnę się dowiedzieć, co właściwie zaszło. A więc, panie starszy ogniomistrzu, na czym opiera się pańskie twierdzenie, że aresztowanie bombardiera Ascha byłoby ewentualnie pożądane?

– Panie kapitanie – powiedział szef, który z trudem panował nad oburzeniem – już wczoraj szef kuchni złożył raport o niezdyscyplinowanym zachowaniu się bombardiera Ascha. Uważałem ten raport za nieistotny i odrzuciłem go.

– Co dowodzi niedwuznacznie – wtrącił Wedelmann – że sam nie wierzy pan w to wszystko, co nam pan tu przedstawia.

– Panie podporuczniku, proszę pana – powiedział błagalnie Derna.

Starszy ogniomistrz Schulz starał się z powodzeniem nie widzieć Wedelmanna i nie słyszeć jego uwag.

– Raport szefa kuchni będzie przedstawiony, poza tym mamy raport kaprała Lindenberg. Proszę.

Derna wziął z wahaniem raport, który mu położył na biurku starszy ogniomistrz. Przeczytał go z niechęcią i mruknął: – Aha!

– Muszę tu zaznaczyć – oświadczył Wedelmann – że rzekomy świadek koronny bombardier Kowalski nie słyszał nic, ale to literalnie nic z tego, co w myśl swego raportu miał rzekomo słyszeć kapral Lindenberg.

– Bombardier Kowalski to łobuz – powiedział starszy ogniomistrz. – Tymczasem kapral Lindenberg należy do najlepszych podoficerów baterii, jeżeli nie pułku. Włożyłbym za niego rękę w ogień. Można się w całej pełni zdać na niego.

– To bezmyślny chłop – powiedział Wedelmann. – Nie umie wyjść poza najbliższy przepis. Jest ślepy i głuchy, potyka się o byle śmieć.

– Taki jest pogląd pana podporucznika – powiedział z wściekłością starszy ogniomistrz. – Dla nas podoficerów jest zawsze rzeczą ciekawą wiedzieć, co sobie o nas myśli jakiś podporucznik.

– Ja bardzo proszę! – powiedział Derna ostrym głosem, pozostawiając, jak mu się wydawało, w sposób bardzo sprytny sprawę otwartą, kogo to właściwie chciałby „bardzo prosić”.

– Panie kapitanie – powiedział Schulz – najważniejsza jest przecież to, że bombardier Asch wcale nie przeczy, iż użył takich wyrażen, jak „dozorca” i „poganiacz niewolników”.

– Panie kapitanie – odezwał się znowu podporucznik, Wedelmann – bombardier Asch nie jest w gruncie rzeczy wcale odpowiedzialny za to, co miał rzekomo powiedzieć albo powiedział. Został rozdrażniony do najwyższego stopnia. Reaguje teraz jak byk, a pewien rodzaj instruktorów działa na niego jak czerwona płachta. Należałoby go zostawić w spokoju, wtedy sprawa sama się ułoży. Po prostu nie przyjmować tego do wiadomości. Poszedłbym w tej sprawie tak daleko, że powiedziałbym: Asch jest pod tym względem po prostu niepoczytalny.

– Aha! – powiedział kapitan Derna, któremu zaczęło się już wszystko mieszać w głowie.

– Mogę go tu zawołać – zaproponował szef. – Wtedy pan kapitan będzie mógł sam zobaczyć, czy zwariował, czy nie.

– Odradzam! – powiedział Wedelmann z niezwykłą powagą.

– A ja nie – oświadczył starszy ogniomistrz.

Derna nerwowo zaciskał palce. Zgniół papierosa, sięgnął po drugiego, zapalił go.

– Ciągle jeszcze nie rozumiem, dlaczego bombardier Asch ma być na podstawie tego raportu aresztowany.

– To jeszcze nie wszystko, panie kapitanie. Ten łajdak strzelał do mnie wczoraj.

Wedelmann zareplikował bardzo gwałtownie: – Starszy ogniomistrzu, gada pan głupstwa!

Derna opuścił z przerażenia tylko co zapalonego papierosa, jak gdyby sparzył sobie nim gwałtownie palce. Papieros leżał na blacie biurka wżerając się w nie. Rozeszła się woń spalonego lakieru. Ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Co też pan opowiada? – zapytał kapitan, – Strzelał do pana i ja teraz dopiero dowiaduję się o tym? Jakże to możliwe? Skąd miał naboje?

– Pan się chyba dobrze nie wyspał – powiedział pogardliwie Wedelmann do Schulza.

– Może lepiej od pana, panie podporuczniku – odparł ten zuchwale. – Mego mieszkania nie opuściła o ósmej rano żadna młoda dziewczyna.

– Pan chyba zwariował! – zawołał Wedelmann.

– Wiem dokładnie, co mówię! – ryknął Schulz nie panując nad sobą. – Przypominam tylko, na co sobie pan pozwolił w nocy ze środy na czwartek, panie podporuczniku!

– Spokój! – próbował Derna krzyknąć z całej siły. Ale głos jego załamał się na wysokim, piskliwym tonie. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy. Był z początku zbity z tropu, później potężnie zdziwiony. Popatrzył na zdumione twarze podporucznika i starszego ogniomistrza.

– Moi panowie – powiedział kapitan Derna – muszę stanowczo prosić o umiar. Mam dużo zrozumienia dla waszego temperamentu, ale musicie mi pozwolić, żebym sobie sam wyrobił sąd o tej sprawie. Dotychczas bowiem nie wiem nic, ale to literalnie nic. Niechże mi panowie pozwolą działać metodycznie. Czy nie byłoby wskazane, żebyśmy tak wprowadzili bombardiera Ascha?

Derna czekał na sprzeciw, który jednak nie nastąpił. Wedelmann odwrócił się ze wstrętem i wyglądał przez okno. Schulzowi było to na rękę. Podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał: – Bombardier Asch do dowódcy baterii!

Bombardier Asch przestąpił próg służbowego pokoju dowódcy baterii. Rozejrzał się dokoła. Nie zdziwił się, że Wedelmann unika jego wzroku. Nie zdziwił się również, że Schulz ma taką minę, jakby go chciał pożreć. Potem zaczął przyglądać się kapitanowi Derna.

– Bombardierze Asch, mam tu przed sobą raport kaprala Lindenbergga. Znacnie jego treść?

– Treść jest zgodna z prawdą – odparł Asch. – Na życzenie jestem gotów wyjaśnić

sprawę bliżej.

– Odpowiadajcie tylko na zadawane wam pytania – powiedział surowo Schulz.

– Chciałbym wiedzieć – informował się Asch – kto tu właściwie zadaje pytania, pan czy pan kapitan?

– Ja tu pytam – oświadczył Derna nie bez dumy. – I ja was zapytuję, czy przyznajecie się, żeście strzelali do starszego ogniomistrza.

– Ten, kto tak twierdzi, wyssał sobie to twierdzenie z palca.

– Chcecie przeczyć? – zapytał Schulz groźnie. – Macie dość czelności, by przedstawić mnie tutaj w oczach mego szefa jaku kłamcę?

– To przecież nie ma nic wspólnego z czelnością.

– Skąd w ogóle wiecie, że strzelano? – Schulz przejął całe dochodzenie w swoje ręce.

Derna nie zdążył zaprotestować, a Wedelmann wcale protestować nie myślał, gdyż przeczuwał, że wyjdzie z tego dla Schulza coś paskudnego, i życzył mu tego z całego serca.

– Skąd więc wiecie o tym?

– Wiadomo o tym w całej baterii. Dużo się o tym opowiada.

– A skąd wiadomo, że strzelano właśnie do mnie?

– Był pan jedynym, który znajdował się w zasięgu strzału. Poza tym uważam to za zupełnie naturalne. Prawie wszyscy żołnierze baterii są mego zdania. A niektórzy wyrazili wraz ze mną nadzieję, że strzelec następnym razem lepiej wyceluje.

– Pragniecie więc zwyczajnego morderstwa!

– Skądże znowu – powiedział Asch. – Zresztą nie byłoby to morderstwo, lecz raczej rodzaj samoobrony. Wcale nie chcemy, by został pan trafiony, pragnęlibyśmy jedynie, żeby się zwiększył pański strach. Bo musi pana przecież ogarniać strach na myśl o tym, że jest pan znienawidzony do tego stopnia, iż ktoś odważył się nawet wziąć pana na cel, a na dobitkę – iż wielu nie tylko przechodzi nad tym do porządku, ale jeszcze się z tego cieszy.

– Pan kapitan słyszy na własne uszy! – zawołał Schulz pieniąc się z wściekłości. – To banda morderców!

– Jesteśmy co najwyżej produktem pańskiego wychowania – rzekł Asch. – To panu wreszcie powinno dać do myślenia. Niech to będzie dla pana nauką. Przydałoby się!

– Dosyć! – zawołał kapitan Derna. – To więcej niż dosyć. – Ręce mu latały, twarz miał skąpaną w pocie, ale nie myślał o tym, by ją obetrzeć. Przed oczyma miał jakby zasłonę, czuł się bezgranicznie wyczerpany.

– Wyjdźcie, bombardierze Asch – powiedział Wedelmann. Asch spojrział przelotnie na podporucznika i opuścił pokój z obojętną na pozór miną. Oparł się o ścianę. Było mu marnie na duszy. Ale się uśmiechał.

– Niemożliwa sytuacja – powiedział Derna słabym głosem. – Całkowicie niemoż-

liwa sytuacja.

– Proponuję doniesienie karne – powiedział starszy ogniomistrz.

– Nonsens – oświadczył podporucznik Wedelmann. – Materiał jest niewystarczający.

– Już to, co powiedział o strzelaninie – twierdził Schulz – wystarczy, by go postawić przed sądem wojskowym.

– Wcale nie wystarczy – rzekł Wedelmann. – Słuchałem uważnie. Nie padło żadne twierdzenie, nie mówiąc już o przyznaniu się do jakiejś winy. Wszystko, co powiedział, określić trzeba jako hipotezy, rozważania i życzenia.

– Całkowicie niemożliwa sytuacja – powtórzył kapitan Derna. Był bezradny i nawet nie zadawał już sobie trudu, by to ukryć.

– Byłoby bardzo pożądane, panie kapitanie, zastanowić się nad tym, kto tę sytuację stworzył.

– Któż, jeżeli nie ten Asch! – zawołał Schulz oskarżycielskim tonem.

– Nie podzielam pańskiego zdania – odparł ostro Wedelmann. – Wina nie leży po stronie Ascha.

– Może po mojej!

– Będzie pan to uważał za niemożliwe, ale tym razem ma pan rację.

Kapitan Derna potrząsnął głową i powiedział: – Niesłychanie przykra sytuacja! I tego Ascha przedstawiliśmy do awansu na podoficera!

Dla Wedelmanna była to nowina pierwszej klasy. – To niesłychane! I któż to wpadł na ten pomysł?

– Ja – rzekł skromnie starszy ogniomistrz.

Wedelmann wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Cały się trząsał ze śmiechu, śmiał się aż do łez. Potem chwycił się za boki i zaczął pojękiwać z rozkoszy. – To najlepszy dowcip, jaki w moim życiu słyszałem – wystękał przerywanym basem.

Derna i Schulz nie mówiąc ani słowa patrzyli z śmiertelnie poważnymi minami na trzęsącego się od śmiechu podporucznika. Mieli wrażenie, że widzą jakiegoś groźnego potwora albo kłowna, który przez pomyłkę produkuje się na stypie.

– No cóż, pomyliliśmy się – powiedział szef. – To przykre. Ale teraz nie wolno nam tego brać pod uwagę.

Wedelmann otarł łzy z oczu. – A co będzie, jeżeli dowódca dywizjonu, podpisał już wniosek awansowy? Co będzie, jeżeli ukaże się on dziś w rozkazie dziennym dywizjonu?

– Trzeba go będzie cofnąć.

– Nie zna pan w takim razie naszego dowódcy dywizjonu. Z majorem Luschke nie da się tego zrobić.

– Przecież tu chodzi o żołnierza, który nie jest w porządku pod względem umysłowym! – zawołał Schulz. – Sam pan przecież powiedział, panie podporuczniku, że Asch jest niepoczytalny.

– To doskonałe rozwiązanie – oświadczył kapitan Derna, jak gdyby się obudził z długiego, męczącego snu. – Doskonałe wyjście z sytuacji – powtórzył z wzrastającym zapalem.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał Wedelmann nieufnie.

– Przyzna pan – powiedział z ożywieniem Derna – że to, co się tu stało, nie jest normalne. Nie da się to również załatwić w drodze postępowania dyscyplinarnego. Jeżeli przyznamy się do tego wszystkiego, co się tu stało, dojdzie do ogromnego skandalu.

Jeżeli natomiast będziemy mogli udowodnić, że u tego Ascha ma się do czynienia z pewnymi zaburzeniami umysłowymi...

– Panie kapitanie! – ostrzegawczo powiedział Wedelmann.

– ...z przejściowymi, jednorazowymi zaburzeniami umysłowymi, a więc z wykojeniem, które można zrozumieć i usprawiedliwić. Jeżeli potrafimy to udowodnić, wyjdziemy z tej afery cało.

– Jak sobie to pan kapitan wyobraża?

– Zupełnie prosto! – Derna płonął z podniecenia. Nareszcie ujrzał ład. Uważał swe odkrycie za genialne. – Widzicie, moi panowie – powiedział radośnie – mogę się poszczycić tym, że z lekarzem dywizjonowym, doktorem Sämigiem, pozostaję w najlepszych koleżeńskich stosunkach. Poproszę go po prostu, by się bliżej bombardierowi Aschowi przyjrzał, by go dokładnie zbadał i wziął pod swoją lekarską opiekę. Nie oponujcie, moi panowie. To najlepsze rozwiązanie. Zawieszamy nasze dochodzenie do chwili, kiedy będziemy mieli wyniki badań lekarza dywizjonowego. No, moi panowie, co wy na to?

Podporucznik i starszy ogniomistrz nie odpowiedzieli nic.

Czcigodny panie kapitanie – oświadczył lekarz dywizjonowy, doktor Sämig przez telefon. – Przed zobaczeniem pacjenta nie mogę oczywiście stawiać diagnozy. Przypadek, który mi pan opisał, mocno mnie interesuje jako lekarza. Co prawda jestem właściwie chirurgiem, ale procesy psychiczne, czcigodny panie kapitanie, dotychczas stale nie doceniane, budzą we mnie szczególne zainteresowanie.

Lekarz uśmiechał się uprzejmie i równocześnie z pewną wyższością. Potakiwał wszystkiemu, o czym go kapitan Derna uznał za stosowne poinformować. Rozumiał dobrze, o co tu chodzi. Przewidywał od dawna podobne przypadki, był na nie w zasadzie przygotowany.

– Najważniejsze jest – powiedział doktor Sämig – żeby pacjenta nie straszyć. Zalecam jak najstaranniejszą opiekę, nawet gdyby to przychodziło z trudnością. Nie wolno wymieniać rodzaju i nazwy choroby, nie należy nawet określać jej popularnymi zwrotami. Pacjent musi być przekonany, że chodzi tu tylko o zupełnie zwyczajne, całkowicie naturalne badanie, powiedzmy, w celu stwierdzenia zdolności do odbycia kary lub też skonstatowania, czy nie jest chory wenerycznie.

Doktor Sämig uśmiechał się przy telefonie. Dawał do zrozumienia, że czuje się,

żeby tak powiedzieć, zaszczycony, iż może być kapitanowi Dernie pomocny swymi wiadomościami z dziedziny medycyny. Oświadczył, że będzie dla niego prawdziwą przyjemnością uleczyć wyjątkowy przypadek za pomocą nowych zdobyczy medycyny lub przynajmniej doprowadzić do ścisłej diagnozy, – Proszę więc o przysłanie mi pacjenta. Nazywa się Asch, prawda?

Sämig odłożył słuchawkę ostrożnie, ruchem niemal czułym. Cieszył się naprawdę. Był pewien, że ma ku temu powody. Nareszcie będzie można przerwać denerwujący i męczący przebieg dnia i pokazać, co człowiek naprawdę umie. Może wtedy lekarz naczelny nareszcie zainteresuje się jego pracą i będzie mu powierzał bardziej zaszczytne zadania.

Doktor Sämig był lekarzem wojskowym przydzielonym do dywizjonu artylerii. W wojsku służył od dawna. Umiejętności chirurgicznych nabył jako zupełnie młody człowiek w ostatnich miesiącach wojny światowej. Odpiłowywał kości pod narkozą i bez narkozy – było to w czasach, kiedy bandaże z papieru i lekarstwa należały do rzadkości – z mniejszym lub większym powodzeniem. Po wojnie ukończył studia medyczne i został gdzieś tam lekarzem-asystentem. Miał zawsze pecha, natrafiał na przełożonych, którym nie było dane zorientować się w jego kwalifikacjach. Zameldował się do Reichswehry i został przyjęty.

Sämig zadzwonił na podoficera sanitarnego. – Czy izolatka jest wolna? – zapytał.

– Tak jest – odpowiedział podoficer sanitarny. – Separatka jest wolna.

– Wkrótce zostanie zajęta – obwieścił lekarz dywizjonu. – Proszę wszystko przygotować. Oddzielną kartę, poza tym zwykłe rubryki wstępnego badania: wzrost, waga, temperatura, puls, mocz. Nazwisko pacjenta: Asch, bombardier trzeciej baterii.

– Tak jest – odpowiedział podoficer sanitarny i wyszedł, by wszystkie te polecenia przekazać sanitariuszowi.

Sämig wstał i podszedł do swojej szafy z książkami. Z pewnym politowaniem spojrzął na podręczniki chirurgii stojące w górnym kącie na lewo. Znał je i nie cenił ich już, gdyż nigdy mimo licznych starań nie było mu dane pełnić służby w szpitalu wojskowym. Był i pozostał lekarzem jednostki wojskowej.

Dręczyło go to i nie krył się z tym, bo był ciągle świadom swoich istotnych wartości. Służba codzienna w jednostce napełniała go wstrętem. Jakież to nudne udzielać pierwszej pomocy, zapisywać pigułki, zaglądać ludziom do tyłków, przekazywać wenerycznie chorych do szpitala. Pod wpływem rozmów w kasynie próbował nadać służbie medycznej formy wojskowe: próbówki do badania moczu musiały stać w przepisowym porządku, chorzy musieli być przepisowo strzyżeni, przepisy służbowe wisiąły we wszystkich izbach, na korytarzach i w ubikacjach. W jednej z izb urządził izolatkę, kazał ją okratować i zaopatrzyć drzwi w podwójny rygiel. Wszystko to było bardzo piękne, można było o tym składać meldunki władzom wyższym, ale szło w końcu samo przez się i pozostało domeną podoficera sanitarnego.

Stojący przed szafą z książkami doktor Sämig otrząsnął się z uśmiechem ze wszystkich tych wspomnień i sięgnął po dwa wielkie tomiska. Zawłókł je na biurko. Popatrzył na nie, w spojrzeniu jego było coś, co można by nazwać tkliwością. Na grzbiecie pierwszej księgi widniał napis: „Psychoanaliza stosowana”. Na grzbiecie drugiej: „Zarys psychologii indywidualnej”.

Otóż to właśnie! To go jedynie interesowało. Nie pozwolono mu być chirurgiem, a nie chciał oglądać masowo członków męskich, o nie! Dążył do tego, aby być kimś więcej, niż się wydawał. Opętała go psychoanaliza. Była to wiedza stosunkowo nowa, przeważnie w Niemczech pogardzana, zresztą stworzył ją Żyd – jakże on się nazywał? – Freud! Stworzył podobno, względnie ją rozwinął, co oczywiście nie mogło być prawdą.

Sämig stworzył swoje księgi. Nie był zwolennikiem tak zwanej „psychologii żądz i popędów”, uważał raczej za słuszne to, co nazywał „psychologią kompleksową”, poszerzoną o wiedzę rasistowską. Dążąc do potwierdzenia swych teorii wypracował sobie „test kompleksowy Sämiga” i stosował go ostrożnie wśród swoich pacjentów z izby chorych. Sukces był niewątpliwy, gdyż prawie wszyscy zapytywani odpowiadali twierdząco, tylko że było to raczej rezultatem wyrachowania niż instynktu posłuszeństwa.

Wszystkie te próby były tylko stadiami wstępnymi: brak mu było przypadku, który by można rozwiązać wyłącznie za pomocą psychoanalizy. Zdaje się, że przypadkiem takim będzie sprawa tego Ascha. Czekał na niego z radością i napięciem.

Sämig był lekko podniecony, wstał, opuścił swój gabinet i przez korytarz udał się do izolatki. Pacjent leżał na łóżku, obok niego stał podoficer i sprawdzał mu puls.

– Więc to wy jesteście bombardierem Aschem? – zapytał doktor nie ukrywając swego zainteresowania.

– Co ja tu robię? – odpowiedział pytaniem Asch. – Jestem zdrów.

Doktor Sämig uśmiechnął się ujmująco. Zarejestrował w myśli: „Potrzeba odgrywania ważnej roli, jeszcze nie ustalone, czy wyolbrzymiona”. Powiedział: – Nikt chyba nie jest zdrów bez zastrzeżeń. A badanie nikomu jeszcze nie zaszkodziło.

– Dlaczego nie bada pan korpusu podoficerskiego?

Doktor Sämig zarejestrował: „Z trudnością ukrywane uczucie nienawiści”. Odparkł uprzejmie: – Wszystko w swoim czasie, na razie kolej na was... – I zapytał sanitariusza: – Puls zmierzony? Normalny? Dobrze, proszę to wpisać i proszę nas pozostawić samych.

Sanitariusz dokonał wpisu do karty i wręczył ją lekarzowi, po czym oddalił się.

Doktor Sämig studiował dokładnie kartę chorego. Dla każdego innego byłyby to zwykłe dane, dla niego stanowiły cenne wskazówki. Było mu nietrudno na podstawie konstytucji fizycznej wyciągać wnioski dotyczące zdolności umysłowych. Karły cierpiały często na kompleks niższości, dryblasy – z powodu poczucia wyższości, ludzie szczupli byli uparci i wytrwali, tędzy – flegmatyczni. Były to pojęcia zasadni-

cze, ale stanowiły coś w rodzaju wyraźnie widocznych stopni jakiegoś określonego porządku.

– Połóżcie się spokojnie – powiedział lekarz zachęcająco. – Ułóżcie się wygodnie, proszę o niczym nie myśleć.

– Panie doktorze – powiedział bombardier Asch – jeżeli przykładam pan wagę do tego, żebym tu spał, nie mam w zasadzie nic przeciwko temu, ale nie lubię, by mnie podczas snu obserwowano.

Sämig uśmiechał się nie zrażony. Niezwykły przypadek, z którym miał tu do czynienia, wprowadził go w radosne podniecenie. Był jak odmieniony. – Przedtem może trochę porozmawiamy – powiedział. – Spać możemy później.

– My? – zapytał Asch podejrzliwie. – Czyżby pan miał także ochotę na drzemkę?

Uśmiech Sämiga stał się lodowaty; doktor wysiłł się, by mu nie zgasł na twarzy całkowicie. Zarejestrował pośpiesznie: „Wyjątkowa gonitwa myśli, wyobrażenia opanowana przez nieczyste obrazy, przy czym nie da się ustalić, czy to stan trwały; nie można z miejsca odrzucić skompensowanego poczucia niższości”. Rozważania te znowu przywróciły mu dobry humor. Przypadek wydał mu się bardziej interesujący, niż przypuszczał. – Dowcipniś z was – powiedział, uznając to za zręczne wyzwanie. – Zaskakuje mnie to.

– I pan mnie zaskakuje – powiedział Asch. I znów, tak jak we wszystkim, co mówił, nie można było zorientować się, co właściwie odczuwa. W każdym razie słowa te brzmiały złośliwie, ironia miała charakter uporczywy. – Wedle ogólnej opinii uchodzi pan, panie doktorze, za postrach symulantów, za zmorę chorych. O ile wiem, nosi pan przydomek „łamignat”.

– Tak? – mruknął Sämig niezbyt zachwycony.

– Niektórzy nazywają pana również „męczygłowa”. Nie wiem, dlaczego tak mówią, dotychczas robi pan na mnie wrażenie raczej niewinne.

Zdumiony doktor Sämig milczał. Pacjent jego wygłaszał tu zdania, które niemal godziły w jego honor. Były to wyraźne prowokacje, na które w normalnych warunkach odpowiedziałyby wyrzuceniem za drzwi. Ale opamiętał się w porę. Nie wolno mu zapominać, iż właśnie w tych rozważaniach tkwi ognisko choroby. – Drogi przyjacielu – zapytał – czy cierpicie na silne bóle głowy?

– Nie – odparł Asch. – A pan?

Lekarz dywizjonu udał nie bez trudu, że pytania tego nie dosłyszał. Nie chciał dłużej zatrzymywać się na mało ważnych potyczkach wstępnych. Uważał, że trzeba zaatakować bez ogródek istotę sprawy, problem centralny. Raz jeszcze zrekapitulował to wszystko, co na temat Ascha ustalił: „Bezgranicznie wzmożone poczucie własnej osobowości w stosunku do przełożonych, znajdujące swój wyraz w całkowicie bezmyślnym braku dyscypliny; skłonność do zrywania wszystkich barier, granicząca z manią niszczenia. Uganianie się za pozornymi sukcesami. Reakcja wtórna dziwnych, jeszcze niejasnych kompleksów, dusza jak pole bitwy, mania wywyższania się kosz-

tem innych”.

– Musieliście mieć trudne dzieciństwo – powiedział doktor sugestywnie. – Skąpe jedzenie, małe, ciasne mieszkania. Czujecie jeszcze ciągle chłód kamiennej podłogi i pustkę w żołądku. Widzicie jeszcze ciągle zajadające chleb z masłem i miodem dziecko sąsiada, któremu nie wpadło nawet do głowy podzielić się z wami. Nie sypialiście w ciągu długich nocy, wichura szalała, leżeliście skurczeni, bo łóżko było za krótkie. Matka wasza wiele płakała, a ojciec bił was.

– Ale skądże! – powiedział Asch. – Niczego mi w dzieciństwie nie brakowało. Nie byliśmy bogaci, ale żyliśmy dostatnio. Raz na Boże Narodzenie przejadłem się okropnie; to jedyne bóle brzucha, które pamiętam. Nigdy nie widziałem mojej matki płaczącej, a ojciec nigdy mnie nie bił. Co te bzdury mają właściwie znaczyć?

– Zachowajcie tylko zimną krew – powiedział doktor Sämię, sam ogarnięty niepokojem. – Pytania moje nie są wysrane z palca. Choroby dzieciinne, wyglądające na pozór niewinnie, są bardzo często wstępem prowadzącym do chorób ciężkich, które nagle wybuchają u ludzi czujących się doskonale.

– W dzieciństwie – powiedział Asch – nie chorowałem na nic godnego uwagi. Kiedyś podczas kąpieli, miałem wtedy jedenaście lat, zwichnąłem sobie lewą nogę. To wszystko.

– Choroby tego typu – odparł doktor Sämię – mało mnie interesują. A taki drobniak czysto zewnętrzny, jak zwichnięcie nogi, w ogóle nie. Leżcie dalej spokojnie. Opowiedzcie o innych sprawach. Czy mieliście kiedy przyjaciela, który was bezgranicznie rozczarował, może nawet zdradził i zrobił wam krzywdę? Nie? A może znaleźliście się kiedyś w sytuacji, która wywołała u was strach, byliście kiedyś sami w ciemnym pokoju, nocą w lesie, znajdowaliście się w niebezpieczeństwie życia na jeziorze? Także nie? A nie widzieliście nigdy czegoś, co by was, ponad miarę wzburzyło, na przykład ludzi bijących się do krwi albo człowieka przejechanego przez samochód, który zrobił z niego miazgę, dwoje ludzi, którzy na waszych oczach... No, wiecie już co? Także nie? Ogarniała was kiedyś chęć napadnięcia kogoś, dręczenia, mordowania?

– Owszem – powiedział bombardier Asch.

– No więc, proszę! Opowiedzcie mi to. Możecie być ze mną zupełnie szczerzy. Jestem lekarzem. Kiedy odczuwaliście chęć napadnięcia na kogoś lub pobicia?

– Właśnie teraz – odparł Asch.

Doktor Sämię podniósł się nieco i odsunął krzesło, na którym siedział. Jego bładoniebieskie oczy były szeroko otwarte. Zacisnął pięści, ale nie było w tym geście siły. – Nie plećcie bredni! – powiedział półgłosem.

– A co mają znaczyć te brednie – spytał Asch zaczepnie – których ja muszę tu wysłuchiwać?

– Chcę was zbadać.

– Już mnie pan zbadał. Temperaturę mam normalną, serce bije regularnie, stolec

w porządku. Ani nie jestem chory wenerycznie, ani nie mam płaskich stóp, moczu nie warto nawet badać; nie mam ani polipów, ani żylaków. Mózg mój również funkcjonuje normalnie. Nie posiadam żadnych godnych uwagi kompleksów, nie jestem neuropatą. Należę do ludzi całkowicie normalnych. Proszę kazać mnie stąd wypuścić, panie doktorze.

Doktor Sämig podniósł się sztywno. – Za moich pacjentów ja sam odpowiadam. O tym, czy jesteście chorzy, czy zdrowi, decyduję ja!

– Dlaczegoż to leżę w tej izolowanej celi?

– To nie jest cela, lecz izolatka. Umieszcza się tu chorych, którzy wymagają specjalnego traktowania, oraz chorych zakaźnie.

– Czyżby pan doktor chciał twierdzić, że cierpię na chorobę zakaźną?

– Samo podejrzenie wystarczy!

– Panie doktorze – powiedział Asch tonem bardzo poważnym. – Zwracam panu uwagę, że wniosę zażalenie z powodu sposobu traktowania mnie przez pana doktora. Proszę polecić wydać mi atrament i pióro. Wniosę zażalenie z powodu pozbawienia mnie wolności. Poza tym nalegam, by pan doktor natychmiast dał mi na piśmie swoją pierwszą, choćby pobieżną diagnozę, ze szczegółowym uzasadnieniem, dlaczego położył mnie pan w izolatce. Prócz tego żądam, żeby mnie natychmiast zbadał inny lekarz.

Doktor Sämig przeraził się. – Tylko spokojnie – powiedział z wysiłkiem – tylko spokojnie. Wydaje mi się, że macie gorączkę. Daję wam dobrą radę: wyśpijcie się przede wszystkim.

Potem przyjdę znowu i zobaczymy...

Bombardier Asch leżał rozciągnięty na łóżku w izolatce i rozmyślał. Nie mógł spać. Jedzenie stało na stołku nie tknięte. Za kratami otwartego okna prażyło popołudniowe słońce.

Izba była prymitywnie umeblowana. Wszystko utrzymane było w brudnobiałych barwach. Łóżko, stołek, stolik nocny, stół, krzesło, ściany, niegdyś białe, miały obecnie wygląd zaniedbany i niechlujny.

– No, jak tam sytuacja bojowa? – odezwał się głos zza okna. Był to głos bombardiera Kowalskiego, który wsadził łeb w jeden z szerszych otworów kraty.

Asch usiadł na łóżku. – Na razie jeszcze nie rozstrzygnięta – odpowiedział. – Przychodzisz, aby biadać nade mną czy dla dodania otuchy?

– Chcę ci przynieść coś do jedzenia – obwieścił Kowalski. Bombardier potrząsnął głową. – Rozpocząłem głodówkę oświadczył.

– Właśnie dlatego! To zupełnie zrozumiałe. Oficjalnie uprawiasz głodówkę, będzie to nowym groźnym skandalem i jeszcze bardziej niektórych ludzi zmiękczy. Ale nieoficjalnie ja cię zaopatruję. Czego chcesz? Kielbasy, szynki, salami?

– Wszystko mi jedno.

– Coś podobnego! – zawołał Kowalski ze zdumieniem. – Nie można powiedzieć,

żebyś sprawiał wrażenie zbyt radosne.

– Cała ta sprawa staje mi powoli kością w gardle – powiedział Asch. – W gruncie rzeczy wszystko to jest równie nudne jak mechaniczne reguły obowiązujące przy zmianie warty. Cały ten system jest całkowicie zaświniony. Beznadziejny przypadek.

– To cię pozbawia energii?

– Nie, ale męczy.

– Mnie nie – powiedział Kowalski. – Wiesz, co ja robię? – Uśmiechnął się znacząco. – Czyszczę mój karabin w magazynie broni. Ostatecznie mamy jeszcze pięć nabojów w rezerwie.

– Spuść je do muszli klozetowej – odpowiedział Asch bez zainteresowania. – To by nas także nie posunęło naprzód. Ten rodzaj ludzi okopał się jak w fortyfikacji. Co im nie odpowiada, to dla nich nie istnieje. Ale jeżeli to się nie zmieni, i to zasadniczo, stracimy więcej niż zaufanie – będziemy się nawzajem nienawidzić, a w ten sposób nie można utrzymać żadnej armii.

– Śpij spokojnie dalej – powiedział Kowalski. – Tymczasem zorganizuję co trzeba. – Znikł. Miejsce, w którym przed chwilą tkwiła jego głowa, oświetlało znowu jasne światło popołudnia.

Bombardier Asch opadł z powrotem na łóżko. Był niezadowolony. Oczekiwał całkowicie innej reakcji. Liczył na to, że uda mu się wysadzić w powietrze beczkę z prochem, ale natrafił tylko na gnijące bajory. Chciał usłyszeć ryk lwów, tymczasem do akcji przystąpiły barany. Nikt nie dawał się sprowokować, nikt nie wyłaził ze skóry. Werktreu był na to za obojętny, Platzek nie miał charakteru, Lindenberg trzymał się zbyt rygorystycznie przepisów. Schulz był za cwany, Derna za miękki, Wedelmann za przyzwoity. I wszyscy mieli nieczyste sumienie, żaden nie wiedział, gdzie jest granica.

Klucz obrócił się w zamku, odsunięto rygiel, do izolatki wszedł podporucznik Wedelmann. – Wcale od was nie oczekuję, bombardierze Asch, byście mi oddali honory wojskowe. Jeżeli więc sądzicie, że rozdrażnicie mnie tym waszym znudzonym wylegiwaniem się albo że będziecie mnie mogli sprowokować – to się mylicie. Jesteście tu pacjentem i stosujecie się do tego.

– Chce mnie pan podporucznik odwiedzić jako chorego?

– Zająłem się waszym przypadkiem, sam mianowałem się kimś w rodzaju waszego oficjalnego obrońcy. Poza tym dowódca baterii polecił mi przesłuchać was. Jak widać, przesłuchania muszą być dokonywane przez oficerów. Ale na to mamy czas, to tak prędko nie idzie, odwlecemy całą sprawę. Dopóki tu jesteście, nie będziecie tak łatwo mogli komuś coś zrobić; przypuszczam również, że drugi strzał przez ten czas nie padnie. Wyjaśnimy naprzód wszystko, co się bez wysiłku i szkody da wyjaśnić.

– Panie podporuczniku, dlaczego pan się do tego wtrąca? Dlaczego pan hamuje

bieg spraw? Gdyby nie pan, może osiągnąłbym już to, co zamierzałem. Skąd właściwie wiedział pan tak zdumiewająco wcześniej, co się tu ma rozegrać?

– Na wasze szczęście zwrócono mi na to uwagę. Poinformowała mnie panna Freitag.

Herbert Asch nie powiedział nic, obrzucił tylko podporucznika badawczym spojrzeniem. Potem spuścił głowę. Wydawało się, że obserwuje szarobiałą koc, na którym leżał. – A więc to tak? – powiedział zmęczonym głosem. – Tego oczywiście przewidzieć nie mogłem.

– Panna Freitag postąpiła całkowicie słusznie! – zawołał Wedelmann z zapalem. – A przede wszystkim we właściwym czasie. Zrozumiecie to jeszcze. Tylko przez to dało się uniknąć katastrofy. Trudno sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby moja interwencja nie przysłała w porę.

– Pan sobie pochlebia – powiedział Asch kąśliwie.

– Wiem dokładnie, coście zamierzali. Oczywiście nie mógłbym nigdy temu przyklasnąć, sądzę jednak, że was rozumiem. Rozdrażniliście kilku osobników do ostateczności, bawiło was, że tak szybko udało się wam doprowadzić ich do stanu wrzenia. Ale ściśle rzecz biorąc, nie dopuściliście się żadnego czynu karalnego. W każdym razie trudno będzie coś wam udowodnić. To jest wasz trick. Ale niewiele on wam pomoże. Tego, co byście chcieli, nie osiągniecie.

– Bądź co bądź meldunki piętrzą się. Lindenberg nie da się niczym uspokoić, Schulz woła o swoją ofiarę. Kapitanowi nie pozostaje nic innego, jak stać z boku i wołać: „Niechaj mi Bóg dopomoże, amen!” Poza tym jestem tutaj. I cokolwiek przeciw mnie zostanie przedsięwzięte, a przedsięwzięte być musi, kara dyscyplinarna czy doniesienie karne, wyrok błędzie tak czy tak całkiem nieuzasadniony, a więc będzie niesłuszny. I przeciwko temu będę się bronić.

– A ja do tego wcale nie dopuszczę – zapewnił Wedelmann. – Mnie na wasze tricki nie złapiecie. Ściśle bowiem biorąc, drogi przyjacielu, aniście nie odmówili wykonania rozkazu, ani nie wzywali do buntu: nie zaatakowaliście również czynnie żadnego przełożonego.

– To jeszcze może nastąpić – powiedział bombardier.

– Nie doprowadzicie do tego, bo nie jesteście idiotą. Gdybyście postępowali tak niezgrabnie, przeciwnicy wasi mieliby dzieciennie łatwą zabawę, a zamierzona przez was demonstracja stałaby się jedynie brutalnym aktem gwałtu. A to chyba celem waszym nie jest.

– Proszę mnie zostawić w spokoju. Pozostaję pod lekarską obserwacją, nie wolno mi się denerwować.

– Posłuchajcie mnie, drogi Asch – powiedział podporucznik przyjaźnie i przysunął krzesło, na którym siedział, do łóżka. – Nie wiem, czy zauważyliście, że mam do was słabość. Jako człowiek jesteście mi wyjątkowo sympatyczni. Gdyby nawet tak nie było, mógłbym was zrozumieć. Macie rację – jest tu wiele zgnilizny, wiem o

tym nie od dzisiaj. Żołnierz Ibowiem to nie maszyna, a koszary to nie fabryka do produkowania obrońców ojczyzny. Obecny stan rzeczy jest nie tylko zły, jest i niebezpieczny. Ale te wołające o pomstę do nieba metody z epoki przedfryderycjańskiej są najwygodniejsze. Każdy, kto chce utrzymywać armię w gotowości bojowej, wie o tym. Młyny mielące kości pracują znakomicie, rozproszkują mocne charaktery, miażdżą wszelkie życie osobiste.

– Mnie tego mówić nie trzeba! – zawołał Asch. – Wiem, że tak jest, i właśnie dlatego zrobiłem to wszystko, co pan chciałby teraz unicestwić.

– Nie będziecie mogli zburzyć tych młynów. – Ale w każdym razie nasypałem do ich mechanizmów nieco piasku. Trzeszczą. I może ten czy ów zapyta dlaczego.

– Drogi Asch – powiedział Wedelmann – cokolwiek byście zrobili, daleko nie zajdziecie. I ja jestem za zburzeniem tych młynów, ale w ich miejsce musi powstać coś zasadniczo innego – jakaś reformacja.

– Brawo! – zawołał Asch ironicznie. – Nie chcę pana zatrzymywać. Proszę zabrać się do roboty, sprawa jest pilna.

– Bądźcież rozsądni, Asch. Skończcie z tym. Spróbuję wyciągnąć was jakoś bez większej szkody z tej całkowicie chybionej afery.

– Będę tu czekać – oświadczył Asch – aż mnie poproszą o przebaczenie.

– I to jeszcze! – zawołał Wedelmann szczerze zasmucony. – Apeluję do waszego rozsądku. Jeżeli już mnie słuchać nie chcecie, to miejcie przynajmniej wzgląd na pannę Freitag.

– To, co się tutaj dzieje, nie ma nic wspólnego z panną Freitag, Niech jej pan to powie, proszę, gdyby znowu kiedy usiłowała skłaniać pana do ludzkich odruchów.

Wedelmann nie był urażony, lecz tylko zatroskany. Wyobraził sobie, że misja jego będzie o wiele łatwiejsza. Ten bombardier Asch to straszliwie rogata bestia. Nie chce po prostu uznać, że żaden system nie jest doskonały i że rozsądek dyktuje przyjmowanie faktów takimi, jakie one są wraz z całą swą niedoskonałością. – Ojciec wasz również martwi się o was, tak samo jak i ja.

– Skąd pan o tym wie?

– Rozmawiałem z nim przez telefon.

– Pańska troska o mnie, jak widać, nie zna granic. I cóż powiedział?

– Kazał powiedzieć, iż oczekuje od was, że go nie zawiedziecie.

– Poczciwe, stare ojczyisko! – szepnął Asch.

– Niestety, nie mógł sam przyjść, by z wami pomówić. Ale jest tu wasza siostra.

Ascha zaskoczyło to wyraźnie. Po chwili powiedział spokojnie: – Proszę ją odesłać.

Wedelmann robił, co mógł, by uwieńczyć swą misję sukcesem. – Dlaczego nie chcecie z nią mówić? Chyba nie macie zamiaru jej unikać.

– Jej miejsce jest przy garnkach, a nie przy kotle czarownic. – Czeka na korytarzu.

– Wedelmann wstał. – Poproszę, by tu weszła. – Podszedł do drzwi. – Panno Asch,

brat pani cieszy się, że panią zobaczy.

Ingrid weszła do izolatki. Patrzyła na brata z zaciekawieniem; czuła się nieco dotknięta brakiem serdeczności w jego spojrzeniu i uśmiechu. Tego się nie spodziewała.

– Teraz zostawiam państwa samych – oświadczył Wedelmann uprzedzająco grzecznie. – Normalnie obowiązany jestem być obecny przy takich rozmowach. Tak się też stanie. Muszę tylko przynieść papier i ołówek. Sądzę, że minie jakieś pół godziny, zanim znajdę jedno i drugie.

– Herbercie – powiedziała Ingrid po wyjściu podporucznika – tego nie wolno ci było robić.

– Nie wtrącaj się, łaskawie, do moich spraw – powiedział Asch nieuprzejmym tonem. – I ja ostatecznie też nie pozwalam sobie na to, choć miałbym po temu o wiele więcej powodów.

– Nie rozumiem cię!

– Wcale się tego po tobie nie spodziewam!

– Nigdy się z nami nie liczyłeś. Kiedy ojciec usłyszał od podporucznika Wedelmanna, co się tu stało, wziął butelkę koniaku, poszedł do swojej kancelarii i zamknął się w niej.

– Na zdrowie! – powiedział Herbert. – A tobie sumienie dopóty nie dawało spokoju, dopóki nie mogłaś spojrzeć w oczy ukochanemu bratu?

– Proszę cię, nie mów tak ze mną. Gdybyś był sam, mógłbyś robić, co chcesz. Nie wolno ci jednak zapominać, że mieszkasz w mieście, w którym cię każdy zna, w którym ojciec twój prowadzi interes, w którym ja także żyję. Wszystko, co tu robisz, odbija się na nas. Narażasz nas na plotki, ludzie będą nas wytykali palcami, będą unikali naszego interesu.

– Coraz bardziej odczuwam twoją siostrzaną miłość.

– A ty, czy zawsze zachowywałeś się jak brat? Wystarczy pomyśleć o Johannesie Vierbeinie. I jego miałbyś nieomal na sumieniu.

– Czyżby? – zapytał Asch chłodno. – Ten mały opowiadał ci o tym?

– Ostatecznie mam oczy! – zawołała ze wzburzeniem. – I poznałam ciebie. Nie cofasz się przed niczym, nic nie jest dla ciebie święte. Wyprowadziłeś Johanna Vierbeina całkowicie z równowagi. Nie wiedział już prawie, co robi. Podburzałeś go do czynów, których sam dokonywałeś. Dzięki Bogu opanował się. Nareszcie nabrał rozsądku. Teraz wie, co to obowiązek.

– A ja wiem nareszcie, co to jest głupia kwoka – powiedział Asch gwałtownie. – Wiedziałem, że jesteś zaślepiona, ale teraz dopiero wiem, że masz po prostu bzika. Bzika na punkcie bohaterstwa, moje drogie dziecko. Twój mózdek uważa za honorowe to, co za honorowe zostało uznane. Nie odróżniasz wodza od oszusta. Każdy, kto ma władzę, jest w twoich cielejących oczach wybrańcem, każdy, kto nosi mundur, czcigodnym obrońcą ojczyzny. Ten, kto siedzi w więzieniu, to dla ciebie zawsze

świnia, ten, kto rozpiera się w mercedesie, to człowiek z charakterem. Powinnaś się zapaść pod ziemię!

– Wstyd mi za ciebie – powiedziała Ingrid ze smutkiem. – Mądre słowo, to rozumiem! Wstyd ci za mnie, ale może ci być wstyd i za twojego Vierbeina. Masz po temu wszelkie powody. Bo kimże my jesteśmy! Człowiek, który jest twoim bratem, i ten drugi, za którego może wyjdiesz za mąż, obaj oni wraz z setkami, tysiącami innych rzucają się w błoto, kiedy tylko padnie taki rozkaz, pełzają na brzuchu albo muszą pakować łeb do latryny. Znosimy wymyślenia i szykany, stoimy na baczność, kiedy się nas obrzuca wyzwiskami w rodzaju „świnia”. „kanalia” czy „dupa wołowa”. Przy każdej próbie złamania nam kręgosłupa wołamy „tak jest!” Nasze poczucie honoru polega na płaszczeniu się, a nasz charakter na lizaniu butów. Taki jest twój brat, taki jest człowiek, którego kochasz. Wstydź się za nas!

– Ależ Herbercie! – wyjąkała Ingrid przerażona.

– Idź teraz, odejź! Idź do swego Vierbeina, do tego karła, rzuć się na jego bohaterską pierś! Możesz sobie na niej popłakać nad tym niby-mężczyzną, którego ci pozostawiono.

Bombardier Asch wstał, chwycił swoją siostrę za ramiona, otworzył drzwi i wypchnął ją do korytarza. Stał tam lekarz dywizjonowy, doktor Sämig.

– Przychodzi pan we właściwej chwili – powiedział Asch. Podszedł do łóżka i rzucił się na nie.

– Jeszcze jeden dowód więcej – odrzekł doktor Sämig zamykając za sobą drzwi. – Dowodem tym jest dla mnie sposób, w jaki traktujecie swoją siostrę.

– Jaki dowód? Co pan chce udowodnić?

Doktor Sämig umocnił się w przekonaniu, że postawiona przez niego diagnoza jest słuszna, a w każdym razie potrzebna. Wyczerpujące wyjaśnienia uzyskane w rozmowach z uprzejmym kolegą Derna, z dzielnym starszym ogniomistrzem Schulzem, z wzorowym podoficerem Lindenbergiem przekonały go o tym, że wypadek Ascha jest tak jaskrawy, iż sama ostrożna psychoanaliza tu nie wystarczy.

– Czy sformułował pan swoją diagnozę na piśmie? – zapytał Asch, – Czy drugi lekarz został powiadomiony? Czy zażalenie moje zostało skierowane dalej?

Doktor Sämig przybrał wyniosły ton. – Tak się z przełożonym nie rozmawia – powiedział. – Proszę sobie to łaskawie zapamiętać na przyszłość.

Ascha zdziwiło to całkowicie zmienione zachowanie się doktora. Usiadł na łóżku. Wzburzenie wywołane tym, co musiał powiedzieć swojej siostrze, nie ustępowało. Oczy jego lśniły chłodnym blaskiem.

– Tutaj – doktor Sämig wyciągnął z mankietu rękawa jakiś papier – stwierdziłem na piśmie, co do stwierdzenia było. Możecie być zadowoleni – to dla was bardzo korzystne. W pewnym stopniu uwalnia was od winy.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał Asch podejrzliwie.

– Nie ponosicie odpowiedzialności za to, coście uczynili, przynajmniej odpowie-

działności pełnej. To najlepsze rozwiązanie. Wychodźcie cało, a afera jest załatwiona.

– Co to znaczy? Czy ma to oznaczać, że stwierdza pan moją niepoczytalność?

– Trafiliście w sedno – powiedział doktor Sämig z zadowoleniem. – Nie jesteście za wasze czyny odpowiedzialni.

– I to pan sformułował na piśmie? Że nie jestem odpowiedzialny za swoje uczynki? Czyli, że jestem pomyłony na umyśle?

– Tak jest – stwierdził doktor Sämig.

– Mogę to zobaczyć? – Sämig podał mu zapisaną kartkę, którą Asch uważnie przeczytał i po chwili zwrócił. – Przecież to kawał – powiedział. – Takich rzeczy robić nie wolno.

– I jak jeszcze wolno! Jeżeli macie głowę na karku, z miejsca zrozumiecie, jakim szczęściem jest dla was ta kartka.

– Pan podtrzymuje to, co pan tu napisał?

– W waszym interesie!

– Pięknie – powiedział Asch. – Jak pan chce.

Podniósł się powoli. Potem rzucił się na doktora, zwałił go z nóg i zaczął go okładać pięściami. W pewnej chwili podniósł Sämiga w górę i zaczął, rzucać nim z kąta w kąt jak paczką. Nie było to zbyt uciążliwe, gdyż miał nad doktorem bezsporną przewagę fizyczną.

Lekarz sapał, dusił się, wydawał gardłowe okrzyki. W jego szeroko otwartych oczach malowało się paniczne przerażenie. Stękając dowlókł się na czworakach do drzwi.

– Tak to jest! – powiedział Asch wycierając sobie ręce. – Nic na to poradzić nie można. W myśl pańskiej diagnozy jestem pomyłony i nieodpowiedzialny za swoje czyny.

Drugi strzał padł w piątek wieczorem. Zegary koszar wskazywały znowu godzinę dwudziestą minut osiemnaście. Powoli nadpełzała noc.

Na starszego ogniomistrza Schulza, który siedział właśnie w kancelarii, posypał się tynk. Pokrył część pisma, które miało wykończyć bombardiera Ascha. Kałamarz się przewrócił, atrament spływał na papier.

Schulz rzucił się na ziemię. Przyciśnięty do ściany, przeklinał swój zwyczaj pracowania przy pełnym świetle i szeroko otwartych oknach. By nie dostać się w zasięg ostrzału strzelca, który wyraźnie nastawał na jego życie, popełznął ostrożnie na czworakach w stronę wyłącznika.

Światło zgasło. Schulz popędził ku jednemu z okien i wyrzał ostrożnie. Jeżeli go wzrok nie mylił, plac zbiórki był pusty. – Tchórzliwy pies! – mruknął. Widocznie przypuszczał, że strzelec pozostanie na miejscu dopóty, dopóki go starszy ogniomistrz nie rozpozna.

Schulz czuł, że drży. Płynęło to i ze strachu, który go dopiero teraz opanował, i z

wściekłości. Przemierzył trzema susami kancelarię, otworzył szeroko drzwi i ryknął w stronę korytarza: – Alarm! Wszyscy podoficerowie natychmiast do mnie! Szeregowcy, zbiórka przed izbami!

Wykrzyczał te rozkazy prawie automatycznie, nie namyślając się zbyt wiele. Ale już sam ryk przyniósł mu ulgę. Nie stało się jednak nic decydującego. Poszczególni kanonierzy wyglądali z zainteresowaniem ze swoich izb, wydawało się, że są radośnie podnieceni.

Potem podoficer dyżurny zajął się wykonaniem rozkazów szefa. Na wszystkich trzech korytarzach rozległ się jego ostry gwizdek. – Podoficerowie do kancelarii, do szefa baterii! Pozostali – zbiórka przed izbami.

Zjawili się pierwsi podoficerowie. Schulz zatrudnił ich z miejsca. – Zaryglować wejście. Zatrzymać każdego, kto zechce wejść lub wyjść. Pilnować tylnej ściany bloku baterii, by nikt nie mógł wydostać się przez okna! Biegiem na wartownię, zatrzymać wszystkich żołnierzy naszej baterii, którzy chcieliby jeszcze ewentualnie wyjść. Przeszukać plac ćwiczeń! Wzmocnię was, jak tylko zjawi się większa ilość podoficerów.

Gmach baterii podobny był teraz do wzburzonego ula, którego wejścia zostały zablokowane. Żołnierze tłoczyli się na korytarzach i rozmawiali ze sobą z ożywieniem. Ustawili się działonami w dwuszeregach i czekali z napięciem na to, co się jeszcze stanie.

Schulz rzucił się do telefonu i kazał się połączyć z izbą chorych. – Sprawdźcie natychmiast – zawołał – czy bombardier Asch znajduje się w izolatce! – Czekał niecierpliwie na odpowiedź i obserwował kaprała, który w myśl rozkazu wyglądał przez okno kancelarii.

– Czy to nie pomyłka? – zawołał głośno do słuchawki. – Jesteście pewni, absolutnie pewni, że bombardier Asch znajduje się w izolatce? Czy nie mógł jej opuścić w ciągu ostatniego kwadransa? Wiem sam, że drzwi mają tam rygiel i specjalny zatrzask, że okna są zakratowane, nie musicie mi tego tłumaczyć. Ale mógł ostatecznie wyjść na stronę! Co robi? Gra z podoficerem sanitarnym w dwadzieścia jeden i już przez to samo nie może... Świńska banda!

Schulz z trzaskiem rzucił słuchawkę na widełki. Zacisnął pięści, by nikt nie zauważył, jak mu ręce latają. Wyłowił jednego z podoficerów, którzy się zebrali dokoła niego. – Pędźcie na izbę chorych – powiedział – sprawdźcie, czy dane tych sakramenckich byków się zgadzają.

Stał przez chwilę rozkraczywszy nogi, jak gdyby nad czymś rozmyślał. Potem zwrócił się do starszego ogniomistrza Wabera i powiedział: – Musimy sprowadzić dowódcę. Kapitan Derna musi wiedzieć, co tu zaszło, najlepiej, żebyś wziął samochód i sam po niego pojechał. Po drodze możesz mu opowiedzieć, co ci jest wiadome.

– Dobrze – odparł Waber i ruszył z kopyta. Szef policzył pozostałych.

– Jeden ogniomistrz i jeden kapral na każde trzy izby. Należy ustalić, co każdy żołnierz w ciągu ostatniej godziny robił. Na kogo padnie podejrzenie, że około godziny dwudziestej opuścił budynek, czy po to, by opróżnić kubeł ze śmieciami, czy po to, żeby skoczyć do kantyny, tego przyprowadzić do mnie. Należy również sprawdzić broń, ale staranniej niż ostatnim razem.

Ogniomistrze i kaprale rozeszli się po korytarzach. Schulz do głębi wzburzony krążył po kancelarii. Przypominał lwa w ciasnej klatce, którego dręczy skwar i głód. Kapral przydzielony do wyglądanania przez okno stał nieruchomo.

Zjawił się podporucznik Wedelmann w narzuconym na siebie płaszczu kąpielowym. – Co się stało?

– Znowu do mnie strzelano, panie podporuczniku – oświadczył Schulz z chłodną rzeczowością.

– I znowu strzał chybił?

– Kula omal się o mnie nie otarła. Siedziałem właśnie tu przy stole. Przeleciała tuż obok mnie.

Wedelmann przyglądał się miejscu, w którym utkwiał pocisk; znajdowało się wysoko na ścianie. Potem wyrzwał na dwór. Pod kancelarią, znacznie niżej, rozciągał się tylko plac zbiórki oraz część jezdni. – Dziwne się rzeczy zdarzają – powiedział podporucznik z sarkastycznym uśmiechem. – Albo strzelec unosił się dwa metry nad ziemią, albo przyniósł sobie składaną drabinę, albo kula istotnie zatoczyła szeroki łuk, by móc pana musnąć.

Schulz milczał złowrogo. Był zbyt chytry, by wobec teorii podporucznika, nie dającej się tak od ręki odrzucić, zająć postawę negatywną.

– Wszystko to płynie z tego – powiedział tylko – że obchodzimy się z tymi chłystkami jak z surowym jajkiem. Nic dziwnego, że opadają ich głupie myśli.

– Uważam – odparł podporucznik – że strzał oddany do pana to znak, do jakiego stopnia jest pan lubiany.

– Podobno już się kiedyś zdarzyło – zauważył z naciskiem Schulz – że próbowano za pomocą tej metody usuwać z drogi ludzi, którzy byli przeszkodą przy pewnych awanturkach miłosnych.

– Naprawdę? – podporucznik Wedelmann udał, że nie zrozumiał aluzji starszego ogniomistrza. – Po kogóż to wyciągał pan swoje palce? Ale to powinno uprościć sprawę, bo chyba liczba wchodzących w grę byłaby w tym wypadku niewielka. Mniejsza zresztą o to. W każdym razie wzięła teraz w łeb pańska teoria, w myśl której bombardier Asch miał rzekomo dybać na pańskie życie. Jeżeli o mnie chodzi, to powiedziałem od razu, że nie zajmuje się on takimi bagatelkami.

Wedelmann wyszedł zadowolony. Świadomość, że starszy ogniomistrz Schulz patrzy za nim z furją, napełniła go rozkoszą. Myślał przez chwilę o tym, by zajrzeć na moment do Lory Schulz, ot tak sobie, bez żadnych dalej idących zamiarów, po prostu dla zabawy, żeby jeszcze bardziej rozwścieklić Schulza. Ale zaniechał tego i sam

się w duchu za to pochwalił.

Podporucznik udał się na środkowy korytarz, na którym mieścił się działon Lindenberga. Zebrani tam żołnierze stanęli w szeregu wołając „baczność!” Podbiegł ogniomistrz i złożył meldunek.

– Nie przeszkadzajcie sobie! – zarządził podporucznik. Potem podszedł do kaprała Lindenberga, który systematycznie wypruwał swojemu działonowi flaki. – Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, Lindenberg, przyjrzę się tu trochę.

– Tak jest, panie podporuczniku! – zawołał Lindenberg, zaszczycony tymi słowami.

Kapral Lindenberg zadręczał swój działon. Poruszał się jak ogar na gorącym tropie. Zapał jego i wytrwałość były bezprzykładne. Przerzucał zawartość szaf, kazał odsuwać łóżka, ustawiać w piramidę stoły; włożył na framugę okna badając palcami pręt, na którym zawieszono były firanki, obmacywał żołnierzy; potem na czas dłuższy zagłębił się w szafie, w której przechowywano szczotki.

– Czego właściwie szukacie? – zapytał podporucznik uprzejmie.

– Amunicji, panie podporuczniku – odparł Lindenberg bez namysłu.

– Sądźcie, że znajdziecie ją u swoich ludzi? – zapytał Wedelmann, niezmiernie zadowolony.

– Oczywiście, że nie, panie podporuczniku.

– I mimo to jeszcze szukacie.

– Tak jest. Przecież taki był rozkaz.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – odrzekł podporucznik i rozglądał się dalej. Policzyl obecnych. Wiedział, że działon Lindenberga składa się z dwunastu ludzi; obecnych było siedmiu. Było to normalne, gdyż w piątce niezbyt wielu żołnierzy brało przepustki. Wdał się w rozmowę z żołnierzami.

– Kogo właściwie brak? – zapytał.

Kanonier Vierbein, do którego słowa te zostały zwrócone, zaczął gorliwie wyjaśniać: – Brakuje pięciu ludzi. Jeden został odkomenderowany, dwóch otrzymało przepustki, są w mieście już od siódmej, bombardier Asch przebywa w izbie chorych, bombardier Kowalski nie wrócił jeszcze z zajęć.

– Gdzież on pracuje?

– W magazynie amunicyjnym.

Wedelmanna przestało to wszystko interesować. – Nie przeszkadzajcie sobie, Lindenberg! – zawołał. Potem poszedł do swego mieszkania i uśmiechając się nalał sobie duży kieliszek koniaku.

Tymczasem starszy ogniomistrz Schulz poddał egzaminowi żołnierzy zatrzymanych przy drzwiach wejściowych. Zachowanie ich nie dawało podstaw do podejrzeń. Dwaj z nich pili w kantynie piwo od godziny dziewiętnastej trzydzieści. Zapłacili o dwudziestej dwadzieścia, a więc w dwie minuty potem, jak padł strzał. Dzierżawca kantyny Bandurski był gotów potwierdzić to pod przysięgą. Pozostali trzej chcieli

wyść. Opuścili swe izby tuż przed godziną dwudziestą minut trzydzieści, wszyscy koledzy mogli zaświadczyć, że do tej pory siedzieli w izbie albo golili się. Szósty miał przynieść dla ogniomistrza Platzka papierosy. I on wyruszył dopiero po strzale.

Schulz kłął. Również kapral posłany na wartownię wrócił z niczym. Schulz kłął. Kaprale wysłani na „przeczesanie” okolic bloku baterii i placu ćwiczeń także nie mieli nic do zameldowania. Schulz kłął.

Powoli niepokój ogarnął całe koszary. Wyglądało na to, że zwiadowcy starszego ogniomistrza zachowali się jak słonie w składzie porcelany. Po upływie krótkiego czasu w całych koszarach było już wiadomo, że w trzeciej baterii padł strzał mający uśmiercić starszego ogniomistrza. W piątej baterii mówiono już o ciężkim zranieniu, a w kantynie rozeszła się pogłoska, że w trzeciej baterii leży trup.

Naprzód zadzwonił dowódca warty, potem odezwała się izba chorych, następnie zatelefonował oficer dyżurny, a późnym wieczorem adiutant dywizjonu. Schulz wrzeszczał w słuchawkę, zachowywał się prowokująco. Adiutant wypraszał to sobie. Schulz, który pomylił się co do osoby swego rozmówcy, zaczął coś skomleć. Adiutant zażądał szczegółowego raportu. Schulz przyrzekł; przy końcu rozmowy trzęsły mu się kolana.

W tym nastroju ogólnego podniecenia na drodze starszego ogniomistrza znalazł się przypadkiem ogniomistrz Platzek.

– Platzek – powiedział Schulz – teraz cierpliwość moja dosięgła kresu.

– Mogę sobie wyobrazić – zapewnił Platzek.

– Teraz musi się nareszcie wyjaśnić, skąd pochodzą naboje, którymi do mnie strzelano, a przede wszystkim, w czyje ręce się dostały.

– Ale... – wyjąkał Platzek.

– Żadnych sprzeciwów – powiedział Schulz bezlitośnie. – Musiał to być jeden z ludzi strzelających z twego stanowiska. I tu właśnie trzeba rozpocząć poszukiwania.

– Ale w takim razie będę wykończony.

– Wolę, żeby ciebie wykończono, niż żeby mnie zabito. A może myślisz, że będę czekał spokojnie, aż te świny wpakują we mnie pozostałą amunicję.

Schulz zostawił całkowicie złamanego Platzka i popędził na dwór usłyszawszy, że nadjechał wóz dowódcy. Chciał możliwie jak najprędzej złożyć kapitanowi Derna meldunek.

Mimo ciemności widać było, że kapitan Derna wygląda blado. Schulzowi zdawało się, że powinien mu pomóc przy wysiadaniu z wozu, ale wyrobione poczucie taktu wobec przełożonych powstrzymało go od tego.

– Jakże to możliwe? – zapytał Derna.

Schulz wyrzucił z siebie swój obszerny meldunek.

– Chodźmy do mego pokoju służbowego – powiedział Derna. Znalazłszy się tam kapitan spojrzał bezradnie na swego starszego ogniomistrza i zapytał: – I co teraz zrobimy?

Dowódca dywizjonu major Luschke był uważany za zupełnie nieobliczalnego nie tylko przez swoich bezpośrednich, podwładnych. Bulwa zjawiał się, kiedy chciał, znikał, kiedy to uważał za słuszne, robił, co mu wpadło do głowy. To jednak, co wyglądało na bezplanowość, było w najwyższym stopniu celowe. Luschke z powodzeniem i nie bez zadowolenia siał wokół siebie niepokój. Każdej chwili, o każdej porze dnia i nocy mógł się wynurzyć i we wszystko wtrącić.

Luschke przywiązywał ogromną wagę do punktualności swych podwładnych. Zaprojektowane przez niego plany służby wraz z podanymi w nich precyzyjnie ścisłymi terminami musiały być traktowane jako coś świętego. Sam nosił przy sobie dwa zegarki, trzeci stał zawsze na biurku, czwarty wisiał na ścianie.

W piątek po południu Luschke opuścił wcześniej koszary, oczywiście nie zawiadamiając o tym adiutanta. Na wieczór był zaproszony przez pewnego właściciela tartaku na polowanie. Mogło to oznaczać, że major Luschke zjawi się w sobotę albo o wczesnym świecie, albo też z solidnym opóźnieniem. I te kombinacje były jednak tylko przypuszczeniami; równie dobrze Luschke mógł zjawić się punktualnie o ósmej, to znaczy wtedy, kiedy w myśl rozkazu rozpoczynała się praca dywizjonu. Tak, Bulwa był całkowicie nieobliczalny.

Adiutant dywizjonu, który szybko odzwyczaił się od tego, by pojawianie się i znikanie swego majora obliczać na podstawie jakiegoś rachunku prawdopodobieństwa, stawiał się jak zwykle o ósmej w kancelarii dywizjonu. Luschkego oczywiście nie było. Adiutanta nie zdziwiło to zbytnio; gdyby się spóźnił bodaj o trzy minuty, Luschke byłby niezawodnie na miejscu i czekałby na niego z sarkastycznym uśmiechem.

Podczas pełnego niepokoju czekania na pojawienie się dowódcy adiutant porządkował nagromadzone rozkazy, raporty i wykazy. Nie było wśród nich nic nadzwyczajnego. Adiutant nie spodziewał się też niczego innego. Każdy człowiek jako tako normalny musiał uczciwie dążyć do tego, by nie ściągać na siebie uwagi majora. A ponieważ nie było jeszcze pisemnego meldunku o tym, co się wczoraj wieczorem rozegrało w trzeciej baterii, postanowił, zgodnie z wypróbowaną metodą, udawać, że nie wie o niczym, chyba że go Luschke wyraźnie zapyta, co wcale nie było wykluczone.

O godzinie ósmej piętnaście wszedł do kancelarii dywizjonu kapitan Derna. Wyglądał na przepracowanego. Powitał adiutanta wiotkim uściskiem ręki. Potem zaczął opowiadać, wyciągnąwszy ze swej teki stos raportów.

– Co, pańskim zdaniem, powie na to dowódca dywizjonu? Niepokój adiutanta wzrósł jeszcze o parę stopni. Wzruszył ramionami.

– Czy jestem jasnowidzem?

Potem zaczęli czekać w milczeniu na zjawienie się majora. Adiutant załatwiał nerwowo swą bieżącą robotę, kapitan Derna stał przy oknie, skąd mógł dokładnie obserwować wejście do koszar. Wypatrywał Luschkego.

Nagle drzwi pokoju dowódcy otworzyły się od wewnątrz. Major Luschke wpakował swój bulwiasty nos do pokoju adiutanta. Przyszedł więc, jak się to często zdarzało, jakąś drogą okrężną.

– W umywalni drugiej baterii – powiedział – pękła szyba, i to trzy dni temu. Pierwsza brama działowni piątej baterii ma solidne zadrapania i jakieś wgniecenie. Zamki w schronach amunicyjnych nie są naoliwione. W izbie chorych zapomniano przy wejściu wyłączyć światło. Zanotował pan? Raporty odpowiedzialnych za to złożyć mi na biurku o godzinie dwunastej. Zrozumiano?

– Tak jest, panie majorze. Pisemne meldunki do godziny dwunastej.

Luschke kiwnął głową. Był niski, krępy, ruchy miał spokojne, opanowane. Głos jego brzmiał łagodnie, co działało przerażająco. Małe, ostre, zimne oczy lśniły chytrze. – Co pana do mnie sprowadza, kapitanie Derna? Czyżbym pana zamówił? Nie, nie przypominam sobie.

– Bardzo niemiła sprawa, panie majorze.

– Niemiła? Dla kogo? Poza tym wszystko, co się określa jako niemiłe, ma coś wspólnego z jakimś świństwem. A w moim dywizjonie, panie kapitanie Derna, świństwa nie istnieją.

Derna, który w obecności majora czuł się jeszcze o wiele mniej pewnie niż zwykle, uznał, że najlepiej będzie nie rozwódzić się długo i szeroko, lecz pozwolić mówić samym faktom. Przedłożył więc dowódcy dywizjonu plik raportów.

Luschke przeczytał je powoli, na razie całkowicie bez komentarzy. Stał jak przygwożdżony obok biurka swego adiutanta. Jego bulwiasta twarz pochylona nad raportami miała odcień czerwony; nie pozostawało to w żadnym związku ze stanem jego nerwów, było spowodowane promieniami słonecznymi, którym, mimo olbrzymiej czapki, należącej do stałych rekwizytów majora, udało się dotrzeć do pewnych części jego twarzy.

Major czytał raport za raportem i nawet powieka mu nie drgnęła. Adiutant patrzył na niego z niewolniczym oddaniem jak na boga, kapitan Derna gorączkowo wypatrywał jakiegoś drgnienia na jego nieruchomej twarzy. Na próżno. W pokoju panowała głucha cisza. Tylko od czasu do czasu szeleściły przy przewracaniu kartki papieru.

W pewnej chwili major powiedział łagodnie: – Idioci!

Małymi, chłodnymi oczami patrzył długo na kapitana Derna. Kapitan, czerwony jak rak, mimo swej postawy na baczność wyglądał pokracznie i nieszczęśliwie.

Major Luschke rzucił raporty na biurko swego adiutanta. – Takie rzeczy – powiedział uderzając dłonią w akta – nie zdarzają się. Rozumie pan, panie kapitanie Derna? To się nie zdarza, zwłaszcza w dywizjonie, którego ja jestem dowódcą.

– Tak, panie majorze – jąkał się Derna – ja również podzielam całkowicie zdanie pana majora, ale...

– Gdzie tu miejsce na „ale”, panie kapitanie, jeżeli obaj jesteśmy tego samego zdania!

– Podoficerowie, panie majorze, zwłaszcza starszy ogniomistrz Schulz...

– W pańskiej baterii podoficerowie decydują o tym, co się ma stać? – Na twarzy Bulwy podniosły się pełne zdumienia brwi. Oczy jego lśniły. Wysunął podbródek i uśmiechał się sardonicznie. Adiutant, który znał dobrze ten niepokojący wyraz twarzy swego dowódcy, miał najbardziej ponure przeczucia co do osoby kapitana Derna. Zbity z tropu dowódca trzeciej baterii nie umiał znaleźć odpowiedzi. Wyglądał żałośnie. Jego wiedeński wdzięk, jego cesarsko-królewska austriacka uprzejmość rozbiły się w zetknięciu z twardym jak kamień majorem Luschke.

– Jeżeli pana dobrze zrozumiałem – powiedział major – nie umie pan sobie poradzić ze swoimi ludźmi.

– Niech mi wolno będzie zapewnić pana majora, że próbowałem wszystkiego...

– Nie wątpię w to, panie kapitanie Derna – powiedział Luschke druzgocąco łagodnie. – Można by to nazwać nieudolnością. W każdym razie przychodzi pan teraz z tymi aferami do mnie. Dobrze. Pokażę panu, jak się tego rodzaju bagatelki likwiduje.

Adiutant pozwolił sobie na uwagę: – Również podporucznik Wedelmann wyraził wczoraj w rozmowie telefonicznej ze mną pogląd, że chodzi tu o bagatelkę.

– Interesujące – powiedział major Luschke. – Zapewne podporucznik pojął dokładnie to, czego nie zrozumiał kapitan. Ale Wedelmann pochodzi z mojej szkoły, a pan, panie kapitanie Derna, został mi tylko przydzielony.

Spojrząwszy pogardliwie na Derna Luschke znowu sięgnął po raporty. – A więc przystąpmy do rzeczy – powiedział. – Zameldują się u mnie: kapral Lindenberga, ogniomistrz Platzek, starszy ogniomistrz Schulz, lekarz dywizjonu doktor Sämig. Niech przyjdzie również podporucznik Wedelmann.

Adiutant skoczył do telefonu i przekazał zarządzenia dowódcy. Derna stał jak zbędny mebel. Major raz jeszcze przerzucił raporty, skrobiąc się przy tym z zadowoleniem w podbródek.

– Asch – powiedział, apelując do swej znakomitej pamięci. – Bombardier Asch. W tych dniach zetknąłem się już przecież z tym nazwiskiem. – Oczy mu zabłyśły. – Czy pan nie wystąpił z wnioskiem mianowania go kapralem, panie kapitanie Derna?

– Tak jest, panie majorze – wybełkotał Derna. Luschke odwrócił się od niego mrużąc pod nosem: – Zero! – Potem dał rozkaz wezwania podporucznika Wedelmanna.

Podporucznik zjawił się. Jak wszyscy wchodzący do pokoju, w którym się major znajdował, zatrzymał się w drzwiach i oddał przepisowy, nienaganny ukłon. – Podporucznik Wedelmann melduje się na rozkaz – wyrecytował.

– Niechże pan podejdzie bliżej, drogi podporuczniku Wedelmann – powiedział Luschke słodko. – Ubiegłego tygodnia stałem przy oknie i obserwowałem plac ćwiczeń. Nadzorował pan wówczas musztrę pieszą. W jednej z grup dręczono pewnego żołnierza tak bardzo, że stracił panowanie nad sobą i dostał czegoś w rodzaju ataku epileptycznego; zdawało się, że chce się rzucić na podoficera. I cóż pan wtedy uczy-

nił? No?

– Natychmiast się oddaliłem, panie majorze – powiedział Wedelmann zgodnie z prawdą.

– Dlaczegoż to?

– Panie majorze, są sprawy, których się nie przyjmuje do wiadomości, o ile się ma głowę na karku. Oczyszczają się jakoś same przez się. Zwracanie na te wydarzenia uwagi rozdmuchuje je tylko.

– Moja szkoła – oświadczył major bardzo zadowolony. Potem zapytał: – Pan zna raporty w sprawie bombardiera Ascha? Cóż pan o nich sądzi?

– Znam je wszystkie, panie majorze, i nie przywiązuję do nich żadnej wagi. Po co podnosić gwałt, kiedy można to załatwić inaczej?

Luschke spiorunował spojrzeniem kapitana Dernę. Potem klepnął podporucznika Wedelmanna po ramieniu. Adiutant odetchnął z ulgą i odsunął się na znaczny dystans od nieszczęsnego dowódcy trzeciej baterii.

Major pytał Wedelmanna o szczegółowe dane dotyczące żołnierzy, których wezwał. Wedelmann dawał krótkie, wyczerpujące odpowiedzi, dowódca potakiwał z zadowoleniem. Po czym zawołał: – Kapral Lindenberg!

Lindenberg, wyprostowany jak struna, patrzył, jak tego wymagały przepisy, prosto w oczy dowódcy. Był przekonany, że przeżywa wielką chwilę, i pewny, że ją godnie przetrzyma.

– Kapralu Lindenberg – zaczął major. Uchodźcie za wzór poprawności i solidności. Tym bardziej dziwi mnie, że wdaliście się ze swym podwładnym w długie rozmowy, omal że nie w dyskusję. Tego przepisy nie przewidują. Macie jasno i niedwuznacznie rozkazywać, a wasi podwładni mają was słuchać. Jeżeli tego nie czynią, jest to odmowa wykonania rozkazu. Wtedy dopiero możecie pisać raport. Postawić na swoim, to sprawa indywidualności. Zrozumieliście mnie, kapralu Lindenberg?

– Tak jest, panie majorze.

– Skoro mnie zrozumieliście, to wiedźcie, że wasz raport jest zupełnym nonsensem. Do kosza z nim! Możecie odejść, kapralu Lindenberg.

Trzasnąwszy obcasami Lindenberg znikł jak kometa. Luschke uważał to za rzecz naturalną i nawet nie uznał za właściwe spojrzeć z wyższością na obecnych. Wziął następny raport: – Ogniomistrz Platzek!

Platzek stał jak skała wydrążona od wewnątrz. Sądził, że wybiła jego ostatnia godzina. Był przekonany, że powędruje stąd prosto do wojskowego więzienia.

– Czytam tu, ogniomistrzu Platzek – powiedział Luschke – że podobno miała wam zniknąć amunicja. Jest to oczywisty nonsens. Nie ma ogniomistrza, któremu by znikła amunicja, zwłaszcza w moim dywizjonie. A o fałszowaniu dokumentów szkoda nawet mówić. To bzdura! Czy nie mam racji?

– Tak jest, panie majorze.

– A więc nie brakuje amunicji i wykaz był prowadzony zgodnie z przepisami. Czy

tak?

– Tak jest, panie majorze.

– W takim razie ten raport jest spóźniony i jako taki kwalifikuje się do kosza. Możecie odejść, ogniomistrzu.

Ogniomistrz Platzek nie wiedział, co się z nim dzieje. Czuł gwałtowną potrzebę znaleźć się na powietrzu. Wypadł z pokoju z niewiarogodnie głupią i uszczęśliwioną miną.

– Tego człowieka trzeba będzie przy najbliższej okazji przenieść – zarządził Luschke. – A teraz niech wejdzie starszy ogniomistrz Schulz.

Schulz wtoczył się jak czołg. Zatrzymał się gwałtownie, blokując swą postacią niemal pół pokoju. Wyrecytował swój meldunek i czekał.

Luschke popatrzył na niego badawczo i zastanawiał się przez chwilę, jak by go najłatwiej złamać. Nie poszedł jednak na żadne śmiałe kombinacje, wybrał metodę najprostszą. – Czy macie rzeczywiście zamiar – zapytał łagodnie – zrezygnować ze stanowiska szefa baterii?

Schulz przeląkł się wyraźnie. Bładł, czerwienił się, patrzył na swego dowódcę i milczał.

– Właściwie byłoby szkoda – powiedział Luschke łagodnie. – Byliście zupełnie przydatnym szefem baterii, przynajmniej do przedwczoraj. Straciłbym was niechętnie, ale mam już następcę. Wiecie z pewnością, że szef baterii to nie stopień, lecz stanowisko służbowe. Zdejmiecie naszywki, zwolnicie mieszkanie służbowe i pozostaniecie starszym ogniomistrzem. Proste, prawda?

Kapitan Derna zdobył się na odwagę i wtrącił:

– Panie majorze...

– Panie kapitanie – oświadczył Luschke – nie przypominam sobie, żebym pana prosił o wyrażenie swego zdania.

Derna zamknął usta i cofnął się w głąb pokoju, Schulzowi krew uderzyła do głowy. Wedelmann i adiutant uśmiechali się do siebie ostrożnie. Luschke rządził się na polu walki suwerennie.

– Starszy ogniomistrz, szef baterii – rzekł major – musi być jakąś osobowością. Osobowość potrafi sobie dać radę. Taki raport jak ten jest jednak zawsze oznaką bezradności.

– Panie majorze, niech mi wolno będzie zameldować, że strzelano do mnie – powiedział Schulz z wysiłkiem.

Luschke potrząsnął lekko głową. Nie ukrywał przed sobą, że była to rafa i że należało ją jakoś pokonać. – Jakże chcecie udowodnić, że strzelano właśnie do was? Przecież strzał musi gdzieś wylądować. A wy siedzieliście przypadkowo na linii strzału: To się może zdarzyć. Prawdziwy mężczyzna nie robi z takiego powodu od razu w portki. Poza tym skąd miała się wziąć amunicja? Z pewnością nie ze stanowiska ogniomistrza Platka; zapewnił mnie o tym przed chwilą. A więc skąd?

– Myśmy wczoraj wieczorem także strzelali, panie, majorze. Za kasynem oficerskim.

Luschke spojrział ze zdumieniem na podporucznika Wedelmanna. Zupełnie nieoczekiwana uwaga podporucznika pozwoliła mu bez trudu przepłynąć przez rafy tych rozważań. Major uśmiechnął się z zadowoleniem. Nie tyle odczuwał wdzięczność za okazanie pomocy, bo ostatecznie i sam poradziłby sobie, ile zadowolenie z powodu zachowania się podporucznika. Jego szkoła! Czuł, że został zrozumiany.

– Panie podporuczniku Wedelmann – powiedział z nie ukrywaną życzliwością. – Na przyszłość proszę pana i innych panów z korpusu oficerskiego, by przy ćwiczeniach w strzelaniu byli ostrożniejsi i posługiwali się raczej strzelnicą.

– Tak jest, panie majorze.

Luschke zwrócił się znowu do starszego ogniomistrza Schulza. – A więc i ta sprawa jest tym samym wyjaśniona. Nie należę wprawdzie do przeciwników gorliwości służbowej, ale tym razem działaliście z pewnością zbyt pochopnie. Przyznajecie to, czy też nie przykładacie już wagi do pozostania na stanowisku szefa baterii?

– Tak jest, panie majorze!

– Co „tak jest”?

– Przyznaję, panie majorze!

– Dlaczego nie wcześniej? – Luschke chwycił raporty starszego ogniomistrza dwoma palcami i wrzucił je do kosza. – Załatwione! – powiedział. Możecie odejść.

Schulz natychmiast wytoczył się z pokoju. Znalazłszy się za drzwiami odsapnął. – Tam, do licha! – mruknął głośno do siebie – o mały włos, a byłoby się źle skończyło! – Był wniebowzięty, że ma już tę sprawę poza sobą. Respekt jego dla majora wzrósł bezgranicznie.

Tymczasem major Luschke obrabiał lekarza dywizjonowego doktora Sämiga. Traktował go ściśle służbowo, unikał zřęcznie podania mu ręki. Nie wskazał też doktorowi krzesła, udając, że o tym zapomniał.

Luschke wiedział dobrze, że nie będzie mógł traktować doktora Sämiga tak, jak tego pragnął. Lekarz był mu jedynie do dywizjonu przydzielony; podlegał mu jako oficer, nie jako lekarz. Ale Sämig czuł respekt przed każdym oficerem liniowym i właśnie major Luschke wzmagął w nim to uczucie.

– Co ja tu słyszę? – powiedział Luschke tonem umyślnie serdecznym. – Urządza pan ze swymi pacjentami wesołe zapasy?

– Zostałem napadnięty – powiedział doktor Sämig z goryczą.

– Wybrał pan nieodpowiednie słowa – powiedział Luschke i nagle cichy jego głos zabrzmiał zupełnie zimno i groźnie. – Oficera się nie napada. To się nie może zdarzyć. Proszę to sobie zapamiętać. Gdyby rzeczy miały zajść tak daleko, to albo napadający byłby trupem, albo ten oficer nędzną szmatą.

Doktor Sämig otworzył szeroko swoje bladoniebieskie oczy. Rozglądał się, jakby szukając pomocy, ale nikt się o niego nie troszczył.

– Czasami – powiedział Luschke – słyszę historie, od których mi włosy stają na głowie, ale nie wierzę w nie. Mój zdrowy ludzki rozsądek mówi mi, że nie wolno mi w nie wierzyć. Gdyby istniał gdzieś lekarz, który by, obojętnie z jakich powodów, uznał człowieka normalnego za chorego umysłowo, to wie pan, co by mu się należało? Baty! Porządna porcja batów. A gdyby ten wyrok wykonał na nim żołnierz, wie pan, co bym z nim zrobił? Powinnowałbym mu! Z całego serca. Ale takie rzeczy się nie zdarzają. A gdyby się nawet zdarzyły, cały korpus oficerski skręcałby się ze śmiechu, o ile by miał w ogóle rozum. Pan coś mówił, doktorze Sämig?

– Nie, panie majorze.

– A ten raport, który tu mam przed sobą, może być tylko dobrym kawałem. Uśmieliśmy się z niego porządnie. Do kosza z nim!

Major Luschke wyrzucił i tę ostatnią kartkę papieru. Zatarł ręce i rozejrzał się błyszczącym wzrokiem. Ale ciągle jeszcze nie było widać po nim, że triumfuje.

– Podporuczniku Wedelmann – powiedział dowódca – zdaje się nie ulegać wątpliwości, że trzecia bateria potrzebuje mądrzejszej, zręczniejszej organizacji. Potrzebuje mężczyzny, a nie marionetki. Same przepisy nigdy nie wystarczą, trzeba mieć i trochę rozumu. Czy sądzi pan, że jesteśmy zabezpieczeni przed dalszymi niespodziankami podobnego rodzaju?

– Z całą pewnością, panie majorze.

– A bombardier Asch?

– Ręczę za niego głową!

– Mimo wszystko?

– Właśnie dlatego, panie majorze.

– No dobrze – powiedział dowódca. – Niechże więc pan obejmie baterię, panie podporuczniku Wedelmann. Kapitan Derna rozpocznie swój urlop, przeforsuję już to jakoś w pułku. Wie pan, co teraz zrobimy, podporuczniku Wedelmann?

– Nie, panie majorze.

– Pójdziemy obaj do bombardiera Ascha. Zakomunikujemy mu, że dostał awans na kaprała.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Bombardier Herbert Asch, nieco zmęczony walką, którą uznał za beznadziejną, przyjął awans. W naiwności swej przypuszczał, że jako podoficer będzie mógł żyć tak, jak tego sam domagał się od podoficerów będąc bombardierem. Ale wkrótce musiał uświadomić sobie, że niewolnicza uległość pewnej części żołnierzy była jednym z istotnych czynników, które podatnych ha bakcyle władzy przełożonych, bez względu na to, czy tego chcieli, czy nie, doprowadzały do manii wielkości.

Podporucznik Wedelmann objął trzecią baterię tylko na krótki okres czasu, bo wedle przepisów normujących obsadzanie stanowisk był jeszcze za młody, by tę funkcję pełnić. Już jednak na początku drugiej wojny światowej został oficjalnie dowódcą baterii. Można go było wykorzystać z powodzeniem na wszystkich odcinkach

frontu. Żołnierze lubili go, a przełożeni byli radzi, kiedy go nie widzieli. To chyba najlepsze, co można o oficerze powiedzieć.

Kapral Lindenberg, który pozostał bezwzględnie wierny swoim przekonaniom i przysiągł sobie przysparzać ojczyźnie nieustraszonych i dobrze wyćwiczonych obrońców, wypełniał pracą każdą minutę pozostałego mu do dyspozycji krótkiego żywota. Padł trzeciego dnia wojny w Polsce pod wsią zaznaczoną jedynie na mapach szczegółowych. Zginął od serii z ciężkiego karabinu maszynowego, jak na ogół giną tylko bohaterowie w powieściach: w czasie walki o poszczególne zabudowania, trzymając w lewej ręce karabin, a w prawej odbezpieczony granat ręczny, który wybuchnął, kiedy padł nań twarzą. Można go było zidentyfikować jedynie na podstawie znaku tożsamości.

Ogniomistrz Platzek, Platzek-dręczyciel, zginął również śmiercią bohaterską, w zupełnie innych jednak okolicznościach i dopiero po kilku latach. Do roku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego był instruktorem w rodzinnym garnizonie i otrzymał wojenny Krzyż Zasługi pierwszej klasy. Przez ręce jego przeszło wiele setek żołnierzy, z których – jak to z dumą podkreślał – „zrobił ludzi”. Los dosięgnął go podczas odwrotu z wału atlantyckiego, gdy cofał się na czele swego pododdziału. Bomby zasypały go w jakiejś piwnicy pod miejscowością Dreux. Równocześnie eksplodowała nad nim potężna beczka, napełniona czerwonym winem.

Babiarz Werktreu, król magazynierów, przeżył wojnę bez wielkiego wysiłku. Bywał przeważnie tam, gdzie nie strzelano. Był urodzonym administratorem od umundurowania, amunicji i ludzi. Wkrótce po najeździe wypłynął w zdobytej Polsce i wyrobił sobie u miejscowej ludności trwałą sławę jako spekulant i paskarz. Później został przeniesiony do Francji, gdzie zasłynął podobno jako organizator szeregu dobrze urządzonych domów publicznych. Na krótko przed zakończeniem wojny dał się zaskoczyć frontowi w Normandii; pracował tam później czas jakiś jako pomocnik kelnera w gospodzie wiejskiej, należącej do kobiety nieco już zużytej, co mu zresztą wcale nie przeszkadzało. Bezpośrednio po wojnie objął się po Hamburgu handlując z powodzeniem jedwabnymi pończochami. Po czterech latach stał się właścicielem fabryki.

Kapitana Dernę po dłuższym urlopie zwolniono z Wehrmachtu. Wrócił do Wiednia, pracował tam w firmie ubezpieczeń na życie. Później „ojczyzna znowu go wezwała”. Został komendantem obozu dla jeńców wojennych, mieszczącego się w pobliżu fabryki amunicji. Dowódca garnizonu, któremu podlegał, oficer rezerwy ze Szczecina, traktował go tak, jak Prusak traktuje Austriaka, kiedy obaj noszą ten sam mundur. Derna cierpiał z tego powodu straszliwie. W skrytości ducha przeklinał na czym świat stoi, że kiedyś gardłował za „powrotem do Rzeszy”! Kiedy wojna się skończyła, odetchnął. Wiedeńskie towarzystwo ubezpieczeń wcieliło go z powrotem do swych szeregów. Na jego bilecie wizytowym widnieją słowa: „major w stanie spoczynku”.

Jak należało się spodziewać, starszy ogniomistrz Schulz zrobił karierę. Kiedy korpus oficerski poczuł gwałtowną potrzebę uzupełnienia swego stanu, wysłano go do szkoły oficerskiej, którą ukończył dzięki zacieklej ambicji i wielkiej wytrwałości jako najlepszy ze swego rocznika. Pod koniec wojny miał cztery kufry i dwie ciężarówki pełne starannie dobranej odzieży i żywności w koncentratkach. Został woźnym gminnym gdzieś w Hesji, potem urzędnikiem w urzędzie pracy, wreszcie jego kierownikiem. Jego żona Lora rozwiodła się z nim. Wyszła za mąż za Amerykanina i wywędrowała do Teksasu.

Tylko bombardier Kowalski nie wykroczył aż do końca wojny poza swój stopień. Swego awansu na kaprała nie przyjął po prostu do wiadomości, przełożeni doszli do zgodnej decyzji, by udawać, że wcale tej nominacji nie było. Trzy razy stawał przed sądem wojskowym, ale niczego mu nie dowiedziono. Po wojnie wstąpił do pewnej partii politycznej i został radnym w jednym z miast przemysłowego centrum. Frakcja jego ma zamiar powierzyć mu stanowisko komisarza policji. A cóż się stało z kapralem Aschem?

Dopóki trwał stan nazywany pokojem, żył w dalszym ciągu spokojnie i beztrąsko. Podczas wojny strzelano i do niego. O tym, jak zawsze znajdował kryjówkę i schronienie, nie tracąc przy tym właściwej postawy, jak dzięki miłości do Elżbiety oparł się pokusom ze strony kobiet, które od czasu do czasu wyłaniały się na froncie w charakterze „opiekunek Wehrmachtu”, jak wreszcie uporał się nawet z pewnym dowódcą baterii, który przybył na front z bólem gardła – mówi nowa książka, którą autor napisał ku radości niektórych pułkowników, generałów i ministrów.

Major Luschke, który w okresie tak zwanego pokoju uratował Ascha od sądu wojskowego, awansował podczas wojny na pułkownika i był przez jakiś czas dowódcą pułku Herberta Ascha. Nie należał do ludzi, którzy nie zastanawiają się nad tym, co czynią. Ale był jednym z niewielu, którzy mieli własny sąd, uważali za swój oficerski obowiązek robić z tego sądu użytek i nie dopuszczać do tego, by powierzeni im żołnierze ginęli bez sensu. Z następnego tomu „08/15” – „Osobliwe przygody wojenne żołnierza Ascha” – czytelnik dowie się, jak Luschke dopomógł kanonierowi Vierbeinowi do niespodziewanego ujrzenia ojczyzny, co się stało z Ingrid Asch, jego byłą narzeczoną, oraz z Lorą Schulz, która pod wpływem nalotów bombowych dopiero na dobre zaczęła odczuwać żądzę życia.

Dowiedzieć się będzie można stamtąd również czegoś bliższego o losie Elżbiety Freitag, narzeczonej bombardiera Ascha, o jej solidnym ojcu i jego przyjacielu, właścicielu kawiarni, Aschu.

Jak sobie można łatwo wyobrazić, starszycy ci bardzo się zaprzyjaźnili. Dłubali razem różne robótki, wspólnie klnąc przetrwali razem wojnę i opróżnili razem niejedną butelkę. Kiedy stary Freitag wpadł tuż przed końcem wojny w tarapaty z powodu swej socjalistycznej przeszłości, wyciągnął go z nich stary Asch. Kiedy potem, wkrótce po zakończeniu działań wojennych, zwały się przykre kłopoty na

Ascha – ojca w związku z jego narodowosocjalistyczną przeszłością, stary Freitag poruszył niebo i ziemię, by swemu ukochanemu przyjacielowi oszczędzić przykrości. Mieli zupełnie odmienne poglądy, ale mimo to świetnie się rozumieli. W jednym byli całkowicie zgodni: wszystko, co dotyczyło wojska, wywoływało u nich epitety, jakich nie zawiera żaden słownik.

Koszary jeszcze ciągle stoją. Nic im się nie stało. Szczęśliwie przetrwały złe lata i dziś jeszcze trzymają się uparcie na miejscu. Stały się teraz w nowej dzielnicy mieszkaniowej przedmieścia, która podsunęła się aż po ich kanciaste mury, ciałem zupełnie obcym. Są tutaj nawet do pewnego stopnia kamieniem obrazy. Mają w sobie coś z więzienia, nie harmonizującego z okolicą.

Kiedy wymaszerował na wojnę dywizjon majora Luschke, znalazły tu pomieszczenie różne oddziały rezerwowe. Wtłoczono do nich szpital zapasowy, urządzono baraki dla jeńców. Po zakończeniu wojny koszary nagle opustoszały. Ale po kilku dniach wczorajsi żołnierze stali się tu jeńcami dnia dzisiejszego. Zluzowali ich dipi-si{8}. Potem rozlokowały się w koszarach oddziały okupacyjne. Teraz robi się. w nich porządki, remontuje się je znowu i oczyszcza.

Oby żołnierzom, którzy będą musieli tam odbywać swą służbę, oszczędzone zostało to, co się tu rozgrywało piętnaście lat temu! Niejedno musi się zmienić. Wtedy dopiero będzie można napełniać koszary ludźmi zasługującymi na zaufanie.

TOM II

OSOBLIWE PRZYGODY WOJENNE

ŻOŁNIERZA ASCHA

Jakiś obcy samochód osobowy stał pośrodku wiejskiej drogi. Porzucony stos blachy, gumy i brezentu. Koła jego były oblepione papkową mieszaniną śniegu i błota, rozgniecioną na miazgę przez kolumny samochodowe.

Ogniomistrz Asch, który wychylił się w stronę tej przeszkody, rzucił krótkie spojrzenie na swego kierowcę i uniósł nieco rękę. Ten już hamował ciągnik. Przyczepione do niego działo balansowało jeszcze przez chwilę, po czym utkwilo nieruchomo w miejscu.

– Cóż to za idiota postawił tu pudło? – zapytał kierowca.

– Zaraz zobaczymy – powiedział Asch i zeskoczył.

Żołnierze siedzący z tyłu na ciągniku, zawinięci w swe płaszcze jak w worki, nie zwrócili na ten incydent uwagi. Jeden z nich wyciągnął nogi i oparł je na siedzeniu, które zaczęło gwałtownie trzeszczeć. Drugi podniósł wysoko kołnierz płaszcza, okrywając nim głowę; dym unosił mu się z papierosa jak z komina. Czekali spokojnie, co się stanie dalej, uśmiechali się do siebie nieznacznie. Otwieranie ust uważali za zbyteczne. Po prostu czekali. A czekania się nauczyli.

Asch zbliżył się do samochodu. Oglądana z bliska kupa żelastwa okazała się mercedesem. Maską silnika była jeszcze ciepła. Drzwiczki były zatrzęsnięte, ale w brezentowej budzie widniały dziury. Asch zajrzał przez nie i zobaczył dwie walizy oraz mocno wypchany brezentowy worek.

Kierowca dał jeszcze raz głośny sygnał, po czym wyłączył silnik. Pochylił się nad kierownicą i zapytał:

– Czy mam tę pluskwę zagrządzającą drogę zepchnąć do rowu?

– Masz na to ochotę, co?

– Jeżeli dasz rozkaz – odpowiedział kierowca – zrobię to z rozkoszą.

Asch rozejrzał się dokoła. W twarzy jego na pierwszy rzut oka uderzał szczeciniasty zarost. Oczy patrzyły chłodno, szyderczo, miały wyraz nieco zmęczony.

Wydawało się, że wieś, leżąca zaledwie kilka kilometrów za frontem, jest opuszczona. Ale pod ścianami chałup stało kilka samochodów wojskowych. Z niektórych kominów unosił się dym.

Wojna pozwoliła sobie na zimową drzemkę; nie było chyba w tych stronach nikogo, kto by się uparł zakłócić jej ten zimowy sen. Ale wiosna była już za pasem; wkrótce doda wojnie nowych sił i znowu postawi ją na nogi. Ten pierwszy rosyjski sen zimowy nie miał w sobie cech trwałości.

W pobliżu opuszczonego samochodu osobowego znajdowała się chata, skulona, jak gdyby starała się wleźć pod ziemię. Na drzwiach wisiał strzep żaglowego płótna. Ktoś wymalował na nim niezdarne „F”.

– Zapewne chłopcy telefonują – powiedział kierowca. I jemu było wiadome, że

żółte „F” na strzępie płótna oznacza stację telefoniczną. – Może właśnie umawiają się na randkę. – Roześmiał się z własnego dowcipu.

Asch uśmiechnął się również. Potem podszedł do chałupy, która miała na ścianie nasmarowane kredą podobne „F”. Drzwi nie chciały ustąpić, więc pchnął je mocno ramieniem. Odskoczyły teraz i uderzyły o mur, z którego posypał się tynk.

W izbie, do której wszedł, pachniało mocno przepoconymi skarpetkami i tyto- niem. Uderzyła w niego ciepła fala odoru owczarni, otoczył go senny półmrok. Upłynęło parę sekund, zanim się zorientował, co go otacza.

– Zamknij łaskawie drzwi, człowieku! – zawołał ktoś opryskliwie, ale bez gniewu. – Nie jesteś tu u siebie w domu.

Asch z hukiem zatrzaskał drzwi. Znowu posypał się tynk. Potem rozejrzał się ba- dawczo, jak gdyby miał zamiar coś kupić.

Izba była wypełniona po brzegi; na ziemi leżeli żołnierze. Palili, rozmyślali, nu- dzili się, drzemali, grali w karty, wołali coś do siebie. Zdawało się, że nikt nie zwraca na nikogo uwagi. Asch miał wrażenie, że się wśliznął do pudełka sardynek.

Na prawo przy drzwiach, tuż pod oknem owczarni, stała mała łącznica telefonicz- na na dziesięć linii. Obok opierał się o belkę jakiś żołnierz w wytartym kozuchu. Stał przy nim drugi, w prowokująco nowym sukiennym płaszczu, i próbował telefo- nować. Wołał tak gwałtownie o połączenie, że czapka zsunęła mu się z czoła. Była to czapka oficerska.

Asch nie zwracał uwagi na krzykacza przy telefonie. Rzucił w gwar głosów pyta- nie: – Do kogo właściwie należy to pudło tam na drodze?

Nie otrzymał odpowiedzi. Nikt się o niego nie troszczył. Dostawszy się do pudeł- ka, był teraz jedną z wielu sardynek.

Zawołał więc o wiele głośniej: – Pytam, do kogo należą te parszywe taczki?!

– To chyba mój wóz – odezwał się żołnierz w wytartym kozuchu. Nie zmienił przy tym bynajmniej zajmowanej pozycji; oparty o belkę, gromadził, jak się wyda- wało, ślinę w ustach.

– W takim razie bądź łaskaw wyjść i zjechać ze swoim pudłem na bok. Tarasuje nam drogę.

– Droga jest dostatecznie szeroka – odpowiedział żołnierz krnąbrnie i szerokim łukiem splunął zgrabnie między dwoma szeregowcami w kierunku pieca. – Każdy może się tamtędy przedostać.

– Ale nie ciągnik! – krzyknął Asch. – Jazda, człowieku, jazda! Nie tarasuj drogi. Nie mam chęci wpaść do rowu tylko dlatego, że jesteś za leniwy i nie chce ci się ze swoim gratem zjechać na bok.

– To nie żaden grat – powiedział tamten nie ruszając się z miejsca. – To mercedes.

– Wyłaż, i to natychmiast! – zawołał Asch. – Jeżeli nie, zrobię z twego wspaniałe- go wozu miazgę.

Rozmowa przeszkadzała stojącemu przy telefonie oficerowi, który ciągle jeszcze,

mimo ryków i wrzasków, nie mógł dostać połączenia. – Zamknijcie łaskawie swój dziób, człowieku! – krzyknął dosyć ostro, ale z odrobiną oficersko-koleżeńskiej jowialności. – Czy nie słyszycie, że telefonuję?

– Tak jest – odpowiedział Asch. – Słyszę.

– W takim razie proszę mi ustawicznie nie przerywać. Asch skinął głową. Potem podszedł tak blisko do kierowcy mercedesa, że tamten poczuł jego oddech i próbował się cofnąć. – Więc pójdziesz, kochasiu, czy nie? – zapytał. – Mam ci może pomóc?

– Nie macie tu nic do rozkazywania – powiedział ostro oficer. – Jeżeli ktoś może memu kierowcy wydawać rozkazy, to tylko ja.

– Niechże więc pan wyda mu rozkaz.

Oficer przy telefonie, ciągle jeszcze czekający na próżno na połączenie, opuścił słuchawkę i spojrzął ze zdziwieniem na ogniomistrza Ascha. – Jak wy w ogóle ze mną rozmawiacie? – zapytał. – Czy nie widzicie, że macie przed sobą oficera?

– Tak jest – odpowiedział Asch. – Widzę to. Tak jest.

– Jestem kapitanem.

– Tak jest, panie kapitanie.

Żołnierze przerwali swe „zajęcia” i nie bez zainteresowania zaczęli przysłuchiwać się tej wymianie zdań. Niektórzy podnieśli się nawet trochę. Jako telefoniści i łącznicy mieli okazję przyzwyczaić się do podobnych rozmów, zwłaszcza w dniach kryzysu, ale na ogół bojowe koguty były rozdzielone paru kilometrami kabla polowego, co, jak wiadomo, bardzo dodaje odwagi. Bezpośrednie starcia, można rzec: oko w oko, należały do rzadkości, dlatego zawsze towarzyszyło im pewne zainteresowanie.

– Panie kapitanie – powiedział ogniomistrz Asch z pobłażliwością, starając się, by pouczenie, które musiało teraz nieuchronnie nastąpić, wypadło w możliwie uprzejmej formie. – Stanowiska naszych dział znajdują się o cztery kilometry od frontu.

– Jesteście z artylerii? – zapytał kapitan z zainteresowaniem.

– Tak jest.

– Może z pułku Luschkego?

– Tak jest.

– Proszę nie zapominać, że jestem kapitanem.

– Tak jest, panie kapitanie.

– Z której baterii?

– Z trzeciej, panie kapitanie.

– Tak! – zawołał kapitan i na jego gładkiej, nieco kanciastej twarzy pojawił się wyraz triumfu. – Z trzeciej? Doskonale. A to ci kawał!

– Tak jest, panie kapitanie – odpowiedział Asch nie zwracając uwagi na jego słowa. – W chwili obecnej mamy na stanowisku ogniowym tylko trzy działa. Czwarte było przez dwa dni w remoncie. Teraz muszę je znowu dostarczyć do baterii. Tymczasem samochód pana kapitana stoi pośrodku drogi.

– Jeżeli bateria obchodziła się bez działa przez dwa dni, to chyba będzie mogła poczekać jeszcze dziesięć minut, zanim skończę tu moją rozmowę.

– Kierowca, panie kapitanie...

– Muszę to sam zobaczyć – powiedział oficer zdecydowanym tonem. – Chcę przekonać się osobiście, czy wasze żądanie, sformułowane w wybitnie niezdyscyplinowanej formie, jest uzasadnione, czy też chodzi tu o skłonność do wygodnictwa lub pośrednią szykanę.

– Ależ wystarczy, żeby kierowca...

– Przed chwilą wydałem wam rozkaz, ogniomistrzu.

– A jeżeli tymczasem...

– Przywykłem przyjmować za swoje rozkazy pełną odpowiedzialność. Proszę to sobie zapamiętać, ogniomistrzu. Także i na później. Prawdopodobnie będzie to wam potrzebne.

Asch wolał zamilknąć i zaczął przypatrywać się uśmiechniętym twarzom żołnierzy. Mieli przed chwilą przedstawienie ekstra, była to pewna rozrywka w codziennej szarzyźnie. Nie żałował im tego.

Kierowca, który ciągle jeszcze tkwił oparty o belkę, uśmiechnął się teraz całą gębą i zupełnie bez żenady. Splunął znowu, jeszcze wyższym łukiem niż przedtem, i trafił w środek płyty kuchennej. Kapitan wrzeszczał dalej do słuchawki energicznie i wytrwale, próbując otrzymać połączenie.

Ogniomistrz Asch odwrócił się, otworzył szeroko drzwi i zawołał do siedzących na ciągniku żołnierzy: – Złaźcie i chodźcie tutaj. Zdaje się, że sprawa przeciągnie się trochę.

– Co takiego, o co chodzi? – zapytał ostro kierowca. – Czyżby jakaś fujara robiła trudności?

– Tu się nie robi żadnych trudności – powiedział Asch bez żenady. – Tu się robi wyłącznie dyscyplinę.

– Ktoś chyba spadł z księżycy?

– Mnie się zdaje, że prosto z ojczyzny.

Żołnierze ogniomistrza Ascha zostawili działą i ciągnik i pyskując wsunęli się do ciasnej chaty. Ludzie stłoczyli się jeszcze bardziej. Gęste powietrze można było krajać. W najgłębszym kącie ktoś stękał rozpaczliwie i na próżno usiłował cisnąć w nich jakimś ciężkim przedmiotem. Telefoniści protestowali z wściekłością, ale nie odnosiło to żadnego skutku.

Kapitan, który ciągle jeszcze nie mógł otrzymać połączenia, otarł pot z czoła i zapytał gniewnie: – Czy ci ludzie nie mogli poczekać na dworze?

– Nie – odparł ogniomistrz Asch. – Bo na dworze jest zimno.

Kapitan nie miał już sposobności odpowiedzieć. Nareszcie doczekał się połączenia. Nagle stał się niezwykle ożywiony, głos jego niczego się już nie domagał, było w nim coś przyjaznego. – Proszę majora Bära.

Major Bär, pełniący służbę w dowództwie armii, zgłosił się natychmiast. Kapitan, wniebowzięty, zwracał się do swego rozmówcy jak do kompana od kieliszka i najserdeczniejszego przyjaciela po imieniu.

– Jakże ci się powodzi, Ryszardzie? Tu Witterer, kapitan Witterer, Paweł Witterer. Dziwisz się, wielce szanowny, co? Nareszcie się zjawiłem!

Kapitan Witterer, którego rozmowie przysłuchiwały się z lekkim znudzeniem dwa tuziny ciasno stłoczonych żołnierzy, szafował oficersko-koleżeńską serdecznością.

– Chlewik niewąski! – zawołał rzeško. – Niczego innego nie można się też było spodziewać. Ale zrobimy z tym porządek. Miejmy nadzieję, że nie będzie tak źle. Wystarczy mi już to, co widziałem dotychczas. Na gwałt potrzeba świeżej krwi. Ale zostawmy te bagatelki. Co właściwie, mój stary przyjacielu, robi mała Liza? Czy także jest już w drodze?

Żołnierze nastawili uszu. Zainteresowanie ich wyraźnie wzrosło. Ożywił ich sam dźwięk kobiecego imienia. Mieli szczerą nadzieję, że „Liza” to nie kryptonim odnoszący się na przykład do amunicji, lecz prawdziwa żeńska istota, wyposażona obficie w ciało.

Zainteresował się tym nawet ogniomistrz Asch. Ta Liza, o której tu w Rosji, bezpośrednio za zastygłym frontem, była mowa, skierowała jego myśli ku Elżbiecie. Liza-Elżbieta. Dla większości to tylko imię, dla niego – cały świat. I gdyby to od niego zależało, byłby to świat jedyny. Ale to od niego nie zależało. Żołnierzy nie pytają o zdanie. Niektórym się to nawet podoba. Prędzej by sobie dali krwi utoczyć, niż ruszyć mózgiem.

Ryczący przy telefonie kapitan oderwał Ascha od tych myśli. Były pozbawione sensu, gdyż zbyt niewiele myślało tak jak on. Trzeba widzieć to, co jest, i ratować co się da. I natychmiast stanął znowu mocno na glinianej polepie chałupy.

– Ależ to wspaniale! – trąbił radośnie kapitan Witterer. – Właśnie na naszym odcinku frontu! I już tak prędko! Możesz mi wierzyć, mój drogi, że z rozkoszą pozwolę tej małej roztoczyć opiekę nade mną. Lizie zawsze! A więc bądź zdrow, stary przyjacielu. Wkrótce znowu dam znać o sobie.

Kapitan Witterer oddał słuchawkę jednemu z żołnierzy łączności. Promieniał jeszcze. Rozmowa prowadzona przed chwilą przez telefon wyraźnie go podnieciła. Po niedługiej jednak chwili stał się nagle rzeczowy. – Czy to u was tak zawsze? – zapytał łącznościowca.

– Przeważnie – odparł tamten.

– Można się tutaj zatelefonować na śmierć, zanim się dostanie połączenie.

– Nikt jeszcze u nas nie umarł – mruknął żołnierz. I dodał jeszcze bardziej niewyraźnie: – Niestety!

Kapitan Witterer nie zwrócił już na to uwagi. Nasunął czapkę na czoło, wyprostował się i spojrzał przy tym wyzywająco na Ascha. Po chwili wymownej pauzy powiedział: – A teraz wasza sprawa, ogniomistrzu.

Asch odwrócił się i zrobił w milczeniu kilka kroków naprzód. Kapitan poszedł za nim. Za kapitanem ruszył wolno jego kierowca. Obsługa działa podreptała za nimi również, choć nikt jej nie rozkazał.

Ogniomistrz Asch stanął przed chałupą i niedbałym ruchem wskazał na samochód osobowy, ciągnik i działą. Kapitan Witterer zbliżył się do spornych obiektów i powiedział: – Hm. – Żołnierze uśmiechnęli się do siebie.

Kapitan zorientował się od razu, że Asch miał rację. Stojący na wąskiej drodze samochód był dla ciągnika przeszkodą nie do przewyciężenia. Droga, miażdżona w ciągu długich miesięcy zimowych przez tysiące pojazdów, nie przypominała bynajmniej autostrady.

– Zjedźcie ze swoim wozem na bok – powiedział gniewnie kapitan do swego kierowcy.

– No więc – odezwał się Asch. – Trzeba tak było od razu... Kapitan Witterer przez chwilę przebierał palcami po pasie, po czym stanął przed Aschem wyprostowany jak świeca. Ogniomistrz podziwiał jego mundur jak z igły, rozkoszował się widokiem płaszczka podbitego futrem, na którym prawie nie było plam. Uważał to wszystko za godne niezwyklej uwagi.

– Zachowanie wasze – powiedział kapitan surowym tonem – jest pod zdechłym psem.

Ogniomistrz milczał. Patrzył na opustoszałą okolicę, przyglądał się kominowi, z którego szedł w niebo dym.

– Jak się właściwie nazywacie?

– Asch.

– I należycie do trzeciej baterii pułku artylerii, którym dowodzi Luschke?

– Tak jest, panie kapitanie.

– A wiecie, kto jest dowódcą waszej baterii?

– Tak jest, porucznik Wedelmann.

– Otóż – Witterer uśmiechnął się nieskończenie lekceważąco i wyniośle – jesteście w wielkim błędzie. Dowódcą waszej baterii jestem bowiem ja. I to od dziś.

Zawsze, kiedy widzę pańskie wiernopoddańcze niemieckie oblicze – powiedział pułkownik Luschke ze złośliwą uprzejmością – uświadamiam sobie dokładnie, że będzie to długa wojna. Mimo to niech pan siada.

Porucznik Wedelmann zamarkował powitanie służbowe i mruknął coś zdawkowego.

– Czy jesteśmy tu w kasynie? – zapytał Luschke z dobrotliwą ironią. – Jesteśmy w Rosji, mój drogi. Mój schron nie jest o wiele większy od wychodka, który w garnizonie był do mojej wyłącznej dyspozycji.

Wedelmann roześmiał się półgłosem. Ale w śmiechu tym nie było ani cienia pochlebstwa. Nie był to śmiech podwładnego niższego stopnia, gdyż było powszechnie wiadome, że Luschke w straszliwy sposób reaguje na podobne objawy. Wedelmann

poważał go jako człowieka i nie włożył przełożonemu Luschke do tyłka. Nie należał do tych, którzy w kasynie przy każdym kawale przełożonego usłużnie pękają ze śmiechu.

– Mamy niejedno do omówienia – powiedział pułkownik. – Niech pan dobrze i wygodnie usiądzie.

Wedelmann przysunął do pułkownika świeżo ociosany brzozyowy stołek; Luschke siedział w trzeszczącym przy każdym poruszeniu fotelu na biegunach, który pamiętał czasy pradziadków. Obaj może dlatego rozumieli się tak dobrze, że mieli tak mało zrozumienia dla wszelkiego rodzaju bohaterstwa. Śmierć nie była dla nich opromieniona blaskiem glorii. Jedynie w tym, co należało rozumieć przez pojęcie „Niemcy”, poglądy ich różniły się zasadniczo.

Schron, w którym Luschke przebywał już od kilku miesięcy, był mały i niski. Stały tu tylko najbardziej niezbędne meble: łóżko polowe, kilka krzeseł i stosunkowo ogromny stół z mapami. Na świeżo pobielonych ścianach również wisiały mapy. Służyły raczej celowi higienicznemu niż strategicznemu: zakrywały plamy wielkości łebka od zapałki, pozostałe po rozgniecionych pluskwach.

– Cóż robią pańscy żołnierze? – zagadnął pułkownik jakby mimochodem.

Wedelmann spojrzał nieufnie. – O ile mi wiadomo, panie pułkowniku, wszystko jest w porządku. A może...?

– Pańskie sumienie prawdopodobnie nigdy nie jest zupełnie czyste.

– O ile to ode mnie zależy...

– I ja nie mam już od dawna czystego sumienia – powiedział pułkownik tak obojętnie i spokojnie, jak gdyby mówił o pogodzie. – Myślałem sobie zawsze, że urodziłem się na obrońcę ojczyzny. Ale ojczyzna to sprawa nie taka prosta. Czasami wygląda mi to na firmę, która wyłazi po prostu ze skóry, żeby ogłosić upadłość.

Wedelmann chciał zaprotestować, ale pułkownik machnął ze znudzeniem ręką. – My wszyscy jesteśmy teraz mniej lub więcej kozłami ofiarnymi. Posłuszeństwo to dla nas wszystko. Jesteśmy odważni, kiedy bronimy własnej skóry. A niektórzy zdobywają się na „odwagę” tylko wtedy, kiedy się czują bezpieczni. Ale nie ma nikogo, kto by mógł sobą rozporządzać. A ten, kto płynie pod prąd, musi być albo diablo odważny, albo horrendalnie głupi. To współistnienie idealistów i idiotów doprowadza mnie czasami do rozpacz.

Porucznik przypatrywał się swemu dowódcy pułku w milczeniu. Pułkownik z twarzą bulwy i oczami lisa siedział bez ruchu, głęboko zatopiony w fotelu. Mundur, jak zawsze przepisowo pozapinany, marszczył się na szczupłej postaci. Kołyszące się nogi tkwiły w obszytych futrem filcowych butach.

– Nie wyglądam imponująco, co? – zapytał Luschke łagodnie. Wedelmann był zmieszany. Pułkownik zawsze potrafił wprawiać go w zakłopotanie. W zetknięciu z nim najmocniejsi ludzie topnieli jak sople lodu na rozżarzonej płycie kuchennej.

– Niech się pan nigdy nie maskuje – powiedział Bulwa ze spokojem. – W przeciw-

nym razie przyjdzie nieubłagane dzień, w którym pan tego gorzko pożałuje.

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł posłusznie Wedelmann; było widoczne, że nie wie, do czego się odnosi ta uwaga dowódcy pułku.

– Ale, ale – Luschke przeskoczył nagle na inny temat. – Wygląda na to, że jeden z pańskich podoficerów znowu pozwala sobie na wybryki.

– Soeft?

– Oczywiście. Któż by inny? Pobrał zaopatrzenie dla oddziału, którego w naszym rejonie w ogóle nie ma.

– Oczywiście, natychmiast...

– Nic pan nie zrobi, drogi Wedelmann. Bo po pierwsze, nie zostało jeszcze udowodnione, że to znowu ten Soeft nabił w butelkę tych byków z zaopatrzenia z dowództwa armii. A po drugie, nie widzę powodu, dlaczego zawsze wojska frontowe mają odpowiadać za błędy biurokratów tyłowych. Gdyby jednak złapali kiedy pańskiego Soefta na gorącym uczynku...

– Uważam to prawie za wykluczone, panie pułkowniku.

– Ja również. Ale nigdy nie można wiedzieć, czy nie nadejdzie godzina, w której zaczną myśleć nawet sztaby służb tyłowych. Gdyby więc naprawdę doszło do czegoś nieoczekiwanego i schwytano by na tym pańskiego Soefta, niech pań wtedy, drogi Wedelmann, nie liczy na to, że przymknę oczy.

– Wezwę kaprała Soefta, panie pułkowniku, i przemówię mu do sumienia.

Luschke roześmiał się cicho. Rzekome sumienie kaprała Soefta i zapał, z jakim Wedelmann chciał do tego sumienia przemówić, rozbawiły go. Od dawna już cieszyło go potajemnie to wszystko, co kulało w pracy specjalistów wojskowych na tym podminowanym, trudnym terenie.

Luschke podniósł mikrofon, pokręcił korbką i powiedział łagodnie: – Drzewa i herbaty. A potem spokoju na najbliższe pół godziny.

Zjawił się ordynans pułkownika, wpakował kilka krótkich polan do rozżarzonego pieca, postawił na stole z mapami dwa naczynia z wrzątkiem i butelkę rumu. Potem znikł równie cicho, jak się zjawił.

– Proszę, Wedelmann – Luschke zrobił zapraszający gest ręką. – Niech się pan napije dla dodania sobie odwagi. Może będzie to panu potrzebne. I niech pan nie będzie zbyt skromny. Mój przydział to jeszcze zniesie, gdy mi pan wypije ćwierć litra rumu. Gdyby pan przekroczył tę normę, Soeft musiałby pomyśleć o uzupełnieniu.

Wedelmann napełnił swoje naczynie po brzegi, pułkownik nalał do wrzątku zaledwie kilka kropel rumu. Z zachęcającym gestem w stronę Wedelmanna podniósł filiżankę do ust i zaczął pić małymi łykami.

Po chwili powiedział: – Już od paru miesięcy śpimy tutaj zimowym snem. To się zapewne skończy w najbliższych dniach. Nadchodząca wiosna stanie frontowi kością w gardle. W ciągu kilku tygodni wojna znowu pokaże pazury.

– Najwyższy czas, panie pułkowniku.

– Tęskno panu za nowymi przygodami, co?

– Nie chcę się tutaj zestarzeć, panie pułkowniku. Oto wszystko.

Luschke kiwnął z uznaniem głową. – Nie zestarzeje się pan tutaj, Wedelmann. Może pan być tego pewien.

– Dobrześmy wykorzystali te zimowe miesiące, panie pułkowniku. Uzupełniliśmy broń, sprzęt, pojazdy. Żołnierze wypoczęli. Amunicji mamy coraz więcej.

– Brawo, panie poruczniku! – zawołał Luschke ironicznie. – Podczas gdy pan robił to wszystko, Rosjanie spali, co? Bo Hitler jest geniuszem, a Stalin matolem. My mamy samych bohaterów, tamci zaś nikogo prócz marnych kreatur. Niemcy ponad wszystko, wszystko inne jest pod zdechłym psem. Drogi Wedelmann, niech mi pan zrobi przynajmniej tę grzeczność i zachowa swój zdrowy ludzki rozum! Także w sprawach dotyczących Wielkich Niemiec, Wedelmann! Właśnie w tych sprawach!

Wedelmann milczał, nieco bezradnie trzymając oburącz swe naczynie do picia. Nie pierwszy to raz stwierdzał u pułkownika Luschke brak bezwzględnej, jednoznacznej wiary w zwycięstwo. Ale czuł dla tego małego człowieka o chytrych oczach tyle respektu, że nawet mu nie przychodziło do głowy pomyśleć poważnie o postawieniu mu jakiegoś niedwuznacznie sformułowanego zarzutu.

– Zaopatrzenie – powiedział Luschke z niechęcią – było poniżej wszelkiej krytyki. To prawda, że znowu nas napompowano aż po dziurki od nosa. Ale na moim odcinku nie zauważyłem żadnej próby podniesienia, powiększenia, wzmocnienia, zmodernizowania naszej siły bojowej.

– Widocznie inne rodzaje broni miały pierwszeństwo, panie pułkowniku.

– Pierwszeństwo mają najczęściej tylko ci chłopcy, którzy siedzą przy żłobie.

Luschke spojrzał spode łba na zdumionego porucznika. – Dziwi się pan swemu dowódcy, Wedelmann? Nie jest pan do tego przyzwyczajony, co? Nie wyobrażał pan sobie tego, co? Znalazł się pułkownik, który nie tylko że jest niezadowolony, ale jeszcze daje temu wyraz!

– Pan pułkownik musi mieć swoje powody.

– I to jeszcze ile! Tuziny. A więc od miesięcy staram się na próżno o radiostację. Pan przecież zna dokładnie nasz słaby punkt: kiepska łączność dowodzenia. Często całymi dniami nie miałem z moimi bateriami bezpośredniego kontaktu. Krążyły gdzieś dokoła. Kiedy wszyscy stoją w ogniu bitwy pancernej, samymi kablami nie można zapewnić łączności ani między bateriami, ani nawet między działonami.

– Może ten sprzęt jeszcze nadejdzie.

– Nadejdzie niewątpliwie. Ale nie będziemy na niego czekać. Weźmiemy go sobie po prostu sami.

– Po prostu weźmiemy? Skądże to, panie pułkowniku?

– Wprost z ojczyzny, skądże by indziej? U nas w domu, w naszym dywizjonie zapasowym, jest wszystko: radiostacje i do tego wyszkolona obsługa. Wystarczy przetransportować sprzęt i obsługę tutaj. Wówczas wyposażymy nasz pierwszy dywi-

zjon, do którego przecież i pan należy.

– Tak jest – powiedział Wedelmann posłusznie jak zawsze, kiedy miał do czynienia z pułkownikiem.

Luschke uśmiechnął się do swego porucznika z poczuciem wyższości. Puścił w ruch fotel, który zaczął przeraźliwie skrzypieć. Krzyż Żelazny I klasy lśnił na wąskiej piersi pułkownika.

– Wszystko jest zupełnie proste – obwieścił. – Jeden z moich kolegów jest kometantem lotniska znajdującego się w zasięgu korpusu. Obecnie część jego samolotów „Ju” transportuje sprzęt wyrabiany w naszym mieście rodzinnym. A tam znów siedzi inny nasz przyjaciel. Mój tutejszy kolega wyraził gotowość przewiezienia samolotem kogoś z naszych pewnych ludzi aż na lotnisko mego przyjaciela w kraju. Człowiek ten musiałby w dywizjonie zapasowym zorganizować dla nas dostawę sprzętu i obsługi. Dokonawszy tego przyleciałby z powrotem.

– Świetnie powiedział Wedelmann z niekłamany podziwem.

– Proszę wyznaczyć do tego kogoś ze swoich ludzi. Wedelmann po chwili zastanowienia powiedział. To wyróżnienie.

Luschke potaknął głową. – Ale i niemała odpowiedzialność. W każdym razie cała ta sprawa nie ma nic wspólnego z rozrywką. A więc kto? Z takim trudem przychodzi panu decyzja? Nie musi się pan chyba przed powzięciem jej naradzić z szefem swojej baterii? Niech mi pan tego nie robi, poruczniku.

– Proponuję mego najlepszego żołnierza – powiedział Wedelmann zdecydowanie. – Kaprala Vierbeina.

Luschke milczał. Przestał się huścić w fotelu. Bulwiasta twarz była nieprzenikniona. Splótł swoje małe ręce i siedział w wyczekującej pozie.

– Kapral Vierbein – powiedział porucznik Wedelmann – jest moim najlepszym działonowym. Wraz z obsługą swego działła zniszczył siedem czołgów. Dostał Krzyż Żelazny I klasy.

– Wszystko to jest mi wiadome – powiedział pułkownik i znowu zamilkł.

– Właśnie kapral Vierbein – zapewniał Wedelmann z ożywieniem – specjalnie zasługiwałyby na tego rodzaju wyróżnienie. Poza tym przeszło od roku nie miał urlopu.

– Zapewne – odparł Luschke z namysłem. – To wszystko może i prawda. Niech pan jednak nie zapomina, że front to zupełnie co innego niż dżungla naszej rodzimej biurokracji.

– Ręczę za kaprala Vierbeina.

– To przynosi panu zaszczyt powiedział pułkownik i uśmiechnął się sardonicznie, nie dając w najmniejszym stopniu po sobie poznać, czy się zgadza ze słowami Wedelmanna, czy nie. – Gdybym jeszcze raz musiał rozpoczynać służbę, zrobiłbym to najchętniej w pańskiej baterii, poruczniku Wedelmann. Jest pan wprawdzie jeszcze młodzieńcem, ale ma pan wybitnie rozwinięte cechy ojcowskie.

Wedelmann udawał, że nie dosłyszał tej uwagi swego dowódcy pułku. – Jeżeli pan

pułkownik nie może zaakceptować mojej propozycji – powiedział uprzejmie – wysunąłbym zamiast kaprała Vierbeina ogniomistrza Ascha. Ten sobie na pewno da radę.

– Asch? Ależ na miłość boską, poruczniku Wedelmann! Przy tej delikatnej misji nie chcę mieć żadnych komplikacji. Gdyby się coś nie udało, powstałaby piekielna awantura i zwałoby mi się na kark z pół tuzina generałów. Niedługo pozostałbym wtedy na stanowisku dowódcy pańskiego pułku. Nie, w żadnym wypadku nie chcę tego Ascha. Wolę już Vierbeina.

– A więc kapral Vierbein – stwierdził porucznik z zadowoleniem.

– Niech będzie – powiedział Luschke, uśmiechnął się i dodał: – Ale niech pan tego chwytu zbyt często wobec mnie nie stosuje. Nie lubię, gdy mnie inni biją moją własną bronią.

Wedelmann roześmiał się serdecznie. Pułkownik przepił do niego. Doskonale się obaj rozumieli.

– Całe to świństwo tutaj – powiedział Luschke z zadowoleniem – zbliżyło nas do siebie. Ale taka już jest wojna! Albo ludzie stają się sobie braćmi, albo jeden drugiemu życzy nagłej śmierci.

Zabrzączał łagodnie telefon. Luschke wziął słuchawkę i zameldował się. Od razu spoważniał. – Dobrze – powiedział. – Za pięć minut.

Pułkownik odłożył w zamyśleniu słuchawkę. Spojrzał badawczo na Wedelmanna, jak gdyby oceniał nowy typ działa. Potem powiedział: – Na dworze czeka niejaki kapitan Witterer.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Ten kapitan Witterer przybywa o osiem dni za wcześnie. Było mu bardzo spieszno. Ale zjawił się, i kwita! Przykro mi, poruczniku Wedelmann!

– Tak jest – powiedział tamten całkiem bezradnie.

– Aby rzecz wyjaśnić: kapitan Witterer jest nowym dowódcą trzeciej baterii.

– Mojej baterii?

– Tak. Nowym dowódcą baterii, która do dziś była pańską baterią.

– A ja?

– Co do dalszego wykorzystania pana poweźmę jeszcze decyzję. Dowie się pan o niej w porę. Na razie niech pan przekaże dowództwo baterii i niech pan przy niej zostanie, dopóki kapitan Witterer nie zapozna się ze wszystkim.

Wedelmann nie mógł znaleźć słów. Szybkim ruchem odstawił na pół opróżnione naczynie. Zbladł, wyprostował się.

W piecyku trzeszczało drzewo. Szedł od niego suchy żar. Na dworze jakaś ciężarówka przebijała się przez zaspy śnieżne.

Luschke, zatopiony w fotelu, wymachując nogami, dodawał Wedelmannowi otuchy spojrzeniem. – Niechże się pan wreszcie wygada!

Wedelmann potrząsnął głową. Widać było wyraźnie, że jest mocno dotknięty. Ale jego poczucie dyscypliny nie pozwalało mu na żaden komentarz, zwłaszcza wobec

pułkownika Luschkego.

Pułkownik zagłębił się jeszcze bardziej w swym fotelu. – Mój drogi poruczniku Wedelmann – powiedział z zadowoleniem – wiem, co pan sobie teraz myśli. Gdyby pan mógł zrobić to, co by pan chciał, spróbowałby pan dać swemu staremu dowódcy kopniaka i rzucić to całe świństwo. Może nie? Przecież pan nawet nie protestuje.

– Panie pułkowniku, ja przecież zawsze...

– Wiem, wiem, Wedelmann! Nie jestem ślepy ani głuchy. Jest pan najlepszym dowódcą baterii w moim pułku oraz urodzonym bohaterem i wiernym żołnierzem führera. To pierwsze przynosi panu zaszczyt, resztę przebaczam panu. Jedno jest pewne: bez pana pułk Luschkego byłby przeciętny, z panem stał się elitą. Wiem wszystko! Również i mój Krzyż Żelazny I klasy dostałem dzięki sukcesom pańskiej baterii. Wiem wszystko.

– W takim razie tym bardziej nie rozumiem, panie pułkowniku...

Luschke machnął ręką. – Drogi poruczniku Wedelmann, co pan może wiedzieć o moich zamiarach w stosunku do pana? Nie przeczuwa pan nawet, do czego może mi pan być jeszcze potrzebny. Jak pan sądzi, co teraz tutaj nastąpi? Mój przyjacielu, proszę wierzyć swemu staremu dowódcy, że ta zafajdana wojna właściwie jeszcze się naprawdę wcale nie zaczęła!

– Jeżeli führer, panie pułkowniku...

– Tylko bez tych upiększeń, mój drogi. Kiedy mówię o gównie, nie musi się pan zaraz czuć w obowiązku powoływać się na narodowy socjalizm. Ale zostawmy ten drażliwy temat. Niech mi pan lepiej powie, co robią dziewczęta?

– Kto, panie pułkowniku?

– Człowieku, niechże się pan tak nie zgrywa – ciągnął Luschke dobrodusznie. – Kiedy kilka dni temu przejeżdżałem przez waszą zapadłą wieś, Soeft gawędził właśnie ze wspaniałą dziewczyną. Jedno mnie tylko irytowało: tych dwoje wcale do siebie nie pasuje. Dziewczyna wyglądała bowiem na inteligentną. Od kiedyż to właściwie Soeft zajmuje się takimi rzeczami?

– Tego rodzaju sprawy nie interesują mnie, panie pułkowniku.

– Ale powinny! Kto wie, ile jeszcze będzie pan miał na nie czasu? Cały ten kram może tutaj wylecieć w powietrze prędzej, niż się tego wszyscy spodziewamy.

Kapral z kancelarii trzeciej baterii wyskoczył jak pocisk z chałupy, w której rozlokował się szef baterii ze swoimi aktami. Minąwszy rejon parku artyleryjskiego i kuchnię polową zdążył ku drewnianemu domkowi, na którego drzwiach widniały wielkie, wypisane kredą litery: VS. Oznaczało to: „Punkt Zaopatrzenia Soefta”.

Kapral otworzył drzwi, na których widniały owe litery, wszedł do środka, otworzył jeszcze jedne drzwi i znalazł się w sieni. Ściany były świeżo pobielone, podłoga wysypana jasnym piaskiem. Dwóch ludzi w ciemnych kombinezonach krajało na kawałki olbrzymie salcesony, ważyło je i opakowywało.

– Jest tu Soeft? – zapytał podoficer kancelaryjny spoglądając chciwie na salceson.

Personel pomocniczy Soefta zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie wiadomo wam, gdzie się znajduje? Pomocnicy wzruszyli ramionami.

Kapral, któremu widok takiej ilości jadła sprawiał po prostu ból, gdyż przypomniało mu się, jakie marne miał dzisiaj śniadanie, wycofał się. Skurczony, żółty jak stary ser, Stanął niezdecydowanie na dworze przed drzwiami. Było mu zimno, zacierał ręce.

Rozglądał się dokoła jak zmęczony wróbel. Od kuchni polowej, stojącej w głębi szopy, szedł ostry zapach maggi. W prowizorycznej kuźni polowej podoficer samochodowy wymyślał jakiemuś kierowcy, który nawet nie umiał wyprostować błotnika.

– Co z was za baba! – wrzeszczał z głośną rozpaczą.

Na zmarzniętego pisarza wojskowego, który nie miał odwagi pokazać się starszemu ogniomistrzowi nie wypełniwszy jego rozkazu, słowo „baba” podziało jak hasło. Ruszył z kopyta, zacierając ręce, przebiegł przez pustą drogę wiejską i popędził w kierunku stojącego nieco na uboczu domu; dom ten podobny był do grzyba.

Jak się tego spodziewał, znalazł tam Soefta, który właśnie żegnał się z jakąś rosyjską dziewczyną. Kapral z kancelarii skamieniał, nie mógł tylko opanować ruchów rąk.

Dziewczyna stojąca przed Soeftem wyglądała jak opatulona w worki od kawy. To, co u kobiet określa się mianem sukni, zwisało żałośnie z jej ciała. Ale ciało to, zgrabne i delikatne, nie dało się jednak ukryć. Kancelista patrzył na nią, jak gdyby była niezwykle ważnym aktem kancelaryjnym.

– Czy naprawdę nie ubijemy tego interesu, Nataszo? – zapytał Soeft.

Dziewczyna potrząsnęła głową energicznie i gwałtownie, jak to czynią czasem kucyki chcąc dać wyraz swemu niezadowoleniu. – Nie robię interesów – powiedziała dobrą szkolną niemczyzną, bardzo powoli, wyraźnie akcentując każdą pierwszą sylabę. – Z panem nie, panie Soeft.

– Chyba nie chce pani, Nataszo, podbijać ceny?

– Niech pan przyśle do mnie swego oficera, panie Soeft. Może z nim będę pertraktować.

Soeft stał z rozkraczonymi nogami, zirytowany. Zwrócił się do kancelisty i ofuknął go: – Czego tu chcesz? Przeszkadzasz mi w pertraktacjach.

– Pilna sprawa, Soeft.

– Nie przed śniadaniem! – powiedział tamten. – Nie prędzej niż za kwadrans. – Po tych słowach odszedł nie zaszczycając Nataszy ani jednym spojrzeniem. Chciał jej w ten sposób pokazać, jak mu jest obojętna. Zanim znikł na zakręcie, obejrzał się jednak. Natasza uśmiechnęła się do niego z lekką ironią. To go mocno zdenerwowało.

Soeft stąpał po rozdeptanym, lepkiem śniegu. Robił to bezmyślnie, nie patrzył dokoła. Jakaś ciężarówka, przedzierająca się przez drogę, musiała stanąć, żeby go nie przejechać. Kierowca zaklął, Soeft nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Był zajęty.

Obliczał.

Poszedł w kierunku swej kwatery, jak zwykle rzucił przelotne spojrzenie na widniejące na drzwiach litery VS. Podoficer kancelaryjny, który dreptał obok niego, próbował wsunąć się do domu razem z nim. Ale Soeft zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

Kapral z kancelarii czekał cierpliwie parę minut. Dla rozgrzewki walił nogami o ziemię, wciągając w nozdrza ostry zapach maggi płynący z kuchni polowej. Jego pusty żołądek zaczynał się buntować. Popędził do szopy i spojrzał przyjaźnie na kuchacza, co tamten skwitował szerokim, rzeźnickim uśmiechem. I na tym koniec.

Kaprala bardzo to strapiło. Strapienie dodało mu nowych sił. Pomaszerował dziarsko do pomieszczenia Soefta.

Obaj pomocnicy Soefta, którzy ciągle jeszcze pracowali, spojrzeli na niego. Jeden kiwnął głową i kciukiem wolnej przez chwilę ręki wskazał sąsiednie drzwi. Widniał na nich napis: „Pomieszczenie prywatne. Nie wchodzić bez pukania”.

Pisarz wojskowy wahał się przez krótką chwilę. Jego wodniste oczy w różowej twarzy gapiły się bezmyślnie na szyldzik umieszczony na drzwiach. Czuł, że jest obserwowany, i było mu to niemiłe. Postanowił nie pukać. Powziąwszy tę decyzję wydał się sobie śmiałkiem. Jakby przypadkiem trącił o drzwi. Zaczekał chwilę, potem je otworzył.

Kapral Soeft, obecnie wszechwładny pan punktu żywnościowego, spożywał zgodnie z zapowiedzią śniadanie. Tego spokojnego dnia już drugie. Było co prawda lekkie, składało się z tuńczyka, grzanek i tarragony. Wszystkie te smakołyki, łącznie z dużym kawałem masła, rozłożone były na wielkim, wyzywająco białym obrusie. Siedzący za stołem Soeft przeżuwał.

– Masz się zjawić u szefa baterii – powiedział podoficer gapiąc się na nakryty stół. – I to natychmiast. Uganiam się już za tobą całe pół godziny.

– Możesz się poczęstować – powiedział Soeft i dalej żuł z całym spokojem.

Kancelista nie, wahał się ani przez chwilę. Wyciągnął obie ręce, chwycił kromkę przypieczonego chleba, posmarował ją grubo masłem, nałożył na nią niemałą porcję tuńczyka. Potem rozdziawił szeroko gębę, przymrużył oczy i z trudem wpakował w siebie to wszystko. Żuł, przełykał, dusił się i robił się na gębie coraz bardziej czerwony.

Soeft nawet się na ten widok nie uśmiechnął. Ciągle jeszcze obliczał. Przy tym jego ulubionym zajęciu nic i nikt nie mógł mu przeszkodzić. Zapalił papierosa, którego wyciągnął z grubej zagranicznej paczki, i rzucił zapałkę na nie heblowaną podłogę.

Powoli rachunek zaczynał się zgadzać: nie wszystkie dziewczyny mają tę samą cenę, a ta Natasza warta była oficera. Jeżeli inaczej być nie może, niech go sobie ma! Ściśle mówiąc, w tym opuszczonym przez Boga kraju tłumacze są po prostu na wagę złota. To, że chodziłoby tu o tłumacza-kobietę, zwiększało jeszcze urok przed-

sięwzięcia. Prawie jak we Francji!

– Czego właściwie szef chce ode mnie? – zapytał po chwili. Z rozkoszą zaciągał się dymem, gdyż był z siebie zadowolony. Wydawało mu się, że ma do tego poważne podstawy. – Mam niewiele czasu, kochasiu, muszę jeszcze wydoić kompanię piekarską.

Podoficer kancelaryjny skinął gwałtownie głową. Ale nie mógł wydobyć słowa, tak zapchał sobie gębę. Zakrztusił się mocno i zaczął kaszleć.

– Chcę – powiedział Soeft zadumany – zamówić na najbliższą niedzielę świeże bułeczki.

– Człowieku! – zawołał pisarz z zachwytem i zabrał się do oblizywania zatłuszczonych palców.

– Widzisz więc, że nie mogę sobie pozwolić na stratę czasu. Powiedz to szefowi.

– Chodźże ze mną, Soeft. Sam mu to powiesz. Zresztą może ci się to tym razem opłaci.

– Dlaczego?

– Nie chcę niczego zdradzać – powiedział kapral kancelaryjny z tajemniczą miną, rozstawiając dwa zatłuszczone palce. – Powiem tylko tyle: baby!

– Jakie baby? – zapytał Soeft z zainteresowaniem.

– Szczegóły od szefa – powiedział kancelista i szybko się wycofał, zabierając napoczętą półkilową puszkę tuńczyka. Przecież widniał na niej napis: „Tuńczyk to zdrowie!”

Soeftowi nie było spieszno, ale ciekawość jego została rozbudzona. Wypił kawę, oczywiście prawdziwą, ziarnistą, znacznie prędzej niż zazwyczaj. Potem włożył lżejszy płaszcz, podbity cienkim futerkiem. Rzuciwszy okiem na pracę swoich kielbasiarzy i nie znalazłszy nic, co można by było im wytknąć, ruszył do kancelarii mieszczącej się naprzeciw.

Szef baterii, starszy ogniomistrz Bock, udający z powodzeniem wielką energię i że jest stale zapracowany, przywitał go z wyraźnym zniecierpliwieniem. – Chyba już czas, Soeft – powiedział, dając swym tonem ostrożnie do zrozumienia, że nie jest daleki od wypowiedzenia nagany. – Czas najwyższy! I to jak najbardziej.

– Dla mnie nie – odparł Soeft i z całym spokojem usiadł na jednej ze skrzyń kancelaryjnych. Zanim to uczynił, wyciągnął olbrzymią chustkę, zrobioną ze spadochronowego jedwabiu, i otarł nią z kurzu miejsce, które miał zająć. Spojrzeli na siebie, choć było to zupełnie niepotrzebne, gdyż znali się na wskroś. I wiedzieli, co mają o sobie myśleć. Każdy z nich był przekonany, że to on ma baterię w kieszeni.

Szef, pozbawiony całego blasku koszarowego dziedzica, był popychanym niemal bez przerwy buforem między tyłami a stanowiskami ogniowymi. Stracił jednak tylko wpływy, ale bynajmniej nie zaufanie do swojej osoby. Podoficer żywnościowy, który miał legendarne po prostu stosunki, mógł sobie pozwolić prawie na wszystko, co chciał. Bowiem tylko dzięki jego osobistej zaradności standard życiowy trzeciej

baterii osiągnął poziom, który mógł równać się z poziomem wyjątkowo uprzywilejowanych sztabów.

– Co się właściwie stało? – zapytał Soeft zwilżając wargi zdumiewająco wielkim ozorem.

– Jak wam zapewne wiadomo, dostajemy nowego dowódcę.

– No i co? Czy zmieni się przez to pogoda? Czy moja wątrobianka będzie wskutek tego inaczej smakować? Nowe nazwisko i stara firma. Przecież wszyscy z tego gatunku są tacy sami. Produkuje się ich taśmowo. Drobnie błędy w fabrykacji są zawsze najbardziej interesujące. I jeżeli ten nowy nawet umywać się nie będzie do Wedel-manna, co sobie łatwo można wyobrazić, już my go sobie odpowiednio urobimy. Może nie?

Starszy ogniomistrz Bock udał, że uwag Soefta nie dosłyszał! Jako stary taktyk, który zjadł zęby na stanowiskach administracyjnych! znał swoje pokazowe egzemplarze. Było zawsze rzeczą wskazaną nie; dosłyszeć wszystkiego, co taki Soeft zwykł był mówić. A besztanie Soefta to tylko strata czasu, bo Soeft zdawał sobie sprawę ze swej wyjątkowej pozycji i wykorzystywał ją bezwstydnie.

– Zdołałem zaledwie parę słów zamienić z nowym dowódcą, kapitanem Wittererem. Przed chwilą przez telefon. Zapewne zjawi się u nas dopiero jutro rano. Dziś bowiem ma jeszcze coś do załatwienia w pułku.

Soeft skinął ze zrozumieniem głową. – Pułkownik Luschke zechce go zapewne wymacać. Znam ten jego sposób.

– W każdym razie – powiedział starszy ogniomistrz, znowu zgrabnie puszczając mimo uszu wywody Soefta – kapitan Witterer informował się u mnie, czy mamy kogoś wśród funkcyjnych, komu można by szczególnie zaufać.

– Ależ mu spieszo – uśmiechnął się Soeft.

– Oczywiście wymieniłem wasze nazwisko, Soeft.

– Oczywiście – powtórzył tamten. – Na jakimże to odcinku mam zabłysnąć?

– Chodzi o polecenie natury raczej prywatnej.

– To moja specjalność – oświadczył skromnie Soeft.

– Dziś po południu – powiedział starszy ogniomistrz – około trzeciej zjawi się na lotnisku naszego miasteczka przyfrontowego zespół rozrywkowy.

– Ile jest w nim bab?

– Trzy panie i jeden pan – sprostował starszy ogniomistrz bez wyraźnego wyrzutu.

– Wśród nich pewna dama nazwiskiem Liza Ebner.

– I o tę małą właśnie chodzi, co?

– Kapitan Witterer życzy sobie – oświadczył Bock nie bez godności i sięgnął ręką w kierunku otwartej papierośnicy, którą Soeft położył przed sobą – żeby panna Liza Ebner otrzymała dobre pomieszczenie i żeby dla uprzyjemnienia jej pobytu zrobiono wszystko, co jest możliwe.

– Pięknie – powiedział Soeft. – Dlaczego nie? – I wskazując na cygaro, które Bock

już odgryzł, zapytał: – Panu szefowi potrzebny jeszcze ogień, prawda?

– Powiedziałem kapitanowi Wittererowi, że można się zdać na was, Soeft.

– Czy jeszcze coś? – zapytał Soeft świdrując szefa małymi, lisimi oczyma; zgasił zapalnik, od której Bock przypalił cygaro.

– Jeżeli o mnie chodzi, nic.

– A co z ośmiotonówką?

– Mój drogi Soeft – powiedział Bock z ożywieniem – przecież mówiłem wam już nieraz, że musimy henschla zostawić podoficerowi amunicyjnemu.

– Z tego widać – odparł Soeft z prowokującym spokojem – że amunicja jest tu ważniejsza od żywności. Muszę to sobie zapamiętać.

– Apeluję do waszego rozsądku, Soeft. Porucznik Wedelmann z pewnością nie jest drobiazgowy.

– Wiem tylko, kim w tej chwili Wedelmann nie jest – nie jest już dowódcą! A nowego jeszcze nie ma. Mamy więc sytuację wyjątkowo korzystną. Jak dostanę henschla do taboru żywnościowego, to za to oddam forda.

– Tego rozklekotanego grata!

– Podoficer samochodowy już się zgodził.

– Ale ogniomistrz Asch stanowczo się nie zgadza. Dopóki on jest tutaj podoficerem do zleceń specjalnych...

Małe oczka Soefta zrobiły się jeszcze mniejsze. Wypuściwszy dym, który utworzył foremne koło, powiedział: – Przecież i Asch nie będzie wiecznie zajmować się zleceniami specjalnymi. Po odejściu porucznika odejdzie zapewne i jego ogniomistrz. A może myślicie, że Asch jest u nas wieczny? Jeżeli nowy dowódca nie jest Wedelmannem – a wydaje się, sądząc z tego zlecenia dla mnie, że nim nie jest – nie pozwoli sobie również na trzymanie Ascha.

Starszy ogniomistrz nie bez trudu podejmował ciężką decyzję. Oczywiście Soeft miał rację. Chwila jest dla różnego rodzaju zmian wyjątkowo korzystna. – Jeżeli więc sądzą – powiedział – że henschel jest wam niezbędnie potrzebny, i jeżeli podoficer samochodowy się zgadza...

– W porządku – odparł Soeft. – Zaraz to zarządę. – I wykorzystując sposobność z właściwym mu bezwstydem dodał: – A jak wygląda sprawa z bombardierem Kowalskim? Przydałby mi się bardzo.

– Wykluczone – odpowiedział Bock bez chwili zastanowienia. – Zupełnie wykluczone! Ten musi pozostać głównym kierowcą. Co słuszne, to słuszne, Soeft, ale tak daleko zrozumienie moje dla waszych potrzeb nie idzie...

Soeft skinął głową. Przeczuwał tę odmowę, wiedział również, że nastąpi w tak ostrej formie. Szef węszył przy swojej trzodzie wilka. Już sam Soeft stanowił w trzeciej baterii mocarstwo. Ale Soeft skombinowany z Kowalskim stałby się imperium.

Starszy ogniomistrz Bock, który tak jak prawie wszyscy tutaj zamierzał prowadzić również swoją prywatną wojnę, wiedział doskonale, do czego zmierza Soeft. Jeśli

zaś nie wiedział, to co najmniej się domyślał. Był to z jego strony po prostu instynkt samozachowawczy, gdy starał się o możliwie równomierne rozłożenie punktów ciężkości w baterii.

Soeft, przynajmniej na razie, skapitulował. I on hołdował powiedzeniu „co się odwlecze, to nie uciecze”. W każdym razie zapewnił sobie henschla. Powiększało to znacznie jego środki transportowe, a to było gwałtownie potrzebne, gdyż w miesiącach spokoju zapasy, mimo hojnego szafowania nimi, zdumiewająco wzrosły.

– Chodzi teraz o to – powiedział szef baterii żebyśmy zgodnie ze sobą współpracowali.

Soeft stwierdził nie bez zainteresowania, że pierś szefa wyprężyła się pod bluzą.

– Nowy dowódca poczuje wtedy, że dostał się do jednostki, na której można polegać.

– Jeżeli jeszcze ma odrobinę oleju w głowie – dodał Soeft – powinien się zorientować, czego od niego oczekujemy.

Przed udaniem się do miasteczka przyfrontowego w celu zorganizowania przyjęcia dam z zespołu rozrywkowego Soeft uznał za wskazane zapewnić sobie obiecaną ośmiotonówkę. Doświadczony kapral zdawał sobie jasno sprawę z tego, że wymiana nie odbędzie się bez gwałtownych starć.

Postanowił działać systematycznie. Pozostał jeszcze przez krótki czas w swym pomieszczeniu, napełnił papierośnicę, ponapychał sobie do kieszeni papierosów; były wśród nich wysokogatunkowe. Potem udał się do podoficera samochodowego.

Do tej chwili wszystko szło zupełnie gładko. Oświadczył, że szef baterii przydzielił mu ośmiotonówkę marki „Henschel”. Tamten kiwnął tylko głową. Było mu obojętne, dokąd jadą jego wozy, najważniejsze, żeby w ogóle były na chodzie. Szef trzymał się mądrze jak zawsze – na dalszym planie: ulotnił się po prostu. Soeft wiedział, że pewne trudności będą z kierowcami. Ten od henschla zgodzi się oczywiście z przyjemnością wozic odtąd żywność. Ale ten od forda będzie z pewnością kłął na czym świat stoi – bo któż to ma ochotę uganiać się z ostrą amunicją po całej okolicy, i w dodatku podczas wojny! Gdyby tylko kłął, byłoby jeszcze pół biedy, ale mogłyby powstać komplikacje, gdyby się komuś poskarżył, co zawsze jest możliwe.

– W porządku – oświadczył ochoczo kierowca henschla. – Mogę to zrobić zaraz. A gdzie mam zostawić amunicję?

– Po prostu wyładować – powiedział Soeft. – Gdziekolwiek. Nakryć plandeką, i kwita.

– Niech będzie – odparł kierowca i zawołał swoich ludzi. Temu od forda spryciarz Soeft nie powiedział na razie ani słowa. Najważniejsze, że ma nowy wóz. Stary może zawsze oddać. A kto wie – może przyjdzie nagle zmiana pozycji. W dodatku dwaj dowódcy! I jeden nic o drugim nie wie! Zanim jeden z nich wpadnie na pomysł zastanowienia się nad tym wszystkim, Soeft będzie miał i nowy wóz, i stary. Trzeba być idiotą, żeby oddawać to, czego nikt nie żąda!

Te radosne perspektywy wywołały w nim pragnienie. Pobiegnął do swej kwatery, wyciągnął specjalną skrzynkę. Długo szukał w kieszeni spodni pęku kluczy; miał wrażenie, że słyszy dalekie bicie dzwonów. Otworzył skrzynkę wypełnioną wyborowymi trunkami poowijanymi w delikatną wełnę drzewną. Wybrał butelkę benedyktyna, odkorkował ją i powąchał. „Francja” – powiedział i z zachwytem pociągnął nosem.

Usiadł i napełnił likierem całą szklanekę. Podczas picia ogarnęło go błogie uczucie szczęścia. „Gdybym teraz zamknął oczy – powiedział do siebie – czułbym się jak we Francji.” Ale nie zamknął swoich lisich oczek; był zbyt ostrożny, nie chciał ryzykować, by go ktoś zaskoczył.

Usłyszał więc na czas kroki zbliżające się do jego pomieszczenia. Nie można było nie słyszeć hałasu wywołanego w przedpokoju przez przybysza. Soeft wiedział od razu, kim może być ów natręt o manierach drwala.

– Wypijesz szklaneczkę? – zapytał, kiedy gość stanął przed nim.

Ogniomistrz Asch przyjął idylliczne zaproszenie bez komentarzy. – Co się dzieje z henschlem? – zapytał. – Dowódca plutonu amunicyjnego szaleje! Nie możesz przecież zabierać nam naszego najlepszego wozu transportowego.

– Mogę – powiedział Soeft przymykając jedno oko. – Właśnie że mogę.

– Henschel pozostanie w plutonie amunicyjnym – oświadczył Asch.

Soeft spojrzał na swego gościa jak dobry wujaszek siedzący sobie spokojnie przy choince. – Zawsze myślałem, Asch, że z ciebie zupełnie normalny człowiek. Ale czasami wydaje mi się, że w istocie rzeczy jesteś bardzo srogim wojakiem. Amunicja to dla ciebie ważniejsza sprawa niż żarcie. A więc wolisz strzelać do ludzi, niż nabijać sobie kałdun?

– Słuchaj no, Soeft! Nie wynalazłem wojny, wpakowano mnie w nią przemocą. A więc muszę bronić własnej skóry. Przede wszystkim potrzebna nam jest amunicja.

– Wedelmann walczy z zasady tylko o Wielkie Niemcy i Zachód. A ty jesteś jego podręcznym.

– Soeft! Kiedy mam do wyboru między pustym brzuchem a dziurą w głowie, wybieram pusty brzuch. Zrozumiano?

– Dlaczego ten Wedelmann nie zajmie się raz dziewczátkami, tylko ciągle myśli o wojnie? Przecież to nienormalne. Mógłbym mu w tym kierunku zrobić pociągającą ofertę. Mała nazywa się Natasza. Rosyjskie dziecko o czułej duszy. – Zatoczył rękami wielkie koło. – O takiej duszy!

– Nie zawracaj głowy – powiedział Asch stanowczym tonem. – Nie zgrywaj się tu na alfonsa. Dawaj henschla z powrotem, później możesz chlać dalej z całym spokojem.

– Asch powiedział Soeft. Moja ostatnia oferta: dla Wedelmanna dziewczynka, dla ciebie skrzynia. Zawartość dowolna wedle twojej decyzji. Za to henschel do mojej dyspozycji.

– Wstań – powiedział Asch ze złością – żebym ci mógł dać kopniaka w tyłek.

– Czy to twoje ostatnie słowo w tej sprawie?

– Jeżeli się nie pośpieszysz, Soeft, to wykrztusiłeś z siebie swoje ostatnie słowo...

Soeft skinął głową starając się zachować spokój. – Chciałem to tylko usłyszeć od ciebie, Asch. Właśnie to i nic innego. Jestem teraz zorientowany.

– Najwyższy czas!

– A co się tyczy henschla – jest rozkaz dowódcy baterii.

– Pleciesz głupstwa, Soeft! Przecież wiem dokładnie, co Wedelmann zarządził, a czego nie zarządził.

– Kto mówi o Wedelmannie? Nowy dowódca baterii nazywa się Witterer.

– Człowieku, przecież jego tu jeszcze nie ma!

Soeft wypił jeszcze szklanekę benedyktyna. Potrzebował pokrzepienia. To, co teraz miało nastąpić, wymagało pewnej odwagi. Obliznął wargi i powiedział: – Jeżeli tego jeszcze nie wiesz, Asch, istnieje coś, co się nazywa telefonem. Mam już w kieszeni parę poleceń specjalnych udzielonych przez Witterera telefonicznie!

– Zbadani tę sprawę – powiedział ogniomistrz. – I niech cię ręka boska broni, jeżeli to, co powiedziałaś, nie jest zgodne z prawdą.

Soeft spojrzął na oddalającego się Ascha przymrużonymi oczyma. Potem lewą ręką przez chwilę masował intensywnie swój nochal. Ukończywszy tę czynność podrapał się w brodę, potem wypił resztę benedyktyna, który mu teraz niezbyt smakował.

– Dość skomplikowane – powiedział. Ale ani na chwilę nie tracił otuchy. Siedział mocno w siodle. Asch był właściwie już na wymierającym etacie. Oczywiście – pomyślał sobie po chwili – niedocenianie Ascha byłoby diabło lekkomyślne.

Postanowił przekonać Witterera, że najważniejszą osobą w trzeciej baterii jest kapral Soeft.

Kazał przygotować do drogi swój prywatny samochód osobowy. Była to zdobyczna limuzyna, której tylna część została wedle wskazówek Soefta przerobiona na połączony bagażnik. W tym samochodzie, oznaczonym również literami VS, opuścił swój rejon. Po pierwszych kilku kilometrach silnik kipiał, sapał, opluwał opustoszałą ulicę.

Miasteczko przyfrontowe, odległe o osiemnaście kilometrów od frontu, przyjęło go hałaśliwie. W byłych kościołach huczały warsztaty polowe. W lokalach partyjnych rozkwaterowały się z konieczności sztaby większe. Mniejsze sztaby wolały z zasady pomieszczenia prywatne, możliwie przy rodzinach.

Przed domami tłoczyły się różnego rodzaju i różnej wielkości pojazdy. Kilku osobników z teczkami szukało swoich samochodów. Dwaj szeregowcy robili wrażenie spacerowiczów. Wszystkie kominy dymiły.

Soeft postanowił, w myśl zasady: „zawsze systematycznie”, dać próbkę swoich wyjątkowych zdolności. Wiedział dokładnie, gdzie uderzyć, gdyż orientował się do-

skonale w zasięgu kompetencji. I tutaj wszystko było sprawą treningu. Reszta – to szczęśliwa ręka, korzystna okazja, no i porządna porcja czelności.

Soeft kazał podjechać wprost przed dowództwo armii. Odszukał oficera kulturalno-oświatowego, do którego należały również sprawy zespołów rozrywkowych. Oświadczył tu ze spokojem i bardzo przekonywająco, że należy do komendy garnizonu i że chciałby raz jeszcze porozumieć się w sprawie przybywającego dziś zespołu. W charakterze przydzielonego do komendy pozwolił sobie na to, by mu nawymyślano, i przy tej okazji dowiedział się niemal wszystkiego, co mu było potrzebne.

Pojechał z kolei do komendy. Tu podał się za pełniącego służbę w dowództwie armii, któremu powierzono zajęcie się zapowiedzianym zespołem. Oficer uważający się za kompetentnego w tych sprawach zwymyślał go; Soeft zniósł to bez zmrużenia oka, tym razem jako wysłannik dowództwa armii. I przy tej okazji uzyskał resztę potrzebnych mu informacji.

– Tacy jesteście zawsze – powiedział oficer komendy garnizonu ze złośliwie podkreśloną godnością. – Wy w dowództwie decydujecie o angażowaniu zespołów, a my musimy się troszczyć o pomieszczenie dla nich.

– Czy mogę zobaczyć kwatery? – napierał Soeft bez żenady. Oficer zgodził się niechętnie. Odkomenderował do tego sierżanta, który zaprowadził Soefta do byłej szkoły. Był tam zarezerwowany na najwyższym piętrze względnie czysty pokój, w którym stały trzy polowe łóżka.

– To dla pań – oznajmił sierżant. – Urządziliśmy nawet osobną ubikację. Nie było to takie proste. Trzeba ciągle improwizować. Niech pan dziękuje Bogu, że nie wylądował pan w komendzie. Chcę jeszcze dodać, że mężczyzna, który tym paniom towarzyszy, będzie spał na dole z dwoma oficerami.

– Nie interesuje mnie, gdzie ten człowiek będzie spał – powiedział Soeft z dumą i godnością właściwym reprezentantom dowództwa armii. – W każdym razie jest rzeczą niemożliwą, żeby wszystkie te trzy damy spały razem. Jedna z nich musi dostać oddzielny pokój.

– Jak to musi! – zawołał sierżant. – Przecież nie jesteśmy we Francji!

– Niestety! – westchnął Soeft jak zawsze na myśl o swej ukochanej Francji. Ten jego odruch był szczery. Ach, cóż to była za rozkosz ta wojna z Francją. Tak, kochał ten kraj! Eldorado dla urodzonego zaopatrzeniowca! Nigdy w życiu nie czuł się taki szczęśliwy, taki całkowicie szczęśliwy. Westchnął raz jeszcze. Potem oświadczył: – Jedna z tych dam dostanie oddzielny pokój. Generał osobiście na to nalega. – I mrużąc dyskretnie oczy dodał: – Prawdopodobnie krewna albo coś w tym rodzaju.

– Ależ nam sprawiacie kłopoty! – powiedział gniewnie sierżant z komendy. – Ciągle te osóbkę, wyjątki! Jak gdyby to był tutaj jakiś teren sportów zimowych, jakieś Sankt Moritz czy coś takiego. Robimy przecież, co w naszej mocy. Chyba generał zrozumie to. Jeżeli nie można inaczej...

– Dama nazywa się Liza Ebner – oświadczył Soeft. – Niech pan każe wstawić do

jej pokoju kwiaty.

– Może jeszcze łoże z baldachimem! – zawołał z goryczą i szyderstwem sierżant.

– Jeżeli mógłby je pan wydostać, dlaczego nie – odparł Soeft z aprobatą.

Załatwiwszy to kazał się wieźć na lotnisko, i to wprost do komendanta, któremu na dyskretne zlecenie pułkownika von Luschke, zaprzyjaźnionego z władcą lotniska, od czasu do czasu dostarczał pewnych specjałów. Komendant przyjął Soefta ze zrozumiałą uprzejmością i udzielił mu wszystkich informacji.

Kilka minut po piątej nadleciał zapowiadziany na trzecią samolot transportowy. Rycząc ochryple zaczął się toczyć po pasie startowym i wreszcie się zatrzymał. Śmigła jeszcze drżały, gdy brzuch samolotu się otworzył. Wyszło z niego kilku wojskowych, przeważnie oficerów. Potem wyskoczyły cztery osoby cywilne – trzy kobiety i mężczyzna.

Zanim Soeft się do nich zbliżył, przyjrzał się im dokładnie. Mężczyznę wyglądał nieinteresująco, jak szeregowiec na urlopie. Natomiast kobiety były godne uwagi. Już to samo, że nosiły długie włosy, robiło wrażenie. Pokazywały również nogi, co można było określić jako coś po prostu sensacyjnego. Wprawdzie długi lot zmęczył nieco te panie, pozostawiając na ich pobladłych twarzach smugi brudu i potu, ale tylne części ich ciała – Soeft stwierdził to z całą stanowczością – były pierwsza klasa.

Jedna, na pozór najstarsza z trójki, miała przy sobie walizkę i teczkę. Jej rzeczowe, przenikliwe spojrzenie przypominało nieco żarliwą instruktorkę Frauenschaftu. Druga, słomiana blondynka o jaskrawoczerwonych wargach, sunęła przez lotnisko tanecznym krokiem; Soeft pomyślał sobie, że ta mogłaby „postawić na nogi” pół armii. Trzecia – mała, filigranowa, czarna, z ogromnymi oczyma – szła drobnymi kroczkami; na piersiach, nie odznaczających się niczym szczególnym, kołysał się jej futerał gitary.

Soeft zbliżył się do pań, przedstawił się i powiedział: – No, nareszcie panie przyjechały! – Skinął przy tym przyjaźnie głową.

Zjawił się oficer komendy garnizonu, z którym Soeft przedtem pertraktował. Wyjął względnie długie przemówienie, w którym powtórzył trzykrotnie: „Witamy serdecznie!” Cywil rozglądał się rezolutnie dokoła. Panie uderzały dla rozgrzewki dyskretnie nogą o nogę. Tylko blondynka bez żenady kołysała się w biodrach, zaprzatając tym przez dłuższy czas uwagę całej obsługi lotniska.

– Zimno tu, co? – zapytał Soeft i uśmiechnął się.

– To jest właśnie Rosja – powiedział cywil z dostojną miną; blondynka zachichotała głupkowato, ale z wdziękiem.

Oficer komendy poprosił szanownych gości, by udali się do czekającego na nich samochodu. Przejął natychmiast funkcję tragarza i pełnił ją z powodzeniem. Kiedy jednak cywil chciał mu również wręczyć jedną ze swoich walizek, odmówił z chłodną miną.

Soeft zapytał: – Która z pań jest panną Lizą Ebner?

Zgrabna czarnulka z gitarą spojrzała na niego swymi wielkimi oczami i powiedziała dźwięcznym, pełnym oczekiwania głosem: – Ja.

– Mam się panią osobiście zaopiekować oświadczył Soeft. – Proszę za mną.

Oficer komendy postawił na ziemi dwie ciężkie walizy, którymi był obarczony. Otworzył usta, zdawało się, że chce zrobić jakąś uwagę, która, sądząc po jego wyglądzie, nie byłaby w żadnym razie miła. Ale Soeft powiedział tylko: – Rozkaz generała. – Po czym ruszył naprzód, a zaciekawiona dziewczyna posłusznie poszła za nim.

Umieścił bagaż Lizy Ebner w swoim wozie specjalnym. Wielkimi, jeszcze dziecięcymi, a jednak już łaknącymi oczyma Liza Ebner śledziła każde jego poruszenie. Soeft czuł, że jest przedmiotem podziwu. – Pani jest zdumiona, co?

Liza Ebner odpowiedziała łagodnie: – A dlaczegóż to miałabym być zdumiona?

– To pani jeszcze zobaczy – odparł Soeft. – I będzie pani zdumiona. Gwarantuję! Niech pani będzie tego pewna!

Kapral Vierbein, sztywny, jakby był z blachy, o poczciwych oczach dziecka i służbiście wysuniętym podbródku, siedział przy stole obok porucznika Wedelmanna. Spakowany już plecak leżał w pobliżu drzwi. Wisiał tam również jego hełm, stał karabin, obok niego leżała maska przeciwgazowa. Wydawało się, że wszystkie te przedmioty zostały starannie poukładane, jak gdyby ktoś miał zamiar sfotografować je dla pisma „Illustrierter Beobachter”.

Wedelmann uśmiechnął się do dzielnego, nieco zmieszanego kaprała i powiedział: – Drogi Vierbein, zdaję się na was całkowicie. Zawsze to zresztą robiłem.

Kapral Vierbein skinął głową z uroczystym niemal zapalem. Promieniowało z niego solidne zdecydowanie. Zdawał się stale nasłuchiwać, czy nie padnie gdzie jaki rozkaz przeznaczony dla niego. Na wytartej, ale olśniewająco czystej bluzie lśnił Krzyż Żelazny I klasy.

Porucznik Wedelmann skinął również głową. Ten Vierbein nie sprawi mu nigdy zawodu, podobnie jak nie sprawia go jeden idealista drugiemu. Vierbein bowiem, tak samo jak Wedelmann, należał do wybranego zakonu wierzących.

Wedelmann wsłuchiwał się w zapadający wieczór. Front milczał, jak w ciągu ostatnich, tygodni prawie zawsze o tej porze. Było to milczenie paskudne, podstępne, czatujące.

Żołnierze po obu stronach frontu; ciągle jeszcze nie wysyłani do ataku, próbowali uporczywie nie utrudniać sobie życia względnie tego, co z tego życia jeszcze pozostało. Mimo to każdy z nich wiedział, jak śmiesznie daremne były tego rodzaju próby na dłuższy dystans. Przygniatająca cisza frontu czatowała na nich jak drapieżne zwierzę. Wydawało się, że zwierzę to czyha przed chałupą, w której Wedelmann kwaterował razem z Aschem. Miało się wrażenie, że nawet ogień w piecu pali się bezgłośnie.

Nie słychać było turkotu żadnego pojazdu. Od dwóch tygodni nie ukazał się w powietrzu żaden samolot. Nad pierwszą linią frontu, przebiegającą o trzy kilometry

stąd, rozpostarła się cmentarna cisza.

Wedelmann jeszcze raz skinął głową kapralowi Vierbeinowi. Potem uderzył się po łędźwiach i spojrzał w stronę Ascha. Ten klęczał obok pieca i czekał z pozornie obojętną miną, aż zagotuje się woda.

– Jeszcze się nie zagotowała? – zapytał porucznik głośno. Wydawało się, że słuchanie własnego głosu sprawia mu przyjemność.

– Mamy czas – powiedział Asch. – Dużo czasu. Wedelmann przesunął z hałasem skrzynię, na której siedział, i znowu zwrócił się do Vierbeina. – Proszę zawsze myśleć o tym, że misja wasza jest drażliwa.

Asch podniósł się, chwycił garnek z wodą i zbliżył się do stołu nakrytego papierem do pakowania. – Nasz mały – powiedział mrugając na Vierbeina – już sobie z tym poradzi.

– Na pewno – gorliwie potwierdził porucznik. – Niewątpliwie.

Wedelmann przyglądał się Vierbeinowi z satysfakcją. Ten blady, ciągle jeszcze chłopięcy mężczyzna, z pełnymi oddania oczyma konfirmanta, należał do najdzielniejszych żołnierzy w pułku. Był cichy i odważny, jak tego należało oczekiwać od idealisty. I to właśnie Vierbein! Ten sam Vierbein, którego służbistość sięgała przed kilku laty tak daleko, że ledwie śmiał się poruszać, a cóż dopiero myśleć! Ten Vierbein stał obok swego działa jak smukła brzoza, dawał komendę z lunatyczną wprost pewnością siebie i w ciągu kwadransa rozbił trzy nieprzyjacielskie czołgi. W dwa tygodnie później powtórzyło się to samo. W godzinę później uporał się jeszcze z jednym czołgiem.

– Gdyby ode mnie zależało – powiedział Wedelmann serdecznie – mielibyście już teraz Krzyż Rycerski, Vierbein. W każdym razie zasłużyliście sobie na tę podróż do domu jak nikt inny.

– Dziękuję, panie poruczniku – powiedział Vierbein grzecznie. Ogniomistrz Asch mruknął kilka zupełnie niezrozumiałych słów, które nie brzmiały zbyt uprzejmie. – Takie gówno! – powiedział, mając na myśli korek od butelki z rumem, którego nie mógł wyciągnąć. Wreszcie po dalszych lapidarnych określeniach odkorkował dwie butelki i wraz z kubkami do picia postawił na stole.

– Po co ta parada, Asch? Przecież jest nas tylko trzech, nic mi o tym nie wiadomo, że ma tu nastąpić jakaś uczta pijacka.

– Będziemy mieli wizytę – obwieścił Asch. – Pozwoliłem sobie zaprosić szefa i kaprała Soefta. Pierwszy przywiezie dokumenty podróży, drugi prowiant na drogę. Poza tym muszę wymacać Soefta w innej jeszcze sprawie. Szósty będzie bombardier Kowalski, który jutro rano o świcie ma zawieźć naszego małego na lotnisko.

Wedelmann przyjął to oświadczenie tak, jak by to był codzienny meldunek o niezmiennym stanie amunicji. Już dawno przestał się dziwić zarządzeniom swego podoficera do zleceń specjalnych. Asch zwykł był prawie zawsze pracować samodzielnie, a ponieważ znał doskonale mentalność Wedelmanna, więc decyzje jego po-

krywały się niemal zawsze z decyzjami porucznika i wobec tego były słuszne.

– A uważaj na siebie, mały – zwrócił się Asch do swego przyjaciela Vierbeina.

– Dobrze, dobrze, Asch – powiedział Vierbein. – Zlecenie, które otrzymałem, jest jasne. Załatwię je możliwie jak najprędzej.

– Właściwie dlaczego? – zapytał Asch bez żenady. – Któż cię popędza? Nie spiesz się. Rozejrzyj się spokojnie w domu. Wykorzystaj okazję.

Vierbein spojrział na Wedelmanna z pewnym niepokojem. Tamten udawał, że słów Ascha nie dosłyszał. Był zajęty sporządzaniem mocnego grogu składającego się w połowie z wody, w połowie z rumu. Wydawało się, że czynność ta pochłania go całkowicie.

– Poleniuchuj sobie spokojnie przez parę dni zalecał Asch. – Staraj się zapomnieć, choć przyjdzie ci to z trudem, że wojna żyć bez ciebie nie może. Powiedz mojemu staremu, żeby ci dał mój pokój. Pozwól się rozpieszczać przez moją siostrę, ale nie rób z nią głupstw. I wyjdź kiedyś na spacer z moją żoną. No i opowiedz wszystkim, że się nam wspaniale powodzi.

– Zrobię to – zapewnił Vierbein.

Asch rozejrzał się, spojrział na mętne światło lampy naftowej, na brudną podłogę, na kupę słomy w kącie, na której leżało parę koców, i powiedział: – Musisz wyjaśnić naszym ludziom w domu, że żyjemy tu jak książęta. Mamy wszystko, więc niczego nie potrzebujemy. Pragniemy tylko jednego: rzucić Rosję na kolana, żeby ojczyzna mogła spać spokojnie.

– Powiem tak.

– Potrafisz to zrobić znakomicie – powiedział Asch patrząc na Vierbeina zmrużonymi oczami.

Wedelmann, który po skosztowaniu grogu uznał, że nadaje się on do picia, wmieszał się znowu do rozmowy. – Tak, nie potrzebujecie się spieszyć, Vierbein. Załatwicie wasze zlecenie gruntownie. Tylko się nie gorączkować!

– Co znaczy: Vierbein, nie bądź idiotą! – powiedział Asch. – Podobna okazja nie powtórzy się tak prędko!

Wedelmann uśmiechnął się z aprobatą. Ale nie powiedział już nic więcej. Z całego serca użyczał Vierbeinowi tej podróży do domu. Wiedział doskonale, że Vierbein nie wykorzysta tego wyróżnienia, na które zasłużył jak nikt inny.

Na dworze leżał szary śnieg. Zapadająca noc stała blada za zamazanymi oknami. Asch zaciemnił je czarną tekturą. Lampa migotała sennie, wydawało się, że ogrzewa pomieszczenie. Z oddali, zagłuszając trzaski w piecu, rozległ się warkot silnika. Asch nastawił ucha. Po chwili powiedział: – Jadą nasi goście.

Bombardier Kowalski wyminął swym samochodem trzy głębokie leje, potem nacisnął mocno hamulec i wóz zatrzymał się przed chałupą dowódcy.

– Autostrada to ostatnie świństwo w porównaniu z tym tutaj – powiedział Kowalski patrząc z lubością na wyboistą drogę, którą przejechał.

Z wozu wyskoczył z teką pod pachą starszy ogniomistrz i potykając się ruszył ku drzwiom. Soeft nie spieszył się. Powoli wyplątywał się z koca, którym owinał sobie nogi i dolną część tułowia. Potem wolnym ruchem zaczął ściągać z rąk swoje prywatne rękawice futrzane. Wreszcie powiedział do Kowalskiego: – Wnieś tę skrzynię.

– Czy jestem twoim kamerdynerem? – zapytał Kowalski; odwrócił się wyzywająco tyłem i wysiadł z wozu.

Soeft rzucił parę soczystych przekleństw. Kowalski widocznie uważał to za dowcip i wybuchnął długim, serdecznym śmiechem. Skrzynia Soefta, znajdująca się z tyłu wozu, pozostała na razie nie tknięta.

Cała trójka, ubrana w zbyt długie płaszcze – Soeft włożył na noc swój ciężki kożuch – wsunęła się do chaty. Wedelmann powitał ich przyjaznym skinieniem ręki i zawołał: – Witajcie na zamku!

Starszy ogniomistrz Bock spróbował wyprostować się i zsalutować możliwie nie-nagannie. Ze względu na niski pułap izby niezupełnie mu się to udało. Stojący za nim Soeft zamarkował tylko salutowanie. Kowalski nawet tego nie zrobił.

– Przywiozłem skrzynkę z towarami kolonialnymi – obwieścił Soeft.

– Świetnie – ucieszył się Wedelmann. – Przyda nam się.

– Jest na dworze, w wozie – powiedział Soeft. Ponieważ nikt na te słowa nie zareagował zgodnie z jego życzeniem, dodał: – Trzeba ją przynieść.

– Dajcie odpowiednie zarządzenie – powiedział Wedelmann, Soeft spojrzał ostro na bombardiera i zawołał: – Kowalski, skrzynia!

Kowalski udawał, że źle słyszy. Dłubał w uchu i patrzył z nabożeństwem na odkorkowane butelki rumu.

– Na co właściwie czekacie? – zapytał Wedelmann. Kowalski przestał dłubać w uchu. Wolno, ociągając się, wyszedł, by po chwili wrócić. – Nie znalazłem żadnej skrzyni – zameldował dobrodusznie.

Soeft, co mu się bardzo rzadko zdarzało, stracił panowanie nad sobą i popędził na dwór. Kowalski uprzejmie przepuścił go w drzwiach. Po chwili! Soeft, zasapany, czerwony na twarzy, wrócił dźwigając skrzynkę.

– No więc – powiedział Kowalski z anielskim spokojem – trzeba tak było od razu!

Asch wybuchnął głośnym śmiechem. Oczka Soefta, małe z natury, stały się jeszcze mniejsze. Spiorunował wzrokiem podoficera do zleceń specjalnych, co na Aschu nie zrobiło najmniejszego wrażenia.

Wedelmann przywitał swoich żołnierzy uściskiem ręki, po czym zaprosił ich uprzejmym ruchem do zajęcia miejsc. Kowalski rozsiadł się pierwszy. Zanim pozostali zdążyli zdjąć płaszcze, złopał już z widoczną rozkoszą grog składający się prawie z samego rumu.

Starszy ogniomistrz zmierzył bombardiera Kowalskiego karcącym spojrzeniem, co jednak nie spieszyło nikogo, a najmniej samego Kowalskiego. Potem Bock wyciągnął dokumenty podróży dla Vierbeina, raz jeszcze złożył je starannie i podał po-

rucznikowi do podpisu. Asch pochylił się nad Wedelmannem i zaczął czytać razem z nim.

– Przecież to są papiery na podróż służbową! – zawołał zdziwiony. – Dlaczego Vierbein nie otrzymuje karty urlopowej?

– Ponieważ ostatnio w obrębie armii urlopy zostały wstrzymane – odparł starszy ogniomistrz Bock niechętnie.

– Przecież tam w kraju wcale o tym nie wiedzą.

– Ale my wiemy, Asch – odparł szef – i musimy się do tego stosować. – Był bardzo niezadowolony i bynajmniej tego nie ukrywał. Każdy, kto próbował wkroczyć w zakres jego kompetencji, dokonywał, jak mu się wydawało, zamachu na jego honor, w tej dziedzinie szczególnie mocno rozwinięty.

Wedelmann udawał, że dokładnie czyta przedłożone mu papiery. Ale nie czytał ich. Siedział pochylony do przodu i słuchał.

Stojący za Wedelmannem Asch spojrzął na starszego ogniomistrza Bocka i potrząsnął głową. – Nie wiem – powiedział z powątpiewaniem – czy to, co robisz, jest słuszne.

– W każdym razie jest zgodne z obowiązującymi w tej chwili rozkazami. Chyba w to nie wątpisz, Asch.

Kowalski przepił do Vierbeina, mrugając przy tym okiem. Soeft zaciągał się z rozkoszą mocnym cygarem, które wyjął ze swej skórzanej papierošnicy. Wedelmann udawał zagłębionego w papierach. Bock i Asch stali naprzeciw siebie z zadziornymi minami.

– Słuchaj no, Bock, jeżeli dajesz naszemu małemu papiery na podróż służbową, będzie się musiał zameldować w dywizjonie zapasowym. Wtedy mogą dysponować nim, jak długo ich to będzie bawiło.

– Ale przecież i tak musi się zgłosić w dywizjonie zapasowym. Inaczej nie mógłby wykonać polecenia.

– A tam, w dywizjonie zapasowym – powiedział z głęboką satysfakcją Soeft – siedzi nasz wielce ukochany były szef Schulz jako porucznik i dowódca baterii dowodzenia.

Wedelmann podniósł głowę. – Tak, to rzeczywiście... Ale nie będzie chyba tak źle – powiedział. – Wojna wyrównała niejedno i pewnie na każdym pozostawiła swój ślad. A cztery lata to długi okres czasu. Co o tym myślicie, Vierbein?

– Nie mam żadnych zastrzeżeń, panie poruczniku – odpowiedział Vierbein mocnym głosem.

Asch potrząsnął głową. – Najlepiej byłoby – stwierdził – gdybyśmy tak wyposażyli naszego małego, żeby we wszystkich okolicznościach mógł się czuć bezpieczny i w dodatku miał coś z tej podróży. Daj mu papiery na podróż służbową i kartę urlopową.

– Jedno i drugie!

– Dlaczego nie? A może myślisz, że twój podoficer kancelaryjny rozchoruje się wskutek przeciążenia robotą?

– Podwójne papiery – powiedział szef bezradnie. – Przecież tego nie można zrobić.

– Można wszystko, jeżeli się chce! Tak powiedział nasz führer. Starszy ogniomistrz szukał wzrokiem pomocy u porucznika. To, że Asch jest tubą Wedelmanna, nie ulegało wątpliwości, ale w takim wypadku, jak ten, należało uzyskać bezpośrednią aprobatę. Gdyby bowiem sprawa przybrała niepomyślny obrót, co nie było wykluczone, dobrze byłoby mieć niedwuznaczny rozkaz. – Jeżeli pan porucznik uważa...

Wedelmann bębnił ołówkiem po papierze przykrywającym stół. Nie mógł się zdecydować przede wszystkim dlatego, że w izbie znajdowało się więcej niż dwóch ludzi. A nie jest dobrze, jeżeli zbyt wielu wie o rozkazach budzących wątpliwości. Zabraniało mu tego jego pojęcie o obowiązkach służbowych.

– Cóż wy o tym myślicie, Vierbein? – zapytał swego wysoko odznaczonego podoficera.

Vierbein wyczuł, w jak niemiłej sytuacji znalazł się dowódca jego baterii. I jak zawsze był gotów do odegrania roli potulnego podwładnego. Odpowiedział więc: – Myślę, że papiery na podróż służbową wystarczą, panie poruczniku.

– Jak chcecie – odetchnął z ulgą Wedelmann i podpisał.

Asch wychylił swoją szklankę i zaraz znowu ją napełnił. Również Kowalski pił niemal bez przerwy, ale trudno to było po nim poznać. Soeft w zaskakującym przypływie wielkoduszności otworzył skórzaną papierośnicę i częstował cygarami. Nawet Vierbein zapalił, nie krztusząc się przy tym.

– Jutro po południu – powiedział Soeft – będziesz już, mały, w kraju. Mogę sobie wyobrazić, co będziesz jutro wieczorem robił.

Wszyscy roześmieli się. Śmiech wzmógł się jeszcze, kiedy Vierbein się zaczerwienił.

– Jakże będzie, mały? – zapytał Soeft ze zwykłą pewnością siebie. – O ile cię znam, chętnie zabierzesz ode mnie paczuszkę. A może nie?

– Ależ oczywiście! Żeby tylko nie ważyła więcej niż pięć kilo.

– Pięć kilo! Tyle waży zwykle listy Soefta.

Bombardier Kowalski mieszał w rozmarzeniu swój napój. Później wychylił z głośnym siorbaniem dalszą porcję grogu i powiedział: – Kto wie, co się właściwie dzieje w „Bismarckshöhe”. Zapewne młode jagnięta pasą się tam teraz na naszych żywnych pastwiskach. Wiecie, o czym czasami marzę? Gdyby się ta zasrana wojna miała kiedyś skończyć, co przecież jednak jest do pomyślenia, będziemy tam urządzić w soboty bitwy na kufle z niszczeniem sprzętu łącznie. Zawsze pod hasłem: „Tylko dla starych żołnierzy frontowych”. Za żołnierza frontowego będzie uważany ten, kto co najmniej jednego położył i przynajmniej jedną chce położyć. Musi tego

dowieść na podstawie książeczki żołdu. Uważaj się za straż przednią, Vierbein. Oczekuję po tobie, że odtańczysz tam honorowego walca.

– Przecież w czasie wojny się nie tańczy – powiedział Vierbein poważnie.

– Tak, w czasie wojny tylko się ciągle maszeruje! Zrozumiałeś to zupełnie dokładnie, mój mały. Nie ma miłości, dziewcząt, łóżek, jest tylko ojczyzna i jej wrogowie. Poza tym są bohaterowie jak ty, mój mały, dla których wojna to rzecz święta.

– Przymknijcie no się, Kowalski – powiedział ostro Wedelmann. – Stulcie natychmiast gębę. Jak na kierowcę pijecie o wiele za dużo.

– Jestem tu nie tylko kierowcą – odparł Kowalski niewzruszony – ale również człowiekiem. Jako człowiek interesuję się nie tylko wojną. Tego nie można tak łatwo wytrzebić, panie poruczniku.

– Przede wszystkim jesteś człowiekiem pijanym – powiedział Asch próbując przejść do porządku nad nieco kłopotliwą sytuacją.

– A ty jesteś ogniomistrzem – oświadczył Kowalski zaczepnie. – I to się czasami nawet czuje.

Wypili wszyscy, żeby nie mówić. Wyczuwali niezadowolenie Wedelmanna, znali również jego przyczynę. Ale nawet im do głowy nie przyszło niepotrzebnie się deklorować. Narodowy socjalizm Wedelmanna wystarczył dla nich wszystkich.

– Czy chcecie właściwie tu nocować? – zapytał Asch po ostatniej butelce.

Po zapewnieniu Ascha, że nie ma już nic więcej do picia, podnieśli się; Wedelmann uważał za wskazane nie otwierać nowej skrzynki Soefta.

Wzięli Vierbeina między siebie. Przed zameldowaniem się u porucznika Wedelmanna Vierbein pożegnał się po południu z obsługą swego działu na stanowisku ogniowym. Teraz jechał na tyły baterii, gdzie rezydował szef. Stamtąd miał zostać odtransportowany rankiem na lotnisko leżące w pobliżu miasteczka przyfrontowego. A w kilka godzin później – ojczyzna!

Ogniomistrz Asch poklepał swego przyjaciela Vierbeina po ramieniu. – Spraw się dobrze – powiedział. – Pozdrów moją żonę. Powiedz jej, że mi się świetnie powodzi. Pociesz ją przysłowiem, że „złego diabli nie wezmą” i tak dalej.

Asch cofnął się nieco. Kleisty półmrok zamierającej już lampy naftowej rzucał cień na jego twarz. Pozostawił Vierbeina porucznikowi Wedelmannowi.

– Odprowadzę was jeszcze do wozu – powiedział porucznik. Wyszli. Śnieg w zamglonym świetle księżycy miał wygląd białoszary. Noc była chłodna i wilgotna. W gęstych chmurach wisiało już skradające się wiosenne ciepło.

– Vierbein – odezwał się Wedelmann – wypełnijcie zlecenie dobrze i dokładnie. Nie dajcie się zbić z tropu. Wracajcie zdrowi ze sprzętem radiowym i personelem.

– Rozkaz, panie poruczniku.

– I jeszcze jedno, mój drogi. Sprawa osobista. – Wedelmann odciągnął Vierbeina na bok. Ociągał się, był wyraźnie zakłopotany.

Wreszcie bardzo szybko, wbrew swemu zwyczajowi, powiedział: – Kazałem wam

przedtem zapakować do plecaka dwie butelki dobrego koniaku. Jedna jest dla was. Na zdrowie, mój drogi. Wypijcie ją do dna w miłym towarzystwie. A jeżeli chodzi o drugą butelkę, to oddajcie ją pani Schulz. Pani Lorze Schulz. Znaie ją przecież. Powiedzcie jej... Albo nie mówcie jej nic. Powiedzcie tylko, że się pięknie kłaniam i życzę wszystkiego najlepszego. Poza tym nic więcej. Tak, to wszystko. Mam nadzieję, że załatwicie sprawę pomyślnie.

Zanim Vierbein zdążył odpowiedzieć, Wedelmann wycofał się z uczuciem ulgi. Zacierał ręce, jak gdyby przed chwilą dotknął rozpalonego żelaza. Potem pochłoneę go ciemności. Nie wrócił do swej chaty, miał ochotę połazić jeszcze trochę po nocy.

– Stale powtarzam – pozwolił sobie zauważyć Soeft – że potrzebna mu jest kobieta. Sam idealizm nie uszczęśliwia. Jak myślisz, Asch, czy mam mu sprokurować jakąś Nataszę?

– Ciągle jeszcze jesteś tutaj? – zapytał Asch. – Jeżeli nie ulotnisz się w ciągu dwóch minut, będę strzelać.

– Do widzenia! – powtórzył Vierbein raz jeszcze. Potem wsiadł do wozu, w którym poza Kowalskim siedzieli już szef i Soeft. Kowalski zapuścił silnik i pozegłował śmiało między pierwszymi lejami. Rzucił wóz w objęcia nocy.

– Ten łobuz jedzie jak szatan – powiedział Wedelmann, który wypłynął z ciemności i stanął za Aschem.

– Można się zdać na naszego małego – odparł Asch zgadując myśli swego porucznika. – Chyba diabeł musiałby się wmieszać w tę sprawę.

– W naszych czasach nie jest to takie wykluczone. Wedelmann położył rękę na ramieniu Ascha i wsłuchiwał się w warkot silnika, który zdawał się zamierać. Noc pochłoneęła wszystko. Znowu otoczyła ich na krótką chwilę czatująca, podstępna cisza wojny.

– Zimno – powiedział Asch tylko po to, by przerwać tę ciszę. – Zimno i mokro.

Potem błady księżyc przebił się przez chmury. Wyglądał tak, jak by owiewały go kłęby gazy. Trupioblada powłoka śnieżna wsysała w siebie księżycowe światło. Ciemności rozpraszały się.

W parowie prowadzącym na stanowisko ogniowe ukazał się wartownik. Prawie bezgłośnie brodził w głębokim śniegu, ruchy miał irytująco powolne, jak by w ogóle się nie ruszał z miejsca. Wreszcie przystanął.

A potem wydało się, że zatrzymał się cały świat. Jak gdyby przestały istnieć fronty, między którymi leżą zamrożone trupy. Jak by nie było żołnierzy zawiniętych w brudne koce. I nie było miasteczka przyfrontowego, które nie zna spokoju, ale też nie wie dobrze, co to wojna. I nie było już na ziemi kobiety, na której można by się wesprzeć. Czyżby świat stał się cmentarzem?

– Gdyby się wiedziało, co świat przez taką noc potrafi wymyślić – powiedział ogniomistrz Asch.

Kapitan Witterer, nowy dowódca, wsiał sprężycie do wozu terenowego trzeciej baterii, który czekał na niego przed budynkiem sztabu pułku. Resory jęknęły, kiedy opadł na siedzenie, nie tracąc zresztą sprężystej postawy.

Kierowca siedział spokojnie przy kierownicy. Z tyłu wozu piętrzyły się dość liczne bagaże. Widać zawieszona na niebie zmęczone słońce skusiło kierowcę do południowej drzemki, gdyż siedział nieruchomo.

– A więc do mojej baterii! – zawołał kapitan Witterer ochoczo. – Ale jeżeli można prosić, w ostrym tempie.

– Na stanowiska ogniowe czy na tyły? I to na bliższe czy dalsze? – zapytał kierowca. Wyrecytował to jak zaferowany kelner treść jadłospisu.

– Naprzód do kancelarii – powiedział Witterer tonem znacznie mniej uprzejmym. Zachowanie tego kierowcy nie podobało mu się, jak zresztą nie podobało mu się niejedno, co dotychczas zobaczył. Miał wrażenie, że wszyscy żołnierze, w każdym razie ci z jego baterii, są mało karni i niezdyscyplinowani. To się musi zmienić, możliwie szybko i możliwie gruntownie!

– Jak się nazywacie? – zapytał kierowcę.

– Kowalski – odpowiedział tamten.

– Generał Kowalski?

– Tylko Kowalski – powiedział kierowca, dał gazu i ruszył w kierunku leja. Wóz skręcił w bok, osiadł, potem skoczył gwałtownie w górę. Witterer chwycił się instynktownie bocznego oparcia, czapka z daszkiem mocno mu się przechyliła. – Mój stopień służbowy – oznajmił po jakimś czasie Kowalski – bombardier.

Witterer milczał i patrzył na szosę. „Ta trzecia bateria – mówił sobie i ubolewał, że musi to sobie powiedzieć – wygląda jak chlew. Jak wiele rzeczy w tym rejonie!” Witterer nie należał jednak do ludzi łatwo tracących wiarę i otuchę. Urok rośnie wraz z przeszkodami i oporami – rozmyślał dalej, usiłując przy tej szaleńczej jeździe zachować równowagę. – Zamienić świński chlew we wzorową stadninę – oto wdzięczne zadanie dla energicznego człowieka!

Kapitan Witterer przybywał wprost z Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych. Był tam niemal prawą ręką jednego z generałów od transportu. Do świetnej kariery wojskowej brakowało mu jeszcze tak zwanej „próby frontu”. Ale cóż to znaczy dla niego, który dotychczas dawał sobie ze wszystkim radę lewą rączką. Właśnie przystępował do naprawienia tego mankamentu swej urody. Za dwa, trzy miesiące skończy się jego gościnny występ tutaj, a frontowi przybędzie jeszcze jeden pododdział, z którego będzie mógł być dumny.

Wóz opuścił miasteczko przyfrontowe i pędził po opustoszałej szosie. Bładoszary śnieg, obumarłe drzewa, nędzne chaty zdawały się przelatywać obok nich. Benzyna

śmierdziała, silnik huczał, mokre, zimne powietrze wiało prosto w nos. Kierowca prowadził wóz dwoma palcami lewej ręki; prawą wsunął głęboko do kieszeni swego płaszcza.

Witterer przyjrzał się temu człowiekowi dokładnie. Nie można było powiedzieć, żeby płaszcz jego był czysty; szczerze mówiąc, był brudny, straszliwie brudny. Miał pełno tłustych plam, poza tym był popryskany błotem, pochodzącym prawdopodobnie jeszcze z ubiegłej jesieni. W dodatku łobuz nie był ogolony, bił od niego stęchły, słodkawy odór alkoholu, z którym zetknąć się można wczesnym rankiem w obskurnych szynkach. Ręce, przypominające płetwy, miały taki wygląd, jak gdyby każdego wieczora grzebał nimi w ziemi. Przecież to nie jest żołnierz, a w każdym razie nie jest to żołnierz, który pasuje do jego pododdziału, to po prostu jakaś kreatura. Jedno trzeba przyznać: kierowca z niego doskonały. Jedzie jak sam diabeł. To już coś jest.

– Jak daleko jeszcze? – zapytał Witterer.

– Już niedaleko – odparł bombardier.

Kowalski skierował wóz w stronę zapchanej ludźmi wsi, w której znajdowało się zapasowe stanowisko taborów baterii. Zmniejszył tylko nieznacznie tempo, choć pojazdy i ludzie próbowali zastąpić mu drogę. Tak im się niebezpiecznie dobierał do skóry, że starali się usunąć jak mogli najprędzej. Witterer był naprawdę zdumiony. Obserwował swój nowy teren działania z wzrastającą nieufnością.

Na podwórzach stały czołgi. W nędznej kuźni huczał warsztat naprawczy; chore ciężarówki tłoczyły się dokoła niego. Szpital polowy zagnieździł się w budynku szkoły. W największym domu wsi kwaterował sztab jakiegoś pułku piechoty. W rejonie drugiego co do wielkości budynku rozlokowało się zapasowe stanowisko taborów trzeciej baterii.

Kowalski pozeğłował w stronę kancelarii. Znalazłszy się przed nią zahamował tak mocno, że Witterer omal nie wpadł na przednią szybę. Zanim zdążył wypowiedzieć to, co mu się spontanicznie cisnęło na usta, otworzyły się drzwi chaty, przez które wytoczył się starszy ogniomistrz Bock – szef baterii.

Bombardier Kowalski z wzrastającym entuzjazmem rozkoszował się niezwykle sceną, której był teraz świadkiem. Szef przystroił się wedle wszelkich zasad i wymagań koszarowego dziedzińca; nawet jego notes tkwił dokładnie we właściwym miejscu. Przypiął sobie baretki odznaczeń i Wojenny Krzyż Zasługi z Mieczami, który błyszczał od sidolu. Również pas lśnił nieposzlakowaną czystością. W butach jak w lustrze odbijał się brudny śnieg. Kowalski był zachwycony – nie wiedział, że coś takiego jeszcze istnieje.

Starszy ogniomistrz Bock wyprostował się jak struna, zaszalutował ściśle przepiśowo i rześko, z rozmachem zameldował: – Trzecia bateria – dwóch oficerów, dwudziestu trzech podoficerów, stu trzydziestu ośmiu szeregowców. Dwóch podoficerów i dziewięciu szeregowców w szpitalu, jeden podoficer i czterech szeregowców odkomenderowanych, jeden szeregowiec w areszcie śledczym, jeden w areszcie.

Witterer był szczerze uszczęśliwiony. Nareszcie, nareszcie jakiś człowiek z jego baterii, który robi dobre wrażenie. Stary żołnierz – widać to na pierwszy rzut oka. Kręgosłup armii! Na takich ludzi mógł się zdać, takich, właśnie takich potrzebował!

Witterer wysiadł, wciąż jeszcze zachowując sprężystą postawę. Sztywnym krokiem podszedł do swego szefa baterii i podał mu rękę, co najwidoczniej napełniło Bocka wielką dumą. Patrzyli przy tym na siebie, jak by chcieli złożyć sobie nawzajem, życzenia. Kowalski miał zabawę iście królewską.

Starszy ogniomistrz popędził do swojej kwatery i otworzył szeroko drzwi. Witterer schylił się, choć nie było to nieodzowne, i wszedł do chałupy. Zastał tu porucznika Wedelmanna, który właśnie przeglądał tajne dokumenty.

Obaj oficerowie przywitani się, wymienili swe nazwiska ukrywając obustronną ciekawość za parawanem dziarskiej, umyślnie podkreślonej serdeczności. Po kilku zdawkowych komplementach, podczas których lustrowali się jak handlarze koni, usiedli.

– Jestem tu wprawdzie od przedwczorajszego popołudnia, ale pan pułkownik Luschke uznał za wskazane przede wszystkim zaznajomić mnie ogólnie z tym odcinkiem frontu.

– To należy do metod pułkownika Luschke – powiedział Wedelmann. Rzucił krótkie spojrzenie w stronę starszego ogniomistrza Bocka, który ze względów taktycznych ustawił się za Wittererem i wskutek tego nie musiał ukrywać lekkiego uśmiechu. Wedelmann i Bock pomyśleli to samo: jedna z metod pułkownika Luschke polega na tym, że każdy nowy oficer musi przede wszystkim przejść próbę ogniową w sztabie pułku, i to trwająca co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli nie był to człowiek, który upadł na głowę, wiedział po tych dwudziestu czterech godzinach, skąd wiatr wieje. Jeśli życie było mu miłe, stosował się do tego.

– Dowódca pułku – powiedział Witterer – to osoba wielce godna uwagi.

Wedelmann skinął głową. – Nie można go ani ominąć, ani podejść. Dobrze jest wiedzieć o tym.

– Trzecia bateria miała dotąd niemałe sukcesy, prawda?

– Można by to powiedzieć.

– Miejmy nadzieję, że nie kosztem dyscypliny. Wedelmann oparł ręce na udach. Wyglądał jak bokser czekający w rogu ringu na pierwszą rundę.

– Siła bojowa ważniejsza jest niż dyscyplina – powiedział krótko.

– Jedno warunkuje przecież drugie – rzucił Witterer tonem pobłażliwego belfra. Witterer był ostatecznie kapitanem. Czasami jest wskazane zwrócić na to uwagę nawet kolegom oficerom.

– Takie teorie brzmią zawsze dobrze, panie kapitanie. Ale w praktyce wygląda to zazwyczaj zupełnie inaczej. A może uważa pan, że kiedyś pojawi się przepis wskazujący, jak należy prawidłowo umierać?

Witterer uśmiechnął się z wyższością. Nie odnosił wrażenia, że Wedelmann jest

takim idealnym oficerem, jakim usiłował przedstawić go pułkownik Luschke. Patrząc na niego myślał sobie, że porucznikowi brak godnej oficera postawy. Stagnacja na frontach wyraźnie nie wyszła mu na dobre. Kości wtedy rdzewieją, energia wyczerpuje się, człowiek zaczyna zbytnio się zastanawiać. Przednie linie potrzebują gwałtownie dopływu świeżej krwi. Po to przecież przybył tutaj.

– Czy przygotował pan wszystko do przekazania mi baterii, panie poruczniku?

– Cóż tu jest do przygotowywania? – zapytał z kolei Wedelmann. – Przekazuję panu baterię taką, jaka jest. Przekazuję panu baterię doświadczoną w bojach, wielokrotnie odznaczoną. Co pan później z nią zrobi, to już pana sprawa.

– Niezaprzeczenie – powiedział Witterer z wyraźnym chłodem. – W każdym razie nie da się uniknąć przekazania na piśmie.

– Nie prowadzimy tu dziennika okrętowego – rzucił Wedelmann z rosnącym niezadowoleniem. – Raport dzienny informuje dokładnie o stanie osobowym, pojazdach, amunicji, paliwie. Czy to ma pan na myśli, panie kapitanie?

Wmieszał się starszy ogniomistrz, starając się uczynić to taktownie. – Pisemne przekazanie tajnych akt i spraw dowództwa zostało przygotowane.

– Pięknie – oświadczył Witterer i podniósł się. – Najprzód rozejrzymy się tu nieco dokładniej.

– Dobrze – powiedział Wedelmann podnosząc się również. – Zaczniemy od stanowisk ogniowych.

Witterer, już w drodze ku drzwiom, udał, że coś wpadło mu właśnie do głowy; coś, co nie było istotne, ale miało swoje znaczenie.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Zanim pojedziemy do dział, chciałbym wiedzieć, gdzie będę mieszkać?

Wedelmann pomyślał sobie: Mieszkać – to chyba w tych okolicznościach słowo niezbyt właściwe. – Może pan rozgościć się w mojej kwaterze, panie kapitanie – powiedział. – Od biedy zawsze znajdzie się tam miejsce. Kwatera znajduje się w rejonie głównego stanowiska taborów.

– Na początek – odparł Witterer – żeby się gruntownie ze wszystkim zapoznać, wolałbym ulokować się na zapasowym stanowisku.

– Tak jest, panie kapitanie – powiedział szef; niełatwo mu było ukryć, jak mało jest tą perspektywą zachwycony. Tu była jego rezydencja. Nie pragnął wcale, by rozbił w niej namioty ktoś, kto miałby prawo wtrącać się do jego zarządzeń i był w dodatku zdecydowany to uczynić.

Witterer skinął głową w kierunku swego szefa baterii i uśmiechnął się do niego; uśmiech ten dał Boćkowi od razu do zrozumienia, że czeka go jeszcze niejedna niespodzianka. Zanim zorientował się całkowicie, co się tu właśnie święci, kapitan oświadczył: – Najlepszą kwaterę na stanowisku zapasowym macie oczywiście wy, Bock.

Wedelmann, radośnie zaskoczony, uśmiechnął się. Starszy ogniomistrz stał w

milczeniu na baczość. Obaj wiedzieli, że to nie szef zajął najlepszą kwaterę, lecz oczywiście Soeft, imperator zaopatrzenia. Ale o takich finezjach Witterer nie mógł jeszcze nic wiedzieć.

– Tak – powiedział Witterer serdecznie, rozkoszując się swoją przewagą – orientuję się w tych sprawach, mój drogi. Szef ma zawsze najlepszą kwaterę. To wiadomo. Ale odda ją pan chętnie swemu kapitanowi, prawda?

– Tak jest – wykrztusił Bock.

– Urządźcie więc to wszystko – kapitan Witterer delectował się swoim iście żołnierskim, jędrnym humorem. – Kiedy wrócę ze stanowisk ogniowych, zobaczę, co oprócz tego macie jeszcze dla swego nowego dowódcy.

– Tak jest, panie kapitanie – powiedział Bock z goryczą.

– Proponuję – wmieszał się rozweselony Wedelmann – aby szef przeniósł się ze swoją kancelarią do Soefta. Oczywiście pod warunkiem, że pan kapitan nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Przenieście się ze swoją kancelarią do Soefta – zdecydował Witterer.

Starszy ogniomistrz ujrzał oczyma wyobraźni mnóstwo spadających na niego okropnych komplikacji. Nie tylko stracił wygodną kwaterę, ale będzie miał w dodatku na karku Soefta. Co sobie właściwie nowy dowódca myśli? Przecież Bock nie może ni stąd, ni zowąd zdrzeć z Soeftem! Właśnie z Soeftem! Jeżeli tego na czas nie ureguluje, rezultatem mogą być po prostu głodowe racje! Ten nowy nie ma przecie pojęcia, co się tu naprawdę dzieje.

– Kto jest właściwie moim stałym kierowcą? – zapytał Witterer.

– Bombardier Kowalski – odpowiedział skwapliwie Bock.

I to, że mógł to powiedzieć, nieco go uspokoiło. Bo Kowalski był idealnym hamulcem dla każdego, kto miał ochotę posunąć się za daleko.

– Akurat ten Kowalski? – zapytał Witterer bez zbytniego entuzjazmu.

– To najlepszy kierowca baterii odpowiedział Wedelmann. – Dorasta do każdej sytuacji. – I on z całego serca użyczał Wittererowi Kowalskiego. Bombardier Kowalski potrafił, jeśli chciał, słyszeć, jak trawa rośnie, i odgadywać myśli, a jeżeli były niemiłe, to jego specjalnością było paraliżowanie ich.

– No dobrze – odrzekł Witterer. – Z czasem uporamy się z nim.

Witterer i Wedelmann opuścili kancelarię w pozornej zgodzie i w towarzystwie Bocka podeszli do wozu. Bombardiera Kowalskiego nie było. Znalaziono go po chwili przy kuchni polowej, gdzie sprawdzał, czy mięso zostało dobrze ugotowane.

Kowalski zawiózł starego i nowego dowódcę w piekielnym tempie na główne stanowisko taborów. Stamtąd obaj udali się do dział ustawionych na końcu wsi.

Witterer, wykorzystując zgodnie z przepisami każde naturalne ukrycie, nałożył hełm i oparty o drzewo, pochylony naprzód, ze skupieniem lustrował okolicę przez lornetkę polową. Nieprzyjacielskie linie były prawie niewidoczne.

– Tylko dwa nasze działa – wyjaśniał Wedelmann, który stał w rozkroku na śniegu

obok niego – mogą być użyte do strzelania na wprost. Dwa pozostałe panują nad leżącymi tutaj wzgórzami, po tej stronie stanowisk naszej piechoty, i są przewidziane do obrony przeciwpancernej.

– A pośrednio?

Wedelmann wyciągnął zza mankietu zużytą, pomazaną kolorowymi ołówkami mapę i rozłożył ją. – Pośrednio wszystkie cztery działa mają w swym zasięgu leżący przed nami odcinek frontu.

Krótkimi ruchami rąk pokazywał na mapie i w terenie dozory i punkty obserwacyjne oraz stanowiska ogniowe baterii sąsiednich; próbował ukazać linie nieprzyjacielskiego frontu.

– A jak często posyłacie braciom z tamtej strony upominki?

– W ostatnich tygodniach panował tu całkowity spokój.

– Co? Nic na dzień dobry? Nic na dobranoc?

Wedelmann złożył swoją mapę. – Panie kapitanie – powiedział Uprzejmie – nasze zużycie amunicji jest stale zależne od sytuacji. Jeżeli chodzi o ćwiczenia w strzelaniu, to nie potrzebujemy ich już urządzać. Bateria nasza zebrała już wystarczającą ilość doświadczeń bojowych.

Witterer, ciągle jeszcze kryjąc się, nie zaszczyił tych wywodów żadnym komentarzem. Jego krytyczne nastawienie w stosunku do porucznika Wedelmanna wydawało mu się całkowicie uzasadnione. Wedelmann był widocznie znużony frontem. Żołnierze jego dostosowywali się automatycznie do niego. Brak im było iskry zapalającej.

Przekonawszy się, że na tym odcinku frontu panuje absolutny spokój, kapitan Witterer obszedł stanowisko ogniowe dział, zagrzewając zdziwionych żołnierzy, wartowników przy działach i załogi, w schronach odpowiednio dobranymi słowami. Padły do przesyty znane wyrażenia w rodzaju: „aktywizować się”, „nie rdzewieć”, „pokazać, na co nas stać” i taki dalej. Wedelmann milczał i nie dziwił się. Żołnierze dziwili się i również milczeli. Witterer tłumaczył to sobie jako dowód szacunku.

Obaj oficerowie, których myśli były nie tylko bardzo różne, ale często wprost sprzeczne ze sobą, udali się do kwatery porucznika Wedelmann. Zastali tam ogniomistrza Ascha. Kapitan zdumiał się na jego widok. Potem uśmiechnął się chytrze jak belfer, który ma przystąpić do poprawiania zeszytów.

– Omal o was nie zapomniałem – powiedział Witterer.

– Wiedziałem, że pan kapitan przypomni mnie sobie.

– Ogniomistrz Asch jest w naszej baterii podoficerem do zleceń specjalnych – powiedział Wedelmann. – Nie miałem pojęcia, że pan poznał już Ascha.

– Tak, poznałem go już. I jak mi się zdaje, gruntownie. Usiedli. Asch, choć nie wezwany, również zajął z całkowitą swobodą miejsce przy stole. Witterer postanowił znieść to w milczeniu. Później, kiedy wyjaśni sytuację, będzie to wyglądało inaczej. Zupełnie inaczej!

– Co nowego na stanowiskach ogniowych, Asch? – zapytał porucznik.
– Trzeba na nowo sprawdzić trzecie działo. Jeżeli zawieziemy je do warsztatu jeszcze dzisiaj, będzie pojutrze gotowe.

– Czy pan kapitan się zgadza?

– Czy ci puszkarze nie mogą zjawić się na stanowisku ogniowym? – zapytał Witterer. – Czyżby już teraz mieli pełne portki?

– Nie ma powodu, by już teraz mieli pełne portki, panie kapitanie – odpowiedział Asch. – Puszkarze mogliby oczywiście, gdybyśmy na to nalegali, dokonać sprawdzenia na stanowisku ogniowym. Ale praca w warsztacie jest szybsza i dokładniejsza.

– To się tak łatwo mówi. A jeżeli tymczasem coś się tu stanie, ogniomistrzu?

– Z dnia na dzień nic się tu stać nie może, panie kapitanie. Na całym przeciwnym odcinku frontu nieprzyjaciela nie ma w tej chwili czołgów i prawie nie ma artylerii. Nasi obserwatorzy nie zameldowali również o żadnych posiłkach, ani materialnych, ani osobowych. Zauważylibyśmy to co najmniej kilka godzin wcześniej.

– Osądzanie tego rodzaju spraw proszę na przyszłość pozostawić mnie, ogniomistrzu. – Witterer oznajmił to ze spokojem, tak jak by udzielał tylko rady. Ale nie pozostawiał żadnej wątpliwości, że nie życzy sobie dyskusji ani na ten, ani na żaden inny temat.

Asch zorientował się od razu i zamilkł. Spojrzał na Wedelmanna, ale ten wyraźnie unikał jego wzroku. – Zastosuję się do tego – powiedział ogniomistrz.

Otworzyły się gwałtownie drzwi, wsunął się przez nie Kowalski. Zatluszczoną czapkę polową miał głęboko zsuniętą na kark, spod płaszcza widać było rozpięty kołnierz bluzy.

– Czego tu chcecie? – zapytał Witterer.

– Ogrzać się – odpowiedział Kowalski i podszedł do pieca.

Wyciągnął przed siebie ręce i uśmiechnął się błogo. Potem stuknął butami o podłogę, by strząsnąć z nich śnieg.

– Co oprócz tego? – zapytał Ascha Wedelmann, który już zdążył oswoić się z tego rodzaju wystąpieniami Kowalskiego.

– Nie powinniśmy powierzać kapralowi Krausemu działonu Vierbeina.

Witterer chciał wiedzieć, co to za jeden ten Vierbein. Wedelmann poinformował go. Potem Witterer chciał się dowiedzieć, dlaczego nie ma tego Vierbeina na stanowisku ogniowym. Wedelmann poinformował go i o tym. A kto to taki ten Krause? Dlaczego nie powinien obejmować działonu Vierbeina?

– Kapral Vierbein – oświadczył Asch – jest w wyjątkowo dobrych stosunkach z obsługą swego działła. Kapral Krause to typ zupełnie inny, a właściwie mówiąc, zupełnie przeciwieństwo Vierbeina. Żołnierze z trudem przyzwyczailiby się do niego, kto wie, czy nie zaświniłby Vierbeinowi całej obsługi.

– Obejrżę sobie przy sposobności tego kaprala Krausego – powiedział Witterer. I pomyślał: – Jeżeli ten Asch tak uporczywie występuje przeciw Krausemu, to Krause

musi być osobnikiem zupełnie różnym od Ascha. To jest interesujące. Bo ten Asch...

– Nie macie tu nic do picia? – zapytał Kowalski bez żenady głosem tak donośnym, jak gdyby znajdował się w piwiarni.

– To dla was szczyt błogości, co? – zapytał Witterer ironicznie.

– Mniej więcej – odpowiedział Kowalski. – Cóż nam zresztą pozostaje? Byłbym zachwycony, gdyby można było wyciągać z butelek kobietki.

Uważając mylnie, że Kowalski nadaje się do robienia na temat swojej osoby żołnierskich dowcipów, Witterer miał ochotę do dalszego ironizowania. Ale uchwycił się wyrazu „kobietki”, aby poruszyć jeden ze swych ulubionych tematów: – Kiedy właściwie był tu ostatni raz zespół rozrywkowy? – zapytał przyjaźnie.

– Tutaj? – zdziwił się Wedelmann. – Tu u nas? Pan żartuje!

– I ta dziedzina jest więc zaniedbana – oświadczył Witterer z całą powagą. – Brak inicjatywy. Bo oczywiście sam nikt się nie zjawi, trzeba tu trochę dopomóc. Nie będę się z tym ociągał. Bombardierze, samochód w porządku?

– Dla takiego celu zawsze – odparł Kowalski z zapalem, który szczerze zadziwił Wedelmanna i Ascha.

Silnik parsknął gwałtownie jak koń osadzany w galopie. Potem syknął raz jeszcze i zamilkł. Bombardier Kowalski uśmiechnął się błogo do kapitana Witterera, który czuł jeszcze w kościach piekielne tempo.

– A więc jesteśmy na miejscu – powiedział bombardier.

Dotarli do miasteczka przyfrontowego, znajdowali się przed szkołą, w której umieszczone zostały przybyłe damy. Witterer lustrował względnie solidny budynek, jak by ten stał przed nim na baczność, wziął swą tekę i wysiadł z wozu. Kowalski zamierzał pójść w jego ślady.

– Zaczekajcie tutaj – oświadczył kapitan Witterer. Kowalski spojrzął na swego dowódcę ze wzruszająco skromną miną owieczki i nie odezwał się ani słowem. Witterer nie zwrócił najmniejszej uwagi na niepokojącą dla wtajemniczonych potulność swego kierowcy. Oddalił się rześkim, elastycznym krokiem w kierunku baraku szkolnego, w którym obecnie znalazł pomieszczenie personel komendy garnizonu.

Pozostawiony samotnie bombardier rozparł się głęboko na siedzeniu, wyciągnął nogi, przy czym umieścił zabłocone buty na zniszczonej skórzanej poduszce sąsiedniego siedzenia i z niezadowoloną miną zatopił ręce w kieszeniach płaszcza. Nie ruszając się z miejsca gapił się na wszystkich przechodzących obok wojskowych, bez względu na ich stopień służbowy.

– Ależ to zakazana dziura! – powiedział po chwili z głębokim przeświadczeniem i tak głośno, że przechodzący właśnie podporucznik odwrócił się w przekonaniu, iż go ktoś woła. Kowalski udał, że go nie widzi, i jęknął pogardliwie.

Wyjeżdżone drogi kręciły się i wiły poprzez miejscowość jak węże. Z kilku chyłających się ku ruinie kościołów buchały sino-czarne kłęby dymu: pracowały w nich

warsztaty. Niektóre, jak to Kowalskiemu było wiadome, używały jako paliwa nafty. Zgarbione, na pół drewniane domy stały w nieregularnych odstępach i wyglądały jak zapomniany materiał opałowy. Na wszystkim leżał wilgotny, lepki śnieg.

– Mam wrażenie – powiedział Kowalski gniewnie, patrząc na pomalowany na kolor rdzawobrunatny barak szkolny, w którym Witterer znikł ze swą teczką – że ten dowódca bierze mnie za szofera.

Pytał siebie ze zwykłą sobie dokładnością, czy ma ten błąd wyjaśnić, czy też nie. A ponieważ zawsze był zwolennikiem jasnych i niedwuznacznych sytuacji, zastanawiał się tylko, czy ma się to stać „zaraz czy natychmiast”.

Od tego rodzaju głębokich rozmyślań wybawił go widok kaprała Soefta. Soeft z nochalem podniesionym wysoko w górę wyskoczył z budynku szkolnego; przez chwilę zacierał z zadowoleniem ręce, zanim je ruchem niemal ceremonialnym okrył futrzanymi rękawicami. Wysilał się bardzo, żeby wywołać wrażenie, iż miał przed chwilą „przygodę”. Uśmiechnął się do Kowalskiego porozumiewawczo, zamrugał małymi oczkami i chciał go minąć.

– Hola, kapral! – zawołał Kowalski za nim. – Chyba opuścił was Bóg i führer, co? Nie wiecie już nic o tym, że kapral ma obowiązek pierwszy salutować bombardierowi?

Soeft zawrócił, spojrzął na Kowalskiego i jego „wózek” i powiedział: – Dlaczego właściwie tak się drzesz, ty kulisie? Za zimno ci, co? Ale to ci nie zaszkodzi, ty lokajska duszo!

– Siedzę tu, bo mi się tak podoba – odparł Kowalski, który poczuł się głęboko dotknięty, ale potrafił to cudownie ukryć.

– Właśnie na takiego mi wyglądasz – Soeft uśmiechnął się z zadowoleniem. – Typowy osobnik o silnej woli.

– Jak zechcę, wypoleruję ci facjatę – powiedział najspokojniej w świecie Kowalski. – Ale w gruncie rzeczy jestem człowiekiem zgodliwym. Butelką wódki, oczywiście litrową, nawet ty potrafisz mnie ułagodzić.

– To możesz dostać – odparł Soeft kołysząc się. – Jeśli chcesz, nawet zaraz. Bo musisz się przecież napić, aby dodać sobie odwagi.

– A to niby dlaczego, człowieku?

Soeft przechylił na bok swą gruszkowatą głowę i wskazał nochalem na szopę szkolną. Przy tej okazji znowu zmrużył oczki, których szerokość nie przekraczała teraz milimetra. Kowalski uważał, że Soeft wygląda w tej chwili jak nakłuty, a przy tym błogo uśmiechnięty cielak. – Widziałeś już te lalecзки, szoferze?

Bombardier przełknął również i „szofera”. Z trudem ukrywając zainteresowanie zapytał: – Klasa?

– Ekstraklasa – powiedział Soeft podnosząc w górę kciuk. Po czym spróbował przytknąć palcami prawej ręki, co mu się nie udało. – Absolutnie wyjątkowa klasa. – I dodał z miną fachowca: – W porównaniu z innym towarem.

– Prawie jak we Francji, co?

– Człowieku! – zawołał Soeft z pogardą. – Dzikusie niecywilizowany! Jak możesz to tutaj porównywać z Francją.

– Oczywiście masz coraz mniejsze, Soeft. Żresz za dużo i zapewne dlatego kiepsko widzisz.

– Sam się przekonaj, ty kulisie samochodowy! Wejdz tam na górę, szoferze. A może szoferom tego nie wolno?

– Odwal się, łobuzie! – zawołał Kowalski wzburzony. – Albo zrobię z ciebie marmoladę. – Zaraz potem zapytał: – Gdzie właściwie te lalki biwakują?

– Najwyższe piętro na lewo, ostatnie drzwi – zakomunikował Soeft. – Jeżeli dowódca wyrzuci cię stamtąd, co jest więcej niż pewne, możesz przyjść do mnie do kantyny. Do tylnego pokoju. Zapytaj o siostrę Betty.

– Możesz długo czekać – powiedział Kowalski z pewną siebie miną. – Mnie nikt nie wyrzuci. Kto by spróbował, musiałby mieć dość tego życia.

– Będziesz tu z powrotem w ciągu kwadransa. Wyznaję się na tym. Jeżeli chcesz, mogę ci wystawić list gwarancyjny. Za piętnaście minut albo znajdziesz się w kantynie, albo będziesz grzecznie czekać na ulicy, jak zresztą przystoi szoferowi.

Po tych słowach Soeft oddalił się. Kowalski pojękując wylazł z wozu i powlókł się w stronę baraku szkolnego, przypominającego pudełko zapalek. Ogromny żółty szyld obwieszczał czarnymi literami, że zakwaterował się tu personel komendantury. Obok tego szyldu wisiał drugi, nieco mniejszy, ale widoczny, który obwieszczał: *Niepowołanym wstęp surowo wzbroniony*. Jak zawsze w podobnych wypadkach, Kowalski uznał się za powołanego.

Wtarabanił się do środka i wszedł na najwyższe piętro. Tu wytarł nos palcami i skrzył na lewo. Na końcu korytarza zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Uszu jego dobiegły kobiece głosy. Słuchał w zachwyceniu, otworzył usta i w tej pozie stał przez dłuższą chwilę, drapiąc się w brodę. Na dźwięk tych głosów odczuwał dziwną błogość.

Głosy te nie dochodziły jednak, jak należało oczekiwać, z pokoju za ostatnimi drzwiami, lecz zza przedostatnich drzwi na lewo. Kowalski przysunął się bliżej i zachwył jego wzmógł się jeszcze odrobinę. Uchylił drzwi i wsunął głowę w szparę.

Najpierw zobaczył kobietę, jak mu się wydawało, o nieco surowym wyrazie twarzy; siedziała przy oknie i coś pisała. Przerwała swe zajęcie, ale nie spojrzała na niego. Miało się wrażenie, że na coś czeka; czyniła to z cierpliwością.

Zaciekawione spojrzenie Kowalskiego powędrowało dalej; znowu rozdziawił gębę i przyglądał się drugiej kobiecie w pokoju. Okrągła, pulchna, najspokojniej w świecie leżała sobie wyciągnięta na łóżku, przyglądała mu się bezceremonialnie, ale bynajmniej nie przyjaźnie.

Kobieta przy oknie spojrzała teraz chłodno na intruza i powiedziała: – Pan chyba nie pukał?

– Nie – odpowiedział Kowalski zaskoczony. Głos jej brzmiał tak, jak gdyby była przyzwyczajona do wydawania rozkazów.

– Czy nie słyszał pan nigdy – zapytała dama spod okna – że coś podobnego istnieje?

– Owszem, słyszałem – odparł Kowalski, który wolał przyglądać się dziewczynie rozciągniętej na łóżku. Otworzył szeroko drzwi i wsunął się do pokoju. – Ale wyszedłem zupełnie z wprawy. Od roku przeszło nie miałem do czynienia z drzwiami, do których trzeba by było pukać. Zwłaszcza z takimi, za którym są dziewczyny.

– W takim razie nadszedł czas, żeby się pan znowu przyzwyczaił – powiedziała kobieta, która mu się w pierwszej chwili wydała taka surowa, a teraz lekko się do niego uśmiechnęła.

– Proszę, co możemy zrobić dla pana, panie...

– Kowalski – rzucił z uśmiechem, usiłując nadać temu uśmiechowi wyraz zmieszania.

– A więc proszę, panie Kowalski. – Kobieta przy oknie miała dobre, mocne spojrzenie. A teraz w dodatku ten głos! Tak, moi państwo – jedwab i oliwa! Kowalski był pod wrażeniem i nie ukrywał tego.

– Szukam mego kapitana – powiedział.

– Nie ma tu żadnego kapitana – oświadczyła kobieta spod okna i uśmiechnęła się.

– A może jest u mnie w łóżku – blondynka zachichotała gwałtownie i krótko.

– Mogę zobaczyć – powiedział Kowalski ochoczo.

– A więc, panie Kowalski, czego jeszcze pan sobie życzył – zapytała kobieta o krótkich ciemnych włosach.

– Mogę sobie wyobrazić, czego on chce – odezwała się blondynka podniecająco wysokim dyszkantem.

– Nie wszyscy chcą tego, co ty masz na myśli, Violo – powiedziała z wyrzutem kobieta przy oknie. Blondyna przewróciła się pod kocem z jednego biodra na drugie.

– Z pewnością – odparł Kowalski głosem podejrzenia pocziwym – z pewnością nie. Ja wcale nie jestem niebezpieczny.

Miał diablo niemiłe uczucie, że się przy tym zarumienił. Zapomniał w tej chwili, że to niebezpieczeństwo u niego nie istnieje. Kobieta, która odsunęła rozpoczęty list, uśmiechnęła się. Blondyna w łóżku znowu zachichotała. Uśmiech wywołał u Kowalskiego zmieszanie, chichot irytował go.

Zmusił się po prostu do swej dawnej czelności.

– Skoro pyta mnie pani, czego chcę, to chciałbym wiedzieć, jak się pani nazywa. Moje nazwisko Kowalski, to pani już wie, na imię mi Bruno. A pani?

– No widzisz! – zawołała blondyna. – Zawsze to samo! Przede wszystkim chciałby porozmawiać.

– A więc dobrze – powiedziała względnie uprzejmie kobieta o macierzyńskich oczach. – Należymy obie do zespołu rozrywkowego. Nazywam się Charlotta. Gram

na fortepianie, deklamuję wiersze, próbuję prowadzić konferansjerkę podczas naszych występów. A to jest Viola; właściwie, o ile się nie mylę, na imię jej Wilma. Tańczy. W każdym razie w paszporcie ma wypisane: tancerka.

– Jestem przecież tancerką.

– Mogę sobie to doskonale wyobrazić – odezwał się Kowalski i pozwolił sobie na zmrużenie oka. Wyciągnął rękę i podniósł w górę kciuk, co miało być dowodem uznania.

– No, kończmy już to prywatne przedstawienie – powiedziała zdecydowanym tonem kobieta przy oknie; głos jej nie brzmiał już uprzejmie. – Do widzenia.

– A gdzie znajdę kapitana? Musi być tutaj. Czy są tu jeszcze inne kobiety w waszym rodzaju?

– Jeszcze jeden egzemplarz – powiedziała Charlotta. – Nazywa się Liza, mieszka w sąsiednim pokoju. Kapitanowie należą do jej świty. Prawdopodobnie będzie ucieczona pańskim widokiem tak samo jak i my.

– Jeżeli panie dalej chcą się cieszyć, chętnie tu zostanę – oświadczył ochoczo Kowalski.

– Na razie nie ma potrzeby – odparła Charlotta. Wstała i podeszła do Kowalskiego; zauważył, że jest wysoka i dobrze zbudowana. – Może kiedyś później – powiedziała, ale przy otwieraniu drzwi z oczu jej znikł uprzejmy wyraz.

Kowalski dał się bez oporu wypchnąć na korytarz. Dotknął rękawą, na którym przed chwilą leżała jej ręka. Zaczął to miejsce wachać, ale czuł tylko woń swego potu, wilgoci i słomy, którą przesiąknął jego mundur. Miał jeszcze tyle poczucia subtelności, by uznać to za mało budujące.

– Do pioruna! – powiedział, i brzmiało to tak, jak gdyby chłop stwierdzał, że grad wybił mu żyto.

Ale Kowalski nie należał do ludzi, którzy sobie pozwalają na sentymentalne myśli, jak w powieści. Brał życie, jakim było. Nigdy niczemu nie dopomagał, najwyżej hamował coś czasem. Wmawiał w siebie, że to, co mu się tutaj przydarzyło, pozostaje jedynie w związku z ciekawością. A kobiety – w jego pojęciu „baby” – zasługiwały od czasu do czasu na takie reakcje, zwłaszcza w tych warunkach!

Zapukał śmiało do ostatnich drzwi i wszedł nie czekając na odpowiedź. Było widoczne, że przeszkadza, choć sytuacja, w którą wdepnął, nie była zbyt drażliwa. Spoglądająca na niego ze zdziwieniem para zachowała dystans. Siedzieli przy stole i popijali kawę. Była to prawdziwa ziarnista kawa, pachniała Soeftenem.

– Czego tu chcecie? – zapytał oburzony Witterer.

Dziewczyna, której było na imię Liza, patrzyła na niego wielkimi, pochłaniającymi wszystko oczyma i milczała zachowując piękną pozę. Wyciągnęła palec i zaczęła nim wodzić wzdłuż brzegu stołu.

– Chciałem zapytać, jak długo jeszcze mam czekać?

– O tym się dowiecie.

– Gdyby to miało trwać jeszcze długo – rzekł Kowalski przyglądając się bez żenady dziewczynie o wielkich oczach – mógłbym pojechać do kantyny żołnierskiej na jednego.

– Jedźcie sobie, człowieku, z Bogiem do kantyny. Ale pić tam nie będziecie. Najwyżej herbatę.

Kowalski uznał, że palec Lizy, którym wodziła po stole, jest godny uwagi. Powiedział posłusznie: – Tak jest! – I pomyślał sobie: A więc herbata – wedle rozkazu! – Herbata z rumem.

Względnie rum z herbatą. I dodał dobrodusznie: – Jak pan tu skończy, może mnie pan stamtąd zabrać.

– Co wy sobie właściwie myślicie? – wybuchnął kapitan Witterer, i na jego kanciastej twarzy robota zarysowały się mocno szczęki. Kowalski uznał i tę reakcję za interesującą i pozostawił swemu kapitanowi dość czasu na znalezienie nowych słów.

– Przecież to takie proste – powiedziała Liza bardzo uprzejmie. – O piątej mamy próbę orientacyjną. Pozostaje nam więc godzina czasu. Czy nie byłoby praktycznie, panie kapitanie, gdyby kierowca przyjechał tu po pana kwadrans przed piątą?

Kowalski zarejestrował sobie: Zbyt daleko jeszcze z nią nie zaszedł. Są jeszcze ciągle ze sobą na pan i pani. Ale to może się prędko zmienić, zwłaszcza w takich czasach jak obecne. Ta mała również wejdzie na złą drogę. Właściwie szkoda takiego ładnego dzieciaka, ale na wojnie...

– Chcecie tu przezimować, co? – zapytał ironicznie Witterer w poczuciu swej bezgranicznej wyższości.

Kowalski był bliski powiedzenia: „dlaczego nie”. Ale na czas przyhamował, złożył coś w rodzaju ukłonu i odmaszerował.

Pojechał do kantyny, wszedł do znanej na froncie szopy jak do poczekalni. Miąwszy wielką izbę, w której stały długie stoły, udał się do następnej izby.

Siedział tu, jak zwykle rozparty, kolega Soeft. Przed chwilą ubił z siostrą Betty intratny interes i na tę intencję wypili po jednym.

– Łobuz z pana – powiedziała rezolutna siostra Betty. – Ponieważ chodzi tu jednak o kantynę żołnierską, jest mi obojętne, kto nam dostarcza najlepszych rzeczy. Żołnierzom moim zawsze mogą się przydać.

Kowalski usiadł obok nich. Rozparł się szeroko łokciami na świeżo wyszorowanych deskach stołu, oparł głowę na rękę i uśmiechnął się czarująco.

– Czy z pana także taki ptaszek? – zapytała siostra Betty.

– Skądże znowu – odrzekł potulnie Kowalski. – Od czasu do czasu popijam tylko na jego koszt, co mu przynosi zaszczyt.

Siostra roześmiała się, potrząsnęła głową i odeszła. Z tyłu wyglądała jeszcze potężniej niż z przodu.

– Jak moja matka – powiedział Soeft i spojrzał w jej kierunku z zadziwiającą u niego tkliwością. – Zupełnie taka sama jak moja matka. Kiedy mnie poklepie po ra-

mieniu, człowieku, jest to dla mnie tyle warte, co ciężarówka z konserwami mięsny-
mi.

– Może potrzebujesz chustki do nosa? – zapytał Kowalski daleki od rozczulenia. – Nie licz na to, że ją mam.

Soeft stał się znowu mężczyzną, co mu zresztą nie przyszło zbyt trudno. – No? – zapytał i oblizał wargi. – Jakże tam, chrabąszczyki?

– Cudo! – odpowiedział Kowalski uroczystym tonem. – Istne cudo.

– Czy za wiele ci obiecywałem?

– Jedna – powiedział Kowalski rozmarzony, skrobiąc się gwałtownie w brodę – okropnie leciała na mnie. Po prostu nie chciała mnie puścić. Co za oczy! I w ogóle wszystko. A głos, człowieku! Tylko rozbierać.

– Majaczysz – stwierdził Soeft z przekonaniem. – Znam te panie. Takie znów one nie są. Jedno moje spojrzenie wystarczyło, żeby się zorientować. A taka mizerna płotka jak ty w ogóle nie ma szans w wyścigu.

– Kiedy ci mówię, Soeft, że na mnie leci, to leci! Zrozumiano?

– Słuchaj się mnie, ty matołku, bo ja znam obowiązujący w tej chwili cennik i wiem, co to popyt i podaż.

– Gównu wiesz, ty kramarska duszo!

– Kowalski, kretynie! – ciągnął dalej Soeft niewzruszony – nie będziesz chyba żeglował pod wiatr. Ta jedna, która gra na fortepianie, jest jeszcze względnie przyzwolona. Ta chce, żeby się z nią ożenić, nim wlezie z kimś do łóżka. W każdym razie wiem dokładnie, że ceny są tu diablo wysokie. I nie zrobi tego z niższą rangą niż oficer sztabowy, i to także tylko wtedy, jeżeli w życiu cywilnym ten oficer jest dyrektorem generalnym. Tego możesz być pewien. Bombardiera nie dopuści nawet do dziurki od klucza.

– No, to jeszcze zobaczymy!

– Biedny wariacie – ciągnął Soeft z poczuciem wyższości. – A u innych, na przykład u tej wymalowanej Violi, takie typy jak ty wcale nie wchodzi w rachubę. Ta mała, która kręci tyłkiem przed zebranymi żołnierzami, to lepsza kurewka z oficerskiego burdelu. Jeżeli ktoś ma w dodatku taką małą gębę jak ty, to musi być przynajmniej majorem, żeby się u niej znaleźć na liście. Tak! A ta trzecia... Ta trzecia, mój przyjacielu...

– Nie obchodzi mnie. To nie mój typ. Ta żąda duszy, a ja przecież zostawiłem moją duszę w magazynie odzieżowym, kiedy mi wydawali ten mundur. Mimo to nie chciałem, żeby ją miał Witterer.

– Będzie sobie dużo robił z tego, czy mu udzielasz swego błogosławieństwa, czy nie. A może myślisz, że się przedtem zamelduje i powie: „Proszę pana bombardiera o pozwolenie na przystąpienie do wolnych ćwiczeń”.

– W każdym razie można mu pokrzyżować szyki, Soeft.

– To oczywiście da się zrobić – powiedział kapral wpadając w zadumę. Był za-

wsze zwolennikiem trudności, obojętne jakich, oczywiście o ile miały dotyczyć innych. Przeważnie dawały korzyści. Przynajmniej odwracały uwagę, później zaś można było pomagać przy ich usuwaniu, co automatycznie pociągało za sobą wdzięczność. A wdzięczność można było zawsze wykorzystać.

Soeft wyjął ze skórzanej papierošnicy jedno ze swych generalskich cygar. Kowalski nie proszony wyciągnął rękę. Podali sobie wzajem ogień i zaczęli gwałtownie palić.

– Wedelmannowi – powiedział Kowalski otoczony kłębamii dymu – nie żałowałbym tej małej.

– Wedelmann nie będzie już miał chyba czasu, aby się nią zająć – rzucił Soeft, również osnuty szaroniebieskim dymem pełznącym aż pod zbutwiały pułap. – Zostanie zapewne oficerem ogniowym i prawie bez przerwy będzie musiał przebywać na stanowisku. Nowy dowódca nie wygląda na duszpasterza.

– Soeft, człowieku – Kowalski nieco zaszępiiony sięgnął po kieliszek wódki stojący przed Soeftem i wypił go do dna. – Jak sobie o tym pomyślę: Wedelmann bił się tu razem z nami przez lata i żadnej babie nie zajrzał za bluzkę. Nawet we Francji! A ten Witterer jest tu zaledwie dzień i już się zabiera do tej cukrowanej lalki.

– Takie jest życie – powiedział filozoficznie Soeft. – Co się zaś tyczy Wedelmana, to Soeft pomyślał już o nim, skieruję jego uwagę na Nataszę.

– Cóż to za Natasza, ty kuplerze? Chyba nie któraś z waszych dziewcząt kuchennych? Przy twoim ordynarnym smaku... Wedelmann to wprawdzie dureń, ale fajny chłop.

– Zobaczysz jeszcze, ty szoferze, i gały wybałuszysz. W moich oczach Natasza to zaopatrzenie ekstra!

– Mnie nie tak łatwo coś wyprowadza z równowagi, Soeft, wiesz o tym. Niełatwo mną wstrząsnąć.

– Zaraz to zobaczymy – powiedział Soeft z uśmiechem i spojrział wyczekująco na drzwi.

Wszedł jak zwykle sprężystym krokiem kapitan Witterer. Wyglądał jak anioł zemsty. Twarz mu pałała, widocznie gotowała się w nim złość. Stał przed Kowalskim i powiedział z groźnym spokojem: – Co wy sobie właściwie myślicie? Na co sobie pozwalacie? Czekam na was na tym mrozie bite pół godziny, a wy tu chlejecie! Mieliście przyjechać po mnie kwadrans przed piątą. A teraz jest już pół do szóstej.

Kowalski wyciągnął swój zegarek i powiedział: – Istotnie.

Ju-52 – ogólnie nazywany „ciotką Ju” – olbrzymi blaszany ptak, pomalowany farbą ochronną, wylądował po wielogodzinnym locie z lunatyczną pewnością siebie. Opadając na ziemię chwiał się nieco. W pewnej chwili miękko osiadł, potoczył się i zatrzymał.

Stacja krańcowa – ojczyzna! – zawołał podnieconym głosem jakiś żołnierz. –

Wszyscy wysiadać!

Kapral Vierbein zapiął przepisowo swój płaszcz, W ruchach jego było pewne ociąganie się i wahanie, jak by się zastanawiał, czy ma zrobić następny krok. Zamyślony przewiesił przez ramię karabin i sięgnął po swój plecak.

Vierbein stał i czekał nie wiadomo na co. Dał się wyprzedzić wszystkim żołnierzom, którzy razem z nim przylecieli. Tłoczyli się i popychali ku wyjściu. Dopiero na samym końcu Vierbein zszedł po schodkach i krokiem niemal uroczystym wyszedł na pole startowe.

Rozglądał się jak wędrowiec, który stanął na nieznanym wzgórzu. Zapadał mrok. Port lotniczy tonął w szaroniebieskim świetle wieczora. Gasnące słońce usiłowało raz jeszcze pokryć horyzont purpurowymi pręgami. Ale blask jego był już pozbawiony mocy.

Z wieczornych cieniów wychyliła się ciężarówka, wypęzła zza baraków i kołyszając się ruszyła w stronę „ciotki Ju”. Chybotwała się, trzeszczała, wypływała coś z siebie. Zabrała kilka skrzyń i worków. Potem, zataczając się na boki jak pijana, znikła z oczu.

Głośnik trzeszczał blaszanym głosem; głos ten słyhać było na całym lotnisku. „Nowo przybyli żołnierze zameldują się w komendanturze. Załoga samolotu zamelduje się u oficera dyżurnego. Uwaga – opróżnić pole startowe!”

Kapral Vierbein zapiął mocno swój naładowany plecak. Mówił sobie: „Teraz jestem w domu. Po przeszło roku!”

Wiedział z książek, że to wielka chwila. Ale, rzecz dziwna, piersi jego nie przepełniało żadne podniosłe ani też – wspaniałe uczucie. Wprost przeciwnie, był ogarnięty jakimś dziwnym niepokojem. Niepokój objął z początku serce, potem przerzucił się na okolice żołądka. Jest, przyleciał – i co dalej?

Podreptał za innymi, w komendanturze lotniska okazał sierżantowi swe papiery. Obejrzano je, uznano, że są „w porządku”, opatrzone pieczętką, zarejestrowano. Vierbein poprosił o osobiste widzenie się z komendantem; ma dla niego list. Doskonała forma, w jakiej tę prośbę wyraził, wywołała pewną sensację.

Sierżant, który przyjmował przybyłych żołnierzy, należał do poczciwców. W zasadzie gotów był spełnić każde życzenie, byle tylko nie wynikły z tego jakieś komplikacje. Skierował Vierbeina do kancelarii, skąd jakiś pisarczyk, zachowujący się jak lew, odesłał go do adiutanta; adiutant zameldował go komendantowi.

Komendant lotniska, starszy pan z łysiną, lśniąca jeszcze bardziej niż jego okulary, starał się nie bez powodzenia stworzyć dokoła siebie atmosferę ojcowskiej przychylności. Wziął list wręczony mu przez Vierbeina, rzucił okiem na nadawcę, poprosił kaprała, aby usiadł, i zaczął czytać. Lektura ta bawiła go widocznie; roześmiał się bowiem kilkakrotnie, gładząc przy tym ręką swoją łysą pałę.

Potem powiedział: – Zanim odleciecie z powrotem, zameldujcie się jeszcze u mnie. Weźmiecie ze sobą dwie paczki, jedną dla komendanta lotniska na froncie, drugą dla

pułkownika Luschkego.

– Tak jest, panie majorze. – Głos Vierbeina był pełen respektu. Widział teraz, że ten lot do ojczyzny zawdzięczał potrójnej przyjaźni łączącej starszych oficerów. Dane mu było prześliznąć się jednym z tych słynnych tajemnych kanałów, co to zapatrują szybko i pewnie, a nie tak jak owe przepełnione i obłożone koryta ze swoimi kompetencyjnymi zaporami.

– Gdybyście, kapralu Vierbein, mieli jakieś trudności, zwróćcie się, proszę, wprost do mnie. Jeżeli nawet nie będę mógł pomóc wam bezpośrednio, skontaktuję się z pułkownikiem Luschke i poinformuję go szczegółowo w ciągu dwunastu godzin. Mój adiutant powie wam, jak możecie nas osiągnąć telefonicznie. – Tak jest, panie majorze. Bardzo dziękuję.

– To przecież zrozumiałe samo przez się – powiedział komendant i spojrzał na zegarek. – Wyobrażam sobie, że dziś jeszcze chcielibyście wylądować w swym rodzinnym miasteczku. To się da zrobić. Macie jeszcze trzydzieści dwa kilometry do przebycia, prawda? Jeżeli nie ma dobrego połączenia kolejowego, złapiemy na, pewno jakąś ciężarówkę, która was zabierze. A jeśli i to się nie uda, postaram się dla was o jakiś pojazd specjalny.

Po tej rozmowie kapral Vierbein zatrzymał się jeszcze przez dobrą godzinę w baraku kantyny, przystrojonym barwnymi kiedyś, dziś zapyłonymi, czarno-szarymi girlandami z papieru. Siedział spokojnie i skromnie w kącie, otoczony dymem żołnierskich papierosów. Żołnierze hałasowali, raz po raz wybuchiali śmiechem, ale nie było w ich zachowaniu się serdeczności. Równocześnie ryczał bez przerwy głośnik radiowy.

Potem zjawił się kierowca w gumowym płaszczu. Rozejrzawszy się dokoła podszedł do Vierbeina i oświadczył, że ma rozkaz go. zabrać. Był to bombardier, młodziutkie, ciekawe, usłużne stworzenie, o nieco zuchwałej, jeszcze dziecinnej twarzy. Zaniósł do przyczepki swego motocykla, stojącego przed barakiem, plecak Vierbeina.

- Prosto z Rosji, panie kapralu?
- Prosto – odparł uprzejmie Vierbein.
- Miewał już pan styczność z nieprzyjacielem?
- Miewałem.
- To musi być niezłe gówno, co?
- Zależy, jak się na to patrzy.

Vierbein ustawił starannie swój plecak, upewniwszy się przedtem, że butelki Wedelmanna znajdują się w stanie nienaruszonym. Wsiadł do przyczepki, umieścił karabin między nogami i okrył się brezentem. – Możemy jechać! – powiedział.

Bombardier dał gazu, włączył bieg, silnik zawarczał. Bombardier, chcąc pokazać, jak doskonałym jest kierowcą, wziął z miejsca ostre tempo.

Myślał sobie przy tym: Jakiś tam kapral, zapewne zadekowany na tyłach, taki ze

specjalną protegą; pewnie nic nie przeżył, rozjeżdża sobie po różnych miejscach i załatwia sprawunki. Stąd ten specjalny pojazd. Jeszcze jeden z Rosji. Zwiększył znowu tempo.

– Wcale nie musicie jechać tak prędko – powiedział Vierbein.

– Pan to nazywa prędko? – zapytał bombardier protekcjonalnie. Typowe tyły – myślał z pogardą – powolny, ostrożny, bez rozmachu.

Mimo to zwolnił nieco tempo. Doświadczenie mówiło mu, że wywoływanie niezadowolenia u beniaminków komendanta nie jest wskazane. Mogłoby to mieć fatalne skutki. Dopiero dwa tygodnie temu przeniesiono jednego kolegę, i to wprost do Rosji, niemal w pobliże frontu, tylko dlatego, że rzekomo odmówił wydania benzyny do zapalniczki.

Vierbein żadnych tego rodzaju refleksji nie przeczuwał. Siedział oparty, a jednak sztywny w swej przyczepce. Ostry pęd powietrza studził mu twarz, która zaczęła płonąć. Całe ciało było jakby w gorączce. Teraz, kiedy się zbliżał do celu, krew zaczęła w nim kipieć pod wpływem napięcia.

– Jeszcze jakieś marne dwanaście kilometrów – powiedział bombardier. – Odwalimy to najwyżej w dwadzieścia minut.

Vierbein skinął machinalnie głową. Nie chciał teraz rozmawiać. Ale jego dobroduszość nie pozwalała mu powiedzieć tego kierowcy.

Znał dokładnie szosę, po której pędzili. Znał jej bruk, rowy po obu stronach, drzewa przydrożne, drogi polne, z których jedna prowadziła do ustronnego jeziora leśnego. Często przemierzał tę szosę podczas marszów pieszych, wędrował po niej podczas wypraw niedzielnych i wieczornych spacerów – ostatnio razem z Herbertem Aschem, z jego żoną Elżbietą i z Ingrid. Z Ingrid Asch. Z jego Ingrid!

Był to dzień jakby utkany z jedwabiu. Pełen słońca i szczęścia. Dzień między kampaniami wojennymi we Francji i w Rosji. Wojna jak gdyby gdzieś się schowała. Vierbein usiłował prędko o tym wszystkim zapomnieć.

Z ciemności powoli wyrastało przed nimi miasto. Domy stawały się wyższe i szersze. Ale nie było w nich światła. Jakiś potężny kompleks budynków nie pozwalał spojrzeć na wieczorne niebo.

– Przecież to chyba jeszcze nie koszary? – zapytał Vierbein.

– To nowe zakłady paliw syntetycznych – powiedział bombardier. I dodał nie bez dumy: – Zbudowaliśmy to, można powiedzieć, w ciągu jednej nocy. Te budy dookoła to robotnicze baraki.

Bombardier jeszcze bardziej zwolnił bieg. Mnóstwo bud drewnianych, baraków z blachy falistej i jednopiętrowych domków z płyt kamiennych leżało przy szosie. Z ciemności dochodził zdławiony zgiełk.

– Jest pan zdumiony, co? Wszystko w ciągu jednej nocy! Wyrwane po prostu z ziemi!

Potem wyłoniły się przed nimi, jak by ktoś nagle szarpnął kurtynę, ogromne ko-

szary. Vierbein doznał nagle wrażenia, że koszary toną w powodzi jaskrawego światła. Znał tu każdy blok, każdą halę i jezdnię, każde okno i drzwi, znał każdy kamień.

– Czy mam pana kaprala zawieźć do koszar?

– Nie – odpowiedział Vierbein gorączkowo. Rozpaliły mu się policzki. Uchwycił się mocnym ruchem rąk nakrycia z brezentu.

– Dokąd więc pan kapral ma zamiar się udać?

– Proszę podjechać do centrum miasta, na rynek. Wiecie, gdzie jest kawiarnia Ascha? Doskonale – tam się zatrzymajcie.

Kierowca dał znowu gazu. Podskakujące światło reflektora musnęło kilku ludzi, ale po chwili już ich zgubiło. Nowi ludzie wynurzyli się jak cienie i znowu znikli w ciemności. Miasto leżało jak martwe. Huk silnika bił w mury domów, które zdawały się go wchłaniać. Bez echa. Małe miasto tonęło w całkowitych ciemnościach.

Motocykl zatrzymał się przed kawiarnią Ascha. Vierbein wysiadł. Wziął plecak, karabin, hełm, maskę przeciwgazową. Potem pożegnał się z bombardierem. Ten uściskał przelotnie dłoń kaprala, zapuścił silnik i z hukiem odjechał.

Ciemny rynek przyczał się dokoła Vierbeina. Kapral miał wrażenie, że wszystko tu zrobiło się mniejsze, ciaśniejsze, bardziej ponure. Stał niemal nieruchomo, trzymając w ręku plecak, broń i maskę. Rozglądał się dokoła nieco bezradnie. Od miesięcy nie czuł się taki samotny jak w ciągu tych kilku minut.

Powiedział sobie: „Czego ja tui właściwie chcę? Powinienem być pójść do koszar i zameldować się tam”. Ale po chwili dodał: „Tu mieszka właściciel kawiarni Asch, ojciec mego jedynego przyjaciela; mieszka tutaj również Ingrid Asch, którą kocham i chcę poślubić. Tu jestem w domu!”

Wolno, ciężkim krokiem tragarza ruszył kapral Vierbein w stronę kawiarni Ascha. Pchnął drzwi ramieniem, odsunął na bok wiszące za nimi koce. Powitała go jasność i zgiełk. Vierbein przystanął na chwilę ogłuszony i oślepiiony. Wszystko wyglądało inaczej, zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażał. Zmieniła się również kawiarnia Ascha. Wydawało się, że wspomnienia go oszukały – lokal z przytulnymi kącikami, w których rozmawiano półgłosem, uległ zmianie. Było o wicie pełniej, niż bywało dawniej, i o wiele gwarniej. Kłęby dymu unosiły się nad stołami. Pachniało skwaśniałym piwem. Głośnik nastawiony na cały regulator wchłaniał w orbitę swego hałasu wszystkie rozmowy.

Nikt nie zwracał na Vierbeina uwagi, kelnerzy krzatali się po obszernym lokalu. Przy bufecie pracowały jak automaty dwie nie znane Vierbeinowi istoty rodzaju żeńskiego. Ascha nigdzie nie było widać. Ingrid również. Ani jednej znajomej twarzy.

Grupa świeżo przybyłych gości wdarła się przez drzwi, odsuwając Vierbeina na bok. Vierbein pozwolił się popychać; w pewnej chwili natknął się na puste krzesło stojące przy wejściu i usiadł na nim.

Dopiero po kilku minutach podniósł się. Umieścił plecak w kącie, powiesił część swego wyposażenia na haku, zdjął płaszcz. Potem usiadł znowu i cierpliwie, trochę

bezradnie, czekał, co będzie dalej.

Ludzie, do których stołu się przysiadł, zaczęli mu się przyglądać. Wzrok ich po- ciągały liczne odznaczenia, a wśród nich przede wszystkim Krzyż Żelazny I klasy. Były to ciągle jeszcze czasy bohaterów.

– No, jakże tam na froncie? – zapytał jeden z siedzących przy stoliku i w jego za- pitem głosie zabrzmiała ciekawość.

– Dobrze, jak zawsze – odparł spiesznie Vierbein. Podniósł się. Nie miał wielkich zdolności, aby produkować się jako obrońca ojczyzny.

Podszedł szybkim krokiem do bufetu. Widział teraz obie kelnerki wyraźniej, ale nie znał ich. Bo i one, jak tyle innych w ostatnim roku, zostały zmienione. Liczne twarze stawały się coraz bardziej do siebie podobne.

– Czy mogę mówić z panem Aschem? – zapytał.

– Nie ma – odpowiedziała jedna z dziewcząt nie podnosząc wzroku i pewnymi ru- chami rąk dalej napełniała kufle piwem.

– A panna Ingrid?

– I jej nie ma – odparła dziewczyna. Potem zaś, rzuciwszy przelotne spojrzenie na jego Krzyż Żelazny I klasy, dodała: – Chce pan kieliszek wódki? Mogę panu nalać. Mam wobec żołnierzy frontowych pełnomocnictwa w tym względzie.

– Dziękuję – powiedział Vierbein i odwrócił się. Patrzył z bezradną miną na prze- pełniony lokal, na dym, na głowy i ręce. Widział kłęby dymu i szklanki, słyszał zgiełk. Potem zauważył za przegródką kasy kasjera Antoniego. Podszedł do niego uszczęśliwiony, że nareszcie spotkał człowieka, który go zna. Ale Antoni nie od razu go poznał. Vierbein, zbity z tropu, zaczął dopomagać jego pamięci.

– Ależ oczywiście, to pan Vierbein – zawołał wreszcie Antoni ucieszony. – Schudł pan i przybladł. Stał się pan, można by rzec, bardziej męski. Tak, to skutek wojny. Znamy się na tym. Ostatecznie samemu służyło się kiedyś. Kiedy pan przybył? Cze- go się pan napije?

– Gdzie jest pan Asch?

– Nie wiadomo gdzie. W kawiarni prawie nie bywa, nie jest to już potrzebne. Za- kład idzie sam.

– A panna Ingrid?

– Gdzieś wędruje. Jest prawdopodobnie na jakiejś imprezie. Albo w lazarecie. Wszystko dla naszych żołnierzy, dla ostatecznego zwycięstwa i tak dalej. Pan rozu- mie?

– Oczywiście – odparł Vierbein. – Oczywiście rozumiem. Zaczekam więc.

– Niech pan tak zrobi! – powiedział Antoni. – I proszę wypić to, na co pan ma ochotę. Oczywiście na koszt firmy. To dla pana Ascha sprawa honoru.

– Dobrze – odpowiedział Vierbein i wrócił do swego stołu. Ostrożnie przyjrzał się nieco bliżej ludziom, z którymi siedział.

Uśmiechnął się uprzejmie do siedzącej przy stole czwórki. Obie dziewczyny

uśmiechnęły się również, siedząca obok niego nawet bardzo serdecznie. Mężczyźni skinęli tylko głowami.

Dwaj młodzi ludzie wyglądali na wysoko opłacanych robotników-specjalistów. Mieli stwardniałe ręce, ale byli dobrze ubrani. I pili wino. Próbowali wciągnąć Vierbeina do rozmowy. Ale ten odzywał się lakonicznie, ponieważ mówili o sprawach wojskowych.

Wreszcie siedząca obok niego uprzejma dziewczyna stała się jeszcze bardziej uprzejma. Uśmiechała się do niego bez żenady, przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami, w pewnej chwili przysunęła do niego pod stołem swą nogę. To intensywne zainteresowanie się frontowym żołnierzem nie uszło uwagi towarzyszącego jej młodego człowieka. Zakłopotany Vierbein podniósł się znowu i schronił pod opiekuńcze skrzydła kasjera Antoniego. – Czy ma pan pojęcie, panie Antoni, gdzie może się teraz znajdować pan Asch?

– Trudno mi to powiedzieć. Właściwie powinien zaraz nadejść, bo już za chwilę dziesiąta. A może jest u swego najserdeczniejszego przyjaciela, majstra Freitagą. Zwykle wraca od niego dość późno.

Vierbein podziękował za informację. Poprosił Antoniego, by przechował jego broń i wyposażenie, co Antoni obiecał uczynić. – Dla naszych żołnierzy robimy przecież wszystko – zapewniał. – Ostatecznie człowiek sam kiedyś służył.

– Spróbuję znaleźć pana Ascha – powiedział Vierbein i wyszedł.

Znalazszy się na drodze odetchnął głęboko. Miał wrażenie, że powietrze, którym teraz oddychał, było dobre. „Tak, to rodzime powietrze” – powiedział sobie.

Puścił się w nocną „wędrówkę po swym dawnym mieście garnizonowym. Kroki jego odbijały się echem od ścian domów. Podobało mu się to – nie czuł się samotny.

Spotykał niewielu ludzi, przeważnie żołnierzy, niemal wyłącznie szarże. Niektórzy szli z dziewczętami. Innym zdawał się wystarczać alkohol. Byli to artylerzyści i piechurzy, jak za pokojowych czasów. Z dawnych dywizjonów i batalionów powstały dywizjony i bataliony zapasowe.

Dołączały się do tego pułki robotników, sztaby inżynierów i urzędników. Koszary przybrały rozmiary obozu wojskowego. Ale ojczyzna mimo toczącej się wojny znała jeszcze regularny sen.

Miasto miało wygląd zmęczony i na pozór spokojny. Zawsze było nieco zaspane, teraz, kiedy spadło na nie zaciemnienie, miało się wrażenie, że sen jego stał się ołowiany i ciężki. Fasady domów patrzyły na Vierbeina martwymi oczami okien.

Było mu zimno, przyspieszył kroku. Minął „Bismarckshöhe”; i stamtąd płynął przez zaciemnione okna stłumiony gwar.; Po chwili zarysowały się przed nim ogromne, groźne koszary. Stały tu jak zwierzę na czatach. Skręcił prędko na lewo, ku kolonii ogródków, w której stał domek majstra Freitagą.

Po krótkim wahaniu minął furtkę ogrodową i nieśmiało zapukał.

Otworzono mu po chwili. W drzwiach stał majster Freitag; miał na sobie tylko

spodnie i koszulę. W świetle lampy mały, zgarbiony człowieczek wydawał się wyższy.

– Dobry wieczór, panie Freitag – powiedział Vierbein. – Czy jest u pana pan Asch?

Majster patrzył z natężeniem w ciemność. Pochylił się naprzód, jak gdyby uważnie nasłuchując. – Nie ma go tutaj – powiedział. – Ale czy mnie słuch nie myli? Głos ten wydaje mi się przecież znajomy. Czy to może pan, panie Vierbein?

– Tak jest. Ale nie chciałem przeszkadzać...

– Niechże pan wejdzie, człowieku! Niech pan wejdzie! – zawołał serdecznie majster Freitag i otworzył szeroko drzwi.

Potem odwrócił się i zawołał w stronę drzwi: – Chodźcie tu wszyscy! Mamy gości! Pan Vierbein jest tutaj!

– Ależ ja chciałem tylko... – Niezwykła serdeczność, z jaką go tu przyjęto, wprawiła go w zakłopotanie.

Ale ojciec Freitag ujął ręce Vierbeina i wypuścił je dopiero wtedy, gdy znaleźli się w pokoju. Potem upewnił się szybko, czy zasłony zaciemniające zostały zasunięte, i wtedy zapalił wszystkie lampy.

Przyglądając się serdecznie Vierbeinowi zapytał:

– Kiedy pan przyjechał?

– Dopiero co przybyłem – odparł Vierbein. – Samolotem. Jeszcze wczorajszej nocy spałem w baterii.

– A jakże jemu się wiedzie?

– Jeżeli ma pan na myśli swego zięcia, to Herbertowi Aschowi powodzi się dobrze.

– To świetnie! – zawołał Freitag z ulgą. – To mnie cieszy. Ze względu na moją Elżbietę.

Zjawiała się pani Freitag z macierzyńskim uśmiechem na ustach. Potem weszła Elżbieta, trochę poruszona, trochę jeszcze zaspana. Majster zakomunikował od razu, że Herbertowi dobrze się powodzi. – Tak, wszystko u niego w porządku! A pan Vierbein, pomyślcie tylko, był jeszcze wczoraj wieczorem, dwadzieścia cztery godziny temu, razem z nim.

– Dziękuję – powiedziała Elżbieta i uściśnęła Vierbeinowi rękę.

Potem musiał opowiadać. I jeść. I pić. I obejrzeć dziecko Elżbiety, dziecko swego przyjaciela Herberta Ascha. Zobaczył w pokoju Elżbiety różowe niemowlę pogrążone w głębokim śnie. Przyglądał mu się długo, by potem dokładnie opowiedzieć przyjacielowi, jak jego dziecko wygląda.

Pożegnał się tuż przed północą. Oczywiście musiał przyrzec, że przyjdzie jeszcze, i to nie raz. Majster Freitag odprowadził go prawie do kawiarni Ascha.

Kasjer Antoni wyprawiał właśnie ostatnich gości. Robił obliczenia, sprawdzał stan kasy. – Bardzo mi przykro – powiedział do Vierbeina – ale pana Ascha ciągle jesz-

cze nie ma. Panna Ingrid także jeszcze nie przyszła.

– Nie szkodzi – powiedział Vierbein usiłując ukryć swe wielkie rozczarowanie. – Poczekam do jutra.

– Przykro mi – odparł Antoni. – Ale tak już jest. Wojna przewraca wszystko do góry nogami. Orientuję się w tym, bo sam przecież służyłem. Co pan zamierza teraz zrobić?

– Przecież to zupełnie proste – powiedział Vierbein. Włożył płaszcz, zapiął pas, przewiesił sobie maskę przeciwgazową, wziął w rękę karabin, przerzucił plecak przez ramię. – To rzeczywiście zupełnie proste – powtórzył. – Przenocuję naturalnie w koszarach.

Jedno z pierwszych zarządzeń, które wydał nowy dowódca baterii, kapitan Witterer, brzmiało: „Nie chcę tego draba więcej widzieć!”

„Drabem” tym był bombardier Kowalski, który nie mrugnawszy nawet powieką przekazał w inne ręce samochód terenowy dowódcy, a sam przesiadł się na ośmiotonówkę marki „Henschel”. Szef próbował przeszkodzić temu w sposób taktowny, wskazując na to, że cały zespół baterii jest już ze sobą zgrany. Na próżno. Witterer pozostał niewzruszony.

W dwie godziny później nowo mianowany kierowca zarzucił wóz na zamrożonym odcinku szosy i posterował prosto na jedyne drzewo, które stało w okolicy. Doszło do gwałtownego zderzenia. Potem przyszło zderzenie jeszcze gwałtowniejsze, kiedy kapitan Witterer grzmotnął łbem o przednią szybę. Ryczał jak dwa lwy.

Nowo mianowanemu kierowcy, który, moralnie całkowicie złamany, stał nad szczątkami wozu, zagroził postawieniem przed sąd polowy. Ponadto oświadczył mu, że jest całkowicie niezdolny do przewożenia w przyszłości ludzi, a cóż dopiero przełożonych. – Najwyżej amunicję! – ryczał Witterer. Przybywszy na zapasowe stanowisko przodków zmył głowę szefowi. – Kierowcy waszej baterii to same niewypały.

Oczywiście szef nie zaprzeczył swemu dowódcy, ale miał tyle siły charakteru, żeby przynajmniej nie potakiwać. – Od czterech miesięcy – powiedział – był to pierwszy wypadek.

– W ostatnich czterech miesiącach bateria była tu przygwożdżona, to tłumaczy wszystko.

– Tak jest, panie kapitanie.

– W każdym razie, starszy ogniomistrz Bock, stara to zasada, że najlepszy kierowca baterii winien być zawsze kierowcą jej dowódcy. Zajmijcie się więc tym, żeby mi przydzielono najlepszego.

– Powszechnie uznanym za najlepszego kierowcę baterii jest bombardier Kowalski, panie kapitanie.

– Tego draba trzymajcie z daleka ode mnie.

Szef pomyślał: I ja chcę tego samego – tylko nie mieć tego Kowalskiego na karku. Po prostu nie mogę go zostawić przy taborach, zwłaszcza w obrębie działalności So-

efta. Niezależnie od tego nie ulega wątpliwości, że Kowalski to naprawdę najlepszy kierowca.

– Ten Kowalski, panie kapitanie, ma przy kierownicy coś w rodzaju szóstego zmysłu. Jest po prostu nieoceniony. Nigdy nie dopuszcza do wypadku, potrafi naprawić każde uszkodzenie, żaden teren nie sprawia mu trudności. Nie wie również, co to zmęczenie. Przy posuwaniu się naprzód i w walce można zdać się na niego całkowicie.

– Tak? – zapytał Witterer z zainteresowaniem. – Naprawdę? Ale manier ten chłop nie ma żadnych.

– Nabierze ich z pewnością znowu, panie kapitanie. W ostatnich czasach zdziczał trochę.

– Możliwe – powiedział Witterer w zamyśleniu. I po krótkiej chwili dodał: – To się chyba odnosi do całej baterii, co?

Szef pozwolił sobie na to, by obudzić podejrzenie, że zbyt wolno reaguje. Przypuszczał, że był to wyraźny przytyk do Wedelmanna oraz niedwuznaczna zachęta do potwierdzenia tych słów. Ale Wedelmann – temu nie można było zaprzeczyć – był przełożonym, z którym dało się mówić. Równocześnie należało wziąć pod uwagę, że Witterer jest nowym dowódcą baterii, z którym trzeba się liczyć.

– Pan porucznik Wedelmann – powiedział Bock wymijająco – miał swoje własne metody.

– A ja mam swoje! – oświadczył Witterer energicznie. – I teraz te są miarodajne. Kto się do nich nie zastosuje, temu nie zazdroścę.

– Ależ oczywiście, panie kapitanie – odparł Bock, pełen podziwu dla tempa tego „nowego”. I zapytał sam siebie: „Kiedyż ten wreszcie przyhamuje?” Potem z ostrożnością nabytą w ciągu dwóch lat wojny zadał sobie pytanie, kto by najbardziej nadał się do tego, by pomóc Wittererowi przyhamować.

Witterer, siedzący na krześle wysłanym kocem, na którym zwykle siadywał tylko starszy ogniomistrz, kazał sobie podać opracowany wedle jego wskazówek dokument przekazania baterii. Przeczytał uważnie cztery bite strony. Potem kiwnął głową. – W porządku, starszy ogniomistrzu. Sporządzić oryginał i trzy kopie. O ile to możliwe, jeszcze dzisiaj. – Tak jest, panie kapitanie. A bombardier Kowalski?

– Może mnie znowu wozić. Ale uprzedźcie go, że jeszcze jeden wybryk, a każę go przenieść.

– Pan pułkownik Luschke zapytywał już nieraz, czy nie mógłby dostać Kowalskiego dla sztabu pułku.

– Pan pułkownik Luschke bardzo się trzecią baterią interesuje, co?

– Można powiedzieć, za tak, panie kapitanie.

– Osobiste stosunki między pułkownikiem Luschke a porucznikiem Wedelmannem?

– Zdaje się, panie kapitanie. W każdym razie sukcesy naszej baterii przyniosły

pułkowi dużo uznania.

– To nie powinno przecież ulec zmianie, starszy ogniomistrz.

– Oczywiście, że nie.

– I nie zmieni się też – oświadczył Witterer z przekonaniem. – Będziemy się starać, by przynajmniej wszystko pozostało tak, jak było. Czy zostałem zrozumiany?

– Tak jest, panie kapitanie! – zawołał Bock słuźbiście i pokornie, myśląc przy tym: W dodatku chce być bohaterem! Kto wie, na czyj koszt!

Kapitan Witterer podpisał projekt aktu przekazania baterii. Jego młodzieńcza jeszcze, energiczna twarz była nieruchoma. W głosie jego dźwięczało coś sztucznego, w oczach czaiło się zdecydowanie właściwe dowódcom.

– Kiedy mieliście ostatni alarm ćwiczebny?

– Alarm ćwiczebny?

– Tak.

– Nie wiem. Coś takiego... W każdym razie na stanowisku ogniowym...

– Tak, starszy ogniomistrz, tak właśnie przypuszczałem. Wydaje się, że bateria odbywa długi sen zimowy. A to jest niebezpieczne. Odbija się to na jej gotowości bojowej. Nie uważa pan?

– Tak jest – odparł wolno szef.

– Co na przykład robicie, kiedy zjawiają się samoloty nurkujące?

– Nie zjawiają się tutaj, panie kapitanie. A gdyby się nawet miały zjawić, to – „kryj się!”

Witterer potrząsnął głową na znak niezadowolenia. Ale w jego jasnych oczach pojawił się wyraz triumfu. Trafił od razu w słaby punkt tych nygusów.

– Tak, to do was podobne! – powiedział. – Słyszeliście już kiedyś o obronie przeciwlotniczej? Z użyciem karabinów i cekaemów? A co by było, gdyby tu wylądowali spadochroniarze? Gdyby przebiły się oddziały partyzanckie? Gdyby Sowiety rozpoczęły niespodziewanie ofensywę i bylibyśmy zmuszeni do zmiany stanowisk? Co wtedy?

– Oczywiście pozostajemy stale w gotowości alarmowej, panie kapitanie. To jasne. Ale planów na taki wypadek nie opracowaliśmy.

– Spodziewałem się czegoś podobnego – powiedział Witterer z zadowolonym uśmiechem, choć miał zamiar uśmiechnąć się gniewnie. – Wpiszcie więc do aktu przekazania punkt 23: „Brak specjalnych planów na wypadek alarmu”.

Starszy ogniomistrz Bock wpisał to. Zrobił to wprawdzie wbrew woli, ale sumienie. „Krytyka nie przystoi mi”, powiedział sobie sugestywnie. Powtórzył to w duchu kilkakrotnie. Oczywiście rozumiał przez to krytykę wypowiedzianą. To, co myślał, było jego sprawą.

– Żebym tylko nie zapomniał – powiedział po chwili kapitan Witterer wysuwając swój energiczny podbródek. – Przedłóżcie mi akta personalne ogniomistrza Ascha.

Szef zanotował: „Asch, akta personalne – dowódcy”. I pomyślał: Człowieku, nie

zechcesz chyba... – Ale wyglądał tak, jak by w ogóle nic nie myślał, przynajmniej w tej chwili.

– Co to właściwie za człowiek ten Asch?

– Jest tu używany do zleceń specjalnych.

– Wiem już o tym. Do zleceń specjalnych przy poruczniku Wedelmannie. Należy to niezawodnie do przeszłości; porucznik Wedelmann nie potrzebuje już przecież nikogo do zleceń specjalnych. Jak można by inaczej zużytkować ogniomistrza?

– Asch byłby z pewnością dobrym oficerem ogniowym – powiedział ostrożnie Bock.

– Może kiedyś później, zapewne o wiele później. Na razie stanowisko to do chwili opuszczenia baterii obejmie porucznik Wedelmann.

Starszy ogniomistrz miał niemały kłopot z tym, by ukryć bodaj częściowo, jak bardzo go to zaskoczyło. Notatnik wypadł mu z ręki, patrzył nieruchomo na dowódcę. Był to, Bóg świadkiem, mocny kawał; przecież to wyraźna degradacja. Człowiek, który przeszło rok dowodził baterią, i jak dowodził, miał teraz w ostatnich dniach... Tak, to mocne uderzenie!

– A co by było, starszy ogniomistrzu Bock, gdybyśmy ogniomistrzowi Aschowi dali pluton amunicyjny?

– Ogniomistrz Asch nadaje się świetnie do zleceń specjalnych – powiedział szef wysoce niepewnie, lekko przerażony na myśl o tym, że Asch mógłby pełnić służbę w rejonie taborów, a więc w bezpośredniej z nim bliskości. – Sprostą każdej sytuacji, a zwłaszcza na stanowisku ogniowym jest po prostu nieodzowny. Nie ma prawie funkcji, której by nie opanował. Można go użyć wszędzie.

– Również jako szefa baterii? – zapytał Witterer łagodnie. Bock zamilkł. Strzał był arcycelny. Po chwili powiedział śmiało: – Gdybym ja miał odpaść, wtedy – tak!

– Więc dobrze – ciągnął uparcie Witterer – jeżeli ten człowiek jest tak wielostronnie uzdolniony, to potrafi również sprostać zadaniom dowódcy plutonu amunicyjnego.

– A komu w takim wypadku przypadłyby funkcje specjalne?

– Proszę zająć się tym, starszy ogniomistrzu, by się u mnie zameldował kapral Krause. Jak najprędzej. Proszę mi również wyszukać jego akta personalne.

– Czy może kapral Krause miałby...

– Decyzję w tym względzie proszę łaskawie pozostawić mnie. Starszy ogniomistrz Bock, lekko uderzony, ale nie uszkodzony poważnie, poszedł szukać pociechy u Soefta i jego towarów kolonialnych. Zjawił się Krause. Węszył swoją szansę. Krause był człowiekiem z energią i ambicjami. Na razie pierś jego była wolna od wszelkich odznaczeń. A przecież dostał się do baterii w najgorętszym i najcięższym okresie; mimo to nie udało mu się zabłysnąć osobiście. Zawiniła tu jego mało sprawna obsługa dział, brak pomyślnej okazji, wreszcie antypatia, którą budził u różnych kolegów i przełożonych. Krótko mówiąc, klimat w baterii nie był dla Krau-

sego korzystny. Przynajmniej do tej chwili!

Krause, chudy, średniego wzrostu, o ruchliwych oczach psa myśliwskiego, zameldował się zgodnie z przepisami u nowego dowódcy baterii. Już to zjednało mu sympatię Witterera. Poza tym mundur jego był starannie wyczyszczony. Fryzura mogła w danych warunkach uchodzić za godną uwagi. Jego włosy, jeszcze wilgotne, uczesane ze ściśle odmierzoną przedziałką, wyglądały jak pokryte lakierem.

Widok ten ucieszył Witterera. Lubił poprawność jako dowód respektu i widocznej gotowości, jako przejaw nastawienia wewnętrznego w stosunku do przełożonych. Był święcie przekonany, że szczególnie ubiór świadczy o człowieku. A właśnie ten punkt był w baterii tak zaniedbany, że włosy stawały człowiekowi dęba. Witterer nie bawił się długo w ogólnikowe zwroty i pytania. Już po kilku minutach przystąpił do sedna sprawy. – Co myślicie o ogniomistrzu Aschu?

– Znakomity żołnierz – powiedział Krause bez namysłu. I nie okazał najmniejszego zdziwienia, że żąda się tu od niego niedwuznacznie oceny jednego z jego przełożonych. – Tylko trochę trudny w obejściu.

– Trudny – dla kogo?

– Dla wszystkich. Zależnie od sytuacji. Można by określić jego sposób bycia jako daleki od umiejętności przystosowywania się.

Krause udzielał tych subiektywnych informacji z całą swobodą, nie ociągając się zbyt, bo się na nie wewnętrznie przygotował. Wieść o dość gwałtownym starciu między ogniomistrzem Aschem i kapitanem Wittererem rozeszła się szybko. W baterii śmiano się z tego przez cały wieczór. Przy trzecim dziale dwaj podpici żołnierze zabawiali się ku ogólnej uciechu w „Ascha i Witterera”. Ten solowy numer powtarzali później wszędzie na stanowisku ogniowym.

– Wiadomo wam chyba, Krause, że ogniomistrz Asch nie należy do waszych przyjaciół?

– Owszem, panie kapitanie, wiadomo. Ubolewam nad tym, gdyż ogniomistrz Asch to naprawdę doskonały żołnierz. Z drugiej strony uważam to za zrozumiałe, bo mamy całkowicie różne usposobienie. Ponadto jestem kandydatem do stopnia oficerskiego.

Witterer udał wszechwiedzącego i skinął głową. Dał wyraźnie do zrozumienia, jak świetnie opanowuje swój zawód. Krause poszedł na to z całą powagą. Zaczynali się sobie podobać.

Witterer zadał Krausemu kilka pytań dotyczących pochodzenia, wykształcenia i zawodu w cywilu. Krause odpowiedział ku zadowoleniu kapitana dokładnie i wyczerpująco. Witterer uświadamiał sobie coraz wyraźniej, że ten Krause to intelektualista z wyższym wykształceniem, pochodzący z dobrej rodziny. Kandydat na stopień oficerski! Zapewne dlatego – to bardzo znamienne! – jest w tej całkowicie zaświeconej baterii źle traktowany. Witterer czuł teraz, że ten człowiek może mu się bardzo przydać.

– Kapralu, czy chcielibyście wykonywać przy mnie zlecenia specjalne?

– Tak jest, panie kapitanie – powiedział Krause zdyscyplinowanym tonem spisowca. Udawał, że stara się ukryć wszelką reakcję osobistą, brakowało mu jednak owej niezbędnej zimnej krwi, by nie ujawnić szczerzej radości z powodu propozycji przynoszącej mu zaszczyt.

– Wróć jeszcze do tego – oświadczył Witterer, kiwnął raz jeszcze wszechwiedząco głową i przychylnym ruchem ręki zwolnił wielce obiecującego podoficera.

Wkrótce potem kapitan Witterer kazał Kowalskiemu zawieźć się na główne stanowisko przodków do porucznika Wedelmanna. Kowalski uśmiechnął się pojednawczo i rozwinął takie tempo, że wóz zaczął jęczeć we wszystkich stawach; błotniki dygotały, zachodziła obawa, że rozwali się silnik. Ale Witterer nie mógł nie przyznać, acz z niechęcią, że Kowalski jedzie zdumiewająco pewnie.

Wedelmann znajdował się, jak prawie zawsze, przy swoich działach i ogniomistrz Asch musiał pójść po niego. Tymczasem kapitan Witterer rozłożył na niezgrabnym stole dokumenty dotyczące przekazania mu dowództwa baterii. Składały się z oryginału i trzech kopii, stosownie do przepisów były wszystkie sporządzone na białym, grubym papierze. Kiedy Wedelmann się zjawiał, przywitał go krótko, jeszcze po koleżeńsku, ale nie bez pewnej rezerwy, jaka przystoi przełożonym. Potem odesłał Ascha. – Proszę o pański podpis.

Wedelmann podpisał bez czytania, potem złożył razem poszczególne kartki.

– Zgadza się pan ze wszystkim? – zapytał Witterer zaskoczony. – Bez komentarzy?

– Przecież to i tak tylko strzępek papieru – powiedział Wedelmann z całym spokojem.

– Jak pan uważa, panie poruczniku.

Kapitan Witterer starannie złożył podpisane, a więc prawomocne dokumenty i jeden egzemplarz włożył do swojego portfela. – Jeden odpis należy do pana.

– Może mi się kiedyś przydać – powiedział Wedelmann; wziął cztery gęsto zapisane kartki i wsunął je do tylnej kieszeni spodni.

– W ten sposób – powiedział kapitan Witterer nie bez odrobiny namaszczenia, bo lubił, jak przystało na żołnierza, ceremoniał wojskowy – w ten sposób przejąłem więc trzecią baterię pułku Luschkego.

Wyciągnął rękę, ujął dłoń Wedelmanna, uścisnął ją mocno, po męsku. Była to dla niego wielka chwila.

– I co teraz? – zapytał Wedelmann.

– Tak, co teraz – powiedział Witterer udając, że dopiero teraz, w tym momencie, mózg jego formułuje rozkazy. Dawał do zrozumienia: myślę intensywnie, rozważam. W rzeczywistości rozmyślał już od szeregu godzin nad tym, co teraz powie Wedelmannowi.

– Pułkownik Luschke życzy sobie, żeby pan porucznik na razie został parę dni w

obróbie baterii. Pański dalszy przydział nie został zapewne jeszcze zdecydowany. W każdym razie jest to ze strony pułkownika Luschkego w pewnej mierze wielkodusznością, że, choć nie jest mi to potrzebne, nie pozbawia mnie pańskiej asysty. Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli teraz obejmie pan stanowisko oficera ogniowego.

– Przecież mamy takiego oficera.

– W takim razie aż do odwołania będzie podlegał panu.

– Czy to rozkaz?

– Tak, rozkaz. Ale, ale skoro już o tym mowa: nie jest już panu potrzebny nikt do zleceń specjalnych. I ja również nikogo nie potrzebuję. Ogniomistrz Asch zostanie więc z tej funkcji zwolniony i obejmie pluton amunicyjny.

Po tych słowach Witterer wyszedł sprężystym krokiem. Wedelmann stał jak onie miały. Wszedł ogniomistrz i zapytał: – No cóż, słoń jest już w składzie porcelany?

– W samym środku – odpowiedział Wedelmann próbując się uśmiechnąć.

– Niewiele już mamy porcelany – powiedział Asch. Mrugnął w kierunku Wedelmann, ale ten nie patrzył na niego. Podeszedł do brudnego okna chałupy i wyglądał przez nie z miną chłopca, który musi przypatrywać się, jak grad niszczy mu plony.

Bombardier Kowalski wsunął się bez żenady do chaty, jakby wchodził do knajpy. Wedelmann odwrócił się. Kowalski wyskandował radosne, typowo cywilne powitanie. Wyciągnął spod pachy jakąś paczkę i położył ją przed Wedelmannem na stole. Uśmiechał się przy tym znacząco.

– Co to ma znaczyć, Kowalski?

– Od kaprała Soefta – z serdecznym pozdrowieniem.

– Żarcie?

– Możliwe, panie poruczniku. Ale nie dla pana porucznika wprost. Dla pewnej damy!

– Powtórzcie to jeszcze raz, Kowalski!

– Podobno to piękne dziecko mieszka w tej wsi. Dom numer siedemnaście. Taka figura, panie poruczniku! Gwarantowane. Urocze stworzenie nazywa się Natasza. Soeft uważa, że powinien ją sobie pan porucznik obejrzeć. Opłaci się.

– Za kogo wy mnie właściwie bierzecie, Kowalski?

– Za kogoś, kto nareszcie ma teraz czas, panie poruczniku. Bo za cóż poza tym? Ten czas powinien pan porucznik wykorzystać.

– Kowalski – powiedział Asch – jeżeli się prędko stąd nie ulotnisz, twój kapitan rozszarpie cię na kawałki.

– Nie ma obawy – odparł Kowalski machnąwszy ręką. – Może poczekać. I tak musi się tego powoli nauczyć.

Na dworze Witterer wołał swego kierowcę. Kowalski zdawał się tym delectować.

– Zupełnie przydatny organ głosu, co? – powiedział z uśmiechem. – Dobry głos to połowa żołnierza, ale tylko na koszarowym dziedzińcu. Trzeba mu będzie chyba dopiero wytłumaczyć, co jest potrzebne tutaj.

Po tych słowach skierował się ku wyjściu. Zanim jednak wyszedł, powtórzył raz jeszcze: – Taka figura, gwarantowane!

Zawiniątko przeznaczone dla „pięknego dziecka”, które mieszkało w tej samej wsi, w domu numer 17, leżało na środku stołu. Wedelmann i Asch przyglądali mu się w zamyśleniu.

– Na co sobie ten Soeft pozwala – powiedział powoli porucznik. I dodał: – Ale czas miałbym teraz. – Uśmiechnął się z pewnym zakłopotaniem, bo fakt, że ma czas, i to w dodatku na takie rzeczy, wydawał mu się hańbą.

– Oto płaszcz pana porucznika.

– Zaraz – powiedział Wedelmann, który nagle stał się bardzo przedsiębiorczy. – Zaraz. Chciałbym tylko jeszcze pomówić z pułkownikiem Luschkem przez telefon.

Ogniomistrz Asch należał do ludzi nie lubiących komplikacji. Wolał zawsze prostą drogę, gdyż była nie tylko najbardziej przejrzysta, ale zazwyczaj najskuteczniejsza. Wymagało to jednak dużego wysiłku nerwów; prawie zawsze, kiedy Asch w czymś uczestniczył, wysiłek ten spadał na barki innych.

Dla Ascha nie wszystkie rozkazy były święte. Pozwalał sobie na luksus samodzielnego myślenia. A kiedy chciał, umiał się zdobyć na tak twardy i tępy upór, jaki zazwyczaj był jedynie przywilejem bombardierów.

Nie dosłyszał więc ogniomistrz Asch rozkazu nowego dowódcy baterii, w myśl którego miał objąć pluton amunicyjny. Na razie nie objął go. Nie przestał też wykonywać swoich funkcji. Czekał.

Rozciągnął się jak długi w chałupie i gapiąc się na niski, zadymiony pułap z belek myślał o swojej młodej żonie Elźbiecie i o dziecku, którego jeszcze nigdy nie widział. Uśmiechał się, bo trudno mu było wyobrazić sobie siebie jako ojca. Lampa naftowa rzucała mdłe, łagodne światło i wywoływała w nim zmęczenie. Nie mógł jednak zasnąć.

Po jakimś czasie wpadł do chałupy z hałasem porucznik Wedelmann. Przekonany, że wyciągnięty na słomie Asch śpi, Wedelmann starał się stąpać jak najciszej. Przykręcił nieco knot lampy i zaczął się rozbierać.

Zdjął płaszcz i położył go na słomie obok Ascha. Potem klnąc pod nosem zdjął buty; aby dokonać tego zabiegu, musiał każdy but z osobna wcisnąć między nogę od stołu i ławkę. Zwinął kurtkę mundurową na kształt jaśka i umieścił ją pieczołowicie na słomie. Proces rozbierania był skończony.

Zapalił latarkę kieszonkową i zgasił dmuchnięciem lampę naftową. Potem położył się obok Ascha. Zawinął się starannie w swoje dwa koce i przykrył ponadto płaszczem. Słoma zaszeleściła głośno. Zapadła całkowita ciemność. Porucznik oddychał głęboko i regularnie. Ale nie spał. Nasłuchiwał w ciemnościach. Asch poruszył ramieniem. I on wciąż jeszcze nie spał.

– Dziwne – powiedział Asch – są teraz noce, w które próbuję spojrzeć.

– Wkrótce przyjdzie wiosna – powiedział porucznik. – Już ją czuję we wszystkich

kościach. I przeczuwam, że przyjdzie wiele nocy, podczas których znowu oka nie zmrużymy.

Asch milczał. Wedelmann uczestniczył w tej wojnie z przekonania, dla Ascha była ona raczej złem nieuniknionym. Wedelmann utożsamiał narodowy socjalizm z Niemcami i uważał Hitlera za człowieka honoru. Asch widział, jak sprawy wyglądają naprawdę, i rozmyślał, co z tego może wyniknąć. Pierwszy wierzył, że świat musi być zmieniony, drugi dbał tylko o utrzymanie istnień ludzkich przy życiu.

Wedelmann długo szukał papierosa. Znalazł go wreszcie w kieszeni bluzy. Papieros był pognieciony. Wedelmann wyprostował go po ciemku, rozprawdzając równomiernie zawarty w nim tytoń. Asch dał mu ognia.

Porucznik zaciągnął się kilkakrotnie, po czym podał papierosa swemu ogniomistrzowi. Zaciągnąwszy się Asch zwrócił go Wedelmannowi. Słodkawy dym wyparł mdłą, duszącą woń, którą przesiąknięta była ciasna izba.

– Dziwna dziewczyna – powiedział Wedelmann po dłuższym milczeniu.

– Jakaś protegowana Soefta?

– Nie jakaś, Asch. Coś naprawdę niezwykłego. Paczka, którą jej przyniosłem, zawierała żywność. Była to zapłata za pranie. To normalne i typowe dla Soefta.

– Soeft jest urodzonym handlarzem, panie poruczniku. Wszystko ma u niego swoją cenę. Nic nie podaruje.

– Może – powiedział Wedelmann zamyślony. Zaciągnął się gwałtownie raz jeszcze i szerokim łukiem rzucił papierosa w stronę pieca. Zabłysło kilka iskier. Potem znowu otoczyła ich ciemność.

– Dla naszego Soefta – powiedział Asch – wojna nie jest niczym innym jak tylko wyjątkowym interesem. Będzie robić wszystko, co się opłaca. Czasami mam wrażenie, że nie istnieją dla niego fronty, lecz są tylko place, na których się handluje, że nie ma przeciwników, są tylko rozmaici partnerzy w interesach.

– Ta dziewczyna, Asch, jest wyjątkowa. Studentka, zagnana tutaj przez działania wojenne. Na imię jej Natalia, nazywają ją Nataszą. Mówi dosyć dobrze po niemiecku.

– Pan porucznik rozmawiał z nią długo.

– Sprawiało mi to przyjemność. To kobieta, ogniomistrzu Asch. Już od miesiący nie rozmawiałem z kobietą.

– Dama prawdopodobnie bardzo uprzejma?

– Ależ nie!

– Czy była odpychająca?

– Również nie. Rozumieliśmy się dosyć dobrze, oto wszystko.

– A kiedyż pan porucznik zamyśla kontynuować to wzajemne zrozumienie?

– Zawsze jesteście podejrzliwi, ogniomistrzu Asch. Naprawdę tylko miło spędziłem czas i niczego więcej nie chcę. Nie jest to poza tym osoba, z którą można by...

– Z którą można by co?

- Może będziemy się teraz starali nareszcie zasnąć, Asch?
- Dobrze. Spoczywajmy więc na naszych laurach.
- Dobranoc, dowódco kolumny amunicyjnej.
- Dobranoc, oficerze ogniowy.

Roześmieli się, potem próbowali zasnąć. Trwało jeszcze dość długo, zanim zamknęły się im oczy.

Spali do późnego rana – mieli teraz czas na to. Kiedy się wreszcie podnieśli, ogniomistrz Asch był znowu podoficerem do zleceń specjalnych, a porucznik Wedelmann nie był już oficerem ogniowym.

Pułkownik Luschke po raz pierwszy dał kapitanowi Wittererowi przez telefon tęgiego łupnia. Dla Witterera ta rozróbka na odległość była czymś zupełnie nowym. Łagodny, syczący, niepokojąco natarczywy głos dowódcy pułku wysadził z siodła nawet kapitana Witterera, którego rozpieęła taka pewność siebie.

– Lubię ludzi z inicjatywą – powiedział pułkownik Luschke – jeszcze bardziej szanuję ludzi z rozumem. Energia to rzecz piękna i godna uznania. Ale wszystko musi odbywać się systematycznie i planowo.

Na to Witterer, pełen zachwytu dla swej osoby: – Moja metoda, panie pułkowniku, zupełnie moja metoda.

– Dla metod pańskich, panie kapitanie – powiedział dalej pułkownik Luschke – jestem z całym uznaniem. Proszę jednak nigdy nie zapominać, że istnieje jeszcze pański dowódca, który również, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, posiada swoje metody. Dowódca ten, co pana może zaskoczy, zna trzecią baterię dość dobrze.

– Ależ to samo przez się zrozumiałe, panie pułkowniku.

– Znam nawet trzecią baterię trochę lepiej niż pan w tej chwili, panie kapitanie.” Nie ma to nic wspólnego z ewentualnymi zdolnościami, jest jedynie sprawą doświadczenia. A jeśli chodzi o trzecią baterię, drogi panie kapitanie Witterer, brak panu jeszcze doświadczenia, chyba że jest pan geniuszem, w co na razie uwierzyć nie mogę. Musi więc pan przyswoić sobie to doświadczenie. Potrzeba na to pewnego określonego czasu. Żeby panu to ułatwić, pozostawiłem tam jeszcze porucznika Wedelmanna. Wedelmann będzie pracował nie jako pański podwładny, lecz razem z panem.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Na razie, dopóki jest tam porucznik Wedelmann, nie życzę sobie w trzeciej baterii żadnych zmian personalnych. Dotyczy to również funkcji do zleceń specjalnych. Czy zostałem zrozumiany?

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł mocno skonsternowany Witterer. Zorientowany się, że pułkownik zakończył rozmowę, rzucił słuchawkę na widełki. Rozejrzał się pogardliwie dokoła; ze wzroku jego można było wyczytać wyraźnie, że myśli: „Co to za świństwo!”

Wezwał do siebie starszego ogniomistrza Bocka, którego telefonista zdążył już

poinformować co do formy i treści tej budującej rozmowy telefonicznej. Bock zacierał ręce nie tylko z zimna i radośnie podążył do pomieszczenia dowódcy baterii.

– Starszy ogniomistrz – powiedział Witterer zgrywając się znowu na geniusza improwizacji wojennej – po gruntownym namyśle postanowiłem, że będziemy działać metodycznie. Oczywiście wszystkie moje zarządzenia pozostają w mocy, to rzecz zrozumiała. Pragnę tylko, by to było zrobione rozsądnie, etapami.

– Tak jest, panie kapitanie – powiedział Bock pełen oczekiwania, co nastąpi dalej.

– Kapral Krause jest w dalszym ciągu przewidziany do zleceń specjalnych.

– W takim razie mamy teraz dwóch pełniących tę funkcję.

– Zawsze tylko jednego, szefie. Odpowiada to, jak wam wiadomo, przepisowi. Kiedy ten drugi zapozna się z pracą, nastąpi przekazanie funkcji.

– Rozumiem, panie kapitanie – zapewniał Bock – doskonale rozumiem. – W głębi duszy cieszył się z kapitalnie zawikłanej sytuacji, którą już sobie wyobrażał. Okrągła jego twarz promieniała. Dwóch do zleceń specjalnych na jednej kupie, i w dodatku takich dwóch – tak, moi państwo, to kąsek nie lada! Wittererowi niełatwo będzie go przełknąć.

Ale Witterer wbrew przypuszczeniom starszego ogniomistrza wcale nie był w danym wypadku ślepy. Liczył się z możliwością różnych komplikacji. Nie na próżno miał za sobą liczne zwycięstwa w długoletnich walkach biurowych. Witterer wiedział doskonale, że musi tu zapobiec przedwczesnym starciom, i orientował się, że – jak tego dowiodła jego rozmowa z Luschkem – nie może sobie pozwolić na żadne ekstrawagancje.

– Mam dla ogniomistrza Ascha specjalne zadanie – powiedział.

Starszy ogniomistrz Bock cały zamienił się w słuch. Heca ta niesłychanie go bawiła. W miarę jak tamci tracić będą nerwy i siły, pozycja jego stawać się będzie coraz pewniejsza.

– Ogniomistrz Asch ma zorganizować w pobliżu linii frontu występ gościnny zespołu rozrywkowego.

– Ogniomistrz Asch? – zapytał Bock nie wierząc własnym uszom.

– A któż by inny? Przecież to typowe zlecenie specjalne. A może nie dowierzacie Aschowi w tym względzie?

– Dowierzać dowierzam, panie kapitanie. Ale nie można tego przecież załatwić w ciągu kilku godzin. Może to pochłonąć dłuższy okres czasu. Nie mielibyśmy tu wtedy nikogo do zleceń specjalnych.

– Któż to wam powiedział! Ciągłe jeszcze nie pojmujecie? Dopóki Asch będzie miał do czynienia z występami, a powinien zająć się tym gruntownie, zastąpi go tutaj kapral Krause.

– Tak jest – powiedział nie bez respektu Bock, który zaczął się powoli orientować.

– Asch przyjął swe nowe zlecenie jak każde inne. Nic nie mogło go już zaskoczyć. Stał się specjalistą od niezwykle trudnych rozkazów.

W tej zafajdanej wojnie prowadził już grupy szturmowe i czyścił latryny, opatrywał rannych i kopał groby, uruchamiał zdobyczne samochody i rozbijał nieprzyjacielskie czołgi, przeprowadzał rekwizycje na tyłach i kopał studnie, organizował warsztaty krawieckie i robił ze starych gazet namiastki futer. A teraz ma zorganizować występ gościnny zespołu rozrywkowego w pobliżu linii frontu. Dlaczego nie?

Kazał sobie dać motocykl i pojechał do miasteczka przyfrontowego. Instrukcje Witterera były dosyć wyraźne: zorganizować występ zespołu rozlokowanego obecnie w szkole. W zespole tym znajduje się śpiewaczka, niejaka Liza Ebner. Wszystko było jasne.

Asch poszedł prosto do celu. Znalazł bez trudu pomieszczenie Lizy Ebner. Wszedł do niego po krótkim pukaniu.

W wielkich, naiwnych, a równocześnie łaknących oczach dziewczyny pojawił się wyraz przerażenia, nie była jeszcze bowiem całkowicie ubrana. – Proszę łaskawie poczekać na korytarzu! – zawołała – aż skończę się ubierać.

– Mam niewiele czasu – odpowiedział Asch, zdecydowany możliwie szybko załatwić otrzymane polecenie.

– Manier też pan nie ma.

– Nie mogę sobie na ten luksus pozwolić, proszę pani.

– Czy nie widzi pan, że nie jestem jeszcze zupełnie ubrana?

– Takich rzeczy nie widzę z zasady – powiedział Asch. – Poza tym, jeżeli to panią interesuje, jestem żonaty.

– To mnie zupełnie nie interesuje! – zawołała rozgniewana Liza. – Niech się pan przynajmniej odwróci.

– Tę grzeczność mogę pani wyświadczyć – powiedział Asch i odwrócił się.

Dziewczyna za jego plecami zaszeleściła suknią. Czarnowłose dziewczę o ogromnych oczach nie posiadało się z gniewu, zdradzały to wyraźnie szybkie, nerwowe ruchy. Po chwili upuściła na podłogę pantofel, potem drugi.

– Przychodzi pan od kapitana Witterera? – zapytała Liza.

– Zgadła pani.

– To wytworny pan. A może nie?

– Nie mogę tego należycie ocenić. Stosunek mój do kapitana Witterera jest zapewne zupełnie inny niż stosunek pani.

– To ze stosunkiem może sobie pan darować – powiedziała tupiąc nogą w podłogę, prawdopodobnie po to, by poprawić bucik. – O tym nie ma w ogóle mowy!

Asch przyglądał się zniszczonym drzwiom, przed którymi stał. Ściana obok, pomalowana kiedyś na zielono, była spróchniała, tynk zaczynał odpadać. Buda – a w niej ta dziewczyna przybyła z kraju. Po co tu przyjechała?

– Dlaczego właściwie znalazła się pani tutaj?

– A pan?

– Ja muszę!

– A ja przyjechałam dobrowolnie.

– I jest pani w dodatku z tego dumna, co?

Liza Ebner, oburzona, parsknęła przez uroczy nosek:

– Takiego egzemplarza jak pan mógł mi kapitan Witterer zaoszczędzić.

– Nie sędzę, proszę pani. Egzemplarzy w moim rodzaju jest niemało. Jeszcze to pani zauważy. No, jest pani wreszcie gotowa?

– Niech się pan nie odwraca. – To proszę mi dać krzesło.

Po chwili wahania podsunęła mu stołek. Asch usiadł, w dalszym ciągu zwrócony twarzą w stronę zniszczonych drzwi, i czekał.

Znowu zaszeleściła za jego plecami suknia. Potem przesunięto po szorstkiej powierzchni stołu jakiś twardy przedmiot, prawdopodobnie była to butelka. Po chwili Asch poczuł zapach ciężkich perfum. Wciągnął go głośno w nozdrza.

– Naraża się pani na niepotrzebne koszty.

– Tylko po to, aby nie czuć zapachu pana!

– Ulotnię się stąd natychmiast po otrzymaniu kilku konkretnych informacji.

– Jakich?

– Kiedy, którego dnia i o której godzinie może pani przyjechać do nas ze swoją kompanią? Ile osób przyjedzie? Czy trzeba po was przysłać wóz, czy też macie własny środek lokomocji? Jak długo trwa przedstawienie? Jakie macie państwo życzenia specjalne?

– Wszystko to nic a nic mnie nie obchodzi, mój panie. Musi pan to omówić z naszym impresariem. Jest nim nasz magik-czarnoksiężnik, który został ulokowany o piętro niżej, w kwaterze oficerskiej.

Asch podniósł się. – Mogła mi to pani powiedzieć od razu, bez trzymania mnie godzinami pod ścianą! Żegnani!

– Proszę zaczekać! Teraz może się pan odwrócić.

Odwrócił się powoli i zdziwił się. Potem na jego zaciśniętych wargach pojawił się uśmiech uznania.

Dziewczyna o wielkich oczach była ładna. Ale nie to było jedyną przyczyną jego zdumienia. W sukni, którą miała na sobie, gładkiej, ciemnoniebieskiej, lekko namarszczonej w biodrach, żywo przypominała mu Elżbietę. Elżbieta również lubiła się tak ubierać. Czy tej dziewczynie nie było w dodatku na imię Liza?

– No i cóż?

– Godne uwagi – powiedział szczerze Asch. – Pani mi żywo kogoś przypomina.

– Kogo?

– Kobieta, którą kocham.

Liza Ebner spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Potem powiedziała ze swobodą: – To nic nowego. Wszyscy tak mówicie. Złudzenie optyczne. Płynie to stąd, żeście zdążyli zapomnieć, jak wygląda kobieta.

Asch skinął głową, choć słowa dziewczyny nie bardzo go przekonały. – Być może

– powiedział. – Ale może być również inaczej.

Koszary miały znowu swego Vierbeina. Ich przytłumiona ruchliwość wyrwała go ze snu. Leżał długo z otwartymi oczyma, zanim nadeszła dla niego pora wstawania.

Wylądował w jednym z pokoi podoficerskich. Ubiegłej nocy, kiedy Vierbein zameldował się w dywizjonie zapasowym, oficer dyżurny skierował go tutaj.

– Wyśpijcie się przede wszystkim porządnie, resztę załatwicie jutro.

Dwaj kaprale, z którymi spał razem, uświadomili go niezwłocznie, że to ich kwatery. Jest tu tylko tolerowanym gościem.

– A może masz być przeniesiony do dywizjonu zapasowego?

– Zabieram tylko uzupełnienie. Ulotnię się stąd możliwie jak najprędzej.

– To pięknie z twojej strony – odpowiedział jeden z kaprali.

A drugi dodał: – Żebyś wiedział – my nie jesteśmy uzupełnieniem. My go tylko dostarczamy.

Ci dwaj, u których Vierbein znalazł nocleg, nazywali się Bartsch i Ruhнау. Sami określali się jako „asy”, „szturmowcy” lub „niezłomni”, zależnie od tego, co im dogadzało. W mieście nazywano ich „braćmi sjamskimi tyłów”, bo nie było czynności, której by nie dokonywali wspólnie. Wiedziano, że stale chodzili razem do ustępu; to, że razem rozkoszowali się kobietami, było faktem. Był to jednak tylko sojusz obronny, oparty na przyjaźni względnie na koleżeństwie. „Asy” były bowiem poza godzinami służbowymi bardzo przedsiębiorcze, odgrywały rolę „hulaków” i „degustatorów”. Każdy z nich w pojedynkę mógł się łatwo znaleźć pod wozem, we dwójkę ubezpieczali się wzajemnie.

– Jak długo tu zostajesz, Vierbein?

– Kilka dni.

– Wiele się w tej dziurze nie dzieje. Jeżeli masz butelkę wódki, możesz się kiedy do nas przyłączyć. Za dwie butelki gwarantujemy co najmniej jeden dobry numer.

Kapral Vierbein udał się do umywalni. Bartsch i Ruhнау kazali przynieść sobie wody do swego pokoju. Kiedy Vierbein wrócił, dwaj kaprale znowu leżeli na łóżkach.

– Była to wyczerpująca noc – powiedział jeden z nich.

– A ta walka wstępna, człowieku! Ona, zdaje się wcale nie wiedziała, że wojna jest w pełnym biegu.

Vierbein doprowadzał się do porządku, by się zameldować u szefa baterii dowodzenia. Próbował nadać swoim butom nieco blasku, ale to mu się nie udało. Trochę się przy tym zasapał.

– Nie trzeba – powiedział Bartsch. – Najważniejsze, że twój Krzyż Żelazny błyszczy.

Ruhnau dodał: – Mamy tu słabość do bohaterów.

– Poza tym szef to matoł. Musisz tylko obchodzić się z dowódcą jak z jajkiem. Wtedy możesz robić, co ci się żywnie podoba.

– Nie obawiaj się, porucznik Schulz ma teraz pełne ręce roboty. Jest w tej chwili, można by rzec, duszą całej tej świńskiej gnojówki.

– Kto taki?

– Porucznik Schulz. Nie znasz go? Kiedyś był tu szefem baterii.

– I nadal pozostał nim. Tylko że rządzi teraz całym dywizjonem zapasowym.

Vierbein skinął głową. Znał Schulza, i to jeszcze jak! Schulz dawał mu kiedyś tak w dupę, że do dziś to czuł. Wedle wszelkich prawideł swojej sztuki. Ale Vierbein nie pamiętał mu tego. Przecież Schulz spełniał tylko swój obowiązek, często nawet coś więcej niż obowiązek.

Kapral Vierbein wszedł do kancelarii baterii dowodzenia i zameldował się szefowi baterii. Ten przerzucił papiery Vierbeina i powiedział: – No tak! – Po kilku minutach dodał: – Jeżeli o mnie chodzi...

Vierbein stał przed szefem baterii i czekał.

– Możecie zostać w baterii dowodzenia aż do załatwienia tego, co wam zostało zleczone.

– Czy jestem zwolniony od ogólnej służby, panie starszy ogniomistrzu?

Szef zrobił wielkie oczy. – Co takiego? – zapytał ze zdumieniem. – Chyba się nie palicie do tego rodzaju zabawy, co?

– Ależ nie, panie starszy ogniomistrzu.

– No więc, mój drogi. Rób, co ci się podoba. Staraj się zdobyć ten cały kram, po który cię przysłano. Wszystko inne nic cię przecież nie obchodzi. Przed wyjazdem wstąp tu jeszcze. Poza tym urlop aż do pobudki.

– Dziękuję.

– Przecież to się rozumie samo przez się. Chcemy żyć! Może nie? No widzisz. A jeżeli będziesz czego potrzebował, przyjdź do mnie.

Vierbein wziął papiery i pożegnał starszego ogniomistrza. Ten szef był dobrodusznym poczciwcem, tak się przynajmniej na pozór wydawało. Tylko żyć i innym pozwolić żyć! Miał poza tym pełne zrozumienie dla człowieka przybywającego z frontu.

Kapral Vierbein zastanawiał się przez chwilę, czy nie pójść do kantyny i nie zadzwonić do Ascha. Postanowił zrobić to później. Przede wszystkim chciał to, co mu zlecono, możliwie jak najprędzej skierować na właściwą drogę.

Udał się do sztabu dywizjonu, do tego samego budynku, w którym rezydował kiedyś Luschke jeszcze w stopniu majora. Poprosił o zameldowanie go adiutantowi. Po długim czekaniu wśród pachnących niemile akt i pisarzy, którzy z nudów prowadzili przez telefon długie rozmowy dotyczące spraw prywatnych, wpuszczono go wreszcie do pokoju adiutanta.

Adiutant dywizjonu zapasowego, podporucznik rezerwy, w cywilu fabrykant likierów, robił wrażenie bardzo zaaferowanego i oświadczył od razu, że ma mało czasu. – Bardzo mało czasu, kapralu.

Vierbein zreferował żądania pułku: – Radiostacje z wyszkoloną obsługą. Zapotrzebowanie pułkownika Luschke potwierdzone przez dowództwo armii.

– Mamy – powiedział podporucznik. – Mamy to wszystko. Ale nie w tej chwili. W tej chwili panuje zupełny rozgardiasz. Dowódca żeni się w tych dniach.

– Sprawa jest wyjątkowo pilna – zaznaczył Vierbein, który w pierwszej chwili nie umiał sobie wytłumaczyć, co wspólnego ma ślub dowódcy z żądaniem sprzętu i obsługi dla jego pułku.

– U nas także, mój drogi – oświadczył adiutant, opierając swoje dwa cetnary o dobrze wyścieloną poręcz fotela.

– Pan pułkownik Luschke był święcie przekonany, że nie będzie w tej sprawie żadnych trudności, panie podporuczniku.

– Nie ma też trudności. Kto o tym mówi? Nam nikt nie może zarzucić, że robimy trudności, zwłaszcza frontowi. Nie, mój drogi! Przeciwnie, wprost przeciwnie. Tylko że będziecie musieli parę godzin poczekać.

– To się rozumie samo przez się, panie podporuczniku – powiedział Vierbein z ulgą.

– No widzicie! Jeżeli pułk czekał pół roku, to wy chyba będziecie mogli poczekać pół dnia.

– Tak jest, panie podporuczniku.

– Nawet nie przeczuwacie, co się tu dzieje. Dowódca żeni się w tych dniach, ale o tym już wam mówiłem. Zwolnił się na parę dni, nie biorąc właściwie urlopu. Tyle tu roboty, że nie możemy sobie dać rady. Ale po południu będzie do dyspozycji jego zastępca, już po południu, i wtedy zabierzemy się przede wszystkim do waszej sprawy. Bądźcie więc w pogotowiu.

– Będę czekał na wezwanie w baterii dowodzenia – Vierbein ruszył ku drzwiom; po drodze omal nie potknął się o dywan.

– Jeszcze jedno – powiedział podporucznik łaskawie. – Gratuluję wam Krzyża Żelaznego.

– Dziękuję – odparł Vierbein i oddalił się.

Ledwie dotarł do baterii dowodzenia, polecono mu zjawić się natychmiast w kancelarii. Tak miły i uprzejmy przed chwilą szef był znacznie chłodniejszy i patrzył na Vierbeina, jak by go widział po raz pierwszy.

– Macie zameldować się natychmiast u porucznika Schulza – powiedział szef. – Przeskrobaliście coś?

– Chyba nie było do tego jeszcze żadnej okazji, panie starszy ogniomistrzu.

– U was nigdy nic nie można wiedzieć dokładnie. Wystarczy, abyście pobyli godzinę w kraju, a już potraficie narobić takich idiotycznych głupstw, że aż strach. Niedawno był tu taki, który w ciągu dwudziestu minut zmasakrował pewnego żołnierza i prawie zgwałcił dziewczynę. Ale u nas tak nie można, u nas panuje porządek.

– Na froncie również tak nie można. I tam panuje porządek, panie starszy ognio-

mistrzu.

Szef, myślący jedynie o swoim spokojnym i wygodnym stanowisku, przełknął to bez trudu. Wstał i powiedział: – A więc zamelduję was.

Podszedł do drzwi pokoju dowódcy i zapukał krótko i potulnie; przez kilka sekund nasłuchiwał, czy padnie słowo: „wejść!” Wreszcie słowo to padło. Zataczając niewielki łuk wsunął się do pokoju dowódcy.

Podniósł się tam krótkotrwały wrzask i starszy ogniomistrz, znowu zataczając niewielki łuk, wysunął się z pokoju. – Zaczekajcie łaskawie! – ofuknął Vierbeina.

Vierbein czekał. Znał aż zbyt dobrze tę formę łańcuszkowej reakcji. Był ostatnim ogniwem przełknął więc ryk starszego ogniomistrza posłusznie i bez zdziwienia. Wojna nauczyła go spokoju, przynajmniej pod tym względem.

Pytał sam siebie, co teraz nastąpi. Przebiegał myślą każdą fazę ostatnich godzin, od lądowania aż do chwili obecnej. Czekał. Patrzył na głęboko pochylone plecy pisarza, obserwował szefa baterii, który zawzięcie wertował jakieś papiery, ale siedział gotów do skoku. „Zdaje się – mówił sobie Vierbein – że ten Schulz pozostał takim, jakim był: pcha się zawsze naprzód, w razie potrzeby posługując się...”

Drzwi pokoju dowódcy otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę. Stał w nich porucznik Schulz – barczysty, z ważną miną, jeszcze bardziej barczysty i ważny niż dawniej. Mundur jego był wspaniały. Wszyscy obecni stanęli na baczność. Jak za dawnych czasów głos jego brzmiał niby fanfara.

– Ależ to nasz Vierbein! – zawołał. Kapral Vierbein potwierdził to spostrzeżenie.

– Chodźcie no tu, mój biedaku.

Vierbein zrobił kilka kroków, zatrzymał się i wyprężony zameldował głośno: – Kapral Vierbein, trzecia bateria pułku artylerii pułkownika Luschke, odkomenderowany do dywizjonu zapasowego artylerii w celu pobrania obsługi i sprzętu.

Porucznik Schulz roześmiał się krótko, po męsku. – Moja szkoła! – zawołał. – Zupełnie moja szkoła! Co, Vierbein?

– Tak jest, panie starszy ogniomistrzu.

Zdawało się, że Schulz pęknie ze śmiechu. Rżał jak perszeron. Potem, walnąwszy Vierbeina po ramieniu, powiedział: – Ciągłe jeszcze dawny duch, co? Dawny dobry duch! Starszy ogniomistrz! Ale tymczasem, mój drogi, człowiek wdrapał się o kilka stopni wyżej.

– Tak jest, panie poruczniku – oświadczył Vierbein, ciągle jeszcze niesłuchanie zaskoczony tak nieoczekiwanym wylewem przychylności.

– Proszę spojrzeć na niego, szefie – powiedział Schulz. – Była to kiedyś największa pokraka w naszej baterii. A teraz – kapral! I to jaki! Ma już nawet Krzyż Żelazny I klasy.

– Tak, to nie byle co, panie poruczniku – zawtórował szef udając podziw.

– Za coście to dostali, Vierbein?

– Zniszczyłemczołgi, panie poruczniku. Siedem sztuk.

– Moja szkoła! – wykrzyknął Schulz. – Patrzcie, szefie! To była największa oferta. A teraz siedem czołgów! I kapral! Wejdźcie, Vierbein, do środka.

Vierbein, ciągle jeszcze lekko zmieszany, wszedł za Schulzem do pokoju. Schulz opadł na masywny fotel i wskazał Vierbeinowi krzesło. Vierbein usiadł posłusznie.

– Cygaro? – zapytał Schulz.

– Dziękuję, nie palę, panie poruczniku.

Schulz uśmiechnął się z wyższością. – Ciągle jeszcze dawny żółtodziób, co? No, nic nie szkodzi. Najważniejsze: potrafiliście dać dowód, że się z was tutaj zrobiło mężczyznę. – Porucznik zapalił cygaro, Vierbein milczał wyczekująco. Schulz zgasił zapalniczkę i rzucił ją za siebie. Potem rozparł się głębiej w fotelu.

– Tak bardzo po męsku jeszcze wciąż nie wyglądacie – lustrował. Vierbeina Schulz. – Ale to piękności nie szkodzi. Krzyż Żelazny wiele kompensuje. No i oczywiście naszywki kaprala.

Porucznik Schulz nie czekał, aż Vierbein potwierdzi jego poglądy. Uważał to za zbyt ciche. Był przeświadczony, że Vierbein ma dla niego głęboki szacunek.

– Chyba w najśmielszych marzeniach nie wyobrażaliście sobie, mój drogi, że będziecie jeszcze kiedyś tak siedzieli naprzeciw mnie.

– Nie, panie poruczniku. Na pewno nie.

– Wasz stary szef nie jest przecież żadnym potworem – powiedział Schulz i gładka jego twarz załśniła przychylnością. – Muszę przyznać, że wasz widok bardzo mnie cieszy. Teraz dopiero widać, że nic nie idzie na marne. Przerobiliśmy was, Vierbein. Zrobiliśmy was tym, czym jesteście. Wasze sukcesy dowodzą, że mieliśmy rację.

Vierbein milczał grzecznie.

– Może nie?

– Ależ tak, panie poruczniku. Na pewno.

– Może pokażę się kiedyś z wami w kasynie oficerskim. Niech się zdumiewają nad wynikami mojej szkoły. A zdumiewać się będą, tego możecie być pewni! A potem opowiecie nam historię z tymi siedmioma czołgami.

– Niewiele tu do opowiadania, panie poruczniku.

– Tylko bez fałszywej skromności, mój drogi. Kiedy powiem: opowiadać, będziecie opowiadać, zrozumiano? Ze wszystkimi szykanami. – Głos jego brzmiał tak samo jak dawniej, przypominał trąbę jerychońską, miał w sobie coś niebezpiecznie życzliwego.

– Tak jest, panie poruczniku – wyrecytował posłusznie Vierbein.

– Tak – powiedział Schulz z zadowoleniem. – Najlepsi wybijają się na czoło. Spójrzcie na mnie! Gdy wojna się rozpoczęła, byłem kandydatem na oficera. Potem poszedłem do szkoły oficerskiej, którą ukończyłem z wyróżnieniem. Jakże mogło być inaczej! Zostałem podporucznikiem. W końcu wylądowałem znowu tutaj i otrzymałem baterię dowodzenia. Teraz wobec tego, że dowódca się żeni, zastępuję

go. Praktycznie, Vierbein, jest to mój dywizjon.

– Małżonka pana porucznika musi być bardzo dumna z tego – powiedział naiwnie Vierbein.

Schulz z miejsca przyczepił się do tego: – Człowieku, co was obchodzi moja żona?

– Myślałem tylko, panie poruczniku...

– Moja żona w ogóle nie obchodzi was, Vierbein. Zapamiętajcie to sobie z łaski swojej. Jesteśmy tu na służbie. A tę prywatną gadaninę możecie sobie darować.

– Tak jest, panie poruczniku.

Nie przeczuwając tego wcale Vierbein dotknął najczulszego punktu, Przychylność Schulza pękła jak balon. Temat ten był dla niego tabu. Przypomnienie mu o tym to wyraźna prowokacja. Miał bowiem z żoną istny krzyż pański – dziś bardziej niż dawniej. Kiedy rozmowa schodziła na ten temat, odczuwał ból w głębi duszy albo raczej tam, gdzie siedzibę tej duszy przeczuwał.

Schulz zgasił cygaro. Otoczył ich mdły, gorzki zapach. – Czego wy tutaj właściwie chcecie, Vierbein? – zapytał.

Kapral Vierbein zameldował. Powiedział wszystko, co już zakomunikował adiutantowi dywizjonu. Raz jeszcze podkreślił, że zlecenie jest pilne, oraz zwrócił uwagę na osobiste życzenie pułkownika Luschke, by sprawa została załatwiona bez tarć.

– Ze względu na to – oświadczył Schulz z godnością – że zastępuję teraz dowódcę, sprawa będzie musiała zostać mi przedłożona do decyzji osobistej. Wtedy zobaczę.

– Jeżeli mogę prosić pana porucznika...

– Dopóki rzecz, którą się zajmę w zastępstwie dowódcy, nie zostanie załatwiona, należycie oczywiście automatycznie do baterii dowodzenia, której dowódcą jestem w dalszym ciągu. Zrozumiano?

– Tak jest! – odpowiedział Vierbein posłusznie.

– Wszystko w starym duchu! Zawsze pamiętajcie o tym: moja szkoła!

Kapitan Witterer stał dobrze ukryty za drugim działem i patrzył badawczo w stronę wroga. Tuż za nim ulokował się kapral Krause, odkomenderowany na razie do zleceń specjalnych, i z gorliwą służbistością spoglądał na dowódcę baterii. Wartownik chodzący obok nich tam i z powrotem po otwartej przestrzeni nie zdradzał żadnego zainteresowania dla tego, co się obok niego działo.

– Bardzo charakterystyczne – powiedział Witterer znacząco, odejmując od oczu lornetę.

– Tak jest – zawtórował Krause, nie bardzo zdając sobie sprawę, co tu właściwie jest „charakterystyczne”. Udawał jednak, że wie, co Witterer ma na myśli; nigdy to nie mogło zaszkodzić. Przełożeni są zawsze radzi, kiedy spotykają się ze zrozumieniem u podwładnych.

Linie nieprzyjacielskie leżące na przeciwległych wzgórzach były widoczne. Zdaniem Witterera – prowokująco widoczne. Można było rozpoznać kilka okopów i ro-

wów łączących. Nieprzyjaciel również oparł część swych stanowisk o zabudowania jakiejś wioski. Kilkunastu ludzi poruszało się tam bez lęku w otwartym terenie.

– Po prostu nie do wiary – powiedział Witterer. – Istna wędrówka narodów! I to ma być wojna!

– Należy dodać, że nieprzyjaciel nie ma tam wcale artylerii – powiedział Krause zgrywając się na Mefista.

Wartownik nie powiedział nic, ale myślał swoje. Coraz to próbował rozgrzać się uderzając nogą o nogę. Poza tym interesowało go jedynie to, że za jakieś pół godziny zostanie zmieniony. Przyjaciele od partyjki skata czekają już zapewne niecierpliwie na jego przybycie; pochlebiali mu to. Myślenie o czymś więcej uważał za zbyteczne.

– Kiedy po raz ostatni prowadziliście stąd ogień? – zapytał kapitan Witterer wartownika.

– Ogień? – odpowiedział tamten pytaniem; zabrzmiało to tak, jak gdyby nie rozumiał, co to takiego. – Do kogo?

– Bałagan, świński chlew – mruknął Witterer.

Krause potwierdził ochoczo: – Tak, wszystko jest tu zupełnie zaświnione.

Witterer spojrzał nieufnie na działo, zauważył bowiem na lufie białe sylwetki czołgów, oznaczające liczbę zniszczonych wozów bojowych. Potem rzucił okiem na nagromadzoną obok działą amunicję, przykrytą brezentem. Po chwili skierował w stronę wroga spojrzenie jeszcze bardziej badawcze. Krause obserwował horyzont razem z nim.

Witterer rozkazał: – Wszyscy dowódcy działonów do mnie! Powiedzmy, w ciągu godziny. Miejsce: główne stanowisko taborów, kwatera Wedelmanna.

Krause powtórzył rozkaz dosłownie. Nie pomylił się ani razu. Witterer stwierdził ponownie, że ten Krause nadaje się jak nikt inny do zleceń specjalnych. Był rad, że i tym razem się nie pomylił.

Krause popędził do telefonu, by wezwać wszystkich wymienionych lub ich zastępców. Tymczasem Witterer dokonywał inspekcji stanowiska ogniowego. Miał sposobność przekonać się, że wróg umożliwia mu tę inspekcję przeprowadzić w skali jak najszerzej. Żołnierze z obsługi dział i cekaemów, obserwatorzy, dalmierzyści i łącznościowcy od razu poczuli to na własnej skórze.

Witterer obliczał właśnie amunicję przy czwartym dziale, kontrolował zapalniki i sprawdzał, czy pierścienie wodzące są lekko natłuszczone, jak nakazywał przepis, kiedy Krause zameldował: – Dowódcy działonów zostali zawiadomieni zgodnie z rozkazem.

Kapitan podziękował, uwolnił obsługę dział od swojej obecności i rączym krokiem udał się do pomieszczenia porucznika Wedelmanna. Ten siedział przy swoim stole i ledwo spojrzał na wchodzącego Witterera. Miał przed sobą podręcznik do nauki języka rosyjskiego, notes i ołówki.

– Na odwrót byłoby chyba słuszniej – powiedział Witterer wesoło. – Już czas, żeby się ludziska tutaj powoli zaczęli uczyć niemieckiego.

– Ludziska tutaj – głos Wedelmanna brzmiał niezbyt uprzejmie – nie znajdują się przecież w Niemczech.

Witterer uznał tę uwagę za żart i skwitował ją krótkim śmiechem. Kiedy okoliczności na to pozwalały, starał się zawsze o utrzymanie dobrego nastroju. – To oczywiście sprawa poglądów – dodał i raz jeszcze się roześmiał.

Wedelmann był zanadto zdyscyplinowanym oficerem, by zaprzeczyć kapitanowi i w dodatku swemu dowódcy baterii. Tak samo jak dawniej wierzył jeszcze w potęgę dyscypliny i wartość posłuchu.

Witterer polecił Krausemu, wykonującemu na razie jego zlecenia specjalne, pozostawić go sam na sam z Wedelmannem; nie chciał, by go teraz niepokojono. Dopiero kiedy wszyscy wezwani zbiorą się, należy mu o tym zameldować.

Podczas gdy Krause stojąc przed chałupą przechwytywał podoficerów i kierował ich do następnej chałupy, posługując się dość zręcznie tonem, jakiego się zwykło używać przy wydawaniu rozkazów, Witterer wtajemniczał Wedelmanna w sytuację i informował go, jak ją widzi. Był zdecydowany nie dopuścić do tego, aby powstała jakakolwiek wątpliwość, że pogląd jego jest słuszny.

– Drogi panie poruczniku Wedelmann – wywodził – wkrótce zastygłe fronty znowu się poruszą i wtedy nareszcie przejdziemy na nowo do wojny ruchowej.

– Ma pan rację – powiedział Wedelmann starając się nie zabarwiać swych słów ironią. – To się może zdarzyć.

– Uważa pan, że bateria jest gotowa?

– A cóż jej pozostaje innego?

– Więc dobrze, drogi poruczniku Wedelmann, niech pan sobie spokojnie uważa, że bateria jest gotowa. Zapytam więc jeszcze o jedno: czy jest również przygotowana?

– Wydaje mi się, że jest na ogół przygotowana do wszystkiego.

– Ale czy przygotowanie to było przeprowadzane systematycznie?

– Bądź co bądź przez kilka miesięcy prowadziliśmy wojnę ze wszystkimi szukanami.

– Przypuśćmy! Ale potem przyszedł kilkumiesięczny sen zimowy i wszystko zostało zapomniane.

– Wedle mojej oceny staniemy na wysokości zadania w ciągu jednego dnia. Prawie dziewięćdziesiąt procent naszych żołnierzy ma zaprawę bojową.

– Nawet tego można się oduczyć! Kto się oduczył wykonywać przepisowo zwroty, mógł się oduczyć i tego, jak się zadaje przeciwnikowi bobu. Czy nie jest to dla pana oczywiste?

– W pewnej mierze tak – powiedział porucznik ostrożnie. – Nie należy jednak rozpętywać burzy. Front to nie plac ćwiczeń, przemocą nie da się tu nic zrobić. Przepisy

nadają się często tylko na papier klozetowy.

– Panie Wedelmann, wojna nie jest przecież dzieciinną zabawką.

– Komu pan to mówi? – zapytał porucznik z odrobiną rezygnacji.

– Chodzi mi o rzecz następującą – powiedział Witterer akcentując każdą sylabę. – Liczę się z pańskim poparciem albo przynajmniej z pańską zgodą, jeżeli przystąpię teraz do tego, aby baterii przywrócić sprawność bojową.

Zjawił się kapral Krause z meldunkiem, że wszyscy wezwani się zebrali. Wybębnił głośno ten swój krótki meldunek. Wedelmann był zdziwiony.

– W takim razie rozpoczniemy – powiedział ochoczo Witterer. – Dawać ich tutaj!

Krause zaszalutował. Ale jeszcze nie wychodził. – Czy ogniomistrza Ascha również? – zapytał.

– Jest tutaj? Myślałem, że organizuje występ artystów.

– Już wrócił, panie kapitanie. Ma tam jechać dopiero jutro.

– Jakie jest pańskie zdanie, panie poruczniku? – zapytał Witterer, dając wyraźnie do zrozumienia, że oczekuje odmowy.

– Ogniomistrz Asch – oświadczył Wedelmann ze spokojem – jest wyznaczony w baterii do zleceń specjalnych. Przynajmniej jeszcze na razie. Wedle panujących zwyczajów powinien więc brać udział w odprawie.

– Jeżeli jest pan tego zdania... – powiedział Witterer powoli nie mogąc zrozumieć, że porucznik tak łatwo zrezygnował z szansy dostosowania swych poglądów do zdania dowódcy.

– Niezależnie od tego ogniomistrz Asch jest doświadczonym żołnierzem. Zawsze dobrze jest usłyszeć jego opinię.

– Na co właściwie czekacie? – zapytał lekko rozdrażniony kapitan Krausego. – Może nareszcie zaczniemy.

Dowódcy – działonów i cekaemów, drużyny łączności, amunicyjnej i żywnościowej, szef baterii i podoficer samochodowy oraz Asch i Krause, obaj wyznaczeni do zleceń specjalnych – wsunęli się do wąskiego pomieszczenia. Razem z nimi wlaźł najspokojniej w świecie, jak by się to rozumiało samo przez się, bombardier Kowalski.

Na znak dany przez Witterera zebrani spróbowali usiąść. Niektórzy, wśród nich oczywiście Soeft, zdobyli stołki, pozostali rzucili się na słomę pokrywającą większą część podłogi. Ciasna izba była teraz szczelnie wypełniona ludźmi. Szła od nich dojmująca woń potu i znoszonych łańców.

– Otwórzcie okno, Krause – powiedział ogniomistrz Asch. Krause ociągał się przez chwilę, spoglądając pytająco na kapitana Witterera zagłębionego w swych notatkach.

– Czy ostatnio źle słyszycie, kapralu Krause? – zapytał ogniomistrz Asch.

Krause, mrużąc coś niewyraźnie, pchnął okno. Kowalski uśmiechnął się rozkosznie. Podoficerowie śledzili tę scenę nie bez zainteresowania.

Kapitan Witterer podniósł wzrok. – Moi państwo – powiedział – zbyt długo już le-
niuchowaliśmy.

– Kogo on właściwie przez to „my” ma na myśli? – zapytał półgłosem Kowalski.

– Wkrótce zacznie się tu znowu taniec i do tego, zdecydowani na wszystko, musi-
my się przygotować.

– Czy można zapalić? – zapytał Soeft w nagłym przypływie poczucia dyscypliny.
Wielkie słowa nastrojały go zwykle nieco uroczyście, co naturalnie nie miało żad-
nych skutków praktycznych.

– Oczywiście – powiedział Witterer. – Po co to głupie pytanie?

Soeft wyciągnął swą skórzaną papierośnicę, jak zwykle wypełnioną po brzegi, i
zaczął częstować obecnych. zaproponował cygaro również kapitanowi Wittererowi,
ale ten lakonicznie podziękował. Kowalski wypluł odgryziony koniec swego cygara.

Rozległ się trzask zapalek. Po chwili przez małe okno popłynęły gęste kłęby
dymu.

– Chodzi więc teraz o to – powiedział Witterer energicznym tonem – żeby znowu
postawić tu wszystko na nogi. I to w jak najkrótszym czasie. Dziś jeszcze zarządę w
baterii alarm ćwiczebny. Powtórzmy go jutro przed południem i tak parę razy, aż
do uzyskania pogotowia marszowego. Z całym materiałem. Bez wyjątku.

– Wykluczone – powiedział Soeft z przekonaniem. – W takim razie musiałbym
przedtem rozwiązać mój kołchoz.

– Co byście musieli? – zapytał Witterer, myśląc, że się przesłyszał. – Rozwiązać
wasz kołchoz? Cóż to ma znaczyć?

– Kapral Soeft – wyjaśnił Wedelmann – zorganizował dla baterii w ciągu zimy
coś w rodzaju fermy. Dzięki temu byliśmy w dziedzinie wyżywienia prawie samo-
wystarczalni.

Soeft skinął głową nie bez dumy. Witterer patrzył na niego jak na czarodzieja. – O
tym pomówimy jeszcze szczegółowo we właściwym czasie.

– Chętnie, panie kapitanie – wyraził Soeft swą gotowość. Witterer, który jeszcze
nie opanował całkowicie swego zdumienia, z trudem odnalazł przerwany wątek. – A
więc alarm ćwiczebny, aż do pełnej gotowości marszowej. Powtórzmy go dwa, trzy
razy, dopóki nie osiągniemy terminu półgodzinnego. To chyba będzie zupełnie wy-
starczające.

Ogniomistrz Asch zamierzał wysunąć jakieś zastrzeżenie, ale siedzący naprzeciw-
ko niego Wedelmann potrząsnął głową. Asch wzruszył ramionami i nie powiedział
ani słowa.

– Zajmijmy się teraz pytaniem, jakie jest normalne dzienne zużycie amunicji –
powiedział Witterer.

– Pan kapitan zechce wybaczyć – odezwał się Wedelmann tonem jak najbardziej
poprawnym, świadomie dając podwładnym dobry przykład – ale określenie to jest u
nas całkowicie nieznane.

– Przecież obliczacie chyba pewną przeciętną dziennego zużycia materiałów.
– Każde takie obliczenie – odpowiedział Wedelmann zachowując poprawny ton –
byłoby niedokładne. Z pewnością ma pan na myśli normy zużycia materiałowego.

– Nie czepiajmy się słów – zawołał Witterer z niezwykłą dla niego wielkodusznością: – Chcę wiedzieć, na jak długo starczy nam paliwa?

– Na jakieś dwa tygodnie.

– A amunicji?

– Mniej więcej na miesiąc.

– A żywności?

– Na jakieś trzy, cztery miesiące – powiedział Soeft ze spokojem.

Witterer znowu obrzucił Soefta zdumionym spojrzeniem. Po chwili wrócił do równowagi i powiedział: – Wedle moich informacji dowóz funkcjonował na ogół dobrze. Magazynowanie zapasów na okres dłuższy niż dwa tygodnie jest niepotrzebne. Mamy zatem, moi państwo, za dużo amunicji.

Zebrani milczeli czekając, co będzie dalej. Wedelmann zdradzał niepokój. Asch wysunął podbródek.

– Powietrze tutaj można by krajać nożem – powiedział po jakimś czasie starszy ogniomistrz Bock. – Poza tym jest mi za gorąco. – Po tych słowach zdjął płaszcz.

Większość poszła za jego przykładem. Witterer zdjął również swój płaszcz. Lśniący od czystości, doskonale uszyty mundur raził przerażającym brakiem orderów i odznaczeń.

– Na czym to stanęliśmy? – zapytał kapitan.

– Na amunicji – wtrącił Krause. – Wedle obliczeń pana kapitana mamy jej za dużo na dwa tygodnie.

– Lepiej za dużo niż za mało – odezwał się Wedelmann.

– Moi państwo – powiedział Witterer – przekonałem się, że amunicja gnije. Po prostu gnije.

– Magazynujemy ją w myśl przepisów, panie kapitanie – odparł wyzywająco spokojnie Asch.

– Mamy tu celów pod dostatkiem. Właśnie niedawno przekonałem się o tym oboiście. Dlaczego nie ostrzeliwujemy ich? Przecież amunicji jest dosyć!

– W dodatku – wtrącił Krause – przeciwnik nie posiada na naszym odcinku artylerii.

Asch spojrział na Wedelmanna. Ten uchylił się od jego spojrzenia. Zdawał się przyglądać swoim kościstym palcom, które trzymał na kolanach.

– Panie kapitanie – powiedział Asch – od tygodni nie padł na naszym odcinku ani jeden strzał. Poza regularnym wstrzeliwaniem karabinów maszynowych i pojedynczymi strzałami do włóczących się psów.

– Dowodzi to tylko, że się tu śpi głęboko – stwierdził Witterer. – I to po obu stronach.

– O kilkaset metrów przed nami siedzi piechota. Częściowo w nędznych i błotnistych jamach. Kiedy następuje zmiana, żołnierze szukają schronienia w kilku pobliskich chałupach. Naprzeciw naszej piechoty, w polu obserwacji, rozlokowany jest w tych samych warunkach nieprzyjaciel. I on ma swoje chałupy. W tej sytuacji piechota nasza uważa walkę ogniową za nonsens.

– Od kiedy to przyczynianie strat wrogowi jest nonsensem?

– Nieprzyjaciel, panie kapitanie, może nas przyprawić o takie same straty.

– O tym, że podobne rzeczy dzieją się na wojnie codziennie, ogniomistrz zapewne jeszcze nie słyszał?

– Panie kapitanie – powiedział Asch – każde działanie bojowe musi przecież mieć sens. Albo jest się zmuszonym do obrony własnej pozycji, albo istnieje zamiar przepędzenia nieprzyjaciela z pozycji zajmowanych przez niego. Żadna z tych ewentualności nie zachodzi. W naszej sytuacji każde odosobnione działanie jest nonsensem. Piechota dokładnie to zrozumiała. Na przykład nie ostrzeliwuje rosyjskich żołnierzy niosących pożywienie, a Rosjanie nie ostrzeliwiają naszych.

– Czy mamy tu jeszcze właściwie wojnę – zapytał ironicznie Witterer – czy też bawimy się w grę „Człowieku, nie irytuj się”?

– Unikamy niepotrzebnego, przelewu krwi, oto wszystko.

– I przy tym zapominacie w swoim humanitaryzmie, że mamy nad nieprzyjacielem przewagę w artylerii.

– To może w ciągu nocy ulec zmianie – odpowiedział Asch nie dając się zbić z tropu. – Gdybyśmy przeciwnikowi rozbili jego rowy i schrony, ściągnąłby swą artylerię i rozwaliby nasze. Żołnierze musieliby siedzieć wyłącznie w swych jamach.

– Ogniomistrz Asch – powiedział Witterer ostro. – Brak wam odpowiedniego hartu. Poza tym wydaje się, że brak wam również ducha bojowego. Daje mi to dużo do myślenia. Przecież nie po to prowadzimy wojnę, żeby w spokoju spożywać posiłki. U nas strzela się ostro!

– Moim zdaniem – wtrącił ze spokojem Wedelmann – nie należy podejmować żadnych działań samodzielnych bez porozumienia się z dowódcą piechoty naszego odcinka frontu.

– Zaraz go odszukam – zapewnił Witterer. Spojrzał na swoich podwładnych, szczerze zmartwiony, że tak mało w nich bojowego ducha. I znowu powtórzył w myśli: Co za świński chlew! Przysiągł sobie, że to się musi zmienić.

– A co się tyczy ogniomistrza Ascha...

– Właśnie! Co się tyczy tego pana, to rad bym się dowiedzieć, jak dalece przygotował występy zespołu rozrywkowego.

– W zasadzie wszystko jest przygotowane – odpowiedział Asch obojętnym tonem, – Trzeba jeszcze tylko wyjaśnić pewne szczegóły organizacyjne.

– Wyjaśnijcie je więc, ogniomistrz! I to możliwie jak najprędzej. Uważam, że szybkie i gruntowne wykonywanie poleceń służbowych to sprawa o wiele ważniejsza

niż przemówienia dotyczące bardzo wątpliwych zwyczajów na froncie. Zapamiętajcie to sobie łaskawie.

– Zapamiętam to sobie – powiedział Asch z wyzywającym spokojem. – Tak jest.

Z paczuszką pod pachą szedł porucznik Wedelmann w kierunku domu, w którym mieszkała Natalia, zwana Nataszą. Kilku żołnierzy, których spotkał, uśmiechnęło się. U tych, którzy go znali, uśmiech ten był pełen serdecznego zrozumienia. Nieliczni pozostali mieszkańcy wsi udawali, że go nie widzą.

Dotarwszy wreszcie do celu minął wejście podobne do chlewu, wszedł na górę po niemile trzeszczących schodach, pozbawionych poręczy, zrobił parę kroków po podłodze z chwiejących się desek i zapukał do wąskich drzwi.

– Chwileczkę – odezwał się głos Nataszy. – Proszę trochę poczekać. Zaraz będę gotowa. – Był to głos pełny, ciepły, o nieco gardłowym brzmieniu.

– Chętnie – powiedział Wedelmann.

Miał wrażenie, że słyszy, jak dziewczyna krząta się za drzwiami. Zdawało mu się, że przesuwa jakiś ciężki przedmiot, zapewne skrzynię. Potem doszedł do niego szelst rozdieranego papieru.

Ta gorliwość dziewczyny krzątającej się za drzwiami tak głośno, że słysząc ją było nawet w na wpół walącej się sieni, wywołała na twarzy Wedelmanna uśmiech. Takie już są kobiety – myślał. – Wszędzie, na całym świecie! Porządkują, robią się na bóstwo; bliskość mężczyzny, obojętnie jakiego, alarmuje je automatycznie. Tak, kobiety są już takie, Wedelmann myślał o tym nieraz.

Z tych rozmyślań wyrwało go spojrzenie pary ciekawych oczu spod bezładnej jasnej czupryny. Oczy te, które przyglądały mu się badawczo, należały do twarzy dziecka. Była to twarz dziewczynki wyglądającej na lat dziesięć.

– No i co mi powiesz? – zapytał przyjaźnie Wedelmann.

– Ty świński ryju – powiedziała dziewczynka po niemiecku, tonem niemniej przyjaznym.

Wedelmann był zdumiony. – Co to znaczy? – zapytał. – Czego chcesz? Mówię ci „dzień dobry”. – Powtórzył te słowa bardzo ciepło i serdecznie.

– Dzień dobry, świński ryju – powiedziało dziecko z nie mniejszą serdecznością.

Wedelmann, rozgniewany, potrząsnął gwałtownie głową. Co się tu dzieje – pytał sam siebie. Ale nie umiał na to pytanie odpowiedzieć. Taka jest Rosja – pomyślał. Potem znowu zapukał do wąskich drzwi.

– Zaraz! – zawołała Natalia. – Proszę o trochę cierpliwości. A więc – mówił sobie – pragnie zrobić dobre wrażenie, nie chce, żebym ją zaskoczył. Te kobiety! Ale właściwie dlaczego to robi? Nie ma to praktycznego sensu, bo ostatecznie jest niedostępna. A swoje zamiary mógł Wedelmann określić jako uczciwe. Przecież w ciągu pierwszego kwadransu powiedziała mu wyraźnie, że może tu jedynie być mowa o czystej, raczej duchowej przyjaźni, przy czym słowo „przyjaźń” było określeniem raczej przesadnym. I mimo to, mimo to! Co ma właściwie na celu każąc mu tak dłu-

go czekać? Zdaniem Wedelmanna była to czysta kokieteria.

Natalia otworzyła drzwi. Oddychała z trudem, oczy jej lśniły, pełna twarz była lekko zarumieniona. Włosy opadały trochę bezładnie na czoło.

Wedelmann był nieco rozczarowany: a więc nie zrobiła się dla niego na bóstwo. Jeżeli jednak nie przygotowywała się na jego wizytę, to co robiła za drzwiami?

Poprosiła go do swego pokoiku, a właściwie do swojej komórki. Znał tych parę sprzętów, które się tu znajdowały: łóżko, stół, na nim kilka książek i zeszytów, rozklekotane krzesło, piec. W kącie płaska skrzynia, przykryta czystym papierem gazetowym. Wszystko bardzo prymitywne, ale czyste. Przyjemnie czyste.

– Niech pan usiądzie – powiedziała szkolną niemczyzną. – Proszę.

Usiadł ostrożnie na łóżku. Już przy pierwszej wizycie Natalia wskazała mu to miejsce, motywując to tym, że krzesło może się pod nim załamać.

– Napije się pan herbaty? – zapytała.

Skinął głową i przyglądał się bacznie, jak się krząta koło stojącego na piecu kociołka. Miała szerokie ramiona, była dobrze zbudowana. Ale to – powiedział sobie lojalnie Wedelmann – nie powinno mnie interesować.

– Miałam prawdziwy samowar... – rozpoczęła.

– Wiem – powiedział Wedelmann. Był zadowolony, że może zająć swe myśli czymś, innym. – Wiem o tym. Miała pani prawdziwy samowar! Niemcy go zarekwirowali. Poza tym miała pani kilka filiżanek i szklanek. I to zarekwirowali Niemcy. Teraz ma pani tylko jedną szklankę i jedną filiżankę. Wiem o tym wszystkim.

– Jest pan nie w humorze? – zapytała Natasza bacznie mu się przyglądając. – Jest pan zirytowany. Czy gniewa się pan na samego siebie? A może ma pan zmartwienie? Stało się coś?

– Co się może stać świńskiemu ryjowi? – powiedział Wedelmann starając się uśmiechnąć.

– Ach! – zawołała Natalia. – Spotkał pan naszą biedną małą.

– Przyszła tu za mną.

– Niech się pan na dziecko nie gniewa. Ktoś nauczył ją tych brzydkich słów.

– Zapewne Niemcy.

– Na pewno. Bo któż by inny? Dziecko nie wie, co mówi. Zna tylko te dwa niemieckie słowa. Mówi je każdemu Niemcowi. Niech się pan na biedną małą nie gniewa.

– Zapewne Niemcy zabili jej rodziców!

– Tak! – odparła Natasza. – Zgadł pan.

Wedelmann wziął filiżankę, którą mu podała. Nie mówiąc ani słowa umieścił ją na swoich kolanach. Choć się przeciw temu bronił, spoglądał na dziewczynę z przyjemnością.

Natalia była średniego wzrostu, dosyć pełna, miała jednak dobrą figurę. Ręce o długich palcach zdradzały z trudem opanowywaną nerwowość. W ciemnych oczach

tlify się równocześnie tkliwość i chłód.

– Pani nienawidzi nas wszystkich, prawda?

Natalia potrząsnęła głową. – Nie to. Ale jakżeż mogę was kochać?

– Nawet nie próbuje nas pani zrozumieć?

– Dlaczego musicie być tutaj?

– Dajmy temu spokój. Mówienie o tym jest bezcelowe. Rozmawiajmy o czymś innym.

– Nie ma nic innego!

Wedelmann odstawił ostrożnie filiżankę, wyciągnął z kieszeni płaszcz niedużą paczkę, ofiarowaną mu przez Soefta, i podał ją Natalii.

Wahała się. Ręce jej zdrząły jeszcze bardziej nerwowo niż dotychczas. Potem powiedziała: – Nic za to nie dałam. Co mam w zamian zrobić?

– Nic – odparł Wedelmann – zupełnie nic. – Czyż nie rozumiała, jak bardzo jest jej oddany, i to, zdaniem jego, zupełnie bezinteresownie. – Niechże pani to weźmie. Jako podarunek. To czekolada.

Wyciągnęła rękę. – Tylko jako podarunek? Bez żadnego zobowiązania? – zapytała.

– Ależ oczywiście! – zawołał Wedelmann szczerze przerażony jej nieufnością. – Przecież pani również mnie obdarowuje. Nie czuje pani tego?

– Ja pana obdarowuję? Czymże to?

– Swoją obecnością. Tym, że wolno mi być tutaj. U pani jestem w innym świecie. Zapominam, co się dzieje poza chatą, w której pani mieszka. Oddycham inaczej. Jestem innym człowiekiem. To wielki podarunek!

Sięgnęła po filiżankę, którą odstawił, pochyliła się nad nim tak blisko, że poczuł na twarzy jej oddech, i podała mu filiżankę z powrotem ze słowem „dziękuję!”

Wedelmann rozlał trochę herbaty podnosząc filiżankę do ust. Roześmiała się; uśmiechnął się również. Potem nagle oblała się pąsem, jak gdyby przestraszyła się samej siebie.

Ktoś zapukał lekko i nieśmiało. Natalia wstała spieszenie, podeszła na palcach, do drzwi i otworzyła je ostrożnie. Wyjrzała na schody. Potem, z wyraźnym uczuciem ulgi, poznawszy przybysza, zamieniła z nim bardzo przyjaźnie kilka słów po rosyjsku i otworzyła drzwi na oścież.

W drzwiach stała mała dziewczynka o ciekawych oczach, których nie odrywała od Wedelmann. Natalia wciągnęła ją do pokoju.

Mała, okryta czymś w rodzaju worka, bardzo zmieszana, przestępowała z nogi na nogę. Przycisnąwszy rączki do brzucha nie spuszczała oczu z Wedelmann. Potem uśmiechnęła się ufnie i wzruszająco i powiedziała dziecinnie: – Świński ryju.

– Dziecko lubi pana – odezwała się Natalia. – Słyszę to właśnie – odparł niepewnie Wedelmann.

Natalia otworzyła paczuszkę, którą przyniósł Wedelmann, ułamała kawałek cze-

kolady i podała go małej. Zachwycone tym dziecko wyciągnęło rękę, wzięło czekoladę z widocznym podnieceniem i wyjąkawszy kilka słów zaczęło ją chciwie zjadać.

Natalia popchnęła ją łagodnie w stronę Wedelmanna mówiąc coś do niej po rosyjsku. Dwukrotnie powtórzyła po niemiecku „dziękuję”.

Dziecko wyciągnęło rączkę w stronę Wedelmanna i powiedziało grzecznie: – Dziękuję, świński ryju.

Wedelmann drgnął, spojrzał na Natalię bezradnie i gniewnie zarazem. Natalia skinęła mu przyjaźnie głową. Ujął rączkę dziecka starając się zrobić to jak najdelikatniej.

Po chwili uszczęśliwiony dzieciak wybiegł z komórki.

– Czasami to wcale przyjemnie – powiedział Wedelmann z goryczą – być świńskim ryjem.

– Proszę się nie gniewać. – Natalia ostrożnie położyła dłoń na jego rękę.

Ręce, jego ujęły jej palce, potem sięgnęły do przegubów jej rąk i do ramienia.

Wyrwała się gwałtownym ruchem. Filiżanka upadła na podłogę i stłukła się. – Nie! – zawołała. – To nie, proszę! To nie! – I dodała ledwie dosłyszalnie: – Proszę!

Wedelmann był zmieszany. Wyprostował się sztywno i cofnął. – Proszę mi wybaczyć – powiedział. – Nie chciałem pani sprawić przykrości. Zachowałem się jak...

Zapukano gwałtownie do drzwi. Wedelmann przeląkł się. Nie słyszał nadejścia osoby, która pukała, a powinien był ją usłyszeć ze względu na trzeszczące deski klatki schodowej.

Natalia również odczuwała zakłopotanie. Nerwowymi palcami wygładziła suknię, choć wszystko było w porządku. Na jej pełnej twarzy ukazał się lekki rumieniec. Zanim zdążyła coś powiedzieć, drzwi otworzyły się ostrożnie.

Wsunął przez nie głowę ogniomistrz Asch. – Może przeszkadzam? – zapytał.

– Ależ nie! – zawołali niemal równocześnie Natalia i Wedelmann.

Asch uśmiechnął się przyjaźnie. – Bardzo mi przykro – powiedział – ale naprawdę nie można tego było uniknąć. Pułkownik chce ujrzeć pańskie oblicze, panie poruczniku. I to możliwie prędko.

– Już idę – powiedział Wedelmann i podniósł się z miejsca. Był rad, że mógł w ten sposób znaleźć wyjście z niezwykle kłopotliwej dla niego sytuacji.

Asch tymczasem rozsiadł się wygodnie na krześle. – Takie bardzo pilne to znowu nie jest – powiedział. – Jeżeli jednak panu porucznikowi tak spieszno, nie zatrzymuję. Przyjechałem wozem pana porucznika, stoi na dole. Zastąpię tu pana godnie.

– Pojedziecie oczywiście ze mną, Asch – oświadczył Wedelmann stanowczym tonem.

– Czy to konieczne? – zapytał Asch przypatrując się Natalii życzliwie.

– Czy możemy panią pożegnać, panno Natalio? – zapytał Wedelmann jak dobrze wychowany kawaler, udając nie bez pewnego trudu, że nie widzi zdumionych spoj-

rzeń Ascha.

– Niech pan wkrótce przyjdzie znowu, bardzo proszę. – rzekła Natalia półgłosem.

– Do widzenia, Nataszo! – powiedział Asch z uśmiechem. – Czekam na dole – zawołał do porucznika wychodząc.

Wedelmann wyszedł za nim do sieni. Zeszli ostrożnie po schodach pozbawionych poręczy. W otwartej bramie stało rosyjskie dziecko i patrzyło na Wedelmanna rozpromienionymi oczyma.

– Do widzenia, świński ryju – powiedziała mała serdecznie.

– Do widzenia, łobuziaku – odparł Asch ze spokojem.

Wedelmann czekał, aż się Asch oddali. Potem wsiadł do otwartego wozu i kazał się zawieźć w poblizę miasteczka przyfrontowego, do pułkownika Luschke.

Podczas gdy samochód pełzał po wyjeżdżonych koleinach, myśli jego krążyły dookoła Natalii, którą Asch nazywał po prostu Nataszą. I to zaledwie po pięciu minutach znajomości. Jakże nieskomplikowany był ten Asch!

– Czy najpierw do sztabu pułku, czy też od razu do dowódcy? – zapytał kierowca. Musiał powtórzyć swe pytanie, zanim otrzymał odpowiedź.

– Wprost do pułkownika Luschkego.

Wóz włókł się po rozjeżdżonej drodze. Chmury wisiały nisko. Niebo było napompowane ciężkim, wilgotnym, wiosennym śniegiem. Wedelmann myślał bez przerwy o Natalii.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział kierowca. Wedelmann wyskoczył z wozu. – Zagrzejcie się w sztabie pułku. Kiedy tu skończę, przyjdę po was.

Wszedł do drewnianego domu, w którym dowódca pułku miał swój pokój. Zastał Luschkego pochylonego nad stołem z mapami.

– Niech pan podejdzie bliżej, poruczniku Wedelmann! – zawołał Luschke. – Oto mapa naszego odcinka. Co pan widzi?

– To samo, co przed trzema miesiącami, panie pułkowniku.

– Staje się pan coraz dowcipniejszy, poruczniku. Odnoszę wrażenie, że mózg pański powoli zamarza. Ale będziemy mieli odwilż, mój drogi. To daje mi w stosunku do pana pewne nadzieje.

Wedelmann uśmiechnął się ostrożnie. Luschke odpowiedział mu chytrym uśmiechem. Rozumieli się dobrze, ale uważali za całkowicie zbyteczne mówić o tym ze sobą.

– Cóż więc pan widzi naprawdę, poruczniku?

– Ciągle jeszcze ten sam stary nonsens, panie pułkowniku. Na naszym odcinku front się wybrzusza. Armia wbiła tu przeciwnikowi tępy klin, znajdujemy się mniej więcej na końcu tego klina. Cofnięcie frontu na naszym odcinku wyrównałoby go. Wzmocniłoby to automatycznie nasze pozycje i odciążyło oddziały.

– Będzie pan zdumiony: armia to już także zauważyła.

– Jestem zdumiony, panie pułkowniku.

– Armia zrozumiała, że lepiej będzie zacząć ofensywę wiosenną możliwie zmasowanym uderzeniem i bez sprawiających kłopot wybrzuszeń frontu.

– A więc z wyrównanego odcinka frontowego.

– Jak by pan zgadł, poruczniku Wedelmann – powiedział Bulwa i z zadowoleniem skinął głową swemu ukochanemu uczniowi. – Zanim tu zacznie się nowa awantura, oderwiemy się od przeciwnika i obsadzimy dalej w tyle nową, prostą pozycję.

Wedelmann przyglądał się mapie w zamyśleniu. – Ponieważ my wyskoczyliśmy tutaj najdalej, toteż my będziemy musieli cofnąć się najbardziej. Sądzę, że o jakieś czterdzieści kilometrów.

– Mniej więcej. Poszukamy nowych pozycji bardziej w tyle. Kiedy zostanie to już ustalone, otrzyma pan dokładne dane. Potem pewnej nocy cofniemy się; zupełnie niespodziewanie, tak żeby Rosjanie nic nie zauważyli.

– Dziecinna zabawka – powiedział Wedelmann z przekonaniem.

Luschke zmrużył oczy. – Może dla pana. Ale czy również dla kapitana Witterera? Jest bardzo niedoświadczony.

– Wyrównuje to swoją energią, panie pułkowniku.

– Miejmy nadzieję – powiedział Luschke zamyślony. – Dopóki pan jest przy baterii, wiele zdarzyć się przecież nie może. W każdym razie, poruczniku Wedelmann, jest to sprawa tajna. Na razie w pułku plan ten znamy tylko my dwaj. Proszę o tym pamiętać, kiedy pan z całą ostrożnością zacznie robić przygotowania. Pańska bateria opuści teren ostatnia, razem z piechotą.

– Moja bateria? Pan pułkownik ma na myśli baterię kapitana Witterera?

– Drogi poruczniku Wedelmann – powiedział Luschke i uśmiechnął się sardonicznie. – Niech się pan nie zgrywa na obrażoną primadonnę. Kiedy dojdę do przekonania, że trzecia bateria będzie się mogła obyć bez pana, dowie się pan, na jakie stanowisko pana przeznaczyłem. Wtedy twarz pańska będzie miała wyraz jeszcze głupszy niż teraz, o ile to w ogóle jest możliwe. Do tego czasu, Wedelmann, niech się pan łaskawie trzyma w ryzach. Zdaję się na pana w zupełności.

Kaprale Bartsch i Ruhnau, „bracia sjamscy tyłów”, raczyli wziąć Vierbeina pod swoją opiekę utrzymawszy od niego trybut w postaci butelki wódki. Podczas obiadu zapoznali go z pierwszymi tajemnicami frontu w ojczyźnie.

– Musisz się stać nieodzowny – powiedział Ruhnau.

– Musisz być także możliwie niewidoczny – dodał Bartsch. Vierbein mieszał łyżką swój jednodaniowy posiłek i potakiwał bez specjalnego zainteresowania, raczej z czystej życzliwości. Nie chciał sprawiać przykrości obu „nocnym myśliwcom” – jak Bartsch i Ruhnau lubili się określać.

– Zarządzam maskami przeciwgazowymi – powiedział Ruhnau. – To murowany interes.

– A ja jestem zarządcą hal – dodał Bartsch. – Dopóki stoją koszary, siedzę mocno w siodle.

– A jeśli przyjdzie nalot? – zapytał Vierbein właściwie tylko po to, żeby pokazać, iż bierze udział w rozmowie i potrafi ocenić zaufanie okazywane mu przez „braci sjamskich”.

– Bomby! – zawołał Bartsch z lekkim przerażeniem. – Pozbawiłoby mnie to chleba.

– Gdyby to przynajmniej były bomby gazowe... – powiedział marzycielsko, Ruhnu. Nagle coś mu zaświtało w głowie. Zrozumiał, że skutki ataku gazowego przyniosłyby mu kwitnącą koniunkturę.

– Ależ człowieku, wtedy zaczęłyby się u mnie szalony ruch. Zapewne musiałbym nawet rozbudować interes. Całe koszary mogłyby stać się jednym składem masek, przeciwgazowych. W każdym razie miałbyś, Bartsch, nowe, bardzo intratne zajęcie.

– Nie chcę zajęcia. Chcę stanowiska.

– To właśnie mam na myśli.

Bartsch kiwnął ręką na kelnerkę i obrzuciwszy ją zachęcającym spojrzeniem wsunął jej w rękę pusty talerz. Kelnerka ulotniła się natychmiast. Vierbein nie mógł zrozumieć, jak sobie wytłumaczyć to, czego przed chwilą był świadkiem, na stole bowiem stała przed nim prawie pełna waza zupy.

Kelnerka zjawiała się po chwili i postawiła przed Bartschem wypełniony po brzegi talerz. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że przyniosła to samo danie, które jedli wszyscy. Kiedy jednak kapral puścił w ruch łyżkę, pojawiły się grube kawały mięsa.

– Szef kuchni chciał się wykręcić – powiedział Ruhnu i kiwnął głową. Bartsch zrobił to samo. Rozumieli się całkowicie.

Vierbein pozwolił sobie na następującą uwagę: – Jak na zarządzającego maskami przeciwgazowymi i halami macie tu niemały zasięg wpływów. Jak wy to właściwie robicie?

Ruhnu zapytał: – Czy na pewno nie zostaniesz tutaj?

– Nie. Na pewno.

– I nie chcesz zarządzać ani maskami, ani halami? – zapytał Bartsch. – Ani teraz, ani później?

– Nigdy, daję na to słowo.

– No to dobrze.

„Bracia sjamscy”, którzy czuli się teraz jak „degustatorzy”. pałaszowali wytrwale, choć bez wyraźnej satysfakcji. Bartsch był pochłonięty wyławianiem kilku tłustych kawałków mięsa. Ruhnu szerokim łukiem rzucił za siebie obgryzioną kość.

Potem jeden z cwaniaczków powiedział: – Jesteśmy tu ludźmi zaufanymi, rozumiesz?

– Nie – odpowiedział Vierbein z całą szczerością. – Nigdy o tym nie słyszałem.

– Znasz naszego dowódcę?

– Nie. Wiem tylko tyle, że się w tych dniach żeni.

– Do tego będzie się chyba jeszcze nadawał – powiedział jeden z dwójki, który

przypadkowo nie miał gęby zapchanej jadłem. Obaj cwaniacy spojrzeli na siebie z błogim uśmiechem.

Ruhnau zamówił trzy piwa i pozwolił Vierbeinowi zapłacić za nie. Bartsch uważał, że nie zaszkodziłyby i cygara. Vierbeinowi wolno było również za nie zapłacić. Towar, który osobiście przytaszczył dzierżawca kantyny, był niemal przedwojennej jakości.

– Tak to jest tutaj – powiedział Bartsch ćmiąc cygaro. – Dowódca nie ma o niczym zielonego pojęcia, nic tu nie robi.

– A adiutant – dorzucił Ruhnau łyknąwszy piwa – pomaga mu w tym.

– Dlatego dowódca potrzebuje kogoś, kto by za niego całą tę budę prowadził.

– Tym kimś jest nasz porucznik Schulz.

– Rozumiem – powiedział Vierbein pełen złych przeczuć.

– A ponieważ Schulz sam nie może dać wszystkiemu rady, potrzebuje oparcia.

– A tym oparciem jesteśmy my!

Vierbein kiwnął głową. Teraz zrozumiał. „Bracia sjamscy” nie tylko zarządzali materiałami, lecz byli również psami gończymi Schulza, służącymi do węszenia i pilnowania. Dobrali się w korcu maku.

– Jest to mianowicie tak – powiedział Bartsch, który zamówił następną kolejkę piwa, oczywiście znowu na konto Vierbeina. – Z chwilą kiedy staliśmy się tu krajowym obszarem wojennym z zakładem paliw syntetycznych, artylerią przeciwlotniczą, składem zapasowym, obozem jeńców wojennych i tak dalej, pojawiła się gwałtowna potrzeba utworzenia dowództwa.

– A któż jest godzien zostać dowódcą?” W tym wypadku dowódcą największego oddziału w garnizonie?

– Nasz matoł!

– Praktycznie rzecz biorąc, Schulz, zwłaszcza teraz, kiedy tamten arcyidiota zajęty jest swoim ślubem.

Vierbein opróżnił kufel jednym haustem. Trochę się przy tym zakrztusił; „bracia sjamscy” poklepalili go koleżeńsko po plecach.

– Nie jest to łatwa sprawa – powiedział Bartsch. – Ale dajemy sobie radę ze wszystkim.

– Po prostu jesteśmy nieodzowni – rzekł Ruhnau. – A poza tym wiemy dość dużo.

Vierbein zaczął się powoli orientować w swojej sytuacji. Gdzie spojrzeł, wyrastał Schulz. Nie był to widok pocieszający, ale nie można go było unikać. Trzeba było przyjąć Schulza jako katastrofę żywiołową. – Bardzo skomplikowane – rzekł w zamysleniu.

Obydwaj pijaczkowie byli zupełnie innego zdania. – Sprawa jest całkowicie jasna – powiedział jeden z nich. – Gdziekolwiek spluniesz, zawsze trafisz na niego.

– Na Schulza nie ma lekarstwa – oświadczył drugi z przekonaniem.

– Dowódca – zauważył pobłaźliwie Ruhnau – to typowy oficer rezerwy, nie ma

zielonego pojęcia o szkoleniu i musztrze. Schulz natomiast umie to na sto dwa.

– Tamten – rzucił Bartsch protekcjonalnie – nie ma również pojęcia o wojnie papierkowej. Ale Schulz opanował jej arkana jak nikt inny.

– Ponadto dowódca to przybysz, nikt go w tych stronach nie zna. A Schulz wahał już wszystkie tutejsze wychodki.

– Poza tym ten arcyidiota chce się żenić; tu Schulz jest mu dopiero potrzebny jak chleb powszedni. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby pierwszy potomek dowódcy miał wielkie uszy i szeroką mordę Schulza.

Vierbein uważał, że jest dostatecznie poinformowany. Przełykał z godnością pozbawione respektu uwagi zawadiaków. Powstrzymywał się od aprobaty, ale nie dawał po sobie poznać, że coś potępia. W latach swojej służby, które przedłużały się dzięki wyprawom führera, zrozumiał już, że istnieje wiele spraw między dziedzińcem koszarowym a frontem, o których lepiej milczeć.

Zamówił jeszcze jedną kolejkę piwa i oddalił się, żeby, jak wyraźnie brzmiał rozkaz, „wcześnie po południu” zameldować się w sztabie dywizjonu zapasowego. Czekał tam cierpliwie w przedpokoju dobrą godzinę, zachowując w milczeniu właściwą mu postawę i gotowość do służby. Wreszcie mógł się zaprezentować porucznikowi Schulzowi.

Schulz siedział pełen poczucia własnej godności przy tym samym biurku i w tym samym pokoju, z którego niegdyś dowódca dywizjonu Luschke miał na oku całe koszary. Odnosiło się wrażenie, że Schulz jest w pełni świadom tego honorowego miejsca, starał się nie pozostawiać nikomu żadnych wątpliwości co do tego, że zasłużył sobie na nie jak nikt inny. Wyprostowany królował w swym fotelu, rozpostarłszy szeroko ramiona, tak że ręce ogarniały niemal całe biurko.

Vierbein złożył swój meldunek. Mówił głośno, wyraźnie i wcale nie wolno. Ubiór i postawa odpowiadały dokładnie przepisom, które od czasów nieboszczyka Wilhelma właściwie nie uległy zmianie.

Schulz słuchał tego solowego występu nie bez satysfakcji i kiwnął na zakończenie głową. – Jeszczeście niczego nie zapomnieli – powiedział z uznaniem. Nie oczekiwałem też niczego innego, Vierbein. Kto raz przeszedł moją szkołę, ten nawet w masowym grobie będzie zajmował postawę na baczność; inaczej nie byłby wart nosić takiego samego munduru jak ja. – Wypowiedziawszy to, co uważał za bezwzględnie konieczne, porucznik pozostawił Vierbeina na tym samym miejscu, na którym ten stał. Schulz zajął się przerzucaniem papierów udając, że intensywnie myśli. Wiedział jednak doskonale, co chce powiedzieć; zastanawiał się nad tym długo i, jak sądził, gruntownie.

– Żądania pułku Luschkego – powiedział po chwili porucznik, wyjaśnwszy raz jeszcze, że wprawdzie zastępuje dowódcę, pochłoniętego przygotowaniami do ślubu, tylko przejściowo, ale ma wszelkie! pełnomocnictwa – tak, żądania te są formalnie w porządku.

Zrobił pauzę, spojrział przenikliwie na Vierbeina, potem popatrzył przez okno i znowu zatopił baczny wzrok w rozłożonych na biurku papierach. Ktoś niczego nie przeczuwający i pozbawiony doświadczenia w obcowaniu ze zwierzchnikami byłby pewien, że Schulz walczy ze sobą o powzięcie ostatecznej decyzji.

– Formalnie – powtórzył Schulz rozciągając każdą sylabę – wszystko jest w porządku. Teoretycznie więc przekazanie ludzi i sprzętu mogłoby nastąpić natychmiast. Jestem jednak człowiekiem praktyki, Vierbein.

Kapral nie miał odwagi zaprzeczyć. Nie ulegało wątpliwości, że Schulz to człowiek praktyki, tylko że nie każdy rozumiał to określenie tak jak on. – Muszę więc – powiedział Vierbein ostrożnie – zameldować panu pułkownikowi Luschke...

– ...że wszystko jest w najlepszym porządku – dorzucił Schulz.

Teraz Vierbein nic już nie rozumiał i pozwolił sobie dać temu wyraz. Schulz uśmiechnął się wyniośle, bez cienia serdeczności.

– Jako człowiek praktyki – oświadczył grzmiącym głosem – nie mogę zadowolić się jedynie dostarczeniem ludzi i materiału. Chcę dostarczyć wyszkolonych ludzi i wypróbowanego materiału. Potraficie zrozumieć, Vierbein, co mam na myśli?

– Zdaje mi się chyba, że tak – powiedział Vierbein nie zadając sobie trudu, by ukryć zdziwienie.

Porucznik Schulz, zatopiony całkowicie w rozmyślaniach, które uważał za głębokie i zasadnicze, udał, że nie dosłyszał niestosownego sposobu wyrażania się Vierbeina.

– Kapralu Vierbein – powiedział Schulz z druzgocącą logiką. – Przecież nauczyliście się czekać, więc będziecie czekać! Naprzód musi być zakończone przeszkolenie żołnierzy, musimy również wypróbować sprzęt; potem dopiero będę mógł wziąć na siebie odpowiedzialność za postawienie ludzi i sprzętu do dyspozycji frontu.

– A kiedy to nastąpi, panie poruczniku?

– Za jakieś cztery, pięć dni. Urządzamy tutaj ostre strzelanie. W dwadzieścia cztery godziny później pułk otrzyma wszystko, czego potrzebuje.

– Zamelduję to panu pułkownikowi Luschke – oświadczył Vierbein. Przywiązywał wagę do tego, by dać do zrozumienia, że złożenie takiego meldunku pułkownikowi mogłoby się stać niebezpieczne.

Schulz, który nie orientował się, co było nie do przebaczenia, w stosunkach i kontaktach, jakimi dysponował Luschke, przyjął to oświadczenie ze spokojem. I pomyślał: Zamelduj to sobie, mój drogi. Poczta do Rosji idzie co najmniej tydzień. Zanim Bulwa wywacha pasztet, który zrobię z tego Vierbeina, stanie się tutaj – tak jak zresztą być powinno – to, czego ja chcę.

– Przez ten czas – powiedział Schulz zacierając ręce – będziecie u nas zatrudnieni. Nie zaszkodzi wam to. Ostatecznie aż do załatwienia zleczonej sprawy jesteście odkomenderowani do dywizjonu zapasowego. A dywizjon zapasowy to, mój drogi, w tej chwili ja!

Vierbein stał jak słup wbity w ziemię. Na razie nie mógł nawet konsekwentnie myśleć. Wlepił oczy w Schulza, co tamten uważał za dowód oddania.

– Znajdziemy już dla was coś właściwego – obiecali porucznik. – Idiotą przecież nie jesteście.

– Czy mogę prosić pana porucznika o urlop na dzisiejsze popołudnie? – zapytał Vierbein z zachowaniem wszelkich przepisowych form.

– Dlaczego nie! – zawołał Schulz. – Ostatecznie nie jesteśmy potworami. Przybywacie z frontu, chcecie się nareszcie wyszaleć. Mam dla tych rzeczy pełne zrozumienie. Ale bądźcie ostrożni, przyjacielu, nie złapcie trypra czy czegoś w tym rodzaju. W takich sprawach nie ma ze mną żartów, Vierbein. Zasadniczo zamykam za to do paki, gdyż uważam, że jest to samookaleczenie. Zrozumiano?

Schulz zwolnił go wreszcie, dodając jeszcze na podstawie swych przebogatych doświadczeń, że w dzisiejszych czasach trzeba być ostrożnym nawet z męczatkami i narzeczonymi, nikt bowiem nie może wiedzieć dokładnie, „dokąd sięgnęła wojna”.

Vierbein, szczęśliwy, że na razie wymknął się Schulzowi, opuścił w pośpiechu koszary. Niemal biegiem pośpieszył do kawiarni Ascha. Nie zwracał uwagi na spotykanych ludzi. Nie zauważył nawet wczesnej wiosny, która siedziała już na drzewach; jego uwagi nie uchodzili jedynie przełożeni.

W kawiarni Ascha czekano już niecierpliwie na „urlopnika”. Ingrid, w każdym calu narzeczona wojenna, rzuciła mu się na szyję, objęła go gwałtownie i ucałowała. Potem odsunęła go nieco od siebie i przyglądała mu się promiennym wzrokiem. Na widok Krzyża Żelaznego ucałowała go po raz drugi.

– Jestem z ciebie bardzo dumna – powiedziała czule.

– A ja cieszę się, że pan przyjechał – powiedział Asch i wyciągnął do Vierbeina rękę. – Fakt, że jest pan w dodatku bohaterem, nie przeszkadza mi wcale.

Po chwili zaprowadzono Vierbeina przez na pół pusty o tej porze lokal do mieszkania na pierwszym piętrze. Ingrid trzymała go za rękę, Asch otoczył go ramieniem.

– Opowiadaj! – powiedziała Ingrid, ledwie zdążyli usiąść.

– Musi przede wszystkim jeść – powiedział Asch. – Jeść i pić. Znam to.

– Za chwilę będę musiał odejść – oświadczył Vierbein z zapałem, przekonany, że słowa te zrobią wrażenie. – Muszę przekazać dalej ważny meldunek.

– Przecież i jutro jeszcze będzie wojna – powiedział ojciec Asch otwierając nowe pudełko cygar.

– Ale ten meldunek musi być przekazany bezzwłocznie – wyjaśnił Vierbein. – Chciałem tylko powiedzieć krótko „dzień dobry”.

– Co tam! – odpowiedział stary Asch. – Teraz jest pan tutaj i tutaj pan zostanie. Führer może poczekać. Podobno był także kiedyś żołnierzem. No więc! W takim razie nauczył się czekać.

– Jeżeli jednak ten meldunek jest ważny! – powiedziała Ingrid z przejęciem. – Nie możesz przecież, ojcze, przeszkadzać mu w spełnianiu obowiązków.

– Obowiązków? Nie chcę o tym słyszeć. Ma przecież obowiązki i wobec nas. – Stary Asch odkorkował butelkę. – Jako żołnierz spełnił swój obowiązek i, jak sądzę, jeszcze trochę więcej niż obowiązek; teraz może wypić kieliszek.

– Ach ojcze! – powiedziała Ingrid z wyrzutem. – Brak ci bodaj odrobiny entuzjazmu.

– To błąd, z którego jestem dosyć dumny. Wypijmy za niego. Uśmiechając się przepili do siebie. Czuli się bardzo szczęśliwi, że są sobie tak bliscy. Mieli w oczach radość i tkliwość.

Vierbein opowiedział krótko o Herbercie Aschu. Obiecał opowiedzieć więcej w spokojniejszej godzinie. – W każdym razie – oświadczył – powodzi nam się dobrze, jesteśmy zdrowi, nastrój jest doskonały, zaopatrzenie wystarczające. Nie ma powodu do obaw.

– Podobne rzeczy piszą w gazetach – powiedział stary Asch. – I ciągle jeszcze są tacy, którzy w to wierzą.

Vierbein czule i mocno uściskał rękę siedzącej obok niego dziewczyny. Był szczęśliwy, że odczuwa jej obecność; jaka to radość widzieć ją, jaki cud słyszeć jej głos.

– Dzieci, dzieci! – powiedział ojciec Asch po długiej pauzie i spojrzał na oboje z podziwem.

– Potrzebny ci jest papier? – zapytała Ingrid. – Papier i atrament?

Vierbein przytaknął. Asch potrząsnął gwałtownie głową i napełnił swój kieliszek po brzegi. – Zaczynam się trochę obawiać – powiedział otrząsając się – że naprawdę wygramy tę wojnę.

Ingrid i Vierbein nie zważali na niego. Przygotowywali się wspólnie do meldunku, jak by to był jakiś uroczysty akt. Dziewczyna przyniosła atrament i papier. Vierbein usiadł i sprawdził stalówkę. Potem zaczął pisać.

Czynił to wolno, niemal ceremonialnie. Ingrid stała teraz obok niego, oparta ostrożnie o jego plecy, i przyglądała mu się z zainteresowaniem.

Ukończywszy meldunek dla pułkownika Luschke Vierbein odczytał go sumiennie raz jeszcze. Dodał przecinek, napisał wyraźniej jakąś cyfrę. Dopiero potem położył swój podpis.

– Meldunek idzie bezpośrednio do pułkownika – powiedziała Ingrid z naiwną dumą i uśmiechnęła się do ojca.

– No to co? – zapytał Asch. – Cóż to nadzwyczajnego? Wśród mojej korespondencji jest sporo listów do prawdziwego generała. Był w tej okolicy przedstawicielem firm samochodowych, zanim wojna stopniowo zrobiła z niego generała.

– W każdym razie, ojcze, teraz jest generałem.

– A ja pisywałem do niego. Stale. W dodatku listy z upomnieniami. Jest bowiem nie tylko generałem, lecz ma również długi jak generał.

Vierbein pozwolił sobie na słaby, pozasłużbowy uśmieszek. Asch, zaskoczony i uradowany, przyjął go do wiadomości. Ingrid udała taktownie, że nic nie zauważyła.

– Tak – powiedziała pomagając mu złożyć papier we czworo. – A teraz list z meldunkiem zaniesiemy oboje na pocztę.

– To nie wystarczy – odparł Vierbein. – Meldunek jest bardzo pilny. Musi dotrzeć do sąsiedniego miasta, do komendanta lotniska, i stamtąd odejdzie bezpośrednio do Rosji.

– Czy to naprawdę konieczne? – Ingrid mimo wysiłku z trudem potrafiła ukryć rosnące rozczarowanie. – Stracimy, przez to całe popołudnie.

– To naprawdę konieczne. – Vierbein był szczerze zmartwiony, że nie może spełnić jej radosnych oczekiwań. I dodał: – Niestety.

Stary Asch impulsywnie odsunął od siebie butelkę z koniakiem. – Cóż to za czasy! – powiedział gniewnie. – Odkąd znowu staliśmy się narodem bohaterów, tylko niewielu z nas ma wszystkie klepki w porządku. Zarabia się wprawdzie dobrze, ale żyje się pod psem. I raz po raz wyrasta ktoś, kto oczekuje, byśmy na zawołanie reagowali. I cóż robimy? Słuchamy! To nam leży we krwi. Kaganiec, bat, pieskie żarcie.

– Cóż chcesz, ojcze, to wojna!

– Właśnie to mówię. Ale możecie wziąć moją ciężarówkę i pojechać razem, Potrzebuję proszku budyniowego do tak zwanych tortów.

– Dziękuję, ojcze.

– Dziękuję, panie Asch.

– Podziękujcie waszemu führerowi! – powiedział stary Asch. – I tak wszystko jemu zawdzięczamy.

Kapitan Witterer, który śmiało sterował ku zamierzonym celom, wezwał kaprała Soefta do swojej chałupy. Soeft zjawił się bez zbyteń spóźnienia, co wtajemniczeni uznali za godne uwagi. Tylko porucznik Wedelmann mógł się szczycić tego rodzaju uprzywilejowanym traktowaniem przez króla zaopatrzenia.

Soeft wszedł, zsalutował krótko i niezbyt przepisowo. Potem obejrzał się za czymś, na czym można by usiąść. Kapral Krause, który zgodnie ze swym pragnieniem miał zajmować się zleceniami specjalnymi i chodził wszędzie za Wittererem jak cień, podał mu natychmiast krzesło. Przy tej okazji spróbował uśmiechnąć się do Soefta. Soeft odpowiedział uśmiechem o wiele mniej poufałym. Ten mały pinczer Krause – myślał sobie – musi się jeszcze dobrze nabiedzić, zanim go zaczną darzyć względami.

Ale Krause nie, był wcale pinczerem. Był to człowiek o wybujałej ambicji, dążący do zrobienia możliwie szybko świetnej kariery. W roku 1938 wystąpił z Kościoła katolickiego, bo miał wrażenie, że przynależność do niego będzie mu przeszkodą w dalszym posuwaniu się naprzód; oczywiście był gotów wrócić, na nowo na jego łono, gdyby czasy, czego nikt nie mógł na pewno przewidzieć, miały się kiedyś znowu zmienić. Próbował również kontaktu z partią, ale nie umiano tam ocenić jego indywidualności. Od chwili jednak kiedy w Wehrmachcie pojawił się w jego polu wi-

dzenia Witterer, wojna, a przez to samo jego kariera oficerska, nabrała zupełnie innego aspektu. Nie miało to nic wspólnego z przekonaniem czy innymi wewnętrznymi stanami ducha. Był jedynie człowiekiem czynu i faktów.

Jako świeżo upieczony podoficer i wielce obiecujący kandydat na oficera Krause wyruszył z trzecią baterią do Rosji. Traktowano go tu jak nowicjusza. Dostał się bowiem do kompanii, która w dwóch wyprawach – na Polskę i Francję – poznała się gruntownie.

Ta trzecia bateria, jak to zupełnie słusznie ocenił kapitan Witterer, była świńskim chlewem. To prawda, że miała sukcesy, nawet wyjątkowe, ale z dyscypliną było tam kiepsko. Na przykład zaraz na początku obsługa jego działa próbowała mówić mu ty. Jemu, kapralowi Krause! No cóż, pokazał im, skąd wiatr wieje. Można coś takiego zrobić z Vierbeinem, ale nie z nim!

– Nie mam nic przeciwko temu, Krause, żebyś tu został podoficerem do zleceń specjalnych – powiedział Soeft nic sobie nie robiąc z obecności kapitana Witterera. – Ale jedno musisz sobie zapamiętać: do mojej kolumny żywnościowej nikt nie ma prawa wścibiać nosa.

– Czy ja także nie, Soeft? – zapytał Witterer ubawiony.

– Pan kapitan – powiedział Soeft suwerennym tonem – zorientuje się szybko, że wszystko jest u mnie w porządku, i zostawi mi potem, jak jestem do tego przyzwyczajony, wolną rękę.

– Jeżeli będziecie pracowali w myśl moich intencji, to dlaczego nie?

– Kapral Soeft – powiedział żartobliwie Krause lawirując zgrabnie między obydwiema stronami – jest w stanie zaopatrywać bez zarzutu cały pułk.

– Jak wy to właściwie robicie, Soeft?

Soeft przybrał skromną minę, podniósł do góry potężny nochal i zmrużył oczy. – Ma się stosunki, panie kapitanie!

– Miewaliście już trudności? – zapytał Witterer z pewną nieufnością.

– Mam je zawsze – odparł Soeft beztrąsko. – Przecież to należy do interesu.

– A porucznik Wedelmann? Czy krył te trudności?

– Było to zupełnie niepotrzebne, panie kapitanie. On ich w ogóle nie przyjmował do wiadomości. Wiedział bowiem doskonale, że sam się z nimi uporam, oczywiście pod warunkiem, że mi się pozostawi wolną rękę.

– Tylko ogniomistrz Asch próbował mieszać się przy różnych okazjach – wtrącił Krause ze swego kąta.

– Ale nie bardzo mu to wyszło na dobre – oświadczył Soeft spokojnie, z pewnością siebie. – Po prostu obniżyłem mu racje do połowy i to mu prędko przywróciło równowagę.

– Ten Asch, jak mi się wydaje – powiedział kapitan Witterer – chce wszędzie wtrącać swoje trzy grosze.

– Dotychczas nikt go nie powstrzymywał – Krause starał się podsycić ogień.

Soeft kręcił palcami młynka i czekał. Mógł bez trudu włączyć się do rozmowy, ale nie widział powodu, który by go do tego skłaniał. Przy ogniu, przy którym ci dwaj chcieliby się ogrzać, potrafi we właściwym czasie upiec swą pieczeń, Poza tym nie należał do przeciwników ogniomistrza Ascha – wprost przeciwnie.

W trzeciej baterii Soeft respektował oprócz Wedelmanna tylko siebie i właśnie Ascha. Ten Asch to wprawdzie twarda sztuka, ale ma szósty zmysł. Pod tym względem podobny był do niego. Soeft węszył zaopatrzenie z odległości siedmiu mil. Asch umiał wywęszyć na czas, gdzie zaczniesz pluć swym ogniem wojna. Wszczęcie z nim zwady byłoby równoznaczne z samobójstwem.

– Obejrzyjcie sobie tę budę – powiedział Witterer do Soefta.

Soeft uczynił to. Była jak wszystkie inne, może trochę większa, może odrobinę czystsza. Ale i w niej śmierdziało mokrą skórą, suszoną przy ogniu, znoszonym ubraniem, potem i tytoniem. – To stajnia, a nie pomieszczenie dla kapitana – powiedział Witterer.

Soeft skinął głową. Stłumił cisnącą się mu na usta uwagę: „A co, spodziewał się pan pałacu!” Nie należał do ludzi, którzy dla kawału czy dowcipu zaryzykowałiby bodaj funt masła. Kiedy chciał, potrafił milczeć jak zaklęty. W tej chwili chciał tego.

– Kapral Krause sądzi, że moglibyście mi tutaj pomóc, Soeft.

– Tak sądzi kapral Krause?

– Jeśli kto może pomóc, to tylko ty, Soeft! – zawołał Krause z zapalem. – Przy twoich stosunkach!

Soeft milczał. Sytuacja była już dla niego jasna. Kapitan Witterer chciał wysztafiarować swoją budę. Dlaczego – to było na razie obojętne. Można sobie wyobrazić, że zna się na kulturze wewnątrz – nie byłoby to wcale śmieszne. Możliwe też, że spodziewał się odwiedzin jakiejś damy. Czemu nie? Ta myszka o wielkich oczach z zespołu rozrywkowego może mieć kiedyś ochotę spróbować, jak się to kocha w zasięgu ognia nieprzyjacielskiej artylerii. Byłoby to dla niej coś nowego.

– Cóż wy na to, Soeft?

– U Prusaków, führera i Pana Boga wszystko jest możliwe – odpowiedział Soeft.

– Przede wszystkim przydałaby się pewna ilość papieru – powiedział Krause. – Białego. Jako namiastka tapety.

– Rozumiem. Papieru, w który się zawija żywność. No dobrze, załatwię trzy rolki. Na razie to wystarczy.

– A potem coś do klejenia. Najlepiej klej do tapet.

– Nonsens, Krause – powiedział Soeft tonem rzeczoznawcy. – Dostarczę kilka pudełek pluskiewek. To o wiele praktyczniejsze. Poprzypinasz nimi papier – po co lepić? Przecież nie zostaniemy tu na wieki.

– Ale z klejem jakoś czystiej.

– Będzie czysto i z pluskiewkami. A w razie zmiany naszych pozycji zwiniesz ta-

pety i umieścisz je w nowym salonie dowódcy.

– Zgoda – powiedział kapitan Witterer. – Proszę tak zrobić, Krause. Cóż możecie mi zaproponować jeszcze, Soeft?

– A co pan kapitan sobie wyobrażał? – zapytał z zaciekawieniem król zaopatrzenia.

– No cóż – odpowiedział Witterer niepewnie – może jakiś samowar, parę koców, dwa krzesła. – Zaczepnął powietrza, dając Soeftowi okazję do przerwania mu, z czego ten jednak zrezygnował.

Witterer wytłumaczył to sobie na swoją korzyść i zaczął wymieniać dalsze życzenia w dziedzinie inwentarza. – Więc może jeszcze coś w rodzaju składanego łóżka i zamiast przegniłej słomy jakiś materac. Potrzebuję również filiżanek, szklanek, talerzy – po dwie sztuki. A jak byłoby z poduszką?

– Załatwione – odparł Soeft wspaniałomyślnie.

Witterer odetchnął z ulgą. Ten Soeft jest po prostu nieoceniony! Jakie niewyczerpane źródło! To nie żaden dowódca kolumny, to dyrektor domu towarowego! Wykorzystując pomyślną chwilę posunął się jeszcze dalej. – Macie może również jakiś dywan? Nieduży?

– Dam panu kapitanowi jeden z moich.

Krause rzucił Wittererowi triumfujące spojrzenie; kapitan skinął z zadowoleniem głową.

– Jeszcze jedno, mój drogi Soeft. Wiecie przecież, że robię przygotowania do gościnnego występu zespołu rozrywkowego, który przybył na front?

– Słyszałem już o tym – odrzekł Soeft z wyraźnym zainteresowaniem. – O ile jestem poinformowany, mianował pan kapitan Ascha ogrodnikiem w tym ogródku.

Witterera zatkało na chwilę. Ale nie dał się odciągnąć od swojej sprawy. – W każdym razie – powiedział – chciałbym po przedstawieniu wydać małe prywatne przyjęcie dla artystów, Cóż wy na to?

– To się da zrobić – powiedział Soeft rozmarzony i wyciągnął nogi przed siebie. – Miałem zawsze słabość do artystów, którzy przyjeżdżają na front.

Soeft myślał o szczęśliwych dniach we Francji, jak zawsze, nie bez wzruszenia. Mój Boże. cóż to były za czasy! To była artystyczna obsługa frontu! Na przykład ta dziewczyna – czy nie było jej na imię Iwona – z długimi nogami i z jędrnym tyłkiem.

– Myślałem o małej przekąsce – powiedział Witterer i o czymś dobrym do wypicia.

Soeft oderwał się od swoich francuskich wspomnień, co mu nigdy łatwo nie przychodziło, i kiwnął głową. – Kawior i krymski szampan – oświadczył.

Witterer nastawił uszu. Na jego gładkiej twarzy pojawiły się oznaki entuzjazmu. – To nie byłoby wcale źle. To by było nawet doskonale. I moglibyście to postawić do dyspozycji, Soeft?

– W każdej ilości – powiedział tamten ze spokojem. Temu, kto nie zna kawioru i krymskiego szampana, z pewnością będzie to smakowało. Dla mnie nie przedstawia to żadnej wartości. Ja wolę gotowaną szynkę i francuskiego szampana. Ale wytrawnego. Żadnego słodkiego czy kolorowego świństwa. Temperatura musi być również odpowiednia. Wśród mego prywatnego bagażu mam specjalny termometr do mierzenia temperatury szampana.

Witterer, pełen respektu, milczał. Krause kiwnął triumfująco głową w stronę swego kapitana. Czy obiecał zbyt wiele? Zbyt mało! Czy ten człowiek nie był geniuszem zaopatrzenia? Był nim! Krause miał wrażenie, jak gdyby sam napełniał puszki kawiorom, a butelki krymskim szampanem.

– Tak, ta Francja! – westchnął głęboko Soeft i na próżno usiłował jeszcze bardziej wyciągnąć swe nogi. – Rozporządzałem tam trzema piwnicznymi składami, poza tym miałem centralę wymiany delikatesów – mój własny wynalazek! O moim lokalu trudno mi nawet mówić. Tak, tak, Francja! Tam można było rozwinąć szeroką działalność. Natomiast tutaj marnieją wszystkie moje talenty.

– No, no, Soeft – powiedział Witterer rozbawiony – to, co z tego kraju wyciągacie, zupełnie mi Wystarczy.

– To nic wobec Francji! – powiedział Soeft niemal uroczyście. – Pan kapitan z pewnością to zrozumie, bo wie, jakie znaczenie mają dla wojska rozrywki.

– Ależ to samo przez się zrozumiałe. Żołnierz potrzebuje odmiany i powinien ją mieć.

– Słowa pana kapitana powinny dojść uszu führera – powiedział Soeft. – Czekałem na nie przez pół roku.

– Rozrywki były tu chyba dziedziną całkowicie zaniedbaną, co?

– Całkowicie, panie kapitanie – zawtórował Krause.

– Nie ma dla tych spraw zrozumienia – powiedział Soeft. – Niestety! Kiedy tu chciałem urządzić burdel...

– Co takiego? – zapytał Witterer szczerze zaskoczony.

– Tak, burdel! – powiedział Soeft takim tonem, jak gdyby chodziło o uczciwą, można by rzec, patriotyczną instytucję. – Burdel. Dom publiczny. Różne słowa na określenie tej samej sprawy.

– Rozumiem – potwierdził Witterer nieco bezradnie.

– Kiedyśmy się tu rozlokowali krótko przed Bożym Narodzeniem, wiedziałem od razu, że miną miesiące, zanim się znowu ruszymy z miejsca. Już wtedy należało natychmiast pomyśleć o wypełnieniu wolnego czasu. Krótko mówiąc, byłem gotów zorganizować burdel.

– Aha! – powiedział Witterer, ciągle jeszcze bezradny.

– Nie byłoby to takie łatwe – zapewniał Soeft z rzadko u niego spotykanym zapałem. – Proszę sobie tylko wyobrazić trudności! W tym kraju! Same dziewice i stare baby. Dla kobiet tutejszych seksualizm jest czymś równie niezrozumiałym jak prze-

wód elektryczny. Kobiety tutejsze są straszliwie zacofane. Ani śladu Francji. Ale dałbym sobie radę, ja na pewno!

– Na pewno – powiedział Witterer.

– Materiału nie było wprawdzie wiele, ale wystarczyłoby dla mniejszych jednostek. Okazało się to zresztą podczas ostatnich miesięcy w kilku sztabach bardzo wyraźnie. Znam liczne jednostki wojskowe, u których na liście płac figuruje po pół tuzina dziwek. Dlaczego nie miałyby to być możliwe tu na froncie? Przecież tutaj potrzebujemy tego najbardziej.

– A kto wtedy sabotował twoje plany, Soeft? – zapytał (kapral Krause podstępnie. Rozpromienił się wiedząc z góry, jaka będzie odpowiedź.

– Oczywiście Asch. – W głosie Soefta brzmiało szczere ubolewanie. – Ogniomistrz Asch to z pewnością dobry organizator, temu nikt zaprzeczyć nie może. Ale dla tego rodzaju organizacji nie ma zupełnie zrozumienia.

– Jest żonaty – rzekł Witterer. – Znam jego akta personalne. Zdaje się nawet, że jest „poważnie” żonaty. – Kapitan składał sobie po cichu gratulacje, że właśnie temu poważnemu żonkosowi Aschowi kazał asystować żądnej przeżyć Lizie. Uważał to za dobre, może nawet za genialne posunięcie.

– Tak źle znowu nie jest – powiedział Soeft. – Trzeba przyznać, że Asch to mężczyzna stuprocentowy. Nie ma nic przeciw kobietom. Jest tylko zwolennikiem wolnego kłusownictwa i zasadniczo przeciwny jakiegokolwiek organizacji na tym polu.

– Interesujące – rzucił Witterer.

– Jeszcze we Francji – mówił dalej Soeft upajając się wspomnieniami – wyglądało to zupełnie inaczej. Tam bez trudu mogłem robić, co mi się podobało. Również Wedelmann przymykał oboje oczu. Jeśli zaś chodzi o Ascha, to wprawdzie mego przybytku nie odwiedzał, ale go też nie sabotował. Nic więcej nie chciałem.

– Jakże to było? – zapytał Witterer ze zdumieniem. – Bateria miała we Francji swój własny burdel?

– Ma się rozumieć – odpowiedział Soeft z dumą. – Było to wyłącznie moją zasługą, choć nie chcę umniejszać również zasług szefa baterii. Jego zarządzenia administracyjne były bardzo pożyteczne. Nikt nie kwestionował ważności tego rodzaju przedsięwzięcia.

– Z wyjątkiem Ascha! – wtrącił Krause.

Soeft zrobił bagatelizujący ruch ręką. Ulubiony temat porwał go. – Widzi pan kapitan – ciągnął dalej – taki burdel to instytucja podtrzymująca siłę bojową armii.

– Co przez to rozumiecie? – zapytał zaskoczony tą rozmową Witterer.

– Przede wszystkim – kontynuował Soeft z wielkim zapałem – dziewczęta podnoszą w wojsku dobry nastrój. Kto kocha, ten ma dobry humor. Poza tym rozrywka. Niezależnie od okoliczności każdy mężczyzna, zwłaszcza żołnierz, odczuwa pewne potrzeby fizyczne. Z potrzebami tymi, które w okresie wojny pozycyjnej automatycznie rosną lub też w miarę oddalania się od frontu zwiększają się, należy się li-

czyć. Czy mam rację?

– Hm! – bąknął Witterer.

– Dowódca z poczuciem odpowiedzialności – ciągnął Soeft takim tonem, jak gdyby dyktował jakiś przepis w tym względzie – nie może uchylać się od tego rodzaju problemów. Ciało domaga się swoich praw. Natury prymitywne wykazują w takich okresach tendencje do popełniania gwałtów. Subtelniejsi, których spotyka się rzadziej, poszukują miłości. Obojętni rzucają się na pierwszą lepszą napotkaną kobietę. Tu, właśnie tu tkwi problem. Powstaje mianowicie niebezpieczeństwo chorób wenerycznych, które automatycznie czynią człowieka niezdolnym do walki. Chodzi więc o zapobieganie osłabieniu ducha bojowego. Aby tego umknąć, trzeba zakładać burdele.

– To brzmi logicznie – powiedział Witterer nie bez pewnego wahania. – Zupełnie logicznie.

– Jest też logiczne – stwierdził Soeft z głębokim przekonaniem. – A może pan kapitan przypuszcza, że tych kilka kociaków z zespołu rozrywkowego potrafi choćby w części zaspokoić zapotrzebowanie?

– Wolnego, Soeft, wolnego – powiedział Witterer ostrzegawczo. – Dajcie spokój tym porównaniom. Są więcej niż śmiałe. Chodzi tu bądź co bądź o damy z towarzysstwa.

Soeft uśmiechnął się, wcale nie skonfundowany słowami Witterera. – Dlaczego pan kapitan mnie to mówi? Proszę powiedzieć to raczej ogniomistrzowi Aschowi. Jemu jest to potrzebniejsze. Bo on ostatecznie siedzi u źródła. Przecież pan kapitan sam go posłał.

Mógł pan równie dobrze przyjść do mnie – powiedziała Liza Ebner i rozejrzała się dokoła z niezadowoleniem. – Czyżby pan sądził, że może pan komenderować mną jak swoimi żołnierzami?

– Nie komenderuję żadnymi żołnierzami – odpowiedział Asch bardzo nieuprzejmie. – Pozostawiam to innym.

– Czy to było pod adresem kapitana Witterera?

– Proszę go zapytać, czy się czuje dotknięty. Ale niech pani odłoży to na później. A przede wszystkim proszę usiąść.

Liza Ebner patrzyła na Ascha jak na potwora, w dodatku trędowatego. Potem raz jeszcze rozejrzała się dokoła i zmarszczyła pogardliwie swój foremny nosek.

Znajdowali się w głównej izbie świetlicy żołnierskiej nr 1, w miasteczku przyfrontowym. Przypominała mocno zrujnowaną poczekalnię trzeciej klasy w jakiejś garnizonowej dziurze. Brakowało tylko rozkładów kolejowych. Za to na zniszczonych ścianach wisiały plakaty reklamowe mówiące o konieczności wytrwania. Nie brakło również führera.

Obecnych było tylko niewielu żołnierzy, gdyż prawdziwa godzina „opieki” jeszcze się nie zaczęła. Upragnioną ćwiartkę rozcieńzonego wina dla podniesienia du-

cha bojowego wydawano zazwyczaj dopiero po zapadnięciu ciemności. Z popołudniowej herbaty albo zupy chlebowej wszyscy wtajemniczeni wspaniałomyślnie rezygnowali. Tak więc obecni na sali zabłakali tu się raczej przypadkiem.

W kącie skrzeczał bez przerwy głośnik. Nikt go nie słuchał. Ustawiczne ryki radia były w tej wojnie tym, czym powietrze dla płuc.

Liza Ebner usiadła na ławce naprzeciwko Ascha. Machinalnie wygładziła suknię, miała bowiem nieco niemiłe uczucie, że każde jej poruszenie jest bacznie obserwowane. Usiłowała spoglądać na Ascha z wysoka, wyglądało jednak na to, że ogniomistrz nie jest tym zbyt zażenowany.

– Nie jestem pańską urzędniczką – powiedziała.

– Nikt też tego nie twierdzi!

– W takim razie proszę się ze mną inaczej obchodzić!

– To znaczy jak? Jak z jajkiem?

– Jest pan niemożliwy! – zawołała Liza i w jej wielkich oczach pojawiły się błyski urazy. – Jest pan po prostu impertynencki! Niejeden byłby szczęśliwy, gdyby mógł siedzieć tu obok mnie, a pan sądzi zapewne, że robi mi łaskę. Co pan sobie właściwie myśli?

– Niech mnie pani lepiej o to nie pyta.

– A może jest to jakiś pański trick?

– Droga panno Ebner – Asch przyglądał się ze spokojem swoim rękoma. – Jestem żonaty.

– Już mi pan to raz powiedział. Może pan więc odstawić tę płytę. A może należy to do pańskiego tricku?

Asch oparł się na łokciach, pochylił nad stołem i spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami. – Droga panno Ebner – powiedział – jako kobieta zupełnie mnie pani nie interesuje. Ani trochę! Dla mnie jest pani jedynie partnerką, z którą mam pertraktować; mógłby to być równie dobrze ktoś ze składu zaopatrzenia lub z magazynu trumien. Mam zamiar omówić z panią sprawę służbową – to wszystko. Sprawy prywatne do mnie nie należą. Do mnie nie.

– Czy to znowu było pod adresem kapitana Witterera?

Asch potrząsnął powoli głową, dając w ten sposób niedwuznacznie do zrozumienia, że nie uważa jej za nazbyt pojętą. – Posłałem do pomieszczenia waszego zespołu jednego z kolegów, żeby się tu zjawił ktoś – zupełnie mi obojętne kto – kto byłby uprawniony do pertraktowania ze mną. Nie chciałem wchodzić do pani pokoju, by nie mącić idylli. Przypuszczałem, że zjawi się tu towarzysz pani, czarnoksiężnik i tragarz. Na to, że pofatyguje się pani osobiście, naprawdę nie liczyłem. Zresztą jest mi to obojętne.

– Tak?

– Najzupełniej.

– A więc dobrze – powiedziała Liza Ebner usiłując zdobyć się na zdecydowany

ton. – Mnie to odpowiada. W naszym zespole podzieliliśmy między siebie pracę organizacyjną. Ja mam przygotować występ gościnny u was, to zostało już ustalone. Chcąc nie chcąc będzie pan musiał zadowolić się moją osobą.

– Jak pani widzi, zadowolam się – odpowiedział zgodliwie Asch i oparł się znowu o ścianę.

Rozejrzał się za siostrą Betty i zobaczywszy ją skinął na nią ręką. Zbliżyła się bez pośpiechu i stanęła przed nim w całej okazałości. Asch spoglądał na nią przyjaźnie.

– Pani jest z pewnością siostrą Betty? – zapytał i spojrzał ciepło na tęą kobietę mającą w sobie coś macierzyńskiego.

– Skąd pan wie o tym, panie ogniomistrzu? – zapytała rezolutnie.

– Sądząc z dostarczonego mi opisu, musi pani być siostrą Betty.

– Pan otrzymał opis mojej osoby? – zapytała z przerażeniem korpulentna siostra.

– Mam pani przekazać pozdrowienia od kaprała Soefta. Jesteśmy w jednej baterii.

– A więc tak wyglądają przyjaciele tego wyrefinowanego handlarza. Zupełnie inaczej ich sobie wyobrażałam! A pan, panie ogniomistrzu, robi wrażenie względnie normalnego.

– To złudzenie – powiedziała Liza z przekonaniem.

– Dziwiłabym się też bardzo! – zawołała siostra i z ożywieniem skinęła głową w stronę dziewczyny. – Skoro jednak jest pan już tutaj, nie chcę sprawiać Soeftowi zawodu. A więc czego się pan napije?

– Jeżeli można wybierać – powiedział Asch, który się ożywił – poproszę o piwo. Ale takie, które się pieni i syczy. Nie piłem piwa od miesiący.

– Otrzyma je pan – oświadczyła siostra Betty z surową serdecznością. – A pani, moja panienko?

– Może kawę.

– Dobrze – odrzekła rezolutna siostra. – Otrzyma ją pani. Herszt rozbójników Soeft postara się o uzupełnienie zapasów.

Siostra odmaszerowała, deski podłogi ugiwały się pod jej ciężarem. Miało się wrażenie, że cała świetlica żołnierska się chwieje.

– Przypomina mi moją teściową – powiedział Asch.

– To również tylko złudzenie optyczne. – W głosie Lizy Ebner zabrzmiało rozdrażnienie. – Kobiety na linii frontu to zawsze coś w rodzaju namiastki. Zawsze kogoś przypominamy! Kiedy jesteśmy młode – narzeczoną, kiedy jesteśmy stare – matkę. Z czasem przestaje to być zabawne.

– Zdaje się, że pani zebrała już całą furę doświadczeń – powiedział Asch. – Od jak dawna pracuje pani na tym polu?

– Na froncie jestem po raz pierwszy.

– Nie jest pani na froncie, lecz za frontem – sprostował Asch uprzejmie. – A gdzie pani działała przedtem?

– W szpitalach.

– To dobrze. Tam jest dla pani bardziej odpowiednie miejsce. Ale chyba nie w szpitalu poznała pani swego kapitana Witterera.

– To nie mój kapitan! Czy nie mówiłam już panu? Jest jednym z moich znajomych – to wszystko.

– Czy zna pani jeszcze innych z tego gatunku?

– Ryzykując nawet, że to pana zaniepokoi, odpowiem: całą masę. Na przykład majora Bära. I kapitana Runge. I majora von Falckensteina. I jeszcze...

– Wystarczy mi to – odpowiedział Asch nieuprzejmie.

– Nazwisk tego rodzaju mogłabym panu wymienić całe tuziny!

– Niech pani sporządzi listę, da ją powielić i rozdzieli między wszystkich zainteresowanych jako świadectwo uzdolnień, jako dowód zasług albo jak to pani zechce nazwać.

Liza Ebner spojrzała na niego wielkimi, szeroko otwartymi oczami. Oczy te były ciemne i smutne. Asch miał wrażenie, że patrzą na niego oczy dziecka. Powoli, powoli źrenice napełniały się łzami.

– Dlaczego pan tak mówi? – zapytała półgłosem i niemal bezradnie. – Za kogo mnie pan uważa? Dlaczego pan sądzi, że ja, że ja...

Liza zaczęła płakać. Wielkie łzy spływały jej po twarzy i kapały na kiepsko wyszorowany stół. Płakała zupełnie cicho, otworzywszy lekko usta. Ramiona jej pozostały nieruchome.

– Niechże pani nie płacze! – powiedział Asch bezradnie. – Dlaczego pani płacze? – Rozejrzał się po drewnianej budzie z bezgranicznym zakłopotaniem i stwierdził z zadowoleniem, że obecnych jest niewielu żołnierzy, którzy, zdaje się, w dodatku nie zauważyli, co się dzieje przy jego stole.

Liza płakała cichutko dalej. Siedziała wciąż bez ruchu.

– Niechże się pani opanuje – powiedział Asch. – Mój Boże, gdyby tu każdy chciał zaraz płakać...

Siostra Betty podeszła ciężko do ich stołu, postawiła na nim kawę wydzielając mocny aromat i dzban piwa. Potem zaczęła przyglądać się obojgu z rosnącym niezadowolaniem.

– Przecież to przyjaciel od serca tego włóczęgi Soefta – powiedziała wreszcie. – Ale niech sobie pani z niego nic nie robi. Z pewnością nie jest to w tych stronach jedyny mężczyzna.

– Właściwie brak jeszcze tylko tego – odpowiedział Asch zaczepnie – żeby pani, siostrzko Betty, zaczęła tu beczeć.

– Może pan czekać na to, młodzieńcze, aż do końca wojny! – Po tych słowach siostra Betty, sapiąc gniewnie, oddaliła się znowu.

Potok łez Lizy nie był jeszcze wyczerpany. Asch czuł się bezradny. Instynktownie sięgnął po chustkę do nosa, ale miał jeszcze tyle przytomności umysłu, by nie podać jej szlochającej Lizie, gdyż chustka niewiele miała wspólnego z czystością.

– Niechże się pani wreszcie uspokoi – powiedział. – Nie chciałem pani obrazić. Naprawdę!

– Właśnie, że pan chciał! – zawołała Liza gwałtownie.

– No dobrze, więc przepraszam panią, jeżeli pani tak sądzi. Proszę mi zatem wybaczyć. Nie chciałem pani obrazić. Bardzo panią przepraszam.

Liza nic nie odpowiedziała. Ale łzy już nie płynęły jej po twarzy. Tkwiły w jej wielkich oczach, które teraz błyszczały łagodnie.

– Widzi pani, panno Ebner, nie jesteśmy tu rozpieszczani. Oduczyliśmy się wielu rzeczy. Znamy tylko kolegów, i to wyłącznie z żarcia i umierania.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

Liza otarła dłonią ślady łez z policzków. Asch stwierdził z zadowoleniem brak pudru na jej twarzy. Skóra była nieco zaczerwieniona, ale gładka i zdrowa.

Wyciągnęła z torebki lusterko i spojrzała w nie. To, co zobaczyła, zdawało się ją uspokajać. Zmarszczyła swój zgrabny nosek, potem znów spróbowała spojrzeć butnie na Ascha.

– Wystygnie pani kawa – powiedział.

Liza piła posłusznie i prędko. Wyglądała niezwykle przyjemnie, bardzo młodo, było w niej coś naiwnego.

W Aschu zrodziło się nagle gwałtowne pragnienie, by pozostała taką, jaką jest w tej chwili. Myślał o tym przełykając potężny haust piwa. Myśl ta nie opuszczała go.

– Musi pani – powiedział po chwili – postarać się kiedyś pomyśleć o nas. Oto na przykład wieczny temat numer jeden: kobiety! Ileż pięknych i dobrych myśli, zawartych w kilku milionach listów poczty polowej. Ale to sprawa nie tylko pięknych i dobrych myśli. Istnieją jeszcze ilustracje w gazetach wojskowych, postrzępione od czytania czasopisma, zmysłowe piosenki nadawane w audycjach dla wojska. Poza tym rozmowy nocne i klozetowe, wizje pod wpływem alkoholu. A potem nagle wyłaniają się kobiety in persona, po prostu przebiegają nam drogę, wchodzą w kontakt z żołnierzami. Stosunek: jedna na sto tysięcy. Więc od czasu do czasu coś się wydarza, chyba nie zechce pani temu zaprzeczyć? Najkorzystniejszą okazję mają zawsze ci nieliczni, którzy jeszcze dysponują własnym pokojem lub czymś w rodzaju własnego łóżka. Wiadomość o tym prędko się rozchodzi. Wielu uważa więc panią za oficerską dziwkę. A zazdrość seksualna jest jak zazdrość o kawałek chleba. Niech się pani z tym liczy! Nie ma na to rady.

– Z osobnikami, którzy tak myślą, nie chcemy mieć nic wspólnego.

– Nie może pani wybierać sobie adoratorów.

– Na szczęście są jeszcze mężczyźni, którym można zaufać.

– Nie martwi mnie to zbytnio – powiedział Asch ze spokojem – że nie zalicza mnie pani do nich.

Wypił znowu, powoli i z zadowoleniem.

Potem otarłszy usta zapytał: – A kapitan Witterer? Jemu może pani zaufać?

– Poznałam kapitana Witterera w Niemczech. Był wtedy wobec mnie bardzo miły, bardzo rycerski. A ponieważ miał wielkie stosunki – major Bär jest jego zaufanym przyjacielem – prosiłam go, żeby mi dopomógł w zawarciu kontraktu na występy gościnne na froncie.

– Po co? Czy takie kontrakty są korzystniejsze pod względem finansowym?

– To także. Ale wcale mi o to nie chodziło. Chciałam brać w tym udział, coś przeżyć. Zobaczyć kawał świata. Czy pan tego nie rozumie?

– Nie – odparł Asch szczerze. – Nie mam dla tych spraw żadnego zrozumienia. No dobrze, teraz bierze pani w tym udział. I cóż pani przeżywa? Co pani widzi ze świata? Guzik! Siedzi pani tutaj z marnym ogniomistrzem i pozwala pani, żeby stygła jej kawa. Występuje pani w drewnianych budach i szopach, podziwia panią kilkuset szeregowców, dla których, jak to pani sama powiedziała, jest pani namiastką narzeczonej. I w dodatku pozostaje pani pod opieką kapitana Witterera.

– To wszystko nie jest takie brudne, jak pan przypuszcza, panie Asch. Może przeżył pan za dużo złego i to pana uczyniło niesprawiedliwym. Ale wojna ma przecież swoje dwa oblicza: jedni giną przez nią, drudzy przez nią rosną. Są jeszcze z pewnością mężczyźni, którzy w głębi swej istoty pozostali czyści.

– To bardzo możliwe. Musi pani tylko umieć wyszukać sobie odpowiednich. Może nawet nie jest to takie trudne. Liza Ebner przyglądała mu się swymi wielkimi oczyma. Otoczyła filiżankę wąskimi dłońmi. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nie doszło do tego.

Przeszkodzono jej. Zjawił się kapral Krause w rozpiętym płaszczu i zmierzał ku niej. Rzucił krótkie spojrzenie na Ascha, potem zaczął przyglądać się badawczo dziewczynie.

– Panna Liza Ebner? – zapytał.

Skinęła głową, nieco zdziwiona i zaciekawiona, gdyż poczuła, że zjawienie się Krausego bardziej jeszcze niż jej przeszkodziło ogniomistrzowi Aschowi.

– Czekają na panią – powiedział Krause.

– Mam jeszcze coś z panną Ebner do omówienia – wtrącił opryskliwie Asch.

– Pan kapitan Witterer – ciągnął dalej Krause nie zwracając na Ascha najmniejszej uwagi – czeka w pani pokoju, panno Ebner.

– Nie zmienia to faktu – powiedział Asch ze spokojem – że nasza rozmowa nie została jeszcze zakończona.

– Czy pani pójdzie ze mną, panno Ebner? – uparcie obstawał przy swoim Krause.

Spojrzała na Ascha, który potrząsnął głową. Ten ruch sprawił jej przyjemność. – Przyjdę później – powiedziała.

– W takim razie zaczekam – powiedział Krause i usiadł przy ich stole. Rozłożywszy szeroko płaszcz, zaczął się rozglądać po lokalu. – Hola, siostrzo! – zawołał głośno bez żenady.

Siostra Betty stanęła przed nim w całej okazałości.

– Jak by tam było z filiżanką kawy?

– Nie mamy kawy.

– A ta dama?

– Czy pan jest damą?

– W takim razie proszę mi dać piwa.

– Otrzyma pan herbatę albo nic. Przecież jesteśmy tu w żołnierskiej świetlicy, a nie w jakimś, lokalu rozrywkowym. Jeżeli pan sądzi, że musi pan dostać piwo, ponieważ dostał je pan ogniomistrz, jest pan w wielkim błędzie. Tutaj rozkazuję wyłącznie ja!

Krause spojrzał ze zdumieniem za oddalającą się siostrą. Potem zwrócił się znowu do Lizy Ebner i Herberta Ascha, którzy, jak zauważył, uśmiechali się do siebie porozumiewawczo. Była to sytuacja, którą można by nazwać co najmniej podejrzaną. Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, co robić dalej. Wreszcie powiedział: – Panie ogniomistrzu, czy chce pan przeszkodzić panie Ebner w zastosowaniu się do zlecenia pana kapitana Witterera?

– Kapralu Krause – odrzekł Asch – nic mi o tym nie wiadomo, żeby pan kapitan Witterer był uprawniony do dawania panie Ebner jakichkolwiek poleceń.

– A więc sabotuje pan wyraźnie życzenie dowódcy baterii?

– Życzeń nie można sabotować. Powinniście, kapralu Krause, zawsze naprzód zastanowić się gruntownie, zanim wypowiedzie jeden ze swych ulubionych frazesów. Zalećcie to również kapitanowi Wittererowi.

– Zamelduję o tym – powiedział Krause ostro.

– Żeby cię tu za chwilę nie było! – krzyknął Asch. – Jeżeli się nie ulotnisz, to ci dam tak po palcach, że nie będziesz w stanie nawet nabazgrać meldunku.

Dla kaprala Vierbeina każdy rozkaz był święty, a życzenie przełożonego było dla niego rozkazem, zwłaszcza jeżeli ten przełożony nazywał się Wedelmann. Ale w swej bezgranicznej naiwności posunął się do tego, by o adres pani Lory Schulz zapytać właśnie swoich kompanów Bartscha i Ruhnaua.

„Bracia sjamscy” poczuli, że coś nie jest tu w porządku i wpadli w entuzjazm. Spojrzeli po sobie i w mig się zrozumieli. Kiedy rzecz dotyczyła „kobietek”, mózgi ich automatycznie pracowały w ścisłej zgodzie.

– Człowieku! – zawołał Bartsch. – Żądasz jednego z naszych najlepszych adresów! Chyba nie bez honorarium.

– Jeżeli chcesz – powiedział Ruhnau z szerokim uśmiechem – damy ci od razu przepis na używanie.

– Mam jedynie wykonać rozkaz – oświadczył Vierbein z rezerwą. – Reszta mnie nie interesuje.

– To dobre! – ryknął Bartsch zachwycony. – To nawet bardzo dobre. Wiemy, o co chodzi. Pomacaj mi puls, powiedziała do mnie pewna dama, ale nie sięgaj od razu za głęboko.

Ruhnau uważał to za arcyśmieszne i nie chciał zostać w tyle. – Nie dalej jak wczoraj powiedziałem do jednej: „Połóż no się do łóżka, chcę tylko zmierzyć, czy nie jest za krótkie”.

Zdawało się, że obaj cwaniacy pękną ze śmiechu. Kawały i dowcipuszki tego rodzaju umilały im życie.

Wreszcie Vierbein wydobył od nich adres Lory Schulz, przyrzekłszy przedtem niemal uroczyście, że zdobędzie u Ascha dla „nocnych myśliwców” flaszkę wódki. „Życzymy szczęścia w łóżku!...”

Słowa te nie trafiły do Vierbeina. Lora Schulz była dla niego kobietą zamężną, a w dodatku żoną zasługującego na respekt przełożonego, a więc pewnego rodzaju tabu. Żadnych brudnych myśli w związku z jej osobą!

Poza tym Vierbein zachował dla Lory Schulz istotny szacunek; zawsze było mu jej trochę żal, podobnie jak w swoim czasie żal mu było samego siebie. Była dla niego dobra – czuł za to dla niej wdzięczność.

Podczas gdy Vierbein robił przygotowania do wyjścia, obaj kamraci ustalali plany na nadchodzącą noc. W kasynie oficerskim przewidziany był wieczór towarzyski z udziałem pań. Tym razem miały się zjawić żony inżynierów i wyższych urzędników.

Organizator zabawy porucznik Schulz postanowił powierzyć „braciom sjamskim” zadania specjalne.

– Ale tym razem bądź ostrożniejszy – ostrzegał Bartsch swego przyjaciela od serca. – Żebyś mi się nie ważył raz jeszcze zawiesić na szyi adiutanta, kiedy już będzie zupełnie pijany, deski od sedesu zamiast wieńca laurowego. Może się zdarzyć, że przedwcześnie wytrzeźwieje i nagle się okaże, iż nie zna się na żartach.

– A kto ostatnio zaryglował damską toaletę i zamknął główne wejście, wskutek czego Schulz był zmuszony wpuścić tam ordynansa od tyłu przez lufcik? Gdyby cię na tym przyłapał, mógłbyś pakować swój plecak i sporządzać testament. Bo właśnie na tę zamkniętą damę porucznik zagiął parol. Kto wie, czy nie dostałoby się nam obu?

Vierbein usiłował nie słuchać tych rozmów. Butelkę z koniakiem, którą mu dał porucznik Wedelmann, owinął w papier do pakowania i przewiązał sznurkiem. Obaj braciszki przyglądali mu się z zainteresowaniem.

– Chyba wystarczy – powiedział jeden z nich.

– Na jeden raz z pewnością – zapewnił drugi.

– Żebyście wiedzieli – oświadczył szorstko Vierbein. – Mam tylko polecenie wręczyć tę butelkę.

– Wierzmy ci na słowo! – wybuchnęli śmiechem obydwaj przyjaciele.

– Jestem bowiem na dziś wieczór zaproszony do Aschów. U pani Schulz nie zostałem ani minuty. Zapamiętajcie to sobie.

Vierbein oddalił się zachowując godną postawę; udawał, że nie słyszy słów zachęty na drogę. Opuścił koszary i udał się do miasteczka. Odszukał dom przy Ritter-

strasse 12, stojący w pobliżu rynku, i zaczął uważnie odczytywać umieszczone na drzwiach tabliczki. Na jednej z nich widniał napis:

Porucznik Schulz
pierwsze piętro dzwonić służbowo 1 raz,
pozasłużbowo 2 razy.

Vierbein wszedł na pierwsze piętro i po krótkim namyśle zadzwonił dwa razy. Potem cofnął się o krok i stanął w sztywnej postawie.

Starał się nie wzbudzać najmniejszej nawet wątpliwości, że wykonuje tu, żeby tak rzec, polecenie służbowe i nic ponadto. Był przygotowany i na to, że drzwi mógłby mu otworzyć osobiście sam porucznik Schulz. Postanowił sobie, że gdyby się tak wydarzyło, wręczy butelkę bez wahania „z pozdrowieniami od pana porucznika Wedelmanna dla pana porucznika Schulza i jego małżonki”. Potem zasalutuje, wykona w tył zwrot i ulotni się.

Czekał jeszcze chwilę z wzrastającym napięciem. Potem zadzwonił powtórnie. Znowu dwukrotnie – a więc pozasłużbowo! Po chwili usłyszał kroki. Drzwi, na których widniał napis „Porucznik Schulz”, otworzyły się denerwująco powoli.

Vierbein odetchnął z ulgą, ujrawszy Lorę Schulz i powiedział: – Czy mógłbym z panią pomówić?

– Pan Vierbein! – zawołała Lora zaskoczona. – Pan jeszcze żyje! Co za niespodzianka! Miły pan Vierbein jako przyjemny strach o wieczornej porze. Skądże pan przybywa?

– Jeżeli pani pozwoli, chciałbym...

– Dlaczego pan nie wchodzi? A może ciągle jeszcze myśli pan, że gryzę? Nie może pan przecież stać tu na schodach.

– Owszem, mogę – odpowiedział Vierbein z rosnącym zakłopotaniem. – Dlaczego nie! Chciałem tylko... nie chciałem przeszkadzać.

– Niechże pan wejdzie – powiedziała Lora Schulz i uśmiechnęła się do niego. – Nie przeszkadza pan nigdy. Przynajmniej mnie.

Otworzyła szeroko drzwi. Vierbein, niezdecydowany, przekroczył wreszcie próg mieszkania potykając się przy tym.

Lora Schulz roześmiała się serdecznie. – Pierwsze potknięcie – powiedziała wesoło. – Miał pan zawsze do podobnych rzeczy wyjątkowy talent.

Vierbein bąknął kilka słów, które miały być przeproszeniem. Nie chciał zostawić w przedpokoju swoich rzeczy. Wszedł do pokoju z czapką w ręku, pas munduru był mocno zaciśnięty. Po dwukrotnym wezwaniu zajął miejsce na brzeжку krzesła i rozejrzał się ostrożnie dokoła.

– Jeżeli szuka pan mojego męża – powiedziała Lora Schulz rozbawiona – to szczęście panu sprzyja: jak zwykle nie ma go.

– Podziwiam urządzenie mieszkania – odezwał się Vierbein niezręcznie.

– Jeżeli to jest wszystko, dla czego pan odczuwa podziw... Ale mniejsza o to. Wi-
dzi pan więc, że żyjemy teraz na wyższej – zdaje mi się, że to tak się nazywa – stop-
nie niż dawniej. Dochrapaliśmy się stopnia oficerskiego. Tak, robi się postępy.

Vierbein miał po raz pierwszy okazję przyjrzeć się Lorze Schulz bliżej. Niewiele
się zmieniła. Trochę utyła, i to nie tylko na twarzy – usta wydawały się węższe, a
oczy głębiej osadzone niż dawniej.

– Postarzeliliśmy się, co, panie Vierbein?

– Człowiek dojrzewa – odpowiedział usiłując zdobyć się na stanowczy ton.

– To zależy, jak się na to patrzy – powiedziała. Brzmiała w tych słowach nuta re-
zygnacji, a równocześnie miało się wrażenie, że sobie z tej rezygnacji pokpiwa. –
Pan stał się dojrzalszy, a ja jestem starsza. Ale czy dlatego popełniamy teraz inne
głupstwo niż dawniej.

Vierbein nie umiał na to odpowiedzieć. Wziął paczkę, którą trzymał na kolanach,
i podał ją Lorze Schulz. – Dla pani. Z serdecznymi pozdrowieniami od pana porucz-
nika Wedelmana.

Oczy jej zabłyśły nieco. – Mój Boże – powiedziała z naiwną radością. – Od We-
delmana! To chyba niemożliwe! Pocziwy, głupi chłopak. Ciągłe jeszcze myśli o
mnie, O mnie! To coś niepojętego! Jakże mu się wiedzie?

– Oczywiście dobrze – odparł Vierbein. – Stosownie do okoliczności.

– I nie zapomniał o mnie?

– Nie – powiedział Vierbein. Miał ochotę dodać: „wcale na to nie wygląda”. Ale
powodowany właściwym sobie taktem powstrzymał się od wszelkich uwag. Był
zresztą zdecydowany zrobić wszystko, by swej obecności w tym domu bez potrzeby
nie przedłużać. Zaczął więc zabierać się do wyjścia.

– Pan chyba nie chce już odejść?

– Muszę. Poza tym chciałbym uniknąć...

– ...Spotkania z moim mężem, tak? – Lora Schulz zaśmiała się szyderczo. – Drogi
panie Vierbein, tego nie powinien się pan obawiać w żadnym wypadku. Pan porucz-
nik Schulz to człowiek bardzo zajęty. W porównaniu z nim starszy ogniomistrz
Schulz był jakby stale na urlopie.

– W każdym razie dziś wieczorem będzie pani chyba w kasynie oficerskim...

– Skądże pan wie o tym, co robią tacy wytworni ludzie jak my? Kto to panu opo-
wiedział?

– Dwaj kaprale z baterii dowodzenia. Kwateruję w ich pokoju. Nazywają się
Bartsch i Ruhna.

– Ach tak! – powiedziała Lora Schulz z goryczą. – Więc pan zna tych obu panów?
I od nich ma pan swoje informacje.

– Do pewnego stopnia.

– Również informacje dotyczące mojej osoby?

– Częściowo.

– A więc to tak! – zawołała Lora Schulz pogardliwie. – Teraz niejedno rozumiem. Dlatego panu tak spieszno. – Dobrze, nie będę pana dłużej zatrzymywać.

Vierbein podniósł się spiesznie. – Oczywiście – tłumaczył się niezgrabnie – nie wierzę w nic z tego, co się tam opowiada. Ani słowa.

– Nie uważa pan, że bym była do tego zdolna?

– W żadnym razie – odpowiedział Vierbein zupełnie szczerze.

Lora Schulz uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Wierzę panu. Panu wierzę. Nie jest pan skrojony na tę samą modłę. I to mnie cieszy.

Vierbein próbował złożyć ukłon, co mu się prawic udało, W tej chwili miał dla Lory Schulz szczerzy szacunek, Doskonale to odczuwała.

– Chcę być z panem zupełnie szczerą – powiedziała Lora odprowadzając go do drzwi. – Oczywiście dziś wieczorem nie pójdę. Nie pójdę tam ani dziś; ani nigdy. Nie nadaję się do tego lokalu. Dano mi to już niejednokrotnie i wyraźnie do zrozumienia.

– Któż to taki?

– Mój mąż, panie Vierbein.

– Ach tak – powiedział bezradnie.

– Kiedyśmy jeszcze mieszkali w koszarach, miałam bądź co bądź kilku przyjaciół. Albo raczej znajomych. Ale to się bardzo zmieniło. Wtedy zachowanie moje było tylko czasami niestosowne, dziś jestem po prostu niegodna. Widzi pan, sprawa wygląda tak: mąż mój jest głęboko przekonany, że się – jak on to mówi – stale rozwija i idzie naprzód. A ja – o czym jest jeszcze głębiej przekonany – pozostałam w tyle.

Vierbein nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Otworzył usta, ale nie odezwał się ani jednym słowem. Z twarzy jego można było jednak odczytać szczerzy protest.

– Naprawdę nie chcę pana zatrzymywać – powiedziała Lora Schulz. – Z pewnością ma pan przyjaciół, którzy się o pana troszczą. Zazdroszczę ich panu, ale i użyzam. Panu, panie Vierbein, tak.

– Bardzo dziękuję – odparł Vierbein zmieszany.

– Mam prośbę. Jeżeli to możliwe, proszę ją spełnić, dobrze? Gdyby w najbliższych dniach miał pan wolną godzinę albo pół godziny, albo parę minut, proszę do mnie zatelefonować. Spotkamy się gdziekolwiek i opowie mi pan, jak się panu powodzi, co pan robi na froncie. Powie mi pan również coś o poruczniku Wedelmanie. Zgadza się pan?

– Ależ tak, oczywiście.

– Na pewno, panie Vierbein?

– Na pewno – oświadczył zupełnie szczerze. – Na pewno.

Vierbein udał się do kawiarni Ascha, gdzie już na niego czekano. Płatniczy Antoni podbiegł do niego ze słowami: – Wszyscy już są na górze!

Vierbein wbiegł na schody prowadzące do prywatnego mieszkania starego Ascha. Otworzyła mu Ingrid. Spełniając przykładowie obowiązek wojennej narzeczonej poda-

ła mu usta do pocałunku, wiedząc, co się „urlopnikowi z frontu” należy. Potem powiedziała: – Mogłeś przyjść trochę wcześniej.

– Miałem jeszcze do spełnienia pewne polecenie – odpowiedział nie bez godności.

– To cię oczywiście usprawiedliwia – przyznała Ingrid nie zdradzając ani cienia ciekawości, jakiego rodzaju było to polecenie.

W dużym pokoju, pod portretami weteranów, czekali przy biało nakrytym stole stary Asch, majster Freitag oraz córka jego Elżbieta, żona ogniomistrza Ascha. Żona Freitagą nie zjawiała się – musiała zostać w domu przy niemowlęciu.

Vierbeina posadzono na honorowym miejscu. Siedział sztywny i dumny. Wszyscy obecni otoczyli go kołem.

– Chcieliśmy nawet umieścić na pańskim krześle wieniec – zapewniał stary Asch mrużąc oczy. – Ale później, mimo energicznego protestu Ingrid, zrezygnowaliśmy z tego. Byłaby to bowiem dla pana tylko przeszkoda przy siedzeniu. Odznaczenia mają to czasami do siebie. Jeden z moich dalekich krewnych otrzymał Krzyż Rycerski, od tego czasu odpina kołnierzyk tylko wtedy, kiedy idzie spać. Podobno nawet przy myciu kołnierzyk winien być zapięty. Tak surowe bywają czasami zwyczaje.

Obecni roześmieli się. Przyszli, by posłuchać opowiadania Vierbeina i zachęcali go do mówienia. Ale Vierbein nie był narratorem. Jako ośrodek zainteresowania czuł się nieswojo.

Stary Freitag szybko się w tym zorientował i zaczął stawiać pytania. To już bardziej poszło Vierbeinowi w smak. Odpowiadał sumiennie. Ojcowie z wielkim wysiłkiem wyciągnęli z niego wspólnymi siłami kilka faktów, które wywołały w nich nie najweselsze refleksje.

– Przebieg wojny to w dużej mierze sprawa materiału – powiedział stary Freitag.

– Jeżeli już teraz armie mają wybrakowane środki transportu, które nie są stuprocentowo pewne, nadchodzące roztopy wiosenne dadzą im się dobrze we znaki, a za rok będzie z tego wszystkiego szmelc.

– W żadnym wypadku nie jestem w stanie – Vierbein chciał uniknąć jakichkolwiek nieporozumień – podać konkretnych danych spoza zasięgu naszej baterii. Jeżeli chodzi o nasze środki transportu, to są one mocno zużyte, ale też miały do pokonania wyjątkowe trudności.

Asch był zdania, że pełny obraz sytuacji ma tylko führer. Freitag uważał, że dalszy rozwój wypadków na froncie nie stanowi dla żołnierzy żadnej tajemnicy.

Ingrid i Elżbieta skorzystały z pomyślnej okazji i odciągnęły Vierbeina na bok. Nie zdążyły jednak zaspokoić swej ciekawości, ponieważ na schodach powstał potężny hałas.

Po chwili w drzwiach stanął płatniczy Antoni, rozpaczliwie gestykułując. Za nim pojawiły się uśmiechnięte oblicza Baftscha i Ruhnaua. Obaj „bracia sjamscy” byli mocno wstawieni. Oczy ich błyszczały, głosy mieli zachrypnięte, śmierdzieli z daleka alkoholem.

– Przyszliśmy odwiedzić naszego kochanego Vierbeina! ryknął Ruh nau.

– Chcemy ulżyć jego sumieniu! – zaskrzeczał Bartsch.

– Myślałem, że jesteście zajęci w kasynie – powiedział Vierbein, któremu ta scena sprawiła wyjątkową przykrość.

– Byliśmy zajęci w kasynie! Ale wylecieliśmy. Schulz nas wyrzucił.

– Teraz gwałtownie potrzebujemy pociechy. Kolej na twoją butelkę wódki, Vierbein. Wyciągnij ją twemu teściowi z zanadrza. Obiecałeś nam.

– Tego nie obiecywałem – powiedział skonsternowany Vierbein. – Powiedziałem tylko, że pomówię z panem Aschem.

– To pomów, człowieku. Przecież siedzi tutaj.

– Niepotrzebnie – powiedział stary Asch. – Nie dostaniecie ani kropli więcej alkoholu. Przecież jesteście już zalani w sztok.

– W takim razie – powiedział Ruh nau z uporem – pójdziemy do pani Lory Schulz.

– Tak, zrobimy to – zawtórował mu Bartsch. – Musi wyciągnąć tę butelkę wódki, którą jej przyniósł Vierbein.

– Co takiego? – zapytała ostro Ingrid.

– Przyniósł jej butelczynę wódki! Dlaczegoż by nie? Inni także to robili! – Po tych słowach bliźniacy oddalili się. Hałas na schodach trwał jeszcze długo.

Nowy dzień gramolił się zmęczony na horyzont. Wpełzł na wartownika opartego o lufę działa.

Wartownik uważał, że jest to poranek nie różniący się od setek innych, które go poprzedziły. Gęste chmury połknęły słońce. Mróz wżerał się chciwie w ziemię.

Może spadnie śnieg – myślał wartownik. – A może i nie. Najważniejsze, że nie ma deszczu. Kiedy tu zacznie padać deszcz, spłucze całą zimę. Jest to woda na młyn wojny.

Wartownik spojrzał poprzez parów na przeciwległe wzgórze. W odległości zaledwie kilku kilometrów zobaczył człowieka stąpającego po śniegu. Był to również

wartownik.

Wartownik ten – myślał ma azjatyckie rysy twarzy i mówi po rosyjsku; jest łysy, nosi brązowy mundur, ale robi to samo, co ja. Dokładnie to samo.

Zabawne – pomyślał wartownik. – Dokładnie to samo.

Ranny ptaszek Soeft spędził ostatnią noc w miasteczku przyfrontowym. Zdarzało się to coraz częściej. Pan Soeft miał zawsze do dyspozycji kilka łóżek jednocześnie.

Gołąc się prowadził prywatną rozmówkę poranną ze swoim przyjacielem, pierwszym pisarzem magazynu żywnościowego.

Sierżant leżał jeszcze na sienniku i przyglądał się bacznie swemu kompanowi od interesów.

– Dobry krem do golenia – powiedział Soeft. – Potrzebowałbym pięciu tubek.

– Ile są dla ciebie warte?

– Jedną tuczoną gęś.

– Mamy konserwowe. – Sierżant udawał brak zainteresowania.

– Konserwy! – powiedział Soeft z pogardą. – Świeżo zarżnięte i przyprawione to dopiero delicje. Wielu lizałoby po tym palce.

– Trzy tuby za tuczoną gęś – zaproponował sierżant. – Wkrótce nie będziesz miał co począć ze swoim żywym inwentarzem.

– Dlaczegoż to, ty lichwiarzu?

– Bo wkrótce dokonamy zmiany stanowisk. Na to jakoś wygląda. Intendent rozpoczął już po kryjomu przeprowadzkę.

Soeft odłożył brzytwę. – O tym – powiedział – musimy pomówić bardziej szczegółowo.

Ordynans, który jak codziennie przyniósł Luschkemu wodę do mycia, zastał pułkownika przy stole z mapami. Wyglądało na to, że spędził przy nich noc. Na zmęczonej bulwiastej twarzy widniały cienkie smugi potu.

– Nie gapcie się tak na mnie – powiedział pułkownik. – Nie widzieliście nigdy nie ogolonego człowieka?

Ordynans postawił prędko miskę z wodą i znikł.

Luschke sięgnął po meldunki poranne. Stan pogody: nie przewiduje się zmian. Stan amunicji: bez zmian. Komunikat nadzwyczajny Dowództwa Armii: wzmożona działalność agentów. Sprawdzić względnie zaostrzyć środki bezpieczeństwa. Meldunki o stratach: strat nie było.

Pułkownik odsunął papiery na bok i wlepił wzrok w mapę. Jak każdego ranka. I jak każdego ranka powiedział: – Gówno.

Potem podszedł do umieszczonej na stołku miski z wodą i kilkakrotnie zanurzył w niej głowę.

Ten sam dzień wstał w ojczyźnie niby silny młodzieniec, który się zbudził z długie-

go snu. Słońce pojawiło się od razu na horyzoncie i oświetliło miasteczko.

Natychmiast obudziły się również koszary.

Jak podczas wszystkich lat poprzednich żołnierze wygrzebywali się z łóżek. Przeróżliwe gwizdki przerwały im sen. Podoficer dyżurny ryczał.

Żołnierze jak gdyby się postarzeli. Niektórzy mieli potężne brzuchy, inni pochyłe ramiona. Wiele gołych nóg było krzywych i cienkich. Wszystkich jednak traktowano jak młodych rekrutów. I pozwalali się tak traktować. Wielu myślało, że tak być musi.

Kapral Vierbein stał wśród nich w umywalni. Obnażył górną część ciała, puścił na nią strumień wody. Żołnierze przyglądali mu się nieufnie.

– To dobrze robi – powiedział Vierbein.

Żołnierz stojący obok niego, osobnik ze zmarszczkami na twarzy, o długich, cienkich rękach dygocących z zimna, wtrącił: – Kiedy byłem taki młody jak pan, również mi to dobrze robiło.

– Przecież nie jest pan stary! – zawołał Vierbein.

– Jestem żołnierzem. Mam żylaki, płaską stopę, wrzody w żołądku, dwoje dzieci, które powoli schodzą na psy, i żonę, która się puszcza, ale jestem żołnierzem.

Vierbein milczał.

Ogniomistrz Asch pisał list do żony. Donosił jej zawsze, że mu się dobrze wiedzie, że myślami jest przy niej, niechaj się o niego nie niepokoi. *Wszystko – pisał – dobrze się skończy.* Wedelmann tymczasem jadł śniadanie. Robił to powoli i bez szczególnego apetytu. Od czasu do czasu łykał nieco gorącej, brunatnej wody zwanej kawą.

– Można wam pozazdrościć – powiedział po chwili. – Wicie, do kogo należycie.

– Przecież pan, panie poruczniku, również wie o tym doskonale.

– Macie żonę i dziecko.

– A pan porucznik ma Niemcy i führera.

– Nie róbcie dowcipów, Asch – powiedział surowo Wedelmann.

– Panie poruczniku – zapytał ogniomistrz – czy pan porucznik widział już kiedyś Niemcy? Czy przyjrzał się pan porucznik dokładnie führerowi?

– Nie rozmawiam z wami o tych rzeczach, Asch.

– A z kimże pan porucznik o tym mówi? Z pułkownikiem Luschke? Z kapitanem Wittererem? A może z kapralem Vierbeinem? Niewielki wybór jak na tak wzniosłe myśli.

– Piszcie swój list i zostawcie mnie w spokoju – odpowiedział Wedelmann zirytowany. – Niezły z was człowiek, Asch, ale dobrym Niemcem nie będziecie nigdy.

– A może jednak. Jeżeli kiedyś powstaną dobre Niemcy.

Bombardier Kowalski odpowiedział z początku strajkiem, kiedy kapral Krause „wczesnym rankiem”, mniej więcej około ósmej, ośmielił się obudzić go z najgłębszego snu.

– Odwal się – powiedział – albo cię zmiażdżę.

Krause uderzył w surowy ton służbowy. Kowalski odwrócił się tyłem.

– Zamelduję o tym kapitanowi Wittererowi! – zawołał Krause.

– Gównu zameldujesz – powiedział Kowalski. – Nie będziesz miał odwagi stanąć przed swoim kapitanem jako mięczak. Kapral, który sobie nie potrafi poradzić z bombardierem! To być nie może, w każdym razie nie u Witterera.

Krause zorientowawszy się, że Kowalski wie dokładnie, co w trawie piszczy, stał się koleżeński i przeszedł na ton protekcyjny. – Przecież tego, człowieku, nie możesz mi zrobić!

– Jeszcze jak mogę – oświadczył Kowalski wciągając koc na głowę.

– Kowalski – odparł Krause, i choć mu to przychodziło z trudem, puścił w ruch płytę jeszcze łagodniejszą, o bardziej obiecujących dźwiękach. – Wielka sprawa! Nie ogląda się tego co dzień!

– Cóż to takiego? – zapytał Kowalski z zaciekawieniem.

– Będziesz zdumiony – przyrzekł Krause tonem spiskowca. – Mówię ci tylko: bardzo wielka sprawa!

– No pięknie – powiedział Kowalski i zaczął wygrzebywać się z posłania. – Nie chcę psuć zabawy.

Ingrid Asch siedziała naprzeciw ojca przy stole. Stary Asch czytał „Völkischer Beobachter”; lektura ta bawiła go.

– Wojna staje się coraz bardziej totalna – powiedział. – Nawet nasz führer sypia wyłącznie na łóżku polowym. Cóż ty na to?

Ingrid nic nie powiedziała. Przez długi czas starannie mieszała łyżeczką swoją kawę. Nie zwracała uwagi na słowa ojca. Myślała o czymś.

– Sypia w łóżku polowym – powtórzył Asch prowokującym tonem. – Chciałbym tylko wiedzieć, kto w to wierzy. Generał, którego znam – ten z długami – dał się raz sfotografować na tle kuchni polowej. Podpis brzmiał: „Generał dzieli stawę ze swoimi żołnierzami”. Gównu dzieli! Najwyżej oni z nim dzielą, ale nie on z nimi! Przypadkowo wiem, że ten pan szaleje za pasztetem z gęsiej wątróbki, oczywiście z truflami. Podczas ostatniego urlopu „zorganizował” sobie dwie skrzynie tego przysmaku.

Ingrid, w dalszym ciągu pogrążona w rozmyśleniach, puściła mimo uszu nawet aluzje do ukochanego führera.

– Jesteś chora, moje dziecko?

– Ojczy, czy sądzisz, że Johannes mnie zdradza?

– Vierbein? Z pewnością nie. A jeżeli, to najwyżej z tą kurwą wojną. A na to pozwoliłaś mu wyraźnie.

– Proszę, nie mów tak.

– Moje drogie dziecko – powiedział stary Asch po namyśle – gdybym był na twoim miejscu, wiedziałbym, co trzeba robić, żeby nie być zdradzonym. Ale jako ojciec mówię ci: czekaj, aż to wszystko minie. Jesteś jeszcze bardzo młoda. Do tego czasu

z pewnością nie staniesz się starą panną.

Natasza siedziała przy oknie w swej ciasnej komórcie, na kolanach trzymała deskę, na której leżała kartka papieru. Pisała na niej wielkimi literami. Robiła to z powagą i skupieniem dziecka, które uczy się pisać.

Pisała: *Wedelmann, trzecia bateria, 4 działa, 32 pojazdy*. Po chwili przekreśliła to wszystko gwałtownym ruchem. Potem znowu napisała: *Wedelmann*.

Na jej zazwyczaj gładkim czole pojawiła się głęboka zmarszczka. Wysunęła naprzód głowę, plecy zaokrągliły się. Oddychała ciężko.

Potem zaczęła pisać dalej, dodając do nazwiska Wedelmann określenie następujące: Wzrost 178, waga 140 funtów, oczy niebieskie, włosy ciemnoblonde, nos prosty, usta wąskie, uzębienie kompletne.

Roześmiała się i nieco się temu swemu śmiechowi zdziwiła. Po chwili spoważniała. I szybkimi ruchami przekreśliła wszystko, co dotychczas napisała.

Zdecydowanym ruchem odwróciła kartkę papieru i napisała na niej: Jeden pułk artylerii – dowódca pułkownik Luschke; trzy pułki piechoty – dowódcy: Hanke, Niekisch, von Behringer; jeden pułk pancerny, wyposażony w czołgi typu IV – dowódca Schwaiger.

Pisała i pisała, aż kartka wypełniła się liczbami i nazwiskami. Potem długo się jej przyglądała.

Nagle wstała, otworzyła drzwiczki pieca i wrzuciła kartkę do ognia; długo, intensywnie patrzyła jak urzeczona na pożerające ją płomienie.

Kapitan Witterer stał obok swego kolegi, kapitana żandarmerii polowej. Znajdowali się na wzgórzu pod miasteczkiem przyfrontowym. W niewielkiej odległości za nimi stali Krause i Kowalski.

Dwaj ludzie kopali rów. Pracowali łopatami powoli, ale rytmicznie. Dwaj żandarmi polowi, wsparci lekko o swe karabiny, śledzili ich ruchy.

– Czy to nie wystarczy? – zapytał kapitan żandarmerii polowej.

Jeden z żandarmów podszedł do kopiących ludzi i zajrzał do rowu. Potem skinął głową i powiedział: – Chyba wystarczy.

– No więc – powiedział kapitan żandarmerii polowej. – Na co właściwie jeszcze czekamy?

Jeden z żandarmów polowych podszedł do stojących w rowie, odebrał im łopaty i odrzucił je niedbale na bok. Potem załadował swój karabin. Drugi zrobił to samo.

Kapitan Witterer zbliżył się nieco bardziej do rowu. Klęczeli w nim tamci dwaj, widać było ich pochylone karki.

– Moi ludzie – oświadczył kapitan żandarmerii polowej – mierzą zawsze w tył głowy. Zazwyczaj jeden strzał wystarcza.

Jeden strzał wystarczył. Potylicy obu mężczyzn w rowie zostały zdruzgotane. Mózg rozprysnął się dookoła, z ran trysnęła wodnistoczerwona krew. Zsunęli się jak

kłody na dno rowu.

– Zakopać! – rozkazał kapitan żandarmerii. Bombardier Kowalski splunął i odszedł.

Porucznik Schulz podniósł się na swym łóżku, ziewnął potężnie, rozpostarł ramiona, wyprężył klatkę piersiową. Potem spojrział na żonę, która nie odrywając głowy od poduszki patrzyła na niego sennym wzrokiem.

– Chciałbym wiedzieć – powiedział – od czego jesteś zawsze taka zmęczona.

– Nie przez ciebie – odrzekła Lora Schulz zjadliwie.

– Wiem o tym – burknął Schulz srogo.

– Gdybyś to tylko wiedział – odparła ze złością – może czasami pomyślałbyś o tym.

– Loro – ciągnął dalej Schulz spoglądając na nią ze smutkiem – zastępuję obecnie dowódcę. Występuję jako dowódca.

– W takim razie ja jestem żoną dowódcy.

– Przecież nie wiesz nawet, jak się jada szparagi.

– Mimo to smakują mi!

– Czy spełniłaś mój rozkaz i zajrzałaś do encyklopedii? Czy wiesz już teraz, co to takiego eksceleńcja, co oznacza słowo konwersacja, co należy rozumieć przez etykietę? Nie wiesz nic.

– Wiem tylko, że bredzisz!

– Jesteś moim nieszczęściem – powiedział Schulz udając, że jest świadomością tego faktu do głębi wstrząśnięty. Podniósł się i stanął przed nią w sięgającej po kostki nocnej koszuli. – Nie masz odpowiedniego poziomu, żeby być żoną oficera, a co dopiero dowódcy. A jeszcze gorsze jest to, że sobie nie zadajesz trudu – po prostu nie chcesz!

– Możesz się razem ze swoim kasynem dać wypchać – burknęła.

– Kiedyś pożałujesz jeszcze tego – powiedział głęboko dotknięty. – Ściśle biorąc, jest to powód do rozwodu.

– Dostarczę ci jeszcze innych powodów – rzekła złośliwie. – I to wkrótce.

Mam się stawić do pani dyspozycji – powiedział Soeft i mrugnął w stronę Lizy Ebner.

Liza Ebner przyglądała się ze zdumieniem niezwykle porannemu gościowi, który wtargnął do niej i rozsiadł się z niepojętą bezczelnością. W porównaniu z nim nawet ogniomistrz Asch był prawie wytwornym kawalerem.

– Proszę mną rozporządzać – animował ją Soeft; jego małe oczki błyszczały.

– Czy przysyła pana kapitan Witterer?

– Oczywiście. A może pani sądziła, że przyszedłem z własnej inicjatywy?

– Przecież to możliwe.

– Nie u mnie – zapewnił Soeft. – Nie jest mi to mianowicie nieodzownie potrzeb-

ne. W tej dziedzinie mam bardzo liczne oferty. Wybór nie jest wcale taki mały, jeśli się wie, gdzie szukać źródeł, A ja wiem. Poza tym nie jest pani w moim typie.

– Czego pan właściwie chce ode mnie!

– Spełnić pani życzenia – powiedział Soeft produkując się w roli kalifa z Bagdadu. – Czego pani potrzeba? Mydła, pończoch, bucików na futrze, delikatesów? Parę butelek porządnego alkoholu?

– Czego pan za to żąda?

– Rachunek przedstawi kapitan Witterer – uśmiechnął się Soeft poufale.

– Precz! – zawołała Liza Ebner.

– Powoli, powoli – uspokajał ją Soeft. – Jest pani bliska wyrzucenia przez okno majątku.

– Teraz zaczynam rozumieć! – zawołała Liza Ebner z oburzeniem. – Przysłał pana ten ogniomistrz Asch, żeby mi dokuczyć. Jesteście przecież bliskimi przyjaciółmi. Mówiła mi już o tym siostra w świetlicy żołnierskiej. Przybywa pan od Ascha!

– Teraz naprawdę sobie pójdę – powiedział Soeft lekko zbity z tropu. – Pani, jak się zdaje, zupełnie mnie nie docenia! To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

Wartownik na stanowisku ogniowym został zluzowany. Nowy wartownik wyglądał tak samo jak poprzedni, poruszał się tak samo, jak tamten, myślał to samo.

Może spadnie śnieg – rozważał. – A może i nie. Najważniejsze, że nie ma deszczu. Deszcz to woda na młyn wojny. Wojna ożywia się wtedy, staje na nogi.

Wartownik spojrział poprzez parowy na przeciwległe wzgórza, na których okopał się przeciwnik.

Myślał sobie: Ci frajerzy, nieszczęśni frajerzy. I ty także jesteś nieszczęsnym frajerem! Jak dużo jest na świecie takich nieszczęsnych frajerów!

Raz na tydzień, przeważnie w czwartki, kapral Soeft zwykł był osobiście zjawiać się na stanowiskach ogniowych. Zachowywał się przy tej okazji jak generał i niejednen z żołnierzy odnosił się do niego z respektem należnym generałowi. Chwilami miało się wrażenie, że król zaopatrzenia przyjmuje hołdy swych poddanych.

Istotnym celem tych wizyt Soefta była chęć zorientowania się w apetytach i gustach zaopatrywanych przez niego żołnierzy.

Soeft, przyzwyczajony do świty, wezwał tym razem Krausego, kandydata na podoficera do zleceń specjalnych, by mu towarzyszył w jego obchodzie inspekcyjnym. Krause zorientował się w mgnieniu oka, że jest to wyróżnienie, i pospieszył z wyrażeniem swej gotowości. – Powiedz mi tylko, Soeft, gdzie mam na ciebie czekać.

– Możesz wstąpić po mnie – odpowiedział Soeft, który z zasady wykorzystywał gotowość innych, jak się tylko dało.

Krause zjawił się przed umówioną porą w rejonie kolumny żywnościowej na zapasowym stanowisku taborów. Czekał cierpliwie w tak zwanym przedpokoju, w którym jedna z rosyjskich sił pomocniczych układała w piramidę bochenki chleba.

Tymczasem w „biurze głównym” inna z rosyjskich dziewcząt zatrudnionych w kuchni natłuszczała Soeftowi drugą parę butów, Soeft gawędził z pomocnikiem kucharza na temat sposobu przyrządzania pieczeni z nerką.

W jakiś kwadrans później wolno było wziąć udział w tej pogawędce również Krausemu. Kandydat na wykonawcę zleceń specjalnych opowiedział się za inicjatywą Soefta, który zamierzał wydębić dla kuchni jeszcze jedną dużą brytfannę. Kiedy z kolei Soeft zażądał dodatkowego wozu dla kuchni polowej, Krause powstrzymał się na razie od wypowiedzenia swej opinii w tej drażliwej kwestii.

– Dodatkowy wóz dla kuchni polowej – powiedział Soeft – rozwiązałby śpiewająco wszystkie komplikacje przy nowym marszu; kierunek nie gra roli – naprzód czy w tył. Aby zapewnić ciepłą strawę na dotychczasowym wysokim poziomie, muszę mieć dodatkowy wóz.

– Chyba masz rację – powiedział Krause ostrożnie i, jak mu się zdawało, wysoce dyplomatycznie.

– Tak, mam rację – odparł skromnie Soeft. – Bo w tej materii dobrze się orientuję. Przypuśćmy, że mają być sznyce. Nie można przecież transportować ich w kuchni polowej przez całą okolicę. Aby baterii dostarczyć większej ilości dań, potrzebuję w praktyce przynajmniej dwóch pojazdów: jednego, na którym można by seryjnie smażyć, drugiego, który by te sznyce również seryjnie dostarczał poszczególnym obsługom i kolumnom.

– To mnie przekonało – powiedział Krause i kiwnął potakująco głową.

W dziedzinie swej specjalności Soeft zwykł był wykazywać coś w rodzaju bujnej fantazji. Nie było nigdy wskazane, chyba żeby ktoś zmierzał do strajku głodowego, przeciwstawiać się lekkomyślnie szeroko zakrojonym planom króla zaopatrzenia. Niezależnie bowiem od praktycznych sukcesów Soefta wszyscy żołnierze baterii w mig zorientowali się, jaki to geniusz kuchni przebywa w ich szeregach. Twierdzenie, że Soeft jest ubóstwiany, byłoby przesadą, nie ulegało jednak wątpliwości, że cieszył się pewnym poważaniem.

– Musisz więc przygotować – oświadczył Soeft Krausemu – powoli dowódcę na to, żeby zgodził się na pewne rzeczy, jeżeli chce przetrwać wojnę bez poważnego zmniejszenia swej wagi.

– Oczywiście spróbuję – odparł Krause ostrożnie – przecież ostatecznie nie jestem Aschem.

Soeft uśmiechnął się z wyższością. Ten sardoniczny uśmiech przypominał żywo uśmiech pułkownika Luschke, nie było to przypadkowe, gdyż „kuchenny marszałek polny” starał się go naśladować. Podobnie jak pułkownik, którego sam Soeft skłonny był respektować, król zaopatrzenia nie dopuszczał do przedwczesnego dyktowania sobie ceny, którą byłby gotów zapłacić za swe żądania. Udał więc, że nazwiska Asch nie dosłyszał.

Poszli na stanowisko ogniowe. Obeszli działa; jak zawsze, kiedy ogłaszano alarm

w sprawie palenia i żarcia, nikogo z obsługi nie brakowało. Soeft porozdzielał przede wszystkim ze swoich zapasów specjalnych papierosy, nie zapomniał również o amatorach cygar. Potem kazał sobie przedłożyć skargi na niedociągnięcia w zaopatrzeniu. Okazało się, że znowu brakowało zapalek. Soeft obiecał zaradzić temu w ciągu dwudziestu czterech godzin. Żołnierze wiedzieli, że upragnione zapałki mają już jakby w kieszeni.

Potem opiekun żołądków obwieścił nasłuchującej obsłudze dział, że znowu gotów jest dostarczyć niedzielnego ekstrażarcia wedle gustu i smaku poszczególnych działonów. Wyrzebał swój notes i zapytał: – A więc jakie są życzenia?

– Wątróbka! – zawołała obsługa pierwszego działu, która wyczekująco skupiła się koło schronu na amunicję. Niektórym szła już do ust ślinka; widzieli już tę wątróbkę, czuli jej zapach, rozsmakowywali się w niej, wżerali się w nią.

Soeft spojrział na żołnierzy melancholijnie. Jego potężny nochal uniósł się w górę, małe oczki patrzyły mętnie, robił wrażenie człowieka, którego do głębi zraniono. – Co to ma znaczyć? – zapytał po chwili z wyrzutem.

– Chcielibyśmy wątróbki! – zawołali żołnierze pochłonięci myślą o niedzielnym żarciu. – Przecież sam powiedziałeś...

– Jakiej wątróbki? – zapytał Soeft udręczonym głosem! – Wieprzowej czy cielęcej? Smażonej czy gotowanej? Na słodko, na kwaśno, czy jak?

Żołnierze patrzyli na Soefta, jak by był jakimś dziwolągiem z bajki, jakimś jedno-rodzcem zaopatrzenia, jakimś białym krukiem w swej dziedzinie. Kiwali głowami, potrącali się, mrużąc oczy spoglądali z ufnością na geniusza zaopatrzenia. Prawie każdy wiedział, że Soeft jest paskarzem, ale nikt nie brał mu tego za złe – przecież paskował również dla nich. Niech żyje Soeft! Dzięki niemu żyjemy i my!

Ostatecznie obsługa pierwszego działu uzgodniła swe żądania: wątróbka cielęca z duszoną cebulką. Soeft wpisał to z całą powagą do swego notesu.

Obsługa drugiego działu zażądała gotowanej wieprzowiny z kiszoną kapustą. Obsługa trzeciego objawiła chęć spożycia baraniny z grochem. A działonowy czwartego działu, oparty o lufę, uśmiechnął się zawadiacko do swojej obsługi i powiedział z szerokim gestem: – Dla nas – kawior.

„Kawior” – zapisał Soeft nie mrugnawszy nawet powieką. Żołnierze stali w osłupieniu jak barany.

– Chłopaki traktują to jako rodzaj sportu – powiedział Krause, kiedy opuścili stanowisko ogniowe – i zamawiają sobie niemożliwe rzeczy.

– U mnie nie ma rzeczy niemożliwych – oświadczył Soeft. – Na tym odcinku i ja mam ambicje wyraźnie sportowe.

– Rozpuszczasz tylko chłopaków.

– Drogi przyjacielu, tę sprawę zostaw łaskawie mnie – powiedział Soeft przystając. – Żołnierz ma prawo do świni w kotle, dopóki ja rządę kuchnią. Na razie leżymy tu na brzuchach i czekamy. Właściwie na co? Czy na to, żeby z żołądkiem przy-

schniętym do kręgosłupa walczyć i umierać?

– Mamy ostatecznie wojnę, Soeft.

– Mam wojnę w dupie – powiedział Soeft po prostu i serdecznie. – Przede wszystkim chcę dobrze jeść. Żyć i pozwolić żyć innym. Dlatego robię wszystko, by to życie ułożyć możliwie najprzyjemniej. Ten, kto mi przy tym nie przeszkadza, będzie miał zawsze pełny kałdun. A może masz jakieś zastrzeżenia pod tym względem?

– Skądże znowu – pośpieszył z odpowiedzią Krause.

– Nie wyszłoby ci to też na dobre – powiedział Soeft z przekonaniem. – Ten, kto nie trawi normalnie albo przynajmniej nie dąży do tego, jest moim osobistym wrogiem.

Udali się do telefonistów, kazali połączyć się z obserwatorami, zatrzymali się dłużej u podoficera samochodowego w jego prowizorycznym warsztacie. Potem Soeft zanotował życzenia plutonu amunicyjnego. Nawet podoficerowi sanitarnemu, którego konsekwentnie zwykł był nazywać „bombardierem sanitarnym Neumannem”, wolno było wyszukać sobie grupę, przy której mógłby pożywić się w niedzielę.

– A czego życzyliby sobie dowództwo baterii? – zapytał Soeft aspiranta na stanowisko podoficera do zleceń specjalnych.

– Może pieczonej kaczki? – odpowiedział Krause ostrożnym pytaniem.

– Dlaczego nie?

– Jeżeli ci to odpowiada, zapytam kapitana Witterera o jego życzenia.

– Zrób to, ale możliwie prędko. Muszę mieć wszystkie zamówienia najpóźniej do jutra w południe. Mój kolega z rzeźni polowej nie będzie dłużej czekać.

– Na pewno zawiadomię cię do tego czasu – zapewnił Krause. – Czy mam się również dowiedzieć, co by kapitan Witterer chciał mieć do picia?

– Niech będzie – odparł wspaniałomyślnie Soeft. – A kiedy już będziesz zasięgał informacji, może jakoś wtrącisz pytanie, jak właściwie wygląda sprawa zmiany stanowisk?

– Zmiany stanowisk? – zapytał Krause zaskoczony tym pytaniem. – Skądże ci to przyszło do głowy? Będziemy tu siedzieli murem przynajmniej dopóty, dopóki nie przeminą roztopy ze swoim obowiązkowym wiosennym błotem.

– Może. A może i nie. W każdym razie słyszałem coś niecoś o tym w dowództwie armii. Oficer finansowy, który ma wobec mnie zobowiązania, przygotowuje się wyraźnie do przesunięcia swego kramu w tył.

– Jest to dla mnie nowina – Krause był szczerze zdumiony. – Zdaje się, że kapitan Witterer nic jeszcze o tym nie wie.

– Mnie wystarczy, że ja wiem – powiedział Soeft. – A ten twój Witterer, miejmy nadzieję, już się jakoś o tym dowie przy sposobności. Nastawiaj więc dobrze uszu i daj mi w porę znać, gdy będziesz miał jakieś dane o wyrównaniu linii frontu. Bo ostatecznie muszę przetransportować nie tylko moje zapasy, ale cały mój kołchoz.

Krause skinął głową i zamyślił się. Soeft był chyba jak zwykle dobrze zorientowany. Wyrównanie frontu? Nie jest to wykluczone. Nic nie jest wykluczone, przecież to wojna. A taki Soeft orientuje się dzięki swoim licznym i różnorodnym kontaktom lepiej niż dowódca baterii.

– Mój kołchoz – powiedział Soeft – to obiekt pierwszorzędnej wartości. Nie możemy go w żadnym wypadku lekkomyślnie utracić. Jeżeli sprawy przyjmą zupełnie zły obrót, zaproponuję go dywizji pancерnej jako obiekt wymienny. Dostali właśnie teraz konserwy pierwszej klasy.

Kołchoz kaprala Soefta znajdował się w odległości dwunastu kilometrów od frontu i został zadeklarowany jako obiekt pozostający w sferze zainteresowań odnośnego dowództwa armii. Soeft zaopatrzył się w specjalne tablice z zakazami, które polecił porozmieszczać na widocznych miejscach; całe obojęcie było podporządkowane jednemu podoficerowi i trzem żołnierzom, wyposażonym we względnie wiarygodne dokumenty. Porucznik Wedelmann przytknął na to oczy i przerzucił całą odpowiedzialność na Boga i swego geniusza zaopatrzenia.

Obecnie Soeft miał jeszcze w kołchozie cztery krowy, dziewięć świń, siedemnaście owiec, dziewiętnaście kaczek i dwadzieścia osiem kur, z których część znosiła jajka. Cały żywy i martwy inwentarz służył częściowo za obiekt wymiany z innymi jednostkami, a częściowo za dodatkowe zaopatrzenie dla jego własnej baterii. Stąd pochodziły również owe „drobne podarki”, które, jak wiadomo, podtrzymują przyjaźń. U Soefta była to przyjaźń o charakterze komercyjnym.

– Kapitan Witterer – powiedział Soeft znacząco – musi powoli uświadomić sobie, jaki zasięg ma w rzeczywistości jego bateria.

– Wie o tym zapewne, choć nie o wszystkim chce wiedzieć. Rozumiesz?

– To mu nie da ekstra pieczonych kaczek – powiedział Soeft ostrzegawczo. – Wtajemniczenie go w takie finezje jest zadaniem podoficera do zleceń specjalnych. Gdyby do tych zadań nie dorastał...

– Możesz być pewien, Soeft, że my dwaj dobrze będziemy ze sobą współpracowali.

– Miejmy nadzieję, Krause. Jak będziesz dokładnie wiedział, skąd wiatr wieje, potrafisz również prawidłowo żeglować. Uważaj tylko, żebyś się nie dostał do nieodpowiedniej żaglówki.

– Nie martw się, Soeft!

– Kto mówi, że się martwię, człowieku. Ale ja na twoim miejscu czekałbym, aż wiatr wiejący w plecy będzie dostatecznie mocny.

– Witterer przeprowadzi swoje, tego jestem pewny.

Soeft uśmiechnął się szeroko i zmarszczył czoło. Potem powiedział: – Dożyjemy, zobaczymy. A więc: kołchoz i dodatkowy wóz dla kuchni polowej – te dwie sprawy interesują mnie na razie. Zorientuj się, co tu możesz zrobić. Gdyby to miało trwać za długo, mógłbym ostatecznie wrząc do tego ogniomistrza Ascha.

– Nie trzeba – odrzekł Krause spiesznie. – Postaram się, żeby wszystko zostało załatwione. Potem dodał: – Poza tym Asch wcale by tego nie załatwił.

– Mam może spróbować?

– Soeft – powiedział Krause niemal błagalnie – nie ulega oczywiście wątpliwości, że trzeba się liczyć z oporami. Jeżeli jednak będę miał twoje poparcie i w tej sprawie, i w innej, jakoś swego dopniemy. Ale, jeżeli mi się wolno tak wyrazić, musisz się zdecydować i wybrać.

– Wybrać? Kogo?

– Ascha albo mnie! – nalegał Krause.

Soeft promieniał jak zachwycone niemowlę, jego małe oczki lśniły chytrze. – Drogi mój gołąbku – powiedział – jestem człowiekiem interesu. Zapamiętaj to sobie. Jestem zawsze za tym, z kim można robić najlepsze interesy. Postaraj się więc, a rzecz będzie załatwiona.

Soeft stuknął Krausego w pierś i oddalił się. Gwiżdżąc przerażająco fałszywie udał się do swego magazynu żywnościowego i niemal z namaszczeniem zatrzymał się pośród licznych worków i skrzyń. Nochal zwiślał mu prawie pionowo ku ziemi, co było oznaką wielkiego skupienia.

Tym razem wpadł na godny uwagi pomysł podzielenia swych zapasów żywności na trzy grupy: te, które trzeba – a) transportować bezwarunkowo, b) transportować w pierwszej kolejności, c) transportować dopiero wówczas, gdy będzie czas i miejsce. Postanowił przystąpić natychmiast do załadowywania pierwszej grupy.

Pod wpływem energicznych żądań Soefta Krause powziął również decyzję: sytuacja, jego sytuacja w obrębie baterii musi być jak najprędzej i jak najgruntowniej wyjaśniona. Nie ulega wątpliwości, że wielka, długo oczekiwana szansa nadeszła; nie wolno mu jej pod żadnym pozorem wypuścić z rąk. Nie jest przecież matołkiem! Jest człowiekiem o zdrowej ambicji. Odnosi się pozytywnie do zasady selekcji, zważnej również zasadą wodzostwa.

Po prostu nie miał już ochoty marnieć tu jako jeden z czterech działonowych i jeden z dwudziestu podoficerów. Czy ma czekać, aż mu kiedyś jakiś czołg sam napatoczy się przed lufę? Chciał awansować, pragnął zostać odznaczony i dochrapać się stopnia oficerskiego. Wojna to doskonała po temu okazja.

Krause zbliżał się do kapitana Witterera wedle wszystkich reguł, które winien stosować zdyscyplinowany podwładny. Witterer siedział w swej kwaterze przy telefonie; wyglądał na bardzo zamyślnego. Pozwolił podoficerowi do zleceń specjalnych usiąść obok siebie.

– Byłem przed chwilą z kapralem Soeftem w poszczególnych członach baterii – raportował Krause z zapalem ucziaka, który chce zdobyć trwałą przychylność naczyciela.

– Dobrze – powiedział Witterer bez odrobiny zainteresowania.

– Kapral Soeft organizuje dla każdej obsługi specjalną pieczęć niedzielną.

– Pięknie – rzekł Witterer bawiąc się słuchawką.

– Wyczyny kaprala Soefta są niepowtarzalne. Ale postanowił prześcignąć samego siebie. Ma pomysły zasługujące na jak najbaczniejszą uwagę. Do ich urzeczywistnienia potrzebuje jednak dodatkowego wozu dla kuchni polowej.

– Czego potrzebuje?

– Dodatkowego wozu dla kuchni polowej, panie kapitanie.

– To dla mnie coś nowego. W żadnym regulaminie nie spotkałem się jeszcze z takim pojazdem. A w regulaminach jestem zorientowany. Jak wam zapewne wiadomo, sam opracowałem kilka ważnych instrukcji.

– Kapral Soeft chce dokonać eksperymentu, po którym sobie dużo obiecuje.

– W mojej baterii? Drogi Krause, jedno musicie sobie zapamiętać jako zasadę: przy ewentualnych niejasnościach decydujące jest dla mnie ostatecznie to, co zawiera regulamin. Regulamin to biblia żołnierza, tylko dzięki niemu osiąga się koncentrację sił; koncentracja ta musi jak amen w pacierzu powalić każdego przeciwnika, który bez planowego dążenia do celu jest po jakimś czasie zgubiony.

Krause milczał, usiłując milczeć potakująco, co mu się prawie udało. W każdym razie rysy jego twarzy zdradzały zdecydowaną uległość. Ubolewał nad tym, że mu się nie powiódł pierwszy atak w stylu Soefta, ale nie stracił otuchy.

Witterer, pozostający jeszcze ciągle pod wrażeniem rozmowy telefonicznej, którą przed kilkoma minutami prowadził z pułkownikiem Luschke, zapytał nagle: – Kim jest kapral Vierbein?

– Beniaminkiem ogniomistrza Ascha – odrzekł Krause nie namyślając się długo.

– Aha! – powiedział, zdając sobie z tego niejasno sprawę, że zapytał, „kim” jest kapral Vierbein, zamiast „czym”. Świadomie nie dosłyszał tego, że odpowiedź kaprala Krausego nie miała nic wspólnego z rzeczową, wyczerpującą informacją.

– Czy ten kapral Vierbein jest właściwie w podróży służbowej czy ma urlop?

– Tego tak dokładnie nikt chyba nie wie – odparł Krause przekonany, że odpowiedział niezwykle chytrze. – Oficjalnie i zgodnie z wykazem osobowym uchodzi za wysłanego w podróż służbową.

– Kto go wysłał?

– Prawdopodobnie ogniomistrz Asch, a więc oficjalnie porucznik Wedelmann.

– Ten Asch zaczyna mi powoli działać na nerwy.

– Potrafię to całkowicie zrozumieć – zapewnił Krause. Kapitan Witterer niezupełnie orientował się w tej szczególnej sprawie, na którą mu przed chwilą zwrócono uwagę. Przyznawał to, choć niechętnie, przed sobą samym. Rozmowa telefoniczna z pułkownikiem Luschke niczego mu nie ułatwiła.

Dlaczego – pytał teraz Witterer sam siebie – pułkownik przywiązuje tak wielką wagę do tego, żeby ten Vierbein znajdował się w posiadaniu „wystarczających papierów”. Co pułkownik Luschke uważał za „wystarczające”? Do czego te papiery miały wystarczyć?

Zatelefonował do starszego ogniomistrza Bocka i otrzymał informację, że Vierbeinowi wydano tylko papiery na podróż służbową; w papiery urlopowe natomiast nie został wyposażony.

Starszy ogniomistrz nie posiadał dostatecznych informacji co do zlecenia specjalnego, które ten Vierbein miał wykonać na rozkaz dowódcy. Starszy ogniomistrz powiedział coś o „transporcie materiałów” i „zachowaniu tajemnicy”, co kapitana napełniło wielką nieufnością.

Witterer próbował rozmówić się telefonicznie z porucznikiem Wedelmannem. Nie mógł go jednak osiągnąć. Powiedziano mu, że poszedł do wsi. Nikt nie wiedział dokładnie dokąd. Dochodzenia wykazały, że Wedelmann wziął pod pachę małą paczuszkę, powiedział: „za jakieś dwie do trzech godzin”, i wyszedł. Ładne stosunki!

Po dalszych, całkowicie bezskutecznych poszukiwaniach Witterer był zmuszony zapytać Ascha o rodzaj i zasięg poleceń wydanych Vierbeinowi wysłanemu w podróż służbową. Ale Asch był również nieuchwytny. Wedle informacji przebywał w miasteczku przyfrontowym „w celu załatwienia zlecenia specjalnego”.

– Ładne stosunek! – zawołał Witterer z oburzeniem.

– To bardzo do Ascha podobne – wmieszał się Krause. – Zechce zapewne pozostać jak najdłużej u tych dam z zespołu rozrywkowego. Zapewne czuje się tam doskonale. Po wszystkim bowiem, co widziałem...

– Cóż to widzieliście takiego?...

Krause, któremu nareszcie nadarzyła się sposobność powiedzenia o Aschu tego i owego, ochoczo przystąpił do dosyć szczegółowej relacji. Z wielką fantazją, ale w poprawnym stylu wojskowym, opowiadał o spotkaniu z Aschem w kantine wojskowej oraz o daleko, jego zdaniem, sięgającym wpływie, jaki ogniomistrz wyraźnie pragnie wyrzucić na pannie Lizie Ebner.

– W każdym razie, panie kapitanie, zachowanie jego było tak prowokacyjne, że zastanawiałem się, czy nie wniesć zażalenia.

– Napiszcie to w formie meldunku – zarządził Witterer. – Może przyda się w przyszłości. A teraz zajmijcie się odnalezieniem porucznika Wedelmanna. Ma mnie zastąpić. Potem zmobilizujcie Kowalskiego. Pojedziemy do miasta i obejrzymy sobie występ zespołu rozrywkowego.

Pierwszy oficjalny występ kabaretu frontowego „Cztery Pingwiny” odbył się w byłym radzieckim Domu Kultury w miasteczku przyfrontowym.

Sala, w której dawniej odbywały się prelekcje i przedstawienia teatralne oraz pokazy filmów, była wypełniona już na pół godziny przed rozpoczęciem przedstawienia. Aż pod sufit płynęły wśród wesołego gwaru potężne kłęby dymu. Żandarmeria polowa, nazywana „psami łańcuchowymi”, pełniła z marsową miną funkcje przydzielających miejsca na sali. Jeden z „psów” wrzasnął: – Palenie wzbronione!

Ktoś z żołnierskiego tłumu odkrzyknął na to: – Chciałbym to zobaczyć na piśmie.

Wszystkie sztaby, warsztaty remontowe i kolumny zaopatrzeniowe przysłały licz-

ne delegacje. Widać było również żołnierzy z jednostek frontowych. Tym razem szarże stanowiły większość.

Dwa pierwsze rzędy były zarezerwowane dla starszych oficerów. Spodziewano się nawet przybycia dwóch prawdziwych generałów wraz z ich ścisłymi sztabami. Orkiestra pułkowa zaczęła grać skoczne melodie; zdawało się, że wszystkie zostały skomponowane przez Hermsa Niela. Kiedy bęben uderzał „bum, bum”, kilku żołnierzy przytupywało do taktu; na twarzach ich malowało się zadowolenie, że robią tyle hałasu.

Jeden z „psów łańcuchowych” zawołał znowu: – Palenie wzbronione!

Inny wystawił tablicę, na której widniał napis: *Palenie wzbronione. Komendant garnizonu.*

Jeden z szeregowców krzyknął natychmiast: – Komendantowi garnizonu zabrania się palić!

Kapitan Witterer kazał podjechać pod boczne wejście. Tu wspaniałomyślnie zwolnił Krausego „na czas trwania przedstawienia” i udzielił urlopu bombardierowi Kowalskiemu. Zostawiwszy Krausego i Kowalskiego udał się na poszukiwanie garderoby.

– No więc jazda! – powiedział kapral Krause. – Wchodzimy do środka.

– Ja mam urlop – oświadczył Kowalski – więc robię, co mi się podoba.

Krause oddalił się mrużąc gniewnie pod nosem. Przy wejściu na salę pokazał bilet wręczony mu przez kapitana Witterera. Wszedł i pełen oczekiwania usiadł w przedostatnim rzędzie.

Kowalski spojrzał na swój zegarek i stwierdził, że ma jeszcze trochę czasu. Przez to samo więc boczne wejście, którym posłużył się Witterer, udał się do garderoby. Znalazłszy na drzwiach tabliczkę z napisem „Charlotta” zapukał i wszedł uśmiechając się radośnie. Charlotta ubrana w suknię wieczorową siedziała przed lustrem.

– Ma pani dużo fantazji? – zapytał. – Jeżeli tak, proszę sobie wyobrazić, że przyniosłem pani bukiet kwiatów.

– Moje ulubione kwiaty to goździki – powiedziała Charlotta obrzucając go lodowatym spojrzeniem.

– Zgadła pani! – odparł Kowalski i wyciągnął pustą rękę. – Trzy tuziny!

– Ma pan szeroki gest. Prawdziwy kawaler.

– Czy po przedstawieniu wolno mi przyjść po panią? – zapytał Kowalski. – Co by pani powiedziała na Intymną kolacyjkę?

– Pan wie również, co to jest kolacyjka?

– Oczywiście. Coś do jedzenia!

Magik i sztukmistrz Egon otworzył drzwi bez pukania i wsunął głowę do niewielkiej garderoby. – Wszystko gotowe? – zapytał rzeczowo. – Za pięć minut zaczynamy.

– Jestem już dawno gotowa – odpowiedziała Charlotta.

– To widać – zapewnił bombardier Kowalski, który wydawał się sobie galantem.
– Ciągle te wizyty w garderobie! – zawołał Egon z niechęcią. – Przecież mieliśmy tego nie robić, Charlotto.

– Nie mam dość siły, żeby tego ananasa wyrzucić. Czarodziej zmierzył Kowalskiego, który wyrósł przed nim, z początku wyzywającym spojrzeniem. Potem ogarnęło go zmieszanie – poczuł, że ma przed sobą zabijakę, i pomyślał, że jako osoba zbyt wartościowa nie powinien się wystawiać na niebezpieczeństwo.

– Pańska siła prawdopodobnie również nie byłaby wystarczająca – powiedział Kowalski poufale, – A może chciałby pan spróbować?

– To przecież istny burdel – zauważył Egon ze złością i cofnął się ku drzwiom. – U Violi zebrała się połowa korpusu oficerskiego. Ktoś wyleciał przed chwilą z garderoby Lizy. I to dość gwałtownie. A przecież tego wszystkiego chcieliśmy za wszelką cenę uniknąć.

Charlotta wzruszyła ramionami. Kowalski przystąpił do zakasywania rękawów. Egon opuścił garderobę potrząsając głową; zamknął za sobą drzwi z wielkim hukiem.

– Taka konkurencja, co? Flaki mi się od tego wywracają. Ale na mundury nie ma rady. Kiedy się cywile o tym dowiedzą, nie będziemy się tu mogli opędzić od ochotników.

– Jeżeli pan prędko stąd nie odejdzie, nie dostanie pan na sali miejsca.

– Nie ma obawy! Mam miejsce zarezerwowane.

– Panie Kowalski! Jeżeli pan teraz, nie odejdzie, odejdę ja.

– Tego chciałbym uniknąć – powiedział patetycznie bombardier, złożył coś w rodzaju średniowiecznego ukłonu i się oddalił.

Powędrował do głównego wejścia, zaopatrzył się w bilet wstępu i wszedł na salę. Naprzód rozejrzał się badawczo dokoła, żeby się zorientować w sytuacji. Potem podszedł prosto do pierwszego rzędu i usadowił się w samym środku.

Dopadł go jeden z „psów łańcuchowych” i oświadczył: – Te miejsca są zarezerwowane.

– To doskonale – powiedział Kowalski i kiwnął głową.

– Człowieku, są zarezerwowane dla generała.

– No to co? – zapytał Kowalski i rozparł się wygodnie.

– Macie może przytępiony słuch?

– Ależ skąd! W porządku. Przychodzę właśnie od generała, mam pilnować jego miejsc.

Kowalski założył nogę na nogę i uśmiechnął się do żandarma po przyjacielsku i protekcjonalnie. Ten, zbity z tropu, przełknął tę poufałość i oddalił się po chwili.

Bombardier skrzyżował ręce na piersi. Znał swoich ludzi. Kawał był stary jak świat, ale zawsze skuteczny. Nikt nie chciał narażać się na to, by mieć do czynienia z prawdziwym generałem.

Kowalski spojrział wyczekująco na kurtynę, potem na swój zegarek, przy czym stwierdził, że pora przewidziana na rozpoczęcie przedstawienia została znacznie przekroczona. Potrząsnął z dezaprobatą głową. Potem rzucił okiem na salę.

Obok niego było jeszcze kilka wolnych miejsc. Nieco dalej roіło się od starszych oficerów; było wśród nich wielu oficerów sanitarnych i administracyjnych. W dalszych rzędach siedzieli stłoczeni, głowa przy głowie, podoficerowie i szeregowcy. A w tyle, z boku, Kowalski zobaczył ogniomistrza Ascha opartego o drewnianą ścianę.

Bombardier skinął ręką na żandarma polowego, który miał pieczę nad dwoma przednimi rzędami. Ten zdumiał się najpierw, potem po pewnym wahaniu podszedł jednak.

– Widzicie tego ogniomistrza tam z tyłu? – zapytał Kowalski „psa łańcuchowego” i wskazał na Ascha.

– Tak jest – odparł żandarm.

– Przeprowadźcie go więc tutaj – polecił Kowalski takim tonem, jakby to było czymś samo przez się zrozumiałym.

Zanim żandarm zdążył otworzyć usta, by energicznie zaprotestować, pan bombardier dodał: – Jest to mianowicie syn generała.

– Ach tak. – Żandarm cofnął się, podszedł do Ascha i wskazał mu miejsce w pierwszym rzędzie.

– Siadaj, ty fujaro – powiedział Kowalski uśmiechając się... – Rozgość się. Jesteś tu u siebie, my – synowie generała.

– Niech cię diabli wezmą! – powiedział Asch i usiadł. – Ale mnie tam wszystko jedno. Możemy stąd najwyżej wylecieć. A na tym się dobrze znam, właśnie przed chwilą znowu miałem okazję poćwiczyć się w tym.

– A więc to ty byłeś! – zawołał Kowalski. – Właściwie powinno mi to być wpaść do głowy. Witterer wystawił cię z garderoby tej dziewczyny o wielkich oczach.

– Skąd ty o tym już wiesz?

– Ma się swoje stosunki – powiedział Kowalski tajemniczo. Potem znowu spojrział na zegarek i jeszcze energiczniej niż poprzednio potrząsnął głową.

Skinął na żandarma jeszcze krótszym ruchem ręki aniżeli przed chwilą; żandarm zjawił się w te pędy.

– Powiedzcie oficerowi dyżurnemu, żeby zaczynali. Już czas najwyższy. Generał przyjdzie dopiero później.

Żandarm pokonując wzrastającą w nim wciąż na nowo i coraz gwałtowniej nieufność zniknął w głębi sali. Nie mógł sobie po prostu wyobrazić, żeby istniał ktoś, kto by się odważył nabijać go w butelkę. Takie rzeczy nie mogą się zdarzyć – w każdym razie nie zdarzają się w armii, w której on, postrach wszystkich sabotażystów, pełni służbę.

Zachowując więc pewną siebie postawę, „pies łańcuchowy” udał się do oficera sprawującego pieczę nad widowiskiem i zameldował, że syn pana generała kazał po-

wiedzieć, iż pan generał zjawi się dopiero później. Syn pana generała uważa, że można by już zaczynać.

– Syn pana generała może mnie... – powiedział oficer i dał znak do rozpoczęcia widowiska.

Sala zaciemniła się powoli, żołnierze zaczęli wydawać okrzyki.

Rozległo się kilka syknięć. Jakiś chudy jak tyka starszy oficer rozejrzał się z niezadowoleniem dokoła.

– Teraz się zacznie – powiedział Kowalski trącając Ascha.

– Że też ty wszystko od razu zauważysz! – Asch oparł się wyczekująco o poręcz krzesła.

Rozległo się jeszcze kilka okrzyków, po czym kurtyna rozsunała się i na scenie ukazała się pani Charlotta w sukni wieczorowej, łagodnie oświetlona reflektorami. Uśmiechając się do publiczności, łaskawie pozwalała się oglądać.

– To po prostu niepojęte! – zawołał głośno jakiś szczerze rozentuzjzmowany szeregowiec.

Kilku jego kolegów wybuchnęło głośnym śmiechem. Ten sam chudy oficer, który się przed chwilą karcąco rozglądał, wstał i utkwiał surowe spojrzenie w radośnie poruszony żołnierskiej gromadzie.

– Buu! – zawołał ktoś.

– Buu! – zawtórowali mu inni.

Widoczna jeszcze w półmroku twarz chudego oficera zaczerwieniła się. Miał zamiar coś powiedzieć i otworzył usta. Ale zanim do tego doszło, przemówiła Charlotta.

– Drodzy przyjaciele – zaczęła ciepłym, matczynym, lekko ironicznym głosem. – Spróbujmy się dzisiaj trochę rozerwać i zapomnieć o wojnie.

– Już została zapomniana – powiedział Kowalski tak głośno, że słowa dotarły do stojącej na scenie Charlotty.

Spojrzała zmrużonymi oczyma na salę, poznała bombardiera, który radośnie kiwał ku niej głową. – Wszyscy tu na scenie – ciągnęła dalej wesoło – przynosimy wam pozdrowienia z ojczyzny. Zastępujemy tu wszystkie kobiety, które chciałyby być przy was. Wasze matki i siostry.

– I narzeczone! – zawołał ktoś z entuzjazmem.

– Zastępujemy i narzeczone – powiedziała Charlotta. – Ale tylko symbolicznie.

– Szkoda! – rozległy się wołania. Ktoś głośno westchnął. Chudy oficer drgnął z oburzenia.

Charlotta zapowiedziała Lizę Ebner. W tym momencie wszedł na palcach kapitan Witterer; skrzypiącymi butami przemierzył salę i usiadł w drugim rzędzie w rogu, na specjalnie dla niego zarezerwowanym miejscu.

– Dowódca się objawił! – powiedział Kowalski, którego uwagi nie uszło zjawienie się Witterera. – Jak myślisz, czy mam wydać polecenie, żeby mu przydzielono miej-

sce obok mnie?

– Siedzi tam wystarczająco dobrze – oświadczył Asch.

Liza Ebner miała na sobie gładką czarną suknię, lekko marszczoną na biodrach. Wydawało się, że oczy ma jeszcze większe niż zwykle. Jej długie, smukłe ręce błędziły nerwowo po gitarze, zanim jeszcze zaczęła grać.

– Mała ma z pewnością tremę – powiedział Kowalski tonem znawcy. – Powinna była przed wejściem na scenę łyknąć jedną wzmocnioną.

– Może cię poznała. Bo trzeba być koniem, żeby znieść spokojnie twój widok.

Liza Ebner zaśpiewała z początku piosenkę ludową o miłości, wierności i o wianku z kwiatów polnych, które niestety kiedyś zwiędną; ale z nadejściem każdej wiosny kwiaty rozkwitają na nowo, a słońce nie gaśnie nigdy. Dlatego kochajmy!

– To mnie po prostu ścięło z nóg – powiedział Kowalski ani trochę tym nie wzruszony. – Kwiatki polne! Czyż jestem krową?

– Trafieś w sedno – oświadczył Asch. – W moich oczach byłeś zawsze bydlakiem.

Liza Ebner zaśpiewała swoim małym, słodkim głosikiem jeszcze jedną, niemniej tkliwą piosenkę. Aplauz nie był zbyt wielki. Kapitan Witterer podniósł się i bił bravo wytrwale, co skłoniło Ascha do natychmiastowego zaprzestania oklasków.

– Ale teraz – powiedział Kowalski rozpierając się wygodniej na krzesło – teraz nastąpi wreszcie coś ludzkiego.

Charlotte zapowiedziała tancerkę Violę. Zrobiła to w krótkich, lapidarnych słowach. – Dotykanie surowo wzbronione – powiedziała i na sali podniosła się pełna oczekiwania wrzawa. Jeden z żołnierzy gwizdnął przeraźliwie. Chudy oficer znowu zadygotał. Żandarm skoczył na salę jak jastrząb. Kiedy jednak chciał ująć gwizdzącego, natrafił na pełen oburzenia opór.

Charlotte uśmiechnęła się z nie ukrywaną ironią. Spodziewała się tego ożywionego zainteresowania. Zanim zeszła ze sceny, spojrzała szyderczo na Kowalskiego, który się natychmiast wytwornie wyprostował; był później niesłychanie zaskoczony, kiedy się sam na tym ruchu przyłapał.

Weszła Viola, stanęła w lekko przyćmionym świetle reflektorów. Miała na sobie kostium wyglądający na węgierski czy na coś w tym rodzaju. W każdym razie Bałkany. Strój uzupełniały czerwone buciki.

– Wiele tu nie widać – powiedział Kowalski lekko zawiedziony. – Ale to jeszcze przyjdzie. Przecież tańczy kilkakrotnie.

Viola hasała z temperamentem po deskach, poruszała żywo rękami i nogami, strzelała oczyma, jasne jej loki fruwały. Kiedy skończyła, widownia rozszalała się. Miało się wrażenie, że belki dygoczą. Viola posyłała ręką pocałunki. W tylnych rzędach trzeba było jednego z szeregowców przytrzymać siłą.

Po Violi wystąpił sztukmistrz-czarodziej Egon i produkował się przez pół godziny. Wysilał się gorliwie, żeby do swych produkcji wciągnąć publiczność, dawał kar-

ty do tasowania, rozdzielał pierścionki, szukał chustek, ku ogólnej radości wyciągnął jednemu z płatników złote monety z nosa. Kiedy jednak Kowalski zdradził chęć wzięcia udziału w jego sztukach, wyłącznie w tym celu, żeby go wystrychnąć na dudka, Egon ominął go w zdecydowany sposób.

Później, przy stale wzrastającym entuzjazmie na sali, Charlotta wyrecytowała kilka niemal ordynarnych wierszy Ringelnatza, Liza odśpiewała parę wesołych, szelmowskich piosenek, Viola zaś produkowała się w coraz lżejszych strojach. Entuzjazm nawet w pierwszych rzędach podobny był do orkanu; oklaskom dla kabaretu frontowego „Cztery Pingwiny” nie było końca.

Asch wyrwał się z ciżby i wprost przez scenę poszedł do garderoby. Zastał Lizę Ebner siedzącą przed lustrem. Rozczesywała włosy i uśmiechnęła się do niego.

– No i cóż? – zapytała z zaciekawieniem. – Podobałam się panu?

– Bardzo – odparł Asch z całą szczerością. – Bardzo! Ale teraz musi pani wrócić do swego pokoju.

– Muszę? Przecież jesteśmy zaproszeni.

– Domyślam się tego! – zawołał Asch. – Ale oczywiście nic z tego nie będzie! Szkoda pani na to.

– Pan to mówi poważnie?

– Niechże pani idzie ze mną. Odprowadzę panią.

– Jeżeli mnie pan odprowadzi, pójdę – powiedziała Liza Ebner i uśmiechnęła się do niego. Włożyła płaszcz, który jej podał. Przy tej okazji straciła nieco równowagę, potknęła się i uchwyciła Ascha.

– Uwaga! – powiedział podtrzymując ją.

– Pan jest bardzo silny – zauważyła Liza.

– Nie za bardzo. Ale wystarczająco silny, żeby przy pani nie osłabnąć.

– Naprawdę?

– Niechże pani wreszcie idzie!

Ledwie opuścili Dom Kultury, zjawił się w garderobie kapitan Witterer. Szukał Lizy Ebner, ale jej nie znalazł. Natknął się przy tej okazji na Kowalskiego, szalejącego ze złości, gdy ów żandarm wpadł na pomysł postawienia mu kilku drażliwych pytań.

– Widzieliście pannę Ebner? – zapytał Witterer.

Kowalski, który chciał się wcisnąć do potężnie obłożonej garderoby Charlotty, spojrział na niego błędnym wzrokiem kipiąc z gniewu: – Dlaczego pan kapitan m n i e o to pyta? Niechże się pan zwróci do ogniomistrza Ascha.

– Tak uważacie?

Kapral Vierbein śledził z wyraźną dezaprobatą zmęczone ruchy poranne „braci sjamskich”. Niemal pogardliwie przyglądał się, jak Bartsch i Ruhnau gramolili się ze swych łóżek; otwierali przy ziewaniu gęby od ucha do ucha, a potem kręcili się po izbie.

– Że też wam nie wstyd! – zawołał.

Bartsch tępo spojrzał zapuchniętymi oczyma na ubranego już Vierbeina. Wraz z Ruhnaudem cierpiał straszliwie wskutek działania olbrzymich ilości alkoholu trzeciego gatunku.

– Człowieku – jęczał Bartsch trzymając się poręczy łóżka. – Co my musimy wycierpieć!

– Tak jest! – ryknął Ruhnaud. – Taka wojna to nie zabawka.

– Wy pijackie mordy, zachowujecie się jak ostatnie dzikusy – powiedział Vierbein zdecydowany dać wyraz pogardzie, jaką odczuwał w związku z zachowaniem się tej dwójki. – Jak chuligani! Coście sobie właściwie wczoraj wieczorem myśleli, kiedyście wpadli do Ascha i zachowaliście się jak para słoni w składzie porcelany. No? Odpowiadajcie wreszcie, awanturnicy! Coście sobie właściwie myśleli?

– Co takiego? Mamy jeszcze w dodatku myśleć? – Opadli obaj na jedno z łóżek polowych i zaczęli obmacywać swoje obolałe czaszki. Patrzyli przy tym uporczywie na podłogę, jak gdyby zobaczyli łożące tam potworne robaki. Ruhnaud pojękiwał.

– Słuchaj no – powiedział wreszcie Bartsch – słuchaj no, jak ten Vierbein z nami rozmawia.

– Niech sobie gada – odparł Ruhnaud. – To się znowu ułoży.

– Ani mi w głowie pozwolić na to, żebyście mi wszystko zaświnili. Przykro mi, ale muszę od was żądać...

– Vierbein – powiedział Bartsch – gdybyś wiedział to, co my wiemy, wyłbyś teraz.

– I to ze współczucia, Vierbein.

– Bo pomyśl tylko – ciągnął Bartsch głosem cierpiętnika – jesteśmy teraz kandydatami na śmierć.

Ruhnaud potwierdził to gwałtownym ruchem głowy. – Możesz już teraz zamówić dla nas wieniec.

– Oddaj nam ostatnią przysługę, Vierbein. Prawdziwy bohater nad naszym grobem – to doda otuchy zbolełym rodzicom.

Pod wpływem tego biadolenia cała nagromadzona złość Vierbeina rozplynęła się. – Cóż się takiego stało? – zapytał.

– Zeszliśmy na psy – powiedział Bartsch. – To będzie nasz koniec.

– Bo pies nie był tym psem, o którego chodziło.

– O kim i o czym mówicie? – dopytywał się Vierbein.

– O psie, któremu wczoraj wieczorem w kasynie oficerskim przyskrzyniliśmy ogon deską klozetową. Otóż nie był to, jak przypuszczaliśmy, pies żony płatnika, której Schulz nie cierpi, lecz jak na złość pies narzeczonej dowódcy.

– I na tym jeszcze nie koniec! Wycie psa uwięzionego w damskiej toalecie nie doszło do uszu Schulza. lecz do uszu dowódcy, który eskortował swą narzeczoną aż do odnośnych drzwi. Teraz rozumiesz?

– Jeszcze niezupełnie – powiedział Vierbein, który nie mógł zorientować się tak od razu w całej rozciągłości tej tragedii.

– To zupełnie proste. Narzeczona dowódcy becząła, dowódca był oburzony, Schulz ryczał jak za najlepszych czasów. Przysięgał, że odnajdzie winnych. Nie byłby Schulzem, gdyby tego nie zrobił. No i odnalazł ich.

– Dlatego wylecieliśmy jak rakiety.

– I dobrze wam tak! – powiedział Vierbein.

Obaj pijaczkowie potrząsnęli ostrożnie swymi ciężkimi jak ołów łbami. – Gdybyśmy złapali tego psa, o którego nam chodziło, Schulz pękałby ze śmiechu. Ma takie poczucie humoru! A gdyby Schulz się śmiał, nie wyrzuciłby nas. Zna się naprawdę na tego rodzaju kawałach. A gdyby nas nie wyrzucił, nie przyszlibyśmy również do Ascha. A gdybyśmy nie przyszli do Ascha...

– Więc widzisz, Vierbein, wszystko z powodu tego nieszczęsnego psa!

Vierbein starał się z całą energią odzyskać swoją wściekłość. Ale widok obu żałosnych postaci, siedzących w nocnych koszulach na połowym łóżku i ogłuszonych głębokim bólem, przeszkadzał mu w tym.

– Ubolewaj nad nami! – zawołał Bartsch. – Bo jeżeli Schulz pozostanie choćby w przybliżeniu taki, jaki był wczoraj, grozi nam coś okropnego, potwornego, okrutnego.

– Gotów nas nawet przenieść – powiedział Ruhнау zamierającym, grobowym głosem.

– Miejmy nadzieję, że nie do nas na front – powiedział Vierbein szczerze zatroskany.

Obaj „bracia sjamscy” przerazili się nie na żarty. Nagle wytrzeźwieli. Mieli wrażenie, że ktoś wylał na nich kubek lodowatej wody.

Słowo „front” rozsadzało im mózgi, zdawało się płynąć w ich żyłach, dobierać się do kości. Czuli się tak, jak by nagle ogarnęła ich gwałtowna gorączka.

Żałosne kłopoty Vierbeina, wywołane ich zachowaniem się u Ascha wczorajszego wieczora, nie istniały już dla nich w tej chwili. W swym niepewnym, a może nawet zagrażającym życiu położeniu odrzucali bezwzględnie myśl o udzieleniu Vierbeinowi jakiegokolwiek pomocy.

Ogarnięci paniką, ubrali się i popędzili na swoje stanowiska służbowe. Dotarłszy do nich siedzieli tam w pozycji gotowej do skoku. Jak warujące psy czekali na słowo, na jakiegokolwiek słowo Schulza. Ale słowo to nie przychodziło. Coraz bardziej rosnące zdenerwowanie pozbawiło ich nawet apetytu, co sami uważali za oznakę niezwykle zastanawiającą.

Wreszcie tuż przed przerwą obiadową odważyli się zbliżyć do starszego ogniomistrza, szefa baterii. Ten potraktował ich całkowicie neutralnie, co im pozwoliło mieć znowu nadzieję. Przy tej sposobności udało im się dowiedzieć, że Schulz w ogóle nie pokazał się jeszcze w baterii dowodzenia i przebywa w sztabie dywizjonu, żeby tam

załatwić sprawy bieżące oraz osobiście poczynić ostatnie przygotowania do wesela dowódcy.

Wszystko więc pozostawało otwarte, w niczym nie można się było wyraźnie zorientować, wszystko wydawało się możliwe.

– To mnie zwali z nóg! – powiedział Bartsch zatopiony w myślach. – Do tego trzeba mieć mocne nerwy.

Ruhnau skinął gorliwie głową przelękając z trudem swój obiad. – Zawsze mówiłem, że wojna to cholerna rzecz.

– Słuchajcie no, wy niewypały – oświadczył Vierbein. – Czy nie chcielibyście zatelefonować do pana Ascha i przeprosić go za wczorajszy wieczór? Byłoby również właściwe, żebyście powiedzieli panie Ingrid Asch, że gadanina wasza na temat pani Lory Schulz, butelki wódki i mojej osoby była wyssaną z palca bzdurą.

– Racja, mój drogi! – powiedział Bartsch, który jak gdyby odrobinę ożył. – Pani Schulz ma przecież jeszcze tę butelkę wódki, która się nam należy.

– A więc nie byliście u pani Lory Schulz? – zapytał Vierbein z wyraźną ulgą.

– Zabierzemy ją sobie przy najbliższej sposobności – obiecywał Ruhnau.

– Ani mi się ważcie! – przestrzegał Vierbein. – Jeżeli będziecie mi w dalszym ciągu wchodzić w paradę, potrafię być bardzo niemiły. Wtedy mnie poznacie!

– Naprawdę? – zapytał Bartsch z zaciekawieniem.

– Gdyby was miano przenieść do nas na front, to nie będzie wam do śmiechu. Ręczę za to!

Skoro tylko padło straszliwe słowo „front”, „braci sjamskich” znowu ogarnęło okropne zdenerwowanie. Przełknęli resztki obiadu, kropnęli sobie prędko po jednym piwie i ulotnili się. Dotarwszy do magazynu masek przeciwgazowych odbyli naradę wojenną.

– Chcę nareszcie wiedzieć, jaka jest sytuacja – powiedział Bartsch. – Przecież tego żadne bydlę nie wytrzyma.

– A co dopiero kapral.

– Zachciewa ci się dowcipów? – zapytał Bartsch niełaskawym tonem. – Nie ma ku temu najmniejszego powodu.

Po długich, rozpaczliwych naradach zdobyli się wreszcie na odwagę i zatelefonovali wprost do Schulza. Niezmiernie podnieceni, kazali się połączyć ze sztabem dywizjonu. Zgłosił się adiutant.

– Może byłby pan podporucznik łaskaw zapytać pana porucznika Schulza, czy będziemy mu dziś po południu potrzebni.

– Jeżeli będziecie potrzebni – odpowiedział adiutant zachowując jak zawsze wojskową poprawność – pan porucznik Schulz zawiadomi was o tym.

– Tak jest, panie podporuczniku. Gdybyśmy nie byli potrzebni, pojechalibyśmy do magazynu po filtr.

– Ach tak – powiedział adiutant. – Chwileczkę.

Minęło parę podniecających minut. Bartsch trzymający słuchawkę, do której przytknął ucho również Ruhnu, drżał lekko, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Tysiące masek przeciwigazowych umieszczonych na regałach zdawały się uśmiechać do nich szyderczo. Śmierdziało gumą i chlorem. Ruhnuowi zrobiło się niedobrze, gwałtownym ruchem otworzył okno.

Bartsch oddychał z trudem. Musiał usiąść, miał wrażenie, że jest skąpany w pocie. Trzymając przy uchu słuchawkę był bliski czegoś, co mu się jeszcze nigdy nie przytrafiło; miał chęć się modlić.

Nagle zgłosił się znowu adiutant. – Nie – powiedział. – Dziś po południu nie będziecie potrzebni.

Bartsch odłożył słuchawkę i spojrzał na Ruhnu. Ruhnu popatrzył na Bartscha i sprawdził automatycznie, czy słuchawka została prawidłowo położona na widełki. Sapali, parskali, rozmyślali.

Co to oznacza? Czy znaczy to, że Schulz naprawdę nas nie potrzebuje, czy też, że już nic o nas nie chce wiedzieć? Czy wszystko jest w porządku, czy nie? Czy cała sprawa została tylko odłożona, czy obciążą nasze konto? Czy zapomniał o wszystkim, czy też chce, żebyśmy się smażyli we własnym sosie? Tak, człowieku! Taka wojna może być diabelnie okrutna!

Wyglądało na to, że nie pozostaje im nic innego jak czekać. Siedzieli na swoich miejscach jak przygwożdżeni. Nawiedzały ich różne okropne myśli. Myśleli, zastanawiali się, medytowali – wszystko na próżno.

– Ten Vierbein grozi nam. Nam! Frontem! Kiedy o tym myślę, robi mi się niedobrze.

– Gdyby tak można było wypić teraz przynajmniej jedną wódkę.

– Albo i więcej!

– Powinniśmy zużyć nasze zapasy u knajpiarza za mostem. I to możliwie prędko. Kto wie, ile nam jeszcze pozostaje czasu?

– Więc jedźmy! I tak musimy być w mieście. Z powodu owego filtru. Przecież zameldowaliśmy o tym porucznikowi Schulzowi.

Zdawało im się, że były to zbawienne słowa. Działalność, która nie groziła przejściem w męczącą pracę, odrywała ich od ponurych myśli. Mocna wódka pokrzepiła by i pocieszyła ich umęczone dusze. Wsiedli więc do swego blitzopla, który był im przydzielony jako wóz transportowy, i pomknęli do miasta.

Znalazszy się w pobliżu szynku za mostem uznali, że przewód doprowadzający olej jest uszkodzony, i postanowili zostawić wóz w dość dobrze im znanym warsztacie samochodowym. Przybywszy na miejsce obliczyli sobie, że naprawa potrwa jakieś trzy, cztery godziny.

Zjawili się teraz u szynkarza i zażądali swoich zapasów. Dostali trzy butelki wódki, czwartą szynkarz zatrzymał jako opłatę za „składowe”. Nawymyślali mu od łobuzów, opryszków i ostatnich świń, co nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Ten wy-

rażny brak subtelności skłonił ich do zmiany lokalu dla uniknięcia ewentualnej opłaty za „korkowe”.

Rozgościli się w kawiarni „National” na sąsiedniej ulicy, zamówili herbatę, wylali ją pod stół i napełnili filiżanki wódką. Zaraz po pierwszym łyku nabrali na nowo chęci do życia. Przy drugiej filiżance sytuacja wydała im się prawie różowa. Tak ożywieni, zaczęli interesować się otoczeniem. Odkryli dwie dziewczyny, wyraźnie zdecydowane na jak najmilsze spędzenie wolnego od pracy popołudnia. Obaj zwrócili się do tych „dam” z propozycją, żeby usiadły przy ich stole. „Damy” nie ociągały się długo. I dla nich zamówiono herbatę.

Po opróżnieniu pierwszej butelki wódki rozrabiacze zaczęli nalegać, żeby panie mówiły im „ty”. Po opróżnieniu drugiej butelki spoufalili się jeszcze bardziej; „damy” chichotały, kelnerka zaczęła chrząkać. Skończyła z tym chrząkaniem, kiedy jej wpakowano za dekolt bluzki banknot dwudziestomarkowy. Nie chciała jednak zgodzić się na to, żeby jeden z pijaków zbadał, czy banknot został ulokowany bezpiecznie. Poza tym tolerowała wszystko.

Przy trzeciej butelce nastrój stał się niezwykle ożywiony. Od czasu do czasu dziewczyny piszczały. Bartsch i Ruhnau mieli pełne ręce roboty. Gospodyni, którą z ostrożnością zaalarmowano, wznosiła błagalnie do nieba swe pulchne ramiona.

– Ma pani pokoje do wynajęcia? – zapytali nasi awanturnicy.

– Fe! – zawołała gospodyni. – Czy wyglądam na to?

– Tak jest! – odpowiedzieli zgodnie „bracia sjamscy”. Gospodyni zaczęła im grozić policją, patrolem wojskowym, ostrym pogotowiem. Kiedy wreszcie próbowała użyć telefonu, bohaterowie dokonali radykalnej zmiany pozycji. Ujawszy pod rękę „damy”, które tymczasem doprowadziły do porządku swe suknie, zataczając się opuścili z nimi lokal.

Na ulicy o parę domów dalej stała samotna dorożka konna. „Bracia sjamscy” oświadczyli, że dorożka jest „zarekwirowana”, i wpakowali do niej swoje towarzyszki. Przedsiębiorczy Bartsch wlaźł również do środka. Ruhnau oświadczył, że musi się rozejrzeć za dorożkarzem, ale nie było go widać, wstąpił pewnie na jednego do jakiejś knajpy. Ruhnau odwiązał więc lejce od słupa latarni i zataczając się wlaźł na kozioł.

– Wszyscy na miejsca! – zawołał. – Wyścig numer jeden!

Trzasnął z bata, koń ruszył posłusznie. Koła toczyły się po bruku w imię zwycięstwa Ruhnaua. Zwabiony hałasem dorożkarz wyskoczył z knajpy i z osłupieniem patrzył na to, co się dzieje. Podoficer na jego kozle był dla niego czymś zupełnie niespodziewanym. Zaczął wrzeszczeć: „Stój! stój!”

Ruhnau świsnął batem, koń przeszedł w kłus. Za wehikułem biegł dorożkarz, rozpaczliwie gestykułując i wydając alarmujące okrzyki. „Damy” siedzące w dorożce piszczały. Bartsch wywiesił triumfalnie coś w rodzaju flagi, na którą złożyła się pewna część bielizny.

Pojazd pędził przez środek miasta wśród śmiechu licznych przechodniów przyglądających się widowisku, okrzyków Ruhna, pisku „dam” i przekleństw biegnącego za nim dorożkarza. Toczył się w kierunku przedmieścia, prosto w stronę koszar.

Wartownik, młody, niedoświadczony gamoń o wodnistych oczach i oślich uszach, gapił się otworzywszy szeroko gębę.

– Otworzyć główną bramę! – ryknął Ruhna z daleka. – Wiozę oficera.

Wartownik popędził w stronę głównej bramy i otworzył ją na oścież. Kiedy pojazd wjechał w nią, wartownik wrócił jak strzała na swój posterunek i nawet próbował zaszalować. Bartsch machnął mu z dorożki łaskawie inną niż poprzednia sztuką bielizny.

Chwiejąca się, turkocząca i skrzypiąca dorożka zatrzymała się przed budynkiem baterii dowodzenia. Koń parsknął. Ruhna zeskoczył z kozła i zawołał: – A teraz w nogi! – W tej samej chwili obaj zniknęli w bloku baterii.

Samotna dorożka, z której uśmiechały się zdrowo spite i rozczochrane „damy”, znalazła zaciekawionych obserwatorów. Kilku żołnierzy wychyliło się z okien bloku baterii, wśród nich nie posiadający się ze zdumienia Vierbein.

Ruhna i Bartsch wpadli do swego pokoju pękając ze śmiechu. Podbiegli rycząc z zadowolenia do stojącego przy oknie Vierbeina. Potrącali się wzajemnie, wyciągali przed siebie ręce, wyglądało na to, że się z radości poduszają.

Potem zawołali; Jazda, Vierbein! Masz damską wizytę.

Zejdźże na dół.

– Jesteście spici! – powiedział Vierbein.

Tymczasem przed bramą koszarową podniósł się wielki krzyk. Zjawił się tam zasapany, pełen dorożkarskiej pasji woźnica i chciał się przedostać do środka. Ale wartownik był zdecydowany wszelkimi środkami przeszkodzić cywilowi, który kłął najplugawszymi wyrazami, wtargnąć do koszar.

– Teraz kolej na mnie! – zawołał Bartsch. – Wy, Ruhna i Vierbein, zajmijcie się tym, żeby baby stąd znikły. Wpakujcie je do, jakiegokolwiek podoficerskiej izby. Ociągasz się, Vierbein? Nie wiesz, czym jest koleżeństwo?

Po tych słowach popędził na dziedziniec koszarowy w kierunku bramy. Wartownik już niemal odbezpieczał swój karabin, by pniącego się z furii intruza nie wpuścić do tak świętego miejsca, jak koszary.

– Co się stało? – zapytał Bartsch. – Kto wam nadepnął na odcisk?

Dygocący z oburzenia dorożkarz, który, rzecz prosta, nie mógł rozpoznać ukrytego przedtem w dorożce Bartscha, rzucił się pełen nadziei w kierunku tego niezwykle uprzejmego podoficera. Gwałtownie zażądał zwrócenia mu dorożki. Bartsch udawał głupiego, co mu się całkowicie udawało, i chcąc zyskać na czasie dopytywał się o szczegóły.

Potem wysłuchawszy całego opowiadania, co trwało parę minut, obwieścił z godnością: – Zaopiekuję się panem osobiście.

Udał się z wzruszonym taką troską dorożkarzem na wartownię i kazał mu wystawić przepustkę. Potem oświadczył, że chce być pomocny przy poszukiwaniach. Okrężnymi drogami włókł dorożkarza dokoła kilku bloków i dopiero po upływie dłuższego czasu doprowadził go do pustej już w tej chwili dorożki.

Dorożkarz rzucił się do swego konia, jakby zamierzał go uściskać. Bartsch stojący za nim powiedział dobroduszenie: – Rozumiem pana. Ojciec mój jest mianowicie także dorożkarzem.

– Jest pan tutaj jedynym człowiekiem – powiedział wciąż jeszcze zasapany dorożkarz, wyraźnie wzruszony.

– Bardzo możliwe – odparł Bartsch z niezwykłą skromnością.

To hańba – powiedział kapitan Witterer – że w ogóle muszę wydawać podobny rozkaz. Przecież to się rozumie samo przez się!

– Tak jest! – potwierdził starszy ogniomistrz Bock. – Właściwie rozumie się to samo przez się.

– Jeżeli tak dalej pójdzie – oświadczył kapitan Witterer – będę zmuszony do wydawania zarządzeń, kiedy moim żołnierzom wolno załatwiać się w latrynie, a kiedy nie.

– Tak, może dojść i do tego – powiedział szef z ironią tak niespodziewanie subtelną, że kapitan Witterer nawet jej nie zauważył. Niechętnie i z ociąganiem, jak ktoś, kto wystawił przed chwilą czek bez pokrycia, Bock podał przez stół kartkę, którą miał podpisać Witterer.

Kapitan sięgnął po leżący na stole ołówek atramentowy, sprawdził, czy jest dobrze zatemperowany, i podpisał z rozmachem, okrągłymi, śmiałymi literami: „Witterer”. Podpisowi temu przyglądał się przez kilka sekund z dumą i zadowoleniem, po czym przysunął kartkę starszemu ogniomistrzowi.

– Tak – powiedział, starając się o ton pełen głębokiego przekonania – miejmy nadzieję, że teraz wszystko pójdzie jak po maśle!

Przed chwilą podpisał rozkaz bateryjny 18/42, który szef określił jako rozkaz o pogotowiu gazowym. Raz jeszcze, z powołaniem się na jakieś zarządzenie umieszczone w Wojskowym Dzienniku Rozkazów, nie wiadomo z jakiego okresu, rozkazywano żołnierzom trzeciej baterii, obecnie baterii Witterera, by każdy z nich stale nosił przy sobie maskę przeciwgazową; podczas spania, wychodzenia na stronę i mycia maska ta powinna znajdować się „bezpośrednio w pobliżu żołnierza” i ma być utrzymywana w stanie gotowości.

Bock wiedział, że żołnierze baterii będą klęli na czym świat stoi, kiedy im ten rozkaz obwieści. Da im wyraźnie do zrozumienia, że to sam Witterer, bez jego współudziału, poronił ten rozkaz. Przy ogłaszaniu go nie zrezygnuje z tego, by bodaj do szarż od kaprała wzwyż nie uśmiechnąć się znacząco. Mógł sobie na „to zawsze pozwolić, a tym razem odpowiadał za to przed własnym sumieniem. Rozkazy bowiem tego typu były pośrednią szykaną. Żaden normalny żołnierz, nie wyłączając

nawet Vierbeina, nie obnosił się bez przerwy ze swoją maską przeciwgazową.

Ale owego pochmurnego dnia Witterera rozpieła żądza działania. Starszy ogniomistrz tłumaczył to sobie tak: widocznie wczoraj wieczorem nie powiodło mu się z kociakiem z zespołu rozrywkowego, więc wyżywa się w przykręcaniu śruby żołnierzom.

– Z kolei – powiedział Witterer – proszę przygotować rozkaz o wyposażeniu bojowym.

– Tak jest – odparł starszy ogniomistrz.

– Chcę, żeby na przyszłość każdy żołnierz mojej baterii nie tylko nie rozstawał się z maską przeciwgazową, lecz był jeszcze w każdej chwili zdolny do walki. Znaczący to, że powinien mieć stale przy sobie broń – karabin albo pistolet; ale pistolet mogą nosić tylko podoficerowie, i to wyższych stopni. Poza tym: ostra amunicja, co najmniej dwa pełne magazynki do pistoletów względnie cztery do pistoletów maszynowych. Ponadto: hełm, opatrunek osobisty, znak tożsamości oraz książeczka żołdu z podaniem grupy krwi, którą każdy ma obowiązek znać na pamięć. Zagrozić sprawdzaniem doraźnym. Dalej: bagnet.

– Tak jest – powiedział szef, coraz bardziej zdumiony.

– Proszę uważać na to, żeby bagnety nie były ostrzone ani też nazębione jak piły. Jeżeli złapię kogoś z mojej baterii na krajaniu chleba bagnetem albo na rozłupywaniu drzewa, wsadzę go do paki. U mnie, starszy ogniomistrzu, wszystko musi być zgodne z przepisami, ściśle z nimi zgodne. Tylko w ten sposób osiągniemy postępy.

– Tak jest.

– Znacie zarządzenie transportowe 17C o załadowywaniu koni i żywieniu ich podczas transportu trwającego ponad dwanaście godzin?

– Chyba tak – odrzekł starszy ogniomistrz bez wahania. Nie znał oczywiście tego zarządzenia, dlaczegóż miałby je znać? Przecież bateria jego była całkowicie zmotoryzowana. Jeśli czegoś nie wiedział, mówił zawsze „chyba tak”, co było równoznaczne z powiedzeniem: „Nie mam pojęcia!”

– To jest zarządzenie po prostu wzorowe – powiedział Witterer. – Powinniście znać je na pamięć. Zostało przemyślane, mój drogi, do ostatniego szczegółu. Można się z tego przykładu dowiedzieć, jaka powinna być instrukcja. Praca mózgu, szanowny ogniomistrzu Bock, tak, mózgu! A wiecie, kto jest autorem tego zarządzenia? Ja!

– Tak jest – powiedział starszy ogniomistrz, bezwstydnie udając podziw.

– No tak, to byłoby chyba już wszystko. – Po tych słowach Witterer rozejrzał się chciwie dokoła, ale na razie nie znalazł nic, czym mógłby się zająć.

– Czy mój wóz jest już tutaj? – zapytał.

– Stoi na dworze – odrzekł starszy ogniomistrz.

– Co takiego? Stoi na dworze? Dlaczego ten łobuz nie melduje się u mnie?

– Pan kapitan rozkazał jedynie, żeby podjechał.

– I zameldował się! Przecież, starszy ogniomistrzu, jedno łączy się automatycznie

z drugim. W każdym razie u mnie. Uświadomcie o tym swoją bandę. Możecie to umieścić w rozkazie bateryjnym.

Bock pozwolił sobie nic na to nie odpowiedzieć. Nie było to zbyt ryzykowne, gdyż Witterer czynił już przygotowania do odejścia, i to całkowicie w myśl rozkazu bateryjnego: przypasał służbowy pistolet, zawiesił sobie maskę przeciwgazową i mapnik, włożył hełm. Potem dotknął brzegu płaszcza, gdzie przyszyty był do podszewki zgodnie z przepisem opatrunek osobisty. Po czym odmaszerował jak zwykle elastycznym krokiem.

Na dworze podoficer do zleceń specjalnych Krause zameldował, że wóz jest gotów do drogi. I on był w pełnym rynsztunku bojowym. Kowalski siedział już przy kierownicy i zmrużywszy oczy przyglądał się swoim dwom bohaterom. W porównaniu z nimi wyglądał raczej jak spokojny cywil.

– Gdzie macie swoją maskę przeciwgazową? – zapytał Witterer.

– Z tyłu w wozie – odpowiedział Kowalski bez zająknięcia, choć wiedział doskonale, że żadnej maski w wozie nie było.

– Dlaczego nie nosicie jej przy sobie?

– Za dużo z tym kłopotu – odrzekł Kowalski. – Zawadza przecież. Mogę albo kierować tym gratem, albo przypasać sobie na brzuchu grubą maskę przeciwgazową i usiąść z tyłu wozu. Innego wyboru nie ma.

– Jeżeli dobrze zrozumiałem rozkaz bateryjny, panie kapitanie – powiedział kapral Krause, który przywiązywał wagę do pożytecznego kontaktu z Kowalskim – wystarczy, żeby maska przeciwgazowa znajdowała się pod ręką i była w każdej chwili osiągalna.

– A więc jazda! – zawołał Witterer. – Pokażcie, co to jest kierowca dowódcy. Na stanowiska ogniowe!

Kowalski ruszył, zanim Witterer zdążył usiąść. Witterer został odrzucony w tył: przez ułamek sekundy miał przygniatające uczucie, że serce mu pęknie. Wóz pędził naprzód, wzbijając za sobą fontanny błota. Wydawało się, że Kowalski jest zdecydowany nie omijać żadnej kałuży. Parł naprzód przez roztopy. Obryzgiwał błotem siedzącego z tyłu Krausego.

Kiedy Kowalski minął w szaleńczym tempie główną bazę transportu i zamierzał widocznie wprost przez otwarte pole wjechać na stanowiska ogniowe, Witterer ryknął: – Co wy na miłość boską wyprawiacie?!

– Ja? – zapytał Kowalski.

– Kryj się, człowieku. Przecież nie zostaliście tu zaangażowani w charakterze celu ruchomego.

Kowalski pędził w kierunku drzewa, nacisnął gwałtownie pedał hamulca, pociągnął ponadto za hamulec ręczny i zatrzymał się dokładnie w odległości trzech centymetrów od pnia drzewa.

– Wszyscy wysiadać! – zawołał. – Stacja końcowa. Witterer nie wiedział, czy ma

teraz kłąć, czy śmiać się. Śmiać się – powiedział sobie – byłoby chyba bardziej po męsku. Jakże inaczej można reagować na postępowanie tego łobuziaka frontowego, Kowalskiego, który stał się już właściwie doświadczonym frontowcem. Ale nie był w różowym humorze, czemu po wczorajszym, całkowicie spaskudzionym wieczorze trudno się było dziwić. Wołał więc odgrywać sfinksa. Bacząc pilnie, czy jest osłonięty, wygramolił się z wozu Krause, naśladowując, jak sobowtór, każdy jego ruch.

– Umieście wóz w pełnym ukryciu.

Kowalski kiwnął głową i cofnął wóz, którego silnik krztusił się żałośnie. W pewnej chwili zniknął za węglem jakiegoś domu i zgasił silnik.

Witterer, za którym podążał Krause, biegł teraz w kierunku drugiego działą; ku ucieście wartownika alarmowego skakali obaj jak zające. Tuż przed stanowiskiem Witterer zeskoczył do rowu; Krause poszedł jego śladem i omal nie zwałił się na Witterera. Dopiero w ostatniej chwili udało mu się zrobić zwrot, po czym runął w błoto wypełniające rów. Stojący w pobliżu wartownik alarmowy uważał, że widowisko jest bardzo zabawne.

Witterer, przybrawszy zdecydowanie wojowniczą minę, złowił kołyszącą mu się na piersi lornetkę polową. Skulony, zachowując nakazaną ostrożność, wsparł się o brzeg rowu i zaczął patrzeć intensywnie w kierunku wroga. Zdawało mu się, że dopiero w tym momencie znalazł się naprawdę w samym centrum wojny. Rozkoszował się tymi wzniosłymi minutami, wydawało mu się, że jest chirurgiem, który, choć po raz pierwszy zabiera się do skalpela, wie dokładnie, że uda mu się nawet najcięższa operacja. Postanowił napisać o tym szczegółowo w jednym albo nawet w kilku listach z frontu.

Oto więc ma je przed sobą – te nieprzyjacielskie linie. Dalekie, kręte rowy strzeleckie, podobne do tego tutaj. Pojedyncze leje na przeciwległych, łagodnie zaokrąglonych pagórkach. Liczne wydeptane ścieżki w całej okolicy. Zdawało się, że to wszystko pogrążone jest we śnie.

Nagle Witterer powiedział: – Przecież to niemożliwe! Spójrzcie no tylko, Krause!

Krause sięgnął ochoczo po lornetkę, którą mu podał Witterer. Patrzył przez nią w skupieniu. Śnieg sypał mu się do rękawa, tajał tam i małym strumyczkiem spływał aż za łokieć. Ale Krause był zdecydowany nie zwracać na to uwagi.

– No i? – zapytał Witterer niecierpliwie i wyraźnie nieuprzejmie. – Nic nie widzicie?

– Nic nadzwyczajnego, panie kapitanie. W każdym razie nic, co by się rzucało w oczy jako coś niezwykłego.

– Człowieku! – powiedział Witterer jeszcze o cały stopień mniej uprzejmie. – Na wprost – trzy tysiące metrów. Grupa drzew, w lewo pięć tysięcznych, kopulasty krzak. Widzicie?

– Widzę, panie kapitanie.

– No co? Cóż się tam od prawej ku lewej porusza?

– Człowiek. Zapewne żołnierz roznoszący jedzenie. Chce dotrzeć do rowów znajdujących się po tamtej stronie wzgórza.

– I chodzi sobie po okolicy jakby nigdy nic. Przecież to wyraźna prowokacja.

– Z pewnością! – odpowiedział Krause, który zaczął coś przeczuwać. Nie wiedział dobrze, co ma teraz robić: przyhamować czy też sobie pofolgować. – Tak jest, panie kapitanie. To niewątpliwie prowokacja. Ale oni robią to w południowej porze od wielu tygodni. – I ciągle jeszcze nie zorientowany, jakie stanowisko byłoby tu wskazane, dodał: – Po naszej stronie też nie dzieje się inaczej.

Oстрым, brutalnym ruchem Witterer wyrwał mu lornetkę. Nastawiwszy szkła bardzo ostro, znowu zaczął intensywnie obserwować. Na widok nieprzyjacielskiego żołnierza, który najspokojniej w świecie niósł jedzenie, zagryzł wargi. Wróg! Bezczenie w samym środku pola ostrzału! Ten łajdak po prostu spaceruje sobie najspokojniej w świecie przed lufami jego baterii, baterii Witterera. Tego było za wiele!

Nie odrywając oczu od lornetki Witterer zawołał: – Alarm ogniowy!

Krause wzdrygnął się. W ciągu kilku sekund przewyciężył uczucie trwogi. Po-tem, przekazując posłusznie rozkaz, zawołał do wartownika: – Alarm ogniowy!

– Co takiego? – zapytał wartownik. – Co się stało?

– Alarm ogniowy! – powtórzył Krause.

Wartownik wzruszył ramionami. Dlaczego nie – pomyślał. – Widocznie stary chce się zabawić w próbny alarm. Jest to wprawdzie kłopotliwe, ale nic na to nie można poradzić. Puścił w ruch małą, wydającą zachrypnięty głos ręczną syrenę i stosownie do przepisów zaczął zdejmować przykrycie z amunicji.

Witterer nie zwracał na te całkowicie dla niego zrozumiałe przygotowania najmniejszej Uwagi. Miał wciąż nieprzyjaciela na oku i uśmiechał się chłodno.

Obsługa drugiego działła zebrała się w stosunkowo krótkim czasie. Żołnierze zauważyli zjawienie się Witterera; hałas samochodu kierowanego przez Kowalskiego wyrwał ich brutalnie z przedobiedniej drzemki. Kiedy później Kowalski osobiście zjawił się w ich chacie, zbudzili się ostatecznie.

– Bądźcie na niejedno przygotowani, chłopcy – obwieścił Kowalski. – Nowego śwędzi skóra.

Obsługa zajęła swoje miejsce i przygotowała działo do strzelania. Działonowy, kapral Rauch, doświadczony dowódca z wyraźną tendencją do cywilnych wygód, podszedł do Witterera. – Na rozkaz, panie kapitanie!

– Widzicie wasz cel? – zapytał Witterer i podał szczegóły.

– Cel widzę – powiedział kapral.

– W takim razie jazda! Wydajcie komendy wstępne.

– Naprawdę? – zapytał działonowy, który nie zauważył znaczącego ruchu ręki stojącego za Wittererem Krausego, podoficera do zleceń specjalnych.

– Wyście chyba z byka spadli! – zawołał kapitan, jak mu się zdawało, z iście żołnierskim oburzeniem. – Od kiedy to wojna jest zabawką?

Działonowy zacisnął wargi i popędził do swojej obsługi. Odbywające się tam teraz omówienie zadania uznał Witterer za słuszne, lecz zbyt szczegółowe. – Żwawiej! – zawołał. – Więcej życia!

– Odległość trzy tysiące – powiedział spokojnie działonowy, wyciągnął zza rękawa tabelę strzelniczą i zaczął przerzucać jej kartki.

– Gotowe – zameldował celowniczy.

Działonowy podał celownik. Potem wraz z obsługą spojrzął na Witterera, który z głębokiego okopu śledził każdy ruch „swego” przeciwnika. Ogarnęła go gorączka myśliwego. Muskły miał napięte, jego żołnierskie serce waliło jak młot. Uważał, że są to dowody męskości.

– Prędzej! – zawołał.

– Zapalnik uderzeniowy! – zakomenderował kapral i ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami, uśmiechając się przy tym z zakłopotaniem do obsługi swego działa. Żołnierze mieli zakłopotane, bezradne oblicza, wydawało im się, że widzą przed sobą film, który ma być wesoły, z którego jednak nikt śmiać się nie może. Ładowniczy wsunął nabój do lufy i zamek zatrzasnął się.

– Po jednym! – zawołał Witterer.

– Ognia! – skomenderował działonowy.

Gwałtowny, suchy trzask rozdarł ciszę południa. Lufa cofnęła się i wypłuła pustą łuskę. Potem powoli wróciła z sykiem do pierwotnego położenia. Powietrze przeciął z gulgotem pocisk.

Witterer, ciągle jeszcze chłodno się uśmiechając, otworzył lekko usta. Ręka trzymająca lornetkę zacisnęła się nieco. Wysunął przed siebie lewą nogę i grzebał czubkiem buta w błocie.

Naprzeciw, na wzgórzu, w pobliżu niosącego strawę żołnierza, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od niego, strzelił w powietrze niebieskoczarny obłok wybuchu. Witterer stwierdził przez swoją lornetkę, że nieprzyjacielski żołnierz odkomenderowany do roznoszenia żarcia w pierwszej chwili znieruchomiał. Potem spojrzął dokoła błędym; wzrokiem i zaczął uciekać jak, szalony od miejsca wybuchu.

– Krótki! – zawołał Witterer. – Jeszcze po jednym.

– Wydłużyć o cztery – skomenderował z rezygnacją działonowy. Kiedy rozległo się: „gotowe!”, rzucił komendę: – Ognia!

Strzał padł tym razem poza cel. Nieprzyjacielski roznosiciel strawy zmienił natychmiast kierunek; skakał teraz jak kangur. W pewnej chwili potknął się, upadł, podniósł się znowu i wraz ze swym brzemieniem przedzierał się dalej przez głęboki śnieg.

– Ma pełne portki! – zawołał Witterer radośnie podniecony. – Mogę się założyć!

– Na pewno, panie kapitanie – powiedział stojący obok Krause.

– Jazda, dalej! – zawołał znowu Witterer. – Zetrzeć go po prostu z powierzchni

ziemi.

Działonowy musiałby teraz skrócić celownik, aby lepiej obramować cel. Wówczas, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie mógłby chybić. Ale żał mu było biedaka, który z garem na plecach przedzierał się w dzikich podskokach przez śnieg. Cała ta sprawa była mu wstrętna, chciało się rzygać.

– Podał więc komendę: – Ten sam celownik, ognia! – Nawet nie obserwował, gdzie padł pocisk, gdyż wiedział, że nie trafi do celu. A to było dla niego najważniejsze.

– Pudło! – zawołał Witterer rozczarowany i tupnął nogą. – Przeklęty bałagan!

– Strzelać dalej? – zapytał działonowy.

– Dopóki nie zniszczycie! swego celu. Dopóki ta marionetka po tamtej stronie nie zostanie roztarta na miazgę.

Zanim jednak kapral Rauch zdążył podać następną komendę, zadzwonił alarmująco telefon polowy. Rauch schylił się, wyraźnie zadowolony z takiego obrotu sprawy, i podniósł słuchawkę. Zameldował się i powiedział po chwili z chytrym uśmiechem: – To do pana, panie kapitanie. Dowódca piechoty.

– Czegóż on chce? – zapytał kapitan niezadowolony. Stosownie do rozkazu Rauch zapytał dowódcę piechoty, czego chce. Usłyszawszy odpowiedź zmarszczył brwi i zacisnął wargi, żeby stłumić cisnący się na nie uśmiech. Potem powiedział głośno i wyraźnie: – Dowódca piechoty każe zapytać, co to za idiota puka tu po okolicy. Wyprasza to sobie jak najbardziej kategorycznie.

Witterer, któremu obsługa działła przypatrywała się z napięciem, dostał ataku furii i ryknął: – Powiedzcie temu człowiekowi, żeby mnie pocałował w dupę!

– Pan kapitan Witterer kazał powiedzieć, że może go pan pocałować w dupę – powtórzył działonowy do telefonu równie głośno i powoli jak poprzednio. Potem troskliwie, prawie czule, odłożył słuchawkę.

Witterer toczył heroiczną walkę z samym sobą. Wreszcie ostro i zupełnie zbytecznie oświadczył: – Przerwać ogień. – Zdecydowanie, elastycznym krokiem wyskoczył śmiało z okopu i zawołał do obsługi działła: – Zbyt imponujące to nie było. Ale będziemy jeszcze ćwiczyli. Przecież coś takiego winno się zmieścić z powierzchni ziemi jednym strzałem.

Potem zwrócił się do podoficera do zleceń specjalnych Krausego i głośno, tak żeby wszyscy obecni mogli usłyszeć, powiedział: – A teraz pogadamy sobie z tym ptaszkiem z piechoty.

Ale nie pojechał na stanowisko piechoty. Zamiast tego postanowił przeprowadzić przez telefon rozmowę zapobiegawczą z pułkownikiem Luschke. Żeby się do tego gruntownie przygotować, kazał się zawieźć Kowalskiemu na zapasowe stanowisko taborów.

– Dziś nareszcie coś się działo! – powiedział siadając obok Kowalskiego, który od razu rozwinął szaleńcze tempo.

Kowalski uśmiechnął się, gdyż jak zawsze doskonale orientował się w sytuacji. – Działo się działo, a jakże!

– Metodę, którą wypróbowaliśmy dzisiaj – oświadczył Witterer i wydawał się naprawdę dumny ze swoich wyczynów – nazwiemy „skokiem konika”.

– Długo będzie się jeszcze o tym mówiło – odparł Kowalski z przekonaniem. – Tego może pan być pewien.

– Jakże tu wygląda sprawa osobistych stosunków z dziewczętami? – zapytał Witterer, którego pierwsze prawdziwe przeżycie na froncie potężnie podnieciło. – Z tujejszymi dziewczętami.

– Niech się pan poinformuje u porucznika Wedelmanna – zawołał chytrze Kowalski. – Może on czuje się w tych sprawach kompetentny.

Uszy pułkownika Luschke zarejestrowały bardzo wyraźnie echo strzelaniny, którą kapitan Witterer skierował na linie nieprzyjacielskie, naruszając w ten sposób tak starannie strzeżoną równowagę między frontami. Luschke zanotował wszystko dokładnie w swym notesie małymi, zgrabnymi literkami. Na tym na razie poprzestał.

Pierwszy, który zmusił Luschkego do oderwania się od lektury jakiejś powieści rosyjskiej i pochylenia się nad stołem z mapami, był kapitan Witterer. Oświadczył, że pozwala sobie z własnej inicjatywy, bez żadnego wezwania złożyć meldunek. Zastosował mianowicie metodę, ciągnął żartobliwie i bardzo po męsku, którą można nazwać „skokiem konia”. Dawał do zrozumienia, że ma pewne uprawnienia do tego, aby być z siebie dumnym.

Luschke opadł na brzozywy stołek stojący za biurkiem. – Chwileczkę – powiedział i odłożył słuchawkę. Potem wyłowił z kieszeni spodni olbrzymią biało-niebieską chustkę do nosa, rozwinął ją starannie i potężnie wysiąkał, w nią nos kilka razy. Równocześnie lewą ręką sięgnął po swój notatnik.

Minęła dobra chwila, zanim Luschke złożył znowu swą chustkę i wsunął ją do kieszeni oraz przygotował sobie notatnik i ołówek. Robił to wszystko po to, żeby się zastanowić. Potem wziął słuchawkę i zapytał: – O której godzinie? Jaki był cel? Skutki? Zużycie amunicji?

– Tylko trzy strzały – powiedział Witterer, który zaczął powoli przeczuwać, że cała sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż to sobie wyobrażał. – Nie więcej.

– Panie kapitanie Witterer – głos Luschkego był denerwująco łagodny – mam wrażenie, że postawiłem panu parę szczegółowych pytań; nie oczekuję deklaracji, czekam natomiast na szczegółowe odpowiedzi. Może zechce pan spełnić to moje życzenie.

Witterer próbował teraz zadowolić Luschkego lakonicznością i, żeby się tak wyrazić, żołnierską zwięzłością. Był święcie przekonany, że mu się to uda. Ostatecznie, obcując z różnego rodzaju przełożonymi, miało się jakie takie doświadczenie.

Wittererowi zdawało się, że może odetchnąć, kiedy Luschke powiedział: „Aha!”

Ale nie odetchnął, gdyż bezpośrednio po tym pułkownik oświadczył niebezpiecznie łagodnie: Jeszcze ze sobą pogadamy.

Luschke wiedział, jak zabójczo działa niepewność. Nie robił więc nic, by przyspieszyć załatwienie tej drażliwej sprawy. Zapisał w notatniku kilka słów, podkreślił jedno z nich, po czym odłożył notatnik. Ale nie wrócił już na swój staroświecki fotel. Pozostał na stołku, wziął zaczęta powieść i próbował czytać dalej.

Po chwili, jak tego należało oczekiwać, zatelefonował dowódca piechoty. Teraz protestował już nie dowódca batalionu, lecz sam dowódca pułku.

– To mnie zaskakuje – powiedział Luschke. – Przypuszczałem, że poruszy pan zaraz dywizję.

– Najlepiej będzie, jeżeli załatwimy tę sprawę między sobą – powiedział pułkownik piechoty. – O ile jest to w ogóle jeszcze możliwe.

– Jakichże komplikacji obawiacie się, panie kolego? Dowódca pułku piechoty, wcale nie zaskoczony tym, że Luschke nazwał go „kolegą”, oświadczył: – Wkrótce po tym świństwie, na które pozwoliła sobie pańska trzecia bateria, Rosjanie otworzyli ogień z moździerza. Trzech moich żołnierzy zostało rannych, jeden z nich ciężko.

Luschke upuścił trzymany w ręku ołówek. – Czego pan teraz ode mnie oczekuje? – zapytał ostro. – Czy mam panu wyrazić swe współczucie?

– Niech pan nauczy moresu tego osła kwadratowego. Ten bałwan musiał być chyba pijany.

– Pijany? – zapytał Luschke zamyślony i lewa jego ręka zaczęła błądzić niespokojnie wzdłuż kantów notesu. – Może ma pan rację. Jeżeli jednak był pijany, to nie od alkoholu.

– Nie rozumiem tego, panie Luschke.

– Jeżeli tylko tego nie rozumiecie w tej wojnie, panie kolego, to mogę panu pogratulować.

– Nie mogę sobie pozwolić na ten luksus, żeby chcieć was, panie kolego, w tym względzie zrozumieć – powiedział dowódca piechoty. – Interesuje mnie wyłącznie jedno: czy na przyszłość zatroszczy się pan o to, żeby tego rodzaju świństwa więcej się nie powtarzały? Nie można pod żadnym pozorem tolerować, ażeby jakaś jednostka podejmowała akcje indywidualne, których nie omówiliśmy przedtem między sobą. To, panie Luschke, wydaje mi się na razie ważniejsze od ogólnych refleksji filozoficznych na temat wojny.

Luschke wziął znów do ręki ołówek i zaczął nim bębnić po notesie.

– Panie kolego – powiedział z tak słodką uprzejmością, że granoczyła ona niemal z obraźliwą ironią – można i ten wypadek rozpatrywać z wielu stron. Jedną z tych możliwości wygląda tak: któryś z moich oficerów odkrywa nieprzyjacielski cel i skierowuje nań ogień. To wszystko. I to może się na wojnie wydarzyć.

– Pan kryje tego człowieka, panie Luschke.

– Przywiązuje wagę do tego, panie kolego, żeby w zasięgu moich kompetencji mieć zupełną swobodę ruchów. Nawet w tym wypadku.

Prawa powieka pułkownika Luschke zadrżała lekko, kiedy usłyszał, że dowódca piechoty brutalnie przerwał rozmowę. W słuchawce rozległ się jeszcze gwałtowny trzask, po czym nastąpiła całkowita cisza. Pułkownik nie ruszając się z miejsca odłożył słuchawkę.

Potem wziął tekę, otworzył ją i zaczął przerzucać zawarte w niej papiery. Wreszcie znalazł to, czego szukał: meldunek kaprała Vierbeina, wręczony mu przez przyjaciela, komendanta lotniska, w miasteczku przyfrontowym.

Luschke przeczytał raz jeszcze uważnie wszystko, co napisał Vierbein. Potem, podkreśliwszy starannie dwa zdania, zażądał, żeby go połączono z porucznikiem Wedelmannem. Wedelmann, który widocznie czekał na wezwanie swego dowódcy, zgłosił się natychmiast.

– Jakże się panu powodzi, mój drogi? – zapytał Luschke z podejrzaną uprzejmością.

Wedelmannowi zdawało się, że wie, co dowódca chciałby usłyszeć. – Kiedy się ta sprawa wydarzyła dziś w południe, panie pułkowniku, znajdowałem się...

– O czym pan właściwie mówi, poruczniku Wedelmann? Jaka sprawa? Żadna sprawa mnie nie interesuje. Pytam jedynie, jak się panu powodzi.

– Dziękuję, panie pułkowniku, dobrze – powiedział Wedelmann zdumiony.

– No więc! Tylko to chciałem wiedzieć. Jeżeli zechcę dowiedzieć się czegoś innego, pozwolę sobie o to zapytać.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Mam wiadomości od pańskiego Vierbeina, drogi poruczniku Wedelmann.

– Dobrze, panie pułkowniku?

– Niech pan zgadnie!

– Czy coś się stało? – zapytał Wedelmann z niepokojem. – Trudno mi to sobie wyobrazić. Gdyby jednak tak być miało, nie mogę uwierzyć, żeby to była wina Vierbeina.

– Może więc winien jest pan, poruczniku Wedelmann? Wedelmann zamilkł. Szukał w myśli błędu, swojego błędu, ale nie mógł go w tej chwili znaleźć. Nigdy nie było łatwo zdobyć się w obecności Luschkego na jasną myśl.

– Dał pan Vierbeinowi jedynie dokument na podróż służbową. Teraz nie może ruszyć się z dywizjonu zapasowego. Dokumenty urlopowe i łącznie z tym dokumenty transportowe – to byłoby prostsze.

– Czy mamy posłać mu papiery urlopowe, panie pułkowniku?

– To zależy – odrzekł Luschke. – Zależy od tego, czy Vierbein wręczył już swoje papiery, czy też nosi je przy sobie w kieszeni. Jeżeli mamy do czynienia z drugą ewentualnością, naprawienie błędu byłoby stosunkowo łatwe. Jeżeli nie, komplikacje tylko zwiększyłyby się przez to.

– Co pan pułkownik rozkaże? – zapytał Wedelmann, chcąc, jak to było jego zwyczajem, zrzucić ciężar ze swych pleców.

– Co rozkażę? Rozkazuję, żeby pan nie robił głupstw.

– Tak jest – powiedział Wedelmann i poczuł się zawstydzony. Powinien był wiedzieć o tym, że z Luschkem zabawa w przerzucanie się odpowiedzialnością jak piłką nie może się udać. – A co się tyczy drugiej sprawy...

– To mnie nie interesuje. Przynajmniej w tej chwili. Nawiasem mówiąc, jedno panu przypominam: w moich oczach jest pan odpowiedzialny za trzecią baterię. Wyłącznie pan! Dopóki pana stamtąd nie zwolnię.

Wedelmann miał zamiar ostrożnie zaprotestować. Chciał powiedzieć coś o nie sprzyjających okolicznościach, niejasnych kompetencjach, dwutorowych zarządzeniach. Ale nie udało mu się to, gdyż Luschke raczył przerwać rozmowę.

Wedelmann poczuł odrobinę gniewu na swego przełożonego, którego zawsze tak uwielbiał. Pod wpływem niejasnych, gorączkowych myśli odwrócił się od telefonu. Ogniomistrz Asch, który wszedł podczas prowadzonej przez telefon rozmowy, zdjął płaszcz i rzucił go niedbale na słomę w kącie izby.

– Czego pułkownik chciał? – zapytał Asch. – Czy gratulował nam z okazji śmiałych wyczynów naszego nowego dowódcy baterii?

– Nie powiedział na ten temat ani słowa – odparł Wedelmann i opadł na słomę. – Vierbein siedzi w domu jak przygwożdżony.

– Z powodu dokumentów?

– Nie triumfujcie jeszcze, Asch! Przypadkiem mieliście znowu rację. Pięknie. Zrobiliśmy więc głupstwo. Ale to się da naprawić. Poślemy mu po prostu samolotem dokumenty urlopowe. Vierbein może je mieć jutro wieczorem.

– Myśli pan, że kapitan Witterer je podpisze?

– Data wystawienia dokumentów urlopowych będzie oczywiście taka sama jak dokumentów na podróż służbową. A wtedy, Asch, ja tu jeszcze byłem dowódcą.

– Dobrze – powiedział Asch. – Zarządzę, co należy.

– Zróbcie to, Asch. – Porucznik wyciągnął przed siebie długie nogi. Przyglądał się końcom swych butów, jak gdyby były w tej chwili najważniejszą rzeczą na świecie.

Ogniomistrz stanął przed Wedelmannem i zapytał:

– A co jest, panie poruczniku, z kapitanem Wittererem?

– Cóż ma być z kapitanem Wittererem, Asch? Dajcie mi z tym łaskawie spokój. Mam głowę wypełnioną innymi sprawami.

– Panie poruczniku – upierał się Asch przy swoim. – Kapitan Witterer kazał po prostu ostrzeliwać okolicę.

– Nie kazał ostrzeliwać okolicy, lecz strzelał do określonego celu.

– Zmusił do ucieczki żołnierza roznoszącego obiady. I to pociskami armatnimi.

– No tak, nie rzucał kamieniami – Wedelmann miał ochotę odwrócić się. – Dlaczego jesteście tym tak poruszeni?

– Bo to czysty obłąd, panie poruczniku. Graniczący prawie z morderstwem.

Wedelmann zachnął się. – Ostatnich słów nie dosłyszałem. Zrozumieliście, Asch?

– W ostatnich czasach pan porucznik, jak się zdaje, niejednego nie dosłyszysz – odważył się powiedzieć ogniomistrz.

– Co chcecie przez to powiedzieć? – zapytał Wedelmann i podniósł się z wolna. – Co to ma znaczyć, Asch? Przecież nie jestem przełożonym kapitana Witterera.

– Ale także nie jego pajacem.

Wedelmann, lekko zarumieniony, sztywnym krokiem zbliżył się do Ascha. Asch nie cofnął się. Stali blisko siebie i patrzyli sobie w oczy. Mieli niemal wrażenie, że widzą się po raz pierwszy.

Nagle Wedelmann roześmiał się. Klepnął Ascha po ramieniu. Ogniomistrz nawet nie drgnął. – Asch, człowieku! Dajmy temu spokój! Witterer jest tu dowódcą, a więc naszym przełożonym. Trzeba to respektować. Możemy mu tylko radzić – decydować musi on sam. Przecież ostrzegaliśmy go, Asch!

– To nie wystarczy!

– Czegóż więc chcecie? Chcecie zmusić go przemocą, żeby nie robił głupstw?

– Jeżeli nie ma innej możliwości – tak!

Wedelmann, lekko zasmucony, potrząsnął głową. – Mój drogi Asch, czy wiemy, co zaszło naprawdę? Wszystko mogło być w całkowitym porządku. Może musiał tak postąpić, może wynikało to z sytuacji. Może, działając w dobrej wierze, z braku doświadczenia nie zorientował się w sytuacji. A nawet nie jest wykluczone, że otrzymał jakiś rozkaz, jakieś zlecenie, o którym my dwaj nic nie wiemy. Należy decyzje przełożonych respektować. Dokąd byśmy zaszli, gdybyśmy na własną rękę, ponad głową Witterera, prowadzili wojnę?

– Z pewnością nie do masowego grobu!

– Aleście się zacięli, Asch! – powiedział Wedelmann. – Wygląda na to, że kapitan Witterer działa na was jak czerwona płachta. Cóż takiego macie przeciwko niemu? To już po prostu chorobliwe!

Asch oparł się lekko o stół. – Panie poruczniku – powiedział ze spokojem – w gruncie rzeczy myśli pan dokładnie to samo, co ja. Trudno panu tylko wyzwolić się od pańskich zasad. Nie chce pan także o tym mówić, w każdym razie nie z podwładnym. Ale w rzeczywistości przecież nie szanuje pan człowieka tylko dlatego, że przypadkowo jest właśnie pańskim przełożonym.

– Zostawcie to, Asch – głos Wedelmanna brzmiał ostro. – To do niczego nie prowadzi.

– Nie owijajmy sprawy w bawełnę – ciągnął dalej Asch. – Przecież pan porucznik wie równie dobrze jak ja, co to za ziółko z tego Witterera. To aspirant do strzału w plecy, jeżeli coś takiego w ogóle istnieje. Widzi pan, pułkownik prowadzi tę wojnę w imię swojej ojczyzny; nie wie jeszcze tylko na razie, gdzie jest ta jego ojczyzna. Pan, panie poruczniku, wierzy w führera i Wielkie Niemcy; i pan chciałby, żeby na

wojnie obowiązywała jakaś przyzwoitość. Ale ten Witterer to zupełnie inny kaliber. Prowadzi wojnę dla wojny. Chce, żeby był huk i strzelanina. Chce zabijać ludzi, żeby za tę cenę dochrapać się odznaczeń. Dla takiej kreatury szkoda mnie, panie poruczniku. Dziewięćdziesiąt procent baterii myśli tak samo jak ja.

– Przestańcie, Asch – powiedział Wedelmann surowo. – I to natychmiast. Bo postawię was przed sąd polowy.

– Po kapitanie Wittererze! – zawołał Asch zaciekle. – Albo razem z nim!

Wedelmann patrzył na Ascha z niepojętym zdumieniem. Miał wrażenie, że pobladł jak trup, że drżą mu ręce. Odwrócił się, sięgnął po czapkę i pas i wyszedł szybkim krokiem.

Przed drzwiami chałupy zatrzymał się i odetchnął głęboko. Był bardzo wzburzony. Chłodne powietrze dobrze mu zrobiło. Nałożył machinalnie czapkę, założył pas. Potem bez celu, niespokojnie ruszył naprzód.

Zboczył z głównej drogi. Nie zwracał uwagi na salutujących żołnierzy swojej baterii. Nagle stwierdził ze zdumieniem, że idzie w stronę domu, w którym mieszkają Natasza.

Rosjanka widocznie zauważyła go z daleka. Narzuciła na ramiona chustkę i stanęła przed drzwiami. Kiedy się do niej zbliżył, uśmiechnęła się z pewnym zakłopotaniem, ale niewątpliwie serdecznie.

– Jak to pięknie – powiedziała – że mnie pan odwiedza.

– Czy można? – zapytał Wedelmann machinalnie.

– Ależ owszem – ciągle jeszcze onieśmielona podała mu drobną, silną, muskularną rękę, którą mocno uścisnął. Potem odsunęła się od drzwi i gestem niemal wesołym zapraszała go, by wszedł pierwszy.

W pokoju usiadła jak zwykle naprzeciw niego i zaczęła mu się badawczo przyglądać. Wyczuwając jego zmieszanie i niepokój powiedziała współczującym tonem: – Miał pan jakieś zmartwienie?

– Widać to po mnie?

– My kobiety umiemy dostrzegać takie rzeczy.

– Pani jest kobietą? – zapytał usiłując, co mu jednak przyszło z wielką trudnością, postawić to pytanie żartobliwie. – Myślałem, że w mojej obecności jest pani wyłącznie radziecką Rosjanką.

– Czy mam nią być?

– Ależ nie! – zawołał Wedelmann prawie gwałtownie. – Cieszy mnie, że pani myśli o tym, czy miałem jakieś zmartwienie, czy nie. Otóż mam dużo przykrości i zmartwień. Służba pociąga to za sobą. Gdyby ode mnie zależało, najchętniej przesiadwałbym tylko u pani. Ale to ode mnie nie zależy.

– Będzie pan musiał odejść stąd? – zapytała starając się wy badać sytuację.

– Skąd przyszło to pani do głowy? – Wedelmann uważał to pytanie za niezwykle. Co przez nie rozumiała? Odejść stąd! Wielkie przegrupowanie miało nastąpić wkrót-

ce, ale tego nie mogła przecież nawet przeczuwać. Powtórzył raz jeszcze: – Dlaczego pani o to pyta?

– Przecież nie zostanie pan tutaj na zawsze – odpowiedziała wymijająco. – Tak już jest na wojnie. I nikt tego nie zmieni!

Wedelmann spojrzał na nią badawczo. Patrzył kilka sekund. Zauważył, że ją to zmieszało. Był przekonany, że nie musi jej pytać o powód tego zmieszania. – Czy brak będzie pani mego towarzystwa, Nataszo?

– Tak – odpowiedziała prosto i szczerze.

Poszukał jej ręki. Nie cofnęła jej. Czuł płynące od niej ciepło. Ścisnął tę rękę. Nie sprzeciwiała się temu.

– Dlaczego musi być wojna? – zapytała.

– Bez wojny nigdy byśmy się nie spotkali.

– Pan tylko tak mówi! – odpowiedziała i gwałtownie cofnęła swą rękę. – To wygodna i kiepska w dodatku wymówka. Mogliśmy się spotkać na wielkim święcie sportowym, na wczasach, w jakimś teatrze, w galerii obrazów. Czy zawsze musi być najpierw wojna, żeby dwoje ludzi z różnych krajów spotkało się ze sobą?

– Czy to ja wywołałem wojnę, Nataszo?

– Nie, nie wywołał jej pan. Ale ją pan prowadzi.

W dzień po wielkiej awanturze z uprowadzoną dorożką nadeszło do dywizjonu zapasowego pismo dorożkarza, pełne pogrózek i dziękczynień.

Skrzywdzony dorożkarz raz jeszcze skarżył się gorzko na rabunek swej własności, prosił o ukaranie winnego, groził ortsgruppenschulungsleiterem, zwracając uwagę, że jest to bliski krewny jego żony. Jednakże... Jednakże – pisał dalej właściciel dorożki – nie może w związku z całą sprawą pominąć milczeniem pełnej zrozumienia interwencji niejakiego kaprała Bartscha. Podoficer ten okazał nie tylko zrozumienie, ale i gotowość do udzielenia pomocy. Jeżeli ktoś umocnił w dorożkarzu mocno zachwianą wiarę we wspaniałą siłę niemieckiego Wehrmachtu, to był nim jedynie i wyłącznie kapral Bartsch. Jednak... Jednak wyczytać było można w piśmie dorożkarza, przy którego układaniu pomagał mu niezawodnie ortsgruppenschulungsleiter, bliski krewny jego żony, że trudno oczekiwać od niego jako od właściciela dorożki, by przemilczał całą aferę albo o niej zapomniał. Oczekuje jak najsurowszego ukarania winnego. W przeciwnym razie...

– W przeciwnym razie – powiedział z niechęcią porucznik Schulz przeczytawszy obszernie pismo. – W przeciwnym razie – co?

– W przeciwnym razie zjawi się prawdopodobnie na widowni ten krewniak, ortsgruppenschulungsleiter – odpowiedział adiutant dowódcy dywizjonu, podporucznik i handlarz spirytualiami, stojąc wyprostowany przed Schulzem, który w zastępstwie dowódcy załatwiał sprawy dywizjonu zapasowego.

– Gdyby nawet miał wypłynąć tu osobiście sam gauleiter – zawołał Schulz zaczepnie – nie ustąpimy ani trochę! – Oczywiście ani mu w głowie było wierzyć w to, co mówił.

– Naturalnie – przytaknął adiutant – naturalnie. – I on wiedział doskonale, że Schulz powiedział zupełnie co innego, niż myślał naprawdę. – Zawsze jednak należy pamiętać, że partia...

– Chwileczkę! – oświadczył Schulz suwerennym głosem i zatelefonował przede wszystkim do swojej baterii sztabowej. Kazał połączyć się z szefem baterii. Ten, jak należało się spodziewać, nie wiedział o niczym, absolutnie o niczym.

– Kogo to teraz nie robią szefem baterii! – zawołał Schulz grzmiącym głosem do telefonu. – Czujecie zapewne gwałtowną potrzebę zmiany powietrza, co?

Schulz, wyraźnie zadowolony, choć otrzymał odpowiedź negatywną, rozparł się w swym fotelu dowódcy. Potem uderzył dłonią w biurko i równocześnie podniósł się szybkim ruchem. Adiutant, któremu energia Schulza zawsze imponowała, cofnął się odruchowo o krok.

– Gdyby nie ten list – powiedział wskazując na biurko – z którego wynika bezspornie, że to właśnie Bartsch uspokoił dorożkarza, byłbym skłonny przypuszczać,

że ptaszkami, którzy cały ten kawał urządzili, byli Bartsch i Ruhнау. To do nich podobne, to jest w ich stylu!

– Całkowicie! – potwierdził adiutant. – A jednak to naprawdę zasługa Bartscha, że dało się uniknąć skandalu.

Schulz udał, że myśli. I tę czynność opanował wzorowo. Adiutant milczał wyczekując.

Po chwili porucznik Schulz powiedział: – O ile jestem poinformowany, stosunek nasz do miejscowych dostojników partyjnych jest doskonały.

– Tak jest, doskonały pośpieszył z zapewnieniem adiutant. – I dowódca dywizjonu, którego pan teraz zastępuje, panie poruczniku, będzie sobie życzył, żeby nadal tak pozostało.

Schulz skinął głową. – A więc dobrze – powiedział z ważną miną. – Istnieją więc jeszcze tylko dwie możliwości. Albo znajdziemy winnych i rozprawimy się z nimi wedle wszelkich prawideł naszej sztuki, albo ukęcimy tej sprawie łeb i załatwimy ją cichaczem.

– Oczywiście.

– Kaprala Bartscha do mnie!

Adiutant przekazał spiesznie zarządzenie Schulza. Nie czekał długo na meldunek o wykonaniu go. Bartsch, gotów do skoku, czatował na ten rozkaz. Przyprowadził ze sobą Ruhnaua, jakby to było zrozumiałe samo przez się.

Schulz nie zastanawiał się nad tym. Zapewne spodziewał się, że przybiegną oba „psy gończe”. Delikwenci stanęli na baczność z potulnymi minami.

Schulz kazał przede wszystkim obu nierozłącznym czekać w pozycji, którą zajęli. Przyglądał się im długo. Potem rzucił okiem na pismo dorożkarza i znowu zaczął przyglądać się obu awanturnikom.

– Konto wasze – powiedział – jest już zanadto obciążone.

– Tak jest, panie poruczniku! – zawołali obydwaj zgodnie. Cokolwiek by Schulz powiedział, nie zawahaliby się mu przytaknąć. Znali go dobrze.

– Powiniennem powiesić was za nogi!

– Tak jest, panie poruczniku!

– Ale jeszcze raz chcę dać łasce pierwszeństwo przed prawem.

– Tak jest, panie poruczniku! – ryknęły z ulgą oba zadekowane na tyłach szakale.

– Ten kawał z dorożkarzem urządziliście bardzo zgrabnie. Oba odyńce spojrzwały na swego mentora ze zdumieniem. Źle go zrozumieli. Bartsch i Ruhнау byli przekonani, że wie o wszystkim, niczego nie bierze im za złe i przy swym poczuciu humoru ma nawet z tego uciechę. Uśmiechali się i potrącali.

– Jaki macie powód do śmiechu, Ruhнау? – zapytał Schulz lekko zdumiony. – Przecież wy wcale nie wstąpiliście na widownię. O ile mi wiadomo, dorożkarza uspokajał wyłączenie Bartsch.

– Ach tak! – wyrwało się Bartschowi.

– Co to znaczy? – zapytał Schulz ogarnięty nagłą nieufnością.

– Nic, panie poruczniku. To tylko tak! – odpowiedział szybko Bartsch i trącił Ruhnaua w żebro.

– Słuchajcie! wy chuligani, nie chcę przypuszczać, że to znowu jeden z waszych parszywych kawałów...

– Ależ nie, panie poruczniku. Na pewno nie.

– Nigdy, panie poruczniku. My – nigdy!

Doświadczony, wytresowany w nieufności i przygotowany na wszystko Schulz zmrużył oczy i zaczął się naprawdę zastanawiać.

– Mam przecież alibi, panie poruczniku – łągał na poczekaniu Bartsch. – Prawie przez całe popołudnie graliśmy z kapralem Vierbeinem w karty.

– W skata – dodał potulnie Ruhnau.

– Vierbein gra w skata? – zapytał nieufnie Schulz.

– Pod psem, panie poruczniku. Ograliśmy go do nitki. Ale na froncie nie ma gdzie się pozbyć swego żołdu. Jako altruści musieliśmy więc mu w tym dopomóc.

Schulz wahał się przez parę sekund, potem oświadczył zdecydowanym tonem: – Więc dobrze. Przyjmuję, że jest to zgodne ze stanem faktycznym. Może i ja przy okazji zagram z Vierbeinem parę rundek. Na razie, Bartsch, interesuje mnie następująca sprawa: – Czy możecie historię z dorożkarzem zatuszować? I to całkowicie?

– Ależ bez trudu, panie poruczniku – zapewnił Bartsch z zapalem. – Jeśli pan porucznik sobie tego życzy, sprawa będzie załatwiona ze wszystkimi szykanami. Pomówię z woźnicą, poza tym zapłacę mu za tę całą hecę. W końcu będzie przekonany, że zrobił dobry interes.

– W porządku – powiedział Schulz starając się nie okazać ulgi, którą odczuł. – Za trzy godziny zameldujecie mi, że sprawa została załatwiona. I to całkowicie. A teraz jazda stąd!

„Bracia sjamscy” wyfrunęli nie ukrywając uczucia ulgi. Schulz kiwnął głową w stronę adiutanta i powiedział:

– Widzi pan, jak trzeba postępować. Ci dwaj to wprawdzie obwiesie, ale w gruncie rzeczy nieocenieni. Co tam jeszcze nowego?

Adiutant zameldował: – Teść dowódcy dywizjonu.

– Prawda! – zawołał Schulz. – A po chwili, jak by doznawszy olśnienia, krzyknął: – Vierbein!

– Kapral Vierbein? – zapytał adiutant z ostrożnym sceptycyzmem. – Pan porucznik przypuszcza naprawdę, że można to zrobić?

– Ja mogę to zrobić! – powiedział Schulz z przekonaniem. – Proszę wezwać Vierbeina. Zademonstruję panu, jak się takie rzeczy robi.

Zaczęto szukać kaprała Vierbeina i znaleziono go wreszcie. Obaj „bracia sjamscy” zaklinali go niemal na kolanach, apelując do jego honoru i poczucia koleżeństwa frontowego, żeby oświadczył, iż przez całe wczorajsze popołudnie grał z nimi w ska-

ta, na co Vierbein zaproponował: – Ale ja przecież nie umiem wcale grać w skata!

Podczas gdy się to wszystko działo, porucznik Schulz udzielał adiutantowi dywizjonu lekcji poglądowej popisując się przed nim swym talentem improwizacyjnym.

– Niech mi pan wierzy – krzyczał, dufny i pewien niezłomnej wiary w siebie – że wskutek moich doświadczeń dorosłem do każdej sytuacji. Teść dowódcy będzie nie tylko zdumiony, ale w końcu święcie przekonany, że córka jego robi pierwszorzędną partię i że zięć jego jest dowódcą odpowiadającym wzorowi dowódcy z łamów fachowej prasy wojskowej. Do tego Vierbein nadaje się jak nikt inny. Moja szkoła!

Kapral Vierbein, którego „bracia sjamscy”, apelujący wciąż do jego poczucia koleżeńskości, odprowadzili aż do drzwi kancelarii, kazał się zameldować u adiutanta. Ten zjawił się niezwłocznie i zaprowadził kaprała do gabinetu dowódcy, w którym rezydował Schulz.

– No, stary graczu w skata! – zawołał Schulz w przypiływie serdeczności. – Proszę bliżej. Siadajcie. No siadajcie, Vierbein. To rozkaz. No tak! Jakże się wam powodzi?

– Panie poruczniku, moje polecenie...

– Żeby nie zapomnieć, Vierbein – przerwał mu Schulz uprzejmie. – Nie dajcie się nabijać w butelkę tym dwóm łobuzom. Oczywiście przy skacie.

– Nie dam się, panie poruczniku – odparł Vierbein z uczuciem ulgi, że mógł powiedzieć prawdę; nie grywał w skata, nikt więc nie mógł go w tej grze nabić w butelkę.

– A teraz do rzeczy – powiedział Schulz i rozparł się wygodnie w swoim fotelu. Uśmiechnął się przy tym do Vierbeina, co tamtego bardzo zaniepokoiło. – Jak wiecie, mój drogi, nasz dowódca żeni się w najbliższych dniach.

– Tak jest, panie poruczniku.

– Pięknie. I do tego jesteście mi potrzebni, Vierbein.

– Na weselu?

Schulz uznał to za dowcip i wybuchnął śmiechem. – To by wam odpowiadało, co? Ciągłe jeszcze dawny Vierbein! Chyba nie chcielibyście z żoną dowódcy...

Vierbein oblał się szkarłatnym rumieńcem, Schulz rozkoszował się jego zmieszaniem. Jeszcze raz wybuchnął iście męskim śmiechem. Lubił takie kawały, o ile oczywiście dotyczyły innych.

– Ale teraz poważnie, Vierbein. Na ślub dowódcy przyjeżdża również jego teść. Będzie tu dziś wieczorem, a pojutrze, po ślubie, ulotni się. A teraz, mój drogi, uważajcie. Otóż teść ten jest admirałem, jakim – nie wiem. Ale jest admirałem. I to jeszcze z pierwszej wojny światowej. Zrozumiano?

– Jeszcze niezupełnie, panie poruczniku.

– Wy, Vierbein, będziecie admirałowi usługiwali. To wielka sprawa.

– Pan porucznik uważa, że jako pucybut...

– Vierbein! – powiedział Schulz z odrobiną surowości. – Mam wrażenie, że zapomnieliście już coś niecoś z tego, czego udało mi się was nauczyć. Jak mogliście po-

myśleć o roli pucybuta? Pucybutów mają podoficerowie, oficerom zaś przydziela się ordynansów. Im wyższy stopień przełożonego, – tym wyższy musi być również stopień tego, kto mu służy. Normalnie musielibyście być ogniomistrzem, by wolno wam było u prawdziwego admirała pełnić służbę ordynansa. Czy to jasne? Rozumiecie teraz, wyraźnie, jakie wyróżnienie dzięki mnie przypada wam w udziale?

– Tak jest, panie poruczniku – powiedział Vierbein bezradnie. Znowu zaczynał ulegać hochsztaplerskim metodom Schulza, który swój własny pogląd na sprawy potrafił zawsze przedstawić jako fakty nie znoszące sprzeciwu.

– Ale moje zadanie – powiedział po chwili Vierbein.

– Pozostaje przecież w mocy. Co sobie wyobrażacie? Kiedy swoje popołudnia marnotrawicie na grę w skata, my pracujemy całą parą, by zaopatrzyć front w sprzęt i ludzi. Abyście, mój drogi, nie musieli tutaj ciągle grać w skata, przy którym przecież tylko przegrywacie, robię wszystko, co jest w mojej mocy, by zgotować wam parę przyjemnych godzin.

Vierbein siedział zrezygnowany na brzeżku krzesła. To, że musi być zatrudniony, wydawało mu się logiczne. Ale to, że ma zostać ordynansem admirała, nie bardzo mu się mieściło w głowie.

– A może oczekujecie, Vierbein – zapytał Schulz – żebyśmy z powodu waszego Krzyża Żelaznego I klasy smażyli dla was specjalną pieczeń?

– Oczywiście, że nie, panie poruczniku.

Schulz, którego ta odpowiedź zadowoliła, skinął na adiutanta trzymającego się skromnie na drugim planie. Podporucznik i fabrykant likierów w jednej osobie rozłożył przygotowaną kartkę i obwieścił: – Pan admirał Jacoby...

– Jak on się nazywa? – przerwał Schulz. – Jacoby? A może jeszcze w dodatku ma na imię Natan? Już by mógł się przechrzcić. – Roześmiał się, bardzo z siebie zadowolony. Adiutant zawtórował mu krótko.

– A więc pan admirał Jacoby przybywa o godzinie siedemnastej minut trzydzieści osiem. Dowódca wraz z przyszłą małżonką wita, go na dworcu. Ordynans również. Pan admirał mieszka w „Deutsches Haus”. Przygotować wóz służbowy.

– I tak dalej, i tak dalej! – zawołał Schulz. – Proszę dać tę kartkę Vierbeinowi. Jest od tej chwili odpowiedzialny za to, by wszystko poszło składnie.

Vierbein wziął posłusznie kartkę. Wsunął ją do kieszeni bluzy i zaczął zbierać się do wyjścia. Ale Schulz powstrzymał go.

– Jeszcze jedno, Vierbein. Jak właściwie będziecie pana admirała tytułować?

– Panie admirale, panie poruczniku.

– Źle! Całkiem źle – zawołał Schulz delektując się zdumieniem obecnych. Stary szpic obudził się w nim całkowicie. – Oficerowie starej armii cesarskiej – wyběbnił – o ile osiągnęli rangę generała względnie admirała, byli tytułowani ekscelencją. Jak ich tytułowano, Vierbein?

– Ekscelencją, panie poruczniku.

– Dobrze – oświadczył Schulz wpadając w coraz większy zapał. – Takie rzeczy trzeba wiedzieć. Przećwiczmy to zaraz, żeby nie doszło do jakichś głupstw.

Schulz wyprostował się, stał teraz jak posąg.

– A więc, Vierbein, wyobraźcie sobie, że jestem jego ekscelencją panem admirałem. Możecie sobie to wyobrazić?

– Tak jest, panie poruczniku odpowiedział zdziwiony Vierbein.

– Dobrze! – zawołał Schulz i rozejrzał się dokoła. – Tu – wskazał na chodnik – jest peron. Stoicie tutaj, Vierbein, i czekacie na jego ekscelencję pana admirała. Stańcież tam, człowieku!

Vierbein stanął pokornie na chodniku.

– Tutaj – powiedział Schulz, który miał wrażenie, że wróciły jego najpiękniejsze czasy szkoleniowej zaprawy – zatrzymuje się pociąg, pociąg pośpieszny, którym jego ekscelencja pan admirał przybywa. – Wskazał na biurko, przy którym stał. – A teraz, Vierbein, uważajcie dokładnie. Pociąg nadjeżdża, pan admirał wygląda przez okno. Poznajecie go i...

– Pozwoli pan zauważyć – wmieszał się adiutant – że jest rzeczą bądź co bądź możliwą zjawienie się pana admirała nie w mundurze, lecz w ubraniu cywilnym...

– No i co? – zawołał brutalnie Schulz, oburzony, że mu przerwano. – W mundurze czy bez munduru, ale zawsze admirał! I odpowiednio się go tytułuje. Przecież to jasne! A może sądzi pan, że ktoś miałby odwagę powiedzieć do mnie panie Schulz, gdybym był na przykład tylko w spodenkach kąpielowych?

Adiutant, zbity z tropu, zamilkł. Chciał jeszcze dodać, że chodziło mu nie tyle o tytułowanie, ile o rozpoznanie, ale zorientował się, że nie należy już po raz drugi Schulzowi przerywać.

Ten wszedł znowu na swego konika. – A więc, Vierbein! Wy na peronie, pociąg tutaj, admirał przy oknie. Teraz jazda! – Podchodzę do pana admirała...

– Vierbein, człowieku, na miłość boską! Tu, tutaj jest peron, a tu ja, pan admirał, wyglądam przez okno. Teraz jazda!

– Melduję.

– Meldujcież, człowieku!

Vierbein stanął na chodniku na baczność i ryczał: – Kapral Vierbein, przydzielony jego ekscelencji jako ordynans.

– Dalej, Vierbein!

– Kapral Vierbein prosi jego ekscelencję o walizy.

– Tak jest, człowieku! – zawołał Schulz zadowolony. – Tak było, jak trzeba, tak musi być. Ciągłe ryczeć: ekscelencjo! To robi na starym wrażenie, znam się na tym. Pokażemy marynarce, jak się potrafi zachować armia lądowa.

Po tych słowach zwolnił łaskawie Vierbeina, zapewniwszy raz jeszcze zdumionego adiutanta: – Miał pan okazję, czcigodny kolego, zobaczyć moją szkołę. Kogoś takiego jak ten Vierbein nie tak często się spotyka. Kiedy pomyślę, jak to on kiedyś...

Kapral Vierbein, ciągle jeszcze zmieszany, opuścił kancelarię dywizjonu. Przy wyjściu czatowali na niego dwaj „bracia sjamscy”.

– No, jakże tam było? – zapytał Bartsch omal nie pękając z podniecenia.

– Wszystko w porządku? – zapytał go z kolei zatroskany Ruhnau.

Vierbein, którego myśli pochłonięte już były całkowicie jego ekscelencją, zdobył się na to, by parę łazęgów tym razem zignorować. Udał po prostu, że ich nie widzi. Szli za nim jeszcze parę metrów, prosząc w podnieceniu o informacje. Potem znowu, ogarnięci strachem, że utracą swe piękne stanowiska, zatrzymali się.

– Jeżeli ten ptaszek osmarował nas przed Schulzem – rzucił Bartsch pogroźkę – zalejemy mu takiego sadła za skórę, że w porównaniu z tym przeżycia na froncie wydadzą mu się dziecinną zabawką.

– Najpewniej osiągniemy to – powiedział Ruhnau – jeżeli przekonamy Schulza, że Vierbein próbuje narazić na szwank jego honor.

– Loro, słyszę twój szczebiot! A jeżeli się to nie uda?

– Nie może się nie udać.

– A jeżeli jednak?

– Wtedy wszyscy trzej powędrujemy na front. Ale przedtem będziemy mieli swoją przyjemność.

– Tylko ostrożnie, człowieku. Boję się, że przyjemność się kończy.

Szopa, którą Asch odkrył w rejonie zapasowego stanowiska taboru, była stosunkowo obszerna i nadawała się do urządzenia przedstawienia w pobliżu frontu.

Jedna tylko była przeszkoda, ale ważna: w szopie tej Soeft trzymał część swych zapasów, a poza tym parkowały tam również jego samochody ciężarowe. A teren opanowany przez Soefta można było określić jako mocno zaminowany.

Ogniomistrz Asch uważał za rzecz pewną, że Soeft przeciwstawi się z całą stanowczością opróżnieniu szopy. Był również przekonany, że rozmowa na ten temat byłaby pozbawiona sensu. Postanowił więc działać bezwzględnie i energicznie.

Poprosił przede wszystkim kapitana Witterera o obejrzenie miejsca przewidzianego na widowisko. Równocześnie zwrócił się do podoficera samochodowego, do bombardiera, który miał pieczę nad skrzyniami z odzieżą, do dowódcy plutonu amunicyjnego i do starszego ogniomistrza-szefa z prośbą, aby wzięli udział w oględzinach.

Zaproszeni spotkali się wczesnym przedpołudniem przed kancelarią. Mieściła się ona od niedawna w jednym z pomieszczeń sekcji żywnościowej Soefta; nic dziwnego, że podoficer kancelaryjny nabrał wyglądu dobrze wypasionego wieprzka.

Zebrani stali przez chwilę, nie wiedząc dokładnie, czego się od nich oczekuje. Soeft, którego nie zaproszono, co mu się wydawało podejrzanym, patrzył z zainteresowaniem przez okno swej chałupy; rozpierała go ciekawość.

Kiedy wreszcie, punktualnie co do minuty, zjawił się kapitan Witterer, za którym sunął jak cień kapral Krause, można było rozpocząć lustrację.

– A więc, Asch, pokażcie no, jak daleko sięga wasza fantazja – powiedział Witterer sceptycznie.

– W tym kierunku – rzekł Asch, wskazał na szopę Soefta i ruszył przodem. Pozostali, pełni zaciekawienia, poszli za nim. Soeft nie chciał wierzyć własnym oczom i wysunął głowę jak tylko mógł przez okno. Kiedy sobie uświadomił, jaki cel Asch obrał, krew uderzyła mu do głowy. Błyskawicznie skoczył spod okna ku drzwiom, otworzył je i lekko podniecony podążył za Aschem i jego eskortą.

– Co ma oznaczać ten wybryk? – zawołał tracąc panowanie nad sobą, kiedy Asch zatrzymał się przed wejściem do szopy. – Tutaj wstęp wzbroniony. I to surowo wzbroniony!

– Mnie także? – zapytał Witterer żartobliwie.

– W moim towarzystwie oczywiście nie, ale bez mego wyraźnego zezwolenia nikt nie przestąpi tego progu! Albo zacznie się awantura.

– Ta szopa tutaj – oświadczył ogniomistrz Asch z całym spokojem, nie zwracając na Soefta najmniejszej uwagi – jest jedynym pomieszczeniem w rejonie baterii, w którym mógłby odbyć się występ naszych gości!

Soeft wysunął z zainteresowaniem swój olbrzymi nochal. – Chyba nie zechcesz, Asch, rozstrzygać ponad moją głowę, co się ma stać z moim pomieszczeniem?

– Dlaczego nie? – zapytał Asch.

– Człowieku! Mógłbyś mnie przynajmniej zapytać! – nalegał Soeft.

– Zróbcie mu tę grzeczność, Asch – powiedział Witterer zirytowany sporem swoich podwładnych.

– Więc dobrze – zgodził się Asch niechętnie. – W takim razie zapytuję: Czy jego wysokość będzie miał coś przeciwko temu, jeżeli tutaj...

– Skądże znowu! – zawołał Soeft z gotowością, która wywołała ogólne zdumienie. – To doskonały pomysł, Asch. Jeden z twoich najlepszych.

Wittererowi zdawało się prawie, że się przesłyszał. Nie dorósł do tego rodzaju kozołków myślowych. Spojrzał z konsternacją na Krausego; tym razem nawet Krause wzruszył z rezygnacją ramionami.

Asch pierwszy zapanował nad swym zdumieniem. Zapytywał siebie, do czego Soeft właściwie zmierza; ten człowiek byłby chyba gotów robić interesy nawet ze śmiercią. No, teraz Soeft wymieni cenę; może nie będzie ona zbyt wysoka. Ogniomistrz Asch otworzył na oścież bramę szopy. Na klepisku stały ciężarówki Soefta. Za nimi piętrzyły się skrzynie, worki i oplecione butelki. Tuż obok znajdowało się nieco sprzętu wojennego.

– Wszystko to zabiorę – powiedział Soeft z taką miną, jak by chciał kierownictwo tej ekspedycji ująć w swoje ręce. – Te ciężarówki podjadą z boku pod szopę, bezpośrednio w pobliże małych drzwiczek tylnych. Urządzimy na nich później garderobę dla artystek.

– A więc stąd wiatr wieje powiedział Asch z uśmiechem. – Chcesz objąć opiekę

nad damami.

– Skądże znowu! – Soeft próbował bronić się przeciw temu przypuszczeniu. – Nie przywiązuje do tego najmniejszej wagi. Ale nie zniósłbym, żeby osoby niepowołane harcowały po moich ciężarówkach. Muszę tego dopilnować osobiście. Poza tym zainteresowanie moje jest równe zeru!

– To się dobrze składa – powiedział Witterer. – Jako garderoba wchodzi oczywiście w rachubę tylko pomieszczenie opalane.

– Pańskie pomieszczenie, panie kapitanie? – zapytał Asch.

– Dla dobra sprawy jestem gotów postawić je do dyspozycji.

– No widzisz – powiedział Asch i poklepał po ramieniu Soefta, który z trudem ukrywał rozczarowanie. Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo, na twarzach pozostałych żołnierzy również pojawiły się uśmiechy.

– Przejdźmy wreszcie do rzeczy. Asch – zażądał Witterer nieuprzejmym tonem.

– Właśnie doszliśmy do sedna sprawy! – powiedział Asch. – To więc jest szopa, którą nam Soeft tak wspaniałomyślnie i bezinteresownie postawił do dyspozycji. Na przeciwko, pod ścianą, trzeba będzie urządzić małe podium.

– To moja sprawa – oświadczył dowódca plutonu amunicyjnego, który w cywilu był cieślą.

– Twoja! – przytaknął Asch. – Poza tym potrzebujemy jeszcze kurtyny, a z lewej i z prawej coś w rodzaju kulis. Potrzebne nam są do tego koce i prześcieradła.

– Aha! – powiedział bombardier mający piecze nad skrzyniami z ubraniami i pościelą.

– Zgadłeś! – oświadczył Asch. Rozpostarł kartkę, na której widniał ręczny szkic. – Zaznaczyłem tu przybliżone wymiary.

– A co ja mam przy tym do roboty? – zapytał podoficer samochodowy. – Nie będę chyba damom zaglądał pod karoserię?

Rozległ się ogólny śmiech. W wesołości tej nie brał udziału tylko kapitan Witterer; zbyteczne byłoby dodawać, że oczywiście nie uśmiechnął się również i Krause.

– Ty, mój drogi – powiedział Asch – powinieneś zająć się oświetleniem. Reflektory samochodowe zasilane z baterii samochodowych.

– Nie należy również zapominać o świetle przyćmionym – dorzucił fachowo Soeft, którego zainteresowanie zaczynało powoli wzrastać. – Nie zaszkodzi mieć również czerwone światło.

Podoficer samochodowy, dobry praktyk, skinął głową. – Będę regulował siłę światła przez włączanie oporników. Jeżeli zajdzie potrzeba użycia czerwonego światła, przygotuję cały zespół tylnych świateł samochodowych.

– Prawdziwy z ciebie mistrz oświetlenia – powiedział Asch. Nawet Witterer zdobył się na aprobujące skinienie głową. Krause skinął swoją jeszcze gwałtowniej.

– A czego się oczekuje po mnie? – zapytał starszy ogniomistrz Bock, ogarnięty zapalem pracy.

- Ty, Bock, będziesz organizować.
- Co na przykład?
- Powiedzmy, rozdział biletów.
- To niepotrzebne – wtrącił Witterer. – Miejsc jest przecież więcej niż dość.
- Panie kapitanie – powiedział Asch lekceważąco, nie starając się ukryć swojej niechęci do Witterera. – Kiedy opróżnimy tę szopę, będziemy mieli do dyspozycji jakieś dwieście dwadzieścia miejsc. Nasza bateria, która musi przecież być w pogotowiu bojowym, może dostarczyć zaledwie siedemdziesięciu do osiemdziesięciu widzów. Resztę miejsc musimy więc porozdzielać między baterie sąsiednie, piechotę i łącznościowców.
- Należy to zrobić – wyraził swą gotowość szef. – Opracuję rozdzielnik.
- Mam pewne wątpliwości – zawahał się Witterer. – Ostatecznie nie jesteśmy instytucją dobroczynną.
- Pozyskamy sobie w ten sposób przyjaciół – zareplikował Bock. – Piechota, która jest teraz na nas wściekła...
- To polega na wzajemności – wtrącił Krause.
- Jesteśmy więc co do tego zgodni – odezwał się Asch. – Szef odda do dyspozycji sąsiednich pododdziałów sto trzydzieści biletów wstępu. Kontrolę na sali może objąć podoficer kancelaryjny. Nasz samochodziarz zatroszczy się o miejsce do parkowania. Sporządzeniem jak najprostszyc ławek zajmie się nasz cieśla.
- A ja – powiedział Soeft marzycielsko – każę urządzić damską toaletę.
- Co takiego?
- Damską toaletę! O wszystkim pomyślałeś, Asch, tylko o tym nie. A to jest błąd organizacyjny. Znowu okazuje się, jak gruntownie trzeba taką sytuację przemyśleć. Zwróciłem już na to uwagę we Francji.
- Sądzę, że to chwilowo wszystko, panie kapitanie.
- Jak można było zapomnieć o damskiej toalecie – upierał się przy swoim Soeft. – Brak wyobraźni! A przecież to rzecz ogromnej wagi. Wyobraźmy sobie: damy jadą tutaj, wytrzesą się porządnie w drodze, później się napacykują, potem na krótko przed występem przyjdzie trema; wszystko to razem uderzy na...
- Dobrze już, Soeft, dobrze. Zbudujcie więc w imię boże ten przybytek.
- Będzie zbudowany – powiedział zadowolony Soeft. – Z wszystkimi szykanami. W moim pomieszczeniu.
- No, teraz to już naprawdę wszystko – powiedział Asch. – Przedstawienie jutro wieczorem o godzinie dwudziestej.
- Witterer skinął głową. – Więc wszystko byłoby w porządku. Ostateczna decyzja nie do nas oczywiście będzie należała, lecz do samych artystów.
- Prosiłem, żeby mi przedłożyli swe życzenia, panie kapitanie. Wydaje mi się, że wiem, czego się tam po nas spodziewają.
- Być może, Asch, być może. Ale byłbym rad, gdyby ktoś z zespołu, powiedzmy,

panna Ebner, osobiście uznał nasze przygotowania za celowe. Proponuję, żebyście zaprosili do nas tę panią na dziś po południu. Zrobiłbym to sam, ale ze względu na ważne rozmowy telefoniczne, których oczekuję, nie mogę się chwilowo stąd ruszyć.

– Uważam to za zbyt kosztowne, panie kapitanie. Witterer udał, że nie słyszy tej uwagi.

– Weźcie w drodze wyjątku mój wóz, Asch – powiedział. – I niech was Kowalski zawiezie do miasta. Jest teraz kilka minut po trzeciej, oczekuję was z panną Ebner około piątej.

– Przystąpię natychmiast do niezbędnych przygotowań – powiedział Soeft pełen przedsiębiorczości. – Łącznie z toaletą damską.

Kapitan Witterer opuścił szopę, żołnierze poszli za nim. Asch pozostał sam, stał ze spuszczoną głową.

Po chwili zaczął szukać Kowalskiego. Znalazłszy go jak zwykle przy kuchni polowej, poprosił, by przygotował do jazdy samochód dowódcy. Jak można się było spodziewać, Kowalski był z początku głuchy na wszelkie prośby w tym kierunku. Kiedy się jednak dowiedział o celu wyprawy, ogarnął go zapał. W pięć minut później wóz jego przedzierał się gorączkowo przez zwały brudnego śniegu.

Kiedy wszedł ogniomistrz Asch, Liza Ebner leżała na swym polowym łóżku i czytała. Podniosła się nieco, odsunęła na bok książkę i uśmiechnęła się do niego zachęcająco. – Jaka zaszczytna wizyta! – zawołała drwiąco.

Asch podał jej rękę i nie proszony usiadł obok niej na polowym łóżku. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma, nie odsunęła się jednak. Otworzyła lekko usteczka i patrzyła na niego wyczekująco. – Cóż pan chce ze mną zrobić, panie ogniomistrzu? – zapytała z ciekawością.

Kiedy nie odpowiedział, szepnęła cicho: Czekam, panie ogniomistrzu.

– Na co?

– Na co? Może na to, żeby mnie pan pocałował.

– Co by pani wtedy zrobiła, Lizo?

– Nie wiem jeszcze. Niechże pan spróbuje.

– Nie jestem królikiem doświadczalnym – powiedział Asch opryskliwie. – W każdym razie nie dla pani.

– Ale ja bardzo lubię króliki. W ogóle bardzo lubię zwierzęta.

Asch wyprostował się i oparł o ścianę. Był zdecydowany zakończyć tę idyllę. – Niechże pani posłucha... – powiedział przeciągle.

– Słucham?

Asch potrząsnął gniewnie głową, jak to czynią konie, kiedy Dworek z obrokiem wisi za nisko. – Lizo, niechże pani spróbuje myśleć rzeczowo.

– Nawet wtedy, kiedy mi to przychodzi z trudnością?

– Tak, nawet wtedy! Nie jestem tu po to, żeby prawić pani słodkie słówka.

– Nie?

– Nie! Mam polecenie służbowe. Zlecono mi zawieźć panią do nas, to jest do ka-

pitana Witterera. Oficjalnie po to, żeby się pani zaznajomiła z przygotowaniem do waszego występu.

– A nieoficjalnie?

– Niechże pani nie stawia takich głupich pytań! W każdym więc razie byłem tutaj i wykonałem otrzymany rozkaz. Teraz mogę wracać.

– Beze mnie?

– Oczywiście. Powiedziała pani: nie. Nie chciała pani skorzystać z tego zaproszenia. Ze zrozumiałych względów.

– Jakże te względy zdaniem pańskim wyglądają? – zapytała Liza.

Asch wstał gwałtownie. – Pani jeszcze pyta? Chyba nie chce pani igrać z ogniem, dziewczyno?

– Czasami – powiedziała. Liza Ebner kokieteryjnie – jest mi bardzo zimno. Wtedy chętnie bym się zagrzała.

Asch podszedł do okna i oparł się o nie plecami. Nie chciał, żeby Liza Ebner wyraźnie widziała jego twarz; pragnął jednak obserwować ją w pełnym świetle dziennym. Rozejrzał się po prymitywnie urządzonej sypialni, wciągnął w nozdrza zapach płynący od Lizy.

– Jest pani jeszcze taka młoda. Taka strasznie młoda.

– A pan? Pan jest starym człowiekiem?

– Szkoda pani do tych spraw.

Liza Ebner podniosła się jeszcze bardziej, opierając się na rękach.

Usta miała lekko rozchylone. Uśmiechała się.

– Kocha mnie pan? – zapytała czule.

– Co pani w głowie, dziewczyno? – odpowiedział Asch szorstko. – Martwię się tylko o panią. Nie chciałbym, żeby pani zeszła tu na manowce.

– A co by było, gdybym ja pana kochała? – zapytała Liza żartobliwie.

– Musiałaby pani dowieść mi tego.

– Czym?

– Czym? Zostanie pani tutaj, zamknie się pani na klucz i napisze list do matki.

– A co za to dostanę?

– Nie dostanie pani przede wszystkim przedwczesnych zmarszczek. Ciało pani zostanie świeże, a sumienie czyste.

Liza Ebner opadła znowu na poduszkę. Oddychała głęboko. Małe jędrne piersi podnosiły się i opadały regularnie. Asch patrzył na nią jak urzeczony; kiedy to zauważyła, uśmiechnęła się jeszcze powabniej.

Zapukano gwałtownie do drzwi, zaraz potem wszedł raźnie Kowalski. Za nim ukazała się głowa Charlotty. Liza nie zmieniła swej pozy. Asch, nieco zmieszany, wyprostował się.

– Pozwoliłem sobie – zawołał Kowalski zaangażować przyzwoitkę. – Uśmiechnął się przedsiębiorczo do Charlotty.

– Uważam – powiedziała Charlotta – że byłoby niedobrze, gdybyś pojechała sama.
– W ogóle nie jest dobrze, żeby człowiek był sam! – zawołał Kowalski z hałaśliwą wesołością.

– Panna Ebner – oświadczył Asch – nie pojedzie w ogóle.

– Co znowu, co znowu! – zawołał Kowalski. – Chce pani tylko śpiewać przyzwolite piosenki, a potem jeszcze psuć nam zabawę?

– Naprawdę nie chcesz pojechać? – zapytała Charlotta z zaciekawieniem.

– Nie chce! – powiedział Asch. – I dobrze ją rozumiem. Liza Ebner nie poruszyła się. Bez przerwy patrzyła na Ascha; zdawało się, że jej piękne, zawsze nieco łaknące oczy stają się coraz większe. Ale nie wymówiła ani słowa.

– Do diabła! – zawołał Kowalski. – Co to ma znaczyć? Czy ta pani straciła mowę?

– To, co było do powiedzenia, powiedziałem już za nią, Kowalski.

– To podobne do ciebie, Asch. Chcesz staremu, wysłużonemu bombardierowi popsuć szyki, co?

– Panie Kowalski – powiedziała Charlotta przyjaźnie – co pan właściwie rozumie przez popsucie szyków? Chyba nie ma to nic wspólnego ze mną?

– Co też pani w głowie! – zawołał Kowalski z miną świętoszka.

Potem podszedł do Ascha, ciągle jeszcze stojącego przy oknie, i zaczął go gwałtownie przekonywać. – Przecież nie możesz wystawić do wiatru mnie, swego przyjaciela.

– Zupełnie to samo mógłbym i ja tobie powiedzieć, mój Kowalski.

– Mówiłem anielskim językiem, udawałem wytwornego pana, zrobiłem dobre wrażenie, człowieku! Sam sobie wydaję się prawie kawalerem. A ty znowu chcesz ze mnie zrobić wieprza? Asch, jeżeli jesteś moim przyjacielem...

– Właściwie jak długo mają jeszcze trwać te targi? – powiedziała Charlotta rezolutnie.

– Daję słowo! – zawołał Kowalski.

– A więc nie chcesz pojechać, Lizo?

Liza przez cały czas patrzyła tylko na Ascha i odpowiedziała wyraźnie: – Nie.

– Dobrze – powiedziała Charlotta. – W takim razie nie pojedziemy.

– Do diabła! – zawołał Kowalski wściekły, zerwał z głowy czapkę i rzucił ją na podłogę. – Przecież to czysty sabotaż! Sabotujesz rozkazy kapitana Witterera, Asch! Czy zdajesz sobie z tego sprawę? W ogóle mam to w dupie, ale w tym wypadku psuje mi to wszystko. Wzywam cię po raz ostatni...

– Czy on zawsze jest taki ordynarny? – zapytała Charlotta ironicznie.

– To u niego skutki miłości – powiedział Asch wesoło i skinął głową Lizie.

Porucznik Wedelmann postanowił wyjść z kręgu niepokoju grożącego jego odcinkowi i schronił się u Nataszy. Nie mógł znieść tego, by beczynnie siedzieć w swej chałupie i czekać, aż się dokoła niego zbierze burza.

Natasza, jak zwykle, przyjęła go uprzejmie. Zdawało mu się, że jest jeszcze bar-

dziej uprzejma niż zwykle. Poczęstowała go obowiązkową herbatą; chwalił ją, bo choć bardzo podła w gatunku, była doskonale przyrządzona. Potem patrzyli długo na siebie, trochę smętnie, trochę czule, trochę z rozmarzeniem.

– Będzie teraz chyba bardzo niespokojnie? – zapytała Natasza przyglądając się uważnie unoszącej się znad filiżanki parze.

– Wojna nie zna spokoju, zna najwyżej odpoczynki.

– Naprawdę szkoda – powiedziała Natasza, jak gdyby mówiła o pogodzie – że we dle wszelkich oznak odpoczynek nasz zdaje się zbliżać ku końcowi.

– Nie powinna pani zaprzętać sobie tym głowy, panno Natalio.

– Może mnie pan nazywać Natasza, jeżeli pan tego sobie życzy.

– Dziękuję, Nataszo!

– Chce mnie pan uspokoić, mężczyźni robią to chętnie i są przekonani, że się to kobietom podoba. Ale my nie chcemy, żeby nas pocieszano, chcemy znać prawdę. Nie jesteśmy wcale słabą płcią.

– Prawdę? Czymże jest prawda? Dlaczego mam ją znać właśnie ja? Nawet nie umiem wybiegać myślą poza obręb tego, co widzę. Coraz częściej miewam uczucie, że jestem tylko piłką, piórkiem, ziarnkiem piasku.

Natasza wolno potrząsnęła głową. – Wydaje mi się, że pan siebie nie docenia. Zdecydowana na coś jednostka może zrobić więcej niż masa, która pozwala robić ze sobą wszystko.

– Chce mi pani przez te słowa dodać odwagi? Chce mi pani coś wmówić? Ale co? I po co?

– Myślę tylko, oto wszystko. Przecież po to mam rozum! Słyszę od kilku dni, że front się znowu rusza. To nie tylko karabiny maszynowe, które się codziennie wstrzeliwiają; to armaty, moździerze i znowu armaty. Jestem zaniepokojona.

– Skąd pani zna różnice między poszczególnymi rodzajami broni? – zapytał Wedelmann ze zdziwieniem. – Mówi pani o tym jak żołnierz.

Natasza zarumieniła się lekko, co Wedelmanna, który nic nie przeczuwał i miał do niej całkowite zaufanie, wprowadziło w zachwyt. – Wojna uczy nas tych rzeczy – powiedziała. – Zanim wybuchła, studiowałam, chciałam zostać nauczycielką. Potem wojna wzięła mnie do swej szkoły. Nauczyła mnie, jak się kradnie kartofle, przyprawa z ziół polnych herbatę, doi krowy i rozróżnia rodzaje broni.

– W każdym razie – odrzekł Wedelmann w odpowiedzi na argumenty Nataszy, które go zawsze wprowadzały w zakłopotanie, jako mało licujące z kobietą – w każdym razie może się pani uspokoić, Nataszo. Wydaje mi się, że ten niepokój na naszym odcinku wypływa z jakiegoś nieporozumienia. Właściwym powodem jest prawdopodobnie czyjś głupi kawał.

– Wiadomo to panu dokładnie czy też przypuszcza pan tylko?

– Przypadkowo wiem o tym zupełnie dokładnie. Ktoś upadł na głowę i urządził strzelanie ćwiczebne, strona przeciwna włączyła się także do niego. Ale dlaczego w

ogóle o tym mówimy! Są przecież jeszcze inne tematy.

– Inne niż wojna? Jakie?

– Na przykład miłość.

– A więc miłość na wojnie! Cóż to takiego? Czy ma pan w Niemczech kogoś, kogo pan kocha?

– Nie.

– Czy mam w to wierzyć?

– Nawet musi pani. Nie miałem nikogo. Trzeba pani wiedzieć, że u nas oficer jest jakby izolowany. Są całe warstwy społeczne, z których jest wyłączony. Są również inne, w które powinien się wżenić. Ale jeżeli nie znajduje nikogo, kogo chciałby poślubić?

– Pan chciałby się ożenić?

– Ależ tak! Poznać kobietę, Nataszo, do której człowiek należy, mieć dziecko, które na ciebie spogląda z zaufaniem, i jakiś domek, do którego można wracać – oto jest życie!

– I nigdy nie spotkał pan kobiety, z którą miałby pan ochotę się ożenić? – zapytała Natasza łagodnym głosem; oczy jej lśniły ciemnym blaskiem.

Wedelmann, wpleciony w ciepło płynące z izdebki Nataszy, daleki od niepokoju, który zaczął ogarniać fronty, wyprostował wygodnie nogi; odczuwał błogie zadowolenie, że ciało jego powoli się odpręży, poczynając od zmęczonych nóg w grubych skarpetach, a na mięśniach karku kończąc.

– Owszem – powiedział po chwili – była kobieta, z którą pragnąłem się ożenić. Były nawet dwie takie. Jedna pracowała jako kelnerka w naszej kantynie podoficerskiej – gorące serce, jasny umysł. Wyszła za męża za podoficera, który jest dziś u mnie ogniomistrzem. Mają dziecko i są, o ile to jest w ogóle dziś możliwe, szczęśliwi. Zasłużyli sobie na to.

– A ta druga?

– Druga? To dziwna historia. Nazywała się Lora Coś w rodzaju dziecka z sutereny. Naprzód było mi jej żal – wyszła nieszczęśliwie za męża. Potem zaczęła mi się podobać coraz bardziej. Miała dziecinny niemal głód życia, który nigdy nie został zaspokojony. Poza tym miała to, co się u nas określa jako słoneczne usposobienie. Oczywiście potrafiła zachować się również jak zwierzątko, jak kot na przykład.

– Zapewne bardzo zmysłowa osoba powiedziała Natasza impulsywnie.

Wedelmann udał, że nie dosłyszał tej aluzji podszytej zazdrością. – Dajmy temu pokój – powiedział. – To do niczego nie prowadzi. Ja przecież także nie pytam panią o mężczyzn z jej przeszłości.

– Może pan pytać – powiedziała Natasza szorstkim głosem. Byłam nawet zaręczona. Człowiek, którego kochałam, padł. Zaraz w pierwszych dniach pańskiej wojny. Może to pan go zastrzelił.

– Może – powtórzył Wedelmann patrząc na nią jak na obcą istotę. – Nie ma rze-

czy niemożliwych.

– Owszem – ciągnęła Natasza nie mniej szorstko. – Jedno jest niemożliwe: żebym kiedykolwiek mogła pokochać morderców mego ukochanego.

Wedelmann zamilkł. Odstawił mocnym ruchem filiżankę, która zabrzęczała. Natasza milczała również. Patrzyła na łóżko, na którego brzegu siedział sztywno porucznik. Zdawało się jej, że widzi skrzynkę ze sprzętem stojącą pod łóżkiem. To sprawiało jej satysfakcję. Musiała użyć całej siły woli, żeby nie patrzeć na skrzynię.

Dalsza rozmowa jakoś się nie kleiła. Wedelmann zamierzał kilkakrotnie pożegnać się, ale ciągle odsuwał moment odejścia. Również Natasza była zdecydowana nie zatrzymywać go, gdyby chciał odejść, a jednocześnie starała się nie przerywać tej dręczącej rozmowy.

Poczułi się oboje jakby wyzwoleni, kiedy zjawił się wreszcie ogniomistrz Asch, żeby zabrać ze sobą Wedelmanna.

– Muszę pana uprowadzić, panie poruczniku. Zjawił się pułkownik Luschke.

– W takim razie... Pani zechce mi wybaczyć...

– Ależ proszę.

Podali sobie ręce nie patrząc na siebie. Nie powiedzieli już ani słowa. Natasza poszła naprzód i w milczeniu otworzyła drzwi.

– Wybitnie chłodno – powiedział Asch, kiedy schodzili po drabiniastych schodach.

– Jeżeli macie na myśli pogodę, jestem tego samego zdania.

– Tak, na dworze jest również chłodno. Zgadza się. W powietrzu jest dużo śniegu.

Opuścili dom nie usłyszawszy tym razem pieszczotliwego: „świński ryju!” Wedelmann zarejestrował to z ulgą. Asch był szczerze rozczarowany, gdyż przygotował sobie parę soczystych słówek, których chciał nauczyć małą.

– Pułkownik się zjawił? – zapytał Wedelmann, kiedy się znaleźli na ulicy. – Co to mnie obchodzi? Dowódcą baterii jest kapitan Witterer.

– Pułkownik Luschke żądał wyraźnie, żeby się pan porucznik u niego zameldował. Przybywa wprost na stanowisko ogniowe.

– Ta gorliwość – powiedział Wedelmann przeskakując przez kałużę – jest więcej niż podejrzana.

– To normalne – sprzeciwił się Asch. – Po tym, co zaszło, spodziewałem się Luschkego.

Wedelmann uznał za właściwe nie wdawać się w szczegółową dyskusję na ten tak bardzo drażliwy temat. Maszerował ostro, jego długie nogi poruszały się równomiernym rytmem. Asch nadążał za nim nie bez pewnego trudu.

– Proszę mieć względy dla starego ojca rodziny – powiedział.

– Macie wiadomości z domu?

– Nie, tylko wiadomości od piechoty. Ci kumple są na nas wściekli. Jesteśmy dziś dla nich czerwoną płachtą. Kiedy tylko o nas mowa, zaczynają pluć.

– Dziecinada – powiedział Wedelmann ostro. – Nie poruszajcie w mojej obecności tego tematu, Asch.

– Jeżeli pan porucznik tak rozkazuje, chętnie zrobię panu tę grzeczność. Żeby tak rzec, po starej przyjaźni. Ale czy pan porucznik naprawdę przypuszcza, że pułkownik Luschke wybierze sobie inny temat?

– Nie jesteście pułkownikiem Luschke, Asch.

– Żałuję tego czasami. Ale są również okresy, kiedy szaleję z radości, że nie tkwię w skórze pułkownika.

Wedelmann zaostrzył jeszcze, o ile to było możliwe, tempo swoich kroków. Asch dreptał za nim. Spoglądał z zatroskaną miną na niebo, z którego zwisały gęste, szare chmury. Również i dym z chałup, unoszący się nad słomianymi dachami, zdawał się zapowiadać nadchodzącą niepogodę.

Na zapasowym stanowisku przodków, tuż obok kwatery Wedelmanna parkował już samochód dowódcy pułku. Pułkownik Luschke stał przed stosem drzewa i siusiał. Kapitan Witterer, któremu towarzyszył kapral Krause, trzymał się w odpowiedniej odległości i obserwował czynność dokonywaną przez pułkownika z pełną restrykcją powściągliwością.

Luschke, zapinając po drodze spodnie, ruszył w kierunku zebranych. Gdy się zbliżył, żołnierze zaszalowali wcale poprawnie. Pułkownik skinął gniewnie głową. – Gdybyście, panowie, prowadzili wojnę tak precyzyjnie – powiedział – jak wymusztrowaliście swoich żołnierzy, mógłbym siedzieć teraz pod piecem i czytać.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział kapitan Witterer, który nie bez racji poczuł się przede wszystkim dotknięty.

Luschke opuścił na czoło swoją wytartą, zmiętą czapkę z daszkiem. Gruba, szara kominiarka z wełny otaczała jego bulwiastą twarz. Kartoflowaty nos wyskakiwał na tym tle groźnie w kierunku obecnych.

– Przychodzi pan bardzo późno, panie poruczniku – powiedział Luschke. – Trzeba było pana szukać. Ale jeżeli był pan u dziewczyny, jest pan usprawiedliwiony.

– W takim razie jestem usprawiedliwiony, panie pułkowniku. – W porządku – powiedział Luschke i uśmiechnął się. Potem pułkownik zwrócił się bezpośrednio do Witterera i powiedział:

– Trzeba panu wiedzieć, kapitanie, że mam duże zrozumienie dla małych głupstw. Święci w miniaturze zawsze mnie irytują, tak samo zresztą jak pokazowe świntuchy. Chodzi tylko o właściwe proporcje.

– Rozumiem to w zupełności, panie pułkowniku – powiedział Witterer uprzejmie.

– Jeżeli na przykład ktoś w ogóle nie pije, wzbudza to we mnie nieufność. Ale jeżeli ktoś notorycznie chleje, jest dla mnie skończony. Od czasu do czasu kieliszczek – to zupełnie w porządku. Podobnie jest z dziewczynkami.

– Odpowiada to całkowicie moim zasadom, panie pułkowniku. Luschke podniósł wysoko brwi. – Może, panie kapitanie – powiedział po chwili – mamy te same po-

głady, jeżeli chodzi o kobiety. Co się jednak tyczy wojny, mój wielce szanowny, zapatrywania nasze rozchodzą się mocno. Bardzo mocno.

Witterer przełknął ten wyraźny zarzut w nienagannej postawie, co mu przyszło tym łatwiej, że Luschke odwrócił się od niego i małymi kroczkami poczłapał w kierunku stanowiska ogniowego. Obecni poszli za nim automatycznie.

– Mapę – powiedział Luschke lakonicznie.

Kapitan Witterer podał usłużnie swoją mapę dowódcy pułku. Luschke zorientował się jednym rzutem oka w terenie, ani na chwilę nie zwalniając kroku. Podążył od razu w kierunku drugiego działła.

– Proszę ukryć się – zawołał Witterer.

Pułkownik udał, że uwagi tej nie dosłyszał. Stał w pobliżu stanowiska działła, jakieś dziesięć metrów od niego w stronę nieprzyjaciela, na małym pagórku. Świcie jego nie pozostało nic innego, jak zgrupować się dokoła pułkownika.

Luschke patrzył z napięciem na teren nieprzyjaciela. Potem spojrzął na mapę i powiedział: – Kapitanie Witterer, czy jest panu wiadomo, jakiego to rodzaju zasługi zdobył pan sobie przez swoją pukanię?

– Nie, panie pułkowniku – odparł kapitan zgodnie z prawdą i ostrożnie, ucieszony tym, że Luschke użył słowa „zasługi”, które w skarbnicy słów Witterera odgrywało wielką i wyjątkowo zaszczytną rolę.

– Otrzymałem wiadomości – powiedział Luschke nie odrywając oczu od frontu – że przeciwnik ubiegłej nocy ściągnął artylerię.

– Można się było tego spodziewać – powiedział Asch. – Czy wiadomo, o jakie siły chodzi?

– Nie. Nieprzyjaciel pozwolił sobie nie poinformować nas o tym.

– Moglibyśmy spróbować wywiedzieć się, panie pułkowniku – zaproponował kapitan Witterer z godnym pochwały zapałem.

– W jakiz to sposób, panie kapitanie? – zapytał Luschke z zainteresowaniem, nie odwracając się.

– Moglibyśmy, panie pułkowniku, wysłać patrol.

Luschke stał nieruchomo na swoim małym wzgórzu. Wciągnął głowę w wąskie ramiona; zdawało się, że nasłuchuje. Nagle powietrze nad nimi zaszumiało. Coś głucho huknęło o ziemię. Potem z ostrym gwizdem posypały się metalowe odłamki.

Witterer schylił się i zamierzał już paść na ziemię. Zgiął lekko kolana, pochylił szerokie plecy. Wyglądał prawie tak, jak by zamierzał usiąść na sedesie.

– Pan chce się zmyć, kapitanie? – zapytał Wedelmann ledwie dosłyszalnie. Luschke stał nieruchomo jak pień.

– Moździerz, średni kaliber – powiedział Asch spokojnie. Potem odwrócił się, zrobił spokojnie dziesięć kroków w tył i znikł w jednym z okopów.

Drugi pocisk nie był również celny. Luschke odwrócił się i bez słowa lustrował swoją świtę. Witterer stał teraz wyprostowany, stojący obok niego Krause przybrał

również wzorową postawę. Wedelmann zachowywał się tak, jak by go to wszystko najzupełniej nie interesowało.

Luschke spojrział w stronę okopu, z którego spokojnie wyglądał Asch. Pułkownik zaczął się uśmiechać. Potem, nie zmieniając wyrazu twarzy, spojrział na kapitana Witterera.

Ten uznał to za wezwanie do okazania swych uprawnień przełożonego. – Ogniomistrz Asch! – zawołał – nie było rozkazu „kryj się”.

– Nie jest to też potrzebne! – krzyknął Asch w odpowiedzi. – Od kiedy do takich rzeczy potrzebny jest rozkaz?

– Bierzcie łaskawie przykład z nas, Asch.

– Dlaczegoż to? – odparł ogniomistrz uprzejmie. – To, co panowie tam wyczyniają, wcale nie jest dla mnie dobrym przykładem.

– Coś podobnego...! – zawołał Witterer i spojrział na ciągle jeszcze uśmiechającego się pułkownika i na nieruchomego Wedelmanna. – I co pan powie na to, panie poruczniku?

– To samo, co Asch – odpowiedział tamten, opuścił grupą i jednocześnie z wybuchem trzeciego pocisku schronił się w jednej ze szczelin.

Luschke beknął śmiechem. Witterera ogarnęło fatalne uczucie, że Bulwa śmieje się z niego.

– Ależ z was kompania! – zawołał pułkownik w doskonałym humorze. Potem i on znikł w szczelinie.

Witterer i Krause, którzy przez kilka sekund stali sami i dość bezradni na wzgórkach, pośpieszyli za przykładem swego przełożonego. Decyzję ich przyspieszył czwarty pocisk, który uderzył niebezpiecznie blisko. Zwalili się więc na łeb, na szyję do wypełnionej już jamy.

– Jak zawsze z rozmachem – zauważył Luschke łagodnie.

Pod wpływem badawczych spojrzeń pułkownika Witterer poprawił hełm, który mu się przekrzywił na bok. – A pas, panie kapitanie – powiedział uprzejmie Asch. Witterer poprawił pas, którego klamra znalazła się teraz nad lewą kieszenią munduru.

– Co pan właściwie przedtem powiedział, panie kapitanie? – zapytał Luschke podejrzanie słodkim głosem. – Chciał pan wysłać patrol?

– Oczywiście pod warunkiem, że pan pułkownik wyraziłby swoją zgodę.

– Tak, oczywiście pod tym warunkiem. A kto, pańskim zdaniem, miałby poprowadzić ten patrol? Chyba nie pan sam?

– Może jakiś doświadczony podoficer, panie pułkowniku?

– Na przykład?

– Na przykład ogniomistrz Asch.

– Ale nie na ochotnika – powiedział Asch zdecydowanym tonem.

– Dlaczegoż to? – zapytał Luschke z zaciekawieniem.

- Nie jestem bohaterem za wszelką cenę.
- Jak się to pięknie składa – powiedział Luschke z szerokim uśmiechem. – Bo i ja nim nie jestem.

Admirał w stanie spoczynku, Jacoby, którego należało tytułować ekscelencją, teść dowódcy dywizjonu zapasowego, okazał się prawdziwym człowiekiem. Jemu to właśnie został przydzielony jako ordynans kapral Vierbein. Pan admirał, odzwyczajony od dwóch dziesięcioleci od pełnienia służby i ostrej dyscypliny, zasmakował w rozkoszach przejmności.

Po przybyciu do hotelu, gdzie zarezerwowano dla niego aż dwa pokoje, po pożegnaniu się z córką, której nie można było w żaden sposób nazwać młodocianą, i przyszłym swym zięciem, dowódcą dywizjonu, przezywanym „brzuchaczem”, pozostał sam na sam z Vierbeinem. I natychmiast stał się ludzki.

– Zostawcie to, mój drogi – powiedział jowialnie, kiedy Vierbein w myśl wypisanych na kartce służbowych instrukcji zaczął zabierać się do rozpakowywania waliz admirała. – Sądzicie, że jestem już na to za stary?

- Nie, ekscelencjo! – zawołał Vierbein rześko.
- Zostawcie tę ekscelencję, kiedy jesteśmy sami.
- Tak jest, ekscelencjo!

– Nie jest to między starymi towarzyszami broni w zwyczaju.

Vierbein trzasnął obcasami na znak zgody i zabrał się do dalszego rozpakowywania. Admirał Jacoby upierał się, żeby mu być pomocnym. Po kwadransie dwaj „starczy towarzysze broni” czyścili wspólnie liczne ordery admirała.

– Cała kupa, prawda? – powiedział ekscelencja i zaczął bębnić na długiej baretce jak na ksylofonie. – Kiedy człowiek zostaje admirałem, otrzymuje te rzeczy pocztą. Oczywiście nie wszystkie. Jeden z orderów, ten tutaj, dostałem od jego cesarskiej mości osobiście.

– Wasza ekscelencja znał jeszcze jego cesarską mość! – zawołał Vierbein z czło-bitnym podziwem.

Admirał, który przybył w granatowym ubraniu cywilnym, a w specjalnej walizie przywiózł ze sobą swój mundur galowy ze wszystkimi dodatkami, włożył teraz wygodną kurtkę domową. Zaczął rozglądać się za filcowymi pantoflami, które mu usłużny Vierbein natychmiast podał.

– Jego cesarska mość i ja – oświadczył ekscelencja rozsznurowując buty – byliśmy zaprzyjaźnieni, jeżeli wolno mi użyć tego śmiałego sformułowania. Wolno mi było od czasu do czasu udzielać rad jego cesarskiej mości w sprawach dotyczących marynarki; mam prawo twierdzić, że jego wysokość cenił sobie moje rady prawie tak, jak rady szefa admiralicji.

Kapral Vierbein był pełen podziwu. Siwowłosego stary pan, o twarzy dziadka do orzechów, pooranej zmarszczkami, wyglądał jak postać z bajki i przypadł Vierbeinowi do młodzieńczego serca. Kapral Vierbein był wniebowzięty i uszczęśliwiony, że

tak wybitny strateg i dowódca potrafi być taki miły.

Poinformowawszy się o odznaczeniach Vierbeina i czynach, które je poprzedziły, cesarski marynarz Jacoby obwieścił jowialnie: – A teraz, drogi mój kolego, wychylmy kieliszeczek za pomyślność chrześcijańskiej żeglugi.

Vierbein, na którego czekała Ingrid Asch, odważył się, zachowując jak największą ostrożność, na zastrzeżenie: – Ekscelencja pozwoli sobie zameldować, że capstrzyk...

– Nie ma zmartwienia, mój drogi. Dopóki ja tu jestem, pozostajecie pod moją osobistą ochroną. Jeżeli zechcecie przyjść później, skończyć prędzej służbę, jeżeli macie jakieś życzenie – nie krępujcie się. Oświadczycie tylko: na rozkaz admirała. Będę krył wszystko! Przecież jako towarzysze broni powinniśmy podtrzymywać się wzajemnie.

Vierbein w obliczu tego pełnomocnictwa in blanco, udzielonego mu tak wspaniałomyślnie przez jego ekscelencję, znieruchomiał z wdzięczności. Jako idealista postanowił sobie uroczyście nigdy tego zaufania nie nadużyć. Tymczasem admirał zadzwonił na kelnera.

– Trzy karafki i dwa kieliszki – rozkazał. – Chcemy się napić witrażu kościelnego.

– Witrażu? – zapytał zdumiony kelner.

– Nie służył pan w marynarce, nie jeździł pan nigdy po morzu w charakterze stewarda? Nigdy nie był pan zaproszony na polowanie w Prusach Wschodnich?

Kelner potrząsnął przecząco głową.

– Dziwiłbym się temu co prawda – powiedział admirał lustrując bladego, chudego kelnera, typowego cywila o krzywych nogach. – A więc witraż składa się z równych ilości rumu, araku i czerwonego wina. Te trzy różne barwy przypominają szklaną mozaikę w pewnych gmachach. Stąd nazwa „witraż kościelny”.

– Tak jest, ekscelencjo – powiedział kelner potulnie i znikł. Wrócił po dłuższej przerwie. Przyniósł jednak trzy wypełnione karafki, miał bowiem polecenie spełniać każde, dosłownie każde, życzenie admirała.

Vierbein zrezygnował z rzucenia okiem na zegarek. Przychylność admirała rozpieierała mu pierś. Nie miał odwagi sprawić uprzejmemu staremu panu zawodu. A więc Ingrid musi poczekać. Vierbein postanowił poświęcić się dla żołnierskiej sprawy. Czynił to nie tylko z przeświadczenia, ale i z wdzięczności: liczył się bowiem z tym, że przełożony będzie co najmniej bogiem, a znalazł protektora o ojcowskim sercu.

Admirał Jacoby rozkoszował się szacunkiem okazywanym mu przez kaprala Vierbeina. Był zawsze przyjacielem swoich podwładnych. W ciągu tych wszystkich długich lat, które nastąpiły po jego przejściu na emeryturę po pierwszej wojnie światowej, odczuwał boleśnie brak tej serdecznej koleżeńskości.

– Spisałem swoje wspomnienia z wojny i pokoju – powiedział przy trzecim „witrażu”. – Ale nie mogą się, rzecz oczywista, ukazać, dopóki jego cesarska mość i ja

jeszcze jesteśmy przy życiu.

W haniebnym okresie Republiki Weimarskiej admirał zajmował się na Pomorzu, zawsze w pobliżu wybrzeża, sadzeniem kapusty, potem, nie chcąc całkowicie zarzewieć, stał się udziałowcem przedsiębiorstwa dostarczającego cukrowniom buraków. Nie trzeba chyba dodawać, że chodziło tu o przedsiębiorstwo posługujące się przy transporcie statkami parowymi. Z nastaniem Trzeciej Rzeszy, której führer miał zawstydzająco niski stopień służbowy, przyszło kilka dumnych dni, podczas których mógł paradować w swym galowym mundurze z przyległościami.

– Obecnego wodza naczelnego – powiedział Jacoby – nie można oczywiście porównać z jego cesarską mością, ale to nie jest, broń Boże, ocena jego wartości. Chcę przede wszystkim powiedzieć, co następuje: jego cesarska mość nosił ze szczególnym umiłowaniem mundur marynarski.

Vierbein milczał z szacunkiem i pił dzielnie, małymi łykami. Admirał zestawiał czwarty „witraż”, który w świetle błyszczał obiecująco. Potem z uczuciem błogości zaczął sączyć ciężki trunek. Jego marynarska twarz lśniła nieustraszoną odwagą dowódcy floty.

– Nie mam nic przeciwko tej wojnie – powiedział admirał – choć nie wszystko uważam w niej za bezwzględnie słuszne.

Vierbein, przygotowany na wielkie rewelacje, prawie zapomniał oddychać. Miał wrażenie, że czuje wzniosłość tej godziny. Doradca jego cesarskiej mości zabierał się właśnie do udzielenia zwykłemu kapralowi wielkoniemieckiego Wehrmachtu historycznych pouczeń w skali światowej.

– Za mało koncentracji na sprawie opanowania mórz – powiedział ekscelencja. – To może w pewnych okolicznościach odbić się bardzo negatywnie. Poza tym jednak również ta wojna wydobywa na powierzchnię wszystkie siły narodowe. Jedno tylko mogę powiedzieć: uzyskane osiągnięcia wzbudzają respekt.

Patrzył marzycielsko i łagodnie w swój kieliszek. Tak, nie był niezadowolony, potępiał tylko jaskrawe błędy w dziedzinie marynarki. Ale poza tym ożywiły się przecież wreszcie najbardziej nawet spróchniałe piszczele niemieckie. Podobnie wyglądała sprawa z jego córką: siedziała w domu i czekała bez widocznego rezultatu, a kiedy przyszła wojna i ona wstąpiła na służbę. A oto wyniki! Wychodzi teraz za mąż za dowódcę dywizjonu. Choć nie należy on do egzemplarzy pierwszej klasy, a w dodatku jest rezerwistą, jest jednak bądź co bądź dowódcą.

– Taka wojna – powiedział po chwili – jest jednak matką wszystkich spraw.

Po piątym „witrażu” wolno było koledze Vierbeinowi pożegnać się. Niech przyjdzie jutro przed południem, mniej więcej koło dziesiątej. Ale bez szczotek. Niech poszuka krawca, który by się nadawał do wyprasowania admirałskiego munduru.

Lekko zamroczony kapral Vierbein z trudem trzymał się na nogach. Mimo późnej godziny chciał pójść do Ingrid Asch, ale piekielna mieszanka z rumu, araku i czerwonego wina tak na niego podziałała, że szukając ulgi musiał oprzeć się o mur. Z

miękkimi kolanami i, jak mu się zdawało, z głową jak dynia udał się do koszar i padł na łóżko. Zanim zasnął, raz jeszcze poczuł przyływ wdzięczności; uważał za zrządzenie niebios, że los zaprowadził go do admirała Jacoby, którego postanowił nazwać „ojczulkiem”. Był przekonany, że jego Ingrid będzie z tego tak samo uradowana jak on.

Potem opadł go ołowiany sen. Vierbein zapomniał na wiele godzin o wszystkim: i o niespokojnej wojnie, i o nie mniej niespokojnej ojczyźnie, i o swej tęsknocie za dziewczyną, i o dobroci admirała, i o oszołamiająco ciężkim „witrażu”.

Kiedy się obudził, było już zupełnie widno Stał przed nim podoficer dyżurny i uśmiechając się jak spiskowiec szepnął: – Nie psuj teraz zabawy. Schulz nigdy by ci tego nie przebaczył.

Vierbein podniósł się spiesznie. Czuł ostre bóle w tyle głowy. Wypił za wiele. Usta miał suche, oczy odmawiały posłuszeństwa. Upłynęło sporo czasu, nim się dobrze zorientował, co się w jego pokoju rozgrywa.

– Lustro już zdemontowałem – powiedział dyżurny i zachichotał.

Vierbein zorientował się nie bez wysiłku, że kapral Ruhнау leży na swym łóżku z twarzą czarną jak smoła. Również twarz kaprala Bartscha pomalowana była na kolor kruczoczarny. Obie gęby wysmarowano porządną porcją pasty, która by starczyła na parę butów z cholewami.

– A to ci kawał! – szepnął podoficer dyżurny z uciechą i klepnął Vierbeina po ramieniu. – Wysmarowano ich dzisiejszej nocy, kiedy zupełnie pijani próbowali wleźć do Lory Schulz. Najkomiczniejsze jest to, że każdy z nich jest przekonany, iż tylko tego drugiego wysmarowano pastą do butów. Dopóki nie spojrzą w lustro, żaden z nich nie zauważy, co się naprawdę stało.

Vierbein potrząsnął swą obolałą głową z gwałtownym zdumieniem. Potem spojrział na poczernione twarze obu „łamaczy blokady” i uznał, że sytuacja nie jest pozbawiona pewnego komizmu.

– Schulz czeka już z kilkoma panami na korytarzu – powiedział podoficer dyżurny. – Zaraz zacznie się tu widowisko. Żebyś nie wpadł na pomysł oświecenia ich; w takich sprawach Schulz nie zna żartów.

Vierbein wylazł nie bez trudu z łóżka i poszedł do umywalni pod zlew. Zanurzył w nim obolałą głowę kilkakrotnie, po czym ją obmacał.

Tymczasem podoficer dyżurny zbliżył się do drzwi i otworzył je szeroko. Na korytarzu stał w wyczekującej pozie wraz z eskortą porucznik Schulz, który kiwnął głową w radosnym oczekiwaniu.

Podoficer dyżurny przyłożył do ust gwizdek i przeraźliwie zagwizdał, po czym zawołał: – Alarm, alarm!

Obaj „szturmowcy”, których łóżka stały obok siebie, skoczyli na nogi, wytrzeszczyli oczy i spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Gęby mieli szeroko otwarte. Powoli zaczęło im świtać, co zaszło ubiegłej nocy. Później ryknęli śmiechem.

– Alarm! – zawołał podoficer dyżurny.

„Nocni myśliwcy” ciągle jeszcze wyli z rozkoszy. Każdy z nich był zdania, że tylko on ma powód do tego ryku. Tylko ten drugi był „czarny”.

– Czyście nie słyszeli, że jest alarm, wy Mulaci! – popędzał ich Schulz. – Pokażcie no, co to jest tempo. – Jego świńskie oczki błyszcząły radośnie.

Kaprale, zataczając się lekko, narzucili na siebie swoje łachy, sięgnęli po hełmy i wybiegli. Schulz i otaczająca go eskorta rzeli, jakby się dusili ze śmiechu. Adiutant dywizjonu, czerwony jak rak, pozwolił sobie na danie Schulzowi kuksa w bok; Schulz udał, że tego nie zauważył. Stojący z tyłu Vierbein potrząsnął głową.

Na korytarzu podniósł się radosny zgiełk. Kilka tuzinów żołnierzy obstało wypacykowanych na czarno kaprali, którym powoli zaczęło świtać w głowie, co się im przytrafiło. Popędzili obaj w stronę lustra wiszącego na ścianie i wlepili w nie zdumione spojrzenia.

Potem zaczęli miotać dzikie przekleństwa i popędzili do swego pokoju; towarzyszył im orkan śmiechu.

Jeszcze drżący z wściekłości, że się tak żałośnie dali nabić w butelkę, stanęli przed Schulzem. Wypolerowane na czarno twarze zmieniły się w dziko wykrzywione maski. Czuli gwałtowną chęć skoczyć Schulzowi do gardła. Ale nie oszaleli jeszcze na tyle, żeby to zrobić.

Schulz łapał ustami powietrze i ocierał łzę z lewego oka. Już się dawno tak nie uśmieł. To był znowu nareszcie iście męski kawał. Więcej jeszcze: prawdziwie żołnierski kawał. Nagle ni stąd, ni zowąd spoważniał. Skinął na swą eskortę, żeby się oddaliła. Potem przez długi czas nie spuszczał oka z „asów”. – Oto skutki tego – powiedział groźnie cichym głosem – że wyciągacie wasze brudne łapska po damy, które was nic nie obchodzą.

– Pomyliły nam się drzwi – powiedział pokornie Bartsch.

– To się już z pewnością więcej nie przytrafi – obiecywał Ruhnu.

– Jaką to butelkę wódki chcieliście odebrać mojej żonie?

– Wszystko miało być dla pana porucznika.

– To pewne, że myśleliśmy przy tej okazji tylko o panu poruczniku.

– Co to była za butelka wódki, wy obwiesie? Stali niemi i ogłupiali, robili żałosne wrażenie.

– Jazda, gadać! – Ponieważ ciągle jeszcze nie było odpowiedzi, Schulz oznajmił:

– Jeżeli nie chcecie ze mną gadać, wy rzezimieszki, postaram się dla was o innego dowódcę baterii, i to dosyć daleko stąd.

Miało się wrażenie, że „bracia sjamscy” zbledli pod grubą warstwą pasty do butów. Stali nieruchomo z głupimi minami. Potem jeden trącił drugiego energicznie w bok.

Bartsch powiedział: – To butelka, którą pańskiej żonie przyniósł Vierbein.

– Tak jest, panie poruczniku – powiedział dzielnie stojący z tyłu Vierbein.

Schulz stał przez chwilę jak wryty. Wysunął podbródek, ręce zwisały mu jak cepy. Potem zrobił niemal pełny zwrot w tył i wypadł na zewnątrz.

– Ach wy draby! – powiedział Vierbein pogardliwie. Bartsch wzruszył ramionami. – Zostaw to, kolego – powiedział. – Przecież walczymy tu o życie.

– Tak – odezwał się Ruhnau i skinął ciężko głową. – Taka wojna to cholerna rzecz.

– Ty, kolego, nie masz nic do stracenia. I tak wracasz na front. U nas sprawa wygląda zupełnie inaczej.

– Chyba to rozumiesz – a może nie? Nie rozumiesz? Gdzież podziało się w takim razie owo słynne koleżeństwo frontowe?

– Możecie mnie pocałować w dupę! – zawołał Vierbein niezwykle jak na niego ostro.

– Piękne maniery! – stwierdził melancholijnie Bartsch.

– I taki – dodał Ruhnau – chce bronić ojczyzny. Obydwaj zaczęli w idealnej zgodzie zeskrobywać ze swych gęb pastę do butów. Użyli terpentyny i mydła, szczotek i szmat do szorowania. Kiedy wszystko to nie pomagało, wzięli płyn do wywabiania plam.

Po godzinie wypłynął znowu podoficer dyżurny, uśmiechnął się do Bartscha i Ruhnaua, których nazwał „praczkami”, i powiedział do Vierbeina: – Natychmiast do porucznika Schulza!

Vierbein skinął głową. Oczekiwał tego, był na to przygotowany. Był zdecydowany znieść po męsku to, co go czeka, i nie dać się ześwinić. Ostatecznie miał tu wykonać zleczone sobie zadanie.

Udał się naprzód do kancelarii baterii dowodzenia.

Schulz przebywał jednak w sztabie dowództwa dywizjonu jako zastępca dowódcy. Vierbein odbył więc pielgrzymkę do głównego budynku i zameldował się tam. Jeszcze raz powiedział sobie: nie dać się ześwinić.

Schulz, rezydujący przy dawnym biurku pułkownika Luschke, spojrzał uważnie na Vierbeina. Kapral zauważył ze zdziwieniem, że porucznik wygląda niemal pokojowo, w każdym razie nie tak, jak gdyby miał zamiar rozpętać jedną ze swoich słynnych burz. – Vierbein – powiedział Schulz tonem zaskakująco rzeczowym – weźmiecie dziś udział w ostrym strzelaniu.

– Proszę wybaczyć, panie poruczniku – odparł Vierbein układowo – ale jego ekscelencja pan admirał kazał mi przyjść do siebie.

– Jesteście nam tutaj potrzebni, Vierbein.

– Nie wiem, panie poruczniku, czy jego ekscelencja pan admirał...

– Przydzielę mu na ordynansa kogoś innego. Bartscha, Ruhnaua albo obu razem.

– Jego ekscelencja pan admirał rozkazał jednak wyraźnie, żebym dziś punktualnie o dziesiątej...

– No dobrze, Vierbein, zróbcie to jeszcze. Ale po południu chcę was widzieć na

ostrym strzelaniu. Będziecie mogli nauczyć się czegoś. A poza tym po to tu jesteście. W czasie ostrego strzelania wypróbujemy również zapotrzebowane przez pułkownika Luschke radiostacje. Zobaczycie wtedy, jak funkcjonują.

– Tak jest, panie poruczniku.

– Być może pojutrze obejmiecie na ostrym strzelaniu działon. Będziemy walili w makiety czołgów. W obecności generała. Będziecie mu mogli pokazać prawdziwą robotę.

Vierbein zrozumiał. Prawdopodobnie generał zapowiedział niespodzianie przed półgodziną swe przybycie na ostre strzelanie. Stwarzało to dla porucznika Schulza, który zastępował chwilowo dowódcę dywizjonu, wielką szansę. Nareszcie będzie mógł pokazać, jaki zuch z niego! Doświadczony w ostrym strzelaniu, na szczęście obecny i uchwytny, Vierbein miał mu być przy tym pomocny. Tak, Vierbein rozumiał, w jakiej grze ma uczestniczyć. Długoletnie obcowanie z Aschem uczyniło go w pewnym stopniu jasnowidzem.

– Co się tyczy drugiej sprawy – powiedział Schulz bawiąc się suszką – to nie mogę sobie wyobrazić, żeby tak znakomity żołnierz jak wy mógł popełniać niebezpieczne dla życia głupstwa.

Obaj zamilkli. Każdy czekał, by przemówił drugi, ale na razie na próżno.

W pokoju panowała zupełna cisza. Potem wdarł się koszarowy hałas: śpiewny krzyk i krzykliwy śpiew. Porucznik Schulz wstał i osobiście zamknął gwałtownym ruchem okno.

– Vierbein – powiedział po jakimś czasie – teraz możecie mi nareszcie dowieść, że naprawdę jesteście dobrym żołnierzem. Będę rad, jeżeli się wam to uda.

Pułkownik Luschke stał w kościele, rozkraczywszy nieco nogi, z pochylonym naprzód tułowiem, jak gdyby opierał się o poręcz. Tam gdzie stał, mieścił się kiedyś ołtarz. Teraz na tym miejscu syczał palnik acetylenowy.

Luschke patrzył w biały żar wżerający się w żelazną płytę. Żołnierze w okularach ochronnych pracowali gorliwie. Obecność dowódcy wpływała na przyśpieszenie tempa ich pracy.

Jak zawsze elastycznym krokiem przemaszerował przez obszerną halę, zapchaną pojazdami i maszynami, kapitan Witterer. Ustawił się obok pułkownika, naprzeciwko palnika, i dziarsko przyłożył rękę do daszka czapki, – Kapitan Witterer melduje się na rozkaz.

Luschke dotknął dwoma palcami skroni, patrzył dalej na deszcz iskier. W skrytości ducha żał mu było żołnierzy tego warsztatu. Wiedział, że go przeklinali, bo często przebywał w ich rejonie, a sama jego obecność automatycznie zwiększała ich wysiłki. Nigdzie zaś nie spotykało się go tak często jak tutaj.

– Kapitan Witterer melduje się na rozkaz! – zameldował się powtórnie nowy dowódca trzeciej baterii.

– Uważa pan, że źle słyszę? – zapytał pułkownik nie podnosząc wzroku.

Witterer pośpieszył z zaprzeczeniem. Stał jeszcze przez krótką chwilę w pozycji na baczność, potem przybrał ostrożnie postawę „spocznij” postanawiając odczekać.

Luschke, ciągle jeszcze zapatrzony w syczące płomienie, uśmiechnął się nieznacznie. Żołnierze jego warsztatu nie wiedzieli, dlaczego tak często wśród nich przebywa – nie mogli tego wiedzieć. Przebywał tu najczęściej nie ze względu na nich, przyciągał go jak magnes stary, zrujnowany kościół. Był w nim odblask wielkości i ciszy, związanych nieodłącznie z tym podeptanym, porozrywanym, pooranym bruzdami śmierci kawałkiem ziemi.

Pułkownik podniósł wolno głowę; wydawało się, że zaczyna się przyglądać badawczo otaczającym go żołnierzom. Żaden z nich nie miał odwagi spojrzeć na niego, wszyscy pochylili się jeszcze bardziej nad swoją pracą. Witterer uznał za wskazane wrócić do postawy na baczność.

Ale Luschke patrzył w górę ponad ściany, tam gdzie łuki pozbawione okien strzelały w otwarte smutne niebo. Miał wrażenie, że jakiś zmarły na próżno wyciąga swe olbrzymie ręce ku Bogu.

Potem odwrócił się gwałtownie, zrobił dwa kroki w kierunku Witterera i zapytał:

– Ile czasu potrzebuje pańska bateria, żeby być gotowa do marszu?

– Czterdzieści dwie minuty – odpowiedział Witterer bez namysłu.

– Skąd pan wie o tym z taką dokładnością?

– Na podstawie ćwiczeń, panie pułkowniku. Trzy dni temu bateria potrzebowała na to prawie godziny. Wczoraj doszliśmy do czterdziestu dwóch minut. Chcę jednak doprowadzić do maksimum trzydziestu minut.

– Czy jest pan przekonany, panie kapitanie Witterer, że chłopaki nie nabiły pana w butelkę?

– Ależ oczywiście. Meldunki, które otrzymałem...

– ...zostały przez pana sprawdzone?

– Częściowo tak.

– Częściowo! – Luschke, zadowolony, roześmiał się. – Nigdy pan nie dojdzie, jakimi kruczkami chłopaki się posługują. W każdym razie nie uda się to panu. Pański Soeft na przykład potrzebuje dla swych zapasów całej kolumny przewozowej.

– Ale kapral Soeft zameldował już po dwudziestu pięciu minutach pełną gotowość marszową swojej kolumny. Mnie osobiście, a raczej szefowi baterii.

– Tylko tak dalej – powiedział Luschke z ironią – a teoretycznie będzie pan mógł to zrobić w ciągu dziesięciu minut. W każdym razie, panie kapitanie Witterer, powinien pan spróbować uruchomić swój kram w ciągu dwóch do trzech godzin. Po dłuższej ciszy pierwszy wymarsz bywa zwykle nieco trudny, ale kiedy już raz mechanizm wojny wprawi się w ruch, trudność polega niemal wyłącznie na tym, żeby go znowu zatrzymać.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział Witterer udając, że zrozumiał wszystko, co jego dowódca przed chwilą tu wywodził.

Pułkownik odwrócił się i podszedł do jednego z filarów stojących w głębi. Witterer pośpieszył za nim. Stanąwszy pod filarem Luschke powiedział: – Panie kapitanie, proszę w ciągu trzech dni przygotować się wraz ze swoją baterią do zmiany stanowisk. Cel marszu leży o trzydzieści osiem kilometrów w tyle.

– W tyle, panie pułkowniku?

– Czyżby to pana wyprowadzało z równowagi, panie kapitanie? Chyba na serio nie wyobraża pan sobie, że maszerujemy wyłącznie naprzód. Ubiegłego grudnia dała drapaką cała armia, odwalając od razu dobrych kilkaset kilometrów – od Tuły aż do pozycji, które zajmujemy obecnie. I to wkrótce po tym, jak nasz führer obwieścił, że kampania na wschodzie została zakończona. Powiedzmy, że się pomylił.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Teraz, przed ofensywą wiosenną, dokonujemy tu przegrupowań, stwarzamy sobie podstawę do odskoku. Można jednak również powiedzieć: nareszcie naprawiamy błędy popełnione przed trzema miesiącami. Niech pan to nazwie wyrównywaniem frontu, panie kapitanie.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział Witterer z niezadowoleniem bojowego żołnierza, który stale pali się do tego, żeby wrogowi wygarbować skórę.

– A więc w ciągu trzech dni! Jutro rozpozna pan z Wedelmannem nowe stanowiska. Szczegóły u mego adiutanta. Ale wszystko bez hałasu! Sprawa pozostaje tajna. Kiedy przyjdzie pora, pomaszerujemy w nocy – oderwiemy się od przeciwnika pod osłoną ciemności. Niespodziewanie. Rosjanie będą musieli następnego ranka spojrzeć w próżnię.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział kapitan Witterer i na myśl o głupich, potwornie głupich minach przeciwników ryknął śmiechem. To przecież prawie jak u Karola Maja!

Luschke przyglądał się Wittererowi z zainteresowaniem. Reakcje jego bawiły pułkownika, utwierdzały go w jego przypuszczeniach: z tym Wittererem będzie jeszcze zabawa. Miejmy nadzieję, że tylko zabawa.

– Co pan właściwie przedsięwzięmie dziś po południu? – zapytał Luschke.

– Jeśli pan pułkownik przywiązuje wagę do mojej obecności...

– Chcę panu tego oszczędzić – powiedział Luschke łagodnie.

– W takim razie skontroluję jeszcze ostatnie przygotowania do występu zespołu rozrywkowego, który, jak panu pułkownikowi niezawodnie wiadomo, odbędzie się u nas jutro wieczorem w bazie transportowej.

Luschke milczał wyczekująco i obmacywał filar, obok którego stał. Kamienny słupek był chory; wżerał się weń trąd. Jeszcze kilka lat – i zawali się na amen.

– Sądzę, że pan pułkownik uważa za wskazane, by mimo nowej sytuacji zapowiedziana impreza odbyła się, chociażby dla zamaskowania naszych zamiarów.

– Jestem zawrże rad, kiedy żołnierze mają rozrywkę. Uważam tylko, że pan, panie kapitanie, najmniej potrzebuje takiej odmiany.

– Jak mam to rozumieć, panie pułkowniku? – zapytał Witterer lekko zdenerwowany.

– Tak, jak należy.

– Skoro już tu jestem, panie pułkowniku...

– Bardzo to sobie cenie, kapitanie, kiedy oficerowie moi dbają również o duchowe zadowolenie swoich żołnierzy. Pański pociąg do widowisk imponuje mi po prostu. Martwiłbym się tylko, gdyby pan postępował zbyt jednostronnie.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Luschke syknął teraz ostro: – Kiedy był pan w szpitalu? Zdumiony Witterer milczał bezradnie przez kilka sekund. Żmijowate spojrzenie Luschkego mocno go niepokoiło. Odpowiedział z pewnym trudem: – Jeszcze nigdy, panie pułkowniku. Jestem, zupełnie zdrów.

– Tu w szpitalu polowym – mówił Luschke prowokującym szeptem – leży kilku żołnierzy z pańskiej baterii. Według raportu jest ich trzech. Zranienie, odmrożenie, zapalenie płuc. Czy nie przyszło panu nigdy na myśl odwiedzić ich, zająć się nimi?

– Tak jest, panie pułkowniku – wyjąknął Witterer. Chciałem...

– Nie będę wobec tego pana zatrzymywać – powiedział pułkownik lakonicznie; odwrócił się i zaczął uważnie oglądać zatarte resztki malowidła ściennego, w którym woda wyżyłobiła czarne, potwornie zniekształcające kanały.

Witterer uznał się za zwolnionego, zasalutował w próżnię i wyszedł spiesznym krokiem.

Czekający na niego przed kościołem kapral Krause otworzył gwałtownym ruchem drzwiczki samochodu, w którym siedział rozparty Kowalski. Witterer wsiadł bez słowa. Krause wśliznął się do tyłu, Kowalski nacisnął nogą starter.

– A więc do uroczych kobietek – powiedział jowialnie i włączył pierwszy bieg.

– Do szpitala! – zawołał Witterer.

Kowalski, szczerze zaskoczony, dał takiego gazu, że wóz ruszył w krótkich, dzikich podskokach. Uspokoiwszy go nieco powiedział: – Nie do wiary!

– Zaniechajcie łaskawie tych głupich uwag, bombardierze! – zawołał Witterer ostro.

– Wcale nie są takie głupie – odpowiedział z całym spokojem Kowalski.

– Zamknijcie gębę, człowieku! – krzyknął kapitan.

Kowalski wzruszył ramionami i dał gazu. Znowu potwierdzało się jedno z jego doświadczeń: dyskusje z pewnymi przełożonymi były całkowicie bez sensu. Syty nie zrozumie nigdy głodnego.

Wóz kołuszac się na wszystkie strony podjechał pod długi drewniany budynek, nad którego wejściem zwisała ospale flaga Czerwonego Krzyża. Witterer wysiadł, wygładził fałdy swego płaszcza i powiedział do Krausego: – Każcie się zawieźć do panny Ebner. Wytlumaczcie mnie przed nią i powiedzcie, że się zjawię za jakąś godzinę.

Kapral powtórzył otrzymane polecenie całkowicie i dosłownie. Kowalski słuchał z zainteresowaniem, delektując się sprężystością Krausego. Potem, ledwie tamten zdążył powiedzieć ostatnie słowo, dał gazu i ruszył w szalonym tempie, żeby jak najprędzej zobaczyć Charlotte.

Tymczasem Witterer udał się do szpitala, wszedł do poczekalni i natknął się tam na siostrę, której jego stopień kapitana niezbyt, zdaje się, zaimponował. Była zajęta wnoszeniem na listę całego mnóstwa danych, odnotowanych na długich kartkach.

– Przepraszam – powiedział Witterer mało uprzejmie, gdyż siostra kazała mu przez dłuższą chwilę czekać, nie zwracając na niego uwagi – chciałbym odwiedzić moich żołnierzy.

– Nazwiska? Na jakim oddziale leżą?

Witterer oburzony, że się go należycie nie respektuje, dał głośno i wyraźnie wyraz swemu niezadowoleniu z „nieodpowiedniego sposobu stawiania pytań”. Rogata siostra odpowiedziała nie mniej głośno. Zaczęli ujadać na siebie.

– Proszę nie zapominać – powiedziała siostra – gdzie się pan znajduje!

– Do pioruna! – ryknął Witterer. – Czy my z frontu jesteśmy dla was, czy też wy jesteście dla nas? Cóż to za świński chlew! – Przy słowie „chlew” zjawił się jak na zawołanie lekarz. Sprawiał wrażenie, jak by miał zamiar zachować się energicznie. Zorientowawszy się jednak, że ma przed sobą kapitana, stał się koleżeński; jak wszyscy oficerowie mający poczucie swojej wartości prędko się porozumieli. Po dziesięciu minutach Witterer był w posiadaniu względnie dokładnych danych o swoich żołnierzach.

– Zależy mi bardzo na tym – oświadczył – żeby moi żołnierze znowu powrócili do zdrowia. I to możliwie prędko. Na froncie potrzebny nam jest każdy człowiek, zwłaszcza teraz.

– Rozumiem – powiedział lekarz.

Witterer skinął głową. Wydawało mu się, że teraz i on zrozumiał, w jakim celu pułkownik skierował go tutaj. Jasna sprawa! Luschke, nie odznaczający się delikatnością, chciał, by jego podwładni dowódcy dostarczyli mu zdolnych do walki oddziałów, jako że nadszedł czas, kiedy nie można zrezygnować z żadnego żołnierza. Czasy urlopowanych, odkomenderowanych i chorych minęły. Witterer wiedział teraz, po co tu jest.

Snując tego rodzaju rozmyślania, które uważał za wspaniałe, nie zwracał zbyt wiele uwagi na otoczenie. Zaprowadzono go na obszerną salę zapchaną chorymi. Większość leżała na grubych siennikach. Można nawet było zauważyć bieliznę pościelową.

Jakiś blady żołnierz, owinięty kilkoma kocami, patrzył na niego z oddaniem. A więc to jeden z jego baterii. Witterer wyjaśnił mu, kim jest, i postawił parę pytań natury ogólnej. Uważał, że odpowiedzi nie są wprawdzie wyraźnie optymistyczne, ale mogą się przydać.

– Jak się czujecie? – zapytał.

Chory na zapalenie płuc odparł: – Już o wiele lepiej, panie kapitanie.

– No widzicie! Za parę dni będziecie mogli znowu być u nas. Chyba cieszycie się z tego?

– Tak jest, panie kapitanie powiedział żołnierz słabym głosem.

Witterer spojrział na zegarek, wypowiedział, jeszcze kilka krzepiących słów i pożegnał się. Żołnierz chory na zapalenie płuc pożegnał go spojrzeniem bez wyrazu. Patrzył jeszcze chwilę na szerokie plecy Witterera nad opiętymi spodniami i na wielki rewolwer kołyszący się mu na tylnej części ciała.

Odwiedziny u żołnierzy z odmrożeniami miały przebieg podobny. I tu Witterer miał wrażenie, że spotkał się z uczciwą gotowością, ale i tu odczuł brak optymizmu. Lewa ręka żołnierza była owinięta grubą warstwą waty. Szarozielona, ostro pachnąca maść, podobna do ropy, przesączała się przez bandaż.

– Najważniejsze – powiedział Witterer – że prawa ręka jest zupełnie zdrowa. A może jesteście mańkutom?

– Nie, panie kapitanie.

– No widzicie – powiedział nie zapominając rzucić okiem na zegarek. Potem pożegnał się.

Na korytarzu zatrzymał się i odetchnął głęboko. Smród maści na odmrożenie mierzył go. Ludzie chorzy budzili w nim wstręt, a sala była ich pełna. Patrzyli na niego, zasmradzali go. Żeby tylko tak nie gnić – myślał z obrzydzeniem. – To dobre dla starych bab. Bohaterowie albo umierają młodo i w glorii, albo nigdy. A przede wszystkim – nie śmierdzą.

Pomyślał krótko o Lizie i jej wdzięku, jeszcze krócej o pułkowniku i jego zręczności w przerzucaniu najbardziej paskudnych spraw na barki podwładnych. Potem, już nieco dłużej, rozmyślał o obowiązku koleżeńskości obarczającym frontowego żołnierza. No tak, chorych ma już za sobą, teraz kolej na rannych.

Bohatersko przewyciężył gwałtowną chęć zapalenia papierosa. Przyglądał się wydeptanym deskom w podłodze korytarza, idąc po nich słyszał, jak trzeszcza. Zobaczył ciemną plamę i zatrzymał się. Krew – pomyślał. I fakt, że znajduje się tam, gdzie płynęła krew, napełnił go dziwnym zadowoleniem. Znowu zbliżył się do wojny, przejmowało go to dreszczem rozkoszy. Wyprostowany, przestąpił próg sali numer osiem, w której leżeli ranni w brzuch, i cofnął się gwałtownie. Potężna fala smrodu, która na niego buchnęła, zaparła mu dech. Stwierdził, że śmierdzi tu gównem. Nad tym smrodem unosiły się jęki jakiegoś człowieka, wstrząsanego zapewne gorączką. Witterer pomyślał po męsku, że chłop mógłby jakoś trzymać się w karchach.

Przeszedł obok kilku sienników, nie patrząc na tych, którzy na nich leżeli, potem zbliżył się do żołnierza ze swojej baterii, którego nazwisko i numer łóżka były uwidocznione na kartce. Widniało na niej również krótkie określenie kontuzji: rana

szarpana podbrzusza.

– Jestem waszym dowódcą – powiedział. – Nazywam się kapitan Witterer.

Ranny, trupioblady żołnierz uśmiechnął się nieśmiało. Głęboko wpadnięte oczy błyszczały od gorączki. Usta były już tylko wąską kreską.

– Jakże się wam powodzi, mój drogi?

Żołnierz odsunął kołdrę. Witterer zobaczył dokoła jego bioder grube opatrunki, przez które przeciekała wodnista czerwień. Pochylił się nad rannym udając, że się trochę na tym zna.

– No tak – powiedział. – Mogło być gorzej.

– Tak jest, panie kapitanie – szepnął żołnierz.

– Chwileczkę – rzekł kapitan i odwrócił się, gdyż otworzono drzwi. Stał w nich kapral Krause. Witterer podszedł do niego i zapytał: – No i co?

– Panna Ebner ubolewa – powiedział Krause.

– Nad czym?

– Niestety nie może czekać na pana kapitana. Ma służbę.

– Tak – powiedział Witterer niezbyt uradowany. – Ma służbę. Też mi służba!

Zaczął rozmyślać. Myślał o kobietach, o pożądaniu, które budzą i z którego zaspokojeniem później się ociągają. Kiedy tak rozmyślał, znowu usłyszał jęki, syczące, gorączkowe jęki człowieka leżącego w kącie. Pomyślał: Ten chłop mógłby naprawdę trochę panować nad sobą.

Spojrząwszy na zegarek powiedział do Krausego: – Żeby się tego dowiedzieć, zmarnotrawiliście prawie całą godzinę?

– Proszę wybaczyć, panie kapitanie. Ale nie można było prędzej się z tym uporać. Nie mogłem odszukać Kowalskiego.

– Znowu się wałęsał!

– Był u pewnej damy imieniem Charlotta.

– Ładne stosunki! – zawołał Witterer. – To tak dalej być nie może.

Przeszedł koło Krausego. Wzrok, którym obrzucił swego podoficera do zleceń specjalnych, dawał wyraźnie do zrozumienia, jak mało był tym zbudowany. Rozpijaczeni bombardierzy i wstrzemięzliwe kobiety – oto czym trzeba było zawracać sobie głowę. A jednak, jednak! Ta wyraźna wstrzemięzliwość Lizy mogła być oznaką jej obawy, żeby się w nim nie zadurzyć. Tak, ta mała czuje lęk przed nim! No tak, było to z pewnych względów zrozumiałe.

Witterer wrócił znowu do rannego ze swej baterii. Znowu pochylił się nad opatrunkiem i potrząsnął głową. Tego człowieka będzie musiał na razie skreślić z listy. Na tego w wiosennej ofensywie liczyć nie można. Rzucił mu jeszcze kilka krzepiących słów i wybiegł z sali prześladowany falą smrodu.

Doszedłszy do swego wozu powiedział przy drzwiczkach do Krausego: – Potrzebujemy teraz każdego człowieka. Każdego. Musimy ściągać, kogo się tylko da.

– Również i kaprala Vierbeina? – zapytał Krause gorliwie.

- Każdego.
- Tak jest, panie kapitanie.
- Zarządźcie to! A wy, Kowalski, przestajecie być moim kierowcą.
- Tak jest – powiedział tamten i zaczął zabierać się do opuszczenia wozu.
- Co też wam wpada do głowy?
- Wykonuję rozkaz – odparł Kowalski i podał Wittererowi klucz od wozu. – I to z radością.
- Wsiadajcie natychmiast z powrotem! – zawołał Witterer z wściekłością. – A kiedy przyjedziemy do bazy przodków, zameldujecie się u mnie do ukarania.
- Ależ chętnie, panie kapitanie.

Wiadomość, że Kowalski ma już znowu zostać ukarany, rozniosła się w trzeciej baterii ze zwykłą szybkością i obudziła tłumioną wesołość. Sam Kowalski najbardziej się tym bawił i długo i szeroko tłumaczył każdemu, kto tylko go chciał słuchać, jakie to godne uwagi właściwości ma dowódca baterii. Nazwał go bydlakiem.

Kiedy określenie to padło również w obecności szefa baterii, ten pośpieszył do kapitana Witterera i pozwolił sobie zapytać, czy jest zgodne z prawdą, w co nie chce mu się wierzyć, jakoby pan kapitan oświadczył, że rozważane jest ukaranie bombardiera Kowalskiego.

- Zgadza się co do joty – powiedział Witterer nieuprzejmie. – Zostanie ukarany.
- Niech mi wolno będzie panu kapitanowi to odradzić.
- Bezcelowe, szefie. Stanie się tak, jak powiedziałem.
- Niech mi wolno będzie zwrócić panu kapitanowi uwagę – powiedział Bock z lekkim uporem – że ukaranie bombardiera Kowalskiego byłoby całkowicie bezcelowe. Nawet po prostu nonsensowne. Nic sobie z tego nie robi. Ma to, z przeproszeniem pana kapitana, gdzieś.
- Już ja mu zaleję sadła za skórę! – zawołał dyszący zemstą Witterer. – Pozna mnie teraz. Przecież nie pozwolę, by mnie ten ptaszek traktował jak... jak mokrą szmatę!

Ten upór w sprawie, która – dlatego właśnie, że dotyczyła Kowalskiego – była czymś w rodzaju nieodwracalnego prawa natury, całkowicie psuł szyki starszemu ogniomistrzowi. Bock był rozgoryczony brakiem zrozumienia, który był tak wyraźnie widoczny u Witterera.

- Panie kapitanie – powiedział szef – zostało już wypróbowane, że najlepiej nigdy nie zwracać uwagi na to, co ten Kowalski plecie. Bo na ogół jest to chłop jak złoto – urodzony zuch frontowy. W akcji po prostu nieoceniony.
- Nie mogę przecież pozwolić, żeby mi ten dzikus ciągle działał na nerwy.
- Panie kapitanie! Zauważył z pewnością, że pana kapitana irytują jego uwagi, i dlatego właśnie wciąż je robi. Na ogół jest dość małomówny.

Witterer był rozgniewany, niechęć jego wzrastała coraz bardziej. Zaczął wędrować po swoim pomieszczeniu. Podobny był do pantery, która żadna łupu miota się

po swej klatce. – Każę go zamknąć! – zawołał po chwili.

Bock wzruszył bez żenady ramionami i po raz pierwszy zachował się w obecności swego nowego dowódcy lekceważąco.

– Przecież to bezcelowe – powiedział.

– W takim razie postawię go przed sąd wojenny.

– Jego gadanina – nie wystarczy, żeby to zrobić, panie kapitanie.

– Dostyc pouczeń! – zawołał Witterer szorstko. – Przyprowadźcie tu tego łobuza.

Szef wzruszył ponownie ramionami, potem, zasalutowawszy niezbyt sprężyście, wyszedł. Potrząsał z dezaprobatą głową. Wiedział z doświadczenia, że tak ta baterią dowodzić nie można. Nie w taki sposób!

Bock nie spieszył się, podreptał na swą kwaterę i przede wszystkim wyrzucił stamtąd podoficera kancelaryjnego. Potem spróbował osiągnąć telefonicznie porucznika Wedelmanna, co mu się nie udało. Również Asch był nieosiągalny. Zastanowił się, czy ma zadzwonić do Luschkego, ale po chwili odłożył słuchawkę.

Po upływie godziny, w ciągu której nic jeszcze nie zaszło, zadzwonił Witterer i ryczał w słuchawkę, żeby mu dostarczono Kowalskiego żywego lub umarłego. Odłożywszy słuchawkę starszy ogniomistrz mruknął: „ech!”, po czym przyprowadził Kowalskiego.

Kowalski był w jak najlepszym nastroju: wyglądał tak, jak by sobie podpił; trudno mu to było wprawdzie udowodnić, ale można było być tego pewnym. Jako dostawca alkoholu wchodził w rachubę tylko Soeft, który lubował się w komplikacjach wszelkiego rodzaju.

Bock widział sytuację w czarnych barwach. Po drodze do Witterera próbował wpłynąć na Kowalskiego: – Kowalski – powiedział po koleżeńsku – nie róbcie teraz głupstw.

– Co też panu starszemu ogniomistrzowi w głowie! – zapewnił Kowalski. – Przecież nie zepsuję sobie całej mojej przyjemności!

– Zachowujcie się poprawnie, Kowalski.

– Zawsze to robię.

– Jest to wyraźne życzenie porucznika Wedelmanna – kłamał najspokojniej w świecie szef.

– Naprawdę?

Bock udał, że nie dosłyszał tego pytania, które kwestionowało jego prawdomówność. Powiedział: – Przed chwilą miałem telefoniczną rozmowę z Wedelmannem. Życzy sobie, żebyście zamknęli pysk przynajmniej na pięć minut.

– Jeśli chce tego Wedelmann, niech będzie na dziesięć minut – zgodził się Kowalski wspaniałomyślnie.

Bock wepchnął bombardiera do kwatery Witterera. Kowalski zameldował się prawie przepisowo. Kapitan nałożył pas, włożył czapkę – ściśle w myśl przepisów: „karzący i karany mają być w stroju służbowym” – i stanął na baczność.

Podniósł do oczu kartkę papieru i odczytał z niej, co następuje: „Wymierzam bombardierowi Kowalskiemu za karę trzy dni ścisłego aresztu, ponieważ wielokrotnie dawał dowódcy swojej baterii i innym przełożonym przekorne, prowokacyjne, a nawet naruszające dyscyplinę odpowiedzi”.

Gówno – pomyślał sobie starszy ogniomistrz Bock stojący w głębi – wszystko gówno! Zawracanie głowy, nie żadne uzasadnienie kary. „Ponieważ” i „dawał” zgadza się przypadkowo; każde uzasadnienie kary musi, w myśl żądań pułkownika, zawierać opis konkretnego faktu, nie może składać się z ogólników.

– Skończyły się czasy, kiedy byliście kierowcą dowódcy waszej baterii! – zawołał Witterer. – Od tej chwili będziecie wozić amunicję. No i co teraz powiecie?

– Pięknie dziękuję, panie kapitanie – odparł Kowalski.

– Precz! – ryknął Witterer. – Zejdźcie mi z oczu!

– Chętnie, panie kapitanie – powiedział Kowalski, trzasnął obcasami, pamiętając o rzekomym poleceniu Wedelmanna, i znikł.

Nie czekając na polecenie Witterera starszy ogniomistrz Bock ruszył za nim. Ciągle jeszcze widział sytuację w czarnych barwach – teraz dodatkowo i dla kapitana Witterera. Kiedy Luschke dostanie w Swe ręce uzasadnienie tej kary – w myśl pułkowego rozkazu miał otrzymywać w ciągu czterdziestu ośmiu godzin meldunek o każdym ukaraniu – zerwie się burza. Wittererowi życzył tego, co nastąpi, ale i on, Bock, znajdzie się na linii ostrzału.

– Panie starszy ogniomistrzu – zapytał Kowalski z zaciekawieniem – kiedy i gdzie mam siedzieć?

– Tylko powoli. Nie ma gwałtu.

– Zgodnie z przepisami dyscyplinarnymi – oświadczył Kowalski ochocze – kara powinna być wykonana możliwie jak najszybciej. Palę się już do tego.

– Nie strugajcie wariata, Kowalski – powiedział Bock. – Może kapitan zrobił po prostu kawał?

– Chyba nie mnie – zawołał Kowalski z godnością.

Szef machnął ręką i wszedł do swej kwatery. Kowalski towarzyszył mu jak cień. Bawił się wspaniale.

– Czego jeszcze chcecie? – zapytał szef gniewnie.

– Odsiedzieć swoją karę. Nic poza tym.

– Człowieku, Kowalski, ależ z ciebie uparta bestia!

– Proszę o wykonanie kary – oświadczył Kowalski z lubością, wiedział bowiem, jakie teraz pojawiają się trudności.

Starszy ogniomistrz zostawił Kowalskiego pośrodku izby, ściągnął z haka ciężki płaszcz gumowy i włożył go na siebie. Potem poszedł do szopy i przygotował do startu swój motocykl. Kowalski poszedł za nim również tam. Ustawiwszy się przed nim powiedział: – Na pańskim miejscu kazałbym skontrolować zawory. Klekocą.

– Zejdziesz ty mi z drogi, łobuzie – Bock nacisnął starter. Silnik odezwał się, ale

po chwili zamilkł.

– Za dużo gazu – stwierdził rzeczowo Kowalski.

Bock dał mniejszy gaz, raz jeszcze nacisnął starter i maszyna na nowo ożyła. Czekając, aż się silnik zagrzeje, patrzył nieprzychylnie na bombardiera. Ten zbliżył się i powiedział: – Słyszysz pan zawory? Klekocą. – Potem dodał śmiejąc się całą gębą. – Uzasadnienie kary przez tego bydlaka było kompletnym gównem, co? Niech pan to spokojnie przyzna. Znam się na tym. Ale jeżeli zmienione zostanie choćby jedno słowo, poskarżę się Luschkemu.

– Z drogi! – zawołał szef, włączył bieg i ruszył w ostrym tempie.

Pożegłował w stronę głównego stanowiska taboru, by odszukać Wedelmanna. Nie znalazł go ani na kwaterze, ani na stanowisku ogniowym. Również ogniomistrz Asch gdzieś wyfrunął. Starszy ogniomistrz szukał dalej, klnąc siarczyście. W końcu zlitował się nad nim jakiś bombardier i zakomunikował mu tajemne hasło: Natasza.

Wedelmann i Asch siedzieli w ciasnej izdebce Rosjanki i pili herbatę. Tym razem herbata została nalana do jednakowych, lekko oszlifowanych szklanek, o które postarał się porucznik Wedelmann. Mówili o wojnie – dla Nataszy żaden inny temat nie istniał.

– Taka wojna – powiedział Asch – to jak jeden wielki wychodek. Każdy musi kiedyś wejść do niego, ale tylko pewien określony rodzaj ludzi czuje się tam dobrze.

– Byłoby wskazane – powiedział Wedelmann karcąco – posługiwać się trochę bardziej dobranymi wyrazami.

– Chyba nie na określenie tego świństwa!

– Dla nas – powiedziała Natasza bardzo poważnie – wojna ta, której nie rozpoczęliśmy, jest patriotycznym obowiązkiem.

– I my – oświadczył Wedelmann nie mniej poważnie – traktujemy tę wojnę jako narodową konieczność. Nasz atak jest właściwie obroną prewencyjną.

– Moi państwo – powiedział Asch złośliwie – kilka lat temu grasował w naszej okolicy morderca-erotoman. To bydlę nazwiskiem Schlapprosch modliło się zawsze przed dokonaniem zbrodniczego czynu. Był bowiem przekonany, że Bóg chce go mieć takim, jakim jest.

Natasza i Wedelmann milczeli. Milczenie to mówiło wyraźnie: nie rozumiesz nas. Siedzieli obok siebie, dość blisko, na wąskim łóżku Nataszy. Ręce ich dotykały się lekko. Nie unikali tego dotknięcia.

Ascha, siedzącego naprzeciwko nich na jedynym krześle, które jęczało przy każdym poruszeniu, zdawało się to bawić. W oczach jego lśniła ironia i współczucie. Rozparł się na krześle, założył nogę na nogę.

– Moi państwo – powiedział widząc was tutaj oboje, wiem, że wybiła godzina.

– Jeżeli chcecie odejść, Asch, nie zatrzymujemy was.

– Wy oboje – ciągnął dalej Asch – maszerujecie w nowy czas. Ale każde z was w przeciwnym kierunku. Każde z was jest przekonane, że ma w kieszeni gotowy świa-

topogląd. I co jeszcze gorsze: każde wierzy, że jego światopogląd jest jedynie słuszny.

– Naprawdę powinniście odejść, Asch. Zdaje się, że nie czujecie się tutaj dobrze.

– Jeżeli o mnie chodzi – powiedziała Natalia – to słucham chętnie, interesuje mnie to, co pan mówi. Przekonań moich obalić nie można.

– Moich także nie – powiedział Wedelmann z zapalem. – I właśnie dlatego pouczenie nas jest zupełnie niepotrzebne.

– Przecież to nie żadne pouczenie – odparł Asch z pogodnym spokojem – to nawet nie próba wyjaśnienia czegoś. Byłoby to u was obojga niemożliwe. Bo istnieją dziś mózgi jakby znormalizowane. Siedzicie więc tu, wy czerwoni i brunatni akrobaci partyjni, przypuszczam, że się kochacie, ale miłość między ludźmi jest w waszym świecie sprawą drugorzędną. Na pierwszym miejscu jest Związek Radziecki albo Rzesza; jedni i drudzy chcą uszczęśliwić świat. Szczęście, które może znaleźć dwoje ludzi, wcale się nie liczy. Po cóż więc, pytam, ludzie płodzą dzieci? By produkować obrońców ojczyzny? Czy może po to, żeby żyć dalej w swoich dzieciach?

– Pan nie wie, co to jest ojczyzna – powiedziała Natasza z dumą. – Bronię jej, by później móc żyć w niej spokojnie.

– Chyba nie zrozumiecie nigdy – powiedział Wedelmann nie mniej dumnie – że naród jest wszystkim, a jednostka bez narodu – niczym.

– Beznadziejne – oświadczył Asch i wstał. – Mamy wspólnego Boga. I miłość może nas zjednoczyć. I wszyscy ludzie mogą być rodzeństwem. Nie ma niczego na świecie, co by usprawiedliwiało wojnę. Niczego!

Po tych słowach odszedł nie spojrzawszy nawet na tych dwoje. Zatrzasnął za sobą drzwi, zszedł z hałasem po wąskich schodach bez poręczy. Drzwi wejściowe otworzyły się i po chwili zatrzasnęły. W izbie panowała przygniatająca cisza. Gdzieś w oddali na froncie pluł karabin maszynowy.

– Nie rozumie nas – powiedział smutno Wedelmann.

– Może kiedyś i on nas zrozumie.

Wedelmann zaprzeczył z wolna ruchem głowy. – Nie – powiedział. – Ten Asch to beznadziejny przypadek.

Natasza ujęła go współczująco za rękę. Odwrócił się w jej stronę i patrzył na nią. W oczach jej był wyraz oczekiwania i trwogi. Były to oczy łagodne, błyszczące, ciemne. Dotknął ich ustami.

Poczuł, jak się zamknęły. Ręce jej, które ścisnął, zaczęły drżeć. Ale nie cofnęła głowy.

Długo trwali w tej pozycji, żadne z nich nie miało odwagi poruszyć się. Poczuł na rozgorączkowanej twarzy jej oddech. Wargi jego przesunęły się w dół, jej twarz uniosła się ku niemu. Dotknął jej ust. Cofnęła się. Twarze ich były tuż obok siebie. Patrzyli na siebie dziko i zarazem czule. Zaledwie oddychali.

Potem twarze ich zbliżyły się ku sobie. Skóra, którą poczuli, była gorąca, wargi

suche. Oddychali ciężko.

– Kocham cię – powiedzieli jednocześnie.

Odsunęli się i patrzyli na siebie w podnieceniu. Przez długi czas nie poruszali się wcale. Zadrżeli, kiedy znowu zaczął terkotać karabin maszynowy.

– Chodź z nami – powiedział Wedelmann. – Chodź!

– Dokąd?

– Musimy zostać razem, dopóki to jeszcze możliwe.

– Jesteśmy przecież razem.

Wedelmann potrząsnął głową. – Już niedługo. Musimy stąd odejść. Już w najbliższych dniach.

Opadła w tył jak martwa. Wyzwoliła dłonie z jego rąk i powiedziała gwałtownie:

– Nie mów o tym! Proszę cię, nie mów o tym.

– Musimy o tym mówić.

– Nie.

– Czy mam odejść od ciebie?

– Nie!

– W takim razie musisz pójść z nami!

– Nie!

– Ależ tak! Mamy dla siebie tak strasznie mało czasu. Musimy ten czas przedłużyć, dopóki to możliwe. Musisz pójść z nami. Za dwa dni już nas tu nie będzie.

W oczach Nataszy czaił się smutek. Wedelmann myślał, że to strach o niego, o nich oboje, o ich miłość. I to czyniło go szczęśliwym. Nigdy – mówił sobie – nie byłem taki szczęśliwy. Nie wiedziałem, że to istnieje. Mój Boże, nic wiedziałem.

– Kocham cię! – powiedział.

Natasza przymknęła oczy. Jej twarz pobladła, a usta stały się małe i wąskie. Wciągnęła głęboko powietrze. Powieki jej drgały, jak by czuła ból. Spojrzała na niego otwierając szeroko oczy. Potem zapytała: – Kiedy musicie odejść?

– Pojutrze w nocy.

– Tylko wy?

– Wszystkie znajdujące się tu oddziały. Nikt nie zostanie. Cały front na naszym odcinku przesuwa się w tył.

– Jak daleko?

– O jakieś czterdzieści kilometrów. Jedźże z nami! Znajdę tam dla ciebie pomieszczenie. Upłyną jeszcze tygodnie, zanim wojna ożyje znowu na wszystkich odcinkach frontu. Te tygodnie należą do nas. One muszą do nas należeć. Spójrz, jesteś tutaj sama, wojna zapędziła cię tu przypadkiem. Przecież to wszystko jedno, gdzie się zatrzymasz. Najważniejsze, żebyśmy byli razem.

– A więc pojutrze w nocy – powiedziała Natasza jak by nieobecna, unikając jego wzroku.

– Pojedziesz z nami?

– Kocham cię naprawdę! – zawołała gwałtownie. – Musisz mi wierzyć.

– Tak, wierzę ci.

Rzuciła się w jego objęcia, zdawało się, że chce ukryć twarz na jego piersi. – Wszystko mi już jedno, co się stanie – powiedziała bez tchu i przytuliła się do niego. – Wszystko mi jedno, co będzie.

Porucznik Schulz zabawiał się odgrywaniem orkanu. Biegał jak szalony po gabinecie swego dowódcy, rycząc głośno od czasu do czasu. Adiutant przyjmował to z rezygnacją, jak katastrofę żywiołową.

Schulz mówił sobie: Teraz już się przebrała miarka! Teraz cierpliwość jego musi się wreszcie skończyć. Jego prestiż był w niebezpieczeństwie. Kiedy bowiem pełnił tu równocześnie funkcje dowódcy baterii dowodzenia i zastępcy dowódcy dywizjonu, wydarzyły się rzeczy, którym po prostu nie wolno było się wydarzyć, w każdym razie dopóki on miał tu ważki i decydujący głos.

Zarządzone przez niego ćwiczenia, mające być próbą gotowości bojowej, okazały się całkowitym fiaskiem. Również pierwszy alarm lotniczy można było określić jako wpadunek, i to nie tylko z wojskowego punktu widzenia, ale również dlatego, że wywieszkę z dowcipnym napisem jego pomysłu „Uprasza się nie robić w spodnie” powieszono wprost nad miejscem zajmowanym przez dowódcę. Szczęście jeszcze, że siedział pod nim nic nie przeczuwający major rezerwy, który nie mógł pojąć, dlaczego jego otoczenie się śmieje.

Nie koniec na tym. Jego „bracia sjamscy” tyłów wielokrotnie zawiedli, i to bardzo żałośnie. Kawały, na które sobie pozwalali, nie były już kawałami w prawdziwym tego słowa znaczeniu i nie sprawiały nikomu uciechy. Niewypały, głowy do pozłoty! I coś takiego pozostaje pod jego opieką!

Ale bezspornym szczytem wszystkiego było to, że jak się zdaje, Vierbein, właśnie Vierbein, uwił sobie spokojne gniazdko u tego admirała. Ten stary koń morski wbrew oczekiwaniom nie tylko kazał się bez przerwy obsługiwać, ale jeszcze wyraźnie dążył do poufałego koleżeństwa. Ta marynarka to kupa gówna! Gdyby Schulz nie potrzebował tak gwałtownie Vierbeina do jutrzejszego ostrego strzelania, dałby mu szkołę.

A wreszcie, jak by dla dopełnienia miary, ta po prostu nieprawdopodobna historia ze zgwałceniem. – To wprost nie do pojęcia! – wołał Schulz do adiutanta. – Przecież to nie może się zdarzyć, zwłaszcza w dywizjonie, którym ja dowodzę. To przecież nienormalne!

– Niestety jednak tak jest – powiedział dobrze poinformowany handlarz spirytualiami.

– Czy te trzy baby to jakieś straszdyła? Czy trzeba im zasłaniać twarze rękami?

– Chyba nie. Można powiedzieć, że to typy przeciętne.

– W takim razie nie rozumiem już tego świata! – zawołał Schulz patetycznie.

Po tym, co zaszło, istotnie nie rozumiał już części tego świata. Ubiegłej nocy trzy telefonistki z garnizonowej centrali telefonicznej podległej jego rozkazom zwabiły pod błahym pozorem kaprała łączności do piwnicy i wspólnie go zgwałciły. Tak, zgwałciły!

Przebieg techniczny tego zajścia mógł sobie Schulz od biedy wyobrazić. Umożliwiały mu to liczne doświadczenia oraz niemała w tej dziedzinie fantazja. Proces działania musiał być bardzo kłopotliwy, ale przy energicznym zabraniu się do rzeczy mógł doprowadzić do celu. Całkiem możliwe, że trzy energiczne dziewczyny wzięły podoficera wietrznika tak w obroty, że nie miał już żadnych szans wyrwać się im z rąk. Ale Schulz nie umiał sobie wytłumaczyć jednego: jak w ogóle mogło dojść do czegoś podobnego? Przecież koszary roiły się od żołnierzy i nieliczne tu jeszcze kobiety musiały zawsze osiągnąć to, co chciały. Musiały! Jeżeli tylko były chętne. A że te trzy były chętne, nie ulegało wątpliwości. Dlaczego więc...?

– W tym – powiedział Schulz medytując głęboko – tkwi problem. Można to jedynie wytłumaczyć w ten sposób, że chłopaczki noszące dziś mundur to istne mięczaki. Dawniej coś podobnego było nie do pomyślenia. Nigdy nie dopuścilibyśmy do tego.

– Jestem o tym przekonany – powiedział ostrożnie adiutant.

– Wie pan, co to jest? – zapytał Schulz. – Wie pan, co się tu wyraźnie przejawia? Brak siły bojowej. W tym rzecz!

– Jak to załatwić? – zapytał adiutant.

– Sprawa jest zupełnie prosta – powiedział Schulz autorytatywnym tonem. – Wskutek udowodnionej nieudolności kapral łączności zostanie przeniesiony na front, a tym trzem pożałowania godnym dziewczynom przydzielili się Bartscha i Ruhnaua. O wykonaniu zameldować za cztery dni.

– Tak jest – odpowiedział przeciągle adiutant.

– A ó godzinie trzeciej zameldują się u mnie wszyscy szefowie dywizjonu zapasowego. W hali sportowej. W ubiorze polowym. Zaleję im dobrze sadła za skórę, niech mi pan wierzy, znam się na tym: jak się daje lekkiego łupnia podoficerom, to odbija się on zdrowo echem na skórze szeregowców.

Adiutant skinął głową i zanotował polecenie Schulza.

I on był przekonany, że Schulz w tym sektorze orientuje się specjalnie dobrze. Ten wiedział, jak najprędzej i najlepiej wziąć szefów do galopu.

– Czy wszystkie przygotowania na dzisiejszy wieczór już poczyniono? – chciał wiedzieć Schulz.

Adiutant wyciągnął z teki listę zaproszonych i arkusz, na którym z precyzyjną starannością narysowany był rozkład miejsc przy biesiadnym stole. Dziś w kasynie punktualnie o ósmej odbędzie się w gronie kolegów oficerów zorganizowana przez Schulza uroczystość przedślubna ku czci dowódcy dywizjonu i jego narzeczonej.

– Wpadło mi do głowy – powiedział Schulz udając, że mu to naprawdę przyszło

do głowy właśnie teraz – że nie wolno nam zapomnieć uczcić w specjalny sposób, zwłaszcza w naszym kasynie, jego ekscelencji pana admirała. Również na dzisiejszy wieczór odkomenderujemy Vierbeina wyłącznie do dyspozycji jego ekscelencji. To robi wrażenie.

Adiutant zwrócił swe dobrze odżywione oblicze w stronę Schulza. Wyglądał na zasmuconego, ale nie na załamane. Nawet tego porucznika cierpliwie tolerował, ponieważ kochał swoje stanowisko. Tylko tutaj mógł być tym, co nazywał żołnierzem, a zarazem czuwać nad swoim hurtowym handlem spirytualiami. Nie, nie należało oczekiwać od niego żadnych zastrzeżeń, w żadnym razie nie takich, które mogłyby narazić na szwank zdobyte niemałymi ofiarami zaufanie w stosunkach z przełożonym.

– Vierbein – powiedział Schulz nie bez zapału i odtworzył sobie w duchu scenę z monumentalnego filmu, który niedawno oglądał i w którym bardzo zasmakował ze względu na coraz bardziej rosnącą w nim potrzebę reprezentacji – otóż Vierbein będzie stale stał za jego ekscelencją, kiedy jego ekscelencja będzie stał lub siedział; gdziekolwiek pan admirał się ruszy, będzie szedł za nim w odległości trzech kroków. Ma obsługiwać tylko jego ekscelencję, nikogo poza tym.

– Tak jest – powiedział adiutant, który wyglądał tak jak by dokuczały mu kamienie żółciowe. Korzystając z pierwszej nadarzającej się okazji, wyszedł. Ten Schulz zawsze tylko planował, właściwe zaś wykonanie pozostawiał jemu. Adiutant powiedział sobie, że taka wojna to sprawa niełatwa.

Potem podniósł słuchawkę. Naprzód zatelefonował do własnej firmy i w swej zapobiegliwości zarządził, by dostarczono mu pięćdziesiąt butelek szampana. Później zawiadomił pisarza dywizjonu, żeby poinformował szefów: godzina trzecia, hala sportowa, mundur polowy. Następnie dał rozkaz szefowi baterii dowodzenia, żeby wyznaczył na wieczór kaprała Vierbeina, Bartscha i Ruhnaua oraz pięciu wykwalifikowanych ordynansów, poza tym trzy siły pomocnicze do kuchni i dwóch żołnierzy jako ewentualne zastępstwo sił pomocniczych.

Po załatwieniu tego wszystkiego adiutant udał się do kasyna oficerskiego i jak wyszkolony starszy kelner kontrolował tam przygotowania. Nie można mu było odmówić pewnej znajomości rzeczy, płynącej z blisko dwuletnich doświadczeń na terenie kasyna.

Na jakieś pół godziny przed rozpoczęciem uroczystości zjawił się jako pierwszy Schulz. Miał na sobie dobrze skrojony mundur galowy i olśniewająco biały kołnierzyk. Oczywiście przybył sam, bez żony, którą uważał za niegodną tego grona. Wszyscy wiedzieli o tym, godzili się z tym stanem rzeczy względnie respektowali go. Nosił w sobie tę decyzję, którą powziął zupełnie sam, jak ciężkie brzemie, zachowując jednak zawsze wzorową postawę. Dziś znowu miał na ten drażliwy temat ostrą scysję z żoną. Ciągle jeszcze nie rozumiała!

Bezpośrednio po jego zjawieniu się przybyli do kuchni kasyna ordynansi, pomoc-

nicy i zastępcy pomocników. Aby skontrolować temperaturę napojów, Schulz kazał sobie nalać podwójną porcję koniaku. Potem z nie dopitym do dna kieliszkiem przeszedł przed frontem „kolumny od żarcia i napojów”, której wypróbowanymi dowódcami byli Bartsch i Ruhnu.

Oba asy patrzyły nań z oddaniem i gotowością do usług. Inni próbowali, przeważnie na próżno, wyprężyć piersi okryte białymi bluzami. Schulz przyglądał się im bardzo krytycznie, nie wypuszczając z rąk kieliszka z resztką koniaku. Żadna, choćby najmniejsza plamka nie uszła jego uwagi.

Potem sprawdził smak potraw i temperaturę pozostałych napojów. Wprawdzie tu i ówdzie miał coś do wytknięcia, przeważały jednak słowa uznania, co było dowodem, że jest w dobrym nastroju. Ten dobry nastrój nie trwał długo. Opadł nagle do zera, kiedy Schulz ujrzał admirała.

Jego ekscelencja przybył bowiem bez Vierbeina!

Schulz okrążył dwukrotnie jego ekscelencję. Przy pierwszym okrążeniu wolno mu było ucisnąć dłoń dawnego doradcy cesarza, co uczynił z rozkoszą, przy drugim admirał zapytał, gdzie jest jego małżonka. To Schulza zaskoczyło i porządnie zmieszało. Zaczął przypuszczać, że Vierbein miał czelność poruszyć przy wypełnianiu polecenia ściśle służbowego sprawy na pół oficjalne. Strasznie go to dręczyło, wprawiało we wściekłość, czyniło niepewnym.

Zaprowadziło go to tak daleko, że nie miał odwagi – on, Schulz, nie miał odwagi! – zapytać jego ekscelencji, gdzie jest Vierbein. Byłoby to chyba zbyt śmiałe, a może tylko głupie. Gdyby bowiem jego ekscelencja był podobny do Luschkego, co na szczęście było chyba niemożliwe, mógłby zapytać: „To pan nie wie, gdzie się znajdują pańscy żołnierze?”

– Nie – o, co to, to nie! Schulz wpadł do kuchni, przyskoczył do Bartscha i Ruhnu, którzy byli pochłonięci intensywną kontrolą zimnych dań, i powiedział: – Słuchajcie no, wy niewypały. Sprowadzić mi tu natychmiast tego Vierbeina!

– Tak jest – zawołali obaj niezbyt uradowani.

– I to w tempie! Jeżeli się szybko nie uwiniecie, niedługo już będziecie oddychać powietrzem ojczyzny.

Oba diabły wcielone przełknęły jeszcze prędko po kilka kanapek i zakropiły je dwiema szklankami szampana. Potem nasi bliźniacy ruszyli z miejsca z wyraźną niechęcią.

Znaleźli Vierbeina niespodziewanie prędko; stosownie do ich przypuszczeń siedział w kawiarni Ascha na górze, w pokoju dla lepszych gości, z panną Ingrid, swoją narzeczoną. Ulokowani na kanapie, trzymali się za ręce; Stary Asch oddalił się taktownie pod pozorem odwiedzin u swego przyjaciela Freitaga, by nie przeszkadzać zakochanym. Uczynił to ze spokojem, gdyż nie było obawy, by ta parka mogła zrobić głupstwo.

Bartsch i Ruhnu przyglądali się z radosnym uśmiechem idylli, która ukazała się

ich oczom. Dali sobie kilka kuksańców, mrużąc przy tym oczy. Potem westchnęli głęboko, co ich, zdaje się, potężnie ubawiło.

Jeden z nich powiedział: – Vierbein, masz się natychmiast stawić u Schulza. Jest teraz parę minut przed dziewiątą. Co by to było dla ciebie warte, gdybyśmy cię odnaleźli dopiero o dziesiątej?

– Trzy butelki wina – powiedziała Ingrid, która powoli przywykła do posługiwania się codziennym językiem swych czasów. – Trzy butelki za godzinę jedenastą.

– Nie da się zrobić – powiedział Bartsch. – Dwie godziny szukania to dla nas zbyt ryzykowne.

– Godzina byłaby rzeczą normalną – dodał Ruhnau. – Za godzinę moglibyśmy wziąć na siebie odpowiedzialność.

– Oczywiście przyjdę zaraz, jeśli tak być musi – powiedział Vierbein. – Choć to ciągle przerywanie urlopu niełatwo mi przychodzi.

– Urlopu? Ciągłe słyszę słowo urlop. Czy nie jesteś tu w podróży służbowej?

Vierbein położył rękę na górnej kieszeni munduru. Leżały tam świeżo otrzymane z frontu papiery urlopowe, które mu przyniósł pod wieczór kierowca komendanta portu lotniczego. Zastanawiał się, co ma z nimi począć, i domyślił się wreszcie, czego od niego oczekiwano.

– Jestem na urlopie – powiedział kapral Vierbein stanowczym tonem. – Przy końcu urlopu mam zabrać wyszkoloną obsługę wraz z nowym sprzętem.

„Miotacze ognia”, Ruhnau i Bartsch, nie wiedzieli dobrze, co z tą informacją począć. Była dla nich zbyt jednoznaczna, za mało skomplikowana, nie pozostawiała im zbyt wielkiego pola do działania. Udali więc, że słów Vierbeina nie dosłyszeli, i znowu wrócili do transakcji handlowej. Wreszcie doszli z Ingrid niemal do porozumienia, że za trzy butelki zgodzą się szukać Vierbeina przez dziewięćdziesiąt minut.

Ale Vierbein powiedział: – Wolę pójść zaraz, będę to miał wtedy za sobą. Raz na zawsze.

– Dlaczego chcesz się pchać, jeżeli masz urlop, człowieku?!

– O tym Schulz zapewne nie wie. A poza tym rozkaz jest zawsze rozkazem.

– Ach! – powiedziała Ingrid zirytowana. – Wszystko to jest takie kłopotliwe i nieprzyjemne! Kto się tu potrafi wyznać!

Chcąc ją uspokoić Vierbein położył rękę na jej ramieniu, uśmiechnął się do niej, a później podniósł się ze zdecydowaną miną. – Wrócę wkrótce – obiecał.

– Nie jestem oberżą – powiedziała Ingrid ze złością – do której możesz przychodzić i wychodzić z niej, kiedy ci się podoba.

– Postaram się pośpieszyć!

– A ja pójdę spać.

– Wrócę za pół godziny – obiecywał Vierbein. – Wyjaśnienie tej sprawy nie potrwa długo.

Potem odszedł w otoczeniu Bartscha i Ruhnaua, którzy byli wściekli na niego i nie

szczędzili mu mało pochlebnych słów. Wymknął im się z ręki korzystny interes, twierdzili, że zostali oszukani, i to ich złościło. Pocieszało ich nieco tylko to, że przynajmniej znowu okazali się dobrymi, pewnymi psami gończymi Schulza, co Schulz niewątpliwie zanotuje sobie z uznaniem.

Ale Schulz nie znalazł ani czasu, ani sposobności, by pochwalić Swoich trabantów. Sprawa Vierbeina zbyt mocno go absorbowwała. Rzucił się na kaprała i zapytał:

– Dlaczego nie wykonaliście mego rozkazu, Vierbein?

– Melduję, że wykonałem rozkaz pana porucznika.

– Mieliście towarzyszyć jego ekscelencji. Towarzyszyliście?

– Zameldowałem się u jego ekscelencji, ale pan admirał powiedział: „Eskorta mi niepotrzebna”.

– Kto tu decyduje, Vierbein – powiedział Schulz z groźnym spokojem – ten admirał czy ja?

Na to Vierbein nie znalazł odpowiedzi. Porucznika Schulza to zadowoliło. Kilkakrotnie wskazał kciukiem na salę kasyna. Po krótkim wahaniu Vierbein usłuchał. To zadowoliło porucznika Schulza jeszcze bardziej. Kropnął sobie koniaku, znowu podwójną porcję.

Kiedy później, po upływie dziesięciu minut, wszedł do lokalu kasyna, gdzie po uprzątnięciu stołów tańczono już w jadalni, zobaczył w winiarni, i to właśnie w specjalnie dla dowódcy zarezerwowanym kąciku szachowym, siedzącego ze szklanką szampana w ręku – Vierbeina. Właśnie Vierbeina! Obok niego siedział admirał, jego ekscelencja, ta fujara!

Upłynęły długie sekundy, zanim Schulz zdołał jakoś opanować wzrastającą w nim wściekłość. Ta pijacka zażyłość między admirałem i kapralem krzyżowała mu szyki. Podkraść się bliżej i znowu kciukiem wezwał Vierbeina do siebie. Vierbein przeprosił admirała, podniósł się posłusznie i poszedł za Schulzem do małego bocznego korytarza, na którym mieściły się drzwi do toalet.

– Czy jesteście tu gościem? – zapytał nasrożony Schulz.

– Jego ekscelencja pan admirał wezwał mnie, żebym usiadł, panie poruczniku.

– I wyście istotnie mieli odwagę wpakować swój tyłek na fotel dowódcy?

– Tak jest, panie poruczniku. Po dwukrotnym wezwaniu.

– Kto tu właściwie decyduje? – zapytał Schulz posługując się swą ulubioną metodą. – Jakiś wilhelmowski poławiacz śledzi czy wielkoniemiecki porucznik?

Vierbein milczał dzielnie.

– Wróćcie natychmiast do koszar, Vierbein!

Ten zaczerpnął powietrza, zamknął na chwilę oczy i otworzył szeroko usta: – Niech mi wolno będzie zwrócić panu porucznikowi uwagę, że dziś nocować w koszarach nie będę.

Schulz osłupiał ze zdumienia. Czy to był Vierbein? Przecież to nie może być Vierbein! – Chuchnijcie na mnie! – rozkazał. – Chcę sprawdzić, czy jesteście zalani.

Vierbein chuchnął. Schulz pociągnął nosem, po czym, nadal niesłychanie zdumiony, potrząsnął głową. – Przecież wcale zalani nie jesteście! Co się z wami dzieje? Jesteście chorzy?

– Jestem tu na urlopie – powiedział Vierbein zdobywając się na ostateczny akt odwagi.

– Bzdury! – krzyknął brutalnie Schulz. – Jesteście w podróży służbowej. A może zostawiliście na froncie wasz mózg?

– Jeżeli pan porucznik pozwoli... – Vierbein odpiął lewą boczną kieszeń munduru, wyciągnął wszystkie papiery, które przybyły dopiero kilka godzin temu, i podał je grzecznie porucznikowi.

Schulz, którego nie opuszczało zdumienie, wziął je automatycznie i przerzucił. Po twarzy jego było widać, że stara się na próżno myśleć intensywnie. Wreszcie powiedział: – Muszę być pijany.

Potem gwałtownym ruchem oddał Vierbeinowi papiery i zostawił go samego. Vierbein, wcale nie uszczęśliwiony, odetchnął głęboko. Potem szybkim krokiem opuścił kasyno, dręczony przecuciem, że Schulz po opanowaniu wstrząsu, którego doznał, każe go szukać. Przecucie go nie zawiodło. Ledwie się oddalił, Schulz wpadł znowu do pomieszczeń gospodarczych kasyna rycząc jak lew: – Vierbein! Vierbein! – Na próżno. Wywołał Bartscha i Ruhnaua i powiedział: – Wy niewypały, sprowadźcie mi natychmiast tego Vierbeina. Inaczej prędko przestaniecie oddychać ojczystym powietrzem.

„Wykrywacze min”, klnąc na czym świat stoi, udali się na poszukiwania. Tymczasem Vierbein usiłował dotrzeć do Ingrid Asch. Ale Ingrid naprawdę poszła już spać. Kiedy Vierbein, trochę zrozpaczony, zdecydował się na wtargnięcie do jej sypialni, przeszkodził mu w tym w dobrotliwy sposób stary Asch. Udzielił Vierbeinowi przyjacielskiej rady, by się po prostu udał tam, gdzie o tej porze będzie mile widziany i gdzie znajdzie to, czego mu się tutaj wzbrania.

Doszło w rezultacie do tego, że Vierbein po dłuższym błądzeniu złożył nocną wizytę przyjacielską pani Lorze Schulz. Przyjęła go bardzo ciepło.

Korespondent wojenny sonderführer B. M. Eberwein przybył do pułku Luschkego, aby jako dziennikarz wykorzystać planowane oderwanie się od nieprzyjaciela – „nową kartę chwały naszych wojsk”. Nawet nie spojrzawszy nań pułkownik posłał go do trzeciej baterii, dokąd Eberwein przybył wczesnym przedpołudniem.

Eberwein uważał się za asa wśród korespondentów wojennych. Było sporo ludzi, którzy w to wierzyli. Posiadał bujną fantazję oraz jeszcze bujniejszy brak skrupułów. Wiadomości swoje przekazywał w bezkonkurencyjnym tempie. Metody, które prowadziły do tak rekordowych wyników, były jego tajemnicą zawodową.

Kapitan Witterer powitał wielkiego Eberweina jak najserdeczniej, gdyż czuł się tą wizytą zaszczycony. Był dumny i zadowolony, że właśnie jego, Witterera, Luschke wyróżnił przysyłając mu tego wielce szanowanego męża. Był przekonany, że ma te-

raz wszelkie podstawy, by uważać, iż Luschke jest dla niego usposobiony przychylnie. Tak to pozory mylą!

Po mocnym powitalnym łyku Eberwein zapytał rzeczowym tonem: – Kiedyż więc ten interes się stąd ruszy?

– Jutro w nocy – odparł Witterer.

Eberwein zaczął obliczać. Był dobrze odżywiony, umiał rozglądać się dokoła ostrożnie i badawczo. – Już jutro w nocy! Jeżeli zdjęcia i sprawozdania mają być pojutrze w Berlinie, muszę się spieszyć. Najlepiej będzie, jeżeli się do tego zabiorę jak najprędzej.

Witterer powtórzył ostrożnie swemu gościowi: – Dopiero jutro w nocy. Nie wcześniej.

Eberwein zauważył natychmiast, że ma przed sobą początkującego. Złożył pojednawczo swoje różowe ręce i powiedział: – Improwizacja to wszystko! Również i u nas. Poza tym inspiracja. Wybiegamy myślą naprzód. Rozważmy, co się stanie, i skonstruujemy to już z góry.

– Aha! – powiedział Witterer, który powoli zaczynał rozumieć. – Zdjęcia przygotowane z góry.

– Laicy – poprawił go Eberwein – chętnie posługują się tym określeniem. My fachowcy nazywamy tę metodę systemem wybiegania naprzód.

– Rozumiem – powiedział Witterer nie bez zapału. – Oczywiście jestem do pana dyspozycji.

– Znakomicie, panie kapitanie, ale na razie nie chcę trudzić pana osobiście. Wystarczy, żeby mi pan oddał do dyspozycji kilku energicznych podoficerów. Z ich pomocą przygotuję wszystko gruntownie. Resztę, czyli właściwe zdjęcia, załatwię później w ciągu kwadransa.

– Chętnie będę panu pomocny – zapewnił Witterer tonem niemal koleżeńskim. – W każdym razie proszę bardzo, by dziś wieczorem był pan moim gościem na przedstawieniu, które daje grupa przyjezdnych artystów.

Eberwein skwitował to zaproszenie kilkoma serdecznymi słowami. Jego ruchliwa fantazja zaczęła z miejsca działać. W jego mózgu, pracującym stosunkowo szybko i śmiało, formowały się już nagłówki poszczególnych fragmentów: „Ciężka bateria zabezpiecza odwrót”, „Nasze pepance znowu w ruchu”, „Prosto z przedstawienia na pole bitwy”.

Witterer przydzielił Eberweinowi Soefta, polecając mu, by się zaopiekował osobą korespondenta wojennego, poza tym odkomenderował do niego podoficera samochodowego i podoficera do zleceń specjalnych – Krausego. Sam Witterer bardzo zaciekawiony, pozostawał nadal przy boku Eberweina, gotów usunąć z drogi czcigodnemu gościowi każdą ewentualną przeszkodę.

Cieszący się poważaniem korespondent wojenny udał się wraz z gotowym do usług Wittererem jego wozem w poblizkie stanowiska ogniowego. Bombardiera Ko-

walskiego zastąpił bombardier Dammhirsch. Na trzecim kilometrze wjechał tak gwałtownie w rów głębokości jakichś dwóch metrów, że Eberwein miał wrażenie, iż połamał wszystkie kości. Witterer miał na czole ranę długości czterech centymetrów i klął na czym świat stoi. Po tych trzech kilometrach bombardier Dammhirsch przestał być kierowcą swego dowódcy.

Po Dammhirschu kierowcą dowódcy został Trinkler. Miał zwyczaj stale słuwać, zawsze próbować pluć ponad maską silnika; nie udawało mu się to podczas jazdy i ślina trafiała czasem w przednią szybę wozu, czasem zaś w twarz siedzącego na przodzie, a więc i w twarz Witterera. Po pierwszym gwałtownym zwymyśleniu Trinkler pluł już tylko na boki. Ale później, jeszcze tego samego dnia po południu, zabrakło mu nagle benzyny i Witterer z Eberweinem musieli drałować pieszo dwa kilometry. Wieczorem kierowcą dowódcy był znowu Kowalski. Tymczasem sonderführer Eberwein zdemaskował się jako mały tyran. Jak wielu wojskowych, którzy nie byli w pełni żołnierzami, przywiązywał szczególną wagę do tego, by go traktowano jako wielkiego wojaka. Bawił się w wojenkę z szeregowcami trzeciej baterii; tolerowali to jedynie ze względu na obecność i surowy nadzór Witterera.

Zdjęcie pierwsze: Decydujący moment! Kapitan Witterer, dowódca sławnej baterii, stoi wyprostowany z lornetką w rękę, ze wzrokiem utkwionym w stronę wroga, przy jednym z dział. Działo to, czwarte z kolei, zostało pieczołowicie wybrane, stało za wzgórzem i było dla nieprzyjaciela niewidoczne. Podoficer amunicyjny w bezpiecznej dla fotografowanych i fotografującego odległości przygotował niewielki ładunek wybuchowy. Kiedy nastąpił wybuch, Eberwein sfotografował go. Dopiero przy trzecim wybuchu zdjęcie udało się ku wielkiemu zadowoleniu Eberweina. Zdjęcie drugie: Niebezpieczny wypadek. Jakiś ciągnik omal nie wpadł do bocznego rowu. Ale żołnierze zeskoczyli na czas i z odważną brawurą – zbliżenie! – ostatnim wysiłkiem podparli ciągnik: wykrzywione twarze, zsunięte do tyłu hełmy, buty wparte w ziemię. Wszystko to sfotografowano z boku, po tym jak podoficer samochodowy uniósł lewarami drugą stronę ciągnika.

Zdjęcie trzecie: Nacierający czołg rozbity w walce wręcz! Rosyjski kolos stalowy stoi w płomieniach. O kilka metrów od niego, w płytkim leju, żołnierz, który właśnie miał rzucić w kierunku czołgu jeszcze jedną wiązkę granatów. Czołg ten stał już od czterech miesięcy w pobliżu zapasowego stanowiska przodków. Była to zdemontowana zupełnie, stalowa trumna bez gąsienic. Podoficer samochodowy wylał na niego kanister benzyny i podpalił go. Dymił wspaniale. Podoficerem z wiązką granatów ręcznych był nie kto inny jak Soeft, który wspaniale grał swoją rolę.

– Ma pan w swojej baterii tęgich zuchów, panie kapitanie – zapewniał Eberwein z całą szczerością po zrobieniu dwóch tuzinów dobrych zdjęć.

– Tak, niezły materiał – powiedział Witterer.

Eberwein skinął głową. – Przy takim dowódcy to niewielka sztuka.

Witterer zainkasował tę niewybredną pochwałę z całym spokojem. Znał swoją

wartość i jeszcze nigdy w nią nie zwątpił. Zapytywał siebie, co by też powiedzieli jego przyjaciele w ojczyźnie, gdyby tak, co było przecież możliwe, zobaczyli go na pierwszej stronie „Völkischer Beobachter”. Na czele jego baterii. Owianego dymem granatów! Oko w oko z wrogiem.

Stosownie do rozkazu zameldował się bombardier Kowalski. Witterer przyjrzał mu się z niezadowoleniem. Złościło go bardzo, że musiał zatrzymać tego draba, który był niestety świetnym kierowcą.

– Kowalski powiedział. Pojedziecie więc po panie. Ogniomistrz Asch, który zajmie się bagażami zespołu, czeka już na was.

– A kiedy – zapytał Kowalski uprzejmie – mam odsiedzieć?

– Przesuniemy to na później, kiedy znowu będziemy mieli spokój. Możecie być pewni, Kowalski, że te trzy dni nie zostaną wam darowane.

– Wcale też o to nie prosiłem, panie kapitanie – powiedział Kowalski irytująco układnie.

Witterer zastanawiał się przez chwilę nad tym, czy bombardier Kowalski znowu nie użył niesfornego wyrażenia. Doszedł jednak do wniosku, że tym razem ani sformułowanie wypowiedzi, ani jej ton nie świadczą o tym. Niezależnie od tego jego niechęć do nieokrzesanego dryblasa wzrastała. Niemal nienawidził tego draba, który uśmiechał się do niego w podejrzenie uprzejmy sposób. I przysiągł sobie wyszukać przy najbliższej okazji innego, bardziej zdatnego kierowcę.

Wkrótce potem miał Witterer drobny, ale – jak mu się zdawało – niezupełnie pozbawiony znaczenia zatarg z porucznikiem Wedelmannem. Wedelmann, który przed południem rozpoznawał nowe stanowiska, oświadczył mu, że nie ma ochoty pójść na zapowiedziane przedstawienie.

– My oficerowie – powiedział Witterer mało uprzejmie – powinniśmy być zawsze wzorem dla żołnierzy.

– Zapewne, ale niekoniecznie w tej dziedzinie.

– A więc chce pan zepsuć mój rozdzielnik miejsc? – zapytał Witterer. – Umyślnie zwolniłem pana na dziś wieczór od służby na stanowisku ogniowym.

– Przyjmuję to z Wdzięcznością – powiedział Wedelmann. – Wiem już, czym się zajmę.

– Przywiązuję do tego wagę – ciągnął dalej Witterer rozkazującym tonem – żeby pan wziął dziś udział w przedstawieniu. Po przedstawieniu oczekuję pana w mojej kwaterze, gdzie wydaję małe przyjęcie dla artystów.

– Tak jest – odpowiedział Wedelmann z niezadowoleniem i odłożył słuchawkę.

Witterer wiedział dokładnie, dlaczego przywiązuje wagę do obecności Wedelmana. Uśmiechnął się wyniośle. Potem wezwał do siebie szefa baterii i kazał sobie złożyć dokładny meldunek o zarządzonych przygotowaniach.

– A więc punktualnie o ósmej – powiedział Witterer. – Kiedy wszystko będzie gotowe, proszę zameldować obecnych porucznikowi Wedelmannowi, który złoży mi

meldunek.

– Tak jest – powiedział starszy ogniomistrz Bock. Zrozumiał teraz, czego Witterer chce: widowiska. Były dowódca baterii, demonstrując niedwuznacznie przed zebranymi żołnierzami swe drugorzędne stanowisko, ma złożyć meldunek właściwemu dowódcy baterii. Ale to Boćkowi nie odpowiadało.

– A należący do innych oddziałów wojskowych?

– Zostaną również objęci meldunkiem.

– A jeżeli znajdą się wśród nich oficerowie wyżsi stopniem?

– Poprosi się ich, żeby w składaniu meldunku nie brali udziału.

Bock odszedł gniewny. Był bardzo niezadowolony. Nie tylko z Witterera. Przede wszystkim z siebie. Wyrzucał sobie, że zrobił za mało, żeby tego nowicjusza osadzić. Z początku myślał ciągle o „nowych miotłach” i o tym, że dobrze i ochoczo zamiatają, ale nie liczył się z podobną wytrwałością. Ten nowicjusz robi trochę za dużo szumu koło swojej osoby.

Tymczasem Witterer przygotowywał się dalej intensywnie do wieczoru. Kazał przynieść z kuchni polowej ciepłą wodą zamówioną przez Krausego. Ogolił się starannie, umył nogi, poobcinał paznokcie. Wreszcie z walizy numer dwa wyciągnął swój lepszy mundur, świeże skarpetki, nowy garnitur bielizny i włożył to wszystko na siebie. Potem pokropił się wodą kolońską. Badawcze spojrzenie w lustro przekonało go, że jest dobrze zbudowany i postawny. Był pewien, że Liza mu ulegnie!

Kazał następnie przybrać nieco swoją kwaterę. Specjalnie w tym celu sprowadzony przez Krausego żołnierz, który pracował wedle dokładnych wskazówek, przytasczył całą masę nowych koców, porozkładał je na stole, krzesłach i łóżku polowym. – W jednym z kątów urządzony został na podłużnej skrzyni rodzaj bufetu: liczne butelki, dostarczone przez Soefta. szklanki, jedna salaterka ze słodyczami, druga z ciasteczkami. Witterer skosztował wszystkiego po trochu, skinął z zadowoleniem głową i postanowił sobie wyrazić Soeftowi wielkie uznanie.

Zaczął się teraz zastanawiać, gdzie należałoby posadzić Lizę Ebner. I doszedł do wniosku, że oczywiście bezpośrednio obok siebie, na łóżku polowym, które wyglądało teraz prawie jak tapczan. Wyobrażał sobie, że ona już tam siedzi: drobna i wytworna, gibka jak kotka, zawsze rozbawiona. Słodkie stworzenie!

Po dwóch, trzech godzinach, mniej więcej koło północy, goście opróżniają teren. Dzielny Soeft postarał się o kwaterę dla nich. Tylko on pozostanie tu sam na sam z Lizą.

Bardziej jeszcze zadowolony niż przed chwilą, uśmiechnął się do swego odbicia w lustrze.

Wkrótce zjawili się pierwsi widzowie i zaczęli się rozsiadać w szopie przeznaczonej na widowisko. Piechota siedziała zgodnie obok artylerii, tolerowano nawet milcząco służbę sanitarną. Na jakimś przyrządzie podobnym do fortepianu, który „zorganizował” Soeft, jakiś podoficer rzępolił wesołe melodie, które od czasu do czasu

podchwytywane były przez żołnierzy, zwłaszcza wtedy, kiedy można było podłożyć pod nie możliwie najbardziej ordynarny tekst.

Na dworze, tuż przed szopą i na podwórzu, starszy ogniomistrz Bock bawił się w policję regulującą ruch. Był szczęśliwy, że liczba słuchających go jest niemała. Zapowiedziane rozkosze usposabiały go pokojowo.

– Tylko się nie pchać, koledzy! – wołał, choć dokoła nie było widać nikogo, kto by się pchał. – Kto ma bilet wstępu, ten miejsce znajdzie.

Soeft, w radosnym oczekiwaniu na damy, spoglądał na starszego ogniomistrza z rozbawioną miną. Wreszcie powiedział do Krausego, który stał obok: – Szef chyba się już trenuje na pokojowe czasy.

– Jak to? – zapytał Krause.

– Urodzony zapowiadacz na jarmarkach.

– Tylko się nie pchać, koledzy! – wołał Bock jowialnie.

Po jakimś czasie szef musiał wejść do szopy, aby rozstrzygnąć spór, jaki wybuchł między obcymi łącznościowcami a kierowcami z jego baterii, którzy nikogo nie pytając zajęli dwa pierwsze rzędy. Żądali trzy razy więcej miejsc, niż potrzebowali dla siebie. Oczekiwali bowiem przyjaciół z sąsiedniej kompanii warsztatowej, którym chcieli okazać swą wdzięczność.

Bock okazał się wyrozumiałym, udając, że wszystko to stało się za jego zgodą. Byłbym chyba – powiedział sobie – idiotą, gdybym swoich kierowców, z którymi jako dowódca taboru muszę ściśle współpracować, wystawił do wiatru. Zgromadził więc nie podlegających jego rozkazom łącznościowców i kazał im usiąść w dalszych rzędach.

Jeden z nich, rozwścieczony, zawołał: – Wy z trzeciej baterii wyobrażacie sobie zapewne, że macie tu prawo pierwszeństwa, co?

– Nie pyskować! – krzyknął Bock. – Nie jesteśmy w knajpie.

– Ale także nie w freblówce!

Bock, któremu towarzyszyły pełne uznania spojrzenia kierowców, wybiegł znowu na dwór. Zjawił się z niewielką eskortą jakiś major piechoty. Widząc, że major ma na szyi Krzyż Rycerski, Bock zaszalutował, zameldował coś zupełnie ogólnikowego i poprowadził honorowego gościa do pierwszego rzędu.

Wkrótce potem przybyli jeszcze czterej wyżsi oficerowie, wśród nich kapitan wojsk pancernych z psem. Bock zabronił wprowadzić psa. Kapitan oparł się temu energicznie, Bock nie ustępował. Po chwili zjawił się kapitan Witterer, pachnący na trzy metry z daleka wodą kolońską. Dwaj koledzy oficerowie w mig się porozumieli. Psu wolno było wejść.

Grupa artystów przybyła punktualnie. Asch przywiózł małą ciężarówką bagaż i sztukmistrza, który siedział z tyłu opatulony, gdyż jak zwykle trapiła go obawa, że się przeziębą, co byłoby równoznaczne z utratą pracy i zarobków. Uważał, że należy mu się jakiś pojazd godny człowieka, nie zaś wóz służący do transportu bydła. Cier-

piął z żałością nadąsaną miną.

Kowalski transportował damy. Nadęty jak paw, siedział przy kierownicy, którą poruszał niemal subtelnie dwoma palcami lewej ręki. Prawą ręką otoczył oparcie przedniego miejsca, na którym zwykł był siadywać dowódca baterii.

Obok Kowalskiego siedziała teraz Charlotta i uśmiechała się pobłaźliwie. Za nimi wзираły z kożucha kierowcy, skrojonego na miarę olbrzyma, wielkie, zaciekawione oczy Lizy Ebner. Siedząca obok niej tancerka Viola miała minę tak zblazowaną i obojętną, że robiła wrażenie śpiącej.

Kowalskiego i ładunek, który wiózł ze sobą, otoczyła natychmiast chmara zaciekawionych żołnierzy. Wydawało mu się, że pełne podziwu, badawcze spojrzenia, rzucane przez żołnierzy na dziewczyny, skierowane są wyłącznie na niego.

Bock, Soeft i Krause, podoficer samochodowy, dowódca plutonu amunicyjnego, kucharz, podoficer sanitarny i pisarz wszyscy starali się pomóc damom przy wysiadaniu. Nawet Kowalski nie był od tego, by nieść niewielką walizkę Charlotty, co zwróciło ogólną uwagę. W końcu pozostawił Krausemu przyjemność pełnienia roli tragarza.

Witterer utorował sobie przejście, przybrał miły uśmiech i zawołał: – Witam panie serdecznie! – Uścisnął trzy dłonie, najmocniej dłoń Lizy, po czym zapytał: – Może dla rozgrzewki po kieliszeczku?

Charlotta, która objęła bez oporu kierownictwo nad zespołem, ze względu na to, że jedyny mężczyzna w zespole cierpiał stale na kompleks niższości, źle reagował na zmiany pogody i na poniżające jego zdaniem traktowanie, potrząsnęła głową. – Nie – powiedziała. – Naprzód praca, później, być może, przyjemność.

– Zapewne panie – powiedział Witterer szarmancko – zechcą jeszcze coś poprawić w swojej garderobie albo wyglądzie. Służę moim pomieszczeniem.

– Jesteśmy zupełnie gotowe – odparła Charlotta. – Nie potrzebujemy żadnych przygotowań.

– Poza tym – wtrącił ogniomistrz Asch – obok podium jest prowizoryczny pokój, który chyba wystarczy.

– Gdyby panie – oświadczył Soeft rzeczowo – chciały szybko skorzystać z toalety...

Charlotta wybuchnęła głośnym śmiechem. Tancerka Viola zmrużyła oczy i patrzyła na Soefta tak, jak na krasnoludków w książkach z bajkami patrzą małe dziewczynki. Liza zaczerwieniła się nieco i spojrzała na Witterera, który robił wrażenie zagniewanego.

– Z rozkoszą pokażę paniom drogę – zapewnił Soeft.

– Pan, zdaje się, pomyślał naprawdę o wszystkim – powiedziała Charlotta z łagodną ironią.

– Już zaczynamy – przerwał kłopotliwą ciszę ogniomistrz Asch – czy też prowadzimy dalej konwersację?

Poszedł naprzód, panie ruszyły za nim. Orszak zamykał Witterer. Soeft wyprzedził wszystkich, otworzył boczne wejście do szopy, odsunął wiszący za drzwiami koc i wykonał zapraszający gest ręką.

– Po zakończeniu tej wojny – powiedział do niego Asch – powinienes zostać portierem w nocnym lokalu.

– To marzenie mego życia! – powiedział Soeft z błogim uśmiechem. – Najchętniej w Paryżu.

Witterer pożegnał panie słowami „do zobaczenia po przedstawieniu”, raz jeszcze, i jak mu się zdawało, głęboko spojrzął w wielkie, piękne oczy Lizy Ebner, po czym pośpieszył do głównego wejścia i wszedł do szopy. Nikt mu nie złożył meldunku. Wedelmanna jeszcze nie było, a Bock gdzieś się ulotnił. Był to cios w samo żołnierskie serce Witterera.

Jeszcze boleśniej dotknął go widok majora piechoty, któremu na chudej szyi lśnił wyzywająco Krzyż Rycerski. Witterer miał w tej chwili wrażenie, że jest nagi. W dodatku major powiedział jeszcze: – A więc to pan jest tym naszym strzelcem wyborowym? – Zabrzmiało to tak, jak by chciał powiedzieć: „Czy nie lepiej było po prostu strzelać we własne portki?”

W każdym razie Witterer był rad, że przedstawienie się rozpoczęło. Jak tego należało się spodziewać, nastrój w szopie stawał się coraz gorętszy. Witterera drażnił coraz bardziej lśniący na piersi majora krzyż. Korespondent wojenny Eberwein, którego Kowalski, trawestując jego nazwisko, nazwał w gwarze ludowej „świńskimi szczynami” {9}, zrobił kilka swoich sławnych zdjęć migawkowych. Asch zaś z powodzeniem roztaczał tymczasem opiekę nad Lizą Ebner.

Niedwuznaczne przygotowania poczynione przez Witterera w jego kwaterze były, ogniomistrzowi znane. Równie niedwuznaczne spojrzenia, którymi Witterer obrzucał Lizę podczas jej występu na scenie, dawały jasny obraz sytuacji. W oczach ogniomistrza Ascha kapitan Witterer był zbyt marną figurą dla Lizy Ebner, Asch uważał, że szkoda jej dla niego. Postanowił działać w tym duchu.

Stracił dużo cennego czasu na przeciwstawianie się wygórowanym żądaniom sztukmistrza, któremu naprzód było za zimno, potem stwierdził, że w szopie jest złe powietrze, następnie skrytykował montaż reflektorów, wreszcie zażądał, żeby odstęp między sceną a publicznością był większy. Później użalał się na niesprawiedliwość publiczności, która ze względów niedwuznacznie erotycznych woli kobiety i nie umie w najmniejszym stopniu ocenić jego produkcji.

– Tere-fere! – zawołał Kowalski próbując odegrać rolę obrońcy kobiet. – Myślisz może, że zorganizujemy dla ciebie specjalne przedstawienie? Tylko dla pederastów?

– Budzi pan we mnie wstręt! – oburzał się sztukmistrz.

– Na moje szczęście! – powiedział Kowalski i mrugnął okiem w kierunku Charloty.

Kiedy przedstawienie skończyło się wśród ryków entuzjazmu i nie kończącego się

wywoływania przed kurtynę pięknej i nadąsanej Violi, Witterer uznał za stosowne poprosić odznaczonego Krzyżem Rycerskim majora na mały „łyk pojednania” w swojej kwaterze.

– Może to być nawet duży łyk, mój specjalisto od ostrego strzelania! – zawołał major. – Bo kto wie, czy pojutrze będziemy mogli jeszcze wychylić kieliszek.

Witterer dał Krausemu polecenie zaopiekować się pieczołowicie damami i przyprowadzić je, skoro już będą gotowe, do jego kwatery. Potem stanął po lewej stronie majora uśmiechając się do niego po koleżeńsku. Major przyjął to spokojnie i bez sprzeciwu.

– Jedna – powiedział major – ma zad jak koń. A ja lubię konie.

– Ja również chętnie jeżdżę konno – zapewnił Witterer śmiejąc się po męsku. Był rad, że major z piechoty zawtórował temu męskiemu śmiechowi. Ale nie było w tym ani odrobiny wesołości.

– Mój drogi strzelcze wyborowy – powiedział oficer z lśniącem Krzyżem Rycerskim – stara to piechociarska mądrość, że trzeba zawsze szparko brać się do rzeczy, jeżeli się nie chce pozostać w tyle.

– W najbliższym czasie – zapewnił Witterer – będzie dosyć okazji do pokazania, co się ma w lufie.

– Gównu mnie to obchodzi – powiedział major z całą szczerością. – Gdybym ja miał decydować, spędziłbym całą resztę wojny w łóżku.

– To nie sztuka – powiedział Witterer z wielką pewnością siebie. – Przecież zdobył pan już Krzyż Rycerski.

– Ten kawałek blachy? Kosztowało mnie to sześćdziesięciu dwóch żołnierzy, ponadto dostałem strzał w jądra i pozostało mi nieczyste sumienie do końca życia – stwierdził major sucho. – Czy starczy mego parszywego życia, by to wszystko wyrównać?

– Tak, wojna potrafi być bezwzględna – powiedział Witterer usiłując pokryć zakłopotanie.

– Jest bezwzględna powiedział major jest plugawa i parszywa. Jest po prostu zaszra.

Witterer dotarł ze swym dziwacznym gościem do swojej kwatery. Rozejrzał się badawczo dokoła i uznał, jak i przedtem, że wszystko jest w porządku. Kącik, w którym miała siedzieć Liza, obrzucił krótkim, zadowolonym spojrzeniem.

Poprosił majora, żeby usiadł. Ten zrobił to stękając z cicha. Rozejrzał się i lekko zdziwiony powiedział: – Wygląda tu prawie jak w burdelu frontowym.

Witterer uśmiechnął się z zakłopotaniem i zaczął zastanawiać się nad tym, w jaki sposób wyekspediować stąd możliwie prędko tego mało przyjemnego gościa tak, żeby go nie obrazić. Ten człowiek wydawał mu się niedostatecznie wytworny. Nie miał dobrych manier. Swego czasu musiał pójść na wojnę z niezbyt wielkim zapalem.

Zjawił się, wyraźnie zdenerwowany, podoficer do zleceń specjalnych, Krause. Kiedy chciał stanąć na baczność, potknął się o dywan, a raczej o namiastkę dywanu.

– No cóż, damy wkrótce przyjdą?

– Melduję, panie kapitanie, że damy już odjechały. Z ogniomistrzem Aschem.

– Do diabła! zawołał Witterer. Cóż to ma znowu znaczyć?

– A jednak to nie burdel frontowy – powiedział rozmarzony major.

– Natychmiast mój wóz! – rozkazał Witterer.

– Melduję, panie kapitanie, że Kowalski pojechał razem z nimi.

– Niechże się pan nie denerwuje, mój drogi, strzelcze wyborowy – powiedział major. – Może pan spokojnie przekreślić te damy na najbliższe lata. Niech się pan przyzwyczai powoli do tego, że na wojnie zawsze więcej ludzi się zabija, niż płodzi. Żeby pan się nie wiedzieć jak wysiłał.

Ogniomistrz Asch polecił kierowcy małej ciężarówki zwolnić tempo. Dotarli do miasteczka przyfrontowego. Siedzący na swej walizie sztukmistrz, zmęczony, zły, ciągle jeszcze trawiony lękiem, że mógłby się przeziębnić, odetchnął z ulgą.

Z tyłu podążał spokojnie Kowalski ze swymi damami. Nie omijał głębokich lejów, których pełno było na drodze. Wóz piszczał i jęczał. Kowalski był przekonany, że bawi to niesłychanie jadące w nim damy.

– Jesteśmy na miejscu! – zawołał Asch odwracając głowę. – Teraz się zacznie! – powiedział Kowalski.

Asch zeskoczył i zaczął zdejmować bagaż zespołu. Sztukmistrz, choć bardzo niechętnie, pomagał mu przy tym. Kowalski przyglądał się wyczekująco.

– W takim razie będziemy się powoli żegnać – powiedział Asch.

– Jesteś chyba niezupełnie normalny! – zawołał Kowalski szczerze przerażony. – Wcale, ale to wcale nie mam tego dosyć. Poza tym wyrwałem Soeftowi trzy butelki. Już to samo jest wydarzeniem, które powinniśmy uczcić.

Asch unikał wzroku Lizy Ebner, która patrzyła na niego bez przerwy. Potrząsnął głową i powiedział: – Nie chcemy już dłużej być paniom ciężarem.

– I tak umówiłam się jeszcze z kimś – powiedziała Viola, która lubiła zaczynać właściwą pracę dopiero o północy. – Weźcie, dzieci, moje rzeczy na górę. Spieszę się, a więc do jutra!

– Ta musi nieźle zarabiać – zauważył Kowalski i spojrzął za nią ze zdumieniem i specjalnym zainteresowaniem dla jej bioder. – Jak to się kołysze – powiedział z uznaniem. – Musiała być w poprzednim życiu wielbłądem.

– Nie tylko w poprzednim – powiedziała oschle Charlotta. – Ale co się z wami właściwie dzieje, panowie bohaterzy? Chcecie tu zamarznąć czy ulotnić się stąd? A może wstąpicie jeszcze na kieliszeczek?

– Już jestem na górze! – zawołał Kowalski i zaczął zbierać walizki.

– A pan, panie Asch? – zapytała Charlotta drwiąco. – Chce pan czekać na swego przyjaciela tu na dole?

Asch był niezadowolony. Nie wiem dobrze, po co to wszystko.

– Po to, żeby dotrzymać obietnicy powiedziała Liza Ebner. – W jej łagodnym głosie zabrzmiała nutka gniewu.

– Jakiej obietnicy?

– Jeżeli bezpośrednio po przedstawieniu, powiedziano nam, pojedziemy od razu do miasta, to pewien ogniomistrz Asch, powiedziano nam dalej, będzie bardzo szczęśliwy. Wtedy moglibyśmy, powiedziano nam, pogawędzić jeszcze trochę ze sobą i wypić butelkę szampana.

– Kto to powiedział – zapytał Asch szczerze zdumiony.

– Ja – odparł Kowalski – a któż by inny? Czy nie wyraziłem tego, czego i ty chciałeś w głębi duszy?

– Niezależnie od tego – odezwała się Charlotta protekcjonalnie – że nie wierzę, by któryś z was dwóch wiedział, co to jest dusza, przyjechałyśmy tu zaraz po przedstawieniu tylko ze względu na tę obietnicę.

– Tak – powiedziała Liza Ebner zdecydowanym tonem. – Inaczej zostałybyśmy jeszcze u kapitana Witterera. Już teraz żałuję, że nie zostałam. Nie lubię bowiem, kiedy się mnie okłamuje, zwłaszcza pod tym względem.

– Nie czuję się dotknięty – oświadczył Kowalski obładowany walizami. – Zawsze wypowiadam dokładnie to, o czym inni myślą.

Po tych słowach bombardier ruszył z miejsca, a Charlotta, uśmiechając się, poszła za nim, Również Liza Ebner zostawiła Ascha, przycisnęła do piersi gitarę, tak że instrument zadźwięczał, i poszła za Kowalskim i Charlotta. Sztukmistrz ulotnił się już dawno, zapewne za pomocą swej czarodziejskiej sztuki.

Asch stał przez jakiś czas sam na dworze i namyślał się. Potem uderzył dłonią po błotniku swej małej ciężarówki, schylił się, wziął pozostałe walizy, które walały się na zamarzniętej ziemi, i wszedł do budynku szkoły. Nie spotkał na pustych korytarzach nikogo. Za drewnianymi drzwiami rozlegało się niespokojne chrapanie.

Asch pchnął drzwi prowadzące do pokoju Charlotty i Violi. Kowalski klęczał pod piecem i dmuchał w tłący się jeszcze ogień. Charlotta odebrała od ogniomistrza walizy.

– A tę ostatnią – powiedziała uśmiechając się znacząco – proszę oddać w pokoju obok.

Asch, skinąwszy głową uśmiechniętemu Kowalskiemu, wyszedł. Bez pukania wszedł do pokoju Lizy i postawił walizę.

– Ma pani jeszcze jakieś życzenia? – zapytał.

Liza Ebner spojrzała na niego ze zdumieniem. Po chwili zaczęła zachowywać się tak, jak by go w ogóle tu nie było. Powolnymi ruchami rozpięła i zdjęła płaszcz i rzuciła go na łóżko.

– Jak pan myśli – zapytała – dlaczego nie zostałam u kapitana Witterera?

– Bo jest pani rozsądna. O wiele rozsądniejsza, niż myślałem.

Liza Ebner nie odpowiedziała na to. Znowu musnęła go krótkim, badawczym spojrzeniem. Potem opadła na łóżko polowe, podniosła nogi i ściągnęła buciki nie rozsznurowując ich. Pochyliła się naprzód, wzięła parę stojących w kącie pantofli i włożyła je na nogi.

Po chwili rzuciła gwałtownie: – Mam już dosyć tego, żeby być rozsądną!

– Niech pani dobrze śpi – powiedział Asch. – I proszę być zadowoloną, że może pani spać sama. Jutro rano znowu będzie pani miała normalny apetyt na rozsądne życie.

Liza Ebner podniosła się gwałtownie, jak by powzięła nagle jakąś decyzję. Długo mu się teraz przyglądała otwierając szeroko oczy. Nie odrywając od niego wzroku złapała się za pulower, ściągnęła go przez głowę i rzuciła tam, gdzie stała. Włosy miała w podniecającym nieładzie, oczy jej płonęły.

– Co to ma znaczyć, Lizo? – zapytał Asch spokojnie.

– Wolno mi robić, co mi się podoba.

– Przeziębci się pani – powiedział Asch ze smutkiem.

Ciągle jeszcze patrzyła na niego, tylko na niego. Jej mała, sprężysta figurka wyprostowała się. Zobaczył zarysy jej piersi, białe plecy, delikatne, szczupłe ramiona.

Asch zbliżył się do niej, położył jej ręce na ramionach i zmusił ją do położenia się na łóżko. Nie opierała mu się, opadła na łóżko nie spuszczać z niego oczu.

Asch usiadł obok niej. – Lizo – powiedział poważnym tonem. – Należy pani do tych rzadkich dziewcząt, które się kocha. Z wieloma innymi idzie się tylko do łóżka. Ale z panią niejedną zechce być razem przez całe życie. Dotychczas spotkałem tylko dwie kobiety, którym mogłem to powiedzieć i powiedziałem. – Kim jest ta druga kobieta?

Asch uśmiechnął się. Potem mówił dalej: – Niech się pani nie stacza na dno, szkoda pani na to.

– Ależ ja kocham!

– Jeżeli pani sądzi, że kocha pani Witterera, to jest to dowód, że pani nie wie, czym jest miłość.

– Nie Witterera! – zawołała gwałtownie. – Ciebie!

– Lizo!

Rzuciła mu się gwałtownym ruchem na pierś, jak gdyby chciała ukryć na niej głowę. Małe, nerwowe ręce opasały jego ramiona. Włosy jej pachniały odurzająco, oddech miała gorący. Zdawało się, że całe jej ciało ogarnął płomień.

– Ciebie kocham – powiedziała ledwie dosłyszalnie. Herbert Asch wciągał w nozdrza płynący od niej zapach. Nie odrywał rąk od jej nagich pleców. Pochylił ostrożnie głowę, aż jego wargi dotknęły jej włosów. Potem odsunął ją od siebie ze słowami: – Tak, Lizo, być nie może!

Patrzyła na niego bezradnie. – Dlaczego?

– Nie wiesz sama, czego chcesz.

– Wiem! – powiedziała gwałtownie i oczy jej napełniły się łzami, które popłynęły rzeźnię po jej delikatnej, tkliwie namiętej twarzy. – Wiem, czego chcę! Inaczej nie mogę. Jestem taka i taką chcę pozostać. Musisz brać mnie taką, jaką jestem.

– Nie zapominaj, że jestem żonaty. – Czuł, że musi tu bronić się z całej siły, która mu jeszcze pozostała, twardo, brutalnie, jeżeli nie będzie można inaczej.

Wyzwolił się całkowicie z jej objęć. Wstał, cofnął się, oddzielał ich teraz od siebie niewielki stół. Udawał, że na nią patrzy, w rzeczywistości zaś patrzył na ścianę obok jej twarzy.

– Co ty sobie właściwie myślisz, Lizo – powiedział twardo. – Zachowujesz się jak kotka, jak kocica w marcu. Czy nie masz ani odrobiny wstydu?!

Na jej bladej twarzy pojawił się wyraz przerażenia. Przestała płakać, wargi jej tylko drżały i widać było, że mocno zaciska zęby.

– Jak ty ze mną mówisz! – powiedziała łkając jeszcze.

– Tak, jak na to zasługujesz. Ta wojna potrwa jeszcze dwa, trzy lata; kiedy się skończy, będziesz miała lat dwadzieścia trzy. Czy chcesz być wtedy starą kurwą?

– Wyjdz, wyjdz stąd natychmiast.

– Jutro – powiedział Asch – nie będzie cię już tutaj. A ja będę o parę tuzinów kilometrów dalej i o noc bliżej końca tej zaszrannej wojny.

– Nie chcę cię więcej widzieć, nigdy!

– Tak będzie chyba najlepiej – powiedział Asch i z opuszczonymi ramionami poszedł ku drzwiom. Zanim wyszedł, odwrócił się jeszcze i powiedział: – Pilnuj się, żebyś nie weszła na złą drogę. Szkoda by cię było.

Otworzył pośpiesznie drzwi, potykając się wyszedł na korytarz, zamknął za sobą drzwi i stał tam nieruchomo. Potem podniósł rękę i pogładził nią drewnianą ścianę, za którą leżała Liza Ebner.

– Tak być musiało! – powiedział.

Próbując się uśmiechnąć ruszył przed siebie. Podeszedł do tabliczki, na której był napis: *Zajęte przez komendę garnizonu dla dwóch kobiet.*

Zapukał i czekał. Po krótkiej przerwie zapukał powtórnie. Drzwi otworzyły się i ukazał się Kowalski. Był bez bluzy.

– Pojedziesz ze mną? – zapytał Asch. Był całkowicie przekonany, że pyta na próżno. Kowalski nie znał żadnych komplikacji, zwłaszcza w miłości.

Ale bombardier odpowiedział: – Ależ oczywiście, natychmiast. – Po czym ulotnił się i po pięciu minutach zjawił się znów na korytarzu. Był milczący. Powędrowali przez pogrążoną we śnie szopę i zeszli ze schodów na dwór.

Zatrzymali się przed wejściem. Asch spojrzał na szare i ponure niebo, które wisiało przyniatająco nisko. – Nadciąga straszliwa niepogoda – powiedział ogniomistrz. – Będziemy jutro mieli diabelską noc.

Zdawało się, że Kowalski jest również zatopiony w kontemplacji śnieżnego, pełnego wilgoci nieba. Jak gdyby wciągał w siebie wilgotne, chłodne powietrze. Ale po

chwili powiedział w zamyśleniu: – Ta kobieta to wielkie niebezpieczeństwo.

Ogniomistrz, który w mig zrozumiał, że Kowalski mówi o Charlocie, powiedział: – Wcale na to nie wyglądała.

– Ależ tak – zapewniał Kowalski. – Tak! – A potem dodał bardzo niepewnie: – Jeszcze parę dni z nią razem, a stałbym się przyzwoitym człowiekiem. Czy to nie nadzwyczajne?

– Ty i przyzwoity człowiek! Sam chyba w to nie wierzysz.

– Nie wierzyłem w to i ja do dzisiejszego wieczora. Ale byłem w wielkim niebezpieczeństwie.

– Czy się aby nie mylisz? Może masz na myśli tę damę?

– Nie! – Kowalski ujął przyjaciela pod ramię, szczerze zmartwiony. – Słuchaj no, człowieku, chciałem ją, jak to się przecie należy, porządnie wymacać.

– I to ci się nie udało? Czyżbyś stawał się powoli starym niedołęgą?

– Człowieku – powiedział Kowalski i westchnął głęboko. – Sam siebie prawie nie poznaję. Wojna ma mnie na sumieniu. I ta kobieta! Jak ci mówiłem, chciałem ją wymacać. A ona nie była wcale od tego. Kiedy jednak zacząłem się do niej zabierać, zapytała mnie w ostatniej chwili, co myślę o małżeństwie. Tylko jak najlepiej, odpowiedziałem, szczególnie jeśli chodzi o innych.

– Czy dała ci po pysku?

– O wiele gorzej, człowieku, zaczęła się śmiać. Do rozpuku. Pytam teraz sam siebie, czy może śmiała się ze mnie.

– Czy był ktoś jeszcze w pokoju?

– Nie bierzesz mnie poważnie – żalił się Kowalski. – I ona także nie bierze mnie poważnie. Nikt nie bierze mnie poważnie. Powoli zaczynam sam sobie wydawać się błaznem.

– Musiałeś chyba za dużo wypić!

– Tak, tu pewnie tkwi przyczyna – powiedział Kowalski z ulgą. – Tak być musi. Jestem zupełnie wlany. Bo na trzeźwo nigdy by mi się to nie przytrafiło. Nigdy!

– Chodźże już, ty lowelasie. Witterer oczekuje cię z pewnością z utęsknieniem. I mnie także.

– Temu Wittererowi – powiedział Kowalski – wygarbuję jeszcze kiedyś skórę, że aż będzie trzeszczało. Wszystkim Wittererom na świecie.

– Szukasz stałej posady, co?

– Wszystkim Wittererom! – zawołał Kowalski zaczepnie. – Bo to oni są winni, że dziś wieczorem zawiodłem, a na to nie powinienem im pozwolić. Jeszcze zobaczysz, co zrobię z tym zerem.

Noc zalegająca nad ojczyzną wydawała się spokojna i cicha. Wczesna wiosna prze-mykała się wśród sinoczarnych ciemności. Na ulicach miasteczka wojna zgasła wszystkie światła.

Kapral Vierbein siedział naprzeciw Lory Schulz. Teraz był zdecydowany i tutaj

zachować się dzielnie. Wydawało się, że Lora jest skłonna nie wystawiać jego bohaterstwa na zbyt długą próbę.

– Panie Vierbein – powiedziała z wyczekującym wyrazem twarzy, łagodnie oświetlonej przez stojącą lampę – czy w pana pojęciu i ja należę do dywizjonu zapasowego?

– Mam wrażenie, pani Schulz – odparł Vierbein zdziwiony własną odwagą – że pani należy do frontu walczącego.

– Kto wie – powiedziała znacząco. – Może chętnie pozwolę się pokonać.

A później dodała jeszcze bardziej znacząco: – Nie chciałby pan tego wypróbować?

Pułkownik Luschke leżał ubrany na swym łóżku polowym i nie mógł spać. Jego bulwiasta twarz była zlana potem. Złożył ręce na kocu, ale się nie modlił.

Potem odrzucił koce i zwlókł się ze swego łóża. Zbliżył się po omacku do stołu z mapami, ujął rękami lampkę elektryczną zwisającą z sufitu i zapalił ją. Paliła się kiepsko, gdyż prąd z baterii był słaby.

Chude, kawaleryjskie nogi pułkownika tkwiły w długich wełnianych skarpetach. Spodnie do konnej jazdy opadły mu nisko, gdyż kładąc się spać poodpinał szelki. Krzyż Żelazny I klasy lśnił matowo na jego polowej bluzie, fałdującej się mocno na piersi.

Luschke wyglądał jak zmęczony, przepracowany karzeł. Wiedział o tym. Jego chudy korpus wisiał nad mapą, wsparty na łokciach. Przyglądał się cienkim liniom dróg odwrotu, po których jutro w nocy maszerować będą jego baterie. Na twarzy jego malowała się troska.

Sięgnął po meldunki, które późnym wieczorem położono na jego stole: Prawdopodobny ruch oddziałów nieprzyjaciela na tym odcinku frontu; pogoda bez zmian; w rejonie dywizji wykryto radiostację szpiegowską nieprzyjaciela; niewystarczająca ilość środków transportowych w szpitalu polowym; stan dróg bez zmian; kategoriyczny zakaz ruchów własnych oddziałów przed zapadnięciem jutrzejszej nocy.

Wyłączył znowu światło, podszedł do okna, odsunął gwałtownym szarpnięciem zasłonę i wlepił oczy w ciemność. Pojedyncze płatki śniegu sypały się z nieba. Spadały na szybę okna i tajały. – Zanosi się tutaj na grubsze świństwo – mruknął Luschke do siebie.

Soeft zamknął z błogą miną małe oczki i szeroko otworzył usta. Olbrzymi nochal sterczał w stronę sufitu. Soeft ryczał piosenkę o ochocznych dziewczętach, które były tak gorące, że nie potrzebowały nosić na sobie bielizny.

*Tak jak ją stworzył Bóg,
Zbijała żołnierzy z nóg.
Widząc to generał wrzasł:
Dobra, jeszcze raz!*

Razem z Soeftem śpiewali jego przyjaciele należący do ściślejszego kółka, szef i podoficer samochodowy oraz podoficer sanitarny, którego Soeft przy każdej okazji tytułował „bombardierem sanitarnym Neumannem”.

W lokalu snuły się kłęby czarnego dymu. Błat stołu był mokry od porozlewanej wódki. Soeft wymamrotał ciężkim głosem: – Chłanie jest zawsze lepsze od braku kobiet.

– I jeżeli już mają być trupy, to od wódki – oświadczył starszy ogniomistrz.

Soeft skinął głową. – Jutro w nocy wojna znowu się zaczyna. Ale jedno wam powiadam: Wyżywienie jest zawsze ważniejsze od amunicji. A najważniejszy jest Soeft.

– Wytłumacz to Wittererowi.

– Wojna to za mnie załatwi. Nie takim krzykaczom wypolerowała już gęby.

Noc wisząca nad frontem była ciężka i wilgotna. Wydawało się, że na horyzoncie niebo i ziemia zlewają się w jedno. Śnieg, po którym brnął wartownik, był lepki jak rozczyn chlebowy.

Wartownik okrążył działo. Chodził, żeby się rozgrzać. Wsunął ręce głęboko do kieszeni płaszcza. Twarz jego, okolona nastawionym kołnierzem, robiła wrażenie szarej, papkowej masy.

Po jakimś czasie przystanął i zaczął w nocnej ciszy nasłuchiwać. Zdawało się, że noc przystanęła również, żeby posłuchać, jak żołnierz oddycha. W pewnej chwili wydało mu się, że słyszy odległy huk silników.

– Bzdura! – powiedział po chwili. Przytłumiony bowiem huk szedł od strony rosyjskiej, a wartownik był święcie przekonany, że Rosjanie śpią.

Niech sobie śpią!

Stary Asch wyszedł z sypialni Ingrid, minął ostrożnie korytarz i wszedł do saloniku. Siedział tam majster Freitag przy butelce wina i uśmiechał się do niego.

– Śpi – powiedział stary Asch. – Śpi sama.

– Chyba nad tym nie ubolewasz?

– Miałbym dla tego zrozumienie – powiedział stary Asch z namysłem. – Bo ja bym to zrobił.

Mistrz Freitag wypił łyk wina. Potem powiedział: – Wedle słów Vierbeina na niektórych odcinkach frontu panuje spokój prawie taki sam jak tutaj.

– Dlaczego nie? Może myślisz, że chłopaki palą się do strzelania?

– Nikt ich o to nie pyta.

– Ale wojują. Gdyby nie chcieli, nie byłoby tej wojny.

– Czy chcieliśmy pierwszej wojny światowej?

– Oczywiście, że nie.

– Czy wobec tego nie było jej?

Kawiarz Asch przyciął sobie nowe cygaro. Zapaliwszy je, co trwało dosyć długo,

zapytał: – Właściwie dlaczego słuchamy, kiedy ten führer rozkazuje?

– Cecha narodowa, człowieku! U nas rozkazy są święte. I to wszystko. Obojętne, czy wydają je ludzie honoru, czy idioci albo zbrodniarze.

Natasza tuliła się do porucznika Wedelmanna. Jej pełne piersi napierały na niego. Czuł, jak dziewczyna drży.

– Nie odchodź – powiedziała.

Wedelmann wyswobodził się delikatnie z jej objęć.

– Muszę. Jutro będziemy mieli wyczerpujący dzień, a potem przyjdzie noc, podczas której się nie zobaczymy. Ale później znowu będziemy mieli czas dla siebie.

– Nie odchodź! – powtórzyła. Głos jej prosił i równocześnie żądał.

Wedelmann pochylił się ku niej. Usta jego poszukały jej warg. Pocałunek jego był nieśmiały i tkliwy, jak gdyby całował ją po raz pierwszy. – Tak być musi. – powiedział po chwili.

Potrząsnęła gwałtownie głową. – Nie powinieneś mnie opuszczać. Nigdy! Powinieneś zostać przy mnie na zawsze. – I dodała ledwie dosłyszalnie: – Nie chcę być dłużej sama.

– Kocham cię jak nikogo na świecie.

– Jak ja tej wojny nienawidzę! – krzyknęła nagle dziko.

– I ja jej nienawidzę – powtórzył, sam nie wiedząc, co mówi.

Pogładził czule jej drżące ręce i cicho wyszedł. Patrzyła za nim, nie odrywała oczu od zamkniętych drzwi, choć dawno już odszedł. Jak zagubiona spoglądała w ciemność. Potem przyłożyła ręce do twarzy i przycisnęła je do niej mocno.

Wreszcie przejechała dłońmi po włosach i uklękła; wydawało się niemal, że upadła.

Schyliła się głęboko. Namacała skrzynię stojącą pod łóżkiem. Otworzyła ją gwałtownym ruchem, wyciągnęła z niej kilka sztuk ubrania, chustkę, pończochy, zmiętą suknię. Wydobyła spod nich skrzyneczkę i postawiła ją na stole. Był to nadajnik krótkofalowy.

Ryk w pomieszczeniu Soefta, który miał być śpiewem, przybrał znowu na sile. Teraz przyszła kolej na piosenkę o dziewczynie z Hamburga, która za pieniądze robiła wszystko z ochotą. Wyli z pasją:

*Nie złamała mego serca,
Męstwa mego nie zniszczyła,
Obiecałem jej małżeństwo,
Więc też mnie uszczęśliwiła...*

Tak śpiewali, albo podobnie, gdyż oczywiście wybrali wariant Soefta, w którym słowa „męstwo” i „uszczęśliwienie” zastąpione były innymi, o wiele dosadniejszymi

określeniami.

Kiedy tak porykując pławili się jeszcze w ojczyźnianych wspomnieniach, weszli do zadymionej i śmierdzącej wódką jaskini Asch i Kowalski; opróżniając szklanekę po każdej strofocze przyłączyli się ze wszystkich sił do ogólnego chóru.

– Że też jeszcze żyjecie! – powiedział Soeft, kiedy ryk umilkł.

– Ostatecznie umrzeć potrafi każdy – powiedział Asch z całym spokojem i po brzegi napełnił szklanekę rumem.

– A my – zapewnił Kowalski z uśmiechem – postaraliśmy się nawet o potomstwo. Natychmiast rozległy się radosne ryki żądające szczegółów.

Ale szydercze spojrzenie Ascha powstrzymało Kowalskiego od podzielenia się z wesołą kompanią szczegółami miłosnej przygody.

– Moi państwo – powiedział bombardier – jedno jest pewne: gdzie ja się położę, tam już żaden Witterer wylądować nie może.

– Czekaj, czekaj, jeszcze da ci on dobrze w dupę – powiedział z przekonaniem podoficer sanitarny.

Lora Schulz znowu bawiła się rękami Vierbeina, które kochała. Kochała wszystkie ręce, które uważała za piękne. A te, które były dla niej czułe, kochała specjalnie.

– Żyję ciągle bardzo samotnie – powiedziała. – Możesz mi wierzyć.

– Wierzę ci – zapewniał Vierbein. Doszedł do tego, że wierzył we wszystko, co mówiła.

– Czy to jest w ogóle życie! Zamyka się mnie tutaj. Nie wolno mi pójść do kasyna. Mówi mi się, że nie dorosłam do towarzystwa oficerów, a podoficerowie stoją zbyt nisko. Szeregowcy w ogóle nie wchodzą w rachubę. Wszyscy cywile to hołota. Cóż mi więc pozostaje?

– Mam przyjaciela – powiedział Vierbein po namyśle – który jest admirałem.

Lora Schulz uniosła się i spojrzała na niego ze zdumieniem. – Naprawdę?

– Mój przyjaciel admirał jest dla mnie taki dobry, jak dotychczas żaden człowiek noszący mundur. Jeżeli poproszę o coś admirała, zrobi to. Na pewno.

– Cóż ma zrobić?

– Jest teściem dowódcy dywizjonu. Przyjechał tu specjalnie na ślub. Opowiem mu o tobie. Powiem mu, jaka jesteś ładna, dobra i wesoła. Potem go poproszę, żeby zażądał, byś siedziała Obok niego przy stole.

– Chcesz to dla mnie zrobić? – zapytała Lora Schulz podniecona.

– Tak, uczynię to chętnie. Boś na to zasłużyła. – I dodał ledwie dosłyszalnie: – Poza tym użyczam tego z całego serca jemu!

W nocy nadeszła na pocztę małego miasteczka pilna depesza treści następującej: Kapral Vierbein – Przerwać natychmiast urlop. Wracać do swego oddziału. Witterer, kapitan i dowódca baterii.

Kapitan Witterer, potężnie wlany, ciągle jeszcze siedział naprzeciw majora pie-

choty. Wydawało się, że brzuch majora to olbrzymia jama, której nie można zapełnić. Chłał i chłał, i zupełnie to na niego nie działało.

– Sypiam bardzo mało – powiedział major odznaczony Krzyżem Rycerskim.

– Żołnierze nie potrzebują dużo snu odparł Witterer śmiertelnie zmęczony. Siedzący obok Krause skinął ociężale głową.

– Gównu – powiedział major – śpię mało, bo spać nie mogę.

I któż może spać w tym świństwie? Ale kiedyś załamię się i zwariuję; cieszę się już teraz na to.

– Jutro w nocy się zaczyna – powiedział Witterer myśląc ciągle o tym, jak by swego upartego gościa skłonić do wyjścia. – Potrzebne nam będą wszystkie siły.

– Jutro w nocy zwiejemy raz nareszcie na rozkaz – powiedział major. – Jeżeli Rosjanie nie zechcą następować nam na pięty, będzie to spacer.

– Obawia się pan komplikacji, panie majorze? – zapytał Witterer, który się nagle ożywił. Również cień jęgo, Krause, nastawił uszu.

– Cała wojna składa się tylko z komplikacji – powiedział odznaczony major obojętnie.

– W każdym razie dowództwo nasze wie z pewnością dokładnie...

– Gównu – powiedział major i wlał w siebie zawartość pełnej szklanki. – Prowadzić wojnę na mapach to coś zupełnie innego, niż leżeć w błocie. Krew – to nie czerwony ołówek. Tu się umiera, tam się wyciera gumką. Jeden wyrzuje w śnieg przestrelone płuco, inny nadmiar czerwonego wina, którym się uchlał.

– A jeśli Rosjanie naprawdę zaczną następować nam na pięty?

– Wtedy znowu, mój przyjacielu, zabawi się pan w ostre strzelanie.

Bądźże zadowolona – powiedziała Charlotta do Lizy Ebner, siedzącej obok niej na łóżku – żeś tego nie zrobiła.

– To o n nie zrobił.

– Więc napisz mu jutro pocztówkę z podziękowaniem.

– Byłabym mu pokazała, jak go bardzo kocham. Nigdy nie zapomniaby tego.

– Dziecino – powiedziała Charlotta z uśmiechem. – Co to znaczy „nigdy”? Trzy dni? Rok? Do końca wojny? Czasy, które przeżywamy, przyprawiają o chorobę naszą pamięć. Wszyscy na to cierpimy. W Polsce padł mój mąż – czy pozostałam mu wierna?

– Minęły już dwa lata...

– Przeszło zaledwie dziesięć miesięcy, kiedy już spałam z innym.

– Jeżeli go kochałaś...

– Po dwóch dalszych miesiącach spałam znowu z innym. A w następnych dwóch miesiącach z trzema, a może czterema innymi.

– Dlaczego?

– Byłam jak na torze saneczkowym – powiedziała Charlotta szczerze. – Nie mogłam już zahamować. – Spojrzała na swoje rzeczy, które leżały w nieładzie na krze-

śle i na podłodze. – Ale teraz – dodała – nie chcę już.

– A czego chcesz naprawdę, Charlottto?

– Wyjść za mąż – odpowiedziała po prostu. – Chcę nareszcie wiedzieć, gdzie jest moje miejsce. Te łobuzy, które mnie rozbierają oczami, budzą we mnie wstręt. Gdyby wojna miała twarz, naplułabym w nią.

Porucznik Schulz przekomarzał się z narzeczoną swego dowódcy. Dama ta trzymała się jeszcze wcale rzeško, podczas gdy przysły jej małżonek zasnął w swoim fotelu i chrapał melodyjnie.

Schulz produkował się tym, co nazywał wdziękiem.

– Wielce szanowna pani – powiedział przymilnie, rozparty na swym krześle – wielce łaskawa pani, przysły małżonek pani może liczyć na mnie w każdej sytuacji życiowej. Ale to w każdej.

Dama, której, jak się zdaje, spodobała się masywna postać Schulza, odpowiedziała: – Oboje bardzo pana cenimy, panie Schulz.

– Zaszczyt to dla mnie! – zagrzmiał Schulz i był bliski tego, by mrugnąć na nią okiem.

– To mnie cieszy – powiedziała serdecznie.

Ta wymizerowana, wychudzona osoba była blada i jasnowłosa; jej życie wewnętrzne było zapewne również blade i bezbarwne. Ale oczy lśniły radosnym oczekiwaniem. Dla Schulza była damą, przede wszystkim dlatego, że zamierzał ją poślubić jego dowódca; a do dam Schulz miał słabość.

– Śpi – powiedziała, przechyliła głowę nieco na bok w kierunku chrapiącego dowódcy i uśmiechnęła się do Schulza. Podobała jej się jego uprzejmość. Był dla niej częścią, i to wcale ważną, jej przyszłego żołnierskiego małżeństwa.

– Pani pozwoli – powiedział Schulz. Zadzwoił. Zjawił się ordynans. Schulz wydał krótki rozkaz: – Obaj bumelanci do mnie!

Ordynans znikł. Po chwili zjawili się Bartsch i Ruhнау i stanęli na baczność. Trochę się chwiali na nogach, ale byli gotowi do wykonywania poleceń.

– Odtransportujcie pana dowódcę do domu. Z należyłą ostrożnością! I żebyście mi, moje kanareczki, nie robili głupstw. Jutro mamy ostre strzelanie, chcę was widzieć na stanowisku.

„Bracia sjamscy” uśmiechnęli się radośnie, gdyż zrozumieli, o co chodzi.

– Jeżeli łaskawa pani pozwoli – powiedział Schulz próbując zachowywać się jak kawaler – odprowadzę szanowną panią do domu.

Stanąłem przed jej drzwiami

Chcąc byśmy zostali sami.

Zaprosiła mnie na kawę,

Więc wyłożyłem klucz na ławę.

Soeft i jego osobisty zespół śpiewaczy ryczeli tę pieśń ostatkiem sił. Dyrygował, wiosłując ramionami, król zaopatrzenia; robił rozpaczliwe wysiłki, by utrzymać równowagę.

– Bombardier sanitarny Neumann – wybełkotał Kowalski – śpiewa jak pijana świnia!

Podoficer samochodowy, wypełniony po brzegi alkoholem, podniósł się i zatonął; zwał się na ziemię, wstał znowu i ryknął: – To twoja wina, ty specjalisto od trypra, zem się zwał na tyłek! Rozumiesz! Śpiewaj, ty, ty, poszukiwaczu wszy!

– Pocałuj mnie w dupę! – powiedział zmęczonym głosem podoficer sanitarny Neumann.

– Musisz śpiewać! – ryczał podoficer samochodowy.

– Jeżeli mnie nie zostawisz w spokoju – mruknął ze złością podoficer sanitarny zamelduję kapitanowi, że starasz się zawsze ośmieszyć mnie przed żołnierzami.

– Buu! – krzyknął Asch.

– Buu! – krzyknęli wszyscy obecni.

– Mówiąc o żołnierzach ten bałwan myśli o mnie – wyjąkał Kowalski. – On chyba nie wie, że moje miejsce jest przed starszymi oficerami. A w niektórych łózkach nawet przed generalicją.

– Ja ci dam twego kapitana Witterera! – zawołał podoficer samochodowy i po omacku zaczął szukać pasa, który leżał za jego siedzeniem. Wyrwał z futerału rewolwer i skierował go w stronę podoficera sanitarnego. – Łapy do góry, Witterer! – ryknął.

Podoficer sanitarny patrzył na swego antagonistę szklanym wzrokiem. Na jego okrągłej jak księżyc twarzy malował się paniczny strach. Miał z pewnością pełne portki.

– Ognia! – zakomenderował starszy ogniomistrz Bock. Podoficer samochodowy wystrzelił. Sanitariusz skoczył do góry. Podoficer strzelił raz jeszcze. Sanitariusz rzucił się na brudną podłogę. Podoficer oddał jeszcze jeden strzał. Sanitariusz zaczął ryczeć.

– Jestem ranny! – wrzeszczał.

Asch natychmiast podbiegł do niego. Kowalski uśmiechał się pogardliwie. Soeft pochylił się z zainteresowaniem. Starszy ogniomistrz ani o odrobinę nie zmienił swej postawy. Podoficer samochodowy stał jak wrośnięty w ziemię.

– Małe draśnięcie na tyłku – stwierdził Asch rzeczowo.

– Dokładnie tak, jak celowałem – oświadczył podoficer samochodowy. – Ja mu pokażę Witterera!

Teraz i Kowalski podbiegł do ciągle jeszcze biadającego Neumanna. Razem z Aschem położył go na stół i ściągnął mu spodnie z siedzenia. W świetle lampy naftowej tyłek lśnił szarym blaskiem.

– Teraz jodyny – powiedział bombardier z błogim uśmiechem.

Starszy ogniomistrz oświadczył bezwstydnie: – Jutro rano złożę wniosek o odznakę za ranę. W walce z partyzantami!

A ogniomistrz Asch dodał: – To pierwszy na nowej liście strat. Dalszy ciąg wkrótce nastąpi.

Noc zalegająca nad frontem zaczęła się powoli ulatniać. Zdawało się, że niebo i ziemia rozpływają się w sobie.

Padał śnieg. Płatki jego sypały się jak krople wody. Z rzadka, pojedynczo, ledwie widocznie.

Wartownik przy dziale skulił się pod płachtą namiotową. Spoglądał nieruchomo w stronę wroga. Słuchał z napięciem, prawie zamknawszy oczy.

Daleki huk silników zbliżał się coraz bardziej. Były to ciężkie silniki, huczały głucho. Wartownikowi zdawało się, że widzi, jak pojazdy nieprzyjaciela przedzierają się przez błotniste drogi.

Czy to ciężarówki? Ciężkie ciągniki? A może czołgi?

– Głupstwo – powiedział wartownik po chwili. – To nie może być nic wielkiego! – Wiedział, że w nocy każdy szmer rozlega się czterokrotnie głośniejszy niż w dzień. To go znowu uspokoiło. Był teraz tylko zmęczony jak pies, śmiertelnie zmęczony. Dlaczego i Rosjanie nie mieliby być zmęczeni?

Śnieg padał dalej. Bezgłośnie. I zamieniał się w krople wody. Rzadkie, pojedyncze, ledwo dostrzegalne.

Kiedy wojna zaczęła powoli znowu rozprostowywać swe kości, znikł jako pierwszy korespondent wojenny. Sonderführer Eberwein, ciągle jeszcze zwany przez Kowalskiego „świńskimi szczykami”, nie potrzebował wcale bezpośredniej wojny, żeby móc o niej płomiennie pisać. Bezpośrednie przeżycia frontowe pozostawiał kolegom o nadmiernej ambicji i minimalnej fantazji. Był zadowolony, że tym razem połów mu się udał.

Drugim, który zawczasu podał tył, był Soeft. Tylko że ten nosił się z myślą powrotu. Pozwolił sobie jedynie na luksus wyprzedzenia o dwanaście godzin ogólnej, maskowanej za pomocą różnych kruczków i przygotowywanej w tajemnicy zmiany stanowisk całego odcinka frontu. Przed zapadnięciem ciemności ruch oddziałów był wzbroniony, ale Soeft zaczął przesuwając swe mienie już po południu.

Rzecz zrozumiała, że nikogo nie prosił o pozwolenie. Naprzód załadował na swe go nowego ośmiotonowego henschla wszystkie delikatesy, spirytualia, tytoń, cygara i papierosy. Korzystając z pomyślnej okazji wysłał do kraju przedostatnim pociągiem towarowym trzy skrzynie pod zamaskowanym adresem – jako uzupełnienie swego składu prywatnego.

– Jeżeli chcesz wysłać trzy skrzynie – powiedział starszy ogniomistrz, zauszniak i pomocnik komendanta dworca – musisz dostarczyć pięć skrzyń; czterdzieści procent dla ojczulka, taka jest nowa taksa.

– Powoli przeradza się to u was w lichwę – powiedział Soeft z wyrzutem.

– Jeżeli nie chcesz – odparł nieubłagany funkcjonariusz kolejowy – to nie. Zwolnij w takim razie rampę załadowniczą, żeby inni też mogli coś wysłać.

Soeft patrzył z rosnącą niechęcią na stos skrzyń, worków i kufrów, piętrzący się na peronie dworca towarowego. Żołnierze oddziału załadowniczego siedzieli beczynnie, czekając na przedostatni pociąg. Komendant dworca spacerował po swoim terenie jak kogut po śmietniku.

– Jedna skrzynia za trzy, jak zwykle – powiedział wreszcie Soeft – ale do tego paczka z delikatesami zupełnie prywatnie dla ciebie.

– Z kawiolem? – zapytał rzeczowo starszy ognomistrz.

– Z dwoma funtami kawioru – zapewnił Soeft.

– No dobrze – starszy ognomistrz udawał, że cierpi wskutek tej decyzji – nie będę już taki srogi. Ostatecznie człowiek robi, co może. A w związku z naszą starą przyjaźnią, Soeft...

– Możesz spokojnie zamknąć swój słodki pysk, ty łobuzie – powiedział Soeft koleżeńskim tonem. – Między nami dziewczycami, to zupełnie zbyteczne.

Po załatwieniu tej transakcji Soeft wyruszył swym specjalnym wozem od dostaw oraz z henschlem i fordem w pierwszą turę swojej wyprawy na tyły. Protesty starszego ognomistrza Bocka, który obawiał się dzikich komplikacji, pozostały bez echa. – Przecież tego zrobić nie możesz, Soeft! – zaklinał go szef.

– Właśnie że mogę – odpowiedział Soeft; przekręcił specjalny klucz w kłódce od łańcucha zamykającego tylną ścianę ciężarówki i schował go do kieszeni, uśmiechając się przy tym z zadowoleniem. Był człowiekiem pełnym zawsze czujnej nieufności. Wolał asekurować się trzy razy za dużo niż raz za mało. Przecież było możliwe, że jeszcze inne Soefty grasują po okolicy jak tygrysy.

– Wiesz przecież dokładnie – powiedział starszy ognomistrz błagalnie, a zarazem kategorycznie – że zgodnie z rozkazem tabor baterii nie ma prawa ruszyć się z miejsca przed godziną dwudziestą drugą. A działa najwcześniej o północy. Przecież jest ci to wiadome, Soeft.

– Wiadomo mi tylko, że dosyć prędko robisz w spodnie.

– Każdego niepotrzebnego ruchu należy bezwarunkowo unikać, Soeft.

– Ruch moich samochodów jest potrzebny, a nawet niezbędny.

– Należy liczyć się z tym – upierał się starszy ognomistrz i zacytował słowa z rozkazu dywizji – że nieprzyjaciel obserwuje każde nasze poruszenie.

Soeft kiwnął głową i wsiadł do swego wozu specjalnego.

– I właśnie dlatego – powiedział – wyruszam teraz. Bo jeżeli naprawdę wróg obserwuje nasze ruchy, w co nie wierzę, bo te draby ze sztabu opowiadają dla zabicia czasu niestworzone rzeczy, to wie, że twój gorliwy Soeft codziennie rozjeżdża po okolicy tylko po to, żeby mógł napchać twój kałdun. Jeżeli zaś dziś nie wyjadę w drogę, człowieku, nieprzyjaciel poweźmie podejrzenie i powie sobie: coś w tym

tkwi. Zrozumiano?

– Rób więc sobie, co chcesz – zawołał szef zły i zrezygnowany. – Na twoją odpowiedzialność. W każdym razie ja nie wiem o niczym.

– Uwierzą ci na słowo – odparł Soeft i dał znak do odjazdu.

W godzinę później zatelefonował pułkownik Luschke. Opieprzył starszego ogniomistrza Bocka za Soefta i zażądał do telefonu Witterera. Mimo wysiłków Bocka nie można go było na razie znaleźć.

– Niech do mnie natychmiast zatelefonuje. Nie zapomnijcie, starszy ogniomistrzu, powiedziałem: n a t y c h m i a s t.

Bock zapewnił, że doskonale rozumiał. Drżąc lekko, odłożył słuchawkę i wypowiedział pod adresem Soefta mnóstwo potwornych epitetów. Potem wziął do galopu wszystkich swoich podwładnych, polecając równocześnie szukać Witterera telefonicznie aż do skutku, choćby dym miał pójść z kabli.

Kapitan Witterer, razem ze swym nieodłącznym, jak zwykle, cieniem Krausem – żołnierze przezwali go przydupnikiem – był święcie przekonany, że nareszcie zbliża się jego wielka godzina. Od czasu kiedy nosił mundur, a właściwie już lata całe przedtem, marzył o przeżyciu frontowym; teraz stał bezpośrednio przed nim. Niemal z entuzjazmem nadzorował przygotowania do zmiany stanowisk.

Urządził dla plutonu amunicyjnego ćwiczenia załadownicze, tak męczące, że żołnierze powywieszali ozory. Zmusił kucharza, by gotował na przygotowanej do drogi ciężarówce. Włąził nawet do pomieszczeń żołnierzy i przeglądał wyposażenie – to znaczy kazał je rozpakowywać. Sortował i segregował rzeczy na, zdaniem jego, potrzebne lub zbędne. I wydał rozkaz, zanotowany skrzętnie przez Krausego, aby nie transportować rzeczy uznanych za niepotrzebne.

Doprowadził żołnierzy do zupełnego ośpienia.

Potem kapitan przeprowadził ćwiczenia z plutonem karabinów maszynowych, trwające pełną godzinę. Był bliski rozpacz, gdyż im dłużej trwały te ćwiczenia, tym żołnierze stawali się powolniejsi. Głos jego brzmiał coraz ostrzej.

– Krause, zapisać! – zawołał wreszcie. – Zapisać wszystkich. Będziemy to ćwiczyli na nowym stanowisku. Choćby wióry miały z was lecieć!

Krause zapisał. Kapitan, pełen animuszu, zgiął nieco kolana i zaczął się kiwać. Żołnierze stali na baczność i gapili się na swego dowódcę. Jedyne kapral spoglądał w niebo.

– Ja tutaj jestem, człowieku! – krzyknął Witterer.

– Śnieg pada – powiedział spokojnie kapral.

Padał śnieg. Spadające na ziemię płaty były duże, ciężkie, nasiąkłe wodą. Leciały bezdźwięcznie, na razie jeszcze w wielkich odstępach.

– Istotnie pada śnieg – stwierdził również Krause.

– Widzę to! – zawołał Witterer. – Zwracanie mi na to uwagi jest zbędne. I cóż z tego, że pada. A gdyby nawet spadały z nieba całe cetnary śniegu, cóż to może zmie-

nić? Choćbyśmy musieli brodzić w błocie po kołnierz, dokonamy zmiany stanowisk.

– Tak jest, panie kapitanie – przytaknął spiesznie Krause, ale zbyt lekko mu na duszy nie było.

– Jeżeli któryś z was, dryblaszy, zawiedzie – zawołał Witterer do obsługi – wyrwę mu nogi z tyłka! I to osobiście.

Solidnym galopem, zdyszany, nadbiegł żołnierz z meldunkiem. Oddychał ciężko, choć się zbytnio nie nadwreżył. Jego sapanie było sprytną gierką.

– Pan kapitan ma zatelefonować do pułkownika Luschke, i to natychmiast.

– Chcieliście powiedzieć – poprawił go Witterer surowo – że pan pułkownik Luschke prosił mnie, żebym się z nim skomunikował telefonicznie, i to bezzwłocznie.

– Tak jest – odrzekł żołnierz – to miałem na myśli. Kapitan Witterer obrzucił jeszcze raz druzgocącym spojrzeniem pluton karabinów maszynowych, spojrzął z zadowoleniem na piętrzącą się na stanowisku ogniowym amunicję, po czym eskortowany przez przydupnika, udał się do najbliższej stacji telefonicznej.

Stacja telefoniczna należała do obserwatorów jego baterii i znajdowała się w niewielkiej szopie na siano, z której żołnierze za pomocą desek, gliny i koców, zrobili jakieś takie pomieszczenie. Była to nora bez okna, wypełniona ludzkimi ciałami i przedmiotami wyposażenia.

Witterer zawołał do żołnierzy, którzy niewiele sobie robili z jego obecności: – Wyjść na świeże powietrze! Chcę telefonować.

– No jazda, wychodzić! – odezwał się Krause. – Ale szybko. Świeże powietrze dobrze wam zrobi.

– Wy także wyjdźcie, Krause – zarządził Witterer. Żołnierze wyleźli z nory pomrukując. Krause podążył za nimi jak pies owczarek za trzodą. Ujadał przy tym jak szpic, ale żaden z żołnierzy nie zwracał na to uwagi.

Usunąwszy przezornie wszystkich słuchaczy kapitan kazał się połączyć z pułkownikiem. Luschke zgłosił się po dwóch minutach. Głos jego miał jak zwykle brzmienie łagodne i mrukliwe.

– Tu kapitan Witterer. Miałem do pana pułkownika zadzwonić.

Luschke chrząknął, potem powiedział łagodnie: – Jak pan myśli, panie kapitanie, po co wydawane są rozkazy?

– Żeby je wykonywać, panie pułkowniku – odparł Witterer bez zająknięcia.

– Jak pan znowu pięknie powiedział, panie kapitanie mruknął pułkownik łagodnie.

– Powinien pan, i to jak najprędzej, zakomunikować to swoim żołnierzom.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Szacowny pogląd pański, panie kapitanie, nie jest jeszcze, jak się zdaje, dostatecznie znany, w pańskiej baterii. Czy wiadomo panu, gdzie się właściwie obja poczciwy Soeft?

– Przypuszczalnie w rejonie taboru, panie pułkowniku.

– Tak pan przypuszcza, panie kapitanie? Wolałbym, gdyby pan to w i e d z i a ł.

Bo wtedy wiedziałyby pan, co pański Soeft teraz urządza, wiedziałyby pan również, panie kapitanie, że pańska bateria gówno sobie robi z pańskich rozkazów. Otóż Soeft wywozi już w tej chwili żywność do tyłu, i to za pomocą tylu wozów, jak gdyby miał do zaopatrzenia trzech generałów.

– Natychmiast, panie pułkowniku... Jeżeli tak jest, panie pułkowniku, zamknę tego ptaszka.

– Jeżeli tak jest? Pan powątpiewa w moje dane, panie kapitanie? Nie? Jak to uprzejmie z pana strony. Chce go pan zamknąć? Mój drogi, niech się pan łaskawie troszczy o porządek w zasięgu swej władzy, ale nie zaraz za pomocą ostrej amunicji.

Słyszał pan już coś kiedyś o zaufaniu? O współpracy? Słyszał pan! No widzi pan. Ale co to jest, tego pan dokładnie nie wie, co?

– Tak jest, panie pułkowniku.

– No pięknie. Byłoby jeszcze piękniej, gdyby pan to nie tylko wiedział, ale również odpowiednio się zachowywał. Niech pan zapyta Wedelmanna. Niech się pan dowie u ogniomistrza Ascha. Niech pan spokojnie zasięgnie rady żołnierzy. Wszyscy oni nie taki już smród wachali. I wiem przypadkowo, że nawet taki Soeft nie ulatniał się nigdy dawniej bez uprzedniego uzgodnienia ze swoim dowódcą. To powinno dać panu do myślenia.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Panie kapitanie Witterer – powiedział teraz pułkownik niebezpiecznie cicho – jeżeli zaświni mi pan trzecią baterię, niech pana ręka boska broni, oczywiście jeżeli Bóg ma jeszcze coś z tymi Niemcami wspólnego. Ma pan tam mnóstwo znakomych żołnierzy, powinien pan prowadzić wojnę razem z nimi, a nie przeciw nim. Gdyby wybuchły jakieś tarcia, Witterer, i gdyby się okazało, że to pan je rozpętał, wtedy, człowieku, pozna pan oblicze Bulwy, i to do ostatniej zmarszczki.

Tymi słowami pułkownik zakończył rozmowę telefoniczną. Witterer trzymał jeszcze słuchawkę przez kilka sekund i patrzył nieruchomo na ponurą jamę. Był dotknięty i nawet mocno wstrząśnięty, ale jeszcze nie unieszkodliwiony.

Kapitan Witterer przerwał swoje występy gościnne w pododdziałach przewidzianych do walki i wrócił do swej kwatery. Tutaj zrobił bilans. Pomagał mu przy tym kapral Krause, na ogół z chytrą ostrożnością, ale również, gdy go Witterer niedwuznacznie zachęcał, z żywą aprobatą. Rozmowa telefoniczna Bulwy falowała jeszcze gwałtownie w umyśle Witterera.

– Jestem tu dowódcą – powiedział. – I wymagam zaufania.

– To przecież samo przez się zrozumiałe – powiedział Krause usiłując okazać mu swe zaufanie.

– Przede wszystkim konieczna jest współpraca.

– Tak jest, panie kapitanie – rzekł Krause, już gotów do tej współpracy.

– Mam nadzieję, że pod każdym względem mogę się zdać na was.

Krause spojrział na swego dowódcę z oddaniem; zdawało się, że jest ono szczere.

Było to jakby wyznanie wiary bez słów. Witterer skinął aprobowująco głową. Potem dodał: – Poza tym mam nadzieję, Krause, że orientujecie się w tym, iż przewidziane jest dla was stanowisko szczególnie poufne.

– Ależ rzecz oczywista, panie kapitanie – zapewnił Krause niemal uroczyście.

– No dobrze, zobaczymy – powiedział Witterer.

Potem zaczął chodzić po izbie, by wreszcie zapanować nad niepokojem, który go ogarnął po telefonicznej rozmowie z pułkownikiem Luschke. Zaciśnięte w pięści ręce założył do tyłu, wysunął podbródek, przymknął nieco oczy.

Nagle przystanął, otworzywszy szeroko oczy spojrzął na Krausego i zapytał: – Czy znacie właściwie pułkownika Luschke bliżej? Co to za człowiek?

Krause zrozumiał wielkość chwili. Pytanie to było dowodem zaufania. Na wezwanie kapitana wolno mu było wyrazić sąd o pułkowniku. Teraz, dopiero teraz, stał się naprawdę prawą ręką Witterera, jego doradcą i zausznikiem.

– Nie ma tu chyba nikogo – zaczął Krause z wskazaną w tej sprawie ostrożnością – kto by pułkownika Luschke znał bliżej.

– Porucznik Wedelmann także nie?

– Trudno to przypuszczać, panie kapitanie. Wydaje się jednakże niewątpliwe, że pan pułkownik wyjątkowo ceni naszego byłego dowódcę porucznika Wedelmanna.

– Jako człowieka?

– Chyba bardziej jako dowódcę baterii – z powodu jego czynów. Sukcesy baterii były tu decydujące.

– Aha! – powiedział Witterer, który w najmniejszym stopniu nie krępował się omawiać tego rodzaju spraw z Krausem. Ale tu, czuł to dokładnie, zbliżał się do sedna zagadnienia.

Ruchy Witterera stały się jeszcze szybsze. Potem zamarły całkowicie. Nagle wydało mu się, że wreszcie zrozumiał, o co tu gra idzie. Powiedział sobie: Witterer, jesteś człowiekiem, który przeżył już niejedną burzę i kilku generałów jako bezpośrednich przełożonych. Poradziłeś sobie z najcięższymi strategami biurowymi, więc chyba poradzisz sobie i z Luschkem, chociaż nie od razu, lecz krok za krokiem.

– Pułkownik – powiedział po chwili Witterer raczej do siebie – przywiązuje ogromną wagę do współpracy i zaufania. To wprawdzie zawracanie głowy, ale niechże je ma.

– Imponuje mu odwaga – powiedział Krause z całym spokojem i ledwie dosłyszalnie.

– Dostanie i to! W niemałej ilości.

Krause powiedział teraz ze spokojem, przeczuwając jednak, że słowa jego będą chyba największą przynętą, jaką można było rzucić Wittererowi. – Ale pan pułkownik nie ma jeszcze jednego: Krzyża Rycerskiego.

– Człowieku! – zawołał Witterer zdumiony i równocześnie zadowolony. I dodał z przekonaniem: – Tak właśnie jest. Oto sedno sprawy.

– Pan pułkownik – powiedział Krause udając skromność i trzymając się przezornie na drugim planie – był już późną jesienią ubiegłego roku przedstawiony do odznaczenia Krzyżem Rycerskim. Ale na liście figurował przed nim dowódca dywizji.

Witterer kiwnął głową; nie było to potaknięciem Krausemu, lecz samemu sobie. I pomyślał: A więc stąd wiatr wieje! Stary pan, zdaje się, wmówił sobie, że taki Krzyż Rycerski przypadnie mu w udziale niemal z całą pewnością tylko wtedy, jeśli wy-czyny bojowe jego pułku, a zwłaszcza trzeciej baterii, utrzymają się na dotychczasowym poziomie. Dopóki dowódcą był tu Wedelmann, wyglądało na to, że jest to w przyszłości gwarantowane.

A więc tak to wygląda – powiedział sobie Witterer z uczuciem bezgranicznej ulgi – Luschke trzęsie się o swój Krzyż Rycerski! I nie wierzy, że ja, Witterer, potrafię przynajmniej tyle, co Wedelmann. I tu właśnie pułkownik się pomylił. Trzeba, żeby sobie to wyraźnie uświadomił. Niech ma ten swój Krzyż Rycerski! Nawet z dębowymi liśćmi! Mnie na razie wystarczy Krzyż Żelazny I klasy albo Złoty Krzyż Niemiecki. A więc dlatego: współpraca, zaufanie! Niech ma! Niech ma to wszystko! Witterer uśmiechnął się z uczuciem ulgi. Powoli wracała jego bezgraniczna pewność siebie. Rozkazał: – Poproście tu porucznika Wedelmanna. Może przyjdź również ogniomistrz Asch.

– Tak jest – odpowiedział Krause. – Jeżeli pan kapitan uważa...

– Przedtem – zarządził Witterer – postarajcie się o połączenie mnie z hotelem komendy miasteczka przyfrontowego i spróbujcie połączyć mnie z panną Ebner.

– Tak jest, panie kapitanie.

Kiedy Krause zabrał się z zapalem i nie bez zręczności do telefonowania, Witterer rozłożył swoją mapę i przyglądał się nakreślonym znakom; stanowisko dotychczasowe, stanowisko nowe, droga marszu. Znowu zaczynał się cieszyć na przeżycia wojenne, znowu odzyskiwał radość niemało zmaconą przez telefoniczną wciurę Luschkego.

Zadzwoił gwałtownie telefon. Uzyskano żądane połączenie telefoniczne z Lizą Ebner. Żądny przeżyć bohater zmienił się w mgnieniu oka w szarmanckiego kawalera.

– Szczerze ubolewam – powiedział – że nie została pani wczoraj wieczorem.

– Ja także żałuję – odparła Liza Ebner.

– Czy przynajmniej ogniomistrz Asch spełnił miły obowiązek towarzyszenia pani?

– Wyrzuciłam go!

– Naprawdę?

– I to z trzaskiem!

– Brawo! – zawołał Witterer z zadowoleniem.

– Nie uważam tego za taki radosny fakt, panie kapitanie.

– Ma pani rację – przytaknął Witterer z zapalem. – W każdym razie spędziłaby

pani u nas z pewnością miłszy wieczór.

– To nie ulega wątpliwości. Właściwie szkoda, że nie można tego dziś nadrobić. Pakujemy się już.

– Czy mogę wpaść po południu na chwilę? Przed zapadnięciem zmroku i tak pani nie odjedzie.

– Bardzo bym się cieszyła – powiedziała Liza nieco sztywno.

– I ja się cieszę – Witterer uśmiechnął się z taką serdecznością, jak gdyby Liza stała bezpośrednio przed nim. Rozmowa ta jeszcze bardziej go ożywiła. Podniecało go to, że znowu jest doceniany, i to w dodatku przez pożądaną kobietę, która umie ocenić męskość. Po odłożeniu słuchawki był nareszcie całkowicie zachwycony swoją osobą.

Przyjął Wedelmanna i Ascha w pozycji stojącej, zrobił w ich kierunku dwa kroki, podał im rękę, co porucznika lekko ubawiło, a u ogniomistrza wywołało wielką nieufność. Krause cofnął się i zajął miejsce w pobliżu pieca. Nasłuchiwał stamtąd uważnie. Zdawało się, że obecność jego nie została w ogóle zauważona.

– Moi panowie – powiedział Witterer z rzeczową uprzejmością – poprosiłem panów, gdyż mam z wami jeszcze do omówienia parę spraw natury ogólnej. Siadajcież!

Wedelmann i Asch usiedli. Witterer stał w dalszym ciągu i uśmiechał się do nich. – A więc, moi panowie, przygotowania do zmiany stanowisk są, można by rzec, zakończone. Ponieważ obaj nie macie już żadnych funkcji ogólnych, pozwoliłem sobie przydzielić wam funkcje specjalne.

– Co pan kapitan przez to rozumie? – zapytał Wedelmann.

– Sprawa jest bardzo prosta: ponieważ obaj nie dowodzicie, będziecie kontrolowali.

– Czyżbyśmy tu byli na kolei państwowej? – zapytał ogniomistrz Asch. Pytanie to skierował niedwuznacznie do swego porucznika. Wedelmann wzruszył ramionami.

Witterer był zdecydowany nie słyszeć tych słów; zapewniał sam siebie, że to chyba ostatnia bezczelna uwaga tego Ascha, którą puszcza mimo uszu. Powiedział: – Zadanie wasze polega między innymi na tym, żeby mnie jako dowódcy baterii udzielać poparcia. Pan, panie poruczniku, uda się z nastaniem zmroku w rejon taboru, aby tam dopilnować przybycia baterii. Wy, ogniomistrzu Asch, weźmiecie motocykl i będziecie towarzyszyć wszystkim członom baterii najprzód na stanowisko przodków, a potem na stanowiska ogniowe.

– Zapewne jako coś w rodzaju brytana.

– Tak, ogniomistrzu, coś w tym rodzaju. Jeżeli podczas marszu wydarzy się wypadek, obojętnie jakiego rodzaju, będziecie musieli zająć się doprowadzeniem sprawy do porządku. A może nie czujecie się do tego dostatecznie silni?

– Sił mam dosyć – odparł Asch beztrąsko – ale za mało tępoty. Przecież to, co mi pan kapitan przeznacza, należy do elementarnych zadań każdego dowódcy kolumny,

a oprócz tego do zadań podoficera samochodowego.

– A co wtedy, jeżeli zajdą okoliczności nieprzewidziane, ogniomistrz Asch? – powiedział kapitan Witterer z wyższością.

– Od kiedy to – zapytał Asch zwracając się znowu do Wedelmanna – istnieją ogniomistrze od okoliczności nieprzewidzianych?

– Sprawa jest przecież jasna, Asch – powiedział porucznik Wedelmann nie ukrywając już swego niezadowolenia. – Ciągłe jeszcze tego nie widzicie?

– Czasami ciężko mi coś zrozumieć. I myślę zawsze, że więcej jest takich głupców jak ja.

– Moi panowie – powiedział Witterer, raz jeszcze zdobywając się na to, żeby słów Ascha nie dosłyszeć. – Przywiązuję szczególną wagę do dwóch rzeczy: do zaufania i współpracy.

– Słowa te wydają mi się jakieś znajome – mruknął Asch.

– I do tego apeluję raz jeszcze. Zaufanie i współpraca! A potem jeszcze dyscyplina i odwaga. Bo, moi panowie – tu Witterer uderzył w ton niemal konfidencjonalny – chcę nareszcie widzieć baterię w działaniu. Muszą teraz przejawić się cechy prawdziwie żołnierskie. Oczekuję, że dacie panowie dobry przykład.

– Czy jeszcze coś? – zapytał Wedelmann podnosząc się z miejsca.

– Oficjalnie nic więcej, nieoficjalnie mam jeszcze coś, i to pod waszym adresem, ogniomistrz.

– A mianowicie? – zapytał Asch z zaciekawieniem, nie wstając z krzesła.

– Wasze cechy ludzkie – zaczął Witterer nieco pogardliwie – niezbyt mnie interesują. Zorganizowaliście przyzwoicie przedstawienie i za to udzielam wam pochwały. Nad tym, że niezbyt po ludzku i niezbyt budująco zachowaliście się wczoraj, jak mi to telefonicznie zakomunikowała panna Ebner, ubolewam, ale nie biorę wam tego za złe. Ale wolno mi chyba oczekiwać, że przynajmniej w nadchodzących godzinach i dniach przejawicie te wasze zalety żołnierskie, o których tyle się mówi. Czy zostałem zrozumiany?

– Całkowicie – powiedział Asch i podniósł się wolno.

– O dyscyplinie – zakończył Witterer dość ostro – pomówimy obaj obszernie kiedyś później.

– Chętnie – mruknął Asch ponuro, zanim wyszedł z Wedelmannem.

– A my dwaj – powiedział po chwili do Krausego Witterer, który uważał, że odniósł właśnie wielkie zwycięstwo – pošlemy teraz Iwanowi na pożegnanie taką porcję, że długo ją będzie wspominać.

Kapitan kazał Kowalskiemu, by go razem z Krausem zawiózł na stanowiska ogniowe, zaalarmował obsługi dwóch dział, wskazał im po upływie kilku minut cele i wydał rozkaz: – Ognia!

Siła wystrzałów odrzuciła lufy, pociski wystrzelone w stronę wroga wybuchnęły na przeciwległym wzgórzu pośród szeregu domów. Ukazały się płomienie, potem

popłynął ku niebu słup gęstego czarnego dymu.

– Dalej, dalej tak! – wołał żądny walki Witterer ze swej dziury.

A do Krausego, który kucnął przy nim, powiedział: – Teraz nam nareszcie wolno. Teraz już o to nie chodzi. Teraz Iwan może spokojnie podciągnąć swą artylerię. Zanim tu nadjedzie, będziemy dawno za górami i lasami.

Nagle rzygnęły na nich ciężkie pociski. Jęczały głucho i groźnie. Witterer znikł cały w swoim leju.

Wokół niego w kilku miejscach naraz ziemia wylatywała w górę. Powietrze przecinał ostry gwizd.

– Mają artylerię! – zawołał bezgranicznie zdumiony Krause. Przy drugim dziale krzyknął jakiś żołnierz. Inny, zaledwie o kilka metrów od Witterera, stał nieruchomo. Z szyi jego tryskała fontanna krwi, prawdopodobnie został trafiony w tętnicę.

– Kryj się, kryj! – ryczał Witterer.

– Sanitariusz! – wrzeszczał przeciągle jakiś ranny; głos jego przypominał ryk syreny.

– Przeklęte świństwo! – krzyknął Witterer opanowując się nieco. – Co to takiego było? Rozkaz dla obserwatorów: wyśledzić nieprzyjacielską baterię. Potem roznieśmy cały kram tym świntuchom.

Przeniesiono rannego w płachcie namiotowej. Drugi pełzył tu szybkimi ruchami i wył jak zwierzę. Działonowy przyskoczył do niego i próbował go pochwycić.

– Niechże ten chłop weźmie się w kupę – powiedział Witterer twardo. Słowa jego nietrudno było usłyszeć, ponieważ działa przeciwnika milczały głucho, tak jak by ich w ogóle nie było.

– Zapewne odłamek w głowę – stwierdził działonowy trzymając mocno szalejącego z bólu rannego.

Witterer wylazł z leja i podreptał w tył. Krause dreptał za nim.

– Chciałbym tylko wiedzieć – powiedział Witterer dotarwszy do swego samochodu – skąd nagle Iwan wziął działa? Coś tu nie jest w porządku.

– A dlaczegóż nie miałyby ich mieć? – zapytał Kowalski i zapuścił silnik. – Jeszcze pan zobaczy, jak z nich umie strzelać. To tutaj był tylko początek.

Zapowiedziane przez porucznika Schulza, zastępującego dowódcę dywizjonu zapasowego, na dziewiątą rano ostre strzelanie wraz z równoczesnym wypróbowaniem radiostacji nie zaczęło się nawet o jedenastej.

Od siódmej działa były na stanowiskach. O ósmej zameldowano gotowość do strzelania. O ósmej piętnaście radiostacje zameldowały nawiązanie łączności. Około godziny dziewiątej zjawił się porucznik Schulz z adiutantem dywizjonu i kapralem Vierbeinern. O dziesiątej oficer ubezpieczeniowy zameldował ubezpieczenie poligonu. Niemal o tej samej porze oficer z komendy poligonu zameldował, że cele ruchome w liczbie czterech są gotowe do wyruszenia ze swych ukryć. O dziesiątej minut trzydzieści zapowiedziano telefonicznie przybycie generała mniej więcej na godzinę

jedenastą.

Schulz, w każdym calu dowódca, postanowił wykorzystać pozostały wolny czas. Zarządził działoczniny, wskutek czego powstał straszliwy rumor. Stał przy tym z zegarkiem w ręku i śledził z nieufnością każdy ruch swoich „zapasowych” żołnierzy.

– Już ja was, krzywe pokraki, wyprostuję – wrzeszczał z rozkoszą. – Nie takich jak wy prostowałem! Powtórzyć!

Kapral Vierbein siedział nieco na uboczu na wzniesieniu. Zapomniał na chwilę, że Schulz zabrał go tutaj jako pokazowego konia dywizjonu. Łagodne wiosenne słońce uśmiechało się do niego, napełniało go miłym ciepłem, promienie jego nie schodziły z jego młodej, nieco melancholijnej twarzy. Vierbein był zatopiony w marzeniach.

– Jeszcze raz to samo, wy ponuraku – wrzeszczał Schulz. – Podciągnijcie się albo z was wypruję bebechy! Gotowe? Na stanowiska!

Obsługi czterech dział krzątały się zaciekle. Odryglowywali lufy, regulowali poprzecznice, zakładali sworznie, przesuwali łoża. Metal uderzał o metal, pot spływał po twarzach strumieniami, a Schulz śmiał się szorstko i pogardliwie.

– Pięć sekund ponad czas normalny! – zawołał. – I to mają być kanonierzy wyszkoleni pod moim kierownictwem! Jesteście krowie łajno! Co jesteście?!

– Krowie łajno, panie poruczniku! – ryknęli kanonierzy z obsługi dział.

– Powtórzyć! – wołał Schulz. – Zmiana stanowisk!

Vierbein na swym wzgórzu zdawał się nie słyszeć tego wszystkiego. Oparł się na łokciach i przechylił do tyłu. Patrzył przed siebie na łagodne wzgórze, na kilka brzóz, na soczystą zielen pól. Miał wrażenie, że leży na dywanie.

A potem wydało mu się, że pośrodku tego dywanu, tuż przy nim, klęczy Lora Schulz. Widział jej oczy, niemal zamknięte, jej usta, które się wolno otwierały. Oczy lśniły zielonkawo, usta były purpurowe. Potem pozostało tylko to purpurowe miejsce powiększyło się do rozmiarów szerokiej wilgotnej plamy; zdawało się teraz, że to sama krew. Zieloność trawy blakła coraz bardziej, łąka robiła się szara, potem biała, coraz bielsza, jak śnieg. Śnieg, który leżał na polach Rosji.

Chwyciły go dreszcze. Złapał się za pierś, jak gdyby chciał sprawdzić automatycznie, czy ma bluzę przepisowo zapiętą. W kieszeni zaszeleścił papier. Był to telegram niejakiego kapitana Witterera odwołujący go na front.

– Pan generał przybywa! – zawołał specjalnie do tego celu wyznaczony wartownik.

– Teraz, wy fujary, weźcie się w kupę! – ryknął Schulz. – Pokażcie generałowi, że potraficie więcej niż tylko żreć. Jedno wam powiadam, wypatroszone hipopotamy, jeżeli to nie będzie grało, to tak was wytresuję dla frontu, że umieranie będzie dla was po prostu zabawką.

Rezerwiści z obsługi dział, przeważnie ze starszych roczników, sapnęli potężnie i pod kontrolą badawczych spojrzeń podoficerów porządkowali swoje umundurowanie. Żołnierze służb pomocniczych – telefoniści, pisarze, gońcy, podoficerowie

ubezpieczenia, podoficerowie poligonowi i sanitariusze – ustawili się nieco z boku; przyłączył się do nich kapral Vierbein. Na tak zwanym „wzgórzu hetmańskim” ustawili się oficerowie, wśród nich: adiutant, oficer wyszkolenia, dowódca baterii, oficer ogniowy, oficer ubezpieczenia, oficer poligonowy, oficer sanitarny. Nad wszystkimi górował porucznik Schulz.

Generał zjawił się ze ścisłym sztabem, który przybył dwoma samochodami osobowymi. Był to mały, tęgawy jegomość o twarzy głównego przedstawiciela firmy handlowej i manierach ekonoma. Towarzyszył mu brunatny jamnik, który podbiegł do Schulza i zaczął robić przygotowania, aby wysuszać się na jego buty.

Rzuciwszy słowa komendy porucznik Schulz składał meldunek grzmiącym głosem. Oficerowie salutowali. Żołnierze stali nieruchomo. Na dzwonnicy odległego kościoła wybiła dwunasta. – Czołem, żołnierze! – zawołał generał.

– Czołem, panie generale! – krzyknęli zgodnie żołnierze.

Generał skinął przyjaźnie głową, podał Schulzowi rękę i powiedział jowialnie: – No, pokażcie, co umiecie.

Potem stanął wyczekująco przed garstką oficerów w samym środku „wzgórza hetmańskiego”. Była godzina dwunasta minut piętnaście. Teraz ostre strzelanie połączone ze sprawdzaniem radiostacji mogło się zacząć. Ale się nie zaczęło.

Naprzód zawiodły ciągaraki celów. Potem, kiedy już działały, zawiodło ubezpieczenie. Kiedy je wreszcie przywrócono, przy jednym z dział wskutek nieostrożnego obchodzenia się z amunicją uszkodzono kątomierz działowy. Gdy wymieniano kątomierz, wtedy znowu zawiodło ubezpieczenie. Wreszcie, kiedy znowu padł meldunek „poligon ubezpieczony”, pękła lina ciągaraki celów.

Generał, który z początku gawędził wesoło z otoczeniem, zamilkł w końcu całkowicie. Próbował patrzeć surowo, ale rozglądał się jedynie bardzo niemądrze po okolicy. Potem sapnął z niezadowoleniem. Równocześnie zaczął w denerwującym rytmie uderzać skórzanymi rękawicami o swoje spodnie do jazdy konnej.

Porucznik Schulz omal nie pękł z furii. Potem jednak, po niesłychanie przykrych trzech kwadransach, padł pierwszy strzał. Chybił o całe kilometry. Drugi padł już bliżej, ale chybił również. Żaden z pierwszych strzałów nie był trafny i pierwszy cel ruchomy ukrył się ostatecznie.

– Wielka plajta! – powiedział generał, w dalszym ciągu maltretując rękawiczkami swe spodnie.

Schulz, czerwony jak piwonia, zagryzł wargi. Kiedy i drugi cel ruchomy nie został trafiony, zacisnął z wściekłością pięści.

– Całkiem wielka plajta! – powtórzył generał.

Wtedy Schulz wygrywając, jak w to święcie wierzył, swój jedyny niezawodny atut zawołał: – Strzelanie do następnego celu przeprowadzi kapral Vierbein!

Vierbein podszedł do działa wyznaczonego do następnego strzelania i spojrzął na jego obsługę. Żołnierze spojrzeli na niego. Byli sobie najzupełniej obojętni.

Vierbein wiedział od pierwszej chwili, co z tego może wyniknąć. Nie mógł nic z tą obsługą począć, tak samo jak ona z nim. Nie było między nimi kontaktu – rozdzielały ich całe światy.

Kapral podał równym głosem komendę. Padał strzał za strzałem. Żaden z nich nie był celny. Również trzeci cel ruchomy skrył się nie uszkodzony.

– Ogromna plajta – powiedział generał.

– Ten przekłety niezguła frontowy – wykrztusił Schulz.

– Potworna plajta! – powtórzył generał mocno niezadowolony. – Całkiem do niczego! Niżej wszelkiej krytyki.

Zgiął kolana, zaczął się kiwać, spojrzął na Schulza druzgocącym wzrokiem; generalski jamnik wymachiwał radośnie ogonem. Generał powiedział: – To nie jest chyba dla pana odpowiednie stanowisko, poruczniku.

Po tych słowach odszedł. Dreptał za nim jamnik. A za jamnikiem szła z ponurymi minami, potrząsając głową, świta generała.

Schulz pozostał. Otaczający go oficerowie wyglądali, jak gdyby stali nad świeżą mogiłą. Cisza była przytłaczająca.

Nagle Schulz ryknął: – Vierbein!

Kiedy kapral stanął przed nim w postawie na baczność, Schulz wrzasnął: – Tego wam nie zapomnę! Nigdy! Wpakowaliście mnie w kabałę. Strzelaliście beznadziejnie tylko po to, żeby mi zaszkodzić. Ale zapłacę wam jeszcze za to, dupo wołowa! Jesteście załatwieni. Wykończeni. Pogrzebani. Koniec! – Panie poruczniku...

– Kapralu Vierbein, udacie się natychmiast do koszar. I to piechotą. Dziesięć kilometrów odwalicie w ciągu dziewięćdziesięciu minut. O trzeciej zameldujecie się u mnie. Nie zapomnijcie, świntuchu, zrobić do tej pory testamentu.

Kapral Vierbein wykonał taki zwrot w tył, że na spodnie Schulza posypał się piasek. Po czym natychmiast puścił się w drogę. Kroczył samotnie po szosie w kierunku miasta.

Samochody oficerów wyprzedziły go podnosząc chmurę kurzu. Z jednego z nich spoglądał groźnie Schulz. Potem wyprzedziły go działa i lekkie samochody służb pomocniczych.

Vierbein maszerował. Im dłużej maszerował, tym bardziej zacięta stawała się jego twarz. Pocił się pod promieniami wiosennego słońca. Pot zbierał się pod jego czapką polową i spływał po twarzy, zostawiając na niej ślady. Wyglądało to, jak by płakał.

Ale był zdecydowany nie płakać.

O godzinie drugiej trzydzieści pięć dotarł do koszar. Zmył z ciała pot i brud. Punktualnie o trzeciej stał w mundurze służbowym przed porucznikiem Schulzem.

– Tak – powiedział Schulz, kołysząc się w kolanach – zabierzemy się więc...

– Proszę mi pozwolić zameldować – powiedział Vierbein spokojnie – że muszę udać się natychmiast do jego ekscelencji pana admirała.

Schulz zdumiał się. Racja, zupełnie o tym zapomniał. To mu pokrzyżowało szyki. Chciał mieć tego Vierbeina, chciał mieć swoją ofiarę. Czy ten bałwan musi iść naprawdę do admirała?

– Zrobią to Bartsch i Ruhna – zarządził Schulz. Ale na razie nie można było odnaleźć „braci sjamskich” i Schulz, zrozumiał wreszcie, że przecież jego ekscelencja pan admirał nie może czekać. Ze względu na wysoką rangę gościa żadne inne zastępstwo nie wchodziło w rachubę. Zresztą był już najwyższy czas.

– Więc dobrze – warknął Schulz – idźcie sobie, niech was diabli wezmą, do swojej ekscelencji. O czwartej jest ślub kościelny, będziecie organizowali szpaler, Vierbein. Ale o piątej zabawa się skończy. Dwadzieścia minut po piątej znowu się tutaj zjawicie, bydlaku! Wtedy...!

– Niech mi będzie wolno zapytać pana porucznika, czy radiotelegrafiści ze sprzętem są gotowi do drogi.

– Precz! – ryknął porucznik.

Schulz, zdecydowany na wszystko, posłał Vierbeinowi takie spojrzenie, jak by go chciał zamordować. Ubolewał niezmiernie, że wyszukał dla tego świntucha takie ciepłe miejsce. Miał ochotę ugryźć się ze złości w tyłek.

Spojrzał na zegarek. Najwyższy czas! Jak to dobrze, że z właściwą mu zapobiegliwością kazał przynieść do koszar swój mundur galowy ze wszystkimi odznaczeniami, długie spodnie, lakierki i paradną szablę. Podpisał jeszcze parę papierków, potem poinformował się ostrożnie, czy pan generał...

Ale generał nie powziął jeszcze żadnej decyzji.

Z pewnym uczuciem ulgi Schulz przebrał się szybko, wszedł do wozu służbowego, który czekał na niego od pół godziny, i kazał jechać do hotelu „Excelsior”, gdzie w myśl jego planu organizacyjnego mieli się przed pójściem do kościoła zebrać goście weselni. Z dostojeństwem i pompą wkroczył do halki.

I zdawało mu się, że padnie rażony apopleksją.

Zobaczył i nie uwierzył własnym oczom! Zobaczył Lorę, swoją żonę, w wieczorowej sukni! Obok niej stał jego ekscelencja pan admirał!

Schulz miał wrażenie, że się ziemia pod nim zapada. Jego Lora, ten wyrodek, ten leń, ta osoba ograniczona i pozbawiona dyscypliny, zupełnie bez godności! Ta szelma! I właśnie z jego ekscelencją panem admirałem!

Schulz, tracąc panowanie nad sobą, odciągnął ją na buk. – Czego tu chcesz?

– Łapska precz od damy powiedziała. Nie jesteś tu w domu.

– Jak się tu dostałaś?

Lora odpowiedziała najstarszym dowcipem, jaki miała na składzie: – Przez drzwi.

Ale Schulz się nie uśmiechnął. Twarz jego była wcieleniem ducha koszarowego. Otworzył usta szeroko, całkiem szeroko, zdawało się, że jest zdecydowany wylać na nią kubek koszarowych pomyj.

– Drogi mój poruczniku Schulz – powiedział jego ekscelencja admirał. – Zadzroszczę panu małżonki.

Tak? – powiedział porucznik zaskoczony.

– Dlaczegoż ukrywał ją pan do tej pory przed nami? Gdyby nie mój drogi, młody towarzysz broni Vierbein...

– Vierbein powiedział Schulz, szczerze przerażony. Ciągle ten Vierbein!

Potem Schulz, czując się do głębi dotknięty, stracił całkowicie głowę. Zostawił jego ekscelencję pana admirała, i odszukawszy w jakimś kącie ordynansa Vierbeina, podszedł do niego ze zdecydowanie druzgocącą miną.

– Vierbein – powiedział półgłosem, bo dusił się z wściekłości. – Teraz to już koniec. Zostaniecie ostatecznie wykończeni. Natychmiast pójdziemy teraz razem do koszar.

Kapral Vierbein zaczerpnął powietrza i powiedział zdecydowanie: – Melduję, panie poruczniku, że mam urlop. Urlop ten kończy się dziś wieczorem. Jeszcze dziś w nocy muszę; samolotem transportowym wracać na front. Proszę o przydzielenie radiotelegrafistów i sprzętu.

– Gównu wam przydzielę! – wrzasnął Schulz tak głośno, że cały orszak weselny skamieniał.

Z nastaniem ciemności front niemiecki zaczął się rozluźniać, aby później po marszach nocnych uformować się na nowo w odległości około czterdziestu kilometrów. Na razie wszystko przebiegało planowo. Organizacja zdawała się funkcjonować sprawnie.

Ale nie funkcjonowała zbyt planowo pogoda. Bez przerwy padał śnieg. Nie był jeszcze jednak tak gęsty i mokry, żeby wywołać poważniejsze komplikacje.

Witterer powiedział z wielką pewnością siebie: – Lekka zasłona maskująca, ściśle planowo.

Tak czy owak front zaczął się poruszać. Przede wszystkim potoczyły się sztaby. Na samym przedzie jechały sztaby związków operacyjnych i taktycznych; część ich była już dostatecznie daleko w tyle. Za nimi posuwały się powoli kolumny sztabów, oddziały pomiarowe, meteorologiczne, radiostacje, wozy z archiwami i mapami, samochody z bagażem osobistym oraz kolumny zaopatrzeniowe.

Kapitan Witterer stanął na wzgórzu i wsłuchiwał się w zapadającą noc. Zewsząd huczały silniki. Pojazdy, uformowane w długie kolumny, kołysały się w ciemnościach. Powoli zapełniły się wszystkie drogi frontowe.

Witterer czuł, że bardziej niż kiedykolwiek zbliżył się do wielkiego przeżycia,

któremu na imię wojna. Miał wrażenie, że w ciągu tych minut, może objąć wzrokiem wszystko, co się dzieje. Gdy tak stał na wzgórzu, wydawało mu się chwilami, że jest wodzem naczelnym.

– Słuchajcie – powiedział do Krausego, i znowu zaczął z cichym zachwytem nasłuchiwać. – Wojna toczy się znowu.

Rzeczywiście wojna toczyła się. Drogi wiejskie i polne, po których poruszały się długi wąż pojazdów, podobne były do potoków i rowów napełnionych wodą. Żywiły się nimi strumienie dróg sąsiednich. Arsenał wojenny spływał stąd do rzek szos głównych. Za sztabami związków operacyjnych i taktycznych oraz ich kolumnami specjalnymi poruszały się sztaby oddziałów. A potem toczyły się warsztaty, piekarnie i rzeźnie, szpitale polowe, jednostki łączności, żandarmeria polowa, kolumny amunicyjne.

Nie ruszała się jeszcze tylko cienka bojowa linia frontu: piechota, za nią artyleria, między nimi obrona przeciwpancerna.

– My – powiedział Witterer nic bez dumy – ponosimy odpowiedzialność za setki tysięcy.

– Tak jest – potwierdził Krause – jest to wzniosłe uczucie. Zdawało się, że noc wypełniona jest bez reszty hukiem silników, że huk ten wypełnia każde miejsce dookoła. Sięgał aż poza horyzont.

Kapitan Witterer spojrział na świecącą tarczę swego zegarka, czynił to tej nocy często. Dochodziła! jedenasta. Skinął głową, zszedł ze swego wzgórza, udał się w kierunku stanowiska przodków. Przydupnik, Krause, towarzyszy! mu nieodstępnie.

Na zapasowym stanowisku taboru zgromadziły się na wielkim, podwórzu liczne pojazdy. Stały jeszcze nieme i nieruchome. Kierowcy i ich pomocnicy kręcili się dookoła silników albo tkwili przy kierownicach. Większość paliła. Prawie nikt nie rozmawiał.

Starszy ogniomistrz Bock stał z ogniomistrzem Aschem pośrodku podwórza. Również palili w milczeniu, wpatrzeni w płynące cicho płatki śniegu.

– Wszystko gotowe?! – zapytał Witterer grzmiącym głosem.

– Gotowe – odpowiedział szef.

– Czy Soeft wrócił?

– Tak jest. Przed godziną. Ale zaraz później znowu odjechał.

– Porachuję się z nim jeszcze osobno – powiedział kapitan. – Pozna on mnie jeszcze...

Witterer spojrział ponownie na zegarek: – Jeszcze trzy minuty – powiedział. – Potem się zaczniesz.

– Byłoby lepiej – odpowiedział Asch spokojnie i głośno – gdyby się zaczęło dopiero za trzy godziny.

Witterer zdumiał się, po czym podszedł do ogniomistrza. Szef zszedł usłużnie z drogi. Żołnierze ustawili z zainteresowaniem uszu.

– Czy wy tu wydajecie rozkazy, czy może kto inny, Asch?
– Powinien je wydawać ktoś orientujący się w sytuacji. Plany organizacyjne opracowane przy zielonym stole są przeważnie. gówno warte.
– Ogniomistrzu Asch – powiedział Witterer z poczuciem bezgranicznej wyższości. – Żadna wojna nie jest do pomyślenia bez organizacji.
– Bez improwizacji również nie.
– Rozkazy do marszu na dzisiejszą noc, ogniomistrzu Asch, zostały przemyślane przez nasze najtęższe głowy. To, co się tu rozgrywa, jest majstersztykiem strategii.
– To, co te tak zwane tęgie głowy wysmażyły, jest w moich oczach raczej dyletantyzmem. Zapomniały bowiem wkalkulować pogodę i jeszcze inne rzeczy.
– Krytyka nie należy do was, Asch.
– Czyżby myślenie było zabronione? – zapytał ten zaczepnie, osłonięty ciemnością.

Starszy ogniomistrz Bock, stale dbający o to, żeby dokoła niego było możliwie najmniej komplikacji, zawołał: – Jest teraz punktualnie jedenasta, panie kapitanie.

– Odmarsz! – zakomenderował Witterer ostro.

Zanim jednak starszy ogniomistrz zdążył wydać rozkaz do odmarszu, znowu rozległ się głos ogniomistrza Ascha. – Panie kapitanie – powiedział – drogi są zapchane. Od rana pada śnieg. Wszystkie drogi nastroczają teraz trudności. W tych warunkach normalna szybkość marszu jest po prostu nieosiągalna, – Na co jeszcze właściwie czekacie, starszy ogniomistrzu? – zapytał Witterer nie ukrywając niezadowolenia.

– To, co utrzymuje ogniomistrz Asch – zauważył Bock ostrożnie – nie jest tak zupełnie niesłuszne.

– Jeżeli teraz odmaszerujemy – powiedział Asch – to już po kilku kilometrach będziemy zakorkowani. Utkniemy na drodze. Jeśli jednak zaczekamy, aż ta fala przepłynie...

– Dość tego! – ryknął Witterer. – Trzymajcie łaskawie wasz impertynencki pysk, Asch. I wy także, starszy ogniomistrzu! U mnie rozkaz jest jeszcze ciągle rozkazem. Proszę sobie to zapamiętać. I jeżeli rozkaz brzmi „Odmarsz o jedenastej” – wymaszerujemy o jedenastej.

– Tak jest – powiedział starszy ogniomistrz kwaśno.

A ogniomistrz Asch dodał: – Więc maszerujmy. Jeżeli jednak najdalej po trzech kilometrach nie utkniemy w miejscu, nazywam się [Arsch{10}](#).

– Do wozów! – zawołał starszy ogniomistrz. – Zapuścić silniki! Odmarsz!

Tabor wytoczył się powoli z podwórza na wiejską drogę. Wyładowane po brzegi pojazdy poruszały się bez świateł. Tylko gdy któryś z kierowców naciskał hamulec, tylne światła świeciły czerwonym blaskiem. Silniki wyły i krztusiły się. Na samym końcu jechał na swym motocyklu ogniomistrz Asch.

– Podziwiam cierpliwość pana kapitana – powiedział Krause.

– Skończyła się już – oświadczył Witterer.

Patrzył w kierunku oddalającej się kolumny. Potem udał się do swego samochodu osobowego, w którym spał najspokojniej w świecie bombardier Kowalski. Chrapał przy tym jak zadowolony z siebie kocur.

– Jest wojna – powiedział Witterer – a ten dryblas wyleguje się. Zbudźcie się, człowieku!

– Co się stało? – zapytał Kowalski, który od razu oprzytomniał. – Czy wydają dodatkową porcję jedzenia?

– Cały bagaż załadowany?

– Załadowałeś cały bagaż, Krause? – zapytał Kowalski.

– Tak jest – odparł tamten. – Bagaż szturmowy pana kapitana leży z tyłu w wozie; bagaż osobisty transportuje Soeft.

– Bagaż szturmowy? – zapytał Kowalski z zainteresowaniem. – Cóż to takiego? Nigdy o tym nie słyszałem.

– I tego was jeszcze nauczę, Kowalski – powiedział Witterer gniewnie i obmacał swój bagaż, – Musicie jeszcze diablo dużo się nauczyć.

– Tego nigdy nie za wiele – mruknął Kowalski jowialnie. – Nawet wysoki stopień służbowy nie chroni przed głupotą.

Witterer nie miał czasu na przysłuchiwanie się monologom Kowalskiego. Przedzierał się do nich motocykl. Zawory klekotały natarczywie.

Był to ogniomistrz Asch. Podjechał na kiwającym się na wszystkie strony motocyklu i wyłączył silnik tuż przed Wittererem.

– Tabor ugrzązł – powiedział. – W odległości niespełna dwóch kilometrów stąd.

– Cieszyć się z tego pewnie, co? – zapytał Witterer zjadliwie.

– Nie mam powodu. – Asch przybrał ton bardzo rzeczowy. – Drogi są całkowicie zapchane. Było to do przewidzenia. Świeży śnieg dochodzi do wysokości prawie dziesięciu centymetrów. Kolumny wpadają jedna na drugą...

– A wy tu przemawiacie jak na zgromadzeniu ludowym!

– Melduję tylko.

– Wynoście się stąd, człowieku! Pilnujcie lepiej taboru. Jedźcie na główną szosę; zobaczcie, kto tam hamuje komunikację.

– Byłem już tam – powiedział Asch.

– No i co?

– Naciągają tam teraz dopiero kolumny, które miały ruszyć już o dziewiątej. Musiały więc czekać przeszło dwie godziny.

– Więc czekajcie i wy. Bodaj nawet dwie godziny. A jeżeli tak być musi – dwadzieścia godzin. Jeżeli zaś jesteście zupełnie do niczego, to czekajcie tam, aż zgnijecie albo aż wojna się skończy. Bo u mnie każdy rozkaz musi być wykonany.

– Naprawdę każdy? – zapytał Kowalski znacząco.

– Zamknijcie pysk, człowieku! – zawołał Witterer.

Asch zapuścił silnik i powlókł się na swoim motocyklu dalej. Wydawało się, że Krause gotów byłby skoczyć za nim, gdyby otrzymał taki rozkaz. Witterer kopnął prawa nogą w jedną z tylnych opon.

– Powietrza jest dosyć – oświadczył Kowalski.

– Zapisywać, Krause! – krzyknął Witterer wściekły. – Wszystko! Słowo za słowem!

Krause wsiadł do wozu, zapalił latarkę kieszonkową, przysłonił zgrabnie jej blask daszkiem i zaczął pisać. Tymczasem Witterer snuł się tam i z powrotem po pustym podwórzu. Kowalski zapalał powoli i długo papierosa.

– Na nikogo już nie można się zdać – powiedział po chwili Witterer. – Zupełnie zaświniona banda! Miejmy nadzieję, że przynajmniej porucznik Wedelmann dotarł już tymczasem na nowe stanowisko.

– Należy tak przypuszczać – przytaknął Krause z zapalem. – Jak było przewidziane, pan porucznik Wedelmann wystartował już o trzeciej. Na motocyklu z przyczepką, z ciężarówką i tłumaczką.

– Z kim, Krause?

– Ze swoją tłumaczką. Tak w każdym razie określił porucznik Wedelmann osobę, która mu towarzyszy.

– Ma tak zwaną tłumaczkę?!

– Oczywiście! – powiedział Kowalski swobodnie, jak gdyby rozmawiał wyłącznie z Krausem. – Dlaczego nie! Przecież pan chciałby także mieć taką. Każda jednostka ma tłumacza. Soeft osobiście ma nawet dwie sztuki. Nazywa je kuchennymi siłami pomocniczymi. Naprawdę nigdy pan o czymś podobnym nie słyszał?

Witterer milczał i rozmyślał. Uważał, że warto się nad tym punktem zastanowić. I zapytał: – Przydatna osoba, ta tłumaczka?

– Jeszcze jak! – odpowiedział Kowalski. – Nie wiadomo tylko, czy pozwoli każdemu korzystać ze swej przydatności...

– W każdym razie – powiedział Witterer z iście męskim uśmiechem – coś takiego należy się chyba dowódcy, – Po tych słowach usiadł obok Kowalskiego i nałożył hełm.

– Dokąd? – zapytał Kowalski. – Na nowe stanowisko?

– Przecież tam się nie przedostaniecie, Kowalski.

– Przedostaną się wszędzie.

– Oczywiście na stanowiska ogniowe. Mamy tam ostatecznie na składzie masę nadliczbowej amunicji.

W chwili kiedy to powiedział, nad frontem jak gdyby niebo się rozerwało. Na horyzoncie pojawił się olbrzymi płomień, pędzący z szaloną szybkością. W krótkich odstępach czasu wybuchały wciąż nowe płomienie. Potem powietrze zostało rozdarte na strzępy i z hukiem zamknęło się znowu, Pociski grały pośród nocy jak organy.

– Zdaje się, że i tamci mają masę nadliczbowej amunicji powiedział sucho Kowal-

ski.

Witterer wychylił się naprzód: słuchał z natężeniem. I on zorientował się, że to wróg Iwan rozpętał ten nocny huraganowy ogień. Pociski jego spadały z dzikim wyciem na front niemiecki.

– Skąd oni wzięli nagle artylerię? – zapytał Krause.

– Zapewne od świętego Mikołaja – odparł Kowalski.

– Ech, co tam! – zawołał Witterer buńczucznie. – Co to ma za znaczenie? Te diabły uważają nas za głupców. Robią hałas, bo pewnie coś wyczuli, strzelają więc teraz ze wszystkich luf. Najdalej za dziesięć minut zabraknie im tchu. A my ruszamy za godzinę, zgodnie z planem.

Niebo rozbłysło znowu jaskrawo. Kilkakrotnie. Raz po raz. Pociski syczały, jęczały, wyły. Wydawało się, że o kilka kilometrów przed nimi wybuchają spod ziemi wulkany.

– A więc na stanowiska ogniowe – powiedział z całym spokojem Kowalski.

– Powoli – oświadczył Witterer. Nie wpadajcie i wy w szaleństwo. Najlepiej chyba będzie, jeżeli na razie pojedziemy do sztabu pułku.

Zanim jeszcze rozpoczął się ten wielki huk na froncie, pułkownik Luschke siedział przy swoim stole z mapami. Głęboko pochylony, robił wrażenie pijaka, który nie ma już siły ruszyć się z miejsca. Ale jego ostre, chytne oczy błędziły po mapie bez przerwy.

Od trzech godzin służby tyłowe toczyły się wstecz. Luschke ze swym najbliższym sztabem nie toczył się – nie należał do służb tyłowych. Zbliżała się powoli północ. Czekał, nie wiedząc, na co czeka. Było pewne, że oderwie się od nieprzyjaciela dopiero wtedy, kiedy ruszą oddziały frontowe.

Zadzwoił na adiutanta. Ten zjawił się natychmiast. Gotów do odmarszu, powitał swego dowódcę bez przesadnego ceremoniału. Luschke nie znosił, by jego sztab przypominał plac ćwiczeń. Adiutant zachowywał się więc jak cywil w mundurze. Nie miał teraz nic innego do roboty, jak tylko czekać na nowe rozkazy swego dowódcy.

– Pogoda? – zapytał Luschke.

– Śnieg coraz gęstszy. Barometr powoli spada.

– Sytuacja na drogach?

– Wszystko zakorkowane.

Pułkownik skinął jedynie głową. Można to było przewidzieć: okropna pogoda i zablokowane drogi przemarszu. Ta nocna wędrówka narodów była czystym idiotyzmem, który wyskoczył z ptasiego mózdzku jakiegoś stratega od siedmiu boleści. Momenty zaskoczenia? Przecież taka wojna była ostatecznie tylko jednym wielkim rachunkiem. Ale fantaści należeli zawsze do złych rachmistrzów.

– Meldunki z baterii?

– Nic nadzwyczajnego. Dotychczas wszystko przebiega planowo.

- Jeszcze coś?
 - Obok czeka jakiś kapral z wywiadu i prosi o rozmowę z panem pułkownikiem.
 - Kapral z wywiadu chce ze mną mówić? Czyżby to bractwo nic dawało drapaka razem z innymi?
 - Całe bractwo na pewno, panie pułkowniku, ale kapral na takiego nie wygląda.
 - Pięknie! Czy to wszystko?
 - Telefonował komendant lotniska. Ma wiadomość od kaprała Vierbeina. Dywizjon zapasowy robi trudności.
 - Trudności wysłanemu przeze mnie podoficerowi?
 - Tak się wydaje, panie pułkowniku.
- Oczy Luschkego stały się zupełnie małe, co było u niego niezawodną oznaką koncentracji. Położywszy na mapie długie palce zaczął bębnić nimi jakiegoś marsza.
- Potem zapytał: – Czy dalekosiężna sieć telefoniczna jest bardzo obciążona?
- Mniej niż kiedykolwiek. Sztaby są w ruchu, a linie jeszcze stoją. Nikt prawie nie telefonuje.
 - W takim razie proszę mnie natychmiast połączyć z dowódcą dywizjonu zapasowego artylerii. Proszę zamówić rozmowę pilną. Albo nie – błyskawiczną. Na co pan jeszcze czeka?
 - Panie pułkowniku, jeżeli...
 - Jeżeli wojna znowu się tu rozpęta, mój drogi, potrzebny mi będzie nowy sprzęt. A wojna już się zaczyna ruszać – czuję to w kościach. A więc maglujmy telefonicznie tyłki naszych śpiących braci w ojczyźnie, dopóki się jeszcze da. A może uważa pan, że jestem na to za subtelny?
- Adiutant zaprzeczył i oddalił się. Zjawił się ów kapral z wywiadu i zatrzymał się skromnie przy drzwiach. W pokoju obok adiutant wrzeszczał tak straszliwie, jak gdyby chciał, żeby go i bez telefonu usłyszano w ojczyźnie.
- Proszę zamknąć szczelnie drzwi – powiedział pułkownik do kaprała z wywiadu – i podejść bliżej. Na razie jeszcze nie gryzę.
- Kapral zbliżył się. Wyglądał jak nauczyciel, który ma krótki wzrok. Każdy jego ruch zdradzał cywila. Wydawało się, że nosi mundur jedynie przez pomyłkę. Patrzył na Luschkego przymrużonymi oczyma, z zakłopotaniem; jak gdyby przepraszał, że w ogóle żyje.
- Skąd pan do wywiadu? – zapytał Luschke łagodnie.
 - W cywilu – powiedział kapral ze skromnym uśmiechem – byłem inżynierem elektrykiem w Królewcu. Poza tym znam język rosyjski. Przed wojną montowałem z ramienia mojej firmy radiostacje w Związku Radzieckim.
 - Dlaczego nie cofa się pan teraz razem ze swoją grupą?
 - Teraz, panie pułkowniku – powiedział kapral uśmiechając się wyraźniej – teraz w tych godzinach panuje tu względny spokój. Większość sztabów znajduje się w drodze, co jest korzystne, bo nie muszę nikogo pomijać. A pańska obecność tutaj,

panie pułkowniku, to dla mnie miła niespodzianka.

– Czy taka miła, to się dopiero okaże – powiedział Luschke. – Czy pracuje pan właściwie dla służby bezpieczeństwa gestapo, czy też dla wywiadu agenturalnego?

– Nie mam nic wspólnego z policją polityczną. I nie chcę też mieć z nią nic wspólnego – kapral spojrział śmiało na pułkownika.

– To czyni mi pana bardziej sympatycznym.

– Wiem o tym, panie pułkowniku – powiedział kapral ze spokojem. A potem wyrecytował: – „Kominy jeszcze dymią”.

– Czyżby moje rozmowy telefoniczne były podsłuchiwane? – zapytał Luschke groźnym szeptem.

– Liczne rozmowy prowadzone przez telefon są podsłuchiwane. I będzie tego coraz więcej. Rozwój wypadków zmierza jednoznacznie w tym kierunku.

– Dziękuję za informację.

– Chętnie jej udzieliłem.

Luschke przyczaił się jeszcze bardziej za swoim stołem z mapami. Ale oczy jego błyszczały jasnym blaskiem. Jego bulwiasta twarz zaczęła prowokująco lśnić.

Po chwili powiedział: – Polujemy więc na tę samą zwierzynę.

Kapral skinął głową: – Dopóki nasze kominy jeszcze dymią.

Luschke roześmiał się bezdźwięcznie. Ramiona jego drgały. Wyglądał jak ponury dziadek do orzechów. Ludzi jego pokroju było więcej, niż przypuszczał, więcej, niż miał odwagę się spodziewać. Dobrze było o tym wiedzieć.

– Czy to wszystko, panie kapralu, co mi pan miał do powiedzenia?

– Niezupełnie. Ale to było chyba najważniejsze. Zadzwoił ostro telefon. Luschke podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę. Potem uśmiechając się do swego gościa powiedział: – Za chwilę odbędzie się rozmowa błyskawiczna z krajem. Jeżeli pan znowu chce podsłuchiwać, proszę wziąć drugą słuchawkę.

– To już niepotrzebne – odpowiedział kapral odzegnując się lekkim ruchem ręki, jak gdyby zawstydzony.

– Kto tam?! – krzyknął Luschke do aparatu. – To pan, Schulz! Nie wierzę własnym uszom! Czyżby pan został już dowódcą dywizjonu?

Pułkownik słuchał z wyraźnym zadowoleniem. W zwykłe tak pewnym siebie głosie Schulza można było wyczuć zdenerwowanie. To, że ciągle jeszcze istnieje taki Luschke, było dla niego widocznie męczarnią.

– Nie do uwierzenia! – zawołał pułkownik ironicznie. – A więc dowódca pański żeni się właśnie, a pan go zastępuje. Urodzony zastępca z pana, co?

Schulz, stojący na drugim końcu przewodu, oblewał się krwawym potem. Kiedy mu zameldowano, że przy telefonie jest niejaki pułkownik Luschke, uważał to w pierwszej chwili za udany kawał kasynowy. Ale znany mu aż za dobrze głos, ostry jak brzytwa, który po chwili usłyszał, rozwiął błyskawicznie jego złudzenia. Tak, sprawa była poważna, diabło poważna!

– Poruczniku Schulz – powiedział pułkownik – zdaje się, że mnie pan gruntownie zapomniał. Bardzo mnie to boli. Ale jestem gotów odświeżyć pańską pamięć.

– Panie pułkowniku – mamrotał Schulz gorliwie, starając się ominąć niebezpieczny zakręt – co się tyczy żądania pana pułkownika, to oczywiście natychmiast...

– Panie poruczniku Schulz, gdyby pan miał tam robić trudności...

– Ależ nigdy, panie pułkowniku – zapewnił Schulz.

– Gdyby pan miał tam robić bodaj najmniejsze trudności, zażądam tu pana osobiście. Zrozumiał mnie pan?

– Tak jest – wykrztusił z siebie Schulz.

– A jeżeli zażądam pana osobiście, to pana na pewno dostanę.

– Jeszcze dzisiejszej nocy wszystko, czego pan pułkownik żąda, zostanie załadowane i wysłane. Jeszcze dzisiejszej nocy.

– Tak znowu się nie pali – powiedział pułkownik.

Tymi słowami Luschke zakończył – błogo się uśmiechając – błyskawiczną rozmowę z ojczyzną. Był bardzo zadowolony, że wystarczyło jego głosu, by z odległości kilkuset kilometrów zmusić do galopu ociężałą krajową kobyłę.

Luschke zwrócił się znowu do swego gościa, który tak jak na początku wizyty przyglądał mu się ze skromną miną. Trzymając w ręku wyciągniętą z kieszeni kartkę, czekał pokornie, aż pułkownik się odezwie.

– No, niechże pan strzela! – Luschke oparł się wygodnie o poręcz krzesła. – Mam wrażenie, że to jakaś grubsza sprawa.

– Panie pułkowniku – powiedział kapral takim tonem, jak by głęboko ubolewał, że musi to powiedzieć. – W obrębie tego odcinka frontu znajdowały się trzy radzieckie radiostacje. Podsłuchaliśmy prawie wszystko, co było nadawane, większość wiadomości rozszyfrowaliśmy, a potem wykryliśmy dwie stacje przez namierzanie.

– Mówmy więc o tej trzeciej – powiedział Luschke, który słuchał uważnie.

– Miejsca trzeciego nadajnika nie można było dotychczas określić. Dopiero dziś przed południem udało się to w przybliżeniu.

– Co pan rozumie przez „w przybliżeniu”?

– Błąd do dwóch kilometrów jest możliwy.

– I gdzież, przypuszcza pan, znajduje się lub znajdowała się ta stacja?

– Mniej więcej tam – powiedział kapral półgłosem – gdzie się znajduje główny park artyleryjski pańskiej trzeciej baterii.

Luschke zmrużył oczy. Potem lewą ręką podrapał się w brodę. Wreszcie powiedział: Tam gdzie się znajduje główny park artyleryjski mojej baterii, znajdzie pan wiele jednostek: piechotę, artylerię przeciwpancerną, łączność, miotacze, czołgi.

– Oczywiście, oczywiście.

– Ale?

– Panie pułkowniku, dopiero dziś późnym popołudniem udało mi się odszyfrować radiogram tej trzeciej stacji. Okazało się, że stacja ta jest lepiej poinformowana od

tamtych dwóch. Zameldowała bowiem już cztery dni temu, że planowane jest cofnięcie frontu o jakie czterdzieści kilometrów.

– Zaczynam powoli rozumieć – powiedział Luschke raczej do siebie.

– Tymczasem wiadomość o cofnięciu frontu, panie pułkowniku, została zaledwie pięć dni temu podana do wiadomości niewielkiego kręgu osób – aż do dowódcy pułku łącznie. Dopiero w trzy dni później rozkaz ten został oficjalnie skierowany dalej, aż do dowódców kompanii, jako rozkaz ściśle tajny.

Luschke otworzył szeroko oczy. – Pytanie więc pańskie – powiedział – brzmi następująco: Czy przed czterema dniami rozmawiał pan z jednym ze swoich oficerów, prawdopodobnie z oficerem trzeciej baterii, o cofnięciu frontu?

– Pytanie takie, panie pułkowniku, albo podobne, postawiłem już tej nocy dwóm innym dowódcom pułków.

– I odpowiedzi były oczywiście negatywne.

– Oczywiście. Czy jednak po bliższym zbadaniu okażą się wiarygodne, to inna sprawa.

– A jeżeli i ja powiem nie?

– Proszę, panie pułkowniku, źle mnie nie rozumieć. Nie zadaję panu pytania. Panu nie. Niech sobie kominy dymią dalej, jeżeli to możliwe, bez przeszkód. Ale może uzna pan za wskazane zbadać tę sprawę osobiście. Dla swego własnego bezpieczeństwa albo po to, żeby znaleźć potwierdzenie czy coś w tym rodzaju.

– Jest pan nieomal zbyt cwany, żeby być przyzwoitym człowiekiem – odezwał się Luschke po dłuższej przerwie.

– Jedno dziś chyba warunkuje drugie – powiedział kapral z ledwo dostrzegalną rezygnacją. – A może jestem tylko głupcem albo Sowietami są idioci.

– Ten gatunek znajdzie pan na każdym składzie. Ale co pana skłania do takich przypuszczeń?

– Nie dzieje się przecież nic, panie pułkowniku. Sztaby toczą się i korkują drogi. Ale na froncie nie dzieje się nic. Dlatego pytam sam siebie, czy nie jestem głupcem. Sowietami wiedzą od kilku dni, że dokonujemy zmiany pozycji. Łączność radiowa po stronie nieprzyjaciela z miejsca się ożywiła. Agenci zameldowali o ruchach wojsk. Nie ulega również wątpliwości, że nieprzyjaciel podciągnął artylerię. Ale nie dzieje się nic!

Pułkownik podniósł się i skinął na kaprala.

– Proszę pójść za mną – powiedział. – Spróbujemy obwąchać wojnę.

Obaj wyszli. Luschke, zgarbiony, szedł pierwszy. Od czasu do czasu zapalał swą latarkę kieszonkową. Zatrzymał ich jakiś wartownik; kiedy poznał pułkownika, stanął na baczność.

Luschke szedł w kierunku kościoła, który w tajemnicy nazywał „swoim”. Śnieg padał teraz grubymi płatami i tajał w zetknięciu z mundurem. Mimo to noc była jasna, gdyż księżyc oświetlał chmury, śnieg lśnił jak mokra jedwabna chusta.

Pułkownik oświetlił ruiny schodów prowadzących na wieżę. Potem stanęli na jakiejś platformie i patrzyli przez ogromne dziury w gruzach kościoła.

– Niech pan słucha – powiedział pułkownik. – O tam! Tam leży front. I co pan słyszy? Nic.

– Nie dzieje się nic – powiedział kapral. Brzmiało to niemal rozpaczliwie.

– A teraz niech pan słucha tam! Huk silników. Tam znajdują się drogi prowadzące w tył. Są zapchane. Od trzech, czterech godzin tłoczą się na nich pojazdy. I niemal z każdą minutą, panie kapralu, zwiększa się niebezpieczeństwo.

– I pan pułkownik sądzi, że Rosjanie o tym wiedzą?

– Każdy, kto zna front, wie o tym. Ale wykorzystanie tej wiedzy w odpowiednim momencie kosztuje niemało nerwów. Dopuścić przeciwnika tak daleko, aż się znajdzie w pozycji dogodnej dla ostrzału, albo czekać, aż się wpakuje w korek, to kosztuje niemało nerwów. Tego przy biurku nauczyć się nie można. i jeżeli przypuszczenia pańskie naprawdę są słuszne, jeżeli nieprzyjaciel istotnie zebrał siły, by je tu pchnąć naprzód, wtedy niech Bóg się zlituje nad nami.

Kapral milczał. Patrzył nieruchomo w jasną, ale nieprzeniknioną noc. Wydawało się, że oddycha z trudnością.

– Gdybym był po tamtej stronie, czekałbym – powiedział Luschke.

– Jak długo?

– Mniej więcej do północy. A więc mniej więcej jeszcze kwadrans.

Zeszli na dół i wrócili do kwatery pułkownika, która znajdowała się nie opodal. Luschke badał w zamyśleniu swą mapę, po chwili porwał ją ze stołu i złożył niedbale, szybkimi ruchami. Zawołał adiutanta i rozkazał: – Niech się u mnie zamelduje porucznik Wedelmann. Natychmiast!

Potem zwrócił się znowu do kaprala z wywiadu i powiedział:

– Cieszę się z poznania pana. Mam nadzieję, że pozostaniemy w kontakcie.

– Żeby kominy dymiły – powiedział kapral uśmiechając się nieśmiało.

– A najpóźniej za godzinę okaże się, czy jest pan naprawdę głupcem. Ale obawiam się, że pan nim nie jest!

Skoro więc pan tak uporczywie nalega – powiedział komendant portu lotniczego w kraju do kaprala Vierbeina – niechże będzie, jak pan chce.

– Proszę o pozwolenie na odlot – powiedział Vierbein bardzo poprawnym tonem.

Komendant ojczystego portu lotniczego, zaufany przyjaciel komendanta portu lotniczego na froncie, który był znowu serdecznym przyjacielem dowódcy pułku Luschkego, przyglądał się kapralowi Vierbeinowi z ojcowską życzliwością.

Komendant nastawił uszu łowiąc ciszę nocną. Jego łysa czaszka lśniła różowawo w blasku stojącej na biurku lampy. Na lotnisku słychać było warkot kilku silników. Z hal montażowych rozlegał się huk. Było krótko po północy.

– Kapralu Vierbein – powiedział komendant uprzejmie – nie musicie jeszcze odlatywać. Jeżeli chcecie, możecie spokojnie zostać tu jeszcze parę dni. Zróbcie to. Go-

tów nawet jestem, i to chętnie, poświadczyć wam pisemnie, że nie było możliwości odlotu.

– Dziękuję – odparł Vierbein. – Ale odwołuje mnie depesza.

– Depesza od pułkownika Luschke?

– Nie.

– Jeżeli nie jest to wiadomość bezpośrednia od pułkownika Luschke, to będąc na waszym miejscu uważałbym, że nie została w ogóle wysłana. Zupełnie poważnie, drogi Vierbein. Oczywiście w każdej chwili otrzymacie ode mnie miejsce w jakiegokolwiek maszynie, a nawet ewentualnie samolot specjalny. Zrobię to chętnie dla pułkownika Luschke. Ale mówiąc zupełnie szczerze, chwila jest chyba najbardziej niekorzystna. Front zostaje tej nocy cofnięty. Możecie znaleźć się tam właśnie w czasie zmiany pozycji.

– Może będę tam potrzebny – powiedział Vierbein naiwnie.

Komendant spojrział na niego znad biurka. Przyglądał się Vierbeinowi ze szczerym zdziwieniem. – Potrzebny? – zapytał po chwili przeciągle. – Po co? Przecież wojna na pewno da sobie bez was radę przez parę godzin.

Komendant myślał: Potrzebny! Ten wierzy jeszcze, że może być potrzebny! Nie wie, że generałowie obliczają siły na dywizje. Nie przeczuwa, że są noce, w których ginie kilka tysięcy takich Vierbeinów, co nie przeszkadza żadnemu dowódcy spać spokojnie. Ten chłopak dał sobie wmówić, że tworzy historię świata! Tymczasem maleńki rozdział historii świata pisany jest milionami litrów krwi. Czymże jest tu jeden Vierbein!

– Może – kontynuował komendant – dostaniecie się teraz w wielki mętlik. Będziecie zapewne musieli odczekać, aż się wszystko uspokoi.

– Znajdę już swój oddział – powiedział Vierbein z przekonaniem. Miał rozkaz, a rozkazy spełniał w myśl regulaminu szybko i dokładnie.

– Zróbcie więc tak, jak uważacie za słuszne – zakończył rozmowę komendant i zadzwonił na swego adiutanta, który zjawił się natychmiast. Adiutant wyglądał tak, jak gdyby przed chwilą miał jakieś przeżycie szczególnego rodzaju; ale nikt nie zwracał na to uwagi.

– Kapral Vierbein – oznajmił komendant – odlatuje jedną z najbliższych maszyn na front. Najlepiej będzie, jeżeli wsiądzie do samolotu, który przybędzie do celu we wczesnych godzinach rannych.

– W porządku – odpowiedział adiutant. Nie odchodził jednak, jakby czekając, by go zaczęto wypytywać.

– Co się panu stało? Czy zaszło coś nadzwyczajnego?

– Na dworze – zaczął mówić adiutant takim tonem, jak gdyby obwieszczał przedziwną tajemnicę – przed hangarem numer jeden stoi admirał, prawdziwy admirał. Ale chyba taki z pierwszej wojny światowej. W towarzystwie jakiejś damy.

– No, no! – zawołał komendant zdziwiony. – Czy nie myli się pan przypadkiem.

Gdybym nie wiedział dokładnie, że jest pan abstynentem, musiałbym teraz przypuszczać, że jest pan zalany. Admirale! Jakże miałyby się tu dostać?

– Niech mi wolno będzie zameldować – Vierbein wyprężył się słuźbiście – że jego ekscelencja pan admirał przywiózł mnie tutaj.

– Jestem pełen szacunku! – powiedział komendant. – Wujaszek czy coś w tym rodzaju?

Vierbein zaprzeczył. – Jego ekscelencja pan admirał jest teściem dowódcy dywizjonu zapasowego, którego ślub odbył się dzisiaj. Byłem przydzielony do jego ekscelencji jako ordynans.

– Coś podobnego! – zawołał komendant ze zdumieniem. – Muszę go zobaczyć.

Wraz z Vierbeinem komendant udał się do hangaru numer jeden. Adiutant, który płonąc z ciekawości chciał im towarzyszyć, otrzymał rozkaz zająć się sprawą przygotowania maszyn do odlotu.

Noc leżąca nad lotniskiem była chłodna i czysta. Zdawało się, że gwiazdy zwisają nisko nad horyzontem. Niebo było podobne do ciemnej aksamitnej chusty.

Przed wielką bramą hangaru numer jeden przechadzał się jego ekscelencja pan admirał z Lorą Schulz, której jako kawaler starej szkoły podał swoje ramię. Gawędził z ożywieniem, Lora Schulz słuchała go z nabożeństwem.

Komendant lotniska podszedł do jego ekscelencji i poprosił posłusznie, aby mu pozwolono przedstawić się. Admirale wyciągnął do niego rękę. Komendant ujął ją i oświadczył, że uważa za zaszczyt, iż wolno mu powitać jego ekscelencję w obrębie lotniska. Pozostaje całkowicie do dyspozycji jego ekscelencji. Lora Schulz i Vierbein przyglądali się z podziwem tej ceremonialnej scenie.

– Ależ proszę pana, czcigodny panie kolego – powiedział admirał niezwykle serdecznie. – Jest pan na służbie i z pewnością ma pan mało czasu. Przybyłem tu jedynie po to, by pożegnać mego drogiego młodego kolegę z artylerii. Potrzebował pilnie jakiegoś pojazdu, więc zainspirowałem mego zięcia, dowódcę dywizjonu, by dał mu do dyspozycji swój samochód osobowy. Przyjaciel nasz zasługuje przecież na to.

– Oczywiście, ekscelencjo – powiedział komendant. On również myślał, że stary, nieco dziwaczny, lecz koleżeński wilk morski to figura bardzo sympatyczna. – Uważam za rzecz wspaniałą, że jego ekscelencja raczył dotrzymać towarzystwa naszemu Vierbeinowi.

– Nieraz już zegnałem odchodzące oddziały – oświadczył admirał dostojnym tonem. – O ile na to moja osobista służba u jego cesarskiej mości w ogóle pozwalała, zawsze dokonywałem inspekcji okrętów wojennych przed ich wyjściem na morze, by powiedzieć oficerom, podoficerom i marynarzom parę ciepłych słów.

– Będzie to dla mnie zaszczyt nie lada – zapewnił komendant – jeżeli wasza ekscelencja raczy obejrzeć lotnisko i jego urządzenia.

Stary wilk morski promieniał. Wyprostował się jak za dawnych czasów. – Był pan już oficerem za panowania jego cesarskiej mości?

Komendant przytaknął nie bez dumy. – Byłem lotnikiem bojowym – powiedział – w eskadrze Immelmanna. – Nie było to wprawdzie zupełnie zgodne z rzeczywistością, gdyż w owym czasie komendant pełnił funkcje oficera obsługi lotniska i kole-dzy w kasynie nazywali go żartobliwie „miotłą” w uznaniu dla jego kwalifikacji jako specjalisty od pasów startowych.

– A więc lotnik bojowy – powtórzył admirał. – W eskadrze Immelmanna, pod rozkazami jego cesarskiej mości. To się czuje. I tego się też, panie kolego, nie zapomi-na. Bo wtedy naczelny wódz, w przeciwieństwie do dnia dzisiejszego... ale zostawmy to!

– Pod tym względem zgadzam się całkowicie z waszą ekscelencją.

– Cieszę się. Bardzo się cieszę.

Potem pan admirał zwrócił się do pani Lory Schulz.

– Jeżeli pani pozwoli – powiedział z galanterią – chętnie poświęciłbym koledze z lotnictwa mały kwadransik...

– Ależ proszę – zgodziła się Lora z zapalem. Była uszczęśliwiona, ilekroć czuła, że się ją respektuje jak damą. Miała wrażenie, że wieczór ten, pełen podniecających przeżyć, jest dla niej jednym z najszczęśliwszych w życiu.

– Tymczasem szanowna pani zechce chyba dotrzymać towarzystwa naszemu mło-demu bohaterowi z frontu.

„Szanowna pani” Lora Schulz zarumieniła się aż po foremne uszy. – Ależ tak! – powiedziała. Była szczęśliwa, że w słabym świetle na lotnisku nie widać było, jak bardzo jest zakłopotana.

Jego ekscelencja pan admirał i oficer jego cesarskiej mości, obecnie komendant lotniska, weszli z uszczęśliwionymi minami do hangaru.

Lora Schulz patrzyła za nimi pełna entuzjazmu. Vierbein spoglądał w ciemność na szerokie pasy startowe, które zdawały się coraz bardziej zwężać i wreszcie gubiły się w sinawej czerni nocy. Wysoko nad nimi krążyło światło reflektora.

Głośnik obwieścił: – Kapral Vierbein do adiutanta.

Vierbein skinął głową, jak gdyby trzeba było ryk ten potwierdzić. – Pospieszę się – powiedział do Lory Schulz.

– Nie trzeba! – odparła uśmiechając się do niego. – Z pewnością ci nie ucieknę, mój mały.

Vierbein! uśmiechnął się do niej tkliwie i nieco melancholijnie. – Jak to pięknie, żeś przyjechała.

– A inna na moim miejscu – to byłoby jeszcze piękniej, prawda?

– Jesteś dobra – powiedział nieco bezradnie – i szczerą. Wiem o tym. I nigdy cię nie zapomnę. Nigdy.

– Ach, mój mały – westchnęła Lora – naprawdę to ze mnie wielka szelma, ale przy tobie nie byłam nią ani przez chwilę.

Głośnik umieszczony w pobliżu zagłuszał tę rozmowę bezlitośnie. Domagał się

Vierbeina. I Vierbein pośpieszył do adiutanta.

– Odłot wasz – powiedział adiutant – zostaje przesunięty o całą godzinę. Polecicie nie trzecim samolotem, lecz dopiero dziewiątym.

– Czy wolno zapytać...

– Telefonował dywizjon zapasowy artylerii. Przy aparacie był niejaki porucznik Schulz. Nie polecicie sami. Polecą z wami jeszcze dwóch podoficerów i dziesięciu szeregowców. Ciężarówka z żołnierzami i sprzętem jest już w drodze.

– Radiostacje! – powiedział Vierbein uszczęśliwiony. Adiutant potrząsnął głową, gdyż znowu się zdziwił; ta noc była pełna zdumiewających rzeczy. – Człowieku! – zawołał. – Cieszyście się tak, jakbyście dostali order.

– Teraz dopiero wykonałem swoje zadanie.

– No, jeżeli o mnie chodzi!... – adiutant wzruszył ramionami.

A więc jeszcze pan żyje – powiedział pułkownik gniewnie i spojrzał na Witterera z zainteresowaniem. – Cieszę się. Kapitan, w pełnym rynsztunku bojowym, próbował przepisowo zsalutować. Ale mu nie wyszło. Zaplątał się w pasku od maski przeciwgazowej i ręka dosięgła hełmu z wielkim trudem.

– Urodzony wojak – powiedział Luschke. – Gdyby się pan tak w jasny dzień pokazał Rosjanom, strach by ich obleciał.

– Niech mi wolno będzie zameldować panu pułkownikowi!...

– Chwileczkę – powiedział Luschke i zastopował zapał kapitana wyciągniętą ręką jak policjant regulujący ruch. Ujął słuchawkę telefonu. Zażądał połączenia ze sztabem dywizji, ale nie otrzymał go. Palcami lewej ręki bębnił po mapie, która leżała przed nim, krótkie, szybkie ruchy zdradzały zdenerwowanie. Ale głos brzmiał spokojnie jak zawsze.

– Potrzebny mi jest generał – powiedział Luschke. – Nie chcę teraz pertraktować z kelnerami.

Za oknami dziko szumiał front. Wybuchy płomieni z luf armatnich następowały po sobie w błyskawicznym tempie nie dając już uchwycić się okiem; horyzont błyskał jaskrawo. Od detonacji, które zdawały się być coraz bliższe, chałupa pułkownika zaczęła nieznacznie dygotać.

Pułkownik odrzucił słuchawkę. Potem rozpiął kołnierz, pochylił się na chwilę nad mapą i parsknął pogardliwie.

– Przybywa pan z frontu – powiedział do kapitana Witterera. – Jakże tam wygląda?

– Niech mi wolno będzie zameldować panu pułkownikowi, że wolałem wprost do pana pułkownika...

– Nie był pan wcale w przedzie?

– Dopilnowałem punktualnego odmarszu z mego stanowiska przodków i byłem obecny przy pierwszych ruchach marszowych, kiedy ogień nieprzyjacielski...

– Już dobrze – powiedział krótko pułkownik.

– Jeżeli pan pułkownik sądzi...

– Nie robię panu zarzutu, panie kapitanie. Może postąpił pan zupełnie słusznie; niejeden szczegół o tym, co się dzieje w przodzie, jest mi znany. Zmienić nic by pan tam nie mógł – w każdym razie nie w tej chwili.

– Chciałem zapytać, panie pułkowniku, czy nastąpią jakieś istotne zmiany?

Pułkownik rozpiął bluzę. Omijając Witterera podszedł do drzwi, uchylił je nieco i zawołał: – Kawę i cygaro! – Po czym znowu wrócił do stołu z mapami.

– Gdzie jest porucznik Wedelmann? – zapytał.

– Już na nowym stanowisku.

– Co i kogo ma przy sobie?

– Samochód osobowy, ciężarówkę i pięciu żołnierzy, panie pułkowniku.

– I poza tym nikogo? – Ponieważ Witterer wyraźnie ociągał się z odpowiedzią, przedłużając denerwującą pauzę, pułkownik zapytał ostro: – Poza tym nikogo, panie Witterer?

– Tłumaczkę – odparł tamten powoli.

Luschke usiadł, przełknął trochę kawy, którą mu przyniesiono. Potem odgryzł cygaro, wypluł resztki tytoniu i nie zwrócił uwagi na zapałkę, którą mu gorliwie podsunął kapitan. „Zaciągał się” nie zapalonym cygarem. Potem powiedział: – Sytuacja jest jeszcze całkowicie niejasna i bardzo nieprzejrzysta. Od północy nieprzyjaciel użył do akcji silnych związków artylerii i kilku jednostek moździerzy. Co nastąpi później, nie wiadomo. Proszę o pańską opinię.

– To prawdopodobnie błąd, panie pułkowniku. Iwan...

– Proszę, niech pan mówi „nieprzyjaciel”.

– A więc nieprzyjaciel, panie pułkowniku, zauważył ruchy naszych wojsk i aby im przeszkodzić, wystrzeliwiuje cały swój zapas amunicji. Wkrótce go wyczerpie.

– Panie kapitanie, przypominam sobie pańskie próby strzelania sprzed kilku dni, które pan raczył nazwać dowcipnie „skokami konika”. Wtedy nieprzyjaciel nie miał jeszcze na tym odcinku frontu wielkiej ilości artylerii. Jeden z pańskich ogniomi-strzów określił, zdaniem moim sensownie, działalność pańską jako „zaproszenie do tańca”. Mam wrażenie, że teraz otrzymujemy na to zaproszenie odpowiedź.

– Panie pułkowniku, artyleria – powiedział Witterer zachwycony w głębi duszy swą zręczną pomysłowością – którą nieprzyjaciel rzucił teraz na nasz odcinek frontu, musiała być zabrana z innego odcinka, a więc oceniając sprawę z ogólnego punktu widzenia, wyrównuje się to wszystko.

– Panie kapitanie – odparł Luschke obwąchując kawę, podczas gdy stół, przy którym siedział, lekko zadygotał – tak zwany „ogólny punkt widzenia” nie jest często niczym więcej, jak tylko wielkim oszukiwaniem samego siebie. Tutaj, na naszym małym odcinku, rozpętało się piekło, ale inni śpią sobie najspokojniej w świecie dalej.

– Kiedy jednak artyleria nieprzyjacielska ucichnie, kiedy wróg wystrzela całą swą

amunicję, wtedy...

Pułkownik podniósł rękę i nastawił ucha. Witterer również pochylił się nie mając odwagi odetchnąć, Nie słyszeli nic.

Pułkownik zgasił światło, podszedł do okna i odsunawszy gwałtownym ruchem zasłony otworzył je. Nie było nic słycać poza dalekim hukiem silników.

Front milczał.

– No więc, panie pułkowniku – powiedział Witterer z ulgą.

– Dotychczas – rzekł pułkownik, który stał przy oknie i wciągał w płuca świeże powietrze – nieprzyjaciel ostrzeliwał nasze najbardziej wysunięte pozycje. Straty piechoty utrzymywały się, jak się to mówi, w normie, nasze można było określić jako umiarkowane. Ruchy odwrotowe na szosach przebiegają jeżeli nie planowo, to w każdym razie bez niebezpiecznych zakłóceń. Dyscyplina marszu jest jeszcze możliwa i na razie nie naruszona.

– Będziemy więc mogli, również zgodnie z planem, wycofać oddziały z przedniego skraju.

– Jeżeli nie...

Luschke umilkł. Znowu słycać było ogień artylerii. Znowu wystrzeliły na horyzoncie płomienie.

– Słabo – stwierdził Witterer – nie bardzo przekonywająco. Wyczerpują się coraz bardziej.

– To – powiedział Luschke ledwie dosłyszalnie – jest nasza artyleria. A wśród niej – słyca pan? – ogień piechoty.

– Istotnie – powiedział zdumiony Witterer.

Luschke zamknął okno, zaciągnął zasłonę, podszedł do stołu z mapami i włączył światło. Na jego bulwiastej twarzy wystąpiła cienka warstwa potu.

– Znaczy to, że nieprzyjaciel atakuje – powiedział.

– I co teraz? – zapytał Witterer zupełnie bezradny i nie umiejący tej bezradności ukryć.

– Jeżeli przeciwnik naprawdę atakuje, są zawsze tylko dwie możliwości: albo się utrzymamy, albo zostaniemy pokonani.

– A rozkazy dotyczące oderwania się od nieprzyjaciela?

– Trzeba je będzie odwołać lub przynajmniej wstrzymać ich wykonanie. Albo też, jeżeli wróg będzie napierał, z czym należy się liczyć, będziemy się cofali walcząc. Też pewnego rodzaju „skok konika”, panie kapitanie.

– Rozumiem, panie pułkowniku.

– To mnie cieszy – rzucił Luschke szorstko. – Będę jeszcze bardziej rad, jeżeli wkrótce zadzwoni pan do mnie ze swego stanowiska ogniowego i zakomunikuje mi łaskawie, co się tam dzieje.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział Witterer i ulotnił się. Szedł krokiem elastycznym. Znowu miał wrażenie, że maszeruje na spotkanie jednej ze swych wiel-

kich godzin.

Luschke dopiero teraz zapalił swoje cygaro. Paliło się kiepsko i nie smakowało mu. Odłożył je na bok. Po chwili zgasło.

Zjawiał się adiutant z pierwszymi meldunkami radiowymi.

Luschke przerzucił je: Nieprzyjaciel atakuje wzgórze 234, nasyp kolejowy przy małym stawie – a więc na dużej przestrzeni. Niezbyt mocne siły piechoty. Na razie żadnych zdobyczy terenowych. Na razie nic o czołgach. Na razie żadnych większych strat własnych.

– Zawsze to samo – powiedział Luschke do siebie. – Z początku symptomy jak w celi wariatów: obłąkany wali głową w ścianę, która będąc z gumy ustępuje nieco, ale po chwili wraca do dawnej pozycji. Obłąkany wali znowu, nadwerężając gumową ścianę. Jeżeli głowę ma z żelaza i atakuje z rozmachem, a materiał będący przedmiotem ataku jest kiepski, to przedrze się jednak w końcu.

– Dowódcy dywizji ciągle jeszcze nie można osiągnąć – zameldował adiutant. – A jego szef sztabu...

– Prywatnie szef sztabu dywizji to dzielny człowiek, ale w służbie to papuga generała. Daruję wam go.

– Przybył porucznik Wedelmann.

– Niech to cudo wejdzie. Może pan tymczasem spróbuje ściągnąć do aparatu mego czcigodnego kolegę z piechoty.

Adiutant skinął głową. Coraz bardziej zachowywał się jak cywil: chodził i wychodził bez salutowania, nie stawał na baczność, nie mówił po wojskowemu. Było to całkowicie w duchu pułkownika Luschke. – Potrzebny mi jest człowiek do pracy, pajaca nie potrzebuję – powiedział kiedyś.

Zjawiał się Wedelmann, wysoki, zgrabny, jak zawsze poważny. Ponieważ był bez czapki, podniósł ramię do hitlerowskiego pozdrowienia.

– Tylko bez ćwiczeń gimnastycznych – powiedział Luschke. – Na razie nie odbywa się tu żaden zjazd partyjny. Proszę siadać. Proszę postarać się dobrze usiąść.

Porucznik zajął posłusznie miejsce. Wydawało mu się, że pułkownik Luschke jest nieco zdenerwowany. Wedelmann rozumiał to, czuł bowiem, że sytuacja wcale nie jest różowa.

– Jak pan myśli, Wedelmann, po co pana tu wezwałem?

– Czy mam znowu objąć trzecią baterię, panie pułkowniku?

– To by panu odpowiadało, jak widzę! Chcę postawić pana pod sąd wojenny, ot co!

Wedelmann milczał grzecznie z wyczekującą miną. Był przekonany, że pułkownik pozwolił sobie na jeden ze swoich ponurych kawałów. Nie uważał zresztą, by kawał ten był zbyt udany, trudno jednak dziwić się temu w obecnej sytuacji.

– Wedelmann, przybywa pan z nowej pozycji?

– Tak jest, panie pułkowniku. Motocyklem. Inaczej przedostać się nie można.

Trzydzieści pięć kilometrów w ciągu niecałych dziewięćdziesięciu minut.

– Tempo nie najgorsze. Gdyby pan przeczul, po co pana tu wezwałem, jechałby pan zapewne wolniej. Jakże tam z dyscypliną marszu?

– Na razie jeszcze w porządku. Ale odczuwa się pewną nerwowość. Gdyby nieprzyjaciel użył samolotów...

– Wedelmann – powiedział Luschke i cofnął się na oparcie swego krzesła – kazałem panu stawić się tutaj, by opowiedzieć panu pewną historię. Pańska jazda motocyklem była trudna i kłopotliwa, prawdopodobnie będzie pan ją musiał tej nocy jeszcze dwukrotnie powtórzyć, ale ta historia jest tego warta.

Wedelmann czekał w milczeniu. Był szczerze zaciekawiony, nie przeczuwał bodaj w najmniejszym stopniu, co mu Luschke chce opowiedzieć.

– To historia o pewnej radiostacji nadawczej, która nie była niemiecką stacją, a mimo to stała właśnie tam, gdzie się znajdował park artyleryjski, na którym pełnił służbę wierny sługa führera. Stacja ta wypaplała wszystko, co ulubieńcowi führera było wiadome.

Wedelmann zbiałał jak wapno. – To niemożliwe, panie pułkowniku.

– To dowiedzione, panie poruczniku.

– Nie!

– Ten, kto tę stację obsługiwał, wiedział wszystko, co poza bohaterskim wychowaniem führera wiadome było tylko pewnemu staremu matołowi o twarzy jak bulwa.

– Nie – powtórzył Wedelmann.

Pułkownik Luschke złożył usta jak do uśmiechu. Ale twarz jego pozostała nieruchoma. W jego małych oczach leżał smutek i chłód.

– Jeżeli to prawda, wyciągnę z tego wszelkie konsekwencje – powiedział Wedelmann martwym głosem.

– Tylko jedną – odparł pułkownik. – Wszystkie inne proszę mnie pozostawić.

Wedelmann podniósł się sztywno.

– To, co powiedziałem o konsekwencjach – pożegnał go pułkownik – jest rozkazem. Moim rozkazem, Wedelmann!

Ogniomistrz Asch wiedział, co się teraz stanie. Wszystko to, tylko w o wiele większej skali, przeżył przed kilkoma miesiącami, w grudniu 1941 roku.

Wtedy, rzekomo w celu zainkasowania Moskwy, cała armia wysunęła się za daleko – jej straże przednie sięgały aż do Tuły. No i potem cała ta armia dała drapakę. A komunikat Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych brzmiał: „Planowe cofnięcie frontu”. Drogi stały się wówczas długimi na pięćset kilometrów rzędami grobów dla ludzi i pojazdów. Po raz pierwszy starsi oficerowie stracili swą postawę i przestali wierzyć w führera. Przesiąknęła wiadomość, że Hitler potraktował „jak psa” jednego z dowodzących generałów. Żołnierze nie mieli w stosunku do tego procederu żadnych zastrzeżeń, ale że cała generalicja zachowała się wobec tego faktu jak banda

tchórzów – to dawało do myślenia.

Od owych czasów kursowało na froncie powiedzonko: „Generałowie również mają tyłki, w które można kopać”.

Po raz piąty tej nocy Asch objechał kolumnę starszego ogniomistrza Bocka, która w ostatnich dwóch godzinach posunęła się zaledwie o trzy kilometry. Ciężko obciążone pojazdy zataczały się na rozjechanej szosie. Koła ich przedzierały się z trudem przez coraz głębsze błoto zmieszane ze śniegiem. Chłodnice kipiały, spadające na nie płaty śniegu syczały cicho.

Kolumna znowu tkwiła w miejscu. Kilku kierowców wyłączyło silniki. Starszy ogniomistrz Bock spał jak zabity w swojej limuzynie.

Ogniomistrz Asch niemal bez trudu przedarł się na swoim motocyklu aż do wozu szefa. Zapukał w zamkniętą szybę. Bock zerwał się przerażony. Potem uchyliwszy nieco okna zapytał: – Chcesz się zagrzać, Asch?

– Rum twój jest coś wart, Bock?

– To podobno prawdziwy jamajka i prawie tak smakuje. W każdym razie kosztował mnie skrzynkę cygar.

Ogniomistrz Asch wziął butelkę i wypił. – Wcale nieźle – mruknął. – Jeżeli zacząłbym potem siusiać, to to będzie grog.

– Tak czy owak – powiedział Bock – zdaje się nie ulegać wątpliwości, że tę noc spędzimy na szosie.

– Zawsze to lepiej niż w rowie przydrożnym. Albo też w grobie masowym.

– Kiedy się wydostaniemy na główną szosę – Bock silił się na pewną siebie minę – odwalimy pozostałe trzydzieści kilometrów w ciągu dwóch godzin.

– Urodzony z ciebie wyścigowiec – powiedział Asch. – Nie zapominaj jednak, że nie można maszerować prędzej od najwolniejszego pojazdu, i to pod warunkiem, że dadzą nam maszerować. Ale jest przecież pogoda, która nie słucha führera, są Sowietci, którzy wcale się z nami nie liczą, i są również nasi generałowie, z których żaden jeszcze nie odmroził sobie łap.

– Chcę się teraz zdrzemnąć – ziewnął szef. – Noc jest jeszcze długa.

– Nie będziesz teraz drzemał. Będziesz uważał na swoje pojazdy. Ruszam na przód, żeby zobaczyć, co się właściwie dzieje.

– Ach ty, ze swoimi ciągłymi podrózkami rozrywkowymi! – mruknął ze złością starszy ogniomistrz. – Kiedyś rozwalisz sobie przy tej okazji łeb i wtedy powiem: „Dobrze mu tak!”

Po tych słowach Bock wylazł z wozu i przeszedł się wzdłuż swojej kolumny. Żołnierze nie byli zbyt zmęczeni, ale ponurzy i źli. Huki dochodzące z przedniego skraju niepokoiły ich. Chcieli jechać, jechać dalej, dotrzeć do nowych kwater. Stanie bez ruchu na szosie zapchanej pojazdami nie należało, jak dobrze wiedzieli, do rzeczy bezpiecznych.

Ogniomistrz Asch minął swoją kolumnę i jechał dalej wzdłuż nie kończącego się

łańcucha wozów ciężarowych. Można było dojrzeć tylko kilka samochodów osobowych. Żołnierzy na szosie nie było prawie widać. Pojazdy stały nieruchomo na przestrzeni jakichś trzech kilometrów. Wydawało się, że ten odcinek jest martwym torem.

Za to na rozwidleniu prowadzącym do drogi numer trzy panowało wielkie ożywienie. Uzbrojeni po zęby żandarmi polowi, nazywani „psami łańcuchowymi”, bawili się tu w policję regulującą ruch. Dyrygował nimi pewien major.

Asch podjechał tam. Od razu ogarnął sytuację: major blokował swymi ludźmi wszystkie drogi dojazdowe z wyjątkiem jednej. Po tej jednej toczyła się jego dywizja. Ilekroć kolumny nie całkiem „rasowo czyste” próbowały się włączyć, major po prostu zdawał się eksplodować.

Był to osobnik średniego wzrostu, kościsty. Nad futrzanym kołnierzem sterczało brutalne oblicze. Od czasu do czasu wydawał ostrym głosem rozkazy.

Asch uważał, że energia tego człowieka graniczy z morderstwem. Znał te typy. Umiały się przepychać! Jeżeli taki osobnik napotka prawdziwy opór, gotów jest każdej chwili wyciągnąć rewolwer i zrobić z niego użytek.

Asch był przeświadczony, że dopóki ten człowiek panuje nad skrzyżowaniem, kolumny na drogach dojazdowych raczej zgniją, niż się przedostaną. A więc – powiedział sobie Asch – majora trzeba usunąć. Ale jak?

Asch podjechał do skrzyżowania, chciał skręcić w kierunku głównej szosy i został od razu zatrzymany. Jakiś żandarm zablokował mu drogę rozkrzyżowawszy szeroko ramiona. – Stój! – zawołał. I natychmiast, jakby pod działaniem magnesu, wyskoczył major.

– Z meldunkiem! – zawołał Asch, dobrze się orientujący w zwyczajach.

– Przepuścić – powiedział major.

Asch dał gazu i wjechał na główną szosę. Wozy, które wyprzedził, toczyły się wolno naprzód. O trzy kilometry dalej znowu się stłoczyły i szosa była znów zablokowana.

Grupa żołnierzy zebrała się dokoła jakiejś ciężarówki. Klęli i wrzeszczeli. Wmieształ się jakiś oficer. Klął również.

– Co się tu stało? – zapytał Asch.

– Oś się złamała – powiedział jeden z żołnierzy. – Przeładowana, oczywiście żarciem dla jakiegoś sztabu.

– Zepchnąć do rowu – rozkazał oficer.

Kierowca ciężarówki nie chciał tego rozkazu wykonać. Rozległ się ryk innych kierowców. Jakaś inna ciężarówka spróbowała wyminąć uszkodzony wóz, wpadła w poślizg i walnęła o drzewo.

– Obie ciężarówki do rowu – rozkazał oficer.

Podjechał olbrzymi henschel, podsunął się pod ciężarówkę ze złamaną osią. Potrącił ją i pchnął przed siebie; ciężarówka straciła równowagę i zwała się w zarośla.

– Droga wolna! – zawołał oficer. – Jazda!

Asch ruszył dalej, wymijając jadących z przeciwnej strony motocyklistów. Stwierdził, że bez przeszkód mogą poruszać się tylko jadący na motocyklach. Wielkie pojazdy nie mogły się posuwać naprzód, gęsto zwarte kolumny nie przepuszczały ich. Niezawodnie nadejdzie chwila, w której szosa stanie się dla nich za wąska.

Nadjechali z przeciwnej strony na motocyklach dwaj żandarmi. – Wszystkie wozy na prawo! – wrzasnęli. – Lewa wolna! Generał jedzie naprzód!

Przeładowane ciężarówki zboczyły posłusznie na prawą stronę jezdni. Asch umieścił się za małym autobusem. Zadzźwięczały syreny. Z rykiem przejechał terenowy samochód osobowy kryty, na gąsienicach.

Jakiś żołnierz wychylił się ze swojej ciężarówki, by się przyjrzeć generalskiemu wozowi. Potem powiedział do Ascha: – No, ci tam na przedzie musieli narobić nie-małego gówna.

– Może nie jest źle – powiedział Asch – jeżeli prawdziwy generał tam jedzie.

– Masz chyba rację – przyznał żołnierz, zainteresowany teraz już tylko tym, by się szybko posunąć naprzód. Ale szosa ciągle jeszcze była zablokowana.

Asch włączył pierwszy bieg chcąc wyminąć mały autobus. Szosa była tu jeszcze mniej widoczna niż gdzie indziej, włączył więc reflektory i w ich wąskiej smudze światła zobaczył z tyłu autobusu bagaże, które wydały mu się znajome. Zahamował, wyłączył światło i silnik.

Otworzył drzwiczki małego autobusu i zawołał: – No bohaterki! Jakże się wam wiedzie?

– Czyżby to był pan Asch? – rozległ się głęboki, nieco zmęczony głos. Asch poznał, że odezwała się Charlotta.

– To mój duch! – powiedział ogniomistrz i włączył do autobusu.

– Pan! – odezwała się Viola z niezadowoleniem; owinęła się szczelnie futrem i wcisnęła w kąt autobusu. – Pana nam jeszcze brakowało!

– Pani z pewnością nie! powiedział Asch. – Zawsze zresztą przypuszczałem, że panią transportują osobiście oficerowie sztabu.

– Może nam pan być pomocny, panie Asch? – zapytał sztukmistrz. Zdawało się, że całkowicie zapomniał o jakichkolwiek sprzeczkach. Starał się nie wspominać niedawnej przeszłości, gdyż był ogarnięty strachem. – Utknęliśmy tutaj i nie możemy się ruszyć dalej. Czy to nie okropne?

– Co znowu, co znowu! – zawołał Asch żywo. – Chyba nie spodziewał się pan, że wojna to rzecz przyjemna?

– Panie Asch – powiedział sztukmistrz wylewnie – gdyby nam pan dopomógł...

– Ja na pańskim miejscu – zawołała Liza Ebner – prosiłabym raczej każdego innego, tylko nie tego pana!

– Cieszy mnie to – powiedział Asch – że jest pani jeszcze taka rześka, Lizo.

– Marzniemy tutaj – odezwała się Charlotta. – Jesteśmy również głodne.

- A pragnienia państwo nie macie? – zapytał Asch? – Mam w manierce koniak.
- Dawaj pan! – powiedziała Charlotta.
- Proszę stąd wyjść – zawołała Liza Ebner.
- Gdyby pan nam pomógł... – zaklinał sztukmistrz.
- Spokój! – zawołał Asch. I spokój natychmiast nastąpił.
- Nic nie słyszycie? – zapytał Asch po chwili. Na razie nie słyszeli nic.
- Wszyscy natychmiast wysiadać! – krzyknął Asch.

Krzyknął z taką stanowczością, że pasażerowie małego autobusu wysiedli pośpiesznie. Pierwszy wyskoczył kierowca, który poczuł od razu co się święci.

Stali na szosie i nasłuchiwali. Przy unieruchomionych pojazdach stali żołnierze i patrzyli w górę. A tam w górze coś huczało i jęczało, podchodząc coraz bliżej i bliżej.

– Samolot – powiedział sztukmistrz przerażony.

– Tak zwana maszyna do szycia – wyjaśnił Asch. – Jedno z najstarszych pudeł radeckich. Wyrzuca się z niej bomby tylko przy pomocy łopatkę do węgla.

Liza Ebner stała tuż obok Ascha. Próbowwała zobaczyć, co się maluje na jego twarzy. Ale twarz ta była pod hełmem szara, zamazana, pozbawiona konturów.

„Maszyna do szycia” brzęczała teraz bezpośrednio nad nimi. Nagle w powietrzu zrodził się przeraźliwy gwizd. Sztukmistrz pozęgłował do przydrożnego rowu. Liza Ebner uczepliła się gwałtownie swymi małymi rękami ramienia Ascha.

– Nic nam nie grozi – powiedział Asch.

Bomba spadła z hukiem i wybuchła w odległości jakichś trzystu metrów, tuż przy szosie. Podobna była do reflektora rozbłyskującego jasno i nagle gasnącego na zawsze. Potem nastąpił głuchy trzask. Jakiś człowiek krzyknął dziko.

– Mój Boże! – powiedziała Liza Ebner.

Asch gwałtownym ruchem wyzwolił swe ramię z jej uścisku.

Krzyki stamtąd, gdzie padła bomba, stały się głośniejsze, mnożyły się i mieszały z okrzykami nie wywołanymi przez ból. W ciszy nocnej rozległ się ryk rozkazów. Zdawało się, że niebo brzęczy i huczy ze wszystkich stron.

Potem odezwały się znowu silniki kilkuset ciężarówek. Kolumny chciały posuwać się naprzód, zostawić za sobą szosę oblepioną mokrym śniegiem, pozbyć się krążących nad nimi samolotów.

Asch pomyślał: Jeżeli tak dalej pójdzie, jeżeli w dodatku nastąpi jakaś wyrwa we froncie – wybuchnie panika.

– Może się tu jeszcze później zjawię – powiedział Asch i podszedł do swego motocykla.

– Nie zostaniesz tutaj? – zapytała Liza Ebner, która poszła za nim.

– Nie mogę! Jestem potrzebny w mojej baterii.

Wsiadł na motocykl, włączył silnik i odjechał. Podjechał do majora, który ciągle jeszcze rządził się na skrzyżowaniu dróg, wydając dzikie, oderwane rozkazy.

– Panie majorze – powiedział Asch. – Dwa kilometry stąd utknął generał i nie może ruszyć naprzód.

– Do diabła! – powiedział major. – Jaki generał?

– Nie wiem – odparł Asch. – W każdym razie dał rozkaz, żeby się pan u niego natychmiast zameldował. Z trzema żandarmami polowymi.

– Ja?

– Major, który stoi na skrzyżowaniu dróg – oto słowa generała.

– Niech to diabli wezmą! – zawołał major. Potem wezwał do siebie trzech spośród sześciu żandarmów polowych, wyszczał pod adresem pozostałych władców ruchu kilka gwałtownych zdań i ruszył z kopyta.

Ogniomistrz Asch skręcił na boczną drogę, na której ciągle jeszcze stała zablokowana kolumna ogniomistrza Bocka. Tam znalazł się po chwili poszukiwań przed obliczem jakiegoś wymyślającego porucznika.

– Panie poruczniku – powiedział Asch – okazja jest teraz korzystna. Na skrzyżowaniu nie ma na razie żadnego z przełożonych.

Porucznik zrozumiał, ruszył szybko naprzód i znalazłszy się na skrzyżowaniu objął komendę. Zatrzymał kolumny dywizji majora i zwolnił drogę dla swojej własnej.

Kiedy w pół godziny później wrócił pieniący się z furii major, pojazdy trzeciej baterii wtaczały się, właśnie na główną szosę. Tym, którzy jechali za nimi, groził lufą pistoletu szalejący major. Ogniomistrz Asch ruszył dalej, w kierunku stanowisk ogniowych trzeciej baterii.

Jego ekscelencja pan admirał i jego czcigodny kolega, komendant portu lotniczego, niegdyś oficer jego cesarskiej mości, ukończyli swoją nocną inspekcję.

– To, co tutaj widziałem, panie kolego – oświadczył ekscelencja niemal uroczyście – zrobiło na mnie wielkie wrażenie, które można by chyba porównać z moją inspekcją pierwszych cesarskich okrętów podwodnych po ich zwycięskiej wyprawie na nieprzyjaciela.

– Tak, to były szczęśliwe czasy – powiedział komendant. Jego ekscelencja skinął głową. – Dla nas żołnierzy na pewno. Ruszyli obaj w poczuciu swej wartości w stronę hangaru numer jeden, przed którym w świetle reflektorów widać było panią Loreę Schulz i kaprała Vierbeina.

– Nasz młody kolega z artylerii – powiedział admirał z przekonaniem – to wierne odbicie naszej teraźniejszości. Prawdziwy żołnierz niemiecki. Skromny i dzielny.

– I zawsze posłuszny – dodał komendant dwuznacznie.

– Uosabia prawdziwe wartości żołnierskie – stwierdził pan admirał. – Słucha. To przecież najważniejsze.

– Jeżeli jednak – powiedział komendant ostrożnie – wydane kiedyś zostaną rozkazy żądające popełnienia zbrodni?

– To, drogi mój panie kolego – powiedział pan admirał tonem niemal uroczystym – naprawdę nie jest problemem. W Niemczech nie ma czegoś podobnego. Nigdy nie

było i nie będzie.

Komendant wolał nie zabierać na ten temat głosu. Stary wilk morski był wspaniałym żołnierzem i dobrym człowiekiem – już te obie właściwości nie należały do rzeczy codziennych. Umysł jego odznaczał się szlachetną naiwnością.

Zniszczenie tej wiary byłoby okrucieństwem.

Przechodząc więc na inny temat komendant lotniska powiedział: – Ta pani, którą pan przyprowadził, to interesująca osoba.

– Dama ta – powiedział jego ekscelencja – to uroczą małżonką wybitnego oficera, który zastępuje na razie mego zięcia, dowódcę dywizjonu. Pełna uroku i bardzo kobieca. Oczywiście, nie jest to stara szkoła naszych żon oficerskich. Ale przecież zmieniły się nieco nie tylko metody prowadzenia wojny, lecz chyba także zwyczaje i obyczaje w kasynach.

– Nie ulega wątpliwości – zapewnił komendant i spojrzał w kierunku Vierbeina i Lory Schulz stojących obok siebie podejrzanie blisko.

– Prawdziwie przykładna dama – powiedział pan admirał nie bez wzruszenia właściwego bohaterom mórza. – Ani cienia pychy czy fałszywej dumy z powodu wybitnych czynów swego małżonka. Raczej prawdziwe zrozumienie dla trosk i potrzeb podwładnych. Przypomina pan sobie z pewnością, jak to jej cesarska mość cesarzowa odwiedzała rannych żołnierzy, jak ich pielęgnowała, pamięta pan pewnie, że ich królewskie wysokości księżniczki pełniły nawet w lazaretach normalną służbę?

– Oczywiście – odparł komendant – pamiętam. Niestety nie mogę przytoczyć takich przykładów z naszej teraźniejszości. Ani małżonki reichsleiterów, ani żony gauleiterów...

– Ależ drogi kolego, niechże się pan przyjrzy naszej sympatycznej pani Schulz. Cóż ona robi innego? Opuszcza zabawę, by pożegnać żołnierza, który idzie względnie leci na front. Oto co nazywam wzorowym zachowaniem!

Komendant pokiwał już tylko głową. Kiedy wraz z jego ekscelencją zbliżył się do Vierbeina i jego towarzyski, kapral przybrał postawę zasadniczą. Lora Schulz uśmiechnęła się.

– No i jakże tam?

– Odłot za dwadzieścia pięć minut – zameldował Vierbein. – Ale nie ma jeszcze ani żołnierzy, ani sprzętu.

– Będą tu wkrótce – powiedział komendant. – A gdyby się mieli spóźnić, wsiądzie pan do następnego samolotu.

Jego ekscelencja roześmiał się serdecznie. Tylko się nie martwić, mój drogi. Wojna panu nie ucieknie. Panu z pewnością nie.

Powoli wytoczyła się z hangaru nowa maszyna i pełzła dygocąc na pole startowe; osiągnąwszy je zatrzymała się z drgającymi skrzydłami.

Głośnik zaryczał: – Maszyna „Zygfryd osiemnaście”, miejsce przeznaczenia dwieście siedemdziesiąt dziewięć. Ładunek jak zwykle. Do tego kapitan Lehman. Do

tego starszy lekarz doktor Winter i dwóch ludzi. Do tego kapral Vierbein i dwunastu ludzi. Odlot za dwadzieścia jeden minut.

– Zdziwiająco precyzyjne wydawanie rozkazów – powiedział jego ekscelencja pan admirał.

– Podobne rozkazy przed startem wprowadziłem już wówczas, w eskadrze Immel-manna.

Od strony baraków administracyjnych podjechał do pola startowego samochód ciężarowy i zahamował tuż przed samolotem transportowym. Wyskoczył z niego człowiek w oficerskim płaszczu i zaczął komenderować, jak gdyby się znajdował na koszarowym dziedzińcu: – Wysiadać! Zbiórka!

– Mój mąż – powiedziała Lora Schulz zaskoczona.

– Dzielny wojak – oświadczył pan admirał pełen szczerego entuzjazmu. – Wybitnie dzielny wojak.

– I mnie się tak zdaje – powiedział komendant. Tylko Vierbein nie odezwał się ani słowem.

Porucznik Schulz, rosły, barczysty, stał pośrodku pola startowego, jak widać, dokładnie świadom tego, ile na nim oczu spoczywa. Zamierzał dać tym półżołnierzom z lotnictwa widowisko jak się patrzy, był przeświadczony, że spoglądają na niego z szacunkiem.

Kierowca, z którego Schulz nie spuszczał oczu, obszedł wóz, odryglował tylną ścianką ciężarówki i opuścił ją. Żołnierze zeskoczyli na ziemię, wytaszczyli swoje toboły i ustawili się przed Schulzem. Jeden z dwóch kaprali, w nowym, lśniącym jak reflektor hełmie, dowodził drugim kapralem oraz dziesięcioma żołnierzami. Ustawwszy ich podał komendę „na prawo patrz!” i zameldował Schulzowi: – Dwóch podoficerów, dziesięciu szeregowców.

Ku bezgranicznemu zdumieniu Vierbeina kapralem składającym Schulzowi meldunek był Ruhnau. A drugi „braciszek sjamski”, kapral Bartsch, stał w szeregu.

Porucznik Schulz dotknął palcem czapki, ryknął „dziękuję” i zakomenderował „spocznij!” Potem powiedział: – Oczekuję więc od was, że mnie i memu dywizjonowi nie zrobicie w polu wstydu. A teraz jazda, wsiadać!

Odwrócił się, jakby szukając czegoś. Żołnierze poumieszczali swe toboły w samolocie. Vierbein wiedział od razu, że to jego szuka Schulz wzrokiem. Wydawało się jednak, iż porucznik wcale go nie widzi. Gapił się na swoją żonę, która z uśmiechem patrzyła gdzieś ponad jego głowę. Potem zauważył jego ekscelencję pana admirała oraz komendanta lotniska.

Schulz podszedł do obu oficerów, zasalutował, dostąpił zaszczytu uściśnięcia ich rąk. Po chwili powiedział:

– Pozwoliłem sobie osobiście dostarczyć zarówno żołnierzy, jak i sprzęt. Sprawa jest nie tylko pilna, ale i ważna.

– To się nazywa poczucie odpowiedzialności – pochwalił pan admirał.

– Kiedy się o tym dowie pułkownik Luschke – zapewnił komendant – ucieszy się niewątpliwie.

– Mam nadzieję – odparł z całą powagą porucznik Schulz. Potem podszedł do żony i zatrzymał się przed nią. – Kto cię tu sprowadził? – zapytał badawczo.

– Oczywiście, jak zawsze, znowu ten Vierbein – powiedziała Lora Schulz.

Porucznik parsknął i obrzucił żonę spojrzeniem przepojonym pogardą i groźbą. Machinalnie zaczął wygładzać fałdy płaszcza, chociaż ich wcale nie było.

– Kapralu Vierbein – powiedział kołysząc się lekko w kolanach. Vierbein stanął przed nim w wyprężonej postawie.

Nie mogąc znaleźć właściwych słów Schulz na razie spoglądał na kaprala ostro i znacząco. Vierbein przypuszczał, że jeszcze w ostatniej chwili spadnie na niego jakaś druzgocąca katastrofa.

– Kapralu Vierbein – powiedział Schulz powtórnie i znowu zamilkł.

Jego ekscelencja admirał nasłuchiwał z zainteresowaniem. Uważał porucznika za wielkiego wojaka, kaprala za dzielnego żołnierza, a przeżywany okres za doniosły. Nie bardzo podobał mu się tylko wódz naczelny. Ale: Niemcy ponad wszystko!

Komendant udał, że musi zająć się samolotem, który miał za chwilę wystartować. Lora Schulz podeszła nieco bliżej, jak gdyby zamierzała wziąć udział w dialogu między Schulzem i Vierbeinem. Kapral stał jak drzewo, w które zaraz uderzy piorun.

Reflektory cięły ciemności nocy. Silniki samolotu huczały z senną regularnością. Żołnierze pełniący służbę na lotnisku poruszali się w żółwym tempie. Pilot rozmawiał krzykliwie z jakimś mechanikiem. Nie rozmawiali jednak o sprawach technicznych, wymieniali tylko między sobą adresy.

– Kapralu Vierbein – odezwał się wreszcie porucznik Schulz. – Mimo największych trudności udało mi się postawić do dyspozycji pułku na froncie dwóch podoficerów, dziesięciu szeregowców oraz sześć radiostacji.

– Tak jest, panie poruczniku – powiedział Vierbein machinalnie.

– Mimo największych trudności – powtórzył Schulz z uporem, jak by chciał te słowa wbić Vierbeinowi do głowy. – Widzieliście na własne oczy, Vierbein, jak wielkie mamy tu trudności. Dałem wam sposobność zapoznać się z tymi trudnościami. Wydaje mi się, że jesteście w nich zorientowani.

– Tak jest, panie poruczniku.

– Materiał ludzki, którego nam dostarczają, jest kiepski i staje się z miesiąca na miesiąc coraz gorszy. To oczywiście znacznie utrudnia szkolenie i wymaga najlepszych instruktorów. Zauważyliście to chyba, Vierbein, co?

– Tak jest, panie poruczniku.

Schulz skinął poważnie głową. Miało się wrażenie, że zbiera wszystkie siły, aby przeskoczyć przez ostatnią, największą i najniebezpieczniejszą przeszkodę. – Mamy przy tym oczywiście jeden tylko cel na oku: dać frontowi możliwie najlepiej wyszkolony materiał ludzki. Mam nadzieję, żeście się w tym zorientowali?

– Tak jest – powiedział Vierbein.

– Jeżeli, jak mnie wyraźnie zapewniacie, zorientowaliście się w tym, to mam nadzieję, że potraficie – Schulz zaczerpnął głęboko oddechu – opowiedzieć o tym panu pułkownikowi Luschke.

Zanim Vierbein zdążył odpowiedzieć, Schulz pochylił się nieco naprzód i powiedział poufale, jak kolega do kolegi: – Gdyby pan pułkownik Luschke miał jakiegokolwiek życzenia specjalne, zawsze je spełnimy. Rączę za to osobiście. Nawet gdyby, jak tym razem, trzeba było przezwyciężyć największe trudności. Nie zawahałem się jednak i wysłałem dwóch moich najlepszych i najbardziej zaufanych podoficerów, z którymi tylko bardzo niechętnie się rozstaję. Zrobiłem to wyłącznie dla pana pułkownika Luschke. Możecie mu to zameldować.

Kapral Vierbein, który ciągle jeszcze nie umiał opanować swego zmieszania, milczał. Nie potrafił ogarnąć w całej pełni tego, na co tu sobie Schulz pozwalał. Nawet nie zdążył zapytać sam siebie, co doprowadziło do tego, że Schulz odtrącił „braci sjamskich”.

Zaryczał głośnik: – Maszyna „Zygfyrd osiemnaście” startuje za pięć minut. Wszyscy pasażerowie na miejsca.

Kapral Vierbein poprosił, żeby mu pozwolono się pożegnać.

– Kominy jeszcze dymią – powiedział komendant i poprosił o powitanie tymi słowami pułkownika Luschke i komendanta portu lotniczego na froncie.

– Zazdroszczę panu, mój drogi, młody kolego – powiedział jego ekscelencja pan admirał, który miał wrażenie, że żegna wielkie jednostki marynarki cesarskiej. – Wolno panu walczyć o Niemcy. Niech pan przyniesie zaszczyt swojej ojczyźnie!

– Zameldujcie w moim imieniu panu pułkownikowi Luschke: Rozkaz wykonany! – powiedział Schulz.

Lora Schulz podeszła do Vierbeina, spojrzała mu mocno w oczy, pochyliła się szybko i pocałowała go prosto w usta. – Mój biedny mały! – szepnęła. W oczach jej stały łzy.

Vierbein pobiegł w stronę samolotu, zginął po chwili w jego wnętrzu, spojrzał przelotnie na blade twarze żołnierzy, wśród których specjalną bladością wyróżniały się oblicza „braci sjamskich”. Spróbował wyjrzeć przez okienko kabiny, ale zobaczył tylko wirujące śmigło. Samolot potoczył się wolno, dygocąc gwałtownie, wreszcie oderwał się z trudem od ziemi.

To, co Vierbein nazywał ojczyzną, zatoneło w ciemnościach.

Ogniomistrz Asch zbliżał się do stanowisk ogniowych trzeciej baterii. Im bardziej posuwał się naprzód, tym ruch na szosie stawał się mniejszy; tuż za przednim skrajem nie było go prawie zupełnie. Tylko wozy sanitarne i ciężarówki z amunicją przedzierały się tutaj przez błoto.

Na przedniej rubieży huczała wojna, która z trudem znowu otwierała oczy. W oddali czekały działa jak zmęczone psy. Karabiny maszynowe wypluwały monoton-

nie swe serie. Serie wybuchów pocisków moździerzowych przypominały odwalanie zwałów węgla w kopalni.

Oczy przyzwyczały się do ciemności. Mokry śnieg, który padał coraz gęstszymi płatami, przestał już być zasłoną. Wkrótce przejdzie w deszcz.

Asch pojechał do wsi położonej za przednim skrajem, w której ciągle jeszcze znajdowało się główne stanowisko ciągników trzeciej baterii. Na stanowisku ogniowym, o kilkaset metrów przed nim, krztusił się jakiś ciągnik. Zdawało się, że silnik jego zamrze za chwilę. Słysząc było przekleństwa. Poza tym wojna, która się na nowo rozpętała, nie zwracała na ten odcinek frontu prawie żadnej uwagi.

Ogniomistrz zobaczył samochód dowódcy baterii. Stał przed chatą, która dotychczas służyła za kwaterę Aschowi i Wedelmannowi. Odstawiwszy motocykl Asch wszedł do środka. Pod piecem siedział bombardier Kowalski i suszył swoje skarpetki.

– Co ty tu robisz? – zapytał Kowalski. – Stęskniłeś się za nami, co?

– Chciałem tylko zobaczyć, czy was już nie wykończono.

– Nam to, zdaje się, nie grozi – powiedział Kowalski. – Tamci nie zwracają na nas żadnej uwagi. Witterer po prostu ożył.

Było tak, jak Asch przypuszczał: najpierw działania na całej szerokości odcinka frontu, potem tworzenie się punktów ciężkości. Ale żaden z tych punktów nie obejmował rejonu trzeciej baterii.

– Nasz Witterer – powiedział Kowalski – wyobraża sobie teraz zapewne, że Sowieci go się boją.

– Duże zużycie amunicji? – zapytał Asch.

– Można wytrzymać – odrzekł bombardier machając skarpetkami przed otworem pieca. – Nasz bohater stał się nawet ostatnio oszczędny. Nareszcie bowiem zrozumiał, że Sowieci strzelają na pewno zawsze wtedy, kiedy i on strzela. To go zdenerwowało.

Asch usiadł na ziemi obok Kowalskiego i wyciągnął ręce w stronę ognia. – Sowieci – powiedział – będą próbowali przełamać front.

– Nie u nas – odparł bombardier. – Nie zechcą zrobić tej przykrości Wittererowi.

– Ale gdzieś na lewo albo na prawo od nas. A wtedy będziemy ich mieli albo z boku, albo nawet z tyłu.

– I do tego wielkiego gówna ty się palisz. Chciałbyś widzieć, jak Witterer będzie latał z pełnymi spodniami. Czyżbyś po to tu przyjechał?

Asch uśmiechnął się do Kowalskiego. – Skierowałem jedną połowę baterii na właściwą drogę, teraz muszę pomyśleć o drugiej.

– Nie zapomnij przy tym – powiedział Kowalski – że Witterer figuruje u mnie w spisie kandydatów na tamten świat.

– Nie rób głupstw – ostrzegł Asch. – Możesz narazić całą baterię.

– Chcę mu tylko od czasu do czasu zadać porządnie bobu – powiedział Kowalski

gniewnie. Chcę wymacać jego piętę achillesową i w odpowiednim momencie go w nią dźgnąć.

Asch pogrzał się jeszcze trochę, potem zostawił Kowalskiego i wyszedł znowu w ciemności nocy. Sytuacja była całkowicie nie zmieniona. Front huczał ze wszystkich stron, lecz na odcinku, gdzie znajdował się Asch, panowała względna cisza. O dwa, trzy kilometry dalej grzechotał karabin maszynowy. Potem padły pojedyncze strzały karabinowe.

Na stanowisku ogniowym trzeciej baterii krztuszący się wciąż jeszcze ciągnik próbował wyciągnąć ze stanowiska jedno z dział, ale koła buksowały, a gąsienice raz po raz zsuwały się z kół. Żołnierze napierali na działo bez większego wysiłku, co Asch natychmiast zauważył. Witterer stał obok i wykrzykiwał rozkazy. Asch stanął w pobliżu Witterera i przyglądał się.

– Nie stójcie tu beczynnienie! – zawołał kapitan. – Pomagajcie lepiej innym.

– To bezcelowe – powiedział Asch. – Ziemia jest zanadto rozorana. Rozłazi się jak mydło.

– Sąd w tej sprawie proszę łaskawie mnie pozostawić! – zawołał Witterer.

– To wyłącznie sprawa doświadczenia – powiedział Asch. – Niech pan kapitan pozwoli mnie się do tego zabrać.

Nie czekając na zgodę dowódcy Asch objął kierownictwo bez żadnych ceregieli.

– Wyłączyć silnik. Trzech ludzi niech przyniesie wiązki chrustu.

– Jasne! – powiedział kierowca. – Tylko tak! Mówiłem to już przecież pół godziny temu.

– Skądęście się w ogóle tutaj wzięli, Asch? – zapytał Witterer gniewnie.

– Przyjechałem moim motocyklem.

– Czy nie mieliście być przy kolumnie Bocka?

– Byłem tam.

– No i co? Kolumna dotarła już na swoją nową pozycję?

– Nie. Utkwiła na drodze numer trzy. Na razie nic na to nie można poradzić, a ponieważ miałem również towarzyszyć kolumnie dział...

– Jak widzicie, nieprędko jeszcze stąd odmaszerujemy.

– Przeczuwałem, że diabli wezmą wszystkie plany. Teoretycznie biorąc, powinny teraz ruszyć działa.

– Czyżby było już tak późno? – zapytał Witterer szczerze zdziwiony. Potem spojrział na zegarek, przy czym Krause świecił mu usłużnie.

– Istotnie! – zawołał. – Zostańcie tu, Asch, i pomóżcie. Muszę porozumieć się telefonicznie z dowódcą pułku.

Witterer wsunął się do oddalonego o trzydzieści metrów rowu, w którym mieścił się telefon polowy. Asch zajął się działem. Kazał podłożyć pod gąsienice wiązki chrustu i przytaszczył dwa puste kosze od pocisków.

– Powoli naprzód – powiedział.

Kierowca włączył silnik, gąsienice pośliznęły się jeszcze trochę, ale potem wżarły się mocno w ziemię. Ciągnik potoczył się naprzód, wlokąc za sobą działo. Wreszcie i ciągnik, i działo znalazły się na względnie twardym gruncie.

– W porządku! – Asch skinął głową żołnierzom i poszedł do telefonującego Witterera.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział Witterer. Powtórzył to trzykrotnie. Potem zawołał do Krausego: – Mapę!

Krause rozpostarł mapę kapitana, zaśwycił latarkę i trzymał ołówek w pogotowiu. Witterer sięgnął po ołówek i zaznaczył na mapie miejsce znajdujące się, jak to Asch zdążył zauważyć, w połowie drogi między starą a nową pozycją.

Potem Witterer powiedział raz jeszcze: – Tak jest, panie pułkowniku. – I kapitan Witterer wylazł ze schronu, jak gdyby był wodzem naczelnym. Płaszcz jego przylegał ściśle do wyprostowanej postaci. Grudki ziemi przyschnięte do rękawów i ramion zdradzały śmiałka nie lada.

– Dowódcy kolumn do mnie! – rozkazał.

Wyglądał na niezwykle zadowolonego z przeprowadzonej przed chwilą rozmowy telefonicznej. Z miną niemal prowokującą spojrział w stronę wzgórz, na których znajdowały się pozycje wroga. Ubolewał w tej chwili szczerze, że, jak wszystko na to wskazywało, nieprzyjaciel nie miał siły, by użyć do ataku.

– Najlepsze kąski – powiedział do Krausego – zabiorą oczywiście znowu pułki sąsiednie.

– Może się nimi uduszą – powiedział Asch ze spokojem.

– E, co tam! – rzekł Witterer zarozumiale. – Iwan wszędzie próbuje atakować, ale nie może się nigdzie przebić.

– Dotychczas jeszcze nie – poprawił Asch. – Jednym atakiem nigdy jeszcze nie przełamano frontu.

– Waliliśmy w nich, aż się kurzyło – powiedział Witterer. – Jeżeli to u innych funkcjonuje równie dobrze, jak u nas, to najdalej za godzinę na tym odcinku frontu żaden Iwan nawet nie piśnie.

Ogniomistrz Asch wmieszał się między dowódców kolumn, którzy zebrali się dookoła Witterera. Krause wywoływał ich po kolei; meldowali się wołając: „Jestem!” Na razie wszystko odbywało się jak w freblówce. Tylko bombardier Kowalski odpowiedział: „Jestem ze wszystkimi moimi członkami”, co niektórzy uznali za żart. Rozległy się stłumione chichoty.

Potem, po oficjalnym meldunku przyjętym przez Witterera dość niedbale, rozpoczęło się wydawanie rozkazów. Na początku Witterer kazał dowódcom kolumn pokazać mapy. Potem powiedział: – Mam nadzieję, że umiecie czytać mapę!

Dowódcy kolumn przyjęli to dyskryminujące podejrzenie w milczeniu, zachowując jaką taką postawę. Tylko Kowalski powiedział: – Jedyne mapy, które mnie interesują, to karty do gry. [11](#)

Witterer zmierzył go ostrym, karcącym spojrzeniem, które wszyscy obecni zauważyli, mimo panującego półmroku, z wyjątkiem chyba samego Kowalskiego. – Poszukajcie na mapach – rozkazał Witterer – miejsca, w którym znajduje się nasze obecne stanowisko. Macie? Pokazać!

Dowódcy kolumn pokazali posłusznie, acz z niechęcią, swoje mapy. Ich wskazujące palce leżały w miejscu, na którym zakreślone było obecne stanowisko. Czuli się jak rekruci na apelu mundurowym.

– A wasza mapa, Asch?

– Nie mam mapy, panie kapitanie. Nie potrzebuję jej. Znam teren na pamięć.

– Najpóźniej w ciągu dwunastu godzin – rozkazał Witterer – zameldujecie się u mnie z mapą. Jest mi obojętne, skąd ją weźmiecie. Nawet gdybyście ją mieli wyciągnąć jakiemuś generałowi spod tyłka.

Kowalski roześmiał się. Witterer odczuł na chwilę zadowolenie, że nawet taki Kowalski rozumiał jego dowcip. Ale ten powiedział: – Nie jest to wcale tyłek, to co generał ma nad mapą. Wygląda to tylko jak tyłek.

– Bombardierze, jeżeli kto ma prawo robić tu dowcipy, to tylko ja – powiedział Witterer surowo.

– Tak jest – odparł Kowalski. – To wiadomo.

– A więc moi panowie – ciągnął dalej Witterer – wiecie teraz, gdzie na mapie znajduje się obecne stanowisko. Teraz przesuńcie palec o osiemnaście kilometrów na zachód, a więc na lewo. Leży tam wieś Nikolskie albo jakoś tak podobnie. Macie?

– Mamy – mruknięto niechętnie kilku dowódców kolumn.

– Jest tam wzgórze numer sto siedemdziesiąt pięć. Czy ktoś się roześmiał?

Asch powiedział: – Na wielkiej niemieckiej wystawie obrazów wisiał pod numerem sto siedemdziesiąt pięć obraz, któremu malarz dał taki tytuł: Oto nasze SA!”

– Zanotujcie to, Krause – powiedział Witterer. – Przecież to niemal zniewaga państwa.

– To już jest Aschowi zupełnie niepotrzebne, panie kapitanie – wtrącił Kowalski uśmiechając się.

– O tym, co mu jest potrzebne – powiedział Witterer ostro – wiem lepiej od was i dostanie też za swoje, kiedy ta cała heca przeminie. A więc wzgórze sto siedemdziesiąt pięć. Każdy ma to na mapie? To nasze nowe, tymczasowe stanowisko. Tu się zakwaterujemy. A potem zobaczymy. Jasne?

To było dla wszystkich jasne. Nawet Kowalski nie miał nic do dodania. Asch oświadczył: – Osiemnaście kilometrów. Mniej więcej cztery do pięciu godzin marszu, jeżeli się nic nadzwyczajnego nie wydarzy.

– Mamy pierwszeństwo przed wszystkimi innymi kolumnami – powiedział Witterer.

– Wziąłem to pod uwagę i włączyłem do swojej kalkulacji – odparł ogniomistrz.

– Wymarsz natychmiast! – rozkazał Witterer. – Żądam nienagannej dyscypliny

podczas marszu. Biada temu, kto się wyłamie. Niech Bóg zlituje się nad tym, kto nie będzie umiał zapanować nad nerwami. Kto się załamie albo też spowoduje zniszczenie pojazdu, tego oddam pod sąd wojenny.

– Człowieku! – powiedział Kowalski do Ascha – co ten tu wygaduje!

– Miejmy nadzieję – odparł Asch – że jest to tylko gadanina.

– Wy, ogniomistrzu, zostaniecie przy baterii – rzucił kapitan Witterer. – Ja pojedę naprzód.

– Zdaje się, że pomyliły mu się kierunki – powiedział Kowalski sucho – kiedy mówi „naprzód”, myśli „w tył”.

– Przecież to dla ciebie lepiej, szoferze!

– Możesz być spokojny. Już ja go nauczę, gdzie to jest z przodu, i to całkiem z przodu.

Muszę z tobą pomówić – oznajmił porucznik Wedelmann odsuwając Nataszę, która chciała go objąć.

– Jak to dobrze, że znowu jesteś tutaj.

– Nie zostanę – powiedział Wedelmann.

Przemierzył wśród nocy te trzydzieści pięć kilometrów na swoim motocyklu w ciągu prawie dwóch godzin. Pędził wzdłuż coraz to bardziej stłoczonych kolumn, wymijał je, wpadał od czasu do czasu w głęboki śnieg, z którego się jednak jakoś wygrzebywał, niejednokrotnie raczej niosąc swój motocykl niż popychając go.

– Widziałem teraz wszystko – mówił Wedelmann – pojazdy w okropnym stanie, ludzi, którzy na siebie wrzeszczą, rannych krzyczących wniebogłosy. A na środku szosy leżał trup, o którego nikt się nie troszczył. Ciężkie wozy przejeżdżały po nim i zrobiły z niego miazgę.

– Wojna jest straszna! – powiedziała.

Nie zdejmując wyposażenia Wedelmann opadł na krzesło stojące w pokoju, o który lekkomyślnie postarał się dla Nataszy, żeby mieć ją w pobliżu. Był wyczerpany i nie ukrywał tego.

– Herbaty? – zapytała trwożnie. – Nie – odparł szorstko.

Nie ruszyła się spod ściany. Ale oczy jej zdradzały niepokój.

– Wiem, jak wygląda na froncie – ciągnął porucznik. – Liczne punkty są ostrzelane przez ciężką artylerię. Piechota atakuje. Straty po obydwóch stronach. Nacisk zwiększa się z godziny na godzinę. Jeżeli jeszcze tej nocy uda się poważniejsze przełamanie frontu, katastrofy nie da się już uniknąć.

– Nie powinieneś ciągle o tym myśleć – powiedziała sugestywnie.

– Będę o tym myśleć, dopóki będę żył. – I dodał ledwie dosłyszalnie: – W tej chwili pragnę szczerze, żebyśmy długo już żyć nie musieli.

– Nie wolno ci tak mówić, nawet myśleć ci tak nie wolno.

– Trupy! – powiedział Wedelmann. – Setki, tysiące trupów. Tego nie wytrzyma żadne sumienie...

– O czym ty mówisz?

– Widziałem bardzo wielu umierających żołnierzy. Umierali, a ja stałem obok nich, również gotowy na śmierć – i sumienie moje było czyste. Ale to teraz minęło. Teraz jestem świnią i szubrawcem.

– Nigdy! – zawołała.

– Świnią i szubrawcem.

– Co się stało?

Po raz pierwszy w czasie ich dzisiejszego spotkania Wedelmann spojrzął jej prosto w oczy. Ujrzała w jego twarzy rozpacz, strach i zdecydowanie. Miało się wrażenie, że ogarnęła go silna gorączka. Ale ruchy jego były spokojne, powolne, wydawało się, że cierpi przy każdym poruszeniu. Sięgnął w tył do futerału, wyciągnął pistolet i położył go przed sobą na stole.

– Odkryj łóżko – powiedział.

Patrzyła na niego bezgranicznie zmieszana. Nie ruszała się z miejsca, w oczach jej czaił się strach, nagi strach.

– Masz odkryć łóżko!

Zerwała się, jak by ją ktoś popchnął. Zerwała koce, rzuciła na podłogę poduszkę, wyciągnęła z ram siennik. Rozdarła go i wyrzuciła z niego zawartość.

– Opróżnij szafę.

Rzuciła na słomę suknię, bieliznę i parę bucików.

– Opróżnij skrzynię.

Stanęła jak słup nie ruszając się z miejsca. Lekko zgarbiona, trzymając w ręku chustkę, powiedziała pochyliwszy głowę: – Nie!

– A więc jednak – rzekł Wedelmann. Odniósł wrażenie, że te słowa, które z siebie przed chwilą wydobył, są wyrokiem. Po chwili krzyknął: – Skrzynię!

– Dobrze! – powiedziała takim samym dzikim głosem jak on, zdecydowana na wszystko.

Podniosła wieko skrzyni, schyliła się nad nim, zaczęła grzebać w materiałach i sukniach, potem wyciągnęła z głębi skrzyni pudło wielkości kartonu na parę obuwia.

Pudło to postawiła na stole przed Wedelmannem, tam gdzie leżał jego pistolet.

Porucznik oddychał z trudem. Twarz miał bladą jak świeżo spadły śnieg. Dotknął pudła i otworzył wieko. Zobaczył nadajnik radiowy. Wydawało mu się, że nie będzie się mógł poruszyć. Szczęki mu się zacisnęły. Potem zaczęły mu drżeć ręce.

Powoli, jak by go ktoś wciągał do góry, wstał z krzesła. Położył kurczowo zaciśnięte ręce na pudle. Potem podniósł je na wysokość piersi, a po chwili wyżej, ponad głowę. Wreszcie ze wszystkich sił grzmotnął aparatem o podłogę.

Rozległ się głuchy trzask. Po podłodze potoczyły się odłamki szkła i kawałki metalu.

Natasza nie poruszyła się; oczy miała zamknięte. Z rany na prawej nodze sączyła się krew.

Wedelmann opadł znowu na krzesło.

– Tak – powiedział po chwili. – Więc to prawda. Odpowiedziała po dłuższej przerwie: – To prawda. Ale ja cię kocham!

Wedelmann zamknął oczy, jak by w ten sposób chciał uniknąć spojrzenia na nią raz jeszcze. – Okłamałaś mnie. Oszukałaś. I wykorzystałaś. Przed niczym się nie cofnęłaś.

Potrząsnęła wolno głową i powiedziała: – Jak ty mnie mało znasz!

– Znałeś – rzekł twardo.

– Nigdy cię nie okłamywałam. Nigdy. Również i wtedy, kiedy ci powiedziałam, że cię kocham. Kocham cię! Przed tobą nie kochałam żadnego mężczyzny i nie potrafię nikogo kochać tak jak ciebie.

– A potem z człowieka, którego rzekomo kochasz, zrobiłaś szubrawca, co?

– Nigdy nie pozostawiałam ci wątpliwości, że kocham moją ojczyznę co najmniej tak, jak ty swoją.

– Ale ja jestem żołnierzem i walczę o nią.

– A ja nie mogę być żołnierzem, ale również walczę o moją ojczyznę. Oczywiście w miarę moich sił. Nie chcę strzelać, nie mogą więc być w partyzantce. Muszę robić to, co potrafię najlepiej. I gdybym tego nie robiła, mógłbyś mną pogardzać.

– Chciałem cię kochać, oto wszystko.

– Jak gdyby sama miłość jeszcze istniała! – zawołała Natasza. Ożywiła się, głos jej brzmiał mocno. Wydawało się prawie, że to ona teraz oskarża.

– Ja ciebie tylko kochałem.

– Zabijałeś ludzi radzieckich – tak czy nie?

– Walczyłem z moimi nieprzyjaciółmi uczciwie i otwarcie. Wymagało to śmiertelnych ofiar, przyznaję. I to po obu stronach. Robisz mi zarzut, że jeszcze żyję? Sam go sobie robię. I tylko sam jestem do tego uprawniony.

– Dobrze. A więc zawsze robiłeś to, co uważałeś za swój obowiązek. Dokładnie to samo robiłam i ja.

– Ale wojna – powiedział Wedelmann – ma swoje prawa, swoje nakazy, swoje ustalone od stuleci reguły postępowania.

– Ta wojna ich nie ma.

– To taka sama wojna jak wszystkie inne.

– Ta nie! Zostaliśmy napadnięci, obrabowaliście nas, zabijaliście ludzi albo wywoziliście ich.

– Nikogo nie obrabowałem i nie wywoziłem. Walczyłem.

– Jak sądzisz, co powinny robić wasze kobiety, gdybyśmy to my napadli na Niemcy? Przyglądać się? Czy też pomagać wam w walce?

– Kobiety nie mają na wojnie nic do roboty.

– Ale wojna sama przyszła do kobiet. I zmusza je, by w niej brały udział. Jedne pracują przy produkcji granatów, inne opiekują się rannymi, jeszcze inne przekazują

rozkazy. A ja... Ja właśnie zbierałam wiadomości.

– U mnie, ode mnie!

– Tam, gdzie je mogłam otrzymać. A więc i u ciebie. Kocham cię jak nikogo na świecie, ale jesteś również Niemcem i jako Niemiec żołnierzem Hitlera, a wszyscy żołnierze Hitlera to nasi wrogowie.

Wedelmann walnął obiema rękami w stół z taką mocą, że pistolet aż podskoczył.
– Dosyć tego! – zawołał głośno.

– Dosyć – szepnęła.

Wedelmann wyciągnął prawą rękę i położył ją na pistolecie. Pistolet był lodowato zimny. Wedelmann przysunął go do siebie. Natasza patrzyła martwo na pełen nieładu pokój. Pochyliła się nieco, kosmyk włosów opadł jej na twarz.

Powiedziała: – Rób teraz, co chcesz. Nie mogłam postępować inaczej. Możesz mnie zastrzelić tu na miejscu. Byłoby to chyba najlepsze wyjście. Możesz mnie również wydać w ręce swoich ludzi i wtedy oni mnie rozstrzelają. Może przed śmiercią będą mnie jeszcze dręczyli i wypytywali. Wszystko to jest mi obojętne: Cokolwiek się stanie, będę wiedziała, że umieram za moją ojczyznę. I powiem zawsze: „Kocham cię”.

– Ta ojczyzna – powiedział Wedelmann półgłosem sam do siebie – jest czasem jak postronek.

– Ale chyba nigdy nie będziemy myśleli o tym, by się z jego pętli wyzwolić.

Wedelmann stał wyprostowany. Ująwszy mocno pistolet ważył go w ręku przez chwilę. Raz jeszcze spojrzął badawczo na Nataszę. Nie unikała jego wzroku. Oboje odczytywali sobie z oczu swe myśli.

– Nie chcę cię już nigdy widzieć – powiedział Wedelmann. – Nigdy cię nie znałem. Nigdy cię w moim życiu nie było.

– A ja kocham cię ponad wszystko! – Z jej smutnych oczu płynęły łzy.

Wedelmann wyszedł w ciemności nocy, by ukryć, że i on płacze.

Samolot przedzierał się przez ciemności ku frontowi. Pilot siedział z gniewną miną przy swej aparaturze i ziewał. Miał tego dorożkarskiego życia w powietrzu wyżej uszu.

Para, która jeszcze kilka godzin temu dumnie pozwałała nazywać się „braćmi sjamskimi”, siedziała teraz bezbarwna i milcząca w kącie samolotu i patrzyła przed siebie.

Obok „braci sjamskich” siedział Vierbein. Odrzucił nieco w tył głowę; zdawało się, że patrzy w niebo. Tymczasem gdziekolwiek spojrzął, napotykał wzrokiem metalowe ściany. A mimo to niebo było jak gdyby wszędzie, nawet pod jego nogami.

– Zaczęło się to wszystko – powiedział Bartsch ponuro – od tego psa przyszłej żony dowódcy dywizjonu.

– Nie należało za żadną cenę umieszczać tego szyldu nad wejściem do kasyna.

– Cóż to był za szyld? – zapytał Vierbein.

– Zupełnie niewinny, sporządzony w trzech kolorach: czarnym, białym i czerwonym. Widniał na nim napis; „Psom posledniej rasy, tak zwanym kundlom, wstęp na teren kasyna najsurowiej wzbroniony”.

– I zostało to natychmiast potraktowane jako osobista wycieczka.

– U nas na froncie – powiedział Vierbein na pocieszenie – tego rodzaju rzecz przydarzyć wam się nie może. W porównaniu z Schulzem i jego koszarami pierwsza linia frontu jest dla nas wszystkich po prostu czymś w rodzaju sanatorium.

Kiedy kapral Vierbein to mówił, o kilkaset kilometrów od niego trzasnął front, jak gdyby był w tym miejscu pudełkiem zapalek.

Rosyjskie jednostki piechoty przedarły się i krwawiąc obficie rozłokowały się na dawnych pozycjach niemieckich. Inne jednostki rzuciły się natychmiast] naprzód, potykając się o pierwsze punkty oporu, przypominające teraz bezładnie porozsypywane w terenie stosy drewna.

Potem weszły do akcji czołgi, ruszyły przeciw artylerii niemieckiej, wczepiły się w nią, aż zostały z nich tylko szczątki. Dalsze czołgi przedarły się przez otwarte skrzydła. Kilometrowy odcinek frontu miał teraz wyrwę nie szerszą od łożyska pierwszego lepszego strumienia. Ale był to strumień krwi.

Samolot zdawał się pędzić ku tej wyrwie.

Pilot znał na pamięć dane nawigacyjne. Przeszedł na sterowanie automatyczne i palił spokojnie papierosa; to wieczne powożenie mierziło go.

– A poza tym – zastanawiał się Bartsch – nie powinniśmy byli nigdy zaczynać z tą Lorą Schulz.

– Ta osoba spowodowała naszą ruinę!

– Żeby tak ulec optycznemu złudzeniu!

– To, co zrobiła, było zwyczajnym oszukaństwem!

– Pani Lora Schulz – powiedział Vierbein z całym przekonaniem – to człowiek wysoce przyzwoity.

– Ależ człowieku, przecież właśnie o tym mówimy przez cały czas.

– Na tym właśnie skreśliśmy kark.

– Nie rozumiem – powiedział Vierbein.

– Człowiek potyka się zawsze o tak zwanych ludzi przyzwoitych – zapewnił Bartsch.

– Ci właśnie – powiedział Ruhnau – są naszym nieszczęściem.

– A przy tym daliśmy jej wszelkie możliwe szansę. Podawaliśmy nawet dokładny terminarz zając jej męża, i to zawsze przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny naprzód. Jeżeli w takich okolicznościach kobieta, a zwłaszcza baba tego kalibru, nie korzysta z okazji od razu, to coś tu jest nie w porządku.

– Ma zupełnie zły gust i dlatego byliśmy jej niesympatyczni. To zawsze rzecz niebezpieczna! Pamiętaj, Vierbein, że te kobiety zrujniają kiedyś cały Wehrmacht. Trzeba je zmobilizować albo wszystko to źle się skończy.

– Opowiadaliśmy ci już historię ogniomistrza Reittera? Jeszcze nie? A więc słuchaj. Ten Reitter uwiódł córkę naszego płatnika, a ponieważ ojciec jej był znanym dostawcą generała, Reittera wysłano od razu na front. Potem okazało się, że uroczą córeczką płatnika jest w ciąży, i ogniomistrz Reitter został odesłany do kraju, by mógł z nią zawrzeć przymusowe małżeństwo. Ale przyszło poronienie, więc ogniomistrz okazał się zbyt cenny i znowu pomaszerował na front. Teraz następuje dopiero szczyt całej historii: podczas swego następnego urlopu nasz ogniomistrz postarał się o nowe potomstwo...

– Dzięki Bogu, u nas na froncie – powiedział Vierbein – tego rodzaju rzeczy się nie zdarzają.

Kiedy Vierbein to mówił, kapral Soeft sprzedał z licytacji za jednym pociągnięciem trzy dziewczyny z zespołu rozrywkowego. Ekwiwalent: pożyczanie jednego ciągnika na dwadzieścia cztery godziny. Soeft, handlowiec w każdym calu, gwarantował wprowadzenie dostarczenia towaru oraz najlepszą jego jakość, ale nie gwarantował ani postawy, ani zachowania się. To już będzie, dowodził, sprawa odbiorcy względnie odbiorców. W każdym razie okazja jest korzystna, a ceny nie można uznać za wygórowaną.

Partnerzy jego z „Centrali Skupu Produktów Miejscowych”, dorywczo umundurowani półżołnierze o partyjnych mózgach, znali Soefta wystarczająco dobrze. Wiedzieli z doświadczenia, że oferty jego były zawsze poważne – oczywiście w sensie wyłącznie handlowym. Nic więc dziwnego, że przypieczętowali transakcję uderzeniem dłoni o dłoń.

A więc na następne dwadzieścia cztery godziny Soeft miał do dyspozycji niemal zupełnie nowy, doskonale działający ciągnik. Wiedział dokładnie, do czego go użyje. Posiadanie w tej sytuacji pojazdu, który mógłby się poruszać swobodnie w każdym terenie, oznaczało uniezależnienie się od dróg.

Teraz dopiero zacznie inkasować w wielkim stylu. Będzie włókł za sobą z pełnym ładunkiem ciężarówkę, które chwilowo wypadły z marszu i leżały opuszczone w rowie. Rozmiary paniki były równoznaczne z wysokością zysku. Jeżeli wszystko potoczy się planowo – planowo w jego rozumieniu – trzecia bateria będzie miała po dwudziestu czterech godzinach w swych szeregach wielkiego bogacza.

Samolot zbliżał się coraz bardziej do tego wrzącego kotła. Pilot ustalił miejsce lądowania, znając z góry, zanim jeszcze zaczął przeprowadzać obliczenia, każdą liczbę.

– Wojna – powiedział Bartsch melancholijnie – to jednak sprawa mężczyzn. Dlaczego właściwie wolno się kobietom do niej wtrącać?

– Myślisz jeszcze czasem o naszym biednym przyjacielu Senkpiehlu? – zapytał Ruhnau.

– Biedny Senkpiehl! Nie chciał, i to się stało jego nieszczęściem.

– W gruncie rzeczy był z niego wielki głupiec. Pani kapitanowa Wolf robiła mu

niedwuznaczne propozycje, a ten idiota ciągle mówił „nie”. No i wysłali go na front.

– Tak, człowieku, los potrafi być okrutny.

– A po Senkpiehlu przyszedł Kempka. Ten nie mówił „nie”. No i kapitan przyłapał go z własną żoną. Więc na front, bracie.

– Nie pozostaje wam zatem nic innego – powiedział Vierbein z niespodzianie przejawiającą się u niego ironią – jak stać się bohaterami.

– Zapotrzebowanie wasze na nich jest duże, co?

– Każdy, kto walczy na froncie, jest bohaterem – powiedział Ruhнау. – Wszystko to wypisane jest w gazetach. Gdziekolwiek pluniesz, sami bohaterowie. No cóż, bądźmy i my bohaterami!

W trakcie tych rozmów niebezpieczna rana we froncie rozszerzała się coraz bardziej.

W powstałą wyrwę wtoczyło się jeszcze więcej nieprzyjacielskich czołgów ściągniętych pośpiesznie z innych odcinków. Rozdzierały ziemię i kosily żołnierzy stojących im na drodze. Ogień, krew, woda, śnieg i ziemia – wszystko to razem zmieszane stanowiło bryję wojny.

Zdawało się, że została przerwana jakaś tama. Śmierć wtoczyła się na tyły frontu. Spłukiwała przepelnione drogi, na których leżały pokotem poniszczone, popalone, zrabowane szczątki pojazdów.

Wielu chciało się ratować, dopóki żyła w nich wiara, że ratunek jest możliwy. Zapanowała panika. Rzuciła się na kolumny marszowe, które zaczęły dygotać jak w silnej gorączce.

Pojazdy najeżdżały na siebie. Padały pistoletowe strzały. Żołnierze wrzeszczeli, przeklinali, śmiali się, modlili, wyli, płakali. Silniki huczały, zwały swój ładunek w błoto. A nad tym wszystkim bez przerwy krążyły „maszyny do szycia”. Za plecami żołnierzy front przesuwał się, był raz bliżej, raz dalej, chwilami uskakiwał na bok. Front był wszędzie.

Wśród tego piekła znajdowali się nieliczni oficerowie, którzy mieli chłodne oczy i zimne mózgi, podoficerowie, w których żyłach płynęła rybia krew, i żołnierze bez bojaźni, nadziei i złudzeń.

Pomiędzy nimi wszystkimi kręcił się ze swoim ciągnikiem kapral Soeft i musiał wywijać się jak piskorz, by nie zabrano mu ciągnika, na co wielu oficerów miało chrapkę. Soeft odrzucał wszelkie tego rodzaju propozycje bez gadania, twierdząc, że działa z polecenia dowodzącego generała. Naprzód wyciągnął ze strefy niebezpieczeństwa mały autobus, wiozący frontowy zespół rozrywkowy. Asch poinformował go dokładnie, gdzie może znaleźć trupę aktorską.

Kapitan Witterer zaszył się w jednej z chałup wiejskich i odpoczywał. Ten mały „odpoczynek” trwał już prawie dwie godziny. Kowalski uważał, że jest to stanowczo za długo. Propozycje bombardiera, by udać się wreszcie na stanowisko ogniowe, stały się coraz bardziej natarczywe i zdaniem Witterera w sformułowaniu swym do-

kuczliwe. Wreszcie Witterer zdecydował się, jak się wyraził, znowu zainterweniować osobiście.

Samolot miał do przebycia ostatnie sto kilometrów. Na horyzoncie ukazały się jasne smugi. Pilot stwierdził to z pewnym zdziwieniem. Spojrzał na zegarek. I powiedział sobie, że na świt jeszcze za wcześnie. A może to pali się magazyn z benzyną albo eksplodował jakiś skład amunicji. Ziewnął, szeroko otwierając gębę. Ach ta wojna, w której pełnił funkcję dorożkarza, była po prostu środkiem nasennym.

– Ale na froncie – powiedział Bartsch – są tak zwane chętne pielęgniarki. Czy są do rzeczy?

– Przekonasz się: o tym, kiedy po raz pierwszy zostaniesz ciężko ranny – odparł Vierbein.

– A jak to jest z pomocnikami przy sztabach? – zapytał Ruhнау.

– Tam gdzie my jesteśmy, nie ma sztabów, które by zatrudniały kobiece siły pomocnicze.

– A dziewczęta z zespołów rozrywkowych? Taki sobie burdel frontowy, co?

– Jeszcze tego nie spotkałem – odparł Vierbein.

– No, a dziewczyny tego kraju?

– Nie widziałem żadnej.

– Człowieku – zawołał Bartsch szczerze wstrząśnięty. – Chyba nie mówisz tego poważnie!

– Jeżeli to naprawdę tak wygląda – powiedział Ruhнау – to wiem teraz, dlaczego jesteście takimi bohaterami! Przecież nie pozostaje wam nic innego.

Samolot zaczął powoli schodzić do lądowania. Dotarli nad nowe lotnisko. Pilot raz jeszcze ziewnął szeroko, po czym zamknął usta i wysunął podbródek. Latanie to dziecinna zabawka, start to sprawa rutyny, ale lądowanie to robota dla prawdziwego mężczyzny.

Samolot stał dygocąc jak w gorączce. Potem silniki umilkły. Vierbein pierwszy wyskoczył na pas startowy. Kiedy poczuł pod nogami twardo ubitą ziemię, ogarnęło go swoiste uczucie szczęścia.

– Witaj nam w ojczyźnie! – rozległ się rześki głos.

– Soeft, człowieku, Soeft! – zawołał Vierbein, podbiegł do Soefta i objął go wpół.

– Co się stało? – zapytał tamten. – Czyżbym się w ciągu nocy zamienił w kobietę?

– Soeft, człowieku! – zawołał Vierbein uszczęśliwiony. – To wspaniale, że jesteś tutaj. Czy przyjechałeś, żeby mnie zabrać?

– Czy wyglądam na takiego bałwana? – zapytał z kolei Soeft. – Chciałem tutaj tylko wywąchać sytuację i, jeżeli to możliwe, zabrać nowy ładunek. Żaden prawdziwy przedsiębiorca samochodowy nie jedzie bez ładunku.

– My jesteśmy twoim ładunkiem, Soeft!

– To byłoby dowodem, że zgłupiał do reszty – powiedział Soeft. – Zdążysz jeszcze na czas. Zabierz swoich przedszkolaków i przede wszystkim napij się z nimi

czegoś. Potem utnijcie sobie porządną drzemkę, a dopiero później zamelduj się ze swoimi odeskami w najbliższej komendzie. Do tej pory najgorsze świństwo powinno się skończyć.

– Soeft, co się tu dzieje?

– Wszystko.

– Zawieź nas do baterii.

– Czy jestem zakładem pogrzebowym? Człowieku, zostań na razie tam, gdzie jesteś, i ciesz się z tego. Żaden normalny człowiek nie pali się przecież do swojej klepsydry.

Dowódcy kolumn, natychmiast do mnie! – zawołał kapitan i jak zawsze elastycznie wyskoczył z wozu. Kowalski puścił hamulec, wóz potoczył się jeszcze kilka metrów naprzód i Witterer potknął się gwałtownie.

– Człowieku, bądźcie łaskawi uważać! – zawołał Witterer.

– Uważałem bardzo dokładnie.

Po licznych telefonach i ponownym „krótkim odpoczynku” kapitan wylądował wreszcie we wczesnych godzinach rannych na stanowiskach ogniowych trzeciej baterii. Były to stanowiska, które oznaczył numerem dwa, położone o osiemnaście kilometrów na zachód od dawnego, oznaczonego numerem jeden.

Witterer, tym razem bez Krausego, który pojechał naprzód, by obejrzyć nową kwaterę, rozglądał się dokoła badawczym Wzrokiem. Wydało mu się, że działa są ustawione za blisko siebie. Zapewne siła ognia baterii stała się przez to większa, ale też łatwiej było baterię wymacać. Był zwolennikiem tego, żeby działanie i bezpieczeństwo harmonizowały ze sobą.

Ale przeciętny podoficer nie mógł mieć o tych subtelnościach pojęcia.

Witterer miał przed sobą widok dosyć rozległy. Piechoty nie było nigdzie ani śladu. Działa, ustawione za łagodnym wzgórzem w ten sposób, że lufy ich wystawały jak zaciekawione nosy, były gotowe do otwarcia ognia.

Ogniomistrz Asch zameldował działonowych. Objął z własnej inicjatywy funkcję oficera ogniowego. Witterer udał, że tego nie zauważył. Sytuacja – mówił sobie kapitan – jest diabło poważna, a ten Asch jest podobno wcale użytecznym żołnierzem. Zawsze lepiej, żeby się produkował tutaj, niż udawał mądrego gdzie indziej.

– Czy zaszło coś nadzwyczajnego? – zapytał Witterer.

– Dotychczas nie nastąpiła bezpośrednia styczność z nieprzyjacielem – powiedział Asch.

– A do diabła, jaka szkoda! – rzekł szczerze zmartwiony kapitan. Byłby bardziej rad, gdyby już teraz mógł złożyć „górze” parę „bojowych” meldunków o zniszczeniu tego lub owego.

– Ale to może jeszcze przyjść – powiedział Asch. – Miejmy nadzieję!

– O trzy kilometry przed baterią umieściłem obserwatora – powiedział spokojnie Asch. – Melduje atakującą piechotę nieprzyjacielską w sile jednego batalionu.

– Kiedy? Gdzie?

– Przed chwilą. Kierunek ataku dokładnie na nas. Za jakie pół godziny będzie pan kapitan miał tak upragnioną styczność z wrogiem.

Witterer stał w milczeniu i rozmyślał. Nieprzyjacielska piechota to bardzo pięknie, ale cały batalion to za dużo, stanowczo za dużo. I kto wie – pytał sam siebie – co jeszcze potoczy się za tym batalionem. Poza tym pułkownik Luschke wydał nowy rozkaz, który musi być wykonany.

Powiedział więc: – Szczerze żałuję, że muszę pozbawić tej przyjemności i was, i siebie. Będziemy musieli zmienić stanowisko.

– Ale chyba dopiero później – powiedział Asch.

– Natychmiast! – rozkazał kapitan. Wyciągnąć mapy! Nowe stanowisko: dziewięć kilometrów dalej, dokładnie w kierunku zachodnim. Jest tam kołchoz. Trzy domy. Bezpośrednio przed trzecim będzie nasze stanowisko. Zrozumiano?

– Jasne – powiedział Asch. – Jeszcze jakieś pytanie?

– Dla mnie wszystko jest jasne – powiedział Asch i spojrzał na Kowalskiego.

– W takim razie jazda! – zawołał Witterer. – Splunąć w rękę i wziąć się do roboty. A przedtem jeszcze parę salw, żeby Iwana zatrzymać. No i w nogi.

– Ile salw?

– Nie pytajcie ciągle jak uczniak. Trzy, cztery albo pięć! Całą baterią!

Ostra strzelanina napęła go szczerą radością. Zaczął gorliwie obliczać: piechota nieprzyjacielska w odległości jakichś czterech kilometrów, a więc nie może tu być prędzej niż za trzydzieści minut; salwy całej baterii – dziesięć minut, zmiana stanowiska – piętnaście minut. Wystarczy! – Pozwólcie, że ja to zrobię! – zawołał.

Zaczął wydawać wstępne komendy ogniowe, jak gdyby się znajdował na placu ćwiczeń. Dobrze ich się nauczył, były formułowane nienagannie, we właściwej kolejności. Wyrzucał je z siebie rześkim głosem.

Ogniomistrz Asch połączył się telefonicznie z wysuniętym naprzód obserwatorem, kazał sobie podać położenie atakującego nieprzyjaciela, oznaczył je na mapie. Mapę tę podsunął Wittererowi pod nos.

Witterer zorientował się i zapytał o wiele mniej rześko niż przed chwilą: – Jak uważacie, jaki powinniśmy podać celownik?

Asch zapisał na brzegu mapy jakąś liczbę. – Zacznijmy od tego!

Witterer skinął głową, wyrzucał z siebie komendy, stojąc niemal na baczność. Kowalski przyglądał mu się zmrużonymi oczyma. W pewnej chwili kapitan otworzył szeroko usta i rozkazał: – Ognia!

Zanim Asch zdążył podać obserwację strażaków i wnieść ewentualne poprawki, kapitan ryknął ponownie: – Ognia! – I jeszcze raz: – Ognia! – I znowu: – Ognia! Ognia!

Oczy mu błyszczały. W pewnej chwili zawołał: – Ale im damy bobu! Aż im w piąty pójdzie.

Potem wydał rozkaz: – Zmiana stanowiska!

Stał teraz nieruchomo, zadowolony z wielkiego przeżycia, które sobie przed chwilą zafundował. Przyglądał się pracy swojej baterii i nie miał jej w zasadzie nic do zarzucenia.

Kiedy ruszyły już pierwsze pojazdy, ciągle jeszcze stał na swym miejscu. Ogniomistrz Asch zebrał baterię na szosie, w odległości jakichś pięciuset metrów. Potem ruszył razem z nią.

Wkrótce bojowo usposobiony kapitan pozostał sam na placu.

– No to teraz my! – powiedział Witterer do Kowalskiego, który stał sobie spokojnie obok samochodu i patrzył w stronę nieprzyjaciela.

– Tak, już chyba czas – zauważył bombardier.

– Troskę o to bądźcie łaskawi mnie zostawić.

– Jak pan kapitan uważa. Ale może pan kapitan zechciałby raz spojrzeć w tamtym kierunku. – I Kowalski wskazał kciukiem w stronę doliny.

W kierunku wzgórza posuwała się szeroko rozciągnięta nieprzyjacielska piechota. Byli to żołnierze w szarobrązowych płaszczach. Niektórzy z nich rzucili się na ziemię i zaczęli strzelać.

– A teraz w nogi! – zawołał Witterer i skoczył olbrzymimi susami do wozu.

Kowalski usiadł przy kierownicy, spojrzawszy przelotnie na Witterera zdradzającego zdenerwowanie. Potem zamknął dopływ benzyny.

– Jazda, człowieku, jazda!

Kowalski nacisnął starter. Silnik natychmiast ożył, ale po chwili znowu zamilkł. Kowalski zabrał się na nowo do obrabiania starteru.

– Co się stało?! – zawołał Witterer dzikim głosem.

– Nic – powiedział bombardier. – Samochód nie chce. Piechota nieprzyjacielska rzuciła się w błoto. Poszczególni żołnierze strzelali, ale odległość była jeszcze zbyt wielka, by mogli trafić. Kule gwizdały dookoła samochodu ze wszystkich stron.

– Przeklęty świntuchu, doprowadźcie wasz wóz do porządku! – ryczał kapitan.

Kowalski powiedział „tak jest” i poruszając się wyzywająco powoli, wylazł z wozu. Podniósł lewą pokrywę silnika, zaryglował ją i zaczął przyglądać się z zainteresowaniem silnikowi.

– Bądźcie łaskawi się pośpieszyć! – ryczał Witterer.

– Tylko spokojnie – powiedział Kowalski i odłączył głowicę rozdzielacza.

Piechota nieprzyjacielska, przypuszczając, że ma przed sobą duże siły przeciwnika, utworzyła tyralierę i posuwała się naprzód skokami. Znowu padło kilka strzałów, ale odległość ciągle jeszcze była za duża dla broni ręcznej.

– Jeżeli, bydlaku, nie pospieszycie się – ryczał Witterer – postawię was przed sąd polowy!

– Kto wie – powiedział Kowalski obmacując teraz wentyle – czy w ogóle będzie pan miał jeszcze okazję po temu.

– Należy się wam to już od dawna! – grzmiał Witterer. – Jesteście podstępny, nikczemny psem.

– Czy mam panu powiedzieć, czym pan jest? – zapytał Kowalski prostując się w całej okazałości.

– Nie plećcie teraz! Postarajcie się szybko uruchomić wóz. Albo zostaniecie zlikwidowani.

– My obaj, panie kapitanie. My obaj!

Znowu bzyknęły w ich kierunku pociski karabinowe, tym razem jakoś bardziej ostro, przenikliwie, niebezpiecznie blisko. Jeden z pocisków przebił tylny błotnik. Rozległ się jasny, ostry dźwięk, Witterer padł na ziemię.

– Jaka jest temperatura ziemi? – zapytał Kowalski i otworzył prawą pokrywę silnika.

Kowalski, jak – zawsze! kuty na cztery nogi, miał teraz jako tarczę ochronną cały samochód. Zerkał uważnie w kierunku nieprzyjacielskiej piechoty. Zbliżała się, ale nie była jeszcze dostatecznie blisko, by się stać poważnie niebezpieczna. Kowalski zebrał na tym polu bogate doświadczenia.

– Człowieku! – jęczał Witterer, który zaczął mięknać jak wosk. – Wprawcie nareszcie w ruch ten swój przeklęty gruchot.

Kowalski wydawał się zafascynowany widokiem cylindrów. Wyciągnął bagnet i uderzał w nie kolejno. Witterer mylnie zrozumiał ten dźwięk i zatrzęsł się cały.

– Kowalski, człowieku! Przecież jesteście dobrym kierowcą, najlepszym... – wybełkotał.

– Myślałem, że jestem podstępny, nikczemny psem.

– Kowalski! – zawołał Witterer błagalnie.

Seria z karabinu maszynowego kosiła teraz ziemię w odległości zaledwie dwudziestu metrów od nich. Błoto rozpryskiwało się dookoła, jak gdyby celując tylko w stronę Witterera. Witterer leżał na ziemi obok samochodu z kurczowo wykrzywioną twarzą, jego drżące ręce szukały gorączkowo jakiegoś punktu zaczepienia.

– Kolego Kowalski! – jęczał kapitan.

– Posuwają się coraz bliżej i bliżej, kolego Witterer – powiedział bombardier. – Teraz, kolego Witterer, mogą już widzieć dokładnie twój wielki tyłek. Poza tymi nic więcej nie widzą, kolego Witterer.

Seria z karabinu maszynowego znowu przeorała ziemię. Pojedyncze strzały karabinowe przedziurawiły tylną skrzynię wozu. Witterer próbował wstać, zatoczył się na chwilę, po czym dzikim pędem, nieprzytomny, krokiem już wcale nieelastycznym zaczął zmykać.

Kowalski wskoczył do wozu, odkręcił kurek od benzyny, zapuścił silnik, który zaskoczył od razu. Ruszył za galopującym Wittererem i wciągnął go do samochodu. Witterer sapał i kurczowo trzymał się bocznej ściany.

– Tak – powiedział Kowalski z zadowoleniem. – Taka wojna może być naprawdę

przeżyciem.

Pułkownik Luschke stał tuż przy szosie. Założył ręce w tył, wysunął podbródek i patrzył ponuro przed siebie. Stał tak, jakby znajdował się na koszarowym dziedzińcu, a nie w samym środku diabelskiego kotła. Mrużąc oczy spoglądał z pewnym zmęczeniem na poranne słońce.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Ale jego uwagi nic nie uchodziło. Obserwował zwalone do rowu pojazdy, przyglądał się wrzeszczącym żołnierzom oraz bezładnie pędzącym na wszystkie strony wozom.

Porucznik Wedelmann zbliżył się do swego dowódcy, zahamował tuż przed nim i nie zsiadłszy jeszcze ze swego motocykla zaprodukował coś w rodzaju salutowania. Pułkownik odpowiedział niemal uroczyście. Potem odezwał się: – Dzień dobry, panie poruczniku. Mam nadzieję, że przebył pan szczęśliwie tę noc.

– Dzień dobry, panie pułkowniku.

– Niech! pan odstawi na bok swój grat, panie poruczniku, i dotrzyma mi trochę towarzystwa.

Wedelmann oparł motocykl o ścianę pobliskiego domu. Potem podszedł znowu do pułkownika Luschkego i stanął obok niego w milczeniu.

– Mamy jeszcze niejedno do omówienia, panie Wedelmann. Na razie nie to jednak, co pan ma na myśli. Jak pan ocenia sytuację?

– Panie pułkowniku, miałem dotychczas niewiele sposobności...

– Wiem o tym, ale mimo to pytam pana.

Wedelmann zmusił się do skupienia i zaczął patrzeć na zapchaną szosę. – Początki paniki – powiedział. – Jeżeli nieprzyjaciel w najbliższych dwóch, trzech godzinach dotrze do naszej nowej linii obrony, wszystko może się zawalić.

Luschke skinął głową. – Nasze baterie – powiedział – cofają się, i to skokami po dziesięć kilometrów. Dotychczas wszystko szło jako tako. Żadnych godnych uwagi strat. Żadnych wyjątkowych sukcesów.

– Zdaje się, panie pułkowniku, że punkt krytyczny nie został jeszcze osiągnięty. Ataki nocne miały raczej na celu wprowadzenie u nas zamętu. Jak doświadczenie wykazuje, dopiero ataki dzienne mogą doprowadzić do utworzenia decydujących punktów ciężkości.

– Jako żołnierz – powiedział Luschke, patrząc na blade niebo brzemienne śniegiem – ma pan swoje zalety.

Wedelmann zrozumiał i stał w milczeniu.

– Nawiasem mówiąc, otrzymałem niedawno meldunek z pańskiej trzeciej baterii. Wedle tego meldunku doszło tam do styczności z wrogiem, z piechotą, i to w sile całego batalionu. Żadnych strat, za to sukcesy! Podobno kilkunastu tamtych gryzie ziemię. A teraz między nami, Wedelmann, czy sądzi pan, że ten Witterer buja?

– Panie pułkowniku, jestem porucznikiem, a pan kapitan Witterer to dowódca mojej baterii.

Luschke zwrócił swoją bulwiastą twarz w stronę Wedelmanna, zmrużył oczy i powiedział chłodno: – Panie Wedelmann, pouczenia są mi niepotrzebne. Chcę usłyszeć odpowiedź.

– Odpowiedź moja, panie pułkowniku, brzmi: tak!

– Dziękuję – powiedział Luschke twardo.

– Dodatkowo pozwalam sobie jednak zauważyć...

– Dziękuję, panie Wedelmann. Tylko żadnych arii operowych! Znam dostatecznie dobrze cały ten repertuar.

Potem pułkownik podniósł lewą rękę i skinął. Czekający u wejścia do chaty adiutant pośpieszył na wezwanie. Luschke powiedział: – Odnaleźć miejsce postoju trzeciej baterii. Domagać się stałej łączności. Przygotować do drogi mój samochód. Rozkaz dla wszystkich kolumn: Natychmiast po przybyciu na nowe stanowisko okopywać się i zorganizować obronę przy wykorzystaniu całej posiadanej broni ręcznej i maszynowej. Poza tym proszę o ostatni radiotelegram z ubiegłej nocy.

Adiutant skinął głową i zrobiwszy kilka notatek odszedł.

– A my obaj, panie Wedelmann, mamy chyba niejedno do omówienia.

Luschke ruszył naprzód w kierunku stojącego przy szosie drewnianego domu. Wedelmann poszedł za nim. Na drzwiach wypisany był grubą kredą znak pułku.

Pułkownik przeszedł większą izbę, w której urzędował adiutant z żołnierzami sztabu bojowego. Żołnierze starali się nie widzieć go, Luschke nie lubił bowiem, żeby przerywano pracę i stawano na baczność. Czuł wstręt do pustych form bez względu na powody, które je wywoływały.

Potem Luschke wszedł do mniejszego pomieszczenia będącego czymś w rodzaju celi z małym, zakratowanym oknem. Rzucił na kiwający się stół zmiętą czapkę; nikt nie widział go jeszcze nigdy w hełmie. – Proszę nie wyciągać konsekwencji z tego, że nie proponuję, by pan usiadł – powiedział. – Łóżko jest zapluskwione. Krzesło może się lada chwila załamać, a na stole siadam ja sam.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Nie dlatego, że jestem pułkownikiem, ale moje kości powoli już wapnieją, krew płynie coraz leniwiej, mięśnie stają się próchnem. O tym, co się dzieje z moim mózgiem, dokładnie nie wiem.

Porucznik milczał, Luschke przypatrywał mu się badawczo, jak gdyby szacował jakiś przedmiot.

– Widzi pan, Wedelmann, to mi się znowu u pana podoba. Każdy inny na pana miejscu powiedziałby teraz: „Przecież pan pułkownik to samo kwitnące życie” albo jakąś bzdurę w tym rodzaju. Ale pan nie jest wazeliniarzem. A gdyby nawet pan nim był, w co nie wierzę, ma pan dosyć oleju w głowie, żeby zrozumieć, że dziś w pańskiej obecnej sytuacji nie może pan sobie pozwolić na akrobatykę włożenia komuś do tyłka.

– Słusznie, panie pułkowniku.

Luschke zbliżył się, oparł obiema rękami o chwiejący się stół i zapytał: – Wszystko załatwione?

Wedelmann wyprostował się i odparł: – Wszystko się zgadza. Stacja nadawcza istniała.

– No i co dalej, Wedelmann?

– Biorę całą winę na siebie, panie pułkowniku.

– Sąd wojenny?

– Tak jest, panie pułkowniku.

Luschke podniósł obydwie ramiona. Potem walnął pięściami w stół. Drzewo jęknęło. Po chwili Luschke wyprostował się.

– Dziewczyna? – zapytał półgłosem.

– Tak.

– Rozumiem – powiedział pułkownik. Potem rozejrzał się bezradnie, jakby szukał oparcia. Poruszył się niespokojnie. Zrobił kilka kroków w kierunku okna. Po kilku sekundach odwrócił się szorstkim ruchem i znowu podszedł do Wedelmanna.

– Człowieku – powiedział. – Czy pan wie, co to może oznaczać?

– Panie pułkowniku, jestem gotów ponieść wszelkie konsekwencje mego postępowania.

– Jest pan więc gotów. Pan porucznik chce ponieść konsekwencje. Patrzcie no, patrzcie – jest gotów! Gotów dać się zamknąć, stanąć przed sądem wojennym, iść pod ściankę albo jako szeregowiec pod jakimś fikcyjnym nazwiskiem grzebać w kompanii karnej trupy i wydłubywać miny. Gotów na wszystko! Cóż za szlachetność. Aż rzygać się chce od takiej szlachetności. Ale przecież nie jest pan sam na świecie!

– Szczerze ubolewam, że pana pułkownika...

– Mam w dupie pańskie ubolewanie! – zawołał pułkownik grubiańsko. – Nie jest mi potrzebne. Poradzę sobie i z tym.

– Ja nie – powiedział Wedelmann zrezygnowany. – Nigdy!

– Co to ma znaczyć? – zapytał pułkownik i stanął tuż przed Wedelmannem. – Czy oznacza to, że nie mógłby pan teraz spojrzeć w wodzowskie oczy swego ukochanego führera?

– Coś w tym rodzaju – powiedział Wedelmann słabym głosem.

– Jeżeli mnie pan o to zapyta, Wedelmann, to powiem, że nigdy nie miałem ochoty spojrzeć w te cielece gały! Bo wojna, którą ja prowadzę, nie jest jego wojną, i jeżeli jego przychylność jest pańską jedyną troską, Wedelmann, to chciałbym mieć pańskie troski!

– Nie rozumiem pana pułkownika.

– Teraz będzie mnie pan musiał wreszcie zrozumieć – powiedział Luschke sugestywnym tonem. – A ponieważ, jak się zdaje, nie należy pan do najpojętniejszych, w każdym razie nie w tej specjalnej sprawie, będę zmuszony mówić jasno i wyraźnie. Niechże więc pan mnie słucha, Wedelmann. Ta wojna jest brudną wojną.

– Nie, panie pułkowniku. To być nie może!

– Tak, to nie powinno być możliwe, Wedelmann. Ale tak jest. I im bardziej to sobie uświadamiam, tym większą czuję dla siebie pogardę.

– Panie pułkowniku!

– Tak, Wedelmann, czuję dla siebie pogardę. – Pułkownik podniósł ręce i opuścił je po chwili. Ten gest rozpaczliwie poruszył porucznika do żywego.

– Mam dla pana szacunek – powiedział Wedelmann ledwie dosłyszalnie.

– Jestem jednym z Luschków. Ale czymże jest jeden taki Luschke! Jest ich na świecie parę tuzinów. Szarzy ludzie, pastorzy, urzędnicy, oficerowie. Uczciwi ludzie. Żyli przyzwoicie, płodzili przyzwoite dzieci, umierali cicho i spokojnie. Ja jestem ostatni. Ale nie żyję przyzwoicie, nie spłodziłem dzieci, nie umrę w ciszy i spokoju.

Wedelmann był bezgranicznie zmieszany, uczucia jego płynęły jak rwące strumienie, mieszały się ze sobą i nie znajdowały spokoju. Kochał tego człowieka, ale go nie rozumiał. Czuł do niego pociąg, a równocześnie bał się go.

– Z ostatniego z Luschków własna ojczyzna zrobiła świnie! Dla kogo spełniam swój obowiązek, Wedelmann, kto to taki?

Człowiek, który rozpętał tę wojnę, jest nieuczciwy i dlatego cała ta wojna jest nieuczciwa.

– Nie, panie pułkowniku.

– Tak, panie poruczniku, to wojna bez czci i honoru. Rozpętana z wyrachowaniem. Prowadzona metodami sutenera! Pełna pogardy dla istnień ludzkich, zarówno obcych, jak i swoich. Podsycana przez upajający patos, przez tanie frazesy o sławie. Bohaterstwo ogarniętych amokiem, ojczyzna dla jednostek opętanych manią wielkości. To trucizna, która może zarazić całą ludzkość. Bez ratunku!

– Nie rozumiem tego wszystkiego – powiedział Wedelmann bezradnie.

– Nadszedł czas, żeby się pan nauczył rozumieć, Wedelmann. Czy naprawdę nie rozumie pan jeszcze ciągle, co się tu rozgrywa? Błoto ciskane dziś na cały świat brudzi każdego człowieka. Jedni mordują tysiąc ludzi, inni dwa tysiące, potem jedni pięć, inni dziesięć tysięcy. Na porządku dziennym są grabieże i gwałty. Naprzód płonące domy, potem zbombardowane tłumy ludzkie na szosach, później puszczone z dymem miasta. Naprzód trupy mężczyzn, potem kobiet i wreszcie dzieci. Nie jest to już wojna godna żołnierzy, Wedelmann. Trzeba być zwierzęciem, żeby ją uważać za wspaniałą.

– Ja również nienawidzę wojny.

– Wiem o tym; nienawidzi pan wojny, ale kocha pan swoją ojczyznę, a ojciec tej ojczyzny nazywa się dla pana Hitler. Człowiek ten twierdzi, że był żołnierzem frontowym. Bardzo prędko o tym zapomniał. Żołnierze walczą, ale nie napadają, nie oszukują, nie nienawidzą. Czyż prawdziwy żołnierz rozstrzeliwuje Żydów, ograbia całe połacie kraju, zmusza cywilów do usług na rzecz wojny, morduje masowo za-

kładników?

– Ja osobiście nigdy nie brałbym w tego rodzaju akcjach udziału, panie pułkowniku.

– Wierzę panu, Wedelmann, wierzę na słowo, ale nikt pana o to nie pyta ani nikt pana do tego nie zmusza. Usłużnych pomocników są całe kopy. Zbrodniarze z instynktu i mordercy na zasadzie wyznawanego światopoglądu. W tym klimacie, Wedelmann, giną żołnierze, a wyrastają kryminaliści. Kiedy w grudniu ubiegłego roku pierwsza fala paniki ogarnęła nasze wojska, przestępcy zaczęli już w naszych żołnierzach brać górę. Rozpoczęły się gwałty, rabunki, szachrajstwa, napady, koledzy mordowali się wzajemnie rzekomo w obronie własnej. Niechże się pan wreszcie zastanowi. Niech się pan obudzi, zacznie myśleć realnie i zupełnie na chłodno. Niech pan wreszcie uświadomi sobie, do jakiego stopnia świat ten jest zaświniony, ogłuszony przez szczekaczki, ryki, oślepiiony przez czarną farbę drukarską. Wydaje się panu, że rozmawia pan z człowiekiem, a w rzeczywistości wpada pan w sidła agenta. Zdaje mi się teraz, Wedelmann, że rozmawiam z kolegą. A może mam przed sobą szpicla?

– Panie pułkowniku!

– Dobrze już, mój chłopcze.

– I co ma się teraz stać, panie pułkowniku? – zapytał Wedelmann po długiej pauzie.

Pułkownik Luschke westchnął głęboko. Rozmowa ta wyczerpała go widocznie. Ale oczy mu błyszczały.

– Panie poruczniku Wedelmann – powiedział i był znowu całkowicie nieprzystępnym, chytrym, wyniosłym dowódcą – cenilem pana zawsze jako żołnierza, nigdy nie był mi pan obojętny jako człowiek. Z pańskiego meldunku wnoszę, że wytropił pan nieprzyjacielską stację nadawczą i że, niestety, obsługująca ją agentka zdążyła się panu wymknąć z rąk.

– Panie pułkowniku!

– Kiedy ten cały bałagan się skończy, sporządzimy w tej sprawie wspólnie raport. Tylko niech pan nie robi teraz miny wiernego psa, Wedelmann, do pioruna!

Wedelmann był głęboko wstrząśnięty. Ciągle jeszcze nie rozumiał, co się z nim tutaj dzieje. Odczuwał tylko wdzięczność i przywiązanie. I coś więcej jeszcze: miłość.

– Poza tym – powiedział Luschke – muszę panu jeszcze podać treść pewnego radiogramu. Może ją pan później sprawdzić u adiutanta. Po tych słowach pułkownik Luschke uśmiechnął się chytrze: – Panie Wedelmann! Winszuję panu awansu na kapitana. Z dniem dzisiejszym obejmuje pan dowództwo pierwszego dywizjonu mego pułku.

Wedelmann patrzył na swego dowódcę nie wierząc własnym uszom. Powoli, bardzo powoli zaczął sobie uświadamiać, co się z nim tutaj dzieje. Omal nie rozkleił się

teraz całkowicie.

Ale Luschke nie dał mu do tego okazji, kończąc rozmowę następująco: – Radziłbym panu, panie kapitanie Wedelmann, zająć się teraz swoim dywizjonem, a zwłaszcza trzecią baterią.

Wydawało się, że kapitan Witterer bardzo prędko i bez trudu zapomni o wnykach, jakie mu, Bogu niech będą dzięki, w cztery oczy zaaplikował we wczesnych godzinach rannych bombardier Kowalski. Z zapalem i pełen nadziei rzucił się na poszukiwanie sukcesów w tej wojnie. Ale ruchliwość jego miała na sobie piętno nerwowości.

Kazał się zawieźć Kowalskiemu, który odtąd nie istniał dla niego jako człowiek, co oczywiście Kowalskiemu było najzupełniej obojętne, na stanowisko numer trzy. Po drodze natknął się na jakiegoś kaprała, który na widok samochodu dowódcy trzeciej baterii zeskoczył z przedzierającej się z trudem przez zwały błota ciężarówki.

– Kowalski! – zawołał kaprał. – Stójże, Kowalski!

– Ciebie nam tylko brakowało – mruknął tamten i jechał dalej.

– Zatrzymajcie się! – rozkazał Witterer.

Kaprał podbiegł potykając się. Uśmiechnął się przyjaźnie do Kowalskiego, co zdawało się doprowadzać bombardiera do rozpacz. Stanął na baczność przed Wittererem i zawołał: – Kaprał Vierbein melduje swój powrót z podróży służbowej do dywizjonu zapasowego.

– A więc to wy jesteście kaprał Vierbein – powiedział Witterer, z zainteresowaniem. Kapitan wiedział, że żołnierz, który teraz przed nim stoi i którego widzi po raz pierwszy, należy do najlepszych działonowych pułku Luschkego. Ten Vierbein nie wyglądał wprawdzie na takiego, który zawodowo rozłupuje czołgi, ale wynikało to niedwuznacznie z jego dokumentów personalnych. Jeżeli kto mógł zbierać wawrzyny dla baterii, to tylko ten niepozorny młodzieniaszek. – Chyba wiadomo wam, kim jestem.

– Tak jest, panie kapitanie – odrzekł Vierbein. Wiedział o tym. Wóz kierowany przez Kowalskiego był wozem dowódcy, a więc musiał to być nowy dowódca nazwiskiem Witterer, który podpisał telegram do niego.

– Czy udało wam się wykonać zlecenie?

– Tak jest, panie kapitanie – zameldował Vierbein z dumą. – Dwóch podoficerów i dziesięciu kanonierów oraz sześć radiostacji. Czekają na lotnisku.

– Bardzo się ze względu na was cieszę. Przybywacie zresztą w odpowiedniej chwili. Działonowi z doświadczeniem bojowym są nam pilnie potrzebni. Wsiadajcie, kaprału.

– Czy nie musisz zameldować się naprzód u pułkownika Luschke? – zapytał Kowalski z naciskiem.

– Wsiadajcie, kaprału!

– Jeżeli jednak musi naprzód zameldować się u pułkownika Luschke... – upierał

się przy swoim Kowalski.

– Wsiadać!

Vierbein usłuchał, nawet nie myśląc o jakimś sprzeciwie. Dziwił go bardzo ton, jakiego Kowalski używał w stosunku do nowego dowódcy. Był wprawdzie u Kowalskiego przyzwyczajony do niejednego, ale wobec Wedelmanna Kowalski jedynie pysskował i nigdy nie pozwalał sobie na zuchwalstwo lub prowokacyjne zachowanie.

Nie spiesząc się zbyttnio bombardier Kowalski wioził Witterera i Vierbeina w kierunku nowego stanowiska. Drogi nieco opustoszały; większości zablokowanych w ciągu długich godzin pojazdów udało się ujść bezpośrednio naciskowi wroga. Jednostki walczące objęły teraz pole walki.

– Istna idylla! – zawołał Kowalski podjeżdżając do stanowiska ogniowego. – Tutaj na razie odprzodkuję.

Działa stały w pobliżu domów kołchozu. Wbrew temu, co figurowało na mapie, było tu pięć budynków zamiast trzech. Ogniomistrz Asch zarekwirował je wszystkie dla trzeciej baterii, oświadczając innym zainteresowanym, że przygotowuje kwatery dla całego pułku.

Stanowisko ogniowe wyglądało niemal pokojowo. Okolica, w której huczało od zgiełku walki, była odległa o całe kilometry. Przy działach stało tylko kilka posterunków alarmowych. Pozostali żołnierze rozlokowali się na kwaterach. Niektórzy grali w karty, większość spała, dwaj golili się, jeden obcinał sobie ze skupieniem paznokcie. Wittererowi bardzo się to wszystko nie podobało.

– Gdzie jest ogniomistrz Asch? – zapytał. Kiedy Asch zbliżył się bez zbyttniego pośpiechu, Witterer zawołał: – Czy jesteście tutaj na urlopie wypoczynkowym?! Co się tu właściwie dzieje?

– Przecież to Vierbein! – zawołał Asch zaskoczony. – Jak się tu dostałeś, mój mały? – I natychmiast dodał: – Mogłeś spokojnie zostać jeszcze tam, gdzie byłeś. I bez ciebie damy sobie radę!

– Tak – zawołał Witterer. – Na to, aby leżeć do góry brzuchem, nie trzeba doświadczonych działonowych.

Asch wskazał swoje stanowisko ogniowe szerokim gestem.

– Bardzo zdrowa okolica, panie kapitanie – powiedział. Zdaje się, że wojna łązi obok nas.

– Nie było styczności z nieprzyjacielem? Ani sukcesów?

– Nie było sukcesów, ponieważ nie było styczności z wrogiem – powiedział Asch.

– Wojna toczy się o pięć kilometrów dalej. Prawdziwy pech.

Witterer milczał wyraźnie niezadowolony. Sytuacja nie podobała mu się zasadniczo. Wojna rozpętała się już na dobre, ale jego bateria nie miała do czego strzelać. Jakże miał pokazać, co potrafią jego ludzie!

– Co się tam dzieje przed nami? – zapytał.

– Zwyczajny bałagan – odparł Asch. – Jak podaje obserwator, ogień piechoty. Jest

kilka czołgów.

– Czołgów? – zapytał Witterer z zainteresowaniem.

– Panie kapitanie, czy mogę z powrotem objąć mój działon? – zapytał kapral Vierbein.

– Możecie – oświadczył Witterer łaskawie.

– Mój ty Boże! – zawołał Kowalski i spojrział na Ascha. – Bohaterów nie można już powstrzymać.

– Kapralu Vierbein! – zawołał Witterer, któremu się wydawało, że wpadł na genialny pomysł. – Będziecie mogli zaraz pokazać; co umiecie. Jesteście chyba dostatecznie wypoczęci. A więc bez wielkich ceregieli do dzieła.

– Jak to należy rozumieć, panie kapitanie? – zapytał Asch ze spokojem.

– Jeżeli czołgi nie przyjdą do nas, ogniomistrzu, no to my poszukamy czołgów. Trzy do pięciu kilometrów to niedaleko. Przygotujcie swój działon do marszu, Vierbein! Niech nas Iwan pozna.

– Tak jest, panie kapitanie! – zawołał posłusznie Vierbein. Podbiegł do swego działła, wydał rozkaz: – Zmiana stanowiska! – I podczas gdy koledzy zaczęli wykonywać swe czynności, przywitał się z nimi krótko i serdecznie. Żołnierze kiwali w jego stronę rękami, jeden klepnął go po ramieniu, wszyscy chcieli pokazać, jak bardzo go lubią.

Napełniło to Vierbeina poczuciem szczęścia. Uśmiechał się do kolegów, jego chłopięce oczy promieniały. Miał wrażenie, że teraz nareszcie znalazł się „w domu”.

– Pojadę razem z nimi – powiedział Asch pewnym tonem i podszedł do działonu Vierbeina.

– Pan kapitan oczywiście nie pojedzie – powiedział Kowalski prowokującym tonem.

– Pokieruję tą akcją osobiście – oświadczył Witterer. Kowalski skinął głową. Ten Witterer – powiedział sobie – to niewątpliwie świntuch, ale nie głupiec. Wie dobrze, jak się urządzać. Spacerok frontowy z kapralem Vierbeinem i ogniomistrzem Aschem mógłby się stać wycieczką stosunkowo pewną i intratną.

– Ogniomistrzu Asch – powiedział Witterer – zadanie dla was i dla kaprała Vierbeina, nad którego wykonaniem będę czuwał osobiście, brzmi: Podjechać pod teren objęty walką, ustawić działo na stanowisku i wejść do akcji bojowej. Cele główne: czołgi.

– Jestem w pełni zorientowany, panie kapitanie.

– Ogniomistrzu Asch! – powiedział Witterer, któremu ta całkowita aprobata tak zwykle opornego ogniomistrza wydała się podejrzana. – Czy macie jakieś zastrzeżenia lub propozycje?

– Nie, panie kapitanie. Moim zdaniem wszystko jest tu w porządku. Nieraz dokonywałem tego rodzaju wypadów razem z porucznikiem Wedelmannem. Może naprawdę będziemy tam w przodzie potrzebni.

– Na cóż więc czekamy! – zawołał Witterer.

Ogniomistrz Asch podstawił ciągnik. Kapral Vierbein nadzorował zaprzodkowanie działa. Potem skoczyli do przodu, siadając obok kierowcy. Obsługa uczepliła się bocznych ścian.

Ciągnik ruszył z trudem, potem jednak rozkręcił się jakoś. Działo kołysało się za nim. Witterer jechał z tyłu samochodem prowadzonym przez uśmiechającego się bezczelnie Kowalskiego.

Asch orientował się według mapy i wskazywał kierowcy drogę. Potem spojrzął w stronę Vierbeina i uśmiechnął się do niego. – Dobrze było w domu, mały?

– Potem ci wiele rzeczy opowiem.

– Cieszę się na to z góry, Johannes.

Asch skoncentrował teraz swą uwagę całkowicie na terenie. Teren ten robił wrażenie opuszczonego. Jedynie pod drzewami i krzakami kryły się pojedyncze ciężarówki. Zgiełk walki zbliżał się coraz bardziej.

– Gdybyśmy nie mieli ciągnika – powiedział Asch do kierowcy – siedzielibyśmy już teraz aż po ośle uszy w błocie.

– Poza tym moja buda to tak jak bilet powrotny.

– Na chwilę tylko do tego diabelskiego kotła i wracamy – powiedział Asch. – Miejmy nadzieję, że nikogo przy tej okazji szlag nie trafi.

Ciągnik przedzierał się przez teren. Vierbein przeszedł do tyłu i przeliczał amunicję. Jadący za nim Kowalski machnął ręką w jego stronę. Witterer uważał, że to nie przystoi, ale milczał, ponieważ przysiągł sobie, że nie zamieni już z Kowalskim w sprawach osobistych ani jednego słowa. Po trzech kilometrach Asch kazał zatrzymać się w pobliżu lasku. Zeskoczył i pobiegł na wzgórze. Pozostał tam przez chwilę, żeby się zorientować, potem odwrócił się, skinął na kierowcę i obiema rękami opisał wielkie półkole:

Kierowca zrozumiał w lot. Dodał gazu i szerokim łukiem ruszył w stronę wzgórza. Zatrzymał się zaledwie kilka metrów od wierzchołka.

– Dobrze! – powiedział Asch.

– Na stanowisko! – zawołał Vierbein.

Obsługa zeskoczyła, działo odprzodkowano i ustawiono na stanowisku. Dwaj kanonierzy zrzucili w śnieg kosze z amunicją. Na polecenie Ascha ciągnik ruszył w tył, w kierunku lasku. W tym samym miejscu Kowalski postawił swój samochód osobowy.

Kapitan Witterer wszedł na wzgórze i zaczął obserwować teren przez lornetkę. To, co tam ujrzął, napełniło go zdumieniem. Zdawało się, że okolica leżąca u jego nóg pluje ogniem i ziemią. Ludzie byli prawie niewidzialni, ale było ich za to słyhać. Broń, którą się posługiwali, rozrywała horyzont na strzępy.

– Na prawo w skos, trzy tysiące – powiedział Asch. – Między drzewem a stodołą.

– Do pioruna! – zawołał Witterer bardzo nienaturalnym głosem.

– Cel widzę! – zawołał kapral Vierbein, odsunął celowniczego i zaczął sam nastawiać celownik.

– Pięć czołgów – powiedział Witterer nie wierząc własnym oczom.

– Osiem – poprawił go Asch i zmrużył oczy.

– Ludzie, jazda, jazda! – wołał Witterer podniecony. – Na co właściwie czekamy?

– Vierbein, czy można zaczynać? – zapytał Asch.

– Granaty przeciwpancerne! – zakomenderował Witterer.

– Nie mamy ze sobą żadnej innej amunicji, panie kapitanie – powiedział ogniomistrz Asch. – A komendę wydaje teraz kapral Vierbein.

Vierbein ustąpił miejsca celowniczemu.

Podał komendy wstępne. Otworzył tabele strzelnicze i podał celownik. Potem zawołał: – Ognia!

– Krótki, o wiele za krótki! – zawołał Witterer.

– Za długi! – krzyknął po drugim strzale. – O wiele za długi!

– Trzeci strzał – powiedział Asch nie spuszczać celu z oka – nie chybi. Znam Vierbeina.

Istotnie, trzeci strzał był celny. Naprzeciwko pod drzewem płomienie objęły czołg, z którego zaczęły unosić się ciemnosine kłęby dymu.

– Tak jest – ryczał Witterer. – Teraz dobrze! Tak być powinno! Tylko tak dalej!

Vierbein przyglądał się swojej obsłudze, Asch natomiast patrzył na Vierbeina. Kochał tego bladego, niepozornego, dzielnego chłopaka, kochał go jak brata.

– Czołg na lewym skraju – powiedział kapral.

– Gotowe! – zawołał celowniczy.

– Ognia!

Czołg na lewym skraju otrzymał widocznie potężne uderzenie. Wyglądało to tak, jak by odbił się od jakiejś niewidzialnej ściany. Wieża jego pozęgłowała przez powietrze. Potem buchnął płomień, który nagle zgasł, jak by ktoś przydusił go mokrym kocem.

– Tak! – ryczał Witterer. – Tak jest!

– A teraz, Vierbein, tempo! – powiedział Asch, który wiedział już, co nastąpi. Przecież żadne skupienie czołgów nie będzie się przyglądało beczynnemu, jak mu się rozrywa tyłek. Teraz szybkość była równoznaczna z przedłużeniem życia. Kto teraz zareaguje najwolniej, ten pierwszy gryźć będzie ziemię.

Jeszcze trzeci z kolei czołg wywiesił chorągiew śmierci. Potem wytoczyło się pięć pozostałych. Jakiś moździerz próbował się wstrzelać. Nagle dokoła wzgórze zaczęły wykwiatać grzyby wybuchów.

Kapral Vierbein unieruchomił wraz ze swoją obsługą jeszcze czwarty czołg. Potem w odległości zaledwie dwudziestu metrów od działa eksplodował ciężki pocisk. Na żołnierzy bryznęła fala błota, śniegu i odłamków żelaza.

– Kropić ile się jeszcze da! – powiedział Asch. – A potem w nogi. – I pomyślał

gniewnie: Tego Witterera zatkało. – Nie miał czasu rozejrzeć się za kapitanem. Chodziło teraz o sekundy.

Lufa armatnia wypluwała w kierunku wroga pocisk za pociskiem, cofała się dygocząc i wyrzucała pustą łuskę. Amunicyjni otwierali kosze i rzucali naboje ładowniczymu, który wsuwał je w otwór zamka, jak gdyby pakował do pieca bochny chleba.

Piąty czołg, ogarnięty płomieniami, przewrócił się na bok. Trzy pozostałe zbliżały się coraz bardziej, strzelając ze wszystkich luf. Pociski nieprzyjaciela padały teraz ze wszystkich stron jak ulewny deszcz.

– Jeszcze tylko dwanaście nabojów – powiedział kapral Vierbein.

– Wystrzelać wszystkie! – zawołał Asch. – Potem zmiana stanowiska. Biegnę po ciągnik.

Asch rozejrzał się dokoła. Witterera nie było. Jak gdyby znikł z powierzchni ziemi. Ogniomistrz skrzywił się pogardliwie. Potem zbiegł ze wzgórza kierując się w stronę lasu, by wezwać ciągnik.

Ale ciągnika także nie było. Na brzegu lasu stał tylko samotnie samochód Kowalskiego. Poza tym nic!

Asch ryknął.

Z lasu wyszedł Kowalski podciągając spodnie. Miał bardzo zadowolony wyraz twarzy.

– Gdzie jest ciągnik?

– Znikł. Z Wittererem. Kapitan wrzeszczał za mną jak niemowlę za matką, ale byłem pochłonięty intensywną pracą. Więc wziął ciągnik zamiast samochodu dowódcy.

– Jazda! – ryknął Asch. – Za nim!

Kowalski w lot się zorientował. Wskoczył do swego wozu i ruszył z kopyta.

– Vierbein nie ma już amunicji – powiedział Asch do Kowalskiego w skaczącym dziko samochodzie. – Mogą go teraz zupełnie nakryć. Jeżeli natychmiast nie będzie mógł zejść ze stanowiska, będzie zgubiony razem z całą obsługą.

– A to świnia z tego Witterera! – zawołał Kowalski naciskając z furją pedał.

Po kilometrze piekielnej jazdy na horyzoncie zarysował się ciągnik. Kowalski dogonił go po jakichś trzystu metrach i ustawił się w poprzek.

Asch wyskoczył i pobiegł do ciągnika. – Natychmiast zawracać! – ryknął.

– Z drogi! – wrzasnął Witterer. – Jadę po posiłki. – I zwracając się do kierowcy zawołał: – Jazda dalej!

– Zawracać!

– Jechać dalej!

Nie zastanawiając się długo Asch wyciągnął pistolet i skierował go na Witterera. Z tym wyciągniętym i odbezpieczonym pistoletem w ręku wskoczył na ciągnik.

– Precz! – powiedział do Witterera. – Wynoś mi się!

Witterer zbladł i zaczął dygotać. Asch chwycił go wolną ręką za pierś, uniósł w

górze i wyrzucił z ciągnika. Witterer runął na ziemię.

– Wracać natychmiast! – zawołał Asch do kierowcy. Kiedy jednak przybyli na stanowisko działa, kapral Vierbein już nie żył.

Słońce próbowało świecić, ale niebo było bez blasku. Nie padał już ani śnieg, ani deszcz.

Drogi wyglądały jak kupy gruzu, między resztkami drewna, blachy i żelaza leżeli martwi ludzie. Nikt się nimi nie interesował. Miało się wrażenie, że wszystko, na co pada światło dzienne, umiera nie zauważone.

Na froncie panowała cisza. Nieprzyjaciel wyczerpał się na razie. Straty, które zadał, jak i te, których doznał, były niemałe. Ale od kiedyż to wojna bawi się w drobiazgi!

Znowu pełnili służbę wartownicy i znowu spoglądali na wartowników po tamtej stronie frontu. Chętni komunikat głosił, że cel został osiągnięty. A przecież bez względu na to, co się osiągnęło, chodziło właśnie o ten cel. Wartownicy wiedzieli o tym, ale nie zastanawiali się. Wszystko było tak jak dnia poprzedniego: tu stały działa, tam był okopany nieprzyjaciel. Chałupy były podobne jedna do drugiej, wszy gryzły tu równie gwałtownie, jak na poprzednich pozycjach, położonych o czterdzieści kilometrów na wschód. Cóż się więc zmieniło?

Z paru tysięcy pojazdów zrobiła się miazga. Kilka tysięcy ludzi przestało oddychać. Wśród nich pewien kapral nazwiskiem Johannes Vierbein.

Kapral Soeft za pomocą ciągnika, który sam sobie zorganizował, umieścił w bezpiecznym miejscu trzy obce ciężarówki.

Soeft nie należał do rabujących na ośle. Zęby z sensem i korzyścią zamortyzować kapitał zainwestowany w wypożyczony ciągnik, kontrolował osobiście jak najdokładniej ładunek każdego wozu, zanim pozwalał zaczepić linę ciągnika.

Był ze swego łupu zadowolony. Na jednej ciężarówce mieściła się żywność, na drugiej odzież. Trzecia była całkowicie wyposażonym ambulatorium dentystycznym.

– Co chcesz z tym począć? – zapytał starszy ogniomistrz Bock, któremu Soeft w drodze wyjątku pozwolił przyglądać się ceremonii wyładowywania.

– Przecież może się zdarzyć, że dostanę kiedyś bólu zęba – powiedział Soeft.

– Wcale nienadzwyczajny obiekt wymienny – powiedział sceptycznie starszy ogniomistrz.

– To zawsze zależy od tego, kto z kim dokonuje wymiany. Pewien mój przyjaciel, oczywiście przyjaciel jeżeli chodzi o interesy, przehandlował na Bałkanach cały kompletnie wyposażony okręt podwodny. Inny ma wille nad Atlantykiem. Poza tym kurs złota dentystycznego jest na razie dosyć wysoki. Gwarantuję ci, że będzie jeszcze wyższy.

– Czy podoficer samochodowy może później wykorzystać te pojazdy?

– Dwa, jeżeli mi za to trzeci doprowadzi do porządku. Bo przy tym przyroście naturalnym potrzebuję jeszcze jednej ciężarówki! – I Soeft nie bez dumy wskazał na stos nagromadzonych skrzyń.

– Człowieku! – powiedział Bock niezadowolony – twój tabor staje się coraz większy, a żołnierzy mamy w baterii coraz mniej.

– Te drobne straty – powiedział Soeft – nie grają przecież żadnej roli. W każdym razie nie grają jej w zaopatrzeniu. A materiał ludzki dostarczany nam jest w dalszym ciągu bez żadnych trudności.

Na jego wykazach nazwisko Vierbeina i siedmiu poległych żołnierzy zostało już skreślone.

Ogniomistrz Asch kopał z bombardierem Kowalskim wielki grób. Ciała poległych żołnierzy leżały obok, zawinięte w brezent.

– Cała bateria powinna być obecna przy ceremonii – rzekł Kowalski. – Wtedy wykrzyczę z siebie wszystko, co wiem.

– Nie – sprzeciwił się Asch – pogrzeb jest wyłącznie dla zmarłych.

– A winny?

– Pociągnie się go do odpowiedzialności na innym miejscu. Kowalski potrząsnął z niezadowoleniem głową. Potem zabrał się do dalszego kopania. Zjawiło się kilku żołnierzy i przystąpiło bez słowa do roboty.

– Już ja go tu przywlokę. – powiedział Kowalski.

– Niech wie, co narobił!

– Za dużo gadasz – zauważył ogniomistrz Asch i zaczął wymierzać grób. – Nie możesz go tu przywlec, bo jest w tej chwili w drodze. Wykorzystuje swoje zwycięstwo.

Ciężkimi, szerokimi ruchami kopali dalej. Zebrało się już piętnastu żołnierzy. Co chwila jeszcze ktoś przybywał.

– Kiedyś – powiedział Kowalski – wykopię grób i dla niego.

Zrobię to zupełnie sam. Będzie to dla mnie najpiękniejsze zajęcie w tej wojnie.

– No, teraz koniec! – powiedział ogniomistrz Asch. – Pogrzeb odbędzie się za godzinę. Kto chce wziąć w nim udział, niech przyjdzie.

Dziewczyny z zespołu rozrywkowego leżały obok siebie na nowej kwaterze, ciasno stłoczone. Noc przebyły dobrze. Kilka godzin snu wystarczyło, by przywrócić im dobry humor.

– Nasi żołnierze – powiedziała Viola masując sobie podbródek – to jednak chłopcy na schwał.

– Musisz to chyba dobrze wiedzieć – odezwała się Charlotta. – Przy twoich doświadczeniach!

– Ten pan Asch – oświadczyła Liza Ebner – przestał dla mnie istnieć. Zostawił nas na pastwę losu.

– Miał zapewne co innego do roboty niż bawić się u nas w niańkę – powiedziała Charlotta. – Poza tym, jak mówią, właśnie jego jednostka miała odegrać decydującą rolę w powstrzymaniu nieprzyjaciela.

– Ale przecież nie Asch!

– Ci dzielni chłopcy rozbili podobno sześć czołgów – powiedziała Charlotta.

– To z pewnością kapitan Witterer.

Tancerka Viola nastawiła uszu: Dzielny mężczyzna, ale i mocny, co?

– Chciałabyś wypróbować?

– Wcale niezły pomysł.

– Wydrapię ci kiedyś ślepią! – zawołała Liza Ebner.

– Cóż to, dziecinka zazdrosna?

– Wściekła!

– Z powodu tylu straconych okazji!

– Zamilknij wreszcie, ty prosiaku – powiedziała Charlotta. – Jeszcze kilka tuzinów takich jak ty, a cały front zamieni się w chlew.

Kapitan Witterer stał dumnie przed pułkownikiem Luschke, który siedział skulony na swoim brzozowym stołku. Wydawało się, że Luschke skręca się od silnych kurczów żołądka. Ale oczy jego lśniły zimnym blaskiem.

– Proszę, panie kapitanie, niech pan to powtórzy jeszcze raz.

– Ostrzelano liczne jednostki piechoty. Dokładnych liczb nie można ustalić. Nieprzyjaciel stracił, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, trzydziestu do czterdziestu ludzi oraz ze dwa, trzy karabiny maszynowe.

– Cóż dalej, panie kapitanie?

– Zniszczono sześć nieprzyjacielskich czołgów.

– I to pod pańskim... jak to pan przedtem tak pięknie powiedział?

– Pod moim dowództwem, panie pułkowniku.

– A straty własne, panie kapitanie? – zapytał pułkownik podstępnie.

– Tylko jeden kapral i siedmiu szeregowców.

– Polegli?

– Tak, zostali zabici. Było to nie do uniknięcia, panie pułkowniku.

– Tylko jeden kapral i siedmiu szeregowców. Tylko! – Luschke ryknął nagle potężnym głosem: – Tylko jeden kapral i siedmiu żołnierzy poległo.

Witterer przeląkł się, trzasnął obcasami, wlepił oczy w swego dowódcę. Potem powiedział: – Straty mogły być większe. Sytuacja była niezwykle niebezpieczna. Ale sukcesy usprawiedliwiają...

– Czy polegli zostali już pogrzebani?

– Tak jest. Odnośne rozkazy zostały wydane.

– Listy do rodzin?

– Tak jest. Szef pisze je właśnie. Do rodziny kaprala zostanie ponadto zgodnie z przepisami wysłana depesza.

– Polegli za Führera i Wielkie Niemcy?

– Tak jest, panie pułkowniku. To przecież ogólnie przyjęta formuła.

Luschke obrzucił Witterera zimnym spojrzeniem. Potem powiedział: – Niech się pan stąd wynosi! Niech się pan zamelduje u swego dowódcy dywizjonu, u kapitana Wedelmana.

– U kogo? – zapytał Witterer nie wierząc własnym uszom.

– U kapitana Wedelmana. A teraz niech mi pan wreszcie zejdzie z oczu! Krzyż Żelazny podrzucę panu kiedyś przy sposobności.

Żołnierze otaczali kołem otwartą mogiłę. Ze stu dwudziestu pozostało ich trzydziestu ośmiu. Zjawili się wszyscy dobrowolnie. Nałożyli hełmy i pasy.

– Złożmy ich do grobu – powiedział ogniomistrz Asch. Żołnierze bez głowa podnieśli z ziemi ciała poległych owinięte w brezent i przenieśli je nad otwartą mogiłę. Stał w niej Kowalski. Przyjmował kolejno zwłoki i układał je pieczołowicie obok siebie.

Skończywszy tę robotę wylazł z mogiły i stanął obok Ascha patrząc uporczywie w zapełniony dół. Żołnierze podeszli bliżej.

Ogniomistrz Asch powiedział: – Grzebiemy tutaj kaprala Vierbeina i obsługę jego działa. Nikt nie wie dokładnie, w jaki sposób zginęli. Kiedyśmy ich znaleźli, żaden z nich już nie żył. Jedno jest pewne: należy przypuszczać, że żaden nie umarł chętnie. Można powiedzieć, że zmarli mężnie. Tylko że nikt nie wie dokładnie, co to jest męstwo. Może to być spokój przed śmiercią, poddanie się temu, co się nazywa losem. Nie słyszałem, żeby któryś z tych ośmiu krzyknął, nie widziałem, żeby któryś z nich zapłakał – wojna srożyła się zbyt głośno.

Ogniomistrz Asch zakończył następującymi słowami: – Nikt nie wie dokładnie, czy ponieśli ofiarę, czy też stali się ofiarami. Nie żegnam ich tylko jako kolegów. Johannes Vierbein był moim przyjacielem, niektórych z nich nieraz w ciągu tych dwóch i pół lat spotykałem na mojej drodze. Widywałem się z nimi chętnie. Innych zaledwie znałem. Ale możemy zginąć tak samo jak każdy z nich i to nas wszystkich łączy.

Asch zamilkł. Milczeli również żołnierze stojący nad mogiłą. Twarze ich były nieruchome. Nikt nie płakał.

Szare niebo patrzyło na nich wszystkich obojętnie.

Ten Vierbein – powiedział kapral Soeft otwierając nową skrzynię – był zawsze biednym frajerem.

– To był przyzwoity chłop – rzucił Bock szorstko.

– Moim zdaniem to się inaczej nie mogło skończyć! Był napiętnowany. Nieraz pytałem siebie, kiedy i jak będzie gryzł ziemię.

Starszy ogniomistrz sięgnął do otwartej skrzyni, wyciągnął tabliczkę czekolady i odgryzł kawałek. – Z polecenia Witterera napisałem do jego krewnych, że był bohaterem. Był nim też, o ile w ogóle bohaterowie istnieją.

- A jeżeli istnieją świny, to Witterer jest jedną z nich.
- Vierbein nie żyje – powiedział Bock żując czekoladę – a Witterer żyje i jest tutaj dowódcą baterii. Czy pojmujesz tę delikatną różnicę?
- Masz rację, przywrócić do życia nie potrafimy nikogo. Ten, kto żyje, ma z życia więcej.
- A jednak – zauważył Bock – śmierć ta niezupełnie do Vierbeina pasuje. Moim zdaniem powinien być umrzeć trochę inaczej.
- Jakże to?
- Mógłby zamarznąć! – powiedział Bock. – Przypuśćmy, że stał gdzieś na posterunku i nie został złuzowany. I cóż się dzieje? Zamarza. Taki Vierbein wolałby zamarznąć na śmierć, niż zejść z posterunku.
- W zasadzie zupełnie słusznie – zgodził się Soeft. – Dochodzi jednak do tego drobna okoliczność – nie mógł bowiem opuścić swego posterunku, nawet gdyby chciał. Jego własny kapitan nie dał mu po. temu okazji. Powiedziałaś coś?
- Czekolada jest wspaniała.
- Mam tego sześć skrzyń.

Kapitanowie Wedelmann i Witterer stali nad świeżo usypaną mogiłą i patrzyli na krzyż, na którym wisiał podziurawiony kulami hełm.

Napis na tablicy głosił: „Tu spoczywa kapral Vierbein z obsługą swego działa”. Potem następowało siedem nazwisk poległych żołnierzy. Poniżej można było odczytać: „Polegli, ponieważ byli żołnierzami”.

- Polegli powiedział kapitan Witterer – za Führera i Wielkie Niemcy. Pan szczególnie, panie kapitanie, będzie umiał to chyba ocenić.
- Kapral Vierbein był mi bardzo bliski – powiedział Wedelmann.
- Jak każdy chyba żołnierz baterii.
- Jak żaden inny.
- No tak, ale musimy przecież ponosić ofiary.
- Wraz ze śmiercią Vierbeina straciliśmy najprzyzwoitszego człowieka, jakiego kiedykolwiek znałem. Mam niemal uczucie, że bez niego wojna stanie się nie dość czysta.
- Ależ prosz«; pana, panie kolego!
- Nie jestem pańskim kolega! – powiedział Wedelmann i odszedł.

Pułkownik Luschke długo przyglądał się ogniomistrzowi Aschowi. Potem spojrzął na Wedelmanna, który stał obok niego. Wysłuchał ich meldunków i milczał.

- Żyjemy – powiedział wreszcie – w wielkiej epoce.

A w wielkich czasach niejedno jest niezwykle. Jak wielkie są te czasy, czytamy o tym codziennie. – Sięgnął półleżący na stole stos rozkazów dziennych, przysunął go do siebie i zaczął przerzucać poszczególne kartki.

- Zacytował z pierwszego rozkazu: Führer i Wódz Naczelny: Przyleciałem więc do

was, by wyczerpać wszystkie środki, ułatwić waszą walkę, obroną i zmienić ją w końcu w zwycięstwo. Jeżeli każdy z was dopomoże mi w tym, uda nam się to i tym razem przy pomocy Wszechmocnego.

Zacytował z rozkazu drugiego: Generał dowodzący: Leżą za nami dni najsilniejszych przeżyć historycznych. Kiedy Führer powiedział nam w Kwaterze Głównej, że nasza dzielna obrona przeszła jego oczekiwania, i kiedy oburącz uścisnął moją dłoń, przyjąłem ten uścisk jako podziękowanie dla was, jego żołnierzy.

Zacytował z rozkazu trzeciego: Dowódca dywizji: Dywizja osiągnęła w licznych ciężkich walkach równie liczne, wspaniałe sukcesy. Stało się to możliwe jedynie dlatego, że każdy spełniał na swoim posterunku bez wahania swoje obowiązki. Niechaj tak będzie i w przyszłości!{12}

Pułkownik odsunął na bok papiery i mrugnął okiem w stronę ogniomistrza Ascha. – Oto – powiedział po chwili – parę próbek z wielkiej epoki, w której wolno nam żyć. Co o tym myślicie, Asch?

– Czy muszę to powiedzieć, panie pułkowniku?

– A pan, panie kapitanie Wedelmann?

– To samo, panie pułkowniku.

– Jeszcze jedna próbka – powiedział Luschke. – Tym razem zacytuję marszałka polnego: Kategorycznie wymagam od was wszystkich, żołnierze podległych mi oddziałów, świadomej, fanatycznie wzrastającej i w każdym wypadku bezwarunkowej woli zwycięstwa. Rozkazuję, by na znak naszej wspólnej woli walki dodawano do każdego hasła dnia słowa: „Żaden żołnierz nie będzie ode mnie lepszy!”

Wedelmann patrzył w kąt z zakłopotaną miną i machinalnie obciągał na sobie mundur. Asch irytował się strasznie, dając bez żenady do zrozumienia, że cytaty te uważa za szczyt głupoty. Pułkownik Bulwa uśmiechał się szyderczo.

Po chwili powiedział: – Mój rozkaz dzienny brzmi następująco: Dajcie temu Wittererowi dobrze po łapach i przestańcie już cackać się ze świntuchami.

Telegram donoszący o tym, że kapral Vierbein zginął „za Führera i Wielkie Niemcy, przykładnie, mężnie walcząc do ostatniego tchu”, dotarł do rąk starego Ascha.

Przeczytał go i upuścił na stół, przy którym siedziała Ingrid. Milczał przez długą chwilę, potem bez słowa podsunął telegram córce.

Rzuciwszy nań okiem Ingrid pobladła i westchnęła ciężko. Po czym powiedziała: – Dzielny był z niego żołnierz.

– Teraz jest martwym żołnierzem – odezwał się stary Asch. – Mamy takich setki tysięcy.

– „...przykładnie i mężnie walcząc do ostatniego tchu” – czytała Ingrid.

– Zanim umarł, zawołał pewnie: „Niech żyje Führer i Wielkie Niemcy”.

– Wielu tak umiera – powiedziała Ingrid ze smutną dumą.

– Tak się przynajmniej czyta! – oświadczył stary Asch twardo. – W depezbach, listach i sprawozdaniach gazetowych. Gdyby temu wierzyć, cały front musiałby być

pełen tych okrzyków. Ale ja im nie wierzę!

– Ojcie!

– Muszą być tacy, którzy przed śmiercią przeklinają i jego, i jego Wielkie Niemcy. Muszą! Inaczej wszyscy zdechniemy.

Jeden tylko człowiek płakał po Vierbeinie. Była to Lora Schulz. Poza nim nie istniał na świecie nikt, kogo mogłaby opłakiwać.

– Dla takich Niemiec umierać nie chcę – powiedział ogniomistrz Asch.

– Kto cię o to pyta? – chciał wiedzieć Kowalski.

– Muszą być inne Niemcy, dla których warto będzie umrzeć.

– Człowieku – powiedział Kowalski. – Może nawet powstaną kiedyś Niemcy, w których przyjemnie i zabawnie będzie żyć!

TOM III

NIEBEZPIECZNY TRYUMF KOŃCOWY

ŻOŁNIERZA ASCHA

Obejmuję tutaj dowództwo – powiedział obcy pułkownik, który nazywał się Hauk, albo przynajmniej przedstawił się jako „pułkownik Hauk”. Uczynił to z nienaganną uprzejmością przełożonego, który ma o sobie wysokie mniemanie.

Pułkownik Hauk przyglądał się oficerom, którzy zgromadzili się dookoła niego w brzozowym lasku. Jego płaska, szara twarz była nieruchoma, oczy zmęczone, a jednak postać nie była pozbawiona pewnej wytworności.

– Czy zostałem zrozumiany? – zapytał pułkownik. Głos jego brzmiał łagodnie, ale stanowczo.

Oficerowie pośpieszyli z zapewnieniem, że pan pułkownik został zrozumiany. Naturalnie. Tylko jeden z oficerów, nie powiedziawszy ani słowa, zatopił ręce głęboko w kieszeniach spodni, wyłowił stamtąd dwie chustki do nosa, porównał je starannie ze sobą i wysiąkał się potężnie w brudniejszą. Czynności tej dokonywał z pewnym skupieniem.

– Pozwoliłem sobie zapytać – powiedział pułkownik niemal monotonicznie – czy zostałem zrozumiany. Odczuwam brak pańskiej odpowiedzi, panie podporuczniku.

– Co pan właściwie zamierza, panie pułkowniku? – zapytał ów podporucznik składając starannie mocno wymiętoszoną chustkę.

– Przedrzeć się! – odpowiedział Hauk i skierował swe niebieskie, wodniste oczy na oficera, który wydał mu się godny uwagi ze względu na niewątpliwy brak dyscypliny.

– Ze wszystkim, co jeszcze może utrzymać się na nogach! – odezwał się porucznik stojący za pułkownikiem Haukiem jak cień. Wpakował wyprostowane kciuki za pas, zaczął się kołysać w kolanach, wysunął do przodu masywny podbródek. Wyglądał jak dziadek do orzechów, którego hałaśliwa wesołość była mniejsza od barbarzyńskiej ostrości jego kleszczy.

– Dobrze już, Greifer – rzekł Hauk łagodnie; miało się wrażenie, że przywołuje do porządku złego, ale zawsze wiernego psa. Porucznik Greifer warknął coś krótko, po czym uspokoił się. Jego wielkie łapska spoczęły na pasie.

Pułkownik podniósł bladą, jak gdyby pozbawioną konturów twarz; zdawało się, że jego spokojne, chłopięce oczy z zainteresowaniem przyglądają się świeżej zieleni kształtnych brzoź. Można było pomyśleć, że ma zamiar namalować delikatną jak pajęczyna akwarelę. Promieniował wiośnianą błogością. Lekkiego niepokoju, którym, jak się wydawało ogarnięci byli zebrani wokół niego oficerowie, pułkownik w ogóle nie przyjmował do wiadomości.

– Moi panowie – powiedział po chwili. – Amerykanie okrążyli nas. Ale ten zasunięty rygiel jest zbyt słaby. Jeżeli połączymy wszystkie nasze oddziały, możemy go bez większego wysiłku złamać.

– Bez względu na straty, prawda? – zapytał ten sam podporucznik. I powiedział tonem tak rzeczowym, jak gdyby stwierdzał jedynie, że po środzie następuje czwartek. – Będą więc zabici.

– Przecież to – odparł obcy pułkownik i zmierzył zbyt rozmownego oficera po błazliwym wzrokiem – podobno zdarza się na wojnie codziennie.

– Ale tę wojnę można przecież uznać za skończoną – upierał się podporucznik.

– Panie podporuczniku – powiedział pułkownik zamknawszy na chwilę oczy jak gdyby pod wpływem niewielkich, z wzorową cierpliwością znoszonych boleści – jeżeli jestem dobrze poinformowany, dowodzi pan baterią.

– Informacje pana są zgodne ze stanem faktycznym – odparł Źle ogolony podporucznik.

– Pańskie nazwisko? – Asch.

– Panie podporuczniku Asch – oświadczył pułkownik – jestem w tym kotle najstarszym oficerem. Podporządkowałem sobie resztki jednego z pułków piechoty, ponieważ uważam za swój obowiązek nie uchylać się od odpowiedzialności. Próbowałem wyjaśnić naszą sytuację uwzględniając równocześnie nastrój żołnierzy. Ci ludzie tak samo jak ja nie mają jeszcze ochoty iść dobrowolnie do niewoli.

– Czy pan pułkownik wypytywał żołnierzy, których był łaskaw określić jako ludzi, pojedynczo? – chciał wiedzieć Asch. Pytanie zostało postawione z taką uprzejmością, jak gdyby prosił o ogień do papierosa. – A cóż się ma stać z dziewczętami?

– Ludzie i ja – powiedział pułkownik niezmaczenie łagodnym tonem, wstrzymując ledwie dostrzegalnym ruchem ręki porucznika Greifera, który uśmiechając się przedsiębiorcze miał ochotę wyskoczyć naprzód – ja i moi ludzie, powtarzam, próbujemy się przedrzeć za wszelką cenę, między innymi ze względu na obecność wśród nas kobiet ze służby pomocniczej. Czyżby chciał pan odmówić mi wsparcia artyleryjskiego?

Podporucznik Asch odwrócił się i skinął na barczystego bombardiera, który stał w pewnej odległości, oparty o drzewo. Bombardier ruszył powoli w stronę grupy oficerów; solidnym i groźnym wyglądem przypominał psa nowofundlandczyka. Doszedłszy do pokrytej świeżą zielenią łączki zatrzymał się.

– Stan amunicji? – zapytał podporucznik.

– Czterdzieści dwa naboje – odpowiedział bombardier.

– To wszystko – oświadczył podporucznik i spojrzał na pułkownika Hauka z bardziej niż wątpliwą służbistością. – To wszystko, co nam pozostało.

– To musi wystarczyć – odparł pułkownik. – Kiedy się stąd wydostaniemy, będzie pan mógł zaopatrzyć się na nowo w amunicję.

– Właściwie po co? – zapytał skromnie bombardier. Miał uczucie, że jest ogrodnikiem, który nie chce pogodzić się z tym, że po wielkiej ulewie musi jeszcze raz podlać kwiaty.

– Stulcie łaskawie swój pysk! – zawarczał spoza pleców pułkownika porucznik

Greifer.

– Masz stulić pysk, Kowalski, i to łaskawie – powiedział podporucznik Asch i mrugnął do bombardiera. Ten roześmiał się cicho, jak gdyby usłyszał udany żart, ale równocześnie zdawał sobie sprawę, że ze względu na swój niski stopień służbowy nie wolno mu wybuchnąć, głośnym rykiem, o ile przełożeni wyraźnie na to nie zezwolą.

Oficerowie otaczający stojącego bez ruchu pułkownika Hauka byli szczerze przeżenieni. Nie ociągali się też z tym, żeby to wyraźnie okazać. Wypowiedzieli słowa oburzenia tonem wprawdzie ściszym, stosowanym w kasynach oficerskich, posługując się jednak żargonem frontowym. Otyły major nazwiskiem Hinrichsen zasapał pogardliwie i splunął. Wiedział dokładnie, czym jest honor żołnierski, i nie ociągał się z tym, by zadokumentować, że jest mu to wiadome.

– Proszę więc notować, poruczniku Greifer – powiedział pułkownik Hauk pozornie obojętnie, z jedwabistą uprzejmością, graniczącą niemal z wytworną, cyniczną pogardą. – Bateria Ascha, czterdzieści dwa naboje. A ile karabinów może mi pan, panie podporuczniku, oddać do dyspozycji?

– Ani jednego – powiedział podporucznik starając się nie bez powodzenia mówić tym samym uprzejmym tonem.

– Co mam przez to rozumieć? – zapytał pułkownik. Był w tej chwili podobny do lekarza, który zamierza przygotować do operacji niezwykle trudnego pacjenta.

– Jestem gotów udzielić wsparcia artyleryjskiego. Ale to już wszystko, za co mogę wziąć odpowiedzialność.

– Że też coś takiego jak pan jeszcze żyje! – zawołał porucznik Greifer wyraźnie delectując się wytworzoną sytuacją. – Należałoby postawić pana przed sądem wojennym!

Otyły major kiwnął energicznie głową i zaczął wywódzić, że niedostateczne zrozumienie dla sprawy honoru oficerskiego to rzecz nie tylko godna ubolewania, lecz po prostu oburzająca.

Pozostali oficerowie uznali za wskazane odsunąć się wyraźnie od zuchwałego podporucznika artylerii. Pułkownik klepnął się po spodniach do konnej jazdy zwinęty w rulon gazetą, którą trzymał w raku.

– Wszystko to będzie zanotowane! – zawołał porucznik Greifer ze złośliwą radością.

– Proszę więc, panie podporuczniku, mieć swoją baterię w pogotowiu – powiedział pułkownik Hauk. – Dokładny plan naszej próby przedarcia się otrzyma pan w odpowiednim czasie. Do tej pory będzie pan miał czas na rozmyślanie o obowiązkach oficera.

Mocno zniszczony, pokryty kurzem samochód służbowy dowódcy dywizji generał-majora Luschkego zaszył się w ogrodzie pewnej szkoły, stojącej pośród drzew owocowych gotowych do zakwitnięcia.

Generał siedział na stopniu samochodu i ogromnym scyzorykiem czyścił sobie paznokcie.

– Łapska moje wyglądają tak – powiedział generał – jak gdybym osobiście próbował wygrzebać z ziemi zakopanych w niej między Moskwą a Paryżem żołnierzy mojej dywizji.

– Wojna staje się coraz bardziej parszywa, panie generale – zauważył podporucznik Brack stojący obok z meldunkami radiowymi. – Nie znam człowieka, który uchowałby się do dziś z czystymi rękami.

– Brack, wojna skończy się chyba w ciągu najbliższych dni, co pan właściwie będzie wtedy robił?

– Wykąpię się gruntownie, panie generale.

– I cóż jeszcze, panie podporuczniku?

– Nareszcie doczytam do końca „Boską komedię” Dantego. I to w oryginale.

Generał zamknął scyzoryk i uniósł się nieco. Jego pomarszczona, pomięta, bulwiasta twarz przywodziła na myśl tysiącletnich karłów.

– Panu, Brack, dobrze tak mówić. Zna pan obce języki, ma pan po tamtej stronie oceanu krewnych. Jestem prawie pewien, że pan wyemigruje.

– Bardzo możliwe, panie generale. Wszyscy moi przodkowie byli kupcami, uczciwymi kupcami. Byliśmy zawsze gotowi robić w Niemczech i z Niemcami dobre interesy, ale wcale nie mieliśmy ochoty wojować dla byłych lub przyszłych partnerów w handlu ani też przeciwko nim.

– Może to, mój drogi podporuczniku Brack, ostatnia wojna, jaką Niemcy w ogóle prowadziły. Trzeba jednak próbować przynajmniej jako tako przyzwoicie doprowadzić ją do końca. Albo posługując się pańskim sposobem ujmowania spraw, nie przekreślać całkowicie naszych możliwości kredytowych.

Brack uśmiechnął się grzecznie. Wolał nic nie mówić. W jego mądrych oczach zabłyśły iskierki ironii, dalekiej jednak od jakiegokolwiek złośliwości. Nie dotyczyła ona generała. A generał, który znał swego podporucznika, użył mu tej pełnej rezygnacji ironii i ani przez sekundę nie myślał o tym, by tego rodzaju odruchy młodzieńczej pewności siebie łączyć ze swoją osobą.

– Proszę o najnowsze wieści hiobowe, Brack.

– Od wczorajszej nocy część dywizji jest odcięta. Wśród nich batalion piechoty Hinrichsena i bateria Ascha. Łączności radiowej już nie ma.

– Cóż dalej?

– Dywizjon kapitana Wedelmanna został dosłownie zmieciony z powierzchni ziemi. Jedna bateria dostała się do niewoli, druga została zniszczona przez nieprzyjaciela, trzecia, właśnie bateria Ascha, jest odcięta.

– A kapitan Wedelmann? – zapytał generał i zaczął obmacywać swe buty, których od tygodni nie tknęła pasta. – Co robi kapitan Wedelmann?

– Jest w drodze do nas, panie generale. Lekko ranny. Z resztkami sztabu dywizjo-

nu. Prosi o nowy przydział.

– Czy w radiogramie zawarta jest ta prośba o nowy przydział?

– Tak jest, panie generale. Chyba innej reakcji nie można było oczekiwać od kapitana Wedelmana.

Stwierdziwszy, że szwy jego butów grożą pęknięciem, generał Luschke podniósł się powoli. – Mam niezłomne przekonanie, panie podporuczniku Brack, że pańska reakcja byłaby zupełnie inna.

– Tak, panie generale, zupełnie inna – powiedział podporucznik bez wahania. Obrzucił generała wzrokiem marynarzy, którzy umieją wyczytać z chmur to, co następnego dnia przyniesie przepowiednia pogody.

– A jak by ta reakcja wyglądała?

– Prawdopodobnie zameldowałbym: Robiłem, co mogłem, co mi rozkazano i co uważałem za swój obowiązek. Teraz jestem u kresu, i to definitywnie. Proszę o pozwolenie odejścia.

– A jaka, zdaniem pańskim, panie podporuczniku Brack, byłaby moja odpowiedź?

Podporucznik Brack ściszył jeszcze bardziej swój spokojny, opanowany głos i powiedział wyraźnie: – Pan, panie generale, oświadczyłby: Niech pan idzie!

– Proszę to zrobić, panie podporuczniku – odparł Luschke. Po tych słowach schylił się znowu ku swym butom, uświadamiając sobie, że wkrótce już w nich maszerować nie będzie w stanie.

Podporucznik Brack stuknął ledwo dosłyszalnie obcasami, potem skłonił się lekko, położył na stopniu samochodu obok Luschkego plik radiogramów i oddalił się. Zrezygnował przy tym z przepisowego pozdrowienia niemieckiego, które wymagało podniesienia ręki. Tego rodzaju „ćwiczenia gimnastyczne” były w najbliższym otoczeniu generała zabronione.

Generał Luschke oderwał wzrok od swych butów i spojrzał w stronę podporucznika Bracka, oficera zwiadowczego swego sztabu. Potem wziął radiogramy i oparłszy się o samochód zaczął je przerzucać.

Do dnia dzisiejszego – Luschke stwierdził to z sardonicznym, zadowolonym, a jednocześnie kpiącym uśmiechem – dwa korpusy armijne przywiązywały wagę do tego, żeby pozostawał pod ich rozkazami. Rozkazy te w licznych punktach nie pokrywały się z rozkazami Grupy Armii. A prawie wszystkie były sprzeczne z zasadniczymi rozkazami tak zwanego wodza naczelnego. Organizacja rozpadała się. Pełni animuszu wojennego rabusie próbowali ratować to, co pozostało jeszcze nie tknięte.

Podoficer samochodowy sztabu dywizji zameldował się u Luschkego. Przedarłszy się przez ogród zmasakrowany gąsienicami pojazdów, stanął wyprostowany w pobliżu generała, czekając, aż generał zwróci się do niego.

Nie musiał czekać długo.

– A więc? – zapytał Luschke.

– Pięćdziesiąt kilometrów, panie generale. Na dłuższy dystans benzyny nie wy-

starczy.

– Musi wystarczyć na sześćdziesiąt do siedemdziesięciu kilometrów. Proszę wydać odpowiednie zarządzenia.

– Wyczerpaliśmy wszystkie źródła, panie generale. Wszystkie stacje benzynowe w najbliższej okolicy są puste, wszystkie zapasy zostały zużyte. Co najwyżej możemy jeszcze coś uszczknąć podlegającym nam pododdziałom – może czołgom.

Bulwa przyglądał się podoficerowi samochodowemu stojącemu pośrodku zniszczonego klombu. Starszy ogniomistrz zamilkł. Na jego okrągłej twarzy niemowłęcia malowało się dręczące zakłopotanie. Wyglądał prawie tak, jak gdyby wbrew swojej woli nie potrafił utrzymać w czystości swych pieluszek.

– Pozostaje więc tylko jeszcze jedna możliwość – powiedział pobłaźliwie generał.

– Zredukujemy ilość naszych pojazdów.

– Tak jest, panie generale – zgodził się podoficer samochodowy czekając, co będzie dalej.

– Można więc wycofać wóz z mapami, wóz z aktami, no i wozy z bagażem.

– Z bagażem oficerskim także, panie generale?

– Proszę zgadnąć, starszy ogniomistrzu.

– Tak jest, panie generale. Przede wszystkim wycofać wóz z bagażem oficerów!

– Proszę kłaniać się pięknie ode mnie panom z mojego sztabu. Dwie teki – na więcej nie pozwalam. Reszta bogom na ofiarę! Przyjmując oczywiście, że istnieją bogowie, którzy chcą wzbogacić się na wojnie, czego po moich ostatnich doświadczeniach wcale nie uważam za wykluczone.

Starszy ogniomistrz oddalił się, pohamowawszy w ostatniej chwili instynktowną chęć podniesienia ręki. Widać było po nim, że przekazanie rozkazu generała nie będzie dla niego wielką przyjemnością. W bezpośrednim otoczeniu Luschkego rozkazy były jeszcze święte, między innymi dlatego, że nie zwykł był wydawać takich, które by i dla niego nie miały absolutnej ważności.

Generał wsiadł do swego wozu i pochylił się nad mapą, nad którą siedział major Horn, jego szef sztabu. Major Horn odznaczał się rzadko spotykaną właściwością: umiał powstrzymać się od wszelkich komentarzy, a co jeszcze rzadsze, umiał wydawać nie budzące absolutnie żadnych zastrzeżeń zarządzenia nie pytając o nie przedtem generała Luschkego.

Generał poklepał swego najbliższego współpracownika po ramieniu. Potem wezwał do siebie podporucznika Bracka. Luschke ściągnął inteligentnego młodzieńca do mapy i wskazał miejsce oznaczone jako lasek. Przed laskiem rozprzestrzeniało się pole, na prawo ciągnął się łańcuch wzgórz, na lewo las iglasty. Wszystko to, zaostając się na podobieństwo łopaty, zbiegało się w skrzyżowanie dróg.

– A więc tutaj, panie podporuczniku Brack, znajdują się: batalion Hinrichsena, bateria Ascha, kompania łączności, oddziały saperskie i kolumna transportowa. Wszystkie te jednostki zostały odcięte przez Amerykanów. To jest pański cel. Osią-

gnie go pan z pewnością, przedzierając się w pojedynkę przez nasze piękne niemieckie lasy; jak panu wiadomo, pańscy amerykańscy przyjaciele prowadzą wojnę niemal wyłącznie na szosach pierwszej klasy.

Tak głoszą wieści, a jakie jest moje zadanie, panie generale?

– Żadnych działań bojowych. Niech oddziały podzielią się na małe grupy i spróbują przesaczyć się na tereny nie zajęte przez nieprzyjaciela. Kto się przedrze i w dalszym ciągu nie będzie wiedział, dokąd pójść, niech się zamelduje w sztabie dywizji. I proszę nie zapominać o jednym: w mojej dywizji nie ma dziewcząt w mundurach. Wszystko, co pachnie kobietą, musi być przede wszystkim zabezpieczone. A bezpośrednio potem – żołnierze.

– Zdaje mi się, że pana generała rozumiem.

– Mam niepłonną nadzieję. A gdybym już pana nie miał zobaczyć, podporuczniku Brack, proszę, niech pan stara się o to, żeby wkrótce znowu można było robić dobre interesy z Niemcami. No i o to, aby nigdy już nie było wojny.

– Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy – zapewnił podporucznik Brack.

– Jestem skłonny mieć do pana pod tym względem zaufanie – powiedział Luschke przykładając na chwilę prawą rękę do czapki.

Podporucznik Asch włókł się wolno w towarzystwie Kowalskiego przez okryty świeżą zielenią lasek brzozowy w kierunku stanowiska swojej baterii. Słońce świeciło łagodnie i mile przygrzewało. Ale ziemia była jeszcze wilgotna i pachniała deszczem. Wiosna próbowała delikatnie, ale uporczywie przeciwstawić się wojnie, która w swej ostatniej fazie jęczała i parskiała.

– Człowieku, ależ to komiczna banda! – powiedział bombardier Kowalski. – Że też właśnie ty musiałeś się dać zwerbować na członka tego stowarzyszenia.

– Sądzisz, że jestem idiotą?

– Jesteś podporucznikiem – powiedział Kowalski – ale to nie musi mieć nic wspólnego z twoim rozumem.

– W każdym razie – powiedział podporucznik Asch – mamy jeszcze czterdzieści dwa naboje. Mniejsza teraz o to, czy je wystrzelamy w okolicę, czy też wrzucimy do pierwszej lepszej gnojówki.

– Do ostatniego naboju! Człowieku, a może jesteśmy bohaterami? Kiedy później będę o tym opowiadał swoim dzieciom, będą się ze wzruszenia zalewały łzami.

– Kowalski – powiedział podporucznik Asch i przystanął – przecież nie jesteś głupkiem.

– Jestem bombardierem – powiedział tamten z godnością.

– A mimo to, mój Kowalski! Amerykanie odcięli naszą jednostkę i jeszcze szereg innych. Ten pułkownik Hauk, który diabli wiedzą skąd się do nas przypętał, chce się przedrzeć. Jest w swej decyzji niezłomny – chce się przedrzeć z artylerią czy bez niej. Niech się przedziera!

– Ależ, człowieku, jemu tylko chodzi o własną skórę. Spójrz na jego facjatę: uro-

dzony handlarz byłem z wyższym wykształceniem. Nie taki cielak jak ten Hinrichsen – raczej alfons, Chciałby, żebyśmy się wszyscy bili za niego.

– A gdyby nawet! Powstrzymać go nie możemy.

– Dlaczego nie? Po prostu zrobię drabowi parę dziur w oponach. Z takimi platformami nawet pułkownik nie potrafi biegać.

Podporucznik Asch roześmiał się i klepnął Kowalskiego po ramieniu. Kowalski potknął się o jakieś porzrzucone na ziemi części umundurowania. Dał potężnego kopniaka zasmolonemu hełmowi stalowemu, który potoczył się na porzucony karabin.

– Wszystko już wieje – powiedział Kowalski – tylko pan podporucznik Asch ćwiczy się w braterstwie broni. A nam, jego kulisom, wolno ćwiczyć z nim razem.

– Palisz się może do tego, żeby się dostać do niewoli?

Bombardier przykląkł, podniósł leżący na ziemi chlebak, przeszukał go fachowymi chwytami i znalazł tabliczkę czekolady. Zbadawszy, czy czekolada nadaje się do spożycia, szerokim łukiem rzucił chlebak w krzaki.

– Pytałem cię, czy już teraz chcesz pomaszerować do niewoli, ty grabieżco trupów!

– Mam to w dupie! – powiedział tamten z całym spokojem i zaczął obwąchiwać czekoladę. – Chcę przeweksłować się na cywila, to wszystko.

– Tu, pod gołym niebem?

– A gdzież, człowieku! Cóż mi pozostaje innego? Może myślisz, że naprzód zbuduję sobie tutaj wieś?

– Jeżeli mamy pójść do cywila, to chyba dopiero u nas w domu.

– U nas w domu? To daleko, diablo daleko, jeszcze jakieś siedemdziesiąt kilometrów.

– Dzielili nas kiedyś od naszego miasteczka tysiące kilometrów, więc jakoś sobie z tą parszywą resztą damy radę.

Kowalski oddał wreszcie papier ze znalezionej czekolady i wpakował ją do gęby. Po chwili, żując zawzięcie, powiedział: – Nie smakuje. Nic mi już, do licha, nie smakuje.

– Jeżeli temu pułkownikowi Haukowi uda się przedrzeć, a nie uważam tego za wykluczone, wtedy wszyscy poześlujemy za nim. Kierunek: dom. A tam girlandy, komitet powitalny, honorowe dziewice. Na rynku transparenty: „Witamy naszych powracających żołnierzy”. Wieczorem bal żołnierzy frontowych w Bismarckshöhe, a wszystko to będziemy zawdzięczać naszemu ukochanemu pułkownikowi Haukowi.

– Nie przerwiemy się – trwał w swym uporze Kowalski.

– Najwyżej dotrzemy do skrzyżowania, ale na tym koniec. A na tym skrzyżowaniu rozsiadły się dwa amerykańskie czołgi, kto je sprzątnie?

– My! A potem jazda naprzód z całą bandą, z całym bagażem. A w ojczystym miasteczku wielkie rozbrowienie i zdrowe wymyślanie na führera.

– To mi się nie podoba – powiedział Kowalski po namyśle – a z drugiej strony, bardzo mi się podoba. Ale to byłoby prawie za piękne, żeby było prawdziwe. Przeszkadza mi tylko pysk tego draba; wygląda na takiego, który zostawił w domu wszystkie swoje uczucia. Chociaż kto wie, może poniewierają się gdzieś w Rosji. Nigdy się takich rzeczy nie wie dokładnie. Ale jedno, człowieku, wiem na pewno: tę wojnę, ja ci to powiadam, szlag już trafił – nareszcie!

– Nie musisz mi tego mówić, nawet podporucznik to widzi.

– Gdybym ja decydował, Asch, to powinieneś teraz zaraz rozpuścić tę bandę.

– Ale nie ty tu decydujesz, Kowalski!

Obeszli stos powyrzucanych skrzyń z amunicją. Pootwierano je i przeszukano. Nie zawierały one jednak nic poza amunicją strzelecką, która leżała teraz rozsypana na wilgotnej leśnej murawie.

– Wyprzedaż w Wielkich Niemczech – powiedział Kowalski.

– Dlaczego nie bierzemy w niej wreszcie udziału? Od szeregu dni nie mamy łączności z naszym dywizjonem. Od tygodni nikt nie wie, gdzie się znajduje sztab – pułku. Tylko od czasu do czasu krąży sobie po okolicy w swym samochodzie generał Luschke, ale i ten w pojedynkę nie osiągnie ostatecznego zwycięstwa.

– Nie wiem dobrze dlaczego – powiedział Asch w zamyśleniu, wyginając pręt wierzbowy i wypuszczając go po chwili z ręki – ale nie chciałbym będąc sam w cywilu spotkać Luschkego jeszcze w mundurze.

– Przecież Bulwa też nie będzie wiecznie nosił munduru. Możesz być zupełnie spokojny. A więc jakże? Wskakujemy wreszcie do cywila czy nie?

– Jesteśmy w kotle, Kowalski. Jeżeli się stąd nie wydostaniemy, nie ulega wątpliwości, że przychwycą nas Amerykanie. Czy będziemy po cywilnemu, czy w mundurze, nie odegra to wówczas żadnej roli.

– Człowieku, a jeżeli ja już nie chcę, jeżeli już dłużej nie mogę?

– Wtedy, proszę bardzo, oglądaj sobie Amerykanów przez druty kolczaste, a ja będę chlał w domu za ostateczne zwycięstwo.

– No dobrze – będę już chlał razem z tobą! Czego się nie robi dla towarzystwa?

– A więc, Kowalski, ten pułkownik, który się dorwał do dowodzenia, będzie miał nasze artyleryjskie wsparcie. Po przedarciu się przez skrzyżowanie zwiejemy. Kierunek zawsze ten sam: ojczyzna. Wtedy będziemy się mogli zdemobilizować.

– A jeśli to nie pójdzie po naszej myśli? Jeżeli nasi ostatni bohaterzy ze swoim pułkownikiem na czele utkną przed skrzyżowaniem? Albo jeżeli skrzyżowanie będzie wolne tylko kilka minut i my wcale nie przedostaniemy się przez nie z naszą baterią?

Podporucznik Asch zamyślił się chwilę, potem skinął głową. – Masz trochę racji, Kowalski. I z tym musimy się liczyć. Ale nie będzie to takie trudne. Wpakujesz się bezpośrednio za naszymi bohaterami, i to na swoim motocyklu. Kiedy skrzyżowanie będzie wolne, popędzisz przed siebie w kierunku domu. Prosto do domu. Jako straż

przednia.

– A ty, co ty zrobisz?... A inni?

– Już nam coś wpadnie do głowy. Liczne drogi prowadzą do restauracji mego ojca, jedną z nich znajdę na pewno.

Kapitan Schulz, zastępca dowódcy rozwiązywanego nieustannie dywizjonu zapasowego artylerii i jednocześnie zastępca komendanta garnizonu, zaczął, jak to weszło już w zwyczaj w ciągu ostatnich dni, swoją służbę od gorączkowego przeglądania poczty. Czekał z utęsknieniem na pismo awansujące go na majora. Ale pismo nie nadchodziło.

– Same bzdury! – powiedział ze wstrętem i szybkim ruchem odsunął na bok stos listów piętrzących się na biurku. – Bzdury niewarte funta kłaków.

Był gorzko rozczarowany. Trapiło go potężnie, że awans kazał czekać na siebie. Spełnił swój obowiązek i powinność, miał więc pełne prawo oczekiwać tego również od innych, zwłaszcza że, jak w danym wypadku, chodziło o ostatnie decydujące sprawy w życiu żołnierskim. Kto jak kto, ale on przecież na to wyróżnienie zasłużył. Dlaczego więc nie przychodziło? A był już czas! Najwyższy czas!

Kapitan Schulz opadł ciężko na dobrze wyściełany fotel dowódcy i zaczął rozmyślać. I tę funkcję spełniał gruntownie! – Te ptaszki z biura personalnego – mruknął pod nosem – nie stoją na wysokości zadania.

Zastanawiając się w dalszym ciągu, dlaczego właściwie ptaszki te nie stoją na wysokości zadania, znalazł się w kręgu zbliżonych, ale bardzo deprymujących rozmyślań. Opanowała go dręcząca myśl, że wojna jednak przybrała bardziej katastrofalne formy, aniżeli to mógł przypuścić on, Schulz, znany i uznany wychowawca coraz to nowego materiału ludzkiego, znajdujący oparcie w rozsądku, dalekowzroczności i wierze. Dla tej wojny nawet biuro personalne zdaje się nie być przeszkodą, i to było czymś okrutnym.

Schulz, wzór zawsze godny naśladowania, w pełni tego świadomy, był bliski utraty wiary w Wehrmacht. Ta ciągła zwłoka w awansowaniu targała jego nerwy. Dołączyła się do tego również świadomość, że dzieło jego życia, przetwarzanie cywilów w żołnierzy, zostało poważnie zagrożone. Materiał, który się dostawał w jego ręce, był niewiele wart. Dlaczego go nie awansowano?! Wierzył, że tylko on i jemu podobni mogliby zatrzymać koło historii. (W ostatnich latach, mimo że zajęcia w kasynie bardzo go pochłaniały, przeczytał kilka „Zeszytów szkoleniowych dla korpusu oficerskiego”, co go uczyniło człowiekiem wykształconym.) Od szeregu dni był już przygotowany na to, by wyjść z wojska bez szwanku dla swojej godności. Ten akt mądrości dyktowała niepewna sytuacja ojczyzny, wytworzona przez coraz większą niemrawość i nieudolność półżołnierzy. Chciał jednak już jako major podać się skromnie do dymisji.

Na razie był zdecydowany jeszcze trochę wytrwać.

Krokiem słonia, z gniewną twarzą oficera sztabu skierował się do kancelarii ko-

mendy garnizonu. Odpowiadał na salutowanie względnie poprawnie, ale już nie z takim radosnym napięciem, jak to bywało dawniej. Wielkie zniechęcenie człowieka głęboko zawiedzionego zaczęło się coraz bardziej rysować na jego kanciastej twarzy.

Pierwszy pisarz komendy garnizonu, bombardier Stamm, mały człowieczek o oczach lisa i ruchliwości łasicy, powitał go stosem meldunków, podań, formularzy, kwestionariuszy, ankiet, wniosków, list, wykazów i planów. Schulz machnął z niechęcią ręką ruchem niemal klasycznym, jak Herkules, który uważa sobie za ujmę oczyszczanie stajen.

– Jutro – powiedział Schulz wyniośle, nie bez godności. – Albo pojutrze.

Pierwszy pisarz, bombardier Stamm, kiwnął głową jak posłuszny osioł, ale oczy jego błyszczały chytrze. Było mu całkowicie obojętne, kiedy otrzyma podpisy i czy w ogóle jeszcze coś będzie podpisane. Stosownie do rozkazu zwrócił uwagę Schulza na pisma, które wpłynęły, reszta nic a nic go nie obchodziła.

Modne w owym czasie nieczyste sumienie przełożonych było wygodną furtką dla podwładnych; podczas gdy pierwsi nie chcieli nic robić, ci drudzy istotnie nic nie robili.

– Poza tym do miasta przybyły nowe jednostki wojskowe – zauważył bombardier – istny jarmark wojskowy.

– Niech sobie przybywają – powiedział Schulz, otworzył swą wielką gębę i ziewnął potężnie. – Przychodzą i znowu odchodzą. Nikt się już w tym bałaganie nie rozezna.

– Oczywiście nikomu nie wpada do głowy zwracać uwagę na tabliczki u granic miasta – powiedział skromnie i grzecznie wyglądający bombardier Stamm, który mimo oślich uszu doskonale słyszał, co w trawie piszczy. Wypowiedział to niezdiscyplinowanym, gawędziarskim tonem jedynie dlatego, ponieważ onegdaj sam dowódca skłonił go do tego. – Kto tam teraz czyta to, co się u nas drukuje.

– Mam to w nosie! – powiedział Schulz i wzruszył potężnymi ramionami.

Tabliczki – w zasadzie wycpiny wyższych urzędów tyłowych – były właściwie wynalazkiem komendanta garnizonu, który, jak ogromna większość wojskowych ze służb, był zaprawiony w prowadzeniu ostrej wojny na papierze. Napisy te, sporządzone jak się należy alfabetem gotyckim, brzmiały: „Każda jednostka wojskowa, albo też część jednostki, zatrzymująca się w zasięgu komendy garnizonu dłużej niż dwanaście godzin winna niezwłocznie się zameldować i prosić o przydzielenie kwater. Samowolne zajmowanie kwater będzie karane w myśl przepisów wojennych z całą surowością”.

– Wydaje się – powiedział bombardier Stamm – że komendant garnizonu przywiązuje wagę do tego, by powyższe zarządzenie było jak najskrupulatniej wykonywane.

– Niech sobie przywiązuje – powiedział kapitan i dotknął palcami swego nosa.

Stwierdził, że koniec nosa jest zimny. Przypisał to złej cyrkulacji krwi. I pomyślał: „Tak to człowiek poświęca swoje zdrowie i co otrzymuje w zamian? Odkładają moją nominację na majora!”

– Leżą tu trzy wnioski o przydzielenie kwater – powiedział niezwykle zasłużony pisarz komendy garnizonu kładąc przed Schulzem odpowiednie dokumenty.

Schulz nie okazywał żadnego zainteresowania. Myślał o poważnym zakłóceniu swego stanu zdrowia, gapił się na wiszącą na ścianie mapę sytuacyjną. Amerykanie posuwali się naprzód w przerażającym tempie. Jeżeli pójdzie tak dalej, będą tu za trzy dni, a może i za dwa, bo przecież nie wszędzie są tacy Schulzowie, którzy do końca spełniają swój obowiązek. Zdaje się, że te fujary doprowadziły do klęski. Kto teraz pyta jeszcze o pozwolenie na kwatery? Trzy jednostki zachowały się poprawnie, pozostałych trzydzieści rozlokowało się nie myśląc wcale o tym, by otrzymać błogosławieństwo komendanta garnizonu.

– Proszę zanieść całe to śmiecie do komendanta – powiedział Schulz. – Co mnie ci zorganizowani mar uderzy obchodzą!

– Ale komendant zarządził, żeby od tej chwili tego rodzaju wnioski były przedkładane panu, panie kapitanie.

– I to jeszcze! – zawołał Schulz z niechęcią. Potem krótko i z rozmachem, nie czytając ani jednego słowa, podpisał formularze. Odsunął je od siebie, jak gdyby go mierzyły – prawdziwy żołnierz mógł tylko w ten sposób reagować na podania tych żalosnych dekwoników tyłowych.

Bombardier Stamm pochylił się i znowu podsunął jeden z trzech wniosków Schulzowi prosto pod nos. Schulz, zaskoczony, spojrział na papier, po czym wziął go do rąk. Jakiś płatnik nazwiskiem Brahm, dowodzący kolumną transportową pod eskortą czterech ludzi, podporządkowany bezpośrednio Naczelnemu Dowództwu, prosił o przydzielenie kwatery przy ulicy Hindenburga 13, którą zresztą już zajął.

Schulz pozwolił sobie na chwilę namysłu.

– Ulica Hindenburga – zapytał wreszcie – leży u wylotu miasta, tuż obok lasu miejskiego?

– Tak jest – odparł Stamm mrugając oczyma. – A dom numer trzynasty należy do kreisleitera.

– Czyżby ten już zwiął? – zapytał Schulz.

– Tak się wydaje – odparł bombardier i uśmiechnął się bez żenady.

– No tak – odrzekł Schulz – dlaczegoż by nie? – Miał dla tych spraw pewne zrozumienie; oczywiście potępiał tego człowieka, ale niezbyt ostro, bo ostatecznie kreisleiter nie miał już powiatu, więc nie potrzebował nim kierować. Błędne zarządzenia jego przełożonych pozbawiły go prawie chleba. „W gruncie rzeczy – pomyślał tak czytany ostatnio Schulz – jest to tragiczne”.

Schulz rozmyślał teraz o tym, że jego własna sytuacja nie różniła się tak bardzo od sytuacji kreisleitera. Naczelne Dowództwo, którego biuro personalne lekkomyśl-

nie zwlekało z awansowaniem go na majora, wyraźnie zawodziło, dywizjon zapasowy artylerii topniał, wszyscy mieli w nosie komendanturę garnizonu, a więc po co się tu użerać? Dla kogo? Kto to potrafi uznać i uszanować? Tej hołocie wystarczy komendant. Zastępca komendanta jest tu niepotrzebny.

A jednak! „Trzeba – rozważał Schulz – kuć żelazo, póki gorące. To jest tak zwana ekonomia stosowana. I dopóki jeszcze poczta jako tako funkcjonuje, zawsze może nadejść pismo: »Mianuję pana majorem«.”

– A więc kolumna transportowa! Co właściwie te draby transportują?

– Chyba tylko to, co przedstawia największą wartość – odrzekł bombardier i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Niech ten płatnik zamelduje się u mnie. – Schulz uśmiechnął się z wyrafinowaną wyższością tyrana w miniaturze. – Ale możliwie szybko. Jeszcze dzisiaj. „Kto wie – pomyślał – co się stanie jutro. Jutro to może być już musztarda po obiedzie.”

Schulz podniósł się potem, jak zwykle majestatycznie, by złożyć tradycyjny meldunek przedpołudniowy dowódcy, zamienić z nim równie tradycyjne spojrzenie świadczące o poczuciu wspólnoty i zameldować: „Żadnych niezwykłych wydarzeń!”

Komendant, jowialny pan pod pięćdziesiątkę, o tępowych oczach koloru czerwonego wina i starannie pielęgnowanym barytonie, przywitał swego „kochanego Schulza” jak przyjaciela, poprosił go, by usiadł, poczęstował cygarem i zapytał o stan zdrowia.

– Dobry – powiedział Schulz nieco zdziwiony. Był przyzwyczajony do koleżeńskiej życzliwości, ale to zainteresowanie graniczące z troskliwością budziło w nim nieufność. – Jestem zupełnie zdrow, panie podpułkowniku.

– To mnie cieszy – rzekł podpułkownik z serdecznością prawie już niepokojącą, choć Schulz należał do ludzi, których zahartowały już różne kataklizmy. – To mnie cieszy ze względu na pana. Niestety o sobie tego powiedzieć nie mogę, drogi kapitanie Schulz, moje zdrowie pozostawia wiele do życzenia.

– Bardzo mi przykro – wtrącił Schulz ostrożnie.

– Dziękuję – odparł podpułkownik swym śpiewnym głosem. Robił wrażenie nieco wzruszonego. Mam niemałe kłopoty z nerkami. Najwyższy czas, żeby coś przedsięwziąć.

– Tak jest – powiedział Schulz i cały zamienił się w słuch.

– Jak to dobrze – podpułkownik spoglądał na Schulza niemal czule, jak kochający ojciec lub brat – jak to dobrze, że mam takiego wspaniałego zastępcę. Ułatwia to sprawę po prostu kolosalnie. Obejmie pan komendę garnizonu. Jeszcze dzisiaj wyjeżdżam do uzdrowiska Kissingen.

Schulz patrzył na podpułkownika nie mogąc wykrztusić ani słowa. Siedział jak skamieniały – nieruchomy i szary. Działy się z nim dziwne rzeczy. Nie orientował się dobrze, czy ma podziwiać sprytny wykręt starego, czy go potępiać.

– A więc – powiedział podpułkownik z nieco wymuszoną jowialnością – jesteśmy

ze sobą zgodni. Moim zdaniem, nikt bardziej od pana nie nadaje się na stanowisko komendanta, mój drogi kapitanie Schulz. Dziś po południu obejrzy pan sobie wyszkolone ostatnio oddziały, które mają pójść na front, i odprawi je pan. Mowa, która ma być przy tej okazji wygłoszona, została już opracowana i jest do pańskiej dyspozycji. Niechże pan wreszcie wprowadzi do tego interesu trochę ruchu i rozmachu.

Schulz zaniemówił. Podsunięto mu „czarnego Piotrusia”. Jak się u licha go pozbyć?

– Za jakieś dwadzieścia cztery godziny – kontynuował podpułkownik – zjedzie tutaj dywizja „Pantera” albo jej resztki.

– Kto taki? – zapytał Schulz głuchym głosem. Okoliczność, że właśnie on wyciągnął „czarnego Piotrusia”, nasunęła mu, po raz pierwszy w życiu, wątpliwość co do jego żołnierskiej zręczności, nie broń Boże co do jego żołnierskich przymiotów, które stanowiły zupełnie inny rozdział. – Jaka dywizja?

– Dywizja „Pantera”. Zna ją pan chyba? Dowódcą jej jest generał-major Luschke.

– Znam – wykrztusił z siebie Schulz po dłuższej chwili.

Łagodne słońce wiosenne rzucało swe promienie na skąpo obrośniętą włosami czaszkę pułkownika Hauka. Zdjął czapkę i ocierał starannie jej wilgotną podszewkę. Obok niego siedział na pniu porucznik Greifer i przyglądał się swoim wielkim łapom, które widocznie bardzo mu się podobały.

– Przygotowania – zaczął porucznik – są właściwie zakończone. Miejmy nadzieję, że to wystarczy.

Hauk, zatopiony w myślach, skinął głową, jak gdyby potwierdzał diagnozę młodszego kolegi, a równocześnie nie wykluczał, że jest ona niezupełnie trafna. – Tak. Wystarczy – oświadczył ze spokojem. I z jeszcze większym spokojem dodał: – Musi wystarczyć.

– Nie jest sprawą bez znaczenia – powiedział Greifer – kto to wszystko poprowadzi. Wydaje się, że ten gruby major, jeśli się nie mylę – Hinrichsen, nie jest niedołągą. Trzeba go tylko mocno naciskać.

– Zostało to już przewidziane – powiedział pułkownik Hauk. Mówiąc to spojrzął w kierunku leśniczówki, w pobliżu której siedzieli. Na drewnianej werandzie wygrzewała się na słońcu jakaś dziewczyna rozparta na krześle. Mocno opięta bluzka była nieco rozchylona, spódnica trochę zadarta, dziewczyna siedziała z wyciągniętymi nogami. Zmysłowa, lalkowata twarz lśniła w słońcu, krucze włosy opadały na ramiona.

– Tego gatunku – zauważył Greifer bez żenady mamy na kopy.

– Nie tutaj – powiedział Hauk.

– Ale o dwadzieścia kilometrów stąd. – Greifer rozstawił swe mocne nogi i uśmiechnął się. – To typ użyteczny, tylko że mamy go więcej niż pod dostatkiem.

Siedząca na werandzie dziewczyna imieniem Barbara obróciła się w drugą stronę. Miała krzepkie uda. Nawet Greifer, który do wdzięków kobiecych odnosił się z po-

dejrzaną obojętnością, nie mógł temu zaprzeczyć. Wyprostowała się ruchem rozba-
wionej kotki, spojrzała w stronę obu oficerów i podniosła rękę.

Pułkownik również podniósł rękę i kiwnął nią. Greifer wyciągnął na dowód entu-
zjastycznej serdeczności obie ręce, mruknąwszy równocześnie pod nosem: – Należa-
łoby ją odtransportować.

– Ma swoje zalety – powiedział Hauk rozmarzony.

– Inne mają je także, ale są tańsze.

– Nigdy nie była zbyt droga.

– To się może jednak stać. Zawsze lepiej dzielić na połowę niż na trzy części.
Albo raczej na cztery, jeżeli doliczymy płatnika Brahma.

– Tak daleko jeszcześmy nie zaszli – powiedział Hauk i zwrócił swą szarą, niemal
pobawioną konturów twarz w stronę niskiego wiosennego słońca, nie odczuwając nic
innego poza umiarkowanym ciepłem. – Tak daleko jeszcze nie.

– Ale jesteśmy tuż przed tym! Ostatnie skoki powinniśmy robić bez niepotrzebne-
go balastu A ta Barbara jest balastem.

Siedząca na werandzie Barbara rozkoszowała się wiosennym słońcem jak letnią,
mile usypiającą kąpielą. Wojna nic a nic ją nie obchodziła. Uporała się jakoś z towa-
rzyszającymi jej objawami. Ponadto czuła, że zbliża się koniec. Jeszcze tylko godziny,
najwyżej dni, a będzie miała wszystko poza sobą. Zależało wyłącznie od Hauka,
żeby wyszła teraz cało i żeby odniosła jakąś korzyść. Zrobiła dla niego, co mogła, a
było to zaiste niemało. Więc i on zrobi chyba, co będzie mógł, i będzie to również
niemało. Takie rachunki płaciła wojna, o ile się miało szczęście. Tak, trzeba było
mieć szczęście...

Barbara przyglądała się Haukowi, który siedział chłodny, szary, nieprzystępny,
wyprostowany, nieco sztywny. Tak wyglądał zawsze, kiedy nie był sam. Tylko gdy
byli we dwoje, stawał się inny. Zupełnie inny. Na myśl o tym uśmiechnęła się, ale w
uśmiechu tym nie było ani cienia tkliwości.

Czując na plecach ciepło słoneczne Barbara zauważyła, że do Hauka i Greifera
podszedł jakiś otyły oficer. Wydawało się, że olbrzymia piłka toczy się niezgrabnie
po ziemi. Mimo oddalenia usłyszała mocne stuknięcie obcasami. Zmrużywszy oczy
zobaczyła, jak grubas podniósł energicznym ruchem swe ramię. Potem zamknęła
oczy i nie słyszała już nic więcej. Dziarski, gruby oficer sztabowy nie wzbudził w
niej zainteresowania, było jej obojętne, o czym oni tam gadają.

– Niechże pan stanie w pozycji spoczniej, panie majorze Hinrichsen – powiedział
pułkownik Hauk.

– Proszę usiąść – zaprosił majora Greifer wskazując mu miejsce swoimi wielkimi
łapami i pomyślał: „Grubasie, daj wypocząć swemu olbrzymiemu tyłkowi, zanim
spoczniesz może na wieki.

Major Hinrichsen przysiadł się do Hauka i Greifera zajmując miejsce na leżącym
w ich pobliżu kłocu. Posapywał, po twarzy jego, przypominającej księżyc w pełni,

spływały krople potu.

Hauk i Greifer przyglądali się tej kupie mięsa w mundurze oficerskim z pewną nieufnością. Uspokajały ich jednak: Złoty Krzyż Niemiecki lśniący na bluzie majora, odznaka szturmowa piechoty ze srebrnym okuciem za walki wręcz.

– Jestem rad, panie majorze Hinrichsen – powiedział pułkownik Hauk monotonym, spokojnym, niemal obojętnym głosem – żeśmy doszli do porozumienia.

– Żaden prawdziwy żołnierz niemiecki – oświadczył major Hinrichsen z mocą – nie idzie dobrowolnie do niewoli. – Wydawało się, że jest o tym głęboko przekonany.

– Poglądy nasze są zgodne – zapewnił pułkownik Hauk rzuciwszy okiem w stronę Greifera, który się lekko uśmiechał. – Mój adiutant poinformuje pana o bliższych szczegółach.

Greifer otworzył mapę i zaczął suwać swymi łapskami wśród znaków topograficznych, jak gdyby chciał je wymazać.

Po chwili powiedział: – Godzina X – przygotowanie ogniowe z moździerzy, dział piechoty i ciężkich karabinów maszynowych na skrzydłach.

Pułkownik wiedział: mają tylko dwa moździerze, ani jednego działu piechoty i załedwie jeden karabin maszynowy, amunicji jest niewiele. Nie wystarczyło czasu, by określić dokładnie cele.

– Tak jest, to jasne – powiedział Hinrichsen.

Greifer ciągnął dalej: – Godzina X plus piętnaście minut – atak czołowy dokonany przez ochotniczy, wzmocniony batalion piechoty. Wsparcie ataku ze wzgórz na prawo od szosy przez skomasowane jednostki. Cel: skrzyżowanie dróg. Bateria Ascha zwalczy stojące tam czołgi ogniem na wprost.

Pułkownik wiedział: batalion piechoty jest zdziesiątkowany i posiada siłę bojową załedwie jednej kompanii. Na ochotników liczyć nie można. Wsparcie ataku z prawej to rzecz niemożliwa. Pole ostrzału baterii Ascha jest mocno ograniczone.

– Tak jest. A więc dokonamy tego – oświadczył Hinrichsen.

– Pan tego dokona – powiedział pułkownik. – Wiem, że mogę zdać się na pana.

Dwucetnarowy Hinrichsen wyprostował się, stanął na baczność ze zdecydowaną miną i uroczyście uściśnął bezwładną, gładką rękę pułkownika. Greifer uśmiechał się szerzej niż zazwyczaj. Uścisk jego ręki robił wrażenie uroczystej przysięgi niezłomnych mężów.

– A tego oficera artylerii – domagał się Hinrichsen – tego Ascha, musi się pociągnąć do odpowiedzialności. To hańba! W tak ciężkich chwilach, jakie obecnie przeżywa nasza ojczyzna, jest to właściwie równoznaczne ze zdradą.

– Zapewne – powiedział pułkownik Hauk myśląc przy tym, że nie ma teraz czasu na takie subtelności. – Zapewne. Kiedy uda się nam przedrzeć, będzie musiał odpowiadać za to.

– Może zwołamy sąd doraźny – zaproponował usłużnie Greifer – żeby zupełnie

nie wyjść z wprawy.

– Pomówimy o tym później – oświadczył pułkownik Hauk lakonicznie.

Hinrichsen obrócił swoje cielsko o sto osiemdziesiąt stopni i udał się do żołnierzy. Hauk i Greifer patrzyli przez chwilę w jego kierunku, potem spojrzeli na siebie.

– Jeżeli kto – powiedział Greifer – to ten! Ten walczy jeszcze o Wielkie Niemcy. Odwaga jego pozostaje w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do jego rozumu. A rozum ma mikroskopijny.

Hauk uśmiechnął się nieznacznie. Spojrzał znowu w stronę werandy, na której kąpała się w słońcu wiosennym Barbara. Zmrużył nieco oczy.

– Jest naprawdę zupełnie miła – powiedział Greifer – ale możemy mieć dziesięć z tego gatunku za dziesiątą część tego, czego mogłaby teraz żądać. Żaden kociak, choćby najlepszy w łóżku, nie jest tyle wart.

– Ona wie bardzo dużo – mruknął Hauk jakby do siebie.

– Jeden powód więcej – powiedział Greifer z przekonaniem – żeby postarać się, by z tym, co wie, niewiele mogła począć.

Pułkownik uznał za zbyt ciche odpowiedzieć na uwagi Greifera. Wyglądało prawie na to, że ich wcale nie słyszy i uważa przyjmowanie ich do wiadomości za niegodne siebie. Ale Greifer wiedział, że pułkownik ma dwoje wspaniale funkcjonujących uszu.

– Cały zbyt cichy bagaż – powiedział Greifer poufałym tonem – wyrzuciłem z wozu, oczywiście za pozwoleniem pana pułkownika. A tymczasem ta dama nazbierała sobie tyle rzeczy, jak by była przynajmniej generałem. Nie chcę niepotrzebnego balastu. Sam poprowadzę wóz.

– Proszę doprowadzić wóz na skraj lasu – powiedział pułkownik – a kiedy skrzyżowanie będzie wolne...

– Za trzydzieści minut?

– Za dwadzieścia.

– Im wcześniej, tym lepiej. Udaję się więc na miejsce startu. – Greifer wszedł do lasu nie spojrzawszy na Barbarę, którą przed chwilą skreślił ze swego wykazu transportowego.

Pułkownik podniósł się powoli. Strzepnął starannie kurz ze swojego siedzenia, nałożył czapkę i poprawił pas. Potem ruszył w kierunku werandy.

– No i cóż, moja panno? – zapytał.

– Nic – odpowiedziała Barbara uśmiechając się mechanicznie.

– Zaraz wrócę – oświadczył pułkownik i skinął jej głową.

– Dobrze.

– Poczekasz tu na mnie.

– Poczekam, aż wrócisz.

Hauk skinął znowu głową i nie oglądając się odszedł, zatopiony w myślach.

Doszedł do skraju lasu. Zebrali się tu pod wodzą majora Hinrichsena jego żołnierze.

rze, aby zaryzykować stąd przedarcie się w kierunku skrzyżowania.

– No, teraz możemy zaczynać – powiedział pułkownik.

Wolno, jak gdyby niósł jakiś znaczny ciężar, wysiadł kapitan Wedelmann ze swego wozu. Skinął głową w stronę kierowcy, który w odpowiedzi musnął jednym palcem brzeg swej czapki. Wedelmann tupnął zdrętwiałymi nogami i spojrzął na oznakę dywizji – była nią czarna pantera na białym tle – zawieszoną na drzwiach szkoły.

Wedelmann, wysoki, wychudzony, o smutnej twarzy jamnika i zmęczonych ruchach robotnika transportowego, zwrócił się do człowieka siedzącego w otwartym wozie, który uderzająco wąskimi rękami manipulował przy guzikach swego szerokiego płaszcza. Człowiek ten, wyglądający niezwykle młodo, odrzucił szybkimi ruchami swą gumową powłokę, jak gdyby musiał się od niej jak najprędzej i za wszelką cenę oswobodzić. Spod powłoki ukazała się dziewczyna.

– To nie potrwa długo, Magdo – zwrócił się do niej Wedelmann. – Generał jest zwolennikiem szybkich decyzji.

– Nie myśl o mnie podczas rozmowy z nim – powiedziała Magda, dziewczyna o ziemistej twarzy Madonny. – Nie musisz się o mnie kłopotać. Jakoś już dotrę stąd do twego rodzinnego miasta. A tam poczekam na ciebie.

– Jeżeli nawet będzie niezbyt przyjemnie, Magdo, i tak przecież za trzy, cztery dni wszystko się skończy.

– Za dwa dni – powiedział kierowca, jak gdyby odczytywał rubrykę z cennika na skarpetki.

Wedelmann znalazł tę cichą dziewczynę, Magdę, o ciemnych, jakby o pomoc błagających oczach – na ulicy. Stała na peryferiach bezlitośnie w nocy zbombardowanego miasta, brudna, w na pół spalonej sukni, samotna i bezbronna. Nie mówiła ani słowa – tylko jej oczy zdawały się wołać o pomoc. Rodzice Magdy, uchodźcy ze wschodu, znaleźli tutaj schronienie u dalekich krewnych. Teraz nie żyli. I krewni, i rodzice. A Magda nie wiedziała, co ze sobą począć. W ten sposób zetknęła się z Wedelmannem. Wydarzyło się to pięć dni temu.

– W ciągu dziesięciu minut – powiedział Wedelmann – będę coś wiedział o moim dalszym przydziale. Przyjmując oczywiście, że generał znajduje się na stanowisku dowodzenia, co u Luschkego wcale nie jest rzeczą samo przez się zrozumiałą.

Generał-major Luschke był na stanowisku dowodzenia. Mały, zgarbiony, w pofałdowanym, wystrzępionym mundurze klęczał w sadzie za szkołą na rozpostartym szeroko kocu wojskowym w niebieskie i czerwone pasy. Obok niego stała otwarta skrzynia, przed nim leżały dwie teki. Miało się wrażenie, że sortuje, kontroluje i odkłada części ubrania.

– Witam pana, Wedelmann – powiedział i spojrzął przelotnie na kapitana nie przerywając pracy. Lustrował właśnie parę swoich kalesonów, które całkowicie utraciły pierwotny kształt i miały na tyłku całą masę cer.

– Proszę o pozwolenie zameldowania panu generałowi...

– Chce mi pan zameldować więcej i coś innego, niż wyczytałem w pańskim meldunku radiowym? Nie? W takim razie niech pan nic więcej nie melduje. Wcale się nie palę do tego, żeby każde katastrofalne sprawozdanie słyszeć po raz drugi czy trzeci. Wystarczy mi to, co przeczytałem. Aż do sądnego dnia.

Luschke obejrzał dokładnie, sztuka po sztuce, sześć par kalesonów, dwie wybrał, resztę odrzucił z lekceważeniem na bok. – Cóż pan chce teraz począć, Wedelmann?

– Co pan generał rozkaże!

Luschke rzucił za siebie szerokim ruchem parę lakierowanych butów, nawet jej się dobrze nie przyjrzał. – Co pan generał rozkaże! – powtórzył powoli. – Do ostatniej sekundy mam rozkazywać. Nikt tego ze mnie nie zdejmie – dodał prawie szeptem. – I nikt też zdjąć nie może.

– Reszta mojego sztabu – powiedział kapitan Wedelmann – to trzech oficerów, dwunastu podoficerów i czterdziestu dwóch szeregowców. Jesteśmy po części uzbrojeni. Mamy około trzydziestu karabinów i dwa karabiny maszynowe. Tylko zapas amunicji...

– Wedelmann! Czy naprawdę wierzy pan w to, że wróciwszy do swoich żołnierzy zostanie pan czterdziestu dwóch?

– Panie generale!

– A może mniej?

– Na pewno – odparł Wedelmann, szczerze, po męsku zmartwiony, starając się dać do zrozumienia, że nie chce się bynajmniej uchylać od odpowiedzialności. – Teraz zdarza się raz po raz, że niektórzy żołnierze... w pojedynkę...

– Dezerterują!

– Tak jest, w normalnych warunkach można by to tak nazwać. Ale...

– Wedelmann powiedział generał-major Luschke z niezmaconym spokojem i z rozmachem odrzucił mundur galowy. – Czy pan jeszcze ciągle wierzy w swego Führera? W Wielkie Niemcy? W germańskie panowanie nad światem?

Kapitan Wedelmann stojąc prawie na baczność nie odpowiedział ani słowa. Wyglądał tak, jakby usłyszał druzgocący wyrok na siebie. Przyjmował go do wiadomości, ale chciał zachować przy tym żołnierską postawę.

– Panie Wedelmann, postawiłem panu pytanie. Czy nie otrzymam żadnej odpowiedzi?

– Odpowiedź moja – odparł Wedelmann z wysiłkiem brzmi: nie! Nie wierzę już w nic. – I dodał ledwie dosłyszalnie: – W nic.

– To chyba za wiele – odrzekł Luschke ze spokojem. – Ale w każdym razie nie wierzy pan w tego... Trzeba było dużo czasu, Wedelmann, żeby i pan zaczął tak myśleć. Kosztowało to nas wszystkich bardzo drogo.

– Nie rozumiem tego – powiedział Wedelmann bezradnie. Nie wstydził się swojej słabości. – Nie rozumiem siebie i w ogóle nic nie rozumiem. Mam tylko jedno wytłumaczenie na wszystko, co się stało: obłąd.

Generał wyciągnął z pudełka wspaniałą wstążkę orderową, wygładził ją pięścią, a potem podarł. Zwisające strzępy wyglądały żałośnie. Luschke uśmiechnął się pogardliwie. – Podły gatunek – powiedział po chwili. Pojękując wstał i podparł się pod boki. Twarz miał boleśnie wykrzywioną. – Jestem jednym z najmłodszych generałów niemieckich i jednym z najstarszych żołnierzy armii. Za młody, by umierać, za stary, żeby żyć dalej. Urodziłem się prawdopodobnie o pół wieku za późno.

– Bez pana generała...

– Niech pan to zostawi, Wedelmann. Dosyć już tych toastów, rzygać mi się chce od nich, poza tym nie mam czasu. Muszę tu zrobić całkowity porządek.

Generał odsunął nogą stos bielizny, chwycił paczkę listów polowych i zaczął je przerzucać. Miało się wrażenie, że skupił się na tej czynności całkowicie. Wedelmannowi, który stał przed nim z pokorną miną, wydawało się na krótką chwilę, że w ogóle dla Luschkego i jego świata nie istnieje.

Nagle Luschke rzuciwszy listy na ziemię zapytał: – Wedelmann, co by pan zrobił, gdyby ta wojna była dla pana skończona; teraz, tutaj, w tym momencie? Co by pan zrobił?

– Ożeniłbym się – odparł tamten bez namysłu.

– Więc niech pan to zrobi – powiedział Luschke bardzo serdecznie.

Wedelmann stał nieruchomo. W jego wiernych oczach jamnika malowało się bezgraniczne zakłopotanie. Nikt poza Luschkem nie umiał go w nie wprawiać. Ale ta terapia przy pomocy bezlitosnych i celnych szoków miała błogosławione skutki.

– Skoro pan wie już, z kim się pan chce ożenić, niech pan to zrobi. Tutaj nie będzie pan więcej potrzebny. Pański dowódca dywizji udziela panu chętnie wymaganego pozwolenia na ożenek i może niezbyt chętnie, ale bez cienia ubolewania mówi panu: żegnam.

– Panie generale...

– Żegnam pana, drogi panie Wedelmann. Może jeszcze zobaczymy się kiedyś w tym żołnierskim życiu, niech się to jednak stanie tylko wtedy, jeżeli nie da się tego uniknąć pod żadnym pozorem. Proszę to sobie zapamiętać. Najbliższym miejscem postoju dywizji i, jak tego jestem prawie pewien, ostatnim, jest nasze stare miasto garnizonowe. Mam wrażenie, że będzie pan starał się tam zapaść korzenie. A więc niech pan będzie zdrow! Niech pan zapomni Bulwę, niech pan, o ile to możliwe, wymaże go ze swej pamięci. Razem z całą wojną.

Generał-major Luschke ukląkł znowu i pewnymi ruchami, ale niedbale zaczął wkładać resztki swych rzeczy do obu tek. Zachowywał się tak, jak gdyby żaden Wedelmann teraz już nie istniał i poza skromną zawartością dwóch tek nie było już nic na świecie.

Wedelmann miał wrażenie, że widzi swego generała po raz ostatni. Patrzył przez chwilę na tego człowieka o krótkim karku i włosach, które pokryła siwizna, podobnego do karzełka, ubranego w pomięty, pofałdowany, wyliniały mundur.

Stał w milczeniu przez czas jakiś, później sprężyście zasalutował. Po sekundzie zrobił w tył zwrot i odszedł nie zachowując już wojskowej postawy. Ramiona miał opuszczone, buty wlokły się leniwie przez zapyloną ścieżkę. Jego służba była zakończona.

Przeszedł przez sad, znalazł się na szosie, na której stał jego samochód. Kierowca spojrzawszy na niego usiadł za kierownicą i zapuścił silnik. Magda patrzyła na Wedelmanna szeroko otwartymi oczami.

– No i co? – zapytała. – Co stanie się teraz?

– Pobierzemy się – powiedział Wedelmann.

– Nie, to chyba niemożliwe!

– Pobierzemy się. Chcę wreszcie wiedzieć, gdzie jest moje miejsce. Muszę mieć człowieka, na którym mógłbym się oprzeć.

– W takim razie pobierzemy się.

Bombardier Stamm, wielce ceniony pierwszy pisarz komendy garnizonu, ominął z powodzeniem liczne rafy, zanim udało mu się wylądować w tym względnie bezpiecznym porcie. Miał nadzieję, że będzie tu mógł, jak to bywało dotychczas, leniuchować na całego. Leniuchował też, ale w ostatnich tygodniach wyglądało na to, że to muzeum wojenne zmieniło się w dworzec przeładunkowy. Stammowi, przy jego wyraźnych skłonnościach do spokojnego trybu życia, było to bardzo nie na rękę. Zaczął się jednak z tym godzić, ponieważ część tego, co się tu przewalało, przemycało i magazynowało, pozostawała w komendzie garnizonu. W średniowieczu podobna procedura nosiła nazwę składowego.

Bezceremonialny odwrót rzekomo chorego na nerki podpułkownika do spokojnej przystani uzdrowiska Kissingen oraz równoczesna, honorowa – tak ją określano – nominacja kapitana Schulza na komendanta garnizonu sprawiały Stammowi nowe, dodatkowe kłopoty. Potem jednak zorientował się, że nawet wojowniczy Schulz nie ma zamiaru, jak to przewidział wódz naczelny, pozostawać na swym stanowisku „aż do ostatniego tchnienia”. Bojowe serce „niezłomnego” również zaczynało powoli bić po cywilnemu.

– Małżonka pana kapitana – zameldował Stamm swemu nowemu dowódcy pochłoniętemu intensywnym opracowywaniem listy zapasów żywnościowych.

– Tutaj? – zapytał Schulz nie kryjąc, że jest niemile zaskoczony. – W komendzie garnizonu?

– Małżonka pana kapitana – obwieścił Stamm układnie – czeka już od kwadransa w przedpokoju.

– Niech czeka dalej – zdecydował Schulz niemal władczo. I znowu pochylił się nad wykazami zmagazynowanych w obrębie garnizonu zapasów żywności. Zastanawiał się z wielką ostrożnością nad tym, czy nie podzielić prowiantów przede wszystkim między żołnierzy, a potem także i między ludność cywilną. „W każdym razie – myślał – należy kierować się tutaj nie tylko potrzebą, ale również stopniem i godno-

ścią tych, którzy przydział otrzymują”.

– Małżonka pana kapitana – oświadczył bombardier Stamm, który ciągle jeszcze sterczał w kancelarii – gawędzi sobie tymczasem z panem płatnikiem Brahmem – Brahm? Któż to taki?

– To dowódca owej kolumny transportowej, która się rozgościła w domu kreisleitera przy ulicy Hindenburga trzynaście.

– Niech także zaczeka – zadecydował Schulz znowu niemal władczo.

Powoli zaczął rozsmakowywać się w swojej wybitnej roli, która mu jeszcze przypadła tuż przed zamknięciem budy i która, wolno mu było mieć to głębokie przekonanie, była godna majora. Co się zaś tyczyło zapasów żywności, to Schulz wyliczył sobie, że należałoby wziąć pod uwagę skierowanie pewnych środków żywności do odpowiednich kanałów. Na przykład mąkę dostarczyć cetnarami zasłużonemu piekarzowi. W tym wypadku piekarzowi Schulza, oczywiście w trosce o ludność cywilną.

– Niech mi wolno będzie zwrócić uwagę pana kapitana – powiedział Stamm, który ciągle jeszcze nie opuszczał kancelarii – że małżonka pana kapitana i pan płatnik gawędzą na temat kwater, przy czym, żeby tak powiedzieć...

– Co takiego? – Schulz zerwał się, walnął ręką o stół, udał oburzonego. – Zaraz z tym zrobimy porządek... I co to was w ogóle obchodzi, pęta! Na co wy sobie pozwalacie?! Są sprawy, których jako pierwszy pisarz dowództwa w ogóle nie powinniście słyszeć – rozumiano? Poza tym, mój gołąbku, skąd wy do tego, żeby podsłuchiwać moją żonę?

– Tylko w interesie pana kapitana! – zapewnił Stamm starając się wywołać wrazenie wierności i oddania.

– Mam nadzieję – powiedział Schulz z ową hałaśliwą, niebezpieczną pewnością, właściwą tylko zadufanym w sobie przełożonym. – Słuchajcie no, Stamm! Taka komenda garnizonu to nie pensjonat dla dziewcząt – zwłaszcza w takich czasach, kiedy chodzi o głowę. Potrzebni są współpracownicy, którym można ufać. Tu przywiązuje się wagę do tajemnicy, tu mogą zapaść wyroki śmierci. Pomyślcie o tym. Jedno słowo za dużo, a nigdy już nie otworzycie swojej gęby, zatracona ofermo! Zrozumiano?!

– Przecież jestem dyskretny i można się zdać na mnie – wyrecytował Stamm odgrywając rolę szlachetnego bohatera, która przyniosłaby zaszczyt niejednemu teatrowi prowincjonalnemu.

– Mam niepłonną nadzieję – odparł Schulz wyraźnie ucieszony tak skwapliwą służbistością. – A teraz przyprowadźcie mi tutaj moją żonę.

Stamm opuścił pokój. Po chwili zjawiała się Lora Schulz. Podeszła do męża, usiadła na jego biurku i założyła nogę na nogę. Patrzyła na niego tak, jak by go chciała kupić, ale nie była jeszcze zdecydowana, ile ma wydać pieniędzy.

– Co to ma znaczyć! – powiedział Schulz karcąco. – Przecież to nie burdel!

– Nie? – zapytała Lora. – Na pewno nie?

– Zabierz swój tyłek z biurka dowódcy!

– A gdzie go mam umieścić? Czy istnieje lepsze miejsce dla waszych rozkazów?

– Loro! Już kilkakrotnie zabraniałem ci odwiedzać mnie w moim lokalu urzędowym. I to wyraźnie. To po prostu nie przystoi. Narażasz na szwank dyscyplinę i powagę urzędu. Im wyższy urząd, tym ważniejsze jest przestrzeganie form. Można to wyczytać w instrukcjach. Oczekuję, że się nareszcie do tego dostosujesz!

– Boisz się, żebym cię nie zaskoczyła? Nie obawiaj się. Nie jestem zazdrosna. O ciebie z pewnością nie. Po co?

– Loro! Czego ty tu chcesz? Dlaczego grasujesz w moim lokalu urzędowym? O czym gadasz z tym płatnikiem?

– Potrzebuje przyzwoitej kwatery, Fryc. Daj mu jakąś, przecież jest tyle miejsca. Musi gdzieś złożyć skrzynie. A ma kupę tych skrzyń. O wiele za dużo jak na takiego młodego człowieka.

Schulz zachowywał pozory oburzenia. Jego kanciasta twarz promieniała uczciwością mającą zaskakujące cechy prawdy.

A teraz wynoś się! Nie przypuszczasz chyba, że ja, komendant garnizonu... Nie sądzisz chyba, że człowiek taki jak ja...

– Właśnie, że sądzę!

– Co takiego?

– Sądzę, że jesteś zdolny do niejednego. A jakże to wygląda, Frycku, z uczuciami rodzinnymi, które przecież podobno należy pielęgnować. Zaopatruj więc swoją rodzinę!

– Wynoś mi się stąd!

– W mojej piwnicy jest jeszcze pusty jeden cały kąt. – Powiedziałem, wynoś się stąd!

– Ale, Frycku, nie takie prymitywne rzeczy jak kartofle albo jarzyny strączkowe, tylko koncentraty. Butelki, konserwy, towary wędzone, tytoń, papierosy, tłuszcz, czekolada i mięso. No i może postarasz się o jedwab ze spadochronów – tak chętnie noszę z tego jedwabiu bieliznę.

– Precz!

Uniosła lewą rękę, kiwnęła w jego stronę koniuszkami palców i pośpieszyła ku drzwiom. – Przyślę ci zaraz tego. małego płatnika – powiedziała. – Bądź dla niego miły.

– Gówno! – ryknął Schulz. – U nas wszystko odbywa się wedle regulaminu. Po prusku!

Płatnik Brahm, mały człowieczek o chytrych oczkach koloru koniaku, zbliżył się z obłudną miną. Dał od razu do zrozumienia, że jest gotów respektować oficerów. To, że sam nosi mundur oficerski, pragnął uważać wyłącznie za przypadek, gdyż w duszy czuł się jedynie urzędnikiem. Pokornie zatrzymał się w odległości trzech me-

trów od biurka.

– Sprawa pańskiej kwatery – powiedział kapitan Schulz udając, że myśli intensywnie, jak gdyby w ogóle intensywne myślenie było jego ulubionym zajęciem – nie jest wcale taka prosta, jak sobie pan wyobraża.

– Pozwoliłem sobie przypuszczać, że komenda garnizonu...

– Przypuszczał pan całkowicie słusznie. Jeżeli potrzebuje pan kwatery, otrzyma ją pan. W koszarach, w zakładach paliw syntetycznych, w jednej z szop. Ale dlaczego od razu w willi kreisleitera!

– Myślałem, że specjalnie dla moich celów...

– Nie mam nic przeciwko pańskim myślom – powiedział Schulz z szerokim gestem. – Ale mam swoje przepisy, plany, zarządzenia itd. Muszę się ich trzymać. Bywają oczywiście wyjątki...

Płatnik uśmiechnął się tak błogo, iż uśmiech ten zmiękczyłby chyba najmocniejszego człowieka.

– Oczywiście, pozwoliłbym sobie...

– Co też panu przychodzi do głowy! – zawołał Schulz z emfazą, wywołując wrażenie, że czuje się głęboko dotknięty na swym honorze. – Przecież chyba nie ma pan zamiaru przekupywać mnie! Ostrzegam pana, niech pan tego nawet nie próbuje! Nie ma o tym nawet mowy! Nigdy!

– Chciałem tylko pozwolić sobie na skromne zapytanie, czy może jednak istniałaby możliwość umieszczenia w obrębie komendy garnizonu dwóch albo trzech skrzynek o cennej zawartości. Przy wszystkich innych zaletach skład pozostawiony mi obecnie do dyspozycji jest za mały i byłbym niezwykle wdzięczny, gdyby pan kapitan...

– To oczywiście da się zrobić – powiedział Schulz nie bez serdeczności i wyraźnie rad, że jego potworne podejrzenie nie sprawdziło się. – To oczywiście można zrobić. Jeżeli sprawa tak wygląda, to miło mi oświadczyć panu, że mam zamiar spełnić tę koleżeńską prośbę.

– Najserdeczniejsze dzięki, panie kapitanie.

– Nie będziemy tracić na próżno czasu. W zasięgu mojej władzy pracuje się szybko i gruntownie. Załatwimy więc pańskie podanie jeszcze dzisiaj. Powiedzmy, za dwie godziny będę mógł przysłać po skrzynie.

– Ależ oczywiście, panie kapitanie. Jeżeli pan kapitan pozwoli, to chciałbym wypowiedzieć jeszcze jedną prośbę o charakterze specjalnym.

– Proszę.

– Jako bezpośrednio podporządkowany Naczelnemu Dowództwu, spełniam do pewnego stopnia tajne polecenie służbowe. Byłbym panu kapitanowi bardzo zobowiązany, gdyby moja placówka służbowa pozostawała pod opieką komendy garnizonu, a równocześnie nie była tutaj oficjalnie zarejestrowana. Rozumie pan chyba, panie kapitanie, że chodzi tu wyłącznie o tajemnicę służbową.

– Zobaczymy, co się da zrobić – powiedział Schulz protekcjonalnie. – Ostatecznie nie jestem potworem. A tajne zlecenie służbowe to rzecz święta.

– Serdeczne dzięki, panie kapitanie.

Schulz machnął ręką. – Niech mi pan jeszcze nie dziękuje, płatniku Brahm. Musimy najpierw zobaczyć, czy przechowywanie pańskich skrzyń w obrębie komendy garnizonu w ogóle się opłaci.

– Opłaci się, panie kapitanie.

– Bardzo by mnie to cieszyło.

Brak mi jeszcze ciągle instrukcji – powiedział wysoki, barczysty Amerykanin siedzący na krześle – jak się mam zachowywać jako morderca.

– Niech pan nie mówi głupstw, James – powiedział kapitan stojący za dużym stołem. Nie było w jego słowach wyrzutu, zachowywał się tak, jak gdyby chodziło o żart, którego nie uważał za zbyt szczęśliwy.

– Jakże to jest? – pytał z uporem James. – Czy generał Eisenhower powiedział: „zabijajcie Niemców!” czy też nie powiedział?

Kapitan Ted Boernes z CIC{13}, szef sekcji amerykańskiego kontrwywiadu, niski, szczupły jegomość o delikatnych rękach, w okularach bez oprawy, potrząsnął wielką głową z pewną niechęcią. – Niechże pan da spokój z tymi prymitywnymi hasłami wojennymi, James.

– Bądź co bądź chodzi o wypowiedź, a raczej o instrukcję, za którą jest odpowiedzialny nie byle kto, lecz sam naczelny dowódca alianckich sił zbrojnych. A więc jak to jest? Mamy zabijać czy nie?

Kapitan Boernes zdjął z namaszczeniem grube okulary i jak gdyby szukając pomocy rozejrzał się po pokoju. Mrużył przy tym oczy i przegubem lewej ręki potarł czoło. Widział doskonale i bez okularów.

Przyglądał się swoim współpracownikom zgromadzonym wokół niego w hallu willi pewnego przemysłowca. Twarz miał bez wyrazu; ruchy jego mimo ogromnego zmęczenia były elastyczne. Starał się uświadomić swych kolegów, że jest skłonny do przyjaznego kompromisu.

Zebrało się wokół niego ze dwa tuziny mężczyzn w mundurach wojskowych bez odznak. Była to pstra grupka, od której wiało trzymaną na wodzy wrogością. Pochodzili z najróżniejszych zakątków Stanów Zjednoczonych, mieli najróżnorodniejsze zawody, należeli do najrozmaitszych wyznań. Jedną tylko mieli wspólną cechę: wszyscy mówili świetnie po niemiecku.

– Zadanie nasze – powiedział kapitan starając się szczerze bagatelizować to, czego nie można było brać na serio – nie ma nic wspólnego z rąbaniem drzewa. Nie jesteśmy mordercami.

– Jeżeli – oświadczył James ze sportową niemal dumą – spotkam jakąś świnię hitlerowską, powiedzmy, na gorącym uczynku, zakłuję ją. To jasne, ale generał nie powiedział: „zabijajcie hitlerowców!” Powiedział wyraźnie: „zabijajcie Niemców!”

– Nie jesteśmy sędziami, James – rzekł kapitan protestując łagodnym ruchem ręki. – A tym bardziej nie jesteśmy sędziami i egzekutorami wyroków w jednej osobie.

James, rozpierany przez nadmiar energii, ale przy tym dobroduszny, wydał parę niezrozumiałych dźwięków, które miały być protestem, ale mogły być tłumaczone dowolnie. Kapitan uznał za wskazane przyjąć je za potwierdzenie swych słów. „Ten James – powiedział sobie po namyśle z całym spokojem – to morderca. Trzeba go trzymać na wodzy i używać jedynie przy stosowaniu wzmożonych środków ostrożności, gdyż jest to materiał łatwo eksplodujący”.

– My wszyscy – powiedział kapitan Boernes, zdecydowany dotrzeć do sedna swoich wywodów – mamy jakiś stosunek do Niemiec.

– Zgadza się co do joty – powiedział James. – Mnie na przykład Nabito w Niemczech rodziców pałkami. A brata mego spalili w piecu. O tym, kapitanie, myślę zawsze, kiedy ktoś mówi o Niemcach. Oto jak wygląda mój stosunek do tego świńskiego narodu.

– James – powiedział Boernes pobłażliwie karcącym tonem – niechże pan rozróżnia Niemców od hitlerowców.

– Czy taka różnica w ogóle istnieje, kapitanie? I jak pan sobie to praktycznie wyobraża? Mam to rozpoznać węchem? A może da się to określić pomiarami? Może wszyscy hitlerowcy noszą swastykę na tyłkach? Tutaj, kapitanie, trzeba wyrównać rachunek. Zainkasuję go, może się pan zdać na mnie.

Boernes, zasmucony jak sumienny pedagog, który z trudem przyzwyczajają się do tego, że uczniowie jego zawodzą, przyłożył lewą rękę do oczu. W prawej trzymał kołyszając się okulary. – Cóż mam panu na to odpowiedzieć, James?

– Pańscy krewni w Niemczech żyją jeszcze, kapitanie, co? I to pana usposabia pojednawczo, prawda?

– Nie – powiedział Ted Boernes prosto, nakładając okulary. – Nikt nie żyje.

James mruknął coś niechętnie pod nosem. Ten kapitan Boernes był dla niego zbyt małostkowy, za miękki, za ustępliwy. To z pewnością dzielny człowiek, zdolny organizator, rafinowany inwestygator, zręczny koordynator. Ale, jak się rzekło, zbyt małostkowy, za miękki, za ustępliwy, szczególnie pod tym jednym względem, od którego przecież wszystko zależy: nie jest mordercą.

– James – powiedział Boernes tonem rozbijającym koleżeńskim – nie chcę się z panem prawować.

– Nie miałyby to też sensu, kapitanie.

– Pragnę tylko zaapelować do pańskiego rozsądku. W najbliższych dniach, może już jutro, osiągniemy przewidziane dla nas rejony. W poszczególnych punktach zapalnych będzie funkcjonowało po dwóch ludzi z mego oddziału. Przypadnie im olbrzymia praca. Będzie tak wielka, tak zróżnicowana i skomplikowana, że dwóch ludzi nie potrafi jej w ogóle opanować.

– W takim razie niech pan zażąda posiłków, kapitanie.

– Zrobiłem to i spotkałem się z odmową. I wcale nie dlatego, że projekt mój uznany został za nie do przyjęcia, lecz wyłącznie z powodu braku personelu. Musimy więc radzić sobie sami. A poradzić będziemy sobie mogli tylko w tym wypadku, jeżeli znajdziemy Niemców – Niemców, nie hitlerowców – którzy nam przy tym będą pomocni. Muszą być przecież Niemcy, którzy to zechcą zrobić i na których będzie można polegać. Inne wyjście jest po prostu niemożliwe. Musi się więc pan z tym liczyć od pierwszej chwili.

James zatonął jeszcze głębiej w swym krześle. Na jego kanciastej twarzy pojawił się wyraz głębokiej pogardy. Położył nogi na stole, skrzyżował ramiona, zrobił to chyba po to, żeby nie wprawić w ruch swych pięści. Dał zupełnie niedwuznacznie do zrozumienia, że dalszą dyskusję z Boernesem uważa za całkowicie zbędną.

Kapitan wyczuł tę gwałtowną niechęć. Pochylił nieco swą wielką głowę, utkwiał wzrok w grubym dywanie, na którym stał, westchnął głęboko i nie podnosząc wzroku sięgnął po leżące na stole akta.

– Decyzja – oświadczył Ted Boernes – zapadła. Mam tu wszystkie załączniki dla rejonu XXIII, który pod względem wielkości odpowiada powiatowi niemieckiemu i zostanie nam podporządkowany. Moja siedziba będzie w centrum tego rejonu. Placówkę służbową obejmie pan, James. Oczywiście zupełnie samodzielnie, dokładnie w myśl planów. Obok pana na równych prawach – James II.

– Właśnie on! – powiedział James I bez żenady.

Po tych słowach ten pękający od nadmiaru energii bokser średniej wagi w mundurze odwrócił się i uśmiechnął do małego człowieka o twarzy jak księżyc w pełni, który skromnie siedział z tyłu na drewnianym stołku ze złożonymi grzecznie na kolanach rączkami. Brakowało mu tylko tego Jamesa II, wyglądającego na belfra. Robił wrażenie konfirmanta; był wprawdzie cwany jak dwóch handlarzy razem wziętych, ale z pewnością nie należał do ludzi, którzy bawią się dynamitem, jak inni ołówkami. Nie należało chyba oczekiwać od niego jakichś komplikacji, James I czuł się już teraz jedynym władcą.

– W tych teczkach – powiedział kapitan nie zwracając uwagi na zupełnie jednoznaczne aluzje Jamesa I – znajdzie pan całe kolumny nazwisk. Ponadto wycinki z gazet, biuletynów informacyjnych, zarządzeń. Leżą tam też kopie rozkazów partyjnych i administracyjnych, oprócz tego kilka książek adresowych.

Boernes poprzydzielał poszczególne rejony swoim współpracownikom, wymieniając numery i rzucając im odnośne paczki z aktami. Robił to z wielkim rozmachem, bez namaszczenia, jak gdyby szybkimi ruchami wyładowywał komiśniaki. Cała sprawa zajęła mu kilka minut. Na stole konferencyjnym pozostał jeszcze tylko ostatni plik akt.

– Wydaje mi się – oświadczył Boernes rzeczowym tonem – że ta część naszej pracy, którą nazwałbym „sektorem cywilnym”, sprawi nam stosunkowo mało trudności.

Tu wszystko jest do pewnego stopnia przejrzyste i łatwe do skorygowania. Właściwe komplikacje rozpoczną się prawdopodobnie tam, gdzie będziemy musieli przepuszczać przez nasze ręce resztki Wehrmachtu, jednostki porozsiewane, poukrywane lub też w całości się poddające. Ale w tej sprawie otrzymacie we właściwym czasie instrukcje specjalne.

Amerykanie w swych złotobrazowych mundurach bez odznak, których jednostajność ożywiały kolorowe szaliki, krawaty i koszule, wzięli do rąk przydzielone im paczki z aktami. Porozrywawszy opaski otworzyli teczki i zaczęli przerzucać dokumenty. Naprzód zapoznali się z leżącą na wierzchu mapą. Nowy teren ich działania był tu oznaczony z niezwykłą starannością i skrupulatnością czerwonym atramentem. Tak więc każdy wyciągnął swój „los”.

– A oto orzech – powiedział Boernes rzucając ostatnią paczkę z aktami Jamesowi I – jaki pan będzie miał do zgryzienia. Miejmy nadzieję, że nie połamie pan sobie na nim zębów; wydaje mi się, że ma pan świetne uzębienie i trawi pan doskonale.

James II podniósł się spokojnie, wziął krzesło, przysunął je do Jamesa I, potem usiadł obok niego, pochylił naprzód dziecianną twarz, przypominającą księżyc w pełni, i odezwał się: – Zaczynaj „partnerze”.

James I uśmiechnął się gniewnie, rozdarł dwoma mocnymi ruchami rąk opaskę i wyciągnął mapę. – Kto wie – powiedział – jakie to będzie gniazdo pluskiew. Ale wykurzymy je w każdym razie – co, „pastorze”?

– Zobaczymy, „partnerze” – odparł James II z dziewczęcą łagodnością.

Jak można było stwierdzić bez trudu z załączników, nowy ich rejon działania obejmował niewielkie miasto, liczące około trzydziestu tysięcy mieszkańców. Dwa budynki koszarowe, zakład paliw syntetycznych, kilka baraków dla robotników, jeńców i żołnierzy. Formacje wojskowe: dywizjon zapasowy artylerii, obóz szkolenia łączności, batalion zapasowy piechoty. Komenda garnizonu. Partia: kierownictwo powiatowe, grupa miejscowa z tradycyjnym szerokim ogonem, Narodowosocjalistyczna, Związek Kobiet, Hitlerjugend, oddział SA. Niewiele nalotów, prawdopodobna obecność Volkssturmu. Opór możliwy. Ostatni rezultat głosowania: 97,2%.

– Kupił pan już, „pastorze”?

– Zdaje mi się, że tak – odrzekł James II i uśmiechnął się łagodnie.

Możemy teraz zaczynać – powtórzył pułkownik Hauk i skinął głową na majora Hinrichsen. Po tych słowach oparł się lekko, prawie niepostrzeżenie, o brzozę. Wyglądał tak, jakby z pobłażliwością znosu nie po żołniersku łagodne powietrze wiosenne.

Gruby Hinrichsen przyłożył z uroczystą miną rękę do stalowego hełmu. Po chwili mocnym krokiem wojownika udał się do swoich żołnierzy stojących w milczeniu. Raz jeszcze spojrzął badawczo na okolicę: na lewo las, którego kontury zacierały się w dali; na prawo zarośnięte krzakami wzgórze; przed nim szeroko rozpostarta kotlina. A za nią, w odległości około tysiąca metrów, skrzyżowanie dróg, na którym stały dwa amerykańskie czołgi. To był cel.

– Pan major gotów do szlachtowania? – zapytał obok jakiś jasny głos. – Czy amok może się rozpocząć?

Opasły Hinrichsen, pochłonięty pakowaniem za pas granatów ręcznych, spojrzął z niechęcią. Stał przed nim podporucznik artylerii Asch w stalowym hełmie, z pistoletem maszynowym w ręku. Miał taki wyraz twarzy, jak gdyby chciał jedynie złożyć komuś wizytę grzecznościową.

– Co się stało? – zapytał Hinrichsen mocno niezadowolony. Widok tego rześkiego ptaszka wcale go nie cieszył. Uważał bowiem, że rzemiosło wojenne winno być uprawiane z powagą. – Czego pan tu chce?

– Dotrzymać panu towarzystwa, panie majorze – powiedział uprzejmie podporucznik Asch. – Żeby panu nie było tak nudno podczas spaceru.

– A bateria pańska, panie podporuczniku?

– Będzie dobrze strzelała i beze mnie.

– Pięknie – powiedział Hinrichsen ponuro – zobaczymy, kiedy pan zamknie swoją jadaczkę. – Po tych słowach przesunął o jedną dziurkę rzemień trzymający hełm stalowy.

– Wszystko gotowe? – zapytał pułkownik takim głosem, jak by miał jedynie zamiar otworzyć rundkę pokera.

– Gotowe! – zawołał Hinrichsen pakując pod pachę pistolet maszynowy. Pomacał swe ręczne granaty, poprawił hełm stalowy.

Major obejrzał się raz jeszcze za siebie. W pobliżu pułkownika Hauka, dwa kroki za nim, stał porucznik Greifer i pocierał swoje łapska; za nim parkował naładowany samochód. O kilka metrów dalej tkwił przed swoim motocyklem bombardier Kowalski potężnie ziewając. Pozostała setka żołnierzy jego oddziału stała gotowa do walki, obładowana, ze zwisającymi ramionami, milcząca. Miało się wrażenie, że wojna ustawiła się raz jeszcze, by ją namalowano lub sfotografowano dla tygodniowej kroniki filmowej.

Porucznik Greifer podniósł raketnicę i wystrzelił w powietrze cienką, długą, syzczącą smugę dymu. Prawie w tejże chwili rzygnęły z prawej strony dwa moździerze. Na skrzyżowaniu wystrzeliły grzyby dymu i błota.

Bombardier Kowalski przestał ziewać, podniósł prawą rękę i rozstawił dwa palce na kształt litery V. Asch skinął mu głową, po czym nałożył hełm stalowy, przepasał się pistoletem maszynowym i stanął gotowy do skoku obok Hinrichsena.

– Zdaje się, panie majorze, że obiecane ciężkie karabiny maszynowe rozpląnęły się w powietrzu. O działach piechoty też ani słychu, ani dychu. Czyżby nasze uszy już nie funkcjonowały, panie majorze?

– A pańskie zafajdane działa, podporuczniku?

– Będą strzelały, kiedy czołgi ruszą na nas, nie wcześniej. Ale przynajmniej naprawdę egzystują.

– Zamknij pan swoją beczelną gębę! – powiedział brutalnie Hinrichsen. – Nie

chce pan chyba twierdzić, że pułkownik...

– Najpóźniej za piętnaście minut, panie majorze, będziemy dokładnie wiedzieli. Skoro mnie pan jednak pyta... dlaczego mam wątpić, że również wśród pułkowników są ostatnie świnie.

– Ale ja pana, człowieku, nie pytam.

Opasły Hinrichsen był oburzony, sapał z wściekłości. „Ten łobuz – mówił sobie z furią – atakuje jego żołnierski honor, jego niemiecki narodowosocjalistyczny honor. Pokaże mu, gdzie raki zimują! Ale jedno trzeba przyznać: nie wydaje się, żeby chłop był tchórzem, przynajmniej na razie nic na to nie wskazuje”.

– Jazda! – ryknął Hinrichsen przypominający aktora teatru amatorskiego, który wykrzykuje całkowicie dlań niezrozumiałą tekst. – Naprzód!

Ociężały major ruszył z kopyta. Wielką głowę wciągnął między góry mięsa swoich ramion. W prawej ręce trzymał pistolet maszynowy, którym wymachiwał. Asch poszedł razem z nim.

Żołnierze posuwali się za majorem, który kołysał się jak słoń wietrzący wodę. Próbowali dotrzymać mu kroku. Ich umęczone w ciągu ciężkich pięciu lat wojny nogi poruszały się automatycznie, oczy wyglądały skrzyżowania.

Na skrzyżowaniu wytrysły fontanny ziemi. To wybuchały granaty moździerzowe. Nic nie przeczuwający Amerykanie, którzy rozlokowali się wygodnie na brzegu szosy, zerwali się, porozbiegali we wszystkich kierunkach i zaczęli szukać ukrycia. Niektórzy starali się wdrapać na niezgrabne czołgi, w których uruchomiono startery. Dwóch padło; jeden zwałił się jak ścięta kłoda na gąsienice, drugi został zmieciony z wieżyczki czołgu.

Hinrichsen wzmógł tempo. Sapał teraz mocniej, oddychał przez szeroko otwarte usta. Podporucznik Asch zawołał: – Amerykanie wciąż jeszcze nie wieją!

– Ale będą wiali! – wydusił z siebie z przekonaniem grubas pędząc na oślep naprzód.

– Gdybyśmy mieli to wsparcie, które nam obiecał pułkownik...

– Mam to w dupie! Gdyby! – wykrztusił Hinrichsen. – Połowę mamy już za sobą.

Siknął na nich cienki deszczyk stali. Od strony skrzyżowania zaszczekały karabiny maszynowe.

– Kryć się! – ryknął Hinrichsen rzucając się na ziemię. Żołnierze padli na wilgotną ziemię. Karabin maszynowy kosił przed nimi zieloną wiosenną murawę. Lekki wiatr muskał ich rozpalone twarze. Na skrzyżowaniu kotłowało się jak w mrowisku.

– Nie otrzymamy wsparcia artyleryjskiego – powiedział Asch Jeżąc obok Hinrichsen. – A więc pułkownik nabił nas w butelkę.

Hinrichsen zamknął na chwilę oczy, jak by go nagle oślepiło światło, po czym uniósł się nieco i spojrzał ostro na Ascha. Głos jego brzmiał ochryple, zdawało się, że słowa z trudem wydobywają się z zaschniętego gardła. Powiedział w końcu: – To, podporuczniku, w Wehrmachcie niemieckim się nie zdarza.

– Zdarzało się zawsze w tym czcigodnym towarzystwie – powiedział ostro Asch. – Tylko że teraz stało się to zupełnie wyraźnie.

– Ognia! – ryknął Hinrichsen do swoich żołnierzy spojrzawszy przedtem na podporucznika Ascha, jak gdyby był samym Lucyferem. – Cel: skrzyżowanie. Prędeż, prędeż!

Hinrichsen leżący na ziemi jak olbrzymia kłoda patrzył z zaciśniętymi zębami w stronę wroga. Bezmyślna szczekania Amerykanów irytowała go. „Te draby naprzeciwko w ogóle nie celują – myślał – nie macają terenu; po prostu wystrzelują magazynki za magazynkiem. Bez przerwy. Nie ma w tej pukaninie żadnego systemu. Nie można się do niczego zastosować, niczego obliczyć ani przedsięwziąć skutecznych środków zaradczych. Fuszerzy, dyletanci, mydłki prowadzą tutaj wojnę”.

– Wcale nie jak na polu walki – parsknął major. – Zachowują się jak w budach jarmarcznych.

– Ale wkładem pozostaje krew, czy ci tam naprzeciwko stosują się do pańskich zafajdanych przepisów w dziedzinie strzelania, czy też nie.

– Lewe skrzydło sto metrów naprzód! – ryknął Hinrichsen. – Prawy karabin maszynowy osłania skrzydło!

– Nie ma już amunicji – zawołał jakiś żołnierz.

– Swiniobicie, Hinrichsen – powiedział Asch. – Zrobią z nas kiełbasy, a pułkownik chce na tym zarobić.

Opasły, barczysty Hinrichsen podniósł się i skoczył naprzód. Walił bezładnymi, chwiejnymi susami. Był w otwartym polu sam, zupełnie sam. Olbrzymi potwór pędził w kierunku swoich myśliwych.

Asch patrzył z osłupieniem i nie bez podziwu na majora, który wielkimi krokami sadył naprzód jak szalony, potem zerwał się i zaczął biec za nim. Zerwali się również z ziemi żołnierze. Miało się wrażenie, że gruby major ciągnie za sobą z nieodpartą siłą wszystko, co może jeszcze trzymać się na nogach.

Hinrichsen pędził naprzód. Wydawało mu się, że go ktoś popycha, że jakaś potężna pięść wali go w kark, że niesie sztandar, chorągiew Rzeszy, że wódz naczelny patrzy na niego i kiwa z uznaniem głową. Stare serce żołnierskie waliło potężnie w otłuszczone żebra, pot spływał strumieniami po szerokiej twarzy. Chciało mu się krzyczeć: Za Niemcy! Za Führera! Za Rzeszę! Ale nie mógł wydobyć głosu, nie mógł złapać tchu.

W pewnej chwili, sapiąc jak miech kowalski, zatrzymał się. Odniósł wrażenie, że ziemia unosi się nad nim, jak by ją ktoś ciągnął w górę na podobieństwo kurtyny teatralnej. Czuł między wargami wilgotną ziemię; zwałił się z nóg.

– Naprzód, naprzód! – wołał chrapliwym głosem.

Kilku żołnierzy, posuwających się skokami, wyprzedziło go. Jeden z nich zatrzymał się nagle w biegu tuż obok Hinrichsena. Wydawało się, że natrafił na ścianę i nie może zrobić kroku dalej.

– Co się stało? – zawołał Hinrichsen.

W tejże chwili z szyi żołnierza wytrysła fontanna krwi, jak tryska woda z węża, którym się podlewa ogród. Krew syczała ostro, krótko, dziko. Żołnierz zwałił się na majora oblewając jego mundur lepką czerwienią.

– Aorta – powiedział Asch – beznadziejne.

– Naprzód, naprzód! – ryczał Hinrichsen.

– Padnij, padnij! – ryknął Asch jeszcze głośniej.

Major chciał się podnieść, ale podporucznik osadził go na miejscu. – Teraz będziemy golić czołgi – powiedział Asch. – Musimy mieć koniecznie swobodne pole ostrzału.

Czołgi amerykańskie typu Sherman ruszyły powoli i zaczęły się posuwać w kierunku piechoty niemieckiej. Umieszczona na skraju lasu bateria Ascha otworzyła ogień. Pierwszy czołg zapalił się po dwunastym strzale i spłonął. Drugi, mocno uszkodzony, zawrócił po osiemnastym strzale i zniknął za skrzyżowaniem.

– Jeszcze dwieście metrów – jęknął Hinrichsen obok Ascha. – Dopniemy swego!

– Mają straty – powiedział podporucznik. – Co najmniej dwudziestu ludzi.

– Dopniemy swego! – ryknął gardłowym głosem major. Twarz miał wykrzywioną, wyglądał jak umarłak. Ryczał bez przerwy: – Naprzód, marsz, marsz!

Żołnierze kołysali się za nim jak lalki mechaniczne. Jeden potknął się w biegu, wyrznął głową w piasek, aż się zakurzyło. Innemu salwa karabinu maszynowego skosiła twarz, mózg jego opryskał tych, którzy biegli za nim. Trzeci wypuścił nagle karabin, jak gdyby go sparzył; przycisnął obie ręce do brzucha i padł na ziemię.

– Dopieliśmy swego! – ryknął Hinrichsen. – Dopieliśmy! – I jak szalony rzucił się do przydrożnego rowu przy skrzyżowaniu dróg. Bliski omdlenia, ogłuszony, leżał w nim przez kilka sekund. Pozostali przy życiu żołnierze przyczołgali się i zgrupowali dookoła niego.

– Skrzyżowanie jest wolne – wyjęczał uszczęśliwiony major.

– Nie będzie go pan mógł utrzymać – powiedział podporucznik Asch. – Amerykanie szykują się do przeciwuderzenia.

– A teraz ubezpieczyć! – zakomenderował natychmiast Hinrichsen. – Dwie drużyny na wzgórze na lewo! Karabin maszynowy do mnie do rowu, dwie drużyny ubezpieczają z prawa!

– A na skrzyżowaniu wolny przejazd – powiedział Asch – dla tych, którzy sprzedali naszą skórę.

Hinrichsen spojrział ze znieruchomiałą twarzą na samochód pułkownika Hauka. Kierowany łapskami Greifera wóz pędził w kierunku skrzyżowania. W oczach Hinrichsena, które pod wpływem ostatnich przejść powiększyły się gorączkowo i były pozbawione blasku, pojawił się wyraz dziecinnej bezradności. Otworzył szeroko usta, ale nie mógł wydobyć słowa.

Samochód pułkownika toczył się w stronę skrzyżowania. Na przodzie siedział

Hauk z twarzą bez wyrazu, jak gdyby jechał na kolację do kasyna. Hinrichsen potykając się ruszył ku niemu, żeby mu złożyć meldunek. Ale pułkownik, nie patrząc na niego, machnął tylko ręką.

Greifer zawołał niemal dobrodusznie: – Tylko tak dalej! Nie załamywać się. Zaraz wrócimy. Z odsieczą.

Wóz ruszył jak wicher, wyjąc przeraźliwie pędził na coraz szybszych obrotach. Za nim, na swoim motocyklu, na którym siedział jak w latrynie, przeleciał nieznaczenie uśmiechnięty Kowalski, ale Hinrichsen nawet tego nie zauważył. Gapił się i gapił na wóz pułkownika, za którym wznosił się gruby, żółtoszary obłok kurzu. Miało się wrażenie, że olbrzymia chorągiew zakrywa niebo, z którego zwisa łagodne wiosenne słońce.

– Nareszcie zrozumiał pan, panie majorze Hinrichsen – powiedział podporucznik Asch. – Pułkownik dał drapaka.

– Niemiecki pułkownik nie daje drapaka – powiedział major prawie bezdźwięcznie. Potem, jak gdyby z ciała jego uszła wszelka siła, zwałił się tam, gdzie stał. Runął na swój gruby tyłek i siedział bez ruchu. Po brudnej twarzy spływały strumienie potu. Dzięki nim nie było widać łez, z których nawet sam nie zdawał sobie sprawy.

– Musimy wycofać się ze skrzyżowania – oświadczył podporucznik Asch. – Amerykanie nadchodzą z posiłkami.

– To się w Niemczech nie zdarza – powiedział do siebie wstrząśnięty Hinrichsen. Był teraz podobny do bezradnego starca, który musi przyglądać się, jak wzniesione przez niego trudem całego życia domostwo ginie w płomieniach.

– Niech pan każe opuścić skrzyżowanie! Mieliśmy już dosyć strat.

– Świnia – powiedział Hinrichsen głucho. – Nikczemna świnia. Każe nam tutaj krwawić, a sam ucieka. – Drżącymi bezradnie rękami chwycił Ascha za pierś. – Podporuczniku – zawołał – to przecież nie może być prawdą!

– To jest prawdą! Kazał żołnierzom krwawić, aby sam mógł zwiać. Ale nie wymknie się. Nie pozwolę, żeby się wymknął. Odnajdę go! A wtedy jednego z nas diabli wezmą.

W takim okresie jak ten – ryczał Schulz przejmującym głosem koszarowego zupaka – który jest okresem wielkim i decydującym, musimy okazać się godnymi ofiar poniesionych dla Wielkich Niemiec!

Opuścił nieco kartkę, z której te słowa odczytał, podniósł swój kanciasty łeb, aby jeszcze raz zlustrować żołnierzy ustawionych przed nim w szeregu. Gapiła się na niego szara, bezosobowa masa; nie można powiedzieć, żeby płynęła od niej zbyt zdecydowana gotowość służenia ojczyźnie. Nie odczuwało się nawet bezwarunkowego respektu należnego przełożonym. To zwłaszcza zasmucało Schulza.

– Walka nasza – czytał dalej, przy czym jego oczy dzika lśniły melancholijnie – jest walką ogromną, niepowtarzalną i ponad wszelką wątpliwość wzniosłą. O tym powinien pamiętać każdy, którego przeznaczenie wybrało, by stał na straży ukocha-

nej ojczyzny w jej najcięższej godzinie.

Schulz znowu zadarł głowę, tym razem z mniejszą pewnością siebie niż poprzednio, spojrzął ponad udeptany żwir dziedzińca koszarowego ku żołnierzom, którzy po okresie wyszkolenia stanęli w szeregu, by dowódca, obecnie on, Schulz, pożegnał ich tak, jak tego wymagały przepisy służbowe i zgodnie z potrzebą ich serc. Chwilę tę jednak Schulz wyobrażał sobie bardziej wzniosie, bardziej uroczyście, bardziej związaną ze sprawami o nieprzemijającej wartości. Krótko mówiąc: bardziej po żołniersku. Miał jednak wrażenie, jak gdyby mówił do ściany.

– Nasza ukochana niemiecka ojczyzna – obwieszczając zaczerpnąwszy głęboko powietrza – jest krajem, który od wieków ukazywał światu najlepszych żołnierzy i którego na polu walki nikt nigdy jeszcze nie zwyciężył. Możemy być z tego nieskończenie dumni. Ale nakłada to na nas ów święty obowiązek, od którego nikt uchylić się nie może, od którego uchylić się nie wolno.

Schulz, owiany uroczystością chwili, uważał, że są to słowa wielkie i pełne niezwykłej wagi. Dlaczego jednak nie zapalały?

Spojrzawszy, tym razem z przenikliwą ostrością, na żołnierzy i ku swemu ogromnemu zdumieniu stwierdził, że na niego nie patrzą. Nie wisieli, jak należało się tego spodziewać, jak było w zwyczaju i, stosownie do przepisów, na jego wargach. Patrzyli poprzez niego! Byli to, jak stwierdził, do głębi wstrząśnięty w swej męskości, starzy, zmęczeni, spróchniali wojacy z zapiecka. Nie było w nich ani odrobiny zacięcia; prawdopodobnie długoletnie życie rodzinne tak na nich wpłynęło. Stan cywilny tkwi w ich krwi jak choroba weneryczna.

– A więc – czytał bez skupienia, wstrząśnięty, oburzony i pełen pogardy – będziemy dźwżyć wysoko nasz sztandar i kroczyć za nim, dopóki pozostanie w nas choćby kropla poczucia honoru. Ostateczne zwycięstwo będzie wtedy nasze, bo naszym być musi!

Większość żołnierzy, tworząca szarą, głuchą, obojętną masę, patrzyła nieruchomo w przestrzeń. Jedynie z tyłu, na lewym skrzydle stało kilku uczniaków w mundurach, których oczy utkwione w pana kapitana lśniły oddaniem i wiarą. Ujrzawszy ich i uświadomiwszy sobie, jaką przedstawiają wartość, Schulz znowu nabrał odrobinę otuchy. „Ci jeszcze nie ześwinieli – pomyślał – są surowym materiałem, głupim, ale chętnym. To nasza młodzież niemiecka, z której można by zrobić żołnierzy, i to dobrych, gdyby się tylko miało na to czas. Czy ma się jednak czas? Dawniej robiło się z cywilów żołnierzy w ciągu trzech miesięcy. Dziś trzeba tych żołnierzy produkować w ciągu parszywych trzech, czterech tygodni, i z kim ma się do czynienia? Z podstarzałymi ofermami albo z tymi młodymi chłopakami, w oczach których lśni wprowadzie entuzjazm, którym jednak brak żołnierskiego szlif.”

Niezadowolony z miernego entuzjazmu i zasmucony widokiem cennego materiału, którego nie można wykorzystać, Schulz złożył kartkę pozostawioną mu wspaniałomyślnie przez spragnionego wypoczynku dowódcę. „Co za gadanina – myślał

Schulz. – Ten się znowu wykiął biadoleniem. Chociaż właściwie to brzmi wcale nieźle, jakoś w duchu niemieckim, nawet bardzo niemieckim. Ale teraz można Niemiec szukać z latarnią w ręku. A ci umundurowani uczniacy i tak nie okraszają już tej kaszy”.

Pan kapitan, wściekły z powodu generalnej klapy, wezwał, nie bez pompy, zgromadzonych żołnierzy do wzniesienia trzykrotnego hura! Na część ukochanego fùhlera, na część narodu i Rzeszy! Hura, hura, hura! Potem pan kapitan się ulotnił. W głębi swego żołnierskiego serca był rad, że nie musi już oglądać tych bezmyślnych półżołnierzy, którzy teraz zostaną podrzuceni jakiejś walczącej jednostce. Żołnierze ci wywoływali w Schulzu, który był przecież wojakiem od stóp do głów, mdłości. A ci malcy w mundurach! To hańba, jak się marnotrawi najcenniejszy materiał ludzki! Jeszcze trzy, cztery tygodnie szlifu, i to w starym duchu, a zrobiliby z nich ludzi. Ach, obiad stanął mu w gardle.

Wszystko przyprowadzało go o mdłości. Miał tego po prostu dosyć. Na tym nędznym, walącym się świecie nie było już miejsca dla jego żołnierskiego poczucia honoru i obowiązku. Rozmyślając nad tym wstrząsająco smutnym przebiegiem spraw, spędził długie minuty za swym biurkiem, z głową opartą na rękach.

W pewnej chwili omal nie zasnął.

Odważył mu się przeszkodzić jego pierwszy pisarz, zasłużony bombardier Stamm. Udając zapał służbowy przyzeglował trzymając w każdej ręce po jednej liście. – Czy to nie pomyłka? – pozwolił sobie zapytać.

– Co ma być pomyłką? – zapytał Schulz z niechęcią. – Czy widzieliście już kiedyś, żebym się pomylił?

– Pozycja trzydzieści cztery – powiedział bombardier Stamm rzeczowym tonem i pięknym gestem położył listy na biurku Schulza.

Schulz pochylił się nad listami, ziewając przy tym straszliwie i nie zadając sobie nawet trudu zasłonięcia ust ręką. Leżał przed nim „Wykaz towarów złożonych w obrębie komendy garnizonu oraz plan ich rozdziału i rozmieszczenia w związku z coraz bardziej zaostrażającą się wyjątkową sytuacją.

– Czego wy właściwie chcecie? – zapytał Schulz z niechęcią.

– Przecież to zostało pierwszorzędnie sformułowane. Może nie?

– To prawda, że dobrze sformułowane, panie kapitanie. Ale pozycja trzydzieści cztery?

Pan kapitan był łaskaw przyjrzeć jej się bliżej. Widniało tam co następuje: „3 skrzynie towarów kolonialnych, mieszanych, wielkość 90 X 60 X 60, zmagazynowane u Schulza. Dokładny adres, data zmagazynowania, numery skrzyń. Uwaga: skład wolny; zgodnie z przepisami itd.”

Rozgniewany, ale wcale nie dotknięty kapitan oświadczył: – No cóż, wy ofermo, wszystko jest w najlepszym porządku. A może, mazgaju, myślicie, że chciałbym te skrzynie zabrać sprzed nosa płatnikowi Brahmowi? Może tak myślicie?

Bombardier Stamm myślał tak oczywiście. Znał Schulza, orientował się w ogólnej sytuacji, wiedział, czym jest korzystna okazja. Ale aranżując piękną manifestację zaufania w małych ramach, pośpieszył z zapewnieniem: – Ależ nie. Oczywiście, że tak nie sędzę.

– No więc, wy kundlu – powiedział Schulz uśmiechając się z zadowoleniem. I pomyślał: „Nie, mój gołąbeczku, za mały jeszcze z ciebie kaliber, by mi napędzać strachu. Jeszcze się w ogóle taki nie urodził. Schulz dobrze wie, co w trawie piszczy”.

– Jeszcze coś? – zapytał kapitan.

– Volksaturm...

– Nic mnie to nie obchodzi! Co ja mam do czynienia z tym stowarzyszeniem wojaków?

– Ortsgruppenleiter...

– To mnie też nic nie obchodzi. Czy jestem w partii?

„Nie, nie – pomyślał Stamm. – Jeżeli nie chcesz, nie trzeba. Mnie na tym nie zależy, nawet mi to odpowiada. Nie wynalazłem ani wojny, ani komendy garnizonu. Uciekam tylko od pierwszej i chronię się w drugiej.”

Odwrocił się, by się oddalić chwiejnym krokiem marynarza.

– Stamm! – zawołał za nim kapitan. – Jak tam z wami? Nie jesteście jeszcze zmęczeni wojną?

– Byłem już zmęczony, zanim się wojna w ogóle zaczęła – odpowiedział tamten poufale i stanął przy drzwiach z wyczekującą miną.

Schulz zadrżał, głęboko widocznie ugodzony. Ale jak zwykle w takich niemiłych sytuacjach, szybko nad sobą zapanował. Postanowił nie dosłyszeć tych słów bombardiera Stamma, które w normalnych stosunkach należałoby nazwać wręcz destrukcyjnymi. – No, pięknie – powiedział – w takim razie zwolnię was ze służby wojskowej.

– Tych parę dni – oświadczył Stamm – jakoś jeszcze wytrzymam. – I pomyślał: „Popatrz, popatrz! Czy ten staje się powoli człowiekiem, czy też chce się mnie teraz tylko pozbyć? Chyba wiem za wiele i to mu przeszkadza. Ale co ja właściwie wiem?”

– Jesteście żonaci?

– Nie, panie kapitanie.

– A wasi rodzice?

– Są teraz w Rosji. Na Śląsku.

– Ale narzeczoną chyba macie, człowieku!

– Niejedną, panie kapitanie.

– Widzicie więc! I u jednej z nich zakwaterujecie się. Przygotujcie więc wszystkie swoje papiery do zwolnienia. Podpiszę je. A potem – jazda, marsz! Kierunek: rozrywka! Żeby sprężyny materaca trzeszczały. No, wy, kulisie kałamarzowy! Dlaczego patrzycie na mnie jak cielę na malowane wrota?

– Ależ, panie kapitanie...

– Myśleliście pewnie, że jestem uosobieniem wojny, co? Pomyłka, przyjacielu, gruba pomyłka. Przecież to już nie jest wojna. Bo wojnę prowadzą żołnierze, a nie praczki i niemowlęta. A dla sprzętaczek, chorych na nogi i różnego rodzaju oferm komenda garnizonu nie jest potrzebna. Zrozumiano? Zabierajcie się więc już, człowieku, pakujcie walizy. Listy z towarami oczywiście zostawicie.

– Oczywiście – odparł bombardier Stamm. Zrozumiał, co tu wchodzi w grę. „Ten Schulz – powiedział sobie – to cwaniak nad cwaniakami. Taki nie da się nabić w butelkę.”

Tylko oni obydwaj znali owe listy towarów. Były niemal genialnym zabezpieczeniem odwrotu. Gdyby ktoś jeszcze na minutę przed dwunastą wpadł na pomysł zarzucenia Schulzowi, że brał udział w jakichś paskarskich transakcjach, za które groził sąd wojenny, wyciągnie się po prostu z kieszeni urzędową listę. Przejrzaną, przełiczoną, opieczętowaną i podpisaną! A więc: urzędowo. Wtedy będzie się nazywało, że nie paskował, że tylko wspaniałomyślnie oddał swój skład do dyspozycji. Wszystko dla Wielkich Niemiec – nie wyłączając piwnicy.

– Czego się tak na mnie gapicie, śmierdzielu!

– Rozstanie się z panem, panie kapitanie, przychodzi mi rzeczywiście z trudnością.

– Precz! – zawołał Schulz.

Potem znowu ująwszy głowę w dłonie i przymknąwszy świńskie oczka kapitan zaczął rozmyślać, w jaki to sposób mógłby ten stołek komendanta garnizonu, tego „czarnego Piotrusia”, podsunąć pod tyłek komuś innemu.

– Już od lat wykonuję pracę co najmniej trzech oficerów sztabowych – mruknął pod nosem – a ciągle jeszcze nie jestem majorem. Cóż więc dziwnego, że cały ten interes już człowieka nie cieszy.

Oto – powiedział kapitan Wedelmann z szerokim gestem właściwym chłopom, którzy pokazują swój kawałek ziemi – oto miasto, w którym przed wojną byłem żołnierzem. – Piękne – oświadczyła Magda.

Wedelmann skinął głową. Przyglądał się krytycznym wzrokiem rynkowi, na którym się znajdowali. Pełno tu było papierków i wiórów. Obok pustego kanistra piętrzył się stos ulotek zapewniających o ostatecznym zwycięstwie. Samotnie stało kilka zapyłonych pojazdów Wehrmachtu. Jednemu z nich jak gdyby wypruto flaki, został doszczętnie splądrowany. Nikt nie oglądał się na nowych przybyszów, gdyż każdy był pochłonięty sobą.

– Przebywałem tutaj jako podporucznik – powiedział Wedelmann. – Znam tu wszystkie ulice, niektóre lokale i całą okolicę. Z pewnością znajdą się jeszcze w mieście ludzie, którzy mnie znają, a może nawet spotkamy kogoś, kto nam będzie mógł być pomocny.

– Na pewno – powiedziała Magda i spojrzała nań z pełnym zaufaniem. Wierzyła we wszystko, co mówił, była gotowa iść za nim wszędzie. Nie zaniedbywała żadnej

okazji, żeby mu tę swoją wiarę i gotowość okazać.

– Zobaczymy – odparł Wedelmann. – Ale nie powinnaś spodziewać się zbyt wiele. Między moją przeszłością a dniem dzisiejszym leżą lata. Człowiek może spotkać się z rozczarowaniami.

– Proszę cię, nie kłopotz się o mnie. Gdyby nawet trzeba było spać pod gołym niebem, nie będzie to dla mnie rozczarowaniem, skoro będę cię miała obok siebie.

Wedelmann wziął jej rękę w swoją i spojrzał czule na Magdę. – To dziwne – powiedział po chwili, szczerze zdziwiony tym, co odczuwał – wszystko się kończy, a my dopiero rozpoczynamy. Jeszcze dziwniejsze jest to, że coraz więcej myślę o tym, że zaczynamy życie, a coraz mniej o tym, co się tutaj kończy.

– Otacza nas wiele rzeczy smutnych, a mimo to nie jestem nieszczęśliwa.

Wedelmann ścisnął mocno jej rękę. W tym momencie wydawało mu się, że jest z Magdą sam na świecie, że nigdy nie było tych pięciu gorzkich lat w mundurze i tych smutnych lat przedtem, że nigdy nie był zrozpaczony, samotny i pełen lęku. Nawet głuchy huk przejeżdżającej ciężarówki, z której zwisał pijany żołnierz, wyrzucający z siebie bzdurne słowa, ociekający śliną, nie przeszkadzał mu. Powtórzył półgłosem jej słowa: – Mimo to nie jestem nieszczęśliwa.

Potem Wedelmann odsunął się od niej niezwykle delikatnie, jak by była pogrążona we śnie, i automatycznie poprawił na sobie mundur. Potem powiedział: – Zaczekaj tu na mnie. Pójdę do kawiarni. Znam właściciela. Jeżeli kto będzie nam mógł pomóc, to chyba on.

Kawiarnia Ascha – pierwszy lokal w mieście, w soboty i niedziele koncert, dostawy do domu – była zamknięta. Wedelmann naciskał na próżno klamkę. Spojrzał w górę, ale okna były również zamknięte, a story zapuszczone. Odnalazł bez trudu boczne wejście. Zadzwoił. Kilkakrotnie, Po dłuższym czasie zjawiała się jakaś kobieta, uchyliła nieco drzwi, zlustrowała kapitana z nieufną miną.

– Szukam właściciela kawiarni, Ascha – powiedział Wedelmann uprzejmie.

– Po co, chce go pan zabrać?

– Chciałbym z nim pomówić. – W jakiej sprawie?

– Jest w domu, czy go nie ma? – spytał Wedelmann, nieco zniecierpliwiony. – Przychodzę w sprawie prywatnej. Gdzie mogę go znaleźć?

– Nie ma go w ogóle – mruknęła kobieta – dla nikogo! – I zatrasnęła Wedelmannowi drzwi przed nosem.

Wedelmann gapił się ze zdumieniem na ciężkie, zniszczone drzwi. Potem potrząsnął melancholijnie głową i odszedł wolnym krokiem. Znalazłszy się na ulicy, spojrzał raz jeszcze ku oknom, które, jak mu było wiadomo, należały kiedyś do właściciela kawiarni Ascha.

Ktoś otworzył gwałtownie okna. Wyjrzał przez nie stary Asch. Rozglądał się na obie strony ulicy, jak gdyby coś mu zagrażało. Potem kiwnął ręką w stronę Wedelmann. – To pan! – zawołał stłumionym głosem. – Niechże pan wejdzie na górę!

Wedelmann podszedł znowu ku drzwiom wejściowym, chwilę czekał cierpliwie, aż mu wreszcie stary Asch otworzył. – Niechże pan wejdzie! – powiedział Asch nieco nerwowo. – Zawsze ma pan do mnie wolny wstęp.

Podali sobie szybko ręce. Asch wciągnął natychmiast swego gościa do sieni, zarygłował dwukrotnie drzwi. – No tak – powiedział z zadowoleniem. – Żeby nam nikt nie przeszkadzał.

– Co się stało? – zapytał Wedelmann. – Dlaczego się pan zamyka?

– Żeby mnie nie rozparcelowano – odpowiedział stary Asch mrugając oczami. – Mój dom to moja twierdza. Czasy są surowe, kwaterunki zaczynają powoli zagrażać życiu.

Zaprowadził Wedelmanna na górę do tak zwanego salonu i poprosił, żeby usiadł. Stał przed nim pełen oczekiwania i zapytał. – No, jakże tam z ostateczną bitwą? Jest pan strażą przednią?

– Syn pański – powiedział kapitan Wedelmann – znajduje się prawdopodobnie o osiemdziesiąt kilometrów stąd.

– W takim razie wkrótce się tu zjawi – odparł stary Asch radośnie. – Porobiłem już wszystkie przygotowania jak należy.

– Na razie bateria jego została odcięta przez Amerykanów.

– W takim razie zjawienie się jego ulegnie pewnej zwłoce. – Ojciec Asch w dalszym ciągu pełen optymizmu i dumy człowieka, który spłodził takiego syna, zatarł różowe ręce cukiernika. – Jest ostatecznie synem swego ojca.

– Spodziewam się także – powiedział uprzejmie Wedelmann – że życzenia pańskie się spełnią. Znając zaś pańskiego syna wierzą, że się przedrze.

Stary Asch skinął z otuchą głową. – No, a pan, panie kapitanie? Co pan ma zamiar zrobić dla ostatecznego zwycięstwa?

– Nie jestem już kapitanem – oświadczył Wedelmann, jak by obwieszczał o wydarzeniu, które wstrząśnie światem. – Mam w kieszeni papiery zwolnienia z wojska podpisane przez generała Luschkego.

– Patrzcie no państwo! – zawołał Asch, szczerze zaskoczony. – Właśnie pan! I tak bez ceregieli chce pan spłatać takiego figla naszemu führerowi?

– Nie istnieje już dla mnie führer – odparł Wedelmann z goryczą. – Mimo to chciałem dalej walczyć. Ale generał nie znalazł dla mnie zadania.

Rozparłszy się wygodnie na krześle stary Asch skierował badawcze spojrzenie swych mądrych kupieckich oczu na przybysza. – Wydaje się – powiedział z uznaniem – że ten generał Luschke wie doskonale, co w trawie piszczy.

– Przyszło mi to niełatwo – zapewnił Wedelmann. – Ale stało się. Teraz chcę znaleźć dach nad głową, włożyć cywilne ubranie i ożenić się.

– Miejmy nadzieję, że narzeczoną już pan ma.

– Narzeczoną mam, ale nie mam ani ubrania cywilnego, ani mieszkania.

– Może pan to dostać ode mnie – oświadczył wspaniałomyślnie stary Asch.

- Chce mi pan dostarczyć cywilnego ubrania?
- Mieszkania również, oczywiście jeżeli zechce pan zamieszkać ze swoją narzeczoną u mnie. Mam jeszcze kilka wolnych pokoi, na przykład pokoje syna i córki. A kilku prawdziwych cywilów ani mnie, ani memu otoczeniu nie będzie zawadą. Cywilne ubranie jest jednak warunkiem zasadniczym.
- Dziękuję – odparł Wedelmann uszczęśliwiony.
- Mam nadzieję – powiedział stary Asch z namysłem, niczym doświadczony rybak, który zarzuca sieci na daleką wodę – że utrzyma pan kontakt z tym generałem Luschke, oczywiście kontakt zupełnie prywatny.
- Prywatny, zawsze – odrzekł Wedelmann. – Głęboko poważam tego człowieka.
- To dobrze – oświadczył stary Asch snując dalej swe śmiałe dalekosiężne myśli.
- Może kiedyś będziemy tego potrzebowali, gdyż, o ile się nie mylę, ten generał miał coś wspólnego z dwudziestym lipca.
- Siedział w areszcie śledczym, ale okazał się niewinny.
- Wedle moich informacji nie można mu było niczego udowodnić – skorygował łagodnie Asch. – Ale zostawmy to na razie. Kiedy się pan chce sprowadzić?
- Jeżeli pan pozwoli, zaraz. Narzeczona moja czeka na dole na rynku. Chcemy pobrać się możliwie najprędzej, najlepiej jeszcze dzisiaj. Oczywiście przyjmując, że nie natrafimy na trudności.
- Któż miałby wam robić trudności?
- Na przykład partia.
- Ach, te draby są teraz szczęśliwe, kiedy mogą wymigać się od trudności. Robią wszystko, czego się od nich żąda, o ile to nie przynosi im bezpośredniej szkody. Poza tym Ortsgruppenleiter ma wobec mnie zobowiązania. Kiedy na niego popatrzę – staje na baczność.
- Ciągłe jest pan jeszcze zaprzyjaźniony z tymi ludźmi z partii? – zapytał Wedelmann, lekko skonsternowany.
- Pracują dla mnie – powiedział stary Asch bez żenady. Potem, uśmiechając się z zadowoleniem, podszedł do telefonu i połączył się z Ortsgruppenleiterem. – Wstąp na chwilę.
- Wedelmann nie ukrywał swego zdumienia. Wypił bez słowa kieliszek wódki, którym go poczęstował stary Asch. – Mocne – powiedział otrząsając się.
- Ortsgruppenleiter zaraz tu przyleci. Ma niedaleko. Z ratusza do mnie jest najwyżej pięć minut.
- Po czterech minutach rozległ się dzwonek i w drzwiach pojawił się Ortsgruppenleiter. Był to osobnik o ospałej twarzy koloru sera i dobrotliwych oczach jamnika. Wyglądał na człowieka, który w ostatnich dniach prawie że nie spał. Podszedł na krzywych nogach do Ascha, podał mu ospale rękę i nieufnie zaczął przyglądać się kapitanowi.
- To mój przyjaciel – powiedział stary Asch. – Nazywa się Wedelmann, jest stu-

dentem, starszy rocznik. Musi się pozbyć munduru. Mieszka u mnie, chce się ożenić możliwie jak najprędzej. Możesz to załatwić?

– Ależ tak, dlaczego nie? Jeżeli ty o to prosisz...

– Czy mógł się już ożenić jakieś trzy, cztery tygodnie temu, a mieszkać u mnie już od dwóch miesięcy?

Ortsgruppenleitera nic już nie potrafiło zadziwić. Zmarszczył swoją smutną, psią twarz, miało się wrażenie, że nad czymś rozmyśla. – Że mieszka u ciebie od dwóch miesięcy, to się da zrobić. Ale niestety tego, że się ożenił trzy tygodnie temu, zrobić się nie da. Formularze meldunkowe można jakoś pozamieniać, ale śluby są w porządku kolejnym wciągane do książki i samowolna zmiana daty jest niemożliwa. Ostatni ślub odbył się przedwczoraj.

– Proszę sobie z mego powodu nie robić kłopotu – powiedział Wedelmann. – Przywiązuję wagę do papierów nie budzących najmniejszej wątpliwości.

Ortsgruppenleiter opadł na krzesło ze zmęczonym wyrazem twarzy. Sięgnął po flaszkę z wódką i otrząsając się wypił kieliszek. Potem powiedział do Ascha: – Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy wypuścili starego Freitagę?

– To nie wchodzi w rachubę – powiedział zdecydowanym tonem stary Asch.

– Niech zostanie tam, gdzie jest. To dla niego najodpowiedniejsze miejsce.

– Gdzie on jest? – zapytał Wedelmann z ciekawością.

– W ciupie – odparł stary Asch takim tonem, jak by mówił o cenach w swojej kawiarni. – Siedzi tam i czeka na swoją sprawę, oskarżony o wyrażanie się w pogardliwy sposób o führerze, podkopywanie woli zwycięstwa i zdradę główną.

– W takim razie musimy go stamtąd wyciągnąć – powiedział Wedelmann z przekonaniem.

– Dlaczegoż to? – zapytał stary Asch szczerze zdziwiony. – Jestem rad, że go tam zawczasu wpakowałem.

– Pan?

– A któż by inny?

– Przecież to... to...

– Reasekuracja! Najnowsza wielkoniemiecka zabawa towarzyska. Słyszał już pan kiedyś o tym?

– Nie – odrzekł Wedelmann zaskoczony.

– Chyba nie spadł pan z księżycy, człowieku? Jak pan sobie właściwie wyobraża to, co się tu dzieje? Czy panu wyleżą na wierzch.

– Tak – zapewnił Ortsgruppenleiter z przekonaniem – żyjemy w okropnych czasach. Żadne oko nie może ostać się dziś suche.

– I żaden worek pusty, oczywiście, o ile człowiek nie upadł na głowę.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział Wedelmann bezradnie.

– Nie jest to wcale potrzebne – stary Asch uśmiechnął się chytrze. – Najważniejsza rzecz w tym, że nie wchodzi nam pan w paradę. Pan się żeni, a my świętujemy.

Każdemu to, co się należy!

Opasły major Hinrichsen ciągle jeszcze siedział w przydrożnym rowie przy skrzyżowaniu dróg i gapił się przed siebie. Przycisnął lewą rękę do obryzganego krwią munduru, mniej więcej w tym miejscu, w którym zawieszony był jego Złoty Krzyż Niemiecki. Sapał przy tym jak lokomotywa.

– Chodźże pan wreszcie – nalegał podporucznik Asch. – Nie może pan tu siedzieć. Amerykanie ciągną na nas.

– Gównu mnie to obchodzi – powiedział Hinrichsen głuchym głosem.

– Musimy się cofnąć! – zawołał Asch. – Nie mamy już prawie amunicji. Nie utrzymamy się tutaj. Amerykanie chcą mieć skrzyżowanie z powrotem i będą je mieli.

– Przekłeta świnia! – stęknął Hinrichsen. – Każe krwawić swoim żołnierzom, a sam daje drapaka.

Asch wylazł szybko z rowu, podniósł się ostrożnie i zawołał do żołnierzy: – Wszyscy do tyłu, na skraj lasu! Broń zostawić! Pozabierać rannych!

Żołnierze podnieśli się od razu, jak gdyby właśnie na ten rozkaz od szeregu minut czekali. Po wytaczali się ze swych jam i podniósłszy się nieco zaczęli odstępować skokami. Niektórzy wlekli ze sobą rannych, którzy jęczeli, wyli i płakali. Na rozsiarane na polu trupy nikt nie zwracał uwagi.

Amerykanie zaczęli znowu strzelać. Zasypywali skrzyżowanie huraganowymi seriami ognia. Hinrichsen i Asch mieli wrażenie, że wyciągają się po nich ostre, nerwowe, dygocące palce. W pobliżu wybuchł granat i obrzucił kupą błota twarz majora.

– Nie rozumiem tego – powiedział Hinrichsen.

– Jazda! – ryknął na niego Asch. – Wstawać, naprzód!

Hinrichsen siedział z bezradną miną. Nawet ryk komendy wydany przez Ascha pozostał bez skutku. Szara jego twarz stawała się stopniowo zielonkawa. Asch szarpnął go za rękaw. W tym momencie Hinrichsenowi zrobiło się niedobrze. Nagle zbuntował się jego żołądek. I major się wyrzygał. Potem, wstrząśnięty klęską i hańbą, utkwiał nieruchome spojrzenie w ziemi. Śmierdział okropnie, ale nie czuł tego.

– Jazda, człowieku! – ryczał na niego Asch. – Niechże pan nie będzie tchórzem!

Major Hinrichsen podniósł swą szarozieloną, zamorusaną, umęczoną twarz i spojrzał, na Ascha. W oczach jego malował się smutek dogorywających, bezbronnych zwierząt. Aschowi chciało się wyć ze współczucia, ryknął jednak: – Jeżeli pan natychmiast ze mną nie ruszy, będzie pan ostatnim tchórzem! Jest pan za wielkim tchórzem, żeby spojrzeć w oczy swoim żołnierzom. Woli pan zdechnąć niż żyć dalej z całą prawdą. Jeżeli tak jest istotnie, Hinrichsen, to tchórzliwa świnia z pana.

Gruby major opuścił głowę, jak by go ktoś mocno walnął w kark. Potem wydało się, że wpompowuje w swe olbrzymie cielsko powietrze. Podniósł się bardzo wolno i stanął nieruchomo, wielki i barczysty. Wyglądał jak blok skalny.

Potem ruszył, potknął się o skraj rowu i poszedł z trudem przez pole opuściwszy głowę. Pistolet maszynowy, który trzymał w ręku na rzemieniu, zanurzał się raz po raz w błoto. „Dlaczego – myślał – nikt nie strzela? Dlaczego nie strzelają? Dlaczego do mnie nie strzelają?”

Nagle z oddali, daleko za jego szerokimi plecami, odezwał się warkot karabinu maszynowego. Na prawo i na lewo od Hinrichsena wystrzeliły drobne fontanny błota. To okrutna śmierć. „Nareszcie – pomyślał major – nareszcie!”

Major odniósł wrażenie, że ktoś klepie go po prawym ramieniu. Krótko, niemal czule i przyjaźnie. A potem wydało mu się, że jakiś bezgłośny, nagły, ostro pełzający płomień chce go pochwycić, że go chwycił, wżarł się łapczywie w jego plecy, zamienił się tam w wilgoć, w gęstą, lepką, gotującą się wilgoć. Krew spływała na ziemię z jego ramienia.

„A więc stało się – powiedział sobie, jak gdyby pijany ze szczęścia, i posuwał się dalej. Spróbował po raz ostatni się podnieść, wpompować w swe plecy siłę, trzymać je prosto. Ale nie mógł już odzyskać równowagi. Czerwona, drżąca, coraz ciemniejsza zasłona pokrywała jego oczy. Potem podniosła się ziemia, spadła na niego i okryła go sobą. Zatonął w morzu ciepła i zapomnienia.

Kiedy znowu przyszedł do siebie, leżał na skraju lasu. Zobaczył nad sobą gałęzie zieleniejących brzoź, których wierzchołki strzelały w niebieskie wiosenne niebo. Wydawało mu się, że drży ono pod jego spojrzeniem. Potem ujrzał szarobrazową, zbryzganą błotem i mokrą od potu twarz podporucznika Ascha. W oczach jego lśniła gniewna radość.

– Waży pan stanowczo za wiele – powiedział podporucznik Asch. – Zdawało mi się, że jestem robotnikiem transportującym fortepian.

Hinrichsen usiłował podnieść się. Czuł kłujące bóle. Skóra otaczająca całą prawą część jego ciała wydawała mu się twarda jak szkło i drętwa. Poruszył z wysiłkiem głową i zobaczył, że ma ramię owinięte białymi niegdyś opatrunkami, przez które teraz sączyła się wodnista krew.

– Jeszcze raz miał pan pecha, majorze – zauważył podporucznik Asch. – To nie wystarczy dla otrzymania złotej odznaki za rany.

– A żołnierze? – zapytał Hinrichsen.

– Wszyscy z wyjątkiem pana powrócili cało – odparł podporucznik Asch i delikatnym ruchem zmusił majora do zajęcia miejsca na ziemi. – Tylko podróż w tamtą stronę kosztowała nas siedemnastu zabitych i dwudziestu pięciu rannych.

– Ta świnią! – zawołał Hinrichsen i z jękiem chwycił się za opatrunek.

– Zapłaci za to. Nareszcie przyłapaliśmy jednego z tych handlarzy żywym towarem na gorącym uczynku. Większość zasłaniała się dotychczas anonimowymi rozkazami, ale ten wlaźł do interesu na naszych oczach. Wielu już tak robiło, tylko trochę wytworniej i nie tak bezczelnie. Ale temu wyjątkowo się spieszyło. Oto dlaczego doszło do tej nie przemyślanej rzezi.

Hinrichsen zagryzł wargi. Znowu spróbował się podnieść. – Musimy stąd odejść – powiedział. – Amerykanie będą nas atakować.

– Zawracanie głowy – odparł Asch brutalnie. – Oni się wcale tak do wojny nie palą jak pan. Są zwycięzcami, chociaż nie musieli być bohaterami. Można by im prawie tego pozazdrościć. Mają znowu w swoich rękach skrzyżowanie i to im wystarczy. Poza tym zataczają wokół terenów leśnych coraz większe łuki. Robiło to już wielu z tych, którzy wkraczali, do Niemiec. Tak już było za Varusa w Teutoburskim Lesie.

Hinrichsen usiłował się uśmiechnąć. Nie udało mu się to, ale Asch wyczuł jego wysiłki i spojrzał na niego z uśmiechem. Serdecznie, ale bardzo ostrożnie poklepał majora po lewym ramieniu, jak gdyby Hinrichsen był jego przyjacielem i jak by obu przed chwilą udał się dobry kawał.

– Wykończymy tę przekłętą świnię w mundurze pułkownika – powiedział Asch z przekonaniem. – Zechce mi pan pomóc? Hinrichsen spróbował podnieść obandażowane ramię. – Z tym? – zapytał sceptycznie, wskazując na opatrunek. – Ten człowiek odjechał, czy wie pan dokąd?

– Możliwe – Asch spojrzał w kierunku leśniczówki – że zostawił swój nowy adres.

– Nonsens! – zawołał Hinrichsen. – Człowiek, który idzie po trupach...

– ...nie musi być koniecznie człowiekiem mądrym. Widzi pan, on wystawił do wiatru nie tylko swoich żołnierzy, ale i swoją dziwkę. A te kociaki z oficerskich łóżek mają czasem diablo dobre uszy.

– Ale nawet gdyby pan miał wydobyć adres, w co wątpię, jak możemy się stąd wydostać? Siedzimy w pułapce.

– Wszystko po kolei – odparł podporucznik i podniósł się. – Może pan jeszcze myśleć?

– Rozum mam w głowie, a nie w ramieniu.

– No dobrze. Niech się pan w takim razie zajmie żołnierzami, A ja tymczasem zasięgnę języka u tej małej kurewki.

Podporucznik dotknął palcem daszka swej czapki, skinął przyjaźnie głową i poszedł przez las w stronę leśniczówki.

Barbara ciągle jeszcze przebywała na werandzie, lekko obnażona, z rozchylonymi wargami i przymkniętymi oczyma. Leżała z podziwu godnym spokojem, jak gdyby podczas wakacji wygrzewała się na słońcu na tarasie jakiegoś domku wiejskiego.

– Ale jesteś wytrwała – powiedział Asch z uśmiechem. Barbara podniosła się gwałtownie i zawołała: – Czego pan tu chce! – Szybkimi ruchami rąk zaczęła zapinać górne guziki swej bluzki. Na jej twarzy malowało się oburzenie jak u małych dzieci, którym się odbiera zabawkę.

– Tylko spokojnie, dziewczyno! Złość piękności szkodzi!

– Jeżeli pan natychmiast nie zniknie mi z oczu – oświadczyła Barbara usiłując bez powodzenia zająć godną postawę – zawołam pana pułkownika.

– Spróbuj to zrobić – odparł Asch i rozsiadł się obok niej zakładając nogę na nogę. Potem zbliżył do uszu zwinięte w trąbkę dłonie i oświadczył: – Jeszcze nic nie słyszę.

Barbara lustrowała go spod na wpół przymkniętych powiek. – Radzę panu po dobru ulotnić się stąd natychmiast. A jeśli pan w dalszym ciągu będzie miał chęć mówić do mnie...

– Przecież to może być czysta sympatia!

– Wypraszam to sobie! – zawołała Barbara, zdecydowana przerwać tę rozmowę. Rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu czegoś – Gdzie jest pan pułkownik?

– Odjechał – powiedział uprzejmie Asch.

Minęły dwie sekundy, zanim zrozumiała słowa Ascha. Nie miała zbyt lotnego umysłu, ale kompensowała to wieloma innymi zaletami, które bezspornie posiadała. Spoglądała teraz przed siebie jak owca, która zobaczyła wilka i ciągle jeszcze nie wierzy własnym oczom. – To przecież niemożliwe – powiedziała.

– A jednak... takie rzeczy się zdarzają.

– Przecież nie mógł mi tego zrobić! A ja... co się ze mną stanie?

– Pojedziesz oczywiście za nim, dziecino! I to w moim towarzystwie.

– W pańskim?

– Lepszego byś na pewno, dziewczyno, nie znalazła. Męska opieka! Czegoż chcesz więcej?

Barbara przyglądała się Aschowi nieufnie. Mimo młodego wieku poznała już wielu mężczyzn, z których prawie wszyscy nosili mundur. Ten również nosił mundur, ale był zupełnie inny. Trudno było od razu określić, do jakiego gatunku mężczyzn należał. Niepokoiło ją to. – Czy pan pułkownik zlecił to panu?

– Jest to – oświadczył Asch wesoło – żeby tak powiedzieć, jego testament.

Poprosiłem panów obu jeszcze raz – powiedział kapitan Ted Boernes z właściwą mu tkliwie pielęgnowaną uprzejmością – żeby omówić parę szczegółów.

– Chce pan nas znowu piłować, kapitanie? – powiedział James I uśmiechając się do Jamesa II, który zapamiętałe obcinał sobie paznokcie. – Ale jestem w pewnych określonych punktach twardy jak dąb.

– Mister James – powiedział Ted Boernes pochylając się nieco naprzód; w ten sposób chciał podkreślić chęć porozumienia.

– Nie będziemy już mieli czasu na eksperymenty. To, co robimy, musi przekonywać i mocno siedzieć w siodle.

– U mnie będzie siedzieć, może pan być o tym przekonany.

– James, gdybyśmy mieli zawieść, to po pięciu albo dziesięciu latach mogłoby to przynieść katastrofalne skutki. Na razie możemy sobie pozwolić na wszystko, literalnie na wszystko! Ale to nasze ziarno kiedyś zakiełkuje, a zbiory są zawsze sprawą najważniejszą.

– Nie przebywam tutaj w charakterze rolnika – odparł James I wybitnie nieuprzej-

mie. – A może ty, „pastorze”?

James II manipulował dalej przy swoich paznokciach. – Czy to można dokładnie wiedzieć, „partnerze”?

– Niski, wąty kapitan stanął na swych cienkich nóżkach przy oknie i zaczął patrzeć przez nie. Widział strzęp Niemiec, kawałek owego kraju, którego językiem ciągle jeszcze władał z całkowitą swobodą i który zaprzętał jego myśli. Najgorsze było to, że marzenia swe snuł też w języku niemieckim.

– Kapitanie – powiedział James I za jego plecami – byłoby dobrze, gdybyśmy się od samego początku rozumieli należycie.

– Ja już pana dobrze rozumiem – zapewnił Ted Boernes nie odwracając się.

– Cieszyłoby mnie to – powiedział James I. – Nieporozumienia w naszej sytuacji mogłyby doprowadzić co najmniej do nieprzyjemności. Widzi pan, kapitanie, pan tu jest szefem, ale my nie jesteśmy pańskimi chłopami pańszczyźnianymi, lecz po prostu pracujemy razem z panem. W praktyce wygląda to tak: pan zbiera materiał, którego my i inne grupy dostarczamy.

– Znam dosyć dobrze swoje zadania, James.

– Wierzę panu na słowo, kapitanie. Fakt, że jest pan inteligentny, nie podlega dyskusji. Nie wolno jednak panu zapominać, że i ja znam swoje zadania również dosyć dokładnie. Co, „pastorze”?

– Możliwe, „partnerze”.

– Jeżeli, kapitanie, jutro albo pojutrze wylądujemy w tym samym mieście, to będzie to nasze miasto, moje i „pastora”. Tylko my dwaj będziemy musieli jakoś popychać ten interes. Pan, kapitanie, jest kimś w rodzaju admirała na okręcie flagowym. Losy szalupy to chyba nasza sprawa.

– Dobrze już, James, dobrze – powiedział Ted Boernes łagodząco i zwrócił się znów do swoich dwóch bezpośrednich współpracowników: – Wiem sam najlepiej, że takiej działalności jak nasza nie można ująć aż do najdrobniejszych szczegółów w wytyczne, zarządzenia i rozkazy. Wszystko zależy od indywidualności. Ostatecznie każdy musi dawać sobie radę ze swoim zleceniem za pomocą własnych metod.

– Oby pańskie słowa dotarły do uszu Eisenhowera – powiedział James I z zadowoleniem.

Kapitan usiadł teraz obok nich. Wyglądało na to, jak gdyby ci trzej mężczyźni w luźnych mundurach amerykańskich, nieco znudzeni, czekali na szklanek whisky i zabijali czas rozmową o głupstwach.

– Czy wolno zapytać – powiedział Boernes uprzejmie – jak będzie wyglądał pański pierwszy krok?

– Zupełnie prosto – odparł uprzejmie James I. – Opróżnię pewną ilość cel.

– A administracja, James? Na przykład burmistrz?

– Niechaj sobie administrują dalej. Kto jest burmistrzem, ten nim pozostanie. Dopóki nie wyszukam odpowiednich następców.

– A jeżeli, co się często zdarza, burmistrz jest równocześnie ortsruppenleiterem? – zapytał Ted Boernes nie dając poznać po sobie, że go mocno zaskoczyły wypowiedziane przed chwilą słowa Jamesa.

– To przecież tylko upraszcza sprawę, kapitanie. Jeżeli dwie funkcje spoczywają w jednym ręku, oszczędzam jedną cełę. Ale to przecież tylko drobne płatki. Właściwa trudność polega na tym, jak wpakować za drut kolczasty Wehrmacht.

Kapitan, wyraźnie rad, że nie będzie już zmuszony dotykać tej drażliwej kwestii, jaką jest „zakres kompetencji”, i że może przejść do innych punktów, uśmiechnął się z zadowoleniem. Jeżeli o niego chodzi, to wynalazł niemal gęstą sieć, przez której oczka nie prześlizgnie się tak łatwo żaden hitlerowiec ani żaden żołnierz hitlerowski. Wydaje się, że naczelny dowódca, inspirowany przez wszechpotężnego pułkownika Thompsona, jest skłonny zaakceptować jego plany; prawdopodobnie będą one ważne na wszystkich terenach okupowanych przez armię USA.

– Oficerów niemieckich – powiedział James II w zamyśleniu – poznaję z odległości trzydziestu metrów. Nawet wtedy, kiedy mają na sobie aresztanckie ubrania.

– Należałoby – oświadczył zdecydowanie James I – przede wszystkim pozamykać tych wszystkich, którzy nie są całkowicie bez zarzutu, a potem dopiero przeczesać i przesiać tę całą bandę.

– Przecież nie może pan zamknąć całej ludności, James! – zawołał kapitan lekko przerażony.

– Dlaczegoż by nie! – odpowiedział James I kładąc swe twarde, żyłaste ręce na poręczy krzesła. – Jeżeli inaczej nie można, trzeba iść na całego! Czyż wszystkich bez wyjątku Żydów nie wpakowano do obozów koncentracyjnych? No, więc? W każdym razie nikogo nie zagazujemy. My – nie!

Kapitanem wstrząsnął lekki dreszcz. Powiedział sobie, że może nie dorósł całkowicie i w każdej sytuacji do tego stosunkowo surowego klimatu. Przeżył kilka lat w Kalifornii, ta niemiecka wiosna była surowsza od zimy w San Francisco. Nieco zakłopotany potarł ręce. Potem chrząknął i po chwili powiedział: – Wydaje mi się, że wynalazłem dosyć przydatną metodę. Jest prosta, niemal prymitywna, jak wszystko, co szybko działa. Rzecz polega na tym, że każdy Niemiec musi mieć przepustkę. Jest to zupełnie zwykła, niepozorna kartka, wystawiona przez odnośną kancelarię gminną. Treść następująca: X należy do gminy Y. Pod tym podpis burmistrza. Nic ponadto. I na tym polega cała sztuka.

Spodobało się, to od razu Jamesowi II. – Nieźle – powiedział. – W ten sposób wszyscy zostaną zmuszeni do zarejestrowania się. Tubylcy, ewakuowani, uchodźcy. A także ci, którzy są rozproszeni po całym kraju i objijają się, oraz tacy, którzy chcieliby się ukryć.

James I gwałtownym ruchem ręki wyraził dezaprobatę. – Nie da to żadnego rezultatu, jedni ukryją się, inni – zarejestrują się dwukrotnie i trzykrotnie: Będą i tacy, którzy zaczną te małe, niepozorne karteczki fałszować.

– Zgoda – odrzekł kapitan nieco rozgniewany. – Wszystko to się może zdarzyć. Ale ta akcja jest ostatecznie tylko początkiem. W dzień później zażądamy nowych wykazów lokatorów i w ten sposób znowu pewną ilość przygwoździmy. Potem zabierzemy się do wprowadzenia kart żywnościowych, a następnie każemy meldować się na nowo w policji. W ten sposób oczka zaciągać się będą coraz ciaśniej i ciaśniej.

– Dałoby się to jednak zrobić również wprost, odwrotnie – upierał się James I. – A więc przede wszystkim najwęższe oczka. Żeby się nie mogła przedostać przez nie ani jedna hitlerowska pluskwa. Na wspaniałomyślność zawsze jeszcze sobie będziemy mogli pozwolić.

– Omówiona przeze mnie przed chwilą metoda, James, jest wiążąca również i dla pana – powiedział Boernes dosyć ostro.

– W porządku, kapitanie – odparł James I nieuprzejmie. – Rozkaz jest rozkazem. Ale chyba będą wyjątki.

– Na przykład?

– Werwolf, kapitanie. Słyszał pan już kiedyś o tym?

– James – powiedział Boernes starając się zachować spokój, co mu przychodziło z trudem. – Niemcy są zmęczone, ich żołnierze również. Poza tym naród ten nie nadaje się nawet w najmniejszym stopniu do bawienia się w partyzantów, Indian czy coś w tym rodzaju. Zwłaszcza w tej sytuacji.

– Wiem, wiem, to raczej naród poetów i katów.

– Moim zdaniem – rzekł Boernes zmartwiony – z pewnością nie napotkamy żadnego Werwolu.

– Zdanie pańskie – powiedział chłodno James I – nie jest niestety w tym wypadku miarodajne. Istnieją mianowicie niemieckie rozkazy wojenne, które pozwoliły sobie na ten luksus, by w żadnym, nawet najmniejszym stopniu nie podzielać pańskich poglądów na niemiecko-germańskie właściwości narodowe. Istnieje również rozkaz Hitlera w sprawie Werwolu. Jeżeli chodzi o nas dwóch, to widzę już, że poglądy nasze różnią się w niektórych punktach. Proszę więc liczyć się z tym, że w wątpliwych wypadkach będę się zawsze trzymał zarządzeń naszych wspólnych przełożonych.

– James – powiedział Boernes skonsternowany i zdjął okulary. Patrzył na nie bezradnym wzrokiem, a jego delikatne, nerwowe ręce zdawały się szukać jakiegoś oparcia.

– Jeszcze coś, kapitanie?

– Nie – odrzekł tamten i spojrzał z niechęcią na dywan, jak gdyby mu się nie podobał jego wzór.

– W takim razie mogę odejść – powiedział James I i wyszedł. Ted Boernes potrząsnął lekko głową. Jego wąska twarz była bledsza niż zazwyczaj. Na wysokim czole pojawiły się drobne krople potu.

– Czy we wszystkich punktach zgadza się pan z Jamesem? – zapytał kapitan James II, który podczas całej rozmowy nie ruszył się z miejsca pochłonięty czyszcze-

niem paznokci. – Czy zgadza się pan ze wszystkim, co mówił pański partner?

– Nie – odparł James II.

– No, dzięki Bogu! – zawołał Ted Boernes z wyraźną ulgą.

– I ja mam na te sprawy swój własny pogląd – oświadczył James II łagodnie. – Nie pokrywa on się z poglądem Jamesa, ale z pańskim również nie.

Bombardier Kowalski przedzierał się na swym motocyklu poprzez gęste kolumny.

Resztki wielkoniemieckiego Wehrmachtu tłamsiły wymęczone szosy, na których obok wojska roilo się od uchodźców oraz pojazdów cywilnych. Powietrze było pełne huku silników, wrzasków i zapachu benzyny. Nad okolicą unosiły się cienkie smugi kurzu.

Kowalski przesuwiał się spokojnie, w miarowym tempie, wzdłuż tego ruchomego łańcucha nędzy i przerażenia. Starał się nie słyszeć nieśmiałego wołania o pomoc tak samo jak i głośnych przekleństw. Czytał w twarzach, które się na niego gapiły albo też spoglądały gdzieś w bok, jak w jakiejś gazecie. Znał tu każdy wiersz, każdą linijkę. Przewidział to wszystko, więc nic go nie dziwiło.

Bombardier Kowalski, owinięty szerokim płaszczem, straszliwie zapyłony, jechał przez czas jakiś za wyładowanym po brzegi samochodem ciężarowym rozpierającym się na szosie w bezwstydnym sposób. Samochód przedzierał się naprzód jak pijany, trzymał się względnie dokładnie środka jezdni, zachowując się tak, jak gdyby należała wyłącznie do niego. Nie reagował nawet na wściekłe dźwięki klaksonów.

Kowalski dał gazu, przewinał się z trudem między rzędem drzew a kołyszającym się samochodem ciężarowym, i zrównawszy się z kierowcą, nie zwalniając tempa, ryknął: – Nie możesz jechać po prawej stronie, ty dupo wołowa!?

W kabinie kierowcy samochodu, który wyglądał jak wagon kolejowy, opuszczono gwałtownie szybę. W otworze pojawiła się opasła, spocona twarz. Zdawało się, że składa się ona jedynie z olbrzymiej, szeroko rozdziawionej gęby. Właściciel jej wrzasnął: – Sam jesteś dupa!

Nagle olbrzymia paszcza zamknęła się, para złośliwych oczek zabłysła niemal serdecznie i wyciągnęła się para rąk. Do uszu bombardiera doszedł względnie przyjemny okrzyk: – Przecież to Kowalski!

– Soeft! – krzyknął zdumiony Kowalski i omal nie stracił równowagi. Ale w odległości kilku centymetrów od rozłożystego drzewa udało mu się zapanować nad motocyklem.

Tymczasem Soeft, niezrównany władca zaopatrzeniowy z dawnych czasów, dał znak swemu kierowcy. Ten zjechał swym, olbrzymim samochodem na prawą stronę szosy i zatrzymał się tam, ciągle jeszcze blokując cały ruch. Nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że za jego monstrualnym wozem skupiła się masa pojazdów, Soeft wysiadł i podszedł do Kowalskiego.

– Ty stary łobuzie! – zawołał Kowalski. – Co ty tu robisz?

– Ty stary oszuście! – zawołał Soeft. – A co ty tu robisz? Pokleпали się po ramio-

nach uśmiechając się do siebie. Jeden miał minę beztroską, drugi uśmiechał się nieufnie. Przyglądali się sobie badawczo próbując ustalić, dlaczego właściwie zachowują się wobec siebie tak po koleżeńsku.

– Tyś się również usamodzielniał? – zapytał kapral Soeft.

– I to jak! – odparł Kowalski. – Dla mnie i dla mego pułkownika cały batalion torował drogę. Była to nie lada przeprawa. Chciałem jeszcze podziękować pułkownikowi, ale wziął takie tempo, że nawet mnie zabrakło oddechu.

– A teraz, Kowalski?

– Kierunek: ojczyzna!

– Tak zupełnie bez bagażu?

– Ale za to zdrow i cały. A co się tyczy bagażu, załatwię to jakoś. Ale słuchaj no, Soeft,” jak by to było, gdybyś mi w tym trochę pomógł?

– Czy byłem kiedyś potworem?

– Ale wyznawałeś zasadę: nic za darmo, nawet śmierć.

– Zaprzeczałoby to też moim zasadom handlowym – odpowiedział Soeft z godnością. – Ale taki jak ty przydałby mi się w tej chwili. Chodź, włącz! Twój motocykl wpakujemy do wozu z tyłu.

– Zrobione – oświadczył Kowalski. – Jeżeli chodzi o ciebie, wie się przynajmniej dokładnie, z kim się ma do czynienia.

Soeft, któremu to pochlebiło, uśmiechnął się. Był całkowicie świadom tego, co jest wart. Wierzył, że ten Kowalski dorównywał mu. To jeden z tych, którzy nie brali wojny zbyt poważnie i tragicznie, których hasłem było: zbierać śmietaną i chlać wodę! I pamiętać o łóżku z butelką gorącej wody.

– Wciąż jeszcze kapral? – zapytał Kowalski.

– Gdybym chciał – odparł Soeft władczo – mógłbym zostać majorem. Ale nie jestem idiotą. – Wyciągnął z kieszeni spodni klucz, obszedł z Kowalskim swój olbrzymi samochód, uderzył kilkakrotnie w umówiony sposób o karoserię uśmiechając się przy tym całą gębą. Potem włożył klucz do zamka i otworzył drzwiczki.

– Wpakuj tam tego swojego grata! – zawołał do bombardiera. Potem krzyknął w kierunku zaciemnionego wnętrza wozu: – Pomóż no mu przy załadowaniu!

W tylnej części wozu ukazał się jakiś człowiek w kombinezonie kierowcy, podszedł bliżej z niechętną miną, zmrużył oczy oslepiony promieniami słońca, wyciągnął ręce, chwycił motocykl Kowalskiego i bez słowa wciągnął go do olbrzymiego brzucha samochodu. Soeft zamknął drzwiczki, dał kluczem znak zdumionemu bombardierowi i rozsiadł się razem z nim w obszernej szoferce.

– Avanti! – zawołał do kierowcy. Ten skinął głową, zgrabnym ruchem wrzucił bieg, dał gazu i ruszył. Wykrzywił się przy tym jak mała i wydawał z siebie dźwięki, które od biedy można było przyjąć za wesoły śmiech.

– Jestem zdumiony – powiedział Kowalski.

– Oczekiwałem tego – odparł Soeft i poskrobał się w podbródek.

– Jestem zdumiony, że twój wóz jest stosunkowo pusty. Nie jestem do tego przyzwyczajony. To przecież niemożliwe, żebyś stracił swój rozmach. Prędzej świat by się zawalił.

– Trzeba – powiedział Soeft i wyciągnął z bocznej kieszeni wypełnioną po brzegi papierośnicę. – Trzeba zawsze iść z prądem czasu. Spróbuj no – prawdziwe kubańskie. Z zapasów marszałka Rzeszy.

– Przez ten czas zebrałeś z pewnością tyle zapasów, że parę skrzyń więcej albo mniej to dla ciebie drobiazg. Inaczej trudno wytłumaczyć tę zastraszającą pustkę w twoim samochodzie.

– Skrzynie – rzekł Soeft lekceważącym tonem – to było kiedyś! Przecież to praca kulisa. No tak, wtedy, hurtowo, jakoś się to opłacało, ale nie dzisiaj! Cóżbym dzisiaj począł ze składem skrzyń? Pierwszy lepszy bubek może ci zarekwirować sprzed nosa, jeżeli ma odrobinę zręczności, potrzebnych do tego ludzi i pistolet za pasem. Dla tych olbrzymich ilości materiałów leżących teraz na każdym skrzyżowaniu potrzebne są olbrzymie kolumny transportowe i własne silosy, żeby przynajmniej to, co najważniejsze, umieścić i przechować. Nie, mój drogi, to nie są interesy, w które by się chciał bawić ojczulek Soeft.

– Cóż w takim razie?

Soeft spojrział na Kowalskiego z uśmiechem. Zatopił łapę w kieszeni spodni i wyciągnął lśniący pierścionek. – Mały, ale oho! Majątek mam w teczce.

– A więc biżuteria! – zawołał bombardier.

Soeft skinął głową nie bez dumy. Widać po nim było, że jest z siebie zadowolony. – Biżuteria albo przynajmniej jej części: brylanty, perły itd. Oczywiście złoto – czyste złoto.

– Wyznajesz się w tych rzeczach, Soeft?

– Do pewnego stopnia. Człowiek uczy się na nowo, przestawia, trzeba przecież iść z prądem, a poza tym mam pod ręką pierwszorzędnych rzeczoznawców.

Niezmiernie głupi wyraz twarzy Kowalskiego sprawiał Soeftowi wyraźną przyjemność. Kiedy Kowalski nie budzącym wątpliwości ruchem głowy wskazał na kierowcę, Soeft uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Ten ananas obok mnie – powiedział głośno – nie mówi ani słowa po niemiecku. Zrobili z niego przemocą ochotnika. To honorowy Aryjczyk, jakiś Polak niemieckiego pochodzenia z byłego korytarza. Znakomity kierowca, ale głupi jak but. Przeważnie porozumiewam się z nim po francusku. Uważaj.

Soeft trącił swego kierowcę, uśmiechnął się do niego protekcjonalnie i zapytał: – Kapujecie?

– Yes – odpowiedział tamten uśmiechając się radośnie.

– No, widzisz! – zawołał Soeft z zadowoleniem i zwrócony do Kowalskiego, którego omal nie objął, ciągnął dalej: – Przed pięcioma tygodniami wręczyłem mu oświadczenie Krzyż Żelazny II klasy. Klasę I dostanie tuż przed zlikwidowaniem tej budy.

Do pewnego stopnia jako odszkodowanie. Wcale sobie nie wyobrażasz, jak na to leci. Kiedy go dekoruję – przed dziesięcioma dniami otrzymał odznakę szturmową – o mało nie robi w spodnie. Ale ostatecznie jestem przecież przyjacielem ludzi i Polaków. A uderzając w czułą strunę ambicji ciągle jeszcze można robić najlepsze interesy.

– Ale numer z ciebie!

– Robi się co można – odrzekł Soeft i z zadowoleniem zaciągnął się cygarem; po chwili otoczyły go pięknie zakreślone koła dymu.

– Ale dlaczego opowiadasz mi to wszystko? – chciał wiedzieć Kowalski. – Przecież nie po to, żeby się przechwalać. Taki głupi nie jesteś.

– Nie – odparł Soeft wylewnie. – Tacy głupi nie jesteśmy obaj.

– Gadajże więc, jaki interes masz mi do zaproponowania, Soeft?

– Mój chłopcze, my dwaj rozumiemy się. I gdyby nie ten Asch, już dawniej współpracowalibyśmy ze sobą. Jestem tego pewien.

– Tylko bez tych arii operowych, Soeft.

– A więc, uważaj! Teraz kiedy chodzi o ostateczne zwycięstwo, nie mogę sobie już dać rady z interesami. Trzeba się diabło śpieszyć, nim tu ostatecznie zamkną kasę. Oto dlaczego potrzebuję współpracowników, których mógłbym być pewny.

– Takich jak ja!

– Usamodzielniłeś się, Kowalski, i to przemawia za tobą. Ja pracuję samodzielnie mniej więcej od trzech miesięcy. I to na tym terenie. Jeżeli chcesz, możesz pracować razem ze mną.

– Ile procent?

– Dwadzieścia pięć.

– Za mało, dlatego że siedemdziesiąt pięć procent dla ciebie – to stanowczo za dużo.

– A moje wydatki, człowieku? Mam własną kancelarię, skład dokumentów, pracownię jubilerską, dwie zagrody chłopskie, trzy stacje benzynowe i małą fabryczkę. Myślisz, że ci wszyscy pracują na mnie za darmo? To kosztuje grubą forszę. Na to trzeba zarobić. A wydatki rosną z dnia na dzień.

– Trzydzieści trzy procent.

– Zrobione – tylko dlatego, że to ty jesteś.

– Cóż mam robić?

– Zajmiesz się tym drabem z tyłu. Musi bulić forszę, zanim dostanie nowe papiery. Papiery jego leżą tutaj w tece. Cena: naszyjnik z czterdziestu ośmiu pereł, złota bransoleta z dwunastoma podłużnymi kamieniami.

Kowalski gwizdnął przeraźliwie. – Kim jest ten człowiek?

– Nie poznałeś go? Kreisleiter z ojczystego grajdołka. Będzie mógł teraz na jednej z moich zagród chłopskich odgrywać rolę parobka. Ale naprzód forsa. A przedmioty, które musi ci za te papiery wręczyć, leżą w jego domu, Hindenburga trzynaście.

– Ryzykowny kawał, Soeft.

– Po prostu sprawa rutyny. Idzie to u mnie jak na ruchomej taśmie. Oczywiście trzeba myśleć bardzo realnie. Kto dobrze płaci, ten dobrze kupuje. Jest to jeszcze ciągle moją dewizą. A więc jakże? Zgoda?

– Pewnie, że zgoda, Soeft!

Soeft nie należał do ludzi, którzy marnotrawią cenny czas. Kazał kierowcy się zatrzymać, wysiadł, podszedł do tyłu samochodu, zapukał do drzwiczek, jak to było umówione, i kazał wydać motocykl.

– Interes z panem doprowadzi do końca mój przyjaciel Kowalski – oświadczył człowiekowi, który po krótkim wahaniu kiwnął potakująco głową i znowu znikł w czeluściach samochodu.

– Tylko się nie daj nabić w butelkę! – zawołał Soeft do Kowalskiego, zanim ten wsiadł na motocykl. – Wyszukaj sobie człowieka, który się zna trochę na biżuterii, i dopiero później daj mu papiery. Ja tymczasem zajmę się ściąganiem śmietany gdzie indziej.

– A gdzie cię znowu spotkam, Soeft!

– Czekać na mnie pod rodzimą lipą. Przyjdę, żeby zainkasować forszę. Miejsce spotkania: kawiarnia Ascha. Jeżeli w tym czasie coś wpadnie ci w łapy, trzymaj mocno. Ale tylko rzeczy naprawdę wartościowe! Biorę każdą ilość. W tym wypadku za pięćdziesiąt procent – dlatego, że to ty jesteś.

– Cena nie gra roli, co?

– Soeft płaci każdą cenę! – zawołał tamten z uśmiechem i dał gazu.

– Liczę się z tym! – powiedział Kowalski i spojrzał na niego zmrużonymi oczyma.

Podporucznik Brack, oficer zwiadowca generał-majora Luschkego, wykonując zadanie specjalne szedł w kierunku leśniczówki, w której wedle słów żołnierzy miał się znajdować podporucznik Asch. Posuwał się elastycznym krokiem rasowego charta. Obojętnością usiłował pokryć właściwą mu dostojną pogardę.

Z werandy doszedł do niego krótki, gwałtowny śmiech.

Wysoki, niemal ostry głos należał do kobiety, co Brack przyjął do wiadomości podniósłszy nieco brwi. Wprawdzie obecność dziewcząt wśród żołnierzy była zjawiskiem dość pospolitym, ale głośne śmiechy należały w ostatnich dniach do rzadkości.

Brack zatrzymał się i próbował określić nastrój podporucznika Ascha z brzmienia jego głosu. Ale nie udało mu się prawdopodobnie dlatego, że – jak sądził – Asch był nieobliczalny i niezdolny do zajmowania jakiejś jasnej, jednoznacznej postawy. Asch nigdy nie szedł w gromadzie, maszerował zawsze w pojedynkę.

– Możesz być pewna, dziewczyno – zawołał Asch wyraźnie dobrze usposobiony – że wszystko będzie bardzo zabawne!

– To jeszcze nie powód, żeby mnie pan musiał brać pod brodę – powiedziała

dziewczyna udając oburzoną.

– Siła przyzwyczajenia – oświadczył Asch beztrósco. Podporucznik Brack uśmiechnął się z subtelną ironią, która zawsze stwarzała pewien dystans między nim a otoczeniem. Posuwał się krokiem wojskowym, ale nie pozbawionym wytworności, w stronę rozmawiającej z ożywieniem pary. Po chwili stanął przed nią i zapytał uprzejmie: Panie Asch, czy nie przeszkadzam pańskim działaniom wojennym?

– Drobnie potyczki na przedpolu – powiedział Asch, skinął beztrósco głową i podał Brackowi rękę. – Skąd pan, zatopiony zawsze w aktach, tutaj? Przecież generał nie rozporządza chyba helikopterami?

– Wystartowałem wozem, potem odbyłem niewielki marsz pieszo. Na przełaj przez las.

– Bez specjalnych trudności?

– Wygląda na to, że zwycięscy przeciwnicy resztek naszego dowództwa nie czują się w słynnych lasach niemieckich zbyt dobrze.

– Zgadza się co do joty. Walczą najchętniej przy autostradach.

Brack uśmiechnął się, co mogło oznaczać aprobatę. Skłonił się lekko przed Barbarą. Wydawało się, że robi to raczej z przyzwyczajenia niż z przekonania.

– Czy mogę z panem pomówić w cztery oczy, panie Asch?

– Jazda, dziewczyno – rzekł Asch do Barbary. – Przyjrzyj no się tapetom. Ale się zbyt nie śpiesz.

Barbara podniosła się. Stała przez chwilę z wyniosłą miną, chcąc dać odczuć podporucznikowi, jak bardzo pogardza jego złymi manierami. Zdawało się jednak, że Asch w ogóle zapomniał już o jej istnieniu. Wypiąwszy więc piersi odeszła.

– Przynęta – powiedział Asch, kiedy Barbara, pełna dumy i niechęci, ulotniła się wreszcie. – Chcę na nią złapać wieloryba.

– Mam panu do zakomunikowania sprawę urzędową – oświadczył podporucznik Brack, który z zasady nigdy nie mieszał się do cudzych spraw, zwłaszcza o charakterze prywatnym. – Przychodzę z polecenia generał-majora Luschkego.

– Jeżeli generał sądzi – oświadczył Asch zaczepnie – że się z moją grupą ludzi przedrę do niego, to po raz pierwszy się pomyli.

– Nie docenia pan generała – powiedział Brack z uśmiechem.

– Dotychczas nigdy nie pozwalałem sobie na podobny luksus. Ale skąd mam wiedzieć, czy nawet sam Luschke nie ulegnie temu wielkoniemieckiemu obłędowi?

– Generał polecił panu powiedzieć, że może pan pakować manatki.

– Dosłownie?

– W każdym razie taki był sens jego słów.

– Panie Brack – powiedział podporucznik Asch z nieukrywaną nieufnością – jestem wprawdzie przyzwyczajony do nieoczekiwanych rozkazów generała Luschkego, ale kto mi zagwarantuje, że pańskie dane są istotnie zgodne ze stanem faktycznym?

– Pański zdrowy rozsądek, panie Asch.

– Ten rozsądek mówi mi również, że taki arcyprusak jak Luschke nie skapituluje tak łatwo. Obawiam się mianowicie, że jego poczucie honoru jest mocniejsze niż jego rozsądek.

– Pod tym względem myli się pan, panie Asch. Może to i prawda, że Luschke stawia swój honor ponad wszystko, ale nie jest to człowiek, który by poświęcił dla tego honoru życie swych żołnierzy.

Podporucznik Asch cofnął się nieco i z wyczekującą miną oparł się o słup.

– Pomówmy ze sobą szczerze, panie Brack. Przecież już przed miesiącem powiedział pan w obecności Luschkego, że wojna jest przegrana i że uważa pan za nonsens kiwnąć w jej obronie choćby palcem. Powiedział pan tak, prawda?

– Zgadza się. Czy generał przeciwstawił się temu?

– Nie słuchał.

– Sądzi pan, że jest głuchy? Nie uważam przecież pana za idiotę, Asch. Myśli pan zupełnie tak samo jak ja, i Luschke wie o tym. On myśli również tak jak my. Tylko nie może tak postępować.

– Brack, kocham tego człowieka nie jak przełożonego, bo przełożonych się nie kocha. Luschkemu jako człowiekowi nie chciałbym sprawić zawodu. Obawiam się prawie, że mógłbym się dla niego dać zabić.

– Rozumiem pana bardzo dobrze. I przyjmuję pełną odpowiedzialność za to, co panu przekazuję jako bezpośrednie zlecenie generała: Niech pan kończy z tym wszystkim.

– Dobrze. Rozpuszczę więc moją baterię i rzucę hasło: Okręt tonie, ratuj się kto może!

– Niech pan tak zrobi.

– A potem będę się starał przedrzeć. W towarzystwie damy. Chodź pan razem z nami. Przecież zna pan drogę.

– Nie pójdę z wami, Asch. Była to ostatnia moja czynność w wielkoniemieckim Wehrmachcie.

– Chce się pan oddać do niewoli?

– Chcę być nareszcie wolny.

Podporucznik Asch przyglądał się Brackowi z uśmiechem. – O ile jestem poinformowany, po tamtej stronie są nie tylko pańskie sympatie, ale również i pańskie banknoty.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

– Nawet wprost przeciwnie.

– Mieszkałem w Niemczech u mojej matki. Ojciec mój, który się z nią rozwiódł, ma wielkie posiadłości w Ameryce Południowej i jest współwłaścicielem poważnej firmy nowojorskiej.

– Pięknie. W takim razie będzie pan spośród nas chyba jedynym człowiekiem za-

dowolonym z kraju swego ojca, a więc ze swojej ojczyzny.

– Może – odparł Brack – będę mógł na swój sposób być pomocny kolegom.

– Jest pan dżentelmenem – zapewnił Asch z łagodną ironią – ale mimo to liczę na pana.

– Proszę mną rozporządzać.

– Niech pan pójdzie ze mną. Chcę pana zaznajomić z pewnym majorem nazwiskiem Hinrichsen. Zetknął nas przypadek, a pewna świnka wrzuciła nas obu i jeszcze stu żołnierzy do wrzącego kotła. Ja sam wyszedłem nietknięty, ale ten Hinrichsen...

– Ciężko ranny?

– Tego dokładnie nie wiem. W każdym razie nie wygląda mi to na dziecianną zabawkę. Prawe ramię jakby nadpiłowane, plecy przestrelone. Czy ma kości pogru-chotane – nie wiadomo.

– Jeżeli pan sobie tego życzy, będę na niego uważał.

– Powinien się pan nim zająć. Jest to bałwan, ale niewątpliwie bohater. Jeden z ostatnich na tej wojnie. Poza tym... Ale to pana nic nie obchodzi. Zapewne nie zrozumiałby pan tego w ogóle. Dla mnie w tej chwili najważniejsze jest to, żeby go pan nie zostawił samego.

– Będę się nim opiekował, zapewniam pana.

– No dobrze. Możemy więc rozpocząć polowanie.

– Nagonka zrobiła swoje, strzelcy są przygotowani – kto się wychyli, będzie za-strzelony. To, co się teraz robi z Niemcami, jest polowaniem na zające.

– Nie dla mnie, ja poluję na odyńca.

Pułkownik Hauk, sztywny, szary, blady, siedział jakby nieobecny obok porucznika Greifera i poruszając jedynie dłońmi rozwinał szkic zrobiony ołówkiem. Położył kartkę na kolanach i usiłował ją wygładzić. Greifer pochylił się naprzód i spojrzał na rysunek.

– Powinniśmy wkrótce być na miejscu – powiedział porucznik i podniósł głowę z miną psa, który coś węszy.

– Jeszcze jakieś trzysta metrów prosto przed siebie – oświadczył Hauk – później na prawo, ulica Wiosenna trzy.

Znajdowali się w dużej, rozpostartej na kształt wachlarza wsi, pośrodku szerokiego gościńca. I ta droga, jak wszystkie w owych dniach, była zryta, zmasakrowana, wymęczona. Dookoła leżały strzępy papieru, części umundurowania oraz szczątki skrzyń. Pod płotami stały unieruchomione pojazdy. Zdawało się, że przylegające do siebie domy tworzą ściśle zamknięte koło; prawie nikt się nie kręcił między nimi.

– Ludność cywilna ma pełne portki – powiedział Greifer i splunął z pogardą. – Idę o zakład, że robią na gwałt z prześcieradeł białe chorągwie.

– Mamy niewiele czasu – powiedział pułkownik lakonicznie. Greifer skinął głową gniewny i posłuszny. Uruchomił pierwszy bieg, dał gazu i ruszył dalej. W odległości trzystu metrów ukazała się tabliczka z napisem: „Ulica Wiosenna”. Była to właści-

wie wiejska droga. Stały tu domki jednorodzinne otoczone ogródkami.

– Drugi dom – powiedział Hauk.

Greifer podjechał pod sam płot, stanął przed furtką i wychylił się. – W porządku – powiedział. – Na tabliczce widnieje napis: „Willrich”. Ta dama tak się nazywa, prawda?

Pułkownik obciągnął mundur, który i tak leżał na nim jak ulany, wysiadł z samochodu i krótkimi, jakby odmierzonymi krokami podszedł pod furtkę. Zatrzymał się tutaj i ściągając powolnym ruchem rękawiczkę, rozejrzał się wokoło.

Greifer podążył za Haukiem wielkimi krokami. Uśmiechając się stanął przed tabliczką obwieszającą pięknie drukowanymi literami o zajęciu tego budynku dla Grupy Armii „Środek” H. Qu. IVa. Dokument był podpisany przez płatnika Brahma i opieczętowany służbową pieczęcią.

– Wygląda to wcale, wcale – mruknął z zadowoleniem Greifer. – Ten drab rozumie się na interesach. – Po tych słowach nacisnął mocno dzwonek.

Rozległ się przeraźliwy dźwięk dzwonka, w domu nikt jednak się nie ruszył. Greifer spojrzał szczerze zdziwiony na pułkownika Hauka, który stał z nieruchomą twarzą jak ktoś, kto się najzupełniej nie interesuje tym, co się dzieje.

Greifer raz jeszcze nacisnął dzwonek. Tym razem dłużej i bardziej gwałtownie. Wysunął przy tym swój podbródek. – Co ci sobie właściwie myślą? Czyżby uznali wojnę za zakończoną?

– Otworzyć! – powiedział Hauk spokojnie.

Teraz Greifer spojrzał w jedną i drugą stronę drogi. Była pusta, jak gdyby całkowicie wymarła. Widok ten zadowolił go. Z kieszeni spodni wyłowił olbrzymich rozmiarów scyzoryk. Otworzył klingę i wsunął ją między drzwi i futrynę. Po dwukrotnej próbie zamek ustąpił i drzwi się otworzyły.

– Dziecinna zabawka – powiedział Greifer, zamknął scyzoryk i pogрузzył go w czułściach swej kieszeni.

Pułkownik ruszył przez ogródek w kierunku głównego wejścia. Tu zatrzymał się i znowu znieruchomiał. Greifer zaczął walić zaciśniętą pięścią w drzwi. Cały dom zdawał się drżeć pod tymi uderzeniami. Ktoś gwałtownie otworzył okno mieszczące się przy wejściu. Wychyliła się przez nie jakaś kobieta i bardzo nieuprzejmym tonem zapytała: – Czego?

– Otworzyć! – powiedział ostro Greifer – albo rozwalę tę budę w drzazgi.

– Czego pan chce? – zawołała kobieta piskliwym głosem.

Twarz miała wykrzywioną, nie wiadomo, czy ze złości i strachu, czy też z hysterii.

Greifer chciał posunąć się naprzód, ale do akcji wmieszał się pułkownik Hauk powstrzymując swego trabanta krótkim ruchem ręki. Zamarkował coś w rodzaju salutowania i zapytał: – Czy rozmawiamy z panią Willrich?

– Tak – odpowiedziała kobieta o całe niebo uprzejmiej.

– Hauk – rzekł pułkownik i raz jeszcze zasalutował. – Pułkownik Hauk. Przypusz-

czam, że nazwisko moje nie jest pani obce.

– Pułkownik Hauk! Tego oczywiście wiedzieć nie mogłam – powiedziała stając się nagle szalenie uprzejma; ale i ta na pozór nie umotywowana uprzejmość była u tej kobiety nieszczerą. – Niechże pan wejdzie, proszę.

– Przez okno? – zapytał Greifer z sardonicznym uśmiechem. Pani Willrich zamknawszy okno zniknęła, słycać było, że krząta się po domu. Wydawało się, że ktoś odsuwa coś ciężkiego. Wkrótce potem drzwi wejściowe otworzono przekręcając dwukrotnie klucz i odsuwając zasuwkę.

– Cały ten interes śmierdzi – zauważył Greifer z przekonaniem.

Pułkownik, wyprostowany, jak gdyby nieobecny, nic na to nie odpowiedział. Wszedł do domu i poszedł za panią Willrich przez sień do pokoju. Greifer rozglądając się dookoła wsunął się za nim.

– Proszę, niechże pan usiądzie – powiedziała pani Willrich z wyraźnie wymuszoną uprzejmością.

Hauk skłonił się, co miało oznaczać dziękuję. – Nie mamy zamiaru, szanowna pani, zabierać pani zbyt wiele czasu.

– Ależ proszę! – zawołała pani Willrich udając serdeczność, nie mogła jednak ani na chwilę ukryć podniecenia. Rozglądała się wokoło, jak by szukając ucieczki.

Greifer rozsiadł się wygodnie i taksował panią Willrich wzrokiem, jak gdyby zamierzał kupić ją po możliwie najtańszej cenie. Potem odsunął czapkę z czoła.

– Chodzi nam jedynie – powiedział pułkownik Hauk swym cichym, bezosobowym głosem – o pewną informację. Jest to sprawa dwóch minut.

– Chętnie – odrzekła pani Willrich zrywając się na równe nogi. – Ale kieliszeczka likieru pan nie odmówi?

– Co to, to nie – odpowiedział Greifer. – Tego nie odmówimy.

Ulotniła się nie zapominając o udręczonym uśmiechu, który rzuciła w stronę niespodziewanie przybyłych gości. Jej tęga twarz podobna była do uprzejmej maski, przekwitłe ciało, którego kształty uwydatniała zbyt obcisła suknia, pozbawione było powabu.

– Śmierdzi mi to nawet bardzo mocno – oświadczył Greifer z przekonaniem. – Jeżeli ktoś jest tak zasranie uprzejmy jak ta mała – to musi mieć świńsko nieczyste sumienie. Dałbym głowę, że się nie mylę.

– Mam nadzieję, że nie będzie pan musiał dać głowy.

Pani Willrich wśliznęła się znowu do pokoju szybkimi ruchami. Przyciskała do pełnego biustu tacę, na której obok czworo-bocznej flaszki Cointreau stały trzy kieliszki. Sapiąc głośno, pozbyła się ciężaru i zaczęła nalewać likier niepewnymi rękami.

– Wolałbym kieliszek koniaku – powiedział Greifer.

– Proszę bardzo – odparła pani Willrich i znowu się oddaliła. – Tę markę – powiedział Greifer wskazując stojącą przed nimi butelkę – znam. Brahm miał przy sobie

tego trzy skrzynie. Musiał tę butelkę zwędzić.

– Dobrze, jeśli tylko tę, małostkowi nie jesteście.

– To z pewnością nie wszystko. Jeżeli się nie mylę, ta dama przytaszczy teraz butelkę Courvoisier.

Pani Willrich istotnie przytaszczyła ogromną, na pół opróżnioną butelkę Courvoisier, na której widok rysy twarzy Greifera groźnie znieruchomiały. Chwycił za butelkę, przyglądał się jej badawczo, potem postawił ją znowu na miejsce. Oczy jego błyszczały złowrogo.

– Czy przynosicie mi, panowie – zapytała teraz kobieta – wiadomość od mego brata? – Widać było, że musiała się przewyciężyć, żeby zadać to pytanie.

Greifer zakrztusił się i zaczął kaszleć. Krew uderzyła mu do głowy, wytrzeszczył oczy, jak gdyby nie chcąc wierzyć oczom i uszom.

– Kiedyż to – zapytał pułkownik – widziała pani po raz ostatni swego brata, płatnika Brahma.

– Podczas jego urlopu. Jakies sześć tygodni temu. Pułkownik Hauk odstawił kieliszek dosyć brutalnym ruchem.

Greifer ciągle, jeszcze nie umiał się opanować. Siedział z lekko otwartymi ustami. Pani Willrich wpiła się kurczowo w poręcz krzesła i z wielkim trudem starała się zachować pozory spokoju.

– Jego ostatni list – powiedziała pośpiesznie – dotarł do mnie mniej więcej przed tygodniem. Wiem o tym, że panowie chcieli spotkać się z nim tutaj. Dał mi do zrozumienia, że tak było umówione. Czekałam też albo na panów, albo na mego brata.

Milczenie. Hauk siedział nieruchomo. Jakiś zegar tykał gwałtownie. „Przecież to prawie jak w kinie – pomyślał Greifer. – Trzeba ten film jak najszybciej zdjąć z ekranu, inaczej gotów ktoś pomyśleć, że jest prawdziwy.”

– Szanowna pani – powiedział Hauk zastanawiająco łagodnie. – Zdaje się, że się pani myli. Brat pani musiał być tutaj w ostatnich dniach.

– Ależ nie – odrzekła niezwykle szybko – co też panu w głowie. Czekałam na niego codziennie, to prawda, ale nie przychodził. Panowie przybyliście pierwsi. Na pewno wkrótce się tu zjawi.

Pułkownik przelotnie spojrzął na Greifera porozumiewawczym wzrokiem, potem kiwnął prawie niedostrzeżenie głową. Greifer podniósł się niezmiernie wolno, jakby windował się w górę. Twarz jego pozostała zupełnie nie zmieniona.

– Ustalimy to zaraz – powiedział i opuścił pokój z pochylonymi ramionami.

Wsunął się do kuchni, zaczął gwałtownymi ruchami otwierać szafy. Potem wszedł do piwnicy, obejrzał dokładnie półki. Z kolei udał się do sypialni pani Willrich, zajrzał pod łóżka, do szafek nocnych, do szafy z ubraniami. Znalazł wszystko, czego szukał.

W domu nie było nikogo, ale piętrzyły się w nim towary – jego towary. Sytuacja była jasna.

– Nie ma żadnych wątpliwości – powiedział Greifer wróciwszy do pokoju i zatonął w fotelu. – Wszystko jest tak, jak należało przypuszczać.

Pułkownik, ciągle jeszcze stojący nieruchomo pośrodku pokoju, przeszywał zimnym spojrzeniem panią Willrich, która nerwowo poruszała rękami, jak gdyby ugniatała ciasto.

Potem powiedział: – Mamy niewiele czasu. Powie nam pani teraz, gdzie się znajduje pani brat?

– Za pozwoleniem! Przecież to oburzające. Jak pan może... – Płatnik Brahm był tutaj – powiedział Greifer zwracając się do Hauka. – Wyładował niemało. Ten drab zwędził nawet moje cygara specjalne. To drobna zapłata za to, by dama nam nic nie powiedziała. A potem poczciwy Brahm zabezpieczył sobie pewną kryjówkę. Idę o zakład, że ta wie dokładnie, gdzie on jest. Idę również o zakład, że powie nam to.

– No cóż, da nam pani teraz adres płatnika Brahma? – zapytał Hauk.

– Czego pan właściwie chce ode mnie?

Pułkownik Hauk wyglądził leżący na nim doskonale mundur.

Wydawało się, że patrzy poprzez ściany i że nie ma w pokoju żadnej pani Willrich, że jej nie zna, że w ogóle nigdy nie istniała. – Zaczekam na dworze, Greifer – powiedział i poszedł sobie.

– Zrobi się – rzekł porucznik. Uczynił ruch, jak by chciał zakasać rękawy, po czym przysunął swój fotel do fotela pani Willrich. Z czułym niemal uśmiechem wyciągnął z celofanowego zawiniątka cygaro. Przyglądał się otaczającej je barwnej etykiecie z takim zainteresowaniem, jak gdyby go nie obchodziło poza tym nic na świecie.

Po chwili pewnym ruchem wyjął z kieszeni swój olbrzymi scyzoryk i otworzył go. Pani Willrich wzdrygnęła się. Ale Greifer nie zwracał na nią uwagi. Z miną niemal uroczystą przyciął swe cygaro, zapalił je, wypuścił z przyjemnością pierwsze kłęby dymu i rozsiadł się wygodnie wyciągając nogi.

Po chwili powiedział: – No, niechże pani gada! Gdzie jest Brahm?

Nie było odpowiedzi.

– Jeżeli natychmiast nie dostanę adresu Brahma – rzekł Greifer – wylakieruję ci mordę.

Pani Willrich zaczęła dygotać. Zastanawiała się w napięciu, co robić. Może krzyknąć? Ale dom leży na uboczu, nikt nie usłyszy. Czy ma spróbować uciec? Nie da rady. Jest wydana na pastwę tego ordynarnego, brutalnego draba. Ale to jednak oficer! Nie może przecież...

Greifer przełożył cygaro z prawej ręki do lewej, podniósł się i nachylił. Potem nagle uderzył ją gwałtownie w twarz. Dokonawszy tego, przełożył znowu cygaro do prawej ręki, oparł się o poręcz krzesła i zaczął palić dalej.

– Długo czekać nie będę – powiedział.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i w przerażeniu potrząsała głową.

Otworzyła usta. Wydawało się, że chce krzyknąć.

Greifer zbliżył się do niej. Wypuścił z rąk cygaro, jak by o nim zapomniał. Rzucił się na nią i zaczął ją gwałtownie walić po twarzy. Wrzasnęła przeraźliwie. Greifer w dalszym ciągu bił ją po twarzy, która wyglądała teraz jak wyrośnięte ciasto. Walił krótko, mocno, gwałtownie. Raz po raz, dopóki słychać było jej ciche jęki. Zanim upadła bezwładna, poczuł na swoich rękach krew.

Przed domem ryknął głośno nagle zapuszczony silnik. Greifer ciężko dysząc podszedł do okna. Zobaczył pułkownika Hauka, który stał przed otwartą przykrywą silnika. Wyglądało na to, że pułkownik wypróbuje cylindry. „Osiem zapuszczonych cylindrów – pomyślał Greifer ponuro – robi wiele hałasu. Pożądanego hałasu. Czymże wobec tego jest jeden przeraźliwy głos kobiecy.”

Wszedł znowu do pokoju, uśmiechnięty, nalał sobie kieliszek koniaku i wypił go. Potem pochylił się, podniósł z namaszczeniem swoje hawańskie cygaro, otarł je o rękaw i z rozkoszą wpakował do ust. Ale cygaro już się nie paliło. Zakławszy siarczyście, rzucił je na dywan.

Teraz, wzmocniony dalszym kieliszkiem koniaku, czując się w formie, zabrał się do pani Willrich w sposób systematyczny. Wiedział ze swego bogatego doświadczenia, że kobiety są wytrwałe jak koty. Znał jednak finezje, których wymagał jego zawód. Był komendantem oddziału egzekucyjnego, który podlegał pułkownikowi Haukowi, oraz zasłużonym wykonawcą wyroków sądu specjalnego, miał więc okazję dokładnie się w tym wyćwiczyć.

Po dziesięciu minutach pani Willrich była „załatwiona”.

Wprawdzie zaświniła mu mundur krwią, ale przemówiła. Z początku podała nazwę niewielkiego miasta, odległego od wsi, w której się znajdowali, o jakieś trzydzieści kilometrów.

– Dalej! – domagał się Greifer.

Jęcząc, ledwie dosłyszalnie, gardłowym głosem wykrztusiła: – Ulica Hindenburga trzynaście.

Greifer puścił ją. Upadła głucho na dywan i leżała jak kłoda. Greifer ocierał starannie ręce o poduszkę kanapy.

Potem, wyciągając z celofanowego opakowania nowe cygaro, powiedział: – Trzeba tak było od razu.

Rozbite życie kasynowe, coraz bardziej zanikające poczucie wspólnoty, przygasanie ducha garnizonowego – wszystko to kapitan Schulz uważał za coś mocno deprymującego. Cierpiał z tego powodu. Nie dawał tego poznać po sobie, zachowywał postawę, ale, jak zapewniał sam siebie, serce jego ociekało krwią.

Korpus oficerski w obrębie komendy garnizonu – jego komendy garnizonu! – tracił z dnia na dzień, niemal co godzinę, i na liczebności, i na powadze. Oddziały zapasowe rozlatywały się. Jeden dowódca pojechał na kurację, drugi poszedł na urlop. Same przeniesienia i odkomenderowania. Coraz mniej oficerów zjawia się w kasynie

na obiad. Z dwudziestu pozostało tylko trzech – on, Schulz, i dwie ofery.

Szybkość, z jaką odbywał się proces rozkładu, wpływała deprymująco na isticie niemiecką duszę żołnierską Schulza. Za ledwie jeszcze tydzień temu odbył się wieczór kawalerski, miała miejsce wieczorynka z udziałem dam. Poza tym odbyły się trzy uroczystości wewnętrzne: urodziny, awans, przyznanie orderu. Obecnie kasyno zaczynało świecić pustką. W piwnicy nie było wina, zapasy żywności wyczerpywały się, nie wiadomo było, jaki los spotka dywany. Krótko mówiąc nie było już mowy o prawdziwym nastroju w kasynie. W rezultacie Schulz musiał z głębokim ubolewaniem jadać w domu u swojej małżonki Lory.

– Jak wytwornie trzymasz łyżkę – powiedziała Lora udając, że go podziwia.

– Ma się maniery – odparł Schulz obojętnie, zatopiony w rozmyślaniach nad sobą i swoim stanowiskiem. W ostatnich dniach czynił to często. I choć nie dochodził do żadnych konkretnych rezultatów, sama myśl o tym, że rozmyśla, dawała mu zadowolenie.

– A z jakim szykiem odginasz mały palec!

– To należy też do dobrych manier.

– I jak chłepcesz zupę!

– To moja rzecz – oświadczył Schulz władcym tonem i myślał w dalszym ciągu. Mówił sobie: „Myślę i myślę, a więc jestem człowiekiem myślącym, podobnie jak wielki Moltke”.

Lora opróżniła talerz z zupą, podparła się obiema rękami i patrzyła na swego męża nieufnym wzrokiem. – Fryc – powiedziała – jak to będzie z tymi trzema nowymi skrzyniami w piwnicy. Mogę je otworzyć?

– To majątek wojskowy – oświadczył Schulz. – To do nas nie należy. Skrzynie są u nas jedynie na składzie.

– Butelki mogą popękać, tytoń może zamoknąć, a konserwy zardzewieć. Zwłaszcza teraz.

– Jako komendant garnizonu jestem za wszystko odpowiedzialny – powiedział Schulz gotując się do zajęcia przepisowej postawy. – Jako taki odpowiadam za to.

– Więc zrób kogoś innego komendantem garnizonu. Niech on odpowiada.

– Co ty sobie myślisz – rzekł Schulz temperując zapałkę, by nią podłubać w zębach. – Jak ty sobie to w ogóle wyobrażasz?

– Zupełnie prosto. Ty również zachorujesz.

– Schulz nigdy nie choruje.

– Jeżeli chcesz koniecznie pozostać zdrowy, musisz sobie w takim razie wymyślić coś innego.

Schulz przerwał uwieńczone powodzeniem dłubanie w zębach i uporczywie patrzył na żonę siedzącą nad pustym talerzem z pozornie obojętną miną. Bawiła się łyżką, rysowała na obrusie piękne, zaokrąglone figury i uśmiechała się do siebie. Po chwili powiedziała: – Bo jeżeli przyjdą Amerykanie, a ty ciągle jeszcze będziesz do-

wódcą...

– Chcę ci powiedzieć, Loro – oświadczył Schulz z tą siłą przekonywania, która jego podwładnych zmuszała do milczenia, a którą sobie przyswoił w ciągu długich lat pełnienia służby – że jestem żołnierzem i jako taki spełniam mój obowiązek.

– Aż do ostatniej skrzyni.

– Nie rozumiesz mnie. Niegdyś mnie nie rozumiała. Nie wiesz nawet, co to honor. Ale ja – ja mam wrodzone poczucie obowiązku.

– Obok innych wrodzonych błędów.

– Ach! – zawołał Schulz i wykonał energiczny ruch ręką, jak gdyby musiał się bronić przed wszystkimi plagami swego życia. – Co ja tam będę z tobą gadał. Będę działał!

Schulz podniósł się, odrzucił serwetę – od czasu kiedy został oficerem, lubił duże, białe serwety – wypiął pierś i zadarłszy podbródek odmaszerował. Przemierzył rynek, na którym panował ożywiony ruch, i wszedł do ratusza, gdzie znajdowały się pokoje służbowe komendy garnizonu. Jego komendy garnizonu! Minąwszy drzwi oddziału planowania i administracji, za którymi ciągle jeszcze pracowano, choć nic nie było do roboty, podążył w stronę swego służbowego przedpokoju.

– Ciągłe jesteście jeszcze tutaj? zapytał bombardiera Stamma, który uśmiechał się doń z wyczekującą miną.

– Tak trudno mi się rozstać, panie kapitanie.

– Przyszła nowa poczta? – zapytał Schulz bez specjalnego zainteresowania, jedynie dlatego, ponieważ nic innego nie wpadło mu do głowy. Nie oczekiwał o tej porze poczty, a raczej owego pisma, które go tak bardzo interesowało. Kiedy jednak bombardier odpowiedział na jego pytanie twierdząco, zażądał z miejsca pokazania mu poczty. – Całej!

Przerzucał poszczególne papiery bez specjalnej nadziei, ale nie bez zapału, przyglądał się dokładnie poszczególnym adresom ora? nazwiskom nadawców. Ale tego, czego szukał, czego miał prawo oczekiwać, co mu się należało i co przecież nadejść powinno, tego oczywiście nie znalazł. Jego awans na majora ciągle jeszcze nie dotarł do komendy garnizonu.

Zmartwiło to Schulza. Po chwili jednak uznał za stosowne oburzyć się z tego powodu. Rzucił listy na stół, bombardierowi Stammowi pod nos. – Nędzna wojna papierowa – powiedział – jak w chlewie. Kiedy my tu pełniemy do ostatka swój obowiązek, Naczelne Dowództwo śpi sobie najspokojniej.

– A co zrobić z pocztą, panie kapitanie?

– Jeśli o mnie chodzi – odpowiedział Schulz brutalnie – możecie nią sobie... Ach, róbcie, co chcecie. Postępujcie jak zawsze! Pchać dalej, dopóki istnieją instancje podległe.

Schulz udał się do swego pokoju służbowego, opadł z jękiem na fotel i zaczął rozmyślać. Bawił się przy tym długim, starannie za temperowanym ołówkiem. Po dłuż-

szej chwili, podczas której myślał o Moltkem, świńskiej gospodarce w biurze personalnym i swojej własnej wyjątkowej sytuacji oraz na marginesie o Lorze, zatroskanie jego zmniejszyło się nieco. Kiwnął nawet z zadowoleniem głową.

Podniósł się już bez postękiwania i poszedł do pokoju, w którym urzędował bombardier Stamm. Ujrawszy jakiegoś zasmolonego i zabłoconego żołnierza, który przeszkodził mu we wprowadzeniu w czyn jego myśli, powiedział do niego brutalnie: – Czego tu chcecie, nie jesteście w poczekalni. Kancelaria komendy znajduje się dalej na prawo.

– Dzień dobry, panie kapitanie – powiedział żołnierz obnażając w uśmiechu rząd mocnych zębów.

Schulz przyjrzał się bliżej przybyszowi. – My się znamy?

– Bombardier Kowalski – powiedział tamten uśmiechając się całą gębą.

– Ach tak – z trudem przypomniał sobie Schulz. – Już wtedy byliście bombardierem, prawda?

– Tak jest, panie kapitanie. Ale nie zostałem zdegradowany.

– Chyba nie przyszliście po to, żeby mnie odwiedzić?

– Na pewno nie – zapewnił tamten. – Jestem tutaj w charakterze straży przedniej.

– To pięknie – powiedział Schulz, który nie miał zamiaru tracić czasu i nie widział również odpowiedniej okazji do zademonstrowania swych talentów dowódcy. – Będziecie mieli moje poparcie, bombardier Stamm udzieli wam instrukcji. Ale później. Zaczekajcie w korytarzu.

– Nauczyłem się czekać – odparł Kowalski i wytoczył się z kancelarii wyzywająco wolnymi ruchami.

Schulz nawet nie spojrzał w jego kierunku, Kowalski nie interesował go zupełnie. Zapomniał o nim, zanim tamten zdołał zamknąć drzwi. Zapytał Stamma: – Co właściwie robi porucznik Nowak?

– Zarządza kwaterami – odparł Stamm.

– Niech się zjawi u mnie – rozkazał Schulz i oddalił się. Porucznik Nowak, urzędnik z Linzu, łagodny i gotowy do usług, zachowujący zawsze uległą postawę, zbliżył się do Schulza ostrożnie. Nie miał czystego sumienia. Odkąd nosił mundur, nie miał już czystego sumienia, a w tych burzliwych dniach prawie już się nie orientował, czym właściwie jest sumienie. W urzędzie jego, którym zarządzał gorliwie i wytrwale, o którym ostatnio nawet śnił, panował okropny bałagan. Każdy zajmował i opuszczał kwatery, jak mu się podobało, rozlokowywał się, gdzie chciał, zniknął, kiedy chciał. Bardzo niewielu się meldowało, prawie nikt się nie wymeldowywał. Po prostu coś okropnego.

– Porucznik Nowak melduje się na rozkaz powiedział grzecznie, ale nie bez pewnej wojskowej dyscypliny.

– Nowak – oświadczył Schulz niemal uroczyście i zupełnie tym razem zapomniał rozkoszować się bezradnością tego wątpliwej wartości oficera – sytuacja staje się

coraz bardziej krytyczna.

– Tak jest, panie kapitanie – zgodził się porucznik ulegle. – Sytuacja staje się coraz bardziej krytyczna.

Schulz omal nie powiedział: „Nowak, jest pan oficerem, a nie papugą”. Ale pokonał ten odruch, chrząknął i zamiast tego oświadczył: – Stawiane nam wymagania stają się z natury rzeczy coraz większe.

– Tak jest, panie kapitanie. Wymagania stają się coraz większe, z natury rzeczy – pośpieszył z zapewnieniem porucznik. Mocno bity, powołany z tak zwanej marchii wschodniej, wieczny obiekt kasynowych kawałów, był uszczęśliwiony, że tym razem Schulz nie wyśmiewał się zeń tylko dlatego, że listy kwaterunkowe nie zgadzały się, że pas nie był w porządku albo że jego fryzurę uznano za wyraźnie prowokacyjną w stosunku do zasad pruskich.

– Front, jest zawsze najważniejszy.

– Tak jest, front jest najważniejszy, panie kapitanie, zawsze.

– I dlatego, Nowak, jestem tam potrzebny. To przynoszące mi zaszczyt wezwanie dotarło do mnie i nie waham się pójść za nim. A pan będzie mnie tu zastępować.

– Tak jest, panie kapitanie, będę pana kapitana tutaj zastępować – powiedział Nowak automatycznie. Potem, pod wpływem badawczych spojrzeń Schulza, powoli, ale to bardzo powoli, zaczęło mu świtać, co to ma oznaczać. Ugięły się pod nim kolana, spoglądał z przerażeniem, jakby się przed nim otworzyła gigantyczna przepaść, i zalamującym się głosem wykrztusił: – Ja mam zastępować pana kapitana?

– A któż by inny? Ktoś zrobić to musi! Dlaczegoż więc nie pan? Pan już sobie da radę. Ostatecznie jest pan oficerem, a na kim polegać, jak nie na oficerze! Zdaję się więc na pana.

– Tak jest – powiedział tamten skonsternowany.

– No, dobrze – oświadczył Schulz – może pan iść. Za godzinę przekażę panu obowiązki. Niech się pan do tego przygotuje. Kiedy wszystko sprawdzę i podpiszę, obejmie pan tutaj komendę.

– Tak jest, panie kapitanie. Obejmę komendę.

Nowak wyszedł starając się resztkami sił zachować jaką taką postawę. Wydawało mu się, że dźwiga na sobie morderczy ciężar. Schulz masował z zadowoleniem swój podbródek. Potem wezwał do siebie bombardiera Stamma.

– Stamm – rozkazał – przygotować dla mnie rozkaz wyjazdu. W dwóch egzemplarzach. Jeden in blanco. Udaję się na front.

– Nie będzie pan w takim razie musiał jechać zbyt daleko – powiedział Stamm zapanowawszy nad pierwszym odruchem zdziwienia. – A więc na front? Dokądże to?

– Dokąd, człowieku?! Miejsce nie zostało bliżej podane. Do jednego z pułków, którym nasz dywizjon zapasowy dostarczał materiału, rozumiano?

– Zrozumiano – odrzekł Stamm z sardonicznym uśmiechem. Wziął notes i napisał: „Dywizja Luschkego”. Potem pozostawił przyszłego frontowca samego i zato-

piony w myślach udał się do swojej kancelarii.

Rozstawiwszy szeroko nogi i uśmiechając się wyzywająco stał tam bombardier Kowalski. – Słuchaj no – powiedział do Stamma – potrzebuję mapy tej dziury. Ale dosyć dokładnej.

– Nie masz oczu? Wisi tam naprzeciwko na ścianie. Tam gdzie wisi nasz führer.

– Jeżeli ten wisi, to jestem spokojny.

Stamm spojrział ze zdumieniem znad swego notesu. Obaj żołnierze lustrowali się z początku, potem zmrużywszy oczy uśmiechnęli się do siebie. Kiwnęli sobie głową – znajomość była zawarta.

Bombardier Kowalski podszedł do mapy i zaczął czegoś szukać.

– W ostatnich latach rozprzestrzeniliście się porządnie.

– Za to część została zbombardowana, więc się to wyrównuje.

– Ale my przecież odbudujemy Niemcy. Większe i piękniejsze. Po ostatecznym zwycięstwie. Jesteśmy gwarantami przyszłości. Pytanie tylko, kto się do tej przyszłości pali. Ale na tym zafajdanym świecie najbliższa przyszłość – to zawsze tylko najbliższa wojna.

– Czego ty właściwie szukasz?

– Ulicy Hindenburga.

– Południowo-wschodnia część miasta, prosto w kierunku lasu.

– Już znalazłem – powiedział Kowalski i zaczął sporządzać fragmentaryczny szkic.

Stamm, zaintrygowany, podszedł bliżej. – Czego chcesz właśnie na ulicy Hindenburga? – zapytał.

Kowalski odpowiedział z uśmiechem: – Nazwisko jest mi takie sympatyczne.

Podporucznik Asch szedł przez brzozowy lasek. Barbara postępowała za nim. Minęli wielu żołnierzy, szereg wyładowanych pojazdów, doszli do skraju małej łąki, na której biwakowały resztki baterii Ascha. Barbara, wlokąca ze sobą ogromną walizę, na próżno usiłowała dotrzymać Aschowi kroku.

– Idzie pan za prędko! – zawołała.

– Pomyłka – odpowiedział. – To ty idziesz za wolno.

– Czy nie mógłby pan przynajmniej nieść walizy?

– Przecież nie potrzebujesz jej wlec ze sobą. Co ci powiedziałem, dziewczyno? Powiedziałem: tylko bagaż ręczny. Przecież nie wyjeżdżamy, lecz musimy dać drapak.

Nie wysilając się zbytnio Barbara przybrała wściekły wyraz twarzy. Ale po chwili zorientowała się, że kroczący przed nią Asch nie może wcale zauważyć jej mimicznych wyczynów. Poza tym uświadomiła sobie, że w ogóle nie przyjąłby ich do wiadomości; gdyby zaczęła wymyślać, wybuchnąłby śmiechem. A tego, żeby ten drab się z niej wyśmiewał, nie chciała. Po tych refleksjach zmieniła wyraz twarzy, który stał się znowu całkowicie normalny. Tylko dookoła ust pozostała rysa cierpienia,

która odbijała się na niej raczej korzystnie.

– Zostaniesz tutaj – zarządził Asch wskazując na jakiś pień. – Potrzebuję teraz dwóch, trzech godzin dla moich kolegów.

– I cóż mam tymczasem robić?

– Możesz patrzeć w lusterko albo bawić się palcami u nóg. Mogłabyś również uczynić nieco lżejszą swoją walizę.

– Czyż nie pojedziemy za panem pułkownikiem?

– Skąd ci to przyszło do głowy, dziecinko? Udamy się za panem pułkownikiem. O żadnej jeździe nie ma mowy.

– Ale ja nie chcę iść piechotą!

– Dajże spokój, bądź rozsądna. Zrób raz normalny użytek ze swego tyłka, nie kręć nim bez przerwy, usiądź na nim. Kilkukilometrowy marsz pieszy nie zostanie nam oszczędzony. Może potem zdobędziemy jakąś taksówkę.

Barbara usiadła. Pochyliła się naprzód, oparła łokcie o kolana, zatopiła głowę w dłoniach. Usta miała zaciśnięte, w oczach jej był bunt.

Asch wyciągnął z kieszeni swego munduru szkic. Rzucił go Barbarze pod nogi ze słowami: – Przyjrzyj no się temu. Znajdujemy się tam, gdzie widnieje zielony krzyż. A teraz, mój słodki kociaku, spróbuj się zorientować, żebyś mi potem mogła dokładnie powiedzieć, dokąd musimy iść.

Asch uklonił się krnąbrnej dziewczynie o wyzywających kształtach i poszedł w stronę skraju lasu. Biwakowali tutaj z wyczekującymi, obojętnymi minami żołnierze jego baterii. Kilku grało w karty, jeden czytał gazetę frontową, większość siedziała w milczeniu.

Kiedy Asch zbliżył się do żołnierzy, ledwie się poruszyli. Patrzyli na niego dosyć obojętnie. Spojrzenia te mówiły, że ani od niego, ani od nikogo nie oczekują niczego nadzwyczajnego. Ostatnie chwile wojny dały im się dobrze we znaki.

– Myślałem już, że w ogóle nie wrócisz – zawołał dobrotliwie ogniomistrz Wehmuth nic sobie nie robiąc z tego, że żołnierze baterii słuchają. – Myślałem, żeś po cichu zwiął.

– Za wiele myślisz – powiedział podporucznik Asch. Ogniomistrz Wehmuth, wcale tym nie dotknięty, uśmiechnął się. Pełnił obecnie funkcje szefa trzeciej baterii. Był w cywilu piekarzem. Zawsze utrzymywał, że jest „urodzonym piekarzem”. Ostatnio śnił po nocach intensywnie o wypiekaniu chleba, co bardzo dodatnio wpłynęło na jego nastrój w ciągu dnia. Zachowywał się jak urodzony optymista.

– Co nowego, Wehmuth? – zapytał podporucznik Asch.

– Niewiele. W ciągu czterech godzin twojej nieobecności właściwie nic się nie stało. Dwóch żołnierzy zostało lekko rannych. Czterech ma gwałtowną biegunkę. Jakiś idiota zażądał od nas wykazu amunicji. Powiedziałem mu, żeby mnie...

– Dalej, Wehmuth, dalej.

– Kucharz dostał cztery cetnary wędzonej szynki. Odmówiliśmy z podziękowa-

niem przyjęcia dwudziestu worków wysuszonych kartofli. Silnik drugiego ciągnika nadaje się bezapelacyjnie na szmelc. Jeden z obsługi trzeciego działa powiedział do mnie, do szefa baterii: „Pocałuj mnie w dupę!” Ale to chyba nic nadzwyczajnego, bo przecież z pewnością zawsze to myślał.

– Ilu żołnierzy ulotniło się ostatnio?

– Sześciu – odrzekł Wehmuth spokojnie. – Sześciu skończyło z tym i dało drapaka.

– Sześciu w ciągu czterech godzin – powiedział podporucznik Asch i spojrzał na żołnierzy, którzy nie unikali jego wzroku. – Zupełnie ładne tempo. Ale też i trochę idiotyczne.

– Tak pan uważa? – zapytał głośno jakiś bombardier.

– Uważam – odpowiedział podporucznik Asch przyglądając się bombardierowi.

– Brawo! – zawołał głośno kapral Hildebrandt. Ten zwolennik walki do ostatecznego zwycięstwa, wychowany w duchu narodowego socjalizmu, z zasady witał z entuzjazmem wszystko, co pachniało bohaterstwem i Walhallą. Dla niego było dopiero pięć przed dwunastą. Wiedział, że führer zażądał, aby dopiero pięć po dwunastej wypuścić z ręki broń.

– Przez określenie „idiotyczne” – powiedział Asch – rozumiem w tym wypadku wianie bez wystarczających papierów. Chodzi mi o te papiery, a nie o to, że chłopaki zwiały przed czasem.

Pyskaty bombardier i dziarski kapral Hildebrandt zarumienili się po uszy. Jednemu było wstyd, drugi był oburzony. Ożywieni żołnierze przysunęli się bliżej.

– Chodźcie tutaj! – zawołał podporucznik. – Chodźcie bliżej!

Otoczyli podporucznika Ascha kołem. Zostawili swe działa, pojazdy, przyczepy. Powyłazili z prowizorycznych namiotów, pozłazili z wozów amunicyjnych, powychodzili z latryn. Umęczone, zamorusane, surowe postacie otoczyły podporucznika.

Podporucznik Asch, oparty o przyczepę, przyglądał się im.

Niektórych znał jeszcze z Polski. Przeszło jedna czwarta tej baterii poległa gdzieś w Rosji. Bombardier z połową twarzy był w baterii po raz trzeci. Podczas każdej ofensywy bywał ciężko ranny, po czym powracał do swojej dawnej jednostki. Poza tym było tu siedmiu nowych: dzieciaki w mundurach, mające jeszcze mleko pod nosem, żaden nie liczył więcej niż osiemnaście lat.

– Co myślicie o sytuacji?

Żołnierze nic nie odpowiedzieli. Czekali, co się stanie dalej. Wiedzieli, że usłyszą jakiś rozkaz albo coś podobnego do rozkazu, jakieś zarządzenie. A wtedy je wykonają. Tak było, kiedy wojna się zaczęła, tak będzie, kiedy się skończy. To wydawało się względnie realne zwłaszcza u takich ludzi, jak Luschke, Wedelmann i Asch.

– Ogólne położenie – powiedział podporucznik Asch – jest zafajdane, a sytuacja, w jakiej my się znajdujemy, również.

„Jeżeli kiedyś wspomną mnie w przyszłości – myślał podporucznik Asch patrząc

na obojętne, wyczekujące twarze – pojawią się przed ich oczyma również rozrywające się granaty, prymitywne żarcie, zawszone kwatery i śmierdzące trupy. Niektórzy z nich będą może uważali za człowieka rozsądnego, inni za tchórza, jeszcze inni za egoistę, który lepiej żarł, zajmował przyzwoitsze kwatery i teraz likwiduje ten interes prawdopodobnie dlatego, że mu się zachciało przespać z dziewczyną.” No dobrze. Tego nie mógł zmienić. Z niejednym z tych żołnierzy stojących teraz dookoła leżał pięć i pół roku w błocie. Tak, w błocie. Ale co to miało teraz za znaczenie?

– Na co my właściwie jeszcze czekamy? – zapytał brutalnie ogniomistrz Wehmuth. – Pakujemy manatki.

– Zgoda? – zapytał podporucznik Asch swych żołnierzy.

– Zgoda – odrzekła większość bez ociągania się.

– A więc – powiedział podporucznik Asch – naplujmy sobie po raz ostatni w ręce. Amunicję wysadzimy w powietrze. Działa zniszczymy. Pojazdy zostaną. Środki żywnościowe, odzież, drobiazgi do codziennego użytku rozdzielimy równomiernie między siebie. Bez różnicy stopni. Ogniomistrz Wehmuth wyda każdemu jego wojskowe dokumenty. Resztę wszystkich aktów i załączników spalimy. Ci, którym na tym zależy, otrzymają dokumenty podróży albo zaświadczenie, że zostali zwolnieni z Wehrmachtu.

– Czy także antydatowane?

Asch odpowiedział po krótkim namyśle: – Z każdą datą, jaką kto chce. Ostemplujemy to, a ja podpiszę. Papiery będą wyglądały autentycznie. Zrobimy tak, co?

– Tak, zrobimy – zgodzili się żołnierze.

– Proszę o pozwolenie zgłoszenia propozycji – powiedział kapral Hildebrandt. Mówił głosem wysokim i skrzeczącym. Śmiało wysunięty podbródek świadczył o zdecydowaniu. Nie czekając na pozwolenie rozpoczął: – Proponuję utworzenie oddziału specjalnego, który aż do końca pozostanie przy broni.

– Pan ma na myśli – aż do ostatniego tchnienia? – zapytał podporucznik Asch spokojnie.

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem: aż do końca.

– Ach – zawołał z wściekłością jeden z żołnierzy – stulże pysk! – Inni zawtórowali, kilku zaczęło złowrogo pomrukiwać. Większość znowu czekała na to, co nadejdzie, na następny rozkaz, następne zarządzenie.

– Propozycja wasza, kapralu Hildebrandt – oświadczył podporucznik Asch bez cienia złośliwości – będzie jak każda inna wzięta pod rozwagę. A więc żądacie utworzenia oddziału specjalnego?

– Tak jest – odparł Hildebrandt zdecydowanie. – Uważam to za potrzebne. To nasz psi obowiązek i nasza powinność.

– A więc dobrze – powiedział podporucznik uśmiechając się nieznacznie, gorzko i niemal odrobinę złośliwie. Zwrócił się do swoich żołnierzy. – Poszukiwani są ochotnicy do takiego oddziału specjalnego. Kto ma ochotę, wystąp!

Wystąpił kapral Hildebrandt. – A więc – wezwał swych kolegów. – Kto nie jest tchórzem i chce w tym uczestniczyć?

Pozostali żołnierze trzeciej baterii Ascha w liczbie sześćdziesięciu czterech stali nieruchomo. Nikt się nie ruszył. Hildebrandt wpatrywał się w żołnierską masę chcąc ją wzrokiem zmusić do posłuchu. Powoli ogarnęła go głęboka pogarda. Gardło miał zaschnięte, nie był w stanie nawet splunąć. Odwrócił się i poszedł. Nikt go nie zatrzymywał.

– Propozycja Hildebrandta została odrzucona – oświadczył podporucznik Asch. – Przygotować się do zlikwidowania baterii.

Ogniomistrz Wehmuth objął komendę. Po raz ostatni zabawił się w koszary i po raz pierwszy żołnierze znieśli to bez szemrania. – Wszyscy zbiórka! Jazda; jazda, wy bohaterowie, specjaliści od ostatecznego zwycięstwa. Do szeregu! Na baczność stać już nie trzeba.

Jedni musieli zająć się rozdziałem żywności. Druga grupa miała wysadzić w powietrze amunicję. Trzecia, składająca się z biegłych w piśmie, rzuciła się pod przewodem podoficera kancelaryjnego na papiery. Inni sortowali odzież, oporządzenie wojenne oraz to, co mogłoby się przydać również w cywilu. Z produktów żywnościowych, których nie można było rozdzielić, kucharz miał ugotować uroczysty, pożegnalny posiłek. Niektórzy opracowywali marszruty, wykonywali szkice odrębne i zalecali sobie kwatery.

– Organizacja klapuje – powiedział nie bez dumy ogniomistrz Wehmuth.

– Miejmy nadzieję, że po raz ostatni – rzekł podporucznik Asch.

Otworzył zamkniętą na dwa zamki skrzynię z tajnymi aktami, wyłowił z niej teczkę i zaczął ją przerzucać. Rozkazy führera! „Dla utrzymania pokoju...” „W imię słusznej sprawy...” „Narzucona nam wojna...” „Obrona naszej ojczyzny...” „Za naród i państwo...” „Ja, Adolf Hitler...” „Naczelnny dowódca Wehrmachtu, wybrany przez Opatrzność... Błogosławieństwo Wszechmogącego...”

– Do ognia z tym! – zawołał Asch ze wstrętem i rzucił teczkę w stronę Wehmutha. Ten oblał ją benzyną i podpalił. Podniosły się gęste kłęby dymu.

Nadeszła kolej na następną teczkę z aktami: zawiadomienia rodzin poległych.

„Ta trzecia bateria – myślał Asch – istnieje od roku 1937. Jakiś mól kancelaryjny uznał tworzenie jej w ramach ogólnego obowiązku wojskowego za potrzebne i dlatego ją utworzył.” Asch był w tej baterii rekrutem, bombardierem, kapralem, ogniomistrzem, potem podporucznikiem. Przyjął ją jako podporucznik przed kilkoma miesiącami. Jego dane: dwa razy ranny, Krzyż Żelazny I klasy, Złoty Krzyż Niemiecki. Bateria: pięćdziesięciu sześciu zabitych, stu czterech rannych, siedemnastu zaginionych bez wieści.

„Z żalem komunikuję, że syn, brat, mąż, narzeczony... na polu chwały... za Führera i Wielkie Niemcy... zgodnie z przysięgą... aż do końca spełnił swój obowiązek... jako dzielny żołnierz Führera... wieczysta pamięć.”

Pięćdziesiąt sześć razy to samo. Ciągłe to samo: „...wieczysta pamięć.”

Podporucznik Asch przerzucił akta, odczytywał nazwiska tych, którzy padli. Wśród nazwisk zmarłych złączonych pociągnięciem pióra widniało: Wedelmann, porucznik. Witterer, kapitan. I wreszcie przy końcu: Asch. Podporucznik Asch. Nazwiska poległych, a wśród nich: Asch.

Stojący obok Ascha ogniomistrz Wehmuth wziął z jego rąk akta, ważył je chwilę na dłoni i nie mówiąc ani słowa wrzucił do ognia.

Asch chwycił skrzynię z tajnymi dokumentami, podniósł ją do góry, wysypał na ten stos całą zawartość. Potem odrzucił skrzynię za siebie i patrzył w płomienie.

– Załatwione! – powiedział po chwili. – Raz na zawsze.

Tymczasem żołnierze ukończyli wszystkie prace przygotowawcze do zlikwidowania baterii. Rozległa się seria gwałtownych wybuchów i pozostałe trzy działa baterii Ascha zamieniły się wraz z amunicją w stos złomu. Na ziemi leżały sześćdziesiąt cztery duże paczki z odzieżą i żywnością. Były wypchane po brzegi i starannie wysortowane. Dookoła stali gotowi do odmarszu żołnierze. Utworzyli grupy połączone wspólnotą interesów i byli w stosunkowo dobrym nastroju.

– Gdybyśmy jeszcze mieli radiostację – powiedział podporucznik Asch do ogniomistrza Wehmutha – kazałbym nadać następujący meldunek: „Trzecia bateria rozwiązuje się dobrowolnie. Nastrój żołnierzy – po raz pierwszy podczas tej wojny naprawdę dobry. Precz z Hitlerem!”

– Jak to dobrze – powiedział ogniomistrz – że nie mamy już radiostacji.

Podporucznik podpisał w pośpiechu wszystko, co mu przedłożono: zaświadczenia, książeczki żołdu, dokumenty urlopowe, dokumenty podróży, świadectwa zwolnienia z wojska. Potem rozpoczął się wielki podział. Wziął w nim również udział kapral Hildebrandt, ten od „ostatniego tchnienia”. Ale zachował podczas pakowania rzeczy i żywności wyraz bezsprzecznej pogardy.

– Spiszcie się dobrze! – zawołał podporucznik Asch do swoich żołnierzy. – Mam jeszcze coś niecoś do załatwienia; kiedy się z tym uporam, będę usiłował przedostać się do mego rodzinnego miasta, tam gdzie był dawniej nasz garnizon. Kto nie ma lepszego celu drogi, niech też tam przyjdzie. Na miejscu zobaczymy, jak sobie pomóc, aby wydostać się z tego błota.

– Wszystkiego najlepszego, podporuczniku Asch!

– Aż do następnej wojny!

– Przyjaciele! – zawołał podporucznik Asch. – Zobaczymy się znowu jako cywile. Dopóki mamy jeszcze oczy i mózg, dopóki słyszymy, jak bije nasze serce, jednego tylko powinniśmy sobie życzyć: aby spotykać się tylko w cywilu. A teraz każdy niech myśli o sobie, a Bóg o nas wszystkich...

Były kapitan Wedelmann stał przed lustrem z wykrzywioną, niezadowoloną i skupioną twarzą. Próbował zawiązać sobie krawat. Nie udawało mu się. Po czterech całkowicie nieudanych próbach zrezygnował z dalszych wysiłków.

Opuścił przydzielony mu w mieszkaniu Ascha pokój, wyszedł na korytarz i zapukał do najbliższych drzwi. Czekał z pokorną miną, opuściwszy ramiona. Krawat zwiąsał mu z szyi jak postronek. Zapukał powtórnie.

– Kto tam? – odezwał się łagodny głos.

– Ja – odrzekł Wedelmann i znowu wydał się sobie niezwykle śmieszny. „Takie życie w cywilu – pomyślał – jest jednak o wiele bardziej skomplikowane, niż kiedykolwiek przypuszczałem. A może wcale nie nadaję się do tego typu życia. To takie skomplikowane. Ot na przykład krawat. Z mundurem łatwiej sobie dać radę.”

– Dlaczego po prostu nie wchodzisz? – zapytała Magda otwierając drzwi. Uśmiechnęła się do niego, ciągle jeszcze trochę nieśmiało, ale niezmiernie czule. Obiema rękami przytrzymała narzucony na siebie płaszcz kąpielowy.

– Nie chciałem przeszkadzać – powiedział Wedelmann zakłopotany. – Chciałem tylko o coś zapytać. Wybacz mi, proszę. Nie mogłem oczywiście wiedzieć, że ty także jeszcze nie jesteś ubrana.

– Ależ to nic nie szkodzi. Możesz wchodzić do mnie o każdej porze.

– Czy możesz coś dla mnie zrobić?

– Wszystko, czego tylko chcesz – powiedziała czule i z oddaniem.

– W takim razie zawiąż mi krawat. Zapomniałem już, jak to się robi.

Podeszła do niego, stanęła tuż przed nim, podniosła rękę – otworzył jej się przy tym płaszcz kąpielowy – i zarzuciła mu je na szyję. – Jak ty młodo wyglądasz – powiedziała. W mundurze byłeś już prawie dostojnym, solidnym jegomościem.

– To nie moje ubranie – powiedział prędko Wedelmann nie mając odwagi przyrzec jej dokładniej, choć bardzo go to korciło. – Ubranie to należy do syna pana Ascha. Kiedy go wzięto do wojska, miał chyba około dwudziestu lat.

– Ty też wyglądasz teraz na te lata! – zawołała Magda bardzo czule. – Nie na wiele więcej niż na lat dwadzieścia. A ja wydaję się sobie starą kobietą.

– Mówisz głupstwa – odparł Wedelmann, ciągle jeszcze starając się nie dostrzeżać jej nagości. Spotykał się już z takimi widokami, ale to przecież jego przyszła żona i nie chciał korzystać z przypadku.

– Mój Boże – zawołała z dziecinnym zachwytem – wychodzę za mąż za młodzieńca!

– Wcale nie musisz – powiedział Wedelmann, lekko dotknięty w swej męskiej dumie.

– Ale chcę!

– Zawiąż mi zatem naprzód krawat – powiedział sztywno.

– Nic łatwiejszego ponad to – powiedziała z naiwną wesołością i trzema pewnymi ruchami zawiązała krawat, ściągnęła go jeszcze, po czym rzuciła na swe dzieło zadowolone spojrzenie. – No tak, co się umie, to się umie.

– Od kogoś się tego nauczyła? – zapytał zaraz Wedelmann. – Kto cię tego nauczył? Komuś jeszcze wiązała krawaty?

Nieco przestraszona Magda spojrzała nań szeroko otwartymi oczyma nie mówiąc ani słowa. Czuła niemal fizycznie jego wybuchającą raz po raz nieufność. Sprawiało jej to ból. Wzrok jej przypominał spojrzenie bezbronne poddającej się sarny, wyglądała jak wierny, smutny pies. W oczach pojawiły się łzy.

– Ależ – powiedział Wedelmann bezradnie – ja przecież nie to miałem na myśli.

Magda potrząsnęła smutnie głową. – Nie znasz właściwie tej, z którą chcesz się ożenić – powiedziała. – Ciągłe sobie nad tym łamiesz głowę. Sprawia ci to troskę. Myślisz czasami, że kto wie, czy ja...

– Zostawże to! – zawołał nieco ostro. – Takie rozmowy do niczego nie prowadzą.

– Może jesteśmy bliscy popełnienia wielkiego błędu – mówiła dalej lęklonie Magda. – Może będziesz go żałował przez całe życie. Dręczy mnie to. Ale tu wcale nie o mnie chodzi. Myślę tylko o tobie. Jedno chciałam ci już od dawna powiedzieć: nie musisz się ze mną żenić!

– Ale ja chcę tego.

– Możemy przecież uczynić to później!

– Zrobimy to teraz!

Magda podniosła prawą rękę i ociągając się położyła koniuszki palców na jego ramieniu. Głaskając go czule, powiedziała: – Widzisz, ty nic nie wiesz o mojej przeszłości, tak samo jak ja o twojej.

– To – odrzekł Wedelmann nie bez pewnej ostrości – co się w tym Wypadku nazywa przeszłością, w ogóle dla mnie nie istnieje. W bardzo młodym wieku stałem się żołnierzem i byłem nim do dzisiaj. Nie znam prawie tego, co się określa jako życie prywatne. Oto wszystko, co mam do powiedzenia.

– No dobrze – rzekła pokornie. – Jeżeli chcesz wiedzieć, gdzie nauczyłam się wiązać krawaty, mogę ci to wyjaśnić bardzo prosto: brat mój należał do Hitlerjugend. Krawaty stanowią tam część munduru.

– Zapomnijmy o tym – rzekł nerwowo Wedelmann. – O tym i o wszystkim, o czym mówiliśmy przed chwilą. Właściwie dlaczego gadamy ustawicznie o tej przeszłości. Przecież chcemy mieć przyszłość.

– Czasami – powiedziała odważnie Magda – przeszłość snuje się za nami i nie chce nas wypuścić.

– Dajmy jej spokój – rzekł Wedelmann i chciał ją objąć. – Nam się to po prostu wydarzyć nie może!

– Na dole, w salonie Ascha – powiedziała wyzwalając się łagodnie z jego objęć – czeka na ciebie jakaś dama.

– Na mnie? Dama? To musi być pomyłka. Nie znam żadnych dam.

– Niejaka pani Lora Schulz – powiedziała Magda spoglądając nań badawczo, ale bez żadnego wyrzutu.

– Ach, tak! – zawołał usiłując ukryć zmieszanie. – Pani Schulz, żona kolegi.

– Może potrzebuje twojej pomocy?

– To możliwe – odrzekł prostując się i usiłując bez większego powodzenia ukryć zmieszanie. – W takim razie nie mogę się oczywiście wykręcać, ale załatwię to możliwie prędko.

– Mogę ci towarzyszyć?

– To z pewnością nie potrwa długo, dziecinko. – A więc nie mam ci towarzyszyć?

– Oczywiście możesz, jeżeli chcesz, oczywiście.

– Jeżeli ci to sprawia przyjemność – powiedziała Magda z łagodnym uporem, właściwym jedynie zakochanym kobietom – będę ci chętnie towarzyszyła.

Wedelmannowi nie pozostało nic innego, jak skinąć potakująco głową. Energicznym krokiem przemierzył górny korytarz, zszedł ze schodów i znalazł się w pokoju na dole. Widać było po nim, że jest zdecydowany krótko załatwić sprawę. Magda szła za nim ulegle.

Pani Lora Schulz, jak zawsze ubrana nieco wyzywająco, w ściśle przylegającej, niebieskiej jedwabnej sukni, uśmiechnęła się do obojga. – Nie! – zawołała szczerze zaskoczona wykonując kokieteryjny ruch górną częścią ciała. – Jak pan wygląda, drogi panie Wedelmann! Jak uczeń.

– Czy mogę przedstawić – powiedział Wedelmann i skłonił się lekko, dając w ten sposób dowód, że jeszcze nie zapomniał kasynowych zwyczajów. – Jeżeli pani pozwoli...

– To niepotrzebne – oświadczyła Lora Schulz. – Zapoznaliśmy się już. Pańska narzeczona zorientowała mnie w sytuacji. Muszę powiedzieć, drogi panie Wedelmann, że dał pan dowód dobrego smaku.

– Jak się pani powodzi? – zapytał Wedelmann i ulokował się obok Magdy podkreślając w ten sposób niedwuznacznie, gdzie jest jego miejsce.

– No cóż, żyje się! – powiedziała Lora lakonicznie i wzruszyła ramionami. – Człowiek się przebija i przy tej okazji nabije sobie czasami guza. Można się przyzwyczaić do wszystkiego.

– A mąż pani?

– Do ostatniej kropli krwi! Czy oczekiwał pan od niego czegoś innego? Wydoskonalili się w ciągu lat do tego stopnia, że jest bliski tego, żeby przed sobą samym stać na baczność. Ostatnio utrzymuje, że chce iść na front.

– Życzę mu więc dużo żołnierskiego szczęścia.

– A pan, panie kapitanie? Chyba nie chce pan już dalej walczyć?

– Nie. Dla mnie to minęło. Na zawsze. Moje potrzeby są w tym względzie zaspokojone. Doświadczeń mam więcej niż potrzeba. Proszę, niech mnie pani już nie nazywa kapitanem.

– Mogę panu znowu mówić po imieniu. Jakże panu było na imię? A gdyby pan potrzebował przyjaciółki domu...

– Pani Schulz – powiedział Wedelmann zgorszony, starając się jednak zachować nienagannie poprawny ton – jeżeli okoliczności pozwolą z okazji naszego ślubu na

przyjęcie w niewielkim gronie, pozwolę sobie zaprosić panią. Dziękuję pani za życzliwość i wizytę. Nie chcę pani dłużej zatrzymywać.

– Czy przeszkadzam aż tak bardzo, drogi panie Wedelmann?

– Będę bardzo rada widzieć panią na naszym weselu – powiedziała dzielnie Magda.

– Chcecie się naprawdę pobrać? – zapytała Lora w zamyśleniu dotykając warg wskazującym palcem lewej ręki. – Właściwie dlaczego?

– Bo się kochamy – odrzekła Magda.

– Można się kochać i bez ślubu.

– My nie – oświadczył Wedelmann lodowato. – Proszę to przyjąć do wiadomości.

Lora uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Drogi panie Wedelmann – powiedziała – przecież myśmy się oboje zawsze dobrze rozumieli, zdaniem mego męża – nawet za dobrze. Oczywiście nie miał racji, jak we wszystkim, co mnie dotyczy. A może jest pan innego zdania? Tak czy inaczej mam swoje doświadczenia jako kobieta i żona i mogłabym być wam pomocna.

– Wątpię – oświadczył Wedelmann.

– Jest pani bardzo uprzejma – wmieszała się Magda znosząca tę rozmowę z podziwu godną dzielnością. – Dziękujemy pani.

Lora Schulz wstała, Wedelmann również podniósł się natychmiast. Kocimi ruchami obciągnęła suknię na swych pełnych biodrach, potem podeszła do niego i obrzuciła go pytającym spojrzeniem. – Naprawdę wygląda pan jeszcze bardzo młodo, bardzo! Prawie jeszcze młodziej aniżeli wtedy. Pamięta pan jeszcze?

– Nie bardzo – łgał z trudem Wedelmann.

– Może przypomni pan sobie jeszcze kiedyś – powiedziała Lora poufale. Pociągnęła go za krawat, jak się pociąga za sznurek dzwonka, roześmiała się wesoło i powiedziała do Magdy: – Gdyby mnie pani potrzebowała, służę chętnie pomocą. W każdej dziedzinie.

– Bardzo dziękujemy – powiedział Wedelmann patrząc na nią tak, jak by stał przed nim wyjątkowo nienawistny przełożony.

Lora zdawała się nie zwracać na niego najmniejszej uwagi. Ujęła Magdę pod ramię, jak by miała obok siebie długoletnią przyjaciółkę, i powiedziała: – Znam tutaj wszystkich i wszystko. Poza tym mam dużo czasu. Mąż mój jest tylko żołnierzem i to jest okropne, ale jeżeli pani dostanie męża, który zechce być tylko ojcem rodziny, nie jest to również idealne.

– Jakoś sama sobie już poradzę – odrzekła Magda.

– Z nim? – Rosnące zakłopotanie Magdy sprawiało Lorze wielką przyjemność, tak samo jak złość Wedelmanna, którą usiłował opanować. Oblizwała wargi. W lśnieniu jej oczu było coś kociego. Potem powiedziała: – Liczę się z pani skromnością i nieśmiałością i dlatego będę się panią opiekowała nawet bez pani prośby.

Kołysząc się w biodrach Lora oddaliła się. Wedelmann patrzył na nią z dziką fu-

rią, a Magda patrzyła na Wedelmanna.

– Osoba godna uwagi – powiedziała, po chwili.

– Niemożliwa!

– Zawsze uważałeś ją za niemożliwą?

– Magdo! – zawołał Wedelmann z niezwykle poważną, niemal uroczystą miną, jak by miał za chwilę przystąpić do złożenia przysięgi. – Zapewniam cię...

Oparła się o niego bardzo ostrożnie, położyła rękę na jego wargach. – Cicho! – powiedziała. – Ani słowa o tym, co było! Przecież dla nas nie ma już przeszłości.

– Słuchaj no – powiedział z nagle rozbudzoną nieufnością, jak gdyby opanowany przez swą zwykle ubogą, ale na tym specjalnie punkcie dziko wybujałą fantazję – nie uważaj jednak, że wszystko, co było, zostało przekreślone. Nie masz mi nic do przebaczenia, bo nic nie zaszło. Jeżeli robisz wielki gest tylko w nadziei, że i ja go zrobię...

Spojrzała na niego oczyma, które zdawały się krzyczeć, jej małe ręce wpiły się w niego mocno, tak że przerażony nie dokończył zdania. Zobaczył w jej oczach łzy.

– Wszystko to jest takie ciężkie – powiedziała ledwie dosłyszalnie.

Wedelmann pomyślał: „Mój Boże, jakież to wszystko ciężkie! Kiedy jeszcze miałem na sobie mundur i obracałem się w świecie, w którym się dobrze orientowałem i bez trudu odnajdywałem siebie, wszystko było o wiele łatwiejsze. Wszystko było łatwe.”

– Damy sobie z tym jakoś radę – powiedział. Czuł w swych rękach jej drżące ciało. Przytulił się do niej. Miało się wrażenie, że to on szuka oparcia. – Musimy dać sobie radę! – zawołał.

Przez polaną leśną sunął czołg amerykański. Huczał, dygotał, miażdżył pod sobą piasek. Wieża z automatycznymi działami obracała się w groźnym milczeniu. Wydawało się, że lufy skierowane w stronę obojętnego nieba chcą wybadać okolicę grubymi, ciężkimi, przeraźliwie niezgrabnymi mackami.

Żołnierze na skraju lasu podnieśli się w milczeniu, jak gdyby ich do tego wezwano. Podporucznik Brack pochylił się nad majorem Hinrichsenem chcąc okazać ranemu pomoc. Ten odmówił. – Dziękuję – powiedział. – Sam sobie dam radę.

Wydawało się, że czołg chce się zatrzymać. Ale podobne do olbrzymich palców lufy wskazały na obu oficerów. I czołg znowu ruszył. Kolos ze stali zbliżył się do Hinrichsena i Bracka i zatrzymał się. Wolno, niebezpiecznie wolno otworzyła się pokrywa wjazdu. Wyglądało to, jak gdyby ktoś niezwykle powoli usiłował zdjąć kapelusz. Potem wyłonił się stamtąd jakiś Amerykanin, dryblas o spoconej, zdziczałej twarzy, mający na głowie hełm w kształcie żółwia. Zaczął wymachiwać ramionami i wołać: – Koniec! Zupełny koniec! Hitler nie żyje!

Podporucznik zachęcająco skinął głową na Hinrichsena i zbliżył się kilka kroków do czołgu. Oświadczył płynną, nieco śpiewną angielszczyzną: – Oddajemy się do niewoli. Dokąd się mamy udać?

Wypowiedział to niedbale, niemal obojętnie; mogło się wydawać, że w jakimś hallu hotelowym spotkał kogoś przypadkiem i przyzwoitość nakazuje mu zamienić z nim kilka słów.

Major Hinrichsen poczuł, że zaczyna dygotać. Kolana mu zmiękły, zaczął źle widzieć. O ranie swojej nie myślał.

Patrzył i nie wierzył własnym oczom. Wychylając się z czołgu ryczy Amerykanin, w doskonałym widocznie humorze, i gestykuluje żywo, jak by opowiadał soczysty kawał. A przed nim stoi oficer niemiecki z niedbale opuszczonymi ramionami, z miną tak obojętną, jak gdyby się przyglądał turniejowi tenisowemu, który go nie bardzo interesuje. Ani strzelaniny, ani podniesionych rąk, nikogo, kto by jeńców walił kolbą. Nic podobnego, wiosenny, słoneczny dzień, ludzie w mundurach, gdzieś w oddali prawie swojski warkot silników. Czy to wszystko? Tak, to wszystko.

Człowiek w czołgu zawołał do porucznika Bracka: – Wszyscy na skrzyżowanie dróg w zwartym szyku! Bez broni, ale z bagażem. Na szosie czekać bliższych instrukcji!

Brack skinął głową, potem obrócił się i przetłumaczył żołnierzom zarządzenie Amerykanina. Żołnierze poczuli, że nastąpiło coś, na co już dawno czekali: został wydany rozkaz. Zaczęli się ruszać, formować trójki. Po kilku minutach byli gotowi do marszu. To, czego się nauczyli na dziedzińcach koszarowych, zdało również w obecnej sytuacji egzamin.

– Czy może pan iść, panie majorze? – zapytał podporucznik Brack swoim zwyczajem uprzejmie, spełniając obietnicę daną Aschowi. – A może mam się postarać, żeby przewieziono pana sanitarką?

– Pójdę – powiedział major Hinrichsen – razem z moimi żołnierzami.

Podporucznik Brack wołał powstrzymać się od jakiejkolwiek zbytecznej uwagi. Hinrichsen ruszył ciężkimi krokami na czoło wziętych do niewoli żołnierzy. Wszystko, co major miał własnego, znajdowało się w chlebaku zawieszonym przez zdrowe ramię.

Brack, mający przy sobie jedynie teczkę, zbliżył się do idącego ciężkim krokiem majora. – Jeżeli rana panu dokucza, proszę się na mnie oprzeć.

– Dziękuję – powiedział tęgi major i szedł dalej wyprostowany na czele milczącej kolumny.

Czołg amerykański, znajdujący się obecnie na tyłach jeńców, ryknął, potoczył się, zaczął znowu przeorywać ziemię wzdłuż maszerującej kolumny. Gąsienice tworzyły gęstą chmurę pyłu, który unosił się nad jeńcami i okrywał ich jak płaszczem.

– Panie podporuczniku, można by to nazwać koleżeńskością – powiedział major krocząc wraz z Brackiem przez pole. – Opiekuje się pan mną tak żarliwie. Ale to chyba niepotrzebne, bo przecież wszystko minęło. Teraz każdy musi się uporać z samym sobą. Pan z pewnością będzie miał dosyć własnych spraw.

– Podporucznik Asch bardzo niepokoił się o pana. Wyraził specjalne życzenie, że bym się panem zajął. Spełniam je chętnie.

Podporucznik Asch to dzielny i prawdopodobnie przyzwoity oficer. Ale nie jest oficerem führera.

– A pan jest nim, panie majorze?

– Nie – odrzekł Hinrichsen zdecydowanie. – Człowiek, który tylko wtedy potrafi trzymać w ryzach armię, kiedy zwycięża, nie jest nic wart. Człowiek, w którego armii zbrodniarze mogą awansować na pułkowników, nie może mieć pojęcia o tym, czym jest honor. A człowiek pozwalający, by żołnierze jego wykrwawili się, choć wie, że walka jest pozbawiona sensu, musi być sam zbrodniarzem.

– Czy jest pan przeciwnikiem Hitlera?

– Nie należę już do jego zwolenników.

– Wydaje się – powiedział pogrążony w myślach Brack – że ten podporucznik Asch wie dokładnie, skąd wiatr wieje.

– Gdybym nie był kaleką – powiedział Hinrichsen głucho – poszedłbym teraz z tym Aschem na polowanie.

– Kogóż to Asch chce zastrzelić? – zapytał z zaciekawieniem podporucznik Brack.

– Mordercę – odparł krótko Hinrichsen, – Jeżeli taka świnia nie przeżyje wojny, to może jednak nie wszystko było pozbawione sensu. – Wypowiedział te słowa z twarzą wykrzywioną od bólu.

Brack przypatrywał się Hinrichsenowi w milczeniu i ostrożnie. Nie znał tego oficera. Ale podporucznik Asch, którego znał dobrze, żądał z godną uwagi natarczywością, żeby się tym majorem zajął. Czemu to przypisać? Czy tylko temu, że Hinrichsen był ranny? A może Hinrichsen był „przydatny” dla sprawy, do zrealizowania której Brack dążył, której nieuchronne konsekwencje ten Asch musiał przeczuć, w którą pośrednio lub bezpośrednio wmanewrował go generał-major Luschke.

Kolumna jeńców skupiła się na skrzyżowaniu dróg i zatrzymała. Zbliżyli się żołnierze amerykańscy i zaczęli przyglądać się Niemcom jak obiektom wystawionym na jarmarku. Człowiek w czołgu oświadczył: – Czekać tutaj! Stąd was zabiorą i przetransportują do obozu.

Podporucznik Brack przetłumaczył zarządzenie Amerykanina wziętym do niewoli

żołnierzom. Ruszyli z obojętnymi twarzami w stronę przydrożnego rowu i rozsiedli się tam. Wszystko odbyło się bez pośpiechu, ale i bez ociągania. Mogło się wydawać, że nie robili przez całe życie nic innego, tylko siedzieli w przydrożnych rowach.

Brack podszedł do czołgu, stanął przed nim z rękami w kieszeni, spojrzał spokojnie w górę i powiedział: – Chcę mówić z oficerem CIC. Sprawa jest ważna.

Amerykanin spojrzał ze zdumieniem, w dół, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Widać było, że uważa zachowanie tego jeńca co najmniej za sprzeczne z międzynarodowymi zasadami kodeksu żołnierskiego. Wreszcie otworzył gębę i powiedział: – Dobrze.

– Będzie dobrze dopiero wtedy – oświadczył Brack z uporem, ale grzecznie – jeżeli pan to moje życzenie przekaże swemu oficerowi.

Człowiek z wieży spojrzał na oficera niemieckiego ze zdumieniem. Jego szara, okryta pyłem twarz przybrała barwę czerwonawobrazową. Skinął głową, ryknął coś do wnętrza czołgu i czołg ruszył. Brack spojrzał w jego stronę, po czym odwrócił się i siadł obok majora na kupie kamieni.

– Nie chciałbym, panie Brack – powiedział Hinrichsen – żeby pan znalazł się w niemiłej sytuacji nie ostrzeżony. Chodzi mi o to, że rozmowę pańską z Amerykaninem nie tylko słyszałem, ale i zrozumiałem, bo i ja mówię po angielsku. Przez rok pracowałem w pewnej firmie w Southampton. Wyroby żelazne, specjalność – narzędzia.

– To mi nie przeszkadza – powiedział Brack i spojrzał majorowi prosto w oczy.

– Mówił pan przed chwilą o CIC, czy nie oznacza to Counter Intelligence Corps? Chodzi o kontrwywiad amerykański albo o jakąś podobną organizację, prawda?

– Przeszkadza to panu?

– Teraz już nie. Bo ja... – na próżno szukał odpowiednich wyrazów, nie mógł ich znaleźć i wprawiało go to w niemiłe zakłopotanie. Poruszał lewym ramieniem, jak by chciał się przedrzeć przez tłum. – Jeżeli o mnie chodzi – wykrztusił z wysiłkiem – skończyłem z tym wszystkim. Rozumie pan? – Ależ doskonale.

– Gdyby pańskie stosunki mogły wystarczyć, panie Brack, niech je pan wykorzysta. Bez skrupułów. Wszystkie środki są teraz dobre, żeby skończyć z tym koszmarem. A jeżeli kiedyś miałby panu przebiec drogę człowiek nazwiskiem Hauk, pułkownik Hauk, niech go pan przychwyci. To morderca. Zeznam wtedy, dlaczego jest mordercą. To samo zezna również podporucznik Asch.

– A więc tak sprawa wygląda – powiedział Brack.

W szalonym tempie, przeraźliwie wyjąc zbliżał się do nich jakiś jeep. Zahamował gwałtownie, zęglował jeszcze parę metrów po ulicy siłą bezwładu i zatrzymał się. Uniosła się nad nim chmura pyłu, miało się wrażenie, że wóz dymi. Oficer bez broni, w czapce polowej na głowie, jakby dopiero co przyniesionej z magazynu, wychylił się z niego i zapytał: – Kto tu chciał mówić z oficerem CIC?

Brack podniósł rękę na wysokość głowy, witając w ten sposób przybyłego.

– Czego pan chce?

– Jest pan oficerem CIC?

– Nie, czego pan chce?

– Mówić z oficerem CIC, sir! Już to powiedziałem.

Oficer zsunął z czoła swoją nową czapkę polową i zamknął duże usta. Po chwili otworzył je i mruknął: – Niech pan wsiada.

– Proszę o pozwolenie – zwrócił się Brack swoją nienaganną oksfordzką angielszczyzną do nie posiadającego się ze zdumienia Amerykanina – by mógł mi towarzyszyć ten ranny oficer. Muszę się tego domagać i będę w stanie w miarodajnym miejscu uzasadnić to moje żądanie.

– Niechże pan już wsiada! – zawołał Amerykanin i znowu nasunął czapkę na czoło.

– Panie Hinrichsen – powiedział Brack, pochylił się w stronę majora i pomógł mu wsiąść. – Proszę, niech pan wsiada. Mam wrażenie, że gra może się rozpocząć.

Odezwał się dzwonek. Raz, drugi. Przerażliwie głośno. Właściciel kawiarni Asch, który bez cienia zainteresowania przerzucał starą gazetę sprzed co najmniej siedmiu dni, wzruszył gniewnie ramionami usiłując czytać dalej. Ale to mu się nie udawało. To, co czytał, było gównem, a dzwonek dzwonił coraz gwałtowniej.

Stary Asch odrzucił z furią gazetę, wstał usiłując powziąć jakąś decyzję. Podeszedł na palcach do okna, jak gdyby bał się wywołać niebezpieczny hałas, odsunął ostrożnie firankę i spojrzał w dół. Na ulicy przed domem zobaczył żołnierza w zabrudzonym, gumowym płaszczu.

Dzwonek alarmował dalej. Brzmiał coraz natarczywiej, wydawało się, że brzmienie jego wypełnia cały dom. Wyprowadziło to zupełnie z równowagi i tak już przedenerwowanego Ascha.

– Żeby cię wszyscy diabli! – wrzasnął stary Asch i z miną boga zemsty zbiegł ze schodów, przekręcił dwukrotnie tkwiący w zamku klucz i otworzył szeroko drzwi.

– Czyście na głowę upadli! – ryknął do stojącego na ulicy żołnierza. – Bóg was opuścił?

– Nie, tylko führer – odparł żołnierz z uśmiechem.

Stary Asch dygocąc z wściekłości szukał na razie na próżno najstraszliwszych pomysłów. Ale pozwoliło mu to poznać swego gościa. – Przecież pan jest z baterii mego syna – powiedział i uspokoił się od razu, starając się nawet przestawić na ton przyjaźniejszy. – Przecież pan jest Kowalski!

– Tak by się wydawało – odparł żołnierz z jeszcze szerszym uśmiechem.

– W takim razie niech pan wchodzi! Jest pan mile widziany. Barczysty Kowalski stanął w drzwiach i zapytał: – Co się z panem dzieje? Okopuje się pan tutaj, żeby się zbyt blisko nie zetknąć z ostatecznym zwycięstwem? A może zamienił pan swoją kawiarnię w twierdzę? Bardzo bym nad tym ubolewał. A może i nie. Bo im mniejszy

ruch w interesie, tym pewniejsze pańskie zapasy.

– Jak gdyby tylko o to chodziło – powiedział stary Asch wciągając bombardiera na górę.

– Chodzi tylko o to – zapewnił Kowalski.

– Chodzi o głowę i o szyję – rzekł Asch. – Myśli pan, że będę nadstawiał głowę dobrowolnie? Wyłączam się po prostu. Pozostaję, o ile to możliwe, poza plajtą. To kupiecka kalkulacja, a jak panu wiadomo, jestem kupcem.

– Któż by w to wątpił, panie Asch.

Znalazłszy się w pokoju Kowalski od razu poczuł się jak u siebie w domu. Rzucił na krzesło płaszcz, poszukał najwygodniejszego fotela i rozparł się w nim. Wyciągnąwszy nożyska i wypiąwszy pierś powiedział z jękiem: – No, tak!

– Przychodzi pan od mego syna?

– Jak pan myśli, czy odmówiłbym, gdyby mnie pan poczęstował kieliszkiem wódki?

Asch postawił błyskawicznie przed Kowalskim butelkę kminkówki i kieliszek. Kowalski spojrział na kieliszek, uznał, że jest za mały, i odsunął go pogardliwie, po czym łyknął wprost z butelki.

– Przychodzę tutaj jako straż przednia – powiedział. – Pańska wódka nie jest zła. Ma pan więcej z tego gatunku?

– A mój syn?

– Zjawi się.

– Dobrze mu się zatem wiedzie?

– Dobrze – to chyba lekka przesada, od kiedy to gówno jest dobre. W każdym razie syn pański jest zdrow. A to także jest coś warte.

– Niechże pan wypije jeszcze kieliszeczek, panie Kowalski.

– Do tego nie potrzebuje mnie pan namawiać. A o kieliszeczku nie mówi pan chyba poważnie. Wielkie czasy wymagają wielkich porcji.

– A kiedy mój syn będzie tutaj?

– Jak przyjdzie, to będzie – odrzekł Kowalski lakonicznie i wlał w siebie dalszą porcję kminkówki. – A do tego czasu rozbiję tu swoje namioty.

– Tu, w moim domu?

– A gdzieżby?

– To zupełnie wykluczone! Co też panu wpadło do głowy. To nie jest żaden wał atlantycki czy coś w tym rodzaju. Nie mogę przecież zrobić z mego domu obozu wojennego.

– Miejsca jest na to dosyć – odparł Kowalski rozglądając się z uznaniem. – Taki współczesny front ojczyźniany będzie na czasie. Z okien wychodka można porobić otwory strzelnicze.

– Ściągnąłbym sobie w ten sposób na głowę Amerykanów.

– Oni i tak przyjdą do pana. Nie zechcą sobie chyba odmówić widoku starego hi-

tlarowca. A kiedy to się stanie, panie Asch, będzie pan szczęśliwy, że w domu jest ochrona.

– Niechże się pan teraz dobrze zastanowi – powiedział do swego gościa stary Asch. – Przecież i pan nie upadł chyba na głowę i chyba nie jest pan zwolennikiem obijania się na linii ognia. No, więc! U mnie sprawa wygląda podobnie. Przede wszystkim rozwiązałem cały interes i zamknąłem budę. Potem zostałem sam z moją gospodynią...

– Czy wygląda możliwie?

– To pół-Żydówka.

– Więc to dlatego – powiedział Kowalski, znowu łyknąwszy kminkówki.

– Potem zjawił się kapitan Wedelmann...

– Kto?

– Pański kapitan Wedelmann ze swoją narzeczoną.

– Co, ten ma znowu narzeczoną? Popatrz, popatrz! Chciałbym być takim psem na prawdziwą miłość jak on. Ten zawsze idzie na całego, bez względu na to, czy chodzi o hitlerowców, czy o wojnę, czy o dziewczynę. Wszystko albo nic. Kapitan i jego ostatnia narzeczonka! I tych dwoje mieszka u pana w tym samym pokoju?

– Co też panu przychodzi do głowy! On zajmuje pokój mego syna, ona mieszka w pokoju mojej córki, która jest także na froncie w służbie pomocniczej.

– Znam ten rodzaj frontu – powiedział Kowalski beztrąsko. A potem zaproponował: – Niech pan po prostu położy Wedelmanna z jego narzeczoną, a ja zajmę wolny pokój.

– Jeżeli nie można inaczej – mruknął właściciel kawiarni – jakoś pana umieścimy. I to tak, żeby nie znaleźć się w konflikcie z paragrafem o kuplerstwie. Przywiązuję do tego wagę. Mój dom to wprowadzie nie twierdza, ale także nie burdel.

– No, niech będzie. Ale chętnie bym Wedelmannowi tej przyjemności użyczył. Zasłużył na nią, oczywiście o ile ta jego lalka dobrze wygląda. A może nie? Kto się do niego tym razem dobrał?

– Panna Magda to wyjątkowo sympatyczna osoba.

– Jak się to przejawia?

– Zawiadomię pana Wedelmanna, że jest pan tutaj.

– Nie ma gwałtu! Nigdy się nie paliłem do kapitanów ani do podobnej zwierzyny.

– Pan Wedelmann jest teraz cywilem.

– Nie wierzę. Co najwyżej przebrał się na jakiś czas za cywila. Myśli pan może, że potrafi wyleźć ze swej skóry? A skóra jego to mundur! Ale mniejsza o to, najprzód zróbmy interesik.

– Pan ze mną? Ze starym hitlerowcem?

Kowalski, uśmiechając się szeroko, bawił się butelką. Potem powiedział: – Jest pan ojcem mego przyjaciela, stąd wiem o panu niejedno. I to od dawna.

Teraz stary Asch łyknął sobie porządną porcję kminkówki. Po chwili powtórzył

ten zabieg, po czym powiedział: – Jazda, o co chodzi?

Kowalski wstał, podszedł do okna, z którego widać było rynek, kiwnął na Ascha i stanął obok niego. – Niech pan spojrzy w tamtym kierunku – powiedział wysuwając podbródek, – Co tam stoi w pobliżu sklepu z papierem?

Stary Asch spojrział na opustoszały, zabłocony, zaniedbany rynek i zobaczył olbrzymi samochód ciężarowy.

– Co w nim jest? – zapytał.

– Niech pan zgadnie.

– Chyba skrzynie z żarciem.

– Zimno, zupełnie zimno!

– W takim razie z chlaniem.

Kowalski spojrział na starego Ascha z politowaniem. – Tego pan nigdy nie zgadnie – powiedział. – Nawet pańska fantazja nie sięga tak daleko.

– Gadajże, człowieku, nie bawmy się w zgadywanki. Co tam jest?

– Kreisleiter.

– Co takiego?

– Kreisleiter. Pański kreisleiter, panie Asch. Chce go pan mieć? Za gotówkę?

– Pan oszalał – powiedział stary Asch, podszedł do stołu i nalał sobie jeszcze kminkówki. Ale nie wypił, wyglądał, jak by mu się zrobiło słabo. Opadł na fotel wymachując nogami.

Bombardier Kowalski podszedł do niego i uszczypnął go w kolano. – Ulica Hindenburga trzynaście – powiedział. – Zgadza się?

– Cóż to ma za znaczenie!

Kowalski sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyłowił stamtąd plik papierów, między innymi dowód osobisty. Otworzył go i wskazał na fotografię.

– Istotnie – zawołał Asch ze zdumieniem. – To kreisleiter.

– Według tych papierów – powiedział Kowalski z tryumfującą miną – człowiek ten nazywa się teraz zupełnie inaczej, ma inny zawód, mieszka gdzie indziej.

– Mocny kawał – powiedział Asch z podziwem podszytym lękiem. – I dlaczegóż przywiózł go pan tutaj?

– To zupełnie proste. Zanim mu wręcę te papiery, musi przede wszystkim zapłacić. A zapłata leży w jego mieszkaniu przy ulicy Hindenburga.

– Rozumiem – powiedział Asch, sięgnął po kieliszek i umoczył w nim usta. – Zaczynam powoli rozumieć. Nie może się już tutaj pokazać, a więc musi się dostać do domu w nocy, żeby tam wziąć gotówkę...

– Gotówkę! – wybuchnął śmiechem Kowalski. – Kto sobie dziś da płacić papierem.

– Biżuteria?

– Oczywiście, Jeżeli ją przyniesie, dostanie papiery. A przyniesie, bo chce je mieć, bo musi je mieć.

– Doskonale – powiedział Asch z przekonaniem – doskonale.

– A gdyby p a n chciał go mieć jako rodzaj reasekuracji – oświadczył Kowalski z bezwstydnym uśmiechem – moglibyśmy ewentualnie o tym pomówić.

Stary Asch sięgnął automatycznie po kieliszek, który mu napełnił Kowalski, wychylił go i zapytał: – Te nowe papiery dla tego świntucha przygważdżają go? Wyobrażam sobie, że może zniknąć z powierzchni, ale musi przebywać w określonym miejscu?

Kowalski skinął głową. – Człowiek wyposażony w te papiery pracuje, teoretycznie biorąc, od szeregu miesięcy w majątku jednego z moich przyjaciół jako parobek. Uważam to za bardzo sensowne.

– W takim razie to sprawa bardzo prosta – powiedział Asch i uśmiechnął się do Kowalskiego. – Jeżeli zechcemy go „doić” wiedząc dokładnie, jak się nazywa i gdzie przebywa, gdzie jest zameldowany, cała sprawa stanie się dziecinną zabawką.

– Wygląda na to, że teraz z nas dwóch ja jestem idiotą – powiedział Kowalski bezradnie.

– To nie tylko tak wygląda – rzekł po namyśle stary Asch. – Niech pan uważa, młody przyjacielu: Naprzód zainkasuje pan i da mu za to papiery. Potem ptaszek się ulotni. Jak sytuacja rozwinie się tutaj, tego jeszcze nie wie żaden z nas. Możliwe, że będzie nam potrzebny jakiś mocny atut, jakaś odpłata lub cena. Pięknie, będziemy go w takim razie mieli w ręku.

– Chłop z pana na sto dwa – powiedział Kowalski z szacunkiem.

– To tylko rezultat doświadczenia – zapewnił stary Asch. – Człowiek nauczył się niejednego. Ostatecznie przeżywam już drugą klęskę.

– Ale przy trzeciej, tego może pan być pewien – zawołał Kowalski z emfazą – przy trzeciej ja będę tym, który zainkasuje najwięcej.

Porucznik Nowak, odznaczający się pogodnym usposobieniem, spoglądający z niezachwianą jeszcze ufnością na swoich pruskich towarzyszy broni, nie uważał sytuacji za poważną; była ona jednak całkowicie beznadziejna. Odkąd został jako następcą kapitana Schulza komendantem garnizonu, chaos stawał się coraz większy. Dostojeństwo, z jakim to znosił, było bezprzykładne.

Główne zajęcie porucznika Nowaka, który był widocznie zdecydowany nie odstępować od swego biurka, polegało na tym, że spoglądał energicznie i smętnie zarazem, oświadczając: „I to nas nie załamie!”

Bombardier Stamm, pierwszy pisarz komendy, delectował się tą sytuacją; niezłomny Nowak przy biurku, jako superhiob Wielkich Niemiec, był dla niego widokiem najbardziej budującym od czasu, kiedy służył w wojsku. Nie potrafił się od niego oderwać.

– Niech mi wolno będzie zameldować panu porucznikowi – oświadczył – że przejeżdżające jednostki obrabowały magazyn żywnościowy mieszczący się przy wieży ciśnień.

– Cały magazyn?

– Tak jest, panie poruczniku.

– Winni zostaną wykryci i pociągnięci do odpowiedzialności – obwieścił Nowak nie bez przekonania i spojrzał w sufit. Stamm miał wrażenie, że porucznik zamierza prosić Pana Boga o interwencję w tej sprawie. Zdawało mu się, że Nowak uważa zwracanie się do innych instancji za zupełnie zbyteczne.

– Możecie mi wierzyć, Stamm – oświadczył porucznik dźwięcznym głosem – że i to nas nie załamie!

– Poza tym – powiedział bombardier Stamm – trzech żołnierze przydzieleni do komendy nie wrócili już z obiadu na swoje miejsce pracy.

– Wszyscy trzech?

– Tak jest, panie poruczniku.

– Albo powrócą dobrowolnie, albo też sprowadzą ich z powrotem nasze oddziały. Sumienie nie da im spokoju albo też zainterweniuje sprawiedliwość – obwieścił towarzysz broni Nowak.

– Jeżeli nie powrócą w ciągu trzech dni, trzeba będzie zrobić doniesienie, że zdezerterowali.

– W ciągu trzech dni? – zapytał Stamm. Bawił się po królewsku, myśląc: „Jak sądzisz, mój przyjacielu, co się tu rozegra w ciągu najbliższych trzech dni?”

– Tak, w ciągu trzech dni – powtórzył Nowak usiłując zachować zdecydowany ton. – W takich wypadkach nie daję pardonu! Poza tym przepis przewiduje termin trzydniowy.

– To i tak nas nie załamie – rzekł Stamm uśmiechając się.

– Bardzo słusznie! – zapewnił Nowak. – Wyjeliście mi to z ust.

Rozpromieniony bombardier Stamm potoczył się do swojej kancelarii. Były tam zatrudnione dwie dziewczyny, zajęte przede wszystkim robieniem wyciągów z akt dla jego archiwum prywatnego, które miał zamiar zużytkować dla celów osobistych.

W olbrzymiej szafie pancерnej będącej w jego dyspozycji nie było nic prócz plecaka, skórzanej walizy, trzech flaszek wódki i pół tuzina paryskich czasopism ilustrowanych. Przechowywane tam dotychczas akta tajne mieściły się teraz w piwnicy. Stamm był w każdej chwili gotów do wymarszu; zaopatrzył się we wszelkiego rodzaju papiery, awansował siebie samego, ponadawał sobie odznaczenia i sam siebie zwolnił z Wojska. Ale nie mógł się literalnie rozstać z tym, co go otaczało. To, czego był świadkiem, radowało jego serce.

Zaterkotał stojący na biurku telefon. Był to znak, że porucznik Nowak zamierza telefonować. Stamm podniósł bez żenady słuchawkę, żeby się włączyć do rozmowy. Radość jego nie została zmacona tym, że wiedział z góry, jaka będzie treść rozmowy – sam zainspirował ją niezłomnemu porucznikowi.

Nowak chciał połączyć się z resztkami dywizjonu zapasowego artylerii, który mu w teorii bezpośrednio podlegał. Zażądał do telefonu oficera dyżurnego. Kiedy ten się

zameldował, wydał mu trzy rozkazy, powtórzył je i kazał powtórzyć je również tamtemu.

– Tak jest – powiedział porucznik artylerii. – To będzie załatwione. – Na tym rozmowa została zakończona.

Stamm, który uśmiechając się odłożył również swoją słuchawkę, wiedział, jak zakończy się wszystko. Porucznik artylerii będzie się dalej wylegiwał albo grał w skata i uganiał za dziewczętami. Wiedzieli o tym wszyscy w mieście z wyjątkiem Nowaka. „A może nawet – myślał Stamm – ten Nowak o tym wie, ale po prostu wiedzieć nie chce. Wydaje rozkazy, wciąga je do akt, reszta nic go potem nie obchodzi. Spełnił swój obowiązek i swoją powinność, może udowodnić to nawet na piśmie, czegoż więc pragniesz więcej, żołnierskie serce? Kto wie, jak długo to jeszcze potrwa?”

Potem Stamm zabierał się gorliwie do zbierania hiobowych wieści, żeby je przekazać Nowakowi. Ten połykał wszystko; jego spokój był niewzruszony.

– O ile mi wiadomo, panie poruczniku oświadczył niezmordowany Stamm – pan kapitan Schulz nie udał się jeszcze na front, jak to było w planie.

– To jego sprawa – odparł Nowak z godnością. Potem jednak ogarnęła go niespodziewanie podejrzliwość i zapytał: – Coście przez to chcieli powiedzieć?

– Chciałem jedynie zwrócić uwagę pana porucznika. Mogłoby się przecież zdarzyć, że pan kapitan w wielkim pośpiechu zapomniałby przekazać panu porucznikowi wszystkich wykazów, na przykład wykazu własności Wehrmachtu, znajdującej się na składzie w obrębie komendantury.

– Tak, tak – powiedział Nowak nie orientując się w pierwszej chwili, w jaką kabałę go wpakowano. – I cóż jeszcze?

– Wytyczne w sprawie współpracy między komendanturą a Volkssturmem.

– Współpraca jest przecież rzeczą zrozumiałą samo przez się – powiedział Nowak właściwym sobie, wyniosłym tonem. – Tu wytyczne są nam niepotrzebne. W odpowiednim czasie ureguluje się to automatycznie.

Stamm bawił się po królewsku. W odpowiednim czasie! Czas najwyższy, tak, najwyższy!

– Partia – powiedział – będzie prawdopodobnie próbowała objąć Volkssturm.

– Nie dojdzie do tego, dopóki będę tu komendantem – oświadczył Nowak z brawurą i dodał: – A gdyby nawet! I to nas nie załamie!

– Nie można tego tak dokładnie wiedzieć – mruknął Stamm i ulotnił się.

W swojej kancelarii bombardier przyjrzał się naprzód nie bez zadowolenia dwom pomocnikom, potem spojrział w zamyśleniu na szafę pancerną, w której spoczywały jego rzeczy potrzebne mu na drogę. Powinien to uczynić czy też nie? W danej jednak chwili było to pytanie raczej teoretyczne, nie podyktowane jakąś niecierpiącą zwłoki koniecznością. Był gotów. A być gotowym, czy nie tak mówiły przepisy, to więcej niż wszystko. Na wianie będzie miał zawsze czas. Za to farsa, która się tu przed nim rozgrywa, już się chyba nie powtórzy. Zdecydował się więc pozostać w dalszym cią-

gu na swym miejscu w loży.

Chcąc zwiększyć jeszcze przyjemność kazał się połączyć z ortsruppenleiterem. – Czy pan Ortsgruppenleiter? zapytał.

Komendant garnizonu, pan porucznik Nowak, przywiązuje wagę do tego, żeby omówić z panem konieczne zarządzenia obronne.

– Po co? – zapytał tamten nie zdradzając ani odrobiny zainteresowania. – Co mogą tutaj znaczyć zarządzenia obronne? Kto ma coś robić i kto ma czegoś bronić?

– W tym względzie – powiedział Stamm – informacji udzieli panu niewątpliwie osobiście pan porucznik Nowak. Oczekuje pana najpóźniej za godzinę.

– Przecież to nie ma celu powiedział Ortsgruppenleiter zrezygnowanym tonem. – Nic mnie to już nie obchodzi. Wszystko rozwiąże się i ureguluje automatycznie, – ocenę tego będzie pan musiał pozostawić panu porucznikowi Nowakowi – oświadczył Stamm protekcjonalnie.

Ortsgruppenleiter mruknął coś jeszcze, co mogło brzmieć: „Ach, gówno!”, i brutalnie urwał rozmowę.

Zacierając ręce Stamm udał się do porucznika Nowaka i oświadczył mu, że Ortsgruppenleiter zamierza zjawić się u pana komendanta garnizonu najpóźniej za godzinę. Przywiązuje wagę do tego, żeby omówić z panem porucznikiem konieczne zarządzenia obronne.

– I to nas nie załamie! – rzekł Nowak.

Stamm czekał z napięciem i niecierpliwością na zjawienie się miejscowego dostojnika. Cekał jednak na próżno. Zamiast niego zjawił się przerażająco cicho i zupełnie niespodziewanie jakiś generał.

Generał był niskiego wzrostu, miał cienkie nogi i przysadzistą postać. Z ramion wyrastała głowa jak kartofel, z twarzy wyskakiwał nos podobny do bulwy. Oczy patrzyły chłodno i szyderczo. Na widok przybysza Stamm zerwał się z krzesła.

– Komendant garnizonu? – zapytał łagodnie generał.

– Tutaj – powiedział Stamm i szeroko otworzył drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju.

Generał zbliżył się do porucznika małymi, miarowymi krokami. Porucznik siedzący przy biurku zeszytniał ze zdumienia.

– Luschke – powiedział generał i dotknął dwoma palcami zniszczonej, wymiętoszonej czapki.

– Porucznik Nowak – wybębnił tamten stając na baczność.

– Tylko bez żadnych ćwiczeń gimnastycznych – zalecił Luschke. – Niech pan mnie poinformuje o swojej sytuacji.

– Tak jest, panie generale! – zawołał Nowak zaskakująco niskim głosem, jak gdyby przechodził znacznie spóźnioną mutację, co, jak wiadomo, występuje w wieku chłopięcym.

Potem Nowak spróbował zorientować generała w tym, co się określa jako „sytu-

ację”. Próba okazała się daremna. Zimny, badawczy wzrok generała wprowadził go w zmieszanie, Nowak zaczął się jąkać.

– Jeżeli pan generał pozwoli... dane i dokumenty... znajdują się obok, w kancelarii.

– Pozwalam – oświadczył Luschke.

Nowak, jak gdyby ścigany przez milczącą tłuszcę, rzucił się ku drzwiom. Otworzył je gwałtownym ruchem i zawołał: – Stamm! Do mnie ze wszystkimi danymi i materiałami!

Stamm zebrał wszystko, co leżało na jego biurku. Zbliżył się pośpiesznie i pełen ciekawości. Z wyczekującą miną położył przed generałem wykazy i zestawienia i udając, że nie widzi ruchu ręki Nowaka wzywającego go do opuszczenia pokoju, nie ruszał się z miejsca.

Generał przerzucał papiery w milczeniu. Potem w dalszym ciągu nie mówiąc ani słowa podszedł do wiszącej na ścianie mapy miasta i zatrzymał się przy niej przez kilka sekund. Następnie wrócił do stołu i pochylił się nad papierami.

Po dosyć długiej pauzie nastąpił kres przygniatającego ciężkiego milczenia.

– Od jak dawna jest pan tutaj dowódcą garnizonu, panie poruczniku?

– Ściśle biorąc, od dzisiaj, panie generale – powiedział Nowak krztusząc się od zapału. Nie wiedział dobrze, czy ma stać na bacność jak posąg, czy też byłoby wskazane, żeby za pomocą gorączkowych ruchów demonstrował energię i ruchliwość. W ogóle nie wiedział nic.

– A poprzednik pański?

– Odkomenderowany na front, panie generale.

– Na jaki front? – zapytał Luschke z zainteresowaniem. I nie otrzymał od Nowaka odpowiedzi. Generał wyczuwając instynktownie, że Stamm ma mu coś do powiedzenia, spojrzał na niego przelotnie.

Stamm uznał to spojrzenie za zachętę i powiedział usłużnie: – Pan kapitan Schulz znajduje się jeszcze w mieście, panie generale.

– Kto taki? – zapytał spokojnie Luschke udając, że przygląda się z zaciekawieniem papierom rozpostartym przed nim na stole.

– Pan kapitan Schulz – powiedział bombardier. Generał-major Luschke uniósł wolno swą bulwiastą twarz i omijając wzrokiem porucznika Nowaka spojrzał badawczo na bombardiera Stamma. Oczy jego rozbłysły, ale głos pozostał nie zmieniony – cichy, ostry, przenikliwy.

– Niech kapitan Schulz niezwłocznie zamelduje się u mnie – powiedział.

Wysil pamięć, dziewczyno – rzekł podporucznik Asch do swojej towarzyszki – nawet gdyby ci to miało przyjść z trudem.

– Robię, co mogę – odparła wojowniczo Barbara.

– Wiele nie możesz – skostatował Asch nieprzyjaźnie i rozejrzał się badawczo dookoła. – Naprawdę nie pamiętasz już żadnego adresu?

– Ani dokładnie, ani nawet w przybliżeniu. Wszystko, co mi było wiadome, już przecież powiedziałam.

Siedziała obok niego na przyczepce motocykla otulona prochowcem i przyglądała mu się z rosnącą nieufnością. – Chyba pan pułkownik Hauk szczegółowo...

– A właśnie że nie! – odparł Asch. – Mam wrażenie, że się nie liczył z twoją mizerną pamięcią. Nawiasem mówiąc, i ja o wiele więcej się po niej spodziewałem.

– W każdym razie nazwa tej miejscowości była niejednokrotnie wymieniana.

– Także w twojej obecności?

– Nie bezpośrednio. Ale słyszałam.

Podporucznik Asch tkwił w zamyśleniu na motocyklu, który zarekwirował dla „celów specjalnych” wkrótce po leśnym spacerze z Barbarą przez linie amerykańskie. Miejscowość, w której się znajdowali i której nazwa padła kilkakrotnie w „przypadkowo” podsłuchanych przez Barbarę rozmowach między Haukiem a Greiferem, robiła wrażenie wymarłej. Przemierzył ją kilka razy i nie natrafił na ślad tego, kogo szukał.

– Jak się nazywała kobieta, do której mieli zamiar się udać? – zapytał Asch.

– I tego dokładnie nie wiem.

– A może, dziewczyno, tym razem wiesz przynajmniej coś w przybliżeniu!

Barbara zdawała się natężyć swój mały mózdzek w sposób wywołujący współczucie. Asch życzył jej szczerze, by te wysiłki przyniosły korzystny rezultat. Byli z siebie nawzajem niezadowoleni, spodziewali się po sobie znacznie więcej. Ale nie tracili nadziei, że życzenia ich spełnią się choćby częściowo.

– Coś w rodzaju „Billich” albo „Cillich”, albo podobnie – powiedziała Barbara, przy czym czoło jej pokryło się głębokimi zmarszczkami wywołanymi przez wysiłek mózgu.

– Potrafisz zwalić z nóg najmocniejszego chłopca – oświadczył Asch.

– Potrafię – odparła natychmiast Barbara, uśmiechnęła się przy tym wydając ledwie dosłyszalne, gruchające dźwięki i mrugnęła doń wielce obiecująco.

Asch otrząsnął się, jakby miał do czynienia z jakimś ogromnym świństwem, którego na razie nie można naprawić i które niestety się stało, wprawił w ruch motocykl i pojechał z Barbarą do siedziby burmistrza. Tutaj kazał pisarzowi gminnemu, który z uporem trwał na swym stanowisku, przedłożyć sobie karty meldunkowe mieszkańców. Przerzucał je w obecności Barbary, która mu asystowała ze znużoną miną.

– Nie ma w tej dziurze nikogo nazwiskiem Billich czy Cillich – rzekł po chwili. – Czyś się, złotko, nie przestęsała?

– Możliwe – rzekła Barbara.

Asch zaklął krótko i siarczyście. Potem ponownie zaczął grzebać w kartotece i odnalazł wreszcie dwa nazwiska brzmiące podobnie jak „Billich” i „Cillich”. Jedno brzmiało Milch, drugie Willrich.

– Czy to mogło być Milch? – dopytywał się Asch.

– Możliwe.

– A może Willrich?

– Także możliwe.

– Chciałbym tylko wiedzieć – rzekł Asch z niezadowoleniem – na czym polegają twoje zalety. Bo przecież coś w sobie mieć musisz.

– Ja myślę – powiedziała Barbara bez żenady, tłumiąc śmiech. Podporucznik Asch zanotował sobie oba adresy i z powrotem wpakował dziewczynę do przyczepki. Na-przód pojechał do Milcha. Był to sędziwy, jąkający się rentier mieszkający w nędz-nym pokoju. Asch zorientował się na pierwszy rzut oka, że ten staruch nie może być brany pod uwagę w tego rodzaju przedsięwzięciach, ruszył więc do Willricha na uli-cę Wiosenną 3.

Dom, przed którym się zatrzymali, wydawał się opuszczony. Asch zadzwonił, nikt się nie odezwał. Kopnął furtkę, która nie była zamknięta, zadzwonił do drzwi wej-ściowych. I tutaj nikt się nie odezwał. Obszedł budynek, spróbował spojrzeć w okna, zabębnił w szybę – wydawało się, że dom jest istotnie nie zamieszkanym.

Asch nie wiedział, co począć. Rzucił przelotne spojrzenie na Barbarę, która stała przed ogrodową furtką i nerwowymi ruchami usiłowała oczyścić się z kurzu. Zasta-nawiał się nad tym, czy po prostu nie zawrócić i zrezygnować, czy nie byłoby naj-lepiej spakować wszystko, pojechać do domu, uznać wojnę za zakończoną.

Barbara podeszła bliżej, spojrzała z zainteresowaniem na dom i powiedziała po chwili. – Zupełnie dobre pomieszczenie.

– Może – rzekł Asch.

– Przecież gdzieś spać musimy. Dlaczego nie tutaj? Spojrzawszy na nią Asch ob-szedł dom powtórnie, tym razem w wyraźnie określonym celu i bez przeprowadzania dłuższych oględzin. Zatrzymał się przed oknem w oficynie, podniósł prawy łokieć i wybił nim szybę. Szkło posypało się z trzaskiem na ziemię.

– To przynosi szczęście – powiedziała naiwnie Barbara idąca za nim krok w krok.

Asch wpakował ostrożnie rękę do otworu, który powstał wskutek wybicia szyby, odryglował okno i otworzył je. Potem wszedł do domu i zaczął się rozglądać. Zna-lazł się w dobrze urządzonej kuchni, o której nie można było powiedzieć, że była czysta. Minąwszy ją wyszedł na korytarz, otworzył dwoje drzwi i zajrzał do środka. W końcu otworzył trzecie drzwi, prowadzące do saloniku.

Ujrzał tu człowieka leżącego w kałuży krwi. Było to podkurczone stworzenie o długich włosach, z bezwładnie rozrzuconymi rękami. Miało się wrażenie, że nogi le-żącej we krwi kobiety są Sztywne, jakby skamieniałe.

Asch stał przez kilka sekund bez ruchu. Wydawało się, że nasłuchuje. Potem pod-szedł do kobiety leżącej na podłodze jak worek, ukląkł i pochylił się nad nią.

Jeden rzut oka, jedno dotknięcie wystarczyło, by stwierdzić, że ma przed sobą tru-pa. Widział już wielu nieboszczyków, miał doświadczenie w oglądaniu zwłok i me-lancholijną obojętność zawodowego grabarza. To jednak, co ujrzał tutaj, było czymś

osobliwym. Poczł to od razu i po niedługiej chwili uświadomił sobie, na czym ta osobliwość polega: trupy leżące na dywanie należały na wojnie do rzadkości.

Asch podniósł się i wyszedł zamykając za sobą szczelnie drzwi. Przez korytarz wszedł znowu do kuchni.

– Czy mam włązić przez okno? – zapytała Barbara opierając swój okazały biust o parapet. – Nie chce pan mnie ująć pod ramiona?

– Tylko spokojnie – powiedział Asch, który po tym, co zobaczył, nie odczuwał wielkiej chęci do zabawiania się z Barbarą. Otworzywszy tylne drzwi, które były od wewnątrz zamknięte i zaryglowane, wpuścił Barbarę.

Chciała natychmiast obejrzeć dom i przepychając się obok Ascha ruszyła w stronę korytarza. Była osobą bardzo przedsiębiorczą, a ponieważ Asch nie chciał wziąć udziału w jej ulubionym zajęciu, odczuwała potrzebę działania na innym odcinku.

– Idź do kuchni, dziewczyno – powiedział Asch cierpko. – Tam będziesz najbezpieczniejsza. Potrafisz zagotować wodę? Spróbuj. No, idź już.

Barbara usłuchała, nieco nadąsana i niby nieumyślnie otarłszy się o niego biodrami, poszła do kuchni. Otworzyła szafę kuchenną, zrewidowała spiżarnię i z zadowoloną miną stanęła wyprostowana przed Aschem siedzącym obojętnie na kuchennym stole.

– Wspaniałości! – powiedziała. Konserwy jak w dawnych, dobrych czasach. Paszтет z gęziej wątróbki z trufelkami, specjalność pana pułkownika Hauka. Znał się na tym.

– Popatrz, popatrz – powiedział Asch ożywiając się nieco.

– Dokładnie ten sam gatunek?

– Jest także kawa – powiedziała Barbara.

– W takim razie zaparz ją – rzekł i podniósł się z miejsca.

– Ale zrób mocną, taką, żeby mogła w niej utkwić łyżka.

– Doskonale! W ogóle mam różne talenty.

– Zaraz powrócę. A ty tymczasem nie opuszczaj kuchni.

– Właściwie dlaczego?

– Nie pytaj tak głupio, dziewczyno. Zaparz lepiej kawę, z tym ci bardziej do twarzy.

Barbara zabrała się do gotowania kawy. Asch wrócił po kilku minutach trzymając w ręku napełnioną do połowy butelkę koniaku. Postawił koniak na stole, podsunął go prowokująco dziewczynie.

– Fajna marka – powiedziała Barbara tonem rzeczoznawcy.

– Wydaje mi się znajoma. Na pewno piłam już kiedyś coś takiego.

– Czy twój pułkownik pali cygara? – dopytywał się Asch.

– W ogóle nie pali.

– Na pewno?

– Chyba, ja wiem o tym najlepiej!

Asch skinął głową. Tak, ona musiała wiedzieć! Nie umiał ukryć rozczarowania, które mu ta odpowiedź Barbary zgotowała. Usiadł i z niezadowoleniem spoglądał na koniak. Pasztet z gęsich wątróbek ulubiony przez pana pułkownika? Koniak, który wydawał jej się znajomy? Przypadek, przypadek! A znalezione cygaro?

– Cygara – powiedziała Barbara – pali porucznik Greifer. Zna się na nich.

– Naprawdę? – zapytał Asch z ożywieniem. – Grube, z banderolą, w ochraniaczu z celofanu?

– Pali tylko takie. Woli grube cygara od dobrze zbudowanych dziewcząt.

– To wygląda na niego – powiedział Asch i zamyślił się.

Kapitan Boernes, sprawdzwszy jeszcze raz z Jamesem I i Jamesem II dane dotyczące miast, w których mieli rezydować, stał przy oknie i bębnił nerwowo w szyby. Był niezadowolony, bardzo niezadowolony. Brutalne teorie Jamesa I na temat konieczności strzelania w potylicę oraz uśmiech Jamesa II, który można by określić jako złośliwy, trapiły go.

Zjawił się ordynans i oświadczył, że niejaki podporucznik Brack, Niemiec, chciałby mówić z nim albo z którymś z oficerów CIC. – Mam go spławić, kapitanie? Czy to załatwi mister James?

– Nie – powiedział Boernes niemal brutalnie. – Zrobię to sam. Dopóki jeszcze nie toniemy w nawale roboty, będę każdy wypadek załatwiał osobiście.

Ordynans kiwnął obojętnie głową i znikł. Kapitan Boernes wyprostował się nieco, nie osiągnąwszy jednak tego, co się w języku żołnierskim określa jako nienaganną postawę, cofnął się od okna i stanął na środku pokoju. Oparł się lekko o stół i nie bez zainteresowania skierował spojrzenie ku drzwiom. Zjawił się w nich podporucznik niemiecki, młody, wysoki, o eleganckich ruchach i długiej twarzy charta.

– Brack – powiedział podporucznik i nie spuszczać z Boernesa badawczego spojrzenia zamarkował salutowanie.

– Proszę – odparł kapitan z rezerwą.

Porucznik Brack bez cienia służalczości, jak gdyby go to niewiele interesowało, poprosił w swojej śpiewnej oksfordzkiej angielszczyźnie o poinformowanie go, czy ma do czynienia z oficerem CIC.

Kapitan Boernes słuchał tej dźwięcznej angielszczyzny nie umiając ukryć całkowicie swego zdumienia i równocześnie podziwu. Kochał ten język, który jego kole-dzy zwykli byli miażdżyć bezwzględnie swymi potężnymi żuchwami, kochał go prawie jak swój język ojczysty.

– Boernes – rzekł po chwili. – Kapitan Boernes, oficer CIC. Ale mówmy po niemiecku. Korzystam z każdej okazji, żeby odświeżyć moją znajomość tego języka, wiele już zapomniałem. Czego pan sobie ode mnie życzy?

– Kapitanie, czy ma pan coś wspólnego z pułkownikiem Thompsonem? C. O. Thompsonem. Chodzi mi o to, czy można do niego dotrzeć? Czy jest pan z nim w kontakcie?

Ted Boernes, ciągle jeszcze oparty o stół, sięgnął niemal automatycznie po swoje okulary, ale ich nie zdjął. – Jak brzmi nazwisko? – zapytał, żeby zyskać na czasie.

– Pułkownik C. O. Thompson. Przecież było planowane mianowanie go szefem CIC w obsadzonych przez wojska amerykańskie Niemczech. Zgadza się?

Ted Boernes zdjął teraz okulary. Wodniste oczy, którymi zdawał się przeszywać Bracka, pozostawały nieruchome. Tylko usta rozchyliły się nieco.

Po chwili powiedział uprzejmie: – Proszę, niech pan siada.

Brack zajął miejsce. Patrzył na Boernesa. Czuł, że dotarł do człowieka, którego nie wolno nie doceniać.

– Pan pali? – zapytał Boernes.

– Dziękuję, nie – odparł uprzejmie Brack i milczał wyczekująco.

– A więc, pułkownik C. O. Thompson – rzekł powoli Ted Boernes i nie śpiesząc się zapalił papierosa. – Jeżeli istnieje, gdybym miał z nim istotnie kontakt, to co z tego?

– Prosiłbym pana jedynie o zawiadomienie pułkownika C. O. Thompsona, że się u pana zameldowałem. Chętnie pomówiłbym z nim.

– Prywatnie? – zapytał Boernes z czujną uwagą.

– Nie wiem, kapitanie, czy można to określić jako sprawę prywatną. Niestety nie wyznaję się na waszych przepisach służbowych. Decyzję pod tym względem muszę pozostawić panu.

Ruchem niemal ceremonialnym Ted Boernes znowu włożył okulary. Odszedł od stołu, wziął krzesło i usiadł tuż naprzeciwko Bracka.

– Mogę pana czymś poczęstować? – zapytał. – Jeżeli pan nie pali, to może napiłby się pan szkockiej whisky? A może miałyby pan ochotę na lody?

– Chyba później – odparł Brack uprzejmie. Siedzieli naprzeciw siebie i przyglądali się sobie z wytworną rezerwą. Słońce wiosenne rzucało przez okna jaskrawe promienie, w których rozpływał się dym papierosa Boernesa. Za oknami w białoniebieskich obłokach huczał samolot. I zdawało się, że gruby, czerwony dywan leżący pod ich nogami przygłusza wojnę.

– Czego pan oczekuje od pułkownika Thompsona?

– Mego natychmiastowego zwolnienia.

– Gdybym chciał, mógłbym to również zrobić.

– Ależ kapitanie, pan mnie przecież wcale nie zna.

– Czy pułkownik Thompson zna pana?

– Tak. Zna przede wszystkim dobrze mego ojca. Są przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi w interesach?

– To także. Ojciec mój posiada obywatelstwo amerykańskie.

– A pan? Jakże pan doszedł do tego munduru?

– Ojciec i matka są rozwiedzeni. Mieszkałem u matki, studiowałem jako obywatel niemiecki w Niemczech. No i zostałem natychmiast powołany.

- A potem pięć opromienionych chwałą lat wojny.
- Właśnie tak.

Ted Boernes skinął z zadowoleniem głową. Teraz sytuacja wydawała mu się znacznie jaśniejsza, sylwetka siedzącego przed nim mężczyzny rysowała się coraz wyraźniej. Był to niewątpliwie człowiek wysoce inteligentny, ale nie cwaniak. Nie należał do graczy niebezpiecznych, był jedynie inkasentem rachunku, który łatwo uda się wyrównać, i to nawet z zyskiem, jeżeli potrafi dotrzeć do punktu wyjścia całej tej sprawy.

– Ma pan zasługujące na zaufanie dowody? – zapytał kapitan tonem urzędowym.

– Sądzę, że tak – powiedział Brack i wyciągnął z kieszeni niewielki plik przygotowanych dokumentów: książeczkę żołdu, prawo jazdy, listy, fotografie oraz dwa odpisy aktów urzędowych.

Boernes uporządkował papiery pewnymi ruchami rąk i zagłębił się w nich. Pochłonięty tym zajęciem, kazał się połączyć z kwaterą główną, z pułkownikiem C. O. Thompsonem. Równocześnie rzucił od niechcienia kilka pytań. Czy Brack był już w Ameryce? Czy był w Stanach Zjednoczonych? I gdzie? Ach tak, w Milwaukee. A stamtąd w Chicago? Był również w Bostonie i New Yorku? Bardzo pięknie. – A w stanie Wisconsin pan nie był?

Brack uśmiechnął się uprzejmie. – Przecież Milwaukee leży w stanie Wisconsin.

– Był to tylko taki żarcik – odparł Boernes.

Po upływie krótkiego czasu połączono kapitana z kwaterą główną, z pułkownikiem C. O. Thompsonem osobiście. W słuchawce zabrzmiał syty, potężny głos szefa. Był tak doniosły, że napełnił swym dźwiękiem cały pokój. – No cóż, Ted, co porabia pańska wojna?

Ted udał, że nie słyszy tej aluzji do jego pochodzenia. Przyszło mu to tym łatwiej, ponieważ znał pułkownika. C. O. Thompson był jak niedźwiedź, brutalny, mocny, ale dobroduszny. Nawet kiedy kogoś likwidował, a zdarzało się to od czasu do czasu, kiedy nagle walił w kogoś swą potężną łapą, oczy patrzyły w ten niedobry świat dziecinnie i pogodnie.

Kapitan Boernes mówił przez jakieś trzy, cztery minuty. Najpierw złożył krótki, nie pozbawiony fantazji, ale właściwie niewiele mówiący raport. Potem poprosił o dwie niewinne informacje myśląc sobie: „Rozmowa ta nie może mieć charakteru prywatnego, przynajmniej wyłącznie prywatnego. Nie wolno człowiekowi tak niebezpiecznemu jak C. O. Thompson dawać wygodnej okazji do ataku.” Nie porzucał więc służbowego tonu.

Thompson przerwał mu dobrodusznie i powiedział: – Chyba ma pan do zaoferowania, coś bardzo delikatnego i specjalnego, jeżeli mówi pan ze mną tak napuszenie.

Boernes nie odkładając słuchawki zaśmiał się krótko – i przyjąwszy słowa Thompsona za wyraźne wezwanie, odkrył karty. Stoi obok niego Brack, Frank Thomas Brack, syn starego Charlie Bracka. Ted zbadał jego papiery, są okey. – Robi

wrażenie człowieka, którego można zużytkować. Chciałby pomówić z panem. Co pan na to?

Syty głos Thompsona promieniał życzliwością, niedźwiedź poczuł miód. – Ma pan drugą słuchawkę, Ted? Jeżeli tak, niech pan ją da Brackowi i proszę słuchać rozmowy.

Kiedy Brack przyłożył do ucha słuchawkę, zapytał: – Halo, Frank, czy to naprawdę pan?

– Halo, mister Thompson. Tu mówi Frank Thomas Brack. Ma pan wiadomości o moim ojcu?

– Owszem. I to dobre. Powodzi mu się wspaniale. Interesy kwitną, a zdrowie z tego powodu nie cierpi. Niech mi pan powie, Frank, kiedy pan otrzymał ostatni list od ojca?

– Przed trzema miesiącami, kontrabandą przez Szwajcarię.

– List, który napisał w listopadzie?

– Tak. Ten właśnie list.

Po krótkiej pauzie Thompson ciągnął dalej: – Tak. Pamiętam. Pisał go z Buenos Aires.

– Nie – sprostował uprzejmie Brack – z Waszyngtonu. Odwiedził tam pana wtedy.

– Zgadza się – rzekł Thompson. Brzmiało to tak szczerze, jak gdyby istotnie to sobie przypominał; Ted Boernes powstrzymywał się z trudem, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem. – Zgadza się. Był wtedy u mnie.

– Jakże się powodzi mojej siostrze Korze?

– No cóż – odparł Thompson, tym razem z pewnym ociąganiem – wyszła za męża.

– Chyba nie za tego masarza z Montevideo? – Nie, nie za tego. Za mnie.

– Oho! – zawołał Brack zaskoczony. Opanowany na ogół Ted Boernes nie umiał już utrzymać się w ryzach. Zaczął po prostu rzeć do telefonu.

Pułkownik C. O. Thompson powiedział poważnym, nieco grubiańskim tonem: – Niechże się pan pozbiera do kupy, Ted! Przecież szef pański nie jest figurą z pisma humorystycznego.

Kapitan Ted Boernes zapewnił z taką samą powagą, iż nawet mu przez myśl nie przeszło porównywać swego poważnego szefa z figurą z pisma humorystycznego.

– Tak też sobie wyobrażałem – powiedział Thompson pojednawczo. – Ma pan przecież takt!

– Jeżeli nie takt, to w każdym razie rozum – zapewnił Boernes wieloznacznie.

– Liczę się z nim, Ted, specjalnie w tym wypadku.

Po wzajemnych zapewnieniach, że jeden drugiego świetnie we wszystkich punktach zrozumiał, rozmowa została szybko zakończona. Reasumując ją, pułkownik dał następujące wytyczne: – Brack może przybyć do mnie do kwatery głównej, jeżeli tego chce. Może także u pana pracować. Niech mu pan da tyle swobody, za ile pan może w pańskiej sytuacji odpowiadać.

– W porządku – powiedział Ted Boernes, przełknął tę salomonową decyzję, która, jak to było w zwyczaju, przerzuciła na niego całą odpowiedzialność, i odłożył słuchawkę.

Rozsiadł się wygodnie w pełnej świadomości, że będzie to całkowicie odpowiadało intencjom potężnego C. O. Thompsona, jeżeli teraz powźmie szybkie i wielkoduszne decyzje. Powiedział:

– Jakże będzie z nami, panie Brack? Będziemy ze sobą współpracowali?

– Na razie – odparł Brack wymijająco – chciałbym wiedzieć, co się stanie z moim rannym kolegą, majorem Hinrichsenem?

– Pod tym względem nie jesteśmy małostkowi. Zawsze potrzebni nam są dobrzy współpracownicy. Jeżeli pan za niego ręczy...

– W tych zwariowanych czasach – rzekł uprzejmie Brack – nie ręczę nawet za siebie.

– Ten kłopot – zakończył niemniej uprzejmie Ted Boernes – niech pan spokojnie pozostawi nam. Trzeba dzisiaj wiele ryzykować, by cośkolwiek osiągnąć.

Witam uprzejmie waszą wielbność – powiedział stary Freitag w więziennej celi i spojrzał na proboszcza Westhaus z owym sceptycznym zdziwieniem, które jest właściwe niewierzącym, gdy stają w obliczu czegoś zdumiewającego. – Chyba nie zamierza ksiądz proboszcz udzielić mi pociechy religijnej?

– Wprost przeciwnie – odparł poważnie Westhaus. – To raczej ja potrzebuję pańskiej pociechy.

– Dom mój jest domem księdza proboszcza! – zawołał majster Freitag i rozpostarł ramiona, ale tylko po to, by wskazać na gołe ściany celi. Uśmiechnął się chytrze i usłużnie zrobił nieco miejsca na swej pryczy.

Proboszcz Westhaus, wysoki, o wychudzonej twarzy wyczerpanej długim nocnym czuwaniem, nie ociągał się ani przez chwilę i uśmiechając się z zakłopotaniem, rozsiadł się na pryczy. – To już paskudne świństwo! – powiedział z całym przekonaniem.

– Niech wasza wielbność nie używa takich słów – doradzał Freitag.

– Przecież zachowuję się jak baranek – powiedział Westhaus z melancholijną pokorą; podbródek jego był jednak wojowniczo wysunięty, a na kolanach leżały potężne pięści.

– Tak właśnie wyobrażałem sobie zawsze łagodnego baranka – oznajmił stary Freitag.

– Panie Freitag – mówił dalej proboszcz Westhaus – nie przyszedłem, żeby ofiarować panu moje usługi jako duszpasterz. Nie przyszedłem tutaj w charakterze kapłana więziennego. Stanowisko, które objąłem ze względu na to, że jestem na miejscu jedynym duchowym mego wyznania, daje mi dostęp do pana.

– Ciesz się mnie bardzo, że ksiądz mnie odwiedza – powiedział majster Freitag – może i ja kiedyś odwiedzę księdza dobrodzieja.

– Wyznaje pan inną religię – ustalił ksiądz proboszcz – a może w ogóle nie wyznaje pan żadnej religii. Ale w tej sytuacji nie jest to dla mnie interesujące.

– Przebaczymy naszym nieprzyjaciołom?

– Czy byliśmy kiedyś nieprzyjaciółmi, panie Freitag? Najwyżej przeciwnikami. Ale jakie to ma znaczenie? Czy w ciągu dwunastu lat nie pchaliśmy tych samych taczek?

– I nie posunęliśmy się ani o krok dalej.

– Ale pchaliśmy.

Freitag odsunął się nieco, natrafiając plecami na pobielony mur. Nie patrząc w oczy proboszcza lustrował oczyma ponure pomieszczenie, przypominające skrzynię. Po chwili zapytał: – Po co ksiądz tu przyszedł?

– Przede wszystkim, żeby przekazać panu pozdrowienia. Od pańskiej córki i wnuków. Wszyscy są zdrowi i, o ile to dzisiaj w ogóle możliwe, dobrej myśli.

– Czy ma wiadomości od swego męża?

– Bezpośrednio nie. Porucznik Asch, jak oświadczył pewien bombardier, podobno jest w drodze do nas. Widocznie coś go zatrzymało. Ale należy chyba do ludzi, którzy zawsze znajdą anioła opiekuńczego.

– Dziękuję waszej wielbności – rzekł Freitag. – Cieszy mnie bardzo, że wszystko jest w porządku. Przy takich wiadomościach godzę się nawet z aniołami opiekuńczymi. Proszę mi jednak powiedzieć, jaki jest prawdziwy powód pańskiego zjawienia się.

– Przyszedłem, żeby pana napomnieć, panie Freitag – zawołał proboszcz bardzo dobitnie.

– Mnie? – zapytał Freitag szczerze zdziwiony i zmienił pozycję, w jakiej siedział.

– Dlaczego mnie? Siedzę tu w więzieniu, innym potrzebniejsze są napomnienia.

– Beznadziejne, bezcelowe, bez sensu! wykrzyknął proboszcz Westhaus. – To, co się tam odbywa – po tych słowach wyciągnął oskarżycielko prawe ramię – nie da się już powstrzymać.

– Miasto nasze – sprostował ze spokojem Freitag – leży po pańskiej lewej ręce, księżę proboszczu.

Proboszcz opuścił spiesznie ramię. Patrzył teraz badawczo na siedzącego przed nim człowieka. – Pomówmy zupełnie szczerze, panie Freitag – zwrócił się do niego z apelem. – Czy jest pan tutaj dobrowolnie, czy też nie?

– Nie dobrowolnie, ale chętnie.

– Czy nie chodzi tu o grę z góry ułożoną?

– Karty rozłożyły się pomyślnie, oto wszystko. Nie było tu oszustwa. Żeby tak powiedzieć, byłem na tapecie – można mi było udowodnić tuziny wypowiedzi antypaństwowych, graniczących nawet ze zdradą stanu. Ku ogólnej radości elementów państwowotwórczych zostałem więc zamknięty. Na wytoczenie mi procesu nie będzie chyba już czasu. Właściwie żałuję tego, zawsze marzyłem o większym forum.

– A pański najserdeczniejszy przyjaciel i powinowaty, właściciel kawiarni Asch, ten arcyhitlerowiec...

– Wasza wielebność – rzekł Freitag ze spokojem – proszę nie zapominać, gdzie się wasza wielebność znajduje. A przede wszystkim proszę nie uważać, że jestem na spowiedzi. Nie potrafiłbym zdobyć się na to, żeby przyczynić księdzu tyle cierpienia, żeby udręczać duszę księdza.

– Niechże mnie pan zrozumie – perswadował Westhaus, gwałtownie gestykulując.
– Niech pan spróbuje mnie zrozumieć.

– To mnie proszę zrozumieć, księże proboszczu. O ile jestem dobrze poinformowany, tego rodzaju wysiłki są związane z powołaniem waszej wielebności.

– Tak, to do mnie należy! I między innymi dlatego tu przyszedłem. Pragnę tylko, żeby mnie pan zrozumiał. Zależy mi na tym; proszę nawet pana o to.

– Zaczynam rozumieć coraz mniej – powiedział wolno Freitag.

Proboszcz Westhaus zaczerpnął głęboko powietrza. Wyciągnął ręce i wydawało się, że chce je położyć na ramionach Freitaga. Ale tamten wywinął mu się zręcznie.

– Niech pan posłucha, panie Freitag. Mam nadzieję, że zastanawiał się pan nad tym, co się teraz stanie.

– Nie myślę o niczym innym od lat dwunastu.

– Miasto nasze – wykrzyknął Westhaus z emfazą – to kocioł czarownic. Prawie wszyscy smażą się w nim ze swoimi lękami, pożądaniami i chuciami, ze swoją żądzą zabijania lub zgniłą obojętnością. Już jutro albo pojutrze przyjdą Amerykanie i samo ich przybycie zagasi ogień pod tym diabelskim kotłem. Ale w samym kotle będzie na razie wrzało, oparzenia nie ustąpią, rany od ognia długo się nie zabliznią. Przemina tygodnie, miesiące, może nawet lata, nim temperatura w naszym mieście znowu stanie się normalna.

– Zanim przyjdzie następny, znowu wznieci ogień i skłoni poczciwych Niemców do tego, żeby się ustawili w szeregi i stali się podpalaczami.

– To się nie stanie nigdy, nigdy!

– Ksiądz chyba wierzy w to, co jest napisane w Biblii, a może utknął ksiądz na historii raj?

– Zostawmy to! – zawołał Westhaus. – Niech pan nie szuka wykrętów, kiedy chodzi o kwestie związane z nagą rzeczywistością. Jedno jest pewne: życie musi iść dalej i będzie dalej szło. Z gruzów musi powstać nowy porządek. My dwaj powinniśmy się w tym celu połączyć.

– Dlaczego właśnie my dwaj?

– Wie pan o tym równie dobrze, jak ja. Nowe czasy potrzebują ludzi, którzy nie czołgali się przed narodowym socjalizmem na brzuchu. Potrzebni im są ludzie humanitarni, liberalni, o chrześcijańskich zasadach.

– Pełno ich w obozach koncentracyjnych, a poza tym proszę nigdy nie zapominać, że wielu z nich tylko dlatego nie włożyło hitlerowcom do tyłków, ponieważ ci pano-

wie nie dawali im do tego sposobności. Niewyżyci wazeliniarze dnia wczorajszego będą się gorliwie pchali między bohaterów ruchu oporu. Zwyczajni kryminaliści, którzy przecież również siedzieli w obozach koncentracyjnych, każą sobie okazywać honory jako antyfaszystom. Jeżeli ksiądz chce dokładnie wiedzieć, księżę proboszczu, to i mnie nikt nie wzywał, żebym wstąpił do partii, która miała mieć monopol na zbawienie. Może to główna przyczyna, dla której w niej nie jestem.

– Niechże pan da spokój tym swoim dialektycznym łamańcom, w tej chwili decydujące jest przecież jedynie to, co się w najbliższych dniach stanie. Nam dwóm przypadną w udziale ważne decyzje z chwilą zjawienia się Amerykanów. Panu jako staremu działaczowi związkowemu, mnie jako reprezentantowi instytucji niemiełej Trzeciej Rzeszy.

– Gdyby tak miało być istotnie – powiedział Freitag z głębokim przekonaniem – porachujemy się. Dokładnie. Nie darowując ani jednego feniga.

– Przebaczymy i zapomnimy – zapewnił proboszcz Westhaus z niemniej głębokim przekonaniem – łagodnością naprawimy błędy przeszłości.

– O nie, nie zrobimy tego! – zawołał stary Freitag z uporem. – Kto się wzbogacił, tego uczynimy biedakiem. Kto kazał wieszać albo wieszał, tego powiesimy. Tylko temu, który uległ omyłce i nie przelewał krwi, przebaczymy.

– Nie! – zaprzeczył gwałtownie Westhaus. – Nie, nie. Oznaczałoby to odpłacać morderstwem za morderstwo. Musi teraz przyjść wielkie przebaczenie. Puszczanie w niepamięć, absolucja.

– Księżę proboszczu – powiedział twardo majster Freitag – mamy teraz jedyną szansę wyeliminowania wszystkich niemieckich szubrawców albo przynajmniej napiętnowania ich. Jeżeli to zrobimy, będziemy mogli nareszcie odetchnąć. Jeżeli tego nie uczynimy, to po dziesięciu, piętnastu latach znowu wypłyną na powierzchnię ludzie o wielkich pyskach i krótkiej pamięci. Będą udawali, że w ogóle nic się nie stało. Tłum będzie im przytakiwał, jak gdyby nigdy nie widział tych tchórzliwych, żalonych i śmierdzących łotrów w najgłębszym błocie.

– Nie stanie się to nigdy – stwierdził proboszcz z przekonaniem. – Upadliśmy tak nisko, jak jeszcze nigdy na przestrzeni naszych dziejów. Tego nikt nigdy nie zapomni. Ran tak głębokich nie zadał sobie żaden naród. Jeden teraz tylko obowiązuje postulat: goić je, goić.

– Nic dobrego z tego nie wyjdzie.

– Tu więc rozchodzą się nasze drogi – rzekł proboszcz Westhaus z wielką powagą. – Kościół, którego jestem sługą, to schronienie uciśnionych i prześladowanych. Nigdy jeszcze nie pokazałem drzwi nikomu, kto potrzebował mojej pomocy. Wielu do mnie w ubiegłych latach przychodziło. Byli wśród nich Żydzi, socjaliści, wolnomyśliciele, dezertery i komuniści. W latach następnych przyjdą inni.

– Bonzowie partyjni, militaryscy, pachółkowie katów, fabrykanci broni – i komuniści.

- Dlaczego nie. Pomogę im, jeżeli przyjdą, tak jak pomagałem zawsze.
- W takim razie, księżu proboszczu – powiedział Freitag nieustępliwie – ma ksiądz rację. Drogi nasze się rozchodzą.

Pułkownik Hauk uniósł nieco rękę, porucznik Greifer nacisnął mocno hamulec. Koła zaskrzeczały na piaszczystej drodze. Samochód zatrzymał się po krótkim wstrząsie.

– Drugi z kolei dom – rzekł Greifer i wysunął potężny podbródek. Wyłączył silnik. Wygładził skórzane rękawice okrywające mu łapska.

Pułkownik poprawił przelotnie czapkę i wysiadł. Zaczął wypatrywać domu przy ulicy Hindenburga 13. Greifer wyskoczył z wozu i ustawił się przed nim w przepisowej odległości.

– Wcale pokaźna buda – powiedział porucznik nie bez uznania. – Ten cwaniak Brahm ma wcale niezły nos. – Wyciągnął z kieszeni płaszcza czarny, płaski przedmiot, wziął go w obie ręce. Rozległ się twardy, metaliczny dźwięk.

– O ile możliwe – nie – spokojnie rzekł Hauk.

– To tylko na wszelki wypadek – mruknął posłusznie Greifer, zabezpieczył rewolwer i wsunął go znowu do kieszeni. Pieszczotliwie, jak czuły koniarz bijący konia po bokach, poklepał się po udach.

Szli zgodnie obok siebie w stronę domu pod numerem trzynastym. Zapadał mrok. Mogło się wydawać, że odbywają obaj błogi spacer wieczorny. Żwir trzeszczał melodyjnie pod ich butami. Z zawieszonych okien padały wąskie smugi światła, ale nie osiągały ich.

Żelazna brama domu była zamknięta. Pułkownik stwierdził to dotknąwszy klamki. Greifer podbiegł do kraty, wdrapał się na nią i po chwili znalazł się po drugiej stronie. Usunął dwie zasuwy zabezpieczające i szeroko otworzył bramę.

– Dobrze naoliwione – powiedział Greifer i ochoczo zaczął się rozglądać za dalszymi możliwościami działania. – W ogóle buda jest dobrze urządzona, można tu na pewno niezłe przetrwać okres wojny.

– Ostrożnie – powiedział Hauk, i znowu to, co mówił, brzmiało całkowicie obojętnie, jak gdyby tylko uprzejmość zmuszała go do powiedzenia czegokolwiek. Przemierzył ogród, przeszedł przez klomby, skierował się w stronę okien, z których padały wąskie smugi światła.

Dotarły doń głosy. Brutalne, głuche, raz donośne, to znowu ledwo dosłyszalne. Rozległ się brzęk szkła. Przewrócono jakieś krzesło, jakaś kobieta pisnęła krótko. Po chwili histeryczny śmiech zagłuszył wszystkie gwary i hałasy.

– Te łobuzy chleją – powiedział Greifer. – Na nasz rachunek.

– A więc jazda! – rozkazał Hauk.

Silny jak byk Greifer rzucił się na drzwi; jęknęły we wszystkich zawiasach, zamek spadł na podłogę. Greifer znowu przystąpił do ataku. Po chwili drzwi ustąpiły z hukiem, waląc się w stronę ściany. Gwar głosów zamarł. Greifer rzucił się biegiem przez korytarz w stronę drzwi, za którymi paliło się światło, i otworzył je gwałtownie.

nym ruchem.

Siedział tu płatnik Brahm, ze zneruchomiałą, zdziwioną twarzą; miało się wrażenie, że bezmyślne oczy wyciekają z niej po prostu. Siedział trochę na uboczu. Trzech, może czterech pijanych osobników tłoczyło się przy stole. Stały na nim butelki, szklanki, półmiski z mięsem, pootwierane puszki konserw, paczki z keksami, leżały odłamki szkła, dymiły resztki popiołu. Na obrusie pełno było plam z porozlewane go alkoholu. Na pół rozebrana dziewczyna zsunęła się z kanapy jak dziecko, które po zjeżdżalni ześlizguje się do wody.

– Dobry wieczór, panie płatniku Brahm – powiedział pułkownik Hauk zatrzymując się w drzwiach.

Z początku nie otrzymał odpowiedzi. Przewróciła się jakaś butelka, której zawartość spłynęła ze stołu na podłogę.

Greifer wysunął się nieco naprzód i bystrym wzrokiem obrzucił leżące na stole wiktuwały i napitki. Jak wskazywała jego twarz, podobna do dziadka do orzechów, wściekało go, że te łobuzy piją Bisquit Dobouchet, którego strzegł jak oka w głowie. Gniewu tego nie zmniejszył fakt, że nie zobaczył na stole swoich ulubionych cygar.

– No, Brahm – powiedział z niebezpieczną dobroduszością i instynktownie sięgnął do kieszeni płaszcza – jesteśmy więc. Nie spodziewał się pan nas tak prędko, co?

Brahm gapił się na nieoczekiwanego gościa oczyma cielaka. Zebrawszy wszystkie siły spróbował się podnieść, co mu się udało tylko z wielkim trudem. Wykrztusił swój standardowy meldunek: – Płatnik Brahm z dwoma kierowcami i jednym człowiekiem z eskorty oraz dwiema ciężarówkami przybyli zgodnie z rozkazem.

– Dziękuję – odparł pułkownik Hauk ceremonialnie i dotknął palcem daszka czapki. – A więc polecenie, które pan otrzymał, zostało wykonane. – Potem dodał: – Pozostałoby jeszcze do omówienia parę spraw służbowych.

– Tak jest – wyjąkał Brahm. – Tak jest, panie pułkowniku.

– Wynosić się! – zawołał Greifer do żołnierzy. – Ale już, piorunem!

Żołnierze podnieśli się natychmiast, chwiejąc się na nogach ale z niezaprzeczo- nym zapałem. Byli wniebowzięci, że udało im się wyrwać z zasięgu działań porucz- nika, któremu nadali przezwisko „kosa”.

– A zabierzcie ze sobą tego półnagiego wróbelka.

Rozczochrana dziewczyna podniosła się błyskawicznie i ogarnięta nagłym strachem wybiegła z żołnierzami, zostawiając pantofle i pończochy oraz zapach tanich perfum.

– Ależ smak mają te draby – powiedział gniewnie Greifer. – Rzygać się chce, przecież ona nic nie ma, ani z przodu, ani z tyłu, i śmierdzi, dziwka, jak cały burdel.

– Do rzeczy – powiedział pułkownik. Hauk.

– Już się do niej biorę – zapewnił Greifer i ponownie poklepał się z zadowoleniem po kieszeni płaszcza. Stanął przed Brahmem i brutalnie, szybko, gwałtownie zaczął

go zarzucać pytaniami:

– Wszystkie skrzynie zabrane? Których nie zabrano? Które zostały rozbite? Gdzie się znajdują? Czy dobrze zabezpieczone?

Brahm dawał odpowiedzi w tym samym rytmie. Wyrzucał je z siebie jak dobrze funkcjonujący automat. Patrzył przy tym jak pokorny, przestraszony królik na pułkownika Hauka, szukając u niego ratunku, ale Hauk stał pośrodku pokoju, obserwował obojętnie straszliwy nieporządek na stole i udawał, że nic nie słyszy.

– Chcielibyśmy to zobaczyć – powiedział po chwili władczym tonem.

– I to ze wszystkimi szczegółami! – wrzasnął Greifer. – A więc jazda, stary specjalisto od zabawy w chowanego, zrobmy raz remanent.

Brahm skinął kilkakrotnie głową, wyglądał, jak by mu odebrało mowę. Ruszył na przód, Greifer, następował mu na pięty, pochód zamykał pułkownik, jak zawsze z lekko znudzoną miną.

Poszli na strych, do garażu, do piwnicy, do domku w ogrodzie. Brahm świecił usłużnie latarką, Greifer kontrolował dokładnie skrzynie i worki według swojego wykazu. Szukał napisów i znaków, sprawdzał wagę, całość opakowania, stan sznurów.

Po upływie jakiejś godziny powiedział: – Na ogół, panie pułkowniku, wszystko jest z grubsza w porządku.

– Cieszy mnie to – rzekł Hauk.

Usiedli w dużym pokoju dookoła stołu, który Greifer opróżnił jednym ruchem łokcia Greifer obciął jedno ze swoich cygar, Hauk przyglądał się z uwagą swoim paznokciom.

Brahm ocierał olbrzymią chustką do nosa pot z czoła. W ciągu tej krótkiej godziny stał się biedakiem, pocieszał się jedynie myślą, że pułkownik zgodzi się na to, żeby zatrzymał choć część zapasów. Jeszcze raz się udało! Jedno tylko pytanie drążyło mu mózg. Wypowiedział je: – Jak to możliwe, że mnie pan pułkownik tak szybko odszukał?

– Dziwi to pana, co? – rzekł Greifer delektując się swoim przypuszczalnym triumfem. – Nie było tu żadnych czarów ani cudów. To rezultat uprzejmości pańskiej siostry. Dała nam z miejsca adres. No i jesteśmy.

– Tak – rzekł Brahm skonsternowany i pomyślał sobie z gniewem: „Ta cholerna plotkara. No, i są! Tylko dlatego, że & baba nie umiała trzymać pyska”.

– Panie płatniku – zapytał Hauk uśmiechając się lodowato – czy chce pan, żeby pańscy ludzie umarli z pragnienia?

– Jeżeli pan pułkownik sobie życzy... – powiedział Brahm unizenie i natychmiast się podniósł, by spełnić sugestię pułkownika, która była dla niego rozkazem. Wymknął się złożywszy coś w rodzaju ukłonu.

– To był błąd – powiedział Hauk do Greifera po odejściu Brahma. I spojrzał przelotnie na swego współpracownika. We wzroku tym tkwiły dezaprobata, niewątpliwy

wyrzut i ostra nagana.

– Nie rozumiem powiedział porucznik, wyraźnie zbity z tropu.

– Potwierdził pan przed Brahmem, żeśmy byli u pani Willrich.

Greifer otworzył lekko usta i zmarszczył czoło. Zaciąganie się cygarem przestało mu sprawiać zadowolenie. Po chwili powiedział powoli: – Rozumiem.

Zrozumiał naprawdę. Pomyślał: „Brahm wie teraz, że byliśmy u tej Willrich. Jeżeli ona wykitowała, co nie jest zupełnie wykluczone, Brahm wywącha z miejsca, kto to zrobił”.

– Przekłęte świństwo – powiedział Greifer skruszony, jak posłuszny i ambitny uczeń, który nie umie pogodzić się z tym, że zawiódł przy zupełnie prostym zadaniu.

– Niech pan to jakoś uporządkuje – polecił łagodnie pułkownik Hauk.

Greifer skinął głową i zaczął zastanawiać się intensywnie, jak tu wyjść z tej kabały. Wybór możliwości wchodzących teraz w rachubę nie był zbyt wielki. Jak prawie zawsze, chyba najbardziej skuteczne będzie to, co jest najprostsze. Trzeba tu zastosować kurację radykalną. – Zmusimy go do milczenia – zapewnił.

– Niech pan to robi – rzekł Hauk przyglądając się swoim ręką.

Greifer zerwał się energicznym ruchem, podszedł do drzwi prowadzących do sąsiedniego pokoju, w którym znajdowali się żołnierze. Otworzył je i chcąc, żeby Hauk był świadkiem jego twórczych pomysłów, zostawił je otwarte. Stał rozkraczony nogi, z jednym ramieniem nieco pochylonym.

– Słuchajcie no, ludzie – powiedział do gapiących się na niego żołnierzy – wojna się jeszcze nie skończyła i będziemy mieli jeszcze dużo do roboty. Nie ma na to żadnej rady. Warn, ofermę, trochę ruchu nie zaszkodzi.

Żołnierze nie ruszali się. Spoglądali na Brahma, jak by prosili go o pomoc, ale ten trzymał się wyczekująco z tyłu. Potem znowu skierowali wzrok na „kosę”, Greifera, który rozpostarł teraz mapę.

– Przewietrzcie łaskawie swoje tyłki – rozkazał „kosa” brutalnie i niedwuznacznie. – Podejdźcie tu bliżej. Czy mam was do tego zmusić?

Żołnierze, którzy chyba tylko śmierci bali się więcej niż Greifera, przybiegli i ugrupowali się posłusznie dookoła porucznika. Już przedtem, kiedy go ujrzeli, utracili wszelką nadzieję. Teraz instynktem, właściwym wszystkim długoletnim wojakom, zwęszyli, że istnieje możliwość zniknięcia z jego pola widzenia.

– Słuchajcie więc, wy złodzieje! Ruszyć natychmiast na dwóch pustych ciężarówkach. Zameldować się tam, gdzie wypiszę, w komendanturze 426 u porucznika Ostermanna. Przyjęcie towarów i prowiantów dla sztabu jednostki specjalnej pułkownika Hauka! Płatnik wyda nam odpowiednie dokumenty.

– Tak jest! – mruknęli żołnierze.

– A na drogę – powiedział Greifer wielkodusznie – damy każdemu z was po jednej skrzynce z naszych skrzyń specjalnych. Jasne?

– Tak jest, panie poruczniku! – zawołali teraz żołnierze. Tak, wszystko było jasne, zwłaszcza sprawa ze specjalnymi skrzyniami. A poza tym rozkaz jest zawsze rozkazem, zwłaszcza gdy go udziela „kosa”, za którym stoi w dodatku Hauk.

– A waszą siusiumajtkę – zakończył Greifer – możecie sobie zabrać ze sobą.

Trzej żołnierze wraz z przerażoną dziewczyną wylecieli z pokoju jak z procy. Uruchomili obie ciężarówki i odebrali od Brahma, który ciągle jeszcze nie mógł znaleźć języka w gębie, przyznane im skrzynie specjalne. Nadzieja, że raz jeszcze wymkną się Greiferowi, potęgowała ich zapał.

Zacierając ręce Greifer udał się do Hauka. Był bardzo z siebie zadowolony. Dzięki swoim zarządzeniom zbliżał się coraz bardziej do takiego rozwiązania sprawy, jakiego sobie życzył, a właściwie żądał pułkownik. Greifer był prawdziwie dumny ze swoich pomysłów. Oczywiście nie znał żadnej komendantury 426 i żadnego porucznika Ostermanna, wskazana zaś przez niego miejscowość była od dzisiejszego przedpołudnia w ręku Amerykanów. Oni już przesłuchają tych najzupełniej zbędnych złodziejasków, chyba że ci wykażą odrobinę rozsądku, co jest przecież możliwe, i ulotnią się gdzieś po prostu ze swoimi specjalnymi skrzyniami i swoją siusiumajtką.

– Wcale nieźle – powiedział Hauk, i w jego monotonnym głosie zabrzmiała odrobina uznania.

– Powoli – rzekł Greifer z zadowoleniem – zbliżamy się do sedna sprawy.

Dwie puste ciężarówki wiozące trzech żołnierzy i dziewczynę potoczyły się z bramy domu przy ulicy Hindenburga 13 w zapadającą noc. Hałasowały piekielnie, po jakimś czasie znikły pozostawiając smugę śmierdzących gazów. Brahm zamknął za nimi bramę.

– A teraz – powiedział Greifer do płatnika rozkraczając szeroko nogi – zajmijmy się panem, stary amatorze zabawy w ciuciubabkę!

Kapitan Schulz ukrywający swe wzburzenie za parawanem nienagannej postawy wojskowej zasalutował przepisowo i zgodnie z regulaminem wojskowym patrzył generał-majorowi „szczerze i otwarcie w oczy”.

Luschke przyjął meldunek pełnokrwistego wojaka Schulza ze spokojem, jak gdyby chodziło o ofertę sprzedawcy bananów. Podniósł prawicę, w której trzymał rękawiczki, na wysokość piersi.

Przy wielkodusznej interpretacji można by ten ruch określić jako „pозdrowienie hitlerowskie”.

– Słyszałem, że pan miał zamiar odjechać?

– Tak jest, panie generale. Chciałem udać się na front.

– To się dobrze składa, Schulz. Front jest tutaj, a więc znajduje się pan na miejscu.

– Mój dokument podróży, panie generale...

– Niech no go pan pokaże, Schulz.

Schulz sięgnął z pośpiechem do kieszeni i wyłowił z niej wystawione dla niego dokumenty podróży. Nigdy nie przypuszczał, że będzie z nich korzystać. Nawet nie znał ich treści. Ale mógł przynajmniej pogratulować sobie tego, że wpadł na pomysł, by mu takie papiery wystawiono. Wyciągnął je w stronę generała.

Luschke wziął dokumenty i przeczytał je. Na jego bulwiastej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Zakładam, Schulz, że wie już pan na podstawie tych papierów, jaki jest cel pańskiej podróży.

– Tak jest, panie generale! – rzekł Schulz i pomyślał: „Teraz nastąpi wypróbowany trick Luschkego. Bulwa zinterpretuje rozkaz na swój sposób, czyli wywróci wszystko do góry nogami, po czym, uśmiechając się sardonicznie, podrze papiery. Człowiek był wobec tego bezradny; Luschke znajdował zawsze argumenty, które z góry obalały każdy sprzeciw. A więc: do kosza z papierami!”

Ale generał spojrział na Schulza wielkimi, szyderczymi oczyma, złożył starannie dokumenty podróży i zwrócił je kapitanowi.

– Bardzo ciekawe – powiedział i podszedł do okna.

Schulz, mimo wzorowej postawy stropiony i jak zawsze wyprowadzony z równowagi przez nonszalancję Luschkego, po raz pierwszy obejrzał swe dokumenty podróży dokładnie. Nie wierzył swoim oczom! Jako cel podróży widniała dywizja Luschkego. W tej chwili rozszarpałby z rozkoszą bombardiera Stamma, który te dokumenty wypisał.

– Panie generale – wykrztusił z trudem – myślałem...

– Pan myśli? Cieszę się z tego, Schulz. Jeśli pan pozwoli, spróbuję to samo zrobić.

Schulz zaprodukował krótki ukłon, którego się nauczył w kasynie. Uczynił to przy akompaniamencie solidnego stuknięcia w obcasy za szerokimi plecami drobnej postaci generała. Luschke spoglądał przez okno komendy na rynek. Wydawało się, że nie może oderwać wzroku od tego, co się tam dzieje.

Po chwili odwrócił się, podszedł do Schulza i unosząc głowę do góry spojrział na niego. – Schulz – powiedział. – Kto właściwie wydał panu rozkaz zameldowania się w mojej dywizji?

Schulz zaczerwienił się, stracił mocno fason i zaczął bełkotać:

– Moi przełożeni... rozkaz telefoniczny... jakieś cztery godziny temu.

– W takim razie proszę się u mnie zameldować – polecił mu Luschke.

Schulz uczynił to. Formułując niemal wzorowo zdania, złożył meldunek o swoim przeniesieniu do dywizji. Posunął się jeszcze o krok dalej i z męskim, prawdziwie żołnierskim zdecydowaniem poprosił o przydział.

– Dywizja moja jest w proszku – oświadczył Luschke. – A jak sprawy wyglądają w pańskim mieście?

– Obecny komendant garnizonu porucznik Nowak...

– Jest bałwanem – rzekł Luschke z przekonaniem. Kapitan Schulz przytaknął bez

wahania. – Skoro jednak – oświadczył – dywizja została przeniesiona tutaj, to pan generał posiadający w jej zasięgu najwyższy stopień służbowy jest automatycznie komendantem garnizonu.

– W ciągu lat poduczył się pan niejednego – rzekł Luschke ubawiony – ale ciągle jeszcze zbyt mało, żeby móc się odważyć nabić mnie w butelkę. Nie awansuję tutaj – automatycznie na komendanta garnizonu, lecz komenda garnizonu jest mi podległa. Miesza pan to pojęcie z pojęciem dowódcy jednostki bojowej.

– Tak jest, panie generale – odparł bez wahania Schulz. – Chyba to pomieszałem i pozamieniałem.

– Niech pan sobie na ten luksus w mojej obecności nazbyt często nie pozwala, w przeciwnym razie gotów jestem kiedyś również pana zamienić.

– Tak jest, panie generale – zapewnił Schulz uniżenie i znowu stuknął obcasami.

– Niechże pan da spokój tym błazeństwom – powiedział Luschke z niechęcią.

– Tak jest, panie generale – powiedział Schulz i znowu zupełnie automatycznie trzasnął obcasami.

Luschke wykrzywił swoją bulwiastą twarz, jak gdyby go coś zabolalo. Podniósł brwi i spojrzał chłodno ponad Schulza. Potem zbliżył się do planu miasta. Wyciągnął palec wskazujący prawej ręki i dotknął nim planu.

– Pierwszy i ostatni etap tej wojny – powiedział raczej do siebie. – Tu się zaczęło i tutaj się skończy. Wydaje się, że zamyka się krąg, ale to, co się tutaj wydaje kręgiem, jest pętlą.

Schulz zbliżył się do generała z respektem. Podszedł na palcach, balansującym krokiem. Otworzył usta chcąc sobie pozwolić na uwagę.

– Niech pan zachowa swoje mądrości dla siebie – powiedział generał. Niech pan się przestawi na swój rozum koszarowy. Zna pan to miasto od lat, jak nikt inny. prawda?

– Oczywiście z wyjątkiem pana generała.

– Zna pan moją dywizję, względnie resztki, które mi jeszcze pozostały?

– Nie, panie generale.

– Ale jeden z nas obejmie tu komendę. Ten drugi będzie się musiał troszczyć o rozbitków mojej dywizji.

– Tak jest, panie generale – powiedział Schulz z oddaniem i miał niemiłe uczucie, że pobladł. Stary lis znowu wyprowadził go bez trudu w pole, wystrychnął na dudka. A w końcu wyglądało niemal na to, że to nie generał rozkazał, lecz że on, Schulz, wystąpił z odpowiednimi propozycjami.

– Żeby nie było nieporozumień, Schulz – oznajmił Luschke chłodno. – nie żądam od pana, żeby pan uważał to miasto za Termopile, o ile pan w ogóle wie, co to są te Termopile. Nie oczekuję od pana, że zainscenizuje pan tutaj wojnę trojańską.

– Tak jest, panie generale.

– A więc, Schulz, krótko i węzłowato: Nie chcę bałaganu! Nie chcę bohaterów, ale

nie chcę również stada baranów.

– Oczywiście, panie generale – powiedział Schulz, choć nie rozumiał ani słowa. – To się wie samo przez się, panie generale.

– Porucznik Nowak, pański następca na stanowisku komendanta garnizonu, który obecnie jest jednak pańskim poprzednikiem, nie nadaje się tutaj. W ogóle nie zna terenu, a poza tym nie opanował nawet wojskowej tabliczki mnożenia. Pozwala na to, by sprawy szły swoją koleją. Ale ja chcę, Schulz, żeby tutaj ktoś troszczył się o żołnierzy aż do ostatniej chwili. Wyżywienie, umundurowanie, kwatery, opieka, transport, pomoc w razie nagłej potrzeby – wszystko to musi być zorganizowane.

– Rozumiem – rzekł Schulz sądząc, że ma pewne podstawy czuć się zaufaniem generała zaszczycony. Luschke rozmawiał z nim jak z kolegą. Było to u niego równoznaczne z wyróżnieniem, niemal zastępowało awans, za którym wzdychał od tak dawna.

Schulz był o tym przeświadczony. Mówił sobie, że jego postawa żołnierska niezawodnie znalazła u generała uznanie. A to zobowiązuje.

– Żadnych samorzutnych akcji, tylko planowa organizacja.

– Tak jest, panie generale. Planowa organizacja! Czy także w Volkssturmie?

– We wszystkich oddziałach, gdzie noszą jeszcze mundur, i dla wszystkich cywiliów, którzy potrzebują naszej pomocy i którym może pan pomóc. I niech pan będzie wielkoduszny, Schulz.

– Ma się rozumieć, panie generale – Schulz poczuł się znowu zaszczycony.

– Niech pan się troszczy o każdego człowieka, do którego można dotrzeć. Proszę rozporządzać każdym składem, wszystkimi zapasami w zasięgu komendy, Niech pan nic nie oszczędza, nic nie gromadzi. Niech pan dba o każdą osiągalną jednostkę.

– Tak jest, panie generale – odparł Schulz niemal uroczyście. Jak pięknie brzmi w jego uszach to „nic nie oszczędzać, nic nie gromadzić, dbać o wszystko!” Ach, nie będzie nikogo oszczędzał, będzie pilnował, żeby nikt niczego nie gromadził. Jest dla tych celów właściwym człowiekiem. Oto początek jego wielkiej godziny. – Pan generał może się całkowicie zdać. na mnie – zapewnił wielki wojak w wielkiej godzinie.

– Czynię to – powiedział Luschke myśląc sobie: „Cóż mi innego pozostaje.” Po chwili dodał: – Mam nadzieję, że mi pan nie sprawi zawodu. Mam tę nadzieję, leży to również i w pańskim interesie.

Schulz stał wyprostowany i znowu zaprodukował jeden ze swoich ukłonów, których nauczył się w kasynie. Był przekonany, że się świetnie prezentuje. Przekonanie to umocniło się, kiedy nie zauważył u Luschkego żadnej oznaki niezadowolenia.

– Proszę nie zapominać nigdy, że pracuje pan tutaj w zasięgu mojej dywizji – powiedział generał; myśli jego były już daleko przy mapach sytuacyjnych, rozkazach dywizyjnych i ostatnich zarządzeniach różnych kwater głównych, które doń dotarły i które należało rozsądnie interpretować. – Jest mi pan bezpośrednio podporządkowa-

ny. Proszę mi co sześć godzin składać meldunek sytuacyjny. O pierwszy poproszę za trzy godziny.

– A gdzie będzie się znajdowała siedziba pana generała?

– Tutaj. – Generał wskazał miejsce na planie.

– Tam? – zapytał Schulz z niedowierzaniem.

– Dokładnie tam – powiedział generał. – Jak wtedy, kiedyśmy jeszcze wierzyli, że jest maj.

Koniec jego palca wskazywał na koszary artylerii.

Stary Asch zrobił szeroki, jak gdyby przypadkowy ruch lewą ręką i spojrzał ukradkiem na zegarek. Potem, pozornie znudzony, zaczął się przyglądać cywilowi Wedelmannowi i Magdzie, którzy siedzieli na kanapie przytuleni do siebie. Z kolei wzrok jego przewędrował ponad Lorą Schulz, która tkwiła w obitym skórą fotelu, ku bombardierowi Kowalskiemu. Widać było jedynie jego szeroki tyłek: górna część korpusu Kowalskiego utknęła głęboko w bufecie.

– Na próżno pan szuka, panie Kowalski – powiedział stary Asch. – Najlepsze rzeczy zostały wyniesione.

– Właściwie dlaczego? – zapytał bombardier nie zmieniając pozycji. – Dla kogóż to? Przede wszystkim należy brać to, co najlepsze, człowieku! Ostatecznie nie żyjemy tu w żadnym sanatorium. Może się zdarzyć już jutro, że pańska pompa krwionośna przestanie funkcjonować. I kto wtedy będzie chlał pańskiego szampana?

– Prawdopodobnie osobnicy pańskiego pokroju. Bombardier Kowalski wyprostował się. – Mój panie, ja to ja i tam gdzie ja jestem, nie ma miejsca dla nikogo. Przywiązuję do tego specjalną wagę.

– Kowalski był zawsze indywidualistą – powiedział Wedelmann próbując się uśmiechnąć.

– Pan kapitan był łaskaw zauważyć to?

– Nie jestem już kapitanem – oświadczył Wedelmann spokojnie.

– Jeszcze pan nim będzie! – zapewnił Kowalski. – A więc, moi państwo, będzie wesele czy go nie będzie? Muszę się na to nastawić psychicznie. Jeżeli będzie wesele, domagam się szampana. Jeżeli go nie będzie, zabiorę się do gorzały. Jedna pijatka jest bardziej uroczysta, druga wymaga mniej czasu, ale chłanie musi nastąpić tak czy inaczej. A więc, panie Asch, szampan czy wódka?

– Nie mnie należy o to pytać – rzekł stary Asch wymijająco i znowu spojrzał na zegarek.

– Gdyby pan zapytał mnie – powiedziała Lora Schulz i przeciągnęła się wyczekująco – odpowiedziałabym, że można pić szampana również i bez wesela.

– Ale nie pytam panią o to – powiedział Kowalski. – Jako dama należąca do oficerskiego grona stoi pani towarzysko o wiele niżej ode mnie, jestem bowiem bombardierem.

– Jest pan łobuzem – odparła Lora Schulz i uśmiechnęła się do niego.

– Uważam, że z pani morowa kobietka – oświadczył Kowalski. – A ja jestem człowiekiem czynu. Mam dzisiaj jeszcze niejedno w planie, również i to, co pani ma na myśli, madame Schulz, nie tylko jednak to. Na wszelki wypadek chciałbym wreszcie wiedzieć, jak mam sobie rozłożyć czas. Pobiorą się ci dwoje czy nie?

Magda i Wedelmann obrzucili się lęklivymi spojrzeniami i chcąc znaleźć jakąś oporę chwycili się mocno za ręce. – Decyzja w tej sprawie – powiedział Wedelmann – nie zależy niestety ode mnie?

– Od pani także nie, panno Magdo?

– Tak, panie Kowalski, ode mnie także nie.

– Ależ przecież chcecie się pobrać! Więc jazda! Pobierzcie się wreszcie!

– Żeby zawrzeć ślub – rzekł Wedelmann – trzeba urzędnika stanu cywilnego i dwóch świadków. Żeby małżeństwo było formalne, potrzebne są dokumenty.

– Nic łatwiejszego – zawołał Kowalski. – W oparciu o moje stosunki oświadczam, że jesteście sobie poślubieni. Jutro zostaną wam dostarczone dokumenty pierwsza klasa.

– Pan chyba nie jest całkowicie normalny, panie Kowalski – rzekł stary Asch surowo.

– To dziecinna zabawka – zapewnił Kowalski. – Jutro mianowicie przybywa mój kompan od interesów – Soeft.

– Soeft? – zapytał Wedelmann. – Chyba nie kapral Soeft, który kilka tygodni temu...

– On we własnej osobie! Chyba nie będzie mu pan robił wyrzutów, że się urwał nieco wcześniej niż należało? Przecież to nie ma teraz żadnego znaczenia, dwa dni czy dwa miesiące. Pan chyba wie o tym najlepiej.

– Nie zdezerterowałem – odparł Wedelmann z godnością. – Pan generał-major Luschke zarządził osobiście moje zwolnienie, ponieważ nie ma już dla mnie przydziału.

– Jak miło się tego słucha! – zawołał Kowalski. – Jeden mówi od razu: gównu, inny oświadcza, że jakiś smród wali mu w nos. Jeden rzyga, inny ma tylko wymioty. Jedni zdychają, wielu innych umiera bohaterską śmiercią. Ale w gruncie rzeczy rezultat jest ten sam.

– O ile jestem dobrze poinformowany, panie Kowalski – rzekł chłodno Asch – chciał pan właściwie przedsięwziąć coś innego. Nie sądzi pan, że przyszła teraz na to odpowiednia pora?

– Załatwiam swoje sprawy wtedy, kiedy mi się podoba!

– Ale nam nie podoba się pański ton! – Wedelmann nie ukrywał rozdrażnienia.

Kowalski uśmiechnął się do niego beztrąsko i oświadczył: – Pan kapitan pozostaje zawsze panem kapitanem! Ale pozwalam sobie poradzić panu kapitanowi, żeby się pan kapitan zbytnio nie podniecał. Pan kapitan będzie jeszcze z pewnością potrzebował pana kapitana, w każdym razie na weselu pana kapitana.

– Jest pan niemożliwy, Kowalski – oświadczył Wedelmann rozbrojony i zaśmiał się. Nie było na tego Kowalskiego rady.

– Pomówmy teraz poważnie – oświadczył bombardier rzeczowo. – Naprawdę możecie się uważać za poślubionych. Dokumenty już załatwię.

– Panie Kowalski – powiedział stary Asch z wyrzutem – takie papiery mogą wystarczyć chwilowo, ale nie na stałe. Przecież musi również nastąpić wpis do rejestru urzędnika stanu cywilnego.

– A jeżeli rejestr urzędu stanu cywilnego w ogóle nie istnieje, można przecież wziąć się pod pachę i byle gdzie się ochajtnąć.

– Soeft i jego organizacja potrafią to załatwić od ręki.

Stary Asch pokiwał melancholijnie głową. – Miał pan rację, panie Wedelmann, ten Kowalski jest niemożliwy. Z takimi typami nie można wygrać wojny.

– Zbyt wiele zaszczytu – rzekł Kowalski.

– Nie chcę niczego połowicznego – oświadczył Wedelmann. – Chcę zgodnego z ustawami ślubu, na podstawie urzędowych dokumentów, nie budzących wątpliwości. I ty, Magdo, chcesz tego, prawda?

– Zawsze będę robić to, co ty uważasz za słuszne – rzekła Magda prosto.

– To wzruszające – mruknęła Lora Schulz i zasepiła się. Kowalski jak gdyby stracił całkowicie siły i opadł gwałtownie na najbliższe, niezbyt wygodne krzesło.

Stary Asch znowu rzucił ukradkiem okiem na zegarek. Po chwili wahania zapytał: – Decyzja państwa jest naprawdę ostateczna?

– Nie ma tu żadnych wątpliwości – zapewnił Wedelmann. – Prawda, Magdo?

– Nie mam żadnych co do tego wątpliwości.

– Zastanowiliście się państwo nad wszystkim dokładnie i gruntownie?

– Tu nie ma się nad czym zastanawiać – oświadczył Wedelmann szorstko. Magda przytaknęła jego słowom skinieniem głowy. Byli ze sobą zgodni, przynajmniej w tej chwili.

– To naprawdę wzruszające – powtórzyła Lora Schulz, wpatrzona w podłogę. Trudno było określić, czy po tych słowach westchnęła, czy też tylko ze zdziwienia parsknęła.

Kowalski przybrał minę niewinnego baranka i zawołał: – A więc jednak szampan! – Wyglądało na to, że jest nieco rozczarowany.

– Dobrze już – rzekł stary Asch zdecydowanym tonem właściwym kupcom, którzy z ciężkim sercem zgadzają się na wątpliwą transakcję. – Jeżeli chcecie koniecznie, to niech się tak stanie.

– Jak to, jeszcze teraz? Pośród nocy? – zapytała Lora Schulz zaskoczona i w jej wielkich, dziecińczych oczach pojawiły się błyski.

– Noc się jeszcze nie zaczęła – rzekł stary Asch i podniósł się. – Jest, że tak powiem, późny wieczór, nie ma jeszcze dziewiątej. Do dziewiątej czeka na nas urzędnik stanu cywilnego. Zażądałem tego i przyrzekł mi.

– Dziękuję – rzekł ciepło Wedelmann i podniósł się również. Pochylił się czule ku Magdzie, by jej pomóc. Spojrzała na niego z tkliwością i podniosła się.

– Co to wszystko ma znaczyć? – zawołał Kowalski. – Przecież to istne dręczenie zwierząt, panie Asch. Wiadomo panu, że urzędnik stanu cywilnego czeka i nie mówi pan nam o tym ani słowa. Właściwie dlaczego?

– Bo f tak pan by nie rozumiał, panie Kowalski.

– Jeszcze jak pana rozumiem! Chciał się pan po prostu wykręcić od szampana.

– Znowu trafił pan w samo sedno rzekł stary Asch z uśmiechem. Potem zwrócił się do Wedelmanna. – Potrzebuje pan dwóch świadków, czy mogę służyć swoją osobą? Jako drugiego świadka proponuję, mimo zastrzeżeń, pana Kowalskiego.

– Bardzo mi to odpowiada – rzekł Wedelmann ceremonialnie. – Dziękuję panu.

– Wielki to dla mnie zaszczyt! – zawołał Kowalski udając wzruszonego. – Muszę jednak odmówić. Wzywa mnie mój szef. Obrobię go błyskawicznie i zjawię się punktualnie na uroczystość. Uroczystość to sprawa najważniejsza. W charakterze świadka na ślubie zastąpi mnie chyba bardzo chętnie pani Schulz.

– Ależ oczywiście – odparła pani Schulz z gotowością. Wedelmann zeszywniał, miało się wrażenie, że zrobiło mu się zimno. Magda ujęła go pod rękę. Stary Asch, którego uwagi nie uszedł żaden z tych ruchów, przyglądał się Kowalskiemu jak robakowi.

Potem odwracając się oświadczył z całą uprzejmością: – Nie możemy żądać od pani Schulz...

– Ależ dlaczego nie! – zawołała z ożywieniem żądna przygód pani Lora.

– Z pewnością nie będzie nam pani mogła poświęcić tego wieczoru.

– Przeciwnie, panie Asch, poświęcę nie tylko cały wieczór, ale w razie potrzeby i całą noc. Dla pana Wedelmanna uczynię to chętnie, do pewnego stopnia po starej przyjaźni.

– W takim razie wszystko jest w porządku – oświadczył beztrósco Kowalski. – A więc spiszcie się państwo dobrze i nie śpieszcie się zbyt. Należy zawsze zachowywać spokój. Potrzebuję godziny czasu, żeby mego ananasa nabić w butelkę.

– Niechże pan pójdzie sobie już nareszcie! – powiedział nieuprzejmie stary Asch. – Nikt nie myśli o tym, żeby pana zatrzymywać.

– Już mnie nie ma. A chłanie ma się zacząć dopiero po moim przyjściu. Przyrzekliście mi to i trzymam was za słowo. Ani kropli beze mnie, to sprawa honoru. Ten rodzaj honoru jest dla mnie świętością! – Po tych słowach kiwnąwszy niedbale głową wyszedł mocnym krokiem.

– I to jest najlepszy przyjaciel mego syna – stwierdził stary Asch, wstrząśnięty.

– Kawaler w swoim rodzaju – oświadczyła Lora Schulz. – Poczciwiec chciał mi zrobić przyjemność, coś podobnego nie zdarza się teraz.

Magda zdobyła się na odwagę, podeszła do niej i powiedziała: – Bardzo dziękuję pani za uprzejmość. Miło to z pani strony, zechce pani być świadkiem na naszym

ślubie.

– Zejdźmy więc na dół – powiedział stary Asch z niezadowolonym wyrazem twarzy, ale wytwornym ruchem otworzył przed Lorą Schulz drzwi. – Przyjdziecie później, kiedy będziecie gotowi.

– Dziękuję – rzekł Wedelmann, skłonił się uprzejmie i czekał, aż wyjdą. Potem objął Magdę ramieniem i przyciągnął ją do siebie. – Magdo – powiedział – nie mogą ci nic obiecywać. Nie wiem, co będzie, nie wiem, co się stanie. Wiem tylko jedno: kocham cię.

– I ja cię kocham, więcej wiedzieć nie musimy.

Czuł jej ciepło i jej bezwzględna, instynktowna ufność. Ona zaś czuła, jak drży jego mocna ręka, widziała, jak głęboko jest wzruszony. Wydawało im się, że są sami na całym świecie.

– Będziemy musieli uporać się z naszą przeszłością. Ale jak będzie wyglądała nasza przyszłość?

– Uczynię wszystko, co jest w mojej mocy.

– Boję się – rzekł półgłosem.

– Ja również – powiedziała ledwie dosłyszalnie, ale tonem dodającym mu otuchy.

– Ten lęk nie tkwi w nas, on nas tylko otacza. Należy do naszej terażniejszości, ale kiedyś stanie się i on przeszłością.

– Oby jak najprędzej – dorzucił. – Jak najprędzej.

– Żebyśmy się tylko nie musieli bać o naszą miłość.

– Jestem niedobry, piję czasami, nie pogardzałem kobietami, zabijałem, dałem się wykorzystać do niecnego celu, uczyłem moich żołnierzy, jak trzeba umierać, oddawać życie za nikczemną sprawę. Te ręce są lepkie od krwi.

– W tych czasach niczyje ręce nie pozostały czyste. Moje również nie.

– A teraz, kiedy zdjąłem mundur, pytam siebie samego, czy ze mnie tchórz, zdrajca, czy też dureń.

– Dla mnie jesteś najlepszym człowiekiem na świecie. Wedelmann ujął jej dłonie, pochylił się nad nimi i ucałował je. Położyła mu te swoje dłonie na twarz i pieściła go nimi czule. Milczeli oddychając ciężko.

– Chodźmy – powiedział po chwili i nieco szorstko wyrwał się z jej objęć. Zeszli po schodach do sieni, w której czekali świadkowie ślubu.

– Służę pani – rzekł Asch, kawaler starej daty w każdym calu, i podał Magdzie ramię.

– A my? – zapytała Lora Schulz spoglądając na Wedelmanna szeroko otwartymi oczyma.

– Służę pani – rzekł Wedelmann sztywno.

Lora ujęła go pod ramię, przysunęła się do niego blisko i powiedziała nieco ochrypniętym głosem: – Prawie jak w dawnych czasach, prawda?

Chodź no tu, Barbaro – powiedział podporucznik Asch, siedzący przy stole kuchennym.

nym w mieszkaniu Willrichowej. – Podejź bliżej, dziewczyno. Nie zrobię ci nic złego.

– Czego pan znowu chce ode mnie? – zapytała Barbara popijając ostrożnie gorącą kawę. – Co pan chce razem ze mną zrobić?

– Chcę z tobą trochę pogadać.

– O czym?

– Na twój ulubiony temat. O twoim pułkowniku Hauku.

– To nie mój pułkownik – mruknęła ostro Barbara.

– Byłoby to dla ciebie za wiele szczęścia – oświadczył Asch spokojnie. – Obawiam się, żeś nie zasłużyła na nie, ale jeszcze bardziej obawiam się, że będzie diablo trudno wyjaśnić ci to.

– Dlaczego właściwie nie wolno mi wejść do pokoju?

– Nie bądź taka ciekawa, dziecino. Powinnaś się od tego odzwyczaić. Może się bowiem zdarzyć, że wpakujesz kiedyś swój uroczy nosek w taką kabałę, z której nie będziesz go mogła już nigdy wyciągnąć.

– Proszę łaskawie dać spokój tym płaskim poufałościom. Dalecy jeszcze jesteśmy od tego i jeżeli się pan gruntownie nie zmieni, nigdy do tego nie dojdziemy. A więc – co się właściwie stało? Dlaczego zamknął pan pokój? Dlaczego nie mogę tam wejść?

– Po prostu dlatego, że go zamknął. Na razie ten stan rzeczy pozostanie, zanim nie odpowiesz mi na parę pytań. Potem zobaczymy. Powiedz mi więc, jak właściwie wygląda sprawa z twoim pułkownikiem Haukiem? Skąd pochodzi, do jakiej formacji wojskowej należy, dokąd chciał się udać?

– Skądże mam o tym wiedzieć? Stosunek nasz miał charakter czysto prywatny.

– Chętnie w to wierzę, dziewczyno. Ale nawet najprywatniejszy stosunek nigdy nie może być oderwany całkowicie od spraw służbowych. Jazda więc! Kim on był? Dowódcą pułku? Należał do jakiegoś sztabu? Czy pracował samodzielnie? Co w ogóle robił?

– Otrzymywał zawsze zlecenia specjalne. Wprost od Naczelnego Dowództwa, zdaje mi się, że osobiście od führera. Dawniej, o ile mi wiadomo, pracował w koszarach, komendanturach, sztabach i jednostkach służby zaopatrzenia, gdzie zajmował się przygotowaniem żołnierzy na front.

– Nieźle – rzekł podporucznik Asch nadstawiając uszu. – To wygląda na niego. Opowiadaj dalej, moje serduszko. Czym był dawniej i czym był ostatnio?

– Czy dostanę wtedy klucz od pokoju?

– Zawsze bywasz taka uparta?

– Niech mi pan da klucz albo nie powiem ani słowa więcej.

– Taka zaciętość zasługuje właściwie na nagrodę – rzekł Asch i wyłowił z kieszeni spodni klucz. – Oto jest, ale przedtem napij się, koniaku, i to podwójną porcję.

– Pah! – parsknęła nic nie przeczuwająca Barbara, wyrwała mu klucz z ręki i zni-

kła z przedsiębiorczą miną.

Podporucznik Asch siedział sobie dalej na swym miejscu ze stoickim spokojem, zapalił nowego papierosa i czekał. Wyglądał na człowieka, który w ciszy nasłuchuje, czy nie zaczął padać deszcz. Po niespełna trzech minutach Barbara powróciła. Była blada, oczy miała szeroko otwarte, wyglądała, jakby ją ktoś mocno i gwałtownie po-
bił. Trzymała się z trudem na nogach.

– Na miłość boską! – zawołała chwytając się drzwi.

– Wypij trochę koniaku – powiedział Asch. A potem usiądź tutaj.

– Nie pojmuję tego.

– Nigdy dotąd nie widziałaś czegoś takiego?

– Nie.

– Wydaje się, dziewczyno, żeś zatoczyła wokół wojny dosyć wielki łuk. Udało się to tylko nielicznym. Ale taka wojna niezmiernie rzadko zezwala na to, by jej nie do-
strzegać.

– Kim jest ta... nieżyjąca kobieta?

– To nasza gospodyni, pani Willrich.

– Kto ją zabił?

– Moje dziecko, gdybym to dokładnie wiedział, trzymałbym się kurczowo Biblii, a w każdym razie następującego wersetu – oko za oko, ząb za ząb.

– Co zrobimy teraz?

– Zjemy coś – rzekł podporucznik Asch. Musiał przyznać, jakkolwiek z niechęcią, że nigdy nie przypuszczał, by Barbara zdolna była do tego rodzaju reakcji uczucio-
wych, do przerażenia, bezradności i oburzenia. – A potem położymy się spać odkła-
dając sprawę do jutra.

– Tutaj jeść, w tym domu spać?

– Bywają gorsze rzeczy. Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego. Ta sprawa tutaj jest stosunkowo błaha. Czy mam ci opowiedzieć, jak kiedyś leżeliśmy w cia-
snym, schronie, w którym jęczało, wyło, łkało, rzeziło czterech ciężko rannych...

– Nie! – zawołała Barbara. – Nie chcę o tym nic wiedzieć.

– Może to i lepiej dla ciebie. A więc jazda, do roboty! Zobacz, czy jest tu coś do
jedzenia. Przypuszczam, że jest, i to niemało. Ugotuj coś przyjemnego dla żołądka.
Do tego trochę wina, najlepiej mozelskiego. Pełno tego w piwnicy. – Nałożył czap-
kę.

– Dokąd chcesz iść, zostań tutaj! – Rzuciła się ku niemu i obiema rękami otoczyła
jego prawe ramię.

– Chcę złożyć uszanowanie sąsiadom – rzekł Asch wyzwalając się z jej objęć.

– Nie chcę zostać sama.

– Nie jesteś w domu sama, jeżeli zaczniesz krzyczeć, natychmiast się zjawię.
Chcę tylko na chwilę uszczęśliwić najbliższych sąsiadów swoją obecnością. Ot tak,
żeby z nimi trochę pogadać.

Bądź więc, dziewczyno, rozsądna, nie potrwa to z pewnością długo. Najpóźniej za pół godziny będziesz mnie znowu miała przy sobie. A ja będę miał kolację prima! No cóż, zgoda?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma i nie powiedziała ani słowa. Wydawało się, że tym razem spogląda na niego zupełnie inna para oczu. Była w nich ufność małego pieska, który pod wpływem strachu tuli się do swego pana. Były to oczy, którym oprzeć się potrafią jedynie twarde serca. I Ascha nie pozostawiły obojętnym.

– A więc zgoda – powiedział, skinął zachęcająco głową, uderzył ją lekko dwoma palcami po ramieniu i wyszedł. „Dziwna dziewczyna” – pomyślał zdumiony, gdy znalazł się na dworze.

Poszedł naprzód do właściwego żandarma, który jednak daleki był od tego, żeby się czuć właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Zaczął wywodzić, że między innymi brak mu dyrektyw. Gładząc swą podobną do szczotki brodę oświadczył: – Żał mi tej kobiety, ale codziennie mamy tu mnóstwo trupów. Tak to już jest na wojnie.

– A gdyby to była zbrodnia?

– To właściwie do mnie nie należy, wtedy tym bardziej nie leżałoby to w mojej kompetencji, lecz komisji do badania morderstw przy urzędzie powiatowym. Normalnie musiałbym złożyć meldunek dla „góry”. Ale nie mam już łączności z wyższymi instancjami. To nie moja wina. Może pójdzie pan do proboszcza w sprawie pogrzebu.

– Coś jednak trzeba będzie zrobić!

– Coś robi się zawsze – zapewnił żandarm i wrócił tam, gdzie się czuł najbezpieczniej – do kuchni, w której piekła się kaczka.

Podporucznik Asch, niezbyt zdziwiony reakcją tego stróża porządku publicznego, wrócił na ulicę Wiosenną. Jednym z sąsiadów Willrichowej był lekarz. Asch poszedł do niego.

– Proszę pójść ze mną – wezwał podporucznik małego człowieczka z grubymi szklami na nosie.

– Bardzo mi przykro – bronił się lekarz. – Nie urzęduję na razie. Jestem do pewnego stopnia na urlopie. Musi się pan zwrócić do mego zastępcy. To dobry lekarz, doktor...

– Natychmiast pójdzie pan ze mną. Tak jak pan stoi – w filcowych pantoflach i w szlafroku. Nie przyjmuję pańskich wykrętów do wiadomości. Jeżeli pan chce, może pan uważać, że spełnia pan obowiązek wojskowy. A jeżeli pan nie chce, będzie pan mimo to musiał pójść. Na szczęście dla pana to niedaleko. Naprzeciwno, u Willrichów.

Lekarz, którego podporucznik mocno chwycił za ramię, ruszył z pomrukiwaniem, parskając protestująco, gadał coś o pozbawieniu wolności i Izbie Lekarskiej. Asch nie

zwracał na to najmniejszej uwagi. Prowadził go jak złośliwego psa podwórzowego i wepchnął do domu. Lekarz w dalszym ciągu protestując pochylił się nad zwłokami Willrichowej i przystąpił do oględzin.

Po chwili powiedział: – O ile mogę stwierdzić, zmarła wskutek obrażeń wewnętrznych wywołanych uderzeniem lub pchnięciem. Narzędzie, którego użyto, musiało być tępe i nieco zaokrąglone.

– Buty?

– Może. Ale nie podbite gwoździami. Podobne do tych, które pan nosi.

– To buty oficerskie – rzekł podporucznik, spojrzął na swoje nogi, potem poprzez zasmarowany krwią dywan na trupa, przy którym klęczał lekarz. – Kiedy to się mogło stać?

– Przypuszczalnie jakieś sześć, osiem godzin temu, a więc wcześniej po południu, powiedzmy około drugiej.

– Gdzie pan był o drugiej, panie sąsiedzie?

– O tej porze śpiam zwykle, przywiązuję wielką wagę do spokojnej drzemki popołudniowej.

– Wierzę panu na słowo.

– Dziś panował tu o tej porze wielki hałas: huczał jakiś silnik.

– Czy stwierdził pan, kto był sprawcą tego hałasu?

– Spałem, a raczej próbowałem zasnąć. Nic nie widziałem i nie chciałem nic widzieć. Jestem na urlopie, rozumie pan? Mogę teraz odejść?

– Za chwilę. Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy w bezpośrednim sąsiedztwie jest tu ktoś, kto wedle wszelkiego prawdopodobieństwa o tym czasie nie spał?

– Owszem. Dom numer cztery Mieszka tam pewna kobieta, która będzie miała więcej odpowiedzi, niż pan byłby w stanie postawić pytań.

Podporucznik Asch odszukał tę kobietę. Miała oczy sowy, szeroką twarz o wąskich wargach, które były w ustawicznym ruchu. Nawet wtedy, kiedy musiała milczeć, usta te poruszały się. Wydawało się, że z rozkoszą powie wszystko, co wie i czego się jedynie domyśla.

– Ta pani Willrich nie była osobą solidną.

– Nie żyje.

– Taak? Szczerze ubolewam. Ale nie dziwi mnie to. Tak być musiało. Niech pan pomyśli o wyrokach boskich! Nie chcę powiedzieć o niej nic złego, ale...

– Czy pani Willrich żyła samotnie, czy też bywało u niej wiele osób?

– To zależy, panie podporuczniku. Zdarzało się, że wieczorami przychodzili do niej tak zwani krewni. Niektórzy rozstawali się z nią dopiero następnego dnia. Trzeba panu wiedzieć, że mąż jej jest na froncie, ale to mnie przecież nic nie obchodzi.

– I ja tak uważam. A jak było w ostatnich czasach? Większy ruch niż zazwyczaj?

– Można tak powiedzieć. Kilka dni temu zatrzymała się tam późnym wieczorem ciężarówka. Wyładowywano jakieś skrzynie, ale dokładnie tego nie widziałam. Ro-

zumie pan? W nocy wszystkie koty są szare. No tak, tym razem miał to być jej brat. Jest płatnikiem, co tłumaczyłoby sprawę tych skrzyń.

– A dziś w południe?

– Także byli jacyś ludzie. Ale niedługo, jakąś godzinę.

– Samochodem?

– Tak. Osobowym wozem. Dwóch ludzi, albo raczej dwóch panów. Zwłaszcza jeden – wysoki oficer.

– Pułkownik?

– Może, nie wyznaję się tak bardzo w stopniach służbowych.

– Obaj weszli do domu i pozostali tam mniej więcej przez godzinę?

– Jeden, ten wysoki oficer, wyszedł o jakieś dwadzieścia minut wcześniej.

– Słyszała pani głośna wymianę słów, wymyślania, krzyki?

– Nie.

– Czy na pewno nie? – Ascha prześladowała uporczywa myśl: „Przecież ta Willrichowa musiała wrzeszczeć, a może ta gadatliwa, jadowita baba, którą mam przed sobą, źle słyszy”. – Nie słyszała pani żadnych wrzasków?

– Chyba nie. A zresztą byłoby to prawie niemożliwe, ponieważ silnik huczał bardzo głośno.

– Jaki silnik?

– No ten od samochodu, puścił go w ruch na dziesięć prawie minut ten wysoki oficer, zapewne dla wypróbowania.

– Otóż to! – zawołał Asch z jeszcze większą zaciętością. Bezlitośnie wyduszał z tej baby wszystko, co wiedziała. A wiedziała niemało. Nie wiedziała tylko, co się za tym wypytywaniem kryje, i to ją wyraźnie dręczyło.

Po opuszczeniu gadatliwego babska podporucznikowi Aschowi wydawało się, że potrafi zrekonstruować to, co się wczesnym popołudniem rozegrało przy ulicy Wiosennej. Przed domem staje samochód Wehrmachtu, wysiadają z niego dwaj oficerowie, wchodzą do domu, zostają tam przeszło pół godziny. Po upływie tego czasu jeden z nich, prawdopodobnie pułkownik Hauk, opuszcza dom, czeka przez chwilę, zapuszcza silnik. Trwa to jakieś dziesięć minut. Potem wychodzi drugi, przypuszczalnie porucznik Greifer, wsiadają do samochodu i odjeżdżają.

– Banda morderców – powiedział podporucznik Asch otrząsając się z obrzydzenia i pasji i ruszył z powrotem do mieszkania Willrichowej. Po drodze kopnął z wściekłością jakiś kamień. Ręce zaciśnięte w pięści trzymał głęboko w kieszeniach spodni.

Barbara doprowadziła się nieco do porządku. Uszminkowana i upudrowana, wyglądała, jak gdyby czekała z zaciekawieniem na dalszą podniecającą przygodę. Jedyne w oczach leżał jeszcze daleki odblask przerażenia, które ją zdjęło na widok trupa.

– Czy jedzenie wreszcie gotowe? zapytał podporucznik Asch, – Chyba całkowicie

zasłużyłem na specjalną porcję.

– Chyba ja także – odparła Barbara próbując się do niego uśmiechnąć.

Asch skwitował jej wysiłek i uprzejmość skinąwszy z uznaniem głową. Potem powiedział: – Naprzód praca, potem przyjemność. Jedzenie to u mnie praca. Zanim jednak, dziewczyno, przystąpimy do przyjemności, pomyszkujemy tu jeszcze trochę. I w tym domu, i w przeszłości pewnych ludzi.

– Po co to? – zapytała Barbara dając w ten sposób do zrozumienia, że niezbyt jej zależy na odsunięciu zapowiadanej przyjemności.

– Chciałbym tylko się dowiedzieć – powiedział Asch zamyślony – co takiego musiała mieć w mózgu ta pani Willrich, że jej ktoś rozbił łeb. Gdybym nie wiedział, że dziś można zgasić życie ludzkie z powodu paczki papierosów, byłbym skłonny przypuszczać, że wiedziała coś o jakimś planie, dokumencie czy czymś podobnym.

– A może naprawdę chodziło o skrzynkę papierosów?

– Albo o adres. O zupełnie określony adres, którego ceną jest życie ludzkie. Tak, o to poszło. Ale jeżeli ich złapię, będzie to kosztowało dwa dalsze ludzkie życia! Co najmniej! Tak to wojna podbija cenę.

Może już jutro rano – rzekł uprzejmie kapitan Ted Boernes z CIC – znajdziemy się na terenie naszego działania. – I założył ręce, jak gdyby był pełen radości i wdzięczności.

Ruchem ręki wezwał swoich najbliższych współpracowników, Jamesa I i Jamesa II, by usiedli. Zajęli miejsca. Twarze mieli poważne, pełne sceptycyzmu, wydawało – się, że pragną podkreślić jak najwyraźniej swoją nieufność. I „partner”, i „pastor” nie mieli ochoty pozwolić na to, by im zabrano z ich rozdętych żagli choćby odrobinę wiatru.

– Wojska nasze posuwają się pomyślnie naprzód – obwieścił kapitan z koleżeńskim optymizmem. – Opór Wehrmachtu staje się coraz mniejszy. Jeżeli wszystko będzie się rozwijało jak należy, już jutro obejmiemy władzę w przydzielonym nam mieście.

– Trochę się pan przejęzyczył, kapitanie – sprostował bez żenady James I – mówiąc „my”. Bo nie my trzej obejmiemy w mieście władzę, lecz jedynie my dwaj, „pastor” i ja.

– Jak wiadomo, między teorią a praktyką istnieje olbrzymia różnica, jest ona również między nami dwoma – oświadczył James II wielce obiecująco i uśmiechnął się.

– Nie spierajmy się o sformułowania – uspokoił ich Ted Boernes. – Czy powiemy; panowie dwaj obejmują władzę, czy też, że obejmie ją CIC, armia lub Ameryka, nie zmienia to w najmniejszym stopniu naszych wspólnych zadań.

– W moim zasięgu – rzekł z rozdrażnieniem James I – obowiązują wprawdzie pańskie wytyczne, kapitanie, ale realizowane będą moje zarządzenia. I ja będę za nie ponosił odpowiedzialność.

– Kiedy mówi „ja” i „moje” – wyjaśnił James II bynajmniej nie obrażony – ma

zawsze na myśli „my” i „nasz”. Widocznie partner mój z upływem, lat napotyka pewne trudności w wysławianiu się po niemiecku.

– To zawsze lepiej, „pastorze”, niżby miały powstać trudności związane z moją osobą.

– Pracowałem w pewnym domu towarowym – obwieścił James II pojednawczo. – Wiesz, w jaki sposób zarabiałem tygodniowo dwieście dolarów? Zastanawiałem się nad tym, jak najlepiej wyeliminować konkurencję. Po trzech tygodniach otrzymałem pierwszy dodatek do pensji.

James I przyglądał się niepokaźnemu „pastorowi” ze zdumieniem. Ted Boernes zmusił się do uśmiechu, który miał wyglądać na radosny. – Przyjaciele moi – rzekł pojednawczo – zapomnijmy raz wreszcie o służbie i pogadajmy trochę ze sobą. Przygotowałem najlepszą na świecie whisky.

– Naraża się pan na wydatki, kapitanie – powiedział James I z nieufnością. – Czego pan za to żąda?

– Mnie na razie interesuje jedno – rzekł James II. – Przygotował pan pięć szklanek. O ile umiem liczyć, jest nas tylko trzech.

– Pozwoliłem sobie – odparł uprzejmie Ted Boernes – zaprosić dwóch gości, dwóch oficerów niemieckich.

– Czy ma pan w planie próby zbliżenia, czy też znajdujemy się tutaj może w obozie jeńców? – zapytał ironicznie James I.

– O ile mi wiadomo, nie – rzekł kapitan, wyraźnie dotknięty. – Ale należymy bądź co bądź do CIC, więc kroki niezwykle powinny być u nas regułą samo przez się rozumiały.

– Cóż to, kapitanie – zapytał po prostu James II – chce pan nam narzucić pomocników?

– Jeżeli o mnie chodzi – obwieścił oporny James I – obstaję przy tym, żebym mógł sam wyszukiwać sobie siły pomocnicze. Nie pozwolę na to, żeby mi kogokolwiek przydzielano lub narzucano. Ponieważ w zasięgu moich kompetencji ponoszę sam całą odpowiedzialność, chcę mieć również w tym zakresie możliwie jak największą swobodę ruchów.

– Powinien ją też pan mieć – odrzekł kapitan usiłując z wyraźnym trudem utrzymać uprzejmy ton. – Chcę jedynie zaznajomić pana z dwoma niemieckimi oficerami zasługującymi na naszą uwagę. Zwłaszcza jeden z nich, podporucznik Brack, zasługuje na nią specjalnie. Ojciec jego jest obywatelem amerykańskim, poważanym handlowcem i przyjacielem pułkownika C. O. Thompsona.

– Jak to dobrze, że opowiedział nam pan to zawczasu, kapitanie – rzekł James II z uśmiechem. – Jeżeli chodzi o dobrych przyjaciół związanych wspólnymi interesami, wojna musi oczywiście pohamować swą surowość.

– Również i pułkownik Thompson – obwieścił James I, tym razem bez zbytniego przekonania – nie będzie miał okazji pchać swego nosa w moje sprawy. Oczywiście

nie znaczy to, żebym nie chciał obejrzeć sobie bliżej tego wielkoniemieckiego beniaminka.

– A jak wygląda sprawa z drugim oficerem? – dopytywał się James II.

– Jest to dla mnie niezapisana karta – odparł kapitan. – To niejaki major Hinrichsen, ranny, ale niezbyt ciężko. Był kiedyś przez kilka miesięcy w Anglii; zdaje mi się, że pracował w jakiejś fabryce narzędzi. To taka prywatna wymiana dyrektor-skich synków. Podporucznik Brack, którego siostra, nawiasem mówiąc, jest żoną pułkownika Thompsona, poleca go bardzo energicznie.

– Jestem ciekaw – rzekł James I szyderczo – ile tu jeszcze wsączy się krewniaków wyższych oficerów. Wojna ta gotowa się w końcu przerodzić w spotkanie rodzinne.

– Im bliżsi krewni, tym lepiej – rzekł James II ze zrozumieniem. – A jeżeli już mamy pracować z niektórymi Niemcami; to właśnie z takimi. Mała metryka jest zawsze lepsza od nie kończącego się monologu z wyznaniem wiary.

– Podzielam całkowicie pańskie zdanie – rzekł kapitan uprzejmie. Poproszę teraz naszych gości.

Zjawili się Hinrichsen i Brack. Zlustrowano ich jak bydło wystawione na sprzedaż i przywitano z wielką rezerwą. Kapitan Ted Boernes zaoferował swoją whisky, tę najlepszą na świecie. James I i James II milczeli na razie wyczekująco. Obaj oficerowie niemieccy zachowywali się podobnie. Pierwszym wspólnym odruchem obecnych było stwierdzenie, że whisky jest znakomita.

– Jesteście, panowie, zaprzyjaźnieni? – zapytał James II; pytanie to zostało rzucone pod adresem obu oficerów niemieckich. James II miał nadzieję, że jeden z nich odpowie. I był ciekaw, który z nich tej odpowiedzi udzieli.

– Zaprzyjaźnieni – rzekł Hinrichsen – to chyba niewłaściwe określenie. Nosimy ten sam mundur i tkwimy w tym samym gównie, a to ludzi łączy.

– Wiem – rzekł James II – niektórzy nazywają to koleżeństwem.

– W każdym razie uważam to za dziwne – oświadczył James I z właściwą sobie ścisłością. – Przecież obydwaj jesteście z gruntu różni, nie tylko jeżeli chodzi o postać, ale również w ruchach, w mowie i w całym sposobie bycia. I właśnie wy dwaj odnaleźliście się jak dwa ziarenka w korcu maku.

– Taka wojna – rzekł Brack – spaja często najdziwaczniejsze przeciwieństwa. Nie szukaliśmy się nawzajem, lecz zostaliśmy przypadkowo zlepieni. Ale dobrze się rozumiemy.

– Jedno jest nam wspólne – oświadczył Hinrichsen. – Nienawidzimy narodowego socjalizmu.

– Od kiedyż to? – zapytał James II szybko.

– Skoro mnie pan pyta – rzekł Hinrichsen z całą szczerością – odpowiadam: od dzisiaj, i to z całym przekonaniem.

– Wolniej już to nie mogło pójść – zauważył James I sarkastycznie. – Wydaje się w każdym razie, że dobrze pan przypilnował odpowiedniego momentu.

– Tak czy inaczej podziwiam pańską szczerość – oświadczył kapitan Ted Boernes ciepło. – Ze stu bowiem zapytanych przynajmniej dziewięćdziesięciu dziewięciu odpowiada: „Zawsze nienawidziliśmy narodowego socjalizmu”.

– Przyjęte do wiadomości – rzekł James I tonem bezstronnego sędziego na meczu piłki nożnej. Przyglądał się Hinrichsenowi uważnie i zaczął w nim wietrzyć to, co najbardziej cenił: energię, umiejętność przebijania się przez przeszkody, twarde łokcie. Dla przymiotów tego rodzaju miał słabość – tacy ludzie byli dynamitem. A dynamit był, jego zdaniem, w obecnym okresie gwałtownie potrzebny.

James I nie należał jednak do ludzi, którzy myśli swoje wykładają jak karty. Zarejestrował to sobie tylko na razie. Z kolei zwrócił się do Bracka i zapytał: – A pan?

– Do mnie narodowy socjalizm nie miał dostępu – odparł Brack ze spokojem. – Wychowanie moje było jak warstwa izolacyjna. Już w młodości wyjeżdżałem za granicę, jestem z przekonania katolikiem, większość moich szkolnych przyjaciół to entuzjastyczni indywidualiści, matka moja mieszka od lat w Szwajcarii, ojciec jest Amerykaninem, drugi mąż mojej babki, którego zawsze kochałem, był Żydem i jako taki został odpowiednio potraktowany. Cóż więc taki człowiek jak ja mógł mieć wspólnego z narodowym socjalizmem?

– Zazdroszczę panu – rzekł Hinrichsen z całą uczciwością – Mógł się pan ostać.

– Panie Hinrichsen, czy należał pan do partii? – James I wyrzucił to pytanie jak z procy.

– Nie – skłamał Hinrichsen.

Skłamał przekonywająco, gdyż przygotował się na to pytanie i dokładnie się nad nim zastanowił. Był zdecydowany zrobić wszystko, ale to wszystko, co mu jeszcze w jego sytuacji do zrobienia pozostawało, żeby przestępcę nazwiskiem Hauk sprowadzić na szubienicę. Było mu obojętne, jakie będzie musiał zastosować środki, by ten, zdaniem jego, tak ważny cel osiągnąć. Nie wolno mu było cofnąć się przed żadną przeszkodą. To zdecydowanie dawało się wyraźnie odczuć; James I zwrócił na nie uwagę.

– Panie Brack – rzekł kapitan Ted Boernes i zadowolony z dotychczasowego przebiegu rozmowy na nowo napełnił opróżnione szklanki – cieszę się, że mogę panu zakomunikować, iż wolno mi zagwarantować panu całkowitą swobodę decyzji.

– Co mam przez to rozumieć?

– Istnieją dla pana trzy możliwości, panie Brack. Może pan zdjąć ten mundur i włożyć cywilne ubranie. To byłaby procedura normalna: zwolnienie z niewoli po uprzednim przebadaniu. Mógłby pan wtedy robić, co się panu podoba, i poruszać się swobodnie na wszystkich obsadzonych przez nas obszarach.

– A następna możliwość, kapitanie?

– Dam panu swobodę dotarcia do pułkownika Thompsona. Wyda on dalsze zarządzenie. O ile jestem dobrze poinformowany, mógłby pan pracować pod jego bokiem przy odbudowie życia gospodarczego, może jako powiernik.

– Wspólnicy od interesów sami ze sobą – mruknął James I do swojej szklanki, po czym przełknął jej zawartość.

– A trzecia możliwość, kapitanie?

– Pozostanie pan u nas i będzie pan pracował z nami, jeżeli pan zechce, ze mną osobiście. Byłbym bardzo rad z tego, panie Brack.

– Istnieje jednak jeszcze czwarta możliwość dla naszego pana Bracka – powiedział James II niezwykle łagodnie.

– Jaka?

– Zatrzyma pan swój mundur, dostanie pan całkowite uzbrojenie i może jeszcze dziś w nocy pomaszeruje pan przez nasze przednie linie jako straż przednia. Mógłby pan wtedy przygotować wszystko na nasze przybycie.

– Wcale nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz, „pastorze” – rzekł James I z uznaniem. – Mógłby to być mój pomysł!

– Pomysł istotnie niezwykły – oświadczył Ted Boernes ostrożnie. – Nie wiem tylko, co na to powie pułkownik Thompson.

– Pułkownik Thompson – odpowiedział James I, dla którego ten istotnie śmiały, ale jego zdaniem wykonalny pomysł był czymś fascynującym – jest jedynie powinowatym pana Bracka, ale w żadnym wypadku nie jest jego opiekunem.

Hinrichsen nie potrafił ukryć swego wzburzenia. Siedział nieruchomo nie odzywając się ani słowem; oczy jego lśniły gorączkowo, gapił się na Bracka wpatrzonego w swoją whisky.

– Czy muszę od razu się zdecydować? – zapytał podporucznik.

– Ależ nie – zapewnił go kapitan.

– W takim razie proszę mi pozwolić zastanowić się nad tymi propozycjami.

James I zaczął teraz swoją metodą obrabiać majora Hinrichsena, który ostrożnie oparł swe zranione ramię o poręcz krzesła. Czynił to bez ostrości, ale z całą bezwzględnością. Pytania jego padały na grubego, bardzo teraz czujnego Hinrichsena jak błyskawice. Hinrichsen nie widział, że łagodny jak baranek James II, który nieco odsunął w tył swoje krzesło, notował sobie tę rozmowę.

– Gdzie pan mieszkał? Co pan tam robił? Ile pan zarabiał rocznie? Ile pan zarabiał w roku 1928? A w roku 1936? Kiedy pan wstąpił do Wehrmachtu? Jak to się stało, że został pan majorem? Jakie ma pan odznaczenia? Czy pełnił pan służbę na okupowanych terenach, a jeżeli tak, to gdzie i w jakim stopniu służbowym? Czy należy pan do partii narodowosocjalistycznej, do jej organizacji pokrewnych? Czy zajmował się pan gospodarką wojenną? Czy ma pan albo miał pan krewnych na wysokich stanowiskach partyjnych od ortsguppenleitersa wzwyż? Czy był pan kiedyś prześladowany ze względów rasistowskich lub politycznych? Czy był pan za granicą? Czy zna pan obce języki? Czy był pan karany? Czy zmieniał pan wyznanie, czy wystąpił pan z jakiej gminy wyznaniowej?

Hinrichsen, zdecydowany na przemknięcie się przez rafy, odpowiadał na każde

pytanie niezwłocznie, z przekonaniem i przeważnie kłamliwie. Potrzebował czasu na to, żeby odszukać Hauka, który musiał znajdować się gdzieś w pobliżu. Wszystko inne było mu obojętne. To, co się stanie później, nie interesowało go po prostu. Pragnął zemsty za zdradę, za krew kolegów, za obraz świata, który rozsypał się w gruzy. Chciał pochwycić Hauka, oto wszystko.

Powtarzał więc uporczywie: „Nie, nie, nie!” Nigdy nie był w partii, nigdy nie przebywał na terenach okupowanych, nigdy nie zajmował się gospodarką wojenną. Oficerem został już podczas pierwszej wojny światowej, dalsze awanse odbywały się automatycznie. Z wielkim zapalem naszkicował niewinny obrazek: kupiec, nie mający nic wspólnego z militarystką, nie będący nigdy hitlerowcem, zdecydowany teraz na zwalczanie bezsensu, na niedopuszczenie do dalszych ofiar i ukaranie winnych. Zagalopował się tak daleko, iż uwierzył, że wszystkie jego argumenty są prawdziwe, że wypływają ze szczerego przekonania, że ma do spełnienia jakąś misję.

James I wyczuł to swoim niezawodnym instynktem. Entuzjazmowała go energia tego brytana, miał ochotę zabrać go do siebie. Zapytał więc: – Chce pan ze mną współpracować?

– Chcę – odparł zdecydowanie Hinrichsen.

– Zgadza się pan, kapitanie?

– Pan ponosi odpowiedzialność – odparł Boernes układnie – ja daję tylko wytyczne. To pan musi sobie radzić ze swoimi Współpracownikami, nie ja.

– Zgadzam się w zupełności – odparł James I i skinął głową w stronę Hinrichsena:

– Zobaczymy, jak dalece jest pan odporny na narodowy socjalizm. Niech się pan jednak dokładnie zastanowi. Kiedy pan wyrazi swą zgodę, będzie pan miał tylko dwie możliwości: albo będzie pan siedział w moim biurze, albo każę pana postawić pod mur.

– Już się zdecydowałem – rzekł Hinrichsen starając się nie patrzeć na Bracka.

To, co kapitan Schulz nazywał żołnierką, weszło mu w krew. Wystarczyło jedno spojrzenie Luschkego, a stał się znowu twardy jak stal z zakładów Kruppa. W oparciu o swoje długoletnie doświadczenie był przekonany, iż wie, czego się teraz, w decydującej godzinie, od niego oczekuje.

– Wszyscy oficerowie komendy garnizonu do mnie! – zawołał do bombardiera Stamma swym wzorowym, koszarowym głosem. Sam dźwięk tego głosu przywrócił mu wzniosłe poczucie władzy i wielkości. – I to już!

– Tak jest! – odparł, powoli Stamm przyglądając się ryczącemu bohaterowi tyłów ze wzrastającym zainteresowaniem. – A jakże będzie z dowódcami oddziałów stacjonujących w koszarach?

– Niech również zameldują się u mnie.

Bombardier Stamm, który delectował się tym grubo spóźnionym, ale z siłą przekonania aranżowanym pokazem wojskowego zmartwychwstania, zapytał: – A Volksturm?

– Prawda! Zapomniałem, że coś takiego istnieje. Niech się również zamelduje Volkssturm!

– Cały?

– Idiota! Ma się zjawić tylko dowódca.

– A co będzie z Hitlerjugend? Trzeba panu kapitanowi bowiem wiedzieć, że młodociani bohaterowie utworzyli grupy pomocnicze i proszą o wyznaczenie im zadania, a raczej domagają się tego zadania.

– Co mam począć z tymi nie wyszkolonymi dzieciakami? – Schulz był do głębi oburzony, że dzieciaki te nie są wyszkolone. – Przecież nie mogę z tych sraluchów zrobić z dnia na dzień użytecznych żołnierzy; tak, nawet Schulz tego nie potrafi! A z niemowlętami nie potrafię prowadzić wojny.

– A jeżeli ci smarkacze będą ją prowadzili na własną rękę, panie kapitanie?

– To każę ich pozamykać! – zawołał ostro Schulz. – Tak, zamknę całą Hitlerjugend.

Teraz dopiero, w tym momencie, który należało uznać za wzniosły, poczuł, że jest znowu dawnym, pocziwym, wypróbowanym Schulzem. Płynęło to stąd, iż wydawało mu się, że znowu ma przełożonego, który żądał, żądał bez końca przez samą swoją obecność. Kiedy świadomość ta rozbłysła w nim jak świecznik, piersi jego przepełniło żołnierskie uczucie szczęścia – mógł znowu wydawać rozkazy. Nigdy dotąd, w czasie jego bez wątpienia wybitnej kariery, władza jego nie była tak wielka i nie sięgała tak daleko.

– Tych młodych hitlerowców – rzekł bombardier – można by wykorzystać jako łączników komendy. – I pomyślał sobie: „Mielibyśmy wtedy tych mleczaków przynajmniej pod kontrolą i nie mogliby popełniać tak łatwo głupstw, do których się wyraźnie palą”.

– Pomysł ten – oświadczył Schulz władczo – miałem dawno przed wami i uważam go za dobry. Zakwaterujecie więc tych szczeniaków gdzieś w gmachu komendy, a główny szczeniak niech się u mnie zamelduje.

– Gmach komendy nie pomieści ich!

– Ulokujcie ich w takim razie w magistracie – obwieścił Schulz. – A jeżeli trzeba będzie, zajmijcie całe miasto.

– A Ortsgruppenleiter, który przecież pełni tutaj, jeszcze funkcję burmistrza?

– Pozostaje pod moimi rozkazami!

– Tak jest – wyrecytował Stamm i wycofał się lekko skonsternowany. Nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego, co się tutaj dzieje. Zmiana ta była za wielka, przyszła zbyt niespodzianie, była całkowicie pozbawiona zdrowego rozsądku.

„Co mogło tego szakala tyłów przemienić znowu w lwa koszarowego?” – zastanawiał się Stamm. Czy kryje się za tym ten generał, a może historia z Schulzem to rezultat nieporozumienia? Nie ulegało wątpliwości, że Schulz umie organizować. Ale po treningu trwającym przeszło dziesięć lat może on organizować tylko dla wojny, a

nie przeciw wojnie. Kto się tu właściwie myli? On, Stamm, kapitan, czy też może generał Luschke, który przecież w żadnym wypadku nie wygląda na wydającego rozkazy robota?

Schulz, siedzący przy swym biurku z miną marszałka polnego, pozwolił sobie również na chwilkę odsapnięcia i znalazł nawet czas, by odrobinę pomyśleć. „Jestem człowiekiem czynu – powiedział sobie – i znają mnie z tego. Cóż więc bardziej zrozumiałego aniżeli to, że czynów tych żąda, się ode mnie, że się ich oczekuje. Czy jednak te czyny odpowiadały oczekiwaniom osób wyżej postawionych, czy tu i ówdzie nie poszedł nieco za daleko, czy nie działał zbyt odważnie, czy trzymał się nie-nagannie w ramach kompetencji zakreślonych min przez Luschkego?” Pamiętał jeszcze doskonale, że z Luschkem nie ma żartów. Nie chciał też z nim żartować, pragnął czuć jego życzliwość.

Sięgnął po słuchawkę, kazał się połączyć z koszarami artylerii, a stamtąd ze stanowiskiem dowodzenia Luschkego. Odpowiedziano mu, że Luschke znajduje się przy swoim oddziale, a zastępuje go szef sztabu. Schulz wyraził życzenie rozmawiania z nim.

– Ach, kapitan Schulz – powiedział szef sztabu, który zdawał się być dobrze poinformowany. – Jakież pan ma dla nas nowiny? Chce pan nam przekazać pierwszy meldunek? Miał go pan złożyć dopiero za godzinę.

– Mam tylko kilka pytań – rzekł Schulz – jeżeli pan pozwoli. Sądzę, że w myśl zarządzeń pana generała mam w zasięgu komendy garnizonu pełnię władzy.

– Owszem, ma ją pan – potwierdził oficjalny zastępca generała Luschkego. – Najważniejsze jest to, żeby pan znowu jakoś uporządkował ten bałagan. Przecież pan wie, że generał żadnego bałaganu nie znosi.

– Wiem o tym – zapewnił Schulz. – A więc wolno mi wydawać rozkazy urzędowi cywilnym? Na przykład burmistrzowi?

– Wolno! Sytuacje wyjątkowe uprawniają zawsze do wydawania nadzwyczajnych zarządzeń natury wojskowej. Prawo obowiązujące w okresie pokoju musi ustąpić przed prawem wojennym. A jak panu wiadomo, generał sankcjonuje wszystkie zarządzenia odpowiadające jego instrukcjom.

Schulz skinął z zadowoleniem głową; tak jest, wiedział o tym, taki był właśnie Luschke. Kto pełnił służbę w myśl jego intencji, ten mógł spać spokojnie, ale: ten, kto mu stawał na drodze, mógł być pewien, że zostanie bezlitośnie zmiażdżony. Schulz wmawiał w siebie uporczywie, że jest rzeczą jak najbardziej wskazaną być u Luschkego dobrym podwładnym, na którego można się zdać; świadczyło to nie tylko o dyscyplinie, ale i o mądrości.

– A partia? Czy mam się z nią liczyć?

– Człowieku! – zawołał szef sztabu wybuchając głośnym śmiechem. – Co też panu przychodzi do głowy. Niech pan oczyści ten chlew! Przecież pan zna zasady generała: „Jeżeli to nieuchronne, nikogo nie oszczędzać, ale żadnego bezmyślnego przele-

wu krwi.”

Schulz oświadczył z zapalem, że wszystko, ale to wszystko zrozumiał, i uśmiechając się z zadowoleniem odłożył słuchawkę. Zmarszczywszy czoło, raz, jeszcze rozważył to, co po rozmowie telefonicznej pozostało w jego pamięci ćwiczonej przez długie lata w obronie ojczyzny: unikać bałaganu... stan obrony koniecznej... wymieść chlew... żadnych bezmyślnych ofiar...

Bombardier Stamm, który w pokoju obok słuchał tej rozmowy telefonicznej, pomyślał: „Tu coś jest nie w porządku! Jeden gada do Sasa, drugi do lasa. Ten sam język, te same słowa, ale każdy z rozmawiających ma coś innego na myśli”. Zapamiętał sobie: przywrócić porządek... nadzwyczajne zarządzenia natury wojskowej... żadnego bezmyślnego przelewu krwi.

Schulz, napompowany bohaterstwem, mając nareszcie przełożonego, który przywykł do wydawania rozkazów i który widocznie umiał ocenić jego przymioty, palił się teraz do tego, by rosnącej z godziny na godzinę masie podwładnych pokazać, czym właściwie jest żołnierskie spełnianie obowiązku. Wydawało mu się, że tak bardzo upragniony przez niego awans na majora zależny jest obecnie jedynie od tego, jak się będzie zachowywał jako komendant garnizonu, nie jako dowódca bojowy. Był mocno zdecydowany zachować się wprost wspaniale.

Pierwszym, z którym na nowo obudzony Schulz uporał się według wszystkich reguł swej sztuki, był jego dotychczasowy następca, a obecnie poprzednik – porucznik Nowak. Stał przed wyprostowanym kolegą skulony, z potulną miną, nie orientując się w pełni, co się z nim dzieje.

– Nowak – oświadczył Schulz – niechlujstwo, na które pan sobie tutaj pozwolił, musi się wreszcie skończyć. Pańskie wykazy kwaterunkowe to wielkie gównno, żadne bydło nie melduje się u pana, każdy oddział rozkwaterowuje się tam, gdzie mu się podoba.

– Ależ panie kapitanie...

– Albo w ciągu dwunastu godzin, najpóźniej w ciągu dwunastu godzin, wszystko zostanie doprowadzone do porządku, albo postawię pana przed sądem wojennym, Nowak.

– Moi ludzie...

– Zwoła ich pan łaskawie i popracuje z nimi przez całą noc, dopóki pan nie skończy. Albo ja skończę z panem! Co pan sobie właściwie myśli? Koledzy na froncie giną, a pan chce się tutaj wylegiwać. Tak, chciałyby dusza do raju, ale Schulz jej tam nie puści.

– Jeżeli pan kapitan...

– Proszę wydać rozkaz sporządzenia obwieszczeń, i to natychmiast. Niech się pan na mnie tak głupkowato nie gapi, panie poruczniku. Zakasać rękawy, zabrać się do roboty! Wyciągnąć spod pierzyn zecerów, drukarzy i siły pomocnicze. A potem do maszyn. Obwieszczenia koloru czerwonego. Treść mniej więcej taka: „Miasto to

ogłasza się za teren wojenny.” Wszystkie porozprasane formacje wojskowe, jak również pojedynczy żołnierze mają się natychmiast zameldować w komendzie garnizonu. Zakwaterowywanie się bez skierowania komendy będzie karane z bezwzględną surowością. Zarządzenia władz wojskowych są wiążące dla wszystkich bez wyjątku. Zostaje utworzony sąd doraźny do niezwłocznego karania przestępstw. Podpis: „Za komendanta wojskowego – Nowak, porucznik”.

Nowak stał z bezradną miną. Na gładkim zazwyczaj mundurze pojawiły się fałdy. Robił wrażenie człowieka, który stoi w straszliwej ulewie, całkowicie bezbronny, przemoczony do nitki, wstrząsany dreszczami.

Widok ten uradował serce wojaka Schulza. – Odmaszerować! – krzyknął nie bez rubasznej serdeczności i patrzył z satysfakcją za odchodzącym.

Na następną ofiarę tego na nowo rozkwitłego ducha żołnierskiego przeznaczony został Ortsgruppenleiter i burmistrz. Schulz, pomny instrukcji generała, był zdecydowany potraktować ostro tę mokrą ścierkę; ostro, ale sprawiedliwie. Sprawiało mu specjalną satysfakcję, że nareszcie będzie mógł odegrać się porządnie na partii, z którą dotychczas musiał się tak liczyć i cackać. Teraz linie zarysowywały się wyraźnie: na pierwszym miejscu Wehrmacht, potem długo, długo nic, potem może, jeżeli mu przyjdzie ochota – partia.

– Czego pan jeszcze chce ode mnie? – zapytał Ortsgruppenleiter gniewnie i w nie-
dbalej postawie, co zostało przyjęte do wiadomości z pewną pogardą.

– Z tą chwilą urząd burmistrza zostaje podporządkowany mnie osobiście – oświadczył Schulz tubalnym głosem i gotowy do skoku oczekiwał formalnego przynajmniej sprzeciwu. – Mnie – jako komendantowi wojskowemu.

– Proszę bardzo – rzekł Ortsgruppenleiter zrezygnowanym tonem. – Niech pan robi, co pan chce.

– A partia? – zapytał zaskoczony Schulz.

– Z nią może pan również zrobić, co pan chce – rzekł Ortsgruppenleiter zmęczonym tonem i odszedł.

Schulzowi stojącemu za biurkiem odebrało na długie sekundy mowę. Znowu nie umiał zorientować się w całej pełni, co tu przed chwilą zaszło. Pokiwał gwałtownie głową. Wyobrażał sobie zawsze, że Niemcy to naród żołnierzy, tymczasem gównolub! Te łobuzy mają już pełne portki, zanim jeszcze wróg ukazał się na horyzoncie. Czyżby i przełożonych miano wystawić do wiatru?

Wzburzony obrońca ojczyzny rzucił się do przedpokoju w pogoni za Ortsgruppenleiterem, ale ten już się ulotnił. Schulz natknął się jedynie na bombardiera Stamma i na jakiegoś nie wzbudzającego zbyt dużego zaufania wujaszka z rezerwy w mundurze oficerskim; był to dowódca miejscowego Volkssturmu.

– Pan chciał mówić ze mną w pilnej sprawie, panie kapitanie Schulz?

– Alarm! – ryknął Schulz. – Alarm dla całej pańskiej ferajny!

– Ale to przecież niemożliwe...

– Co takiego? Bunt?

– Skądże znowu. Ale teraz, w nocy?

– Myśli pan, że wojna śpi tylko dlatego, że panu chce się chrapać? Mamy teraz godzinę dwudziestą drugą, o godzinie dwudziestej trzeciej wszyscy pańscy ludzie mają się zebrać na rynku, w przeciwnym razie postawię pana przed sądem wojennym.

Po tych słowach Schulz opuścił całkowicie zbitego z tropu przywódcę Volkssturmu. Klął siarczyście na żołnierzy rezerwy, pół-żołnierzy i żołnierzy-pomocników. Ubolewał nad sobą, że z takimi ofermami musi bronić ojczyzny. W oparciu o taką pomoc nie zdobędzie się nawet wazonika z kwiatami, a co dopiero odznaki za waleczność.

Bombardier Stamm zameldował, że zjawił się ze swoim orszakiem przywódca Hitlerjugend. – Wspaniały widok, panie kapitanie! Czy mam zażądać pieluszek?

– Dawajcie mi tu to niemowlę! – zawołał Schulz niecierpliwie.

Przywódca Hitlerjugend, zbyt pochopnie nazwany niemowlęciem, wystąpił bardzo sprężyście. W myśl przepisów wyprostował swą szczupłą postać przed miejscowym potentatem, wysunął podbródek, wypiął pierś, wciągnął brzuch, zwarł pośladki, wyciągnął rękę do pozdrowienia hitlerowskiego i zaryczał: – Dwudziestu czterech łączników na miejscu!

– Dziękuję – rzekł mile zaskoczony Schulz i z rosnącym zadowoleniem przyglądał się chłopakowi, który wcale nieźle opanował tajemnicę drylu wojskowego. – Spocznij! – zawołał.

Przywódca Hitlerjugend, Heini, wysunął lewą nogę.

– Baczność! – zakomenderował Schulz. I Heini stanął w przepisowej postawie.

– Wcale nieźle – rzekł Schulz i skinął głową. – Podejdź no bliżej, mój synu.

Heini zbliżył się posłusznie krótkimi, odmierzonymi krokami. Zatrzymawszy się spoglądał promiennie na Schulza, któremu to spojrzenie sprawiało wyraźną satysfakcję.

– Wiesz, o co chodzi, prawda?

– Tak jest, panie kapitanie – odparł Heini stojąc na baczną. – O ostateczne zwycięstwo.

– Bardzo słusznie – rzekł Schulz i znowu skinął głową, tym razem wolniej. – W tej sytuacji potrzebny nam jest każdy człowiek.

– Tak jest – potwierdził Heini, któremu niezmiernie pochlebiło, że uważają go za dorosłego człowieka, i dławiąc poczucie narastającej dumy rzekł z opanowaniem: – Koledzy moi i ja jesteśmy do dyspozycji.

– Dobrze – rzekł Schulz z zadowoleniem. – To mi się podoba i tak być musi! Dopóki możemy się zdać na naszą niemiecką młodzież, dopóty nic nie jest stracone.

– Tak jest, panie kapitanie! – zawołał Heini.

– Mam dla ciebie zadanie, mój synu.

Oczy Heiniego zabłysły. Było dla niego zaszczytem i niezwykłym przeżyciem, że oficer wyższej rangi traktuje go po koleżeńsku. „Oto – myślał z dumą – wielkoniemiecki Wehrmacht, tacy są prawdziwi oficerowie führera. Złączeni z narodem, kochający ojczyznę, wypełniający swe obowiązki!”

– Pójdiesz teraz – powiedział Schulz – do mojej żony i powiesz jej, żeby mi przyniosła jedzenie i koce. Zostają w gmachu komendy.

Jesteśmy teraz zupełnie sami – powiedział porucznik Greifer. – Dom jest pusty, brama zamknięta, okna zawieszane.

– Zaczynamy więc – rzekł pułkownik Hauk. Usiadł przy stole stojącym pośrodku obszernego pokoju. Wyglądał tak, jak by miał zamiar uciąć sobie drzemkę.

Greifer usiadł obok niego i krótkim ruchem ręki wezwał płatnika Brahma, żeby również usiadł przy stole. – Zaczynamy więc – rzekł rzeczowym tonem i zza mankietu wyłowił arkusz papieru.

Brahm usiadł bardzo ostrożnie, jak gdyby miał umieścić swe siedzenie na ostrych gwoździach albo surowych jajkach. Światło, w które spoglądał, paliło się bardzo słabo. Otaczał go lepki półmrok, w którym bieliły się dwie twarze; jedna brunatna, ordynarna i nieczuła, druga chłodna, pozbawiona konturów i nieruchoma.

– Nie wiem dobrze – rzekł Brahm z ociąganiem – czego panowie ode mnie chcą? Przecież wydałem wszystko w myśl poleceń.

Hauk niemal niewidocznie kiwnął głową w stronę Greifera. Rozparty Greifer pochylił się naprzód i powiedział: – Płatniku Brahm, stoicie przed sądem wojennym.

Brahm podskoczył przerażony. Miał wrażenie, jak gdyby mu przed oczyma migotało światło, równocześnie czuł w karku chłód wypełniający pokój.

– Ale to przecież...! Dlaczego, z jakiego powodu?

„Dlaczego, z jakiego powodu – pomyślał Greifer – te same pytania postawiłem przed chwilą pułkownikowi Haukowi.” Pułkownik wyjaśnił mu jednym zdaniem, dlaczego ta komedia musi się tutaj odbyć. Chodziło o to, żeby wydobyć z płatnika Brahma, co mu jest wiadome, czy przedsięwziął jakieś kroki i zabezpieczył się, jak i czym. Wyrok był z góry przesądzony, ale chcieli mieć zeznania i musieli je mieć. Tylko przy ich pomocy można było zorientować się, jakie dalsze dyspozycje należy wydać, co się ma stać, z kim trzeba się liczyć. Pewność – o nią właśnie teraz chodziło.

– Płatniku Brahm – obwieścił Greifer rzeczowym tonem, świadczącym o długoletnim doświadczeniu w tego rodzaju sprawach – będzie pan odpowiadać za zdradę tajemnic wojskowych, przywłaszczenie sobie materiałów wojennych i próbę sabotażu.

Brahm potrząsnął gwałtownie głową, jak gdyby musiał uczynić jakiś znaczny wysiłek, żeby się nareszcie obudzić. „To może być tylko – perswadował sobie – kawał, złowrogi, bestialski kawał, ale niezawodnie kawał”. Spojrzał w uśmiechniętą, pobrużdżoną, całą w wypiekach, błazeńską twarz Greifera, rzucił okiem na niemal równomiernie jasną plamę, którą tworzyły rysy twarzy pułkownika, zagłębił wzrok w

zimnych, dalekich oczach Hauka. W tym momencie uświadomił sobie z przerażającą wyrazistością, o czym zawsze wiedział instynktownie, ten kawałów nie robi, o nie! Ale czego oni chcą od niego?

– Uznaje pan – zapytał Greifer – skład sądu? Ściśle według regulaminu sądów polowych, rozdział o postępowaniu doraźnym i sądach doraźnych. Sędzia będący jednocześnie oskarżycielem: pan pułkownik Hauk. Urzędnik sporządzający protokół, równocześnie obrońca: ja. Uznaje pan to?

Płatnik Brahm wykonał kilka bezradnych ruchów. Przypominał teraz ptaka, który na próżno próbuje wzlecieć w górę. Greifer nie zawahał się uznać tych ruchów za aprobataę.

– No więc – powiedział z uśmiechem, wyszczerzywszy zęby.

– Ażeby znaleźć punkt wyjścia oświadczył pułkownik Hauk, bez przerwy przyglądając się swoim ręką – chciałbym ustalić, co następuje. Oddział mój ma do spełnienia tajne zlecenie specjalne. Przywieziony tutaj materiał jest związany z tym zleceniem.

Greifer skrzywił usta w tak szerokim uśmiechu, że tylko z wielkim trudem udało mu się utrzymać między zębami cygaro zaopatrzone w barwną banderolę. Takiej głupiej gęby jak u tego administracyjnego gryzpiórka dawno już nie widział. A pułkownik znajdował się znowu w jak najlepszej formie. Nie takie ananasy jak ten Brahm będą jeszcze przed nim kapitulowały.

– To – powiedział Brahm usiłując pokonać dręczącą bezradność – nie było mi wiadome. O tym naprawdę nic nie wiedziałem. Sądziłem... – Ton, którym te słowa wypowiedział, świadczył o tym, że odzyskał pewną równowagę.

– Cóż pan sądził! – ofuknął go Greifer. – Myślał pan, że nagromadzi pan w tej okolicy towarów kolonialnych? W takiej decydującej godzinie?

– Tak – odrzekł Brahm impulsywnie – tak myślałem. Greifer dostał krótkiego ataku kaszlu. Omal nie pogryzł z zadowolenia swego cygara. Uważał, że ten kłown biurowy jest wspaniały. Oświadcza po prostu: tak! Pęknąć można ze śmiechu. Po chwili Greifer opanował się i zapytał chytrze: – I cóż pana na tego rodzaju myśli naprowadziło?

– Tego nie wiem. W każdym razie niektóre skrzynie zostały otworzone; znajdowały się w nich wyłącznie towary kolonialne.

– Otworzył pan wszystkie skrzynie?

– Tylko kilka – zapewnił Brahm i jakby chcąc prosić o przebaczenie podniósł ręce do góry.

– Jeżeli pan chce koniecznie, możemy dokonać próby – oświadczył Greifer i uśmiechnął się brutalnie. – Posadźmy pana na skrzyni z napisem „szampan”, we-tkniemy w nią lont i zapalimy. Po chwili będzie pan niezmiernie zdziwiony, jak mało z pana pozostanie.

– Naprawdę nic o tym nie wiedziałem – zapewnił Brahm. – Gdybym wiedział...

– Nikt nie miał zamiaru informować pana. Przydzielono panu dwa wyładowane wozy, otrzymał pan polecenie zdeponowania materiału. Dlaczego nie zostało to dokładnie wykonane?

Zimny pot zaczął teraz oblewać twarz Brahma. Głowę miał ciężką jak ołów i tylko z trudem trzymał ją prosto. Wypił przedtem za wiele. Nie należał do zdrowych, nie był wytrzymały na niewygody. Do tego wszystkiego dołączył się strach: Tak, odczuwał teraz strach. Hauk i Greifer byli zdolni do wszystkiego. Do wszystkiego.

– Dlaczego obrał pan na magazyn ten właśnie dom?

– Poradziła mi to moja siostra, pani Willrich.

– Komu oprócz pańskiej siostry jest to jeszcze wiadome? – Nikomu.

– Czy poinformował pan kogoś o tym, że się pan tutaj zakwaterował? Na przykład któregoś z kolegów, jakąś kobietę albo może dowództwo jakiegoś oddziału?

– Nie – zawołał gorączkowo Brahm – nie! – Sądził, że to „nie” było jego jedyną szansą. To, że był w dowództwie garnizonu, przemilczał. Nagle wrzasnął przerażony: Zapewniam pana pułkownika...

– Stul mordę, człowieku powiedział ostro Greifer. – Jeszcze jeden taki głośny okrzyk, a zrezygnujemy z dalszego przesłuchiwania, i to na zawsze.

– Proszę o sprecyzowanie pytania – rzekł Hauk obojętnym tonem.

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł Greifer i spojrzał na kartkę papieru. – Płatniku Brahm – kontynuował swe zaimprovizowane przesłuchanie – jest pan więc absolutnie pewien, że oprócz pańskiej siostry nikt nie wie o tym, że przebywa pan tutaj z materiałem?

– Jestem absolutnie pewien – wykrztusił z trudem Brahm.

– Gdzie się znajduje właściciel tej realności?

– Zwiął przed kilkoma tygodniami. Siostra moja wiedziała o tym, znała go już dawniej.

– Czy umówił się pan ze swoją siostrą, panią Willrich, żeby odprawiła nas z kwitkiem, zanim pan nie zniknie ze skrzyniami? Czy chciał pan podzielić się łupem tylko z nią, czy też jeszcze z kimś?

– Siostra moja – łągał Brahm w swej udreće – miała panom zakomunikować adres. Prosiłem ją jednak, żeby była ostrożna, i mogły stąd wyniknąć nieporozumienia.

– Ilu skrzyń pozbył się pan dotychczas?

Brahm obliczał z wysiłkiem: – Trzy odstąpiłem mojej siostrze, dwie zużyłem sam, to będzie razem pięć. Po jednej skrzyni otrzymali trzej żołnierze i dziewczyna, którzy dziś odjechali, to będzie razem dziewięć. – Nie mógł się powstrzymać od dodania: – W każdej skrzyni znajdowały się jedynie towary kolonialne.

– Wszystko to jest kłamstwem – rzekł pułkownik Hauk. – Brak nie dziewięciu skrzyń, lecz dziesięciu.

– A w dziesiątej – rzekł Greifer, który zorientował się w mig, do czego jego wysoki zwierzchnik zmierza – znajdował się towar specjalny. Bez tego towaru nie można

wypełnić naszego polecenia.

„I na tej skrzyni – pomyślał Greifer – ta parodia oficera skręci sobie swój otyły kark.”

– To niemożliwe – wykrztusił Brahm.

– Brakuje – oświadczył z uśmiechem Greifer – skrzyni XW 7 z napisem: Bols, Cherry Brandy.

– Ale trzy skrzynie Bolsa są jeszcze na miejscu.

– Nie ma jednak skrzyni XW 7!

– Już czas – obwieścił pułkownik Hauk takim tonem, jak gdyby odczytywał ze swego zegarka, która godzina – najwyższy czas!

– Chodź pan – rzekł Greifer do Brahma – poszukamy razem; może jednak znajdziemy jeszcze tę skrzynię.

Przewrócili bez żenady krzesła, na których siedzieli. Twarze ich rozplływały się coraz bardziej w półmroku. Brahm pomagał pułkownikowi przy wkładaniu płaszcza. Greifer przełożył pistolet z kieszeni spodni do kieszeni kurtka i klepnął się po niej z rubaszną tkliwością, jak miłośnik koni uderzający ulubioną klacz po zadzie. Potem zaczął gwizdać niemiłosiernie fałszywie, ale z wesołą namiętnością.

– Tylko bez koncertów – rzekł Hauk i ruszył przodem. Brahm podreptał za nim posłusznie. Greifer zamykał orszak stawiając ogromne kroki.

Minęli spowity w ciemnościach ogród, wyszli przez tylną furtkę, która przeraźliwie skrzypiała. Weszli do odległego o dwie minuty drogi lasu. Zatrzymali się tu na chwilę. Otoczyły ich ciemności. W lesie panowała całkowita cisza, nawet zwierzęta milczały. Z oddali dochodziły głucho pomruki zmęczonej wojny.

– Trzymać się bardziej na prawo – rzekł Greifer i wskazującym palcem trącił zgiętego w bok Brahma w plecy. Pułkownik kroczył po leśnej murawie jak po dywanie.

Brahm próbował nawiązać rozmowę. Zapewniał o swojej niewinności, starał się dać wyraz przeświadczeniu, że zaszło nieporozumienie, zapewniał o swej gotowości do usług, swej użyteczności, swym oddaniu i swej wierności, zaczął powoływać się na zasługi z przeszłości.

– Niechże pan zamknie mordę – rzekł Greifer.

Brahm skulił się pod wpływem tych słów wypowiedzianych tuż za nim. Zdawało mu się, że czuje wielkie łapska Greifera na plecach, skórze i na karku. Przyśpieszył kroku, zbliżył się do pułkownika Hauka. Ale Greifer również przyśpieszył kroku i znowu następował mu na pięty. Brahm miał wrażenie, że jest osaczony.

W pewnej chwili pułkownik nagle przystanął. Stało się to tak niespodziewanie, że Brahm byłby się na niego zwałił, gdyby Greifer nie pochwycił go w porę pod ramię. Las w tym miejscu zaczynał się przeredzać. Księżyc ukrył się za szarawymi chmurami. Wydawało się, że noc wstrzymuje oddech.

– Tutaj – rzekł pułkownik Hauk.

Brahm zachwiał się. Dziki strach uderzył weń potężnymi falami, które zdawały się walić w jego mózg. – Panie pułkowniku – rzekł ledwie dosłyszalnie; wyrzucił te słowa z szeroko otwartych ust, wyrzęził je raczej. – Co się tu ma stać? Co się tu ma stać ze mną?

– To, co się zazwyczaj dzieje ze zdrajcami – odparł Greifer Brahm rzucił się w stronę pułkownika, wczepił się w jego skórzany płaszcz. Ale ręce mokre od potu i bezsilne ze strachu ześlizgiwały się bezustannie. – Nie, nie – zaskamlał. Z drżących jego warg bluznęła ślina na odpychające go ręce pułkownika. – Nie, nie!

– Niechże pan nareszcie skończy z tym psem! – syknął Hauk.

Brahm miał wrażenie, że obala go fala powietrza. Poczul krótki, mocny cios z tyłu. Jego uchwyt rozluźnił się. Znieruchomiał na chwilę, zarzęził, zakrztusił się, wydał gardłowy okrzyk. Jeszcze raz płomień rozdarł mroki nocy. Potem Brahm zwałił się. Padł na ziemię jak worek, przez chwilę jeszcze wierzgał nogami. Zapadła cisza.

– Widziałem już ludzi – rzekł Greifer – którzy w takich momentach zachowywali lepszą postawę.

Owej nocy, w której wojna, czując zmęczenie w lędźwiach i mózgu, dogorywała bezwładnie, jak gdyby wyczerpana gwałtowną rozkoszą miłosną, owej nocy niebo uczyniło bezpłodnym siew niszczenia. Ale ludzie tego nie zauważyli.

Ogarnęło ich jakieś szaleństwo, któremu poddawali się bezwolnie wszyscy: zwycięzcy i zwyciężeni, mściciele i ofiary, krzykacze i ci, którzy utracili mowę, pohańbieni i hańbiący, zdziecinniali starcy i zestarzałe dzieci. Pełni byli wszyscy wrzącego triumfu i dławiącego strachu. Tchórzliwość rozrywała ich na strzępy, żądza pozabawiała rozumu. Ręce ich były lepkie od krwi, alkoholu i potu. Wrzeszczeli, jęczeli i łkali, pluli i rechotali ze śmiechu owej nocy i przechodziło to bez echa.

Owej nocy załamały się Niemcy.

Jakiś gauleiter o zszarzałej twarzy, dygocąc na całym ciele, przebierał się w cywilne ubranie. Za jakąś stodołą jakiś generał SS wpakował sobie do rasowo czystego, germańskiego mózgu kulę rewolwerową. Jakiś żołnierz spółdził dziecko z jakąś dziewczyną, której nigdy przedtem nie widział na oczy. Matki modliły się, bohaterowie chlali. Jakiś generał szlochał, inny przeklinał, trzeci ciągle jeszcze pracował. Wszystkich opadła beznadziejność. Była to noc bez snu, spali tylko głupcy, pijani albo wyczerpani do cna. Najtęższe mózgi ogarnął największy niepokój, im więcej kto czuł, tym mocniej cierpiał. Rozpasanie święciło orgie.

A wojna, która ludzi wprawiała w to szaleństwo, była bliska zgonu.

Niech pan nie robi porachunków z Panem Bogiem – powiedział bombardier Kowalski. – Niech się pan lepiej porachuje ze mną. Inkasuję w szybkim tempie.

– Wydaje się, że dom został zajęty – rzekł kreisleiter. Kowalski pozostawił ogromną ciężarówkę u wylotu ulicy Hindenburga. Potem podkradli się z tyłu pod

dom kreisleitera. Z dwóch okien padały jaskrawe smugi światła.

– Będziemy musieli oczyścić tę budę – odezwał się Kowalski.

– A jeżeli mnie poznają? – zapytał kreisleiter zatroskanym głosem.

– W takim razie sam tu zrobię porządek – odparł Kowalski. Podkradli się bliżej i czekali przez szereg minut. Kowalski myślał o czymś z napięciem. Kreisleitera ogarnęło widoczne zdenerwowanie.

– Niech mi pan tu tylko nie trzęsie ze strachu portkami – rzekł Kowalski. – Takie-
mu dygnitarzowi jak pan to nie przystoi.

Po jakimś czasie otworzyły się drzwi domu przy ulicy Hindenburga 13. Wyszło z nich trzech mężczyzn, którzy w milczeniu skierowali się w stronę lasu. Zabłyśły na chwilę oficerskie dystynkcje, ale poszczególnych postaci nie można było rozpoznać.

– No, teraz, powietrze się oczyściło – oświadczył Kowalski. – Niech pan pędzi, a ja tymczasem odleję się i będę się przyglądał księżycowi.

Jesteście więc małżeństwem – rzekł stary Asch i podniósł swą szklanę. – Nie chcieliście przecież nic innego.

– Wola człowieka – oświadczyła Lora Schulz sentymentalnie – to jego królestwo niebieskie, ale podobno można dotrzeć do tego królestwa także i bez ślubu.

– Mnie się ta droga podoba – rzekł Wedelmann i ujął rękę swej młodej żony. Magda przytuliła się do niego. Ten obraz tkliwej harmonii mógłby przynieść zaszczyt każdemu albumowi rodzinnemu.

– Pobraliście się i z pewnością będziecie mieli kiedyś dzieci – rzekł stary Asch i lekka melancholia osnuła na chwilę jego stwardniałe, kupieckie serce. – I ze mną nie było inaczej. Ale potem straciłem żonę, a jakież jest los moich dzieci? Wojna je zżera.

– Naszym dzieciom – rzekł Wedelmann z przekonaniem – zostanie to oszczędzone.

– A więc, na zdrowie – rzekł stary Asch. – Wypijmy za to, żeby dzieci wasze miały płaskie stopy i kaprawe oczy – wtedy nie będzie można tak łatwo wziąć ich do wojska.

– Nigdy więcej mundurów w mojej rodzinie! – zawołał Wedelmann.

Wypili na tę intencję. Szklanki, którymi się tręcili, wydały miły dźwięk. W chwilę później wtoczył się do pokoju bombardier Stamm z komendy garnizonu; podniósł w górę obie ręce, zawołał:

– Heil Hitler! – i bez żenady rozsiadł się przy stole.

– Dobrze się trafia – powiedział sięgając po szklanę. – Muszę prędko zwilżyć nieco gardło, żeby mi się później lepiej telefonowało. – Wychylił duszkiem całą szklanę i zapytał: – Panie Asch, czy nie było tu u pana niejakiego bombardiera Kowalskiego?

– Jest teraz w drodze, załatwia jakieś interesy handlowe – odparł stary Asch. – Czego pan chce od niego?

– Nie wiem jeszcze na pewno – odrzekł Stamm. – Ale może ja również przyłączę się do jego interesów.

– Co się właściwie dzieje w komendanturze, panie Stamm? – zainteresowała się Lora Schulz. – Od kiedy to wysiaduje pan tam poza godzinami urzędowymi?

– Mąż pani – rzekł bombardier – jest we wspaniałej formie. Wcielony Mars! Należałoby go jak najspieszniej zluzować. A może pan, panie kapitanie, dokonałby tej operacji?

– Moje potrzeby zostały zaspokojone. Raz na zawsze!

Podporucznik Asch klęczał na dywanie w sypialni pani Willrich. Przed nim, wypiąwszy tyłek, klęczała Barbara. Widok ten odwracał uwagę Ascha od jego zajęć.

– Czy to wszystko? – zapytał wskazując na leżące dokoła dokumenty, fotografie i listy.

– Wszystko, co znalazłam. Byłam we wszystkich pomieszczeniach tego domu z wyjątkiem saloniku.

– To mi jeszcze nie wystarcza – powiedział Asch.

– Nie znalazłam nic więcej – odparła Barbara i podpełzła do niego ze śmiało wysuniętą pierśią.

Asch podniósł się szybkim ruchem i opuścił sypialnię. Wszedł do saloniku, rozejrzał się dokoła. Łyknął pokąsną porcję koniaku, odsunął trupa Willrichowej i skierował się w stronę szafy. Wyłamał zamek i wyciągnął wszystkie znalezione tam papiery.

Wrócił znowu do sypialni, w której Barbara z gniewną, znudzoną miną, ale niezmordowana, szastała się po podłodze, i rzucił przyniesione papiery na dywan.

Wydawało mu się znowu, że nie ma wśród nich nic, co by wskazywało, gdzie teraz mogą być Hauk i Greifer. Wziął parę listów, rzucił na nie okiem i roześmiał się.

– Popatrz no tutaj. – Barbara podniosła w górę jakąś fotografię. – Willrichowa w czułych objęciach jakiegoś mężczyzny, ale nie jest to jej mąż. To nie ten sam człowiek, którego fotografia wisi u niej na ścianie.

– Dajże spokój z tymi nędznymi fotografiami ofuknął ją gniewnie Asch. – Idylle miłosne nie interesują mnie. Szukam adresu.

Barbara podała Aschowi fotografię przysuwając się do niego jak najbliżej. – Nie masz również zrozumienia dla tkliwości – zauważyła.

Chcąc uwagę swoją odwrócić od Barbary, Asch oglądał fotografie. Po chwili powiedział: – Człowiek ten wydaje mi się znajomy. Na pewno znam go, nie wiem tylko skąd.

– Znasz go? – zapytała Barbara przyglądając mu się przymrużonymi oczyma. – Przecież ty nawet mnie nie znasz.

– W takim razie jeszcze raz miałem szczęście – powiedział Asch wkładając fotografię do kieszeni.

Generał Luschke stał obok czołgu i lekko uderzał ręką w skośną płytę stalową. Towarzyszący mu oficer skinął ponuro głową i powiedział: – Nie ma już benzyny.

– A w innych wozach? – zapytał generał.

– Ani kropli. Jeżeli jeszcze dzisiaj w nocy...

– To niemożliwe – odparł Luschke. – Rezerwy mojej dywizji są wyczerpane. Inne źródła w moim zasięgu nie istnieją.

– W takim razie, panie generale...

– Zgoda – rzekł Luschke. – Niech pan wysadzi swoje trumny w powietrze.

– Ale dynamitu nie mamy również, panie generale.

– W takim razie zamieńcie to wszystko pociskami w kupę gruzów.

– Nie wystarczy nam do tego amunicji.

– To porozdzierajcie czołgi własnymi palcami. – A więc to koniec, panie generale?

– Tak – odparł Luschke – koniec. Niech pan wyciągnie z tego wszystkie konsekwencje i postara się, by pańscy ludzie znaleźli się w bezpiecznym miejscu. Trzeba ostatecznie zakończyć tę całą sprawę. Niech pan unika obłąkańców, a jeśli uniknąć się tego nie da, likwiduje bezlitośnie tych specjalistów od ostatecznego zwycięstwa. Jeżeli już nie da się uniknąć strat, należy starać się przynajmniej o to, żeby były możliwie jak najmniejsze. Dobranoc.

– Dobrej nocy, panie generale.

Luschke ociągając się podszedł z wolna do swego wozu, przy którym czekali dwaj jego łącznicy na motocyklach.

– Do koszar? – zapytał jeden z nich.

– Światło! – zażądał Luschke. Kiedy ha ręce jego padł promień latarki kieszonkowej, generał oparł się o chłodnicę i napisał na kartce z notesu kilka zdań. Potem wyrwał kartkę, złożył ją i rzekł do jednego z łączników: – To dla Wedelmanna. Znajdzie go pan w mieście u właściciela kawiarni Ascha, tuż przy rynku.

Łącznik zsalutował, sięgnął po kartkę, powtórzył zlecenie i ruszył z miejsca.

– Do piechoty! – rozkazał Luschke.

W głosie jego nie czuło się teraz zmęczenia.

Przytłumiony gwar towarzyszący uroczystości weselnej ucichł. Rozległ się dzwonek. Po chwili zadzwoniono raz jeszcze. – Ruch tutaj jak w gołębniku – rzekł stary Asch.

– Może to Kowalski – wyraził przypuszczenie Stamm i poszedł otworzyć drzwi.

Po chwili wrócił w towarzystwie jego wielebności proboszcza Westhausa.

– Nie chciałbym przeszkadzać – oświadczył proboszcz.

– A jednak przeszkadza ksiądz – odparł stary Asch. – Skoro się jednak ksiądz proboszcz zjawił, proszę wypić z nami szklaneczkę wina za zdrowie nowożeńców.

– Chętnie – odpowiedział Westhaus składając życzenia w kilku gładkich zdaniach.

– Mam nadzieję, że możliwie w najkrótszym czasie zawrą państwo również ślub ko-

ścielny. Jestem do dyspozycji.

– Ale chyba nie zaraz, wasza wielbność! – zawołał stary Asch.

– Przyszedłem tutaj – rzekł proboszcz siadając na jednym z krzeseł – żeby pomówić z panem, szanowny panie Asch, o pańskim przyjacielu panu Freitagu.

– Martwi się ksiądz o niego? Przecież nie jest ksiądz bezpośrednio odpowiedzialny za zbawienie jego duszy. Niech mi wasza wielbność wierzy – w gruncie rzeczy powodzi mu się lepiej aniżeli nam wszystkim.

– Zna go pan dobrze, panie Asch?

– Nie znam go wcale, jestem z nim tylko zaprzyjaźniony.

– Czy to przyjaźń trwała?

– Mam niepłonną nadzieję... – odparł Asch.

Jak było zaplanowane, bombardier Kowalski odlał się gruntownie. Nie mógł gapić się na księżyc, ponieważ ten pozęgłował w stronę mętnych, białych chmur. Oparł się więc o drzewo i czekał.

Myślał sobie: „Ten kreisleiter grzebie się teraz w swojej budzie. Miejmy nadzieję, że się dogrzebie do kryjówki. Już się o to postara. Żyjemy w czasach, w których niejeden Niemiec chętnie poświęciłby nagromadzone w szybkim tempie bogactwa, żeby się tylko stać ubogim, szarym człowiekiem.”

W lesie padł strzał. Wkrótce po nim – drugi. Później zapanowała jeszcze większa pisań niż przedtem.

Kowalski pomyślał: „Pistolet, prawdopodobnie pistolet 08. Odległość – około ośmiuset metrów. Te łobuzy strzelają Panu Bogu w okno, nie znudziła im się jeszcze ta główniana zabawa. Ale jeżeli to komuś sprawia przyjemność...”

Czekał dalej. Ziewał potężnie, rozdziawiając szeroko gębę. Kiedy mu się to znudziło, zaczął ocierać się plecami o drzewo.

Wkrótce nadbiegł kreisleiter i z trudem łapiąc oddech, powiedział: – Wszystko w porządku, znalazłem te rzeczy.

– Dawaj pan – zażądał Kowalski.

– Towar za towar – powiedział kreisleiter.

– Zawsze zgodnie z etykietą i przepisami, co? – rzekł Kowalski. Nagle chwycił ramię kreisleitera i powiedział szeptem: – Cicho!

Nastawili uszu. Rozległy się kroki. Z lasu wyszli dwaj mężczyźni, minęli ich w pewnej odległości i udali się do domu. Znowu zabłysły dystynkcje, ale twarzy nie można było rozpoznać.

– Bardzo interesujące – rzekł Kowalski.

– Chodźże pan już – nalegał kreisleiter.

– Mnie to jednak interesuje – opierał się Kowalski. – Kiedy trzech ludzi udaje się do lasu, kiedy tam padają strzały, a wraca tylko dwóch, sprawa staje się dla mnie interesująca.

– Ale dla mnie nie, ponieważ nie mam tyle czasu co pan. Dzisiejszej nocy czeka

mnie jeszcze długa droga.

– No więc dobrze. Zawsze będę miał jeszcze czas rozejrzeć się dokładnie w tej okolicy.

Volkssturm ustawił się na rynku w kiepskim szyku, w postawie pod zdechłym psem. Wskazówki zegara zbliżały się powoli do godziny dwudziestej czwartej, a gromada ludzi, która miała się stawić na godzinę dwudziestą trzecią, ciągle jeszcze nie była w komplecie.

Kapitan Schulz pienił się ze złości i pogardy. Dowódca Volkssturmu stawał się z minuty na minutę coraz mniejszy. Za to ludzie jego zachowywali się zupełnie spokojnie, jak by ich to całe widowisko nocne nic a nic nie obchodziło.

– Czterdzieści minut opóźnienia – warknął Schulz. – Gdzie może się zdarzyć coś podobnego?

– U nas! – zawołał jeden ze stojących w szeregu.

– Kto to powiedział? – zapytał Schulz szykując się do skoku.

– Nikt – padło z szeregu i rozległ się śmiech.

– Banda pańska – rzekł Schulz do dowódcy – jest poniżej wszelkiej krytyki. To istny chlew.

– Za mało mieliśmy szkolenia – jękał tamten na swoje usprawiedliwienie.

– Już ja się o to postaram, żebyście mieli dosyć czasu na ćwiczenia – zapewnił Schulz gniewnie. – Możecie być tego pewni jak amen w pacierzu.

Schulz stanął przed oddziałem, rozkraczywszy nogi, – Ludzie! – zaryczał potężnym głosem, który odbił się echem na pustym rynku – jesteście oddziałem ostatnim, ale nie będziecie oddziałem najgorszym. Pozostajecie pod bezpośrednim dowództwem generała Luschkego, którego rozkazy mam wam podać do wiadomości.

Powiedziawszy to, zarządził: wzmocnione posterunki na wszystkich drogach wylotowych, wzmocnione patrole w obrębie całego miasta i okolicy, zmieniające się co trzy godziny. Wszystkie podejrzane osoby winny być zatrzymywane i odprowadzane do komendantury. Oddział naklejaczy zamelduje się u porucznika Nowaka w celu otrzymania od niego obwieszczeń.

– Ludzie! – zawołał Schulz. – W mieście tym ogłoszony został osobiście przez generał-majora Luschkego stan wyjątkowy. A więc, jazda na posterunki!

– Czy pozostali mogą odejść? – zapytał naiwnie dowódca Volkssturmu.

– Co też panu przychodzi do głowy! – zaszczekał Schulz. – Pozostali będą skoszarowani. Jutro rano o piątej pobudka i później dopiero zacznie się naprawdę! Czy zostałem zrozumiany?

Nie otrzymał odpowiedzi. Uznał, że tym gagatkom z Volkssturmu odebrało mowę z podziwu dla jego żołnierskich przymiotów. Napełniało go to dumą. Heini, przywódca Hitlerjugend, stał za nim z błyszczącymi oczyma.

– Ludzie! – ryczał Schulz jak bawół. – Nie zróbcie panu generałowi wstydu, bo będzie z wami krucho!

Gdyby podporucznik Brack – rzekł kapitan Ted Boernes do swoich gości, którzy się zaszewili nie mogąc rozstać się z najlepszą na świecie whisky – gdyby, powtarzam, podporucznik Brack miał istotnie przyjąć pańską propozycję, James, będą musiał uzyskać naprzód zgodę pułkownika Thompsona.

– Może się zdarzyć – powiedział James I i uśmiechnął się do „pastora” – że nie otrzyma pan połączenia.

– Ponieważ nie zechce go pan otrzymać! – uzupełnił James II słowa swego partnera.

Trzej Amerykanie, rozparci w wygodnych fotelach, spojrzeli na siebie. Kapitan nie uśmiechnął się tym razem, tylko powiedział: – Plan jest oczywiście dobry, ale...

– Tylko bez ale, kapitanie, skoro plan jest dobry.

– Gdyby istotnie udało się nam wypuścić podporucznika Bracka w pełnym umundurowaniu jako straż przednią, mogłyby powstać niesłychane możliwości. Jeżeli będzie miał oczy otwarte i zrobi użytek ze swego rozumu, a głupcem nie jest na pewno, możemy uzyskać po prostu nieocenione dane i informacje.

– Mielibyśmy wtedy tylko jedno do roboty: zainkasować je.

– Będzie to wielki triumf dla pańskiego oddziału, kapitanie. Ogromny.

– Możliwe – rzekł Ted Boernes niezdecydowanie. – Bardzo możliwe. Ale jeżeli rzecz się nie uda, Thompson rozszarpie nas.

– Jeżeli, jeżeli...

– Niech pan pomówi z Brackiem, kapitanie. Może tak się do tego pali, że nie będziemy już w stanie go powstrzymać. Nawet siłą. A przecież chyba nie zechce pan stosować siły wobec krewniaka pułkownika. Tego zrobić nie można.

– Dobrze, pomówię więc z panem Brackiem – rzekł Ted Boernes. – A co zrobimy z drugim, z tym Hinrichsenem?

– Tego – odparł James I – kupię sobie jutro.

Kompania weselna w domu Ascha stała przy oknach, przez które widać było cały rynek. Dla lepszej widoczności i ze względu na obowiązujące jeszcze przepisy o zaciemnieniu wyłączono światło. Tłoczący się na rynku Volkssturm robił wrażenie trzody baranów zaskoczonej przez burzę.

– Budujący widok! – zawołał bombardier Stamm i roześmiał się. – Pani Schulz, czy nie uważa pani, że mąż pani wygląda imponująco?

– Jak kogut – odrzekła Lora Schulz wzruszając ramionami. – Bawi się chętnie w wojsko. Mój dwunastoletni braciszek również robił to kiedyś z entuzjazmem, ale on przynajmniej wyrósł z tego.

– Tego właśnie, panie Asch – rzekł proboszcz Westhaus – należy uniknąć. Żeby się to jednak mogło stać, trzeba nam przede wszystkim ludzi pańskiego pokroju, którzy mają stosunki i tu, i tam. Niech je pan wykorzysta. Niech pan wyrównuje, uspokaja i wygładza wzburzone fale.

– Księżę proboszczu – rzekł stary Asch – oficjalnie jestem tutaj hitlerowcem i

jako taki mogę sobie pozwolić przynajmniej na cząstkę tego, co się nam zarzuca.

Kiedy się tak wszyscy przyglądali nieudanemu widowisku żołnierskiemu rozgrywającemu się na rynku, wszedł nie zauważony przez nikogo Kowalski i zawołał wesoło: – Wszyscy – zbiórka! Trzeba jeszcze oczyścić latryny wojenne!

– Nareszcie! – rzekł bombardier Stamm. – Jesteś tu pilnie potrzebny.

– Pan nie dzwonił? – zapytał stary Asch.

– To wcale niepotrzebne – odparł jowialnie Kowalski. – Mam kilka wytrychów.

– Jak ci się podoba ten teatr marionetek tam na dole? – zapytał Stamm bombardiera.

– Wcale mi się nie podoba – odparł Kowalski. – Jedyne, co mi się u Schulza podoba, to jego żona.

– A mnie się ona wcale nie podoba – powiedziała Lora krygując się i dając do zrozumienia, że zgodziłaby się ewentualnie na to, żeby Kowalski ją pocieszył. Przysunęła się nieco do niego.

– Słuchaj no, Kowalski – rzekł Stamm pakując się między Lorę a bombardiera. – Miłość nigdy nie przestanie istnieć, ale na następną wojnę będziesz musiał poczekać jeszcze parę latek. A kto umie i lubi używać, daje zawsze pierwszeństwo rzeczom, które wydarzają się rzadko.

– Czego ty właściwie chcesz ode mnie, ty molu kancelaryjny? – zapytał Kowalski nie bez zainteresowania.

– Żebyś się ruszał! Żebyś brał udział w tym ostatnim tańcu. Istnieją wszelkie możliwości do prima zabawy – siedzę u samego źródła.

– Masz rację – oświadczył Kowalski – tę, dziecinę trzeba pohuścić. A na inne dzieci zawsze jeszcze będziemy mieli czas.

Wspaniała, luksusowa willa z należącym do niej parkiem, który również znajdował się w stanie wojennego zaniedbania, była zamaskowana jako szpital zakaźny. Na dachu widniała oznaka Czerwonego Krzyża, dwie chorągwie z czerwonym krzyżem widoczne były z daleka. Przy wjeździe umieszczona była olbrzymia tablica: „Baczność! Niebezpieczeństwo zarazy! Wejście na teren zamknięty wzbronione pod najsurowszą karą!”

Była to centrala organizacji, Soefta.

Kapral Soeft siedział ze swymi najbliższymi współpracownikami, tym razem wyłącznie w charakterze szefa organizacji. – Nie sądzę, żebyśmy jeszcze mogli przyjąć pacjentów, mamy komplet.

– Ale ceny rosną z godziny na godzinę.

– Niech sobie rosną. Chyba nikt nie zrobi zarzutu, żeśmy mało żądali.

Najbliżsi współpracownicy szefa zapewnili, że nigdy ani na chwilę nie myśleli o takim zarzucie. Nowe oferty są jednak tak pociągające, że należałoby pomyśleć o pewnym bodaj niewielkim rozszerzeniu interesu. – Można by jeszcze umieścić jednego gauleitera, również dla adiutanta reichsleitiera cena nie gra już żadnej roli.

Soeft polecił wymienić oferty. Interesowały go. Po chwili powiedział: – folwark nasz jest zapchany, tak samo jak nasze agencje transportowe i stacje benzynowe.

– Tutaj w sanatorium dla zakaźnie chorych – zauważył podoficer sanitarny występujący w roli naczelnego lekarza – również nie ma miejsca. Jeżeli chcemy uniknąć niepotrzebnego przeładowania.

– Chcemy tego uniknąć – oświadczył Soeft. – Ostatecznie musimy przecież mieć także miejsce dla siebie.

Rzekomy szpital dla zakaźnie chorych był wynalazkiem wyłącznie Soefta. Składał się w zasadzie z pewnej liczby prawdziwych chorych, skrupulatnie odizolowanych, którzy z rozkoszą korzystali z komfortu i wystrzegali się jak ognia rozpytywania o szczegóły. Poza tym był tu bardzo liczny personel składający się bez wyjątku z ludzi Soefta. Kilku płacących specjalnie słone ceny „pacjentów prywatnych” z Wehrmachtu, aparatu gospodarczego i partii miało uczucie, że w tych burzliwych czasach znalazło miejsce do pewnego stopnia bezpieczne.

– Żebym nie zapomniał – rzekł Soeft. – Obok tekstu niemieckiego trzeba będzie jutro rano umieścić taki sam napis angielski. Amerykanie omijają z daleka wszelkie choroby zakaźne. Potrzebna mi jest również mała kolekcja orderów. Muszę jeszcze nadać parę odznaczeń.

– Wracając jeszcze do ostatniej sprawy... A więc spławimy gauleitera i adiutanta reichsleitiera.

– Wolnego – rzekł Soeft zamyślony – tylko wolnego. Może powinniśmy podjąć próbę zorganizowania nowego schronienia, niechętnie rozdarowuję całe majątki.

– W ostatniej godzinie?

– I tak muszę się stąd oddalić – rzekł Soeft. – Żeby zainkasować należność za kreisleitera. Zabiorę oba wartościowe obiekty, może będę je mógł gdzieś umieścić. Przygotujcie na jutro rano karetkę sanitarną, owińcie tych dwóch bandażami i wpakujcie ich do niej.

– Koszty będą obliczone oddzielnie?

Soeft skinął głową, – Spróbuję podrzucić ich memu dalekiemu przyjacielowi, który jest właścicielem kawiarni.

Jest pan więc ostatecznie zdecydowany? – zapytał Hinrichsen i spojrzał z zainteresowaniem na podporucznika Bracka, gotowego do wymarszu. – Więc naprawdę chce się pan dać przetrząść przez przednie linie, żeby potem...

– To jedna z wielu możliwości – odparł podporucznik. – Moim zdaniem, najbardziej honorowa.

– Niech pan to powtórzy – domagał się zdziwiony major. – Czy naprawdę usłyszałem coś o honorze?

– Każdy z nas rozumie teraz te słowa inaczej – odparł, podporucznik Brack. – A u nas w Niemczech, gdzie każdy kominiarz ma swój własny honor, będę mógł chyba pozwolić sobie na własne pojęcie honoru.

- Czy tego, co pan chce uczynić, nie określa się jako zdrady?
- Ja określam to jako czysto ludzką reakcję, panie Hinrichsen. Nie oszukam nikogo, ale będą tacy, których uchronię od bezmyślnego poświęcenia się.
- Ważne chyba jest i to – rzekł Hinrichsen i zdrową ręką podał Brackowi pistolet
- że dowie się pan, gdzie się te łotry ukryły.
- Chyba ważne – odparł Brack.
- Proszę nie zapomnieć – gdyby zabiegł panu drogę człowiek nazwiskiem Hauk – niech go pan pozostawi dla mnie.

Podporucznik Asch klęczał wciąż jeszcze na dywanie w sypialni pani Willrich i przeglądał porozrzucane na nim dokumenty, papiery, listy, kartki i fotografie. Ale tego, czego szukał, nie znalazł.

– Czy będziesz tam sterczał całą noc? – zapytała Barbara. Leżała w ubraniu na szerokim łóżu małżeńskim i paliła papierosa. Była zmęczona, ale nie mogła spać.

– Daj mi spokój – rzekł Asch z niechęcią.

– A jeżeli nie chcę zostawić cię w spokoju?

Asch udał nie bez wysiłku, że uwagi tej, jak wielu podobnych, nie dosłyszał. Jako rezultat swych poszukiwań odłożył na bok parę zdjęć. – Znam tego człowieka – powiedział. – Nie wiem tylko skąd. Znam go chyba z mego miasta rodzinnego. Na zdjęciu bowiem widnieje dom, który stoi gdzieś u nas, przypuszczalnie koło parku. Ale nie jestem tego pewien.

– Co to w ogóle ma za sens? – zapytała Barbara, ziewnęła i wyciągnęła się na łóżku.

– Masz rację – rzekł Asch zrezygnowany. – Po co to wszystko? Nie ma żadnego poważnego punktu oparcia. A może znowu jakaś śmieszna drobnostka odwraca moją uwagę.

– Może byś się odwrócił – powiedziała Barbara, podniosła się nieco i zaczęła ściągać suknię.

– Przeziębisz się.

– Gorąco mi.

– Idę teraz spać. Wszystko to jest zupełnie bezcelowe. Jutro rano pojedziemy do mnie do domu.

– Zabierzesz mnie ze sobą?

– Proszę bardzo – odparł Asch obojętnie. – Nie jestem przecież pułkownikiem Haukiem.

– Zostań tutaj, boję się spać sama. Dokąd chcesz odejść?

– Będę spał w pokoju pani Willrich, jeżeli masz ochotę, możesz tam do mnie przyjść.

Stary Asch orientował się coraz lepiej, że uroczystości weselne z okazji ślubu Wedelmanna będą go grubo kosztowały. Liczba gości wzrastała gwałtownie, zdawało

się, że pragnienie ich jest nie do ugaszenia. W jego zadymionym, gwarnym pokoju było więcej życia, niż kiedykolwiek w jego kawiarni.

– Moi państwo – rzekł stary Asch tonem osobnika bieglego w wyrzucaniu za drzwi – jutro ostatecznie także mamy dzień.

– Ale dziś, to dziś! – zawołał Kowalski i razem ze Stammem zabrał się do odkorkowywania dalszej baterii butelek.

Nowożeńcy siedzieli obok proboszcza Westhausa, który pouczał ich o błogosławieństwach Kościoła. Lora Schulz słuchała nie bez zainteresowania i od czasu do czasu wzdychała czule, zwłaszcza wtedy, kiedy wzrok jej zatrzymywał się przez dłuższą chwilę na Wedelmannie. Kowalski i Stamm, złączeni w bratnim uścisku, opowiadali sobie niezawodnie pieprzne dowcipy, ponieważ od czasu do czasu rzeli jak konie.

– Jest już bardzo późno – odezwał się stary Asch.

– Nigdy nie jest za późno – oświadczył z namaszczeniem Westhaus.

Około godziny pierwszej zjawił się kapitan Schulz przepelniony godnością i gniewem. Nie zwracając na razie uwagi na obecnych stanął przed swoją żoną i powiedział: – Kazałem cię wszędzie szukać.

– No i znalazłeś mnie – rzekła Lora beztrosko. – Kiedy ja ciężko pracuję, ty się tu zabawiasz.

– Bawi mnie ta twoja ciężka praca.

– Niechże pan usiądzie, panie kapitanie – powiedział stary Asch usiłując nie dopuścić za żadną cenę do jakiejś awantury w swoim domu.

– Jestem na służbie – rzekł Schulz i usiadł. W tym momencie zobaczył bombardiera Stamma. – Co wy tutaj robicie, człowieku?

– Jestem również na służbie – oznajmił Stamm uprzejmie.

– A wy? Czy to nie Kowalski?

– Tak, to Kowalski. I ja jestem na służbie. Wszyscy tu jesteśmy na służbie, tylko każdy rozumie to słowo inaczej.

Stary Freitag cieszył się specjalnymi względami strażnika więziennego Krawattke. Krawattke opiekował się nim jak bliskim krewnym, który ciężko zachorował i któremu nie wolno umrzeć, bo nie zrobił jeszcze testamentu.

– Panie Freitag, czy mam przynieść jeszcze jeden czy dwa koce? Noc jest chłodna.

– Możecie opróżnić mój nocnik, Krawattke.

– Ależ chętnie, panie Freitag. – Krawattke schylił się usłużnie pod prycę i wyciągnął stamtąd nocnik. Trzymał go mocno, jakby urynał był wartościową paczką. – Jak pan sądzi, panie Freitag, co teraz będzie?

– Jeżeli pan się stąd szybko nie ulotni, nie wyśpię się.

– Mam na myśli sytuację polityczną, ogólny rozwój wypadków.

– To, co krzywe i wykoślawione, nie może się rozwijać, mój Krawattke.

– Dobrze się panu śmiać, panie Freitag. Siedzi pan na właściwym koniu.

– A pan, Krawattke, chyba na czas zmieni rumaka, nie? Krawattke wpatrywał się z ponurą miną w nocnik Freitag.

– Jak to mam zrobić? Poza robotą tutaj nie umiem nic innego.

– To niewiele – zauważył stary Freitag. – Ale niech się pan uspokoi, strażnicy więzienni będą istnieć zawsze. Zmieniają się tylko więźniowie.

– Rozumiem – rzekł Krawattke, podniesiony na duchu. – Bardzo mnie to uspokaja. Chyba jestem dobrym strażnikiem więziennym? Może nie?

– Niechże mi pan wreszcie pozwoli zasnąć.

– W gruncie rzeczy dobry z pana człowiek powiedział Krawattke pełen wdzięczności. – Szkoda, że nie ma tu takich więcej. – Po tych słowach ulotnił się.

No tak – rzeki Greifer z zadowoleniem – mielibyśmy to wreszcie za sobą! – Postawił na stole trzy butelki szampana i przypatrywał się z dumą swemu dziełu.

– Wyszukałem – oświadczył – najlepsze, cośmy mieli w naszych zapasach. Mumm Extra Dry, opakowany, jak gdyby to była kolia z pereł. Niosłem butelki jak noworodki, ostrożniej nie można już było. Sądzę, że temperatura będzie również odpowiednia.

Pułkownik Hauk nie odezwał się ani słowem. Był jak zwykle blady, chłodny, pozbawiony konturów, oczy i wargi nasuwały skojarzenia z rybami. Wyglądał jak posąg, lekko skurczone ręce trzymał na blacie stołu.

Z początku Greifer nie zauważył w zachowaniu swego pana i mistrza nic nadzwyczajnego. – Trzecia butelka, panie pułkowniku – rzekł uśmiechając się całą gębą – przeznaczona jest dla Brahma. Dzielę wszystko pięknie na trzy części, żeby nie mówić, że swojej nie dostał. – Po tych słowach wybuchnął głośnym śmiechem, przekonany, że powiedział przed chwilą kapitalny dowcip. Kiedy jednak spojrzął dokładniej na twarz pułkownika, śmiech uwiązł mu w gardle. Była to twarz, którą znał dokładnie; najmniejsze jej poruszenie mówiło mu więcej niż całe tomy. W oczach, które często patrzyły nań z zadowoleniem, czaiła się wściekłość.

– Co się stało, panie pułkowniku? – zapytał Greifer badawczo.

– Czy wiadomo panu, do kogo ten dom należy?

– A skądże mam o tym wiedzieć. Nadaje się doskonale dla naszych celów, a więc podoba mi się.

– Kiedy pan poszedł po szampana, rozejrzałem się tu dokładniej. I okazało się, że dom ten należał do kreisleitera.

– Tam do licha! Zastrana sytuacja! – zawołał Greifer. Zrozumiał z miejsca, co to ma oznaczać. Nie mogą tu pozostać. Będzie to pierwszy spośród domów, do których Amerykanie wpakują swe nosy. – Ze się to właśnie nam musiało wydarzyć.

– Przykra sprawa – rzekł Hauk patrząc w dal swymi rybimi oczyma.

– Ale wyszukamy coś innego – rzekł Greifer stanowczo. – Zajmę się tym zaraz jutro rano.

– A środki przewozowe?

– Tam do licha! Jeszcze i to! Jak mogłem zapomnieć o naszych ciężkich bagażach. Ale dwie ciężarówki potrafię jeszcze zarekwirować, nawet gdybym całą tę dziurę miał obrócić w perzynę.

Jestem tu portierem czy co? – zawołał stary Asch, kiedy znowu rozległ się dzwonek.

– Portierem będzie pan może mógł jeszcze zostać, jeżeli pan będzie miał szczęście – rzekł Kowalski. – Niechże pan korzysta z okazji i przygotowuje się do tego fachu. Niech się pan w nim ćwiczy.

Umęczony właściciel kawiarni opuścił huczną kompanię, która wyraźnie nie była w stanie rozstać się z licznymi butelkami zmagazynowanymi w jego piwnicy. Stary Asch z gniewem tolerował licznych, nie płacących ani grosza gości; korzystał z każdej okazji, żeby dać do poznania niepożądanym przybyszom, jaki jest wściekły. Ale nikt nie kwapił się, by na tę jego wściekłość zwracać uwagę.

Po jakimś czasie powrócił w towarzystwie zakurzonego, przemęczonego kierowcy. – Ten przynajmniej długo tu nie pozostanie – obwieścił wyzywająco.

Kierowca podszedł do Wedelmanna, otworzył torbę z meldunkami, wyciągnął z niej złożony we dwoje arkusz papieru i wręczył Wedelmannowi oświadczając: – Od generała Luschkego.

– Dziękuję – odparł Wedelmann. Z pewnym ociąganiem się rozwinął kartkę, odczytał jej treść i zarumienił się jak sztubak. – Dziękuję – powtórzył, złożył starannie kartkę i włożył ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Jak to właściwie jest? – chciał się dowiedzieć kapitan Schulz. – Czy otrzymał pan urlop z okazji ślubu, panie Wedelmann?

– Proszę zapytać o to generała Luschkego – odparł lakonicznie Wedelmann.

Wkrótce ktoś znowu zadzwonił. Stary Asch zaklął siarczyście, nie krępując się obecnością proboszcza Westhausa. Lora Schulz chichotała radośnie – wypila za wiele.

– Niech pan to zostawi, panie Asch – rzekł Kowalski wielkodusznie. – Zastąpię pana jako portier. Zresztą muszę i tak zejść do piwnicy – nasza amunicja alkoholowa zaczyna się powoli kończyć.

– A niechże pana diabli wezmą! – zawołał za nim stary Asch.

– Ja poproszę o lekkie mozelskie – powiedział wielebny Westhaus.

Po niedługiej chwili Kowalski wrócił z rozpromienioną twarzą, obładowany jak wielbłąd. – Panie Asch – obwieścił radośnie – zakwaterowało się u pana siedmiu ludzi.

– Czy nie ma pan Boga w sercu! – zawołał właściciel kawiarni z przerażeniem.

– Oto lekkie mozelskie, wielebny proboszczu.

– Kowalski – zaklinał go Asch – przecież to nie może być prawdą.

– Ale jest. Siedmiu ludzi z baterii podporucznika Ascha. A ponieważ jestem strażą przednią, skierowałem ich od razu tutaj. Rozlokowali się już w kawiarni.

– Tej nocy – rzekł stary Asch – zrobiłem najgorszy interes w całym moim życiu.

Słowa, które generał-major Luschke napisał do Wedelmanna, miały następujące brzmienie:

Drogi Przyjacielu!

Zachowaliśmy się jak bohaterowie, żyliśmy jak psy, ponieważ zapomnieliśmy, czym jest miłość. Niech pan próbuje znaleźć ją i stać się szczęśliwszy. I niech pan zapomni o generale Luschkem.

Kiedy się wydawało, że owa noc, w której wojna straciła tyle na sile, ile nie straciła w ciągu setek poprzednich nocy, powoli dobiega końca, wielu ociągało się z tym, żeby spojrzeć na nadchodzący dzień szeroko otwartymi oczyma. Jedni kochali sen, ponieważ paraliżował ich umysł, inni nie chcieli wyrwać się z oparów szaleństwa i opilstwa. Niektórzy wstydzili się. Byli wśród nich i tacy, którzy wstydzili się za innych.

Był to dzień, który nie ujrzął już Niemiec.

Wstający wolno dzień zobaczył więcej trupów aniżeli poprzedni, więcej pustych butelek, więcej nieruchomych twarzy. Zobaczył również pomiętą pościel, wymęczone postacie ludzkie, powyrzucane ordery i porzbijane skrzynie. Tu wyciekała benzyna, tam płynęła krew, ówdzie wódka. Jedni klęli przy wstawaniu, inni modlili się, byli tacy, którzy czynili to dlatego, ponieważ takie tylko mogli znaleźć słowa. Wielu zmuszało się, żeby nie myśleć.

W lesie podmiejskim leżał trup płatnika Brahma. Stary Asch spoglądał z osłupieniem na straszliwy nieład, jaki kompania weselna pozostawiła w jego mieszkaniu. Proboszcz Westhaus nie potrafił się teraz modlić, więzień Freitag nie chciał tego czynić. W komendzie chrapał kapitan Schulz, a jego żona usiłowała uwieść Wedelmanna, Kowalski i Stamm leżeli w piwnicy pijani jak bele.

W kierunku miasta zdążali podporucznik Asch i Barbara. Twarze ich świadczyły o bezsennej nocy. Ponadto zmierzali ku miastu młody podporucznik Brack z miną śmiertelnie poważną, generał Luschke, który wyczerpany do cna, kiwał się obok swego kierowcy i robił wrażenie nieprzytomnego, kapral Soeft w komfortowej sanitarce, w której znajdował się jego ostatni „towar”. W stronę miasta podążały również, z dużej jednak jeszcze odległości, czołgi amerykańskie.

Wojna chwiała się ze zmęczenia i osłabienia, ale raz jeszcze udało jej się stanąć na bezsilne nogi.

W tych niespokojnych dniach James I nauczył się wstawać bardzo wcześnie. Pęd do czynu skracał mu sen. Uważał za rzecz całkowicie zrozumiałą, że James II powinien bez oporu dostosować się do tych jego nowych obyczajów.

– Wstawaj, „pastorze”! – zawołał. – Sprzymierzeniec Hinrichsen potrzebuje nas pilnie.

– Nie możesz tego sam załatwić, „partnerze”?

– W myśl instrukcji kapitana Boernesa decyzje dotyczące ważnych spraw mogą

być podejmowane jedynie kolektywnie.

– Czy jesteśmy tutaj w jakiejś firmie?

– Bierzymy udział w największym przedsięwzięciu współczesności, „pastorze”. Jeszcze ciągle nie zauważyłeś tego? Nasze pełnomocnictwo in blanco opiewa na kilka milionów dolarów, Gdyby Eisenhower zechciał, mógłby przehandlować pół kontynentu.

James II podniósł się odsuwając na bok swoje koce. – Mam wrażenie, że czytasz, „partnerze”, jedną tylko gazetę, i to niewłaściwą. – Po tych słowach rozdziawił usta i ziewnął potężnie.

– Spróbujemy wymacać tego naszego sprzymierzeńca Hinrichsena. Jeżeli będzie przydatny, a mam nadzieję, że będzie, niech sobie z tego wyciąga korzyści. Jeżeli się nie nada, kopnę go w jego gruby tyłek.

Udali się do Hinrichsena, który spał w małym pokoiku na poduszkach rozłożonych wprost na podłodze. James I potrząsnął nim wołając wesoło: – Heil Hitler, Hinrichsen!

Opasły Hinrichsen gapił się na obu Amerykanów zaspanymi oczyma. Potem, sapiąc, zabrał się do masowania spoconej twarzy zdrową ręką.

– Jakże tam rana? – zapytał James II.

– Nie będzie mi przeszkadzała.

– Pięknie – rzekł James I i ciągnął szybko dalej: – Czy jest pan gotów włożyć mundur amerykański bez dystynkcji?

– Jeżeli tak być musi... – oświadczył powoli Hinrichsen.

– Jestem zwolennikiem podziału pracy – oświadczył James I w dalszym ciągu w błyskawicznym tempie. – Skoro pan przystąpił do naszej placówki służbowej, będzie nas trzech. Czym chciałby się pan zająć? Administracją, partią czy też Wehrmachtem?

Hinrichsen myślał ciągle tylko o Hauku. Odpowiedział więc bez namysłu: – Jeżeli mogę wybierać, to Wehrmachtem.

– Dobrze – oświadczył James I i rzucił mu arkusz papieru. – Oto schemat przesłuchiwania. Rozpocznie pan swą działalność za pół godziny.

– Za godzinę – James II wskazał na opatrunek na ramieniu Hinrichsena. – Poza tym musi się przecież zapoznać z pracą.

– No dobrze, jestem człowiekiem wyrozumiałym rzekł James I. – Zgadzam się na czterdzieści pięć minut.

Opuścili Hinrichsena, który spoglądając w kierunku odchodzących znowu zaczął masować sobie twarz, po czym powoli uniósł swoje olbrzymie ciało.

Po upływie godziny siedział w mundurze amerykańskim bez dystynkcji, leżącym na nim jako tako, w pokoju przesłuchiwań. Biurka Jamesa I i Jamesa II stały w odległości jakichś czterech metrów, tworząc dookoła niego rodzaj ogrodzenia. Obydwaj Amerykanie zachowywali się tak, jak gdyby byli szalenie zajęci i nie zdradzali naj-

mniejszej chęci przyglądania mu się.

James I rzucił na stół Hinrichsena trzy wielkie kwestionariusze; poza nazwiskiem rubryki były puste. – Niech pan wydobędzie z tych ptaszków, co się da – powiedział. – Niech się pan nie śpieszy, ale niech pan nie przesłuchuje nikogo dłużej niż pół godziny.

Hinrichsen zagłębił się w odczytywaniu pytań. Było ich wiele, sporo z nich zbyt technicznych. Choć system był mało skomplikowany, ta zabawa w pytania i odpowiedzi stanowiła dla prymitywnych umysłów, paplających jak dzieci w szkole, mocną i niezawodną sieć. Nie ulegało wątpliwości, że dadzą się w nią złapać ogromne ilości ludzi o ptasich mózgach.

– Czy mogę zacząć? – zapytał Hinrichsen.

– Jazda, proszę zacząć! – powiedział James I. – I zwracając się z uśmiechem do Jamesa II zaproponował; – Żeby nasz nowy sprzymierzeniec nie czuł się przy pierwszych próbach nieswojo, znikniemy na czas jakiś i napijemy się czegoś.

James II mrugnął okiem do swego „partnera”, po czym wyszedł z nim razem. Za chwilę rozległ się za drzwiami ich śmiech. Hinrichsen powiedział do siebie: „Właściwie dlaczego się wycofali?”

Niedługo jednak rozmyślał nad tą sprawą. Rzucił okiem na trzy nazwiska na nie wypełnionych kwestionariuszach i instynktownie wybrał ostatnie.

Poprawną angielszczyzna zlecił stojącemu z obojętną miną wartownikowi amerykańskiemu, by sprowadził niemieckiego jeńca wojennego.

Był to podporucznik liniowy, bardzo młody, wysoki i szczupły. Na twarzy jego malowała się obok czelności i strachu pogarda. Czuło się, że w każdej sytuacji, a więc i w obecnej, chce okazać swą męską wyższość.

– Pański stopień służbowy? – zapytał Hinrichsen.

– Może pan to zobaczyć – odparł podporucznik ostro. Zresztą powiedziałem już raz. Poza tym figuruje to również w mojej książeczce żołdu. Nie mam ochoty na powtarzanie w kółko tego samego.

Hinrichsen przyglądał się bacznie stojącemu przed nim młodzieńcowi. Nie ma z pewnością więcej niż lat dwadzieścia. Z ławy szkolnej poszedł do koszar, stamtąd na front, potem do szkoły oficerskiej, znowu na front, a teraz wpadł w ręce Amerykanów. „Mój chłopak – myślał Hinrichsen – wyglądał tak samo i myślał podobnie, zachowywałby się zapewne w ten sam sposób. Nic innego mu nie wpoilem, nic innego nie mogłem wpoić”.

– Co pan właściwie chce jeszcze wiedzieć? – zapytał podporucznik opornie. – Ile kwestionariuszy chce pan jeszcze wypełnić? Czy ten wczorajszy nie wystarczy?

Na ustach Hinrichsena pojawił się umęczony uśmiech.

– Czyżby śmiał się pan ze mnie? – zapytał ostro młody podporucznik.

– Zawracanie głowy – rzekł Hinrichsen. I pomyślał: „Stąd ten gest Jamesa I, który miał pozory takiej wielkoduszności: «żeby się pan nie czuł nieswojo!»” Było najzu-

pełniej oczywiste, że James przydzielił mu po prostu trzech jeńców, z których dnia poprzedniego wydusił zeznania wedle wszystkich – prawideł sztuki. Teraz miało się okazać, czy zeznania, które zdobędzie Hinrichsen, będą się dokładnie pokrywały z tymi, które wymusił rutynowany James.

– A więc – rzekł Hinrichsen, lekko rozbawiony – nie traćmy więcej czasu. Stopień wojskowy? Kiedy nadany? Od kiedy w wojsku? Jaka jednostka?

Młodzieniec odpowiadał mrukliwie. W pewnej chwili powiedział: – Staje mi to już w gardle. Czy sądzi pan, że to zabawne przeżuwać ciągle te same odpowiedzi? – Potem zapytał z całą swobodą: – Czy jest pan właściwie Niemcem?

– Nie pana rzeczą jest pytać – tylko odpowiadać.

– A więc jest pan Niemcem! Zaraz to sobie pomyślałem.

Hinrichsen zagryzł wargi i chwycił się za zranione ramię. Triumfująca czelność tego bubka sprawiała mu niemal fizyczny ból. W jego oczach pojawiły się chłodne błyski.

– Czy jest pan ranny? – zapytał młodzieniec. – Wpadł pan zapewne z jeepa albo wpadł pod koła kuchni rozwożącej gulasz.

Hinrichsen położył na stole swe potężne pięści. Po chwili rozluźnił palce, westchnął głęboko i jak gdyby z ulgą. Opuściło go dręczące zakłopotanie, które towarzyszyło mu w pierwszej fazie przesłuchania.

– Jest pan bardzo młody, podporuczniku. A młodość nigdy nie bywa na wojnie zawadą. Nie wiedział pan jednak, co począć ze swoim rozumem, a to na dłuższą metę nie wychodzi na dobre. Ciągle pan jeszcze nie rozumie, co się z pańskimi Niemcami stało. Ojczyzna, mój młodzieńcze, stała się kandydatką na samobójczynię.

– Chce mnie pan przesłuchiwać, czy też pragnie pan ze mną dyskutować, panie roduku?

– Pewnego razu, młodzieńcze, byłem świadkiem przesłuchiwania na Wschodzie rosyjskich jeńców wojennych przez oddział specjalny.

– Procedura była zapewne dokładnie taka sama jak przy przesłuchiwaniu niemieckich jeńców wojennych przez rosyjskie oddziały specjalne.

– Może, nie wiem. Może, bo przecież na wojnie wszystko jest możliwe. Tak czy owak jeńcy mieli jedynie odpowiadać. Kiedy tego nie czynili albo też ociągali się z odpowiedzią, walono ich kolbami karabinów w plecy. Ile takich uderzeń wytrzymałby pan? Pewien Rosjanin wytrzymał trzydzieści dwa. Potem zwałił się z nóg, oblano go zimną wodą i zaraz przesłuchiowano dalej.

– Dobrze już, dobrze – rzekł opryskliwie podporucznik.

– W partii?

– Nie.

„Zgadza się – pomyślał Hinrichsen – jest na to za młody. Szkoła, potem wojna, potem drut kolczasty, na nic więcej nie było w tym jego młodym życiu miejsca”.

– Czy był pan oficerem wychowawczym?

– Tak jest. Batalion II, J.R. 343.

– Czy etatowym?

– Nie, pomocniczym. Etatowi są dopiero w dywizji i wyżej. „I to się zgadza” – pomyślał Hinrichsen, uzupełnił swoje notatki, raz jeszcze przerzucił książeczkę żołdu młodzieńca.

– Zna pan niejakiego pułkownika Hauka?

– Nie.

– Szkoda – rzekł Hinrichsen i zwolnił go.

Drugi oficer, kapitan wojsk lotniczych, wydawał się pod względem politycznym, co oznaczało w tym wypadku – pod względem stosunku do hitleryzmu, całkowicie nie zapisaną kartą. Był zawodowym żołnierzem o przeciętnej inteligencji i dobrej kondycji. Orientował się doskonale w przepisach, zachowywał postawę bez zarzutu.

Odpowiadał poprawnie i uprzejmie, dokładnie tak, jak należało odpowiadać przełożonym. A ponieważ Amerykanie należeli teraz do tych, którzy mu mogli wydawać rozkazy, uważał ich za przełożonych, czemu ostatecznie nie można było odmówić logiki.

– Zna pan niejakiego pułkownika Hauka?

– Bardzo mi przykro, ale nie znam. Znam jedynie kapitana Haukwitza...

– Szkoda – rzekł Hinrichsen. – Może pan odejść.

Trzeci oficer, porucznik, zbliżył się z uniozoną miną. Gdyby miał kapelusz, uchyliłby go z pewnością. Uśmiech jego podobny był do uśmiechu małych urzędniczków trzęsących się o swoje posady. Poruszał się jak na gumowych podszewkach.

Hinrichsen postawił mu te same pytania, co jego poprzednikom. Od kiedy w wojsku? Odpowiedź: rezerwa, powołany, niemilitarysta. W partii? Nic, skądże znowu, nigdy, nigdy by tego nie zrobił, raczej był zawsze przeciw. Oficer wychowawczy? Nigdy o tym nie myślał, przeciwnie, wprosi przeciwnie, całym sercem był po stronie ludzi 20 lipca.

Hinrichsen przerzucił w milczeniu książeczkę żołdu stojącego przed nim oficera. Potem zajął się przerzuceniem książeczki broni, którą ten układny jegomość również miał przy sobie. W rubryce „przebieg wyszkolenia” widniało bardzo starannym piśmem: „4-7.-25.7. Grafenberg”.

Hinrichsen nie podnosił oczu i nie patrzył już na słowo „Grafenberg”. Zastanawiał się głęboko, co ma uczynić, wiedział bowiem przypadkowo dokładnie, co się za słowem „Grafenberg” kryje. Grafenberg była to nazwa zamku w okolicach miasta Kassel. Odbywały się tam kursy specjalne dla oficerów, którzy później wchodziłi w skład lotnych sądów doraźnych. Sądy te zajmowały się gorliwie produkowaniem trupów. W rezultacie tej produkcji drogi odwrotowe ozdobione były powieszonymi na stryczkach trupami żołnierzy, na których piersiach widniały tabliczki: „Byłem tchórzliwą świnia – zawiodłem zaufanie Führera.”

– Czy coś jest nie w porządku? – zapytał porucznik z zatroskaną miną.

- Zna pan niejakiego pułkownika Hauka?
- Nie – wyběnił porucznik. – Na pewno nie.
- Dobrze już. Może pan odejść.

Hinrichsen spojrział w stronę drzwi, za którymi zniknął potulny przeciwnik hitleryzmu, wyszkolony w specjalnej katowskiej szkole. W uszach Hinrichsena ciągle jeszcze brzmiały słowa walecznego męża. To nagłe, jak gdyby w przerażonej defensywie wypowiedziane podwójne zaprzeczenie, gdy zapytał o Hauka, to: nie, na pewno nie!

Drzwi, na które Hinrichsen ciągle jeszcze spoglądał w zamyśleniu, otworzyły się. Zjawili się w nich z zaciekawionymi minami James I i James II. – No cóż, sprzymierzeńcze, jakież pan osiągnął rezultaty?

– Jest wśród nich oficer wychowawczy, figura zresztą podrzędna.

– Doskonale – rzekł James I z uznaniem. – Zgadza się jak najdokładniej. – James II skinął głową, jak gdyby jego potwierdzenie było nieodzownie potrzebne.

– Kto z panów – zapytał Hinrichsen – przesłuchiwał już tych ludzi, których ja przesłuchiwałem przed chwilą?

– Oczywiście ja – odparł James I nie bez dumy i zupełnie nie krępując się. – A może myślał pan, że pozwolimy panu zajmować się tymi potworami bez uprzedniego ich przesłuchania?

– Przypuszczałem, niestety – rzekł Hinrichsen sucho – że się panowie na swoim interesie do pewnego stopnia znają.

– Co to znaczy? – zapytał James I, dotknięty do żywego.

– Znaczy to chyba – rzekł uprzejmie James II – że jesteś w jego oczach matolem.

– Trzeci oficer, którego będę nazywał w przyszłości porucznikiem Grafenberg, otrzymał specjalne przeszkolenie dla tak zwanych lotnych sądów doraźnych.

– Naprawdę? – zapytał James I ze zdumieniem.

– Niech pan zostawi tego człowieka mnie – zażądał Hinrichsen. – Mam wrażenie, że jego pamięć, jeżeli chodzi o nazwiska, wymaga gwałtownie odświeżenia. Czy otrzymam tego człowieka?

– Darujemy go panu – powiedział wielkodusznie James I uśmiechając się do „pastora”. Nie posiadał się z zachwyty, że zdobył tak, jego zdaniem, cennego współpracownika.

W ciągu jednej nocy generał-major Luschke stał się w mieście najbardziej znienawidzonym człowiekiem. Przeklinano go niemal tak często, chociaż nie z tak głębokim przekonaniem, jak führera.

Przy każdym niemal rozkazie kapitan Schulz powoływał się na generała; dzielni przedstawiciele Volkssturmu przysięgli sobie, że go nigdy nie zapomną.

Kiedy generał spał jak zabity w koszarach, wyczerpany do cna kłopotami i trudnościami ostatniej nocy, Schulz rządził się w jego imieniu jak szara gęś.

– Heini – powiedział do przywódcy Hitlerjugend, spotkawszy go w komendantu-

rze wczesnym rankiem po pijatyce weselnej u Ascha. – Heini, chodzi teraz o to, żeby pokazać...

– Tak jest – odparł Heini, przepojony uczuciem miłości ojczyzny – teraz okaże się, czy jesteśmy naprawdę narodem panów.

– Teraz, mój synu – oświadczył Schulz, któremu z przepicia kołowaciał język – chodzi o to, żebym był o godzinie siódmej trzeźwy, ponieważ na tę godzinę zarządziłem z polecenia pana generał-majora Luschkego zbiórkę Volkssturmu. Obudź mnie kwadrans przed siódmą.

Piętnaście minut przed siódmą Heini próbował obudzić swego bojowego dowódcę wrzaskami i potężnymi porcjami wody. Niedoświadczony w obcowaniu z żołnierzami z krwi i kości, potrzebował do tej operacji pełnych trzydziestu minut, ponieważ raz po raz udawało się Schulzowi onieśmielić go.

Dopiął wreszcie celu o godzinie siódmej trzydzieści pięć. Schulz przeszedł przed frontem „swoich ludzi” nie ogolony, chwiejąc się na nogach. Z początku ganił wszystko, poczynając od niedostatecznie wyczyszczonych butów, kończąc na fryzurze. Prędko mu się to jednak znudziło, a poza tym zorientował się, że nikt nie bierze tych jego nagan do serca, nikt nie odczuwa strachu, nie mówiąc już o respekcie.

– Chlew, istny chlew – mrucał. – Sami półżołnierze. – Potem oświadczył swemu wiernemu Heiniemu: – Słuchaj, no, mały, żebyś tylko nie brał sobie przykładu z tej wojskowej ferajny.

– Z pewnością tego nie zrobię – odparł Heini. – Przykładem dla mnie jest führer.

– Jak chcesz – mruknął Schulz.

– No i oczywiście pan, panie kapitanie – zapewnił Heini wiernopoddańczo.

– Ciesz się mnie to, mój chłopcze – rzekł Schulz i przez kilka sekund rozkoszował się wzniosłym uczuciem, że jest podziwiany.

Potem, rozkraczywszy nogi, stanął znowu przed ponurymi, pyskującymi volkssturmovcami i zawołał: – Ludzie! Mamy do odwalenia ciężką robotę. Razem, ufając w... w dowództwo, spełnimy nasze zadanie. – Generał-major Luschke oczekuje i żąda od każdego z was, by spełnił swój obowiązek aż do...

– Aż do ostatniego tchnienia – powiedział cicho, ale z zapalem stojący za nim Heini.

– Aż do tej chwili, kiedy już nie będzie musiał tego swego obowiązku spełniać.

– Kiedyż to nastąpi? – zapytał jeden ze stojących w szeregu.

– O tym decydować może jedynie i wyłącznie pan generał-major Luschke – obwieścił Schulz.

Ludzie z Volkssturmu pomrukiwali ponuro. Dowódca ich odwrócił się i przyglądał im się bacznie. Nie zwracali na niego najmniejszej uwagi.

– Ludzie! – zawołał Schulz. – Chodzi teraz o obronę ojczyzny, kobiet i dzieci. Kto się chce przed tym cofnąć?

– Ja – mruknął jeden z szeregu, ale tak, że mógł go usłyszeć tylko stojący obok

niego.

– Przede wszystkim – obwieścił Schulz – przystąpimy do zakładania zapór przeciwczołgowych na wszystkich drogach odległych od miasta o trzy do pięciu kilometrów, oczywiście z wyjątkiem dróg dla pieszych. Daję wam sześć godzin czasu. Pan generał-major Luschke spodziewa się, że terminu tego w żadnym wypadku nie przekroczycie.

– Czy wolno zapytać – wmieszał się dowódca Volkssturmu – skąd weźmiemy potrzebny budulec?

– Z tartaków! – obwieścił Schulz.

– Są już od szeregu dni nieczynne. Zapasy drzewa zostały zużyte przeważnie na potrzeby wojska. A resztki zapasu zarekwirowała ubiegłej nocy ludność.

– Zredagować wezwanie do ludności! – rozkazał Schulz. – Kradzież drzewa, zwłaszcza budulca, będzie w przyszłości karana w trybie doraźnym. Tym, którzy zabrane drzewo zwrócą, gwarantuje się bezkarność. Urządzić punkt zbiórki drzewa!

– Nie ma takiego durnia, który by tego usłuchał – powiedział z przekonaniem jeden z szeregu.

Schulz, któremu jak nieodłączny cień towarzyszył młodzieniec hitlerowski Heini, spiorunował gadatliwego wojaka wrzeszcząc: – Macie może wątpliwości co do ducha obronnego naszego społeczeństwa?

– Skądże znowu – odparł spieszenie spiorunowany.

– Zameldujecie się później u mnie – zarządził Schulz. – Generał-major Luschke wymierzy wam karę, rozumiano? No tak! Może jeszcze któryś ma ochotę narazić się generałowi?

Nikt takiej ochoty nie zdradzał, co Schulza zresztą nie dziwiło. – To wszystko? – zapytał chwytając się za głowę, która go straszliwie bolała. Czyżby Kowalski albo Stamm poczęstowali go wczoraj w nocy nie najprzedniejszym alkoholem? Jeżeli istotnie tak było...

– Ale ciągle jeszcze nie mamy drzewa na te zapory przeciwczołgowe – pozwolił sobie zauważyć pochopnie dowódca.

– Tam do licha! – zawołał Schulz. – W takim razie weźcie deski, które macie przed nosem. To z pewnością wystarczy.

– A może wyrąbać drzewa w lasku miejskim? – zapytał jeden z szeregu.

– Dobrze. Jeżeli o mnie chodzi, możecie ściąć drzewa stojące na rynku. Najważniejsze, żeby do godziny trzynastej zapory przeciwczołgowe były gotowe.

– Ale przecież mamy teraz już godzinę ósmą! – zawołał zrozpaczony dowódca starając się za wszelką cenę zachować właściwą postawę. – A osiem i sześć to jest czternaście.

– Nic mnie to nie obchodzi! – wrzasnął Schulz. – Godzina trzynasta, ani minuty później. Czy to moja wina, że straciliśmy tu całą godzinę na idiotyczne pytania. A więc – trzynasta! A po południu poćwiczmy sobie trochę w terenie, z pięściami

pancernymi i w ogóle! No, a teraz jazda, zniknijcie mi z oczu!

Schulz wszedł do gmachu komendy, młody hitlerowiec Heini dreptał za nim. – Przynieś mi piwa, mój synu – powiedział Schulz. – Ale butelkowego. I żeby było zimne jak lód. Pamiętaj, Heini, o starej żołnierskiej maksymie: zwalczać kaca tylko alkoholem.

Podczas gdy Heini węszył po okolicy, żeby zaaportować butelkę piwa, Schulz wypełniał wolne chwile zalewaniem za skórę sadła porucznikowi Nowakowi i podległemu mu oddziałowi kwaterunkowemu, – Czy wykazy są wreszcie w porządku? – zapytał, – Właściwie jak gdyby w porządku – zapewnił Nowak. – Gówno! – wrzasnął Schulz. – Jak gdyby w porządku – to gówno! Muszą być w porządku nie „jak gdyby”, ale naprawdę. Nowak pracował ze swoimi ludźmi przez całą noc. Jego wykazy kwaterunkowe urosły w sposób niespodziewany. Czysto teoretycznie jego placówka służbowa „obejmowała” teraz pięć razy tyle kwater, ile dnia poprzedniego. – Można istotnie powiedzieć, panie kapitanie – zapewniał głęboko urażony Nowak – że robiliśmy wszystko, co tylko jest w mocy ludzkiej...

– Gówno! – zawołał Schulz niełaskawie. – Nie chodzi o to, co pan może zrobić jako człowiek, lecz jako żołnierz. Zrozumiano?

Nowakowi odebrało mowę, utkwiał wzrok w ziemię. Jego podwładni, żołnierze, pomocnicy i urzędnicy obojga płci, woleli udawać, że nic nie słyszą, o niczym nie wiedzą. Wiedzieli, że ten Nowak to bałwan, ale w gruncie rzeczy poczciwy chłop. Wiedzieli również, że Schulz to także bałwan, tylko porywczy, wybuchowy, wskutek czego lepiej unikać z nim zbliżenia czy też bezpośredniego kontaktu.

Schulz przerzucał pobieżnie wykazy kwaterunkowe. – Otóż i mamy! – zawołał po chwili. – Gdzie jest wykaz zakwaterowań w domu Ascha?

– O tym, panie kapitanie, nie wiedziałem...

– Oczywiście! – zawołał Schulz z lubością. – Znowu pan nic nie wiedział. A ja, ja mam wszystko wiedzieć, co? Znowu się pan na to zdaje. A może paskuje pan do spółki z tym ananasem Aschem?

– Ależ panie kapitanie! – zawołał Nowak, szczerze przerażony.

– Prawie na to wygląda! – triumfował Schulz. – Ale nie jestem taki, o nie! Daję panu okazję oczyszczenia się od podejrzeń. – Po tych słowach Schulz rzucił wykazy kwaterunkowe porucznikowi Nowakowi pod nogi i oddalił się.

Młodzieniec hitlerowski Heini sprokurował tymczasem butelkę piwa, o którą polecił się postarać kapitan. Rozłożył na biurku czcigodnego dowódcy białą serwetkę, postawił na nim świeżo umytą szklanę, butelkę i stanął z boku.

– Tylko jedna? – zapytał Schulz i sięgnął po butelkę.

– Trzy dalsze – odparł Heini krztusząc się niemal z dumy – leżą na lodzie.

– Brawo, mój synu – powiedział Schulz z uznaniem. – Rozwijasz się. Masz jednak niemałe zalety, Heini. Materiał z ciebie na podoficera, a może nawet na oficera.

Dziecinna twarz Heiniego nabrała barwy dobrze dojrzałego pomidora. Patrzył rozpromieniony na Schulza, jak gdyby sam führer siedział przed nim na tronie. Był przeświadczony, że żyje w wielkiej epoce, nie mógł ze szczęścia wykrztusić ani słowa.

– Podejdź bliżej, mój synu – wezwał go Schulz. – Usiądź koło mnie. Powiedz no, czy tam, gdzie dostał te cztery butelki piwa, jest tego jeszcze więcej?

– Tak jest – odrzekł Heini.

Schulz skinął z zadowoleniem głową. – Możesz wypić jedną butelkę – oświadczył.
– Pozwalam ci na to w drodze wyjątku.

Heini przyniósł sobie butelkę piwa i wypił szklanekę. Wydawało mu się wstrętne, ale uważał, że to piwo pasuje go na mężczyznę. Czuł się zaszczycony, a czym są bóle brzucha wobec poczucia, że się dostąpiło wielkiego zaszczytu.

– Tak – rzekł Schulz i odstawił na bok pustą butelkę. – Sytuacja jest poważna.

– Tak jest – potwierdził młodzieniec hitlerowski Heini. – Jak za czasów Fryderyka Wielkiego. Ale Fryderyk zwyciężył mimo wszystko, ponieważ nie był tchórzem.

– Zgadza się – rzekł Schulz. – I ja o tym czytałem. Ale dopóki ma się ludzi, na których można się zdać, ludzi takich jak ty, Heini, nic nie jest jeszcze stracone.

– Może się pan zdać na nas wszystkich – zapewnił Heini. – Na mnie i na moich dwudziestu trzech kolegów.

– Liczę na to – rzekł Schulz sięgając po nową butelkę. – Widzisz, mój synu, tkwię po uszy w robocie. A nie mogę przecież być równocześnie wszędzie. Potrzebni mi więc są ludzie, którzy mnie w pewnym stopniu pośrednio zastępują, którzy za mnie mają otwarte oczy i uszy. Zrozumiano, mój synu?

– Jeszcze niezupełnie – odparł z zapalem Heini.

– Uważaj dobrze, mój synu – powiedział Schulz i łyknął znowu masę piwską. – Nasi volkssturmwowcy to z pewnością dzielni chłopcy, ale nie są oddani sprawie ciałem i duszą. Budują teraz chyba pułapki i zapory przeciwczołgowe.

– Tak jest – wybębnił służbiście Heini.

– Chciałbym jednak wiedzieć, mój Heini, jak przebiega praca, gdzie robota rozwija się pomyślnie, a gdzie utyka. Potrzebuję więc obserwatorów, sprawozdawców, niech będzie – wywiadowców. Krótko mówiąc, potrzebni mi są ludzie, na których mógłbym polegać.

– To znaczy my – zawołał Heini z entuzjazmem.

– Zgadłeś – rzekł Schulz i otworzył trzecią butelkę. Po chwili zaczął wraz z nic nie przeczuwającym Heinim omawiać system dozoru. Na razie żaden z nich nie uświadamiał sobie, że chodzi tu o najzwyczajniejszy system szpiclowski.

Kolumna dostała się, jak się zdawało, w ślepy zaułek. Składała się z najrozmaitszych elementów oblepionych brudem i błotem, wznosiła gęste kłęby pyłu. Nie miała ani początku, ani końca, nie miała też ani dowódcy, ani marszruty. Prawie każdy, kto się razem z nią posuwał, wystawił sobie sam rozkaz marszu. A brzmiał on: „Człowieku, szukaj bezpiecznego schronienia.”

Wydawało się, że ta ruchoma taśma strachu zatrzyma się za chwilę. Kierowcy pojazdów, jadący automatycznie jeden za drugim, nacisnęli hamulce i pojazdy zatrzymały się. Niektórzy z nich zaczęli kląć straszliwie, ale żaden nie miał na razie zamiaru cokolwiek przedsięwziąć.

Również podporucznik Asch zgasił swój silnik i osadził na miejscu motocykl z

przyczepą. Zsunąwszy czapkę na kark otarł swą zabrudzoną twarz. – Jeżeli tak pójdzie dalej – powiedział – będziemy musieli stracić na pozostałe pięć kilometrów dobre pięć godzin.

– Co się teraz znowu stało? – zapytała Barbara nerwowo.

– Utknęliśmy w miejscu.

– Czy nie możesz wyminąć kolumny?

– Nie mogę. Przy całej mojej zręczności dałem się zamknąć.

Podporucznik Asch wysiadł, rozprostował nieco zeszywniałe nogi i rzucił okiem na kolumnę. Wyglądała jak robak o gigantycznych rozmiarach, który stara się z trudem i męką przedrzeć przez szosę. – Wędrówka narodów – mruknął Asch – musiała być w porównaniu z tym niewinną imprezą.

– Jeżeli zostaniemy tutaj jeszcze trochę – powiedziała Barbara – dogonią nas Amerykanie.

– Ucieszą się twoim widokiem. Bądź wielkoduszną, nie żałuj im tej przyjemności.

Barbara podniosła się z niechęcią. Była opatulona w stary, zabrudzony płaszcz wojskowy, którego zbyt długie rękawy musiała zawinąć. Mała jej głowa ginęła niemal pod olbrzymim hełmem stalowym. Zaczęła szukać lusterka, ale go nie znalazła; nie znalazła również swej torebki, którą położyła obok siebie. Nerwowość jej wzrastała.

– Tylko spokojnie – powiedział Asch i skinął jej głową. – Wkrótce wyswobodzimy się z tego grzęzawiska.

– Czy naprawdę będę mogła u was pozostać? – zapytała.

– Gdy cię mój ojciec zobaczy, wywiesi napis: „Serdecznie witamy!”

– A twoja żona?

– Prawdopodobnie otoczy ten napis własnoręcznie splecioną girlandą z kwiatów – powiedział Asch ze złośliwym uśmiechem, po czym zostawił ją samą i ruszył wzdłuż kolumny. Miał wrażenie, że natknął się na tabor cygański. Prawie nie widać było wozów amunicyjnych ani transportów broni, wszędzie piętrzyły się skrzynie i worki. Wyglądało tak, jak gdyby wojna pragnęła zakończyć się gigantycznymi ćwiczeniami w przeładunku. Udział wojskowych sił kobiecych w tym przedsięwzięciu, które można by nazwać „zmierzchem bogów”, był znaczny.

Na skrzyżowaniu Asch wykrył przyczynę powstałego korka; olbrzymia ciężarówka zablokowała całą szosę. Obok niej stały z bezradnymi minami dwie dziewczyny z wojskowej służby pomocniczej i płakały. Jakiś żołnierz stał obok chłodnicy, odlewał się bez żenady i klął na czym świat stoi.

– Wyjcie, płaczcie, mały zielone! – wymyślał. – Póki wam benzyna nie zacznie spływać z oczu, na nic się to wszystko nie zda.

Podporucznik Asch momentalnie zorientował się w sytuacji. Olbrzymiej ciężarówce właśnie na skrzyżowaniu zabrakło benzyny. Stała teraz nieruchomo na podobieństwo dobrze funkcjonującej zapory. Asch podszedł do następnego pojazdu i za-

pytał: – Możecie dać trochę benzyny?

– Ani kropli – odrzekł zapytany kierowca bez namysłu i w dalszym ciągu żuł swe salami metrowej długości.

– W takim razie skiśniecie tutaj.

– Wcale nie – odparł kierowca. – Jeżeli ta bania przede mną w ciągu trzech minut nie ruszy się z miejsca, wpakuję ją do przydrożnego rowu. – Po tych słowach dalej gryzł z rozkoszą swe salami.

Zanim Asch zdecydował się na to, aby siłą zdobyć potrzebną benzynę, przez obojętnie stojącą masę przedarł się jakiś oficer; Asch poznał po głosie podporucznika Bracka. Brack wlał prawie pełny kanister, który włożył ze sobą, do zbiornika benzynowego ciężarówki. Żołnierz stojący obok ciężarówki zbliżył się ze zdumioną miną i przestał kłać.

Asch stanął obok bardzo zajętego Bracka i zapytał: – Czy umie pan latać, Brack, bo przecież chyba inaczej nie wydobył się pan z kotła.

Brack spojrział ze zdumieniem. – A pan – powiedział po chwili – jest w dalszym ciągu zwolennikiem żółtego tempa Przypuszczałem, że już dawno jest pan w domu.

– I chciał mnie pan odwiedzić?

– Chcę dotrzeć do generała Luschkego.

– Mogę pana zabrać. Tam w tyle mam motocykl z przyczepą.

– Przyjmuję z podziękowaniem. Do tej pory wiozła mnie ciężarówka, ale, jak się zdaje, całą jej ambicją jest jazda wyłącznie na pierwszym biegu.

– Z pewnością nie wie, dokąd i po co jedzie, porusza się tylko siłą dawnego przyzwyczajenia.

Trafione w samo sedno – powiedział Brack. W tym potwierdzeniu usłyszeć można było ton pożałowania, goryczy i niemal pogardy. – Wojna przedłużyła się automatycznie tylko siłą przyzwyczajenia.

– A z jakiego powodu pan ją sobie przedłuży, Brack, przecież chyba panu jest to najmniej potrzebne.

Beczące dziewczyny z Wehrmachtu zbliżyły się. Były nie upudrowane, widać było, że ręka fryzjera dawno już nie tknęła ich włosów.

– Panie podporuczniku – powiedziała jedna z nich – co będzie z nami?

– Możecie teraz kontynuować swą jazdę – oznajmił Brack uprzejmie. – Z benzyną, którą nalałem, będziecie mogły ujechać jakieś sto kilometrów.

– Ale dokąd mamy jechać, panie podporuczniku?

– Nie stawiajcie nam takich pytań – powiedział Asch. – Zapytajcie o to swoich bezpośrednich przełożonych.

– Przecież żadnego już tu nie ma!

– W takich wypadkach – rzekł Asch – najpraktyczniej jest zamknąć sklepik.

– Moje słowa – wmieszał się żołnierz, który wiozł beczące dziewczyny. – Mówię

to od trzech dni. Myślicie, że ktoś da nam schronienie? Traktują nas jak zadzumionych, nie możemy nigdzie wylądować.

Brack i Asch spojrzeli na siebie i kiwnęli głowami. W mig się zrozumieli. Wepchnęli ciężarówkę, którą jechały obie dziewczyny, na podwórze najbliższej zagrody i zakwaterowali je w niej. Oczywiście siłą.

Potem udali się do przyczepy Ascha. Podporucznik Brack przywitał Barbarę z zachowaniem wszystkich form towarzyskich. – Mam nadzieję – rzekł – że nie sprawię pani zbytniego kłopotu.

– Kiedy nastanie pokój – powiedział Asch – będzie się pan mógł zreważnować. Od czasu do czasu będę sobie pożyczał pańskiego mercedesa.

Kiedy nieskończenie długa kolumna znowu ruszyła, Asch odłączył się od niej, skierował motocykl na pole i zaczął przedzierać się przez skiby. Barbara i Brack, z trudnością utrzymujący się na swych miejscach, trzęśli się jak jabłka przesypywane w sortowni.

Zbliżyli się do miasta. Asch koncentrując całą uwagę na drodze, którą jechał, nawet mu się bliżej nie przyjrzał i nie odczuwał radości z powrotu do domu. Kolumna znowu stanęła, na głównej szosie ludzie z Volkssturmu pochłonięci byli wznoszeniem zapory przeciwczołgowej.

– Ładne rzeczy – rzekł Asch i zahamował. – Zdaje się, że u nas w domu ogarnęła dziadków chęć zabawienia się w wojnę.

– Stać! – zawołał względnie energicznie jeden ze spóźnionych wojaków. – Przejazd zamknięty.

– Odłóż rydel – powiedział Asch – albo dostaniesz nim po krzyżach.

– Stać albo będę strzelał! – ryknął bohater tyłów.

– Chyba w spodnie! – ryknął nie mniej głośno Asch.

– Alarm! – zawołał obrońca miasta bawiący się w wojnę. Volkssturmovcy, przerażeni tym okrzykiem, przerwali swą robotę. Jeden odłączył się od grupy i podszedł do przyczepy motocykla.

– Czy to przypadkiem nie młody pan Asch? – zapytał.

– Ależ oczywiście, we własnej osobie, ty stara łazęgo.

– To cudownie – odparł tamten. – Ojciec pański bardzo się ucieszy, ale tędy przedostać się pan nie może, chyba piechotą. Taki jest rozkaz dowódcy.

– Wyście chyba wszyscy tutaj powariowali – oświadczył Asch z przekonaniem. – Wasze miejsce w knajpie, a nie w okopach.

Teraz zainteresował podporucznik Brack. Wstał ze swego miejsca, podszedł do volkssturmovca, który uzurpował sobie tutaj stanowisko dowódcy, stanął bezpośrednio przed nim i zapytał go uprzejmie: – Może wiadome wam jest, gdzie się znajduje generał Luschke. Musimy dotrzeć do niego jak najprędzej. Należę do jego sztabu.

– To – oświadczył volkssturmoviec bez namysłu – oczywiście zupełnie inna sprawa. Koszary artylerii. – Po tych słowach rozkazał swym kolegom z ostatniego pobo-

ru: – Przepuścić!

Brack uśmiechnął się do Ascha i znowu zajął miejsce na przyczepie oświadczając: – Uprzejmością, panie kolego, można dalej zajść.

– Nawet w domu wariatów – odparł podporucznik Asch, dał gazu i przez powstały wyłom ruszył pędem w stronę rodzinnego miasta.

– Czy najpierw wypijemy coś na powitanie u mego starego – zapytał Asch w czasie jazdy – czy też pańska tęsknota za Bulwą nie da się już opanować?

– Proszę, jeżeli to możliwe, pojechać naprzód do koszar artylerii – powiedział Brack uprzejmie.

Podporucznik Asch skinął głową, zatoczył łuk dookoła śródmieścia i po piętnastu minutach wylądował przed starymi koszarami. Były bardziej puste, niż oczekiwał. Przed budynkiem sztabowym stało tylko kilka ciężarówek z odznaką dywizji generała Luschkego. Zadumany wartownik przy bramie nie zwracał na nikogo” uwagi. Widocznie sam nie wiedział, po co w ogóle stoi na posterunku.

Mimo pomrukiwań Barbary Asch zostawił ją w przyczepie.

Wszedł wraz z Brackiem do budynku sztabowego, ruszył w kierunku pokojów, które wskazywała odznaka dywizji. Żołnierze spojrzeli na nich ze zdumieniem, kiedy kazali się zameldować u szefa sztabu.

Nie musieli długo czekać. Szef sztabu zjawił się natychmiast, podszedł do nich, stanął przed Brackiem, wyciągnął doń rękę i powiedział: – Człowieku, istoto boża, jakież to diabeł pana niesie?

Brack uśmiechnął się uprzejmie, cofnął się nieco w bok i zapytał szefa sztabu: – Zna pan podporucznika Ascha?

– Oczywiście – odparł oficer podając rękę Aschowi. – Znam beniaminków generała nie tylko z nazwiska. Powiedzcie mi jednak, panowie, bohaterowie finału, czego wy tu właściwie szukacie?

– Chcieliśmy spojrzeć na pańskie mądre oblicze – odpowiedział beztrosko Asch. – A potem raz znowu popatrzeć w oczy naszemu generałowi, jak o tym piszą w czytankach.

– Moje zadanie – oświadczył zachowując poprawne formy podporucznik Brack – zostało właściwie wykonane. Zgodnie z rozkazem baterię Ascha rozwiązano, a my dwaj przebiliśmy się. Proszę o dalszy przydział.

Szef sztabu usiadł i niedbałym ruchem ręki wezwał obu oficerów, żeby uczynili to samo. – Nie liczyliśmy się z pańskim powrotem, podporuczniku Brack.

– No i teraz jest pan bardzo zmartwiony, co? – zapytał Asch z uśmiechem.

– Generał był pewien, że pan...

– Że co?

– Dajmy temu spokój – oświadczył ostro szef sztabu. – Najlepiej, żeby pan pomówił o tym z generałem...

– Zaraz?

– Na razie nie, generał śpi. Był przez dwa dni i dwie noce bez przerwy w drodze, więc wypoczywa teraz. Może pan zrobić to samo, podporuczniku Brack.

– Nie jestem zmęczony – odparł Brack – mogę natychmiast przystąpić do pracy.

– A co ja mam robić? – zapytał Asch. – Także pójść spać?

– Jeżeli pan chce, to bardzo proszę.

– Co się tu właściwie dzieje? – zapytał Asch. – Jak wygląda ostatnia bitwa? Czy wreszcie zbliżamy się do ostatecznego zwycięstwa?

– Jesteśmy tuż przed nim – odparł szef sztabu zmęczonym głosem. – Generał stara się pozostawić przyzwoity bilans. Żadnych wykroczeń! Po sporządzeniu inwentarza zlikwidować obóz.

– Czy był pan kiedyś prokurentem? – zapytał Asch uprzejmie.

– Zgadł pan – odpowiedział szef sztabu. – I znowu chcę gdzieś zostać prokurentem, o ile to możliwe, aż do końca mego życia.

– Amen! – zawołał Asch.

– A więc generał – powiedział zastanowiwszy się podporucznik Brack – jeżeli dobrze zrozumiałem, rozwiązuje planowo dywizję.

– Tak jest. Jego rozkazy brzmią następująco: nie przelewać więcej krwi, zniszczyć broń, rozwiązać poszczególne jednostki. Kto chce uniknąć niewoli, niechaj to uczyni. Ale wszystko z namysłem, planowo, w uporządkowany sposób.

– Brawo! – szepnął Brack.

– Coś się tutaj nie zgadza – wyraził swe powątpiewanie Asch. – Volkssturm pracuje całą parą i wznosi zapory przeciwczołgowe.

– Gdzie? – zapytał szef sztabu ze zdumieniem.

– Tutaj! Pod nosem generała. Te ananasy pracują przy głównych szosach jak na akord.

– Wykluczone! – zawołał szef sztabu. – Zupełnie wykluczone. Zarządzenia takiego nigdy nie wydano.

– A może, delikatnie mówiąc, chodzi tutaj o nieporozumienie. Dzisiaj cała masa idiotów tkwi w mundurach.

– Musiał się pan chyba pomylić, podporuczniku Asch. Nie może pan ocenić sytuacji ogólnej. Może chodzi po prostu o jakiś manewr maskujący dla wprowadzenia w błąd.

– Może – odparł Asch. – W maskowaniu i mydleniu oczu celujemy. My, dobrzy Niemcy, od czasu do czasu wyprowadzamy w pole samych siebie. Ale ja na pańskim miejscu przekonałbym się osobiście, czy w zasięgu pańskiej władzy nie buszują obłąkańcy albo chytrusy.

– Oczywiście – powiedział szef sztabu – oczywiście zbadamy tę sprawę. Trzeba się upewnić. Ale niewiele sobie po tym obiecuję.

– Na takiego też pan wygląda – rzekł Asch i uśmiechnął się przyjaźnie.

Bombardier Kowalski chwiejąc się wstał, zmrużył oczy pod wpływem szarego świa-

tła poranku, złapał się oburącz za głowę i jęknął. – Nigdy więcej żadnych uczt weselnych! – mruknął. Potrząsnął głową, która go straszliwie bolała. Zobaczył obok łóżka, na którym leżał, opróżnioną do połowy butelkę wódki. – Tam do licha! – zawołał z obrzydzeniem, sięgnął po butelkę i pociągnął z niej. Oddychał szybko przez szeroko otwarte usta.

Człowiek, leżący obok niego w ubraniu, podniósł się również i powiedział: – Miejmy nadzieję, że się udusicie!

Bombardier wstrzymał oddech nie zamykając ust. Ku swemu zdumieniu poznał w sąsiedzie Wedelmanna. – Skąd się pan tu wziął? – zapytał naiwnie.

– Gdyby rozum wasz, Kowalski, był równie wielki jak wasza bezczelność...

– Chwileczkę – powiedział Kowalski masując sobie energicznie skórę na głowie – niech mi pan pozwoli zebrać myśli. Jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, obchodził pan wczoraj wieczorem wesele, panie Wedelmann. A może mam pana tytułować kapitanem?

– Zostawcie tego kapitana – rzekł Wedelmann niezbyt uprzejmie.

– Powoli, tylko powoli – odparł Kowalski. – A więc wczoraj wieczorem obchodził pan wesele, obchodziliśmy je do późnej nocy, dlaczegóż więc śpi pan teraz w moim pokoju? O ile mi wiadomo, noc poślubną spędza się zazwyczaj...

– Panie Kowalski – powiedział Wedelmann zniecierpliwiony – to nie ja śpię w pańskim pokoju, ale pan w moim.

– Pięknie... Mnie to wszystko jedno, ale dlaczego pan nie śpi u swojej młodej żony?

– Tam już śpi ktoś inny.

– Nie! – zawołał Kowalski otwierając szeroko oczy. Nawet jego wyprowadziło to z równowagi. – Jakże to możliwe?

– Pytacie jeszcze o to! – powiedział Wedelmann gniewnie. – Przecież to wy jesteście wyłącznym winowajcą.

– Ja! – Kowalski cofnął się nieco z przerażoną miną. – Przecież nie byłbym w stanie żonie człowieka, człowieka... Pan wie, panie Wedelmann, że nie mam o sobie zbyt wysokiego mniemania, ale coś podobnego – nigdy! Nawet w stanie najwyższego opilstwa.

– Idiota! – zawołał Wedelmann z lekkim uśmieszkiem.

– Ta koleżeńska forma zwracania się do mnie jest mi bardzo miła – zapewnił Kowalski. – Ale niewiele mi to pomoże. Wiem tylko, że się uchlałem jak świnia. Pod hasłem: „Zażywaj wojny, pokój będzie straszny!” Jeżeli chodzi o drobiazgi, to ich nie pamiętam, musiałem się wyłączyć mniej więcej koło czwartej.

– Wpakujcie łeb do zimnej wody – rzekł Wedelmann. – Woda stoi na komodzie.

Bombardier Kowalski powłókł się do miski napełnionej wodą, wpakował do niej łeb i przede wszystkim zaczął żłopać wodę, jak by był krową. Trwało to parę sekund. Ilekroć łąpał powietrze, pojękiwał rozkosznie i zarazem boleśnie.

– Ubiegłej nocy – zaczął mu opowiadać Wedelmann mniej więcej około piątej rano, oświadczyliście, że jesteście oglądaczem trupów i idziecie spać.

– Oglądacz trupów, spanie? – rozważał Kowalski z bezmyślną miną. – Jak mogłem wpaść na to? Co ma piernik do wiatraka!

– Skądże ja mam to wiedzieć? W każdym razie oglądacz trupów Kowalski domagał się, żeby mu pozwolono spać tu w domu Ascha. Wiecie, z kim chcieliście pójść spać?

– Chyba nie z pańską żoną! – zawołał Kowalski z przerażeniem.

– Gdybyście tego spróbowali, nie leżelibyście tutaj, lecz w szpitalu.

– No, no! – powiedział Kowalski uspokajająco. – Więc z kim chciałem spać?

– Z panią Lorą Schulz.

Kowalski gwizdnął przeraźliwie i kiwnął głową. – Niezły gust – oświadczył z przekonaniem.

– Ale pani Schulz nie chciała już albo nie mogła pójść do domu, a wy, Kowalski, ryczeliście na całe gardło, że chcecie się nią zaopiekować.

– To do mnie podobne.

– Wydawało się, że pani Lora Schulz godziła się na to. W każdym razie nie odpowiedziała, na pańską propozycję odmownie.

– Więc kto, do licha, wmieszał się do tego i wpakował swe łapy?

– Stary Asch.

– Ten człowiek jest moim śmiertelnym wrogiem – oświadczył Kowalski tonem niemal uroczystym.

– Ostatecznie stary Asch nie mógł ryzykować tego, żeby jego mieszkanie stało się czymś w rodzaju kwatery dla miłosnych par; chyba to rozumiecie. A ponieważ nie chcieliście spać w kawiarni, w której biwakują kilku żołnierzy z baterii Ascha, ponieważ pletliście bez końca o swojej przyjaźni z podporucznikiem Aschem i nalegałście gwałtownie, by was traktowano jako miłego gościa, nie pozostawało nic innego, jak położyć was ze mną. Wobec tego żona moja musiała poprosić do swego pokoju Lorę Schulz.

– Tam do licha! – zawołał Kowalski i kilkakrotnie zanurzył łeb w misce z zimną wodą. – Bardzo mi przykro, że panu zaświnił noc poślubną, ale najwięcej żał mi samego siebie. Zawsze tuż przed oddaniem strzału coś staje na drodze i z całego interesu zostają nici. Tak było w ciągu całej wojny. Czy pamięta pan tę szykowną dziewczynę z zespołu rozrywkowego, tam w Rosji? Cała armia paliła się do niej! Ale kto dotarł prawie do samego centrum? Ja! W każdym razie byłem tuż przed ostatnią przeszkodą, kiedy nagle zjawił się...

– Naprawdę nie macie innego tematu do rozmowy? I nic innego do roboty? Przecież chyba istnieją jakieś inne zajęcia.

– Rozumiem – rzekł Kowalski. – Rozumiem. Za chwilę wycofam się z pola bitwy, ale kogo mam tu przysłać? Może panią Lorę Schulz?

– Wynosić się! – powiedział Wedelmann niemal dobrotliwie.

– Kiedy tak sobie rozmyślam, dochodzę do przekonania, że to nie stary Asch trzymał mnie z dala od okazałej Lory Schulz, lecz pan!

– Żeby już tu was nie było, oglądaczu trupów. Ale to już, bo inaczej staniecie się trupem, którego inni będą mogli oglądać.

– Teraz nareszcie wiem! – zawołał Kowalski. – Teraz nareszcie wiem, dlaczego udzieliłem sobie tego honorowego tytułu. – Bombardier Kowalski pozbierał swoje manatki i zasalutował z przesadną sprężystością. – Oglądacz trupów Kowalski odmeldowuje się! – zawołał. Potem wyszedł jeszcze nieco chwiejnym krokiem, ale już w dobrym humorze.

Naprzód ruszył w kierunku wozu meblowego firmy Soeft stojącego w bocznej uliczce. Kierowca spał w szoferce, lecz zobaczywszy bombardiera okazał natychmiast gotowość ruszenia z miejsca.

– Czy mistrz Soeft był już tutaj? – zapytał Kowalski. Widząc, że nie znający niemieckiego obrońca ojczyzny gapi się na niego jak cielę na malowane wrota, wielkoniemiecki bombardier, który dużo podróżował na koszt państwa, rzucił mu kilka słów po francusku.

– Ni, ni – powiedział zgermanizowany kierowca. – Soeft tu nie być. Żaden Soeft. Nic.

– Spij słodko dalej, urocze polskie pachole. Nie rozumiesz mnie? Kusze, chłopcze, kusze! No, widzisz! Kiedy mówię po francusku, rozumieją mnie nawet skolonizowani Polacy. Oto skutki edukacji, mój Stanisławie.

Kowalski pożegnał uśmiechającego się głupawo kierowcę i wybrał się na poranny spacer. Przeszedłszy przez rynek minął ulicę Göringa i SA, pozostawił za sobą wyjątkowo parszywie wyglądający plac Streichera i skierował się na ulicę Hindenburga. Tam przeszedł z największym spokojem koło domu numer trzynaście, obrzuciwszy tylko jego fasadę przelotnym spojrzeniem, po czym w tempie przyspieszonym, jak gdyby miał do załatwienia pilny interes, wszedł do lasu podmiejskiego.

Znalazłszy się tutaj usiadł na jednym z pni i zaczął zastanawiać się, co ma począć dalej. Zmrużywszy oczy utkwił wzrok w ziemię i obliczał coś w wielkim skupieniu. Potem powiedział do siebie: – Poszli z pewnością prosto jakieś osiemset metrów.

Potem zaczął szukać jak wyżeł węszący trop. Pochyliwszy się natrafił na wąską ścieżkę. Nie odrywając oczu od śladu szedł nią jakieś dziesięć minut, potem zatoczywszy szeroki łuk znalazł się w głębi lasu. Zgniłe liście z ubiegłej jesieni oblepiały jego buty. Po jakichś czterdziestu minutach znalazł to, czego oczekiwał. Na skraju polany w krzakach leżał trup żołnierza. Kowalski przyjrzał mu się dokładnie, po czym pochyliwszy się nad nim stwierdził, że są to zwłoki płatnika. Na plecach w okolicy karku widoczne były ślady dwóch kul.

Kowalski wyciągnął trupa z krzaków i zaczął go gruntownie przeszukiwać. Człowiek ten nie był ofiarą rabunku. W kieszeniach jego znajdowały się wszystkie przed-

mioty, które uczestnik wojny pełniący względnie wysoką funkcję zwykł mieć przy sobie, a mianowicie: korkociąg, scyzoryk, drobne pieniądze, karty do gry, fotografie, prezerwatywy, ołówki, chustka do nosa. Bombardier Kowalski natrafił również na portfel. Grubo wypchany. Tkwiło w nim kilka paczek banknotów, obok których leżały dokumenty i dwa, wyraźnie dwa, dowody osobiste. Oba wystawione były na nazwisko Brahm. Jednym była książeczka żołdu, którą żołnierze mieli obowiązek nosić zawsze przy sobie, drugim legitymacja wystawiana cywilom.

– A więc ten biedak nazywał się Brahm – powiedział Kowalski w zamyśleniu. – Chociaż zdaje się, że ten biedak był cwany lisem, zabezpieczył się na wszelkie sposoby. Brahm – płatnik, Brahm – geometra. Kowalski uśmiechnął się. – Geometra to niezły zawód – mruknął – w każdym razie na okres przejściowy. – Trzymał oba dowody w swych ogromnych łapskach. Po chwili powiedział: – To zawód dla mnie – i wpakował dokumenty do kieszeni. Uczyniwszy to zawlókł trupa w krzaki i przykrył go pieczołowicie gałęziami. Potem ruszył przez las na ulicę Hindenburga. Ustawiając się pod drzewem, paląc papierosa za papierosem, obserwował dom numer trzystaście. Ale nie dojrzał nikogo; pod domem na ścieżce prowadzącej do ogrodu stał jedynie samotny wojskowy samochód osobowy.

Kiedy Kowalski wrócił do miasta, czekał już na niego przy swym meblowym wozie kapral Soeft. Przywitał go jak brata, za którym się długo tęskniło i którego chciałoby się wziąć w ramiona. Potem Soeft zaprezentował swemu partnerowi handlowemu kierowcę – volksdeutscha. Pan kierowca miał rozpromienioną minę, jak gdyby brał udział we wspianej zabawie i był jej główną atrakcją.

– Czyś zauważył? – zapytał Soeft. – Obdarzyłem mego trabanta jeszcze jednym orderem, a mianowicie Wojennym Krzyżem Zasługi z mieczami, oczywiście pierwszej klasy. Jak widzisz, mam szeroki gest.

– Istotnie – zawołał Kowalski ze zdumieniem i dotknął nowiusieńkiego metalowego krzyża; pod wpływem tego dotknięcia owoc, który odpadł daleko od polskiego drzewa, zamienił się w coś na kształt bohaterskiego posągu. – Słuchaj, ten cieszy się, jak gdyby dostał drugą dziurę w tyłku.

– Mamy czas – powiedział Soeft. – Musi jeszcze załatwić coś dla mnie, a wtedy kolej na Krzyż Niemiecki w złocie. Mam jeszcze tego siedem sztuk.

– Czy mógłbym dostać dwa?

– Ile tylko chcesz. A interes dla mnie załatwiłeś?

– Jasne. Czy, jak było umówione, dostanę teraz moje procenty?

– Nie!

– Powiedz to jeszcze raz, ty cętkowana świnio.

– Nie, nie dam ci umówionych procentów. Dostaniesz więcej.

– Soeft! – powiedział Kowalski z nieufną miną – ile ma mnie to kosztować?

– Zrobimy razem jeszcze jeden interes, na którym znakomicie się obłowisz.

– Cóż to za interes, ty odyńcu zatracony?

– Kowalski – powiedział Soeft rozziewając tkliwym głosem – przecież jesteśmy starymi kolegami.

– Nie zawracaj mi tym głowy. Kiedy taki handlarz dusz jak ty mówi o koleżeńskości, to musi się szykować jakieś potężne świństwo.

– Drogi mój Kowalski, jesteś przecież bardzo zaprzyjaźniony z właścicielem kawiarni Aschem.

– To mój śmiertelny wróg! – wrzasnął Kowalski. – Dziś w nocy zepsuł mi przygodę miłosną. Pomyśl tylko: ta jędrna Lora Schulz leciała na mnie jak mucha na lep, chciała mnie gwałtem zaciągnąć do swego łóżka, a tu zjawia się ten Asch...

– Kowalski – przerwał Soeft, który ciągle jeszcze hołdował zasadzie, że czas to pieniądz. – Muszę ulokować dwóch osobników. Jeżeli mi w tym dopomożesz...

– Jeszcze dwóch bandytów?

– Człowieku! – zawołał Soeft błagalnie. – Cóż to za bandyci? Bardzo czcigodni ludzie, jeżeli siła ich charakteru odpowiada ich kapitałowi. Jeżeli wszystko gładko pójdzie, mój Kowalski, zarobisz ładny mająteczek.

– Czy kreisleiterzy mogą tyle wybulić? – zapytał Kowalski nie bez zainteresowania.

– Jeden jest gauleiterem – rzekł Soeft z dumą człowieka interesu. – Kiedy? ludzie tego gatunku nie mają pieniędzy, jest to dowodem, że obrali zły zawód. Ale, mój drogi przyjacielu, to luminarz.

– Jakiś dozorca robotników przymusowych? A może dostawca towarów do obozów koncentracyjnych albo organizator transportów Żydów?

Soeft uśmiechnął się szeroko. – Mój gauleiter to prawdziwy przyjaciel ludzkości. Zapewniał mnie o tym długo i szeroko. Kierowcy wolno było zawsze palić jego cygara; ciotkę swojej żony zamężną z pół-Żydem uchronił od pracy w fabryce amunicji; przespawszy się z okazji podróży służbowej z pewną paryską kurewką wypłacił jej dobrowolnie podwójną taryfę i nawet zrezygnował z zadenuncjowania jej, chociaż należała bezspornie do obcej rasy. Oto jakim był przyjacielem ludzkości.

– Można by spróbować – powiedział Kowalski po namyśle. – Może naprawdę się opłaci.

Soeft był uradowany, ale już po chwili zaczęły się w nim budzić wątpliwości. Gotowość Kowalskiego wydała mu się nieco za szybka i na pewno za wczesna, bo przecież nie zapytał nawet o wysokość swego udziału. Ta okoliczność wzmogła nieufność Soefta do maksimum. – Gdybyś mnie chciał wpakować w kabałę, Kowalski...

– Skądże znowu – odparł tamten z miną świętoszka. – Jesteśmy przecież starymi kolegami.

Porucznik Greifer wszedł do gabinetu komendanta garnizonu posuwistym, rześkim krokiem, złożył krótki ukłon Schulzowi i powiedział: – Pozwoli pan, jestem Grafenberg.

– Czego pan chce? – zapytał z niechęcią kapitan Schulz. Prawie nie zwracał na

przybysza uwagi. Gapił się na pocztę, która dziś rano nadeszła raz jeszcze okrężnymi drogami. Był z niej wielce niezadowolony. Miał powody do gniewu i narzekania na los, ponieważ wśród listów w dalszym ciągu nie było pisma z awansem na majora.

– Przybywam – oświadczył porucznik Greifer, który przybrał sobie nazwisko Grafenberg, co figurowało również w jego nowym dowodzie osobistym – z polecenia mego szefa, pana pułkownika Hochheima.

– Chwileczkę – powiedział kapitan Schulz, zostawił niemile zdumionego przybysza i pośpieszył do przedpokoju, w którym siedział bombardier Stamm, pochłonięty czyszczeniem paznokci za pomocą potężnych nożyc kancelaryjnych.

– Stamm – zapytał Schulz wyzywająco – czy to cała poczta?

– Oczywiście.

– Nie zatrzymaliście żadnego listu?

– Ależ panie kapitanie – pozwolił sobie odpowiedzieć Stamm z dostojnym oburzeniem.

– Miałem na myśli listy na przykład do poprzedniego komendanta. Albo listy do dowódcy dywizjonu zapasowego.

– Żadnego takiego listu nie widziałem odparł Stamm z rosnącą ciekawością. – W myśl rozkazów pana kapitana cała tutejsza poczta idzie przez naszą komendę. Czy pan kapitan czeka na ważny list?

– Można tak powiedzieć – warknął Schulz, który wyłaził ze skóry, żeby zakończyć wojnę w randze majora. Było to jego najgłębsze i do pewnego stopnia ostatnie życzenie. Jeżeli się spełni, to cokolwiek się stanie, będzie znosić swój przyszły los z godnością. Z godnością, która przystoi majorowi.

– Czy pan kapitan oczekuje listu z biura personalnego Naczelnego Dowództwa? – zapytał Stamm, który już coś wyczuł.

– Gównu to was obchodzi! – ryknął Schulz brutalnie, kierując się ku wyjściu.

– Panie kapitanie – oświadczył uprzejmie Stamm – prawdopodobnie będzie dziś poczta jeszcze raz, po południu.

– Skąd o tym wiecie?

– W myśl informacji urzędu pocztowego poczta popołudniowa jest w drodze. Czy jednak dotrze...

– Stamm – zażądał Schulz – poruszcie niebo i piekło, żeby sprawa z tą pocztą była w porządku. Poczta to rzecz ważna. Wszyscy żołnierze czekają na nią, na znak życia od swoich najdroższych. Nie wolno im sprawiać zawodu. Dla żołnierza poczta jest równie ważna jak wyżywienie, a może nawet jeszcze ważniejsza.

– Rozumiem – odparł bombardier powstrzymując się z trudem, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Najlepiej będzie, jeżeli zajmie się tym osobiście porucznik Nowak. I tak nie ma nic do roboty.

– Zbiera kości. Wyleciał od Ascha jak z procy, kiedy usiłował wpakować swój nos do jego kwatery.

– Czyżby stary Asch się odważył?

– To nie stary, lecz młody Asch. Właśnie niedawno powrócił i Nowak wpadł wprost w jego ramiona.

– Tego już dostanę! – zawołał Schulz starając się zamienić złość w energię. – I jak jeszcze dostanę.

– Właściwie kogo? Porucznika Nowaka czy podporucznika Ascha?

– Obu! – wrzasnął Schulz i wyszedł zatrzasnąwszy gwałtownie drzwi. Wpadł jak oszalały lew do kancelarii, w której stał porucznik. Wydawało się, że chce zaskoczyć przybysza, ale tamten nawet się nie cofnął. Schulz pohamował więc swe zapały. – Ciągle jeszcze jest pan tutaj! – zawołał z niechęcią.

– Nie miałem jeszcze okazji przedłożenia swojej sprawy – powiedział porucznik Greifer-Grafenberg z rzadko u niego spotykanym opanowaniem.

– W takim razie niech pan przedkłada – rzekł Schulz rozsiadając się w fotelu.

– Nazwisko moje Grafenberg – oświadczył Greifer zachowując nienaganną postawę; jedynie ręce drżały mu nieco i miało się wrażenie, że zacisnąłby je chętnie w pięści.

Schulz gapił się na leżące na stole nie otworzone listy. Po chwili zapytał opryskliwie: – No i cóż dalej?

Greifer-Grafenberg zamknął na chwilę oczy. Zacisnął ręce w pięści, aż kostki pobielwały, ale zachowywał w dalszym ciągu nienaganną postawę i głos jego miał uprzejme brzmienie. – Jestem adiutantem pana pułkownika Hochheima, który ma do wykonania zlecenie specjalne.

– To niech je wykonuje.

– Niestety, straciliśmy nasze samochody – dwie ciężarówki.

Schulz nacisnął gwałtownie dzwonek. Stamm zjawił się natychmiast. – Zabierzcie to wreszcie ze stołu – zawołał Schulz wskazując z obrzydzeniem na stos listów.

– Tak jest – powiedział Stamm i zabrał papiery. Schulz, któremu to przyniosło pewną ulgę, zwrócił się znowu do przybysza. – A więc stracił pan swoje samochody. Cóż robić, miał pan pecha.

– Pan pułkownik Hochheim – oświadczył Grafenberg-Greifer tracąc coraz bardziej panowanie nad sobą – prosi o dostarczenie dwóch ciężarówek średniej wielkości, czterech żołnierzy i benzyny względnie materiałów pędnych do diesla na trzysta kilometrów.

– I to wszystko?

– To wystarczy – rzekł Greifer-Grafenberg i głęboko odetchnął.

– Panie kolego, czy uważa pan, że jestem tutaj świętym Mikołajem?

– W ciągu godziny – oświadczył porucznik zginając nieznacznie kolana. – Najpóźniej.

– Może pan czekać aż do sądnego dnia – rzekł Schulz przekonany o swej bezgranicznej w stosunku do tamtego wyższości. – Ode mnie nie dostanie pan nawet guzika od spodni.

– Zwracam pańską uwagę – powiedział Greifer ostro – że pan przeszkadza w wykonaniu naszego zadania.

– Zadanie pańskie – rzekł Schulz dufny w swoje stanowisko służbowe, daleko idące pełnomocnictwo i wyraźnie wyższą rangę – głównie mnie obchodzi.

– To się dopiero pokaże – rzekł porucznik, teraz już wyłącznie jako Greifer – kto tu jest głównym.

– Co takiego? – zapytał Schulz przekonany, że się przesłyszał.

– Jeżeli najpóźniej w ciągu godziny nie otrzymamy tego, czego żądamy, będzie pan wisiał – oświadczył groźnie Greifer.

– Jak pan w ogóle ze mną mówi? – zapytał Schulz zbity z tropu.

– Tak jak należy mówić z sabotażystami i zdrajcami, nie inaczej.

Greifer był teraz znowu całkowicie sobą. Patrzył na Schulza, jak by ten miał już stryczek na szyi.

– To już szczyt wszystkiego – wycharczał Schulz.

Greifer wyciągnął z kieszeni zegarek, porównał jego czas z czasem zegarka, który nosił na ręku, po czym spojrzął na zegar ścienny.

– W ciągu sześćdziesięciu minut – powiedział. – Ani o minutę później.

– Każę pana zamknąć! – ryknął Schulz.

Greifer wzruszył jedynie ramionami, potem wyszedł zatrzaskując drzwi tak gwałtownie, że Schulza dreszcz przeszedł.

Kapitan Schulz potrzebował kilku minut, by znowu odzyskać panowanie nad sobą. Zaczął donośnym głosem domagać się swego młodzieńca hitlerowskiego, Heiniego, ale Heini był w drodze. Potem równie donośnym głosem zażądał, żeby się zjawił porucznik Nowak, ale i ten znajdował się w drodze. Dygocący z gniewu Schulz, zdecydowany na wszystko, kazał się połączyć z generałem Luschkem. Zgłosił się szef sztabu.

– Dobrze, że się pan zgłasza oświadczył Schulzowi. Uprzedził mnie pan.

– Czy mogę mówić z panem generałem?

– Bardzo mi przykro, ale to teraz niemożliwe. O co to chciałem pana zapytać, panie kapitanie? Aha! Czy stosuje się pan dokładnie do wytycznych ustalonych przez generała?

– To dla mnie żelazobeton – zapewnił Schulz.

– Czy to prawda, że kazał pan wznosić zapory przeciwczołgowe?

– Tak jest. Zapory i pułapki.

– Jaka z tego ma wyniknąć korzyść, panie kapitanie?

– Przecież to odpowiada zupełnie intencjom pana generała – wyběbnił Schulz.

– Nie sądzę – odparł szef sztabu. Zapory i pułapki przeciwczołgowe w obecnej

chwili i w tej sytuacji – to po prostu dziecinada.

– Mamy również miny oraz pięści pancerne, to na pewno wystarczy.

Szef sztabu odpowiedział po upływie dłuższej chwili:

– Panie kapitanie Schulz, proszę nie wydawać żadnych dalszych zarządzeń i proszę być do dyspozycji generała.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał Schulz tracąc kontenans.

– Obawiam się, że zrozumie pan to dosyć szybko – odparł szef sztabu i odłożył słuchawkę.

Twoi ludzie – powiedział stary Asch do swego syna – nie mogą się przecież panoszyć w moim domu.

– Szynka twoja – zauważył Herbert Asch i odkroił sobie kawał grubości palca – jest wyraźnym dowodem, jak strasznie ciężka była dla ciebie wojna.

– Narazamy się niepotrzebnie na trudności, mój Herbercie – próbował przekonać syna stary Asch.

– Przecież to jeszcze nic w porównaniu z tymi trudnościami, które wyście nam zgotowali.

– Herbercie – zapytał stary Asch niemal uroczyście – czyżbyś chciał twierdzić, że to ja rozpocząłem wojnę?

– Nie miałeś do tego sposobności – odparł Herbert Asch badając palcami twardość leżącego przed nim salami. – Ale zarobiłeś nieźle na wojnie i ani jednym słowem nie potępiłeś tych wszystkich świństw i nikczemności.

– Przyznasz chyba, mój chłopcze, że byłem zawsze wyraźnym i zdecydowanym przeciwnikiem hitleryzmu. Zawsze...

– Tylko w gębie, mój ojcze, i to tylko wobec trzykroć wypróbowanych przyjaciół. I zawsze przy drzwiach zamkniętych.

– Nie rozumiesz mnie – powiedział stary Asch niespokojnie i spojrzał błagalnie na zajadającego syna. Wyłowił z kieszeni spodni dużą, śnieżnobiałą chustkę do nosa i otarł nią czoło. – Nie jestem bohaterem, zajmuję się handlem. A dla kogóż to, twoim zdaniem, robiłem te interesy?

– Dla mnie! To już zużyta płyta, mój ojcze, umiem ją na pamięć.

– Ale tak w istocie było, Herbercie! Siostra twoja Ingrid wstąpiła po śmierci Vierbeina do Wehrmachtu, wyszła tam za mąż za sprężystego oficera hitlerowca i jest dla interesu stracona. A ciebie zawsze uważałem za swego następcę.

– Sądzisz naprawdę, ojcze, że ta wojna zatrzyma się przed twoją kawiarnią?

– Przecież jest właściwie jak gdyby zakończona, Herbercie.

– Może – odparł Herbert Asch i odkroił potężny kawał kiełbasy – może wojna doszła do mety. Ale to jeszcze nie oznacza jej końca. To tak jak przy wyścigach łodzi motorowych – zanim się zdąży zatrzymać silnik, łodzie już są daleko poza metą.

– Robiłem wszystko, co mogłem, a przez twego teścia, starego Freitagą, zabezpieczyłem sobie tyły.

- Czy razem wymyśliliście sobie ten interes?
- Jest to nam zupełnie niepotrzebne, rozumiemy się bez wielkich słów.
- Chcę mieć nadzieję, że się pod tym względem nie mylisz, ale wiedz, że Freitag to uparta sztuka; upór ten uważa chętnie za silny charakter.
- Nie ma zmartwienia – powiedział stary Asch z przekonaniem. – Pomogłem mu, kiedy go mieli wpakować do obozu koncentracyjnego, więc i on mi pomoże, gdyby mnie chcieli capnąć. Czym się naprawdę martwię – to twoim nastawieniem.
- A mnie niepokoi jedynie mój apetyt – rzekł Herbert Asch przełykając potężną pajdę chleba z ogromną ilością kiełbasy.
- Przygotowałem wszystko jak najstaranniej – ciągnął Asch. – Żona twoja i dzieci przebywają na wsi. Piwnica była pełna, dom pusty. Żadnego personelu, żadnego ruchu – zamknięte aż do odwołania. Byłem sam w twierdzy i czekałem na ciebie. Potem zjawił się Wedelmann ze swoją narzeczoną. Pięknie, powiedziałem sobie, niech zostaną. Zrobił niejedno dla ciebie, dlaczegoż nie miałbym się mu zrewanżować.
- Szlachetny z ciebie człowiek! – wykrztusił Herbert Asch.
- Potem zjawił się Kowalski. Znowu przymknąłem oko. Przecież ostatecznie to twój przyjaciel. I oto nagle nastąpił najazd szcurów. Ledwie zdążyłem się obejrzeć, w domu zaroilo się od ludzi, których przedtem nigdy nie widziałem. W każdym łóżku śpi najmniej po dwóch, a w kawiarni na dole rozłożyła się cała twoja bateria.
- Bardzo mi przykro. Jesteś człowiekiem pokoju, a oni przypominają ci wojnę.
- Żołnierze twoi mogliby równie dobrze ulokować się w koszarach.
- A po co, dlaczego? Przecież tutaj czują się z pewnością lepiej i swobodniej.
- A dlaczegoś wyrzucił porucznika Nowaka, tego z komendantury.
- Bo sam chcę decydować o moich ludziach i ani mi w głowie prehandlowywać ich jak kupę wojskowych buciorów. Ta grupka ludzi, mój ojciec, nie wie w tej chwili, dokąd się zwrócić. Krewni ich są albo na Wschodzie, albo nie żyją, albo błąkają się po kraju. Dokąd więc ci żołnierze mają się udać?
- Ale dlaczego musieli wylądować właśnie u mnie, mój Herbercie. Są przecież miejsca bardziej neutralne: koszary, szkoła, baraki obok zakładu paliw syntetycznych.
- Szukali mnie. Nie mają poza mną nikogo, do kogo mogliby się zwrócić. Znaleźli się więc tutaj i zostaną, dopóki wojna im pozostać każe.
- Bardzo się zmieniłeś, mój synu.
- Wiem. Dawniej byłem wesołym nicponiem, teraz jestem uśmiechniętą kanalią. Ale powoli tracę moją energię. Wojna wsączyła mi się w krew jak syfilis. Ścisłe mówiąc, mam jedno tylko życzenie: zobaczyć pewnego świntucha na stryczku.
- Moralność twoja ciężko ucierpiała.
- A twoja nie – zapewnił ponuro Herbert.
- Jak śmiałeś wprowadzić mi do domu tę dziewczynę.
- Barbarę? Podoba ci się?

- Jesteś żonaty, masz dzieci i nie wstyd ci...
- Byłem na wojnie, gdzie żony mojej nie było, a Barbarę miałem pod ręką.
- Czy to ma być żart? – zapytał stary Asch skonsternowany.

Herbert sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął parę zdjęć – były to te same zdjęcia, które znalazł w domu nieżyjącej pani Willrich. Rozłożył je jak wachlarz i pokazał ojcu. – Czy znasz tego człowieka, który uśmiecha się na zdjęciu? Wydaje mi się znajomy, ale nie wiem skąd.

Stary Asch nie patrzył na zdjęcia. – Pozwoliłem sobie zapytać, czy stroisz ze mnie żarty. Kiedy się sprowadza kobiety w rodzaju tej Barbary...

- Znasz tego człowieka, czy go nie znasz?
- Znam – powiedział stary Asch spojrzawszy przelotnie na zdjęcie – ale...
- Kto to taki?
- Nasz były kreisleiter. Ale...
- Dlaczego były?
- Bo zwiął od dawna za siedem gór. Wiesz to na pewno?

– Na pewno. Poza tym jest to logiczne. Chyba nie przypuszczałeś, że będzie witał Amerykanów powiewającymi chorągwiemi i piękną mową. Dał drapaką już dziesięć dni temu.

– To w każdym razie lepiej, niż leżeć gdzieś w charakterze trupa – powiedział podporucznik Asch pochłonięty myślami i włożył zdjęcia do kieszeni.

Wkrótce potem zjawiała się Barbara, różowa, odświeżona błogą kąpielą, otulona szerokim płaszczem kąpielowym. Oczy jej zdradzały zdrowy apetyt. Usiadła tuż obok Herberta i nie proszona zabrała się do wędlin i kielbas.

- Jak w raj – powiedziała z pełnymi ustami.
- Strój pani na to wskazuje – rzekł stary Asch.

Barbara otworzyła ze zdumienia usta. Potem zapytała naiwnie: – Nie podoba się panu?

- Nie – odrzekł stary Asch.

– Mnie się podoba – zapewnił podporucznik i klepnął Barbarę tak mocno po plecach, że się omal nie zakrztusiła.

– Tylko tak dalej – oświadczył ojciec Asch z goryczą. – No cóż, moja kawiarnia została zamieniona w koszary, z mego mieszkania zrobiono burdel, a syn rujnuje moje interesy. Biedne Niemcy! – Po tych słowach wyszedł potrząsając głową.

- Nie znosi mnie – stwierdziła Barbara ze smutkiem.

– U mnie sprawa wygląda wprost przeciwnie, a więc wszystko w sumie się wyrównuje.

– To mnie bardzo uspokaja – odpowiedziała obrzucając go wielce obiecującym wzrokiem.

Zanim miała okazję choćby częściowo zrealizować tę jednoznaczną obietnicę, wpadli do pokoju z wielkim hukiem i hałasem Kowalski, Stamm i Soeft. Za nimi

wsunął się układny jak zawsze podporucznik Brack. Kowalski, Stamm i Soeft zachowywali się tak hałaśliwie, jak gdyby byli w knajpie.

– Wedelmann! – ryknął Kowalski w stronę korytarza. – Alarm!

– Zamknijcie pyski – powiedział Asch. – Nasza kawiarnia to przecież nie koszary.

– Potrzebny nam jest każdy człowiek – oświadczył bombardier Stamm.

– Liczymy na pana, panie Asch – powiedział podporucznik Brack.

– Jem śniadanie – odparł Asch niemal uroczyście. Wedelmann pojawił się bez marynarki, bez krawata, gołe nogi tkwiły w olbrzymich pantoflach filcowych starego Ascha, wyszywanych w kwiatki. – Co to za wrzaski? – zapytał.

– Mam nadzieję, że nie przeszkodziliśmy panu? – ryknął Kowalski i zaśmiał się śmiechem zawodowego pijaka. – Trzeba wam bowiem wiedzieć – informował swe otoczenie bez żenady – że ten pan oddawał się zapewne rozkoszom nocy poślubnej, w której mu przeszkodzono. Musi to teraz nadrabiać.

– Dajcie temu spokój – burknął ostro Wedelmann nie umiejąc ukryć gwałtownego zakłopotania.

– Przejdźmy od razu do rzeczy – oświadczył podporucznik Brack. – Potrzebni nam są wszyscy żołnierze, których można by jakoś zużytkować. Musimy unieszkodliwić ostatnie maszyny wojenne.

– Beze mnie – odparł stanowczo Wedelmann.

– I beze mnie – powiedział Asch uprzejmie.

– Ale żołnierze pańscy, panie Asch?

– Beze mnie i bez moich żołnierzy. Mamy już dosyć tej zabawy.

– Szkoda – oświadczył podporucznik Brack po krótkiej pauzie. – Respektuję jednak oczywiście pańską decyzję. Zobaczymy, co będzie dalej. Idziemy?

– Tak, idziemy – powiedział Stamm.

Kowalski przyłączył się do nich. – A kochany Soeft z nami nie pójdzie? – zapytał.

Soeft siedział przy stole i brał żywy udział w pałaszowaniu przysmaków wyciągniętych na przywitanie Ascha. – Później – odparł z pełną gębą. – Naprzód muszę obgadać ze starym Aschem pewien interesik. Nie chciałbyś być przy tym obecny, Kowalski?

– Naprzód przyjemność – odrzekł Kowalski – potem praca.

A więc jeszcze dziś wieczorem – obwieścił kapitan Ted Boernes swoim najbliższym współpracownikom – znajdziemy się na naszym nowym terenie działania.

– Czas najwyższy – powiedział James I. – Już mnie ręce swędzą.

– Czy zabierzemy ze sobą jeńców, których przesłuchanie nie zostało jeszcze całkowicie zakończone?. – zapytał Hinrichsen.

– Oczywiście nie – odparł natychmiast Boernes. – Wszystkie przesłuchania należy doprowadzić do końca albo też załatwić prowizorycznie, a następnie przekazać jeńców wraz ze wszystkimi aktami urzędującej tutaj, a więc kompetentnej komórce służbowej CIC.

– Kiedy wyruszymy? – zapytał James II.

– Za jakieś trzy godziny – odparł kapitan. – Czołówka naszych czołgów dotrze do miasta, które zostało dla nas przewidziane, około siódmej wieczorem. Wojsko nie zostanie tam jednak i jeszcze tego samego wieczora posunie się o jakieś dziesięć, dwadzieścia kilometrów w kierunku wschodnim.

– Chwileczkę – zapytał James II. – Czy znaczy to, że wchodzimy do miasta otwartego, czyli nie chronionego bezpośrednio przez nasze wojska?

– Chyba nie masz już pełnych portek, „pastorze”?

– Nie są tak pełne, jak pusta jest twoja głowa, „partnerze” rzekł James II pojednawczo.

– Moi panowie – odezwał się kapitan – nie sądzę, żebyśmy mieli powód do zastrzeżeń i wątpliwości. Oczywiście jakieś oddziały pozostaną w mieście.

– Jednostki zaopatrzenia, a nie bojowe – upierał się James II.

– Wszystkie raporty mówią o tym – wywodził Boernes z otuchą – że opór Niemców faktycznie nic istnieje. Nic ma prawie żadnych działań bojowych.

– Prawie żadnych, to oznacza, że są działania sporadyczne. – James II nie należał do ludzi, których można było skłonić do jakiegokolwiek nieostrożnego posunięcia. – A co będzie, jeżeli właśnie tam dojdzie do takiego sporadycznego działania wojennego?

– Kapitanie – powiedział James I z oburzeniem – czy jest pan świadom tego, że zaprząłem mnie pan do jednego wózka z prawdziwą babą?

– Baba jest w każdym razie więcej warta od skończonego idioty – odpowiedział James II wcale nie dotknięty słowami kolegi.

– Ależ panowie! – zawołał kapitan Boernes. – Ogólna sytuacja jest istotnie zupełnie nie skomplikowana. Nasze wojska zajmują się jedynie inkasowaniem zysków. Ale jeżeli istnieją najmniejsze choćby zastrzeżenia, jeżeli ktoś sądzi, że nie możemy od razu podjąć skutecznej pracy, jeżeli panuje przekonanie, że mogłyby powstać komplikacje, to zaczekajmy trochę. Możemy spokojnie zacząć naszą robotę od jutra rana.

– Propozycja odrzucona – powiedział żądny czynu James I. – Chcę mieć tę przyjemność jeszcze dziś wieczorem.

– A ja – oświadczył James II rozkładając ręce – umiem cieszyć się na zapas. Jestem zwolennikiem pewności i bezpieczeństwa. Dlatego odłożenie wymarszu do jutra bardzo mi odpowiada.

– A pan Hinrichsen?

Zatopiony w myślach Hinrichsen zerwał się ruchem tak gwałtownym, że zranione ramię zaczęło go boleć. – Ja? – zapytał. – Czy moje zdanie ma w ogóle jakiegokolwiek znaczenie?

– Najmniejszego – odparł brutalnie James I. – Ale odpowiedź pańska interesuje mnie.

- Im wcześniej, tym lepiej. Potrzebne nam są grube ryby.
- No więc – powiedział James I z zadowoleniem i dodał: – Inna odpowiedź, sprzymierzeńcze Hinrichsen, nie byłaby dla naszej współpracy zbyt korzystna.
- A pan? – zwrócił się kapitan Boernes wprost do Jamesa II.
- Niewiele sobie wprawdzie robię z demokracji – odparł James II – ponieważ jednak jestem w mniejszości, przyłączam się.
- Doskonale – stwierdził kapitan Boernes z wyraźną ulgą; przyszedł mu na myśl Brack i napełniało go zadowoleniem, że wkrótce będzie mógł wziąć pod swoje skrzydła tego, tak śmiało sobie poczynającego, pupilka wpływowego pułkownika Thomsona. – A więc jesteśmy zgodni. Odmarsz za trzy godziny.
- Jeżeli o mnie chodzi, możemy ruszyć zaraz – powiedział James I przeświadczony, że jest uosobieniem przedsiębiorczości. „Oto – mówił sobie – iście amerykański duch pionierski dwudziestego wieku.”
- Co zamierza pan robić do czasu wymarszu? – zapytał zaciekawiony kapitan Ted Boernes.
- Zastanawiać się nad tym, czy pytanie pańskie jest uzasadnione – odpowiedział James I z uśmiechem.
- A czy pana również dręczą podobne problemy?
- Ja – odrzekł James II – zdrzemnę się na zapas.
- A ja, jeżeli oczywiście pan się zgodzi – oświadczył uprzejmie Hinrichsen – spróbuję zakończyć przesłuchanie.
- Jakież?
- Przesłuchanie owego porucznika, który był w Grafenbergu.
- Co pan sobie po tym obiecuje?
- Nie mogę na to dokładnie odpowiedzieć – oświadczył ostrożnie Hinrichsen. – Mam jednak wrażenie, że człowiekowi temu wiadome jest coś, co mogłoby być interesujące.
- Interesujące? Dla kogo?
- To się dopiero pokaże – rzekł Hinrichsen z nieprzyjemnym grymasem na twarzy.

Hinrichsen udał się do pustej, zimnej sali, w której zwykle odbywały się przesłuchania. Rozsiadł się tutaj za jednym ze stołów i kazał sobie przyprowadzić porucznika z Grafenbergu.

Ten wśliznął się z miną usłużnego fryzjerczyka, zaczął przygotowywać się do ukłonu, jak gdyby miał zatańczyć menueta. Otworzył nawet usta, by szybciej odpowiadać, gdyby go chciano o coś pytać. Ale Hinrichsen pozwolił mu na razie stać nie mówiąc doń ani słowa. Przerzucał nie wypełnione kwestionariusze udając wedle wypróbowanej metody koncentrację. Milczał uporczywie, ale ruchy jego rąk zdradzały zdenerwowanie.

Po jakimś czasie ręce te nagle się uspokoiły. Leżały teraz nieruchomo obok siebie

na kwestionariuszach, wyglądały jak olbrzymie łopaty; kto te ręce widział, bynajmniej nie pragnął się w nie dostać, Hinrichsen podniósł w pewnej chwili mocno osadzoną głowę. W oczach jego było tyle lodowatego chłodu i zdecydowania, że porucznikowi zaczęły ledwie widocznie dygotać kolana.

– Obydwaj – zaczął Hinrichsen półgłosem, nasrożony jak buldog – mamy wspólnego znajomego, niejakiego pułkownika Hauka.

Porucznik z Grafenbergu pobladł tak szybko i całkowicie, jak gdyby łagodne światło oświetlającego go reflektora zostało gwałtownie wzmocnione. – Nie wiem...

– wykrztusił z trudem.

– Wie pan dokładnie, co mam na myśli.

– Musi mi pan wierzyć...

– Niech pan posłucha, mój przyjacielu – powiedział brutalnie Hinrichsen. – W ten sposób daleko nie zajdziemy. Jestem najgłębiej przekonany, że pewne sprawy są panu wiadome. Kiedy bowiem zapytałem pana dziś rano o Hauka, odpowiedział pan przecząco zbyt szybko i nerwowo. I zaprzeczył pan dwukrotnie. Jeżeli człowiek nie upadł na głowę i słuchał tego choćby jednym uchem, musiało to wywołać nieufność.

Porucznik z Grafenbergu tracił coraz bardziej kontenans. Nad jego górną wargą wystąpiły krople potu. Poruszał kurczowo rękami, miało się wrażenie, że zacznie się wić jak robak.

– Niech pan da spokój tym komediom – powiedział Hinrichsen. – Z papierów pańskich wynika, że ukończył pan kurs w Grafenbergu. Wiemy dokładnie, co się tam odbywało, mój wojowniczy kandydacie na sędziego sądu doraźnego.

– Sir! – zawołał porucznik z Grafenbergu uderzając w błagalnie sentymentalny ton skazańców. Przysięgam panu, że działalność moja była natury drugorzędnej. Pełniłem jedynie drugorzędną funkcję asesora, nie miałem nic do powiedzenia, nic do decydowania poza prowadzeniem protokołu. Wyroki wydawał sam przewodniczący.

– W to wszystko – oświadczył Hinrichsen wyczuwając, że lody zaczynają pękać – skłonny jestem uwierzyć. Nie jestem małostkowy. Wiem, że przewodniczący lotnych sądów doraźnych byli przeważnie oficerami starszymi, co najmniej w stopniu kapitana. Na nich ciążyła wyłączna odpowiedzialność za wyroki.

– Tak było, sir – zapewnił porucznik, jak gdyby składał przysięgę. – Dokładnie tak.

– Były oczywiście również wyjątki – odparł Hinrichsen i obrzucił swą ofiarę hipnotyzującym wzrokiem węża boa. – Pełnomocnictwa specjalne, wyjątkowe sytuacje. Może w działalności pańskiej bywały takie wyjątki? Można by, gdyby się tego chciało, zbadać dokładnie te rzeczy. Ale nie chcę tego wcale. Pan osobiście nie interesuje mnie właściwie, chciałbym natomiast dowiedzieć się jak najwięcej o tym pułkowniku Hauku.

Porucznik z Grafenbergu oddychał ciężko i milczał. Patrzył wyblakłymi oczyma na Hinrichsena, wzrok jego był tak bezradny i błagalny, jak gdyby na jezdni wśród

największego ruchu zgubił okulary i czuł się bet nich niepewny i zdany na łaskę innych.

– Może pan teraz wybierać – oświadczył Hinrichsen bezlitośnie. – Albo w pełni zbadam i wyświetlę pański przypadek, albo też powie mi pan wszystko, co panu jest wiadome o pułkowniku Hauku. Żeby pan mnie zrozumiał całkowicie, panie poruczniku, powtarzam raz jeszcze: osobiście mało mnie pan interesuje.

– Tak – rzekł porucznik i odetchnął głęboko. – Pułkownik Hauk był przewodniczącym owych sądów doraźnych, które otrzymywały rozkazy bezpośrednio z Kwatery Führera. Po doświadczeniach z okresu odwrotu w Rosji przeniesiono je na zachodni front inwazyjny.

– Zanim będziemy mówić dalej na ten temat – oświadczył Hinrichsen – zaznaczam, że chciałbym wiedzieć wszystko, absolutnie wszystko. Gdyby pan nie mógł ominąć wydarzeń, w których brał pan bezpośredni udział, to proszę w tym specjalnym wypadku uważać się za świadka koronnego w myśl prawa brytyjskiego. Stawia się pan do dyspozycji sądownictwa i zeznaje; to chroni pana przed jakimkolwiek oskarżeniem i gwarantuje bezkarność. Gdyby pan tego nie chciał...

– Powiem wszystko, co wiem, sir przyrzekł porucznik z Grafenbergu, obrzucając Hinrichsena baranim wzrokiem.

Hinrichsen przysunął blok, parsknął z zadowolenia i powiedział: – Słucham.

Kapitan Schulz siedział nieruchomo, jak gdyby uderzył w niego piorun, przy swoim potężnym biurku w gmachu komendantury. Gapił się przed siebie. Po napełniającej go strachem rozmowie telefonicznej z szefem sztabu generała Luschkego miał fatalne uczucie, że jest drugim Hiobem.

W odległości nakazanej respektem stał przywódca Hitlerjugend, Heini. Jego płomienny podziw dla wzorowego żołnierza Schulza nie utracił jeszcze swej wysokiej temperatury. Trzymając w ręku butelkę piwa zapytał z oddaniem: – Czy mam postawić na lód?

– Kogo? – zapytał Schulz budząc się z zamyślenia.

– Butelkę z piwem – odrzekł Heini.

– Nie trzeba – powiedział Schulz. – Tak ją wypiję. – Po tych słowach sięgnął po butelkę z automatyczną obojętnością, która świadczyła o jego bardzo zachwianej równowadze psychicznej. Czuł się głęboko urażony w swoim honorze żołnierskim.

– Czy mam znowu zapędzić swoich ludzi do wznoszenia zapór przeciwczołgowych? – zapytał Heini.

– Nie trzeba – odparł Schulz.

– Czy mają dalej brać udział w ćwiczeniach z pięściami pancernymi?

– Niech sobie spokojnie ćwiczą – odparł Schulz. Wypił potężny haust piwa, jak gdyby przełykał gorzkie lekarstwo. Cierpiał. To, że nawet piwo mu nie smakowało, było wyraźnym dowodem, jak bardzo cierpiał.

– Panie kapitanie – zapytał Heini, którego uwagi nie uszło, że cierpienie Schulza

doszło do punktu kulminacyjnego jak w klasycznej tragedii – czy sytuacja jest poważna?

– Mogliśmy ją opanować – odparł Schulz. – Dla prawdziwego żołnierza, mój chłopcze, sytuacja nigdy nie może być tak poważna, żeby była beznadziejna. Powinieneś to sobie zapamiętać.

– Patrz: Fryderyk Wielki.

– Tak jest – rzekł Schulz z powagą. Potem, po krótkiej przerwie, podczas której znowu udawał, że myśli, i to intensywnie, jak tego należy oczekiwać od wysokich dostojników wojskowych, tubalnym głosem zawołał bombardiera Stamma.

Ale bombardier Stamm nie zjawił się. Zamiast niego przybyła dziewczyna ze służby pomocniczej, oświadczając, że Stamm znajduje się na dole w piwnicy przy aparacie do rozmów międzymiastowych. Kazał powiedzieć, że poczta może nadejść w każdej chwili i zostanie natychmiast panu kapitanowi doręczona.

– Tak łatwo – powiedział Schulz do Heiniego – nie damy się pobić.

Odesłał z powrotem dziewczynę gniewnym, krótkim ruchem właściciela psa, co było tym bardziej godne uwagi, że chodziło tu o jędrną dziewczynę, na którą zazwyczaj spoglądał z pożądliwą życzliwością.

– Mój drogi chłopcze – zwrócił się Schulz do swego trabanta, odzianego w brunatny mundur. – Jedno musisz sobie zapamiętać: temu, że znajdujemy się na skraju przepaści, winne jest niedołęstwo średniego dowództwa.

– Ale führer jest ponad tym wszystkim – wyrzucił z siebie Heini.

Tak, führer wraz ze swoimi żołnierzami, a zwłaszcza oficerami. Ale nam doświadczonym żołnierzom zawodowym, ludziom, którzy dodają żaglom wiatru, zamknięto dostęp do wyższych stopni służbowych, a niższa generalicja żałośnie zawodzi. Dzielność i zdolności nie są odpowiednio wynagradzane. I dlatego pewni ludzie próbują nie dopuścić do tego, żebym awansował na majora.

– To zwyczajne świństwo! – zawołał z oburzeniem Heini.

– Jeżeli mam teraz, mój drogi chłopcze, związane ręce, to dlatego, że generał śpi, a jego szef sztabu stara się przeforsować defetystyczne rozkazy.

– Generał śpi? – To, że generał może potrzebować snu, wydawało się Heiniemu niepojęte. Wielkie Niemcy znajdowały się na podobieństwo Nibelungów w końcowej fazie walki, a jakiś generał śpi sobie w najlepsze.

– Jeżeli będziemy zmuszeni oddać to miasto właściwie bez walki, zawdzięczać to będziemy niejakiemu generał-majorowi Luschkemu. Zapamiętaj to sobie, mój synu.

– Zapamiętam. Generał-major Luschke.

– Żebyś nie zapomniał! – zawołał Schulz. – A teraz przynieś mi jeszcze jedną butelkę piwa.

Podniósłszy rękę do hitlerowskiego pozdrowienia Heini ruszył biegiem. Na korytarzu spotkał bombardiera Stamma, który spojrzał nań z pobłażliwym uśmiechem. – Pan kapitan Schulz wyraził chęć zobaczenia pana – powiedział Heini.

– Nie podzielam leją chęci – odrzekł Stamm.

– Czy wiadomo panu, jak się postępuje z buntownikami i sabotażystami? – zapytał Heini z całą powagą.

– Nie przyjmuje się ich do Hitlerjugend – odparł beztrąsko Stamm. – Złe uczynki bywają często wynagradzane, to cecha charakterystyczna naszych czasów. Ale zanim pęknie z złości, mały, odpowiedz mi na jedno pytanie: gdzie znajduje się teraz twoja banda?

– Koledzy moi – odrzekł wyniośle Heini – nie są bandą.

– Wiem doskonale, kim są. Pytałem, gdzie się znajdują?

– Koledzy moi – obwieścił Heini z dumą – znajdują się na boisku i ćwiczą się we władaniu pięścią pancerną. – Po tych słowach oddalił się z dumnie podniesioną głową; dokoła jego dziecinnych ust widniał pogardliwy grymas.

Stamm pokiwał głową. Cóż to za dziecinada te zabawy z pięścią pancerną! Udał się do swej kancelarii, podniósł słuchawkę telefoniczną. – Proszę mnie połączyć z podporucznikiem Brackiem – powiedział – znajduje się w gmachu straży pożarnej.

W gmachu straży pożarnej, w którym mieściła się obecnie główna kwatera miejscowego Volkssturmu, podporucznik Brack pertraktował z przywódcą spóźnionych obrońców ojczyzny, którego nieufność malała w miarę przedłużania się rozmowy. Uważał, że ten Brack to na szczęście normalny człowiek, z którym można rozmawiać.

– Już najwyższy czas – powiedział przywódca weteranów. – Nawet przełożeni musieli uznać, że na czołgi nie można się porywać z kamieniami.

– Nigdy nie jest za późno na dokonanie pewnych zmian i poprawek – oświadczył uprzejmie Brack.

– Panie podporuczniku – rzekł przywódca, który wobec tego, że żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo nie zdawało się zagrażać już jego życiu, wszedł znowu w rolę bohatera finału. – Mam niepełną nadzieję, że Naczelne Dowództwo nie wątpi o naszej gotowości do obrony.

– Oczywiście – zapewnił Brack. – Wprost przeciwnie, dowództwo to apeluje w dodatku do pańskiego rozsądku.

– Niezależnie od naszego ducha bojowego – oświadczył miejscowy przywódca oddziału mającego przyczynić się do ostatecznego zwycięstwa – jesteśmy niestety zależni od spraw materialnych. A wyglądają one w ten sposób, że nie możemy nawet założyć przepisowego pola minowego.

– Jestem o tym przekonany.

– A dwoma tuzinami pięści pancernych i dwudziestoma nabojami trudno zatrzymać pułk czołgów.

– Niewątpliwie.

– Wobec przewagi, zwłaszcza jeżeli chodzi o sprzęt wojenny Amerykanów, nawet najlepszy żołnierz jest bezbronny. Ścisłe biorąc, nie ma to już nic wspólnego z rze-

miosłem wojennym.

– Podzielałm całkowicie pańskie zdanie – zapewnił Brack ze zniewalającym uśmiechem. – Niewątpliwie znajdziemy kiedyś czas, aby pomówić o naszych doświadczeniach w tej dziedzinie. Na razie wskazany jest jak największy pośpiech. Jeżeli przed przybyciem Amerykanów chcemy być przekonująco rozbrojeni...

– A więc wolno nam odwołać wszystkie zarządzenia obronne?

– Wszystkie.

– Na rozkaz generała?

– Tak jest. Na rozkaz generał-majora Luschkego.

– Ten Luschke – powiedział przywódca weteranów, który jeszcze dwadzieścia minut temu był gotów z głębokim przeświadczeniem kląć generała – wygląda mi na człowieka, który ma trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość.

– Jest tak istotnie. Czy byłby pan jednak teraz łaskaw wydać odpowiednie zarządzenia?

Przywódca weteranów, który szczęśliwie uniknął osobistego wkładu do ostatecznego zwycięstwa, skinął głową i zaczął rozglądać się za łącznikami. Z dwunastu jednak ludzi pogotowia ośmiu znajdowało się w drodze; należało przypuszczać, że poszli albo do domu, albo do knajpy. Z pozostałych czterech jeden oświadczył, że jest ciężko chory, dwaj inni domagali się gwałtownie krótkiego urlopu, czwarty zaś, który rzekomo nabawił się biegunki, siedział od trzech godzin w latrynie.

– Cóż mam począć! – zawołał zrozpaczony przywódca.

– Niech pan telefonuje – poradził Brack.

– Większość linii jest uszkodzona. Między miastowa prawie nie funkcjonuje. A do naszych wysuniętych zapór przeciwczołgowych nie doprowadziliśmy kabla polowego.

– Dlaczegoż to?

– Bośmy go nie mieli.

– W takim razie niech pan weźmie samochód albo motocykl. I niech pan sam pojedzie do poszczególnych placówek.

– Nie mam prawa jazdy.

– Człowieku! – zawołał Brack. – Przecież w takiej sytuacji jak obecna nie ma to żadnego znaczenia.

– Ale prowadzić samochodu także nie umiem – oświadczył potulnie spóźniony bohater.

– W takim razie obejmę u pana rolę kierowcy.

– Wielka to z pańskiej strony uprzejmość. Miejmy nadzieję, że uda nam się znaleźć jakiś wóz.

Podporucznik powstrzymał się z wielkim trudem od wypowiedzenia paru soczystych słów w żołnierskim żargonie. Odetchnął z ulgą, kiedy go poproszono do telefonu. Był to telefon z komendy; wziął słuchawkę, połączono go ze Stammem. Wysłu-

chawszy go uważnie, zapytał: – Czy mogę użyć tych dzieciaków jako łączników? – Odpowiedź widocznie mu się nie spodobała. – Co? W żadnym wypadku? Przecież łącznicy są mi gwałtownie potrzebni.

Stamm zaklinał podporucznika przy telefonie, by w żadnym wypadku nie posługiwał się bohaterskimi chłopcami przy przekazywaniu rozkazów, które są właściwie demobilizujące. – Te Nibelungi z ławy szkolnej – mówił Stamm do Bracka – są trenowane do ostatecznego zwycięstwa. Drogą normalną niczego się u nich nie osiągnie. Apelowanie do zdrowego rozsądku jest całkowicie pozbawione sensu, ponieważ nie mają najmniejszego pojęcia, co to właściwie jest.

– Przecież nie mogę ich pozamykać, Stamm!

– Nie pozamykać, ale przechytryć!

– Czy możecie mi dać samochód? Musimy pojechać na wysunięte placówki.

– Mam wozów pod dostatkiem. W ciągu niespełna godziny Kowalski zorganizował cały park samochodowy. W tej chwili zajęty jest opróżnianiem dwóch magazynów.

– Zwykły samochód osobowy wystarczy – powiedział podporucznik Brack i, położył słuchawkę.

– Dostaniemy wóz – zakomunikował reprezentantowi Volkssturmu, który od razu, choć nie bez pewnej ostrożności, okazał, że go to uszczęśliwia. – Kiedy wóz nadjedzie, proszę po mnie przyjść. Idę teraz na boisko.

Na boisku raźnie ćwiczą. Jakiś feldfebel w asyście dwóch kaprali zadreślał w obecności mało się tym wszystkim interesującego oficera rezerwy dwudziestu trzech chłopców z Hitlerjugend. Robił to z pasją, wedle wszystkich reguł dręczycielskiej sztuki.

Młodociani wojacy płonęli bojowym zapalem. Padali z rozkoszą w błoto, skakali przez leje, markowali atak na skrzynię mającą reprezentować czołg. Instruktorzy rozkoszowali się ich gotowością bojową. W ostatnich dniach stracili już nadzieję, że się im taka wymarzona gratka przydarzy.

– Słuchajcie! – zawołał Brack do młodych bohaterów. Ćwiczenia z pięścią pancerną są na dziś zakończone.

Oficer rezerwy zasalutował krótko. Nawet nie przyszło mu do głowy zapytać, jakim to prawem obcy podporucznik miesza się do wyszkolenia. Od dawna przyzwyczaił się do różnych interwencji. Instruktorzy przestali się zajmować swoimi ofiarami. Dzielni młodzieńcy z Hitlerjugend otoczyli kołem Bracka.

– Mam dla was nowe zadanie – powiedział podporucznik do młodzieńców, 7. których każdy starał się być wytrzymały jak skóra, raczy jak chart, twardy jak stal z zakładów Kruppa. – Utworzycie grupy po dwóch i pousuwacie w obrębie miasta wszystkie plakaty z zarządzeniami komendantury.

– Dlaczego, panie poruczniku? – zapytał jeden z młodzieńców o czysto germańskiej twarzy „nadcześniaka”.

- Po to, żeby ponalepiać inne plakaty, o wiele skuteczniejsze.
- Jeżeli tak, to jesteśmy gotowi – oświadczył młodociany „nadczłowiek” i na twarzy jego pojawiło się zadowolenie.
- Wszystkie stare plakaty względnie ich resztki należy dostarczyć do budynku straży ogniowej, w którym mieści się dowództwo Volkssturmu. Czekać tam na dalsze rozkazy. Zrozumiano?
- Zrozumiano! – zawołali karnie młodociani bohaterowie.

Cała ta paskudna dziura – powiedział porucznik Grafenberg względnie Greifer – robi wrażenie, całkowicie zaryglowanej.

Pełen gniewu, rzucił na stół rękawiczki i czapkę, potem rozsiadł się na nim szeroko. Wyciągnięte nogi w zapyłonych butach oficerskich dyndały niespokojnie nad dywanem. Porażka, jakiej doznał w komendanturze, dręczyła go niezmiernie.

Siedzący przed nim w fotelu z wysokim oparciem pułkownik Hauk sięgnął do kieszeni wewnętrznej munduru utrzymywanego w nienagannym stanie i dwoma palcami wyciągnął z niej wąską srebrną papierośnicę. – Potrzebował pan niemało czasu, żeby to stwierdzić – powiedział.

– Robiłem, co mogłem – odparł Greifer.

– I nic pan nie osiągnął. – Hauk wyciągnął z papierośnicy, którą zamknął zaraz palcami lewej ręki, papierosa i włożył go do swych wąskich ust.

– Panie pułkowniku – bronił się żarliwie Greifer ciągle jeszcze starając się zachować dystans – byłem naprzód w komendanturze. Siedzi tam jakiś bałwan w stopniu kapitana i zgrywa się na marszałka polnego. Dysponuje pojazdami, ale nie chciał mi dać żadnego. Ponieważ nie miałem chęci zmusić go do tego...

– Czy zwrócił pan jego uwagę na nasze pełnomocnictwa specjalne?

– Tak, ale nie wywarło to na nim najmniejszego wrażenia. Te łobuzy są tutaj w przededniu wybuchu paniki. Próbowałem potem coś zarekwirować i natknąłem się przy tej okazji na jakiegoś podporucznika ze sztabu generała Luschkego.

– Luschke? – zapytał pułkownik usiłując wykrzesać ogień ze swojej zapalniczki.

– Tak jest – warknął Greifer z wściekłością. – Te łotry gromadzą ciężarówkę, opróżniają magazyny żywnościowe, zabawiają się w przedsiębiorstwo transportowe. Pewien kapral, niejaki Soeft...

– Czy ustalił pan, jak daleko zaszli Amerykanie?

– Mniej więcej przed godziną ich straże przednie znajdowały się w odległości trzydziestu kilometrów stąd.

– W takim razie już czas – powiedział Hauk i wstał. Zaciągnąwszy się głęboko papierosem, odrzucił go. Nakładając krótkimi, pewnymi ruchami rękawiczki ze świńskiej skóry, dał rozkaz: – Proszę przygotować wóz do drogi.

Greifer zerwał się i wyszedł. Zapuścił silnik samochodu pułkownika i przez chwilę przysłuchiwał się jego warkotowi. Potem podjechał przed główne wejście.

Hauk schodził po schodach pewien zwycięstwa, nie okazując jednak swego tryum-

fu; wybierał się na polowanie na lisa. Wsiadł do wozu i polecił Greiferowi: – Do komendy.

Greifer dał gazu, wóz ruszył przez rynek, minął kawiarnię Ascha i zatrzymał się przed komendą. Greifer wyskoczył z wozu i otworzył swemu pułkownikowi drzwiczki.

– Proszę iść przodem – powiedział pułkownik i ruszył za nim.

Greifer, którego rozpierał teraz duch przedsiębiorczości, ponieważ zdawało mu się, że wie, co nareszcie nastąpi, pobiegł przed pułkownikiem w stronę głównych drzwi. Otworzył je i przepuścił pułkownika Hauka. Otwierał tak wszystkie drzwi, aż dotarł do tych, które prowadziły wprost do pokoju komendanta.

Schulz, rozparty za swym biurkiem, spojrzał na pułkownika nieco przyćmionym wzrokiem. Kiedy się podniósł, zabrzęczały stojące pod jego biurkiem butelki od piwa. Wyprostował się, udało mu się utrzymać dobrą postawę.

Pułkownik Hauk, który posługiwał się teraz nazwiskiem Hochheim, stanął przed Schulzem i przyglądał mu się chłodno. Pod wpływem tego ostrego spojrzenia Schulz jak by tracił resztki swego niegdyś tak niezwykle solidnego samopoczucia. Milczenie pułkownika wydawało mu się rykiem.

Pułkownik oświadczył takim głosem, jak gdyby bez jakiegokolwiek zainteresowania odczytywał stan barometru: Dwie ciężarówki, czterech ludzi, natychmiast.

Kapitan Schulz otworzył powoli swe szerokie usta i wykrztusił z trudem: – Panie pułkowniku...

– Bez gadania – odpowiedział Hauk.

– Jeżeli pan nie zastosuje się natychmiast do rozkazu – uznał za odpowiednie zauważyć Greifer – postawimy pana przed sądem wojennym.

– Panie pułkowniku – rozpoczął Schulz ponownie – oczywiście spróbuję...

– Niech pan spróbuje – oświadczył Hauk lodowato.

– I niech się pan strzeże niepowodzenia – obwieścił Greifer. – Niechże pan już zaczyna! Będę pełnił funkcję pańskiego doradcy.

Schulz, głęboko poruszony, schylił się i ujął słuchawkę; podniósłszy ją do ucha znieruchomiał jak posąg. Spojrzał w stronę drzwi i zdawało mu się, że zobaczył w nich zjawę.

W drzwiach stał generał Luschke, niski, przysadzisty, z wysuniętą naprzód bulwiastą twarzą, podobną do wężącego psa. Przyglądał się obecnym nie bez zainteresowania. Z tyłu stał bombardier Stamm ze służbistą i wyczekującą miną. Po chwili Luschke ruszył naprzód i zbliżył się do nich.

Schulz zameldował automatycznie: – W komendanturze nic ważnego nie zaszło.

– Chciałbym wiedzieć – odparł Luschke – co by też musiało wydarzyć się w pańskim zasięgu, żeby pan zameldował, że zaszło coś specjalnego.

Greifer stał jak byk, który zobaczył czerwoną płachtę. Po chwili ręka jego podskoczyła do góry. Pułkownik Hauk zasalutował również. Absolutnie poprawnie, ale z

nico mniejszą sprężystością aniżeli Greifer. Przyglądał się Luschkemu badawczo, nie tracąc w najmniejszym choćby stopniu spokoju.

Schulz wyprostował się za swoim biurkiem i ryknął: – Postępowałem dokładnie według instrukcji pana generała.

– Czyżbym doznał zamroczenia umysłu? – zapytał Luschke. Gdy, jak można było oczekiwać, nie otrzymał odpowiedzi, dodał:

– Można tak przypuszczać, kiedy się widzi, co pan w moim imieniu narobił.

Kapitan Schulz, podobnie jak wszyscy sprawni żołnierze na ogół pełni optymizmu aż do gorzkiego końca, poczuł się głęboko dotknięty. Do tej chwili myślał o błędzie, o nieporozumieniu, o drobnych różnicach między rozkazem i wykonaniem rozkazu. Miał duże doświadczenie w służbie i wierzył, że to mu wskaże właściwą drogę. Drugoczące słowa generała podkopały grunt pod jego nogami.

– Robiłem – wykrztusił – to, co uważałem za swój obowiązek.

– To, co pan uważa za swój obowiązek – odparł Luschke bezlitośnie – jest w sytuacji, w którą wpakowaliśmy się, czystym idiotyzmem.

Hauk chrząknął z uznaniem. Schulz, który dotychczas wyglądał jak człowiek idący na dno z dzielną miną, teraz robił wrażenie pokornej owieczki. Generał zwrócił się do pułkownika.

– Hochheim – przedstawił się pułkownik Hauk. – Dowództwo Naczelne, Kwatera Führera. – Potem wskazał na Greifera i powiedział: – Mój adiutant, porucznik Grafenberg. Jesteśmy w drodze z poleceniem specjalnym.

– Naczelnego Dowództwa nie ma tutaj – oświadczył Luschke ze spokojem – nie ma tu również Kwatery Führera. Czyżby panowie zmylili marszrutę?

– Straciłem moje środki transportowe – oświadczył pułkownik Hauk. – Proszę o dostarczenie dwóch ciężarówek i eskorty.

– Prośba zostaje odrzucona.

– Czy wolno zwrócić uwagę pana generała, że mam do przetransportowania tajny materiał archiwalny.

– Może pan zwrócić na to uwagę, panie pułkowniku, ale to bezcelowe.

– Czy pan generał chciałby wziąć na siebie odpowiedzialność, gdyby...

– Panie pułkowniku – oświadczył twardo Luschke – jeżeli pan spali swoje akta, nie wpadną w ręce wroga. Mogę panu dać taką radę. Oto wszystko, co jestem w stanie uczynić dla pana.

– Czy pan generał jest gotów potwierdzić mi swoją decyzję na piśmie? – zapytał Hauk groźnym szeptem.

– To i wszystko, czego pan chce. Na przykład, że wojna jest na amen przegrana i to już od szeregu miesięcy. Wiedzą o tym nawet wazelinarze w Kwaterze Führera. To, że nie chcę poświęcić dla pańskich skrzyń z papierami nawet jednego żołnierza – nikogo tam nie wzruszy.

– Czy to ma znaczyć, panie generale, że rezygnuje pan z walki?

– Żołnierze moi i ja – warknął Luschke ochrypniętym głosem – nie będą już więcej walczyli w obronie pańskich skrzyń. Ale jeżeli pan koniecznie chce mieć tę swoją walkę, będzie ją pan miał! Schulz!

– Panie generale! – ryknął Schulz stając na baczność.

– Schulz, proszę wręczyć tym ludziom wszystko, czego potrzebują dla zaspokojenia swego wojowniczego ducha: pięści pancerne, ładunki materiałów wybuchowych, amunicję, miny. A później niech sobie idą tam, gdzie jest ich miejsce – przed paszczę amerykańskich czołgów.

Amerykanie nadciągają! – zawołał stary Asch. Wbiegł po schodach do swego prywatnego mieszkania, otworzył drzwi. – Amerykanie nadciągają!

– Sprowadź ich tutaj – powiedział ze spokojem podporucznik Asch – oczywiście, o ile mają whisky.

Sapiąc jak miech kowalski stary Asch usiadł przy stole i zaczął się wachlować śnieżnobiałą chustką do nosa. – Mamy najwyżej godzinę.

– W ciągu godziny wiele może się wydarzyć – rzekł podporucznik Asch siedząc obok Barbary. – Podobno w ciągu godziny spalono w piecach Oświęcimia siedmiuset trzydziestu ludzi, w ciągu godziny pewna kobieta została piętnaście razy zgwałcona, w ciągu godziny moja bateria oddała kiedyś dwieście czterdzieści strzałów.

– I w ciągu godziny – powiedział stary Asch – możesz bez trudu wskazać nowe kwatery swoim żołnierzom, którzy się rozlokowali w mojej kawiarni.

– Ojczy – odparł podporucznik Asch – przecież to wszystko jedno, czy pójdą do niewoli tu, czy też gdzie indziej. Dlaczegoż więc mają się przenosić?

– Amerykanie przeszukają mój dom!

– Zrobią to i tak, więc lepiej, żebyśmy im dali do tego powód.

– Doprowadzasz mnie do ruiny – jęknął stary Asch.

– Oczywiście. Bo przecież wojna, która tu zdycha, jest moją wojną. Ja ją zacząłem, ja się nią entuzjasmowałem, ja czułem się w niej jak ryba w wodzie.

– Wszystko to przeminie – pocieszała Barbara. – Nic nie jest wieczne. Wkrótce otworzy pan znowu swoją kawiarnię, chętnie pomogę panu przy tym.

– Właśnie takiej jak pani mi tu brakowało – odparł kąśliwie stary Asch.

– Jeszcze jak! – zawołał Herbert Asch. – Twoi nowi klienci będą się składać z amerykańskich żołnierzy. Wiele się przez to w kawiarni nie zmieni. Będzie się tylko rozlegać inny język, ale wymagania pozostaną mniej więcej te same. A wszyscy żołnierze bez względu na mundur lubią miłe i powolne ich życzeniom dziewczęta.

– Czy wcale ci nie wstyd? – zapytał zmartwiony stary Asch.

– Jestem przecież twoim synem – odparł Herbert Asch. Wedelmann i żona jego Magda zajrzeli do pokoju. Wyglądali na młodą parę, która ma zamiar wyruszyć w pierwszą podróż i nie wie, jak się do tego zabrać. Stanęli w drzwiach. – Czy możemy się pożegnać?

– Dokąd się państwo udają? – zapytał stary Asch.

– Dokądkolwiek. Nie chcemy panu być ciężarem. Tyle pan już dla nas zrobił. Kiedy przyjdą Amerykanie...

– Nie wiedzą państwo, co ze sobą począć?

– Już coś znajdziemy – zapewnił Wedelmann. – Dziękujemy panu bardzo za gościnę, mamy nadzieję, że kiedyś będziemy mogli się zrewanżować, ale teraz nie możemy narażać pana.

– Oczywiście zostaniecie państwo tutaj! – powiedział stary Asch impulsywnie.

– Nie zapominaj – zawołał rozbawiony Herbert Asch – że jesteś człowiekiem interesu!

– Pan Wedelmann to cywil – bronił się stary – a dla cywilów dom mój zawsze stoi otworem.

– Dziękuję – powiedziała czule Magda i wyciągnęła do niego rękę, co go wprowadziło w wielkie zakłopotanie.

– Ale musi się pan również zachowywać jak cywil – oświadczył surowo stary.

– Ależ oczywiście.

– Miejmy nadzieję – wtrącił Herbert. – Miejmy nadzieję, panie Wedelmann, że przetrzyma pan i to. Szansę pańskie są jednak raczej pomyślne. Jeszcze parę godzin i nie będzie już pan miał żadnej pokusy.

– A ty, mój synu? – zapytał stary Asch, – Czy nie uważasz za stosowne przebrać się?

– Wcale mi z tym nie spieszo. Dopóki wegetują tu jeszcze niedobitki wielkoniemieckiego Wehrmachtu, muszę bronić moich żołnierzy przed każdą próbą napaści, a mogę to robić tylko w mundurze.

– Poza tym bardzo ci w mundurze do twarzy – zawołała spontanicznie Barbara.

– Żebyś mnie zobaczyła w kostiumie kąpielowym, moje dziecko! Generał to mucha wobec mnie.

– Wyobrażam to sobie – powiedziała Barbara.

Na schodach rozległ się hałas. Zadźwięczały wesoło podkucia butów, rozległy się donośne, nawołujące się głosy.

– To może być tylko Kowalski – oświadczył melancholijnie stary Asch. – Odkąd ma wytrych, nie jestem pewien swego życia.

Istotnie do pokoju wpadł Kowalski, a za nim wsunął się z uprzejmym uśmiechem kapral Soeft. Wyglądali tak, jak gdyby przed chwilą sami, bez niczyjej pomocy, osiągnęli ostateczne zwycięstwo.

– Dzieci! – zawołał Kowalski. – Nareszcie dopięliśmy swego.

– A mnie jeszcze w ostatniej chwili udało się zrobić dobry interes – oświadczył Soeft.

– Ale nie w moim domu! – zawołał stary Asch ostrzegawczym tonem.

– To dla mnie niewarte zachodu – powiedział Soeft protekcjonalnie. – Dom, którym zawładnąłem, ma osiemdziesiąt łóżek, z tego trzydzieści dwa puste.

– To podobne do ciebie – powiedział podporucznik Asch.

– A więc, ludzie! – zawołał Soeft. – Nie jestem drobiazgowy. Kto się jeszcze nie ulokował, ma tu okazję. Jazda do mojego szpitala!

– Może pań umieścić jeszcze dwunastu żołnierzy? Tylko dwunastu? – zapytał stary Asch, który nagle wyraźnie się ożywił.

– Jeżeli zechcę, nie dwunastu, ale całe trzy tuziny. A chcę, mogę sobie na ten luksus pozwolić.

– Postaraj się trzeźwo patrzeć na tę sprawę, Soeft – powiedział podporucznik Asch. – Przecież na ogół łatwo ci to przychodzi.

– Ogarnął go szal zwycięstwa – oświadczył Kowalski ze zrozumieniem. – Zawsze tak u niego bywało – kiedy miał wszystkiego w bród, zdradzał koleżeńskie instynkty.

– A więc dobrze – powiedział Soeft – bądźmy trzeźwi. Potrzeba mi było gwałtownie kwatery pierwszej klasy dla kilku kamratów. Nie śmieć się tak głupkowato, Kowalski! Kiedy przejeżdżałem obok szpitala, przyszedł mi do głowy dobry pomysł. Pogadałem z naczelnym lekarzem i porozumieliśmy się w mgnieniu oka. Kowalski dostarczył mu towarów, a w zamian za to stoją teraz do naszej dyspozycji wszystkie puste łóżka. Zrozumiano? Kto tam będzie leżał, uważany jest za chorego i na razie nie pomaszeruje do obozu jeńców.

– Niezły pomysł – oświadczył podporucznik Asch po krótkim namyśle. – To zawsze lepsze niż wylegiwanie się w restauracji na podłodze. Przekażę więc moich ludzi do twego szpitala, Soeft.

– Możesz to zrobić – odparł Soeft z miną i gestami kalifa z Bagdadu.

– Pan także uda się do szpitala, panie Kowalski? – zapytał stary Asch z odrobiną nadziei w głosie.

– Nie, ja zostanę oczywiście u pana – odparł tamten z rozbijającą prostotą.

– To zupełnie wykluczone – oświadczył stary Asch. – W moim domu uznaję tylko cywilów.

– Jestem cywilem – obwieścił wyniośle Kowalski. – Z zawodu geometrą.

– Można pęknąć ze śmiechu! – zawołał stary Asch ze śmiertelnie poważną miną. – Przecież nie może pan oświadczyć po prostu, że jest pan geometrą. Nikt w to nie uwierzy. A chyba nie ma pan papierów?

Kowalski sięgnął z uśmiechem do kieszeni. – Jeszcze jakie – oświadczył wznosząc w górę plik dokumentów. – Nazywam się mianowicie od teraz Brahm.

– Jak się nazywasz? – zapytał zdumiony podporucznik Asch, a Barbara chwyciła go odruchowo za rękę.

– Brahm – powtórzył nic nie przeczuwający Kowalski. Nie podoba ci się może?

– Skąd masz te papiery?

– Znalazłem przy zwłokach pewnego płatnika.

– Gdzie leżały te zwłoki?

– Co się z tobą dzieje? – zapytał zdumiony Kowalski. – Zwariowałaś?
– Człowieku, chcę wiedzieć, gdzie znalazłeś tego trupa.
– Soeft! – zawołał Kowalski – jedno miejsce w twoim szpitalu dla podporucznika Ascha! Ale separatka!

Podporucznik Asch był poruszony do żywego. Uchwycił mocno Kowalskiego i krzyknął: – Odpowiedz mi nareszcie na moje pytanie!

– W lasku miejskim – powiedział Kowalski wyzwalając się nie bez trudu z uścisku jego rąk. – Zabili go wczoraj w nocy.

– Opowiedz mi wszystko, co ci o tym wiadomo! Wszystko! Przyparty do muru przez Ascha, Kowalski zaczął opowiadać starając się mówić krótko, rzeczowo i możliwie wyczerpująco. Zanim jeszcze zdążył skończyć, podporucznik Asch zapiął bluzę, opasał się pasem i nałożył na głowę czapkę.

– Dokąd idziesz? – zapytał z przerażeniem stary Asch.

– Muszę jeszcze to załatwić – odparł podporucznik Asch twardym głosem. Dopiero wtedy wojna będzie zakończona i dla mnie.

Pułkownik Hauk i porucznik Greifer, wysmukły posąg i jego rozłożysty cień, stali na klatce schodowej komendantury, blisko okna, ale unikali spoglądania na rynek. Rysujący się przed ich oczyma obraz żałosnego zamieszania wzbudzał w nich odrazę.

– Co teraz? – zapytał Greifer w bezsilnej furii.

Hauk spojrział przelotnie na pamiątkowe tablice z miedzi: „Poległym w wielkiej wojnie” – chodziło tu o pierwszą wojnę światową. Z dębowych ram zwisały zwiędłe liście, trochę podobne do wawrzynu. Pułkownik patrzył na ciemnobrązowy chodnik pod swymi nogami, wydawało się, że liczy jego wyblakłe kwadraty.

– Przecież nie możemy po prostu zrezygnować ze wszystkiego! – mruknął Greifer.

– Nie było o tym jeszcze mowy – sprostował Hauk cichym, syczącym głosem.

– Miejmy nadzieję, że tymczasem nikt nie rozlokował się w naszej kwaterze. Greifer miętosił skórzane rękawiczki, zdawało się, że je rozedrze na strzępy. Jego kości policzkowe rysowały się z niezwykłą ostrością, podbródek był silnie wysunięty.

– Pozostawienie składu bez ochrony – powiedział Greifer – graniczy niemal z lekomyślnością.

– To niech go pan ochrania! – oświadczył Hauk z miną bardziej jeszcze nieprzeknikną niż zazwyczaj.

– Jak mam to rozumieć, panie pułkowniku?

– Mamy niewiele czasu powiedział Hauk i kilkakrotnie uderzył swymi skórzanyymi rękawiczkami o spodnie. – Podzielimy się ostatnią robotą. Uda się pan najkrótszą drogą do, naszej kwatery, tam zajmie się pan załadowaniem. Proszę się liczyć z trzema ewentualnościami: albo załaduje pan cały materiał na dwie ciężarówki, albo cenniejszą połowę na jedną, albo też to, co najcenniejsze, do naszego samochodu osobowego.

– Rozumiem – rzekł Greifer. – Tymczasem pan pułkownik osobiście...

– Zobaczę, co się da zrobić. Proszę na mnie czekać, przyjdę wkrótce. Mój wóz osobowy będzie mi potrzebny.

– Bardzo proszę – powiedział Greifer, wyłowił z kieszeni spodni klucz od samochodu i wręczył go pułkownikowi. Potem oddalił się pełną parą, w tempie lokomotywy.

Pułkownik Hauk nie ruszał się na razie z miejsca. Dwaj przechodzący obok niego żołnierze zasalutowali. Nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Miało się wrażenie, że odczytuje nazwiska na tablicy pamiątkowej; ale nie odczytywał ich – patrzył w dal i rozmyślał.

Po chwili podszedł niemal machinalnie do okna i spojrzął w dół, na rynek. Panował tam chaos. Zobaczył żołnierzy bez broni, cywilów z paczkami, opuszczone i obrabowane ciężarówki. Na straszliwie brudnym rynku pełno było papierów i kawałków drzewa.

Przed ratuszem tłoczył się tłum. Żołnierze demolowali ciężarówki, wyrzucali na ziemię skrzynie i worki. Rzucali się na to ludzie z koszykami i torbami, dzbanami i butelkami, łopatami i kilofami, otwierali skrzynie, rozcinali worki, rozbijali kanistry. Oliwa zmieszała się z cukrem, ryż pływał w wódce, do rynsztoków ulicznych ściekał złocisty miód.

Jedna wielka orgia – chciwość, głód, żądza zaopatrzenia się w co się tylko da! Upiorna wyprzedaż wielkoniemieckiego Wehrmachtu! Plądrowanie Rzeszy.

Pułkownik Hauk przyglądał się temu obrazowi z taką miną, jak gdyby patrzył na niezbyt interesujący album ze znaczkami pocztowymi.

Po chwili dostrzegł człowieka przepychającego się gwałtownie przez ciżbę w kierunku komendy. Był to podporucznik artylerii. Hauk poznał go; wiedział, że nazywa się Asch.

I jemu przyglądał się z takim samym brakiem zainteresowania, jak gdyby wertował album ze znaczkami.

Potem odwrócił się od okna, rozejrzał badawczo i znowu ruszył po schodach prowadzących na górę. W pewnej chwili zatrzymał się tuż przed drzwiami komendy, zboczył w lewo i zniknął za drzwiami, na których widniały dwa zera. Nie zamknął za sobą drzwi.

Porucznik Asch minął pędem te drzwi i wpadł do przedpokoju komendantury. Po krótkiej chwili pojawił się znowu w towarzystwie bombardiera Stamma, do którego powiedział: – Ulica Hindenburga 13. – Po raz drugi przebiegł obok na pół otwartych drzwi.

Hauk przeczekał parę minut, po czym opanowany jak zwykle, kręcąc tylko lekko nosem z powodu straszliwych zapachów toalety, wszedł znowu na schody, przyśpieszył nieco kroku i znalazłszy się po chwili w swoim wozie ruszył w gwałtownym tempie. Zatoczył niewielki łuk, stojący dokoła ludzie rozpierzchli się. Nie skierował

się jednak w stronę ulicy Hindenburga, przeciwnie, ruszył w kierunku, z którego nadchodził nieprzyjaciel.

Szosa była prawie pusta; domy jak gdyby się rozstały, a ludzie poukrywali. Natknął się na ludzi z Volkssturmu, którzy odskoczyli na bok. Po upływie krótkiego czasu zbliżył się do zapory przeciwczołgowej 4 Zachód.

W odległości jakichś pięćdziesięciu metrów stał junak hitlerowski i wymachiwał czerwoną chorągwią. Hauk zatrzymał gwałtownie wóz tuż przed nim. Chłopak zawołał: – Baczność, strefa niebezpieczeństwa!

– Z drogi! – powiedział Hauk takim tonem, jak gdyby robił wyrzuty mikserowi w barze za to, że mu dolał do whisky za dużo wody sodowej.

Junak hitlerowski cofnął się, stanął na baczność i zasalutował. Hauk dotknął rękawiczką czapki i ruszył w kierunku zapory. Tu wylazł z rowu jakiś członek Volkssturmu, przycwałował do Hauka i zaczął szykować się do meldunku.

– To zbyteczne – powiedział Hauk. – Każcie usunąć tę zaporę.

Bawiący się w żołnierkę reprezentant Volkssturmu zawołał: – Niech mi wolno będzie zwrócić uwagę pana pułkownika...

– Nie marnujmy czasu – rzekł Hauk i spojrzał w kierunku pola, na którego horyzoncie rysowały się sylwetki czołgów amerykańskich.

Volkssturmwiec stał jeszcze chwilę na szosie z bezradną miną. Potem wezwał kolegów i kazał im odsunąć belki. Zaczęli kłać i narzekać, procedura usuwania trwała prawie dziesięć minut. Przez cały ten czas pułkownik siedział za kierownicą jak manekin. Raz tylko po jakichś siedmiu minutach odwrócił się wolnym ruchem. Ale szosa, którą przejechał, była pusta.

Po usunięciu zapory pułkownik, który nie wyłączył silnika, dał gazu i ruszył.

– Ma, szelma, odwagę! – oświadczył jeden ze spóźnionych wojowników nie bez respektu.

Pułkownik jechał naprzód dopóty, dopóki amerykańskie czołgi nie zarysowały się przed nim zupełnie wyraźnie. Wtedy zatrzymał się przed jakimś krzakiem, wyskoczył z wozu, nie wyłączając silnika zdjął proporczyk dowództwa i wywiesił na jego miejscu białą chustkę.

Wóz potoczył się powoli dalej. Zbliżające się czołgi amerykańskie skierowały nań swe lufy. Towarzyszący im piechurzy ukryli się za olbrzymim kolosem ze stali.

W pewnej chwili silnik ucichł, Hauk wysiadł z samochodu i ruszył w stronę Amerykanów. Stanąwszy naprzeciw jakiegoś oficera przyłożył rękę do czapki i oświadczył: – Poddaję się. – Wypowiedział te słowa takim tonem, jak gdyby dowiadywał się w kasynie, czy masło jest naprawdę świeże.

Oficer amerykański, dla którego ta postawa, jak mu się zdawało, była niewątpliwym wcieleniem ducha pruskiego, również przyłożył rękę do czapki. Stali naprzeciw siebie z minami niemal uroczystymi. Wydawało się, że tylko czekają, by to spotkanie uwiecznił pędzel malarza.

Większość żołnierzy amerykańskich zdawała sobie w pełni sprawę z doniosłości tej wielkiej chwili. Wierzyli, że zetknęli się z uosobieniem ducha żołnierskiego, i uważali, że się wzbogacili o jedno wzniosłe przeżycie.

– Czy mogę prosić pana pułkownika o jego broń? – zapytał rycerskim tonem oficer amerykański.

Pułkownik Hauk zastosował się do tej prośby.

Miasto czekało na Amerykanów. Wszędzie były przygotowane białe chorągwie – jedne formatu chustki do nosa, inne rozmiarów prześcieradła. Ulice pustoszały coraz bardziej. Dzieciaki spoglądały ciekawie zza firanek.

Większość członków Volkssturmu powróciła do życia prywatnego. Ci, których nie można już było zawiadomić, wśród nich odkomenderowani do zapór numer 3, 4 i 5, przygotowali się do ustąpienia przed olbrzymią przewagą wroga. Kapitan Schulz obwieścił, że zamierza udać się na front.

Podporucznik Brack i bombardier Kowalski rozminowali most kolejowy, rozdzielwszy przedtem między ludność cywilną i żołnierzy bez przydziału całą zawartość magazynów. Kapral Soeft przeprowadził inspekcje swego szpitala stwierdzając z wielkim zadowoleniem, że łóżko w jego separacie jest bez zarzutu, a młoda pielęgniarka skłonna do wszelkich usług.

Ortsgruppenleiter, przebrany w skromne ubranie cywilne, spalił dwadzieścia osiem egzemplarzy „Mein Kampf” Hitlera, wśród nich trzynaście egzemplarzy oprawionych w skórę. Łkał cicho i samotnie. Jego druga żona – pierwsza okazała się w owych pełnych chwały dniach objęcia władzy niegodną tak wysokiego dygnitarza – wymyślała mu od ostatnich idiotów.

Dozorca więzienia Krawattke zrobił inwentarz i przygotował wielostronicowy protokół zdawczy. Włożył swój najlepszy mundur, postanowił sobie bowiem powitać zwycięzców przed bramą i uroczyście wręczyć im klucze. Przedtem już zaopatrzył swego ulubionego więźnia, starego Freitagę, w dwa dodatkowe wełniane koce, podwójną rację chleba i przenośny klozecik-kibel z pokrywą.

Generał-major Luschke zniszczył w obecności swego szefa sztabu ostatnie tajne akta. Lora Schulz studiowała pilnie podane w encyklopedii wiadomości o Ameryce. A stary Asch przy czynnej pomocy małżeństwa Wedelmann pakował swe najcenniejsze towary do najodleglejszego kąta piwnicy.

Zaczęło się ściemniać. Miasto robiło wrażenie opustoszałego, ale w domach było gwarno i ruchliwie. Przez ulice toczył się jeszcze tylko jeden jedyny samochód. Siedzieli w nim podporucznik Asch i bombardier Stamm, z tyłu zaś leżał skulony porucznik Greifer jęcząc i klnąc straszliwie. Obiema rękami trzymał się kurczowo za lewą nogę, z której sączyła się krew. Asch skierował wóz w stronę koszar artylerii.

Z oddali dochodził huk silników. Pojedyncze głucho detonacje przerywały raz po raz warkot czołgów. Ale Amerykanie jeszcze się nie zjawiali.

Panie generale – powiedział podporucznik Asch popychając przed sobą Greifera – jedną świnie już mamy. Siedzący za biurkiem Luschke spojrzął przelotnie na swego szefa sztabu, potem rzucił okiem na Greifera, który leżał na dywanie krzywiąc się z bólu. Skierowawszy z kolei wzrok na podporucznika Ascha, zapytał go po długiej chwili milczenia:

- Czy ten człowiek jest ciężko ranny?
- Nic wielkiego, panie generale, łydka lekko draśnięta.
- Nałożyć opatrunek – polecił generał.

Greifera wywleczono. Jęczał i kłął. Asch zawołał do tych, którzy go wlekli: – Uważajcie, żeby się wam ta świnia nie wymknęła.

– Podporuczniku Asch – powiedział generał-major Luschke, kiedy zostali we trójkę – co to ma znaczyć?

– Ten człowiek jest pomocnikiem morderców i sam jest mordercą.

– Panie podporuczniku Asch – rzekł szef sztabu uważając, że wobec milczenia generała winien wmieszać się do sprawy – nie mamy czasu do stracenia. W każdej chwili mogą tu być Amerykanie.

– Tym bardziej musimy się spieszyć – upierał się Asch.

– Człowieku – powiedział szef sztabu – czego pan właściwie od nas żąda?

– Pokój nie powinien być ratunkiem dla morderców. Czy to jest dziwne żądanie?

– Słuchajcie, Asch – powiedział szef sztabu – jeżeli ma pan dowody, że ten człowiek jest mordercą, to dlaczego nie załatwiliście się z nim sami. Po coście go przywlekli do nas?

– Bo zamordowanie mordercy nie jest wyjściem z sytuacji, musi być osądzony.

– Ale przecież chyba nie przez nas! Teraz już nie. Skończyliśmy ze wszystkim.

– Panie generale – domagał się energicznie podporucznik Asch – żądam zadośćuczynienia za zabitych, bezmyślnie rzuconych na pastwę śmierci żołnierzy, za rannych i za zamordowanych bestialsko i z premedytacją. Żądam sądu doraźnego nad porucznikiem Greiferem.

Szef sztabu zrobił zrezygnowany ruch ręką. Luschke siedział na krześle skulony; splótł ręce, w jego lekko zmrużonych oczach czaił się chłód. Podporucznik Asch spoglądał na generała niemal wyzywająco.

– Niech pan opowiada – powiedział Luschke. Podporucznik Asch opowiedział pokrótce, co przeżył, co mu było wiadomo. Przedłożył dowody. Próbował umotywić swoje przypuszczenia. W dalszym ciągu domagał się sądu wojennego.

– Jeżeli jest to zgodne z prawdą choćby częściowo... – Luschke nie dokończył rozpoczętego zdania. Chude ramiona opadły jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Spoglądał na Ascha jasnym, badawczym wzrokiem. Potem powiedział do szefa sztabu: – Niech pan szuka Bracka i Kowalskiego, proszę użyć do tego wszystkich wolnych żołnierzy. Niech pan weźmie również tych, których się domaga Asch.

– Ależ panie generale... – zawołał przerażony szef sztabu.

– Gdyby ta decyzja miała obciążać pańskie sumienie – oświadczył Luschke z całym spokojem – może pan oczywiście uważać się za zwolnionego.

– Zostaję tutaj – oświadczył szef sztabu i zabrał się do wydawania rozkazów. Wydawał je w sąsiednim pokoju z tą samą niezachwianą rzeczowością, z jaką to czynił od pierwszych dni wojny. Jak gdyby to miało trwać wiecznie.

– Podporuczniku Asch – powiedział generał – popłynęło wiele krwi. Czy to się nigdy nie skończy?

– Panie generale – odparł podporucznik – żołnierze, dla których żądam zadośćuczynienia, nie padli w walce, lecz zostali zamordowani. Czyżby mordercy mieli pozostać przy życiu?

– Ma pan tylko jednego z nich.

– Lepszy jeden niż żaden!

– Podporuczniku Asch – zapytał generał z ledwie dostrzegalnym uśmiechem – kto u diabła nauczył pana tego niebezpiecznego uporu?

– Pan, panie generale – odrzekł podporucznik Asch. Obydwaj uśmiechnęli się do siebie z nieznaczną ironią i niewątpliwym zrozumieniem.

W jakieś trzydzieści minut później rozpoczęła się rozprawa. Doprowadzony został porucznik Greifer, któremu już zdążono nałożyć opatrunek. Kazano mu usiąść na krześle pośrodku pokoju.

Szef sztabu stanął obok siedzącego przy stole generała. Okna były zaciemnione, lampka pod sufitem rzucała skąpe światło. Wezwani żołnierze utworzyli półkole.

– Otwieram – zaczął z pewnym pośpiechem, ale z zachowaniem tonu rzeczowego szef sztabu – rozprawę przed sądem wojennym przeciw porucznikowi Greiferowi. Przewodniczący sądu: generał-major Luschke. Pierwszy ławnik i zarazem protokolant: ja sam, major Horn, szef sztabu dywizji generał-majora Luschke. Drugi ławnik: porucznik Nowak z komendy garnizonu. Oskarżyciel: podporucznik Asch. Obrońca oskarżonego: podporucznik Brack. Świadkowie: bombardier Kowalski, bombardier Stamm, panna Barbara Brucks. Oskarżeni: pułkownik Hauk, nieobecny; porucznik Greifer. Treść oskarżenia: nadużycie władzy z motywów osobistych – ponad dwudziestu zabitych. Poza tym: dwukrotny mord z premedytacją. Co oskarżony ma do powiedzenia?

– Wszystko to nie jest warte funta kłaków! powiedział czelnie i zaczepnie Greifer. Odzyskał tupet, nie odczuwał bólów, wiedział, że chodzi tutaj o gardło, o to, żeby pozostać przy życiu! Uświadomił sobie, że trzeba za wszelką cenę zyskać na czasie. Amerykanie muszą się wkrótce zjawić, będą tu lada chwila, tęsknił po prostu za tym, żeby się tak stało. A poza tym miał jeszcze tyle czelności, by uważać całą sytuację za niewiarygodnie śmieszłą. – Wszystko to nie jest warte funta kłaków – powtórzył.

– Muszę prosić jak najbardziej stanowczo – powiedział major Horn starając się nie tracić opanowania – o posługiwanie się innym tonem.

– Dlaczegoż to? – zapytał grubiańsko Greifer. – To, co się tutaj rozgrywa, jest w

moich oczach małpią błazenadą. Między innymi protestuję przeciwko temu, żeby pozwolono oficerskiej dziwce zeznawać przeciwko mnie.

– Jeszcze jedno słowo w tym rodzaju – powiedział Horn – a będziemy prowadzili rozprawę bez pana.

Greifer zamilkł, zorientował się od razu, że to sprawa niebezpieczna. Rozprawa bez niego byłaby równoznaczna z rozprawą krótką, a potrzebował czasu, i to możliwie jak najwięcej. Temu błazeńskiemu widowisku muszą położyć kres wkraczający Amerykanie, pod żadnym pozorem nie może się ono zakończyć wyrokiem tego, pożałuj Boże, sądu.

– Protestuję – powiedział Greifer – przeciwko temu postępowaniu doraźnemu. Samo wszczęcie tego postępowania jest sprzeczne z przepisami, poza tym zwracam uwagę na to, że występowanie oskarżyciela również i w roli świadka to czysty nonsens.

– Odrzucam ten protest – oświadczył Horn porozumiewając się przedtem wzrokiem z generałem Luschkem. – Okoliczności specjalne pozwalają nam odstąpić od obowiązujących przepisów. Podporuczniku Asch, niech pan zaczyna.

Asch oświadczył twardo i ostro: – Pułkownik Hauk, któremu towarzyszył porucznik Greifer, przejął z własnej decyzji władzę nad rozproszonymi, okrążonymi oddziałami wojskowymi, uformował je na nowo i informując je świadomie fałszywie rzucił na wroga.

– Co to mnie obchodzi?! – zawołał Greifer. – Od kiedy to porucznik jest odpowiedzialny za rozkazy pułkownika?

– Oddziałom, których zadaniem było przedrzeć się przez linię wroga, udzielił pan świadomie fałszywych informacji o wsparciu ogniowym, o stanie zaopatrzenia oraz stanowiskach nieprzyjaciela.

– Nie może pan tego udowodnić! – zawołał Greifer triumfalnie.

– Mogę na to przysiąc – powiedział Asch.

– Należy wziąć pod uwagę – wtrącił podporucznik Brack jako obrońca oskarżonego – że siłą rzeczy taka kłopotliwa sytuacja nie wyklucza możliwości mylnej informacji.

– Można się pomylić raz, nawet dwa, ale nie dziesięć razy. Oddział, który miał dokonać wyłomu, otrzymał od porucznika Greifera szereg danych z gruntu fałszywych. Między innymi zapowiedziane zostało wsparcie ataku przez działa piechoty, a tymczasem żadnych dział piechoty nie było. W najlepszym wypadku istniała możliwość dotarcia do skrzyżowania, ale utrzymanie go było wręcz niemożliwe.

– Jedno pytanie – przerwał Horn. – Czy dowódca oddziału, który miał dokonać wyłomu, byłby się zorientował w bezcelowości swojej akcji, gdyby znał prawdę?

– Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości – oświadczył podporucznik Asch. – Pan major Hinrichsen z pewnością nie stanąłby na czele akcji, gdyby znał dokładnie sytuację. Oparłby się z pewnością pozbawionemu sensu przelewowi krwi. A tymcza-

sem musiało zginąć ponad dwudziestu żołnierzy, żeby tylko pułkownik Hauk i porucznik Greifer mieli szansę dotarcia do swoich skrzyń z żarciem.

– Protestuję! – ryknął Greifer. – Po pierwsze, liczby nie pochodziły ode mnie, lecz wyłącznie od pułkownika Hauka, podawałem je tylko dalej. Nie ma również mowy o żadnych skrzyniach z żarciem.

– Na ten temat może złożyć zeznania bombardier Kowalski.

Kowalski wysunął się naprzód. – Mogę zaświadczyć – oznajmił z szerokim gestem – że porucznik Greifer osobiście obszedł pododdziały w lasku. Liczby pochodzą więc z pewnością tylko od niego. A jeżeli nawet pułkownik sam podał fałszywe liczby, to ten oto pan stał obok nie mrugnawszy powieką.

– Może się przesłyszałem – powiedział Greifer z wymuszonym uśmiechem.

– A co się tyczy skrzyń – ciągnął Kowalski – to były bez wyjątku skrzynie z żarciem. Przejąłem je i rozdzieliłem ich zawartość między ludzi.

Zabrał głos podporucznik Brack. – Bombardierze Kowalski, dwa pytania. Pierwsze: Czy istnieje możliwość, że oskarżeni Hauk i Greifer istotnie przekroczyli odebrane nieprzyjacielowi skrzyżowanie tylko po to, by sprowadzić posiłki? Drugie: Czy istnieje możliwość, że poszczególne skrzynie zawierały coś poza żywnością, na przykład akta?

– Czy otrzymaliśmy posiłki? – zapytał Kowalski. – Czy akta można wychłać?

– Protestuję raz jeszcze! – zawołał Greifer. – Próbowaliśmy zmobilizować posiłki, ale to się nam nie udało. Mieliśmy w naszych skrzyniach tajne papiery, ale były ukryte.

– Wśród butelek z wódką? – zapytał Kowalski z szyderczym uśmiechem.

Major Horn spojrział na Luschkego, generał kiwnął głową.

– Przejdźmy do następnego punktu – powiedział major. Nagle w kiepsko oświetlonym pokoju zapanowała całkowita cisza. Huk silników zdawał się przybliżyć. Głośna detonacja z odległości kilku kilometrów dotarła do uszu obecnych. Zadzźwięczała lekko jedna z szyb w oknie.

– Dalej! – zawołał niecierpliwie Horn.

– Punkt następny – powiedział podporucznik Asch to zamordowanie pani Willrich.

– Gdzie są zwłoki? – zapytał Greifer szyderczo. – Gdzie jest sporządzony przez lekarza akt zgonu? Takie rzeczy są przy zgodnym z ustawami postępowaniu sądowym nieodzowne, ale wydaje się, że panowie o tym wszystkim nic nie wiedzą. Są to grube usterki formalne. Jedna jedyna wystarczy, by wyrok uczynić nieważnym. To wszystko winien pan wziąć pod uwagę.

– Biorę jedynie pod uwagę fakt – powiedział Horn – że jest pan zorientowany dosyć dokładnie w formalnościach wojskowego wymiaru sprawiedliwości. Ciekawe, skąd pan o tym tak dobrze wie?

– Niech pan zgadnie! – zawołał Greifer.

- Czy stawał pan kiedyś przed sądem, czy też sprawował pan funkcję sędziego?
- Na razie stoję przed klubem kręglarzy, który, zdaje się, nie wie, że zbliża się inny klub i ma święty zamiar posłużyć się kręgielnią.
- Podporuczniku Asch, co panu wiadomo o sprawie Willrichowej? – zapytał major Horn.
- Znaleziono ją zamordowaną we własnym mieszkaniu.
- Nie znam żadnej pani Willrich – oświadczył Greifer. – Niech mi pan udowodni, że tak nie jest, podporuczniku Asch.
- Zrobi to świadek Barbara Brucks – rzekł Asch.
- Świadek! – zawołał Greifer i ironiczny uśmiech wykrzywił mu gębę. – Ta dama nie może świadczyć ani za, ani przeciw. W ogóle nie może być świadkiem!
- Przyjmuję – oświadczył obrońca podporucznik Brack – iż oskarżony chce zaznaczyć, że nie uważa Barbary Brucks za godną występowania w roli świadka. Należy zwrócić uwagę, że również cywilny kodeks karny...
- Dziękuję za pouczenie, panie podporuczniku – rzekł Horn.
- To zbyt cenne. Proszę, panno Brucks.
- Barbara wystąpiła naprzód chwiejnym krokiem, jak gdyby wchodziła na lodowisko. Spojrzała na Ascha, który kiwnął w jej stronę głową. Po chwili oświadczyła: – W rozmowach między pułkownikiem Haukiem i porucznikiem Greiferem, które przypadkowo miałam, okazję słyszeć...
- Przypadkowo! – zawołał Greifer. – Ta dziwka podsłuchiwała, podpatrywała przez dziurkę od klucza! Jest wściekła, że się ją spławiło, a spławiliśmy ją, bo to przecież dziwka. I ta parszywa kocica, którąśmy przepędzili na cztery wiatry, ma teraz oczerniać oficerów! To jest nie do pomyślenia w żadnym sądzie na świecie!
- Stul pysk, ty świni! – zawołał Asch z dziką furją.
- Proszę nie prowadzić prywatnych rozmówek – powiedział Horn sarkastycznie. – Głos ma panna Barbara Brucks.
- W rozmowach, które miałam okazję słyszeć – ciągnęła w szybkim tempie Barbara Brucks – padało wielokrotnie nazwisko Willrich oraz wymieniana była nazwa miejscowości, w której pani Willrich mieszkała. I to w bezpośrednim związku z płatnikiem Brahmem i zdeponowanymi skrzyniami.
- Zdeponowane skrzynie – określenie jest bardzo charakterystyczne – zauważył Horn. I widząc, że Greifer otwiera usta, przestrzegł go: – Proszę nie przerywać zeznania, w przeciwnym razie każę pana wyprowadzić. Niech pani mówi dalej, panno Brucks.
- Wobec ociągania się Barbary odezwał się podporucznik Asch:
- Wreszcie znaleźliśmy ten dom, a w nim trupa pani Willrich.
- Może pan tego trupa sam spreparował?! – zawołał Greifer.
- Sąsiedzi mogą zaświadczyć, że kilka godzin przed naszym zjawieniem się byli w tym domu Hauk i Greifer.

– Czy sąsiedzi ci. są tu obecni? – zapytał Greifer. – Czy istnieje protokół ich zeznań podpisany przez osobę urzędową? Przyjmijmy jednak, że istotnie złożyliśmy tej pani Willrich wizytę. Kiedyśmy ją opuszczali, żyła jeszcze, a potem zjawił się podporucznik Asch z tą damą.

– Przyszliśmy w kilka godzin później – powiedział Asch. – Zwłoki, któreśmy znaleźli, były zimne. Wezwany przez nas lekarz zbadał je. Wedle jego orzeczenia śmierć musiała nastąpić w czasie, kiedy Hauk i Greifer byli w mieszkaniu.

– Same bzdury – zawołał Greifer. – Gdzie jest lekarz? Gdzie jest jego orzeczenie i dlaczego tak zwany sąd ma brać za dobrą monetę wszystko, co plecie jakiś tam podporucznik? Wnoszę o ustalenie, jaki stosunek łączy podporucznika z tą damą. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że z góry ustalili swoje zeznania. Poza tym...

Greifer przerwał nagle potok swej wymowy. Zaczął nasłuchiwać. W ciszy, która zapadła, nasłuchiwali teraz wszyscy.

Warkot silników stawał się coraz bliższy, rozległy się strzały z karabinów maszynowych, które zamilkły po chwili. Wydawało się, że łoskot staje się bardziej intensywny, że powoli, niepowstrzymanie przybliżyła się do obecnych.

– Poza tym – to właśnie! – triumfował Greifer.

Major Horn wypuścił z ręki kartkę i spojrzał badawczo na generała domagając się wzrokiem odpowiedzi. Luschke siedział z miną człowieka, który słucha hałaśliwego, mało interesującego koncertu radiowego.

– Idźmy dalej – powiedział Horn. – Sprawa trzecia: płatnik Brahm.

– Płatnik Brahm – powiedział podporucznik Asch – został zamordowany dzisiejszej nocy. Jego zwłoki...

– Zwłoki – zawołał Greifer – trafiają się na wojnie. To przeważnie bezpośredni rezultat akcji wroga. Ale istnieją jeszcze inne możliwości, zwłaszcza w czasach, kiedy laicy zabawiają się w sprawiedliwość, a żołnierze stali się zbójami. Może więc ktoś zginąć z wyroku. Może nastąpić na minę. Może zostać zabity przez żądnych łupu włóczących się po nocy żołnierzy. Może również popełnić samobójstwo. Proszę wybierać!

– To było morderstwo – powiedział podporucznik Asch. – Bombardier Kowalski może zaświadczyć.

– Zaświadczyć! – wykrzyknął Greifer. – Co chce zaświadczyć? Swoją własną czyn?

– Ubiegłej nocy – powiedział bombardier Kowalski – widziałem, jak trzech mężczyzn wyszło z domu przy ulicy Hindenburga trzynaście w kierunku lasu miejskiego. Wkrótce potem padły tam dwa strzały. Po jakimś czasie wróciło dwóch: Hauk i Greifer. Zwłoki płatnika Brahma pozostały w lesie.

– W magazynku pistoletu porucznika Greifera – powiedział podporucznik Asch – brak dwóch naboju. Pistolet został użyty. Kaliber zgadza się z kalibrem naboju znalezionych w ciele Brahma.

– Co pan powie na swoje usprawiedliwienie? – zapytał Greifera major Horn.

– Gdybym się miał usprawiedliwiać, to przed Amerykanami – powiedział Greifer.
– Są już tutaj. Nastawcie uszu, moi panowie.

Warkot silników zbliżył się jeszcze bardziej. Szyby w oknach dzwoniły cicho, gorączkowo, bez przerwy. Potem runęła gdzieś jakaś ściana z drzewa, żelaza i szkła. Wydawało się, że wszystko to odbywa się tuż pod oknami skąpo oświetlonego pokoju i że siedzący w nim ludzie wstrzymują z wrażenia oddech.

– Tylko to – zawołał gorączkowo Greifer wskazując ręką na okna – ma teraz znaczenie. Jedynie ten argument gra decydującą rolę. I do niego winniśmy się zastosować.

Generał spojrzął ostro na szefa sztabu. Major zacisnął kurczowo ręce i oświadczył: – Rozprawa nie jest jeszcze zakończona i będzie się toczyć dalej.

– Jesteśmy u kresu – zawołał Greifer walcząc zaciekle o ostatnie chwile. – A to dlatego, że zbyt wielu spośród nas zawiodło pokładane w nich nadzieje. Dlatego, że twierdzenia jakiegoś oszczerca, który przypadkowo, dzięki pomyślnym okolicznościom, awansował na oficera, zostały wzięte na serio! Dlatego, że zeznania jakiejś dziwki mają większą wagę od zeznań zasłużonych żołnierzy, dlatego, że daje się wiarę dezterom, buntownikom i dekownikom!

Major Horn zerwał się, jak by zamierzał rzucić się na Greifera. Generał-major Luschke dotknął lekko jego ramienia i major znowu usiadł na swym miejscu.

– Podczas gdy zdrajcy i świntuchy wzbogacali się – wołał Greifer z nieposkromioną emfazą – my walczyliśmy do ostatniego tchnienia. Wiedzieliśmy zawsze, czym jest obowiązek, nigdy nie kapitulowaliśmy jak tchórze. Te stare cnoty żołnierskie, którym jesteśmy wierni, przeszkadzają teraz rabusiom, tchórzom i spekulantom wojennym. Stąd próby obwiniania nas o morderstwo, oto dlaczego chcą nas zlikwidować.

Miało się wrażenie, że siedzący w pokoju, nie robiąc ani kroku, cofają się. Mizerne światelko zaczęło dygotać, okna trzęsły się jak w gorączce, a generał uśmiechał się jak nieboszczyk.

– Nie jesteśmy – ryczał Greifer – zdrajcami ojczyzny. Są nimi, ci, którzy chcą nam założyć stryczek. Mieliśmy wykonać tajne polecenie, decydujące o dalszym przebiegu wojny, ale wykonanie go spotkało się z sabotażem. Z sabotażem szubrawców, którzy opuścili ojczyznę, będącą w śmiertelnym niebezpieczeństwie, którzy zdradzili Niemcy!

Greifer ciężko dyszał. Zebrani w pokoju milczeli. Warkot silników stawał się coraz mocniejszy. Nagle umilkł. W pokoju zapanowała dręcząca cisza.

Generał Luschke powiedział: – Powiesić!

W dziesięć minut później porucznik Greifer wisiał na placu ćwiczeń koszar artyleryjskich.

Amerykanie wkroczyli do miasta. Z licznych okien zwisały białe chorągwie, jak gdyby cała ludność wywiesiła bieliznę do wysuszenia. Zaczęli się ukazywać poje-

dynczy przechodnie. Uśmiechali się z ulgą bądź ze strachem, z oddaniem bądź z apatią, ufnością bądź z pogardą, przyjaźnie bądź tchórzliwie.

Ktoś zawołał: „Nareszcie oswobodziliście nas!” Ktoś inny uzupełnił z zapałem: „Nareszcie oswobodziliście nas od hitlerowców!”

Amerykanie, na szczęście nie władający językiem niemieckim, siedzieli w swych pojazdach z obojętnymi minami. Przybrali zwycięski wyraz twarzy, ale nietrudno było zauważyć, że nie są wolni od strachu. Wietrzyli wszędzie hitlerowskie bestie i morderców z obozów koncentracyjnych, bo przecież ich gazety wojskowe uparczywie i dlatego z powodzeniem wmawiały w nich, że innych Niemców nie ma.

Znalazszy się za miastem kapitan Schulz zarządził zbiórkę pozostałych pod jego rozkazami żołnierzy, którzy składali się z bezradnych niedołęgów przydzielonych do Komendantury oraz z nie orientujących się w niczym volkssturmwowców. Ustawił ich w szeregu i oddał się wraz z nimi w niewolę zdumionym Amerykanom. Z wysoko podniesioną głową, napompowany świadomością, że aż do ostatniego tchu spełnił swoją powinność, pomaszerował na czele swoich żołnierzy do niewoli. Za nim drepotał Heini oplakując żałośnie i rozdzierająco swe utracone bohaterstwo.

– Heini – powiedział Schulz iście po męsku – przestańże wreszcie ryczeć! Prawdziwy żołnierz nie płacze!

– Tak jest, panie kapitanie – załkał Heini z pokorą.

– Żeby zmienić bieg twoich myśli – oświadczył wojak Schulz – pozwalam ci nieść mój bagaż.

Heini z zapałem zastosował się do tej propozycji.

Dowódca zwycięskich oddziałów zdobył miasto, a wraz z nim koszary artylerii za pomocą dwudziestu czterech czołgów typu Sherman oraz licznej piechoty. Zwycięscy butnie przemierzali puste korytarze. Pociskami z pistoletów maszynowych rozbijano dekoracje ścian. Nad bramą kołysał się jeden z orłów.

Siedzący nieruchomo za swym biurkiem generał-major Luschke został wzięty do niewoli przez jednego kapitana, dwóch podporuczników i trzydziestu sześciu uzbrojonych po zęby żołnierzy. Obok niego stał, również nieruchomo, szef jego sztabu. Był jedynym człowiekiem, który wbrew kilkakrotnie przez Luschkego powtarzanemu rozkazowi niezmiennie opierał się temu, by rozstać się ze swoim generałem.

Żołnierze wysunęli naprzód poruczników, porucznicy zaś kapitana, który powiedział: – Panie generale, jest pan jeńcem.

Generał-major Luschke podniósł się bez słowa, poprawił na sobie mundur i wyszedł eskortowany przez trzydziestu sześciu żołnierzy, dwóch podporuczników i jednego kapitana.

Inny spośród zwycięzców wydał polecenie, żeby na plac ćwiczeń zajechały dwa jeepy i jeden wóz z eskortą. Dwanaście reflektorów obrzuciło jaskrawym światłem wiszącego na stryczku porucznika Greifera. Zdumieni żołnierze amerykańscy obstąpili wisielca.

– Oficer ten – powiedział jeden z nich, wychowany na licznych komentarzach radiowych – był bojownikiem ruchu oporu. Hitlerowcy załatwili się z nim jeszcze w ostatniej chwili.

Bezpośrednio za tak zwanymi oddziałami bojowymi przybył do miasta CIC. Kapitan Ted Boernes, który poczynił wszechstronne i gruntowne przygotowania, zajął willę kreisleitera przy ulicy Hindenburga. James I wraz z Jamesem II i mężem zaufania Hinrichsenem rozlokowali się w pokojach komendy garnizonu.

Amerykanie uznali, że miasto należy do nich.

Późnym wieczorem zjawił się w pokojach CIC dowódca zwycięskich wojsk oświadczając: – Zgodnie z rozkazem jeszcze dziś w nocy wyruszę dalej na wschód.

– Nie zatrzymujemy pana – powiedział James I z trudem ukrywając swe zadowolenie, że nareszcie będzie miał pełną swobodę ruchów.

– Zostawię tu jedynie nieliczną ochronę, przede wszystkim dla pilnowania obozu jeńców, na który przeznaczaliśmy koszary artylerii.

– W porządku – rzekł energicznie James I. – Z niecierpliwością czekamy na to, żeby pan zwyciężał w dalszym ciągu. Niechże więc pan nie odrywa się od nieprzyjaciela.

– Czy w ramach waszych zadań specjalnych zajmie się pan również obozem jeńców? – zapytał zwycięzca.

– Ależ oczywiście! – zapewnił James I. – Należy to do naszych obowiązków, a więc będzie załatwione jak się patrzy.

– Bardzo pięknie – odparł bohater czołgów w wysokiej randze, – To mnie uspokaja. Każę tam wpakować wszystkich, którzy się już nawinęli i jeszcze nawiną. A uważajcie mi na przestępców wojennych!

– Jakżeby inaczej! – odpowiedział James I. – Będziemy ich ostro pilnować.

– Tuż przed naszym wkroczeniem powieszono w koszarach jakiegoś oficera. Może był to bojownik ruchu oporu. Jeżeli znajdzie pan chwilę czasu, mister James, proszę wziąć tę sprawę pod lupę.

– Dla spraw tego rodzaju mam zawsze czas. Diabło dużo czasu.

– Doskonale – powiedział zwycięzca. – Opuuszczam więc pana i posuwam się naprzód. Jak już mówiłem, pozostawiam tutaj niewielką ilość wojska. Trochę taborów oraz kompanię piechoty dla pilnowania jeńców w obozie. Ale nic szczególnego zajść nie może. Sytuacja przedstawia się w ten sposób, że jeden nasz żołnierz może rozebrać do naga całą wielkoniemiecki pułk. Gdyby jednak...

– Będziemy pilnowali. A gdyby zaszło coś nieprzewidzianego, zawiadomimy pana pocztówką.

Zdawało się, że tej nocy miasto nie chce zasnąć. Opróżniono ogromne ilości butelek. Niech żyje zwycięstwo! Za ostateczne zwycięstwo, oswobodzenie, wolność! Niech żyje Truman, niech żyje generał Luschke, niech żyje führer, wiwat Eisenhower! Wi-

wat żołnierze amerykańscy, niemieccy, wiwat sprzymierzeni z dnia wczorajszego, alianci dnia dzisiejszego, towarzysze broni dnia jutrzejszego!

Niektórzy pili nawet na cześć pokoju, ale większość czyniąc to była kompletnie pijana i dlatego krzyczała o pokoju z najgłębszym przekonaniem.

– Generał – mówił podporucznik Asch, a właściwie cywil Herbert Asch, siedzący teraz w swoim pokoju nad kawiarnią – wyglądał przez cały czas jak sfinks. Powiedział tylko jedno słowo: „Powiesić”! I ledwie je wypowiedział, już ten wieprz wisiał.

– To okrutne – zauważyła siedząca obok niego Barbara.

– Nie, to tylko sprawiedliwe.

– Okrutna sprawiedliwość – odezwał się stary Asch zamyślony. – Oto, do czegośmy doszli.

– Generał – powiedział Wedelmann trzymając się kurczowo ręki Magdy, jak gdyby potrzebował oparcia – nienawidził Hitlera, ale musiał dla niego walczyć. Ja tego Hitlera kochałem. Teraz nie będę mógł mieć zaufania do nikogo, jeżeli zażąda się ode mnie, żebym postawił na kartę swe życie. Świat ten jest pełen kłamstw i kłamców. Ci nieliczni, którzy nie kłamią, nie mogą oddychać. Generacja nasza została haniebnie zdradzona.

– Wszystko to – wtrąciła Magda – minęło teraz raz na zawsze.

– Nie odnoszę wrażenia, że wojna całkowicie się skończyła – oświadczył Herbert Asch. – Brakuje mi jeszcze ostatecznego finału. Udało nam się powiesić tylko jednego wieprza, drugi wymknął się.

– Nie rozumiem tego wszystkiego – powiedziała Barbara bezradnie.

– Unieszczęśliwiasz się – zwrócił się stary Asch z goryczą do syna. – Jakże mogliście w ostatnich minutach wojny zabić zaślepieniego człowieka.

– Nie powiesiliśmy żadnego zaślepieńca, lecz bestialskiego mordercę. Nie gra żadnej roli, czy stało się to trzy lata, trzy miesiące, czy też trzy minuty przed „zamknięciem bramy”. Ale jestem bardzo niezadowolony. Brakuje mianowicie najważniejszego. Ten łotr i morderca był przecież tylko narzędziem, a chodzi o głównego sprawcę!

– Co ta wojna zrobiła z ciebie, mój synu! – zawołał stary Asch.

– Wojna zrobiła ze mnie świnie – odparł ponuro Herbert Asch. – Żałosną, pozbawioną mózgu, dojrzałą do zaszlachtowania świnie.

– A co ja mam powiedzieć? – Wedelmann spojrzał smętnie na swego kolegę. – Jestem jak sparaliżowany. Rozum mój po prostu nie funkcjonuje. Nie rozumiem, co się dokoła mnie dzieje. Wiem tylko jedno: nie chcę brać w tym udziału.

– Czas leczy wszystkie rany – powiedziała Magda łagodnie.

– Tych ran nie uleczy – odparł Wedelmann. – Zginiemy od nich, jeżeli nie znajdzie się ktoś, kto nam pomoże.

– Nikt nam nie pomoże – powiedział Asch twardo. – Musimy uporać się z tym sami, zarówno z nami samymi, jak i z naszym otoczeniem. Każdy początek musi

mieć swój koniec. Koniec wyraźny i jednoznaczny. I tego właśnie mi brak.

James I był zdecydowany pokazać teraz podległemu miastu, jak ma wyglądać prawdziwe wyswobodzenie. Natychmiast po przybyciu zaczął urzędować. Wprowadził się do komendy garnizonu, jak gdyby był zwycięskim wodzem.

Pierwszą jego ofiarą, tak mu się przynajmniej zdawało, był bombardier Stamm. Przyjął on zwycięzców w jasno oświetlonym korytarzu z niezwykle serdecznością i okrzykiem: – Witajcie!

James I, któremu towarzyszyli James II i współpracownik Hinrichsen, wyciągnął rękę, jak gdyby zamierzał rzucić klątwę, i zawołał: – Biorę pana do niewoli!

– Tak jest – powiedział Stamm, na którym te słowa nie zrobiły zbyt wielkiego wrażenia. – Jestem do usług, dokładnie się tutaj we wszystkim orientuję.

– Tak? – zapytał James I z zainteresowaniem i podszedł bliżej. – Pan orientuje się tutaj dokładnie?

– W każdym najdrobniejszym szczególe. A do partii także nie należałem.

James I zmierzył Stamma wzrokiem, jak gdyby oglądał towar, o którym należy przypuszczać, że ze względu na niską cenę jest nie pierwszej jakości. Oczekując aprobaty spojrzął na Jamesa II, ale ten chcąc dać do zrozumienia, że mu to jest obojętne, wzruszył jedynie ramionami. Hinrichsen milczał przezornie.

– Człowieku – powiedział James I do bombardiera Stamma – może mógłbym was wykorzystać, gdybyście jednak próbowali wyprowadzić mnie w pole – zabiję jak psa.

– Moją ambicją jest dożyć późnego wieku.

James I roześmiał się. Nie, przeszkadzało mu to, że śmieje się sam. Bombardier spodobał mu się. Zapytał więc z uśmiechem: – Kto wygrał wojnę?

– Stany Zjednoczone Ameryki Północnej – wyrecytował bez namysłu Stamm.

– A kto wojnę przegrał?

– Niemcy.

– A kto jest największym wodzem wszystkich czasów?

– Generał Eisenhower.

– A kto jest największym zbrodniarzem wszystkich czasów? – Hitler – odparł Stamm z uśmiechem.

James II, który śledził tę ożywioną zabawę w pytania i odpowiedzi, zapytał niechętnie: – Co to właściwie ma znaczyć?

– Nowa gra towarzyska – powiedział James I. – Idzie jak po maśle.

Po udzieleniu kilku energicznych słów przestrogi zaangażował bombardiera Stamma jako siłę pomocniczą. Kazał sobie pokazać wszystkie sale i pokoje, zajął najlepsze i zrobił z wielkiego biura byłego komendanta niemieckiego wspólną kancelarię; stanęły w niej w niewielkich odstępach trzy stoły.

Jedną z pierwszych czynności urzędowych Jamesa I było zatwierdzenie dozorcę więziennego Krawattke na jego stanowisku. Krawattke z miejsca zamianował sam

siebie „inspektorem” więziennym i wyraził gotowość złożenia każdej przysięgi. W ciągu godziny zmienili się lokatorzy więzienia. Zwolniony został majster Freitag, zamknięty zaś Ortsgruppenleiter.

Podobny do anioła zemsty, w eskorcie dwóch masywnych żandarmów, przebiegał James I miasto. Stamm uważał, że posiada on energię nie tkniętego przez wojnę pruskiego feldfebla. Planowość, z jaką postępował, można było porównać jedynie z planowością dobrze wypoczętego urzędnika policji. Zarządzenia jego równały się wyrokom. Zdawało się, że tam, gdzie stąpnie, nigdy trawa nie wyrośnie.

Kiedy tak James I próbował szaleć po mieście, James II spał na zapas przy swoim nowym stole. Towarzysz walk Hinrichsen rozłokował się w wozie radiowym stojącym na rynku. Okradał ze snu wszystkie amerykańskie jednostki w promieniu pięćdziesięciu kilometrów, poszukując gwałtownie niejakiego pułkownika Hauka.

Jednym z pierwszych obywateli miasta, którego James I przyjął w swym lokalu urzędowym – nazwał tę czynność „udzielaniem audiencji” – był jego wielebność Westhaus. Wezwany duchowny podszedł do Amerykanina, skłonił się uprzejmie i zapytał: – Co mogę dla pana uczynić?

Pytanie to zaskoczyło Jamesa I. Nie myśląc nawet o tym, by wskazać swemu gościowi krzesło, powiedział: – Kto kogo właściwie oswobodził, księżę proboszczu?

– Zależy to całkowicie od tego – powiedział Westhaus uprzejmie – z jakiego punktu widzenia rozpatrujemy to, co się stało.

– Księżę proboszczu, czy ksiądz należy do partii?

– Oczywiście, że nie.

– Nie jest to wcale takie oczywiste. – James I postanowił załatwić się krótko z tym człowiekiem, który widocznie nie umiał w całej pełni docenić błogosławieństwa wyzwolenia. – Więc nie był ksiądz hitlerowcem? A czy był ksiądz przeciwnikiem hitleryzmu?

– Można tak powiedzieć.

– Tak mówią teraz wszyscy – oświadczył James I władczo. Bardzo go to cieszyło, że jego wielebność Westhaus milczał zakłopotany. – A może był ksiądz politycznie prześladowany?

– Nie więcej aniżeli inni – odpowiedział duchowny. – Kontrolowano moje kazania, przeprowadzono dwie rewizje domowe, przesłuchiowano mnie w gestapo.

– Czy ksiądz był w obozie koncentracyjnym? Czy maltretowano tam księdza?

– Otrzymałem liczne ostrzeżenia.

James I wzruszył ramionami. – To może dziś powiedzieć każdy. Podejrzenie budzi fakt, że gestapo, które księdza wzywało, nie zatrzymało księdza. Jak to wytłumaczyć? Czy przedstawiał ksiądz dla tych ludzi jakąś wartość, czy też był dla nich mało ważny?

– Ocenę tego – odparł sztywno Westhaus – pozostawiam panu.

– Księżę proboszczu – ciągnął dalej James I rozkoszując się swoją rzekomą prze-

wagą – mamy do ludzi związanych z Kościołem pewne zaufanie. Nie jest to jednak zaufanie ślepe. Byli duchowni, którzy modlili się za Hitlera.

– Na pewno tak było. Jako głowę państwa włączyliśmy go oficjalnie do naszych modlitw, modliliśmy się za niego wedle ustalonego i przepisane go tekstu. Komuż bardziej potrzebne były te modły?

– Ale przecież okazały się całkowicie bezcelowe. – Ocena tego wychodzi poza zakres naszych kompetencji.

– Księżę proboszczu, proszę odpowiedzieć szczerze: Potępia pan hitlerowców czy nie?

– Nie, nie potępiam – odparł Westhaus z całą szczerością. – Czuję wstręt do hitleryzmu, ale nie przystoi mi potępiać ludzi.

– Czynienie tego rodzaju różnic wprowadza jedynie zamęt. – James I doszedł do wniosku, że kontynuowanie tej rozmowy będzie bezcelową stratą czasu i nie da praktycznych rezultatów. – Trzymajmy się faktów. Czy ksiądz zna niejakiego majstra Freitagę?

– Jest to człowiek prosty i uczciwy. Antyfaszysta.

– Taki sam jak pan?

– Ja jestem duszpasterzem – oświadczył Westhaus z godnością – i dla mnie polityka nie jest czynnikiem decydującym.

James I zwolnił duchownego wypowiedziawszy na pożegnanie parę ogólnikowych, nic nie mówiących zdań. Postanowił skreślić go ze swej listy, wychodząc z założenia, że nie można liczyć na poparcie ze strony księdza.

– Nie mógłbyś z tym wypytywaniem zaczekać do jutra? – James II ziewnął potężnie.

– Możesz spokojnie iść spać.

– A kiedy wstanę, okaże się, że popełniłeś całą masę głupstw.

– „Pastorze” – powiedział rozbawiony James I – nie troszcz się o to. Wychodzisz zapewne z założenia, że ten, kto nie robi nic, nie robi również głupstw. Bierz przykład z Hinrichsena, który pracuje jak szalony.

– Wiesz, „partnerze”, na kogo mi wyglądasz? Na wielbłąda, który chciwie wypija z wodopoju spienioną, brudną wodę. Dlaczego nie poczekasz, aż woda ustoi się nieco?

– Zlazłbyś już raz ze swego konika – powiedział James I nie czując się dotknięty tym porównaniem. – Lepiej zajmij się tym wisielcem w koszarach. Ci, którzy go powiesili, są zbrodniarzami wojennymi.

– To nie mój resort – odparł leniwie James II. – Sprawami Wehrmachtu zajmuje się Hinrichsen. Ale pochłonięty jest wyraźnie innymi sprawami. Bardzo jestem ciekaw, jakie to są sprawy.

– Czy naprawdę muszę wszystko sam załatwiać? – zawołał James I.

– Jeżeli koniecznie chcesz, to musisz – odpowiedział James II i położył głowę na

stole, żeby znów uciąć drzemkę.

Były bombardier Kowalski zjawił się w kiepsko skrojonym ubraniu cywilnym w kawiarni Ascha. W rękach trzymał baterię butelek niewiadomego pochodzenia, nogą zatrzaskał drzwi za sobą.

– Moi państwo – powiedział rozglądając się dookoła z wesołym uśmiechem. – Wypijmy za zdrowie naszych kochanych Amerykanów.

– Że też pan jeszcze żyje – zauważył sarkastycznie stary Asch.

– I to jak! – odparł rozpromieniony Kowalski. – Teraz dopiero zaczynam żyć naprawdę. – Postawił butelki i spojrzał zachęcająco na obecnych: na Wedelmana i Magdę, których określał jako parę turkawek, na młodego Ascha, na Barbarę będącą w jego w oczach kociakiem dobrym do łóżka, i na starego Ascha.

– W każdym razie – mruknął nadąsany stary Asch, który uświadomił sobie, że nie ma żadnego powodu, aby spoglądać różowo w przyszłość – tym razem nie dokonał pan spustoszenia w mojej piwnicy. To już pewien postęp.

– Nasi kochani Amerykanie – odparł Kowalski – byli tym razem tak szczodrzy i hojni...

– Już się z nimi zwąchał i zaprzyjaźnił? – zapytał Herbert Asch. – Już ich uważasz za braci?

– Nic prostszego, wszyscy ludzie są przecież braćmi – odpowiedział Kowalski rozsiadając się na krześle. – Przynajmniej na papierze. Rasa panów przestała istnieć, a w każdym razie rasa panów pochodzenia germańskiego. Nareszcie świat może zostać uzdrowiony. Chodzi tylko o to, który ze zwycięzców potrafi to uzdrowienie przeprowadzić najkorzystniej.

– Pan chyba nie brał udziału w rabunkach? – zapytał stary Asch wietrząc od razu nowe komplikacje.

– Ja i rabować! – zawołał Kowalski z miną niewiniątka. – Cóż to mi pan przypisuje, panie Asch? Mam bardzo rozwinięte poczucie sprawiedliwości – oto wszystko. Przechodziłem obok wyraźnie przeładowanego jeepa, więc ulżyłem mu trochę.

– Tak po prostu? – zapytała Barbara otwierając szeroko oczy.

– Tak całkiem po prostu – odrzekł Kowalski Wykonując charakterystyczny ruch ręką.

– Czy tak można? – zapytał Herbert Asch.

– Oczywiście. Nasi wartownicy też byli zwolennikami spokojnych obrotów handlowych, ale wydaje mi się, że Amerykanie wykazują w tej dziedzinie wyjątkową ambicję.

– Kiedyż wreszcie da pan temu spokój? – zapytał naiwnie Wedelmann. – Ciągłe jeszcze nie ma pan tego dosyć? Przecież wojna się skończyła!

– U mnie się jeszcze nie odmeldowała – odparł Kowalski.

– A czegoż to mam mieć dosyć? Może chlania? Nigdy!

– Pan na pewno skończy w kryminale – oświadczył stary Asch z głębokim prze-

świadczaniem.

– Siedziałem już w nim przeszło pięć lat, od pierwszego września trzydziestego dziewiątego roku.

– Jak tam właściwie wygląda na dworze? – zapytał Herbert Asch z wielkim zainteresowaniem.

– Księżyc prawie w pełni, niebo czyste, dosyć ciepło.

– Kowalski, nie gadaj bzdur! Wiesz przecież doskonale, co mam na myśli.

– Co cię to obchodzi, Herbercie? – wtrącił stary Asch. – Przecież powinno ci to być obojętne.

– Słuchaj swego sędziwego ojca! – powiedział Kowalski. – Bądź dobrym, kochanym synem.

– Czy chce pan tutaj przenocować, panie Kowalski? – zapytał Asch senior.

– Jestem od tego zamiaru daleki. Zamierzam zakwaterować się dzisiaj u Schulza. Muszę przecież pocieszyć jego biedną, osamotnioną małżonkę. Uważam to za koleżeński obowiązek.

– W takim razie nie zatrzymuję pana – powiedział stary Asch.

– Jaki z pana miły człowiek! – zawołał Kowalski. – Obrońca cnoty i moralności. Ale tylko we własnych czterech ścianach. Kiedy u pana w domu barometr idzie w górę, nie waha się pan nawet rozłączyć świeżo pobranego małżeństwa tylko w tym celu, ażeby dwoje normalnych ludzi nie miało przyjemnej nocy. Nie wstyd panu?

– Chyba nie zechce pan twierdzić, panie Kowalski, że wie pan, co to jest wstyd?

– Żyjemy w czasach specjalizacji, każdy zajmuje się tym, co najlepiej umie. Pan na przykład się wstydzi, a ja nie. Jakże jednak ustrzeże pan dziś w nocy swoją moralność?

– W zasadzie tak samo jak wczoraj. W jednym pokoju będzie spać mój syn z panem Wedelmannem, drugi zaś zajmie na noc pani Wedelmann z panną Barbarą. Inaczej u mnie być nie może.

– I po to, żeby tego dożyć, prowadziło się wojnę! – Kowalski udawał oburzenie. – Jeżeli jednak sprawa tak wygląda, mój Herbercie, to nie masz tu nic do stracenia. Chodź ze mną – pospacerujemy sobie.

– Ale nie dzisiejszej nocy! – zawołała Barbara.

– Czy tutaj w domu, czy na dworze, to przecież w gruncie rzeczy wszystko jedno. Tak i tak nic pani z niego nie będzie miała. A jeżeli już nie może mieć tej jednej przyjemności, to niechże mu pani nie przeszkadza w drugiej. A jak wygląda sprawa z panem, panie Wedelmann? Ma pan ochotę przyłączyć się do nas?

– Moje zainteresowanie tego rodzaju spacerami skończyło się definitywnie – odparł Wedelmann. Magda położyła czule swą rękę na jego dłoni.

– A więc, jazda! – zawołał Kowalski. – Ostatni zryw ludu!

– Czy naprawdę warto? – zapytał Herbert Asch szykując się do wyjścia.

– Sądzę, że tak – powiedział Kowalski. – Na dworze panuje nastrój wakacyjny.

Kiedyśmy zwiali z koszar po powieszeniu Greifera, złożyłem wizytę grzecznościową w szpitalu Soefta. Soeft urządził tak głośną uroczystość na cześć zwycięstwa, że uraziło to mój delikatny słuch. Udałem się więc do kolegi Stamma.

– Tak po prostu, nie zważając na Amerykanów? – zapytała podniecona Barbara.

– Nie było to takie trudne – odpowiedział Kowalski. – Nawet zwycięzcy muszą się od czasu do czasu wyspać, a ci tutaj to, zdaje się, śpiochy zupełnie wyjątkowe. Zaparkowują swoje wozy i po prostu wariują za łózkami na dobrych sprężynach, do których można by się z kimś położyć. Nieliczne posterunki, włóczące się po kątach, są zadowolone, kiedy ich nikt nie tyka.

– A więc nie ma patroli, tylko nieliczne posterunki – stwierdził Asch.

– Cóż cię to obchodzi? – zawołał stary Asch.

– Obchodzi go, i to bardzo! – zapewnił Kowalski. – A więc w sumie ruch w interesie stosunkowo niewielki. Amerykanie mogą sobie na to pozwolić. Wielkoniemiecki nastrój bohaterstwa zupełnie się rozwiął. Ojczyzna może być nareszcie spokojna. W każdym razie bohaterowie tyłów śpią, a oddziały przednie porozbiegały się. Tylko w koszarach panuje pewien ruch; gromadzą tam jeńców.

– A co się dzieje ze Stammem?

– Chłop jest znowu czynny. Ten ma nosa, ten się rozumie na swoim interesie. Miał na tyle sprytu, że się nie starał o wyższy stopień. Wiesz, co teraz robi? Jest ordynansem w wywiadzie amerykańskim.

– Mówiłeś z nim?

– Zażądałem od niego informacji, no i dowiedziałem się czegoś, co ci odbierze mowę, Herbercie.

– Cóż to takiego?

– Golnij sobie naprzód jeszcze jednego. A potem usiądź na krześle i głęboko odechnij.

– Człowieku, cóż to takiego?

– Czy wiesz, kto się przy włókł razem z oswobodzicielami? I to w pierwszorzędnym amerykańskim mundurze? Kto się uwija jak rój pszczół? No? Daję głowę, że nie zgadniesz.

– Nie będę wcale zgadywać, bo jeżeli chcesz przeżyć jeszcze tę noc, powiesz mi to zaraz.

Kowalski, lubując się swoimi słowami, oświadczył uroczystym tonem: – Hinrichsen.

– Upadłeś na głowę! – rzekł Herbert Asch z przekonaniem.

– Hinrichsen we własnej osobie – powtórzył Kowalski delectując się zdumieniem, które wywołał. – Opasły major Hinrichsen, ostatni oficer führera, wielkoniemiecki narodowy socjalista z Wehrmachtu na usługach wywiadu amerykańskiego!

– Muszę to zobaczyć! – zawołał Asch i gwałtownie podniósł się ze swego miejsca.

Choć była już prawie północ, James I zgrywał się jeszcze ciągle na namiestnika w

starorzymskim stylu. Nie było żadnych widoków na to, żeby jego antyhitlerowska energia zmaląła przed świtem.

James II poczytywał sobie za zasługę, że zawczasu przewidział taki właśnie sposób reagowania swego kolegi. Rozparty za swym biurkiem, patrzył zmęczonymi od whisky oczyma, lśnącymi na różowej, dziecinnej twarzy, słuchał uważnie i nie mógł się zdecydować na to, żeby pójść spać. Radykalne zabiegi kuracyjne „partnera” zupełnie mu nie odpowiadały.

– Przeszkadzasz tylko tutaj, „pastorze” – stwierdził James I między dwiema rozmowami, które miały charakter przesłuchań. – Idźże nareszcie spać. Kiedy hitlerowcy widzą cię drzemiącego za biurkiem, wraca im powoli tupet.

– A na twój widok zaczynają dygotać ze strachu, co również nie jest normalne.

– E, co tam! – zawołał James I z żywiołową radością bokserów, którzy jeszcze przed wciągnięciem rękawic są przekonani, że mają zwycięstwo w kieszeni. – Już ja tym łobuzom rozpalę ogień pod ich partyjnymi tyłkami.

– Naprzód musisz przecież wiedzieć, czy to, co chcesz przypalać, jest naprawdę tyłkiem partyjnym. Rozdzielasz tylko kopniaki i wcale nie zdajesz sobie sprawy, że w ten sposób oblewasz zimną wodą niektórych spośród naszych przyjaciół.

– Słuchaj no, „pastorze” – powiedział James I takim tonem, jak by się zwracał do swego małego braciszka. – Nie będziesz przecież serio trzymać się dyrektyw niewydarzonych Germanów, do których należy ten Ted Boernes. Oni są jeszcze ciągle, żebyś wiedział, pijani z tęsknoty za Niemcami, za tymi samymi Niemcami, które im powybijały zęby i napłuły w pysk. O tym wszystkim jakoś bardzo szybko zapomnieli.

– „Partnerze”, czyżby miało to znaczyć, że nie chcesz się trzymać ustalonych wytycznych? – Z oczu Jamesa II zupełnie znikła senność.

– Bzdura! – oświadczył James I. – Uzupełniam je jedynie moimi doświadczeniami, które mówią: Nie ufaj Niemcom, to oni uczynili Hitlera wielkim! Już to samo przekreśla ich po wsze czasy.

– Pakujesz ich wszystkich do wspólnego kotła. A ofiary hitleryzmu?

– Mój przyjacielu – odparł James I nie zmieniając protekcyjnego nieco tonu. – Przelotne choćby zapoznanie się z kulisami pozwala zorientować się, czym to właściwie było. Bardzo często niczym innym jak tylko usunięciem uciążliwego konkurenta.

– Przecież istniała cała masa uczciwych przeciwników!

– Nie przeczę. Ale w tej chwili możesz ich szukać z latarnią w ręku. Nie sądzisz chyba, że chodzą ze swymi przekonaniem od domu do domu i ofiarowują je na sprzedaż? A poza tym większość najprzyzwoitszych członków ruchu oporu i tak nie żyje. Fakt pozostaje faktem, że dziś każde ścierwo twierdzi: „Nigdy nie byłem hitlerowcem,” Nawet wtedy, kiedy mu się tego dowiedzie czarno na białym.

– A czy nie wierzysz w to, że może istnieć szczerą, prawdziwą zmianą nastawie-

nia i przekonań, coś w rodzaju uzdrowienia przez wielki wstrząs?

– Ale nie w Niemczech, „pastorze”! Tutaj mamy entuzjastów albo śmiertelnie zasmuconych, ludzi uważających się za panów świata albo nędzne płazy. Zdaje mi się, że powiedział to stary Churchill: „Niemiec albo liże ci buty, albo łapie cię za gardło.” Oczywiście wyraził się nieco subtelniej.

– Chcesz więc przez to powiedzieć, że z naszego stanowiska nie można rozróżnić Niemców dobrych od złych.

– Uchwyciłeś moją myśl, stary kolego! – powiedział James I z wielkim zadowoleniem. – Ponieważ znalezienie tak zwanych dobrych Niemców jest rzeczą niemożliwą, musimy trzymać się tych, którzy mogą być przydatni, oczywiście dla nas. Trzymajmy się więc tych niemieckich sługusów, których możemy być pewni, pamiętając, że Niemiec jest najlepszym na świecie wykonawcą rozkazów.

James II, którego całkowicie opuściło zmęczenie, oparł nogi o kant stołu, i zaczął się ostrożnie bujać na krześle. – Uwzględniając twoją teorię, co właściwie myślisz o naszym Hinrichsenie?

– To hitlerowiec – odparł James I bez namysłu. – Ale należy również do wykonawców naszych rozkazów i dopóki będzie dla nas dobrze pracował, nie mam nic przeciwko niemu.

– A jakże wygląda sprawa z tym majstrem Freitagiem? Nie chcesz go przesłuchać? Bądź co bądź hitlerowcy zamknęli go z powodu wyszydzania führera, jak mi się zdaje. To niezła rekomendacja. Nie zapominaj, że potrzebujemy tutaj nowego burmistrza.

– Ten Freitag również nie będzie wyjątkiem – oświadczył James I. – Może to tylko oryginał albo pyskacz; może dostał się przypadkiem w tłum, ktoś nastąpił mu na pięty, a on powiedział: „gówno”, i nagle brązowe koszule poczuły się obrażone? I w ten sposób można zostać antyfaszystą.

– Słuchaj, James, nie możemy takiego człowieka jak ten Freitag odsunąć po prostu na bok nie zamieniwszy z nim przynajmniej paru słów.

– Jestem zasadniczo przeciwny temu, żeby go zrobić burmistrzem. Czego bowiem dowodzi jego uwięzienie? Nie umiał trzymać języka za zębami, jest więc pyskaty, nieopanowany, niemądry. Czy tak ma wyglądać idealny burmistrz? U mnie nie! Wolę już drugi gatunek, ślepych wykonawców, wtedy wiem przynajmniej, z kim mam do czynienia.

James II przestał się huśtać. – A mnie ten Freitag interesuje – upierał się przy swoim.

– W porządku – rzekł James I po krótkim wahaniu i skinął obiecująco głową. – Zdejmiemy z niego koszulę i zobaczymy, czy jest brunatny.

James I polecił żandarmom „poprosić” majstra Freitagę. Były bombardier Stamm, który w błyskawicznym tempie stał się nieodzowny, wykonał krótki, ale dokładny szkic drogi, jaką należy się udać. Wręczył go żandarmom, którzy pomrukując wzięli

szkic, nałożyli na głowy hełmy w kształcie skorupy żółwia i odeszli z groźnymi minami.

Aby nieco skrócić czas oczekiwania, James I zwrócił się do byłego bombardiera Stamma, obrzucił go łaskawym spojrzeniem, uśmiechnął się i zaczął wypytywać: – Kto...

– Stany Zjednoczone, Ameryki Północnej – zawołał Stamm nie namyślając się ani przez chwilę.

– A kto...

– Niemcy!

– A kto...

– Generał Eisenhower!

– A...

– Hitler!

– Świetnie, Stamm. Tip-top – powiedział James I, wyraźnie zachwycony tym, że jego pedagogia dla najmłodszych dzieci wydaje tak błyskawicznie szybko owoce. James I był jednak za mądry, żeby nie zauważyć, że ten Stamm to spryciarz i filut nie lada. „Ale spryciarze – mówił sobie nie bez pewnej ironii – są milsi w obejściu od wazeliniarzy albo od tych, którzy się uważają za kandydatów na przywódców. Można się przynajmniej przy nich ubawić.”

Po upływie niedługiego czasu zjawił się majster Freitag. Jego honorowa eskorta ulotniła się. James I zmrużył oczy, rzucił przelotne spojrzenie na Jamesa II, jak by chciał powiedzieć: „Teraz, mój stary kamracie, uważaj”, i wezwał łaskawym gestem Freitagą, żeby się zbliżył.

– Pracuje pan na kolei, prawda?

– Tak – odparł Freitag. – Jestem tam majstrem od dwudziestego ósmego roku.

– James I uznał, że jest to całkowicie jasne i nie warto zajmować się tą okolicznością. Przypuścił więc atak z innej strony. – Należał pan do partii czy jakiejś organizacji społecznej?

– Do Ligi Obrony Powietrznej – odparł stary Freitag. – Poza tym nigdzie.

James I zaniechał i tego tematu. Zastanawiał się przez chwilę, z jakich pozycji atakować dalej. Zanim jednak zdążył sformułować następne pytanie, do przesłuchania wmieszał się ospały dotąd i milczący James II.

– Dlaczego trzymano pana w więzieniu, panie Freitag? – zapytał.

– Z powodu wypowiedzi uznanych za zdradę stanu.

– Uznanych, a więc nie będących nią! – zawołał James I zdecydowany bez pomocy kolegi przeprowadzić przesłuchanie do końca. – Gdyby nawet wypowiedzi te były równoznaczne ze zdradą główną, trudno nie stwierdzić, że były grubo spóźnione.

– To prawda – powiedział stary Freitag z całą uczciwością. – Wszystko było grubo spóźnione. I panowie zjawili się za późno.

– Czy zawsze był pan przeciwnikiem hitleryzmu? – zapytał James II próbując w

dalszym ciągu wyeliminować z rozmowy swego partnera.

– Przeciwnik to chyba za wiele – odpowiedział majster ze szczerością. – Nie należałem do przyjaciół tych ludzi, a to chyba za mało. I w tym poczuwam się do czegoś w rodzaju winy.

– A więc czuje się pan winny? – zawołał James I.

– Współodpowiedzialny! – sprostował skromnie stary Freitag.

– A więc zdecydowany na wyciągnięcie z przeszłości Niemiec wszystkich konsekwencji! – stwierdził James II nie bez cichego triumfu. Kiwnął głową w kierunku swego partnera, jak gdyby chciał tym gestem powiedzieć: „Przyjacielu, to przecież nasz człowiek.”

James I nie zdradził najmniejszej ochoty przyłączenia się do tego poglądu „pastora”. Trzymał się w dalszym ciągu swojej teorii, którą uważał za całkowicie uzasadnioną. Nie szukać dobrych Niemców jak szpilek w stercie siana, zaprzęgać do roboty tylko takich, których można zużytkować.

Zapytał podstępnie:

– Czy ma pan krewnych, którzy należeli do partii?

– Owszem, mam – odparł Freitag nie przeczuwając, do czego to pytanie zmierza.

– Ojca mego zięcia. Jest nim właściciel kawiarni Asch.

– Mieszka tutaj, w tym mieście? – zapytał James I.

– Tak.

James I przysunął do siebie jakieś akta, otworzył je; zaczął przerzucać poszczególne kartki. Po jakimś czasie znalazł to, czego szukał: nazwisko Asch. Spojrzał przelotnie na dwie daty, przeczytał uwagę na marginesie, po czym zamknął akta.

– Może pan odejść – zarządził.

Stary Freitag oddalił się z uśmiechem. James I skinął triumfalnie głową spoglądając na „pastora”, który wzruszył ramionami.

– I tacy ludzie mieliby zostać burmistrzami! – zawołał James I z poczuciem wyższości. – Przecież oni traktują politykę jako sprawę rodzinną. Dziś ten jest przy żłobie, jutro tamten. Wszyscy są jednakowi. Czy te draby myślą, że mogą z nas robić wałęsę?

– Tak nie można – powiedział James II – to się nie może dobrze skończyć! W porównaniu z tym, co ty tutaj wyprawiasz, metody kolonialne ubiegłego stulecia wydają się szczytem humanitaryzmu.

James I podniósł się ze swego miejsca. Rozkraczywszy nogi i podniósłszy nieco ramiona, z pozycją rąk jak na meczu bokserskim, stanął przed niepokaźnym Jamesem II. – Powiem ci coś, mój drogi. Ten paskudny naród rozpętał wojnę, zniszczył liczne kraje, zbombardował olbrzymią ilość miast, wysłał na śmierć miliony żołnierzy i cywilów. Ponadto zbrodniarze ci spalili sześć milionów ludzi. Tak, człowieku, spalili! Sześć milionów! Tylko dlatego, że nie podobały im się ich nosy.

– Dobrze już, dobrze – bronił się James II.

– Tego nie uda się już nigdy naprawić! – ryknął James I. – Zapamiętaj to sobie wreszcie! – Powiedziawszy to uspokoił się nagle i uderzył znowu w ton jak najbardziej rzeczowy. – Burmistrzem powinien zostać w tej dziurze jakiś administracyjny urzędnik, a nie antyfaszysta w jedwabnych rękawiczkach. No, teraz zajmę się osobiście odnalezieniem zbrodniarza wojennego, który sfabrykował tego trupa w koszarach.

Hinrichsen, niegdyś – jakże to dawno temu! – major wielkoniemieckiego Wehrmachtu, pretorianin führera, gotowy do każdej dla niego ofiary, narodowy socjalista z najgłębszego przekonania, obecnie współpracujący z Amerykanami wywiadowca, donosiciel i szpicel – jak kto woli – siedział rozparty przy stole nad kolumnami nazwisk, które przedłożyła mu obsługa radiowa.

Wóz radiowy Amerykanów stał jeszcze ciągle na rynku, tuż obok gmachu byłej komendy garnizonu, w którym teraz rezydowało CIC. Żołnierze przenieśli do tego budynku radiostację i rozlokowali się w pokoju na parterze. Jednemu przypadło pełnienie służby, reszta oddawała się leniuchowaniu.

Hinrichsen, który siedział sam w sąsiednim pokoju, ciągle jeszcze pochłonięty był kolumnami nazwisk. Grube palce przerzucały stronę za stroną. Nie znajdował jednak tego, czego szukał.

– Heil Hitler, panie majorze Hinrichsen! – usłyszał za sobą wesoły głos.

Hinrichsen podskoczył w górę jak oparzony. Na opasłej jego twarzy pojawił się wyraz niezmiernego zdumienia. Po chwili opanował się z największym trudem i zapytał na pozór obojętnie: – Panie Asch, w jaki sposób dostał się pan tutaj?

– O to samo – odrzekł Herbert Asch podnosząc rękę do pozdrowienia hitlerowskiego – chciałem właśnie zapytać pana.

Teraz wysunął się naprzód Kowalski i powiedział: – Wielki to dla nas zaszczyt spotkać reprezentanta zwycięskich mocarstw...

– Milczeć! – zawołał brutalnie Hinrichsen i podniósł się. Podszedł do drzwi prowadzących do przedpokoju, w którym biwakowała obsługa radia. Rzucił parę słów po angielsku, po czym zamknął mocno drzwi. – No tak – powiedział – teraz możemy porozmawiać swobodnie.

Wskazał obydwu cywilom krzesła, usiedli wszyscy trzej. Po chwili zapytał: – Jesteście zdumieni, co?

– Słowo „zdumieni” – odezwał się Herbert Asch – jest absolutnie niewystarczające na określenie tego, co na pański widok odczuwam. Jakże pan to zrobił? Jak pan mógł, pan ze swoją przeszłością, włożyć na siebie ten mundur?

– Zupełnie po prostu – odparł Hinrichsen częstując swoich gości amerykańskimi papierosami, – Dzięki stosunkom, znajomościom! Podporucznik Brack polecił mnie bardzo ciepło oswobodzicielom; trzeba wam wiedzieć, że szwagier podporucznika Bracka jest wielką rybą w armii amerykańskiej.

– Przecież podporucznik Brack zna pana. zaledwie z nazwiska – powiedział Her-

bert Asch. – Wcale nie wie, kim pan właściwie jest.

– To właśnie było dla mnie szczęściem! – Hinrichsen roześmiał się, ale nie było w tym śmiechu radości. – Jeżeli chodzi o podporucznika Bracka, który za mnie zaręczył, to zrobił to, zdaje się, dlatego, ponieważ wpłynął na niego ktoś inny. Zgadnijcie kto taki!

– W takim razie to bydlę zupełnie źle mnie zrozumiało! – zawołał Herbert nie posiadając się ze zdumienia.

– A więc to ty polecieś Hinrichsena? – ryknął Kowalski bawiąc się po królewsku tym, czego był świadkiem. – Powtórz jeszcze raz.

– Powiedziałem tylko Brackowi, żeby się panem zajął, że jest pan przyzwoitym człowiekiem i zasługuje pan na to, by się panem zaopiekować. Mówiąc to miałem na myśli tylko pańską ranę, którą odniósł pan w śmiertelnym tańcu jak typowy bohater z czytanek dla dzieci. Nie mogłem przecież wiedzieć, że pan tak szybko wróci do zdrowia i że zajmie pan takie stanowisko.

– No cóż, ma rozmach – powiedział Kowalski z uśmiechem.

– Panie Hinrichsen, czy zdaje się panu naprawdę, że to się dobrze skończy, że będzie mogło trwać długo? Jeżeli to moja wina, że włożył pan ten mundur, w takim razie będę musiał postarać się o to, żeby go pan jak najprędzej znowu powiesił na kołku.

– Czy złapał pan może tego wieprza Hauka? – zapytał twardo Hinrichsen.

– Nie – odparł Asch. – Hauka pochwycić się nie udało. Złapaliśmy tylko Greifera, wisi teraz z tyłu za koszarami.

– Przynajmniej jeden! – wykrzyknął zawzięty Hinrichsen.

– A co będzie z tym głównym bydlakiem?

Herbert Asch wzruszył ramionami. Kowalski miał minę szczerze zmartwioną. Wszyscy trzej palili bez przerwy.

– Widzicie, moi drodzy – powiedział Hinrichsen – tylko z powodu tej kanalii włożyłem na siebie ten mundur. Wiem dobrze, że nie będę go mógł nosić długo, że godziny moje są policzone, ale jest mi to obojętne. Sądziłem, że go odnajdę! Ale nie odnalazłem go.

– Musi być u Amerykanów – powiedział Herbert Asch. – Następowalem mu na pięty, oddał się do niewoli dziś po południu, niedaleko stąd.

Hinrichsen pokiwał głową. – Kazałem sobie przedłożyć listę nazwisk wszystkich wziętych do niewoli wyższych oficerów. Oto one! Nie ma wśród nich nazwiska pułkownika Hauka.

– Wielka sztuka! – wykrzyknął były bombardier. – Przecież to zupełnie proste, pan przypuszcza z pewnością, że nazywam się Kowalski i jestem bombardierem. Gdzie tam. Zgodnie z dowodami nazywam się Brahm i jestem geometrą.

– Ta kanalia mogła to zrobić – powiedział Hinrichsen. – Z pewnością zmienił nazwisko.

– Zgadza się – oświadczył Kowalski. – Nie nazywa się teraz Hauk. Nazwisko jego brzmi Hochheim.

Hinrichsen sięgnął po listę z nazwiskami. Wodził przez chwilę po papierze grubymi palcami, które lekko drżały. W pewnej chwili powiedział, ciężko oddychając: – Zgadza się. Pułkownik Hochheim egzystuje.

– Czy potrafi go pan odnaleźć? – zapytał Asch.

– Muszę spróbować – powiedział Hinrichsen.

– Czy możemy być panu w tym pomocni?

– Nie wiem. Może.

Opasły Hinrichsen stał się znowu majorem Hinrichsenem, który niedawno dowodził chcącymi się przedrzeć oddziałami. Kontury jego tęgiej twarzy zaostrzyły się. W oczach pojawiły się zimne błyski, fałdy na czole zdradzały skupienie. Był zdecydowany rozwiązać z całym nakładem sił ostatnie zadanie, które sobie w życiu postawił.

– Zastrzelę go jak psa – powiedział.

– Musi go pan mieć naprzód w zasięgu strzału.

– W tym sęk – odparł Hinrichsen. – Trzeba się będzie z tym uporać.

Nocny ruch w koszarach artylerii, w których mieścił się teraz obóz jeńców, nie był zbyt wielki. Obóz składał się z trzech baraków na skraju placu ćwiczeń. Baraki były do tego celu przystosowane, tylko że straż miała do niedawna takie same mundury, jakie obecnie nosili na sobie jeńcy.

W barakach tych żołnierze rozlokowani byli na razie jeszcze stosunkowo wygodnie. Część ich leżała na prowizorycznych drewnianych łózkach, część rozłożyła się pokotem na podłodze. Próbowali zasnąć, ale tylko niewielu się to udawało. Większość drzemała.

Dokoła baraków ciągnął się drut kolczasty, na dwóch przeciwległych końcach stały wieże wartownicze wysokości trzech metrów dwadzieścia. Na tych wieżach oraz na zewnątrz drutu kolczastego zanudzało się sześciu amerykańskich żołnierzy pełniących służbę wartowniczą. Raz po raz nawiązywali ze sobą sprośne rozmówki, ale po niedługim czasie zabrakło im do nich tematu. Poza tym byli zmęczeni. Interesowało ich jedynie pytanie, kiedy nareszcie nastąpi zmiana.

Koledzy ich w liczbie około czterdziestu mieli do dyspozycji całe koszary. Woleli jednak spać w pobliżu swego „szefa”. A ten, jakiś podporucznik, rozlokował się w byłym kasynie oficerskim. Ten podporucznik, który nie odczuwał zbyt wielkiej ochoty do niepotrzebnego dramatyzowania wojny, mianował wedle wypróbowanej metody „niemiecką komendę obozu”, która była za wszystko odpowiedzialna.

Kiedy przyprawiano nowych jeńców, co tej nocy nie powtarzało się zbyt często, dyżurny sierżant kazał im zbierać się przed kasynem oficerskim i na razie czekać. Potem meldował „szefowi” liczbę generałów, oficerów, podoficerów i szeregowców. Podporucznik wciągał te liczby do swego wykazu, po czym niedbałym ruchem ręki

przekazywał jeńców „niemieckiej komendzie obozu”.

Niemieckim komendantem obozu został kapitan Schulz. Amerykański podporucznik nie mógł znaleźć bardziej odpowiedniego człowieka na to stanowisko. Niezawodnym instynktem, właściwym zawodowym żołnierzom niezależnie od noszonego przypadkiem munduru, wyczuł kwalifikacje Schulza i nie wahał się ani chwili, żeby je wykorzystać.

– Mianuję pana niemieckim komendantem obozu – powiedział podporucznik.

– Dziękuję panu za zaufanie – odparł Schulz.

Od tej chwili założone zostały podwaliny pod wzorową organizację, którą można było spokojnie nazwać pruską.

Pierwsza czynność urzędowa kapitana Schulza polegała na tym, że zajął dwa najbardziej korzystnie położone pomieszczenia – jedno dla „niemieckiej komendy”, drugie dla „niemieckiego komendanta obozu”, czyli dla siebie. Potem, pomny swoich oficerskich obowiązków, postarał się o oddzielne pomieszczenia a) dla generałów, b) dla starszych oficerów i oficerów sztabu, od kapitana wzwyż, c) dla oficerów młodszych rangą. Pozostałych zorganizował w grupy liczące po stu ludzi, zebrał już prawie trzy takie grupy. Mianował „setników”, których tytułował również dowódcami kompanii. Dowódcy kompanii mieli mianować dowódców plutonów, a ci znowu mianowali komendantów izb.

Kiedy Schulz zorientował się do pewnego stopnia, czego dokonał, zatęsknił za uznaniem, za przychylnością przełożonych, za pochwałą z ust znawców. Udał się do smętnego baraku, w którym umieszczony został generał-major Luschke. Tu zameldował się z wzorową, właściwą podwładnym sprężystością. Zdawało się, że w ciągu ostatnich godzin nic a nic się dla niego nie zmieniło.

– Pan generał pozwoli, żebym go poinformował, jakie kroki organizacyjne zostały przedsięwzięte.

Siedzący na sienniku generał spojrział nań ze zdumieniem. Potem powiedział: – Może pan mówić do mnie spokojnie: Luschke. A jeżeli pana to bawi, może mnie pan nazywać Bulwą.

Schulz pokonał iście po męsku swe zmieszanie. Wybębnił: – Oczywiście pan generał zostaje dla mnie na zawsze moim przełożonym.

– Nie jestem już pańskim przełożonym – oświadczył Luschke – i sprawia mi to wielką przyjemność.

– Pan generał jest w obozie najstarszym oficerem! – ryknął Schulz podkreślając swój respekt.

– Zawsze ktoś nim być musi – powiedział Luschke ze spokojem. – Jeżeli jednak o mnie chodzi, to uważam się teraz wyłącznie za jeńca wojennego, takiego samego jak wszyscy inni. Proszę to wziąć pod uwagę.

– Czy mam przez to rozumieć – zapytał głęboko urażony Schulz – że pan generał potępia moją działalność?

– Skądże znowu – odparł Luschke. – Wcale pańskiej działalności nie potępiam i nie dziwi mnie, że właśnie pan taką działalność uprawia. Wszędzie, gdzie są ludzie stłoczeni jak śledzie, nieodzowna jest organizacja. Oczywiście jako środek do celu. A cel – to wspólnie przeżyć ten okres. Nie jestem temu przeciwny. Dlaczegoż jednak trzeba ciągle żyć tak, jak by się było w beczce ze śledziami?

Skonsternowany Schulz wycofał się i w duchu skreślił generała ze swej żołnierskiej listy. Udał się do sąsiedniego baraku, w którym umieszczony został oficer najwyższy stopniem po generale Luschkem. Schulz miał nadzieję, że u pułkownika Hochheima, który przybył dopiero niedawno do obozu, znajdzie więcej zrozumienia. Znalazł nie tylko zrozumienie, ale i koleżeńską aprobatę. Jakkolwiek Hochheim na pozór zachowywał rezerwę, był chłodny i nieprzystępny, jak na pułkownika przystało, wykazał jednak duże zainteresowanie dla Schulza, dla urzędu, który sprawował, kroków, które miał zamiar przedsięwziąć. Żołnierskie serce kapitana Schulza zaczęło uderzać raźniej i radośniej.

– Jestem przekonany – powiedział pułkownik Hochheim z łaskawą aprobatą – że jest pan właściwym człowiekiem na tym stanowisku.

– Jeżeli pan pułkownik pozwoli, będę stałe składać meldunki. – Ależ nawet proszę pana o to. – powiedział pułkownik, po czym położył się na swym materacu i leżąc na wznak, podobny do woskowej lalki, utkwiał wzrok w suficie.

Schulz, wzbogacony o nowe przeżycie natury wojskowej, udał się do komendy obozu, gdzie czterej osobiście przez niego dobrani pomocnicy siedzieli całkowicie beczynnie. Schulz rozkazał jednemu sporządzić nowe listy; drugi miał mu przy tym pomagać; trzeci otrzymał rozkaz pilnowania zapasowej latryny i śledzenia wszystkiego, co się dzieje w campie {14} – Schulz używał obecnie wyłącznie określenia camp – czwarty miał pilnować bramy campu. Z kolei Schulz udał się do pokoju przeznaczanego dla komendanta obozu i zabrał się do opracowywania regulaminu obozowego.

Po niedługim czasie, kiedy już naszkicował dwanaście paragrafów, tuż przed północą, wezwano go do bramy obozu. Chwycił swoją listę, przygotowany na to, że ze swym amerykańskim kolegą w stopniu podporucznika zajmie się porównaniem cyfr. Wybiegł na dwór i – uchwycony od razu przez reflektory – w godnej postawie udał się pod bramę.

Spotkała go tam niespodzianka. Zamiast podporucznika, sierżanta i dwóch żołnierzy eskorty stali tam dwaj uzbrojeni po zęby żandarmi oraz trzech żołnierze w bojowym rynsztunku, a pośrodku nich jakiś człowiek w mundurze amerykańskim bez odznak.

– Oto niemiecki komendant obozu, mister James – powiedział podporucznik.

– Czy wśród jeńców znajduje się generał-major Luschke? – zapytał James I.

– Tak jest – oświadczył Schulz. – Barak numer I, izba A.

– Zaprowadźcie mnie do niego.

Otworzono bramę, eskorta pozostała, a reszta z Schulzem i Jamesem I na czele ruszyła w stronę baraku. Schulz pobiegł naprzód, otworzył szeroko drzwi i wskazał na generała, który siedział nieruchomo na sienniku.

James I rozkraczywszy nogi, spoglądając z góry stanął przed Luschkem i zapytał: – Czy z pana zarządzenia tuż przed wejściem naszych wojsk powieszono niejakiego porucznika Greifera?

– Tak – odparł prosto Luschke.

– Czy ma pan coś do powiedzenia na swoją obronę?

– Nie.

– Skoro sprawa tak wygląda – oświadczył James I całkowicie pewny swego, posługując się takim tonem, jakby obwieszczał wyrok – jest pan zbrodniarzem wojennym.

– Kim?

– Zbrodniarzem wojennym. Rejestrujemy takich ludzi jako war criminals – zbrodniarzy wojennych. Czy pragnie się pan wytłumaczyć?

– Nie – odparł generał z uśmiechem. – Przed panem nie.

Magdo – powiedział Wedelmann i pogłaskał czule ramię swej młodej żony – ciągle jeszcze nie chcesz się położyć?

– Nie – odparła Magda spoglądając w światło świecy stojącej na stole w pokoju starego Ascha. – Nie jestem jeszcze zmęczona.

Siedzieli na kanapie, bardzo blisko siebie. W skórzanym fotelu stojącym w kącie pokoju na pół leżał stary Asch. Rozkraczywszy szeroko nogi chrapał melodyjnie. Barbara krzątała się w kuchni, zajęta przygotowywaniem kanapek.

– Nie chce nam przeszkadzać – powiedział Wedelmann nasłuchując.

– Jest bardzo delikatna – zauważyła Magda.

– Gdyby jej nie było – odezwał się Wedelmann przytłumionym głosem, jakby do siebie – moglibyśmy spać razem.

– Mamy jeszcze przed sobą wiele nocy – odparła Magda nie patrząc na niego.

Wedelmann skinął głową. Po chwili powiedział: – Teraz wiem, jak trzeba żyć. To zupełnie proste. Inaczej niż dotychczas. Zupełnie inaczej!

– Czy potrafisz zapomnieć o wszystkim?

– Już zapomniałem.

Magda otworzyła usta, po chwili zamknęła je. Wreszcie jednak zapytała ze staraniem ukrywaną trwogą: – O wszystkim? O Lorze Schulz także?

Wedelmann cofnął rękę, którą delikatnie opierał na jej ramieniu. W oczach jego pojawił się wyraz smutku i bezradności. – To ty – powiedział z udręką – nie możesz zapomnieć. – I dodał gwałtownie: – Nie potrafisz również zapomnieć o tym, co było w twoim życiu. Czyż nigdy nie potrafimy się oderwać od naszej przeszłości?

– Wszystko to jest takie ciężkie – powiedziała Magda głucho.

– I beznadziejne – dodał Wedelmann.

Patrzyli w migocące światło świecy. Stary Asch chrapał bez przerwy. Barbara ciągle krzątała się w kuchni. Poza tym nic nie było słychać.

– Jeżeli ci to ciąży – szepnęła Magda ledwie dosłyszalnie – jeżeli ci to ciąży choćby odrobinę, nie uważaj się za związanego ze mną. Proszę cię o to.

– Pobraliśmy się przecież.

– Ale małżeństwo nasze nie zostało jeszcze skonsumowane, a i Kościół nie pobłogosławił go jeszcze. Wedle prawa kanonicznego nawet sakrament małżeństwa może być unieważniony, jeżeli nie doszło do zbliżenia fizycznego.

– Nie wierzysz w przyszłość przy moim boku? Lękasz się?

– Kocham cię – szepnęła Magda. – Kocham cię tak bardzo, że potrafiłabym ci życzyć szczęścia z inną kobietą, skoro nie możesz być szczęśliwy ze mną.

– Kocham tylko ciebie – odparł Wedelmann z bezradną miną. – Ale te warunki, te przeklęte warunki zabierają mi wszystko – nadzieję, wiarę i siłę. Jestem pełen niepokoju i lęku. Nie umiem znaleźć wyjścia! Co mam robić?

Znowu umilkli. Cisza wokół nich stawała się coraz większa. Stary Asch nie chrapał teraz tak gwałtownie, z kuchni nie dochodziły żadne dźwięki. Na dole w mieście huczała jakaś ciężarówka. Poza tym było cicho – słyszeli tylko własny oddech.

Po upływie długich minut, w ciągu których płomień z sykiem wżerał się w świecę, usłyszeli, że ktoś włożył na dole klucz do drzwi wejściowych. Na schodach rozległy się kroki. Były to kroki Herberta Ascha. Stary Asch obudził się od razu, Barbara wyskoczyła z kuchni.

– Nareszcie, ty włóczęgo! – zawołał stary Asch starając się powiedzieć to dobrodusznie.

– A jak tam na dworze – bezpiecznie? – zapytała Barbara.

– Od lat nie zrobiłem tak spokojnego spaceru – odrzekł Herbert Asch, usiadł naprzeciw Wedelmannowi i zaczął mu się przyglądać. – Niemcy powłazili do mysich dziur, Amerykanie doskonale o tym wiedzą. Zbyt wiele mają zmysłu praktycznego i są zbyt leniwi, żeby pilnować pustych ulic.

– W takim razie miał pan szczęście – powiedział Wedelmann.

– A szczęście zawsze może się przydać.

– Przekąślibyś coś? – zapytał stary Asch, rad, że znowu ma syna pod swoim dachem. – Napiłbyś się czegoś, zanim pójdziesz spać?

– Tak, tak – powiedziała Barbara z rozbijającą szczerością.

– Chodźmy nareszcie spać.

– Nä spanie zawsze będzie czas – oświadczył Herbert Asch.

– Mam wrażenie, że ta noc będzie dla nas wszystkich bardzo długa i bezsenna.

– Dla mnie nie! – zawołał Wedelmann wyczuwając jakieś żądania, gotów jednak się przed nimi bronić.

– Przeciwnie, dla pana także.

– Na miłość boską! – zawołał stary Asch, w którym zrodziły się niedobre przeczu-

cia, – Dosyć już nabroiłeś i powinieneś być zadowolony, że możesz siedzieć tutaj zdrow i cały.

– Jest nam pan potrzebny, kapitanie Wedelmann – rzekł podporucznik Asch.

– Nie! – zawołała Magda.

Barbara stanęła za nią. – Czy to szaleństwo nigdy się nie skończy?

– Pułkownik Hauk – rzekł Herbert Asch nie spuszczać z Wedelmann'a oka – znajduje się tutaj, w tym mieście.

– Pułkownik Hauk – odparł ostro Wedelmann – nie mnie nie obchodzi. Nie znam go, nie chcę go poznać, nie chcę nic o nim wiedzieć.

– Bardzo słusznie! – wykrzyknął stary Asch.

– Czy pójdziemy nareszcie spać? – zapytała Barbara.

– Pójdziemy spać, prawda? – zwróciła się Magda do swego męża.

– Usuńcie się, moje panie! – zawołał Herbert Asch rozkazującym tonem. – Zejdźcie z pola walki. To sprawa czysto męska, która was nic nie obchodzi.

– Mój synu... – zaczął Asch.

– Nie mieszaj się do tego, ojczu. Najlepiej będzie, jeżeli zatkaś sobie uszy. Będziesz mógł przynajmniej powiedzieć później z czystym sumieniem, żeś nic o tym nie wiedział.

– Wyrzucę cię za drzwi, jeżeli nie...

– Uważam się za wyrzuconego. – Po tych słowach usiadł okrakiem na krześle i wyciągając rękę w stronę Wedelmann'a powiedział: – Potrzebujemy pana.

– Hauk nie jest wart tego, żeby się nim zajmował.

– A Luschke także nie? Generał został uznany za przestępcę wojennego. Czy wie pan, panie kapitanie Wedelmann, co to oznacza?

Wedelmann patrzył w milczeniu na Herberta Ascha. Potem spojrzął na Magdę szukającą jego wzroku. Milczał jeszcze ciągle.

– Chce pan pozostawić generała na lodzie? – zapytał Herbert Asch. – Co tam generał! Przecież tu chodzi o Luschkego! Chce się pan przyglądać temu, jak z naszego powodu stawiają go pod ścianę? Chce pan tego, panie kapitanie Wedelmann?

Magda spuściła głowę i nie patrząc na Wedelmann'a powiedziała: – Zrób tak, jak musisz.

Wedelmann wstał, skinął głową w stronę Herberta Ascha.

Po chwili wyszli.

Kapitan Ted Boernes należał do najbardziej pokojowych zwycięzców świata. Był przeciwnikiem tego, żeby słowo „oswobodzenie” wymawiane było z szerokim uśmiechem. „U ludzi o wyjątkowej inteligencji – mówił sobie – dopuszczalny jest łagodny uśmieszek”.

– Drogi panie Brack – oświadczył swemu gościowi – niech pan zawsze liczy się z ludzkimi słabościami. Nie twierdzę, że należy je przebaczać w każdych okolicznościach, chcę tylko przez to powiedzieć, że nigdy nie wolno tych słabości lekceważyć.

– W każdym razie – odparł Brack kręcąc się nerwowo na swym krześle – ten mi-ster James I nie jest idealnym reprezentantem pańskiej sprawy.

– Naszej sprawy – sprostował cierpliwie Ted Boernes – bo przecież pan również się nią zajmuje. Mam wrażenie, że się pan grubo myli przypuszczając, że poczciwy James I nie ma nic wspólnego z ideałami. Ma z nimi bardzo wiele wspólnego, jest idealistą. I to właśnie czyni go tak niebezpiecznym. Bo, jak się to przeważnie u ludzi tego pokroju zdarza – jest pozbawiony dobroci.

– Tu teoriami daleko nie zajdziemy, kapitanie. Nie docenia pan sytuacji.

– Ale znam i doceniam moich ludzi – powiedział skromnie Ted Boernes. – Poza tym są to teorie, które prowadzą do poznania rzeczywistości. Tak oto stoją sprawy, mój wielce szanowny panie, ale niech się pan jeszcze napije whisky, to najlepsza whisky na świecie, nie amerykańska... O czymże to mówiliśmy? Aha, o idealistach.

– Czy nie lepiej byłoby pomówić o Jamesie I?

– Właśnie do tego zmierzam – rzekł Boernes pobłażliwie. – A więc ci idealisci nie orientujący się w rzeczywistości napełniają mnie strachem. Stosunkowo łatwo ich wyhodować. Potrafią bez specjalnych trudności wmówić czeredzie dzieciaków, że bardzo to zaszczytne umierać za wolność. Czym jest umieranie, jest tym wszystkim idealistom wiadome. O tym, co należy rozumieć przez słowo „wolność”, nie wie żaden z nich. W związku z tą niewiedzą następuje zaćmienie umysłów; wolność to Gdańsk, wyrznięcie Żydów, zamknięcie hitlerowców, przyjaźń z dzielnymi Sowietami, likwidacja świń – partyzantów.

– Kapitanie – powiedział Brack spoglądając na zegarek – nie mamy wiele czasu do stracenia.

– Niech pana o to głowa nie boli – odparł Boernes i snuł dalej rozpoczęty wątek. – Można więc hodować idealistów jak oseski. Młodzież niezależnie od różnicy wieku nie myśli konsekwentnie, lęka się decyzji, nie posiada doświadczenia, zapomina szybko i chce w coś wierzyć. W ten sposób powstają stada idealistów, pożyteczne dla swej każdorazowej ojczyzny. Nieporównanie trudniej jednak znaleźć inny gatunek idealistów, na jakim mi zależy, a mianowicie ten, który przez swą dobroć, mądrość i nieprzekupność przyczynia się do chwały swej ojczyzny.

– Mister Boernes – rzekł Brack – szanując pańskie teorie gotów jestem, skoro panu na tym zależy, w dalszym ciągu nie odmawiać pewnego idealizmu nawet panu Jamesowi I. Mimo to sądzę, że powinien pan interweniować.

– Prześpijmy tę całą sprawę – zaproponował kapitan Boernes. – Jutro będzie wyglądała zupełnie inaczej.

– Może – rzekł Brack. – Inaczej, jeszcze bardziej zawile, bardziej nieprzyjemnie i niebezpiecznie.

Ted Boernes uśmiechnął się nie bez zrozumienia, rozbawiony tym młodzieńczym zapałem. Był przekonany, że ma rację. Liczył się z tym, że będzie miał z Jamesem I komplikacje, ale wierzył, że wszystko da się ułożyć przy pomocy zręcznego retuszu,

przejęcia spornej sprawy w swoje ręce, a najważniejsze – z upływem czasu.

– Czuje się pan tutaj zupełnie pewnie, kapitanie? – zapytał Brack.

– Czy nie mam do tego podstaw?

Ted Boernes, który wraz ze swoim małym sztabem zamieszkał na peryferiach w pobliżu lasku miejskiego przy ulicy Hindenburga 13, w willi kreisleitera, czuł się niezwykle pewnie. Większa część jego oddziałów specjalnych już pracowała. Pierwsze meldunki, które dotarły do niego drogą radiową, pozwalały przypuszczać, że sprawy rozwijały się pomyślnie. Tego, że również James I i James II nie zasypiają gruszek w popiele, dowodziła wyraźnie obecność Bracka. Gdyby nawet doszło do tłuczenia porcelany, nie grało to roli, gdyż kraj ten był pozbawiony porządnej porcelany. Tak, nie było już w Wielkich Niemczech dobrej porcelany.

– Zamiast obwarowywać się w swym zamku, winien pan patrzeć temu Jamesowi na palce – powiedział Brack dosyć szorstko.

Kapitan poczuł się tym zarzutem wyraźnie dotknięty. Nieco gorączkowym ruchem sięgnął po swe grube okulary, zaczął na nie ostrożnie chuchać, potem przetarł je chusteczką. Wszystko to odbywało się automatycznie.

– Przykro mi, jeżeli pana dotknąłem.

– Ależ, mój panie! – powiedział Boernes. – Zdarzało mi się już nieraz, że ludzie, którzy mogli być absolutnie pewni, iż stoi za nimi ważna figura w rodzaju pułkownika Thompsona – i to ludzie, którzy nawet nie byli tak jak pan jego szwagrami – próbowali traktować mnie jeszcze zupełnie inaczej. Na próby tego rodzaju reaguję zazwyczaj z całym spokojem, ale panu udało się mnie zaskoczyć.

– Mister Boernes, wiem dokładnie, jak niezwykła jest ta sytuacja. Niedawno jeszcze byłem podporucznikiem niemieckiego Wehrmachtu. Potem przy pomocy pułkownika Thompsona stałem się pańskim sprzymierzeńcem. A teraz siedzę naprzeciw pana i próbuję narzucić panu moje zdanie.

– To istotnie bardzo niezwykłe.

– Ale konieczne! Niech mi pan wierzy. Może pan doskonale znać Jamesa I, ale w tej sytuacji nie jest to wystarczające, ponieważ nie zna pan jego przeciwników. A tych znowu znam ja. Mister James popełnił parę niebezpiecznych błędów.

– Jakież to, pańskim zdaniem, błędy?

– Zacznę od błędu największej wagi. Mister James uznał generał-majora Luschkego za zbrodniarza wojennego.

– Niejeden generał zasługuje na to określenie.

– Ale najmniej taki człowiek jak Luschke.

– James I powiedziałby teraz na moim miejscu: „Nie jest pan bezstronny. Generał był pańskim bezpośrednim przełożonym i ciągle jeszcze odczuwa pan dla niego respekt.”

– Zasługuje na ten respekt. Poza tym Luschke brał udział w spisku z dnia dwudziestego lipca.

- Dlaczegoż, zapytałby teraz James I, hitlerowcy nie powiesili go wtedy.
- Generał został aresztowany i był kilkakrotnie przesłuchiwany. Ale okazał się dla nich za sprytny i musieli go wypuścić.
- James powiedziałby prawdopodobnie teraz, drogi mój Brack: „Przy przesłuchaniach musiała wyjść na jaw jego niewinność, a więc można uznać za rzecz pewną, że rebeliantem nie był.” Oznacza to w dalszym ciągu, że nawet hitlerowcy po gruntownym badaniu nie mogli zakwestionować jego lojalności wobec führera.
- Wszyscy znający generała żołnierze są oburzeni, że traktuje się go jako zbrodniarza wojennego.
- Wszyscy? – zapytał Ted Boernes ostrożnie. – Pan także?
- I ja także.
- Ale przecież ten generał Luschke kazał jeszcze w ostatniej chwili powiesić jednego ze swoich oficerów.
- Nie chodziło o jednego z oficerów generała – sprostował Brack – lecz o szubrawca i świntucha, który zasłużył na stryczek. Byłem przy tym obecny.
- Pan?
- Tak. Zaaprobowałem to. Więcej jeszcze – chciałem tego. Ted Boernes znowu nałożył z całym ceremoniałem okulary, jak gdyby uważał, że czas najwyższy ukryć za nimi oczy. „Jak ja to pułkownikowi Thompsonowi wytłumaczę” – pomyślał. Po chwili zapytał głośno: – Czego pan właściwie chce ode mnie?
- Dwóch rzeczy. Przede wszystkim zajmie się pan natychmiast tym, żeby generała Luschkego nie traktowano jak zbrodniarza wojennego. Przyjaciele jego przyjmą to z zadowoleniem. Po drugie, postawi pan natychmiast w stan oskarżenia pułkownika Hauka, który pod nazwiskiem Hochheima znajduje się w obozie jeńców. Jeżeli to się stanie, będzie można uwierzyć, że wojska amerykańskie starają się postępować sprawiedliwie.
- Użył pan – powiedział kapitan znacząco – dwukrotnie słowa „natychmiast”. Czy to przypadek?
- Nie – odparł Brack. – Radzę panu przedsięwziąć swoje kroki natychmiast.
- Czy to groźba?
- Proszę – powiedział Brack wymijająco – traktować moje rady serio.
- Zarządę dochodzenie – powiedział kapitan. – Już jutro rano.
- Jutro może być za późno, mister Boernes.
- Sąd o tym proszę mnie pozostawić. Dochodzenie, które ma doprowadzić do pomyślnego rezultatu, musi być dobrze przygotowane. Gdybym natychmiast, bezwzględnie, w tejże jeszcze godzinie zarządził to, co pan proponuje, musiałbym usunąć ze stanowiska Jamesa I. A tego zrobić na swoją odpowiedzialność nie mogę.
- Brack podniósł się. – W takim razie – powiedział – życzę panu jak najszczerzej dobrej nocy, ale obawiam się, że nie będzie dobra.

Bunt dwudziestu dziewięciu, pierwszy i prawdopodobnie jedyny bunt z bronią w

ręku, jaki się kiedykolwiek podniósł przeciw zwycięskim mocarstwom zachodnim, rozpoczął się w dziewięćdziesiąt minut po północy.

Plan rokoszu opracował major Hinrichsen, kierował nim kapitan Wedelmann, przeprowadzili go podporucznicy Asch i Brack, organizatorami byli bombardier Kowalski i bombardier Stamm. Kapral Soeft po raz ostatni w tej wojnie zajął się sprawą dostarczenia ludzi i materiału.

Bunt trwał trzy godziny.

Kocham tę damę – oświadczył bombardier Kowalski szerokim gestem wskazując na Lorę Schulz. – Ale gotów jestem poświęcić i tę miłość, żeby spełnić swój obowiązek, jak przystało na prawdziwego Niemca.

– Jesteś chyba najbezwstydniejszym szelmą, jakiego w życiu spotkałam – powiedziała z uśmiechem Lora Schulz.

– Niech go pani nie wychwala – odezwał się bombardier Stamm – gotów dostać manii wielkości.

– Ponieważ należę do rasy panów, nie byłoby w tym więc nic dziwnego! – powiedział Kowalski zacierając z zadowoleniem ręce. – A teraz do dzieła!

Lora Schulz podeszła do niego z nieufną miną. – Czy naprawdę nie kryje się w tym żadne świństwo, Kowalski?

– Daję uroczyste żołnierskie słowo honoru – zapewnił Kowalski z uśmiechem. – Zrobiliśmy tylko wspólny mały spacer po nocy, ale teraz jesteśmy u naszego pocztowego, niezwyciężonego Stamma i ten, moje złotko, da ci rzadką okazję pogawędzenia z pewnym szykownym Amerykaninem.

– Czy to naprawdę wszystko, czego ode mnie wymagacie?

– Wszystko, mój skarbie.

– A jeżeli mnie wyrzuci?

– Skądże znowu! – zawołał Kowalski podnosząc ręce takim gestem, jak by chciał zatrzymać pociąg pospieszny. – Prędzej świat zginie, aniżeli ciebie wyrzuci prawdziwy mężczyzna. Jesteś istną rozkoszą dla żołnierskich oczu, moje dziecko, a nigdy jeszcze prawdziwy wojak nie pytał kobiety, do jakiej należy narodowości. Z jednym wyjątkiem. Było to tak: Mieliśmy we Francji pewnego porucznika, który spał z pewną Alzatką. Otóż ten porucznik zdobył się na to, żeby w trakcie przerw bojowych apelować do poczucia narodowego tej małej, oczywiście do jej poczucia patriotyzmu niemieckiego. Ponieważ przypadkowo podsłuchiwalismy w sąsiednim pokoju, mogę najdokładniej powiedzieć co...

– Mamy niewiele czasu, Kowalski – wmieszał się Stamm.

– A więc, moja uroczą damo, spraw się dzielnie – powiedział Kowalski. – Uważaj, żeby coś jeszcze z ciebie pozostało.

– Tych paru Amerykanów... – odparła Lora z poczuciem wyższości.

– Gdybyśmy mieli jakieś dwie dywizje takich kobietek jak ty – oświadczył Kowalski – wygralibyśmy tę wojnę.

– Czas najwyższy! – naglił Stamm.

– Na cóż więc jeszcze czekasz? – zapytał go Kowalski. Stamm podszedł zdecydowanie do drzwi, zapukał, nie czekając na odpowiedź otworzył je i z przyjaznym uśmiechem ruszył w stronę Jamesa I i Jamesa II. Pierwszy pracował żarliwie, drugi przyglądał mu się ze znudzoną miną.

– Dama! – zaanonsował Stamm.

– Tak późno w nocy – zapytał James II.

– Dla takiej damy – zapewnił z emfazą Stamm – nigdy nie może być za późno.

– Za kogo pan nas właściwie uważa? – zapytał nastroszony James II.

– Chyba za mężczyzn – wtrącił James I z przedsiębiorczą miną. – A więc dawajcie tę damę.

– Protestuję – rzekł James II łagodnie.

– Nie uwzględnę twojego protestu, zanim nie obejrzę sobie tej damulki – odpowiedział James I.

Stamm skinął głową i zniknął. Po chwili pojawiła się Lora Schulz, stanęła przy drzwiach, żeby dać swoim obserwatorom sposobność dokładnego obejrzenia jej. Uśmiechała się przy tym lekko.

– Protest odrzucony, „pastorze”! – obwieścił James I. Potem zwrócił się do Lory Schulz ze słowami: – Proszę podejść bliżej, chyba pani nie sądzi, że kłamy.

– Na pewno nie? – zapytała Lora z miną niewiniątka, podchodząc krokiem dziewcząt z nocnych lokali. Uśmiechała się teraz szerzej, zdając sobie sprawę, jakie wrażenie wywarła przynajmniej na jednym z Amerykanów.

– Co mogę dla pani zrobić? – zapytał James I, gotowy do usług.

– Czy mogę usiąść?

– Gdzie pani tylko chce.

– Dziękuję – odparła Lora Schulz, usiadła na krześle, założyła nogę na nogę i wypięła okazały biust. Zachowywała się jak dziecko, które zobaczyło wielkiego misia.

– Jak się pani tu dostała? – zapytał James II. – Nikt pani nie zatrzymał? Nie naknęła się pani na żaden patrol?

– Czemu mamy zawdzięczać pani wizytę? – zapytał James I spoglądając z rozmarzeniem na jej nogi.

– Cieszę się, że tu jestem – odparła beztrąsko Lora Schulz. – Panowie podobają mi się.

– Miejmy nadzieję, że ja nie – mruknął James II z niechęcią.

– Czy musisz tutaj przeszkadzać? – zapytał James I. – Myślę, że jesteś zmęczony, śmiertelnie zmęczony pracą, którą ja wykonałem.

– Ożywiłam się powoli – odparł James II podnosząc głowę na podobieństwo myszy czującej zbliżanie się kota. – Muszę się czegoś napić.

– To nigdy nie zaszkodzi – powiedziała Lora.

James I zadzwonił na Stammę i kazał mu przynieść jeszcze jedną szklanekę; oka-

zało się to zbyt, gdyż bombardier już ją postawił na stole. James I skinął z zadowolonym głosem i obwieścił: – Nie chcę, by mi w ciągu najbliższej godziny przeszkadzano.

– Będzie dokładnie wykonane – oświadczył Stamm.

– Polecenie to – rzekł James II – do mnie się nie odnosi, mnie przeszkadzać wolno.

– Tak jest – powiedział Stamm i wyszedł.

James I przysunął trzy szklanki, napełnił je wodą sodową i whisky, po czym jedną ze szklanek podał Lorze Schulz. Drugą podsunął „pastorowi”. Trzecią opróżnił duszkiem.

– No tak – powiedział. – A więc zbliżamy się jakoś do siebie. Czemu to zawdzięczamy tę przyjemność, lady?

– Chcę podziękować.

– Bardzo jestem rad. Za cóż to?

– Za miłe i uprzejme potraktowanie mego męża.

– Mężów takich kobiet jak pani traktujemy zawsze miło i uprzejmie. A kim jest właściwie pani mąż?

– To kapitan Schulz. Znajduje się teraz w waszym obozie jeńców.

– Skąd pani to wiadomo? – zapytał James II.

– Mówi się o tym.

– Zdaje się, że tak jest istotnie – odparł James II niechętnie. – Zdziwiająca jest tempo, w jakim się te wiadomości rozprzestrzeniają.

– Wyglądasz naprawdę bardzo zmęczonego – rzekł James I. – Mówisz, „pastorze”, jak we śnie. – Zwracając się do Lory Schulz zapytał: – Pani jest bardzo o swego męża zatroskana, prawda?

– Nie zanadto – odrzekła Lora Schulz. – Mięwa się dobrze i to uspokaja moje sumienie.

– Sumienie ma pani także? – zapytał James II. – Cóż to za luksus w tych czasach!

James I odwrócił się i spojrzał ostro na „pastora”. Po chwili powiedział: – Przeszkadzasz mi! Czyżbyś miał ochotę na parę rund bez rękawic?

– W moich oczach – rzekł James II – jesteś już teraz k.o.

– Panowie są obaj bardzo zabawni – powiedziała Lora z uśmiechem. – Weseli mężczyźni zawsze bardzo mi się podobali. – A gdy na zewnątrz rozległ się jakiś hałas, Lora Schulz dodała: – Macie panowie obaj zdrowe zęby.

– Jego użębienie – rzekł James I wysuwając podbródek w kierunku „pastora” – jest w niebezpieczeństwie. Jeżeli nie zmieni wyrazu twarzy, powybijam mu zęby.

– Cóż to tam za hałas? – zapytał James II.

– Pójdź i zobacz – wezwał go James I z uśmiechem.

– Naprawdę chce nas pan zostawić samych? – zapytała Lora Schulz wyzywająco łagodnie.

James II został. Skulony na swym krześle wyglądał na jeszcze mniejszego, aniżeli był w istocie. Oczy jego błyszcząły złowrogo. Obwąchał swoją whisky i parsknął groźnie.

James I przysunął się do Lory Schulz, która nie zdradzała najmniejszej ochoty, żeby się odsunąć. Pochyleni ku sobie gawędzili naprzód o zaletach dobrych trunków, potem o korzystnych okazjach i ludzkich słabościach, wreszcie przeszli na temat małżeństw, które w tych burzliwych czasach właściwie nie były już małżeństwami i łatwo się rozpadały. Krótko mówiąc, para ta zbliżyła się do siebie czysto po ludzku, f w ogóle.

– Podoba mi się pani – zapewnił James I.

– Polega to na wzajemności – odparła Lora mrucząc jak kotka.

– Podobacie mi się oboje – powiedział James II z gniewną miną.

Drzwi się otworzyły, wszedł Hinrichsen. W dalszym ciągu miał na sobie mundur amerykański bez odznak, ale na mundur ten narzucony był szarozielony wojskowy płaszcz z naramiennikami majora wielkoniemieckiego Wehrmachtu. Podeszedł do obu Amerykanów z miną niemal uroczystą.

– Cóż to takiego? – zapytał James I z trudem ukrywając swe zdumienie. – Co ma oznaczać ta maskarada?

– To nie maskarada – powiedział major Hinrichsen.

– Wypił pan chyba za wiele? – zapytał James I nie orientując się, jak ma reagować na ten dziwaczny strój majora. – Niechże pan da już spokój tej teatralnej błazenadzie i położy się spać, żeby alkohol z pana wyparował.

– Proszę – powiedział sztywno i niewzruszenie Hinrichsen – o wydanie jeńca, pułkownika Hauka.

– Cóż ty na to, „pastorze”? – zapytał James I, który zaczął powoli wyczuwać, że to, co mu się wydawało widowiskiem teatralnym, nie ma w sobie nic z farsy, że chodzi o coś zupełnie innego, trudnego do ujęcia, wprost nieprawdopodobnego. – Cóż na to powiesz, człowieku?

– Nic – odparł James II patrząc ze skupieniem przed siebie.

– Proszę natychmiast zdjąć z siebie ten zafajdany strój! – zawołał James I z irytacją.

– Nie docenia pan sytuacji. My, żołnierze niemieckiego Wehrmachtu, znowu przejęliśmy tutaj władzę. To miasto zmieniło tylko właściciela, co się na wojnie zdarza.

– Hinrichsen! – zawołał James I niemal błagalnie. – Wydaje się, że nie zdaje sobie pan sprawy z tego, co pań ryzykuje. Jeżeli pan nie skończy natychmiast z tą maskaradą, będzie pan jutro trupem.

– To moja sprawa.

– Hinrichsen, jeżeli natychmiast nie...

– Beznadziejne – powiedział James II ze spokojem. – W tej chwili nic nie da się z

nim zrobić.

James I stał rozkraczywszy nogi, z wciągniętymi ramionami, jak bokser pierwszej klasy, gotowy w każdej chwili do druzgocącego ciosu. Przerazona Lora Schulz cofnęła się nieco. James II nie spuszczaając wzroku z Hinrichsena opróżnił powoli swoją szklanę.

Major otworzył drzwi. W sieni stali dwaj uzbrojeni żołnierze niemieccy. Hinrichsen otworzył okno. James I skoczył ku oknu i ze zdumieniem zobaczył obok amerykańskiego wozu radiowego dwóch uzbrojonych żołnierzy niemieckich.

– Eskorta pańska – powiedział Hinrichsen – została ujęta. Czy wyda pan teraz pułkownika Hauka?

– Nie! – ryknął James I.

Podporucznik Brack, również w mundurze niemieckim i w pełnym uzbrojeniu, wszedł do pokoju i powiedział do Hinrichsena: – Jak dotąd wszystko w porządku.

Na ten widok Jamesowi I jak by odjęło mowę. Zacisnął pięści.

– Nie cytuj teraz Szekspira – rzekł James II z goryczą. – Nie odgrywaj roli Juliusza Cezara: „I ty, Brutusie!”

– Ubolewam nad tym, co się stało – powiedział podporucznik Brack – ale było to konieczne.

– Jeszcze niejedno będzie konieczne – warknął James I. – Chyba nie myśli pan serio, że to może trwać wiecznie.

– Nie, wiecznie na pewno nie – powiedział podporucznik Brack – ale z pewnością dobrych parę godzin.

– To wystarczy – oświadczył twardo Hinrichsen. – Powtarzam więc swoje żądanie: Proszę mi wydać pułkownika Hauka.

– Pułkownika Hauka i generał-majora Luschkego – rzekł podporucznik Brack.

– Nigdy! – zawołał James I.

Podporucznik Asch, również w pełnym umundurowaniu, wszedł do pomieszczenia. – Dajcie nareszcie spokój tym wrzaskom – oświadczył. – Czyżbyście chcieli spędzić tutaj całą noc?

– Do kroćset diabłów! – krzyknął James I, na pół przytomny.

– I mnie – zawołał bombardier Stamm, ukazując w na pół otwartych drzwiach swe uśmiechnięte oblicze – i mnie również tutaj unieruchomili.

– A co będzie – zapytał James II – jeżeli wydamy wam pułkownika Hauka i generał-majora Luschkego?

– Zabraniam pertraktować z tymi hitlerowskimi partyzantami! – wrzasnął James I.

– Co będzie wtedy? – powtórzył swe pytanie James II.

– Wtedy – odparł Hinrichsen – dawny stan rzeczy zostanie przywrócony najpóźniej w ciągu dwóch godzin. A my wszyscy oddamy się do niewoli.

– Warto byłoby pomówić na ten temat – rzekł James II rzeczowym tonem.

– Nigdy! – zaskrzeczał James I. – Na mnie spoczywa odpowiedzialność, ja tu decyduję i oświadczam: Nigdy!

– W takim razie – rzekł Hinrichsen – będziemy musieli poradzić sobie również z wartownikami pilnującymi obozu jeńców. Nie pójdzie to tak łatwo, będą może zabić ci, ale cóż, jeżeli pan nie chce inaczej.

– To obłąd – wyjąkał James I bezdźwięcznie. – Zupełny obłąd.

– Jesteście więc, panowie, jeńcami – powiedział Hinrichsen do obu Amerykanów. Potem zwrócił się ceremonialnym gestem do Bracka: – Panie podporuczniku, proszę przejąć jeńców i dostarczyć ich do więzienia.

– Tak jest – powiedział podporucznik Brack i musnął dwoma palcami daszek swej czapki. – A więc, moi panowie, idziemy.

Kapitan Wedelmann, który kierował operacją dwudziestu dziewięciu w milczeniu, z świadomością celu i tak, jak by ani na sekundę nie przestał wydawać rozkazów, zajął się tym drażliwym przedsięwzięciem z opanowaniem zdradzającym wysoką szkołę generała Luschkego.

Polecenia Wedelmanna odznaczały się właściwą mu precyzją. Wystarczyło piętnaście minut, by doskonale zorientował się w sytuacji, którą później całkowicie opanował.

Major Hinrichsen był dla Wedelmanna w tej wojskowej rozgrywce szachowej jedynie figurą, wprawdzie ciężko się poruszającą, ale niezwykle ważną. Podporucznicy Asch i Brack zostali od razu włączeni jako ludzie, na których można bezwzględnie polegać. Jedynie bombardier Kowalski otrzymał wolną rękę; należało z góry liczyć się z jego wyskokami.

Pokaźna część tych dwudziestu dziewięciu rekrutowała się z rezerw Soefta. Motywy, które skłoniły tych żołnierzy do zgłoszenia się na ochotnika, były z gruntu różne. Jednym nie odpowiadała cisza szpitalna, inni liczyli na ostateczne zwycięstwo i bogate łupy; akcja ta była dla nich przedsięwzięciem wprawdzie nieco spóźnionym, ale nie beznadziejnym. Byli i tacy, którzy poszli za wezwaniem Wedelmanna, oraz tacy, i to w większej ilości, którzy bez namysłu przyłączyli się do podporucznika Ascha. Wielu zgłosiło się w przeświadczeniu, że kazał im to uczynić generał.

Kapral Soeft posunął się nawet tak daleko, że poświęcił jeden ze swoich pięciu składów broni. Przy tej okazji pozwolił sobie na kilka sformułowań, które brzmiały niemal patriotycznie. Kto go jednak choć trochę znał, wiedział, że Soeft myśli tylko i wyłącznie o swoich transakcjach. Chciał pozostać „w interesie”, Nikt jeszcze nie orientował się, jak ta sprawa będzie wyglądała w praktyce. Wedelmannowi, znającemu dokładnie swoje zadanie, było to obojętne. Miał osiągnąć określony cel i chyba mu się to uda. Jakimi środkami dojdzie do tego celu, było sprawą drugorzędną.

Operacje dwudziestu dziewięciu skoncentrowały się na razie na kwaterze głównej CIC, mieszczącej się w budynku byłej niemieckiej komendantury. Akcja ta została ukończona po trzydziestu czterech minutach bez żadnych niedociągnięć i strat. Stało

się to dzięki Hinrichsenowi i Brackowi, których „pełnomocnictwa specjalne”, mundury oraz opanowanie języka angielskiego okazały się bezcenne.

Najbliższym i rozstrzygającym punktem ataku był oddział amerykański strzegący obozu niemieckich jeńców. Wedelmann nakreślił od ręki szkic sytuacyjny i wydał następujące zarządzenia:

1. Godzina X minut zero: Major Hinrichsen wkracza w mundurze amerykańskim do koszar artylerii i wciąga w rozmowę wartownika przy bramie. Grupy Bracka i Ascha stoją gotowe do działania w sklepach naprzeciw wejścia do koszar.

2. Godzina X minut pięć: Major Hinrichsen, jeżeli to możliwe razem z wartownikiem, wchodzi do wartowni. Grupa Bracka wkracza tuż za nim i bierze do niewoli żołnierzy znajdujących się w wartowni. Patrol wydzielony pod dowództwem podporucznika Bracka obsadza kasyno oficerskie i zatrzymuje tam amerykańskiego podporucznika oraz jego sierżanta. Grupa Ascha przebija się poprzez wartownię do budynku sztabu i zatrzymuje stacjonujących tam żołnierzy amerykańskich.

3. Godzina X minut piętnaście: Umieszczenie wartowników amerykańskich w celach na wartowni. Dwóch ludzi z grupy Ascha obejmuje nad nimi straż. Czterech ludzi z grupy Bracka ubezpiecza wejście i drogę do kasyna oficerskiego.

4. Godzina X minut dwadzieścia: Major Hinrichsen, wciąż jeszcze w mundurze amerykańskim, przybywa pod bramę obozu jeńców i stara się zgrupować wokół siebie możliwie największą liczbę wartowników amerykańskich. Grupa Ascha obejmuje wieżę wartowniczą A, grupa Bracka wieżę wartowniczą B.

5. Godzina X minut trzydzieści pięć: Rozbrojenie Amerykanów jest zakończone. Wzięci do niewoli żołnierze niemieccy otrzymują swobodę ruchów, z której mogą korzystać według swego uznania. Samochód generał-majora Luschkego, kierowany przez bombardiera Kowalskiego, zajeżdża przed bramę. Pułkownik Hauk zostaje wydany majorowi Hinrichsenowi.

6. Major Hinrichsen otrzymuje pełnię władzy nad pułkownikiem Haukiem na przeciąg piętnastu minut.

Podporucznik Brack pozostaje do dyspozycji generał-majora Luschkego.

Podporucznik Asch towarzyszy majorowi Hinrichsenowi.

Kapitan Wedelmann skupia swoją uwagę na wziętych do niewoli żołnierzach amerykańskich.

Plac ćwiczeń należy pozostawić wolny. Grupa Ascha ubezpiecza od północy i zachodu, grupa Bracka od południa i wschodu.

Bombardier Stamm zapewnia łączność przez gońców.

7. Godzina X plus jedna godzina: Akcja „Koszary” ukończona. Rozwiązanie oddziału. Żołnierze strzegący Amerykanów pozostają jeszcze dziesięć minut, po czym się rozchodzą.

Kapitan Wedelmann zakończył swój rozkaz dokładnie tak, jak się tego nauczył w szkole oficerskiej i u generał-majora Luschkego: – Ja sam znajduję się wraz z grupą

rezerwową w czasie pierwszych trzydziestu minut przy bramie koszar artyleryjskich, a następnie pod bramą obozu jeńców.

Plac ćwiczeń koszar artyleryjskich zgodnie z planem pozostał na przeciąg piętnastu minut wolny dla majora Hinrichsena i pułkownika Hauka. Reflektory oświetlały udeptaną ziemię. Umieszczone na samochodach i wieżach wartowniczych, rzucały światło na przestrzeń będącą swego czasu jakby taśmą ruchomą, na której zamieniano ludzi w żołnierzy.

Hinrichsen kazał przywlec pułkownika Hauka. Hauk stał teraz bez słowa na środku placu z półzamkniętymi oczyma; wydawało się, że czegoś nasłuchuje. Nie ruszał się. Ramiona mu nieco zwisały, wyglądał jak człowiek, który z miną świadcząca o niewygasłej jeszcze bucie dźwiga ciężar, do jakiego nie przywykł.

Podporucznik Asch podał majorowi Hinrichsenowi, ciągle jeszcze ubranemu w amerykański mundur bez oznak, czapkę, pas oficerski i płaszcz. Hinrichsen narzucił sztywną prawą ręką szarozielony płaszcz oficerski i zaczął go zapinać.

– Pańska decyzja pozostaje dalej w mocy? – zapytał Asch.

– Moje postanowienie jest nieodwołalne odrzekł major Hinrichsen.

– Niechże się pan dobrze spisze – powiedział podporucznik Asch i wycofał się.

Hinrichsen, rosły, ociężały, podszedł nieco chwiejnym krokiem do Hauka. Wydawało się, że dźwiganie potężnego cielska jest dla jego nóg istną męką.

– Weźmiemy pistolety maszynowe – oznajmił.

– Czego pan chce ode mnie? – zapytał Hauk.

– Chcę pana zastrzelić – rzekł Hinrichsen. – Ale daję panu szansę bronięcia się, jakkolwiek pan na to nie zasługuje.

– To morderstwo – zaprotestował pułkownik Hauk.

– To sprawiedliwość – rzekł major Hinrichsen.

Jeden z żołnierzy przyniósł z polecenia podporucznika Ascha dwa pistolety maszynowe, które zabrał wartownikowi amerykańskiemu. Na znak dany przez Hinrichsena złożył je na ziemi w równej odległości od obu oficerów.

– Niech pan wybiera – powiedział major Hinrichsen. Pułkownik Hauk milczał. Patrzył nieruchomym wzrokiem na leżącą pod jego nogami broń, potem spojrzał na Hinrichsena, ale zaraz znowu odwrócił wzrok. Mrużąc oczy popatrzył w światło reflektorów i po obu stronach murów ujrzał uzbrojonych i nie uzbrojonych żołnierzy niemieckich. Ta ciemna, zwarta, niema masa była dla niego groźnym memento.

– Gdyby pan próbował wiać – oświadczył podporucznik Asch tak głośno, że słychać go było na całym placu – zastrzelę pana jak psa.

– Skoro nie chce pan wybrać broni – powiedział Hinrichsen – ja zrobię początek.

Sapiąc pochylił się i podniósł pistolet maszynowy, który sprawdził fachowymi ruchami rąk. Wyprostował się i pokazał broń Haukowi. – Tu po lewej stronie nad spustem jest bezpiecznik. Mechanizm działa podobnie jak w naszych pistoletach maszynowych. Jak długo naciska się spust, tak długo broń strzela. Muszka ma pierścień

ochronny, celownik jest zmienny. Obydwa magazynki są pełne.

– To, co pan chce uczynić, jest morderstwem – powiedział szeptem pułkownik.

– Ja nie morduję jak pan, ja walczę. – Hinrichsen odsunął bezpiecznik. – Nasze szanse są równe. Obaj nie mamy wprawy w użyciu tej broni, prawie jej nie znamy. Gdyby pan chciał twierdzić, że mam większe doświadczenie od pana, to nie będę pytać, dlaczego pan nie ma doświadczenia bojowego, lecz powiem panu tylko: Strzelam lewą ręką, prawą w wyniku pańskich starań nie mogę poruszać.

– Nie będę się bronił – powiedział pułkownik Hauk.

– Zmuszę pana do tego – rzekł Hinrichsen. – Weźmiemy odległość stu metrów.

Hinrichsen wziął pistolet maszynowy pod lewe ramię, odwrócił się niezgrabnie i zaczął iść równym krokiem przez plac ćwiczeń. Miało się wrażenie, że to kroczy przez swój rejon myśliwski zamyślony człowiek, pozbawiony cienia nerwowości, nasłuchujący nocnych szelestów.

Brack stojący obok Ascha zapytał: – Czy on to zrobi?

– Nie może postąpić inaczej. Rozumiem go.

– Czy musi to uczynić?

– Myślę, że tak. – Podporucznik Asch patrzył na Hinrichsena ze współczuciem. – Żyje między dwiema epokami. Od chwili kiedy się załamał na moich oczach, pała tylko jedną żądzą: zabić tego łotra. Bo ten Hauk nie jest dla niego tylko mordercą, lecz wcieleniem owych sił, które z niego, zdecydowanego na honorową śmierć, zrobiły świntucha.

– Dlaczego nie zaczeka, aż tego Hauka postawią przed sądem?

– Przestał wierzyć w sprawiedliwość. Niemcy nie mogą już wydać wyroku na Hauka, a Amerykanie tego nie uczynią. Hinrichsen chce więc to sam załatwić.

– Nie mogę na to patrzeć, Asch.

– Niech się pan odwróci.

– Będę interweniować.

– Jeżeliby pan tego spróbował – rzekł Asch niedwuznacznie – potrafię panu w tym przeszkodzić. Naliczyłem przeszło dwudziestu zabitych, niektórzy zginęli w moich oczach. Wszyscy byli towarzyszami Hinrichsena. Ten rachunek musi być wyrównany.

Major Hinrichsen zatrzymał się. Odwrócił się powoli, przyłożył swój pistolet maszynowy, do biodra i zawołał w kierunku Hauka: – Gotowe!

Hauk nie ruszał się z miejsca. Jego pistolet maszynowy leżał ciągle jeszcze na ziemi. Twarz jego była w świetle reflektora kredowobiała; wydawało się, że już nie żyje.

Major Hinrichsen rozstawił nogi i oparł pistolet maszynowy o biodro. Potem wskazującym palcem lewej ręki dotknął spustu. Trzy kule rozerwały ziemię w lewo od Hauka.

Hauk ciągle jeszcze nie ruszał się z miejsca. Dalsza seria strzałów posiekała na

prawo od Hauka żwir ubijany przez lata nogami żołnierzy. Hauk ciągle jeszcze stał nieruchomo. Potem pociski pistoletowe w odległości kilku metrów zryły dookoła niego ziemię zamykając go w rodzaj półkola.

– Tchórzliwa świnia! – powiedział Hinrichsen pogardliwie.

Nagle pułkownik Hauk pochylił się naprzód w kierunku pistoletu maszynowego, ale zamarł w tym ruchu, nie pochwycił broni. Hinrichsen roześmiał się.

Wtedy Hauk padł na ziemię, jak gdyby trafiony mocnym uderzeniem w kark. Ręce jego ujęły pistolet maszynowy drżącymi, gorączkowymi ruchami. Zerwał się, podsunął kolbę pod brodę, nacisnął spust i lufa, kołysząc się bezradnie, wypluła serię ognia.

Hinrichsen stał nieco pochylony, wsłuchany z namaszczaniem w gwałtowną kano-nadę. Nie ruszał się. Twarz jego wyglądała jak maska napiętnowana triumfem i męką.

Hauk, jakby ogarnięty przerażeniem z powodu szalejącej broni, znieruchomiał. A Hinrichsen wpakował mu w brzuch całą garść ołowiu. Hauk zachwiał się.

Hinrichsen strzelił raz jeszcze. Hauk zwał się na ziemię. Przez jakiś czas wykonywał kurczowe ruchy nogami, po czym wyzionął ducha.

– Załatwione – powiedział Hinrichsen cichym głosem i wypuścił z rąk swój pistolet maszynowy. – Teraz wszystko skończone.

Padł na kolana, jak by się modlił. Z ust sączyła się krew, oczy miał zamknięte.

Panie generale, wóz pana generała! – zawołał bombardier Kowalski.

Luschke stał przed bramą obozu jeńców. Zachowywał się tak, jak by przybył tu jedynie po to, żeby lepiej widzieć, co się dokoła dzieje. Jego szef sztabu, major Horn, stał za nim. Obaj przyglądali się jeepowi, którym nadjechał Kowalski, jak by oglądali jakiś obiekt na wystawie samochodowej.

Podszedł kapitan Wedelmann, zsalutował i obwieścił: – Można bez specjalnych trudności jechać w kierunku południowym szosą numer trzysta siedemnaście.

– Co się z panem dzieje, Wedelmann? – zapytał Luschke.

– Czy spędza pan tutaj w tym ubiorze miodowe tygodnie?

– W jeepie jest broń, panie generale – odrzekł Wedelmann.

– Są tam również płaszcze amerykańskie i stalowe hełmy.

– Proszę wyrazić swojej żonie moje najszczerze ubolewanie, Wedelmann – powiedział generał z uśmiechem. – Takiego jak pan nigdy już nie dostanie.

– Pan generał będzie mógł przejechać szosami i drogami polnymi jakieś dwadzieścia kilometrów, zanim natknie się pan na większe jednostki.

Generał obejrzał się i spojrzał krótko na stojącego za nim w milczeniu Horna. – Potem zapytał: – Drogi panie Wedelmann, co to właściwie wszystko ma znaczyć?

– Tutaj pan generał pozostać nie może – odparł Wedelmann.

– Bo tutaj jest pan generał przestępcą wojennym. Proszę pojechać tym jeepem możliwie jak najdalej, a potem niech się pan gdzieś ukryje.

– Mam się ukryć, bawić w chowanego?

– Musi pan generał pomyśleć o jakimś bezpiecznym miejscu.

– Chyba nie z mego powodu zaaranżował pan to nocne widowisko, panie Wedelmann.

– Po części – odparł Kowalski wobec milczenia Wedelmanna – i to po większej części. Pan generał awansował na zbrodniarza wojennego z naszej winy, bo przecież to my domagaliśmy się gwałtownie sądu. doraźnego.

– Nie przypuszczacie chyba na serio, Kowalski, że pozwolę się wam albo waszym przyjaciółom wpaść w taką sytuację.

– Ależ oczywiście! – zawołał Kowalski beztrąsko. – Generałowie są ostatecznie także tylko ludźmi, choć większość ich nie wie, co to właściwie jest człowiek. Dla nich człowiek na wojnie to ułamek dywizji, a w rachunkach z ułamekami panowie ci zawsze byli słabi. W okresach między wojnami człowiek jest dla nich kolegą w związku rezerwistów, stawiającym piwo i uważającym za największe szczęście otrzymywanie od nich rozkazów.

Luschke śmiał się nie otwierając ust, potem powiedział do majora: – Panie Horn, to pański jeep. Może pan nim rozporządzać.

– Pozostanę przy panu, panie generale – odparł major bez wahania. – W pobliżu takiego zbrodniarza wojennego czuję się dobrze.

– A ucieczka z niewoli? – zapytał Wedelmann. – Bez względu na to, czy jest pan, generale, uważany za zbrodniarza wojennego, czy nie, ucieczka z niewoli przynosi zawsze zaszczyt.

– Dokąd mamy uciekać? – zapytał Luschke. – Do moich oddziałów? Nie mam już żadnych oddziałów. A gdzie jest teraz moja ojczyzna? Gdzie są Niemcy?

– Niech pan myśli o własnym bezpieczeństwie, panie generale!

– Sądzę, że w ciągu dwunastu lat nie myślałem o niczym innym.

– W takim razie niech pan generał przynajmniej nie zapomina, że wyrwaliśmy pana generała stąd po to, żeby mu ułatwić ucieczkę.

– Nie zapomnę o tym nigdy, nigdy zapomnieć nie potrafię! Nie tylko posyłałem ludzi na śmierć, ale byli nawet tacy, którzy dobrowolnie chcieli się dać dla mnie zabić. Dla mnie!

– Tak jest, panie generale, wyłącznie dla pana.

– Kimże ja jestem? – zawołał Luschke. – Jednym z tysiąca generałów. Zawodowym krwiopijcą, i to w wielkim stylu. Nie wierzyłem, ale dopuszczałem do tego, żeby poświęcano ludzi. Wiedziałem, że byli generałowie chorzy na przerost ambicji, którzy dla zrobienia kariery nie wahali się iść po trupach, że wśród kolegów moich w stopniu generała byli wazeliniarze, koniunkturaliści i tchórze. Wszyscy widzieliśmy, że dokonuje się gigantycznej zbrodni, ale nikt, poza małymi wyjątkami, nie bronił się przeciw temu. A ci nieliczni zostali bardzo szybko opuszczeni i pozostawieni samym sobie przez tych, którzy nazywali się ich kolegami.

– W naszych oczach pan generał należy do tych wyjątków. Widzieliśmy to od lat.

– Byłem tchórzem, tak samo jak wszyscy inni. Nazywałem w kasynie Hitlera łotrą, a powinienem był powiedzieć moim żołnierzom: Ten Hitler to łotr! Między sobą mówiliśmy o hitlerowcach z pogardą, tymczasem należało dawać wyraz tej naszej pogardzie publicznie.

– Niepotrzebnie sobie pan generał łamie głowę – powiedział Kowalski z prostotą.

– Od samego początku wiedzieliśmy, jaka to zabawa, bo przecież nie upadliśmy na łeb. W takiej wojnie nie chcieliśmy niczego zdobyć – ani majątku, ani orderu, ani szacunku przez stopnie służbowe. Chcieliśmy tylko uratować naszą skórę, na którą istniał wielki popyt. Tylko pan, panie generale, nie palił się do tej skóry, zauważyliśmy to od razu.

– Dziękuję panu, panie Kowalski – rzekł Luschke z godnością. Po chwili niski, szczupły generał o bulwiastej twarzy wyprostował się i powiedział: – Wojna ta była zbrodnią. Pomagałem ją prowadzić, a więc jestem zbrodniarzem wojennym.

Wrócił do obozu jeńców. Pochłonęły go ciemności. Zdawało się, że go tutaj nigdy

nie było.

Czy zna pan Warsitz na Pomorzu, Asch? – zapytał Hinrichsen próbując się podnieść.

– Nie – odparł podporucznik i energicznym ruchem ręki zmusił Hinrichsena, żeby się znowu położył na swoim łóżku polowym. – Nigdy o nim nie słyszałem.

– Gdyby pan kiedyś przypadkiem znalazł się tam, proszę zapytać o kupca Hinrichsena. Może opinia o mnie nie będzie najgorsza.

– Hinrichsen, będę bił po mordzie każdego, kto powie o panu złe słowo.

– Tak, tak – ciągnął dalej Hinrichsen. Mówienie sprawiało mu widocznie trudność. – Jeszcze przed rokiem powiedziałbym: Niech pan pojedzie do Warsitz, tam dowie się pan, jaką dobrą opinią cieszy się kupiec, Hinrichsen. Czcigodny obywatel, uczynny i uczciwy człowiek. Ale teraz! Teraz, Asch, wiem, że wszystko to było niesłuszne.

– Niech się pan niepotrzebnie nie denerwuje. Poniewczasie każdy wie, co niesłusznie zrobił. Ta towarzyska zabawa nie została wynaleziona dopiero przez hitlerowców.

Podporucznik Asch zawlókł ciężko rannego majora Hinrichsena do jednej z izb koszarowych i ułożył go tam na łóżku polowym, przykrył kocami i napił. Asch wiedział, że nie ma już dla Hinrichsena ratunku.

Za oknami migały światła reflektorów. Na stołku u wezglowia Hinrichsena stała świeczka z rodzaju tych, którymi przystraja się choinki. Pomieszczenie było brudne, pełne różnego rodzaju gratów. Bloki koszarowe podobne były do śmietników.

– Kiedy skończyła się pierwsza wojna światowa, miałem lat dwadzieścia, byłem już podporucznikiem, który od grudnia 1917 roku nieprzerwanie przebywał na froncie zachodnim. Głodowaliśmy, krwawiliśmy, lecz byliśmy dzielni. Ojciec i brat zginęli. Matka powiedziała: „Nie zrób nam wstydu!” Starałem się o to uczciwie.

– Ach, te matki żołnierzy ze swoimi fałszywymi apoteozami!

– powiedział twardo Asch. – Ta mizerna hodowla matek-bohaterek! Ta przedziwna pasja niektórych kobiet zadowalania się hymnami pochwalnymi na cześć zmarłych za ojczyznę. Gdyby te kobiety wiedziały, jak umierali ich synowie, zdjęłyby je groza i miotałyby na siebie przekleństwa, że nie zatrzymywały swych synów rękami i zębami.

– Gdyby matki znały pełną prawdę – powiedział Hinrichsen – życie ich byłoby jeszcze cięższe.

– A więc oszukujemy matki i pozwalajmy na to, żeby kobiety szczyciły się śmiercią swych synów.

– Gdyby pan kiedy przyjechał do Warsitz na Pomorzu, drogi mój Asch, niech pan zapyta o sklep z towarami żelaznymi Hinrichsena. Każdy powie, gdzie się ten sklep mieści. Miasteczko jest niewielkie, żyje z okolicznych chłopów i z niewielkiej ilości rybaków. W roku 1919 przejąłem sklep z żelazem po ojcu, który zginął na wojnie –

portret jego wisiał w jednym z pokoi. Prowadziłem życie proste i zwyczajne. Praca, jedzenie, spanie. Sklep, knajpa, kościół. Nie było żadnych konfliktów między chłopami, rybakami, kupcami i urzędnikami. Robotników właściwie w miasteczku nie było, socjalizm nie był problemem, nacjonalizm należał do rzeczy zrozumiałych samo przez się. Oczywiście zawsze nacjonalizm w barwach czarno-biało-czerwonych.

– Kiedy jednak pojechał pan do Anglii, zobaczył pan sprawy w innym świetle?

– Stryj mój miał w Szczecinie rozgałęzione przedsiębiorstwo transportowe. Pewnego razu powiedział do mnie: „Musisz zobaczyć świat; Warsitz jest dziurą, a Niemcy są za ciasne, za małe”. Pojechałem do Anglii, do Southampton, żeby w ciągu roku popracować w firmach handlujących żelazem. Ale Anglicy byli również nacjonalistycznie usposobieni – przynajmniej te koła, w których się obracałem. Wy, Niemcy, powiedział mi kiedyś sir Castlerose, jesteście narodem godnym podziwu. Wasz Stahlhelm to prawdziwa, najwspanialsza reprezentacja żołnierza frontowego.

– Jakby pana kto miodem posmarował, co?

– W roku 1926 ożeniłem się. Dzieci podraślały. W roku 1928 zostałem burmistrzem. Był to wielki zaszczyt ze względu na mój młody wiek. Rozwijałem ożywioną działalność pod hasłem: koleżeństwo. Podczas wyborów w roku 1930 mieliśmy na cztery tysiące głosów tylko sto osiemnaście czerwonych, których można było szukać z latarnią w rękę. Byliśmy narodowi, przeważnie niemieckonarodowi.

– Żyliście w świecie gruntownie zabitym deskami.

– Byliśmy z tego świata zadowoleni. A kiedy któryś z nas kilka razy do roku wpadał do Szczecina, potrzasał tylko głową na tę dezorganizację, pustą gadaninę i partyjną politykę. Tego wszystkiego u nas nie było.

– Ci, którzy byli innego zdania od was, opuszczali miasteczko, prawda?

– Po prostu nie mogliśmy sobie wyobrazić, żeby normalny, przyzwoity Niemiec był przeciwko temu, cośmy reprezentowali. Zachowaliśmy dawne obyczaje, nieśliśmy wysoko nasz sztandar. Nie mniej wysoko podnosiliśmy kufle z piwem pijąc za waleczność, honor i sławę niemieckiego żołnierza frontowego. Wierzyliśmy w Niemcy, Prusy, Pomorze i Warsitz, wszystko oczywiście pięknie uszeregowane i zawsze w odpowiedniej kolejności.

– Ö przytulności i wspaniałości niemieckiego stołu w niemieckiej knajpie! – zawołał podporucznik Asch uśmiechając się do trawionego gorączką Hinrichsena.

– Nie mieliśmy bezrobotnych. Żydzi byli nam obojętni, do Kościoła odnosiliśmy się z respektem. Powolutku, powoli zaczął nam imponować Adolf Hitler. Chciałby pan pewnie wiedzieć dlaczego? Trudno na to odpowiedzieć, zwłaszcza obecnie. Wtedy, w owych czasach, odpowiedzielibyśmy zapewne: „Bo się podawał za towarzysza broni.” Wie pan, co to oznacza? Że tak samo jak my leżał w błocie, głodował, ociekał krwią, że jest prostym, skromnym, czującym narodowo człowiekiem, że pragnie jak najlepiej, że chce takie zdeprawowane miasto jak Szczecin wyciągnąć z błota.

Pragnie czystości obyczajów, przyzwoitości, zdrowego, prostego trybu życia, takiego, jaki my prowadzimy w Warsitz. Cóż dziwnego, że nam to odpowiadało.

– Dobrze już, Hinrichsen, dobrze – powiedział Asch i naciągnął koc na jego dygocące ramiona.

– Żeby mi pan tylko nie powiedział teraz: Przecież powinniście się byli zorientować, jak to z tym Hitlerem wyglądało naprawdę. Gównu! Niektórzy byli przeciwni z przekonania. Niektórzy, ponieważ nie mieli innego wyboru, ponieważ nic im innego nie pozostawało – byli skłonni robić z hitlerowcami interesy, ale ich odpalono. A olbrzymia reszta? Wierna, wierząca, przyzwoita, ociekaliśmy literalnie dobrą wiarą i gotowością. No i przyszedł taki, który potrafił zaapelować do naszego koleżeństwa, do naszej gotowości i naszej bezinteresowności.

– I trafił do samej głębi narodowych serc!

– Widzi pan, u nas to tak wyglądało. W roku 1933 powiedzieliśmy: Niech pokaże, co umie! No i w Warsitz też coś niecoś zostało zrobione. W roku 1934 zjawili się pierwsi inżynierowie mierniczy. W roku 1935 przybyli pełnomocnicy partii i, sfer gospodarczych i oświadczyli: Zbudujemy wam tutaj zakład paliw syntetycznych, największy, jaki kiedykolwiek powstał. Wydawało się, że tak będzie. W ciągu kilku tygodni napłynęło do miasta czterokrotnie więcej robotników, niż miasto liczyło ludności. Po krótkim czasie liczba ta wzrosła siedmiokrotnie, potem dziewięciokrotnie. Zbudowano nowe szosy, powstały baraki mieszkalne, wyrosły na Odrze statki służące robotnikom za mieszkania. Bez przerwy płynęły pociągi z materiałami budowlanymi, rurami, dźwigami i maszynami.

– A wyście patrzyli jak cielęta na malowane wrota, zarabialiście, podnosiliście ręce do hitlerowskiego pozdrowienia, a kiedy wychodziło na jaw jakieś świństwo, mówiliście: „Gdzie drwa rąbią, tam lecą wióry”! Nie przeszkadzała wam chmara spekulantów budowlanych, poganiaczy niewolników, katów i cynicznych zbirów oszukujących lud.

Hinrichsen chwycił rękę podporucznika Ascha, jak gdyby szukał w niej oparcia. – Ale potem – powiedział – spadła na nas wojna. Zostałem od razu powołany i uważałem, że jest to całkowicie w porządku. Zabijałem i żądałem od moich ludzi, żeby się dawali zabijać. Nie tolerowałem tego, żeby mi okazywano wyjątkowe względy, czy to przy wyborze kwatery, czy to przy jedzeniu, czy przy zabijaniu. Gdybym zginął, byłoby to w porządku. Ale musiałem to wszystko przeżyć aż do dziś.

– A jutro zapomni pan o tym wraz z kilkoma milionami innych Niemców.

– Kiedy bombardowania, którymi rozpoczęliśmy wojnę, zaczęły nabierać prawdziwego rozmachu, jednym z pierwszych celów nieprzyjaciela stało się Warsitz na Pomorzu. W roku 1942 kilka cetnarów materiałów wybuchowych zmiotło z powierzchni mój dom i mój sklep. W roku 1943 bomby zabiły mi żonę i dwoje dzieci. W roku 1944 zmarło troje moich pozostałych dzieci, umarła moja matka. Takie były losy rodziny noszącej nazwisko Hinrichsen.

– Teraz – powiedział Asch – rozumiem niejedno.

– Poświęcałem wszystko, wszystkiego w zamian żądając. Nie wykręcałem się od śmierci. Wierzyłem zawsze, i to chętnie, w wielką, dobrą i sprawiedliwą sprawę. Nie byłem człowiekiem złym, ale byłem głupi. I z powodu tej mojej głupoty nie orientowałem się w nikczemnościach, które mnie otaczały. Prześladowania Żydów, egzekucje masowe, gwałty, obrabowywanie trupów, morderstwa. Wszystko to były w moich oczach wyjątki, wynaturzenia, wykolejenia, akcje przedsięwzięte na własną rękę. Dopiero ten Hauk otworzył mi oczy.

– Odpłacił mu pan też za to.

Hinrichsen podniósł się z największym trudem na swym łóżku. – My wszyscy – rzęził – którzy staraliśmy się o zachowanie czystości i przyzwoitości, o ile wojna może mieć w ogóle coś wspólnego z przyzwoitością i czystością, zostaliśmy oszukani. Byliśmy materiałem pędnym, czymś w rodzaju zwierząt pociągowych, które wykorzystano, z których wyciśnięto ostatnie soki. Śmiali się z naszego idealizmu, uważali naszą żarliwość za obłąd. Naprzód kazali umierać dla zdobycia sławy, potem, żeby lepiej żyć, wreszcie, żeby w ogóle żyć i przeżyć. Nawozili swą żądzą sukcesów i władzy, swą pychę i chęć tworzenia historii krwią swoich żołnierzy, popiołem swoich ofiar, aż wreszcie udusili się tym.

– Tak było, tak jest i chyba zawsze tak będzie – powiedział Herbert Asch. – Bo i to degradowanie się samemu do roli stadnego bydła jest czysto niemieckie. Niezależnie od tego, czy hasło brzmi: dyscyplina, miłość ojczyzny, wolność czy też pokój. Największe słowa i najgłośniejsze wrzaski, najbardziej posłuszne ręce, najbardziej wierzące oczy i najbardziej puste mózgi – Boże, chroń nas od tych niemieckich samobójców!

– Amen – powiedział Hinrichsen.

Kiedy major umarł, nowy dzień wygramolił się na horyzont. Asch zgasił płomyk świecy i złączył ręce zmarłego żegnając go słowami: – Dobrej nocy, kolego Hinrichsen.

Kapitan Schulz walczył z żelazną gorliwością o utrzymanie dyscypliny. Wszystko wskazywało na to, że uda mu się opanować rozprężenie i zmusić żołnierzy do posłuchu.

– Moi państwo! – zawołał; zwykł był używać takich wyrażeń, jak „moi państwo”, „przyjaciele” albo też „koledzy”, kiedy chciał coś osiągnąć, czego nie można było rozkazać. – Bądźcie rozsądni!

– Zamknij mordę! – krzyknął jeden ze słuchaczy, zajęty omawianiem sytuacji.

– Koledzy, weźcie się w garść! – zawołał Schulz. – Musicie zrozumieć, że dalej tak być nie może!

Na razie koledzy nie rozumieli nic. Stali dokoła grupami w obozie jeńców i na placu ćwiczeń, wędrowali przez bramę, przy której nie było w tej chwili posterunków. Tylko niewielu zwiewało z ogromnym pośpiechem.

– Przecież to nie ma sensu – powiedział jeden z żołnierzy. – Dokąd mamy się udać? I tak nas złapią.

– Zupełnie słusznie! – przytaknął Schulz. – Zupełnie słusznie.

Kiedy generał Luschke wracał do obozu jeńców i przechodził wzdłuż szeregów niezdecydowanych żołnierzy, poszczególne grupki rozstępowały się przed nim częściowo z respektu, częściowo machinalnie. Luschke z pochyloną głową, drobnymi jak zwykle kroczkami, dotarł do swego baraku i zniknął w nim.

– Widzieliście?! – zawołał Schulz.

Żołnierze ciągle jeszcze nie wiedzieli, co mają robić.

– Tak czy owak – powiedział jeden z nich – nie wierzę, żeby nam camp został oszczędzony.

– Co mamy, to mamy! – powiedział ktoś inny.

– Wkrótce – padł jakiś głos – zaczną się kłopoty z żarciem. A tutaj, w myśl konwencji genewskiej, muszą starać się o żarcie dla nas Amerykanie.

– Tak jest! – zawołał Schulz.

– Ja na razie będę spał przez parę tygodni – rzekł jeden z żołnierzy ziewając po tęźnie. – Kiedy się obudzę, będzie już po wojnie!

– Wchodźcie do środka! – zachęcał Schulz. – Nie czekajcie na Amerykanów. Jeżeli zastaną wszystko w porządku, będzie to dla nas z korzyścią.

– Zawsze taki sam! – odezwał się ktoś głośno za plecami Schulza. – Mówiąc „my” ma pan zawsze na myśli tylko „ja”! A więc nasza korzyść to dla pana „moja korzyść”.

Schulz spoglądał na mówiącego te słowa jak na zjawę. – Jak dostaliście się tu, Kowalski?

– Przez bramę! – odpowiedział bombardier.

– Oddajecie się do niewoli? – zapytał Schulz nieufnie. Po czym mając na uwadze, że jego sytuacja jako „komendanta obozu” nie należy do różowych, dodał: – Bardzo to z waszej strony rozsądnie.

– Rozsądek w moim pojęciu wygląda zupełnie inaczej, niż pan sądzi! – obwieścił Kowalski.

Kapitan Schulz uznał za niewskazane wdawać się w tych decydujących chwilach w długie rozmowy z takim łachmytą jak Kowalski. Obecność tego ananasa niepokoiła go. Ale na razie nie miał czasu zastanawiać się głębiej nad tym niepokojem.

Na podobieństwo psa owczarka zapędział Schulz swoją trzodę do owczarni. Było to uciążliwe i wymagało pewnej energii, ale Schulz zdobywał się na nią zawsze, kiedy chodziło o sprawy służbowe. Był tutaj komendantem obozu, nikt go dotychczas tej funkcji nie pozbawił. W każdej chwili mogli znowu zjawić się uzbrojeni po zęby Amerykanie i przypomnieć mu w sposób zagrażający życiu, że ciągle jeszcze jest komendantem obozu.

– Wierzcie mi, przyjaciele! – ryczał. – To jedynie słuszna droga! – Albo: – Słu-

chajcie mnie, moi państwo, ja się w tym dobrze orientuję! – Lub też: – Bądźcie rozsądni, koledzy, przestrzegajcie dyscypliny, tylko w ten sposób coś osiągniemy!

Z początku namawiał żołnierzy łagodnie, zaklinał ich, popychał delikatnie w kierunku szeroko otwartej bramy obozu, jego obozu, który nazywał campem. Kiedy większość żołnierzy już się tam znalazła, stał się bardziej niecierpliwy i bardziej władczy. Do pozostałych za drutem kolczastym żołnierzy mówił teraz: – Ludzie!

– Apelowaliśmy do ich posłuszeństwa i nawet dawaliśmy do zrozumienia, że ich ostrzegamy. – Ostrzegam was, wy draby! Jeżeli w tej chwili...

W miarę jak zmniejszał się ich opór, głos Schulza zyskiwał na sile. Próby namawiania i perswazji zmieniły się w żądania. Kiedy za drutem pozostała tylko mała grupka, Schulz zaczął grozić, że przejdzie do argumentów fizycznych. – Albo wejdiesz, albo dostaniesz kopniaka!

Wreszcie mógł po wyczerpującej pracy zamknąć bramę z zadowoloną miną. Znowu spełnił swój przeklęty obowiązek i swoją powinność. Nawet. Amerykanie będą musieli to uznać.

Kiedy Schulz, który pocił się lekko – był to ów pot walecznych, bez którego nie dało się niczego osiągnąć – miał zaryglować bramę, wzrok jego napotkał stojącego jeszcze ciągle przy wejściu bombardiera Kowalskiego. Łobuz uśmiechał się.

– Usuńcie się stąd! – ryknął Schulz.

– Tylko się nie unosz, ty barania głowo! – powiedział Kowalski uprzejmie.

– Jak wy w ogóle do mnie mówicie!

– Tak jak jeden jeniec do drugiego.

– Jestem tutaj komendantem obozu.

– A ja jestem generał Eisenhower!

– Kowalski – powiedział Schulz kierując swe kroki w stronę bombardiera. – Jeżeli natychmiast nie...

– Dajże spokój tym hecom, współjeńcu Schulz. Czyżbyś nie wiedział, że jeżeli zechcę, mogę ci połamać kości? A jeżeli zechcę, także i dupę, gdybyś mnie chciał tknąć choćby małym palcem.

– Kto, u wszystkich diabłów – zapytał Schulz szalejąc ze złości – podsunął wam ten pijacki pomysł oddania się dobrowolnie do niewoli, i w dodatku przyjscia do mojego obozu?

– Robię to, bo mnie bawisz, ty kukło błazeńska, marionetko! – odparł Kowalski z całym spokojem. – Poza tym chciałbym zobaczyć, jak się ta twoja błazenada skończy.

– Kowalski, czy mam to uważać za groźbę?

– Ależ bardzo proszę – odparł uprzejmie Kowalski.

Schulz przysunął się jeszcze bliżej. Obu oświetlał blask lampy umieszczonej nad bramą. Wyglądali, jak gdyby mieli się rzucić na siebie.

– Kowalski – powiedział Schulz. – Nie wiem, jakie są wasze zamiary. Jestem

skłonny przymknąć oko, jeżeli przyrzekniecie mi nie robić trudności. Bo ostatecznie znamy się od lat i zawsze was ceniłem. Bądźcie więc rozsądni i powiedzcie w końcu, czego chcecie.

– Chcę stąd zwać – rzekł Kowalski z uśmiechem.

– Nie rozumiem – powiedział Schulz z bezradną miną. – Chcecie zwać, więc dlaczego chcecie naprzód dać się zamknąć?

– Żeby ci, ty bydlaku zatracony, robić trudności! I to dokładnie wtedy, kiedy będziesz uważał, że znowu siedzisz mocno w siodle. Ciągłe jeszcze nie rozumiesz? Dziś, w obecnej sytuacji, każdy może zwać. Amerykanie przebaczą ci te pół tuzina zbiegów.

– Kowalski!

– Ale ty miałeś już pełne portki, kiedy sprawy zaczęły tutaj przybierać zły obrót. I to mi się u ciebie podobało. Pytałem siebie: Jak on będzie trząś dupskiem, kiedy nastąpią normalne stosunki i kiedy będzie osobiście odpowiedzialny za każdego, który da drapaka. A ja ucieknę pierwszy.

– Kowalski, ostrzegam was!

– A kiedy mnie znowu przychwycą, oświadczę, że to ty pomogłeś mi do ucieczki.

– Kowalski, rozkazuję wam...

– Gówno! – powiedział Kowalski dobrodusznie. – Dajże wreszcie z tym całym świństwem spokój. Ciągłe jeszcze nie zrozumiałeś, że nie możesz żyć wiecznie jako przełożony. Skończył się piękny sen! Jesteś teraz takim samym jeńcem jak my wszyscy.

Schulz sapał gwałtownie. Z wściekłości rozdarłby chętnie Kowalskiego na kawałki, ale zdawał sobie sprawę, że jest to praktycznie niewykonalne. – Gwarantuję ci, że nie będziesz wtykał przez ten drut kolczasty swego parszywego nosa – obwieścił brutalnie.

– Może się założymy? – zapytał Kowalski śmiejąc się. – Za kilka dni wydobanę się, i to w taki sposób, że nie będziesz już mógł dłużej być komendantem obozu.

A więc to byłoby załatwione – powiedział Herbert Asch i ruchem ręki wezwał Bracka, żeby podszedł do okna.

– Niech się teraz Bóg nad nami zmiłuje – rzekł stary Asch. Brack podniósł się, podszedł do Herberta Ascha, stanął obok niego. Spoglądali obaj na rynek. Zajechała tam kompania Amerykanów. Wśród żołnierzy stał, jak wielki dowódca, Ted Boernes.

– Można było spodziewać się tego – powiedział Brack.

– Jestem gotów – rzekł Wedelmann.

– Do czego? – zapytał Brack.

– Będziemy musieli oddać się do niewoli – odparł Wedelmann z całym przekonaniem. – Pogodziłem się z tym.

– Może podpalą mój dom i zaczną mnie dręczyć – rzekł stary Asch przygotowany

na wszystkie okrucieństwa wojennej maszyny. – Zemszczą się straszliwie. Jesteśmy wydani na ich łaskę i niełaskę. Ja także, choć jestem niewinny.

– Tylko nie tracić otuchy – powiedział Brack, którego rozgrywające się na dole widowisko wojenne zaczęło lekko bawić. – Mamy jeszcze trochę żelaza w zanadru.

Żołnierze amerykańscy obstawili kawiarnię Ascha, zamknęli boczne ulice. Nadjechały dwa czołgi zwiadowcze. Ruchami tych oddziałów kierował z wielką pewnością siebie kapitan Ted Boernes.

– Ten powinien być zostać generałem – rzekł Brack z rozbawioną miną.

– To jego pech, że Amerykanie za wcześnie wygrali tę wojnę. Jeszcze parę lat, a byłby został generałem. Tak oto wyglądają tragedie zwycięzców.

– Odechce wam się jeszcze śmiechu – prorokował stary Asch.

– Któż się śmieje? – zapytał Herbert Asch. – Kawały, które nam tu prezentują, są po prostu idiotyczne, a poza tym nie jadłem jeszcze śniadania.

Amerykanie zakończyli obsadzanie rynku. Kapitan Boernes z Jamesem I i Jamesem II u boku ruszył w kierunku domu Ascha. Zastukał energicznie do bramy. Właściciel kawiarni zbiegł piorunem na dół i otworzył ją.

– Pierwsze piętro, proszę – powiedział.

– Niech pan idzie naprzód – polecił kapitan.

Wchodzili więc po schodach za starym Aschem z takimi minami, jak gdyby się udawali na pogrzeb. Twarze mieli pełne głębokiego smutku.

– Nareszcie panowie się zjawili – powiedział Brack zapraszając ich ruchem ręki.

Kapitan, James I i James II pozostali w drzwiach rozglądając się badawczo po pokoju, jak gdyby spodziewali się, że powitają ich tu lufy dział.

– Chciałbym, panie Brack, pomówić najpierw z panem na osobności – powiedział kapitan.

– Przykro mi – odpowiedział Brack bez namysłu – ale niestety nie da się tego zrobić. Nie mamy oddzielnego pokoju konferencyjnego, a jeżeli o mnie chodzi, to panowie Wedelmann i Asch mogą spokojnie być świadkami rozmowy.

– Dlaczego po prostu nie zamknie pan tych ptaszków? – zapytał James I.

– Bo byłoby to niemądre – rzekł Brack z chłodną uprzejmością. – A może chciałby pan zaryzykować ostre starcie z pułkownikiem Thompsonem? Ale, ale, jakże się temu pocziwcowi powodzi? Czy nie telefonował raz jeszcze?

– Panie Brack – powiedział kapitan Boernes – to chyba najmniej odpowiednia chwila do poruszania tych spraw.

– A więc telefonował – rzekł Brack z głębokim przeświadczeniem. – Cóż mu pan powiedział?

– To chyba moja sprawa – oświadczył lodowato Ted Boernes.

– Powiedział mu pan więc, że wszystko jest mniej więcej w porządku, coś innego mógł mu pan zakomunikować. Czyżby to, że wczorajszej nocy doszło w pańskim bezpośrednim zasięgu do straszliwego bałaganu, którego pan nawet nie zauważył,

ponieważ pańska kwatery znajduje się w błogim odosobnieniu? A może to, że podlegający panu bezpośrednio obóz jeńców został na kilka godzin unieruchomiony? Chyba wieści tak okropne byłyby dla wrażliwych uszu pułkownika Thompsona zbyt przykre.

– Może panowie usiądą? – zapytał stary Asch, który wyczuł, że chwila jest odpowiednia i można by wykorzystać powiązania Bracka z pułkownikiem Thompsonem.

– Lubię siedzieć wygodnie – powiedział James II i wskazując na fotel kazał go sobie podsunąć. – A pan, panie kapitanie?

Ted Boernes usiadł, to samo uczynił z gniewną miną James I. Kapitan poprawiał bezustannie swoje okulary, co było oznaką skupienia. James I uważał, że po doświadczeniach ubiegłej nocy wysiłanie mózgu nie jest nieodzowne.

– Czy mogę panom zaofiarować coś do picia? – pozwolił sobie zapytać stary Asch. Nikt nie odpowiedział. Sprytny kupiec uznał to za aprobatę. Jego nastrój pobożnej kontemplacji zaczął się gwałtownie ulatniać.

Kapitan Boernes zdjął teraz okulary i przyglądał im się w skupieniu. W jego wyblakłych niebieskich oczach czaiło się znużenie. Mózg pracował intensywnie. Aby zyskać na czasie, zapytał: – Jak pan mógł zrobić nam coś podobnego, Brack?

Na znak lekkiego ubolewania podporucznik wzruszył ramionami. Herbert Asch zapytał przyjaznym tonem: – Co on właściwie panu zrobił, kapitanie?

– Jeszcze pan pyta! – wybuchnął James I.

– Dlaczego nie miałby pytać? – powiedział James II, rozparty w swym fotelu. – Może naprawdę nie wie, co tu wczoraj w nocy zaszło.

– Cóż się stało? – zawołał Herbert Asch udając z powodem naiwnego.

Uśmiechnął się chytrze do Jamesa II, który odpowiedział nie mniej chytrym uśmiechem.

– Tak, mój wielce szanowny – powiedział James II rozciągając słowa. – Była to burzliwa noc.

– Pod jakim właściwie względem? – zapytał niewinnie Herbert Asch. – Czyżby pani Lora Schulz...

– Człowieku, niech pan nie idzie za daleko – zawołał ostro James I. – Są sprawy zabawne, ale mimo to nie zniosę, żeby się na ich temat dowcipkowało.

– Uwzględnij to – powiedział Herbert Asch uprzedzająco grzecznie.

– Nie zbaczajmy z tematu – odezwał się James II spokojnie, przyglądając się z wyraźną satysfakcją kapitanowi, który z godną uwagi wytrwałością czyścił swe okulary. – A więc obsadziliśmy wczoraj miasto, nasze oddziały bojowe ruszyły dalej w kierunku wschodnim. I wie pan, co się stało później?

– Oddziały niemieckie zdobyły miasto z powrotem – powiedział Herbert Asch. – Nie jest to właściwie nic nadzwyczajnego, ostatecznie jesteśmy na wojnie, podczas której takie rzeczy się zdarzają.

– Ależ – zaprotestował gwałtownie James I. – Przecież to jednak idzie...

– Proszę o spokój, mister James – powiedział kapitan; nagana ta miała ton zdecydowanie żołnierski.

– Tak to jest – oświadczył James II udając, że głęboko nad czymś rozmyśla. – Szczęście wojenne to kurwa.

– Zgadza się – przytaknął Asch. – Wojna produkuje kurwy. Ale nie tylko kurwy. Produkuje również bohaterów. Jednym z nich był Hinrichsen.

– Poczciwy Hinrichsen – powiedział James II i uśmiechnął się szeroko. – Dobry, poczciwy Hinrichsen – odkrycie mego partnera, wielkiego wroga hitlerowców i znawcy Niemców.

– Ach! – zawołał James I pogardliwie i odwrócił się.

– Może coś dla pokrzepienia? – zapytał stary Asch. Znowu nie otrzymał odpowiedzi na swoją ofertę. Mimo to zaczął krzątać się przy bufecie, poustawiał szklanki i odkorkował dwie butelki.

– Niech pan sobie nie przeszkadza w swoich wywodach – powiedział kapitan do Jamesa II.

– O ile mogę zorientować się w sytuacji – ciągnął dalej James II – Niemcy próbowali ubiegłej nocy z powrotem zawładnąć miastem. Doszło oczywiście do walk.

– Oczywiście – potwierdził ochoczo Herbert Asch.

– Do walk, podczas których nie obyło się bez strat. – James II uśmiechnął się do kapitana ciągle jeszcze zajętego intensywnym czyszczeniem okularów. – Do strat po obu stronach.

– Bardzo słusznie – odezwał się podporucznik Brack. – Po stronie niemieckiej musiał zejść z tego świata niejaki pułkownik Hauk, a sprzymierzeniec Hinrichsen bił się wzorowo w obronie Amerykanów.

– Co takiego? – zapytał James I z najwyższym zdumieniem. – Kto taki?

– Hinrichsen – powtórzył ze spokojem James II. – Twój Hinrichsen, partnerze. Osobiście przez ciebie wyszukany, wysunięty na stanowisko wymagające niezwyklego zaufania. A może nie? Czyżbyś zrobił niebezpieczną gafę, partnerze? Może zaufałeś hitlerowcowi?

– Oczywiście że nie – powiedział Brack. – Człowiek uważany przez pułkownika Thompsona za tak uzdolnionego nigdy nie mógłby popełnić podobnych błędów.

– Wolnego! – powiedział James I z irytacją. – Zbyt wielka ilość miodu psuje mi żołądek, a kiedy żołądek mój nie funkcjonuje, potrafię być ordynarny jak świnia.

Stary Asch postawił pełne szklanki. Po pierwszą sięgnął James II. Miało się wrażenie, że podnosi ją w stronę Ascha, Bracka i Wedelmanna. Potem wypił.

– Pycha! – powiedział James II z uznaniem. – Pierwsza klasa.

– Najlepsze, z czym mogliśmy wystąpić – oświadczył stary Asch z zapalem.

– I mój występ nie jest kiepski – powiedział James II z rozmarzeniem.

– Ale jeszcze niezupełnie dobry – odezwał się kapitan Boernes nakładając zdecydowanym ruchem okulary.

Wedelmann podniósł się sztywno. – Jesteśmy oczywiście do pana dyspozycji.

– To jest najmniej ważne – oświadczył James I. – Jeżeli bowiem walczyliśmy wczoraj w nocy, to muszą przy tej okazji znaleźć się jeńcy.

– Chyba nie zechce mnie pan wziąć do niewoli, mister James? – zapytał Brack z zainteresowaniem.

– Jeżeli nie pana, to przynajmniej tych dwóch innych – upierał się James I.

– Nie zatrzymamy ich długo – obiecywał James II. – Ale jeszcze kilku oficerów na naszej liście, i to takich, którzy brali udział w tak zwanych walkach, to naprawdę nie byłoby złe.

– Jeden mniej lub więcej to chyba nie ma znaczenia – odezwał się stary Asch.

– W tym wypadku – powiedział James II – wcale nie chodzi o liczbę, lecz o nazwiska. Przecież może się wydarzyć, że ktoś kiedyś nagle poruszy tę sprawę i wtedy potrzebne nam będą dowody. Będziemy je mieli, jeżeli potrafimy udowodnić pisemnie, kogo ujęliśmy.

– Jestem gotów – oświadczył Wedelmann.

– Ja również – powiedział Herbert Asch.

– Wyjaśniliśmy teraz wszystko – oznajmił Boernes – możemy więc odejść.

– Moi panowie – powiedział stary Asch stając przed drzwiami. – Tego uczynić wam nie wolno.

– A właśnie że wolno – odparł James I podchodząc do Ascha. – Wolno nam wszystko.

– Nie martw się, ojcze – powiedział Herbert Asch. – Wkrótce wrócimy.

– Proszę, niech się pan zajmie moją żoną – zwrócił się Wedelmann do starego.

– Moi panowie – oświadczył z wielkim gestem stary Asch. – Za tych dwóch i za przedterminowe zwolnienie wszystkich żołnierzy, którzy brali udział w walkach ubiegłej nocy, proponuję wam jednego gauleitera i adiutanta jednego reichsleitiera. Poza tym jestem gotów dodatkowo podać obecny adres pewnego kreisleitera.

Kapitan stanął jak wryty. – Cóż panowie na to? – zwrócił się do obu swoich doradców.

– Interesująca propozycja – rzekł James II i usiadł z powrotem na swym miejscu.

– A pańskie zdanie?

– Gdyby mojej placówce służbowej – odparł James I – powtarzam wyraźnie: mojej placówce służbowej dzięki wypadkom nocy wczorajszej udało się ująć kilku wyższych funkcjonariuszy partyjnych, to cała sprawa przedstawiałaby się inaczej. – Po tych słowach usiadł również.

– Proszę więc – wezwał kapitan Boernes starego Ascha – o bliższe sprecyzowanie pańskiej oferty.

– Jeżeli się chce przeżyć wojnę, trzeba mieć za ojca kupca – oświadczył Herbert Asch.

Wy wszyscy – powiedział kapral Soeft stojący na schodach szpitala – jesteście pod-

łą, chytrą bandą bez czci i honoru, która myśli tylko o zysku. – Wypowiedział te słowa takim tonem, jak gdyby był głęboko wstrząśnięty. Potem wytarł głośno nos i osuszył chustką nieco zażawione oczy. – I to – zawołał z uroczystym niemal oburzeniem – nazywacie koleżeństwem, w dodatku koleżeństwem frontowym.

– Niech pan tu nie wygłasza wiecowych przemówień, Soeft – powiedział stojący przed nim stary Asch. – I tak nikt pana nie słucha.

– Zaufałem panu – biadał Soeft – a teraz chce mnie pan zrujnować.

– Bzdury – odparł stary Asch. – Przeciwnie, chcę pana znowu wciągnąć do interesu.

To oczywiście zupełnie inna sprawa – rzekł Soeft nabierając dawnej pewności siebie. – Ale jedno panu powiem: do procentowego udziału nie zostanie pan dopuszczony.

– Wcale tego nie chcę – zapewnił stary Asch. – Będę zadowolony, jeżeli do pewnego stopnia cało wyłabudam się z tej sytuacji.

– Nie można powiedzieć, żeby pan zdradzał nadmiar ducha kupieckiego – stwierdził Soeft nie bez pewnego ubolewania. – Zawsze mówiłem, że stara generacja jest do niczego. Interesy, na które pozwalaliście sobie w czasie pierwszej wojny światowej, to bagatelka, nawet wyobrazić sobie pan nie może, co my teraz zainkasujemy!

– A więc sztama?

– Jeżeli zaraz będę? mógł wskoczyć do interesu z Amerykanami, i to en gros, bo nic innego nie biorę pod uwagę, chętnie przydzielę panu, tytułem gratyfikacji, jednego gauleitera i jednego adiutanta reichsleitara.

– Znajdą się z pewnością wśród Amerykanów tacy, którzy ich przyjmą z otwartymi ramionami.

– Mam nadzieję! – rzekł Soeft z otuchą.

Generał-major Luschke siedział na sienniku; major Horn, jego nieodstępny szef sztabu, zajął miejsce naprzeciw niego na skrzynce z margaryną. Grali w szachy na małej, składanej szachownicy, na której przesuwali miniaturowe figury.

– Jakie to szczęście – powiedział major – że udało nam się uratować przynajmniej te szachy.

– Nie wiem – rzekł Luschke wykonując śmiały ruch laufrem – czy przestępcy wojennemu pozwolą długo dysponować szachami.

– Wtedy będziemy grali symultanicznie, panie generale. Przecież mieliśmy dosyć czasu, żeby się w tym wprawić.

Generał skinął głową i uśmiechnął się przelotnie. Tak, mieli dosyć czasu, żeby się oddawać najdziwaczniejszym ćwiczeniom pamięci. Były noce, zwłaszcza w ostatnich czasach, podczas których nie można było spać, więc grali w ciemności w szachy przez omówienie ruchów. Zdarzało się to w namiocie, w samochodzie czy nawet pod gołym niebem.

– Kiedy pomyślę – powiedział generał zastanawiając się nad nowym ruchem – jak

żałośnie zawiedliśmy, przepraszam, jak ja żałośnie zawiodłem, wtedy zapytuję sam siebie, jak się to dzieje, że mogę siedzieć tutaj spokojnie i grać w szachy. Właściwie powinienem w jakiejś celi rozmyślać nad tym, co się stało przy mojej pomocy. Ale i to nie miałyby wiele sensu, ponieważ nie doszedłbym do innych rezultatów aniżeli do tych, które od lat mnie prześladują.

– Pan generał spełnił swój obowiązek.

– Spełnianie obowiązku to rzecz zrozumiała sama przez się, ale dla generała to trochę za mało.

– Żołnierze pańscy kochają pana, czemu dali wyraz ostatniej nocy. Nie ma chyba w Niemczech generała, który mógłby to twierdzić!

– Wielu – powiedział Luschke cofając laufra – cieszy się miłością żołnierzy nie zasługując na to w najmniejszym stopniu.

– Był pan dla swoich oficerów jak gdyby ojcem.

– Każdy przełożony – powiedział Luschke robiąc ruch wieżą – jest zależny od swoich podwładnych, przede wszystkim od bezpośrednio mu podporządkowanych, ale większość o tym nie wie. Można wymuszać działania, można je wywoływać; to pierwsze idzie szybciej, to drugie jest pewniejsze. Staralem się – co się zawsze opłaca, a czego większość się lęka – mieć przy sobie oficerów o pewnym poziomie moralnym. Weźmy na przykład Wedelmanna. Typowy narodowosocjalistyczny Parsifal w kieszonkowym wydaniu. Albo Asch. Odbicie Götza von Berlichingen. A pan, majorze Horn, to przecież Eckerman bez Goethego.

– Pomniejsza pan swoje zasługi, panie generale.

– Od miesiący miał pan zagwarantowane dowództwo pułku. Nominacja pańska leżała wśród moich papierów; Wedelmann miał od dawna zostać majorem; Asch, nie wiedząc o tym, jest od paru dni porucznikiem. Ale nie byłem zwolennikiem zmian w moim rozkładzie jazdy. Nie byłem ojcem, majorze Horn, w gruncie rzeczy byłem takim samym przełożonym jak każdy inny. Żyłem z osiągnięć moich podwładnych, a ponieważ bez względu na pewne niewygody osobiste forytowałem najwybitniejszych spośród nich, osiągnięcia były nieprzeciętne.

– Panie generale – powiedział major. – Nawet panu nie uda się zmniejszyć naszego głębokiego szacunku dla pana.

– Na razie niech pan nie zmniejsza swojej uwagi – rzekł Luschke z uśmiechem. – Dostał pan mata, mój drogi.

James I był zdecydowany zachować twarz. I to za wszelką cenę. Zarządził dla Hinrichsena, którego nazywał swoim współpracownikiem, uroczysty pogrzeb. Uwzględniając moment i sytuację polecił jednak, żeby pogrzeb był cichy.

Podczas kopania grobu dla Hinrichsena James I zrobił notatkę w aktach. Z początku miał zamiar założyć dla tej „sprawy” osobne akta, ale napotkał tu na niezwykle gwałtowny opór Jamesa II, musiał więc działać sam. Notatka w aktach była zatytułowana następująco: „Straty personalne mojej placówki służbowej w walce z rozpro-

szonymi jednostkami hitlerowskimi”.

Przy składaniu Hinrichsena do grobu James I był obecny jako oficjalny przedstawiciel CIC. Obok niego stał Brack. Jeńcy zatrudnieni jako grabarze spoglądali obojętnie, żaden z nich nie znał majora.

James I spojrział na zegarek i powiedział: – Godzina czternasta minut pięćdziesiąt cztery wedle czasu środkowoeuropejskiego. Zaczekamy jeszcze sześć minut.

– Jest pan rygorystycznym zwolennikiem punktualności – zauważył Brack z gorzką ironią.

– Chcę być tylko w porządku obwieścić James I. – Zwłaszcza w sprawach tego rodzaju. Jeżeli w mojej notatce do akt napisałem: godzina piętnasta, to termin ten musi obowiązywać co do sekundy.

Czekali. Brack patrzył szklanym wzrokiem w otwarty dół, James I spoglądał na zegarek, jeńcy-grabarze spoglądali po prostu w dal. Wiosenne słońce skryło się za chmury.

– Teraz! – zakomenderował James I.

Kawałki ziemi i kamienie zaczęły spadać na trumnę. Brack powiedział: – On nie był hitlerowcem.

– Oczywiście, że nie – oświadczył James I. – Był funkcjonariuszem mojej placówki służbowej.

– Był narodowym socjalistą – powiedział Brack. – Mimo to żal mi go.

Na pewno zostaniesz burmistrzem – powiedział stary Asch do swego przyjaciela majstra Freitag. – Nikt nie zasłużył na to tak jak ty.

Majster Freitag siedział w swoim skromnie urządzonym pokoju i w skupieniu przyglądał się gościowi.

– Wcale się tak do tego nie palę – rzekł po chwili.

– Jesteś miastu potrzebny, jako człowiek najbardziej odpowiedni.

– Znajdą się lepsi.

– Żaden nie dorasta ci do pięt. Rozpoczyna się teraz nowa epoka.

– Czy także i dla ciebie?

– Dla nas wszystkich. Uświadomiliśmy sobie grzechy przeszłości i żałujemy ich. Robiliśmy błędy i okropnie nad tym bolejemy. Ale nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, bo nas przecież zwiedziono i oszukano.

– Zwiódł i oszukał nas jak szczurołap z Hameln czy też z Bingen zwiódł dzieci.

– Mniejsza z tym, gdzie to było, ale porównanie jest trafne. Wykorzystano nasz idealizm, eksploatowano bezwstydnie nasz patriotyzm, gwałcono naszą wiarę. Biedny naród niemiecki!

– Słuchaj no, Asch – powiedział stary Freitag. – Gdybym nie wiedział, jaka z ciebie rafinowana, stara szelma i gdybyś przypadkowo nie był teściem mojej córki, wyrzuciłbym cię na zbity łeb.

– Ale jestem z tobą spowinowacony – rzekł stary Asch wesoło – i powinowactwo

to napawa mnie dumą. Zwłaszcza teraz, kiedy u Amerykanów powiał nowy wiatr i szaleją po prostu za tym, żeby wysuwać zdecydowanych, niewątpliwych antyhitlerowców. Ty jesteś w naszym mieście największym antyfaszystą. Mogę sobie pozwolić z tego powodu.

– Mam wielką ochotę – odrzekł, stary Freitag – zamknąć cię do tej samej celi, w której siedziałem.

– Zrób to z całym spokojem. Nie zaszkodzi mi to, a może nawet wyjdzie kiedyś na dobre.

Musisz mi wybaczyć – powiedział Wedelmann do swej młodej małżonki. – A później zrozumiesz mnie również.

– Rozumiem cię już teraz – rzekła Magda.

– Przyglądałem się bezprawiom, sam dopuszczałem się bezprawia. Nie wiedziałem o tym, ale tak było.

– Nikt nie jest bez winy – powiedziała Magda szeptem.

– Jak to mam rozumieć – zapytał Wedelmann, którego od razu ogarnął niepokój. – Na czymże polega twoja wina? Nie miałaś z wojną nic wspólnego, absolutnie nic, a więc na czym polega to, co nazywasz winą? Na sprawach osobistych?

– A może na niewiedzy?

– Możliwe – rzekł Wedelmann z uczuciem pewnej ulgi. Spoglądał na swą młodą żonę siedzącą obok niego, patrzył na profil jej twarzy pozbawiony ostrych konturów, na jej pełne wargi i aksamitne oczy, w których była tylko tkliwość. I znowu zapytywał sam siebie, jak też ona żyła, zanim go poznała.

– Nieprawość – powiedziała – podobna jest do chmury kurzu; brudzi również tych, którzy jej nie wywołali.

– Wiem, czego chcę – powiedział Wedelmann. – Chcę szukać sprawiedliwości i bronić jej. Będę studiował prawo, poświęcę się karierze prawniczej. Będziemy musieli wyrzec się niejednego, może nawet trzeba będzie głodować, ale zachowując jasny, świadomy umysł, chcę robić odtąd tylko to, co jest zgodne z prawem.

– Jesteś wielkim dzieckiem – rzekła Magda z niezmierną czułością. – Moim wielkim dzieckiem.

Sir – rzekł kapitan Ted Boernes do telefonu – tutaj wszystko w porządku. Panujemy nad sytuacją całkowicie.

– Czy ma to oznaczać – zapytał pułkownik Thompson – że były chwile, w których nie panował pan nad sytuacją?

– Doszło do walk z rozproszonymi jednostkami hitlerowskimi.

– Jakże się powodzi Brackowi?

– Dobrze. Stoi obok mnie.

Brack ujął słuchawkę i zameldował się. Powiedział parę konwencjonalnych słów, dał odpowiedź na parę błahych pytań. Potem powiedział: – Jestem pełen podziwu dla

waszej organizacji. Podziwiam inicjatywę zwycięzców. Widzę, że wasza wielkość rozsadza wszystkie granice.

– Może coś jest nie w porządku? – zapytał Thompson zatroskany.

– Jesteście tacy odważni, tacy wspaniali, macie taką przewagę, a Niemcy stały się takie biedne, skłócone i małe.

– Drogi mój młodzieńcze – powiedział pułkownik Thompson – czy napotykasz jakieś trudności?

– Jeżeli o mnie osobiście chodzi, mam całkowitą swobodę – odparł Brack – ale nie mogę z niej korzystać. Zbyt wielu nie potrafi sobie niczego wyobrazić, kiedy wymawia słowa: swoboda, wolność, W gruncie rzeczy Niemcy nie potrzebują oswoźdźcicieli. Potrzebni im są lekarze, ponieważ ludzie tutaj są chorzy.

– A ty potrzebujesz gwałtownie zmiany powietrza – powiedział pułkownik poślizliwie. – Przygotuj się do podróży, przyjedź do mnie, w ciągu kilku tygodni będziesz mógł być w Szwajcarii, a może nawet już w Ameryce.

– Zostanę w Niemczech – powiedział Brack.

A cóż będzie z nami? – zapytała Barbara Herberta Ascha. – Nie jestem jasnowidzem, dziewczyno.

– Wrócisz do swojej żony?

– Czy ją kiedyś opuściłem?

Barbara obrzuciła go pytającym spojrzeniem. – Czy istotnie jestem aż tak bardzo złym człowiekiem? Czy naprawdę nie warto żyć ze mną?

– Nie, Barbaro, nie! Ale przecież nie jestem jedynym mężczyzną na świecie. I co to oznacza właściwie „zły człowiek”? Syci nie wiedzą, co to głód, ale osądzają głodnych. Stare baby zapomniały, co to miłość, a więc nie mają zrozumienia dla zakochanych. Kto przeżył wojnę w domku na wsi, ten nie może wiedzieć, że można również zbombardować moralność. Wojna czyni ludzi chciwymi, podatnymi na wszystko, pozbawionymi oparcia.

– Kiedy to się stało po raz pierwszy, byłam jakby sparaliżowana ze strachu.

– A potem przyzwyczyłaś się powoli.

– Nigdy się nie przyzwyczyłam, Herbercie. Zmuszałam się tylko do tego, żeby o tym nie myśleć. Mylisz się zresztą, jeżeli przypuszczasz, że przeszłam przez wiele rąk.

– I ja wielu nie zabiłem – powiedział Herbert Asch. – Ale zabijałem! Nie było ich wielu, czy kochałaś ich? Nie? W takim razie uprawiałaś prostytutkę. Ale nie znam żadnego człowieka, który by wychodził z tej wojny czysty. Można wzbogacić się przez wojnę, stać się mądrzejszym, twardszym, ale czysty nie pozostanie nikt.

Kapitan Schulz naszkicował rozkazy obozowe numer 3 i 4 i w swym oddzielnym pomieszczeniu robił notatki do rozkazu specjalnego, który zatytułował: „Niemiecka policja obozowa, organ niemieckiej komendy obozu”. Pisarze jego uzupełniali listy

personalne nowymi rubrykami. Czy zdolny do pracy? Jeżeli tak, to gdzie, w kancelarii czy pod gołym niebem? Jeżeli pod gołym niebem, to czy ma ubranie robocze i dwie pary obuwia?

– Urządźmy tutaj – obwieścił Schulz kilkakrotnie – obóz wzorowy. Niech Amerykanie zobaczą, czym jest niemiecka organizacja.

Był dumny z tego, że mógł na każde pytanie, które by Amerykanie ewentualnie postawili, udzielić wyczerpujących informacji. Uszeregował podporządkowanych sobie jeńców wedle wieku, zawodu, wyznania, stopni służbowych, przynależności partyjnej, odznaczeń, znajomości języków, stosunków rodzinnych, szczepień, stanu wzroku.

„A gdyby Amerykanom przyszła ochota zapytać, kto tutaj w moim obozie ma platfusy, otrzymają najdalej w ciągu dziesięciu sekund najdokładniejsze dane!”

Schulz zarządzał i organizował, planował i przygotowywał.

Wiedział, że dopóki jest w tym obozie, musi starać się być nieodzownym. Wiedział również, że zbyt długo w tym obozie nie pozostanie, tak samo jak w tym mieście, gdzie znano go jak zły szeląg. Był przeświadczony, że znajdzie właściwe i najpewniejsze drogi, które go zaprowadzą do jego łupów, do waliz i ciężarówek, a przede wszystkim do starych ustosunkowanych i zamożnych kolegów w Hesji, którzy zamierzają zatrudnić go w Urzędzie Pracy.

Napisał do swojej żony Lary: „Jako człowiek ubolewam do głębi nad twoją postawą, jako żołnierz uważam ją za godną pogardy i niegodną żony oficera. Muszę przyjąć, żeś się mnie wyrzekła, i zamierzam wyciągnąć z tego konsekwencje” – I tak dalej, i tak dalej.

Jeden z pisarzy wpadł do Schulza bez pukania, z przerażonym wyrazem twarzy. – Włamano się do magazynu – obwieścił.

Schulz skoczył na równe nogi, zastanawiał się chwilę, po czym eskortowany przez dwóch pisarzy pocwałował do baraku, w którym rozlokował się Kowalski. Schulz kazał zablokować wejścia oraz wydał rozkaz, żeby wszyscy obecni wystąpili przed barak. Potem przeszukał systematycznie pomieszczenia. Oczywiście nic nie znalazł.

– Musisz mnie uważać za skończonego idiotę, Schulz – powiedział jowialnie Kowalski. – Czyżbyś przypuszczał, że jestem jakiś początkujący?

– Wydam was Amerykanom! – zawołał Schulz.

– Cóż to za finezje! – ryknął Kowalski. – Jak ty sobie to praktycznie wyobrażasz?

– Brakuje dwóch łopat, jednego szpadla i jednej pary obcęgow.

– Obcęgi są mi potrzebne po to, żeby sobie za ich pomocą podciągnąć portki.

– Obcęgi można przeciąć drut kolczasty, łopata i szpadlem wykopać podziemne przejście.

– Za kogo ty mnie właściwie masz, Schulz? Przecież nie jestem robotnikiem, który pracuje na akord. Wydostanę się stąd, kochanku, ale w zupełnie inny sposób, możesz być tego pewny.

– Zamelduję o tym!

– Zrób to, Schulz! Wtedy ja udzielię twoim chlebodawcom odpowiednich informacji odnośnie twojej osoby. I co to w ogóle znaczy „zamelduję”?! Trzeba mieć dowody! Masz je? No widzisz, ty wałachu.

Schulz oddalił się piniąc się ze złości.

U nas w Texasie – powiedział James I nie bez dumy – są miasta nie figurujące na żadnej mapie, ale za to siedem razy większe od tej dziury.

– A u nas w Niemczech – oświadczyła Lora Schulz udając naiwną – na mapie figurują miasta dziewięć razy większe od tego, a w rzeczywistości nie ma ich wcale.

– Kto zaczął posługiwać się na wojnie bombami? – zapytał James I.

– Niemcy.

– A kto został zmuszony do wojny?

– Amerykanie!

– A kto jest największym zbrodniarzem wszystkich czasów?

– Hitler.

– A kto jest największym wodzem wszystkich wojen?

– Eisenhower.

– A kto – zapytał James II siedzący w kącie – jest największym idiotą na świecie?

Ty!

– Czy ci się nie za dobrze powodzi, „pastorze”?

– Wiedzie mi się pod psem, ale w takim otoczeniu jest to zupełnie naturalne.

– Nasz „pastor” – powiedział James I uśmiechając się triumfalnie do Lory – cierpi wskutek niemieckiego klimatu. Tęskni chyba za Ameryką. Postaram się o to, żeby się tam wkrótce dostał.

– I ja chciałabym do Texasu – powiedziała Lora Schulz. – Czy to prawda, że każdy Amerykanin ma własny samochód i własną lodówkę?

– W moim domu w Texasie stoją trzy samochody i dwie lodówki – zapewnił ją James I.

– Miałem kiedyś osiemnaście lodówek – oświadczył James II z całą powagą. – Handlowałem nimi, ale w ostatnich czasach przerwiałem się na handel bydłem.

– Ależ z was wytworni panowie! – zawołała Lora Schulz udając entuzjazm.

– Jeden z tych wytwornych panów będzie się musiał stąd ulotnić – powiedział James II. – Jest tu o jednego za wiele. Mam nadzieję, że tym jednym nie jestem ja.

– A więc, „pastorze”, walka na noże?

– Aż do ostatniego kwestionariusza, mój „partnerze” – powiedział James II, splunął i opuścił pokój.

Panie – modlił się ksiądz Westhaus w swoim gabinecie – pomóż mi, żebym mógł pomagać. Jestem słaby, dodaj mi sił. Nadzieja moja niknie coraz bardziej, umocnij mniej w mojej wierze.

Ksiądz Westhaus modlił się: – Ludzie stoczyli się zbyt głęboko, więc jakżeż ich podnieść? Są nadzieje, czymże okryć tę nagość? Nie wiedzą, gdzie się, mój Boże, znajdujesz. Dokąd mam ich zaprowadzić?

Ksiądz Westhaus modlił się w dalszym ciągu. – Grzechy były wielkie, kary są surowe, ogromna jest ilość umarłych, nieskończona liczba potępionych.

Ksiądz Westhaus zawołał: – Pokonałeś Niemcy, o Panie, i niechaj Imię Twoje będzie pochwalone. Pozwoliłeś zginąć milionom i niechaj Imię Twoje będzie pochwalone. Zrządziłeś, żeby ludzkość poznała, co to przerażenie, lęk i strach, żeby wreszcie dowiedziała się, czym jest wojna. Niechaj Imię Twoje, o Panie, będzie pochwalone.

Wszystko to – zakończył Westhaus zdławionym głosem – stało się po to, by w uszach brzmiał po wsze czasy ryk wojny, by oczy ślepy od łez z powodu okropności, które musiały oglądać, by ludzie wreszcie wiedzieli, czego im już nigdy uczynić nie wolno. Nigdy! Czy tak jest, o Panie?

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

ZAMIAST POSŁOWIA

Z przemówienia kapitana w stanie spoczynku Schulza wygłoszonego z okazji spotkania żołnierzy jesienią 1954 roku, „roku rehabilitacji”.

Przemówienie to wywodzi się wprawdzie z ducha Schulza, ale nie jest w całości wytworem jego mózgu; jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że przyłożył do tego rękę jakiś dziennikarz gorąco oddany wielkiej sprawie, który po pewnych odchyleniach odnalazł znowu drogę do prawdziwego koleżeństwa.

Koledzy!

Honor nakazuje ustalić raz nareszcie publicznie, że żołnierz niemiecki, który zawsze był, jest i pozostanie najlepszym żołnierzem świata, że ten żołnierz nigdy i w żadnej epoce nie zawiódł. Zdradzono go tylko haniebnie i pozostawiono na lodzie. Ale żołnierz tego typu, co żołnierz niemiecki, nawet to przezwycięży.

W roku 1945, kiedy runął na nas świat i chciał nas zniszczyć, sztandar żołnierza niemieckiego pozostał czysty. Zachowując wzorową postawę, zawsze świadomi wysokiej odpowiedzialności, przetrwaliśmy tą najcięższą ze wszystkich epok – poczynając od marszałka polnego, a kończąc na ostatnim szeregowcu. Żył w nas bowiem przeświadczenie, z początku niedostatecznie uwzględniane przez aliantów, że prowadziliśmy sprawiedliwą wojnę i że wyświadczylimy Zachodowi wielką przysługę.

Jesteśmy dostatecznie silni i wyżsi ponad jakiegokolwiek brudne podejrzenia. Możemy więc stwierdzić ze spokojem, że wtedy, w owych szarych dniach roku 1945. były istotnie pewne nieliczne wyjątki, były pewne istoty słabe, które się załamały. Ale okres ten, który nazwać można „bierną rezygnacją”, trwał krótko. Zaledwie od maja do końca lipca 1945. Tylko nieliczni poddali się.

Dzisiaj możemy mówić o tych dniach z pełnym ulgi uśmiechem. Gryzypiórki i pismaki twierdziły, że jest przeciwnie, opłacane za te twierdzenia przez propagandę wschodnią, zasługują jedynie na naszą pogardę. Należałoby im dobrze natrzeć uszu. Bo po prostu kłamstwem jest twierdzenie, jakoby byli kiedyś żołnierze, którzy się wstydzili swego munduru, nie było też nigdy prawdziwej niemieckiej żony czy matki, która by śmierć na polu bitwy uważała za pozbawioną sensu. Nieżyjący nasi koledzy bowiem to bohaterowie, a kto plami ich mundur, ten znieważa naszych poległych.

W najlepszych warstwach naszego narodu nigdy nie zanikła chęć walki. Walka o honor i uznanie była twarda, ale nie pozostała bez rezultatu. Umieliśmy zachować nasze najistotniejsze wartości, nie zaniedbywaliśmy żadnej sposobności, żeby pomóc im wypłynąć na wierzch. Dzisiaj można stwierdzić, że ci, którzy byli kiedyś naszymi przeciwnikami, zawsze nas rozumieli i odnosili się do nas z koleżeńską przychylnością. Naszych właściwych wrogów można było znaleźć u nas w ojczyźnie; rekrutowali się oni z niepoprawnych cywilów o niskich instynktach oraz z pozbawionych sumienia podżegaczy pozostających na żołdzie obcych mocarstw. Pokonaliśmy jednak i tych wrogów.

Mniej więcej jesienią 1948 rozpoczął się okres „postępującej rehabilitacji”. Wyżsi urzędnicy nie myśleli już o tym, żeby nam odmawiać zasług. Znowu pojawili się w Niemczech sędziowie. Nawet politykom zaczęły otwierać się oczy. Na razie tylko wtajemniczeni widzieli wzrastającą aktywność – licznych naszych gazet i czasopism. Dopiero wtedy, kiedy do pracy publicystycznej wciągnięci zostali niemal bez reszty nasi zasłużeni sprawozdawcy wojenni, obraz zmienił się w błyskawicznym tempie. Od tej chwili w pismach ilustrowanych na terenie Niemieckiej Republiki Federalnej zaczęli zabierać głos nasi dowódcy wojskowi zachowując w całej pełni swe tytuły i stopnie.

Dumą i zadowoleniem napawa nas fakt, że w licznych warstwach ludności ugruntował się znowu respekt dla naszych zasadniczych postulatów, a przede wszystkim dla tego postulatu, który stwierdzał z całą skromnością: „Służba żołnierza jest zawsze pełna zasług i zawsze honorowa”. Jeden z ministrów, uznał to nawet za nakaz chwili i zażądał uroczystości, żeby wojsku znowu zostało przywrócone właściwe, nie podlegające dyskusji znaczenie w państwie.

W zasługujących na baczną uwagę latach 1949 i 1950, które można by nazwać okresem „zbliżającej się restauracji”, udało się oficerom i innym kolegom, a mianowicie takim, którzy zawsze bez zastrzeżeń stawali po stronie naszych postulatów, zdobyć odpowiedzialne stanowiska w administracji oraz życiu gospodarczym i politycznym. Doszło do tego, że w niektórych szkołach nauczyciele, którzy nie byli żołnierzami frontowymi lub nie przyznawali się do tego otwarcie, stawali się przedmiotem pogardy uczniów. Nie koniec na tym. Pojawili się nawet księgarze i wydawcy, którzy, kierowani poczuciem odpowiedzialności, konsekwentnie i zdecydowanie wzbraniłi się kolportować tak zwaną literaturę pacyfi-

styczną, a więc antyniemiecką i probolszewicką.

Koledzy, z chwilą gdy stanęliśmy w szeregu, nie można już nas było powstrzymać. Po okresie „postępującej penetracji” nastąpił okres „absolutnego przenikania”. Dowiedliśmy bezapelacyjnie, że stary duch żyje w nas jeszcze. Zostały utworzone stowarzyszenia i związki; gazety, czasopisma i wydawnictwa zaczęły kruszyć kopie o naszą prawdę. Wielkim imprezom, koleżeńskim spotkaniom i wiecom nie było końca. Urzędnicy, działacze gospodarczy, politycy, nawet redaktorzy naczelni wydzwignięci przez falę powojennej koniunktury, którym starczyło rozumu, żeby się oczyścić, choć nigdy nie przypadł im w udziale zaszczyt noszenia broni, ubiegali się o nasze względy. Nawet kierownicy państwa o nienaganej cywilnej przeszłości zachwycali się, będąc już w sędziwym wieku, doniosłymi walorami muzycznymi marszów wojskowych. Jeden z pierwszych mężów Republiki zawołał na jednym z naszych zebrań otwierając szeroko ramiona: „Teraz nareszcie mogę powiedzieć: Niemcy!”

Wszystko to, koledzy, napętnia nas zadowoleniem, ale nie wywołuje w nas zachwyty. Zawsze wiedzieliśmy, czegośmy chcieli, nigdy nie zaniedbywaliśmy naszych obowiązków. Będziemy kroczyli naszą drogą, zakreśloną od początku, dopóki istnieć będzie świadome swej odpowiedzialności, bezkompromisowe, zaszczytne poczucie ducha żołnierskiego.

Z czcią i uznaniem składamy hołd naszym bohaterom — uratowali oni Zachód od zagłady. Pochylamy głowy przed poległymi kolegami i ślubujemy: Będziemy kontynuowali ich dzieło.

Po tych słowach kapitana w stanie spoczynku Schulza zerwała się burza oklasków. Tylko nieliczni milczeli. Nikt z obecnych nie protestował.

{1} Anszlus (niem. *Anschluss*, dosł. przyłączenie) – włączenie przemocą Austrii w skład państwa niemieckiego, dokonane przez Hitlera w 1938 roku za zgodą Anglii i Francji.

{2} BDM – Bund Deutscher Mädel.

{3} „Horst-Wessel-Lied” – narodowosocjalistyczna pieśń śpiewana przez hitlerowców od 1933 r. na równi z hymnem narodowym.

{4} Związek Krajowych Organizacji Kombatantkich.

{5} *Stahlhelm* (dosłownie „Stalowy hełm”) – nacjonalistyczna organizacja paramilitarna weteranów pierwszej wojny światowej, utworzona w 1918 r., rozwiązana przez Hitlera w 1935 r.

{6} „Kraft durch Freude” (dosłownie: „Siła przez radość”) – hitlerowska organizacja propagandowa działająca poprzez urządzania imprez rozrywkowych i wycieczek.

{7} NS – Frauenschaft.

{8} Dipisi – Displaced persons!(ang.) – osoby wywiezione w czasie okupacji hitlerowskiej na roboty przymusowe lub jeńcy, którzy po zakończeniu wojny nie wrócili do ojczyzny.

{9} Gra słów: *Eber* – dzik, dzika świnia; *Wein* – wino.

{10} *Arsch* (niem.) – dupa.

{11} Nieprzetłumaczalna gra słów – „die Karte” w języku niemieckim oznacza zarówno mapę, jak i kartę do gry.

{12} Cytaty powyższe są, z niewielkimi zmianami, autentyczne (przyp. aut.).

{13} CIC – Counter Intelligente Corps – amerykański kontrwywiad.

{14} *Camp* (ang.) – obóz.